

JACQUELINE CAREY

STRZAKA
KUSZIELA



JACQUELINE CAREY

STRZAŁA KUSZIELA

Kushiel's Dart

Przekład Maria Gębicka-Frać

Wydawnictwo
MAG

2004

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję moim rodzicom, Marty i Rob, za miłość i słowa zachęty, oraz Julie, której wiara nigdy się nie zachwiała. Dla mojej ciotecznej babci Harriett – wyjątkowe *mahalo* za niezłomne wsparcie.

 [SPIS TREŚCI](#) 

DRAMATIS PERSONAE

DOMOWNICY DELAUNAYA

Anafiel Delaunay – szlachetnie urodzony

Alcuin nó Delaunay – uczeń Delaunaya

Fedra nó Delaunay – uczennica Delaunaya, *anguisette*

Guy – człowiek Delaunaya

Joscelin Verreuil – brat kasjelita (Siovale)

CZŁONKOWIE RODZINY

KRÓLEWSKIEJ TERRE D'ANGE

Ganelon de la Courcel – król Terre d'Ange

Genevieve de la Courcel – królowa Terre d'Ange (nieżyjąca)

Roland de la Courcel – syn Ganelona i Genevieve, delfin (nieżyjący)

Izabela L'Envers de la Courcel – żona Rolanda, księżna (nieżyjąca)

Ysandra de la Courcel – córka Rolanda i Izabeli, następczyni tronu

Barquiel L'Envers – brat Izabeli, diuk L'Envers (Namarra)

Baudoin de Trevalion – syn Lyonetty i Marka, książę krwi

Bernadetta de Trevalion – córka Lyonetty i Marka, księżniczka krwi

Lyonetta de Trevalion – siostra Ganelona, księżna krwi, Lwica

z Azalii

Mark de Trevalion – diuk Trevalion (Azalia)

CZŁONKOWIE RODZINY

KRÓLEWSKIEJ LA SERENISSIMY

Benedykt de la Courcel – brat Ganelona, książę krwi

Maria Stregazza de la Courcel – żona Benedykta

Dominik Stregazza – mąż Teresy, kuzyn doży La Serenissimy

Maria Celestyna de la Courcel Stregazza – córka Benedykta i Marii, księżniczka krwi, żona syna doży La Serenissimy

Teresa de la Courcel Stregazza – córka Benedykta i Marii, księżniczka krwi

ARYSTOKRACJA D'ANGELIŃSKA

Izydor d'Aiglemort – syn Maslina, diuk d'Aiglemort (Kamlach)

Maslin d'Aiglemort – diuk d'Aiglemort (Kamlach)

Solaine Belfours – markiza, sekretarz Tajnej Pieczęci

Rogier Clavel – szlachcic, członek świty L'Enversa

Childric d'Essoms – szlachcic, członek Sądu Kanclerskiego

Cecylia Laveau-Perrin – żona kawalera Perrina (nieżyjącego), była adeptka Domu Cereusa, nauczycielka Fedry i Alcuina

Roxanna de Mereliot – Pani Marsilikos (Eisanda)

Quincel de Morhban – diuk de Morhban (Kuszet)

Lord Rinforte – prefekt Bractwa KasjELITÓW

Edmee de Rocaille – narzeczona Rolanda (nieżyjąca)

Melisanda Szachrizaj – szlachetnie urodzona (Kuszet)

(Tabor, Sacriphant, Persja, Marmion, Fanchone – członkowie rodu Szachrizajów, krewni Melisandy)

Ghislain de Somerville – syn Percy’ego
Percy de Somerville – hrabia de Somerville (L’Agnace), książę
krwi, dowódca wojsk królewskich
Tibault de Toluard – hrabia de Toluard (Siovale)
Gaspar Trevalion – hrabia de Fourcay (Azalia), kuzyn Marka
Luk i Mahieu Verreuil – synowie Miliarda, bracia Joscelina
Miliard Verreuil – kawaler Verreuil, ojciec Joscelina (Siovale)

DWÓR NOCY

Liliana de Souverain – adeptka Domu Jaśminu, matka Fedry
Miriam Bouscevre – duejna Domu Cereusa
Julietta, Ellyn, Etienne, Calantia, Jacynt, Donatien – uczniowie
z Domu Cereusa
Brat Louvel – kapłan Elui
Jareth Moran – zastępca w Domu Cereusa
Suria – adeptka Domu Cereusa
Didier Vascon – zastępca w Domu Waleriany

SKALDIA

Ailsa – kobieta z osady Guntera
Gunter Arnlaugson – pan osady
Evrard Ostry Język – woj z osady Guntera
Gerda – kobieta z osady Guntera
Harald Bezbrody – woj z osady Guntera
Hedwiga – kobieta z osady Guntera
Kolbjorn z Mannów – jeden z wodzów Seliga
Knud – woj z osady Guntera
Lodur Jednooki – kapłan Odina

Waldemar Selig – pan osady, wódz wojenny
Trygve – członek Białych Braci
Biali Bracia – wojowie Seliga

CYGANIE

Abhirati – babka Anastazji
Anastazja – marka Hiacynta
Csavin – bratanek Manoja
Gizella – żona Neciego
Hiacynt – przyjaciel Fedry, Księżę Podróżnych
Manoj – ojciec Anastazji, król Cyganów
Neci – przywódca kompanii

ALBA I EIRE

Breidaia – najstarsza córka Necthany
Brennan – syn Grainny
Cruarcha Alby – król Piktów
Drustan mac Necthana – syn Necthany, księżę piktyjski
Eamonn mac Conor – władca Dalriady
Foclaidha – żona cruarchy
Grainna mac Conor – siostra Eamonna, władczyni Dalriady
Maelcon – syn cruarchy i Foclaidhy
Moireada – najmłodsza córka Necthany
Necthana – siostra cruarchy
Sibeala – średnia córka Necthany

TRZY SIOSTRY

Gildas – sługa Pana Cieśniny

Pan Cieśniny – władca morza między Albą a Terre d'Ange

Tilian – sługa Pana Cieśniny

INNI

Vitalis Bouvarre – kupiec, sprzymierzeniec rodziny Stregazza

Pierre Cantrel – kupiec, ojciec Fedry

Camilo – uczeń Gonzago de Escabaresa

Danele – żona Taaviego, farbiarka

Emil – członek załogi Hiacynta

Maestro Gonzago de Escabares – aragoński historyk, dawny nauczyciel Delaunaya

Fortun – marynarz, jeden z Chłopców Fedry

Heloiza Friote – żona Gavina

Purnell Friote – syn Gavina

Richelina Friote – żona Purnella

Aelric Leithe – marynarz

Jean Markhand – zastępca admirała Rouse

Thelesis de Mornay – nadworna poetka

Mieretta nó Orchidea – była adeptka Domu Orchidei

Remy – marynarz, jeden z Chłopców Fedry

Kwintyliusz Rouse – admirał floty królewskiej

Taavi – tkacz jezuicki

(Maja i Rena – córki Taaviego i Danele)

Mistrz Robert Tielhard – markarz

Ti-Filip – marynarz, jeden z Chłopców Fedry

Lelahia Valais – chirurg (Eisanda)

Jafet nó Dzika Róża-Vardennes – dramatopisarz

Seth ben Javin – nauczyciel jezuicki

JEDEN

Ucinając wszelkie przypuszczenia, że jestem kukułczym dzieckiem, spłodzonym po złej stronie łoża przez jurnego wieśniaka, a następnie na przednówku sprzedanym do terminu, od razu powiem, że urodziłam się w Domu i wychowałam w Dworze Nocy, wynosząc stamtąd wszelkie możliwe korzyści.

Nie żywię urazy do rodziców, choć zazdroszczę im naiwności. Nikt im nie powiedział, że nadali mi pechowe imię. Nazwali mnie Fedrą i żadne z nich nie wiedziało, że to helleńskie imię, przeklęte.

Przypuszczam, że zaraz po moim przyjściu na świat nie mieli powodów do zmartwień. Moje oczy, rzadko otwarte, miały jeszcze niezdecydowany kolor, ale przecież wygląd noworodka zmienia się z tygodnia na tydzień. Jasne loczki mogą ustąpić czarnym jak smoła kędziorem, bladość przechodzi w głęboki odcień bursztynu i tak dalej. Ale kiedy moja przemiana dobiegła końca, jedna rzecz stała się jasna.

Urodziłam się ze skazą.

To oczywiście wcale nie znaczy, że brakowało mi urody, nawet gdy byłam oseskiem. Ostatecznie jestem D'Angelina, a od kiedy Błogosławiony Elua postawił nogę na naszej wspaniałej ziemi i nazwał ją swoim domem, świat wie, co to oznacza. Moje delikatna twarzyczka stanowiła perfekcyjną miniaturę pięknego oblicza matki. Karnacja, zbyt jasna według kanonu Domu Jaśminu, cieszyła oko idealnym odcieniem kości słoniowej. Włosy, tworzące rozkoszny zamęt loczków, przybrały barwę

nocnego nieba, niezwykle cenioną przez niektóre Domy. Kończyny miałam proporcjonalne i kształtne, a kościec delikatny, lecz pełen cudownej siły. Nie, problem leżał gdzie indziej.

Chodziło o moje oczy, a właściwie o jedno.

Drobiazg, który decyduje o całym przeznaczeniu. Nic więcej niż plamka, cętka, kropeczka. Może gdyby kolor był inny, historia potoczyłaby się zupełnie inaczej. Barwa moich oczu ustaliła się z biegiem czasu, zyskując odcień, który poeci zwą bistro, głęboki i świetlisty jak lustro leśnego stawu w cieniu wiekowych dębów. Być może ktoś spoza Terre d'Ange nazwałby go brązem, lecz niestety język, jakim opisują piękno ludy mieszkające poza granicami naszego kraju, jest żałośnie ubogi. A zatem bistr, bogaty i krystalicznie czysty – z wyjątkiem lewego oka, gdzie w tęczę, która okala czarną źrenicę, lśniła plamka odmiennego koloru.

Lśniła czerwienią, choć w istocie to określenie nie oddaje jej barwy. Nazwijmy ją szkarłatną albo purpurową, czerwienią niż grzebień koguta czy pieczone jabłko w świńskim ryżu.

Tak więc przyszłam na świat z pechowym imieniem i plamką krwi w lewym oku.

Moją matką była Liliana de Souverain, adeptka Domu Jaśminu, której ród od zarania służył Naamie. Mój ojciec, Pierre Cantrel, był trzecim synem kupieckiego barona. Szkoda, że cała przedsiębiorczość, jaka zapewniła jego ojcu status zasłużonego emeryta w Mieście Elui, przypadła w udziale starszemu potomstwu. Dla naszej trójki byłoby lepiej, gdyby namiętność zawiodła go do drzwi innego Domu, może Przystępu, którego adepci są szkoleni w machinacjach finansowych.

Ale w przypadku Pierre'a Cantrela słabą głowę równoważyły silne namiętności, kiedy więc sakiewka u jego pasa napęczniała

od monet, a mieszek między nogami od nasienia, postanowił pozbyć się jednego i drugiego w zmysłowo sennej atmosferze Domu Jaśminu.

Tam, miotany przez odpływy rozsądku i przyływy chuci, na domiar zgubił serce.

Być może na zewnątrz tego nie widać, ale Dworem Kwiatów Rozkwitających Nocą, przez wszystkich prócz wieśniaków zwanym Dworem Nocy, rządzą surowe prawa i ścisłe zasady. Musi tak być, bo służymy – dziwne, że wciąż tak mówię – nie tylko Naamie, lecz również wielkim izbom parlamentu, potomkom Elui i jego Towarzyszy, a czasami nawet samej rodzinie królewskiej. Szczerze mówiąc, obsługiwaliliśmy jej synów i córki częściej, niż skłonni byliby przyznać.

Ludzie z zewnątrz mówią, że adepci są krzyżowani jak inwentarz, aby płodzić dzieci, które odpowiadają kanonowi danego Domu. Prawda wygląda inaczej, a przynajmniej nie gorzej niż w przypadku małżeństw aranżowanych z powodów politycznych lub finansowych. Rzeczywiście, jesteśmy kojarzeni z uwagi na estetykę, ale jak tylko sięgam pamięcią, nikt nie został zmuszony do związania się z osobą, która budziłaby w nim wstręt. Coś takiego byłoby pogwałceniem przykazań Błogosławionego Elui.

Z drugiej strony, nie da się ukryć, że moi rodzice byli źle dobrani, i kiedy Pierre Cantrel poprosił o rękę Liliany, duejn Domu Jaśminu nie wyraził zgody. Nic dziwnego, bo moja matka idealnie odpowiadała kanonowi Domu: skóra barwy miodu, hebanowe włosy, duże ciemne oczy, błyszczące niczym czarne perły. Mój ojciec, niestety, miał bledszą karnację, włosy jak len i oczy w kolorze ciemnego błękitu. Czy ktoś mógłby przewidzieć, co będzie owocem ich związku?

Jestem żywym dowodem słuszności zastrzeżeń duejna. Nigdy się tego nie wypierałam.

Ponieważ ojciec nie mógł poślubić swej wybranki zgodnie z dekretem Dworu Nocy, moja matka uciekła. Miała prawo, gdyż ukończyła swoją markę w wieku dziewiętnastu lat. Uciekli razem, mając podzwaniającą sakiewkę Pierre'a, błogosławieństwo jego ojca oraz wiano, jakie matka uskładała po zrobieniu marki.

Nie widziałam ich odkąd skończyłam cztery lata, nie mogłam więc zapytać, ale jestem pewna, iż oboje wierzyli, że moja matka urodzi idealne dziecko, prawdziwy skarb Domu, który duejn przyjmie z otwartymi ramionami. Byłabym rozpieszczana i wychowywana w miłości do Błogosławionego Elui oraz przygotowywana do służby Naamie, a po zrobieniu marki Dom wypłacałby dziesięcinę moim rodzicom. Jestem przekonana, że byli tego pewni.

Brak wątpliwości to przyjemne marzenie.

Dwór Nocy nie jest przesadnie bezwzględny i Dom Jaśminu przyjął matkę pod swój dach, kiedy zbliżał się termin rozwiązania. Wyszła za mąż bez zgody duejna, dlatego jej mąż nie mógł liczyć na wsparcie finansowe, ale samo małżeństwo zostało uhonorowane, bo zawarli je przed obliczem jakiegoś wiejskiego kapłana Elui. Normalną kolejną rzeczą, jeśli moja prezencja i charakter pasowałyby do kanonu tego Domu, przyjęto by mnie na wychowankę; gdyby duejn innego Domu uznał, że spełniam ich wymagania, pokryłby koszty mojego wychowania i adoptował mnie formalnie w wieku dziesięciu lat. W obu przypadkach, o ile decyzja należałaby do niej, matka oddałaby się szkoleniu adeptów i pobierała pensję w zamian za moją markę. Ponieważ trzos mojego ojca nie był bezdenny, z

pewnością wybrałaby takie rozwiązanie.

Niestety, gdy stało się jasne, że szkarłatna plamka w moim oku jest cechą stałą, duejn nakreślił granice. Miałam skazę. Wśród wszystkich Trzynastu Domów nie było ani jednego, którego kanon dopuszczałoby tego rodzaju wadę. Oświadczył, że Dom Jaśminu nie wychowa mnie na swój koszt. Gdyby Liliana chciała zostać, musiałyby służyć na ołtarzu Naamy, żeby zarobić na nasze utrzymanie.

Mój ojciec miał niewiele zalet, ale za to dumą i namiętnością nadrabiał wszystkie braki. Wziął moją matkę za żonę i nie dopuszczał do siebie myśli, że mogłaby służyć również komuś innemu. Zwrócił się więc do swojego ojca z prośbą o powierzenie mu pieczy nad karawaną handlową, która udawała się do Caerdicca Unitas, po czym zabrał matkę i mnie, wówczas dwuletnie dziecko, na poszukiwanie szczęścia.

Nic dziwnego, że po długiej i uciążliwej podróży, w trakcie której musiał układać się ze zbójcami i najemnikami – którzy się niewiele różnili, odkąd Tyberium upadło i drogi przestały być bezpieczne – handel nie przyniósł mu zysku. Caerdicci już nie władają cesarstwem, ale są obrotnymi kupcami.

Przeznaczenie odnalazło nas dwa lata później, zmęczonych podróżą i bez grosza przy duszy. Oczywiście niewiele pamiętam z tego okresu. Najlepiej zapisała mi się w pamięci droga, jej barwy i zapachy, i najemnik, który wziął na siebie ochronę mojej małej osóbki. Należał do plemienia Skaldów z północy, był większy od wołu i brzydki jak grzech śmiertelny. Lubiłam ciągnąć go za wąsy, zwisające po obu stronach ust; uśmiechał się wtedy, a ja chichotałam z zachwytu. Opowiedział mi, w uniwersalnym języku gestów, że ma żonę i córeczkę w moim wieku, i że bardzo mu ich brakuje. Kiedy drogi najemników i

karawany się rozeszły, tęskniłam za nim jeszcze przez wiele miesięcy.

Co do moich rodziców, to pamiętam tylko, że zawsze byli zajęci sobą i bardzo zakochani, nie poświęcając mi ani czasu, ani zbytnej uwagi. W drodze ojciec miał pełne ręce roboty, ochraniając cnotę swojej małżonki. Kiedy wychodziło na jaw, że moja matka nosi markę Naamy, codziennie padały propozycje, niektóre składane na ostrzu noża. Ale Pierre zdołał ochronić ją przed wszystkimi – z wyjątkiem siebie. Kiedy wróciliśmy do Miasta, jej brzuch zaczynał pęcznieć.

Ojciec, niezrażony pierwszą porażką, miał czelność błagać swojego ojca o drugą szansę, tłumacząc się, że podróż trwała zbyt długo, karawana była źle wyposażona, a on sam jeszcze nie miał doświadczenia w rzemiośle kupieckim. Tym razem, przysiągł, będzie inaczej. I tym razem mój dziadek, baron kupiecki, postawił warunek. Owszem, da drugą szansę moim rodzicom, ale pieniądze na towar muszą wyłożyć z własnej kieszeni.

Czy mieli inne wyjście? Nie, jak przypuszczam. Poza talentem mojej matki, którym nie mogła kupczyć, stanowiłam ich jedyny majątek. Na ich korzyść przemawia fakt, że wzdragali się sprzedać mnie na wolnym rynku. W końcu i tak miało do tego dojść, ale wątpię, czy któreś z nich spoglądało tak daleko w przyszłość. Nie, zamiast tego moja matka, którą ostatecznie muszę za to błogosławić, zebrała się na odwagę i wybłagała posłuchanie u duejny Domu Cereusa.

Wśród Trzynastu Domów Kwitnący w Nocy Cereus jest i zawsze był pierwszym. Został założony przez Enediela Vintesoira jakieś sześćset lat temu i dał początek właściwemu Dworowi Nocy. Od czasów Vintesoira duejnowie Domu Cereusa reprezentowali Dwór w sądzie miejskim; podobno też wielu z

nich cieszyło się zaufaniem królów i królowych.

Może to prawda; z tego, co mi wiadomo, to całkiem możliwe. Za życia założyciela Dom Cereusa służył tylko Naamie i potomkom Elui. Od tamtych czasów, choć dwór królewski nie stracił na znaczeniu, za sprawą rozwoju handlu klientela stała się bardziej mieszczańska – *vide* mój ojciec. Ale w powszechnym mniemaniu osoba kierująca Domem Cereusa wciąż była ważną osobistością.

Jak wszystkim wiadomo, piękno porusza najbardziej wtedy, kiedy zawisa nad nim zimna ręka Śmierci, grożąc rychłym unicestwieniem. U podstaw sławy Domu Cereusa leżała świadomość kruchości i przemijania istnienia. W duejnie tego domu każdy mógł dostrzec echo piękna, którym zniewalała w swoich najlepszych latach; przypominała zasuszony kwiat włożony między kartki książki, cieszący oko dawnym kształtem, choć pozbawiony esencji zapachu. Normalną koleją rzeczy, kiedy piękno przemija, kwiat skłania głowę na łożyzce i obumiera, ale czasami po opadnięciu płatków odsłania się szkielet z hartowanej stali.

Taka była Miriam Bouscerye, duejna Domu Cereusa. Skórę miała cienką i delikatną jak pergamin, włosy przyprószone siwizną, ale te oczy... Siedziała na krześle nieruchomo, prosta jak siedemnastolatka, a jej oczy, szare jak stal, przypominały świdry.

Pamiętam, jak stałam na marmurowych płytach dziedzińca, trzymając za rękę matkę, która rwącym się głosem wypowiadała swoją prośbę. Wspomniała o narodzinach prawdziwej miłości, ucieczce, wyroku jej duejna, handlowej porażce i warunku mojego dziadka. Pamiętam, jak miłością i podziwem mówiła o moim ojcu, przekonana, że następna wyprawa przyniesie mu fortunę. Pamiętam, jak śmiałym, choć drżącym głosem

powoływała się na lata swojej służby, na przykazanie Błogosławionego Elui: “Kochaj, jak wola twoja”. Pamiętam też, jak źródło jej głosu wyschło, a duejna poruszyła ręką. Nie uniosła jej, niezupełnie; może tylko dwa palce, ciężkie od pierścieni.

– Przyrowadź dziecko.

Zbliżyłyśmy się do jej krzesła, moja matka cała roztrzęsiona, ja zaś dziwnie spokojna; dzieci często zaczynają się bać dopiero w ostatniej chwili. Duejna upierścienionym palcem uniosła moją brodę i uważnie przyjrzała się mej twarzy.

Czyżby cień niepewności przemknął po jej obliczu, kiedy zatrzymała spojrzenie na szkarłatnej plamce w lewym oku? Nawet dziś nie jestem tego pewna, ale jeśli rzeczywiście odczuła wahanie, to szybko się go wyzbyła. Cofnęła rękę i spojrzała na moją matkę, surowo i rozkazująco.

– Jehan powiedział prawdę – rzekła. – Mała nie nadaje się do służby w Trzynastu Domach. Jest jednak urodziwa, a po wychowaniu w Dworze jej cena powinna być dość wysoka. W uznaniu za lata twojej służby wysunę taką oto propozycję.

Duejna podała cyfrę, a ja poczułam, jak ekscytacja wprawia matkę w drzenie. To drzenie stanowiło o jej uroku.

– Łaskawa pani... – zaczęła.

Patrząc na matkę wzrokiem jastrzębia, sędziwa duejna przerwała jej ruchem dłoni.

– Są warunki – powiedziała bezlitosnym tonem. – Nikomu nie powiesz i nie osiedlisz się w Mieście. W oczach świata dziecko, które urodzisz za cztery miesiące, będzie twoim pierwszym. Nie chcemy, żeby mówiono, iż Dom Cereusa przychodzi w sukurs niechcianemu bękartowi dziwki.

Usłyszałam, jak matka wciąga powietrze, i zobaczyłam, że oczy starej kobiety zmrużyły się z satysfakcji. Oto, kim jestem,

pomyślałam; niechcianym bękartem dziwki.

– Ona nie jest... – zaczęła matka drżącym głosem.

– Taka jest moja propozycja. – Stara duejna była nieubłagana. Ona sprzeda mnie tej okrutnej starej kobiecie, pomyślałam, spodziewając się miłego dreszczyku przerażenia. Już wtedy, jeszcze nieświadoma, uważałam strach za podniecający. – Wychowam tę dziewczynkę jak własną, dopóki nie skończy dziesięciu lat. Rozwiniemy jej zdolności. Jej cena wzbudzi szacunek. Tyle mogę obiecać, Liliano. Czy ty możesz dać jej równie wiele?

Moja matka stała, trzymając mnie za rękę, i patrzyła na mnie. Tak ją zapamiętałam. Spojrzenie jej dużych, ciemnych, roziskrzonych oczu długo błędziło po mojej twarzy, by w końcu spocząć na lewym oku. Czułam, jak walczy z przenikającym ją dreszczem.

– Weź ją więc. – Puściła moją rękę i pchnęła mnie mocno.

Potknęłam się, upadłam na krzesło duejny, która wyciągnęła rękę i szarpnęła jedwabny sznur dzwonka. W dali zadzwoniły srebrne dzwoneczki. Zza parawanu niepostrzeżenie wysunęła się adeptka, która pociągnęła mnie za rękę i podniosła bez wysiłku. Obejrzałam się, chcąc ostatni raz popatrzeć na matkę, ale stała odwrócona tyłem; widziałam tylko plecy wstrząsane bezgłośnym płaczem. Słońce, które wpadało przez wysokie okna, rozpalalo błękitne błyski w hebanowej rzece jej włosów.

– Chodź – powiedziała adeptka kojącym tonem, chłodnym i perlistym jak płynąca woda. Z ufnością spojrzałam w górę. Była nieodrodnym dzieckiem Domu Cereusa, bladym i nieskazitelnie pięknym. Weszłam do innego świata.

Czy więc może dziwić, że stałam się tym, kim jestem? Delaunay twierdził, że to zawsze było moim przeznaczeniem, i

być może miał rację, ale ja znam prawdę: kiedy Miłość mnie odrzuciła, ulitowało się nade mną Okrucieństwo.

DWA

Pamiętam chwilę, w której odkryłam ból.

Moje życie w Domu Cereusa szybko wpadło w niezmienny, nieprzerwany rytm. Nas, dzieci, było tam pięcioro. Dzieliłam pokój z dwiema dziewczynkami, delikatnymi i kruchymi niczym figurki z wyjątkowo pięknej porcelany. Starsza, siedmioletnia Julietta miała włosy barwy mosiądzu, dlatego przypuszczano, że jej markę kupi Dom Dalii. Cechowała ją powaga i pełne rezerwy zachowanie, nadawała się więc do służby w tym Domu.

Młodsza, Ellyn, miała pozostać w Domu Cereusa, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Miała eteryczną urodę i bladą karnację, a skórę tak cieką, że przez zamknięte powieki, gdy rzęsy łamały się niczym fale na delikatnych policzkach, niemalże było widać oczy.

Miałam z nimi niewiele wspólnego.

Z pozostałymi też nie – ani ze ślicznym Etiennem o jasnozłoty lokach cherubina przyrodnim bratem Ellyn, ani z Calantią, mimo jej wesołego śmiechu. W przeciwieństwie do mnie znali już swoją wartość i mieli zapewnioną przyszłość; urodzili się z usankcjonowanych związków i byli przeznaczeni jeśli nie dla tego, to dla innego Domu.

Nie sądzcie jednak, że żyłam w żalu. Mijały kolejne lata, przyjemne i nie stawiające wymagań, spędzane w towarzystwie wielu osób. Adeptci byli mili i na zmianę uczyli nas poezji, śpiewu i gry na instrumentach, a także nalewania wina, przygotowywania komnaty sypialnej oraz pełnienia roli

ślicznych ozdóbek przy stole. Mnie też wolno było to robić, pod warunkiem, że zawsze miałam spuszczone wzrok.

Byłam tym, czym byłam: niechcianym bękartem dziwki. Jeśli brzmi to brutalnie, musicie również zrozumieć, czego ja nauczyłam się w Domu Cereusa: Błogosławiony Elua kochał mnie mimo wszystko. Ostatecznie, kim był on sam, jeśli nie niechcianym bękartem dziwki? Moi zapatrzeni w siebie rodzice nie zadali sobie trudu, żeby zaznajomić mnie z podstawami wiary. W Domu Cereusa nawet dzieci korzystały z dobrodziejstwa nauk kapłana.

Brat Louvel przychodził co tydzień, siadał wśród nas ze skrzyżowanymi nogami i dzielił się z nami naukami Elui. Kochałam go, ponieważ wyglądał pięknie z włosami splecionymi w jedwabisty warkocz i oczami koloru głębi oceanu. Co więcej, był adeptem Domu Gencjany, dopóki jakiś klient nie kupił jego marki i nie uwolnił go, pozwalając mu ścigać mistyczne marzenia. Jedno z nich polegało na uczeniu dzieci. Brał nas na kolana, po jednym albo po dwoje na raz, i głosem marzyciela snuł stare opowieści.

Tak oto, kołysana na kolanie byłego adepta, poznałam tajemnicę poczęcia Błogosławionego Elui. Brat Louvel opowiedział, jak Jezua ben Josef zmarł na krzyżu, jak tyberyjski żołnierz przebił włócznią jego bok, jak po zdjęciu z krzyża kobiety lamentowały, a Magdalena najbardziej, okrywając powodzią złotych włosów nieruchome, nagie ciało. Jak gorzkie, słone łzy Magdaleny spadły na ziemię, wilgotną od przelanej krwi Mesjasza.

I jak z tego związku rozpaczająca Ziemia wydała najcenniejszego syna, Błogosławionego Eluę, najukochańszego z aniołów.

Słuchałam jak urzeczona, z bezgraniczną dziecięcą fascynacją, gdy brat Louvel opowiadał nam o wędrowce Elui. Odrzucony przez Jeszuitów jako obraza boska, napiętnowany przez Tyberium jako potomek nieprzyjaciela, Elua wędrował przez rozległe pustynie i dzikie krainy. Wzgardzony przez Boga Jedynego, choć został splodzony przez Jego syna, stąpał bosymi stopami po łonie swojej matki Ziemi i wędrował ze śpiewem, a wszędzie za nim rozkwitały kwiaty.

Został pojmany w Persji i król kazał go zakuć w łańcuchy, on jednak tylko się uśmiechnął, a girlandy winnej latorośli oplotły jego celę. Opowieść o wędrowce Elui dotarła do Nieba i kiedy został uwięziony, wśród aniołów znaleźli się tacy, którzy nie pozostali bezczynni. Postanowili zlekceważyć wolę Boga Jedynego i zstąpili na ziemię w starożytnej Persji.

Jednym z aniołów była Naama, starsza siostra, która poszła z uśmiechem do króla i ze spuszczonego wzrokiem zaproponowała siebie w zamian za wolność Elui. Urzeczony jej urodą król wyraził zgodę; do dziś dnia opowiada się o Królewskiej Nocy Rozkoszy. Rankiem otworzono drzwi celi, z których najpierw wylała się woń kwiatów, a potem wyłonił się sam Elua, ze śpiewem i w koronie z winorośli.

Dlatego, wyjaśnił brat Louvel, czcimy Naamę i z ufnością wstępujemy do jej służby. Później król zdradził Eluę i wszystkich jego wyznawców. Dał im do picia mocne wino zaprawione walerianą, a kiedy posnęli, kazał wrzucić ich do łodzi bez żagli i wypchnąć na pełne morze. Elua zbudził się i zaśpiewał, a wówczas stworzenia z głębin odpowiedziały i przeprowadziły łódź bezpiecznie przez morze.

Łódź dobiła do brzegu w Bodistanie i Elua podjął wędrowkę. Naama oraz inni aniołowie podążali za nim, nie wiedząc albo nie

dbając, że spoczywa na nich oko Boga Jedyne. Szli ze śpiewem i wplatali we włosy kwiaty, które wyrastały na śladach stóp Elui. W Bodistanie mieszka starożytny lud, wyznający licznych bogów, na przemian groźnych i pełnych współczucia. Wyznawcy bali się od nich odwrócić, dostrzegli jednak światło w Błogosławionym Elui i nie wyrządzili krzywdy ani jemu, ani tym, którzy za nim podążali. Tak więc Elua wędrował ze śpiewem na ustach, a ludzie na jego widok kreślili znak pokoju i odwracali się. Kiedy zgłodniał, Naama szła na targ i kładła się z nieznajomymi za monetę.

Z Bodistanu Elua ruszył na północ i długo szedł przez nieprzyjazne, kamieniste ziemie. Zginąłby niechybnie, gdyby nie usługiwali mu aniołowie i ziemskie stworzenia. Uwielbiałam te historie, na przykład o Orle z Przełęczu Tiroc, który co rano szybował ponad turniami i lodowcami, a potem opadał nisko nad głowę Elui i wrzucał mu w usta jagody.

W ciemnych skaldyjskich puszczech kruki i wilki były jego przyjaciółmi, bo tamtejsi mieszkańcy nie chcieli go słuchać, tylko potrząsali straszliwymi toporami i wzywali swoich bogów, rozmiłowanych we krwi i żelazie. Wędrował więc dalej, a przebiśniegi wystawiały główki nad zaspy, po których przechodził.

Wreszcie dotarł do Terre d'Ange, jeszcze nienazwanej, bogatej i pięknej krainy oliwek, winogron i melonów rosnących wśród wonnych chmur lawendy. Tutaj ludzie witali go serdecznie i śpiewali razem z nim, gdy przemierzał pola.

Takie są dzieje Elui i Terre d'Ange, mojej ojczyzny i kraju mojej duszy. Przez sześćdziesiąt lat Błogosławiony Elua mieszkał tutaj wraz ze swoimi pierwszymi wyznawcami: Naamą, Anaelem, Azą, Szamchazaj, Kamaelem, Kasjelem, Ejszet i

Kuszielem. Siedmioro z nich wypełniało jego przykazanie, które moja matka przytoczyła w rozmowie z duejną: “Kochaj, jak wola twoja.” W ten oto sposób Terre d’Ange stała się tym, czym jest, a świat poznał piękno D’Angelinów zrodzonych z nasienia Błogosławionego Elui oraz tych, którzy za nim podążali. Jedynie Kasjel pozostał wierny przykazaniom Boga Jedynego i wyrzekł się miłości ziemskiej na rzecz miłości boskiej, ale na zawsze pozostał jako brat u boku Elui, który poruszył jego serce.

W tym czasie, jak powiedział brat Louvel, Bóg Jedyne rozpaczał nad śmiercią syna, Jeszui ben Josefa, i przeklinał swój naród wybrany. Czas bogów płynie inaczej niż nasz, trzy pokolenia mogą narodzić się i umrzeć pomiędzy jedną myślą a drugą. Kiedy wreszcie Bóg Jedyne usłyszał pieśni D’Angelinów, zwrócił oko na Terre d’Ange, na Eluę oraz tych, którzy uciekli z Nieba i towarzyszyli mu w wędrówkach. Kazał przywódcy zastępów niebieskich sprowadzić ich z powrotem i postawić Eluę przed swoim tronem. Elua z uśmiechem powitał wysłannika, obdarzył go pocałunkiem pokoju, włożył mu na szyję wieńce z kwiatów i napełnił jego kielich słodkim winem. Boski wysłannik powrócił do Nieba ze wstydem i pustymi rękami.

Wtedy Bóg Jedyne pojął, że nie ma władzy nad Elua, w którego żyłach płynęło czerwone wino matki Ziemi i łzy Magdaleny. A jednak, choć Elua był śmiertelnikiem, Bóg Jedyne po długim namyśle posłał do niego nie anioła śmierci, lecz swojego archanioła. “Gdy zostaniesz tutaj i będziesz kochać, jak wola twoja, twoje potomstwo zawładnie ziemią” – powiedział herold Boga Jedynego. “A tak być nie może. Pójdź w pokoju przed oblicze swego Boga i Pana, a wszystko zostanie ci wybaczone”.

Brat Louvel umiał opowiadać, miał melodyjny głos i wiedział, kiedy go zawieszać. Wstrzymaliśmy oddech. Co zrobił Elua?

Siedzieliśmy jak na szpilkach, czekając na następne słowa.

Oto, co nam powiedział: Błogosławiony Elua uśmiechnął się do archanioła, po czym odwrócił się do swojego serdecznego przyjaciela Kasjela i wyciągnął rękę po jego nóż. Przyłożył czubek do dłoni i rozciął skórę. Krople jasnej krwi spadły na ziemię i wyrosły z nich anemony. “Niebo mojego dziadka jest bezkrwiste” – powiedział Elua do wysłannika Boga Jedynego. “W przeciwieństwie do mnie. Niech wskaże mi jakieś lepsze miejsce, gdzie będziemy mogli kochać, śpiewać i starzeć się wedle woli, gdzie z czasem dołączą do nas nasze dzieci i dzieci naszych dzieci, a wtedy pójdę”.

Archanioł milczał, czekając na odpowiedź Boga Jedynego.

“Nie ma takiego miejsca” – odparł wreszcie.

Po tych słowach, powiedział nam brat Louvel, stała się rzecz niesłychana: nasza matka Ziemia przemówiła do byłego męża, Boga Jedynego, i rzekła: “Możemy je stworzyć, ty i ja”.

Tak oto powstała prawdziwa Terre d’Ange, która leży poza zasięgiem zmysłów śmiertelników. Jej bramę możemy przestąpić dopiero po przekroczeniu tej mrocznej, przez którą opuszczamy świat doczesny. Tylko Błogosławiony Elua oraz ci, którzy za nim podążali, weszli od razu w jasną bramę, za którą leży wspaniała kraina. Ale naszą ziemię Elua umiłował najpierw, dlatego nazwaliśmy ją po tamtej, z dumą i miłością oddając cześć Błogosławionemu.

W dniu, w którym skończył opowiadać *Cykl Eluański*, brat Louvel przyniósł bukietki anemonów, po jednym dla każdego. Długimi szpilkami przypięliśmy kwiaty do ubrania na piersi. Wszystkie miały soczysty czerwony kolor i uznałam, że są symbolem prawdziwej miłości, ale brat Louvel wyjaśnił, że są znakiem śmiertelnej krwi Elui wylanej z miłości do ziemi i ludu

D'Angelinów.

Po lekcjach spacerowałam po ogrodach Domu Cereusa, rozpamiętując słowa opowieści. Miałam wtedy siedem lat i pamiętam, że byłam niezmiernie dumna z anemonów przypiętych do stanika sukienki.

Zawsze lubiłam zachodzić do antykamery przy salonie, gdzie adepci czekali na wezwanie, by zaprezentować się klientom. Podobała mi się panująca tam atmosfera niecierpliwości i subtelnego napięcia, z jakim adepci przygotowywali się do rywalizacji o względy klientów. Oficjalnie konkurencja była zabroniona, bo taki pokaz przyziemnych emocji szkodziłby reputacji Domu, niemniej jednak istniała. W Domu krążyły barwne opowieści o zamianie perfum we flakoniku na kocie siki, o wystrzępionych wstążkach, o przeciętych fiszbinach w gorsecie, o nadpiłowanym obcasie pantofelka. Nigdy nie spotkałam się z takimi przejawami złośliwości, ale prawdopodobieństwo ich wystąpienia zawsze wisiało w powietrzu.

Tego dnia w antykamerze czekało tylko dwoje adeptów, wskazanych imiennie przez klientów. Usiadłam cicho w kąciку przy małej fontannie i zaczęłam fantazjować, że sama jestem adeptką, z niezmaconym spokojem czekającą na wezwanie... lecz gdy tylko wyobraziłam sobie, że oddaję się klientowi, opadło mnie wielkie podniecenie. Według brata Louvela duch Naamy, gdy kładła się z królem Persji i z nieznajomymi na targu, był przepełniony mistyczną czystością.

Tak mówią w Domu Gencjany; w Smagliczce utrzymują, że podobno z płaczem wyzbyła się skromności, a w Melisie sądzą, że kierowała się współczuciem. Według Przystępu Naama zrobiła dobry interes. W Kamelii powiadają, że jej kunszt oślepił króla

Persji na dwa tygodnie i dlatego ją zdradził, owładnięty bezrozumnym strachem. W Dalii twierdzą, że obdarzała względami jak królowa, podczas gdy zdaniem Heliotropu pławiła się w miłości jak w słońcu, które z jednakową łaskawością świeci na królewski pałac i na kupę gnoju. Dom Jaśminu, z którego się wywodzę, uważa, że Naama robiła to dla przyjemności, a Orchidea, że dla zabawy. Dzika Róża jest przekonana, że czarowała wszystkich słodyczą swojego śpiewu. Nie wiem, w co wierzą w Walerianie, bo niewiele było nam wiadomo o dwóch Domach, które zaspokajały bardziej wyrafinowane gusta, ale kiedyś słyszałam, że wedle Mandragory Naama traktowała swoich klientów jak ofiary: chłostała ich dla przyjemności, pozostawiając zaspokojonych i ledwo żywych.

Wiem o tym wszystkim z zasłyszanych rozmów, bo adepci często się zastanawiali, do którego Domu trafiłabym, gdybym nie miała skazy. Wyliczali wymagania stawiane przez różne Domy i roztrząsali cechy mojego charakteru, próbując dopasować mnie do któregoś z nich. Jak każde dziecko, miałam zmienne usposobienie i nie byłam na tyle skromna, wesoła, wyniosła, sprytna czy poważna, by jednoznacznie pasować do któregoś Domu; nie miałam też, jak się wydawało, wielkiego talentu do poezji czy pieśni. Snuli więc domysły, nie znajdując odpowiedzi aż do tego dnia, który zadecydował o mojej przyszłości.

Bukieciak anemonów od brata Louvela rozsypał się i wyciągnęłam szpilkę, żeby z powrotem ułożyć kwiaty. Szpilka była długa i ostra, wyjątkowo lśniąca, z okrągłą główką z macicy perłowej. Siedziałam przy fontannie i podziwiałam ją, zapomniawszy o anemonach. Rozmyślałam o bracie Louvelu i jego urodzie, i o tym, jak się mu oddam, kiedy zostanę kobietą. Rozmyślałam o Błogosławionym Elui i jego długiej wędrówce, o

jego zaskakującym postępkowi w odpowiedzi na wezwanie Boga Jedyne. Kto wie, może krew, którą przelał, płynęła w moich żyłach? Postanowiłam to sprawdzić. Odwróciłam lewą rękę wnętrzem dłoni do góry, prawą mocno złapałam szpilkę i wbiłam ją w ciało.

Czubek wniknął ze zdumiewającą łatwością. Przez sekundę nic nie czułam, a potem wokół szpilki rozkwitł ból, jak anemon. Moja ręka zaśpiewała z cierpienia, nerwy zadygotały. Było to nieznanne uczucie, jednocześnie złe i dobre, strasznie dobre, jak wtedy, kiedy myślałam o Naamie kładącej się z nieznanymi, tylko lepsze, znacznie lepsze. Wyciągnęłam szpilkę i z fascynacją patrzyłam, jak krew wzbiera w maleńkiej ranie, szkarłatna perełka dopasowana barwą do plamki w moim oku.

Nie wiedziałam wtedy, że któryś z adeptów widział moje doświadczenie i posłał sługę do duejny. Zahipnotyzowana bólem i strumyczkiem własnej krwi, zauważyłam ją dopiero wtedy, gdy padł na mnie jej cień.

– Aha – mruknęła i zamknęła starczy szpon na moim lewym nadgarstku. Szpilka wypadła mi z ręki i serce załomotało z rozkosznego strachu. Jej świdrujące spojrzenie przewierciło moje oczy i znalazło w nich zaprawioną bólem przyjemność. – Czyżbyś więc nadawała się do Domu Waleriany? – W jej głosie pobrzmiwała ponura satysfakcja; zagadka została rozwiązana. – Wyślij posłańca do duejna z wieścią, że mamy tu kogoś, kto może odnieść korzyść z nauk doznawania bólu. – Szare jak stal oczy jeszcze raz omiotły moją twarz, spoczęły na lewym oku. – Nie, czekaj.– Jakiś grymas przemknął po jej obliczu; może rozterka, nie pamiętam. Puściła moją rękę i odwróciła się. – Poślij po Anafiela Delaunaya. Powiedz mu, że mamy coś ciekawego do pokazania.

TRZY

Dlaczego uciekłam w przeddzień spotkania z Anafielem Delaunayem, będącym niegdyś osobą wpływową na dworze – na królewskim dworze – i potencjalnym kupcem mojej marki?

Szczerze mówiąc, nie wiem. Wiem tylko, że zawsze tkwiło we mnie coś, co kazało mi ryzykować i z jakiegoś powodu pchało ku niebezpieczeństwu; może dla dreszczyku emocji, może z uwagi na możliwe reperkusje – kto wie? W każdym razie jedna z dziewcząt podkuchennych pokazała mi w ogrodzie za kuchniami wysoką gruszę, po której można się było wspiąć na mur.

Wiedziałam, że spotkanie zostało umówione, bo poprzedniego dnia duejna uprzedziła mnie o przygotowaniach. Adepci poszeptywali, że zostanę uszykowana jak dla księcia; wykąpana, uczesana i ubrana w piękną sukienkę.

Oczywiście, nikt mi nie powiedział, kim jest Anafiel Delaunay ani dlaczego powinnam się cieszyć, że przyjdzie mnie obejrzyć. W gruncie rzeczy byłabym bardzo zdziwiona, gdyby okazało się, że ktoś w Domu Cereusa znał całą prawdę. Duejna wymawiała jego imię lekko przyciszonym głosem, a adepci mogli tylko snuć domysły.

Tak oto, zdjęta grozą, uciekłam.

Gdy zakasałam spódnicę i wetknęłam jej rąbek za pasek, pokonanie gruszy okazało się dość łatwe i bez przeszkód zeskoczyłam po drugiej stronie muru. Mur zapewnia dyskrecję, i Dom Cereusa, stojący na szczycie wzgórza nad Miastem Elui, niczym prócz aromatu ogrodów nie różni się od innych

posiadłości, które leżą niżej na zboczach. Podobnie jak inne Domy, ma nierzucające się w oczy godło na bramie, z której korzystają klienci. Trzy lata spędziłam w jego murach; teraz szeroko otworzyłam oczy na widok leżącej przede mną niecki Miasta, okolonej przez łagodne wzgórza i rozciętej szeroką rzeką. Tam, pomyślałam, patrząc na budowlę lśniącą w promieniach słońca, musi być pałac królewski.

Obok mnie przejechał powóz z zaciągniętymi w oknach zasłonkami. Stangret obrzucił mnie szybkim i uważnym spojrzeniem. Wiedziałam, że jeśli nie ruszę się z miejsca, prędzej czy później ktoś zwróci uwagę na samotną, małą dziewczynkę w sukience z adamaszku, ze wstążkami w ciemnych lokach. Jeśli ktoś powiadomi duejnę, strażnicy w jednej chwili wypadną za bramę i zaprowadzą mnie z powrotem do Domu.

Co zrobił Elua, niechciany syn Magdaleny? Wędrował po świecie. Postanowiłam pójść w jego ślady. Ruszyłam w dół wzgórza.

Im bardziej zbliżałam się do miasta, tym odleglejsze mi się ono wydawało. Szerokie, wdzięcznie skręcające aleje z drzewami i imponującymi bramami ustępowały powoli węższym, równie krętym uliczkom. Było tam pełno ludzi, z reguły biedniejszych od tych, których widywałam w Domu Cereusa. Nie wiedziałam wtedy, że pod Mont Nuit, gdzie stało Trzynaście Domów, rozlokowały się mniej wykwintne przybytki: kawiarnie odwiedzane przez poetów i szlachetnie urodzonych panów o wątpliwej reputacji, ogólnodostępne zamtuzy, spelunki artystów, podejrzane apteki i kramy wróżbitów. Później się dowiedziałam, że to sąsiedztwo dodawało pikanterii wyprawom do Nocnego Dworu.

Był późny ranek. Stałam na skraju ulicy, przytłoczona hałasem

i ruchem. Nade mną jakaś kobieta wychyliła się przez balustradę balkonu i wylała wodę z miski na ulicę. Woda rozbryznięła się u moich stóp; odskoczyłam i patrzyłam, jak spływa w strumyczkach pomiędzy kocimi łbami. Jakiś jegomość wybiegł z bramy, wpadł na mnie i zaklął.

– Uważaj, dziecko! – zawołał opryskliwie. Oddalił się pospiesznie, jego pantofle wystukiwały gniewny rytm na kamieniach. Zauważyłam, że spodnie miał pogniecione i rozpięte, jakby wciągnął je w pośpiechu, a kaptur opończy wywrócony na lewą stronę. Z Domu Cereusa klienci wychodzili wypoczęci i odświeżeni, po wypiciu kieliszka wina lub likieru, ale też żaden z nich nie przychodził w ubraniu z barchanu.

Za rogiem rozpościerał się niewielki plac, przyjemnie ocieniony drzewami, z fontanną pośrodku; był dzień targowy i krzyki handlarzy dźwięczały w uszach. Uciekłam bez prowiantu, kiedy więc zobaczyłam i poczułam zapach jedzenia, żołądek natychmiast przypomniał mi o swoich prawach. Przystanęłam przy kramie z łakociami, zastanawiając się nad konfiturami i marcepanem; bezmyślnie wzięłam cukierek z pastą migdałową.

– Dotknęłaś, więc musisz kupić! – Głos handlarki ostro zadzwonił mi w uchu. Przestraszona, puściłam cukierek i uniosłam głowę.

Przez sekundę spoglądała na mnie gniewnie, rumiana, puciołowata, krzepka wiejska piękność, utuczona słodyczami, których zbyt często musiała kosztować. Patrzyłam na nią z drżeniem, ale po chwili strach osłabł, bo dostrzegłam w jej wielkim ciele dobrotliwe serce.

A potem zobaczyła moje oczy, i jej twarz się zmieniła.

– Diabelski pomiot! – Uniosła rękę, wielką jak bochen chleba, i wycelowała we mnie pulchny palec. – Patrzcie na to dziecko!

Nikt mi nie powiedział, że ludzie mieszkający u podnóża Mont Nuit są nadzwyczajnie przesądni. Przekupnie zaczęli się odwracać i wyciągać ręce, żeby mnie złapać. Zdjęta strachem, rzuciłam się do ucieczki. Na nieszczęście stragan z brzoskwiniami zagroził mi drogę. Pośliznęłam się na zrzuconych owocach i rozciągnęłam jak długa pod markizą kramu. Coś mlasnęło nieprzyjemnie pod moim lewym łokciem, zapach przejrzałych brzoskwiń spowił mnie jak trujące wyziewy. Słyszałam gniewny ryk handlarza, który sunął wokół rumowiska w moją stronę.

– Psst! – Pod innym kramem dostrzegłam drobną, smagłą buzię. Chłopiec, mniej więcej w moim wieku, pokazywał w uśmiechu lśniące białe zęby i przywoływał mnie brudną ręką.

Czołgałam się jak szalona po zasłanej owocami ziemi; szew puścił na plecach mojej sukienki, gdy z determinacją wyrwałam się komuś, kto chciał mnie zatrzymać. Mój młodociany zbawca, nie tracąc czasu, popchnął mnie przed sobą i razem pędziliśmy na czworakach pod ustawionymi w rzędach straganami. Czułam szum krwi w uszach, w żyłach, a kiedy wydostaliśmy się z rynku i co sił w nogach rzuciliśmy do ucieczki, serce omal nie wyskoczyło mi z piersi.

Ścigało nas kilku młodszych mężczyzn, ale robili to bez większego przekonania i zrezygnowali z pogoni, gdy zniknęliśmy w labiryncie uliczek. Mimo to nie oszczędzaliśmy nóg i zatrzymaliśmy się dopiero wtedy, gdy mój wybawiciel uznał, że nic nam nie grozi. Przywarł w wejściu do ściany jakiegoś domu i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

– Jesteśmy bezpieczni – zakomunikował z satysfakcją. – Są zbyt leniwi, żeby gonić dalej niż dwa kwartały, chyba że zwędzi się coś grubszego, na przykład szynkę. – Odwrócił się, żeby mi się

przyjrzeć, i świsnął przez zęby. – Masz plamkę w oku, jak krew. O to chodziło tej starej?

Po trzech latach życia wśród omdlewająco bladych mieszkańców Domu Cereusa wyglądał w moich oczach zdecydowanie egzotycznie. Skórę miał brązową jak Bodistańczyk, oczy czarne i wesołe, włosy opadające do ramion wijące się w kruczoczarnych kędziorach.

– Tak – odparłam i, ponieważ uznałam, że jest piękny, zapytałam: – Z którego Domu pochodzisz?

Przykucnął na piętach.

– Mieszkam na Rue Coupole, niedaleko świątyni.

Próg był brudny, ale nie bardziej niż moja sukienka. Zebrałam ją wokół kolan i usiadłam.

– Moja matka pochodziła z Domu Jaśminu. Masz ich karnację, wiesz?

Dotknął ręką wstążki w moich włosach.

– Ładna. Dostaniesz za nią parę miedziaków na targu. – Wytrzeszczył oczy. – Należysz do Dworu Nocy!

– Tak – przyznałam, lecz po chwili zmieniłam zdanie. – Nie. Mam plamkę w oku. Chcą mnie sprzedać.

– Aha. – Zastanawiał się przez chwilę. – Ja jestem Cyganem – oznajmił z dumą. – Przynajmniej po matce. Wróży na placu, z wyjątkiem dni targowych, i dorabia praniem. Mam na imię Hiacynt.

– A ja Fedra.

– Gdzie mieszkasz?

Wskazałam w stronę wzgórza, a w każdym razie tam, gdzie według mnie leżało; w labiryncie ulic straciłam orientację.

– Aha. – Głośno zaczerpnął tchu i klasnął językiem o zęby. Pachniał, nie nieprzyjemnie, niemytym chłopakiem. – Chcesz,

żebym cię odprowadził do domu? Znam wszystkie ulice.

W tej chwili oboje usłyszeliśmy tętent kopyt, szybki i zdecydowany, wyróżniający się na tle ogólnego hałasu miasta. Hiacynt zerwał się do ucieczki, ale jeźdźcy już podjeżdżali. Byli to dwaj strażnicy duejny, w granatowych liberiach z wyhaftowanym złotą nicią delikatnym kwiatem cereusa.

Zostałam złapana.

– Tam – powiedział jeden z irytacją, wskazując na mnie. Twarz miał przystojną, rysy regularne; członkowie straży Cereusa byli wybierani ze względu na prezencję i siłę. – Rozzłościłaś duejną i zrobiłaś zamieszanie na targu, dziewczyno. – Jedną ręką chwycił karczek sukienki i poderwał mnie w powietrze. Zwisiałam bezradnie w jego ręce. – Na dziś wystarczy.

Z tymi słowy posadził mnie przed sobą na łąku, po czym zawrócił konia, zerkając na swojego towarzysza i ruchem głowy wskazując w stronę domu. Hiacynt wyskoczył na ulicę i przemknął tuż przed końskimi kopytami. Drugi strażnik zaklął i zamachnął się pejczem.

– Z drogi, cygańskie nasienie!

Hiacynt zrobił unik z wprawą, jakiej nabywa się w wyniku długiej praktyki, i pobiegł za końmi,

– Fedro! – wołał. – Wróć, musimy się zobaczyć! Pamiętaj, Rue Coupole!

Wyciągnęłam szyję, żeby wyrzec zza odzianego na niebiesko torsu strażnika; chciałam zobaczyć chłopca, bo było mi smutno, że się rozstajemy. Przez parę minut był moim przyjacielem, a przecież jeszcze nigdy nie miałam przyjaciela.

Po powrocie do Domu Cereusa popadłam w niełaskę. Odebrano mi przywilej podawania do stołu w czasie wieczornego podejmowania gości i bez kolacji zamknięto w

pokoju, choć Ellyn, która miała miękkie serce, podrzuciła mi w serwetce kilka herbatników.

Rankiem przyszła po mnie adeptka Suria, wysoka i jasnowłosa. To ona wzięła mnie za rękę pierwszego dnia pobytu w Domu Cereusa i wiedziałam, że trochę mnie lubi. Zabrała mnie do łaźni i rozplotła mi włosy, a potem siedziała cierpliwie i patrzyła, jak pluskam się w głębokim marmurowym basenie.

– Surio – zagadnęłam, poddając się jej inspekcji – kim jest Anafiel Delaunay i dlaczego może chcieć mnie kupić?

– Masz we włosach zapach pospolitej garkuchni. – Odwróciła mnie delikatnie i wylała na czubek mojej głowy mydło o słodkim, ale nieokreślonym zapachu. – Messire Delaunay jest znany na królewskim dworze. – Jej smukłe palce, cudownie kojące, spieniły mydło. – Poza tym jest poetą. To wszystko, co wiem.

– Jaką poezję uprawia? – Posłuszna jej gestowi, zanurzyłam się i potrząsnęłam głową pod wodą, żeby pozbyć się mydła. Jej ręce z wprawą zebrały moje włosy, gdy wstałam, i delikatnie wycisnęły z nich wodę.

– Taką, która przyprawiłaby o rumieniec adepta z Domu Dzikiej Róży.

Uśmiecham się teraz, wspominając moje oburzenie, a Delaunay roześmiał się głośno, kiedy mu o tym powiedziałam.

– Pisze sprośne wiersze? Chcesz powiedzieć, że wystroją mnie jak karnawałową gęś, żeby sprzedać jakiemuś upapranemu nasieniem wierszoklecie, który jedną rękę trzyma w kałamarzu, a drugą w rozporoku?

– Sza. – Suria owinęła mnie ręcznikiem i wytarła do sucha. – Gdzie się nauczyłaś takiego języka? Nie, naprawdę, podobno jest wielkim poetą... przynajmniej był. Obrził jednak jakiegoś wielmożę, może nawet członka rodziny królewskiej, i teraz już

nie pisze, a jego wiersze zostały zakazane. Dobił z kimś targu, Fedro, ale nie znam tej historii. Chodzą słuchy, że kiedyś był kochankiem jakiejś ważnej osoby. Wciąż jest znany na dworze i nie brakuje takich, którzy się go boją. Będziesz grzeczna?

– Tak. – Zerknęłam nad jej ramieniem. Suknia miała dość głębokie wycięcie na plecach, mogłam więc zobaczyć jej markę, pędy bladozielonych winorośli i granatowych kwiatów splecione na kręgosłupie, wykłute na skórze igłami markarza. Wzór był prawie ukończony. Jeszcze parę prezentów od klientów, a będzie mogła go skończyć. Gdy ostatni kwiat zamknie zwieńczenie na karku, Suria będzie miała swoją markę. Jej dług wobec Naamy oraz duejny zostanie spłacony; jeśli zechce, będzie mogła opuścić Dom Cereusa albo pozostać pod jego dachem i oddawać Domowi dziesiątą część swoich zarobków. Miała dziewiętnaście lat, była więc w wieku mojej matki.

– Suria, kto to jest Cygan?

– Jeden z podróżnych, Cyganów. – Przeciągając grzebieniem przez moje mokre włosy, skrzywiła się z niesmakiem, ale tak, by nie powstały brzydkie zmarszczki. – Co masz z nimi wspólnego?

– Nic. – Umilkłam, poddając się jej troskliwym zabiegom. Uznałam, że skoro strażnicy duejny nie wspomnieli o mojej nowej znajomości, to ja też zachowam ją w sekrecie, bo tajemnice są często jedynym atutem dziecka w świecie dorosłych.

We właściwym czasie zostałam przygotowana na spotkanie z Delaunayem. Oczywiście byłam za mała na makijaż, ale lekko przypudrowano mi policzki i wpleciono wstążki w lśniące, świeżo umyte włosy. Przyszedł po mnie sam Jareth Moran, zastępca duejny. Nieco przestraszona, trzymałam go za rękę i dreptałam obok niego. Uśmiechnął się do mnie parę razy.

Spotkanie odbyło się nie na wewnętrznym dziedzińcu, ale w prywatnym saloniku duejny, urządzonej z dyskretnym przepychem i służącym wypoczynkowi oraz prowadzeniu rozmów nie przeznaczonych dla postronnych uszu.

Między dwoma krzesłami leżała poduszka. Jareth puścił moją rękę, gdy weszliśmy, i stanął za plecami duejny. Zerknęłam na dwie siedzące osoby i zajęłam miejsce, klękając *abeyante* przed nimi. Duejnę znałam, oczywiście; co do Anafiela Delaunaya, dostrzegłam tylko wysoki wzrost, szczupłe ciało i rdzawe odcienie, zanim zastygłam z pochyloną głową.

Przez długą chwilę panowała cisza. Siedziałam na piętach, splótłszy ręce i każdą cząsteczką swojej istoty pragnąc unieść głowę, a jednocześnie nie śmiać tego uczynić.

– Ładne dziecko – usłyszałam w końcu znudzony głos, głęboki, modulowany tenor, ale bez intonacji, z jaką mówią wyłącznie arystokraci. Teraz to wiem, bo Delaunay nauczył mnie zwracać uwagę na takie rzeczy. Wtedy pomyślałam tylko, że mnie nie lubi. – Opisany przez ciebie incydent jest ciekawy, nie dostrzegam w nim jednak niczego, co mogłoby mnie zaintrygować. Od dwóch lat mam ucznia, Miriam, i nie potrzebuję drugiego.

– Fedro.

Poderwałam głowę, słysząc rozkazujący ton starej duejny, i zwróciłam na nią szeroko otwarte oczy. Z lekkim uśmiechem patrzyła na Delaunaya, przeniosłam więc spojrzenie na niego.

Anafiel Delaunay siedział w swobodnej pozie, z łokciem na poręczy fotela i z brodą wspartą na dłoni. Miał piękne rysy rasowego D'Angelina, twarz pociągłą i żywą, długie rzęsy i szare oczy, w których dostrzegłam topazowe błyski, jego włosy miały przyjemny rudawy odcień. Nosił aksamitny wams w kolorze

głębokiego brązu, z rdzawymi rękawami, w rozcięciach których pobłyskiwał jedwab o barwie topazu. Na szyi miał złoty, grawerowany łańcuszek. Leniwie wyciągał kształtne nogi, obcas jednego wypolerowanego trzewika wspierając na nosku drugiego. I kiedy na mnie spojrzał, obcas z hukiem uderzył o podłogę.

– Na Jaja Elui! – Parsknął śmiechem, który mnie przestraszył. Zobaczyłam, że Jareth i duejna wymienili szybkie spojrzenia. Delaunay płynnym, eleganckim ruchem wstał z fotela i opadł przede mną na jedno kolano. Ujął moją twarz w dłonie. – Czy wiesz, jaki znak nosisz, mała Fedro?

Głos Delaunaya stał się pieszczotliwy, a kciuki gładziły moje policzki, niebezpiecznie blisko oczu. Drżałam w jego rękach jak królik w pułapce i jednocześnie napinałam mięśnie, żeby stłumić drżenie; pragnęłam... pragnęłam, żeby coś zrobił, coś straszego, i bałam się, że to zrobi.

– Nie – szepnęłam.

Zabrał ręce, uspokajająco musnął mój policzek i wstał.

– Strzała Kusziela – powiedział ze śmiechem. – Masz w rękach *anguisette*, Miriam, prawdziwą *anguisette*. Spójrz tylko, jak drży, nawet teraz, uwięziona w pułapce strachu i pożądania.

– Strzała Kusziela. – W głosie Jaretha pobrzmiwała niepewność.

Duejna siedziała nieporuszona, z chytrym wyrazem twarzy. Anafiel Delaunay podszedł do stolika i bez zaproszenia nalał sobie kieliszek likieru.

– Spodziewałem się po tobie czegoś więcej – powiedział z rozbawieniem, a potem z większą powagą wyrecytował: – Potężny Kusziel, pan różgi i pręgi/wypuszcza Strzałę z niezawodnej dłoni/Przeszywa oczy wybranych śmiertelnych/a

krwawa rana nigdy się nie goi. – I podjął lekkim tonem: – Z marginaliów *Cyklad Eluańskiego* w opracowaniu Leucenaux, oczywiście.

– Oczywiście – mruknęła duejna, wciąż opanowana. – Bardzo ci dziękuję, Anafielu. Jean-Baptiste Marais z Domu Waleriany będzie wdzięczny, gdy się o tym dowie.

Delaunay uniósł brew.

– Nie twierdzę, Miriam, że adepci Domu Waleriany są do niczego w sztuce algolagnii, ale ile czasu minęło, od kiedy mieli pod swoim dachem prawdziwą *anguisette*.

– Zbyt dużo.

Ton był słodki jak miód, ale masło nie stopiłoby się w ustach tej starej kobiety. Patrzyłam, zafascynowana i zapomniana. Pragnęłam rozpaczliwie, by zwyciężył Anafiel Delaunay. Dotknął mnie swoimi rękami poety i odmienił moją naturę, przekształcając symbol mej nieprzydatności w perłę o wielkiej cenie. Tylko Melisanda Szachrizaj z równą pewnością i szybkością określiła, kim jestem, ale stało się to znacznie później i w innych okolicznościach. Delaunay wymownie wzruszył ramionami.

– Zrób to, a ją zmarnujesz. Zostanie kolejną zabawką do bicia dla kupieckich synów o pięściach wielkich jak szynki. Ja mogę przemienić ją w niespotykany instrument, na którym księżęta i królowe będą wygrywać cudowną muzykę.

– Tylko że już masz ucznia.

– W istocie. – Wypił likier jednym haustem, odstawił kieliszek i oparł się o ścianę, z uśmiechem krzyżując ręce na piersi. – Chciałbym, przez wzgląd na Strzałę Kusziela, zastanowić się przez chwilę. Ustaliłaś cenę?

Duejna oblizwała wargi, a ja uradowałam się, bo zobaczyłam, że

na wzmiankę o sprzedaży zadrżała tak, jak kiedyś moja matka. Tym razem, kiedy podała sumę, w jej głosie brakowało pewności.

Cena była wysoka, wyższa niż jakakolwiek inna podczas mojego pobytu w Domu Cereusa. Usłyszałam, jak Jareth cicho wciąga powietrze.

– Zgoda – powiedział Anafiel Delaunay bez namysłu, nonszalancko wzruszając ramionami. – Każę mojemu sekretarzowi przygotować na jutro niezbędne dokumenty. Zgodnie ze zwyczajem zostanie tutaj do dziesiątego roku życia, prawda?

– Jak sobie życzysz, Anafielu. – Duejna skłoniła głowę. Wciąż klęcząc, widziałam, jak gniewnie zagryzła wargi. Była zła, że podała za niską cenę. – Zawiadomimy cię o jej dziesiątych urodzinach.

I to zadecydowało o mojej przyszłości.

CZTERY

Życie w zamkniętej społeczności Nocnego Dworu było nudne i gdyby Anafiel Delaunay mi pozwolił, odeszłabym z nim w chwilę po dobieciu targu, on jednak mnie nie chciał, jeszcze nie. Byłam za mała.

Miałam wstąpić na służbę u przyjaciela rodziny królewskiej, wystawiając dobre świadectwo Domowi Cereusa, dlatego duejna poleciła poszerzyć moją edukację. Mój program nauczania został wzbogacony o lekcje czytania i wymowy, a w ósmym roku życia zaczęłam się uczyć podstaw caerdicci, języka uczonych.

Nikt oczywiście nie oczekiwał, że zostanę uczoną, ale chodziły słuchy, że Delaunay w młodości uczęszczał na Uniwersytet Tyberyjski i cieszył się opinią człowieka wykształconego. Wychowanka Domu Cereusa nie mogła przynieść mu wstydu.

Ku zaskoczeniu moich nauczycieli nauka przychodziła mi z łatwością. Z własnej woli spędzałam wolne godziny w archiwach, mozoląc się nad zagadkami poezji Caerdicci. Ujęły mnie szczególnie teksty Felice Dolophilusa, który wykastrował się z miłości do kochanka, kiedyś jednak Jareth przyłapał mnie na tej lekturze i kazał mi przestać. Jak się wydawało, Delaunay polecił, bym trafiła do niego tak czysta i niezepsuta, jak to możliwe w przypadku dziecka wychowanego w Dworze Nocy.

Jeśli pragnął, bym pozostała nieuświadomiona, to oczywiście było już za późno. Miałam dopiero siedem lat, lecz w swoim mniemaniu doskonale znałam teorię służby Naamie i niewiele rzeczy mogłoby mnie zaskoczyć. Adepti plotkują, dzieci słuchają.

Wiedziałam o królewskim złotniku, którego dzieła zdołały ozdobić szyje najpiękniejszych dam dworu; on sam wolał wyłącznie ślicznych młodzieńców odzianych w to, czym obdarzyła ich natura. Wiedziałam o sędzi, który ferował nadzwyczaj rozsądne wyroki i który przysiągł sobie, że w ciągu jednej nocy zaspokoi więcej kobiet niż sam Błogosławiony Elua. Wiedziałam o arystokratce, udającej Jeszuitkę i w strachu przed prześladowaniami otaczającej się wyjątkowo przystojnymi strażnikami, którzy mieli znacznie poszerzony zakres obowiązków; wiedziałam o innej, słynącej w całym Mieście jako pełna wdzięku pani domu, zatrudniającej pokojówki wprawione w sztuce układania kwiatów i *languisement*.

Wiedziałam to wszystko i uważałam się za mądrą, nie mając pojęcia, jak znikoma jest moja wiedza. Za murami Nocnego Dworu rozgrywały się doniosłe wydarzenia i sytuacja polityczna ulegała zmianie, podczas gdy my mówiliśmy tylko o upodobaniach klientów czy też o rywalizacji pomiędzy Domami. Byłam za młoda, żeby pamiętać śmierć delfina w bitwie na skaldyjskiej granicy, ale przypominam sobie zgon jego owdowiałej małżonki. Ogłoszono dzień żałoby; nosiłyśmy czarne wstążki, a bramy Domu Cereusa zostały zamknięte.

Współczułam małej księżniczce, następczyni tronu. Była w moim wieku i została sama, bez rodziców, mając tylko poważnego starego dziadka, króla. Pewnego dnia, myślałam, przystojny książę pospieszy jej na ratunek, tak jak pewnego dnia – niebawem – po mnie przybędzie Anafiel Delaunay.

Takie bzdurki chodziły mi po głowie, bo w Domu nikt nie mówił w kategoriach zysków i strat politycznych; nikt nie zastanawiał się nad możliwością otrucia, zagadkowego zniknięcia królewskiego podczaszego ani też nad tym, dlaczego

rządca obnosi się z nowym srebrnym łańcuchem na piersi i tajemniczym uśmiechem na twarzy. O tych sprawach, jak zresztą o wielu innych, dowiedziałam się dopiero od Delaunaya. Takie informacje nie były przeznaczone dla uszu sług Naamy. Byliśmy Kwiatami Nocy, które więdną pod wpływem promieni słońca, co tu więc mówić o ciężarze polityki.

Tak uważali adepci; jeśli duejnowie Trzynastu Domów byli innego zdania, zachowywali wiedzę dla siebie i wykorzystywali ją do sobie wiadomych celów. Nic bardziej od nadmiaru wiedzy nie psuje czystej przyjemności, a przecież jej dostarczanie stanowiło podstawę istnienia Dworu Nocy.

Informacje – poza takimi perełkami wiedzy jak to, że na ciele mężczyzny jest dwadzieścia siedem, a u kobiety czterdzieści pięć miejsc, które w wyniku odpowiedniego pobudzenia powodują przypływ pożądania – zdobywałam od służby: kucharzy, podkuchennych, lokajów i stajennych. Sprzedana czy nie, w Domu Cereusa nie miałam swojego miejsca; byłam tolerowana na obrzeżach tamtejszej społeczności.

I miałam jednego prawdziwego przyjaciela: Hiacynta.

Możecie bowiem być pewni, że gdy raz poznałam słodki smak wolności, skosztowałam jej znowu.

Co najmniej raz na kwartał – częściej wiosną i latem – wykradałam się za mur, niepostrzeżenie i bez niczyjej opieki. Z wysoko położonej sceny Dworu Nocy zstępowałam na jarmarczne proscenium Miasta i tam, u stóp Mont Nuit, w dzielnicy zwanej Progiem Nocy znajdowałam Hiacynta.

Oprócz podkradania drobiazgów ze straganów, co robił głównie dla psoty i z nadmiaru odwagi, zarabiał uczciwie jako chłopiec na posyłki. W Progu Nocy nigdy nie brakowało intryg, nie było jednego dnia bez sprzeczki kochanków czy pojedynku

poetów. Za miedzianego centyma Hiacynt przynosił wiadomości; za więcej miał oczy i uszy otwarte, by następnie przedstawić raport zleceniodawcy.

Obrzucano go wprawdzie przekleństwami, ale też doceniano jego usługi, bo nigdy nie zmyślał, a jego matka była jedyną cygańską wróżką w Progu Nocy. Smagła jak syn, nawet ciemniejsza, miała zmęczone, głęboko zapadnięte oczy i zawsze chodziła obwieszona złotem; monety zwisały jej z uszu, a na szyi pobrękiwał łańcuszek ze złotymi dukatami. Hiacynt powiedział mi, że obnoszenie się ze swoim bogactwem jest obyczajem Cyganów.

Znacznie później dowiedziałam się o tym, czego mi nie powiedział: jego matka została wypędzona przez Cyganów za złożenie hołdu Naamie z mężczyzną nie ze swojego ludu – Cyganie nie oddają czci Błogosławionemu Elui, choć nigdy do końca nie zrozumiałam w co wierzą – a on sam wcale nie był cygańskim księciem, za którego lubił się podawać, tylko kukułczym dzieckiem. Mimo oderwania od swoich korzeni matka Hiacynta przestrzegała cygańskich obyczajów i jestem przekonana, że naprawdę miała dar *dromonde*, spoglądania poza zasłony, za którymi skrywają się przyszłe wydarzenia. Kiedyś widziałam, jak pewien obiecujący malarz pokazał jej dłoń, żeby mogła odczytać z niej przyszłość. Powiedziała mu, że zginie z własnej ręki, a on wybuchnął śmiechem. Następnym razem, gdy wymknęłam się do Progu Nocy, Hiacynt powiedział mi, że malarz się otruł – niechcący, w wyniku zwilżania pędzla językiem.

Tak oto wyglądało moje sekretne życie poza murami Domu Cereusa. Duejna oczywiście już wiedziała, gdzie mnie szukać. Jeśli wytropienie szlaku psot Hiacynta okazywało się zbyt trudne, strażnicy zasięgali języka w zamtuzach i winiarniach. Prędzej

czy później natrafiali na kogoś, kto wiedział, gdzie się podziewamy. Staralam się utrudniać im zadanie, odwlekając chwilę, w której odziana w rękawicę dłoń bezceremonialnie złapie mnie za kark i posadzi na łuku siodła. Ta zabawa w chowanego stała się dla mnie czymś w rodzaju emocjonującej gry.

Strażnicy, jak myślę, wychodzili z podobnego założenia, bo praca w Nocnym Dworze była nudna dla ludzi żyjących z miecza. Ja przynajmniej rzucałam im wyzwanie, aczkolwiek niewielkie.

Duejna miała zupełnie inne podejście.

Po mojej trzeciej eskapadzie wpadła w uzasadnioną złość i nakazała chłostę. Prosto z siodła strażnik zaniósł mnie, wierzgającą i piszczącą, na dziedziniec. Wreszcie miałam okazję się przekonać, do czego służy stojący tam słupek.

Inne podobne przypadki zatarły się w mojej pamięci, ale ten jeden pamiętam doskonale. Duejna siedziała w fotelu, patrząc nad moją głową. Strażnik zmusił mnie do ukłęknięcia i podniósł wysoko moje ręce. W jednej chwili przywiązano je do żelaznego pierścienia, który tkwił na szczycie pręgierza. Duejna odwróciła wzrok. Ktoś chwycił karczek mojej sukienki i rozdarł ją po pas.

Pamiętam, że powietrze było ciepłe, przesycone zapachem kwiatów i wilgocią z licznych fontann. Czułam je na gołej skórze pleców. Marmurowe płyty ziębiły moje kolana.

Nie była to twarda chłosta, jak zwykle bywa. Mając na względzie mój wiek, flagelant użył dyscypliny z miękkiej jeleniej skóry i smagał mnie niezbyt mocno, w stylu *pizzicato*. Ale byłam dzieckiem, miałam delikatne ciało i razy spadały jak deszcz ognia na moje nagie plecy.

Pierwsze uderzenie wprowadziło mnie w zachwyt. Miękkie rzemienie wyrysowały strumyczki bólu na skórze, powodując

rozkoszne mrowienie u podstawy kręgosłupa. Jeden, dwa, trzy; mogłabym przez wiele dni pławić się we wspomnieniu tej ekstatycznej udręki. Ale flagelant bił dalej i strumyczki przemieniły się w rwące potoki, w rzeki, wreszcie w morze bólu, w którym tonęłam.

Wtedy zaczęłam błagać.

Nie pamiętam już, co mówiłam. Wiem tylko, że wiłam się, błagalnie składając związane ręce, płakałam, wyrażałam skruchę i obiecywałam poprawę – a jednak rzemień nie przestały smagać i w końcu pomyślałam, że całe moje plecy płoną. Adepci Domu stali i patrzyli, starając się nie okazywać litości. Sama duejna nie spojrzała ani razu; widziałam tylko jej piękny, sędziwy profil. Płakałam i błagałam, a razy sypały się jak grad, aż w końcu ogarnęło mnie ciepłe rozleniwienie i zwiślam bezwładnie na słupie, zbita i upokorzona.

Dopiero wtedy odwiązano mnie i zanesiono do pokoju. W trakcie opatrywania obrzęków czułam się wyśmienicie, obolała i senna, surowo ukarana.

– Masz chorobę we krwi – oznajmił Hiacynt, kiedy następnym razem uciekłam do Progu Nocy. Siedzieliśmy w drzwiach jego domu na Rue Coupole, dzieląc się kłosem kradzionych winogron i wypluwając pestki na ulicę. – Tak mówi moja mama.

– Myślisz, że to prawda? – Od śmierci malarza zaczęłam podzielać podszyty lękiem podziw, z jakim mieszkańcy dzielnicy odnosili się do daru prorokowania Cyganki.

– Może. – Z zadumą wypluł pestkę.

– Nie narzekam na zdrowie.

– Nie o to chodzi. – Choć był tylko o rok starszy ode mnie, lubił zachowywać się tak, jakby zjadł wszystkie rozumy. Matka uczyła go podstaw *dromonde*, sztuki przepowiadania. – To coś jak

wielka choroba. To znaczy, że Bóg położył na tobie swoją rękę.

– Aha. – Byłam rozczarowana, bo nie dowiedziałam się więcej nad to, co już słyszałam z ust Delaunaya, tylko że on był bardziej konkretny. Myślałam, że matka Hiacynta nie będzie taka wstrzemięźliwa w słowach. – Mówiła coś o mojej przyszłości?

– Moja matka jest cygańską księżniczką – odparł wyniośle. – *Dromonde* nie jest dla dzieci. Myślisz, że mamy czas na zajmowanie się sprawami nieopierzonej pałacowej dziwki?

– Nie – przyznałam posępnie. – Chyba nie.

Byłam zbyt łatwowierna, powiedział mi później Delaunay ze śmiechem. Ostatecznie matka Hiacynta była praczką i wróżyła motłochowi znacznie gorzej sytuowanemu niż jakakolwiek sługa Naamy. Hiacynt nie miał racji, a poza tym przecież musiał wiedzieć, że cygańskim mężczyznom nie wolno rozchyłać zasłon przyszłości. To, czego uczyła go matka, było *vrajna*, zakazane wśród jego ludu.

– Może kiedy będziesz starsza – pocieszył mnie. – Kiedy będziesz miała złoto, żeby powiększyć jej majątek.

– Karczmarzowi wróży za srebro, a skrzypkowi za miedziaka – zauważyłam z rozdrażnieniem. – I dobrze wiesz, że każda moja moneta zarobiona poza kontraktem będzie przeznaczona dla markarza. Zresztą przystąpię do służby dopiero wtedy, gdy wejdę w swoje lata. Takie jest prawo gildii.

– Może wcześniej rozkwitniesz. – Ani trochę nie przejmując się moją niedolą, wsunął winogrono do ust. Wtedy znienawidziłam go trochę za to, że był wolny. – Poza tym dobrze wydana moneta może zwrócić się trzykrotnie w postaci nabytej mądrości. – Popatrzył na mnie kątem oka, szczerząc zęby. Słyszałam tę kwestię wiele razy, gdy z jego pomocą wielu klientów pozbywało się sakiewki. Odpowiedziałam uśmiechem, bo znowu go

kochałam.

PIĘĆ

Zimowy Bal Maskowy wypadł przed moimi dziesiątymi urodzinami, bo urodziłam się wiosną, ale duejna zdecydowała, że wolno mi będzie w nim uczestniczyć. Wyglądało na to, że nie opuszczę Dworu Nocy bez uprzedniego poznania jego całego splendoru.

Każdy Dom wyprawia swój bal maskowy w określonym dniu roku i każdy bal, jak mi powiedziano, jest pamiętnym wydarzeniem – ale Zimowy Bal Maskowy to zupełnie inna sprawa. Jego korzenie sięgają czasów sprzed Elui, symbolizuje bowiem odejście starego roku i powrót słońca. Podobno Błogosławiony Elua był tak bardzo urzeczony prostotą chłopskich obrzędów, że nadał im rangę rytuałów ku czci swojej matki ziemi i jej słonecznego małżonka.

Zimowy Bal Maskowy zawsze odbywa się w Cereusie, Pierwszym Domu. W Najdłuższą Noc wszystkie inne Domy są zamknięte i świecą pustkami, bo ich mieszkańcy przychodzą do Cereusa. Spośród klientów mile widziani są tylko ci, którzy noszą specjalne znaki Naamy, rozdawane przez duejnów wedle uznania. Nawet dziś, gdy światło zysku przyćmiewa glorię Trzynastu Domów, znaki otrzymują wyłącznie osoby o królewskim rodowodzie, uznane za godne objęcia Naamy.

Już na wiele dni przed balem rozpoczęły się nerwowe przygotowania, którym towarzyszyła atmosfera tajemniczości. Tajemniczość brała się stąd, że nikt z nas nie wiedział, kto odegra kluczową rolę w wielkiej maskaradzie; Królową Zimą zawsze

była adeptka Domu Cereusa. Księżę Słońce mógł pochodzić z każdego z Trzynastu Domów, które zaciekle rywalizowały o prawo wystawienia swojego adepta. Hiacynt powiedział, że w Progu Nocy obstawiano domniemanego wybrańca.

Wedle powszechnego mniemania Księżę Słońce na rok sprowadza szczęście do swojego Domu. Wiem, skąd się wzięło to przekonanie; Delaunay mi powiedział. Stara, bardzo stara historia sprzed czasów Elui opowiada o Księżciu Słońce, który poślubia Królową Zimę, żeby przejąć władzę nad krajem. Opowieści tego rodzaju, dodał, zawsze są najstarsze, bo zrodziły się z marzeń naszych praprzodków i wiecznej zmiany pór roku. Prawda to czy nie, nie mam pojęcia, wiem jednak dobrze, że Anafiel Delaunay nie był jedyną osobą, która знаła genezę tej nocy.

Noc jednak dopiero miała nadejść, a w poprzedzających ją dniach w całym Domu Cereusa panowała gorączkowa krzątanina. Otwarto Wielką Salę i poddano ją gruntownemu sprzątnięciu. Ściany zostały wyszorowane, kolumny wypolerowane, podłoga nawoskowana i wypucowana, aż lśniła niczym mahoniowy atlas. Słudzy co do drobiny wybrali popiół z wielkiego kominka i wzniesli chwiejne rusztowanie, żeby czeladnicy malarscy mogli usunąć roczną warstwę sadzy ze zdobionego freskami sufitu. Barwne, dosłownie i w przenośni, Wyczyny Elui wyłoniły się wreszcie spod brudnego nalotu.

Kiedy pusta i nieskazitelnie czysta sala została uznana za gotową, ozdobiono ją białymi świecami, które pachniały słodko pszczelim woskiem, i wielkimi gałęziami drzew szpilkowych. Długie stoły nakryto śnieżnobiałymi obrusami, mającymi tworzyć tło dla wykwintnych potraw przyrządzanych w kuchniach. Wszyscy, od odźwiernego po pomywaczki, byli zajęci

przygotowaniami do Zimowego Balu Maskowego, i z tego powodu nie miałam gdzie się podziać. Przepędzono mnie nawet ze stajni, gdzie zgrzytający zębami masztalerz kierował generalnymi porządkami. Mówcie o Nocnym Dworze co chcecie, ale wszyscy, którzy w nim służą, mają swój honor. Gdyby sam Ganelon de la Courcel, król Terre d'Ange, raczył zaszczyścić swoją obecnością Zimowy Bal Maskowy (jak kiedyś bywało), jego konie zostałyby oporzędzone lepiej niż w królewskich stajniach.

Oczywiście widywałam już wcześniej podobne przygotowania, ale w tym roku wszystko wyglądało zupełnie inaczej, ponieważ miałam uczestniczyć w balu. Z moich dawnych towarzyszek pozostała tylko krucha piękność, Ellyn, bo zgodnie z przewidywaniami markę Julietty kupił Dom Dalii, a wesoła Calantia w dziesiąte urodziny przeszła do Orchidei. Śliczny brat przyrodni Ellyn, Etienne, był jeszcze za mały i miał spędzić Najdłuższą Noc w pokoju dzieciennym.

W miejsce dawnych wychowanków pojawili się nowi, bo Cereus także kupował marki dzieci z innych Domów. Było ich dwoje: blada Jacynta o niebieskich oczach, niemal za ciemnych według kanonu tego Domu, i Donatien, który nigdy się nie odzywał. Podobnie jak Ellyn, czekało ich wtajemniczenie do służby Naamie i zazdrościłam im tego, że już znają swoje miejsce.

W Najdłuższą Noc nie zawierano kontraktów i pieniądze nie przechodziły z ręki do ręki. Sługi Naamy oraz zaproszeni goście mogli łączyć się do woli i wedle upodobania. Nasza czwórka miała pełnić rolę żywych ozdóbek. W Najdłuższą Noc tradycyjnie pije się *joie*, klarowny, uderzający do głowy likier z soku rzadkiego białego kwiatu, który rośnie w wysokich górach i kwitnie wśród zasp. Mieliśmy krążyć wśród gości, podsuwając im

na srebrnych tacach maleńkie kryształowe kieliszki *joie*.

Ponieważ Dom Cereusa ma przywilej wybierać Królową Zimę, wszyscy włożyli biało-srebrne kostiumy, kolorystycznie pasujące do tej pory roku. Miałam nadzieję, że zobaczę się z Surią i zaprezentuję jej swoją kreację. Cała nasza czwórka została przebrana za zimowe duszki. Zwiewne tuniki z gazy imitowały śnieg niesiony na wietrze, a z szerokich rękawów zwisały sople szklanych paciorków, gdy podnosiliśmy tace. Założono nam proste maseczki, odpowiednie dla dzieci, białe ze srebrną lamówką, i dla zwiększenia kontrastu podmalowano usta odrobiną karminu. Czeladnik fryzjerski wplótł nam we włosy mnóstwo białych wstążek, imitując tym chmurę śniegu.

Ale Suria nie przyszła, żeby nas zobaczyć, i inny adept udzielił nam w kuchni instrukcji. Był ubrany w biały brokatowy kostium lamowany futrem gronostaja, a na czole miał wyszczerzoną maskę śnieżnego lisa.

– W ten sposób – powiedział niecierpliwie, poprawiając rękę Donatiena. – Nie, nie, płynnie, elegancko. Nie roznosisz kufli w karczmie, chłopcze! Czego was uczą w Domu Mandragory?

Rzeczywiście, czego? – zastanowiłam się. Człowiek, który wymierzał kary chłosty na dziedzińcu, był adeptem Mandragory. Donatien zadrżał i filigranowe kieliszki zadźwięczały jak dzwonki, ale tym razem podniósł tacę z wdziękiem.

– Lepiej – burknął adept. – A inwokacja?

– Radość. – Ledwo usłyszałam wyszeptane słowo, a Donatien wyglądał tak, jakby miał zemdleć z wysiłku.

Adept uśmiechnął się kpiąco.

– Taki kruchy kwiatek... idealnie, mój słodki. Zanotują w kalendarzach, kiedy wchodzisz w swoje lata. Dobrze, wszystko gotowe. Najpierw częstujecie gości, następnie wszystkich

duejnow. Później jak popadnie.

Ruszył do drzwi, opuszczając maskę.

– Ale... – zaczęła Jacynta.

Adept odwrócił się. Wyglądał tajemniczo w masce śnieżnego lisa, z ciemnymi otworami na oczy po obu stronach szpiczastego, chytrego pyska.

– Jak ich rozpoznamy? – zapytała rozsądnie. – Wszyscy będą w maskach.

– Poznacie – odparł śnieżny lis. – Albo popełnicie błąd.

Z tą wcale nie krzepiącą radą zostawił nas pod kuratelą zabieganych kucharzy.

Za drzwiami ryknęły trąbki oznajmiające przybycie pierwszych gości. Muzycy zagrali na marszową nutę. Duszne powietrze w kuchni zadrzało, gdy kuchmistrz wykrzyknął rozkazy i jego podwładni rzucili się do pracy. Nasza czwórka wymieniła niepewne spojrzenia.

– Na miłość Naamy! – Pomocnik podczaszego przejął nad nami komendę, podając tace i popychając nas ku drzwiom. – Wchodzi Cereus. Ustawcie się pod ścianą i czekajcie, aż przybędą wszystkie Domy i zjawią się pierwsi goście. – Zatrzepotał rękami, wskazując nam drzwi. – Idźcie już, idźcie! I nie chcę was tu widzieć, póki kieliszki nie zostaną opróżnione!

W Wielkiej Sali pod ścianą leżały poduszki do klęczenia. Zajęliśmy miejsca i patrzyliśmy na korowód sunący między marmurowymi kolumnami.

Obładowana kieliszkami taca nie była lekka, ale zostałam wyszkolona do trzymania takich rzeczy, jak wszyscy. Przyglądając się wchodzącym, szybko zapomniałam o ścierpiętych rękach i ramionach.

Natychmiast rozpoznałam duejną, wspartą na ramieniu

Jaretha, z twarzą ukrytą pod maską śnieżnej sowy. Plotkowano, że będzie to jej ostatni Zimowy Bal Maskowy. Jareth miał maskę orła, z białymi piórami nakrapianymi umbrą. Za nimi szli adepci Domu Cereusa, biało-srebrna fantazja na temat zwierząt i zimowych duchów; straciłam rachubę rogowych, zamaskowanych i zakapturzonych postaci, oszołomiona widokiem jedwabi, muślinów i srebrnych lamówek.

A to był dopiero początek.

Wszystkie Domy wykonały swoje wielkie wejście. Dni ich świetności dziś już przeminęły, tym więc, którzy nigdy nie widzieli Dworu Nocy w całej jego krasie, powiem krótko: żal mi was. Zaszłam dalej, niż się spodziewałam, i uczestniczyłam w wielkich balach na królewskim dworze, nigdzie jednak nie widziałam takiego radosnego rozmówienia w pięknie i samego piękna. To typowe, jak nic innego na świecie, dla D'Angelinów.

Gdybym wtedy była wyszkolona przez Delaunaya, zauważyłabym i zapamiętała dokładnie tematy wiodące wszystkich Domów, lecz i tak wciąż noszę w pamięci najważniejsze rzeczy. Dalia rzuciła wyzwanie Cereusowi, strojąc się w złotogłów, a adepci Gencjany przyszli w strojach wróżbitów, poprzedzani przez kadzidła z opium. Swawolny Dom Dzikiej Róży zaprezentował się jako kompania Cyganów, śpiewając, grając i fikając koziołki. Słyszący ze skromności adepci Smagliczki mieli szaty oraz welony jezuickich kapłanów i kapłanek, prowokacyjnie bluźniercze. Dom Jaśminu jak zawsze wyróżniał się egzotyką dalekich krajów, a kruczowłosa, śniada zastępczyni duejny tańczyła zmysłowo w chmurze woali.

Zostało to źle przyjęte przez duejna Waleriany, który wybrał dla swoich adeptów motyw haremu, ale takie rzeczy się zdarzają. Mnie z kolei Dom Dzikiej Róży przypomniał o ledwo pamiętanej

matce, ale tylko na krótko, gdyż korowód trwał dalej.

Logicznie rzecz biorąc, najbardziej powinni ciekawić mnie adepci Waleriany. To tam bym trafiła, jak powiedziała duejna, gdybym nie miała skazy. I naprawdę byłam zaciekawiona, a moją ciekawość podsycala zasłyszana dewiza tego Domu: "Ulegam". Wiedziałam już, że adepci znajdują przyjemność w cierpieniu i są przyuczeni do znoszenia wielkiego bólu. Byłoby to logiczne, ale przecież magnes przyciąga żelazo. Nie zwracając większej uwagi na widowiskowy Sen Paszy w wykonaniu Waleriany, z niecierpliwością wypatrywałam adeptów Domu Mandragory.

Wśród powłóczystych kostiumów i wesołości innych przebierańców (Dom Orchidei zaprezentował oszalamiający temat morski z syrenami i fantastycznymi potworami głębin) goście z Waleriany tworzyli rozkosznie groźny akcent. Prezentowali Dwór Tantala. Odziani w aksamity czarne jak bezksiężycowa noc i jedwabie lśniące niczym rzeka w blasku gwiazd, mieli mosiężne maski z rogami i dziobami, zarazem piękne i groteskowe. Przebiegł mnie dreszcz i usłyszałam krystaliczny dźwięk zderzających się kieliszków.

Nie na mojej tacy. Rozejrzałam się; to trzął się Donatien, blady jak płótno.

Było mi go żal z powodu tego strachu i jednocześnie mu zazdrościłam.

Wreszcie korowód dobiegł końca i znów zagrzmiały trąbki, witając pierwszych gości.

Królewskiej krwi czy nie, tworzyli barwną gromadę dorównującą wspaniałością członkom Dworu Nocy; widziałam wilki, niedźwiedzie i jelenie, duszki i chochliki, legendarnych bohaterów i heroiny przeszłości, choć nie łączył ich wspólny

temat. Stanowili cudowne dopełnienie, gdy zmieszali się z adeptami Domów.

Ponownie ryknęły trąbki i wszyscy – duejnowie, zaproszeni goście i adepci – utworzyli szpaler, bo sygnał ten zapowiadał przybycie Królowej Zimy.

Weszła sama, kuśtykając.

Podobno maska Królowej Zimy, wyobrażająca groteskowe oblicze sędziwej wiedźmy, została sporządzona czterysta lat temu przez Oliviera Zamaskowanego, mistrza tak wyrafinowanego, że nikt nie znał jego prawdziwej twarzy. Nie ulegało wątpliwości, że maska jest stara. Tworzyły ją cienkie jak opłatek warstwy zmoczonej i wymodelowanej skóry, malowane farbą i lakierem tyle razy, że zyskały pozór nie życia, lecz jego konserwacji.

Oprócz maski Królowa Zima miała perukę z ogona siwej kobyły i była ubrana w poszarzałe łachmany okryte wyświechtanym szalem.

Wszyscy złożyli ukłon, gdy weszła do Wielkiej Sali, a my, klęczący, schyliliśmy głowy. Królowa pokuśtykała do końca kolumnady, wspierając się na sękatym kosturze z gałęzi tarniny, i odwróciła się do zebranych. Lekko prostując przygarbione plecy, podniosła wysoko laskę. Ryknęły trąby, biesiadnicy krzyknęli na wiwat, a muzycy zagrali wesołą melodię, ogłaszając rozpoczęcie Zimowego Balu Maskowego.

Oficjalne przybycie Księcia Słońce, który odradza młodość Królowej Zimy, mieli zapowiedzieć horolodzy o ściśle wyliczonej godzinie. Najprawdopodobniej książę już był na sali, aczkolwiek nie w swoim kostiumie.

Tak oto się zaczęło. Podniosłam się z poduszki, zeszywniała po długim klęczeniu, i zaczęłam krążyć po sali. Wszyscy

zwróciliśmy uwagę na kostiumy wchodzących; zgodnie z przewidywaniami Śnieżnego Lisa nasze zadanie okazało się dziecinnie łatwe. Nie znaleźliśmy tożsamości uczestników balu, ale bez trudu potrafiliśmy zaliczyć ich do określonych kategorii. “Radość” – szeptałam, podnosząc tacę i spuszczać wzrok. Nikt nie odmówił poczęstunku; kolejni goście wychylali *joie* i odstawiali puste kieliszki.

Kątem oka obserwowałam pozostałą trójkę, starając się ocenić, kiedy wszyscy goście wypiją po kieliszku *joie*. Miałam zamiar obsłużyć duejna Domu Mandragory, w mosiężnej koronie nad maską i z dziewięciorzemienną dyscypliną w prawicy, ale moja taca już została opróżniona. Musiałam wrócić do kuchni, gdzie niespokojny pomocnik podczaszego zaopatrzył mnie w kolejne kieliszki z klarowną miksturą.

Służący w liberiach już wnosili półmiski z wykwintnymi potrawami, których było tyle, że stoły uginały się i jęczały pod ich ciężarem. Musiałam kluczyć wśród lokajów, stale uważając na swoją tacę. Na środku sali kilka par zaczęło tańczyć pawanę, a w kącie akrobata z Domu Dzikiej Róży dawał przedstawienie.

W tłumie mignął wir czarnego aksamitu i błysk mosiężnej maski, lecz korpulentny gość w nieszczerólnie dobranym stroju Kawalera Róży zatarasował mi drogę. Próbowałam go wyminąć, gdy wyrosła przede mną kamizelka z brązowego brokatu, z guzikami w kształcie żołądź. Przypomniałam sobie, że jej właściciel był przebrany za fauna. Skrywając rozdrażnienie, wymruczałam rytualny toast i podniosłam tacę.

– Fedro.

Znałam ten głos, głęboki tenor, jednocześnie rozbawiony i znudzony. Zaskoczona, uniosłam głowę. Za maską fauna lśniły szare oczy z topazowymi błyskami, a długi warkocz miał kolor

kasztanów.

– Mój pan Delaunay!

– W istocie. – Dlaczego sprawiał wrażenie takiego rozbawionego? – Nie sądziłem, Fedro, że cię tu zobaczę. Czyżbym nie został powiadomiony o twoich dziesiątych urodzinach?

– Nie, nie, panie. – Czułam, jak rumieniec wypływa mi na policzki. – Duejna uznała, iż powinnam obsługiwać gości, żeby choć raz zobaczyć maskaradę.

Przyjrzał mi się krytycznie, musnął czubkami palców moje przybrane wstążkami włosy i poprawił niesforny loczek.

– Gdy tak postanowisz, będziesz uczestniczyć w niezliczonych balach, chyba że zwodzi mnie przecucie. Chociaż w twoim przypadku maska nie na wiele się przyda, moja słodka, nie z tymi oczami. Strzała Kusziela cię zdradzi.

Mogłabym stać tak przez całą wieczność, poddana pieśczoście jego palców; sama nie wiem dlaczego.

– Czy po nich mnie poznałeś, panie? – zapytałam, żeby przedłużyć rozmowę.

– Skądże! Przecież nawet na chwilę nie uniosłaś głowy. – Błysnął uśmiechem, który odmłodził jego twarz, do połowy przysłoniętą przez maskę. Przypuszczam, że miał wówczas około trzydziestu pięciu lat. Nigdy nie poznałam jego wieku, nawet wiedząc znacznie więcej niż wtedy. – Zastanów się nad tym, Fedro, a ja ci odpowiem, gdy spotkamy się następnym razem. I pamiętaj, moja słodka, żeby dzisiejszej nocy szeroko otwierać te swoje porażone strzałą oczęta. Możesz zobaczyć coś ciekawszego od płatnych flagelantów z obsesją na punkcie czarnego aksamitu. – Wziął kieliszek z mojej tacy i wychylił go do dna. – Radość – powiedział i odszedł.

Ostrożnie opuściłam tacę, podniosłam do ust jego kieliszek i

koniuszkiem języka zebrałam z dna maleńką kropelkę *joie*. Poczułam na podniebieniu czysty, ostry smak, jednocześnie lodowaty i parzący. Patrząc, jak Delaunay lawiruje w tłumie, rozkoszowałam się smakiem *joie* i chwilą tej ukradkowej więzi, a potem szybko i z poczuciem winy odstawiłam kieliszek, żeby ruszyć pomiędzy gości.

Tej nocy po raz pierwszy zaczęłam dostrzegać głębsze prawidłowości rządzące Terre d'Ange oraz polityczne zawirowania, które bez naszej wiedzy decydują o naszym życiu. Nie sądzę, aby spotkanie z Delaunayem wywarło zbawienny wpływ na moją spostrzegawczość. Niezależnie od jego słów zwróciłabym uwagę na nadchodzące wydarzenie, choćby z powodu poruszenia, jakie wywołało.

Wedle obliczeń horologów brakowało jeszcze godziny do północy, kiedy zjawił się książę Baudoin ze swoją świtą. W tym czasie już straciłam rachubę, ile razy zawracałam z tacą i ile razy pomocnik podczaszego musiał wymieniać kieliszki. Odpoczywaliśmy na zmianę i pozwolono nam poczęstować się daniami z wielkiego stołu. Udało mi się zdobyć kapłona w sosie winogronowym, plaster delikatnej dziczyzny z porzeczkami, a nawet małą salaterkę z bukietem jarzyn, byłam więc w pełni usatysfakcjonowana.

Zdążyłam wrócić do obowiązków, kiedy usłyszałam zamieszanie: przybyli nowi goście, hałaśliwi i pod dobrą datą. Przepchnęłam się przez tłum do pierwszego rzędu.

Byli to czterej młodzi mężczyźni. Po strojach i zachowaniu poznałam, że w ich żyłach płynie królewska krew potomków Elui i jego Towarzyszy.

– Książę Baudoin! – szepnął ktoś z nabożeństwem. Domyśliłam się, że chodzi o szczupłego i kruczowłosego mężczyznę z jasną

karnacją i charakterystycznymi dla rodu Trevalion szmaragdowymi oczami. Pozostali mu nadskakiwali, choć był pijany i musiał się wspierać na ramieniu towarzysza.

Na głowie miał maskę Azy, niezrównanie piękną, choć krzywo założoną, i wielki aksamitny kapelusz z opadającym piórem. Widząc gromadzący się tłum, oderwał się od ramienia towarzysza i wznosił kielich.

– Radość! – zawołał głosem dźwięcznym i donośnym, acz trochę niewyraźnym z powodu wypitego wina. – Radość dla Dworu Nocy w tę Najdłuższą Noc!

Po lewej stronie usłyszałam ciche podzwanianie kryształ: Donatien. Zerknął na mnie z przerażeniem w oczach. Dobrze, pomyślałam, niech tak będzie. Przecisnęłam się obok jelenia z rozłożystym porożem i podeszłam do gości. Czułam na sobie spojrzenia całego Dworu Nocy i serce kołatało mi w piersi.

– Radość – powtórzyłam cicho, podnosząc tacę.

– A cóż to? – Ręka silna jak cęgi zacisnęła się na moim ramieniu, a palce wbiły w ciało, aż sapnęłam z bólu. Uniosłam głowę i napotkałam spojrzenie towarzysza księcia. Miał maskę jaguarondi, w otworach błyszcząły uśmiechnięte, lecz okrutne oczy. Proste włosy spadały mu na ramiona – złoto tak blade, że w blasku świec lśniło niczym srebro. – Denys, posmakuj.

Drugi, w masce wilka, wziął kieliszek z tacy i wypił.

– Oooo! – Potrząsnął głową i oblizał usta. – Czysta *joie*, Izydorze, poczęstuj się!

Stałam, drżąc od stóp do głów, podczas gdy potomkowie Elui wyciągali chciwe ręce do mojej tacy. Spełnili toast i rozbili kieliszki na błyszczącym parkiecie. Księżę wybuchnął śmiechem, gromkim i dzikim jak ryk trąb. Maską przekrzywiła się na białym czole i zobaczyłam gorączkowy błysk w jego oczach.

– Całus na szczęście, mała dawczyni radości! – zawołał, biorąc mnie w ramiona. Taca wypadła mi z ręki i zabrzęczała na podłodze, kieliszki się potłukły. Przez jedną zapierającą dech chwilę jego wargi, które miały smak *joie*, stykały się z kącikiem moich ust, a potem niemal dosłownie zostałam odrzucona na bok i w jednej chwili zapomniana. Książę i jego towarzysze ruszyli w głąb Wielkiej Sali; mężczyzna w masce jaguarondi raz jeszcze spojrzął w moją stronę i wykrzywił usta w okrutnym uśmiechu.

Uklękałam na podłodze, zbierając na tacę kawałki szkła i starając się nie zważać na piekące mnie od łez oczy; sama nie wiem, co mnie poruszyło, pocałunek księcia czy też to brutalne odtrącenie. Byłam jednak dzieckiem, a dzieci szybko zapominają o przykrościach. Jacyntha obrzuciła mnie w kuchni nienawistnym spojrzeniem, zapamiętałam więc tylko, że byłam dumna, że książę krwi nazwał mnie dawczynią radości i pocałował na szczęście.

Ironia losu; Anafiel Delaunay mógłby mi powiedzieć, że moje imię przynosi pecha. Gdybym miała szczęście w zapasie, podzieliłabym się z nim. Nie mogłam wtedy wiedzieć, że jego szczęście odwróci się na moich oczach. Niektórzy powiedzą, że był zaślepionym głupcem, skoro zaufał Melisandzie, i mogą mieć rację. Co gorsza, nie dostrzegł drugiej zdrady, której dopuścił się ktoś, kogo znał znacznie dłużej.

Tej nocy jednak takie spiski jeszcze nikomu nie powstały w głowie. Choć mogło wydawać się to niemożliwe, zabawa nabrała jeszcze szybszego tempa. Stateczne pawany ustąpiły skocznyemu galiardom, muzycy grali jak opętani, twarze lśniły od potu. Książę i jego towarzysze wtopili się w tłum. Krążyłam z tacą po sali, oszołomiona hałasem i gorącem. Gałęzie rozwieszane nad ryczącym kominkiem wydzielały sosnowy aromat, który łagodził

zapach niezliczonych perfum i rozgrzanych ciał oraz konkurował z gryzącym, opiumowym dymem z kadzideł Domu Gencjany.

Kończyły się kieliszki, bo książę nadał ton zabawie i nie zliczyłabym, ilu gości i adeptów wychyliło *joie*, a potem z krzykiem rzuciło kieliszek na podłogę. Nie mogliśmy nic zrobić; nosiliśmy coraz skromniej zastawione tace, podczas gdy służący Domu Cereusa przemykali w tłumie ze szczotkami i szufelkami.

Takie oto doniosłe rzeczy zaprzętały moje myśli, kiedy nad wesołe takty muzyki wybiło się powolne dzwonięcie. Niemal zapomnieliśmy, że mamy Najdłuższą Noc, ale horolodzy pamiętali – oni o niczym nie zapominają. Herold Nocy rytmicznie uderzał w gong, zagłuszając zgiełk i spowalniając tempo zabawy. Tancerze przerwali taniec i środek sali opustoszał, gdy wszyscy cofnęli się pod ściany. Zza parawanu wyłoniła się Królowa Zima, wsparta na lasce z tarniny.

Ktoś krzyknął i natychmiast został uciszony. Wszyscy patrzyli na zamknięte drzwi Wielkiej Sali, czekając na Księcia Słońce.

Jeden, dwa, trzy; drzewce włóczy załomotało w drzwi, które otworzyły się po trzecim uderzeniu przy wtórze huku kotłów.

W drzwiach stanął Książę Słońce.

Był fantazją w kolorze złota: miał złocisty wams, spodnie, nawet buty, a zarzucony na ramiona płaszcz ze złotogłowiu zamiatał za nim podłogę. Jego twarz kryła się pod uśmiechniętą maską młodości, lśniąca od płatków złota, wystające z niej błyszczące promienie przysłaniały mu włosy. Usłyszałam szeptane komentarze i spekulacje, gdy z połączoną włócznią w ręce szedł wzdłuż kolumnady.

Zatrzymał się i uklonił, a gdy się prostował, grot włóczy zakreslił łuk i dotknął piersi Królowej Zimy. Królowa pochyliła

głowę i wypuściła z rąk laskę, która zagrzechotała w ciszy. Oburącz zdjęła maskę, zerwała perukę i zrzuciła z siebie łańchmany.

Westchnęłam, bo Królową Zimą była młoda, piękna Suria.

Ale pozostała jeszcze druga ważna maska.

Księżę Słońce opadł na kolano, chwytając dłoń Królowej Zimy. Jednym szybkim ruchem ściągnął pierścień i założył jej na palec; zrobił to niezbyt delikatnie, bo aż się skrzywiła. Wstał, trzymając jej rękę, i odwrócił się w stronę tłumu. Kiedy podniósł maskę, ujrzeliśmy twarz księcia Baudoina.

Herold Nocy otrząsnął się z zaskoczenia, wziął potężny zamach i uderzył pałką w gong, obwieszczając początek Nowego Roku. Gdy tylko przebrzmiał drżący ton, rozległ się mosiężny wrzask trąbek, głoszących radość dla wszystkich. Ta chwila pozwoliła zgromadzonym odzyskać zaparty ze zdumienia dech i przekrzyknęli trąbki, wiwatując na cześć pijanego młodego księcia krwi. Wyczerpani muzycy poczuli napływ nowej energii i gdy maestro zastukał butem, zagrali żywą melodię.

Moje spojrzenie przypadkiem zatrzymało się na Anafielu Delaunayu. Obserwował ich; patrzył uważnie na śliczną, oszołomioną Surię i księcia, który z dzikością w błyszczących oczach wysoko podnosił jej upierścienioną dłoń. Pod rustykalną maską mądrego fauna twarz Delaunaya miała spokojny, zadumany wyraz.

Tak wyglądało moje wejście w świat polityki.

SZEŚĆ

Po Zimowym Balu Maskowym, rzecz jasna, tygodnie przemijały niemiłosiernie wolno i nie mogłam się doczekać dziesiątych urodzin. W Domu Cereusa czułam się jeszcze bardziej wyobcowana; wyrosłam z pokoju dzieciennego, ale byłam za mała, żeby znaleźć wspólny język z adeptami, do grona których i tak nie miałam zostać zaliczona.

W Domu aż huczało od plotek na temat niedawnej maskarady. Mieszkańcy widzieli w śmiałym wystąpieniu księcia Baudoina zapowiedź powrotu do dni dawnych, kiedy to potomkowie Elui otwarcie szukali rozkoszy i rady sług Naamy. Dowiedziałam się, że Baudoin był siostrzeńcem króla, synem księżnej Lyonetty, żony Marka, diuka de Trevalion. Miał tylko dziewiętnaście lat, ale już otaczała go sława hulaki – został zawieszony w prawach studenta na Uniwersytecie Tyberyjskim właśnie za nieopisanie dzikie wybryki.

Poza tym wiedziałam niewiele. Hiacynt powtórzył mi plotkę krążącą po Progu Nocy, a dotyczącą typowania odtwórcy roli Księcia Słońce. Podobno, na pozór wbrew wszelkim szansom powodzenia, dwie osoby postawiły na Baudoina de Trevalion. Nikt – nawet Hiacynt – nie wiedział, do czyjej kieszeni trafiły wysokie wygrane. Wszyscy inni gracze stracili pieniądze, więc siłą rzeczy w tę Najdłuższą Noc wygrani znacznie się wzbogacili.

Kiedy chłód zimy zaczął niechętnie ustępować wilgotnemu ciepłu wiosny i mgiełka zieleni otuliła korony drzew, skończyłam dziesiąty rok życia.

Dla dzieci Dworu Nocy dziesiąte urodziny są wspaniałą i poważną uroczystością. W tym dniu jubilat przenosi się z pokoju dziecinnego do kwatery tych szczęśliwych wychowanków, którzy już osiągnęli odpowiedni wiek i zostali wprowadzeni w tajemnice Naamy. Jako uczeń przybiera za nazwisko nazwę swojego Domu, a następnie pije rozcieńczone wino i ceremonialnie zjada złamany pierniczek na uroczystości, w której biorą udział wszyscy adepci.

Mnie to nie było dane.

Zamiast tego zostałam posłana do salonu duejny, gdzie uklękłam *abeyante* na poduszce. Cekał na mnie Anafiel Delaunay z duejną i jej zastępcą Jarethem. Duejną postarzała się i stała się bardziej zgryźliwa. Zerkając spod opuszczonych rzęs, zauważyłam, że gdy podnosiła dokumenty, drżała jej ręka, pokryta siatką niebieskawych żyłek.

– Wszystko się zgadza – powiedział Jareth, uspokajająco poklepując jej dłoń. Rzucił zniecierpliwione spojrzenie w stronę drzwi, gdzie kanclerz Domu czekał z oficjalną pieczęcią gildii.– Musisz tylko podpisać, a Fedra odejdzie z panem Delaunayem.

– Powinnam zażądać więcej! – powiedziała gderliwie duejną, głośniej niż zamierzała, jak często bywa u starszych osób. Anafiel Delaunay położył rękę na mojej głowie i pogładził loki. Odważyłam się podnieść wzrok i zobaczyłam, że uśmiecha się krzepiąco. Duejną drżącą ręką złożyła podpis, a kanclerz przysunął się ze świeczką i lakiem. Przybił na dokumentach oficjalną pieczęć, która poświadczała, że transakcja została przeprowadzona zgodnie z prawem Gildii Sług Naamy.

– I po krzyku. – Jareth skłonił się ze złożonymi dłońmi, czubkami palców dotykając ust. W owym czasie z byłego powodu tryskał wesołością, u podłoża której leżało przekonanie, że już

niedługo obejmie urząd duejną Domu Cereusa. – Niech Naama błogosławi twojemu przedsięwzięciu, panie Delaunay. Było nam bardzo miło.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Delaunay lekkim tonem, odwzajemniając ukłon, choć nie jak równemu sobie. – Miriam, życzę ci zdrowia – rzekł do duejny, poważniejąc.

– Ba. – Nie zwracając na niego uwagi, przywołała mnie ruchem dłoni. – Fedro. – Podniosłam się z gracją, jak mnie nauczono, i uklękłam przy jej fotelu. Nagle opadł mnie strach, że wszystko odwoła. Ale jej sucha, drobna ręka pogładziła mnie po policzku, a oczy, nie mniej stalowe za przysłaniającym je bielmem, znalazły moją twarz. – Powinnam zażądać więcej – powtórzyła niemal życzliwie.

Podobno pieniądze są jedną z nielicznych przyjemności, które nie przemijają, i zrozumiałam, że na przekór wszystkiemu było to z jej strony swego rodzaju błogosławieństwo. Z wielką czułością pomyślałam o tej kobiecie, która przygarnęła mnie, gdy rodzona matka postanowiła się mnie pozbyć, i schyliłam głowę, poddając się pieszczocie jej dłoni.

– Fedro – powiedział łagodnie Delaunay, a ja przypomniałam sobie, że mam już nowego pana, i wstałam posłusznie. Delaunay uśmiechnął się uprzejmie do Jaretha. – Każ zanieść jej rzeczy do mojego powozu.

Jareth skłonił się.

Tak oto opuściłam Dom Cereusa i Dwór Nocy, w którym się urodziłam.

Na dziedzińcu czekała elegancka dwukółka zaprzęzona w cztery urodziwe, pełnokrwiste gniadosze. Adept przyniósł rzeczy, które mogłam nazwać swoimi – czyli prawie nic – a stangret utknął je za pudłem powozu.

Delaunay wsiadł pierwszy i poklepał aksamitną poduszkę, wskazując mi miejsce. Przez okno machnął ręką stangretowi, a gdy konie ruszyły z kopyta, usadowił się wygodnie i częściowo zaciągnął zasłonki.

Sama nie wiem, czego się spodziewałam.

Siedziałam jak na szpilkach, czekając i zastanawiając się.

Nic się nie działo. Delaunay nie zwracał na mnie uwagi, nucąc pod nosem i wyglądając przez przysłonięte okno. Po jakimś czasie zmęczyło mnie to czekanie nie wiadomo na co i przysunęłam się do okna po mojej stronie, odchylając zasłonkę.

We wczesnym dzieciństwie zjeździłam kawał świata, ale od czwartego roku życia nie byłam dalej niż w Progu Nocy. Przesuwający się za oknem widok Miasta Elui sprawił mi dużą przyjemność. Ulice lśniły czystością, parki były gotowe na przyjęcie wiosny, a domy i świątynie radośnie pięły się ku niebu. Wjechaliśmy na most i moje serce zaśpiewało z radości, gdy ujrzałam jasne żagle statków handlowych.

Znaleźliśmy się w eleganckiej dzielnicy, niedaleko pałacu, choć na przedmieściach. Przez wąską bramę wjechaliśmy na niewielki dziedziniec. Stangret zatrzymał konie i zsunął się z kozła, żeby otworzyć drzwiczki. Delaunay wysiadł, a ja się zawahałam, niepewnie patrząc nad jego ramieniem na skromną, ale elegancką rezydencję miejską.

Drzwi się otworzyły i z domu wybiegł ktoś niewiele większy ode mnie, a po paru krokach zwolnił do bardziej statecznego tempa.

Z głębi powozu patrzyłam na najpiękniejszego chłopca, jakiego widziałam w swoim życiu.

Miał białe włosy; tym, którzy nie mieli okazji poznać Alcuina, z chęcią powiem, że były bielsze niż futro śnieżnego lisa,

spływające na ramiona niczym rzeka jedwabiu w poświęceniu księżycy. Ktoś mógłby powiedzieć, że Alcuin był albinosem – i rzeczywiście, skórę miał nadzwyczaj jasną, ale oczy ciemne jak bratki o północy. Choć wychowałam się wśród pereł piękna, westchnęłam z zachwytem. Chłopiec z niecierpliwością wyrzwał zza Delaunaya i w jednej chwili miły, promienny uśmiech rozjaśnił jego ciemne oczy.

Do tej chwili nie pamiętałam, że Delaunay ma już jednego ucznia.

– Alcuinie. – Usłyszałam czułość w jego głosie i żołądek podjechał mi do gardła. Położył mu rękę na ramieniu i odwrócił się do mnie. – To Fedra. Przywitaj się z nią.

Niezdarnie wysiadłam z powozu; chłopiec ujął moje dłonie w chłodne, gładkie ręce i pocałował mnie na powitanie.

Dostrzegłam kpiarski uśmieszek Delaunaya.

Z domu wyszedł sługa w liberii, żeby zapłacić stangretowi i zabrać mój tobołek, i Delaunay łagodnie popchnął nas ku drzwiom. Alcuin wciąż trzymał mnie za rękę, pociągając lekko.

Dom Delaunaya był urządony wygodnie i ze smakiem. Drugi sługa powitał nas ukłonem, na co ledwie zwróciłam uwagę. Alcuin puścił moją rękę i pobiegł w głąb domu, oglądając się na mnie z szybkim, życzliwym uśmiechem. Już go nienawidziłam za to, co wiedział o naszym wspólnym panu. Przeszliśmy przez kilka pokoi na wewnętrzny dziedziniec z ogrodem, gdzie szemrała fontanna, a zazieleniona winorośl rzucała cienie na kamienne płyty. Była tam nisza z posągami Elui oraz stół zastawiony mrożonymi melonami i bladymi winogronami.

Alcuin okręcił się dokoła, wznosząc ręce.

– Dla ciebie, Fedro! – zawołał ze śmiechem. – Witaj! – Opadł na jedną z sof ustawionych w kręgu, objął ramiona rękami i błysnął

zębami w szerokim uśmiechu.

Służący dyskretnie wsunął się na dziedziniec, by nalać schłodzonego wina Delaunayowi, a Alcuinowi i mnie chłodnej wody.

– Witaj. – Delaunay z uśmiechem spełnił toast, oceniając moją reakcję. – Siadaj. Jedz. Pij.

Wzięłam kawałek melona i przycupnęłam na brzeżku sofy, obserwując obu, w oczywisty sposób speszona tym, że nie wiedziałam, na czym ma polegać moja rola. Delaunay z rozbawioną miną oparł się nałokciu, Alcuin wziął z niego przykład, wesoły jak szczygieł. Odruchowo rozejrzałam się w poszukiwaniu poduszek do klękania. Nie znalazłam ani jednej.

– W moim domu, Fedro, nie robimy ceremonii ze wstawaniem czy klękaniem – rzekł Delaunay uprzejmie, odgadując moje myśli. – Jedną rzeczą jest grzeczność wobec starszych wiekiem i urzędem, a zupełnie inną traktowanie ludzi jak sprzęty.

Spojrzałam mu w oczy.

– Jesteś właścicielem mojej marki – powiedziałam bez ogródek.

– Tak. – Obrzucił mnie tym swoim szacującym spojrzeniem. – Ale nie ciebie. I kiedy pewnego dnia twoja marka zostanie ukończona, będziesz wspominać mnie jako tego, kto cię wyniósł, a nie zrzucił. Rozumiesz?

Skubnęłam guzik aksamitnej tapicerki sofy.

– Lubisz, panie, gdy ludzie są ci winni przysługi.

Po chwili ciszy zaniósł się tym szczekliwym śmiechem, który słyszałam wcześniej, a Alcuin mu zawtórował.

– Tak – powiedział z zadumą. – Można tak to ująć. Choć lubię także uważać się za humanistę w najlepszej tradycji Błogosławionego Elui. – Wzruszył ramionami, porzucając temat

w swój nonszalancki sposób. – Powiedziano mi, że opanowałaś podstawy języka caerdicci.

– Przeczytałam wszystkie dzieła Tellikosa Starszego i połowę Młodszego! – odparłam, zezłoszczona jego postawą. Nie wspomniałam o poezji Felice Dolophilusa.

– Dobrze. – Nie był wstrząśnięty, to pewne. – W takim razie nie jesteś zbyt opóźniona w stosunku do Alcuina. Możecie razem brać lekcje. Znasz inne języki? Nie? Mniejsza z tym. Kiedy się zadamowisz, zaczniesz lekcje skaldyjskiego i cruithne.

Zakreśliło mi się w głowie. Podniosłam kawałek melona i odłożyłam i go z powrotem na talerz.

– Panie, czy nie jest twoją wolą... – zaczęłam, starannie dobierając słowa – żebym przygotowała się do służby Naamie?

– Aha, to. – Machnął ręką, bagatelizując zasady Dworu Nocy. – Słyszałem, że umiesz śpiewać i znośnie grasz na harfie. Duejna mówi, że masz także ucho do poezji. Wynajmę guwernera, żeby kształcił cię w tych dziedzinach, dopóki nie wejdiesz w swoje lata i sama nie zdecydujesz, czy chcesz służyć Naamie. Ale są także inne, ważniejsze sprawy.

Wyprostowałam się.

– Sztuki salonu są najważniejsze, panie!

– Nie. – Jego szare oczy zalśniły. – Są cenne, Fedro, to wszystko. Ale myślę, że polubisz to, czego chcę cię nauczyć. Nauczysz się patrzeć, widzieć i myśleć, a korzyści wyniesione z tych lekcji będą ci służyć do końca życia.

– Chcesz nauczyć mnie tego, co już umiem – burknęłam ponuro.

– Czyżby? – Delaunay odchylił się na oparcie sofy i wsunął winogrono do ust. – Opowiedz mi zatem o powozie, którym tu przyjechaliśmy. Opisz go, Fedro.

– Był czarny. – Łypnęłam na niego wrogo. – Zaprzężony w czwórkę dobranych gniadoszy. Miał czerwony aksamit na siedzeniach, złotą lamówkę na zasłonach i atłasowe pasy naścianach.

– Dobrze. – Zerknął na Alcuina. – A ty...?

Chłopiec usiadł ze skrzyżowanymi nogami.

– Był to powóz do wynajęcia – powiedział bez namysłu – ponieważ nie miał insygniów na drzwiczkach i stangret nosił nie liberię, lecz zwyczajne ubranie. Zaprzęg pochodził z zamożnego zajazdu, na co wskazują zadbane i dobrane konie. Nie były spienione, więc zapewne wynajęłaś je w Mieście. Stangret miał od osiemnastu do dwudziestu dwóch lat. Wnosząc z fasonu kapelusza, wychował się na wsi, ale przebywa w Mieście na tyle długo, żeby nie pytać o drogę ani nie gryźć monety, kiedy płaci mu dżentelmen. Nie wiozł innych pasażerów i odjechał od razu, sądzę więc, panie, że byłeś dziś jego jedynym klientem. Gdyby zależało mi na poznaniu twojej tożsamości i charakteru sprawy, w jakiej jeździłaś, nietrudno byłoby znaleźć oraz wypytać stangreta.

Jego ciemne oczy zaśmiały się z zadowolenia; nie było w nich złośliwości. Delaunay uśmiechnął się do niego.

– Lepiej – powiedział i popatrzył na mnie. – Rozumiesz?

Wymruczałam coś, sama nie wiem co.

– Takiemu szkoleniu zostaniesz poddana, Fedro – podjął surowszym tonem. – Nauczę cię patrzeć, widzieć i myśleć o tym, co widzisz. Na balu zapytałaś mnie, czy rozpoznałem cię po oczach, a ja zaprzeczyłem. Nie musiałem widzieć plamki w twoim oku, by poznać, że to ciebie trafiła Strzała Kusziela. Zdradzała to każda linia twojego ciała, gdy patrzyłaś na dominatriksów z Domu Mandragory. Nosisz ten znak ku chwale

Elui i jego Towarzyszy, w których żyłach płynie ta sama krew, co w twoich. W swoim czasie sama dokonasz wyboru, ale pojmię, moja słodka, że dopiero stoisz na początku drogi. Czy teraz rozumiesz?

Jego rysy odznaczały się wyjątkową szlachetnością, kiedy przybierał swą surową, poważną minę. Wyglądał wówczas jak uwieczniony na portrecie antenat prowincjonalnego arystokraty, którego ród w nieprzerwanej linii biegnie od jednego z Towarzyszy Elui.

– Tak, panie – odparłam, wielbiąc go za tę urodę. Jeśli Anafiel Delaunay zechce, żebym kładła się w karczmach jak Naama, zrobię to, byłam pewna... dla niego stanę się nawet instrumentem, na którym będą grać skrzypkowie z Mandragory. Nagle wspomniałam słowa wypowiedziane przez niego w Najdłuższą Noc i mój umysł dokonał powiązania z taką samą łatwością, z jaką niemowlę znajduje pierś matki. – Panie, czy postawiłeś w Progu Nocy, że Baudoin będzie Księciem Słońce? – zapytałam.

Znowu nagrodził mnie niespodziewanym wybuchem śmiechu, tym razem dłuższym, niepoohamowanym. Alcuin szczyrzył zęby i klepał się po kolanach z radości. Wreszcie Delaunay zapanował nad śmiechem, wyjął chustkę z kieszeni i otarł załzawione oczy.

– Ach, Fedro – powiedział, westchnąwszy. – Miriam miała rację. Powinna zażądać więcej.

SIEDEM

Tak oto zaczęły się długie lata nauki u Anafiela Delaunaya, nauki patrzenia, widzenia i myślenia. Gdyby ktoś sądził, że spędzałam czas wyłącznie na takich błahostkach, jak rozglądanie się i zwracanie uwagi na otoczenie, to spieszę zapewnić, iż zadanie to zaliczało się do najłatwiejszych, aczkolwiek nie najmniej ważnych.

Zgodnie z przykazaniem Delaunaya studiowałam języki: caerdicci, dopóki nie nauczyłam się mówić nim w snach, cruithne (choć nie widziałam potrzeby) i skaldyjski, przywodzący mi na myśl tamtego najemnika, który mianował się moim strażnikiem na kupieckim szlaku. Alcuin, jak się okazało, biegle władał tym ostatnim, bo wyssał go z mlekiem mamki. To ona wyratowała go z zasadzki urządzonej przez jej współplemieńców i oddała na wychowanie Delaunayowi, o tym jednak dowiedziałam się później.

Poza językami musieliśmy się uczyć historii. Przerobiliśmy dzieje cywilizacji od złotego wieku Hellady po powstanie, rozwój i upadek Tyberium, rozdartego przez bliźniaczych pretendentów do tronu. Jeszuici wierzyli, że nadejście Mesjasza zwiastowało spełnienie proroctwa o upadku cesarstwa Tyberium i przywróceniu tronu Bogu Jedynemu; historycy byli zdania, że większą rolę odegrało odejście jeszuickich finansistów z miasta Tyberium. Nadwerżony skarb spowodował rozpad cesarstwa na luźno związane republiki, które dziś tworzą Caerdicca Unitas.

Drugi cios, nie mniej silny, uderzył w ongiś potężne armie

tyberyjskie na zielonej wyspie Albie, kiedy spośród zwalczających się frakcji wyłonił się plemienny król Cinhil ap Domnall, powszechnie znany jako Cinhil Ru, któremu udało się zawrzeć traktat z Dalriadami z Eire i zjednoczyć plemiona przeciwko armiom cesarza. W ten sposób władza nad wyspą raz na zawsze trafiła w ręce Cruithnów, przez uczonych zwanych Piktami. Jest to lud dziki, na wpół cywilizowany, i dlatego nie widziałam potrzeby uczenia się tego języka.

Po opuszczeniu Alby tyberyjscy żołnierze rozpoczęli odwrót, który już nie miał końca; z terytoriów skaldyjskich wypędzili ich berserkowie, czyli wpadający w szal bojowy wojownicy, oraz – jak chce legenda – duchy kruka i wilka.

Na kanwie tego zlanego krwią gobelinu dzieje Terre d'Ange snuły się niczym lśniąca złota nić. Spokojna ziemia chętnie rodziła owoce i kwiaty w blasku błogosławionego słońca. Delaunay powiedział, że przed przybyciem Elui nie mieliśmy własnej historii. Ustąpiliśmy z wdziękiem przed żołnierzami Tyberium, którzy zjadali nasze winogrona i oliwki, żenili się z naszymi kobietami i bronili naszych granic przed Skaldami. My odprawialiśmy drobne rytuały, zachowując własny język i pieśni. Kiedy armie Tyberium odpłynęły jak fale powodzi, w powstałą pustkę wkroczył wędrujący Elua, a nasza ziemia przyjęła go niczym oblubieńca.

Tak oto powstała Terre d'Ange, tak oto zyskaliśmy historię i dumę. W ciągu sześciu dziesiątków lat Elui jego Towarzysze rozproszyli się, naznaczając swoim świętym piętnem ziemię i jej mieszkańców. Sam Błogosławiony Elua nie rościł sobie prawa do żadnej części kraju, zadowalając się wędrowkami: pielgrzymujący oblubieniec rozmiłowany we wszystkim, co widział. Zatrzymywał się na dłużej tylko w Mieście, które z tego

powodu jest umiłowaną przez naród koroną wszystkich miast, jednakże robił to nieczęsto.

To wszystko nie było mi obce, lecz pod kierunkiem Delaunaya nauka wyglądała inaczej: on nie snuł historii, tylko przedstawiał historię. Dowiedziałam się również, że opowieść gawędziarza może się kończyć, ale historia nie ma końca. Dawne, legendarne wydarzenia nadal odgrywają rolę w kształtowaniu tych, które dzieją się na naszych oczach. Delaunay powiedział, że skoro to zrozumiałam, to potrafię zrozumieć także inne rzeczy.

A wyglądało na to, że muszę zrozumieć dosłownie wszystko. Gdy zaczęłam zapuszczać się w labirynt dworskiej polityki, szczerze zatęskniłam za życiem pod kloszem, jakie wiodłam w Dworze Nocy. Alcuin uczył się tego wszystkiego od ponad dwóch lat i bez trudu mógł wyrecytować rodowód diuków każdego z siedmiu suwerennych księstw, powikłaną genealogię rodziny królewskiej, obowiązki ministra skarbu, kompetencje władzy sądowniczej, a nawet statut Cechu Kupców Korzennych.

Pogardzałam nim za to i za wiele innych rzeczy, muszę jednak przyznać, że również go kochałam. Niepodobna było nie darzyć miłością Alcuina, który miłował niemal cały świat. Komuś, kto wychował się w Dworze Nocy, może wydawać się to mało prawdopodobne, ale naprawdę był nieświadomy swojego piękna, które z wiekiem stawało się coraz bardziej uderzające. Poza urodą miał chłonny, błyskotliwy umysł i wybitną pamięć, czego mu zazdrościłam, a jednak nie przechwalał się swoją inteligencją – cieszył się tylko, że sprawia przyjemność Delaunayowi.

Kiedy Delaunay podejmował gości, a w owym czasie zdarzało się to często, Alcuin służył przy stole. Spotkania te, kulturalne i poświęcone uczonym dysputom, różniły się ogromnie od przyjęć i balów wyprawianych przez Dom Cereusa. Z reguły Delaunay

zapraszał wąskie grono znajomych, którzy na helleńską modłę układali się na sofach na wewnętrznym dziedzińcu, by cieszyć podniebienia smakiem wykwintnych potraw i spędzać wieczory na przyjemnych, pouczających rozmowach. Alcuin podawał wino albo likier; w głębi duszy gardziłam nim z powodu braku finezji, muszę jednak przyznać, że wyglądał czarująco, gdy z wrodzonym wdziękiem krążył wokół stołu, a ruchliwe cienie winorośli pomykały po jego księżycowe białych włosach. Kiedy z poważnym uśmiechem podchodził z dzbanem wina, goście podsuwali kielichy choćby tylko po to, żeby zobaczyć światło zadowolenia w jego ciemnych oczach.

Oczywiście działało się to zgodnie z zamysłami Delaunaya i nie wątpię, że uśmiech Alcuina rozwiązał niejednen język. Nigdy nie poznałam osoby bardziej wyrafinowanej niż Anafiel Delaunay. Gdyby jednak ktoś w oparciu o podobne przykłady stwierdził, że wykorzystywał nas, w ogóle się z nami nie licząc, to powiem krótko: wierutne kłamstwo. Zaręczam, kochaliśmy go oboje, każde na swój sposób, i nie mam cienia wątpliwości, że Delaunay także nas miłował. Miałam tego dowody, choć w owym czasie niewiele z nich witałam z radością.

Co do gości, byli najrozmaitsi i tak od siebie różni, że wręcz trudno uwierzyć, by jeden człowiek mógł mieć tak wielu znajomych z tylu warstw społeczeństwa. Delaunay układał listy gości nadzwyczaj starannie i nigdy nie widziałam, by jakieś osoby źle się czuły w dobranym towarzystwie, chyba że takie miał intencje. Znał urzędników dworskich i sędziów, arystokratów i arystokratki, armatorów i kupców, poetów, malarzy i lichwiarzy. Znał śpiewaków, wojowników i złotników, hodowców najlepszych koni, uczonych i historyków, kupców jedwabnych i milionerów. Znał potomków Błogosławionego Elui

i jego Towarzyszy oraz członków najwybitniejszych rodów.

Dowiedziałam się, że jego wielkim przyjacielem był Gaspar Trevalion, hrabia de Fourcay i krewniak Marka, diuka de Trevalion. Bystry, cyniczny mężczyzna ze smugami siwizny na skroniach, umiał przewidywać zmianę kierunku wiatrów politycznych i wiedział, w którą powieją stronę. Niewątpliwie to on powiedział Delaunayowi, że księżna Lyonetta wsadzała w ucho syna – księcia Baudoina – wieści o niedołączeniu króla i o pustym tronie oraz wnioski, jakie ludzie mogli wysnuć z symbolicznych zaślubin na Zimowym Balu Maskowym.

Takie rzeczy mnie otaczały i stanowiły część mojego codziennego życia, a jeśli czegoś sama nie zauważyłam, dowiadywałam się o tym później, kiedy Delaunay prosił Alcuina o sprawozdanie z wypadków danego wieczoru. Zawsze pilnował, żebym była obecna przy tych rozmowach, co powiększało zasób informacji w mojej już i tak pękającej od nich głowie. Przez długi czas nie mogłam się pogodzić z myślą, że faworyzował Alcuina, chociaż to ja byłam wyszkolona do usługiwania przy stole, lecz mimo to słuchałam.

Później zrozumiałam, dlaczego trzymał mnie na uboczu w czasie tych pierwszych długich lat. Kandydatów na klientów wybierał z niezwykłą pieczołowitością. Stanowili elitę – nieufną, gdyż ich także nie darzono zaufaniem – a poza tym byli zbyt mocno uwikłani w sieci finansów i władzy, by z ochotą wyjawiać sekrety. Pokazując im Alcuina, Delaunay wprowadził w ruch koła pożądania na długo przed dniem, w którym mogli się o niego ubiegać. Nie brakowało takich, którzy pragnęli go od lat, obserwując, jak z pięknego dziecka przeobraża się z dręczącą powolnością w młodzieńca o zapierającej dech urodzie. Kiedy wyznawali swoje sekrety, nie czynili tego pod wpływem impulsu,

lecz bezustannego naporu pożądania, niczym fala, która przerywa tamę, ale przecież nie pierwsza ją nadwątlila.

W moim przypadku miało być inaczej. Żądze, które wzbudzałam – które miałam wzbudzać – płonęły goręcej i były znacznie bardziej wybuchowe. Delaunay, znawca natury ludzkiej, dobrze o tym wiedział i dlatego postanowił nie ujawniać mnie światu. Rozeszły się wieści, co było do przewidzenia, że ma drugiego ucznia, ale kiedy goście prosili, żeby mnie przedstawił, nieodmiennie odmawiał. Tym sposobem, gdy wśród kałamarzy i pergaminów mozolnie brnęłam ku wiekowi dojrzewania, moja sława zataczała coraz szersze kręgi.

Był jednak jeden wyjątek: Melisanda.

Geniusz potrzebuje widowni. Mimo całej swojej przebiegłości Delaunay był artystą i jak każdy artysta pragnął pochwalić się swoim błyskotliwym kunsztem. A muszę powiedzieć, że bardzo niewielu ludzi było w stanie go docenić. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jak misterną grę prowadzili między sobą ani jaką rolę ja w niej odgrywałam. Wiedziałam tylko, że wybrał ją na widza.

Mieszkałam w domu Anafiela już trzy i pół roku i przez pewien czas ćwiczyłam pod kierunkiem akrobata, Elua wie gdzie wynalezionego przez Delaunaya. Nasz pan był zwolennikiem doktryny harmonijnego rozwoju, dlatego razem z Alcuinem wykonywaliśmy niezliczone ćwiczenia fizyczne, które miały zapewnić, że nasze wyostrzone do perfekcji umysły będą mieszkać w równie perfekcyjnych ciałach.

Skończyłam akurat lekcję poświęconą robieniu przewrotów i wycierałam pot ręcznikiem, kiedy Delaunay wszedł z Melisanda do sali gimnastycznej. Akrobata, który pakował swoje rzeczy, na jej widok wycofał się w pośpiechu, na co Delaunay nie zwrócił

uwagi.

Opisanie wyglądu Melisandy Szachrizaj przypomina, jak powiadają poeci, próbę oddania pędzlem pieśni słowika: jest rzeczą niemożliwą. W owym czasie miała dwadzieścia trzy lata, lecz jej uroda była ponadczasowa. Jeśli powiem, że jej skóra przypominała alabaster, że szafiry mogłyby pozazdrościć blasku jej oczom i że w głębokiej czerni włosów światło zapalało granatowe błyski, nie minę się z prawdą, ale trzeba pamiętać, że Melisanda była D'Angelina i moje słowa tylko sugerują jej piękno.

– Melisando, to Fedra – powiedział Delaunay z dumą i rozbawieniem w głosie.

Jestem D'Angelina i urodziłam się w Dworze Nocy, możecie więc być pewni, że niełatwo ulegam urokowi piękna, ale ponieważ jestem tym, kim jestem, inne rzeczy wprawiają mnie w zachwyt. Szachrizaj to starożytny ród dworzan i wiele osób nie obznajomionych z nazewnictwem Terre d'Ange uważa, że wywodzą się od Szamchazaj. Wcale nie. Linie potomków Towarzyszy Elui splatają się w taki sposób, że tylko uczony d'Angeliński genealog potrafi je rozwikłać.

Ponieważ uczyłam się dostrzegać takie rzeczy, nie potrzebowałam sięgać do źródeł historycznych, żeby określić genealogię rodu Szachrizaj. Kiedy grzecznie uniosłam głowę, żeby spojrzeć w błękitne oczy Melisandy, jej wzrok przeszył mnie niczym włócznia. Kolana mi zadrzały i od razu wiedziałam, że jest potomkinią Kusziela.

– Urocza. – Swobodnym krokiem przemierzyła salę, podtrzymując tren sukni w zgięciu łokcia. Jej chłodne palce przesunęły się po moim policzku, pomalowane paznokcie lekko musnęły skórę. Zadrzałam. Z nieznacznym uśmiechem uniosła

moją brodę, zmuszając mnie do spojrzenia jej w oczy. – Anafielu... – rzekła lekkim tonem, rozbawiona, odwracając się w jego stronę – znalazłeś prawdziwą *anguisette*.

Roześmiał się, podchodząc do nas.

– Pomyślałem sobie, że zaakceptujesz mój wybór.

– Hmm. – Puściła mnie, a ja niemal upadłam na podłogę. – Zastanawiałam się, co ukrywasz, kuglarzu. Znam takich, którzy postawili spore sumy na swoje domysły.

Delaunay pogroził jej palcem.

– Mamy umowę, Melisando. Czy chcesz, żeby kuzyn Ogier dowiedział się, dlaczego jego syn w ostatniej chwili odwołał wesele?

– Ja tylko... myślę na głos, skarbie. – Pieszczotliwie pogładziła go po policzku, tak jak przed chwilą mnie. Delaunay uśmiechnął się leciutko. – Nie zapomnij o mnie, Anafielu, kiedy uznasz, że nadszedł czas, by zaczęła służyć Naamie. – Ze słodkim uśmiechem odwróciła się w moją stronę. – Bo pragniesz służyć Naamie, prawda, moje dziecko?

Jej uśmiech przyprawił mnie o drżenie i w końcu zrozumiałam, co Delaunay miał na myśli, kiedy powiedział, że nie musiał widzieć moich oczu. Wspomnienie chłosty z rozkazu duejny oraz adeptów Domu Mandragory bladło w porównaniu z wyrafinowanym okrucieństwem malującym się w tym uśmiechu. Chciałabym powiedzieć, że ujrzałam wówczas rozciągający się przed nami długi korytarz wypadków i rolę, jaką miałam w nich odegrać, oraz czekające mnie upokorzenia, byłoby to jednak kłamstwo. Nie pomyślałam niczego w tym rodzaju. Zapomniawszy o manierach i o długim szkoleniu w Dworze Nocy, po prostu bezwstydnie pławiłam się w jej szafirowym spojrzeniu.

– Tak, pani – szepnęłam w odpowiedzi.

– To dobrze. – Nie zwracając już na mnie uwagi, ujęła Delaunaya pod rękę i poprowadziła go ku drzwiom. – Jest pewna drobna sprawa, którą chciałabym z tobą omówić...

Tak wyglądało moje pierwsze spotkanie z Melisandą Szachrizaj, która subtelnością umysłu dorównywała Delaunayowi, lecz w przeciwieństwie do niego miała lodowate serce.

OSIEM

– A tutaj – mówił Delaunay, wyciągając rękę – leży twierdza hrabiego Michela de Ferraut, który ma pod sobą sześciuset żołnierzy i strzeże granicy na Przełęcz Daleki Widok.

Historia, polityka, geografia... lekcje nie miały końca.

Zgodnie z Diasporą Towarzyszy ziemie Terre d'Ange są podzielone na siedem prowincji, którymi z Miasta – dla upamiętnienia Błogosławionego Elui – włada król albo czasami królowa.

Łagodna Ejszet udała się na południowe wybrzeże, ulubione przez marzycieli i żeglarzy, uzdrowicieli i kupców, a także przez tysiące ptaków oraz nieokrzesanych kawalerów ze słonych bagien. Jej prowincja zwie się Eisanda i jest najmniejsza ze wszystkich. Zamieszkują ją również Cyganie, przez nikogo nie niepokojeni.

Na południe, do górskich granic z Aragonią, z którą od dawna żyjemy w pokoju, powędrowała także Szamchazaj. Ta prowincja nazywa się Siovale i słynie z wielkich tradycji naukowych, bo Szamchazaj zawsze ceniła wiedzę.

W głębi lądu na północ od Siovale leży L'Agnace, bogata w winogrona prowincja Anaela, czasami zwanego Gwiazdą Miłości. Wzdłuż niej na skalistym wybrzeżu aż do Pointę d'Oeste rozciąga się prowincja Kuszet, ziemia Kusziela, okrutna i surowa jak ten, od którego otrzymała imię.

Dalej na północ znajduje się nadmorska Azalia, z brzegu której w jednym miejscu widać białe klify Alby. Gdyby nie fakt, że

dzielącymi je wodami rządzi Pan Cieśniny, Azalia i Alba mogłyby zawiązać potężne i groźne – przymierze. Tej prowincji poświęciłam szczególną uwagę, bo tam leży udzielne księstwo Trevalion, a moje serce wciąż biło szybciej na wspomnienie pocałunku Baudoina de Trevalion.

Na południe od Azalii jest położona Namarra, gdzie mieszkała Naama, i jest to kraina wielu rzek, bardzo piękna i żyzna. W miejscu, gdzie spod ziemi biją źródła rzeki Naamy, stoi świątynia i wszyscy jej słudzy choć raz w życiu odbywają do niej pielgrzymkę.

Na wschodzie, sąsiadując z terytoriami skaldujskimi, rozciąga się długa, wąska prowincja Kamlach, gdzie wojowniczy Kamael urządził swój dom i stworzył pierwsze armie złożone z bystrych, bitnych D’Angelinów, którzy od tamtej pory bronią kraju przed najezdami.

Taka, dowiedziałam się od Delaunaya, jest natura mojej ojczyzny i podziału władzy. Powoli zaczęłam rozumieć te podziały i ich konsekwencje; każda prowincja do pewnego stopnia odzwierciedla charakter swego anielskiego założyciela. Kasjel jako jedyny spośród Towarzyszy Elui nie zajął prowincji, tylko trwał wiernie u boku wędrującego pana. Miał w kraju tylko jedną instytucję swojego imienia, Bractwo Kasjelitów, zakon mnichów, którzy ślubowali posłuszeństwo jego nakazom. Są one równie rygorystyczne jak służba Naamie i o wiele bardziej surowe, być może więc dlatego zakon nie cieszy się popularnością. Tylko najstarsze prowincjonalne rody szlacheckie podtrzymują tradycję, przekazywaną z pokolenia na pokolenie, i posyłają najmłodszego syna do Bractwa Kasjelitów. Podobnie jak my, słudzy Naamy, oni też w wieku dziesięciu lat rozpoczynają właściwe szkolenie, ale dotyczy ono używania broni, a poza tym

bracia wiodą pełne wyrzeczeń, ascetyczne życie w celibacie.

– Rozumiesz, Fedro, dlaczego Kamlach zawsze odgrywał największą rolę strategiczną? – Palec Delaunaya przesunął się wzdłuż granicy na mapie.

Spojrzałam mu w oczy i westchnęłam.

– Tak, panie.

– Dobrze. – Palec uniósł się i zawisł w powietrzu. Delaunay miał piękne dłonie, z długimi, zwężającymi się palcami. – Tutaj, widzisz, odbyła się bitwa. – Wskazał miejsce w górzystym terenie. – Czy zwróciłaś uwagę, co wczorajszego wieczoru mówił handlarz żelazem? Skaldowie znów zapuścili się na przełęcz, po raz pierwszy od Bitwy Trzech Książąt.

W jego głosie pobrzmiwał smutek.

– W której poległ książę Roland – powiedziałam, przypominając sobie. – Delfin był jednym z trzech książąt.

– Tak. – Delaunay szorstkim gestem odsunął mapę. – A dwaj pozostali?

– Brat króla, Benedykt, i... – Bezskutecznie próbowałam sobie przypomnieć.

– Percy z L’Agnace, hrabia de Somerville, bliski kuzyn księcia Rolanda – podpowiedział cicho Alcuin. Z uśmiechem odgarnął białe włosy, które spadały mu na oczy. – Spokrewniony po kądzieli z królową Genevieve, co zgodnie z prawem matrymonialnym czyni go księciem krwi, choć rzadko wysuwa pretensje do tego tytułu.

Łypnęłam na niego gniewnie.

– Wiem.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się pojednawczo.

– Proszę o spokój. – Ton Delaunaya nie brzmiał ani trochę żartobliwie, a spojrzenie było ponure. – Drogo nas kosztowało to

zwycięstwo, Roland de la Courcel stracił życie. Był urodzonym władcą, po śmierci ojca z wdziękiem i siłą objąłby tron, i nikt nie ośmieliłby się wystąpić przeciw niemu. Za bezpieczeństwo granic zapłaciliśmy utratą stabilności w samym Mieście, a teraz na domiar złego możemy stracić to, co zyskaliśmy.

Odepchnął się od stołu i zaczął krążyć po bibliotece. W końcu przystanął przy oknie, patrząc w milczeniu na leżącą w dole ulicę. Alcuin i ja wymieniliśmy spojrzenia. Pod wieloma względami Delaunay był najłagodniejszym z panów, karcąc nas jedynie niemiłym słowem, i to tylko wtedy, kiedy naprawdę zasłużyliśmy, ale miał w sobie jakąś ciemność, która czasami wypływała na powierzchnię. My, którzy zważaliśmy na jego nastroje z pilnością większą od tej, z jaką rolnik obserwuje zmiany pogody, dość dobrze wiedzieliśmy, że nie należy przywoływać tej ciemnej strony.

– Byłeś tam, panie? – ośmieliłam się spytać.

Nie odwracając się od okna, bezdźwięcznym tonem odparł: – Gdybym tylko mógł go ocalić... Nie powinniśmy jechać konno, na tym polegał problem. Teren był zbyt trudny. Ale Rolanda zawsze cechowała popędliwość. Była to jego jedyna wada jako przywódcy. Prowadząc trzecią szarżę, za bardzo wysforował się do przodu, jego koń potknął się i upadł, a my zostaliśmy odcięci. Nie na długo... lecz Skaldowie zdążyli dokonać dzieła. – Z tą samą ponurą miną odwrócił się w naszą stronę. – Od takich drobiazgów zależy los cesarstwa. Ponieważ koń się potknął, połowa potomków Elui marzy o tym, żeby zostać księciem małżonkiem i objąć tron poprzez małżeństwo, a księżęta krwi, tacy jak Baudoin de Trevalion, planują sami okrzyknąć się władcami. Spiskują, mając na celu zdobycie korony. Zapamiętajcie to, moi drodzy, i kiedy sami będziecie planować,

róbcie to mądrze i przewidująco.

– Myślisz, że księżę Baudoin pragnie korony? – zapytałam ze zdziwieniem; po ponad trzech latach studiów nadal miałam kłopoty ze zrozumieniem układów, które zgłębiał Delaunay. Alcuin nie wyglądał na zaskoczonego.

– Nie, niezupełnie. – Delaunay uśmiechnął się cierpko. – Ale jest siostrzeńcem króla i myślę, że jego matka, nie bez powodu zwana Lwicą z Azalii, chciałaby zobaczyć, jak syn ją wkłada.

– Aha. – Zamrugałam, bo wreszcie zaczęłam pojmować sens poczynań Baudoina i obecności Delaunaya na Zimowym Balu Maskowym. – Panie, co to ma wspólnego ze skaldyjskimi najeźdźcami zza wschodniej granicy?

– Kto wie? – Wzruszył ramionami. – Być może nic. Trudno przewidzieć, jak wypadki rozgrywające się w jednym miejscu wpłyną na to, co się dzieje zupełnie gdzie indziej, bo gobelin historii jest utkany z wielu nici. Musielibyśmy prześledzić cały wątek i osnowę, żeby odgadnąć, jaki wzór powstanie na krosnach.

– Czy Skaldowie wtargną do naszego kraju? – zapytał Alcuin cicho, z błyskiem strachu w ciemnych oczach.

Delaunay uśmiechnął się ciepło i pogładził go po włosach.

– Nie – odparł z przekonaniem. – Są niezorganizowani jak plemiona Alby przed nastaniem Cinhila Ru, a przełęcz strzegą wojownicy miary hrabiego de Ferraut i diuka Maslina d'Aiglemort. Od czasu Bitwy Trzech Książąt wzmocnili siły, żeby podobna sytuacja już nigdy się nie powtórzyła. Ale to rzecz godna odnotowania, moi drodzy. Dobrze wiecie, o czym mówimy.

– Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej o wszystkim – wyrecytowałam. Znałam to na pamięć; jeśli Delaunay miał

dewizę, to z pewnością taką.

– W istocie. – Uśmiechnął się do mnie z aprobatą, a moje serce skoczyło z radości. – Idźcie się pobawić, zasłużyliście na chwilę wytchnienia – dodał, odprawiając nas.

Odeszliśmy, posłuszni jego słowu, choć bez większej chęci, bo rozstanie z nim sprawiało nam przykrość. Tym, którzy nie mieli okazji go poznać, powiem tylko tyle, że Delaunay budził uczucia w każdym, z kim miał do czynienia; uczucia dobre i złe, pozwolę sobie dodać, później bowiem poznałam takich, którzy nim gardzili. Ci jednak zaliczali się do kategorii zazdrośników, mających innym za złe doskonałość. Anafiel Delaunay wszystko robił z wdziękiem, jakiego brakuje większości ludzi na tym świecie. Przeciwnicy zwali go rajfurem, a później Kurwimistrzem Szpiegów, ja jednak znałam go lepiej od nich i mogę powiedzieć, że zawsze cechowała go niezwykła szlachetność, niezależnie od tego, co czynił.

Między innymi dlatego stanowił taką tajemnicę.

– To nie jest jego prawdziwe nazwisko – poinformował mnie Hiacynt.

– Skąd wiesz?

Błysnął białym uśmiechem, nadzwyczaj jasnym w przyćmionym świetle.

– Rozpytywałem. – Uderzył pięścią w chudą pierś. – Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o człowieku, który mi ciebie zabrał!

– Przecież wróciłam – odparłam łagodnie.

Delaunay, ku mojej wielkiej irytacji, był rozbawiony. Swoją pierwszą ucieczkę starannie zaplanowałam i przeprowadziłam w czasie, gdy przebywał na dworze. Przystudiowałam plan Miasta, wyszłam przez okno na piętrze, w chłopięcym ubraniu wykradzionym z garderoby Alcuina, i pobiegłam, sama i bez

pytania o drogę, do Progu Nocy.

Było to wspaniałe spotkanie. Dla uczczenia dawnych czasów zwędziliśmy nadziewane bułeczki ze straganu na rynku i biegiem pokonaliśmy całą drogę do Skrzyżowania Tercjusza, by kucnąć pod mostem i je zjeść, jeszcze ciepłe, z sokiem płynącym nam po brodach. Później Hiacynt zabrał mnie do gospody, w której zatrzymywali się wędrowni aktorzy. Wkroczył tam dumnie jak paw w przekonaniu, że zna mnóstwo plotek, za wysłuchanie których ten i ów skłonny będzie zapłacić. Aktorzy słyną z intryg, nawet bardziej niż adepci Dworu Nocy.

Podeksycytowana swoją przygodą, już czując dreszcz na myśl o konsekwencjach, prawie nie zwróciłam uwagi na ośmio- lub dziewięcioletniego chłopca, który przebił się przez tłum i szepnął coś Hiacyntowi na ucho. Po raz pierwszy zobaczyłam niezadowoloną minę przyjaciela.

– Mówi, że przysłał go człowiek w liberii – powiedział. – Brązowej i złotej, z liściem kukurydzy w herbie.

– Delaunay! – szepnęłam. Serce zamarło mi ze strachu. – To jego barwy.

Hiacynt skrzywił się ze złości.

– Jego człowiek czeka na zewnątrz przy powozie. Powiedział, żeby wysłać Ardila, kiedy będziesz gotowa do wyjścia.

Chłopiec energicznie pokiwał głową. W taki oto sposób dowiedziałam się, że Hiacynt zaczął tworzyć własną siatkę gońców w Progu Nocy oraz że Anafiel Delaunay wiedział nie tylko o moim zniknięciu, ale też o Hiacyncie i jego zajęciu.

Delaunay nigdy nie przestawał mnie zadziwiać.

Czekał na mnie, gdy wróciłam.

– Nie zamierzam cię ukarać – oznajmił bez wstępów. Nie wiem, jaką miałam minę, ale chyba był nią rozbawiony. Wskazał

krzesło naprzeciwko siebie. – Proszę, Fedro, usiądź.– Gdy to zrobiłam, wstał i zaczął krążyć po pokoju. Światło lamp lśniło na jego rdzawych włosach splecionych w smukły warkocz; takie uczesanie uwydatniało szlachetne rysy jego twarzy. – Czy myślisz, że nie wiedziałem o twojej skłonności do ucieczek? – zapytał, zatrzymując się przede mną. Pokręciłam głową. – Zajmuję się zbieraniem informacji, przy czym szczególną uwagę poświęcam tym, które dotyczą ludzi mieszkających pod moim dachem. Od strażników duejny dowiedziałem się tego, co ona sama wolała przemilczeć.

– Wybacz mi, panie! – zawołałam, przepełniona poczuciem winy. – Tak mi przykro!

Popatrzył na mnie z uśmiechem i usiadł.

– Ale zaledwie tak długo, dopóki będzie cię to bawić, moja droga. Wyrzuty sumienia, niezależnie jak wielkie, występują wyłącznie po fakcie, są więc wyjątkowo nieskutecznym czynnikiem zapobiegawczym.

Skonsternowana, pokiwałam głową.

Delaunay westchnął i założył nogę na nogę, przybierając poważny wyraz twarzy.

– Fedro, nie mam nic przeciwko twojemu ambitnemu młodemu przyjacielowi. Szczerze mówiąc, w tej dzielnicy możesz dowiedzieć się rzeczy, których nie usłyszysz nigdzie indziej. I... – błysk rozbawienia znowu zalśnił w jego oczach – w pewnej mierze nie mam nic przeciwko twojej skłonności do ucieczek oraz... – pochylił się, by skubnąć rękaw kaftana Alcuina – przebraniu. Ale samotnemu dziecku w Mieście grożą niebezpieczeństwa i nie mogę cię narażać. Dlatego, jeśli zapragniesz w czasie wolnym odwiedzić swojego przyjaciela, nie omieszkaj powiadomić Guya o swoich zamiarach.

Czekałam na ciąg dalszy.

– To wszystko?

– To wszystko.

Dokładnie przemyślałam jego słowa. Małomówny Guy służył Delaunayowi z ogromną lojalnością i był niezastąpiony w wypełnianiu różnych tajemniczych zleceń.

– Będzie mnie śledzić – powiedziałam wreszcie. – Albo każe to robić komuś innemu.

Delaunay uśmiechnął się.

– Bardzo dobrze. Próbuje wykryć jego obecność i uwolnić się od niej, masz na to moje błogosławieństwo. Jeśli zdołasz tego dokonać, Fedro, nie będę się musiał więcej o ciebie martwić. Ale masz go uprzedzać, ilekroć będziesz chciała wyjść poza teren posiadłości, obojętnie z jakiego powodu.

Jego zadowolona mina doprowadzała mnie do szału.

– A jeśli tego nie zrobię? – zapytałam, wyzywająco zadzierając głowę.

Przestraszyła mnie zmiana, która zaszła na jego obliczu, naprawdę przestraszyła, bez cienia miłego podniecenia. Jego oczy stały się zimne, a rysy stwardniały.

– Nie pochodzę z rodu Kusziela, Fedro, nie bawi mnie gra w nieposłuszeństwo i karę. Bardzo mi na tobie zależy i właśnie dlatego nie pozwolę ci narażać się dla dziecinnych kaprysów. Nie żądam ślepego posłuszeństwa, ale są pewne granice. Jeśli je przekroczysz, sprzedam twoją markę.

Możecie być pewni, że podporządkowałam się bez jednego słowa. Widziałam jego oczy; nie miałam wątpliwości, że mówił poważnie. W konsekwencji za każdym razem, gdy siedziałam z Hiacyntem w gospodzie albo w kuchni jego matki, gdzieś w pobliżu czuwał cichy, niewidoczny i niezawodny Guy.

– Zatem o co chodzi? – zapytałam Hiacynta. – Kim on jest naprawdę?

Pokręcił głową, aż zakołysały się jego czarne kędziory.

– Tego nie wiem. Ale jest coś, co wiem. – Uśmiechnął się, podsycając moją ciekawość. – Wiem, dlaczego jego wiersze zostały zakazane.

– Dlaczego? – zapytałam niecierpliwie. Matka Hiacynta, która dotąd, mrucząc pod nosem, krzątała się przy piecu, nagle odwróciła się i obrzuciła nas zaniepokojonym spojrzeniem.

– Wiesz, jak zginęła pierwsza narzeczona księcia Rolanda? – zapytał.

Stało się to przed naszym urodzeniem, ale dzięki nieustannym naukom Delaunaya byłam dobrze zorientowana w dziejach rodziny królewskiej.

– Skręciła kark – powiedziałam. – Wypadek na polowaniu.

– Tak mówią. Ale po tym, jak Roland poślubił Izabelę L'Envers, w karczmach i winiarniach śpiewano kuplety o pewnej damie, która uwiodła stajennego i kazała mu naciąć popręg siodła rywalki, kiedy ta wybierała się na polowanie ze swoim lubym.

– Delaunay napisał tę piosenkę? Dlaczego?

Hiacynt wzruszył ramionami.

– Kto wie? Tak słyszałem. Straż przyboczna księżnej złapała trubadura, który ją rozpowszechniał. Kiedy poddano go przesłuchaniu, wymienił Delaunaya jako autora tekstu. Trubadur został skazany na wygnanie do Eisandy i podobno zmarł w drodze w tajemniczych okolicznościach. Księżna wezwała na przesłuchanie Delaunaya, on jednak nie przyznał się do napisania piosenki. Dlatego nie został wypędzony, ale chcąc ułagodzić swoją synową, król wyjął jego wiersze spod prawa i kazał zniszczyć wszystkie istniejące kopie.

– W takim razie jest wrogiem Korony – zdumiałam się.

– Nie. – Hiacynt zdecydowanie pokręcił głową. – Gdyby tak było, zostałby skazany na banicję, niezależnie od przyznania czy nie przyznania się do winy. Księżna chciała, żeby tak się stało, ale Delaunay nadal jest mile widziany na dworze. Ktoś go ochronił.

– Skąd się tego dowiedziałeś?

– Ha! – Błysnął uśmiechem. – Pewien poeta dworski jest beznadziejnie zakochany w żonie pewnego karczmarza, którą w swoich poematach nazywa Aniołem Progu Nocy. On płaci mi pieniędzmi, żebym go odprawiał i trzymał od niej z daleka, on zaś w zamian za opowiadanie, z jaką miną to robi, rewanżuje się innymi opowiastkami. Dowiem się dla ciebie wszystkiego, czego tylko zdołam, Fedro.

– Kiedy poznasz prawdę, gorzko tego pożałujesz.

Myślałam, że wyrzeczone ponurym tonem słowa skierowane są do Hiacynta, ale ręka jego matki wskazywała na mnie. Złowieszcza zapowiedź nieszczęścia lśniła w jej oczach, głęboko zapadniętych w sniadej, niegdyś urodziwej twarzy, okolonej podzwaniającym złotem.

– Nie rozumiem – przyznałam.

– Pragniesz rozwikłać tajemnicę swojego pana. – Wciąż celowała we mnie palcem. – Myślisz, że to tylko zwykła ciekawość, ale coś ci powiem: pożałujesz dnia, w którym wszystko stanie się jasne. Nie próbuj przyspieszać jego nadejścia.

To rzekłszy, na powrót zajęła się garnkami, nie zwracając na nas uwagi. Popatrzyłam na Hiacynta. Nie miał już psotnej miny; szanował niewiele rzeczy, ale poczesne miejsce wśród nich zajmował dar *dromonde* matki. Kiedy przepowiadała przyszłość mieszkańcom Progu Nocy, posługiwała się talią wyświechtanych

kart, lecz robiła to tylko na pokaz, jak powiedział. *Dromonde* – drugi wzrok, który spogląda poza woale czasu – pojawia się na zawołanie albo sam z siebie.

W milczeniu rozważaliśmy jej ostrzeżenie. Słowa Delaunaya, nieproszone, wpadły mi do głowy.

– Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej o wszystkim – powiedziałam.

DZIEWIĘĆ

Pod koniec czwartego roku mojej służby u Anafiela Delaunaya wreszcie weszłam w swoje lata.

W Nocnym Dworze już jako trzynastolatka zostałam wprowadzona w tajemnice Naamy i rozpoczęła szkolenie; Delaunay, co ogromnie mnie irytowało, nie wiadomo dlaczego postanowił zwlekać. Myślałam, że umrę ze zniecierpliwienia, zanim w końcu zadał mi długo oczekiwane pytanie.

– Z dziecka przemieniłaś się w młodą kobietę, Fedro – powiedział. – Niech Naama cię błogosławi. – Chwył moje ramiona i popatrzył na mnie z powagą. – Zadam ci teraz pytanie i przysięgam na Błogosławionego Eluę, że chcę, abyś odpowiedziała szczerze. Czy mogę liczyć, że tak zrobisz?

– Tak, panie.

Topazowe oczy z natężeniem wpatrywały się w moje.

– Czy pragniesz poświęcić się służbie Naamie?

Przez chwilę wstrzymywałam się z udzieleniem odpowiedzi, rada z okazji swobodnego przyglądania się jego umiłowanej twarzy, przystojnej i surowej. Trzymał ręce na moich ramionach... żałowałam, że nie dotyka mnie częściej.

– Tak, panie – rzekłam w końcu, dokładając wszelkich starań, żeby mój głos zabrzmiał pewnie i zdecydowanie. Jakby istniały jakieś wątpliwości! Ale, oczywiście, Delaunay był człowiekiem honoru i postępował zgodnie ze swoim kodeksem. Ponieważ go wielbiłam, potrafiłam to zrozumieć.

– Dobrze. – Ścisnął moje ramiona i puścił je z uśmiechem.

Drobne zmarszczki pojawiły mu się w kącikach oczu. Były piękne, jak cała reszta. – Kupimy gołębicę na targu i pojedziemy do świątyni, gdzie zostaniesz poświęcona.

Jeśli doskwierał mi brak uroczystości w moje dziesiąte urodziny, to ten dzień miał wszystko wynagrodzić. Delaunay klasnął w dłonie, przywołał gospodynię i kazał przygotować ucztę. Lekcje zostały odwołane; oboje z Alcuinem odeszliśmy, żeby włożyć najlepsze odświętne stroje.

– Cieszę się – szepnął Alcuin. Wziął mnie za rękę i obdarzył swoim tajemniczym uśmiechem. Ponad rok wcześniej, w wieku czternastu lat, ślubował służbę Naamie, ale ja, wciąż uważana przez Delaunaya za dziecko, nie brałam udziału w obrzędach.

– Ja też – odszepnęłam i pocałowałam go w policzek.

Alcuin spłonął się i rozkoszny rumieniec przyciemnił jego jasną twarz.

– Chodź – powiedział, odsuwając się ode mnie. – On czeka.

Na rynku wysiedliśmy z powozu i krążyliśmy wśród kramów z ofiarnymi gołębiami. Delaunay kurtuazyjnie pozwolił, żebym sama wybrała odpowiednią gołębicę. Wszystkie były podobne, jak to ptaki, ale przyglądałam im się uważnie i w końcu zdecydowałam się na białą piękność z koralowymi łapkami i bystrymi czarnymi ślepkami. Delaunay zapłacił i dokupił jeszcze śliczną klatkę w kształcie pagody. Gołębicę szamotała się, gdy sprzedawca ją przekładał, i energicznie biła skrzydłami w złożone pręty klatki. Był to dobry znak, świadczący o jej zdrowiu.

W Dworze Nocy poświęcenie odbywa się w kaplicy Domu, ale ponieważ byłam podopieczną wielmoży, udaliśmy się do Wielkiej Świątyni. Na przekór nazwie budynek jest niewielki, ale uroczy, wzniesiony z białego marmuru i otoczony drzewami. W koronach drzew gnieźdzą się gołębie, święte i nietykalne. Przy

otwartych drzwiach powitała nas nowicjuszka. Ukłoniła się, rzuciwszy okiem na Delaunaya.

– W imieniu Naamy witam was, panie. Czym mogę służyć?

Stałam obok niego, trzymając klatkę. Delaunay położył rękę na mojej głowie.

– Przyszła tutaj, by ślubować służbę Naamie.

Nowicjuszka uśmiechnęła się do mnie. Miała nie więcej niż osiemnaście lat i wyglądała jak uosobienie wiosny; jej czerwono-złote włosy przywodziły na myśl dojrzałe morele, a oczy, zielone i lekko skośne, rozbawioną kotkę. Była ubrana w powłóczystą szkarłatną szatę stanu kapłańskiego Naamy i mimo młodego wieku nosiła ją ze swobodą świadczącą o długoletnim doświadczeniu. Przypuszczam, że została oddana do zakonu w dzieciństwie przez rodziców albo matkę, której nie było stać na jej utrzymanie; sądząc z wymowy, urodziła się w Mieście.

– Witaj, siostrze – powiedziała cicho. Pochylając się lekko – była tylko odrobinę wyższa – złożyła na moich ustach powitalny pocałunek. Wargi miała miękkie, pachnące wygrzany na słońcu ziołami. Kiedy odwróciła się, żeby pocałować Alcuina, zobaczyłam, że są tego samego wzrostu. – Witaj, bracie. – Cofnęła się i wskazała nam drogę. – Wejdźcie i pomódlcie się. Przyprowadzę kapłana.

Promienie słońca wpadały przez okrągłe okienko na szczycie kopuły, zalewając światłem wnętrze świątyni ozdobione jedynie kwiatami i płonącymi świecami. Podeszliśmy do ołtarza ze wspaniałym posągami: Naama z otwartymi ramionami witała wszystkich wyznawców. Postawiłam klatkę, uklękłam i spojrzałam w jej twarz, promieniującą współczuciem i pożądaniem. Delaunay też ukląkł, poważny i pełen szacunku. Alcuin miał urzeczoną minę.

Zjawił się kapłan, wysoki i przystojny, z pięknymi zmarszczkami i srebrnymi włosami splecionymi w długi warkocz. Towarzyszyło mu czworo akolitów, w tym nasza nowicjuszka. Ruchem dłoni kazał nam wstać.

– Czy pragniesz poświęcić się służbie Naamie? – zapytał mnie z powagą w głosie.

– Tak.

Przywołał mnie do siebie, podciągnął szkarłatne rękawy. Gdy podszedł akolita z misą, zanurzył kropidło w wodzie i pokropił mnie, mówiąc:

– Wodą ze świętej rzeki Naamy chrzczę cię do jej służby. – Od drugiego akolity wziął miodowe ciastko, przełamał je i położył kawałek na moim języku. – Niechaj twoje ciało przepełni słodycz pożądania – powiedział. Rozgryzłam i przełknęłam ciastko, czując w ustach smak miodu. Zielonooka nowicjuszka podsunęła kielich, a kapłan podniósł go do moich ust. – Niechaj w twojej krwi wzbierze upajająca potęga namiętności. – Ostatnia nowicjuszka podniosła czarękę z oliwą i kapłan zanurzył w niej palce. Namaszczając moje czoło, spojrział mi w oczy. – Niechaj twoja dusza znajdzie łaskę w służbie Naamie – rzekł cicho.

Czułam na skórze jego chłodny palec i drzemiącą w nim moc. Oblicze Naamy, uduchowione i zmysłowe, pływało mi przed oczami. Opuściłam powieki i poczułam, jak omywa mnie powietrze świątyni, przepełnione światłem, skrzydłami i niebiańską magią. Wspomniałam opowiadane w Trzynastu Domach historie o Naamie; wszystkie mówiły prawdę i jednocześnie żadna nie była prawdziwa. Naama była kimś więcej.

– Niechaj tak będzie – powiedział kapłan, a ja otworzyłam oczy. Odsunął się wraz z nowicjuszami i pokiwał głową. – Możesz

służyć, moje dziecko.

Alcuin podał mi klatkę. Otworzyłam ją ostrożnie i oburącz złapałam śnieżnobiałą gołębicę. Prawie nic nie ważyła, ale czułam życie pulsujące pod miękkimi piórami, czułam szybkie bicie zalęknionego serca. Była niezwykle delikatna i kiedy się poruszyła, przestraszyłam się, że lekki nacisk moich rąk połamie jej kości. Odwróciłam się w stronę ołtarza, uklękłam i podniosłam ją przed posągami Naamy.

– Błogosławiona Naamo, błagam cię o przyjęcie mnie do służby – powiedziałam szeptem, nie wiedząc dlaczego. Rozwarłam dłonie.

Oswobodzony ptak zatrzepotał skrzydłami i wzbił się w powietrze. Wzleciał prosto pod kopułę, zatoczył krąg, ozłocony promieniami słońca, i wyfrunął przez okrągłe okno. Kapłan z uśmiechem odprowadził go wzrokiem.

– Witaj. – Pochylił się, pomagając mi wstać, i obdarzył mnie powitalnym pocałunkiem. Jego oczy, pełne spokoju i mądrości tysiąca miłosnych schadzek, patrzyły na mnie życzliwie. – Witaj, sługo Naamy.

Tak oto zostałam poświęcona do życia, do jakiego zostałam stworzona.

W następnym tygodniu rozpoczęłam szkolenie.

Delaunay celowo opóźnił wprowadzenie Alcuina w tajniki służby Naamie. Dzielila nas niewielka różnica wieku, mogliśmy więc razem pobierać nauki.

– Umówiłem was na Pokaz – oznajmił spokojnie, wezwawszy nas do siebie. – Nie wypada, żebyście bez tego zgłębiali tajemnice Naamy. Edmonde Noualt, duejn Domu Kamelii, przychylił się do mojej prośby.

Było to w jego stylu; taktownie umówił się z Domem, z którym

nie miałam żadnych powiązań, żeby nie zbudzić wspomnień wyniesionych z dzieciństwa w Dworze Nocy. Nie powiedziałam mu, że nie miałabym nic przeciwko temu. Takie zachowanie umniejszyłoby znaczenie jego uprzejmości.

Istnieją niezliczone wariacje zespolenia i zażywania rozkoszy, ale Pokaz urządzany dla świeżo poświęconych sług Naamy zawsze jest tradycyjny; uczestniczy w nim jeden mężczyzna i jedna kobieta.

Wieczorem Guy zawiózł nas do Domu Kamelii. Z zaskoczeniem stwierdziłam, że obowiązuje tam jeszcze większy rygor niż w Domu Cereusa. Z drugiej strony nie powinnam się dziwić, bo przecież kanonem Kamelii jest doskonałość i wszyscy dążą do niej w najdrobniejszych szczegółach.

Do drzwi wyszła zastępczyni duejna, olśniewająca, wysoka kobieta z długimi czarnymi włosami i skórą koloru kości słoniowej. Powitała nas z wdziękiem i jeśli opadła ją zazdrość na widok niespotykanej pięknej twarzy Alcuina lub zaciekawienie szkarłatną plamką w moim oku, to nie zdradziła się ze swoimi uczuciami.

– Proszę – powiedziała, kiwając na nas. – Zostaliście poświęceni służbie Naamie, chodźcie więc zobaczyć misterium ku jej czci.

Komnata, w której miał odbyć się Pokaz, przypominała tę w Domu Cereusa. Leżącą w dole, zarzuconą poduszkami półkolistą scenę otaczała amfiteatralna widownia z rzędami wyściełanych ławek. Za podświetloną od wewnątrz kurtyną z gazy widziałam aksamitne kotary, które przysłaniały wejście na scenę.

W Trzynastu Domach obowiązuje zasada, że Pokaz jest dostępny dla wszystkich adeptów, nie byłam więc zdziwiona obecnością widzów. Pokazy prywatne to zupełnie inna sprawa,

ale w obrzędach ku czci Naamy mogą uczestniczyć wszyscy jej słudzy. Bezwiednie, siłą dawnego nawyku, zastygłam na poduszkach w pozie *abeyante*, na klęczkach, z opuszczoną głową, ze złożonymi rękami. Postawa ta działała na mnie dziwnie uspokajająco, choć czułam na sobie kosę spojrzenie Alcuina, który bezskutecznie próbował mnie naśladować.

Za sceną rozbrzmiała melodia grana na flecie.

Gdy flecista rozpoczął drugi muzyczny pasaż, zaszeleściły aksamitne kotary i pojawiła się Para. On, wysoki i czarnowłosy, wyglądał jak bliźniak zastępczyni Domu Kamelii – później się dowiedziałam, że rzeczywiście był jej bratem. Ona, niższa o szerokość dłoni, miała jeszcze bledszą karnację i włosy w kolorach jesieni. W tym Domu obowiązuje jeden kanon: doskonałość, i oboje stanowili jej ucieleśnienie. Kiedy stanęli naprzeciwko siebie i wyciągnęli ręce, żeby wzajemnie uwolnić się z szat, było to widać nawet przez woale gazy.

Ich zespolenie przypominało taniec.

On z czcią objął ją w talii, a następnie przesunął ręce w górę, delikatnie pieszcząc jej ciało i przesiewając w palcach lśniące włosy. Sięgnął do twarzy, muskając czubkami palców łuki jej brwi i obrysowując idealnie wykrojone usta. Ona prześledziła palcami zarys jego szczęki i po muskularnej kolumnie szyi zsunęła dłonie na blade płaszczyzny piersi.

Każdy przychodzi na świat z darem Naamy we krwi i nie musi być artystą, żeby cieszyć się sztuką. Tych dwoje, nieodrodných adeptów Dworu Nocy, uprawiało sztukę miłości. W miarę jak pokonywali kolejne etapy gry wstępnej, gazowe woale rozsuwały się powoli, jeden po drugim. Patrzyłam jak urzeczona, oddychając płytko i urywanie... gdy nie wstrzymywałam oddechu. Objęli się i pocałowali; on trzymał jej twarz niczym

drogocenny klejnot, ona kołysała się przy nim jak wierzba.

Tak oto modlimy się my, którzy służymy Naamie.

Ona przerwała pocałunek i uklękła przed nim, a kaskada jej włosów spłynęła na jego biodra, wijąc się wokół wyprężonego fallusa. Nie widziałam jej ust, gdy wykonywała *languisement*, ale na jego twarzy odmalowała się nieziemską błogość i naprężyły mu się mięśnie pośladków. Uniósł ręce, żeby rozpleść warkocz, i po chwili jedwabista rzeka czarnych włosów spadła mu na ramiona.

Zgromadzeni patrzyli w milczeniu, a słodkie tony fletu tylko pogłębiały pełną namaszczenia ciszę. On odsunął się i uklękł naprzeciwko niej, ona powoli opadła na poduszki i rozchyliła nogi, żeby podzielić się z nim skrywanym dotąd skarbem. Jego włosy przysłoniły jej uda niczym czarna kurtyna, gdy językiem rozsuwał płatki kwiatu kobiecości, szukając w nich ukrytej perły Naamy.

Widocznie znalazł, bo nagle wygięła plecy w łuk i wyciągnęła ręce, by przyciągnąć go do siebie. On zastygł ponad nią, z koniuszkiem fallusa wycelowanym w jej bramę. Jego włosy spływały po bokach pochylonej głowy i splatały się z jej włosami, tworząc czarno-rdzawą rzekę. Nigdy nie widziałam czegoś, co dorównywałoby pięknem uprawianej przez nich sztuce. Flecista przestał grać, któryś z widzów krzyknął i umilkł; on wsunął się w nią płynnym ruchem, wchodząc głęboko niczym miecz do pochwy. Cichy szepc bębna rozpoczął swoją pieśń, gdy jej biodra wzniosły się na spotkanie.

Kłęcząc z mocno splecionymi rękami, nagle spostrzegłam, że piękno tego aktu przypawiło mnie o łyzy. Oboje przypominali ptaki, które kojarzą się w locie. Odprawiali rytuał, nie tylko spektakl; czułam na języku smak czci i pożądania, słodki jak

miodowe ciastko. On kołysał się nad nią niczym łamiące się fale, a ona wzbierała w przypływie. Przyspieszali stopniowo wraz z muzyką, a gdy rytm osiągał crescendo, ona z głębokim westchnieniem zacisnęła ręce na jego naprężonych barkach i mocno oplotła go nogami. On wygiął plecy w łuk i napał mocno. Czulałam żar rodzący się pomiędzy moimi udami, gdy razem osiągnęli spełnienie.

A potem, zbyt szybko, kurtyny z gazy zaczęły opadać, przysłaniając ich postacie, już rozleniwione po zaspokojeniu. Leżeli spleceni na poduszkach, trzymając się ze ręce. U mojego boku Alcuin uwolnił długo wstrzymywany oddech; popatrzyliśmy na siebie poważnie.

Adept zaprowadził nas do bawialni, gdzie podano nam wzmacniający kordiał. Zastępczyni Domu Kamelii uprzejmie zapytała, czy jesteśmy zadowoleni, i wyraziła nadzieję, że nie omieszkamy podzielić się wrażeniami z naszym panem Anafielem Delaunayem – wciąż mającym dostatecznie duże wpływy na królewskim dworze, by lansować modę. Jeśli pogardzała nami lub miała nam za złe, że cieszymy się jego patronatem, to starannie ukryła swoje uczucia.

DZIESIĘĆ

Przypuszczałam, że po Pokazie rozpoczniemy formalne szkolenie w dziedzinie sztuki Naamy, i miałam rację – tylko że nasza nauka wyglądała zupełnie inaczej niż się spodziewałam.

Co było do przewidzenia, Delaunay zatrudnił nauczycielkę, oczywiście najlepszą z najlepszych. Nie przewidziałam jednak, że nasza mentorka będzie grubo po pięćdziesiątce i że wszystkie lekcje będą się odbywać w klasie, a nie w komnacie sypialnej.

Cecylia Laveau-Perrin była adeptką Domu Cereusa; szkolila się zresztą pod kierunkiem mojej dawnej pani, duejny. Wspięła się na najwyższy szczyt dostępny dla członków Dworu Nocy – cieszyła się tak wielkim powodzeniem, że po zrobieniu marki mogła otworzyć własny dom rozkoszy. Przez siedem lat była bożyszczem rodziny królewskiej. Arystokraci i poeci zbiegali się tłumnie na urządzone przez nią przyjęcia, przy czym tylko niektórzy dostępowali zaszczytu dzielenia z nią łoża.

W końcu postanowiła wyjść za mąż i wycofała się z *haute demi-monde*. Jej wybór padł na Antoina Perrina, kawalera Orderu Łabędzia, spokojnego i oddanego człowieka, który opuścił swoje wiejskie włości, żeby służyć jako doradca wojskowy na królewskim dworze. Żyli spokojnie, rzadko podejmując gości, a jeśli już urządzali przyjęcia, to miały one wyłącznie konwersacyjny charakter. Po śmierci męża Cecylia Laveau-Perrin pozostała wierna temu stylowi życia. Jak się wydawało, Delaunay był jednym z niewielu ludzi, którzy znali ją z obu światów.

Wiedziałam o tym wszystkim, ponieważ podsłuchałam jej rozmowę z Delaunayem. Moje przedsięwzięcie nie zaliczało się do szlachetnych, nie czułam się jednak ani trochę winna. Do tego zostałam wyszkolona. Delaunay kazał nam gromadzić informacje wszelkimi możliwymi metodami.

Na dziedzińcu stała szopa, w której suszyły się zioła z ogrodu. Drobną osobą mogła kucnąć między szafą a otwartym oknem i przysłuchiwać się rozmowom prowadzonym na dziedzińcu. Delaunay wystąpił ze swoją prośbą po zakończeniu wymiany uprzejmości.

Jej głos, spokojny i melodyjny, zachował dawny urok. Doszukałam się w nim ech kadencji Domu Cereusa – zawieszała go i ściszała, umiejętnie imitując leciutkie zadyszanie. Wątpię, czy niewprawne ucho wykryłoby te cechy, gdyż złagodziły je lata życia na uboczu.

– Prosisz o rzecz niemożliwą, Anafielu. – Usłyszałam szelest; Cecylia Laveau-Perrin pokręciła głową. – Wiesz, że dawno temu odeszłam ze służby Naامية.

– Czy tak lekko traktujesz swoje śluby? – zapytał Delaunay bez ogródek. – Nie proszę cię o udzielanie instrukcji cielesnych, Cecylio, tylko o naukę teorii. Wszystkie wielkie teksty... *Ecstatica*, *Podróż Naamy*, *Trois Milles Joies*...

– Czy chciałbyś, żebym nauczyła chłopca “Ody Antinousa do jego miłości”? – Mówiła lekkim tonem, ale po raz pierwszy usłyszałam w nim stalowe brzmienie.

– Nie! – odpowiedź Delaunaya zabrzmiała jak wybuch. Kiedy znów się odezwał, poznałam, że przeniósł się w inne miejsce. Głos już miał opanowany, oschły. – Deklamowanie tego poematu jest zakazane, Cecylio. Wiesz o tym doskonale.

– Tak – odparła krótko, bez cienia przeprosin. – Dlaczego to

robisz?

– Musisz pytać, ty, największa kurtyzana naszych czasów? – Był zbyt czarujący; nieczęsto słyszałam, by uciekał się do uników. Ona nie dała się zwieść.

– Nie o to mi chodzi.

– Dlaczego. Dlaczego, dlaczego, dlaczego. – Znowu krążył po dziedzińcu. – Dlaczego? Powiem ci. Ponieważ są miejsca, do których nie mam dostępu, i ludzie, których nie mogę osiągnąć, Cecyljo. Kancelaria Królewska, ministerstwo skarbu, sekretarze Tajnej Pieczęci... Zausznicy Izabeli zamykają przede mną wszystkie drzwi, za którymi naprawdę rządzi się królestwem. Nie można ich zmusić, Cecyljo, ale można uwieść. Znam ich słabości, znam ich pragnienia. Wiem, jak do nich dotrzeć.

– Tyle sama wiem. – Ton jej głosu był łagodny, mitygujący. – Znam cię od dawna. Obdarzyłeś mnie zaufaniem i wiem co myślisz. Pytam cię, Anafielu, dlaczego. Dlaczego to robisz?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Ścierpłam już od kucania w ciasnym miejscu. Nie było wiatru i w suszarni zalegało słodkie, ciężkie powietrze przesycone zapachem rozmarynu i lawendy.

– Wiesz dlaczego.

To było wszystko, co powiedział. Musiałam ugryźć się w język, żeby nie przynaglić Cecylii Laveau-Perrin do dalszego wypytywania. Ale cokolwiek Delaunay miał na myśli, ona to rozumiała. Znała go, jak sama powiedziała, od bardzo dawna.

– Nadal? – zapytała uprzejmie. – no tak, przecież złożyłeś obietnicę. Dobrze, niech ci będzie. Ja także ją uszanuję, Anafielu, niezależnie od jej wartości. Zaznajomię twoich uczniów z wielkimi dziełami poświęconymi miłości – z tymi, które nie są zakazane – i będę wygłaszać wykłady poświęcone sztuce Naamy. Tyle jestem gotowa zrobić, jeśli dasz mi słowo, że oboje chcą

służyć z własnej woli.

– Przysięgam. – Jego głos zdradzał ulgę.

– Ile wiedzą?

– Wystarczająco dużo – odparł z rezerwą. – Dość, by wiedzieć, co mają robić. Nie tyle, by to ich zabiło.

– Izabela L'Envers nie żyje, Anafielu. – Mówiła cicho, jak do dziecka, które boi się ciemności. – Czy naprawdę sądzisz, że jej niechęć przetrwała i prześladowuje cię zza grobu?

– Trwa w tych, którzy byli jej posłuszni – rzekł ponuro. – Izabela L'Envers de la Courcel była moim wrogiem, ale w pewnych sprawach stawaliśmy po tej samej stronie barykady. Moglibyśmy nawet się sprzymierzyć, gdyby córka Rolanda była na tyle dorosła, żeby zasiąść na tronie. Teraz wszystko się zmieniło.

– Hmm. – Usłyszałam cichy brzęk, gdy dzbanek z winem dotknął brzegu kieliszka. – W ranę Maslina d'Aiglemort wdała się gangrena. Zmarł dwa dni temu, słyszałeś? Izydor, który za dwa tygodnie złoży przysięgę jako diuk d'Aiglemort, wniósł petycję do króla. Prosi o przydzielenie mu kolejnych pięciuset ludzi.

– Na granicy będzie miał pełne ręce roboty.

– Prawda. – Nuty Domu Cereusa w jej głosie ustąpiły melancholii. – Niemniej jednak znalazł czas, żeby odwiedzić Namarrę i złożyć hołd Melisandzie Szachrizaj w jej wiejskiej posiadłości. Obecnie Melisanda pokazuje się w towarzystwie księcia Baudoina. Podobno Lwica z Azalii nie jest tym zachwycona.

– Melisanda Szachrizaj kolekcjonuje serca tak, jak królewski ogrodnik sadzonki – powiedział lekkim tonem Delaunay. – Gaspar wspomniał, że Mark porozmawia z synem, jeśli okaże się to konieczne.

Kolejny cichy brzęk: ktoś postawił kieliszek na jednym z niskich, wyłożonych kafelkami stolików. Potrafiłam rozpoznawać takie dźwięki nawet wtedy, gdy skurcz skręcał mi szyję.

– Być może. Ale nie lekceważ ani Szachrizaj, ani Lwicy. Nie sądzę, żeby któraś z nich popełniła ten błąd w stosunku do drugiej. I pamiętaj, Anafielu, że nieumiejętność zrozumienia kobiecej natury stała się przyczyną twojego upadku. – Usłyszałam szelest jej sukni, gdy wstała. – Przyjdę rano i rozpocznę edukację dzieci. Dobrej nocy, mój drogi.

Gdy ich kroki ucichły, wysliznęłam się z kryjówki i pobiegłam na górę, żeby podzielić się z Alcuinem zasłyszanyimi informacjami.

I, oczywiście, zastanowić się, co mogą oznaczać.

Cecylia Laveau-Perrin była wysoka i smukła, drobnokoścista, z oczami koloru niebieskiej lobelii. To ciekawe, jak u adeptów Domu Cereusa z wiekiem ujawnia się skryta stal. Pod tym względem przypominała mi duejną, była jednak znacznie młodsza i miłsza. Jako nauczycielka od razu postawiła wysokie wymagania, każąc nam przeczytać i nauczyć się na pamięć pierwszego z wielkich tekstów, o których wspomniał Delaunay.

Dla Alcuina jego treść stanowiła istne objawienie. Kiedy razem oglądaliśmy Pokaz, nie do końca zdawałam sobie sprawę z ogromu jego naiwności. Choć wydawało się to niepojęte, nie rozumiał mechanizmu składania hołdu Naamie. Ja, choć jeszcze nie tańczyłam, znałam kroki na pamięć. Alcuin miał tylko instynkt łagodnego serca i chętnego ciała, jak pierwszy lepszy wieśniak.

Później zrozumiałam, że między innymi to decydowało o jego uroku, zgodnie zresztą z zamysłem Delaunaya. Nieskalana

słodycz, jaka zawsze go cechowała, stanowiła nieodpartą pokusę dla wyrafinowanego podniebienia. Ale wtedy jeszcze tego nie rozumiałam.

Lubiłam obserwować go wieczorami, w czasie wspólnej nauki, gdy czytał półgłosem, ze zdumioną miną.

– Pieszczota przewianych plew. Połóż ręce w talii umiłowanej i powoli przesuwaj je w górę, nabierając w nie włosy, aż uniosą się niczym plewy nad klepiskiem, a potem spadną w postaci delikatnego deszczu. Wiedziałaś o tym, Fedro?

– Tak. – Spojrzałam w duże, ciemne oczy. – Zrobili to na Pokazie, pamiętasz? – Znałam te rzeczy od dziecka, dorastałam wśród nich. Świadomość, że jeszcze ich nie wypróbowałam, powoli doprowadzała mnie do szaleństwa.

– Pamiętam. Pieszczota letniego wiatru. – Czytał kolejne wskazówki, nie mogąc wyjść ze zdziwienia. – Czy to naprawdę działa?

– Pokażę ci. – Jeśli w praktyce byłam nie lepsza od niego, przynajmniej widziałam, jak to się robi. Pociągnęłam go na środek pokoju, gdzie oboje uklękliśmy zwróceni twarzami do siebie. Alcuin miał poważną, trochę niepewną minę. Położyłam palce na czubku jego głowy, lekko muskając mlecznobiałe włosy, i powoli zsunęłam dłonie na ramiona i smukłe ręce. Serce zabiło mi szybciej, przepełnione dziwną pewnością, że wiem, co robię, i że robię to dobrze. Prawie go nie dotykałam, opuszki palców sunęły tuż nad jasną skórą, ale pokrywające ją delikatne włoski kołysały się jak łan pszenicy na letnim wietrze. – Widzisz?

– Och! – Alcuin odsunął się, z trwogą patrząc na gęsią skórę świadczącą o subtelnej rozkoszy. – Tyle wiesz!

– Ty zaś jesteś lepszy w tym, co jest ważne dla Delaunaya – odparłam zgodnie z prawdą. Choć uczyłam się pilnie, daleko mi

było do umiejętności, z jaką Alcuin zauważał i rejestrował fakty. Potrafił zapamiętać całą rozmowę i powtórzyć ją co do słowa, łącznie z intonacją. – Alcuinie... – Zmieniłam barwę głosu, przesycając go bogatymi tonami Domu Cereusa, jakie pobrzmiwały w tonie Cecylii. – Możemy poćwiczyć, jeśli chcesz. Obojgu nam pomogłoby to w nauce.

Alcuin pokręcił głową, aż zaszemrały księżycowe włosy. Z jego szeroko otwartych oczu wyczierała naiwna szczerłość.

– Delaunay nie chce, Fedro, żebyśmy to robili. Przecież wiesz.

Prawda, Delaunay jasno dał to do zrozumienia i nawet pokusa poszerzenia wiedzy nie mogła nakłonić Alcuina do nieposłuszeństwa. Z westchnieniem wróciłam do książek.

Nic jednak nie mogło powstrzymać mnie od ćwiczenia na sobie. Zaczęło się tej nocy, w ciemności mojego małego pokoju, który miałam wyłącznie dla siebie. Na lekcjach poznawaliśmy tajniki gry wstępnej.

Odrzuciłam kołdrę i leżałam naga na łóżku, szepcząc nazwy pieaszcot, sunąc palcami po skórze, rozpalając krew własnym dotykiem.

A jednak powstrzymałam się od szukania spełnienia, o istnieniu którego wiedziałam, i nie wykroczyłam poza zakres przerabianych lekcji. Nie umiem powiedzieć, dlaczego tak postąpiłam; wiem tylko, że zadałam sobie torturę – i że była słodka.

Cecylia Laveau-Perrin, starsza i w tych sprawach mądrzejsza od Delaunaya, szybko się zorientowała, że przeżywam katusze. Recytowaliśmy *Rejestr siedmiuset pocałunków* (większości których nie mogłam przećwiczyć na sobie) Emmeliny z Eisandy, kiedy poczułam na sobie jej przenikliwe spojrzenie i głos mi się załamał.

– Jesteś zniecierpliwiona nauką, prawda? – zapytała.

– Nie, pani. – Długo przyuczano mnie do posłuszeństwa, więc moja odpowiedź była automatyczna. Uniosłam głowę, by spojrzeć jej w oczy, i głośno przełknęłam ślinę. – Pani, wychowałam się w Dworze Nocy. Gdyby dane mi było tam zostać, moje szkolenie rozpoczęłoby się przed rokiem. Już teraz mogłabym oszczędzać na markę, a może nawet zapłaciłabym markarzowi za wyrysowanie podstawy, gdyby cena za moje dziewictwo okazała się dostatecznie wysoka. Tak, jestem zniecierpliwiona.

– Czyżby więc pieniądze były dla ciebie podniętą? – Z lekkim uśmiechem pogładziła moje włosy.

– Nie – wyznałam cicho, poddając się pieszczocie jej dłoni.

– Zatem kłuje cię Strzała Kusziela. – Zaczekała, aż znów podniosę wzrok, i pokiwała głową. Nie była ani trochę zaskoczona. Sama nigdy o tym nie mówiła, a w Domu Cereusa nikt się na mnie nie poznał. Roześmiała się. – Anafiel Delaunay nie jest jedynym uczonym na świecie, moja słodka. Sporo czytałam, zanim opuściłam Dwór Kwiatów Rozkwitających Nocą. Nie bój się, zachowam w tajemnicy sekret Anafiela, dopóki sam nie postanowi go ujawnić. Ale do tego czasu nie masz innego wyjścia, jak tylko znosić udręki niezaspokojonego pragnienia.

Rumieniec zakłopotania przyciemnił moje policzki.

– Nie ma spełnienia słodsze nad to, które następuje po przedłużającym się oczekiwaniu. – Poklepała mnie po płonącym policzku. – Jeśli pragniesz podnieść swoje umiejętności, użyj lustra i zapal świecę, wtedy może lepiej poznasz naturę swojego ciała i łatwiej ci będzie prześledzić bieg linii rozkoszy.

Zrobiłam to tej nocy. W świetle świecy wodziłam palcami po skórze, obserwując zachodzące w niej zmiany i pojawiające się

rumieńce.

Pomyślałam, że Cecylia i Alcuin wiedzą, co robię. Z rozkosznym dreszczykiem poczucia winy i wstydu zastanawiałam się, czy któreś z nich powiedziało o tym Delaunayowi. Moja edukacja trwała.

JEDENAŚCIE

Przez następne dwa lata uczyliśmy się wyłącznie teorii i w końcu zaczęłam myśleć, że od tego zwariuję.

Co gorsza, Hiacynt, mój jedyny prawdziwy przyjaciel, nie chciał mi pomóc.

– Nie mogę cię tknąć, Fedro – powiedział z żalem, potrząsając czarnymi kędziorami. Siedzieliśmy w “Kogutku”, gdzie urządził swoją nieformalną kwaterę główną. – Nie w ten sposób. Ja jestem Cyganem, a ty sługą w terminie. To *vrajna*, zakazane według prawa mojego ludu.

Już otworzyłam usta, ale zanim zdążyłam wyrzec słowo, moją uwagę przyciągnęła młoda dama, która odłączyła się od grupy okupującej długi stół pośrodku gospody. Wyprawy do Progu Nocy stały się modne wśród młodych ludzi z towarzystwa. Przybywali zwykle w kilkusobowych grupach, żeby hulać w karczmach oraz zadawać się z poetami, aktorami i plebejuszami.

Hiacynt też stał się modny.

– Witaj, Księżę Podróżnych – zaczęła z powagą młoda dama. Zachichotała i zerknęła na roześmianych przyjaciół. Podjęła nie bez trudności: – Księżę... Księżę Podróżnych, jeśli posmaruję twoją dłoń złotem... czy zechcesz odczytać przyszłe losy z mojej?

Widząc błysk złotej monety, Hiacynt – który wedle mojej wiedzy nigdy nie był poza Progiem Nocy – natychmiast przeistoczył się w Księcia Podróżnych. Wstał i skłonił się wdzięcznie, a w jego oczach zapaliły się wesołe ogniki.

– Gwiazdo Wieczorna, jestem na twoje usługi – rzekł tonem

przypochlebnym i pompatycznym zarazem. – Za jedną monetę jedna odpowiedź, wypisana przez los na twej pięknej dłoni. Co chcesz wiedzieć, łaskawa pani?

Ostentacyjnie odwracając się ode mnie, ułożyła spódnicę i usiadła obok Hiacynta, bliżej niż było to konieczne. Podała mu rękę z miną osoby wyświadczającej nadzwyczajną łaskę i szepnęła:

– Chciałabym wiedzieć, czy Rene LaSoeur pojmie mnie za żonę.

– Hmm. – Hiacynt w skupieniu wpatrzył się w jej dłoń. Ona spoglądała na jego pochyloną głowę. Widziałam, jak oddycha szybko i płytko; jej piersi falowały w śmiało wyciętym dekolcie, ozdobionym kosztownym naszyjnikiem. Jej przyjaciele z zaciekawieniem spoglądali od swojego stołu, znacząco trącając łokciami młodego dżentelmena. On siedział ze skrzyżowanymi rękami, lekko rozdymając nozdrza z niezadowolenia. Jedna z młodych dam uśmiechała się tajemniczo, z dużą pewnością siebie. Nie trzeba było znać arkanów *dromonde*, żeby odpowiedzieć na postawione pytanie, ale Hiacynt zrobił to bez podnoszenia wzroku. – Piękna pani, odpowiedź brzmi “nie”. Widzę ślub, nie teraz, lecz za trzy lata. Widzę zamek z trzema stojącymi wieżami i jedną leżącą w ruinie.

– Hrabia de Tour Perdue! – Wyszarpnęła rękę, poderwała ją do ust. Oczy jej roz błysły. – Och, moja matka bardzo się ucieszy, kiedy to usłyszy. – Położyła palce na wargach Hiacynta. – Nikomu o tym nie mów. Przysięgnij, że nie powiesz!

Hiacynt z wdziękiem ujął jej dłoń i ucałował palce, którymi go uciszała.

– Wielmożna pani, będę milczeć jak grób. Życzę ci szczęścia i powodzenia.

Dama sięgnęła do sakiewki u pasa i podała mu drugą monetę.

– Dziękuję ci, dziękuję! Pamiętaj, ani słowa.

Hiacynt znów się uklonił, gdy spieszyła do swoich przyjaciół; paplała jakieś głupstwa, żeby się nie zdradzić z radosną nowiną. Hiacynt usiadł i schował monety, wyraźnie z siebie zadowolony.

– To prawda? – zapytałam.

– Kto wie? – Wzruszył ramionami. – Widziałem, co widziałem. W kraju jest niejeden zamek ze zrujnowaną wieżą. Ona wierzy w to, w co chce wierzyć.

Nie obchodziło mnie, czy Hiacynt sprzedaje marzenia i półprawdy wystrojonym pannom. Coś innego nie dawało mi spokoju.

– Wiesz, Delaunay ma zapiski pewnego uczonego, który podróżował z taborem Cyganów i badał ich zwyczaje. Czytałam, Hiacyncie, że uprawianie *dromonde* jest *vrajna* dla mężczyzny, jest gorsze niż cokolwiek innego, gorsze niż zadawanie się ze sługą *gadje*. Twoja matka nie ma prawa uczyć cię tej sztuki. A poza tym nie możesz być prawdziwym Cyganem, bo przecież ze strony ojca płynie w tobie czysta krew D’Angelinów. Właśnie dlatego rodzina wyrzekła się twojej matki, prawda?

Mówiłam bez zastanowienia, powodowana irytacją, jaką wzbudził we mnie widok Hiacynta nadskakującego mizdrzącej się arystokratce. Być może tym razem posunęłam się za daleko. Oczy mu rozbłysły z dumy i ze złości.

– Mówisz o czymś, na czym się nie znasz i o czym nie masz prawa mówić! Moja matka jest cygańską księżniczką i *dromonde* przysługuje mi z prawa urodzenia. Co może o tym wiedzieć uczony *gadje* twojego Delaunaya?

– Choćby to, że cygańskie księżniczki nie żyją z prania cudzych brudów! – odpaliłam.

Hiacynt niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

– Jeśli tak, to naprawdę niewiele wie o Cyganach. Przetrwaliśmy wiele stuleci dzięki temu, że umiemy sobie radzić w każdych okolicznościach. Tak czy siak, obecnie zarabiam dość pieniędzy, by matka nie musiała dłużej praczyć rzeczy innych ludzi.

– Popatrzył na mnie poważnie i wzruszył ramionami. – Być może w tym, co mówisz, jest krztyna prawdy. Nie wiem. Kiedy dorosnę, odszukam krewnych mojej matki. Na razie muszę wierzyć jej na słowo. Znam się na *dromonde* na tyle, żeby nie kwestionować jej daru.

– A może boisz się Delaunaya? – burknęłam, wracając do tematu.

– Nie boję się nikogo! – Wypiął dumnie chudą pierś. Tak bardzo przypominał chłopca, którego poznałam w dniu swojej pierwszej ucieczki, że ogarnął mnie pusty śmiech i puściłam sprzeczkę w niepamięć.

– Hej, Cyganie!

Był to jeden z młodych paniczów, pijany i arogancki. Chwiejnym krokiem zbliżał się do naszego stołu, z dłonią zawieszoną przy rękojeści rapiera. Miał okrutne oczy i przepyszne ubranie. Nonszalanckim gestem rzucił sakiewkę na stół. Upadła ciężko, podzwaniając.

– Ile za noc z twoją siostrą?

Nie wiem, co odpowiedzieliśmy. Przychodziłam do Progu Nocy szczelnie otulona płaszczem i zawsze siadaliśmy w ciemnym kącie, z dala od paleniska. Karczmarz i stali klienci lubili Hiacynta; szanowali jego małą tajemnicę i nie byli wścibscy, gdy chodziło o moją osobę.

Wszystkie te myśli przemknęły mi przez głowę, a zaraz za nimi napłynęło zadowolenie i duma, że panicz wypatrzył mnie w

cieniach i zapalał pożądaniem. Opadło mnie podniecenie na myśl o sprzedaniu się pod nosem Delaunaya nieznanemu, którego skore do bitki ręce i bezceremonialnie rzucona propozycja obiecywały ciężkie używanie, o jakim marzyłam.

Przemyślałam to wszystko w jednym mgnieniu oka. Widziałam, jak Hiacynt waży wzrokiem ciężki trzos.

Nagle pod brodą panicza błysnął jeden sztylet, a przy brzuchu drugi. Obok naszego stołu wyrósł Guy, człowiek Delaunaya. Nie zauważyłam, kiedy wszedł do gospody.

– Nie stać cię na jej cnotę, mój zacny przyjacielu. – Głos Guya, który słyszałam nieczęsto, brzmiał jak zwykle uprzejmie. Panicz stał z zadartą głową, zmuszony przez stal do upokarzającego posłuchu. – Wracaj do swojego towarzystwa.

Spokojny głos i zimna stal okazały się bardziej przekonujące od wrzasków i fizycznej demonstracji siły. Widziałam, jak panicz przełyka ślinę, a wraz z nią swoją dumę. Odwrócił się i odszedł bez słowa. Guy schował sztylety.

– Idziemy – powiedział, zakładając mi kaptur i wiążąc go pod brodą. Ruszyłam za nim posłusznie przez zatłoczoną gospodę, żegnając Hiacynta szybkim ruchem dłoni. Hiacynt, od początku naszej znajomości przywykły do nagłych i niespodziewanych rozstań, przyjął to z godnością.

Droga do domu strasznie się dłużyła. Siedziałam skulona, dopóki Guy w końcu nie przemówił.

– Wybór nie zawsze należy do nas, Fedro. – W powozie było ciemno, więc nie widziałam jego twarzy; słyszałam tylko beznamiętny głos. – Moi rodzice oddali mnie na wychowanie do Bractwa Kasjelitów. Zostałem stamtąd wyrzucony w wieku czternastu lat, bo złamałem śluby z córką wieśniaka. Udałem się do Miasta i wstąpiłem na ścieżkę występku. Choć byłem dobry w

przestępczym rzemiośle, gardziłem sobą i pragnąłem umrzeć. Pewnego dnia, kiedy myślałem, że już niżej nie mogę się stoczyć, przyjąłem zlecenie od przedstawiciela pewnej bardzo potężnej osoby. Miałem zabić pewnego szlachetnie urodzonego wracającego z przyjęcia.

– Delaunaya? – wyszeptałam zdumiona.

Guy nie zwrócił uwagi na mój przerywnik.

– Postanowiłem, że wykonam zadanie lub zginę, ale ten człowiek mnie rozbroił. Spodziewałem się śmiertelnego ciosu, lecz tylko usłyszałem pytanie: “Przyjacielu, walczysz jak uczeń Bractwa Kasjelitów, czemu więc porywasz się na czyn najmniej braterski ze wszystkich?” Wtedy się rozplakałem.

Czekałam na ciąg dalszy opowieści, Guy jednak milczał przez długi czas. Słyszałam tylko tętent końskich kopyt i niemelodyjne pogwizdywanie stangreta.

– Nie wybraliśmy swoich długów – rzekł wreszcie. – Traf chciał, że oboje jesteśmy dłużnikami Delaunaya. Nie próbuj go zdradzać. Ty, Fedro, pewnego dnia spłacisz swój dług, ale ja ze swoim będę żyć do samego końca.

Noc była chłodna, a jego słowa zmroziły mnie do szpiku. Zadrżałam, rozmyślając o tej historii i zastanawiając się nad darem, który pozwalał Delaunayowi podbijać nawet te serca, które zahartowała rozpacz i zbrodnicze czyny.

Ale jeśli nawet Guy miał do śmierci pozostać człowiekiem Delaunaya, nie był tym, kim ja byłam: jego uczennicą. Wypowiedź mojego opiekuna – najdłuższa, jaką słyszałam – uzupełniła puste miejsce w wielkiej układance i zrodziła ważne pytanie.

– Komu zależało na śmierci Delaunaya?

Wyczułam, że spojrzał na mnie w ciemności.

– Izabeli de la Courcel – odparł beznamiętnie. – Żonie księcia Rolanda.

Rozmowa ta utkwiła mi w pamięci, była bowiem pierwszą z tego rodzaju – i ostatnią, gwoli ścisłości. Guy nie wspomniał już więcej o tej dawnej sprawie ani o naszym długu wobec Delaunaya. A jednak jego słowa wywarły pożądany efekt, bo nigdy nie próbowałam zdradzić swojego wierzyciela.

Przeszłość Delaunaya i przyczyny wrogości księżnej stanowiły największą zagadkę w moim życiu. Choć Izabela de la Courcel już od siedmiu lat spoczywała w grobie, echa starego konfliktu wciąż odzywały w informacjach gromadzonych przez Delaunaya. Ale jaki cel mu przyświecał? Tego nie wiedziałam i spędziłam długie godziny na bezowocnych dywagacjach z Hiacyntem i Alcuinem – którego w równym, a może nawet większym stopniu intrygowała tajemnica Anafiela Delaunaya.

Co do samego Alcuina: gdy, nasiąkając naukami Cecylii Laveau-Perrin, z chłopca przeobraził się w młodzieńca, zauważyłam zmianę jego stosunku do naszego pana. Spontaniczne uczucie, niezwykle urokliwe u dziecka, jęło ustępować bardziej wyrafinowanemu uwielbieniu, przepojonemu tkliwością i zarazem sprytem.

Zazdrościłam mu luksusu tego z wolna rodzącego się objawienia, choć wyczuwałam niepokój Delaunaya, który odnosił się do niego z ostrożną, wiele mówiącą rezerwą. Nie przypuszczam, by on sam zdawał sobie z tego sprawę, ja jednak to zauważyłam.

Kilka tygodni przed szesnastymi urodzinami Alcuina Sprzymierzeńcy z Kamlachu odnieśli wielkie zwycięstwo nad skałdyjskimi najeźdźcami.

Pod wodzą młodego diuka Izydora d'Aiglemort rycerstwo

Kamlachu połączyło siły i zepchnęło Skaldów z gór daleko w głąb ich własnego terytorium.

A Sprzymierzeńcom towarzyszył książę Baudoin de Trevalion ze swoimi Poszukiwaczami Chwały.

Podobno diuk d'Aiglemort otrzymał informacje, że Skaldowie szykują się do zmasowanego ataku na trzy Wielkie Przełęcze Pasma Kamaelińskiego. Nikt nie kwestionował mądrości, z jaką wezwał pod broń panów Kamlachu, ale co do Baudoina de Trevalion... Cóż, na spotkaniach u Delaunaya i w zakątkach Progu Nocy poszeptywano o nadzwyczaj szczęśliwym zbiegu okoliczności, wskutek którego Baudoin de Trevalion i jego straż przyboczna akurat wtedy zawitali do księstwa Aiglemort.

Niemniej jednak D'Angelinowie odnieśli największe zwycięstwo od Bitwy Trzech Książąt, a Terre d'Ange powiększyło się o szmat zagarniętego terytorium. Król okazałby się głupcem, gdyby odmówił Kamlachowi odprawienia triumfu... lub nie docenił wkładu księcia Baudoina. Ganelonowi de la Courcel można było zarzucić wiele rzeczy, ale nie głupotę.

Tak się złożyło, że triumf wypadł w przeddzień urodzin Alcuina, a jego trasa wiodła obok domu Cecylii. Poczytawszy to za dobry omen, nasza mentorka postanowiła wydać przyjęcie i otworzyć dom dla gości niemal jak za dawnych czasów.

Wszyscy zostaliśmy zaproszeni.

DWANAŚCIE

Delaunay nie przykładął zbyt wielkiej wagi do swojego wyglądu – choć zawsze był wzorem elegancji – ale w dzień triumfu grymasił jak adept, który ma się zaprezentować potencjalnemu kochankowi. Zdecydował się w końcu na strój z czarnego aksamitu, na którym jego warkocz wił się jak kasztanowy płomień.

– Dlaczego to takie ważne, panie? – zapytałam, poprawiając puzderko z wonnościami u jego pasa. Delaunay miał kamerdynera, oczywiście, ale przy wyjątkowych okazjach pozwalał mi dopieszczać szczegóły swojego ubioru. W Domu Cereusa nabiera się wprawy; każdy wychowanek musi mieć bystre oko, żeby dostrzec najbłahsze niedociągnięcia, i zwinne palce, żeby je naprawiać.

– Z powodu Cecylii, oczywiście. – Jego uśmiech jak zwykle był niespodziewany i budził emocje. – Nie wyprawiała takiego przyjęcia od śmierci Antoina. Nie chcę jej przynieść wstydu.

A zatem ją kochał; przypuszczałam, że to uczucie zrodziło się w dawnych czasach. Delaunay miał mnóstwo kochanek w ciągu pięciu lat, jakie spędziłam w jego domu, więc nie było to niczym nowym. Wiele razy po odejściu gości słyszałam jego niski głos przeplatający się z kobiecym śmiechem. Nie czułam się zagrożona. Wszystkie kobiety w końcu odchodziły, podczas gdy ja zostawałam.

Z Alcuinem była zupełnie inna sprawa, oczywiście, ale... Wzruszyło mnie to szczere przywiązanie do kochanki, która

kiedyś była jednym z najpiękniejszych kwiatów w Dworze Nocy. Ze łzami w oczach przytuliłam policzek do okrytego aksamitem kolana, wdychając zapach pszczelego wosku i czosnku.

– Fedro. – Delaunay podniósł mnie, a ja zamrugałam, patrząc mu w twarz. – Będiesz chlubą mojego domu, jak zawsze. Ale pamiętaj, że to debiut Alcuina, więc zachowuj się grzecznie.– Znowu błysnął zaraźliwym uśmiechem. – Czy mamy wezwać go do przeglądu?

– Tak, panie – wyszeptałam, dokładając wszelkich starań, by zabrzmiało to grzecznie.

Przypuszczałam, że Delaunay każe wystroić Alcuina jak księcia, ale się pomyliłam. Łatwo było nie docenić jego finezji. Mieliśmy oglądać triumf królewski; goście Cecylii zobaczą dziesiątki prześwietnie ubranych wielmożów. W porównaniu z nimi Alcuin wyglądał co najwyżej na królewskiego stajennego.

Tak sobie pomyślałam, gdy wszedł do pokoju.

Po chwili spostrzegłam, że koszula jest uszyta nie z płótna, lecz z batystu o niezwykle gęstym, niemal niewidocznym splocie, a spodnie, na pierwszy rzut oka samodziałowe, były z moleskinu. Wykwintny, choć niewyszukany strój uzupełniały wysokie do kolan skórzane buty, błyszczące jak czarne lustra.

Wspaniałe włosy Alcuina spływały swobodnie na ramiona niczym lśniąca rzeka kości słoniowej, podkreślając piękno jego rysów. Będąc już dojrzałym młodzieńcem, zachował dawną, jakby nieśmiałą urodę i spoglądał na świat ciemnymi, poważnymi oczyma dziecka. Delaunay był geniuszem. Ten wieśniaczy strój – a raczej elegancka replika – uwydatniał nieziemski urok jego ucznia.

– Bardzo ładnie – powiedział Delaunay. Usłyszałam w jego głosie satysfakcję i coś jeszcze, sama nie wiem co.

Bądź grzeczna, pomyślałam; ostatecznie zabiera cię na przyjęcie.

– Wyglądasz pięknie – powiedziałam szczerze.

– Ty też! – Alcuin ujął moje ręce i uśmiechnął się bez cienia zazdrości. – Och, Fedro...

Z lekkim uśmiechem pokręciłam głową.

– Dzisiejszy wieczór będzie należeć do ciebie, Alcuinie. Mój dopiero nastąpi.

– Niebawem, w przeciwnym wypadku doprowadzisz nas do szału – rzekł Delaunay żartobliwie. – Chodźcie. Powóz czeka.

Rezydencja Cecylii Laveau-Perrin była większa od domu Delaunaya i stała bliżej pałacu. Lokaj powitał nas przy drzwiach i poprowadził na górę po szerokich, biegnących łukiem schodach. Całe trzecie piętro służyło przyjmowaniu gości. Była tam jadalnia z długim stołem i srebrną zastawą na białym obrusie, salon łączący wygodę z elegancją oraz sąsiadująca z nim sala balowa. Szerokie drzwi sali wychodziły na balkon, z którego mieliśmy oglądać triumf. Na podium grał kwartet smyczkowy, lecz nikt nie zwracał uwagi na piękną muzykę. Mimo chłodu – wciąż panowała zima – goście tłoczyli się na balkonie.

– Anafielu! – Wiedziona bezbłędnym instynktem idealnej gospodyni, Cecylia wyszła na powitanie w chwili, gdy stanęliśmy w drzwiach. – Jakże miło cię widzieć.

Choć spędzałam z nią wiele godzin, dopiero tego dnia doceniłam potęgę jej uroku. Nie wszyscy adepci Dworu Nocy starzeją się z wdziękiem, do niej jednak los się uśmiechnął. Wprawdzie siwizna przyprószyła jej złociste włosy, lecz w porównaniu z dojrzałą urodą młodość wydawała się wyzywająco krzykliwa. Drobne zmarszczki wokół oczu sprawiały, że twarz Cecylii promieniała melancholijną mądrością.

– Wyglądasz jak bogini – powiedział Delaunay z uczuciem. Roześmiała się, swobodnie i czarująco.

– A ty wciąż kłamiesz jak poeta, Anafielu. Alcuinie, pozwól, niech cię obejrzę. – Obrzuciła go krytycznym wzrokiem i rozchyliła mu kołnierzyk koszuli, żeby odsłonić delikatne zagłębienie u nasady szyi. – Cudownie. – Poklepała go po policzku. – Triumf dopiero się rozpoczął, jest więc jeszcze czas na nawiązanie znajomości. Alcuinie, wiesz, że jedno twoje słowo, a nie będziesz musiał...

– Wiem. – Alcuin posłał jej swój anielski uśmiech.

– To dobrze. Wystarczy, że szepniesz słówko lub pokręcisz głową. – Odwróciła się w moją stronę. – Fedro... – Sama pokręciła głową, wprowadzając w ruch diamentowe kolczyki, które zamigotały w świetle. – Uważaj, moja droga, żeby nie wzniecić pożaru.

Wymruczałam jakieś niezobowiązujące potwierdzenie, choć uznałam jej przestrożę za nieco dziwną. Moją uwagę już zaprzętał balkon, gdzie za chwilę miałam poznać – nareszcie! – mężczyzn i kobiety, spośród których wielu już niedługo miało zostać moimi klientami. Być może tego dnia nie rzucałam się w oczy – Delaunay wybrał dla mnie wyjątkowo skromną suknię z brunatnego aksamitu oraz jedwabną siateczkę, która poskramiała moje bujne loki – ale nie miałam zamiaru zostać przeoczona.

Nasze wejście wywołało małe zamieszanie. Cecylia i Delaunay poruszali się w kręgach, które się zazębiały, ale nie do końca pokrywały. Niektórzy z jej gości, jak Gaspar Trevalion, hrabia de Fourcay, byli również jego przyjaciółmi.

Inni nie.

Obserwowałam twarze, kiedy kamerdyner zaanonsował nasze

przybycie, widziałam więc, kto się uśmiechnął i kto spojrzął na innych w milczącym porozumieniu. Bezsprzecznie byli tutaj ci upragnieni przeze mnie... lecz niekoniecznie przez Delaunaya. Każdy, kto miał odpowiednio pękata sakiewkę, mógł wyłożyć sumę wyszczególnioną w kontrakcie, a nadto przyczynić się do powstania mojej marki, jemu jednak nie zależało na pieniądzach. Oboje z Alcuinem stanowiliśmy inwestycję innego rodzaju.

Po niedługim czasie zrozumiałam, dlaczego Delaunay zabrał mnie na przyjęcie. Alcuin krążył wśród potomków Elui jak księżę w przebraniu stajennego, przyciągając spojrzenia. Wszędzie wokół słyszałam szepty: "...sługa Naamy..." i "...wigilia jego urodzin...". Delaunay i Cecylia coś planowali, co do tego nie miałam wątpliwości – podobnie jak goście. Ale podczas gdy Delaunay wtopił się w tłum i prowadził lekkie pogawędki, Alcuin zaś znajdował się w centrum jawnej i ukradkowej uwagi, ja mogłam dyskretnie patrzeć i słuchać.

– Anafiel Delaunay zastawia pułapki z interesującą przynętą.

Moją uwagę przyciągnął wypowiedziany z rozbawieniem komentarz wysokiego mężczyzny o oczach drapieżnego ptaka, z ciemnymi włosami splecionymi w ciasny warkocz. To Childric d'Essoms, przypomniałam sobie; piastujący wysokie stanowisko w Kancelarii Królewskiej. Rozmawiał z nie znanym mi szczupłym mężczyzną w granatowym stroju.

– Jesteś zainteresowany? – Jego towarzysz uniósł brwi.

D'Essoms roześmiał się, kręcąc głową.

– Ja gustuję w korzennych przyprawach, nie w słodyczach. Ale to interesujące, nieprawdaż?

Tak, pomyślałam, zachowując rozmowę w pamięci, jak nauczył mnie Delaunay. Interesujące, że okazujesz zainteresowanie, mój panie, i interesujące są twoje gusta.

Kiedy się rozeszli, podążyłam za niższym. Wytężyłam słuch, gdy wysoka kobieta z wymyślną fryzurą witała się z nim po nazwisku, ale właśnie wtedy ryknęły trąby i ktoś zawołał, że zbliża się triumf. Wszyscy stłoczyli się na balkonie. Straciłam z oczu Delaunaya i Cecylię, uwięziona za ściśniętymi ciałami. Przez chwilę wydawało mi się, że z całego triumfu zobaczę tylko odziane w brokat i jedwabie plecy gości, ale zażywny jegomość z siwą brodą zrobił dla mnie miejsce. Podziękowałam mu i wychyliłam się przez kamienną balustradę.

Na wszystkich balkonach wzdłuż trasy stali ludzie i ulicę oblegały tłumy. Nadciągał triumf, opromieniony mdłym zimowym słońcem, zapowiadany przez mosiężny ryk trąb. Przejechał oddział straży pałacowej, spychając gapiów pod ściany budynków. Za nimi samotnie jechał chorąży. Odległość nie była zbyt wielka, widziałam więc dobrze jego twarz, młodą, surową i przystojną. Pewnie trzymał drzewce, a sztandar łopotał na wietrze. Widniała na nim złota lilia na soczycie zielonym polu, otoczona przez siedem złotych gwiazd: znak Błogosławionego Elui i jego Towarzyszy, herb Terre d'Ange.

Za chorążym maszerowała gwardia królewska, a dalej jechał Ganelon de la Courcel, potomek Elui, król Terre d'Ange.

Wiedziałam, że król jest w podeszłym wieku, lecz mimo to zdziwiłam się na jego widok. Był wysoki, siedział w siodle prosto, ale włosy i brodę miał zupełnie białe, a oczy, bystre i głęboko osadzone, kryły się w cieniu szpakowatych brwi. Obok jechała Ysandra de la Courcel, jego wnuczka, następczyni tronu.

W scenie alegorycznej mogliby reprezentować Starą Zimę i Młodą Wiosnę, bo Ysandra de la Courcel była świeża i śliczna jak pierwszy dzień wiosny. Jechała po damsku na jabłkowitym rumaku, w sukni koloru pierwszych kielków krokusa i płaszczu z

królewskiej purpury. Włosy w kolorze bladego złota miała przewiązane prostą złotą wstążeczką.

D'Angelinowie stojący wzdłuż ulicy pozdrawiali ją serdecznymi okrzykami, ale na balkonie słyszałam pomruki. Ysandra de la Courcel, dziedziczka korony, była młoda, uwielbiana i piękna, lecz przede wszystkim niezamężna, ani z nikim nie zaręczona, ani nikomu nie obiecana. Choć jej twarz niczego nie zdradzała, pomyślałam, że musi być świadoma spekulacji, które z pewnością wszędzie jej towarzyszą. Obok króla i delfiny powiewało godło rodu de la Courcel, srebrny łabędź na granatowym polu, niżej niż flaga Terre d'Ange, ale poprzedzając wszystkie inne, jak nakazywał obyczaj. Dwie osoby skupione pod królewskim herbem wyglądały trochę żałośnie. Linia Ganelona de la Courcel wygasła na Ysandrze. Jedyne dziecko króla zginęło, a brat, książę Benedykt, wzenił się w panujący ród Caerdicci z La Serenissimy, lecz żona urodziła mu same córki.

Wiedziałam to wszystko, oczywiście, ale zobaczenie tego na własne oczy umożliwiło mi lepsze zrozumienie. Na balkonie, słysząc szepty gości, patrząc na sędziwego króla i młodą delfinę – nie starszą ode mnie – wyczuwałam narastającą pożądlivość skupioną na chwiejnym tronie.

Za królem jechała jego siostra księżna Lyonetta z małżonkiem, diukiem Markiem de Trevalion. Lwica z Azalii miała pobłażliwie zadowoloną minę; twarz diuka była nieodgadniona. Trzy statki i Gwiazda Nawigatora falowały na ich sztandarze, pod którym jechał również ich porywczy syn. Słyszałam, jak tłum na ulicy skanduje: "Bau-doin! Bau-doin!".

Niewiele się zmienił od czasu, gdy przed pięciu laty wcielił się w rolę Księcia Słońce. Oczywiście trochę się postarzał; był w kwiecie młodości, nie zaś na jej progu, lecz dziki błysk w jego

szarych jak morze oczach pozostał niezmienny. Otaczała go straż przyboczna, do której posiadania był uprawniony jako księżę krwi. Poszukiwacze Chwały podchwycili okrzyk gawiedzi i wznieśli miecze, które zamigotały w słońcu.

U boku księcia jechała opanowana, pogodna Melisanda Szachrizaj, rozkosz Baudoina i jedyny cień w oku Lwicy z Azalii. Fale jej kruczonych włosów lśniły niczym czarna woda w poświęceniu księżycy i w porównaniu z nią uroda młodej delfiny wydawała się blada i jakby niedojrzała. Widziałam Melisandę dopiero drugi raz w życiu, i to z daleka, a jednak zadrżałam.

– Cóż, to w miarę jasne – mruknął tęgi jegomość, który zrobił dla mnie miejsce. Mówił z obcym akcentem. Chciałam się odwrócić i spojrzeć na niego, ale byłam zbyt mocno przyciśnięta do kamiennej balustrady, by zrobić to z wdziękiem.

Za rodziną Trevalion podążał samotny jeździec ze sztandarem prowincji Kamlach – mieczem na czarnym polu. Wywarł trzeźwiące wrażenie na zgromadzonych, przypominając wszystkim, że triumf poprzedzała bitwa.

– Skoro zgodzili się jechać pod sztandarem d’Aiglemorta... – powiedziała w pobliżu jakaś kobieta – będą musieli uznać jego prawo.

– Myślisz, że ma dość rozumu, aby być niebezpiecznym? – Mężczyzna, który odpowiedział, sprawiał wrażenie rozbawionego. – Potomkowie Kamaela myślą mieczami.

– I dzięki niech będą za to Błogosławionemu Elui – wtrącił ostro ktoś inny. – Nie pragnę bowiem, by moje włości weszły w skład plemiennych ziem Skaldów.

Sprzymierzeńcy z Kamlachu wyglądali olśniewająco wokół młodego diuka d’Aiglemort, który, jak wynikało z dalszej rozmowy, zrzekł się bliżej nieokreślonych praw. Policzyłam

sztandary, dopasowując twarze do nazwisk, które Delaunay kazał mi zapamiętać. Ferraut, Montchapetre, Valliers, Basilisque; wszyscy wielcy panowie Kamlachu, w większości doświadczeni wojownicy, szczupli i bystroocy. Izydor d'Aiglemort wyróżniał się pośród nich, błyszczący w zbroi jak srebrny orzeł na swoim sztandarze. Oczy miał ciemne i bezlitosne, a gdy omiatał wzrokiem tłumy, przypomniałam sobie, gdzie go widziałam. To on był człowiekiem w masce jaguarondi na zimowej maskaradzie.

– Byłoby interesujące, gdyby spróbował – powiedziała powoli inna kobieta.

– Obserwowanie górskiego lwa też bywa ciekawe, ale nie polecam takiego do łóżka! – zakpił mężczyzna, który odzywał się wcześniej. Zignorowałam śmiech, obserwując przejazd Sprzymierzeńców. Choć była ich symboliczna garstka – trzon sił pozostał w Kamlachu, zabezpieczając przesuniętą granicę – prezentowali się imponująco. Prowincje Azalia i Kamlach obejmowały królestwo od wschodu i zachodu. Popularność Baudoina de Trevalion w połączeniu z potęgą Sprzymierzeńców stanowiła wyraźne przesłanie, w istocie przerażające w swoim braku subtelności.

Za przedstawicielami Kamlachu jechały wozy z łupami zdobytymi w bitwie, głównie z bronią. Zadrżałam, gdy zobaczyłam wielkie bojowe topory. Skaldowie są wspaniałymi poetami – wiem, bo dostatecznie długo studiowałam ich język – ale w swoich pieśniach opiewają krew i żelazo. I biorą w niewolę tych, których pokonali. My, D'Angelinowie, jesteśmy cywilizowani. Nawet osoba sprzedana do służby, jak ja, ma nadzieję na kupienie swej wolności.

Wreszcie wozy przejechały i goście Cecylii zaczęli wracać do

salonu. Odwróciłam się i zobaczyłam uśmiechniętą twarz brodatego mężczyzny. Zdecydowanie nie był D'Angelinem. Wspominając lekki akcent, uznałam go za Aragończyka.

– Sądzę, że należysz do domu Anafiela Delaunaya. Czy dobrze się bawiłaś, oglądając paradę? – zapytał mnie uprzejmie.

– Tak, wielmożny panie – odparłam odruchowo, nie znając jego pozycji.

Roześmiał się.

– Nazywam się Gonzago de Escabares i jestem historykiem, nie wielmożą. Podaj mi swoje imię i chodźmy razem do środka.

– Fedra.

– Aha. – Klasnął językiem i wyciągnął rękę. – Pechowe imię, dziecko. Zostanę zatem twoim przyjacielem, bo starożytni Hellenowie powiadali, że dobry przyjaciel może odgrodzić człowieka od jego mojry. Czy wiesz, co znaczy to słowo?

– Przeznaczenie – powiedziałam bez namysłu i zaraz skarciłam się w duchu. Delaunay wyraźnie zakazał mi i Alcuinowi zdradzania zakresu naszej wiedzy bez jego zgody. Ale mój umysł samoistnie dokonał powiązania i wyciągnął wniosek. – Byłeś, panie, jego nauczycielem na Uniwersytecie Tyberyjskim.

– W istocie. – Skłonił się lekko, strzelając obcasami. – Odszedłem na emeryturę i teraz podróżuję dla przyjemności, żeby zobaczyć miejsca, o których tak długo mówiłem. Wcześniej miałem zaszczyt uczyć... Delaunaya oraz jego...

– Maestro! – Gdy weszliśmy do sali balowej, naszą rozmowę przerwał radosny głos. Rozpromieniony Delaunay wielkimi krokami przemierzył dzielącą nas odległość i z wielkim uczuciem objął starszego mężczyznę. – Cecylia nie powiedziała mi, że tu będziesz.

Gonzago de Escabares ze świstem wypuścił ustami powietrze,

zamknięty w potężnym uścisku, i poklepał dawnego ucznia po plecach.

– Ach, Anafielu, mój chłopcze, z racji wieku pozwoliłem sobie na jeden luksus. Chcę na własne oczy zobaczyć miejsca, w których zmienia się bieg kół historii. Jeśli przypadkiem leżą one w Terre d’Ange, tym lepiej, bo tutaj na dodatek mogę sycić oczy wszechobecnym pięknem. – Z uśmiechem poklepał Delaunaya po policzku. – Ty swojego nie utraciłeś, młody Antinousie.

– Pochlebiasz mi, maestro. – Delaunay serdecznie ścisnął rękę Escabaresa, ale w jego uśmiechu kryła się rezerwa. – Aczkolwiek muszę ci przypomnieć...

– Ach! – Twarz aragońskiego profesora zmieniła się nagle, wyostrzyły mu się rysy i posmutniał. – Tak, oczywiście, wybac. Ale miło cię widzieć, Anafielu. Bardzo miło.

– Oczywiście. – Delaunay znów się uśmiechnął. – Czy możemy porozmawiać później? Chcę przedstawić komuś Fedrę.

– Oczywiście, oczywiście. – Poklepał mnie po ramieniu z tą samą przyjazną pobłażliwością. – Idź, dziecko, i baw się dobrze. Nie marnuj czasu na pogawędki z podstarzałymi pedantami.

Delaunay roześmiał się i pokręcił głową, prowadząc mnie w głąb sali. W milczeniu przeklełam go za to, że zjawił się w niewłaściwej chwili.

– Nauczał cię na uniwersytecie? – zapytałam.

– Tyberianie kolekcjonują uczonych jak niegdyś królestwa – odparł z roztargnieniem. – Maestro Gonzago był jednym z najlepszych.

Tak, panie, pomyślałam, i nazwał cię Anafielem oraz Antinousem, które to imię znam z tytułu zakazanego poematu, i potknął się raz na nazwisku Delaunay, które, jak mówi Hiacynt, nie jest prawdziwe, i być może powiedziałby znacznie więcej,

gdybyś nam nie przeszkodził, więc podczas gdy będę robić, co każesz, to pamiętaj, że będę robić również to, czego mnie nauczyłeś.

Zachowałam te myśli dla siebie i szłam za nim posłusznie, gdy nagle skręcił w taki sposób, że wpadłam na blondynkę o wyrazistych rysach. Dama odwróciła się z głośnym okrzykiem.

– Fedro! – W głosie Delaunaya pobrzmiwała reprimenda. – Solaine, wybacz. To jej pierwsze przyjęcie. Fedro, przeproś markizę Solaine Belfours.

– Może pozwolisz dziewczynie mówić za siebie, Delaunay. – Jej ton zdradzał irytację; Solaine Belfours nie żywiła miłości do mojego pana. Zauważyłam to, choć byłam zła na niego za postawienie mnie w niezręcznej sytuacji. To była jego wina; wychowankowie Domu Cereusa potrafią się z wdziękiem i bez zwracania uwagi poruszać w tłumie.

– Markiza jest sekretarzem Tajnej Pieczęci – powiedział Delaunay jakby od niechcenia, ale znacząco zacisnął rękę na moim ramieniu.

Wiedziałam, że oczekuje po mnie aktu skruchy, ale, choć dobrze znał słabostki swoich upatrzonych celów, nie był *anguisette*. Ja wiedzę o takich sprawach miałam we krwi.

– Przepraszam – wymamrotałam niezbyt uprzejmie i zerknęłam ponuro na markizę, głęboko w szpiku kości czując wyzwanie.

Jej niebiesko-zielone oczy stały się lodowate, a linia ust stwardniała.

– Twojej podopiecznej nie zaszkodziłaby mała nauczka, Delaunay. – Odwróciła się szybko i ruszyła przez salę balową. Popatrzyłam na Delaunaya. Wygiął brwi w wyrazie niepewności i zaskoczenia.

“Uważaj, żeby nie wzniecić pożaru”, powiedziała Cecylia. Teraz jej słowa nabrały większego sensu, choć niekoniecznie musiałam się z nimi zgadzać. Strząsnęłam rękę Delaunaya z ramienia.

– Zajmij się Alcuinem, panie. Ja sama dam sobie radę.

– Może nawet zbyt dobrze. – Zaśmiał się niewesoło i pokręcił głową. – Nie spraw mi kłopotów, Fedro. Mam dzisiaj dość na głowie.

– Oczywiście, panie. – Uśmiechnęłam się zuchwale. Zostawił mnie, ponownie kręcąc głową.

Zostawiona samej sobie, dobrze sobie poradziłam. Niektórzy goście przyszli z osobami towarzyszącymi i szybko nawiązałam znajomości. Szczupły, smagły młodzieniec z Domu Dzikiej Róży, skory do uśmiechu, przypominał mi Hiacynta. Odańczył akrobatyczny taniec z obręczami i wstążkami, nagrodzony gromkimi brawami. Jego patron, szlachetnie urodzony Chavaise, uśmiechnął się z dumą. Poznałam też Mierettę z Domu Orchidei, która zrobiła markę i teraz prowadziła własny salon. Tryskając wesołością, z której słynd jej Dom, wносиła do towarzystwa radość i wszędzie wokół niej widziałam uśmiechnięte, rozpogodzone twarze.

Wiele osób mierzyło wzrokiem Alcuina, który chodził nieświadom wzbudzanego poruszenia, anielsko spokojny, z powagą w ciemnych oczach. Patrzyłam w ich twarze i zauważyłam, że najbardziej wyróżniała się jedna. Vitalis Bouvarre był znajomym Delaunaya; nie przyjacielem, jak myślę, ale bywał w jego domu. Był kupcem i wywodził się z gminu – chodziły słuchy, że w jego żyłach płynie krew Caerdicci, naszych sąsiadów – ale zgromadził ogromny majątek, bo rodzina Stregazza obdarzyła go przywilejem wyłączności handlu z La

Serenissimą.

Nie odrywał wzroku od Alcuina, a jego twarz wyraźnie mówiła, że jest chory z pożądania.

Kiedy zgasły ostatnie promienie słońca i wysokie okna po obu stronach balkonu pociemniały, Cecylia klasnęła w dłonie, wzywając nas na wieczerzę. Wokół długiego stołu zasiadło dwadzieścioro siedmioro gości, prowadzonych na miejsca przez służących w nieskazitelnie białych uniformach. Dania napływały nieprzerwanym strumieniem, zupy i pasztety, a po nich gołąbki *en daube*, sznycle jagnięce, sałatki i jarzyny oraz potrawa z białej rzepy ubitej na pianę, okrzyknięta przez wszystkich szczytem rustykalnego wyrafinowania, a przez cały czas ze schłodzonych dzbanów lała się rzeka wina.

– Toast! – zawołała Cecylia, kiedy zniknęło ostatnie danie, deser z zimowych jabłek pieczonych w zalewie muszkatowej z goździkami. Podniosła kieliszek i odczekała chwilę. Nie straciła daru przyciągania powszechnej uwagi; przy stole zapadła cisza. – Za bezpieczeństwo naszych granic – podjęła cichym głosem. – Za bezpieczeństwo i dobrobyt błogosławionej Terre d’Ange.

Zgodny pomruk wezbrał wokół stołu; w tej kwestii byliśmy jednomyślni. Spełniłam toast ze szczerego serca i zobaczyłam, że wszyscy zrobili to samo.

– Thelesis – poprosiła gospodyni tym samym cichym głosem. Z miejsca blisko szczytu stołu wstała kobieta.

Drobna, smagła i wcale nie urodziwa, pomyślałam. Twarz miała pospolitą, a efekt, jaki wywierały ciemne, świetliste oczy, będące jej jedynym atutem, psuło niskie czoło.

A potem przemówiła.

Istnieje wiele rodzajów piękna. Jesteśmy D’Angelinami.

– Pod złotą czarą nieba/wieczór się skrada w ogrodzie/melisa

pachnie w powietrzu/wieśniak spoczywa w zagrodzie – wydekłamała głośno, bez cienia sztuczności. Jej głos wypełnił wszystkie zakamarki pokoju niczym światło przepojone złotem. Wiersz był niezwykle prosty, a jednak widziałam to wszystko, co opisywały słowa. – Pszczoła brzęczy w lawendzie/ w plastrze przybywa miodu... – nagle jej głos się zmienił, zabrzmiała w nim melancholia. – Lecz tutaj ciągle deszcz pada/i jestem daleko od domu.

Wszyscy znali słowa *Lamentu wygnańca*. Thelesis de Mornay napisała go w wieku dwudziestu trzech lat, na wygnaniu na deszczowym wybrzeżu Alby. Słyszałam go mnóstwo razy i często recytowałam, teraz jednak łyż zakręciły mi się w oczach. Byliśmy D'Angelinami na zawsze związanymi z ziemią, którą Błogosławiony Elua umiłował tak mocno, że przelał za nią własną krew.

Zapadła cisza, ale Thelesis do Mornay nie usiadła. Cecylia podniosła kieliszek.

– Panowie i panie – powiedziała łagodnym tonem, w którym pobrzmiwały kadencje Domu Cereusa – obyśmy nigdy nie zapomnieli, kim jesteśmy. – Z powagą ułała kropelkę wina w ofierze. – Elua jest dla nas łaskawy. – Jej powaga ujęła nas wszystkich. Wielu gości podniosło kieliszki. Ja też, podobnie jak Delaunay i Alcuin. Cecylia poderwała głowę z szelmowskim błyskiem w oczach. – A teraz niech się zacznie zabawa! Kottabos!

Wśród wybuchów śmiechu przenieśliśmy się do salonu, zjednoczeni miłością do naszego kraju i serdecznością Cecylii. Służący zwinęli dywan i ustawili pośrodku podłogi srebrny trójnog z szerokim srebrnym lejkiem, wypolerowanym do jasności lustra. Scena wygrawerowana poniżej wrębu przedstawiała D'Angelinów, biesiadujących w stylu helleńskim.

Uważamy Złoty Wiek Hellady za ostatnią wielką cywilizację przed nastaniem Elui, dlatego motywy helleńskie nie wychodzą z mody.

W środku leja wznosił się wysoki może na cztery stopy stojak, a na jego szczycie balansował srebrny dysk *plastinx*. Służący podali gościom płytkie srebrne czarki z ozdobnymi uchwytami i napełnili je winem z dzbanów.

Do gry kottabos potrzebne są resztki, a żeby zostały resztki, trzeba wypić prawie wszystko. Choć wcześniej byłam wstrzemięzliwa w picciu, wypite duszkiem wino zaczęło rozgrzewać mi krew. Zasady gry są proste, ale wymagają wprawy: kręcąc uchwytem wokół palca, trzeba wychlusnąć resztkę wina z czarki w taki sposób, żeby krople uderzyły w *plastinx* i strąciły go do leja. Misa powinna zadzwiezczeć jak gong.

Spośród pięciu czy sześciu poprzedzających mnie osób jednej udało się trafić w cel, ale *plastinx* nie spadł do leja. Ja chybiłam, a Thelesis de Mornay pocieszyła mnie miłym uśmiechem. Cecylia zebrała brawa, choć *plastinx* tylko zagrzechotał o skraj misy i zsunął się na dno. Childric d'Essoms zakręcił czarką tak szybko, że resztki wina poleciały niczym bełt wystrzelony z kuszy i strąciły *plastinx* na podłogę. Wszyscy krzyknęli na wiwat i wybuchnęli śmiechem, choć nie zdobył punktu. Mieretcie z Domu Orchidei udało się zadzwonić w misę, a także Gasparowi, hrabiemu de Fourcay, oraz, ku powszechnemu zdumieniu, Gonzago de Escabaresowi, który po celnym strzale uśmiechnął się pod nosem.

Alcuin, który siedział na sofie z wysoką, wymyślnie uczesaną damą, sprawił się gorzej ode mnie i tylko rozchlapał wino. Kobieta podniosła jego palce do ust i zlizwała kropelki. Alcuin spłonął rumieńcem. Rozgorączkowany Vitalis Bouvarre wypuścił

z ręki uchwyt czarki i rzucił ją razem z winem. *Plastinx* spadł do misy, ale trafienie nie zostało uznane.

Delaunay, spokojny i opanowany, ascetycznie surowy w czarnych aksamitach, startował ostatni. Nie podnosząc się z sofy, wsparty na jednej ręce, zakręcił czarką i wylał resztki eleganckim ruchem.

Wycelował bezbłędnie i srebrny *plastiwc* spadł do misy, która zadzwoniła jak kurant. Nie wszyscy bili brawo, jak zauważyłam, ale ci, którzy to robili, nie oszczędzali rąk i jednogłośnie okrzyknęli go zwycięzcą.

– Nagroda, nagroda! – zawołała zarumieniona ślicznie Mieretta. – Messire Delaunay ma prawo do nagrody od gospodyni!

Cecylia uśmiechnęła się figlarnie.

– Co mam ci dać, Anafielu? – zapytała.

Delaunay podszedł do niej, uklonił się, złożył na jej ustach pocałunek – słodki, pomyślałam – i wyszeptał jej coś do ucha. Cecylia znowu się roześmiała, a on wrócił na sofę.

– Spełnię twoją prośbę – powiedziała wesoło. – Gdy wybije północ, Alcuin nó Delaunay, który jest poświęcony Naamie, skończy szesnaście lat. Właściciel jego marki pragnie wystawić na licytację jego dziewictwo. Czy ktoś jest przeciwny?

Możecie być pewni, nikt nie zgłosił sprzeciwu. Jakby na dany znak – jestem przekonana, że Delaunay i Cecylia to zaplanowali – przez okna balkonowe wpadł głos horologa, który na placu oznajmiał północ. Gospodyni podniosła kieliszek.

– Niechaj się stanie! Ogłaszam otwarcie licytacji!

Alcuin wstał z gracją z sofy i stanął przed nami, rozkładając ręce i obracając się powoli. Widziałam prezentacje setki adeptów Pierwszego z Trzynastu Domów, lecz żaden nie dorównywał mu

godnością.

Childric d'Essoms, który twierdził, że nie jest zainteresowany przynętą Delaunaya, pierwszy zgłosił sumę.

– Dwieście dukatów – wykrzyknął. Ponieważ tej nocy zwracałam na niego szczególną uwagę, dostrzegłam w jego oku błysk myśliwego i poznałam, że nie kierują nim żądze.

– Obrażasz chłopca – oznajmiła kobieta, która wcześniej dotrzymywała towarzystwa Alcuinowi. Przypomniałam sobie jej nazwisko: Dufreyne. – Dwieście pięćdziesiąt.

Vitalis Bouvarre zrobił przeproszającą minę.

– Trzysta – zaproponował zduszonym głosem.

Alcuin uśmiechnął się do niego.

– Trzysta pięćdziesiąt – powiedziała spokojnie Solaine Belfours.

– Och, nie. – Mieretta z Domu Orchidei wypłała wino i ostrożnie odstawiła kieliszek. Bawiąc się złotą kaskadą włosów, popatrzyła wesoło na Cecylię. – Cecylio, jesteś okrutna. Jak często takim jak my trafia się podobna okazja? Postawię czterysta, jeśli chłopiec mi podziękuje.

– Czterysta pięćdziesiąt! – zawołał ze złością Vitalis.

Ktoś inny przebił stawkę; nie pamiętam kto, bo licytacja nabrała tempa. Dla niektórych uczestników była tylko grą. Myślę, że Childricowi d'Essoms największą przyjemność sprawiało oglądanie rozpaczki tych, którzy zostali przelicytowani. Co do innych nie byłam taka pewna. Mieretta nó Orchidea licytowała dłużej niż przypuszczałam; nigdy się nie dowiedziałam, czy robiła to z własnej woli, zauroczona Alcuinem, czy może brała udział w planie Cecylii. W przypadku pozostałych sprawa była jasna. Pragnęli Alcuina, anielsko pogodnego i nieziemsko pięknego, z białymi włosami spadającymi jak welon na ramiona,

spoglądającego ciemnymi, tajemniczymi oczami.

W czasie licytacji Delaunay nawet nie drgnął, w żaden sposób nie zdradzając się ze swoimi uczuciami. Kiedy stawka przekroczyła tysiąc dukatów, raz spojrzął na Cecylię, a ona skinęła na swojego sekretarza, który podszedł z gotowym kontraktem i piórem.

W końcu na placu boju zostali tylko Vitalis Bouvarre, madame Dufreyne i kawaler Gideon Landres, właściciel ziemski z L'Agnace i członek parlamentu. Wszyscy pozostali czekali z zaciekawieniem na finał.

– Sześć tysięcy dukatów! – Czerwony na twarzy Vitalis Bouvarre rzucił ofertę niczym rękawicę. Madame Dufreyne dotknęła palcami ust, porachowała w pamięci i pokręciła głową. Kawaler tylko skrzyżował ramiona i przybrał obojętną minę.

Stało się; dziewictwo Alcuina zostało sprzedane za sześć tysięcy dukatów. Ja, która wychowałam się w Dworze Nocy, nigdy nie słyszałam o podobnym zdarzeniu. Co dziwne, w owej chwili przyszła mi na myśl matka Hiacynta, która cały swój majątek nosiła na sobie i nie mogła liczyć, że kiedykolwiek jej ozdoby warte będą tyle, ile w jedną noc przyniosło dziewictwo Alcuina.

Po licytacji sekretarz Cecylii szybko uzupełnił kontrakt i podsunął go Vitalisowi do podpisu, choć nie sędzę, by ten choćby spojrzął na dokument. Noc była jeszcze młoda, on jednak stracił zainteresowanie przyjęciem.

– Chodź – powiedział do Alcuina niewyraźnym głosem. – Powóz czeka. – Popatrzył na Delaunaya. – Mój stangret odwiezie go rano. Nie masz nic przeciwko?

Delaunay, dziś bardzo małomówny, tylko pokręcił głową. Alcuin spojrzął na niego; było to bardzo poważne spojrzenie.

Delaunay odpowiedział na nie bez cienia emocji. Vitalis wyciągnął rękę i wyprowadził Alcuina.

Wino trochę zatarało wspomnienia tej nocy, pamiętam jednak, że po ich wyjściu Cecylia klasnęła w ręce i muzycy zagrali wesołą melodię. Rozpoczęły się tańce; tańczyłam z Gonzago de Escabaresem i kawalerem Landres, który ze stoickim spokojem pogodził się z przegraną, a także z Childrikiem d'Essoms, który uśmiechał się drapieżnie i patrzył na mnie jak jastrząb na wróbla. Potem szlachetnie urodzony Chavaise poprosił o wybicie rytmu na kotłach i bębnach; zatańczyłam z jego kochankiem z Domu Dzikiej Róży, zwinnym akrobatą, który wcześniej dawał przedstawienie. Byłam zadowolona, że szkolenie u Delaunaya obejmowało również lekcje tańca.

Późno w nocy, pamiętam, Delaunay przedstawił mnie Thelesis de Mornay, która musnęła moją twarz smukłymi, ciemnymi plecami i wyrecytowała wiersz o Strzale Kusziela z tekstu *Leucenaux*. Gdy przebrzmiały ostatnie słowa, zapadła cisza, a zaraz potem rozległy się szepty.

Teraz więc wszyscy wiedzieli, co oznacza szkarłatna plamka w moim oku. Wiele osób chętnie zabrałoby mnie ze sobą, czemu nie byłabym przeciwna, ale ręka Delaunaya na moim łokciu przypomniała mi, komu jestem winna posłuszeństwo.

TRZYNAŚCIE

Alcuin był milczący przez większą część tygodnia.

Nie wiem, czy rozmawiał z Delaunayem. Są pewne rzeczy, o które nikt nie pyta, są pewne prywatne sprawy, które szanujemy. Ale po kilku dniach nie wytrzymałam i zapytałam Alcuina, jak było.

Uczyliśmy się razem w bibliotece Delaunaya, siedząc naprzeciwko siebie przy wielkim stole i czytając w blasku lampy. Alcuin, mozolący się nad spekulatywnym traktatem poświęconym Panu Cieśniny, zaznaczył miejsce palcem i popatrzył na mnie.

– Świetnie – rzekł cicho. – Messire Bouvarre był zadowolony. Pragnie znów mnie zobaczyć, gdy wróci z La Serenissimy.

Jego powściągliwość trochę pomieszała mi szyki. Pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej, zadałam pierwsze pytanie, jakie przyszło mi na myśl.

– Dał ci coś na zrobienie marki?

– Nie. – W jego oczach zalśnił cyniczny uśmiech, ponury i dojrzały. – Nie po tym, jak wyłożył sześć tysięcy dukatów za przywilej pozbawienia mnie dziewictwa. Ale obiecał, że przywiezie mi sznur szklanych paciorków. Jak zrozumiałem, La Serenissima słynie z pięknych szklanych wyrobów. – Zamknął książkę i dodał: – Nie sądzę, by szybkie zrobienie marki leżało w jego interesie.

Widziałam żądzę na twarzy Vitalisa Bouvarre'a; tak, Alcuin miał rację.

– Dlaczego on? Delaunay i Cecylia wybierali gości. Wiedzieli, kto da najwięcej. Czego Delaunay może chcieć od niego?

– Trucizna. – Powiedział to tak cicho, że nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam. Alcuin odgarnął włosy, lekko marszcząc czoło. – Mieszkańcy La Serenissimy specjalizują się w produkcji szkła... i trucizn. Brat króla, książę Benedykt, jest mężem Marii Stregazza, której rodzina rządzi miastem. A ród Stregazza podpisał korzystny dla Bouvarre'a kontrakt niespełna cztery miesiące po otruciu Izabeli de la Courcel.

– Nie ma dowodu, że została otruta.

– Nie. – Alcuin pokręcił głową. – Gdyby był dowód, nikt nie podejrzewałby rodziny Stregazza. Ale po śmierci Rolanda w Bitwie Trzech Książąt Izabela de la Courcel zaczęła obsadzać ważne stanowiska członkami własnej rodziny, pragnąc umocnić swoją władzę, i mówiło się także o zaręczynach Ysandry z jakimś L'Enversem. Jej śmierć położyła kres tym zabiegom. – Wzruszył ramionami. – Delaunay sądzi, że książę Benedykt raczej nie przystałby na takie rozwiązanie... w przeciwieństwie do rodu Stregazza. Benedykt ciągle jest drugi w kolejce do tronu Terre d'Ange.

– Bouvarre powiedział ci coś ciekawego?

– Powiedział, że w La Serenissimie wszystko można kupić za określoną cenę, nawet życie i śmierć. To wszystko. – Alcuin milczał przez chwilę. – Czasami, kiedy podaję do stołu i zgodnie z zaleceniem Delaunaya mam przysłuchiwać się rozmowom, odrywam myśli od tego, co robią moje ręce, i skupiam się na słuchaniu oraz zapamiętywaniu. W czasie spotkania z Bouvarrem nie było to takie łatwe – powiedział cicho.

– Czyżby cię skrzywdził? – Coś takiego raczej nie wchodziło w grę; Delaunay pozwałby Bouvarre'a do sądu, gdyby złamał

warunki wyszczególnione w kontrakcie.

– Nie, był dość delikatny. – Jego ton wyrażał niesmak. – Fedro, Naama kładła się z nieznanymi z miłości do Elui. Ja dla niego zrobiłbym jeszcze więcej.

Wiedziała, że chodzi mu o Delaunaya, i nie powiedziałam, że każdy z Trzynastu Domów Nocnego Dworu inaczej tłumaczy prostytutkę Naamy.

– Dlaczego? – zapytałam, choć pomyślałam, że znam odpowiedź.

– Nie wiesz? – Alcuin obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem. Przypuszczał, że znam jego dzieje. Moja historia nie skrywała żadnych tajemnic, chociaż później dowiedziałam się, że nie miał pojęcia, w jakich okolicznościach trafiłam do Domu Cereusa. – Urodziłam się w Trefail, w Kamaelinach. Człowiek księcia Rolanda spłodził mnie z wiejską dziewczyną, kiedy przez rok patrolowali granicę.

– Nic dziwnego, że Baudoinowi udało się być w Kamlachu – powiedziałam, rozmyślając na głos.

Alcuin pokiwał głową.

– Jak Rolandowi, prawda? W każdym razie, rodzina wypędziła moją matkę. Była bliska śmierci głodowej, gdy wieści dotarły do Rolanda. Księżę postawił mojego ojca przed sądem wojennym, wypłacił posag rodzinie i wynajął mamkę, kiedy matka straciła mleko. Mamka pochodziła ze Skaldów, którzy osiedlili się na pograniczu Kamlachu i nie mają ochoty wracać na ojczyste ziemie. W ten sposób wynagrodził krzywdę.

– Alcuinie... – Jego opowieść zaciekała mnie, ale także zirytowała. – Co to ma wspólnego z Delaunayem?

– Nie wiem. – Pokręcił głową, wprawiając w ruch kurtynę białych włosów. – Wiem tylko, że ruszył u boku księcia Rolanda

do Bitwy Trzech Książąt, a sześć lat później, kiedy Skaldowie przekroczyli granicę, przyjechał po mnie. Zapytałem, czy jest moim ojcem, a on zaprzeczył ze śmiechem. Powiedział, że dotrzymuje własnego słowa i czasami także wypełnia obietnice złożone przez innych. Od tej pory jesteśmy razem.

– Nie chcesz zobaczyć matki?

Wzruszył ramionami.

– Delaunay ubiegł Skaldów dosłownie o pół kroku. Byliśmy czterysta jardów od miasta, kiedy usłyszeliśmy pierwsze krzyki. Przesadził mnie wtedy na swoje siodło i zakrył mi uszy. Nic nie mogłem zrobić. Przez całą drogę z gór widzieliśmy za sobą słup czarnego dymu. Płakałem za nianią, ale matki nie znałem. Nigdy tam nie wrócę.

Współczułam mu i trochę zazdrościłam, szczerze mówiąc, bo moja historia ani w połowie nie była taka romantyczna. Ucieczka z gór! Zdecydowanie było to bardziej ekscytujące niż sprzedaż do Dworu Nocy.

– Powinieneś zapytać go jeszcze raz. Masz prawo wiedzieć.

– On ma prawo zachować milczenie. – Alcuin wstał, by odłożyć książkę na półkę, potem odwrócił się i przekrzywił głowę. – Niewiele wspomnień wyniosłem z dzieciństwa, ale dobrze pamiętam, jak niania mówiła do mnie po skaldyjsku. Mówiła, że wielki książę z rodu aniołów obiecał, iż nie zostanę bez opieki. Delaunay dotrzymuje słowa danego przez Rolanda de la Courcel.

Z prowadzonej do późna w noc rozmowy – Delaunay był na przyjęciu – dowiedziałam się, że w przeciwieństwie do mojej marka Alcuina nie była kwestią kontraktu. Alcuin sam dokonał wyboru i postanowił poświęcić się służbie Naamie, żeby spłacić dług, który nigdy nie mógł zostać spłacony. Pomyślałam o historii Guya i niewidzialnych więzach, które nas wszystkich łączyły z

Anafielem Delaunayem. Pomyślałam o historii Alcuina i zastanowiłam się, jakie więzy łączyły Delaunaya z nieżyjącym od dawna księciem Rolandem.

Hiacynt wysunął teorię.

– Co wiemy o pierwszej narzeczonej księcia Rolanda? – zapytał retorycznie, siedząc w “Kogutku” z nogami na stole i wymachując kurzym udkiem. Pomogłam mu zaaranżować spotkanie zameżnej damy z przystojnym aktorem; zarobione pieniądze wydał na kurczaka z różną i piwo dla nas obojga. – Poza tym, że skrzyła kark na polowaniu, wiemy, że Anafiel Delaunay podobno napisał piosenkę, obarczającą za to winą Izabelę L’Envers. Wiemy, że jego wiersze znalazły się na indeksie, co sugeruje, że ktoś na dworze królewskim uznał go za autora piosenki i miał dowody, które przekonały króla. Wiemy też, że Delaunay nie został skazany na banicję, co sugeruje, że ktoś inny go ochronił, zapewne mając ku temu powody. Parę lat później Delaunay spełnia obietnicę daną przez księcia Rolanda, co sugeruje, że był mu coś winny. Od czego się zaczęło? Od narzeczonej księcia. Kim więc ona była?

Czasami świadomość, że Hiacynt jest lepszy w tym, do czego ja zostałam wyszkolona, doprowadzała mnie do rozpacz.

– Edmee, Edmee de Rocaille, córka hrabiego de Rocaille, właściciela jednego z największych majątków w Siovale. Jest tam mały uniwersytet, na którym rodzina Szamchazaj studiuje nauki ścisłe. – Wzruszyłam ramionami i wypiliśmy łyk piwa. – Hrabia ofiarował uczelni swój słynny księgozbiór.

Hiacynt skubał udko białymi zębami, rozsmarowując tłuszcz po brodzie.

– Miał synów?

– Nie wiem. – Spojrzałam na niego. – Myślisz, że Delaunay jest

jej bratem?

– Czemu nie? – Ogryzł pałkę do kości i napił się piwa. – Jeśli napisał piosenkę... nie przyznał się do autorstwa, ale też nigdy nie słyszałem, żeby zaprzeczył. Jeśli napisał piosenkę, to znaczy, że ogromnie mu zależało na skompromitowaniu morderczyni. I jeśli nie był bratem Edmee de Rocaille, to może był dla niej kimś innym.

– Na przykład? – Popatrzyłam na niego podejrzliwie znad krawędzi kufła.

Hiacynt odstawił swój kufel, zdjął nogi ze stołu i z konspiracyjnym błyskiem w oku pochylił się w moją stronę.

– Kochankiem. – Widząc moje niedowierzanie, uniósł palec. – Nie, czekaj, Fedro. Jeśli nawet rzuciła go dla następcy tronu, nadal mógł ją kochać. Po jej tragicznej śmierci przybył do Miasta w poszukiwaniu sprawiedliwości, znalazł jednak tylko znowę milczenia. Szlachetnie urodzony prowincjusz, popędliwy i zupełnie niezorientowany w polityce, rzucił wszystkim wyzwanie w postaci piosenki. W ten sposób zrobił sobie wroga z księżnej Izabeli, ale zyskał orędownika w osobie księcia, który, będąc człowiekiem honoru, postanowił chronić lekkomyślnego młodego poetę. Co o tym sądzisz?

– Sądzę, że zbyt dużo czasu spędzasz wśród aktorów i dramatopisarzy. – Parsknęłam śmiechem, ale musiałam przyznać, że jego teoria daje mi wiele do myślenia. Śmierć narzeczonej księcia Rolanda stanowiła pierwszą nić, która wyłaniała się z tego splątanego motka. – Poza tym Delaunay studiował na Uniwersytecie Tyberyjskim. Nie przybył tu z prowincji.

– Aha, tak. – Hiacynt napił się i starł pianę z ust. – Pedanci i demagodzy. Czego od takich można się nauczyć?

Musiałam się roześmiać. Hiacynt był inteligentny, ale miał uprzedzenia typowe dla gminu.

– Mnóstwa rzeczy. Ale powiedz mi, czy korzystałeś z *dromonde!*

– Wiesz, że nie. – Spowaźniał. – Pamiętasz, co powiedziała moja matka? Uprzedzę cię, Fedro, gdy znajdziesz się tak blisko prawdy, że nie będziesz w stanie jej dostrzec, ale nie użyję swojego daru, żeby przyspieszyć nadejście tego dnia.

– Mógłbyś zwieść na manowce samo przeznaczenie – burknęłam.

– Tak? – Wyszczrzył zęby. – Jestem Cyganem. Ale moje teorie są niezłe, prawda?

Niechętnie przyznałam mu rację. Rozmawialiśmy o innych rzeczach, dopóki za oknem “Kogutka” nie zamajaczyła biała twarz Guya, przypominając mi o obowiązkach i wzywając do domu.

Niedługo po tej rozmowie nastąpiły dwa ważne zdarzenia, przy czym jedno miało znaczenie tylko dla mnie. Pierwszym, istotnym dla całego królestwa, była wizyta cruarchy Alby na d’Angelińskim dworze. Cruarchą Cruithnowie nazywają swojego wodza; my, wzorem uczonych Caerdicci, zwaliśmy go piktyjskim królem. Odwiedziny wzbudziły sensację również dlatego, że Pan Cieśniny nieczęsto pozwalał na przeprawę przez morze dzielące nasze kraje.

Jak tylko sięgnąć pamięcią, Pan Cieśniny władał Trzema Siostrami, maleńkimi wysepkami leżącymi niedaleko wybrzeża Azalii. Na Błogosławionego Eluę przysięgam, że ludzie mówią prawdę: wiatr i woda słuchają jego rozkazów. Możecie wierzyć lub nie, ale widziałam to na własne oczy, wiem, że tak jest. Jego rządy zapewniały nam ochronę przed długimi łodziami Skaldów,

ale uniemożliwiały nawiązanie przymierza czy handlu z Cruithnami, których ziemie są bogate w ołów i rudę żelaza. Nikt nie wiedział, dlaczego Pan Cieśniny przepuścił Piktów, ale wylądowali bezpiecznie i zostali przyjęci na dworze. Ich wizyta spowodowała znaczne poruszenie w naszym domu. Bardzo niewielu D'Angelinów władało językiem cruithne i Delaunay został wezwany do pałacu, żeby uczestniczyć w audiencji jako tłumacz.

Ze wstydem przyznaję, że poświęciłam temu wydarzeniu mniej uwagi niż powinnam, ale moje myśli zajmowała druga ważna okoliczność. Otóż Cecylia Laveau-Perrin oświadczyła Delaunayowi, że niczego więcej już nie może mnie nauczyć i że byłoby najlepiej, gdyby moją dalszą edukacją zajął się adept Domu Waleriany.

Delaunay okazał sceptycyzm, musiał jednak przyznać, że i w jej, i w jego przypadku znajomość sztuki algolagnii ma charakter czysto teoretyczny, dlatego umówił mnie z zastępcą Domu Waleriany. Niedługo później otrzymał wezwanie na dwór. Przypuszczam, że odwołałby moje spotkanie, gdyby jego myśli nie zaprzętała zbliżająca się audiencja.

Delaunay zdecydował, że zabierze ze sobą sekretarza – Alcuina, który władał cruithne niemal równie biegle jak on, i obaj pojechali powozem przysłanym z pałacu. W tym czasie stangret Delaunaya zawiózł mnie do Domu Waleriany. Gdybym wiedziała, co wydarzy się w przyszłości, błagałabym o zabranie mnie na audiencję, bo wcale nie byłam gorsza od Alcuina i miałam ładniejszy charakter pisma. Odniosłabym niemałe korzyści z poznania cruarchy Alby i następcy tronu – syna nie jego, lecz jego siostry. U Piktów władza przekazywana jest matrylinearnie i ten fakt również w niewyobrażalny sposób

wpłynął na moje życie.

Niestety, nie mamy wglądu w przyszłość, a ponieważ byłam już zmęczona coraz bardziej natarczywymi żądaniami mojej krwi, ograniczenie mej roli do udziału tylko w jednym wydarzeniu wielce mi odpowiadało. Oglądanie barbarzyńskiego króla może być fascynujące, nie przeczę, ale byłam przecież *anguisette* – skazaną na nudną torturę życia w cnotcie. Dlatego z radością pojechałam do Domu Waleriany.

CZTERNAŚCIE

To śmieszne, że tak niewiele wiedziałam o Domu, do którego bym trafiła, gdyby los nie napiętnował mojego lewego oka. Odźwierny otworzył bramę i powóz Delaunaya potoczył się długim podjazdem, szczelnie osłoniętym przez drzewa. Na dziedzińcu powitało mnie dwoje wychowanków; ani razu nie podnieśli wzroku, gdy wskazywali mi drogę. Znałam adeptów Domu Smagliczki, który słynie ze skromności, ale to w Walerianie pierwszy raz spotkałam się z taką potulnością i zdyscyplinowaniem.

Salon był wykwintnie urządzone i zbyt ciepły jak na tę porę roku. Ogień huczał w kominku, w lampach płonął wonny olej. Oczekiwanie umilałam sobie oglądaniem bogatych gobelinów. Zrazu pomyślałam, że przedstawiają sceny z mitologii helleńskiej, ale po dokładniejszej inspekcji zmieniłam zdanie. Pięknie splecione kolorowe nici ilustrowały historie gwałtów i tortur; widziałam uciekające dziewczęta, błagających młodzieńców, mściwe bóstwa zażywające rozkoszy.

Patrzyłam jak urzeczona na wykrzywioną twarz nimfy, niewolonej od tyłu przez wyszczerzonego satyra, kiedy do pokoju wszedł zastępca duejna.

– Witaj, Fedro nó Delaunay – rzekł cicho. – Jestem Didier Vascon, zastępca duejna tego Domu. – Podeszedł i pocałował mnie na powitanie. W jego wykonaniu ten akt, będący przecież wyrazem zwykłej uprzejmości, sugerował wielką uległość, wzruszającą i jednocześnie budzącą odrazę. – To ty jesteś

anguisette. – Z zadumą przyjrzał się czerwonej plamce w moim oku, pamiętce po Strzale Kusziela. – My poznalibyśmy się na tym od razu. Ci w Domu Cereusa są głupi – wycedził z jadem w głosie. – Duma nie pozwala im się przyznać, że są ignorantami, gdy chodzi o zakres sztuk Naamy. Widziałaś świątynię Kusziela? – zapytał już obojętnym tonem.

Zamrugałam, zdumiona nagłą zmianą postawy i tematu.

– Nie, panie.

Niemal niezauważalnie zatrzepotał rzęsami, gdy tak się do niego zwróciłam. Uważasz się za lepszą ode mnie, mówiły jego oczy, ale ja nie dam się oszukać. Głośno powiedział:

– Tak myślałem. Mamy tu kaplicę, bo wielu z naszych klientów oddaje cześć Kuszielowi. Chciałabyś ją zobaczyć?

– Tak, chętnie.

Wezwał służących z pochodniami i poprowadził mnie długim korytarzem, a potem po krętych schodach w ciemności gęstej jak smoła. Patrzyłam na jego plecy. W świetle pochodni cienki materiał białej koszuli stał się na wpół przezroczysty, dostrzegłam więc pręgi, które niemal pieśczośliwie wiły się wokół jego klatki piersiowej.

– Tutaj. – U stóp schodów otworzył drzwi, za którymi ujrzałam zalaną blaskiem ognia komnatę. Światło padało na spiżowy posąg Kusziela. Towarzysz Elui stał na postumencie za ołtarzem z misą ofiarną. Jego piękna twarz była surowa, w dłoniach trzymał cep i różgę. Patrzyłam na niego przez długi czas. – Wiesz, dlaczego Kusziel zrzekł się swoich obowiązków i dołączył do Elui?

Pokręciłam głową.

– Nie.

– Był jedną z Karzących Rąk Boga, wybranych do zadawania

mąk duszom grzeszników, żeby w Dzień Sądu mogli okazać skruchę. – Głos Didiera Vascona rozbrzmiewał za moimi plecami. – Tak mówią legendy Jezuitów. Jako jedyny spośród aniołów rozumiał, że akt chłosty jest aktem miłości. Grzesznicy także pojęli tę prawdę i za to go kochali. Zadawany przez niego ból działał na nich jak balsam i błagali o więcej, widząc w cierpieniu nie drogę do odkupienia, ale miłość, która przewyższała boską. Bóg Jedyny nie był zadowolony, On bowiem nade wszystko inne pragnie czci. Kusziel dostrzegł iskrę w przykazaniu Błogosławionego Elui “Kochaj, jak wola twoja” i dlatego za nim podążył.

Drżąc, uwolniłam oddech. Nikt dotąd nie opowiedział mi tej historii, której poznanie przecież mi przysługiwało prawem urodzenia. Zastanowiłam się, jak wyglądałoby moje życie, gdybym została wychowana i wyszkolona w Domu Waleriany. Odwróciłam się do Didiera.

– To właśnie lubisz?

Zawahał się przed udzieleniem odpowiedzi.

– Nie. – Jego głos przybrał głuchy ton, gdy z niechęcią wyznawał prawdę. – Ale właśnie tak osiągam przyjemność. To służba, do której się urodziłem i do której zostałem przyuczony. Powiadają, że Strzała Kusziela wskazuje jego prawdziwe ofiary. Może ty się tego dowiesz.

Zrozumiałam wtedy, że mi zazdrościł.

– W jaki sposób szkoli się adeptów do tej służby? – zapytałam, chcąc zmienić temat.

– Chodź. – Skinął na ludzi z pochodniami i wyprowadził mnie drzwiami po drugiej stronie komnaty. Gdy szliśmy szerokim kamiennym korytarzem, mówił: – Zaczyna się od lekcji z cukierkami, w których są palące przyprawy. Wiesz o tym? Nie?

Dajemy je sześciolatniom dzieciom. Adept wyjaśnia, że przyjemny smak jest zależny od ukłucia bólu, jaki powoduje ostra przyprawa. Tych, którzy to rozumieją, zatrzymujemy; marki innych wystawiane są na sprzedaż. Późniejsza nauka sprowadza się do konsekwencji i warunkowania. Wychowankowi Domu Waleriany nie wolno doświadczać przyjemności bez bólu ani bólu bez przyjemności. – Zatrzymał się przed drzwiami i popatrzył na mnie z zaciekawieniem. – Nie przeszłaś takiego szkolenia?

Pokręciłam głową, a on wzruszył ramionami.

– To sprawa Delaunaya, jak sądzę. – Otworzył drzwi. – Tutaj mamy jedną z komnat rozkoszy. Staramy się urządzać je w taki sposób, żeby spełniały wyjątkowe wymagania naszych klientów.

Słudzy rozeszli się po pokoju, zapalając ścienne kinkiety i węgle w koszu. Rozejrzałam się i zadrżałam. Pośrodku kamiennej podłogi leżały puszyste kobierce. Ściany były bez ozdób, ale nie puste; na jednej wisiały kajdany z łańcuchami do rąk i nóg, przyśrubowane do kamienia, drugą zajmowało wielkie drewniane koło z kłami, służące do rozpinania rozpostartego ciała.

– Mamy dwustronną umowę z Domem Mandragory – powiedział Didier Vascon, patrząc, jak przyglądam się wyposażeniu komnaty. – Czasami trafiają do nas klienci, którym sprawia rozkosz samo tylko patrzeć. Wtedy na mocy umowy Mandragora dostarcza nam flagelanta wraz z asystentem, którzy poddają chłóście jednego z naszych adeptów. Oczywiście Mandragora miewa klientów uwielbiających oglądać sceny upokarzania i dręczenia, wówczas my wypożyczamy naszych wychowanków.

Jego słowa dźwięczały mi w uszach. Przeszłam na środek

pokoju, lekko dotknęłam wyściełanego konia z łąkami i spojrzałam na niego pytająco.

– Ten przyrząd... – Był rozbawiony moją niewiedzą. Zręcznie pchnął mnie na grzbiet konia, aż mój policzek zetknął się ze skórą. – Ten przyrząd ułatwia smaganie określonej części ciała. Niektórzy klienci mają wyjątkowe upodobanie do pośladek. Koń z łąkami jest wręcz idealny. Wyprostowałam się, zarumieniona ze złości.

– Nie przyszedłam tu, by pobierać nauki z twoich rąk! – prychnęłam.

Didier uniósł brwi i rękę.

– Zostawiam to twoim klientom, niech oni cię ujeżdżą – mruknął. – Ja nie jestem zainteresowany. Przyjąłem zapłatę za dopilnowanie, żebyś nie poszła do nich w zupełnej niewiedzy. Chodź tutaj. – Przywołał mnie do szafy i pokazał jej zawartość. – Dostarczamy wszelkiego rodzaju akcesoria: obroże, opaski na oczy, kneble, pasy, cokolwiek klient sobie życzy. Masz tutaj pierścienie, kulki rozkoszy, *aides d'amour*, szczypce...

– Zostałam wychowana w Domu Cereusa – przypomniałam mu, zastanawiając się, czy uważa mnie za ignorantkę, która nigdy nie widziała nakładek na penisa czy wyrzeźbionych fallusów.

– ...szczypce – podjął tak, jakbym wcale się nie odezwała. Podniósł sprężynowe kleszcze i rozwarł je, unosząc brwi. – Często stosowane do szczypania sutków albo dolnych warg. Używają ich w Domu Cereusa?

– Nie. – Szarpnęłam następną szufladę. Była zamknięta. Didier otworzył ją kluczem, który wisiał na łańcuszku u jego pasa. Na tle czerwonego aksamitu błysnął rząd smukłych, ostrych jak brzytwa stalowych narzędzi, podobnych do instrumentów

chirurga, lecz w przeciwieństwie do nich niezwykle pięknych.

– Strzałki – powiedział. – Wymagamy referencji i gwarancji od klienta, który chce ich używać. – Zadrżał mimo woli i głos mu się zmienił. – Nienawidzę ich.

Wyobraziłam sobie anonimową rękę przyciskającą ostry szpic do mojego ciała i strumyczek czerwieni rysujący się za jasnym ostrzem. Krew odznaczałaby się żywo na mojej skórze. Wyrwałam się z zadumy. Didier przypatrywał mi się z uwagą.

– Rzeczywiście jesteś tą, o której mówią opowieści, prawda? – W jego tonie zazdrość mieszała się z bliżej nieokreślonym współczuciem. – Mam nadzieję, że Delaunay dobrze sprawdza swoich klientów. Chodź, pokażę ci, co jest na górze.

Zwiedzałam Dom Waleriany, oglądając niezliczone pokoje: buduary w stylu seraju, łaźnie, altany ogrodowe, królewskie komnaty, harem, salę tronową, izbę haków i uprząży, nawet pokój dziecienny, choć Didier nie omieszkał przypomnieć, że prawa gildii wyraźnie określają minimalny wiek adeptów. We flagelarium wygłosił obszerny wykład na temat różnych rodzajów bieży i prętów, pokazując szpicruty, palcaty, pejcze, kańczugi, dyscypliny, baty, różgi, trzcinki, pasy i packi. Oczywiście wielu klientów, poinformował mnie oschle, woli przynosić własne akcesoria.

W czasie całej wycieczki nie widziałam ani jednego klienta. Polityka zapewniania prywatności obowiązuje w całym Dworze Nocy, ale w Domu Cereusa nigdy nie brakowało klientów, którzy traktowali go jak klub. Przychodzili nie tylko po to, by korzystać z usług Naamy, ale również spotkać się z przyjaciółmi i znajomymi. W Domu Waleriany panowała atmosfera tajemnicy i ukradkowości. Fety i gale urządzone są z nadzwyczajną ostrożnością, powiedział Didier, dla bardzo wąskiego grona

gości.

Kiedy już wszystko zobaczyłam i usłyszałam, ucieszyłam się, że trafiłam do Delaunaya, a nie do Domu Waleriany. Choć zaintrygowały mnie rzeczy, które miałam okazję obejrzeć, życie tutaj wydawało się mdłe, pozbawione szczypty tajemnicy i niebezpieczeństwa, na jaką mogli liczyć słudzy Naamy z domu Anafiela Delaunaya – w tych okolicznościach mogłam mu wybaczyć nawet ten przekłety rygor intelektualny. W adeptach Domu Waleriany zduszono najdrobniejsze iskry nieposłuszeństwa czy buntu, co zresztą nie powinno dziwić, bo przecież ich motto brzmiało “Ulegam”. Potężny Kusziel opiekował się nie tymi, którzy ulegali, ale tymi, którzy odważyli się okazać nieposłuszeństwo bez oglądania się na konsekwencje. Wtedy w to wierzyłam i nadal tak uważam, choć przypuszczam, że mogłabym zmienić zdanie, gdybym wiedziała, jak długa i trudna okaże się moja droga. W każdym razie, możecie być pewni, że opuściłam Dom Waleriany wprawdzie bez mądrości doświadczenia, które podparłoby moje przekonania, ale za to znacznie wzbogacaona w wiedzę dotyczącą mojej sztuki.

Przepełniona świeżo nabytą wiedzą wróciłam do domu i z niezadowoleniem stwierdziłam, że Delaunay zaprosił przyjaciół na kolację, a rozmowa dotyczyła wyłącznie cruarchy Alby. Drobną pociechę stanowił fakt, że Delaunay, będący w wyśmienitym nastroju, wskazał mi miejsce na swojej sofie.

– Skoro jesteś dość duża, żeby służyć Naamie, przysłuchiwanie się naszej rozmowie z pewnością ci nie zaszkodzi – powiedział, poklepując poduszkę. Miał na sobie paradny strój, w jakim był na dworze. Dosłownie biła od niego łuna, rozpalona przez wino i równie wyborną konwersację. – Znasz hrabiego de Fourcay, oczywiście... Gasparze, ukłoń się, Fedra jest już prawie damą... i

naszą poetkę. Thelesis, kryję się w twoim cieniu... A to Kwintyliusz Rouse z Eisandy, najlepszy admirał, jaki kiedykolwiek dowodził flotą, i szlachetnie urodzony Percy z L'Agnace, hrabia de Someralle, znany ci ze słyszenia.

Nie wiem, co wydukałam – bez wątpienia jakieś nieudolne zdanie – witając gości dygnięciem. Gaspara Trevaliona uważałam niemal za wuja (w moim rozumieniu, bo przecież nie miałam krewnych), Thelesis de Mornay mnie onieśmiała, choć już się poznałyśmy, a co do tych nowych... Dowódca floty z Eisandy był legendą wśród trzech narodów. Hrabia de Somerville, księżę krwi, kierował szarżą na Skaldów wraz z księciem Rolandem i księciem Benedyktem. Krążyła plotka, że gdyby król musiał kiedyś mianować wodza wojennego, to zostałby nim właśnie hrabia de Somerville.

Ponieważ był bohaterem opowieści mojego dzieciństwa, wyobrażałam sobie, że jest w wieku króla. W rzeczywistości miał nie więcej niż pięćdziesiąt lat i był okazem zdrowia z ledwie cieniem siwizny w złotych włosach. Spowijał go lekki zapach jabłek; dowiedziałam się później, że to cecha potomków Anaela w ogólności, a rodu Somerville w szczególności. Uśmiechał się miło, więc mój lęk trochę zmalął.

– *Anguissete* Delaunaya! – zawołał Kwintyliusz Rouse, ruchem ręki przywołując mnie do sofy, którą dzielił z Alcuinem. Ujął w dłonie moją twarz i z uśmiechem dał mi całusa. Szeroka blizna, pamiątka po smagnięciu przez pękniętą linę, przecinała jego ogorzałe oblicze, a w niebieskich oczach skrzyła się wesołość. Nie mogłam się zdecydować, czy jest przystojny, czy brzydki. – Szkoda, że nie gustuję w zadawaniu bólu! – Poklepał kolano Alcuina, który odpowiedział pogodnym uśmiechem. Poznałam, że bardzo polubił rubasznego, bezceremonialnego admirała; nie

cierpiał obłudy. – Jesteś uczennicą pająka, powiedz mi więc, dlaczego Starszy Brat przepuścił cruarchę?

Dopiero po chwili zrozumiałam, że pająkiem nazywa Delaunaya. Przypomniałam sobie, że w żeglarskiej gwarze Starszym Bratem zwany jest Pan Cieśniny, który włada morzem z Trzech Sióstr.

– Gdybym znała odpowiedź, panie... – powiedziałam, siadając obok Delaunaya i układając spódnice – byłabym nie uczniem, lecz mistrzem.

Kwintyliusz Rousse ryknął śmiechem, a wszyscy inni mu zawtórowali. Delaunay z uśmiechem pogłaskał mnie po głowie.

– Kwintyliuszu, przyjacielu, skoro ty nie znasz odpowiedzi, skąd my mielibyśmy wiedzieć? Chyba że nasza łaskawa muza...?

– Popatrzył pytająco na Thelesis, która pokręciła ciemną głowę.

– Mnie przepuścił za cenę pieśni – powiedziała niskim, głębokim głosem, który zniewalał nas wszystkich. Oczywiście pamiętałam, że była na wygnaniu w Albie, więc dobrze wiedziała, o czym mówi. – Jedną w tamtą stronę i jedną z powrotem. Moim zdaniem kieruje się kaprysem. Jaki kaprys spełnił cruarcha Alby? Oto jest pytanie.

Alcuin chrząknął cicho, lecz wszyscy usłyszeli.

– Mówili o wizji. – Zerknął przepraszająco na Delaunaya. – Zajmowałem miejsce blisko delegacji z Alby, panie, ale trudno jest notować i jednocześnie słuchać. Mimo wszystko usłyszałem coś o wizji siostry króla, o czarnym dziku i srebrnym łabędziu.

– Siostra króla. – Kwintyliusz skrzywił się. – Na bogów, Lyonetto, co ty znowu knujesz?

– Nie, nie. – Alcuin pokręcił głową. – Chodzi o siostrę cruarchy, króla Piktów, matkę jego następcy.

– Lwica ma z nią niewiele wspólnego – wtrącił Gaspar

Trevalion – ale zauważyłem, że wzięła ją pod swoje skrzydła... albo raczej łapy. Człowiek niemal chciałby ostrzec biedaczkę, że za tymi aksamitnymi poduszkami kryją się ostre pazury.

– Lyonetta de la Courcel de Trevalion powinna z daleka omijać taką ofiarę – mruknęła Thelesis. – Żona cruarchy, Foclaidha, pochodzi z Brugantii, spod znaku Czerwonego Byka. Lepiej, żeby Lwica z Azalii strzegła się jej rogów.

– Jej synkowie to osiłki – zauważył Kwintyliusz Rouse, trochę zdezorientowany. – Widzieliście tego najstarszego? Chłop jak dąb, nie będzie zachwycony, gdy przyjdzie mu grać drugie skrzypce w orkiestrze kuternogi.

– Mówisz o księciu Piktów? – Ton hrabiego de Somerville mógłby wydawać się protekcyjny, gdyby nie oczywista sympatia, z jaką zwracał się do dowódcy floty. – Czarniawy młodzik, ale byłby śliczny, gdyby nie te niebieskie malunki. Szkoda, że jest chromy. Jak się nazywa?

– Drustan – odparł Delaunay ze śmiechem. – Nawet o tym nie myśl, Percy!

– Nigdy w życiu. – Oczy hrabiego de Somerville rozbłysły z rozbawienia. – Wiesz, że jestem na to zbyt rozsądny, stary przyjacielu.

Sięgnęłam po kieliszek wina. Kręciło mi się w głowie, gdy słuchałam rozmowy.

– Naprawdę są pomalowani na niebiesko? – zapytałam. Pytanie zabrzmiało rozpaczliwie naiwnie w moich własnych uszach.

– Tak jak słudzy Naamy robią swoje marki – odparła uprzejmie Thelesis de Mornay – wojownicy Cruithne noszą symbole swojej kasty na twarzach i ciałach, wytatuowane niebieskim urzetem barwierskim przez tamtejszych markarzy.

Nasi piękni panowie mogą się podśmiewać, ale malunki na twarzy młodego Drustana dają świadectwo jego pochodzeniu i oznajmiają, że zdobył ostrogi w bitwie. Nie dajcie się zwieść wykręconą stopą.

– Ale czego oni chcą? – zapytał Gaspar Trevalion i powiódł wzrokiem po twarzach interlokutorów. Nikt nie kwapił się z udzieleniem odpowiedzi. – Czego tu szukają? Pragną handlu? Wypełnienia wizji? Ochrony przed długimi łodziami Skaldów? Na wybrzeżu Azalii powiadają, że Skaldowie zamierzają przebyć Najbardziej Północne Morze i najechać Albę, ale co my możemy zrobić? Nawet Kwintyliusz Rouse nie przeprowadzi floty przez cieśninę.

Admirał kaszlnął.

– Powiadają również... że d’Angelińskie statki szukały przejścia na południowym zachodzie oraz że Cruithnowie i Dalriadowie zgotowali im niegościnne przyjęcie. Nie sądzę, by zależało im na ochronie od morza.

– Handel. – Delaunay z roztargnieniem wodził palcem po brzegu kieliszka. – Wszyscy pragną handlować. Handel jest formą władzy, formą wolności; zapewnia rozpowszechnienie kultury, co gwarantuje nieśmiertelność narodu. Piktowie muszą się wściekać, gdy patrzą przez cieśninę na nieosiągalny świat. Terre d’Ange, perła ziemi, leży tak blisko... i tak daleko. Czy nigdy się nie zastanawialiście, dlaczego Skaldowie napierają na nasze granice? – Uniósł głowę, jego umysł pracował na najwyższych obrotach. – Nie? Jesteśmy wybrańcami, moi przyjaciele, wybrańcami Błogosławionego Elui i jego Towarzyszy. Kwitniemy, podczas gdy inne narody mozolnie walczą o przetrwanie. Przeżywamy nasze dni w dostatku, z winem i pieśnią na ustach, przytuleni do łona złotej ziemi, wychowując

naszych synów i córki w otoczeniu niezrównanego piękna... i zastanawiamy się, dlaczego musimy bronić naszych granic. Wzbudzamy zazdrość i podnosimy larum, kiedy w odpowiedzi rozbrzmiewają krwawe echa.

– Nie tylko podnosimy larum, lecz także je gramy – powiedział hrabia de Somerville głosem, w którym dźwięczała stal. – Bronimy naszych granic.

– Otóż to – zgodził się Kwintyliusz Rousse. – Otóż to.

Nie raz miałam okazję się przekonać, że po tego rodzaju deklaracjach zwykle zapada podniosła cisza. Tę przerwał Alcuin.

– Ale Pana Cieśniny nie interesuje handel – powiedział cicho, kręcąc głową. – Zatem w tej sprawie chodzi o coś więcej.

Wcześniej wspomniałam, że Alcuin był lepszy ode mnie w gromadzeniu faktów i poddawaniu ich szybkiej analizie. Tego wieczoru ujrzałam lekko rozchylone usta Delaunaya, świadczące o zaskoczeniu. Zrozumiałam wtedy, że pod względem intuicyjnego dokonywania powiązań uczeń rzeczywiście prześcignął mistrza. Ale podczas gdy Alcuin wnikał głęboko, Delaunay szedł daleko – i zawsze miał informacje, którymi nie dzielił się z nami. Tej nocy wyciągnął daleko idące wnioski; wiem, bo uważnie przyglądałam się jego twarzy.

– Mniejsza z tym – powiedział lekkim tonem i sięgnął po lirę, na której grał znacznie lepiej niż większość mężczyzn jego stanu. – Dziś wieczorem król podejmie wieszczę swojego niebieskiego kolegę, a Ysandra de la Courcel, kwiat królestwa, będzie uczyć gawota kulawego barbarzyńskiego księcia. Thelesis, moja droga muzu, czy zaszczycisz nas pieśnią?

Myszę, że spośród wszystkich gości ona pierwsza odgadła jego intencje, a jednak posłuchała i zaśpiewała niskim, poruszającym głosem. Tak minął mój pierwszy “dorosły” wieczór pod dachem

Anafiela Delaunaya. Gaspar Trevalion opuścił dom trzeźwy, Kwintyliusz Rousse zaś spił się na umór i odespał pijaństwo w gościnnych komnatach.

Co do Alcuina, zrozumiał skinienie naszego pana pod koniec przyjęcia i spędził noc z hrabią de Somerville. Nie sądzę, żeby sporządzono jakiś kontrakt, ale hrabia okazał łaskawość i nazajutrz Alcuin został umówiony na spotkanie z markarzem, który miał wytyczyć podstawę marki w miejscu, gdzie kręgosłup płynnie wtapia się w pośladki.

PIĘTNAŚCIE

Delaunay jeszcze dwukrotnie udawał się na dwór podczas wizyty cruarchy Alby, w obu przypadkach sam, a potem już nie było żadnych spotkań ani spekulacji; jeśli dowiedział się czegoś więcej, zachował to dla siebie. Król Terre d'Ange i król Piktów wymienili się darami oraz uprzejmościami, po czym delegacja z Alby ruszyła na wybrzeże i odpłynęła, ciesząc się pomyślnymi wiatrami, asystą morskich ptaków i przychylnością Pana Cieśniny.

Po odnowieniu hołdu lennego rodowi Courcel hrabia de Somerville udał się do swoich oddziałów i rozległych jabłoniowych sadów.

Kwintyliusz Rouse, ogołociwszy naszą spiżarnię i zubożywszy o połowę zapas ubiegłorocznego wina, z zadowoleniem wrócił do Eisandy oraz swojej floty. Niedługo później dowiedzieliśmy się, że stoczył zacieklą bitwę morską z okrętami kalifa Khebel-im-Akad, zabezpieczając szlak handlowy, którym ze wschodu płynęły przyprawy i jedwabie.

Tego rodzaju wieści sprawiły, że wizyta barbarzyńskiego wodza z niezbyt dużej wyspy straciła na znaczeniu i wszyscy szybko wyrzucili Piktów z pamięci.

Życie, ostatecznie, płynie dalej.

Ma się rozumieć, gorąco pragnęłam, żeby moje też ruszyło z miejsca, i to szybko. Alcuin wciąż cieszył się niesłabnącym wzięciem jako kurtyzana pierwszej rangi. Pogłoski o aukcji i cenie za jego dziewictwo rozeszły się szerokim echem i jestem

przekonana, że niemal codziennie Delaunay otrzymywał propozycje. Tego właśnie pragnął: wybierać i odmawiać wedle uznania, ale muszę zaznaczyć, że nigdy nie podpisywał kontraktu bez naszej zgody.

Wybór trzeciego klienta Alcuina okazał się strzałem w dziesiątkę. Dobrze pamiętając aukcję, Cecylia Laveau-Perrin zamówiła usługi Alcuina na urodzinowy wieczór Mieretty nó Orchidea i sprezentowała go przyjaciółce odzianego w szkarłatne wstążki i nic więcej. Słyszałam, że podobno śmiech solenizantki odbijał się od powały.

Później posunięcie Delaunaya uznano za genialne, ponieważ rozślawiło imię jego protegowanego – przyrównując go do najlepszych adeptów Dworu Nocy – ja jednak doceniałam je z innego powodu. Z tego spotkania Alcuin wrócił do domu senny i uśmiechnięty. Był prezentem, ale Mieretta nó Orchidea, nieodrodna wychowanka swójego Domu, posiadała sekret obdarzania radością w akcie oddawania czci Naamie i tym sekretem podzieliła się z Alcuinem. Dobrze pamiętam czuły uśmiech, który starał się ukryć przed Delaunayem, i rozmowę, jaką nasz pan i mistrz odbył ze mną tego dnia.

Wezwał mnie na wewnętrzny dziedziniec, czyli tam, gdzie lubił omawiać wszelkie znaczące sprawy. Siedziałam skromnie na kanapie i czekałam, aż zwróci na mnie uwagę, podczas gdy on spacerował po krużganku z rękami założonymi do tyłu.

– Wiesz, że otrzymałam propozycje, Fedro – powiedział, nie patrząc na mnie. – Pytania o ciebie.

– Nie, panie. – To była prawda; nikt nie wspomniał mi o tym słowem, choć moje urodziny minęły kilka tygodni temu. Zastanowiłam się, czy Alcuin wiedział, i obiecałam sobie, że jeśli tak, to porządnie natrę mu uszu.

– Tak, w istocie. Od debiutu Alcuina. – Delaunay patrzył na mnie z boku. Był wczesny wieczór i skośne promienie słońca zapalały topazowe błyski w jego szarych oczach. Stwierdziłam, że trudno mi się skupić na jego słowach. – Przyszło mi na myśl, że nie czułabyś się urażona, gdybym przyjął jedną z tych ofert.

Natychmiast przykuł moją uwagę.

– Panie! – szepnęłam, ledwo wierząc własnym uszom. Już zaczynałam myśleć, że moje dojrzewające ciało zwiędnie przez nikogo nietknięte. – Nie, panie, nie byłabym... urażona.

– Tak myślałem. – Tym razem rozbawienie lśniło w jego oczach. – Ale najpierw musimy coś wyjaśnić. Potrzebne ci *signale*.

Nie zrozumiałam.

– Słucham, panie?

– Didier ci nie powiedział? – Usiadł. – Wymyślili to w Domu Waleriany. Odbyłem dość długą rozmowę z ich duejnem, żeby dowiedzieć się, czego trzeba. Bywa, że klient posuwa się za daleko w ferworze uniesienia. Wiesz, że wyrażanie sprzeciwu jest częścią gry, prawda? *Signale* to coś więcej. To słowo przerywa zabawę. Musisz takie mieć, Fedro. – Jego spojrzenie stało się poważne. – Jeśli klient nie posłucha *signale*, będzie winny herezji. To twoje zabezpieczenie przed krzywdą, przed pogwałceniem przykazania Błogosławionego Elui. Podobno najlepiej jest wybrać słowo, którego przez przypadek nie wypowie się w trakcie miłosnych igraszek. Chcesz się zastanowić?

Pokręciłam głową; już miałam odpowiednie słowo na końcu języka.

– Hiacynt.

Po raz pierwszy – i może jedyny – zobaczyłam, że Delaunay

jest zaskoczony.

– Ten Cygan? – Gdyby nie siedział przed mną, wyczułabym jego zdumienie również po głosie. – To pierwsza osoba, która przychodzi ci na myśl o niebezpieczeństwie?

– Jest moim jedynym przyjacielem. – Dzielnie wytrzymałam jego spojrzenie. – Wszyscy inni czegoś ode mnie chcą, nawet ty, panie. Jeśli zyczysz sobie, żebym wybrała inne słowo, zrobię to. Ale ty zapytałeś, a ja odpowiedziałam.

– Nie. – Po chwili wzruszył ramionami. – Dlaczego nie? To dość dobry wybór; nikt nie musi wiedzieć, że masz na myśli bękarta cygańskiej wróżbitki. Wpiszę *signale* do twojego kontraktu i dopilnuję, żeby znali je twoi klienci.

Widziałam, że moje słowa dały mu do myślenia; zastanawiałam się nawet, czy nie był trochę zazdrosny. Miałam taką nadzieję, wołałam jednak nie drążyć tej kwestii.

– Kim oni są? – zapytałam. – I czyje oferty chciałbyś przyjąć, panie?

– Napłynęło ich kilka. – Delaunay znowu zaczął spacerować. – Większość złożona nie bezpośrednio, lecz przez osoby trzecie i czwarte, jak zresztą często bywa, gdy w grę wchodzi wyjątkowe... talenty. Oprócz jednej. – Mars przeciął mu czoło. Popatrzył na mnie z ociąganiem. – Childric d'Essoms osobiście złożył propozycję.

Dopasowałam twarz do nazwiska. Poczułam, jak moje ciało tężeje, ale powiedziałam tylko:

– Dlaczego on? Nienawidzi cię, panie, i przejrzał twoją grę. Brał udział w licytacji Alcuina, żeby podpuścić innych.

– Właśnie o to chodzi. Lubi sprawiać ból. – Usiadł. – D'Essoms jest myśliwym. Uwielbia polowanie i jest w tym dobry, dość dobry, by wiedzieć, że wystawiam cię jako przynętę. Wyobraża

sobie, że zdoła ją capnąć i uniknąć haczyka, i chce, żebym o tym wiedział. Arogancja nie pozwoli mu zrezygnować z okazji zdobycia takiego trofeum, i w konsekwencji wymierzenia mi policzka.

– Czego od niego chcesz? – Pytanie było naturalne i uzasadnione. Poza dostarczeniem przyjemności moim celem było zdobywanie informacji, dlatego Delaunay kupił moją markę. Choć nigdy tego nie powiedział, Alcuin i ja już dawno zrozumieliśmy, że najbardziej cenił nas za to, czego mogliśmy się dowiedzieć.

– Wszystkiego, co tylko zdradzi – odparł Delaunay ponuro. – D’Essoms piastuje wysokie stanowisko w Kancelarii Królewskiej. Nie ma takiej cesji, traktatu czy prośby, która prędzej czy później nie trafiłaby na jego biurko. On wie, kto o co prosi i co daje w zamian. Wie, kto i dlaczego obejmie dany urząd. I najprawdopodobniej wie, kto wyciągnął korzyści ze śmierci Izabeli L’Envers.

– I Edmee de Rocaille? – Zadrżałam, wymieniając nazwisko pierwszej narzeczonej księcia Rolanda.

Delaunay popatrzył na mnie ostro.

– Na śmierci Edmee de Rocaille skorzystała Izabela L’Envers... – powiedział cicho – i sam Childric d’Essoms, otrzymał bowiem mianowanie niedługo po tym, jak Izabela poślubiła Rolanda. Pytasz, co chciałbym wiedzieć? Chciałbym wiedzieć, kto teraz pociąga za sznurki d’Essomsa. Izabela nie żyje; komu więc służy i w jakim celu? Dowiedz się tego dla mnie, Fedro, a będę ci bardzo wdzięczny.

– Jak sobie życzysz, panie. – Postanowiłam, że dokonam tego, nawet gdybym miała przypłacić to życiem. W tych czasach wciąż byłam naiwna i nie przypuszczałam, jak realna może być taka

możliwość.

– W takim razie przyjmujesz jego ofertę?

Już chciałam przytaknąć, ale coś mnie zaciekało.

– Za ile?

Delaunay uśmiechnął się, słysząc moje pytanie.

– Jesteś nieodrodnym dzieckiem Dworu Nocy, Fedro. Cztery i pół tysiąca. – Przestał się uśmiechać, gdy zobaczył moją minę. – Moja droga, cena za dziewictwo Alcuina nie osiągnęłaby takiego pułapu, gdyby nie licytacja. Poza tym klientela, którą przyciągasz, nie lubi publicznie przechwalać się swoimi skłonnościami. Jeśli, o czym jestem przekonany, naprawdę zostałaś trafiona Strzałą Kusziela, doświadczenie wysublimuje twój dar. Z czasem twoja cena będzie rosła, nie maleć. – Ujął w dłonie moją twarz, patrząc mi w oczy. – Alcuin musi chronić swoją unikatowość i dlatego nie może często zawierać kontraktów. Wysokie podniesienie poprzeczki podczas jego debiutu było koniecznością. Ty zaś, Fedro... W Domu Waleriany nie pamiętają żadnej *anguisette*. Minęło tyle czasu, odkąd świat widział osoby twojego pokroju, że nawet Cereus, Pierwszy Dom, nie poznał się na tobie. Obiecuję ci, że do końca życia będziesz wyjątkowa.

Znów mogłam mieć siedem lat i stać w salonie duejny, gdzie z pomocą czterech linijek wiersza Delaunay przemienił mnie z dziecka ze skazą w wybrankę Towarzyszy Elui. Wybuchłabym płaczem, gdyby nie fakt, że jego nie wzruszały łzy.

– Childric d'Essoms dostanie to, co wytargował – powiedziałam.

– D'Essoms będzie chciał więcej. – Popatrzył na mnie surowo. – Chcę, żebyś była ostrożna, Fedro. Niczego nie szukaj, o nic go nie pytaj. Niech chwyci haczyk, niech myśli, że wygrał ze mną. Jeśli

wszystko pójdzie dobrze, poprosi o ciebie trzeci raz, czwarty. Na razie nie wolno ryzykować. Rozumiesz?

– Tak, panie. A jeśli pójdzie źle?

– Jeśli pójdzie źle, wyłożę połowę umówionej kwoty na twoją markę i już nigdy go nie zobaczysz. – Delaunay trącił mnie w ramię, całkiem mocno. – Pod żadnym pozorem, Fedro, nie wahaj się użyć *signale*. Czy to jasne?

– Tak, panie. Hiacynt. – Powiedziałam to celowo, żeby mu dokuczyć. Nie zwrócił na to uwagi.

– I pamiętaj o zasadach. Nie zdradzaj się ze swoją wiedzą. Niech d’Essoms myśli, że wszystkie umiejętności posiadaś w Dworze Nocy.

– Tak, panie. – Urwałam. – Zabrałeś Alcuina na dwór, żeby spisał rozmowę z przybyszami z Alby.

– Aha, o to chodzi. – Delaunay uśmiechnął się. – Powiedziałem, że ma piękny charakter pisma. Nikomu nie zdradziłem, że zna język Cruithnów. Wedle wiedzy wszystkich prócz króla, Alcuin rozumiał tylko to, co przetłumaczyłem. Poza tym wielu zaintrygowanych wielmożów miało okazję obejrzeć naszego urodziwego skrybę.

Rozwój kariery Alcuina był ciekawy, owszem, mnie jednak bardziej zainteresowała sugestia, że Ganelon de la Courcel, król Terre d’Ange, zna zamierzenia Delaunaya. Żałowałam, że nie mogłam powiedzieć tego o sobie.

– Będę ostrożna, panie – zapewniłam.

– Dobrze. – Podniósł się z zadowoloną miną. – W takim razie zajmę się przygotowaniami.

SZESNAŚCIE

Przysięgam, że w dzień mojego pierwszego spotkania Delaunay był bardziej zdenerwowany ode mnie. Nawet przed debiutem Alcuina nie okazywał takiego przejęcia.

Później, kiedy lepiej poznałam arkana mojej sztuki, zaczęłam również lepiej rozumieć Delaunaya. Posiadał rozległą wiedzę i wyrafinowane gusta, ale jego pragnienia miały granicę, której nie przekraczał. Jak wielu ludzi, rozumiał podniecie zapewnianą przez krztyne dominacji w grze miłosnej – ale dopuszczał nie więcej niż krztyne. Z drugiej strony, prowadził tak gruntowne badania pragnień innych, że łatwo było zapomnieć, iż miały one charakter wyłącznie teoretyczny. Sam nigdy nie poczuł na skórze smagnięcia biczem i nie wiedział, co to znaczy pragnąć go jak najśłodsze go pocałunku. Stąd brał się jego niepokój.

Kiedy to zrozumiałam, pokochałam go jeszcze bardziej i wszystko mu wybaczyłam. Nie było takiej rzeczy, jakiej nie wybaczyłabym Delaunayowi.

– Proszę – szepnął. Stanął za mną przed wielkim lustrem i utknął pod siatkę zbłąkany loczek. – Wyglądasz przepięknie.

Położył ręce na moich ramionach, a ja popatrzyłam w lustro. Spojrzały na mnie moje oczy, ciemne i lśniące jak bistr cieniowany ołówkiem artysty, wyjąwszy drobną plamkę szkarłatu. W lustrzanym odbiciu lśniła w prawym oku, wyrazista jak płatek róży na spokojnej wodzie. Delaunay lubił, gdy ujmowałam włosy w jedwabną siateczkę. Pukle napierały mocno na delikatne nitki, pragnąc wyrwać się na wolność. Taka fryzura

podkreślała delikatny owal mojej twarzy i porcelanową błądość skóry.

Malowanie młodej twarzy jest wulgarne, dlatego pozwalał mi tylko nakładać cień karminu na usta. Wyróżniały się, jak plamka w oku, żywym kolorem płatków róży. Nie przypominam sobie, żebym wcześniej widziała u siebie tak zmysłowo wysuniętą dolną wargę.

Delaunay wybrał prostą aksamitną suknię, ale tym razem w głębokim, soczystym odcieniu czerwieni. Stanik ściśle opinał mi tułów i z przyjemnością popatrzyłam na pączki piersi, białe i ponętne w głębokim dekolcie. Na plecach był rząd maleńkich gagatowych guziczków. Zastanawiałam się, czy Childric d'Essoms rozepnie je, czy może rozedrze od góry do dołu. W Dworze Nocy zostałby obciążony za zniszczenie stroju, ale wątpiłam, by Delaunay wyszczególnił takie drobiazgi w kontrakcie. Obniżony stan podkreślał szczupłą talię i płaski brzuch. Byłam zadowolona z młodzieńczego powabu mojego ciała i cieszyłam się, że został uwydatniony. Dół sukni otulał pełne biodra i opadał w prostych fałdach, nadspodziewanie skromnych, wyjąwszy kolor i rodzaj materiału.

– Jesteś zadowolona ze swojego wyglądu – zauważył Delaunay z rozbawieniem.

– Tak, panie, – Nie widziałam powodu do udawania, że jest inaczej; moja prezencja stanowiła jego inwestycję. Odwróciłam się i wykręciłam szyję, próbując sobie wyobrazić, jak będę wyglądać od tyłu, kiedy zrobię markę i linie wzniosą się nad dekolt, by sięgnąć do najwyższego kręgu stosu pacierzowego.

– Ja również. Miejmy nadzieję, że szlachetnie urodzony Childric odniesie podobne wrażenie. – Delaunay odsunął się ode mnie. – Mam dla ciebie prezent – powiedział, podchodząc do

szafy. – Proszę. – Włożył na moje ramiona płaszcz z kapturem, aksamitny z jedwabną podszewką, w głębszym odcieniu czerwieni niż suknia, tak ciemnym i nasyconym, że niemal czarnym, jak krew rozlana w bezksiężycową noc. – Ten kolor nazywa się sangoire – powiedział, patrząc na moją twarz w lustrze, gdy przyjął dar. – Thelesis powiedziała mi, że siedem stuleci po Elui zarządzono, iż mogą nosić go tylko *anguisette*. Posłałem do Firezii, żeby znaleźć farbiarzy, którzy wciąż pamiętają dawne receptury.

Płaszcz był piękny, prawdziwie i poruszające piękny. Rozpłakałam się i tym razem Delaunay nie skarcił mnie za to, lecz objął. Jesteśmy D'Angelinami; wiemy, co to znaczy płakać na widok piękna.

– Uważaj na siebie, Fedro – szepnął w gąszcz moich okiełznanych włosów. – Childric d'Essoms czeka na ciebie. Nie zapomnij o swoim *signale* i pamiętaj, że Guy będzie na miejscu, gdyby coś poszło nie po twojej myśli. Do domu wroga nie wysłałbym cię bez ochrony.

Krew popłynęła mi szybciej w żyłach, gdy wziął mnie w ramiona. Odwróciłam się, szukając wzrokiem jego twarzy.

– Wiem, panie – szepnęłam.

Delaunay opuścił ręce i odsunął się ode mnie.

– Już czas – powiedział z pełną rezerwy miną. – Idź i niechaj cię chroni błogosławieństwo Naamy.

Tak oto poszłam na pierwsze umówione spotkanie.

Było już ciemno, kiedy powóz ruszył w drogę. Guy, ubrany w nieskazitelną liberię, siedział naprzeciwko mnie w milczeniu, ja też się nie odzywałam. D'Essoms mieszkał w niewielkim domu blisko pałacu. Później dowiedziałam się, że tam również miał własne komnaty, ale utrzymywanie garsoniery było mu na rękę z

uwagi na charakter jego upodobań.

Kamerdyner, który otworzył drzwi, zdziwił się na widok Guya i wyraził swoje odczucia w wyniosłym parsknięciu.

– Tędy – powiedział do mnie, wskazując mi drogę. Do Guya burknął: – Ty idź do kwater służby.

Nie zwracając na niego uwagi, Guy złożył mi lekki, elegancki ukłon. Nie podejrzewałam go o takie maniery.

– Moja pani Fedra nó Delaunay... – oznajmił głuchym głosem, twardo wpatrując się w oczy służącego – przybywa na zaproszenie Childrica d’Essoms.

– Tak, oczywiście. – Zbity z tropu kamerdyner podał mi ramię. – Pani...

Guy zwinnie wsunął się pomiędzy nas.

– Weź płaszcz pani – powiedział cicho. Nie wiem, czy nauczył się tego od Delaunaya, czy pomogło mu szkolenie w Bractwie Kasjelitów, ale poskromił służącego d’Essomsa równie skutecznie, jak tamtego panicza w “Kogutku”.

– Tak. Tak, oczywiście. – Służący pstryknął palcami, przywołując pokojówkę. – Weźmiesz płaszcz pani – polecił jej ostro. Rozpięłam zapinkę i poruszyłam ramionami. Płaszcz ześliznął się, ciężki i przepyszny, w ręce sługi.

Delaunay wiedział, co robi. Kamerdyner d’Essomsa wstrzymał oddech, czując ciężar płaszcza *sangoire*, a gdy podał go pokojówce, ta ukradkiem pogładziła zbity aksamit. Oboje popatrzyli na mnie z zaciekawieniem, a ja wysoko uniosłam głowę i pozwoliłam im zobaczyć moje naznaczone szkarłatem oko. Arystokraci plotkują, ale służba nie jest w tym gorsza. Pierwsze wrażenie zawsze jest najważniejsze.

– Tędy, pani – powtórzył kamerdyner, tym razem z szacunkiem. Gdy podał mi rękę, wdzięcznie wsparłam czubki

palców na jego przedramieniu. W ten sposób zaprowadził mnie do Childrica d'Essoms.

Czekał w pokoju trofeów – w każdym razie ja tak nazywałam to pomieszczenie; nigdy się nie dowiedziałam, jak on je nazywał. Na dwóch ścianach widniały freski przedstawiające sceny myśliwskie. Trzecią zajmował kominek, nad którym wisiał herb d'Essomsa i panoplia z różnych rodzajów broni.

Pod czwartą ścianą znajdowało się coś zgoła innego.

Childric d'Essoms miał tę samą minę co na przyjęciu u Cecylii; spojrzał na mnie oczami drapieżnego ptaka spod na wpół opuszczonych powiek. Był ubrany w brokatowy wams i atlasowe spodnie. Na mój widok podniósł wysoko kieliszek likieru.

– Zostaw ją, Filipie – powiedział krótko.

Kamerdyner skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Zostałam sama z moim pierwszym klientem.

Childric d'Essoms szybkim krokiem pokonał dzielącą nas odległość. Jego prawa ręka uniosła się niemal z wdziękiem i... wymierzyła mi policzek. Zachwiałam się, czując smak krwi i wspominając celność, z jaką wychlusnął resztki wina w grze kottabos. W lewej ręce wciąż trzymał kieliszek, z którego nie uronił ani kropelki.

– Masz klęczeć w mojej obecności, dziwko – rzucił od niechcienia.

Opadłam na kolana, *abeyante*, czerwony aksamit sukni rozlał się po kamiennych płytach. Były zimne, choć ogień płonął w kominku. Patrzyłam na jego wypolerowane buty, gdy krążył wokół mnie.

– Dlaczego Anafiel Delaunay przysłał *anguisette*! – zapytał, przystając za moimi plecami. Jego ręka zanurzyła się w ujętych w siatkę lokach i pociągnęła mi głowę do tyłu, zmuszając do

spojrzenia w lśniące pod ciężkimi powiekami oczy. Moja szyja wygięła się w łuk, bezbronna i wyeksponowana.

– Nie wiem, panie – wyszeptałam głosem zduszonym ze strachu.

– Nie wierzę ci. – Mocno przycisnął moją głowę do swego uda, ręką otoczył szyję. – Powiedz mi, Fedro nó Delaunay, czego chce ode mnie twój pan. Czy myśli, że mnie tak łatwo usidlić? – Słowa akcentował zaciskaniem ręki. – Czy przypuszcza, że wypaplam swoje sekrety w leniwej pogawędce z wynajętą dziwką? – Znowu nacisnął palcami na miejsce, gdzie pod skórą pulsowała krew. Czarne plamki zatańczyły mi przed oczami.

– Nie... wiem... – wyszeptałam. Moje ciało ogarniało dziwne rozleniwienie. Traciłam przytomność. Z wysiłkiem przekręciłam głowę, czując, jak mięśnie jego uda prężą się pod moim policzkiem. Oddech miałam gorący i wytężony.

– Na Eluę! – D’Essoms zamarł, wyjękując te słowa. Rozluźnił rękę, puścił moje gardło, przesunął ją na tył głowy. – Ty rzeczywiście jesteś *anguisette*, prawda? – Usłyszałam zdumienie i rozbawienie w jego głosie. Dotąd nie miał pewności, pomyślałam i jednocześnie zwróciłam uwagę na fakt, że zwycięstwo nad Delaunayem było dla niego warte ponad cztery tysiące dukatów. – Udowodnij to zatem, mała *anguisette*, tak jak teraz, na kolanach. Poproś mnie.

Nie musiał mi tego mówić. Już się odwracałam, chwytając rękami jego buty, przesuwając dłonie po śliskiej skórze. Wiedziałam, czego pragnął, znałam jego potrzeby tak dobrze, jak morze zna siłę działania księżyca. Mięśnie jego ud zadrżały pod moimi rękami. Z przekleństwem odrzucił kieliszek. Usłyszałam brzęk rozbitego szkła. Moje palce już sunęły po fallusie napierającym na materiał spodni. D’Essoms wczepił obie ręce w

moje włosy, gdy rozpinałam guziki.

Sztuka *languishment* jest starożytna i wyrafinowana, dlatego trochę mi wstyd, że nie wykorzystałam jej subtelnych aspektów. Z drugiej strony, finezja nie zawsze jest naturą mojej sztuki. D'Essoms jęknął, gdy fallus wyrwał się na wolność i jego koniuszek trącił moje rozchylone wargi. Zacisnął mi ręce na głowie, zmuszając do wzięcia go głęboko w usta, do samego gardła. Ach, gdyby tylko wiedział! Przyjęłam go chętnie, moje wargi i język pracowały gorączkowo, wreszcie wykorzystując wiedzę zdobytą w czasie tysięcy godzin nauki. D'Essoms stęknął, osiągając szczyt rozkoszy, a potem odepchnął mnie i zdarł mi siateczkę z włosów.

Upadłam na podłogę, włosy rozsypały się w nieładzie. Childric d'Essoms zbliżył się do mnie.

– Dziwka! – wrzasnął, grzbietem dłoni uderzając mnie w usta. Oblizalam wargi, czując krew zmieszana z jego nasieniem. – Bękarci pomiot Naamy! – Kolejny cios. Przez włosy przysłaniające mi oczy zobaczyłam, że jego fallus znowu sztywnieje. D'Essoms opanował się z drzeniem. – Wstawaj – wycedził. – Zdejmuj ubranie.

Podniosłam się, drżącymi palcami sięgnęłam do tyłu i zaczęłam rozpinać guziki, jeden po drugim. D'Essoms patrzył na mnie spod przymrużonych powiek.

– Tam – polecił szorstko, wskazując materac z poduszkami, przykryty białym jedwabiem. – Mam zamiar sporządzić nowy herb na cześć Anafiela Delaunaya. – Kiedy czerwona suknia zsunęła mi się z ramion, pchnął mnie, aż zatoczyłam się, naga, na materac. – Zapłaciłem za twoje dziewictwo – rzekł złowieszcym tonem, zbliżając się do mnie. – Módl się, żeby twój pan się nie pomylił, Fedro, i nagródź mnie odznaką zwycięstwa. Na plecy!

Poruszał się krokiem polującego drapieżnika, krążąc wokół mnie i rozbierając się. Nagle ukląkł i zadarł moje nogi sobie na ramiona.

Nie wiem, jak przeżywają to inne kobiety. Zabrakło gry wstępnej, jaką widziałam na pokazie w Domu Kamelii, a jednak chyba nigdy żadna inna adeptka nie była bardziej gotowa na swoje pierwsze zespolenie. Jednym płynnym pchnięciem d'Essoms przeszył mnie niemal na wylot, a gdy krzyknęłam z bólu, twarz Błogosławionej Naamy zatańczyła mi przed oczami i wydałam westchnienie rozkoszy. On wbijał się we mnie raz po raz, moje ciało ulegle poddawało się jego zabiegom, podczas gdy fale bólu i rozkoszy biły we mnie jak skrzydła gołębi w świątyni Naamy.

Był wrogiem Delaunaya i powinnam go nienawidzić.

Mocno objęłam go za szyję i wykrzyknęłam jego imię, gdy wytrysnął we mnie.

Być może to go trochę otrzeźwiło, nie wiem. Odsunął się i dyszał ciężko, wreszcie z rozpuszczonymi włosami. Wyglądał bardziej przystojnie, gdy spadły mu na ramiona.

– Przynajmniej tyle zyskałem. – Wyszarpnął spode mnie biały jedwab z żywą czerwoną plamą dziewiczej krwi. Jego drapieżne oczy były dziwnie spokojne. – Wiesz, czego pragnę, Fedro?

– Tak, panie – szepnęłam. Posłusznie wstałam z materaca, by podejść do przyrzędu na czwartej ścianie. Nie musiał mi mówić, co mam zrobić. Rozłożyłam ręce i nogi na krzyżu w kształcie litery X, pręgierzu d'Essomsa.

Czułam jego oddech na skórze, gdy zawiązywał mi rzemienie na nadgarstkach i kostkach. Szorstkie drewno tarło moje biodra.

– W życiu nie widziałem wspanialszego stworzenia – mruzczał, mocno zaciskając mi więzy na lewej ręce, której palce same

rozpostarły się w niemym proteście. – Powiedz mi, czego chce Delaunay.

– Nie wiem. – Syknęłam, gdy wykręcał mi prawą kostkę, by przywiązać ją do krzyża.

– Naprawdę? – Wyprostował się. Jego oddech połaskotał mnie w ucho, a końce dyscypliny w dolną część pleców.

– Przysięgam!

A potem zaczęła się chłosta.

Nie wiem, ile razy spadło na moje plecy. Chłosta nie przypominała tej, której zostałam poddana w dzieciństwie na polecenie duejny. Tutaj nie było rozjemcy, nie było ustalonej liczby uderzeń. Wiem tylko, że wiłam się i błagałam, trąc ciałem o szorstkie drewno, a bicz opadał bez litości, napędzany nienawiścią Childrica d'Essoms do mojego pana. Kiedy poddałam się i bezwładnie zwiślam na krzyżu, lord zbliżył się i wsunął palce między moje nogi. Pobudzał mnie, aż zaczęłam błagać, upokorzona, o spełnienie innego rodzaju. Wtedy bicz znowu opadł.

Wreszcie ręka mu się zmęczyła i znów stanął za mną. Poczułam, jak rozchyła moje pośladki.

– Zapłaciłem Delaunayowi za twoje dziewictwo – wyszeptał mi do ucha. Tępa głowa fallusa wsunęła się w dziurkę, a ja wbiłam palce w drewno, prawie nie czując drzazg pod paznokciami. – I wezmę swoją należność co do centyma.

Zrobił to.

SIEDEMNĄSCIE

Cecylia przyszła z wizytą i zabrała mnie na wycieczkę do leżącego kilka mil od Miasta sanktuarium Naamy, słynącego z gorących źródeł.

Po latach pobierania nauk pod jej kierunkiem czułam się dziwnie, traktując ją niemal jak równą sobie. Ponieważ jednak odnosiła się do mnie życzliwie, moje skrępowanie szybko minęło. W wiosennym powietrzu jeszcze wisiał chłód, ale słońce już przygrzewało i jasna zieleń kielków cieszyła oczy, gdy jechałyśmy przez wiejską okolicę. Kapłani i kapłanki przyjęli nas niezwykle uprzejmie. Przypuszczam, że rozpoznali nazwisko Cecylii Laveau-Perrin, choć tego nie okazali.

– Ostatecznie jesteście sługami Naamy, moja droga – powiedziała w łaźni, z wdziękiem wkładając szatę, którą przynieśli kąpielowi. – Dlaczego miałybyśmy odmawiać sobie dobrodziejstw oferowanych przez takie przybytki, skoro przynoszą nam korzyść?

Gorące źródła pienią się w skalnych basenach i wstęgi pary unosiły się w chłodnym powietrzu. Kwitło jeszcze niewiele kwiatów, dzielnych i bladych, ale trel ptasiej pieśni zapowiadał nadejście lata. Przeszłam za Cecylią po kamieniach i za jej przykładem zsunęłam szatę, by zanurzyć się w ciepłej wodzie o lekko drażniącym zapachu.

– Ach – westchnęła z zadowolenia, sadowiąc się na skałach wygładzonych przez wodę i ciała niezliczonych amatorów kąpeli. – Wiesz, powiadają, że ta woda ma właściwości

uzdrawiające. Chodź, niech cię zobaczę. – Obejrzała pręgi na moich plecach, gdy posłusznie się odwróciłam. – Powierzchowne. Za tydzień nie będzie po nich śladu. Słyszałam, że Childric d’Essoms kocha się tak, jakby polował na dzika. To prawda?

Pomyślałam, że istotnie, dzierżył swój fallus jak włócznię, i niemal się roześmiałam.

– To bliskie prawdy – przyznałam. Ciepło wody zaczęło mnie przenikać do szpiku kości, przynosząc uczucie rozkosznego rozleniwienia. Pod jego wpływem ból zadany przez d’Essomsa złagodniał, stając się słodkim i przyjemnym. – W jego furii jest pasja.

– Czy moje nauki okazały się niewystarczające i spotkało cię coś, na co nie byłaś przygotowana?

– W żadnym razie – odparłam zgodnie z prawdą, kiwając głową. – Szlachetnie urodzony d’Essoms nie był zbyt wyrafinowany.

– Inni będą – zapewniła i dodała: – Fedro, gdybyś miała pytania, nie wahaj się ich zadać. – W jej oczach zapalił się błysk, który dobrze znałam z buduarowych plotek w Domu Cereusa. – Myślisz, że znów o ciebie poprosi?

Uśmiechnęłam się, wspominając wściekłość d’Essomsa, dzikie razy bicia na skórze i oddech parzący mi szyję.

– Możesz być tego pewna – wyszeptałam, odchylając głowę, żeby zanurzyć włosy. Opadły mi na plecy, jedwabiste i ciężkie od wody, gdy się wyprostowałam. – Wmówi sobie, że robi to, aby pokonać Delaunaya w jego grze. Ale tylko on będzie w to wierzył.

– Bądź ostrożna. – Zalecenie zabrzmiało na tyle surowo, by wzbudzić moje zainteresowanie, i spojrzałam na nią. – Jeśli d’Essoms zorientuje się, że twoim celem jest nie tylko sprawianie rozkoszy, może wpaść w popłoch, a wówczas, moja droga, stanie

się naprawdę niebezpieczny. – Cecylia westchnęła; jej twarz w girlandach pary nagle wydała się stara i zmęczona. – Anafiel Delaunay nie wie, co robi, wyposażając dziecko o twoich skłonnościach w tak wielką wiedzę i wysyłając je w paszczę lwa.

Chciałam zadać jej setki pytań, wiedziałam jednak, że nie odpowie.

– Mój pan Delaunay doskonale wie, co robi.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz – powiedziała krótko, prostując ramiona w gorącej wodzie. Znów wyglądała jak bezcenny kwiat Domu Cereusa. – Chodź, nie możemy się spóźnić na posiłek. Musisz wiedzieć, że na sługi Naamy w jej sanktuarium czeka suto zastawiony stół. Jeśli się pospieszymy, znajdziemy czas na ponowne wymoczenie się przed powrotem do Miasta.

Podjadłyśmy dobrze tego dnia i wróciłyśmy do Miasta przed zachodem słońca. Wieczorem złożyłam raport Delaunayowi. Wydawał się zadowolony; pochwalił mnie, że pozwoliłam d'Essomswi połknąć przynętę – razem z haczykiem – i nie próbowałam osiągnąć niczego więcej.

– Nic mu nie mów, Fedro – powiedział z satysfakcją w głosie – a z czasem on powie coś tobie, licząc na wzajemność. Dawanie w nadziei na rewanż leży w ludzkiej naturze. Childric d'Essoms da. To nieuniknione. – Podszedł do biurka i rzucił mi małą sakiewkę. Złapałam ją odruchowo, zaskoczona. Delaunay uśmiechnął się. – Posłaniec przyniósł ją dziś po południu. Dar klienta na zrobienie marki. Myślę, że pragnie uwiecznienia na twojej skórze swojego zwycięstwa, abym ja stale o nim pamiętała. Czy chcesz odmówić?

Sakiewka ciążyła mi w ręce. Zawierała pierwsze monety, które były moją własnością. Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– Jeśli nie masz nic przeciw, panie, przeznaczę je na markę. On

był pierwszy.

Gdybym była mniejszą realistką, mogłabym spodziewać się jakiejś oznaki zazdrości. Delaunay kiwał głową, patrząc w tylko sobie znaną dal. Nie był niezadowolony.

– Niech tak będzie. Umówię cię na spotkanie z markarzem.

Tak oto zaczęła się moja kariera sługi Naamy.

Tydzień później udałam się na pierwszą wizytę do markarza. Zgodnie z przewidywaniami Cecylii pręgi szpecące moje plecy zniknęły bez śladu, pozostawiając gładką płaszczyznę gotową na poddanie się kunsztowi markarza. Rany Wybrańców Kusziela szybko się goją, nie bez powodu.

Delaunay nie byłby sobą, gdyby nie zapewnił swoim adeptom tego co najlepsze. Umówił mnie z tym samym człowiekiem, który robił markę Alcuina. Mistrz Robert Tielhard pracował w tym fachu od czterdziestu lat i wysoko cenił swoje usługi. Od dawna wiedziałam, że czekają mnie duże wydatki, bo Delaunay wyłożył okrągłą sumę na zakup mojej marki.

Nie byłam Alcuinem, żeby pamiętać wszystkie klauzule i przepisy rządzące każdym cechem w kraju, ale dość dobrze znałam zasady swojego. Gildia Sług Naamy nie zezwala na jawne niewolnictwo. Delaunay nie tyle posiadał moją markę, co był jej powiernikiem w imieniu Naamy, ale musiałam mu służyć do czasu ukończenia tatuazu. Wszystkie zawarte w kontrakcie opłaty za moje usługi trafiały do jego kieszeni; ja mogłam liczyć tylko na dary klientów, składane na moje ręce w hołdzie dla Naamy, i z nich łożyć na swoją markę.

Pierwszą godzinę w zakładzie markarza spędziłam rozebrana do naga, leżąc płasko na brzuchu z głową złożoną na rękach. Mistrz Robert Tielhard w tym czasie mruczał nad moimi plecami, robił pomiary i zapisywał je na kartce. Kiedy skończył, usiadłam

i ubrałam się, podziwiając mistrzowski szkic tej części mojej osoby, którą rzadko widywałam. Najbardziej spodobała mi się krzywizna dolnej części pleców poniżej szczupłej talii, rozszerzająca się jak pudło skrzypiec.

– Robię to nie dla twojej próżności, panienko! – burknął mistrz Tielhard, odwracając się do swojego czeladnika. – Biegnij do winiarni, chłopcze, i przyprowadź pana Delaunaya. – Nie zwracając na mnie uwagi, wyjął rulon ze schowka i rozpiął go na wyłożonej korkiem ścianie obok szkicu moich pleców.

Poznałam markę Alcuina po podstawie, którą już miał na skórze, i westchnęłam z zachwytem na widok całego projektu. Był niezrównanie piękny; mając go przed oczami, zrozumiałam dlaczego Robert Tielhard zasługiwał na miano mistrza w swoim rzemiośle.

Każdy z Trzynastu Domów ma własny wzór marki, ale w przypadku sług Naamy nie związanych z żadnym Domem sprawa wygląda inaczej. Nasze marki, choć podlegają pewnym ograniczeniom, mają indywidualny charakter.

Projekty są abstrakcyjne, ale wyszkolone oko potrafi dostrzec ukrytą w nich formę. Szybko wychwyciłam ją w marce Alcuina. Elegancka woluta u podstawy sugerowała górski potok, nad którym wznosił się smukły, mocny pień brzozy, zwieńczony chmurą delikatnego listowia. Linie biegły zdecydowanie, ale kolory były subtelne. Miękkie szarości i grafity, ożywione leciutkim cieniem bladej zieleni na skrajach liści, idealnie harmonizowały z niezwykłą karnacją Alcuina.

To, co mistrz Robert Tielhard zaprojektował dla mnie, było zupełnie inne.

Delaunay przyniósł do pracowni śmiech, zapach wina i echa miłej towarzyskiej rozmowy, ale natychmiast spoważniał i zajął

się wraz z mistrzem przeglądaniem kolejnych szkiców. Niektóre były poprawiane, inne od razu trafiały do kosza. Niecierpliwiłam się, ale pozwolili mi obejrzeć dopiero ten, który zadowolił ich obu.

– Co o tym myślisz, Fedro? – Delaunay odwrócił się do mnie z uśmiechem, podnosząc rysunek.

Był śmiały, znacznie śmielszy niż marka Alcuina. Nie bez wysiłku wypatrzyłam ukryty deseń, oparty na bardzo starym wzorze dzikiej róży. Jakimś sposobem mistrzowi Tielhardowi udało się zachować dramatyczną wymowę archaicznej formy przy jednoczesnym oddaniu jej w subtelnych liniach, które przywodziły na myśl winorośl, więzy i bicz. Linie były czarne, akcentowane ledwie paroma przypadkowymi punkcikami szkarłatu – płatek, kropelka krwi, plamka w moim oku.

Dzieło prymitywne, a zarazem wyrafinowane. Wprawilo mnie w zachwyty. Nie miało dla mnie znaczenia, ile razy będę musiała tu przychodzić, żeby mistrz Tielhard mógł ukończyć markę albo przywrócić ją do pierwotnego stanu po bezlitosnych karesach moich klientów. Jej piękno warte było największych poświęceń.

– Panie, jest cudowna – odpowiedziałam szczerze.

– Tak myślałem. – Delaunay uśmiechnął się z satysfakcją.

Mistrz Tielhard, mruczając pod nosem, zajął się przenoszeniem projektu na szkic moich pleców. To zdumiewające, z jaką łatwością jego pożyłkowane dłonie wyczarowywały zarysy marki. Czeladnik wyciągał szyję, żeby patrzeć nad ramieniem Delaunaya.

– Będę w winiarni – powiedział Delaunay do mistrza Tielharda. – Przyślesz chłopca, kiedy skończysz?

Markarz tylko chrząknął, pogrążony w pracy. Delaunay pocałował moje potargane loki, machnął ręką na pożegnanie i

wyszedł.

Czekałam i czekałam, podczas gdy mistrz Tielhard kopiował projekt. Kiedy skończył, znów musiałam się rozebrać i leżałam naga, a on jeszcze raz robił pomiary suwmiarką. Pióro zadrapało mi skórę i poczułam chłód atramentu. Kiedy się poruszyłam, wymierzył mi klapsa – machinalnie, jakby karciał wiercące się dziecko. Zastygłam w bezruchu.

Minęła wieczność, nim naszkicował podstawę. Z brodą opartą na złożonych rękach patrzyłam jak przygotowuje narzędzia: korytko z tuszem, uchwyty z igłami i młoteczki. Czeladnik obserwował mnie kątem oka, mieszając barwniki. Uśmiechnęłam się na myśl o wrażeniu, jakie na nim robię. Zarumienił się i chcąc zamaskować zakłopotanie, zakrzętnął się przy koszu; nasypał tyle węgla, że w pracowni zrobiło się gorąco jak w piecu. Mistrz Tielhard warknął na niego i chłopak znowu spłoszował. Nie dbałam o niego; byłam naga i było mi z tym dobrze.

Wreszcie markarz przystąpił do właściwej pracy. Zgodnie ze zwyczajem zaczął od podstawy kręgosłupa, od ostatniego kręgu poniżej dołeczków w dolnej części pleców. Nie widziałam, jak wybrał młoteczek i zanurzył go w korytku, ale poczułam na skórze ukłucie tuzina gęsto osadzonych igieł i wilgoć tuszu.

Potem uderzył młoteczkiem i igły przebiły skórę, wsączając w ciało u podstawy kręgosłupa kropelkę czarnego tuszu. Ból był przewyborny. Jęknęłam i moje biodra poruszyły się samowolnie, kość łonowa naparła na twardą powierzchnię stołu. Mistrz Tielhard znowu wymierzył mi klapsa.

– Przekłęci *anguisette* – burknął, skupiony na pracy. – *Grandpere* zawsze powtarzał, że są gorsi od krzykaczy czy hemofilików. Teraz wiem, dlaczego.

Ignorując jego narzekania, z największym wysiłkiem trwałam w bezruchu, podczas gdy on stukał młoteczkiem, utrwalając linie marki w mojej skórze.

Rozkoszowałam się każdą chwilą.

OSIEMNAŚCIE

Tak rozpoczął się okres pod wieloma względami najwspanialszy w moim życiu. Spełniło się wszystko, co dawno temu przepowiedział mi Delaunay. Wieść o jego *anguisette* rozchodziła się jak niespieszny pożar, taki, który tli się pod powierzchnią, niemożliwy do ugaszenia. Oferty stale napływały, w większości dyskretnie, kilka bezpośrednio.

Podczas pierwszego roku zrozumiałam przebiegłość, z jaką Delaunay przedstawił nas światu. Klienci Alcuina stanowili wyselekcjonowaną grupę i większość z nich została wybrana przez Delaunaya. Przyjaciele, znajomi albo serdeczni wrogowie bywali w jego domu i patrzyli, jak Alcuin z pięknego chłopca przemienia się w młodzieńca. Organizując aukcję, Delaunay zarzucił szeroką sieć, ale chodziło mu o określone ryby. Kiedy ją wyciągnął, starannie przebrał połów.

Ze mną sprawa wyglądała zupełnie inaczej.

Niektórych klientów, takich jak Childric d'Essoms, Delaunay się spodziewał, ale inni – a było ich bardzo wielu – stanowili dla niego niespodziankę. Jeśli w przypadku Alcuina można mówić o sieci zarzuconej na znane wody, to ja byłam haczykiem spuszczonego na środku morza i nawet Anafiel Delaunay nie miał pewności, kto podejmie przynętę.

Tych, którzy mogli uznać, że spotkanie z Childrikiem d'Essoms stało się wzorcem dla wszystkich późniejszych, spieszę wyprowadzić z błędu. Moje drugie spotkanie – z członkiem ministerstwa skarbu, który drogo zapłacił za ten przywilej – nie

mogłoby bardziej różnić się od pierwszego. Szczupły i uprzedzająco grzeczny Pepin Lachet na pierwszy rzut oka wyglądał na klienta odpowiedniego nie tyle dla mnie, co dla Alcuina. W sypialni zdjął ubranie, położył się na łóżku i przybierając obojętny ton głosu kazał się zaspokoić.

Jeśli Childric d'Essoms wymagał niewielkiej części moich umiejętności, to na Pepina Lacheta spożytkowałam wszystkie. Naga weszłam na łóżko i uklęknęłam przy nim, zaczynając od pieśczoły wierzby płaczącej. Rozpuściłam włosy, które spłynęły na niego jak woda, i powoli przesuwając je wzdłuż jego ciała.

Leżał jak kłoda, ani trochę nie podniecony.

Niezrażona, z dużą pewnością siebie kontynuowałam grę wstępną. W ciągu godziny wypróbowałam wszystkie techniki, jakich nauczyła nas Cecylia, palcami, ustami i językiem pieśczoąc jego ciało od uszu aż po palce u nóg. W końcu, zdesperowana, uciekłam się do techniki stosowanej zwykle przez najtańsze prostytutki, prymitywnej manipulacji zwanej wywabieniem żółwia. Członek Pepina Lacheta wreszcie zareagował, wznosząc się w mało entuzjastycznym salucie.

Bojąc się stracić choćby to, dosiadłam go i zaczęłam się poruszać energicznie, ale zamiast stężeć, fallus zupełnie zwiotczał i wysunął się ze mnie. Bliska łez, spojrzałam w chłodne oczy Pepina Lacheta.

– Nie jesteś w tym zbyt dobra, prawda? – zapytał z pogardą, zsuwając mnie z siebie. – Pokażę ci, jak to się robi.

– Panie, wybacz... – Umilkłam, gdy sięgnął do nocnej szafki po jedwabne szarfy i nie protestowałam, gdy przywiązał mi ręce i nogi do kolumnienek łóżka. Kiedy wyjął szczypce, a jego fallus zaczął się podnosić bez niczyjej pomocy, przekrwiony i nabrzmiały, zrozumiałam.

Podczas gdy Childrica d'Essoms cechowała brutalność, Pepin Lachet był uosobieniem wyrafinowania. Przypuszczam, że zajmowanie się finansami wymaga finezji. Miałam wrażenie, że pracował nade mną przez długie godziny. Kiedy krzyknęłam z udręki, wcisnął miękki knebel w moje usta, zapytawszy najpierw, czy nie chcę dać *signale*. Pokręciłam głową, czując łyzy wstydu spływające z kącików oczu. Całe ciało płonęło mi z bólu i pożądania.

– Gdybyś chciała dać *signale* – rzekł oficjalnym tonem, rozchylając moje usta i wsuwając w nie gruby knebel – postukaj w kolumienkę, a natychmiast przestanę. Rozumiesz? – Pokiwałam głową, niezdolna teraz mówić. – To dobrze.

I z tymi słowy podjął swoje zabiegi, a ja niemal przegryzłam knebel.

Po każdym spotkaniu zawsze odbywała się rozmowa. Nie miałam pojęcia, ile cennych informacji oboje z Alcuinem złożyliśmy u stóp Delaunaya, ile elementów układanki umieścić we właściwych miejscach dzięki naszym sprawozdaniom. W owym czasie, nawet kiedy potrafiliśmy rozpoznać soczyste kąski w zdobytych wiadomościach, nie mieliśmy pojęcia czemu mogły służyć i jaki cel przyświecał naszemu panu.

Informacje napływały stałym strumieniem, bo w królestwie narastał niepokój. Król doznał umiarkowanego udaru, który spowodował porażenie prawej ręki. Ysandra de la Courcel jeszcze nie wyszła za mąż. Zalotnicy i pretendenci krążyli wokół tronu jak wilki na początku zimy – wciąż na tyle ostrożni, by trzymać się na dystans, ale coraz bardziej głodni.

Najbardziej ambitnym członkiem tej watahy był jednak nie wilk, lecz lew, a dokładnie Lwica z Azalii. Choć nigdy nie poznałam Lyonetty de la Courcel de Trevalion, wiele słyszałam o

niej i jej nieustannych intrygach.

O jednej dowiedziałam się nawet z pierwszej ręki.

Zostałam umówiona na dwudniowe spotkanie z markizą Solaine Belfours w jej wiejskiej posiadłości. Delaunay wiedział, co robi, kiedy brał ją na cel u Cecylii Laveau-Perrin. Markiza z rozkoszą poruczała mi niemożliwe do wykonania zadania i karała mnie za nieposłuszeństwo. Przy tej szczególnej okazji zaprowadziła mnie do salonu, gdzie ogrodnik przyniósł naręcza ciętych kwiatów. Leżały na kredensie w bezładnej, splątanej stercie, brudząc drewno ziemią i liśćmi.

– Wybieram się na przejażdżkę – poinformowała mnie z typową arogancją. – Kiedy wrócę, ma tu panować porządek, a ty masz czekać z kieliszkiem likieru. Czy to jasne, Fedro?

Nie cierpię wykonywać niewdzięcznych prac, co Solaine Belfours jakimś sposobem odgadła; ogólnie rzecz biorąc, w takich sprawach kobiety są bystrzejsze od mężczyzn. Lękałam się spotkań z markizą, choć była wspaniała w gniewie.

Przeklinając ją w żywy kamień, przez większą część godziny pokłutymi palcami rozplątywałam łądyżki, żeby ułożyć róże, astry i cynie w różnych wazonach. Służący przynieśli śmietniczkę, wiaderka z wodą, ścierki i wosk do froterowania kredensu, ale nie chcieli mi pomóc. Nie wiem, czy wiejscy słudzy plotkują tak jak miastowi, nie ulegało jednak wątpliwości, że ci doskonale wiedzieli, w jakim celu przybyłam pod dach markizy.

Oczywiście, wykonanie zadania w wyznaczonym czasie nie było możliwe. Solaine Belfours weszła w stroju do jazdy konnej, gdy dopiero zmiatałam ziemię na śmietniczkę. Uklęłam szybko, ale jej szpicruta śmignęła jak błyskawica, smagając mnie po łopatkach.

– Przeklęty flejtuch! Kazałam ci posprzątać! Czy to nazwiesz

porządkiem? – Omiatając ręką bałagan na kredensie, zsunęła rękawiczkę i uderzyła mnie w twarz. Odrzuciłam włosy i spojrzałam na nią. Nie musiałam udawać ponurej wściekłości.

– Prosi pani o zbyt wiele – odparłam.

Solaine Belfours miała oczy w kolorze akwamaryny; kiedy się złościła, stawały się zimne i twarde jak szlachetne kamienie. Ich widok przyspieszył mi oddech.

– Proszę tylko, by dobrze mi służyło – powiedziała chłodno. Ujęła szpicrutę w gołą dłoń i stuknęła nią w rękawiczkę drugiej. – A ty za dużo sobie pozwalasz. Ściągaj suknię.

Bawiłam u niej nie pierwszy raz i znałam ciąg dalszy tej sceny. To było dziwne, ta gra i nie gra. Dobrze wiedziałam, że moja rola jest tak rozpisana, by zaspokoić jej pragnienia. Odgrywałam ją zgodnie ze scenariuszem, ale wcale nie udawałam, gdy szpicruta parzyła moje nagie plecy, i w końcu zaczęłam błagać, żeby pozwoliła mi się ukorzyć. Kapitulacja klienta niesie ze sobą pewien posmak zwycięstwa. Pogardzałam markizą, a jednak przeniknął mnie dreszcz, gdy w końcu pozwoliła mi odegrać akt skruchy. Rozpięłam guziki jej bryczesów i przycisnęłam usta do rozgrzanego ciała. Zamknęłam oczy, gdy jej ręce spoczęły na mojej głowie, a beczynna teraz szpicruta delikatnie musnęła plecy, przypominając o zadanym bólu.

Tę chwilę zakłócił kamerdyner; odwracając wzrok, zaanonsował posłańca z pilną wiadomością od Lyonetty de Trevalion.

– Na Eluę! – W głosie markizy irytacja mieszała się z niepokojem. – Czego ona może chcieć? Wprowadź go. – Odsunęła się ode mnie, zapięła spodnie i przyglądała włosy. Ja pozostałam na klęczkach. Obrzuciła mnie spojrzeniem, w którym teraz dominowało rozdrażnienie. – Nie skończyłam z tobą. Ubierz się i

czekaj.

Rzecz jasna, nie trzeba było powtarzać mi tego dwa razy. W Domu Cereusa nauczyłam się nie zwracać na siebie uwagi, a Delaunay uświadomił mi zalety takiego postępowania. Uklęłam *abeyante*, cicha i prawie niewidzialna, gdy wszedł posłaniec Lwicy z Azalii.

Nie wiem, jak wyglądał; Delaunay mógł mnie zbesztać za to niedopatrzenie, ale nie śmiałam podnieść wzroku. Na szczęście markiza, jak wiele innych osób, nie potrafiła czytać inaczej, jak na głos. Ja opanowałam tę sztukę, podobnie jak Alcuin, ale tylko dzięki nieustępliwości Delaunaya. Solaine Belfours głośno przeczytała list i tak oto poznałam prośbę Lyonetty de Trevalion. Chodziły słuchy, że kalif Khebel-im-Akad zaproponował zawarcie przymierza pomiędzy naszymi krajami oraz przypieczerowanie go mariażem jego następcy i księżniczki Ysandry. Lyonetta de Trevalion prosiła Solaine o skreślenie pisma do akadyjskiego ambasadora, podbitego Tajną Pieczęcią, z nakazem zwodzenia kalifa fałszywymi obietnicami, dopóki nie zrzecze się praw do wyspy Cythery.

Nie trzeba nadmieniać, że Lyonetta de Trevalion liczyła, że treść pisma wyjdzie na jaw, co zniweczy wszelkie nadzieje na zawarcie przymierza z kalifatem.

Solaine Belfours piastowała urząd sekretarza Tajnej Pieczęci, miała więc do niej dostęp i mogła spełnić prośbę Lwicy z Azalii, choć fałszowanie królewskich rozkazów byłoby zdradą stanu. Słyszałam świst i czułam podmuchy, gdy krążąc po pokoju z roztargnieniem uderzała szpicrutą o cholewę buta.

– Co w zamian oferuje twoja pani? – zapytała posłańca.

Niski głos odparł:

– Ziemie w Azalii, pani. Hrabstwo Vicharde, z dwiema setkami

zbrojnych i rocznym dochodem w wysokości czterdziestu tysięcy dukatów.

Szpicruta znowu świsnęła; zobaczyłam ją kątem oka.

– Powiedz, że się zgadzam – oznajmiła Solaine Belfours stanowczym tonem. – Ale przed wysłaniem rozkazów chcę mieć w rękę tytuł i gwarancję bezpiecznego wyjazdu do Azalii. – Nie patrząc na nią, odgadłam, że uśmiechnęła się zimno. – Powiedz, że ma mnie eskortować ksiązę Baudoin i jego Poszukiwacze Chwały. Przekonamy się, czy twoja pani nie żartuje.

Usłyszałam szelest tkaniny i poskrzypywanie skóry. Domyśliłam się, że wysłannik złożył ukłon.

– Jak sobie życzysz, pani. Tytuł w rękę i eskorta księcia Baudoina. Przekażę twoje słowa.

– Dobrze. – W jakiś czas po wyjściu posłańca poczułam na sobie spojrzenie markizy. Uniosłam głowę. Uśmiechała się, zakreślając szpicrutą szerokie koła. Na ten widok przebiegły mnie ciarki. – Mam ochotę to uczcić, Fedro – oznajmiła ze złośliwym zadowoleniem. – Cóż za szczęśliwy traf, że akurat tu jesteś.

Lyonetta de Trevalion odrzuciła propozycję Solaine Belfours; zgodnie z przewidywaniami markizy eskorta księcia Baudoina stanowiła zbyt wygórowane żądanie. Niezależnie od wagi swoich planów Lwica z Azalii wolała nie narażać ukochanego synalka. Wkrótce wyszło na jaw, że plotki o przymierzu były niczym więcej jak tylko plotkami. Syn kalifa nie poprosił o rękę Ysandry de la Courcel i wyspa Cythera pozostała w rękach Akadyjczyków.

Niemniej jednak, Delaunay uznał tę informację za cenną, bo poszerzyła jego wiedzę na temat wzajemnych relacji ważnych osobistości i rzuciła trochę światła na wciąż niejasne ambicje Lyonetty de Trevalion.

W tym czasie nazwisko Baudoina de Trevalion było na ustach wszystkich. Sprzymierzeńcy z Kamlachu rozwiązyali formację i wrócili do domów, zostawiając tylko strażę na granicy, ale Baudoin i jego Poszukiwacze Chwały przemierzali prowincję wzdłuż i wszerz, wyposażeni w specjalne zezwolenie króla. Wzbudzali strach w sercach skaldyjskich najeźdźców i mieszkańców górskich wiosek; wieśniacy ponosili ciężar utrzymania rozpustnych kawalerów, biorących zapasy żywności i panny na wydaniu. Na dworze Baudoin wciąż unikał licznych matrymonialnych sideł i, mimo dezaprobaty rodziców, wciąż pokazywał się z Melisandą Szachrizaj.

Chodziły słuchy, że Lyonetta de Trevalion zagroziła mu wydziedziczeniem, jeśli się z nią ożeni. Biorąc pod uwagę późniejsze wydarzenia, myślę, że musiało być w tym ziarnko prawdy. Lwica z Azalii nie rzucała słów na wiatr, a Melisanda była dość mądra, żeby wiedzieć, kogo nie można pokonać w otwartej walce.

Widziałam ją tylko raz, odkąd zaczęłam służyć Naamie, na jednym z przyjęć u Delaunaya, choć możecie być pewni, że często o niej myślałam. Wyróżniała się wśród gości zarówno urodą, jak i ciętym dowcipem. Do mnie odnosiła się uprzejmie, kiedy jednak spotkałam ją w korytarzu, pod wpływem jej uśmiechu zmiękły mi kolana.

– Odwróć się – mruknęła.

Zrobiłam to bez namysłu.

Zwinnie jak adeptka rozpięła tył mojej sukni; mogłabym nawet przysiąc, że sam materiał pragnął rozchylić się pod dotykiem jej palców. Przeciągnęła paznokciami po podstawie mojej marki i przesunęła dłoń w górę. Czułam bijące od niej ciepło oraz zapach perfum, subtelny i korzenny, zmieszany z piżmową wonią ciała.

– Twoje imię często pada w pewnych kręgach, Fedro. – Dotykała mnie czubkami palców, ale stała dość blisko, by jej oddech ogrzewał mi kark. Rozbawienie w jej głosie przywiodło mi na myśl Delaunaya; była to jedyna łącząca ich cecha. – Nigdy nie dałaś *signale*, prawda?

– Nie – szepnęłam, nie mając sił podnieść głosu.

– Tak myślałam. – Jej dłoń, leżąca teraz płasko na moim krzyżu, paliła mnie niczym żagiew. Po chwili Melisanda zapięła guziki, szybko i sprawnie. Wiedziałam, że się uśmiecha.– Pewnego dnia sprawdzimy, co jest prawdziwsze, ród Kusziela czy jego Strzała.

Przypuszczam, że żadna z nas nie miała pojęcia, jak prawdziwe okażą się jej słowa ani jak będzie wyglądać próba. Melisanda doskonale wiedziała, do czego oboje z Alcuinem służyliśmy Delaunayowi; wiedziała także, że byłam przynętą mającą wzbudzić jej zainteresowanie. I miała zamiar ją chwycić – w swoim czasie. Moi klienci nie słynęli z cierpliwości. Ja byłam uczennicą mistrza czekania i intrygowania, i nie wstydzę się przyznać, że myśl o kliencie, który mógłby się ze mną zmierzyć, zupełnie mnie rozstroiła. Nic dziwnego, że gdy dziś wspominam Baudoina de Trevalion, to z miarką zazdrości i politowania.

Wydawało się, że zagrożenie ze strony Skaldów wreszcie przeminęło; gdzie tylko brakowało parów z pogranicza Kamlachu, tam był Baudoin i jego Poszukiwacze Chwały. Delaunay nie do końca podzielał to przekonanie. Gościł w tym czasie swojego starego przyjaciela i mentora, Gonzago de Escabaresa, który wrócił z naukowej wyprawy do Tyberium. Rozmawiali prywatnie, jedynie w obecności mojej i Alcuina.

– Krążą pogłoski, Antinousie – powiedział aragoński historyk, spoglądając znad kieliszka wina. Wyglądał jak mądry satyr.

Znowu to imię. Moja marka pokonała już jedną trzecią drogi do szyi, a jednak o tajemnicy naszego pana wiedziałam nie więcej niż wtedy, gdy nie było jej wcale. Tym razem Delaunay puścił to imię mimo uszu.

– Jak zawsze – odparł, bawiąc się końcem warkocza. – Czasami myślę, że każde miasto-państwo w Caerdicca Unitas utrzymuje własny parlament wyłącznie w celu rozsiewania plotek. Skąd napłynęły te, maestro?

Gonzago de Escabares sięgnął po tartinkę z gęsią wątróbką i szczypiorkiem.

– Wyśmienite. Muszę poprosić twojego kucharza, żeby dał przepis mojemu. – Starannie przeżuł kęs, a potem oblizał palce i skrupulatnie wyskubał okruszki z brody. – Podobno plemiona skaldyjskie znalazły przywódcę. Własnego Cinthila Ru.

Po chwili zaskoczenia Delaunay wybuchnął śmiechem.

– Chyba żartujesz, maestro! Skaldowie nigdy dotąd nie byli tacy spokojni.

– Otóż to. – Aragończyk zjadł następną tartinkę i podsunął Alcuinowi kieliszek do napełnienia winem. – Znaleźli przywódcę, który myśli.

Delaunay milczał, rozważając implikacje tej rewelacji. Plemiona skaldyjskie były liczne, liczniejsze niż plemiona Alby i Eire, które zjednoczyły się w celu pokonania armii tyberyjskiej, największej potęgi militarnej w Europie. Ale wojska wyspiarskiego królestwa Alby, od stuleci izolowanego przez Pana Cieśniny, nigdy nie stanowiły zagrożenia dla naszych granic.

W przeciwieństwie do Skaldów, a co gorsza – Skaldów zjednoczonych.

– Co mówią te pogłoski? – zapytał w końcu.

Gonzago odstawił kieliszek.

– W sumie niewiele. Wiesz, że wśród najemników, którzy przemierzają szlaki handlowe, nie brakuje Skaldów, prawda? Zaczęło się od nich, od poszeptów o doniosłych wydarzeniach na północy. Z czasem kupcy spostrzegli, że wśród Skaldów panuje ciągły ruch, na miejsce jednych przybywali inni, jakby się umyślnie zamieniali. Jeden Skald mniej, jeden więcej, z początku trudno się połapać, bo wszyscy są jednakowymi dzikusami w oczach cywilizowanego człowieka. Ale rozmawiałem z handlarzem skór z Milazy, który jest przekonany, że Skaldowie wynajmowani do ochrony jego karawan są coraz bardziej przebiegli.

Pomyślałam o Skaldzie, który przed laty wziął mnie pod swoje skrzydła: wyblakłe wspomnienie roześmianego, muskularnego wielkoluda. Był miły, prostoduszny, ani trochę nie przebiegły. Alcuin siedział z szeroko otwartymi oczami. Jego wspomnienia Skaldów ograniczały się do krwi, żelaza i ognia.

– Twój kupiec uważa, że zbierają informacje – powiedział Delaunay. Przetrawiał słowa de Escabaresa, nerwowo skubiąc koniec warkocza. – W jakim celu?

– Tego nie wiem. – Gonzago wzruszył ramionami i sięgnął po kanapkę. – Ale przy ogniskach szepczą pewne imię: Waldemar, Waldemar Selig, Waldemar Błogosławiony, którego żelazo się nie ima. I zeszłego lata w Caerdicca Unitas przez dwa tygodnie nie uświadczyłybyś ani jednego Skalda. Chodziły słuchy, że Waldemar Selig zwołał najwyższą radę plemion gdzieś na dawnych helweckich ziemiach. Nie wiem, czy to prawda. Mój znajomy kupiec powiedział, że jego przyjaciel z Milazy przysięga, iż jakiś król Waldemar ze Skaldii poprosił tamtejszego księcia o rękę jego najstarszej córki. – Gonzago ponownie wzruszył ramionami i rozłożył ręce w typowo aragońskim geście. – Co można zrobić z

takimi pogłoskami? Podobno księżę Milazy tylko się roześmiał, po czym odesłał skaldyjskiego posła z siedmioma wozami jedwabiu i barchanu. Ale powiem ci, że nie ufam tej ciszy na skaldyjskiej granicy.

Delaunay postukał paznokciem w zęby.

– A tymczasem Baudoin de Trevalion hasa na pograniczu Kamlachu, ścigając głodujących zbójców i zgarniając poklask za ochronę królestwa. Masz rację, maestro, te niedźwiedzie ze Skaldii coś knują. Jeśli dowiesz się czegoś w trakcie swoich podróży, podeślij mi słówko.

– Nie omieszkam, mój drogi. – Ton Gonzago de Escabaresa złagodniał, a brązowe oczy spojrzały życzliwie. – Chyba nie sądzisz, Antinousie, że zapomniałem o twoim przyrzeczeniu.

Roztrząsałam w myślach to tajemnicze zdanie, gdy na mnie i na Alcuinie spoczęło surowe spojrzenie. Delaunay żywo klasnął w rękę.

– Fedro, Alcuinie, do łóżek. Maestro i ja mamy wiele do omówienia, a sprawy te nie są przeznaczone dla waszych uszu.

Nie trzeba mówić, że posłuchaliśmy, ale pozwolę sobie dodać, że przynajmniej jedno z nas odeszło z ociąganiem.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Na przekór obawom Gonzago de Escabaresa w ciągu następnych miesięcy jedyne ważne zagraniczne wieści napłynęły nie z terytoriów skaldyjskich, ale z królestwa Alby. Wiadomość, która przybyła zza morza, brzmiała następująco: cruarcha Alby nie żyje, zamordowany podobno przez rodzzonego syna, który postanowił obalić stary matrylinearny porządek sukcesji i zagarnąć tron dla siebie.

Prawowity następca cruarchy, jego chromy siostrzeniec, uciekł z matką i trzema młodszymi siostrami na zachodnie wybrzeża Alby, gdzie Dalriadowie z Eire, którzy mieli tam przyczółek, udzielili im schronienia.

Dotąd nikt nie zwracał większej uwagi na wewnętrzną politykę Alby, ale ponieważ ten cruarcha postawił stopę na d'Angelińskiej ziemi, wieści wzbudziły zainteresowanie. Po uzgodnieniu sprawy z Aragonią, Kwintyliusz Rousse otrzymał rozkaz poprowadzenia floty przez południową Cieśninę Cadishon na rekonesans wzdłuż linii brzegowej; zameldował, że Starszy Brat nadal sprawuje zwierzchność nad wodami Alby. W ten oto sposób Ganelon de la Courcel umocnił przymierze z królem Aragonii, a Kwintyliusz Rousse skwapliwie skorzystał z okazji i zostawił część swojej floty na wybrzeżu prowincji Kuszet. Bawiąc u Delaunaya, nieprzystojnie chełpił się własnym sprytem, ale polubiłam go na tyle, żeby wybaczyć mu samochwalstwo. Delaunay dwukrotnie był wzywany na dwór, lecz nie chciał później o tym rozmawiać.

Od de Escabaresa nie napłynęła żadna wiadomość na temat Waldemara Seliga. Na granicach Kamlachu nadal panował spokój; taki spokój, że ksiązę Baudoin, znudziwszy się szukaniem chwały w górach, zaczął dzielić czas pomiędzy dwór królewski i swój dom w Azalii. Jego ojciec, diuk de Trevalion, poróżnił się z królem. Poszło o patrolowanie linii brzegowej. Azalia posiadała niewielką, ale sprawną flotę, i diuk miał królowi za złe, że poruczył tę misję nie jemu, tylko Kwintyliuszowi Rouse.

Pretensje nie były nieuzasadnione, dlatego że Azalia leży niemal o rzut kamieniem od Alby, natomiast Kwintyliusz potrzebował dwóch tygodni na przeprowadzenie floty wokół Aragonii. Wprawdzie międzynarodowe przedsięwzięcie umocniło nasze więzi z Aragonią, o czym diuk Mark doskonale wiedział, ale ponieważ w żyłach Kwintyliusza Rouse nie płynęła krew królewska, zniewaga bardzo go bolała.

Nie wiem, czy w tej kwestii król nie miał zaufania do diuka de Trevalion. Wiem tylko, że nie ufał swojej siostrze i jej aż nazbyt oczywistym ambicjom dotyczącym syna. Był za mądry, żeby przepuścić okazję podkopania jej wpływów, skoro w konsekwencji mógł odnieść korzyści polityczne.

Dużo słyszałam o tych sprawach – spór rodu Courcel i Trevalion stał się nawet przyczyną rozdźwięku pomiędzy Delaunayem i Gasparem Trevalionem – ale w tym czasie inne rzeczy zaprzętały moją uwagę. Byłam młoda i piękna, rozchwytywana przez potomków Elui. Skłamałabym, mówiąc że powodzenie nie uderzyło mi do głowy. Możliwość wybierania klientów daje władzę, a ja nauczyłam się z niej korzystać. Trzy razy z rzędu odrzucałam propozycje Childrica d'Essoms i nawet Delaunay pochwalił mądrość mojej decyzji. Kiedy przystałam na czwartą – ostatnią, jak przestrzegł jego wysłannik –

skumulowana furia d'Essomsa przekroczyła moje najśmielsze oczekiwania.

Tej nocy sparzył mnie rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem.

Również tej nocy wypsnęło mu się nazwisko jego patrona.

Słudzy Naamy nie są jedynymi, którzy mają patronów; w środowisku dworskim prawie każdy jest patronem albo ma patrona. Tylko usługi się różnią. Kochałam Delaunaya między innymi dlatego, że jako jeden z niewielu znanych mi ludzi naprawdę nie był zależny od tego systemu. Przypuszczam, że między innymi z tego powodu d'Essoms go nienawidził.

Inne powody wyszły na jaw wraz z nazwiskiem, które pochoinnie wypowiedział. Childric d'Essoms czerpał ogromną przyjemność ze zmuszania mnie do wyjawienia motywów Delaunaya. Podczas gdy Solaine Belfours wymyślała niezliczone preteksty, żeby mnie ukarać, jemu wystarczył jeden: Delaunay.

Po użyciu pogrzebacza wiedział, że posunął się za daleko. Zwisłam bezwładnie w pętach, rozpostarta na jego ulubionym krzyżu w kształcie litery X, walcząc o zachowanie przytomności i już myśląc, jak Delaunay zrugą mnie za to, że nie podałam *signale*. Szczerze mówiąc, nie przypuszczałam, że d'Essoms zrobi coś podobnego. Ale w pewnym momencie przyłożył pogrzebacz do wewnętrznej strony mojego uda i omył mnie swąd przypalanego ciała. Pogrzebacz przylgnął i skóra się rozdarła, kiedy go odsuwał.

Nie było to przyjemne, przynajmniej nie w sensie rozumianym przez wszystkich prócz *anguisette*. Pod wpływem bólu moje ciało zawibrowało niczym szarpnięta struna harfy i czerwień rozlała mi się pod zamkniętymi powiekami. Pławiłam się w bólu i byłam samym bólem, byłam napiętą, drżącą struną i zarazem wysokim,

przedłużonym tonem, tonem czystego piękna, zrodzonym w otchłani udręki. Spowita szkarłatną mgłą, usłyszałam dochodzący jakby z wielkiej dali przejęty głos d'Essomsa i poczułam dotyk jego rąk, gdy klepał mnie po policzkach. Skądś dobiegł głośny brzęk i domyśliłam się, że ze zgrozą odrzucił pogrzebacz.

– Fedro, Fedro, mów do mnie! Och, na litość Błogosławionego Elui, mów do mnie, dziecko! – Jego ton zdradzał niepokój i troskę większą, niż byłby gotów przyznać. Poklepywał i z szorstką czułością pocierał moją twarz, a w pewnym momencie wymamrotał: – Barquiel L'Envers urwie mi głowę, jeśli Delaunay wniesie oskarżenie... Fedro, dziecko, ocknij się, powiedz, że nic ci nie jest, to nic wielkiego, to tylko małe oparzenie...

Nie unosząc głowy, otworzyłam oczy i czerwona mgła powoli się rozproszyła, znikając z prawego oka i kurcząc się w plamkę w lewym. Widząc, że uchyliłam powieki, Childric d'Essoms krzyknął z ulgi, rozwiązał pęta i podtrzymał moje bezwładne ciało, gdy zsunęłam się z krzyża. Trzymając mnie w ramionach na środku pokoju trofeów, kazał wezwać lekarza.

Wtedy wiedziałam, że jest mój.

Jak przypuszczałam, Delaunay nie był zachwycony, choć powstrzymał się od komentarza. Polecił mi położyć się do łóżka i sprowadził jezuickiego doktora. Mieszkańcy wielu krajów bronią się przed napływem Jezuitów, ale w Terre d'Ange są oni mile widziani, bo nie zapomnieliśmy, że Błogosławiony Elua został poczęty z krwi Jezui. Doktor wyglądał niezwykle surowo – jego poważną twarz okalały charakterystyczne dla Jezuitów długie, kręcone pejsy – ale ręce miał delikatne. Odczułam ulgę, kiedy zastosował kataplazm, żeby wyciągnąć trucizny z oparzenia, i obandażował mi udo. Dotykanie takiego intymnego

miejsca wyraźnie go peszyło, a mnie z kolei bawiło jego skrepowanie.

– Przyjdę za dwa dni, żeby ją zbadać – powiedział do Delaunaya formalnym tonem, z wyraźnym obcym akcentem. – Zalecam rano obejrzyć ranę. Jeśli wyczuje pan odór gangreny, proszę natychmiast mnie wezwać.

Delaunay pokiwał głową. Kurtuazyjnie zaczekał, aż doktor opuści mój pokój, a wtedy obrzucił mnie ironicznym spojrzeniem i pytająco uniósł brwi.

– Mam nadzieję, że było warto – rzekł szorstko.

Nie obruszyłam się, bo wiedziałam, że jest zatroskany.

– Sam to osądzisz, panie. – Wierciłam się w łóżku, próbując ułożyć poduszki za plecami, aż w końcu Delaunay zaklął pod nosem i pomógł mi usiąść. Delikatność jego rąk klóciła się z brzmieniem głosu.

– Niech ci będzie – powiedział. Oczy błyszczały mu z rozbawienia, bo przejrzał moją gierkę w udawanie inwalidki. – W korytarzu leży stos podarków od Childrica d’Essoms, który pragnie wynagrodzić ci krzywdę. Jeśli go nie powstrzymamy, gotów przysłać zaprzęg wołów albo egzemplarz Zaginionej Księgi Razjela. Ale najpierw powiedz, dla jakich to cennych informacji zgodziłaś się odgrywać jagnięcinę z różną?

Zadowolona, że mnie nie osądza i skupia na mnie całą swoją uwagę, rozparłam się na poduszkach i oznajmiłam prosto z mostu:

– Childric d’Essoms służy Barquielowi L’Envers.

W tej chwili zamiast na jego twarz mogłabym patrzeć na burzę, która zbiera się na horyzoncie. Diuk Barquiel L’Envers był bratem nieboszczki Izabeli.

– A zatem d’Essoms stanowi ujście dla ambicji rodu Envers –

dumał na głos. – Zastanawiałem się, kto podsyca płomień. To on musiał spowodować wysłanie L’Enversa do kalifatu. Nic mu nie powiedziałaś?

Spojrzenie Delaunaya było szybkie i przenikliwe.

– Panie! – obruszyłam się, prostując ramiona i krzywiąc się z bólu.

– Fedro, przepraszam. – Wyraz jego twarzy się zmienił, gdy ukląkł przy łóżku i ujął moją rękę. – Ta informacja jest bezcenną perłą, naprawdę, ale niewartą cierpienia, na jakie się naraziłaś. Obiecuj mi, że następnym razem podasz *signale*.

– Panie, jestem tym, kim jestem, i właśnie dlatego kupiłeś moją markę – przypomniałam rozsądnie. – Ale naprawdę nie sądziłam, że użyje pogrzebacza. – Widząc, że czuje się rozgrzeszony moimi słowami, postanowiłam wykorzystać chwilową przewagę. – Panie, kim była dla ciebie Izabela L’Envers i dlaczego jej wrogość ściga cię zza grobu?

Jeśli myślałam, że zaskoczę go w chwili słabości, to się pomyliłam. Jego twarz natychmiast stała się surowa, taka jaką uwielbiałam.

– Fedro, już o tym rozmawialiśmy. Lepiej, żebyś nie wiedziała dlaczego robię to, co robię. Zapamiętaj moje słowa: Gdyby Childric d’Essoms naprawdę sądził, że wiesz coś, czego nie chcesz powiedzieć, nie byłby taki delikatny. A wierz mi, że postępuje z tobą łagodnie.

Pocałował mnie w czoło i wyszedł, życząc mi dobrej nocy i powrotu do zdrowia.

Na szczęście moje ciało szybko się goi, co jest spuścizną Strzały Kusziela. Jeszuicki doktor podczas drugiej wizyty oznajmił, że na oparzeniu nie ma śladu zaognienia. Dał Delaunayowi maść przyspieszającą zasklepienie rany i zapobiegającą powstawaniu

brzydkich szram. W Domu Waleriany widziałam adeptów, których skóra zgrubiała od licznych blizn, ja jednak nie miałam takich problemów. Delaunay zawsze trzymał zapas maści i balsamów do smarowania obrzęków po cięgach, choć trzeba przyznać, że żadne nie działały lepiej od jezuickich.

Skoro nie mogłam uprawiać swej sztuki, spędzałam czas z Hiacyntem.

Jego sytuacja zmieniła się wraz z moją. Wreszcie przekonał matkę, żeby rozstała się z częścią z trudem zdobytego złota i zasilila nim jego oszczędności, dzięki czemu stali się właścicielami domu na Rue Coupole. Był nie większy i nie mniej nędzny niż wcześniej, ale teraz należał do nich. Jak zawsze mieszkali na parterze, a pokoje na górze wynajmowali niekończącemu się strumieniowi cygańskich rodzin, które przybywały do Miasta z każdym targiem końskim i cyrkiem.

Matka Hiacynta postarzała się i skurczyła, ale przesywające spojrzenie jej głęboko osadzonych oczu wcale nie przygasło. Zauważyłam, że wędrowni Cyganie składali jej uszanowanie, chociaż Hiacynta starali się unikać. Uważali go za pół-D'Angelina i stronili od niego; wśród D'Angelinów z kolei mój przyjaciel uchodził za Księcia Podróżnych i mieszkańcy Mont Nuit płacili mu złotem za czytanie z dłoni.

Hiacynt nie zrezygnował z marzenia, jakim było odnalezienie krewnych matki i upomnienie się o prawa należne mu z urodzenia. Niestety, nie było ich wśród Cyganów, którzy przekraczali roгатki Miasta i mieszkali w nim przez pewien czas. Powiedział mi, że rodzina matki zrobiła to tylko raz – i straciła najpiękniejszą córkę, uwiedzioną przez D'Angelina. Obecnie tylko najbiedniejsze tabory wjeżdżały w bramy Miasta. Kwiat cygańskiej arystokracji wędrował po kraju, podążając *Lungo*

Drom, długą drogą.

Tak mówił Hiacynt, a ja nie miałam zamiaru z nim dyskutować; być może zresztą tak wyglądała prawda. Na razie zadowalał się statusem niekwestionowanego Księcia Podróżnych w Mont Nuit, a ja się z tego cieszyłam, bo przecież był moim przyjacielem. Nigdy jednak mu nie powiedziałam, że wybrałam jego imię na swoje *signale*. Bardzo go kochałam, ale pyszniłby się jak kogut, a ja i bez tego miałam dość jego próżności.

– A zatem Childric d’Essoms siedzi w kieszeni L’Enversa – powiedział, kiedy przekazałam mu nowiny, i zagwizdał przez zęby. – To ci dopiero nowina, Fedro. Co zrobi z nią twój Delaunay?

– Nic. – Skrzywiłam się. – Z wiekiem staje się milkliwy, a poza tym uważa, że dla własnego dobra nie powinniśmy wiedzieć za dużo. Chociaż czasami odnoszę wrażenie, że Alcuinowi mówi więcej niż mnie.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole. Zdjęłam płaszcz *sangoire*, bo powietrze było duszne i pachniało gotującą się kapustą. Matka Hiacynta mruczała coś do siebie i krzątała się przy piecu, nie zwracając na nas uwagi. Jej obecność stanowiła krzepiącą stałą wartość w moim życiu. Hiacynt uśmiechnął się do mnie, rzucił w powietrze srebrną monetę, chwycił ją jedną ręką i obrócił między palcami, a potem sprawił, że zniknęła. Uliczny sztukmistrz nauczył go tej sztuczki w zamian za dwutygodniowy czynsz.

– Jesteś zazdrosna.

– Nie – odparłam, ale zaraz się poprawiłam: – Tak, być może.

– Sypia z chłopcem?

– Nie! – zawołałam, oburzona samym pomysłem i określeniem “chłopiec”; Alcuin i Hiacynt byli rówieśnikami. – Delaunay nie

zrobiłby czegoś takiego!

Hiacynt wzruszył ramionami.

– Mimo wszystko nie można wykluczać takiej możliwości. Ty nie robiłabyś tajemnicy, gdyby chodziło o ciebie.

– Ale nie chodzi. – Spochmurniałam na myśl o mało obiecujących widokach na noc z Delaunayem. – Nie, z Alcuinem jest swobodniejszy, ponieważ uważa, że jego klienci są mniej niebezpieczni od moich... albo przynajmniej bardziej subtelni w stosowaniu przemocy. W każdym razie od dnia, w którym zabrał Alcuina na dwór jako swego skrybę, siedzą po uszy w polityce. Nie widzę w tym logiki, skoro stary cruarcha został zabity i wyspą włada ktoś inny.

Matka Hiacynta zamruczała głośno przy piecu. Hiacynt zazwyczaj ignorował takie złowieszcze pomruki, teraz jednak jego oczy stały się czujne jak ślepia ogara na świeżym tropie.

– O co chodzi, mamó?

Stara Cyganka jeszcze raz wymamrotała niezrozumiałe słowa, a potem odwróciła się, potrząsając chochlą. Pamiętam jej uniesiony palec, który trącił strunę strachu w moim sercu.

– Uważaj – powiedziała złowróżbnym tonem. – Nie lekceważ Cullach Gorrym.

Popatrzyłam na Hiacynta, który zamrugał zdezorientowany.

– Nie rozumiem – powiedział.

Zadrżała i opuściła chochlę, drugą ręką przeciągnęła przed oczami. Policzki miała zapadnięte, wyglądała bardzo sędziwie.

– Ja też nie – przyznała słabym głosem.

– Czarny dzik. – Chrząknęłam, dziwnie zawstydzona. – Wyrzekłaś słowa w języku Cruithnów, pani. – W towarzystwie klientów od tak dawna udawałam nieuka, że to błysniecie wiedzą bardzo mnie speszyło. – Nie lekceważ czarnego dzika.

– No właśnie. – Na jej twarz powróciła zwykła skwaszona mina. W upartym geście wysunęła szczękę, rzucając wyzwanie mnie, mojej wiedzy i mojemu płaszcowi *sangoire*. – Otóż to. Nie lekceważ czarnego dzika.

Było to drugie darmowe proroctwo udzielone mi przez matkę Księcia Podróżnych, mojego jedyne prawdziwego przyjaciela. O ile interpretacja pierwszego nie nastroczała kłopotów, to znaczenie drugiego otaczała tajemnica. Popatrzyłam jeszcze raz na Hiacynta, który rozłożył ręce i pokręcił głową. Wiedział nie więcej ode mnie na temat czarnego dzika, cokolwiek się kryło pod tymi słowami.

Po powrocie do domu opowiedziałam o tym Delaunayowi, który miał za sobą dzień przymierzania nowego stroju. Ponieważ nie cierpiał tracić czasu na przymiarki, był w paskudnym humorze i szybko zbagatelizował moje słowa.

– Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że przepowiadanie przyszłości przez Cyganów jest zwyczajnym mydleniem oczu – powiedział ostro.

Popatrzyłam na niego.

– Ona ma dar. Widziałam. Panie, nie próbowała kłamać ani teraz, ani wcześniej, kiedy mi powiedziała, że pożałuję dnia, w którym odsłonię twoją tajemnicę.

– Ona... – Delaunay urwał. – Ona tak powiedziała?

– Tak, panie.

Alcuin podszedł z dzbanem wina, żeby napełnić kieliszek. Włosy mu opadły, kiedy się pochylił, a Delaunay z roztargnieniem, patrząc w płomień lampy, przeciągnął w palcach lśniące pasmo.

– Panie – powiedział Alcuin cicho, prostując ramiona. – Pamiętasz, jak mówiłem o poszeptywaniach delegacji z Alby?

Siostra cruarchy miała wizję, ujrzała srebrnego łabędzia i czarnego dzika.

– Ale kim jest...? – Wyraz twarzy Delaunaya uległ zmianie. – Alcuinie, wyślij jutro wiadomość do Thelesis de Mornay. Przekaż jej, że chcę się z nią spotkać.

– Jak sobie życzysz, panie.

DWADZIEŚCIA

Nie dowiedziałam się, co wynikło z ich rozmowy, a przynajmniej nie w czasie, w którym miałyby to jeszcze znaczenie. Niewiedza mogłaby mnie złościć, gdyby nie fakt, że moje sprawy na jakiś czas wzięły górę nad intrygami Delaunaya.

Melisanda Szachrizaj wydawała przyjęcie dla uczczenia urodzin księcia Baudoina de Trevalion. Wynajęła na całą noc Dom Cereusa i my też zostaliśmy zaproszeni, wszyscy troje.

Nie zapomniałam obietnicy, jaką mi złożyła podczas ostatniego spotkania; nie zapomniałem również jej słów z dnia, w którym się poznałyśmy. “Pragniesz służyć Naamie, prawda, dziecko?”. Miałam wielu klientów, ale spojrzenie żadnego z nich nie przyprawiło mnie o drżenie kolan.

Jeśli jeszcze o tym nie wspomniałam, uczynię to teraz: Melisanda była niezmiernie bogata. Ród Szachrizaj od samego początku należał do zamożnych, a ona wzbogaciła swoją część o majątki dwóch zmarłych mężów. Niewykluczone, że gdyby nie plotki dotyczące ich zgonów, Lyonetta de Trevalion uznałaby ją za odpowiednią synową, chociaż osobiście w to wątpię. Lwica z Azalii nie sprawiała wrażenia kobiety zdolnej do tolerowania rywalki wśród równych sobie.

Swoją drogą nie wierzę, by Melisanda Szachrizaj przyczyniła się do śmierci swoich bogatych mężów. Obaj byli bardzo starzy, myślę więc, że nie musiała podejmować żadnych działań. Wprawdzie wychodząc za pierwszego miała tylko szesnaście lat, a dziewiętnaście w przypadku drugiego, ale przypuszczam, że

była wówczas nie mniej wyrachowana niż w okresie naszej znajomości. A kobieta, którą znałam, była zbyt przebiegła, żeby podejmować niepotrzebne ryzyko wyłącznie dla złota.

Aczkolwiek wtedy nie miałam pojęcia, z jaką wprawą używała rąk innych ludzi do osiągnięcia własnych celów. Teraz już wiem.

Niezależnie od tego jak wyglądała prawda, dzięki spadkom po mężach Melisanda pomnożyła swój już i tak ogromny majątek. W mieście dosłownie huczało, gdy rozeszły się wieści o przyjęciu wyprawianym dla Baudoina. Zaproszenia, wypisane złotym inkaustem na nasyconym wonnościami grubym welinie, zostały dostarczone adresatom, którzy zazdrośnie ich strzegli. Natychmiast pojawiły się spekulacje, kto i dlaczego został zaproszony oraz jakie możliwe afronty mogło spowodować pominięcie tych, którzy nie dostąpili zaszczytu.

Melisanda wpadła do naszego domu w obłoku tej samej subtelnej woni, jaka płynęła z przyniesionego przez nią zaproszenia. Delaunay otworzył je i uniósł brwi.

– Wszyscy moi domownicy? – zapytał drwiąco. – Myślę, Melisando, że zdajesz sobie sprawę, iż kontrakt z Domem Cereusa nie obejmuje moich podopiecznych.

Uniosła podbródek i roześmiała się, pokazując śliczną linię szyi.

– Wiedziałam, że to powiesz, Anafielu, dlatego postanowiłam wręczyć zaproszenie osobiście. Tak, oczywiście. Ostatecznie to moje przyjęcie, a twoi uczniowie są bardziej interesujący niż trzech dworaków naraz.

– Sądziłem, że to przyjęcie Baudoina.

Docinek nie wywołał komentarza. Popatrzyła tylko na niego spod rzęs i uśmiechnęła się.

– Dla Baudoina, oczywiście, ale wyprawiane przeze mnie,

Anafielu. Z pewnością znasz mnie dość dobrze.

Delaunay odwzajemnił uśmiech, przeciągając kciukiem po skraju welinu.

– Jeśli zamysłasz zdobyć syna Lwicy z Azalii, żeby rzucić wyzwanie jego matce, możesz przeciągnąć strunę. Ona jest bezlitosnym wrogiem.

– Ach, drogi Delaunayu, zawsze i wszędzie szukasz informacji – powiedziała lekkim tonem, wyciągając rękę. – Jeśli nie masz ochoty...

– Nie. – Pokręcił głową, uśmiechnął się i cofnął o krok, zatrzymując zaproszenie. – Przyjedziemy, możesz być pewna.

– Jestem niezmiernie rada. – Melisanda Szachrizaj złożyła drwiący ukłon i odwróciła się do wyjścia. Widząc mnie w cieniach, posłała mi pocałunek. Delaunay też mnie zobaczył i gniewnie ściągnął brwi. Jaką minę ja miałam, nie potrafię sobie wyobrazić.

– Cokolwiek się stanie, Fedro – powiedział później – masz mieć oczy i uszy otwarte; przykaż to samo Alcuinowi. Melisanda Szachrizaj nie robi niczego bez powodu, a w tym przypadku nie potrafię odgadnąć jej motywów. I to budzi moje podejrzenia. – Cień przemknął mu po twarzy. – Przypuszczam, że znów muszę posłać po krawca – dodał, zirytowany tą perspektywą.

Zirytowany czy nie, dopilnował, żebyśmy wszyscy zadawali szyku na przyjęciu. To dziwne, że mając wyborny gust, nie miał cierpliwości do przymiarek, ale możecie być pewni, że wynik końcowy przeszedł najśmielsze oczekiwania. Alcuin prezentował się olśniewająco: w granatowym aksamicie wyglądał jak zjawisko wysnione przy blasku księżyca. Rdzawo włosy Delaunay, w stroju w kolorze głębokiej umbry z szafranem w rozcięciach w rękawów, przywodził na myśl alegorię jesieni.

Ucieszyłam się, że dla mnie zamówił kolejną belę *sangoire*. Suknia nie była tak mocno wycięta na plecach, jak mogłabym sobie życzyć – pokazywanie nieukończonych marki jest wulgarne – ale miała głęboki dekolt z przodu. Ozdobiłam go rubinowym wisiorkiem od Childrica d’Essoms, wtulonym w rowek pomiędzy piersiami.

Od dnia, w który odjechałam w powozie Delaunaya, ani razu nie byłam w Domu Cereusa i powrót zrobił na mnie dziwne wrażenie. Pomijając pierwszy raz, z matką, zawsze przekraczałam bramę przewieszona sromotnie przez siodło strażnika.

Z podjazdu ujrzałam dom rozjaśniony światłami, tryskający wesołością. Zadrzałam, kiedy zajechaliśmy pod główne wejście i Delaunay wysiadł z powozu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał szeptem Alcuin, chwytając mnie za rękę. Jego słodka twarz wyrażała szczere zatroskanie i natychmiast pożałowałam tych licznych okazji, przy których byłam o niego zazdrosna.

– Tak, oczywiście. – Uspokajająco ścisnęłam jego dłoń, zebrałam spódnice i poszłam w ślady Delaunaya.

Urodzinowe przyjęcie księcia Baudoina de Trevalion było już w pełnym toku. Mieliśmy pełnię lata i prawie wszystkie drzwi budynku stały otworem. Mieszkałam tam sześć lat, lecz nigdy nie widziałam takiego bankietu. Wszędzie stały wielkie wazony róż, heliotropu i lawendy, pieścąc zmysły mnogością barw i zapachów. W każdej niszy grali muzycy, w każdym kącie obejmowali się i wzdychali kochankowie. Melisanda Szachrizaj zapłaciła za wszystkich adeptów Domu Cereusa. Wszyscy goście mogli liczyć na ich usługi.

Na tę myśl zakręciło mi się w głowie i zalała mnie fala

zazdrości i pożądania. Znaleźć się w ich położeniu, być kupioną na całą noc, posłuszną każdemu na kiwnięcie palcem! Niemal żałowałam, że nie jestem adeptką Domu Cereusa.

A potem przypomniałam sobie, że jestem gościem, i jeszcze bardziej zakręciło mi się w głowie.

Wprowadzono nas do Wielkiej Sali, oświetlonej i ozdobionej jak podczas Zimowego Balu Maskowego, pełnej ludzi w zachwycających strojach.

Odgłosy śmiechów i flirtów mieszały się z muzyką oraz setkami aromatycznych zapachów. Piękni uczniowie obu płci wnosili tace, częstując wszystkich przekąskami i napojami. Lokaj wywołał nasze nazwiska, a wówczas przystojny blondyn w barwach Domu Cereusa z wdziękiem odłączył się od tłumu i podszedł do naszej trójki.

– Fedro... – powiedział, całując mnie na powitanie – witaj, witaj z powrotem. – Był to Jareth Moran, nieco starszy, ale przecież ten sam. Zamrugałam ze zdziwienia, widząc na jego szyi łańcuch duejna z pieczęcią Domu. Odwrócił się z uśmiechem do Delaunaya. – Panie Delaunay, miło pana widzieć. A ty jesteś Alcuin nó Delaunay. – Uścisnął rękę Alcuina, lekko, bo dostrzegł błysk rezerwy w ciemnych oczach. Zdążyłam zapomnieć o nieskazitelnym manierach, jakie obowiązywały członków Dworu Nocy; może zresztą nie zapomniałam, tylko po prostu nigdy nie byłam gościem, i to zawsze ja musiałam świadczyć innym uprzejmości. – Witajcie.

– Gdzie jest du... – zająknęłam się i poprawiłam: – Gdzie dawna duejna?

Jareth zrobił poważną minę, ale poznałam, że udawał.

– Zmarła jakieś sześć lat temu, Fedro. Miała spokojną śmierć, odeszła we śnie. – Dotknął łańcucha. – Od tej pory ja jestem

duejnym.

– Przykro mi – mruknęłam, nagle zasmucona. Staruszka była sroga, ale stanowiła część mojego dzieciństwa. – Z pewnością jesteś godnym następcą.

– Staram się jak najlepiej. – Jaredi uśmiechnął się łagodnie. – Pamiętasz Surię? Jest moją zastępczynią.

– Chodź, mój drogi – powiedział Delaunay do Alcuina. – Przywitajmy się z gośćmi. Nie przeszkadzajmy Fedrze i duejnowi, którzy z pewnością mają wiele spraw do omówienia.

Patrzyłam, jak nikną w tłumie. Na podwyższeniu w drugim końcu sali stał stół księcia Baudoina i garstki wybrańców. Była wśród nich Suria; książę palcami wsuwał jej do ust smakowite kąski. Melisanda Szachrizaj przyglądała się temu z rozbawioną miną.

– Była Królową Zimą.

– To podniosło jej status. – Ton głosu Jaretha stał się rzeczowy; mówił jak adept do adepta. – Ludzie każdej zimy wspominają tę historię. Byłbym głupi, gdybym wybrał kogoś innego.

Jareth nigdy nie był głupi.

– Owszem – przyznałam. – Dokonałeś właściwego wyboru. – Nawet z daleka widziałam, że jej blade piękno już osiągnęło szczyt. Nie dostrzegłam u niej znaków wskazujących na istnienie stalowego kośćca, kryjącego się pod delikatną powłoką tych nielicznych adeptów, którzy z podniesioną głową żegnają się z przekwitającym kwiatem młodości. Nie sądziłam, by Suria marzyła o stanowisku duejny, i zrobiło mi się jej żal. – Zawsze odnosiła się do mnie serdecznie.

– Mam nadzieję, Fedro, że miło wspominasz swój pobyt w Domu Cereusa.

Patrząc w niebieskie oczy Jaretha, uświadomiłam sobie, że

moje zdanie jest dla niego ważne; w pewnych kręgach moje słowo mogło zniszczyć reputację Domu.

– Tak – odparłam szczerze. – Może nigdy tu nie należałam, ale też nie czułam się wykluczona, a wszystkie kary, jakie mnie spotkały, były w pełni zasłużone... – uśmiechnęłam się do niego szelmowsko – i całkiem przyjemne. – Zarumienił się; w Domu Cereusa wszelkie silniejsze namiętności uznawane są za nieskromne. – Szkolenie w Domu Cereusa nie ma sobie równych – dodałam. – Pobyt tutaj wyszedł mi na dobre i mile go wspominam.

– Cieszę się – powiedział, odzyskując pewność siebie i składając mi ukłon. – Jesteśmy zaszczyceni, że mieszkałaś w naszym Domu. – Sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął emblemat swojego Domu. – Proszę, przyjmij to i pamiętaj, że zawsze jesteś tu mile widziana.

Podziękowałam uprzejmie za podarek. Jareth uśmiechnął się.

– Baw się dobrze. Nieczęsto sługa Naamy ma okazję być klientem.

Z tymi słowami odszedł na powitanie nowych gości. Delaunay i Alcuin zniknęli mi z oczu, ale z pewnością zmierzali w stronę podwyższenia. Pospieszyłam, by do nich dołączyć. Nieobecność członka domu podczas składania życzeń przez gospodarza byłaby poważnym nietaktem. Nie utraciłam umiejętności wdzięcznego przemykania się w tłumie, musiałam tylko sobie przypominać, że nie muszę spuszczać wzroku. Mimo wszystko czułam dreszczyk emocji, gdy śmiało popatrywałam w twarze innych gości.

Doprawdy, powrót do Domu Cereusa był dla mnie dziwny.

Delaunaya i Alcuina znalazłam w grupie ludzi, którzy u stóp podium czekali, by złożyć księciu życzenia urodzinowe.

Delaunaya jak zawsze cechował spokój, pełen rezerwy i chłodny, użyczający powagi również tym, którzy mu towarzyszyli.

Natomiast przy stole na podwyższeniu próżno by szukać powagi. Księżę Baudoin, starszy rzecz jasna od rozhukanego młodzieńca, którego po raz pierwszy widziałam w tej sali, nie stracił ani urody, ani szatańskiego błysku wesołości w szarych niczym morze oczach. Jak widziałam z drugiego końca sali, trzymał na kolanie biedną Surię, obejmując ją ramieniem.

Adepci Domu Cereusa nie są przyzwyczajeni do zachowania, które uchybia godności; jeśli taki miał być charakter bankietu, Melisanda postąpiłaby rozsądniej, gdyby wybrała inny Dom, może Orchideę albo Jaśmin. Spojrzałam na nią, siedzącą po prawicy Baudoina, i zrozumiałam, że skrępowanie adeptki ją bawiło. Świadomie dokonała takiego wyboru.

Przywilej dzielenia stołu z Baudoinem mieli jego dwaj strażnicy przyboczni, synowie arystokratycznych rodów. Jeden za przykładem księcia trzymał na kolanach adeptkę. Drugiemu towarzyszył chłopiec, usłużnie nalewający wino.

Nadeszła nasza kolej.

– Proszę, proszę. – Baudoin rozparł się w fotelu i popatrzył na Delaunaya zza głowy Surii. – Messire Anafiel Delaunay! Mam nadzieję, że załagodziłeś spór z moim krewniakiem, hrabią de Fourcay. Biedak ma tak niewielu przyjaciół! Śmiało, co mi przyniosłeś? Uroczą parkę do łóżka?

– Księżę raczy żartować. – Delaunay skłonił się wytwornie, a my z Alcuinem wzięliśmy z niego przykład. – To Alcuin i Fedra nó Delaunay z mojego domu. Proszę, przyjmij nasze najszczęsze życzenia wszystkiego co najlepsze. – Odwrócił się do Alcuina, który trzymał prezent dla księcia: filigranowe srebrne puzderko zawierające wonną grudkę bursztynu. Delaunay wziął je z rąk

Alcuina i wręczył księciu z kolejnym ukłonem.

– Ładne. – Baudoin powąchał puzderko i potrząsnął nim przy uchu Surii. Zadzwoił ukryty dzwoneczek. – Bardzo ładne. A teraz idź cieszyć się przyjęciem, Anafielu, razem ze swoimi małymi towarzyszami zabawy. Słowo daję, moja matka mówiła prawdę! Tylko ty mogłeś przyprowadzić dziwki do burdelu, messire.

Twarz Delaunaya nie zmieniła się ani na jotę, ale Alcuin spąsowiał; rumieńce wyraźnie odznaczyły się na jego jasnych policzkach. W tej chwili jeden z przybocznych księcia – ten bez adeptki na kolanach – zawołał:

– Znam ją, spójrzcie w jej oczy! To *anguisette* Delaunaya, ta, która lubi być krzywdzona. – Wyciągnął miecz, który nosił dla ochrony księcia, wsunął sztych pod rąbek mojej sukni i zaczął ją podnosić. – Śmiało, pokaż nam! – zawołał ze śmiechem. Wzbudził ciekawość Baudoina, który odepchnął Surię na bok i pochylił się, żeby popatrzeć.

Delaunay zareagował tak szybko, że nie dostrzegłam ruchu. Stał zadzwięczając na posadzce, a strażnik potrząsnął obolałą ręką. Jego broń leżała płasko pod butem mojego pana.

– Panie, pozwolę sobie przypomnieć, że członkowie mojego domu są twoimi gośćmi, zaproszonymi przez lady Melisandę.

– Fedra? – szepnęła Suria, obchodząc stół i biorąc w dłonie moją twarz. – To ty! Na Błogosławioną Naamę, dziecko, aleś rozkwitła!

Baudoin machnął od niechcienia ręką.

– No dobrze, Delaunay, masz rację. Podaj Martinowi jego miecz. Chłopcy, macie do dyspozycji cały Dom Cereusa. Nie musicie dokuczać towarzyszom zabaw messire Delaunaya. – Nikt nie dał się zwieść nonszalanckiemu tonowi. Baudoin, książę

krwi, wydał rozkaz. Delaunay podniósł miecz i ze sztywnym ukłonem podał go strażnikowi, który odkłonił się, schował broń i usiadł. Wszyscy milczeli. Baudoin napił się wina i głośno odstawił kieliszek, patrząc na mnie z zadumą. Jego spojrzenie spoczęło na szkarłatnej plamce w moim oku, po czym prześliznęło się po ciele odzianym w dopasowaną aksamitną suknię jak gdyby specjalnie dla jego przyjemności.

Tym razem ja się zarumieniłam.

– Prawdziwa *anguisette*, co? – mruknął. Melisanda Szachrizaj pochyliła się i szepnęła mu coś do ucha. Księżę uniósł brwi, uśmiechnął się i namiętnie ucałował jej dłoń, niemal z miłością patrząc w szafirowe oczy. – Jesteś niezrównana – powiedział i machnął ręką w naszą stronę. – Jeśli chcecie być posłuszni mojej woli, odejdźcie i bawcie się. Wasz księżę rozkazuje.

– Tak jest, panie – odparł Delaunay cierpko, ruchem ręki każąc nam iść przed sobą. Baudoin nie zwrócił uwagi na jego ton, ale dostrzegłam rozbawienie na twarzy Melisandy, gdy odprowadzała nas wzrokiem.

Wytrącona z równowagi tym spotkaniem, znalazłam sobie spokojny zakątek i przyjąłam kieliszek likieru od ślicznej wychowanki. Jednym łykiem wychyliłam zawartość i odstawiłam kieliszek na tacę. Nic nie jadłam, więc likier zapłonął słodko w moim gardle. Dziewczynka stała w dobrze mi znanej postawie wyrażającej głęboki szacunek. Miała może trzynaście lat, dochodziła do wieku, w którym składa się śluby. Jasnowłosa i delikatna, była prawdziwym kwiatem rozkwitającym nocą. Dotknęłam jej policzka i poczułam, że dziewczynka drży. Oto, co znaczy mieć władzę. Zawstydyłam się i odeszłam, czując na plecach jej pełne zdumienia spojrzenie.

Delaunay polecił nam patrzeć i słuchać, ale byłam zbyt

rozkojarzona. Krążyłam w tłumie, tu i tam przystając na krótką rozmowę, próbując rozpoznać wzory kryjące się pod zabawą. Likier płonął mi w żyłach, a od muzyki, świec i zapachu kwiatów kręciło mi się w głowie. Przyjaciele i popiecznicy księcia Baudoina niefrasobliwie rozprawiali, że należy przeprowadzić publiczne referendum, że król powinien mianować Baudoina swoim następcą, że parlament powinien interweniować. Rozmowy nie wnosiły nic nowego i nie wydawały się poważniejsze od tych sprzed roku.

Coraz bardziej zmęczona awansami pewnego kawalera, który nękał mnie prośbami o taniec, wymknęłam się z Wielkiej Sali. Ruszyłam do rzadko używanej alkowy na piętrze, która w dzieciństwie czasami służyła mi za schronienie.

Migotanie lampy i błagalny męski głos powstrzymały mnie od wejścia. Cofnąłam się w cienie.

– Pięć razy wysłałem wiadomość! Dlaczego mi odmawiasz, jak możesz być taki okrutny?

Poznałam, kto mówi tym przepojonym rozpaczą tonem. Vitalis Bouvarre.

Odpowiedział mu Alcuin, chłodno i z rezerwą.

– Panie, nie sądziłem, że cię tu zobaczę. Nie jesteś znany jako przyjaciel księcia Baudoina.

– Ani jako wróg! – Po pełnym niepokoju okrzyku nastąpiła chwila ciszy. – Lady Szachrizaj płaci mi za informacje dotyczące rodziny Stregazza, a oni płacą za pośredniczenie w rozmowach z rodziną Trevalion. Czy komuś dzieje się krzywda? Jestem kupcem, słodki chłopcze. – W jego głosie zabrzmiały kuszące tony. – Dlaczego ty nie chcesz handlować swoim towarem?

Usłyszałam szelest i brzęk; Alcuin odtrącił jego sakiewkę.

– Jestem sługą Naamy, nie galernikiem, panie. Siedem razy

wyraziłem zgodę, a ty siedem razy poskąpiłeś ofiary!

Kolejna pauza.

– Dam ci dar klienta. – Bouvarre’owi zadrżał głos. – Ile sobie życzysz! Tylko podaj cenę.

Alcuin odetchnął głęboko i powiedział z żarem:

– Chcę tyle, żeby wystarczyło na moją markę. I odpowiedź na pytanie Delaunaya. Taka jest moja cena, panie.

Wstrzymałam oddech. Po długiej chwili milczenia Bouvarre z przygnębieniem odparł:

– Prosisz o zbyt wiele.

– Taka jest moja cena – rzekł Alcuin kategorycznie. Byłam wstrząśnięta. Od początku wiedziałam, że nie lubi swojej profesji, lecz do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy z ogromu jego pogardy. I skoro zdołał ukryć to przede mną, o ile lepiej musiał się maskować przed Delaunayem? Gdyby Delaunay znał jego prawdziwe uczucia, nie pozwoliłby mu służyć Naamie. Przymuszanie do służby byłoby nie tylko sprzeczne z jego naturą, lecz również świętokradcze.

– Poza tym, jeśli zapłacę, więcej cię nie zobaczę. – Bouvarre’owi drżał głos.

– Jeśli zapłacisz... – zaczął Alcuin cicho – zobaczysz mnie jeszcze raz, messire. Jeśli nie, już nigdy.

Zapadła długa chwila ciszy.

– Za wiele – powtórzył Bouvarre. – Zastanowię się.

Alcuin nie odpowiedział. Usłyszałam szelest ubrania, gdy Bouvarre zbierał się do wyjścia. Cofnęłam się głębiej w ciemność, nie chcąc, żeby mnie zobaczył. Ryzyko było niewielkie; miał ogromnie roztargnioną minę, gdy mijał mnie szybkim krokiem. Kiedy Alcuin się nie pojawił, ukradkiem przysunęłam się do wejścia, żeby rzucić okiem w głąb niszy.

Alcuin klęczał przed niewielkim posązką Naamy. Światło lampy migotało na jego widmowo białych włosach, gdy patrzył na Błogosławioną.

– Wybacz mi, bogini – szeptał. – Jeśli pogwałciłem twoje przykazania, to tylko w służbie naszemu panu, Elui. Wszystko, co czynię, czynię z miłości.

To wystarczyło; nie chciałam, by wiedział, że go widziałam. Adepti Domu Cereusa i uczniowie Anafiela Delaunaya umieją poruszać się bezszelestnie, kiedy zachodzi potrzeba. Oddaliłam się w ciszy.

Kochankowie ściskali się w korytarzach i buduarach, goście tańczyli i pili w Wielkiej Sali, muzycy grali, uczniowie roznosili jedzenie i picie, a adepci dostarczali rozkoszy. Wśród powszechnej radości tylko ja czułam się samotna – i byłam sama. W dzieciństwie nie przypuszczałam, że można mieć takie aspiracje. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że jeszcze przed zrobieniem marki zostanę słynną kurtyzaną, uczestniczącą w bankiecie jako gość kochanki księcia... Ale moją przyjemność psuł bagaż nauk Delaunaya oraz świadomość, że Alcuin pogardza światem, który znałam tak dobrze.

Światem, w którym nie było dla mnie miejsca ani jako klientki, ani jako sługi Naamy.

Zatęskniłam za Hiacyntem i szczerze żałowałam, że go tu nie ma.

Żałowałam nawet, że zabrakło starej duejny.

Wiedziona melancholią, udałam się na poszukiwanie pociechy do jednego z mniejszych ogrodów. Zamierzałam posiedzieć samotnie ze swoimi niecodziennymi emocjami i ochłonąć, patrząc na grę światła księżyca w wodzie fontanny. Nawet to mi się nie udało, bo w ogrodzie płonęły pochodnie i wiele innych

osób już trafiło do tego ustronia. W mrocznym zakątku grupa ludzi kłębiła się w rytmie chichotów i jęków. Bez większego powodzenia spróbowałam ocenić ich liczbę, rachując kończyny; było ich co najmniej troje, a najpewniej czworo. Pod ozdobną jabłonią leżała spleciona para. Ponieważ nie miałam dokąd pójść, usiadłam przy fontannie. Zanurzyłam palce w falującej wodzie i zastanowiłam się, czy żyje jeszcze sędziwa złota rybka duejny.

Poczułam dłoń na karku.

– Fedra.

Rozpoznałam głos; drzenie zimnego ognia przebiegło mi po kręgosłupie. Uniosłam głowę i zobaczyłam uśmiechniętą Melisandę Szachrizaj.

– Dlaczego jesteś sama? – zapytała. – Czyżbyś wzgardziła moją gościnnością?

Wstałam szybko, otrzepując spódnicę.

– Nie, pani.

– Dobrze. – Stała tak blisko, że czułam jej ciepło. Było za ciemno, żeby zobaczyć błękit jej oczu, ale widziałam opuszczone łuki rzęs. – Czy wiesz, co mówią w Kuszecie o grzesznikach oddanych pod kuratelę Kusziela? – zapytała, przeciągając czubkiem palca po mojej dolnej wardze. Pokręciłam głową, oszołomiona jej bliskością. – Kiedy ofiarowano im możliwość odkupienia grzechów, odmówili z miłości do swojego pana. – Tą samą ręką rozplotła moje włosy, aż spadły w kaskadzie na plecy. – Wydaje mi się, że znalazłam idealny prezent dla księcia Baudoina – powiedziała jakby od niechcienia, wplatając rękę w moje loki. – Ciebie. – Szarpnęła mocno, przyciągnęła moją głowę i pocałowała mnie w usta.

Sapnęłam, kiedy mnie puściła, i usiadłam ciężko na cembrowinie fontanny, niezdolna ustać na nogach. Całe moje

ciało pulsowało, oszołomione nagłością kontaktu. Ugryzła mnie w wargę; dotknęłam językiem skaleczenia, zastanawiając się, czy pociekła krew. Melisanda roześmiała się perliście.

– Niestety... – podjęła lekkim tonem – dziś jest zajęty, a ja obiecałam, że do niego dołączę. Ale jutro porozmawiam z Delaunayem, żeby umówić cię z księciem. Ostatecznie jestem mu winna pożegnalny prezent. – Odwróciła się i skinęła ręką. Piękny młody mężczyzna w typie Domu Cereusa posłusznie wyłonił się z cieni. – Jean-Louis – powiedziała Melisanda, kładąc rękę na jego piersi – Fedra jest moim gościem. Dopilnuj, żeby była zadowolona.

Skłonił się z gracją.

– Tak, pani.

Poklepała go po ramieniu i odwróciła się, wychodząc z ogrodu.

– Bądź delikatny – rzuciła z rozbawieniem przez ramię.

Ku mojemu rozczarowaniu, był.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Nie wiem, czy Alcuin lub Delaunay również w ten sposób skorzystali z gościnności Melisandy, ale raczej wątpię. Delaunay spojrział na mnie koso, kiedy wracaliśmy powozem do domu, ale nie skomentował mojego trochę nieporządnego wyglądu.

Melisanda Szachrizaj dotrzymała słowa i nazajutrz przysłała posłańca, zapraszając Delaunaya na kolację. Przez cały dzień wynajdywałam sobie różne zajęcia, a wieczorem wróciłam do zbyt często zaniedbywanej nauki. Zaczęłam tłumaczyć zbiorek skaldyjskich pieśni wojennych, zebranych przez młodszego syna tyberyjskiego męża stanu, który w młodości odbył wiele podróży. Przyjaciel Delaunaya, kompozytor z Caerdicci, twierdził, że każdą kulturę można zrozumieć poprzez jej pieśni.

Jeszcze nie spałam, kiedy wrócił Delaunay. Siedziałam w bibliotece, obłożona pergaminami i poplamiona atramentem. Obrzucił mnie spojrzeniem, które mówiło, że przejrzał mój wybieg. Z westchnieniem usiadł w ulubionym fotelu.

– Wpadłaś Baudoinowi w oko, prawda? Melisanda ma zamiar kupić mu noc z tobą.

Wzruszyłam ramionami. Zakorkowałam kałamarz i wytarłam pióro w ściereczkę.

– Panie, czy to nie będzie korzystne? Wiesz, że jestem ostrożna.

– A więc się zgadzasz. – Wyciągnął rękę po moje tłumaczenie. – Pokaż, co zrobiłaś.

Podaliśmy mu arkusz i patrzyłam, jak czyta.

– Czy mogłabym odmówić? Jest księciem krwi. Poza tym, panie, Gaspar Trevalion wciąż odnosi się do ciebie z rezerwą, a Solaine Belfours poróżniła się z księżną Lyonettą. Nie mamy dostępu do wypadków w Azalii.

Delaunay popatrzył na mnie przenikliwie.

– Baudoin de Trevalion jest szczenięciem Lwicy, bardzo niebezpiecznym, a Melisanda Szachrizaj, która stoi w jego cieniu, czyni go po trzykroć groźniejszym. Jeśli chcesz pójść, Fedro, to proszę cię, trzymaj język za zębami. Wystarczy jedno jej słowo, a księżę będzie miał twoją głowę. – Oddał mi tłumaczenie. – Dobra robota. Sporządź dla mnie ładną kopię, pošlę ją maestro Escabaresowi. Z pewnością się ucieszy.

Jego pochwała sprawiła mi przyjemność, ale natychmiast wróciłam do tematu.

– Panie, Melisanda Szachrizaj jest twoją przyjaciółką. Czyżbyś jej nie ufał, skoro sądzisz, że mogłaby mnie zdradzić?

Pomyśleć, że zadałam takie pytanie!

Pochylił się, wspierając łokieć na kolanie i brodę na dłoni. Światło lampy migotało na nitkach srebra w jego kasztanowych włosach.

– Melisanda prowadzi jakąś wyrefinowaną grę, a ja nie znam jej charakteru. Jeśli kiedykolwiek staniemy po przeciwnych stronach barykady, nasza przyjaźń straci znaczenie. Melisanda dobrze wie, jak daleko mógłbym się posunąć... – Zreflektował się i umilkł, kręcąc głową. – Nieważne. Potraktuj moje słowa z całkowitą powagą, Fedro, kiedy zalecam dyskrecję.

– Czy była twoją kochanką? – Czasami, kiedy ktoś okopuje się w jednym miejscu, w innym ustępuje pola. Delaunay nauczył mnie tej sztuczki i teraz wypróbowałam ją na nim.

– Dawno temu. – Uśmiechnął się do mnie. Była to zatem

sprawa przebrzmiała, skoro wspominał o niej takim lekkim tonem. – Pasowaliśmy do siebie pod wieloma względami, lecz akurat nie pod tym jednym. A może byliśmy zbyt dobrze dobrani? Jeśli żadna ze stron nie ustępuje w miłości, taka miłość nie znajduje błogosławieństwa w oczach Naamy. – Delaunay wzruszył ramionami, podnosząc się z fotela. – Mimo wszystko nie sądzę, by któreś z nas miało powody żałować tego, co było – dodał. – Dobrze, jeśli to ci odpowiada, spiszę kontrakt.

– Tak, panie.

Byłam podekscytowana tym spotkaniem, czego wcale nie kryłam. Miało odbyć się za kilka tygodni i czas mijał nieznośnie powoli. Spędzałam dni na mozolnym kopiowaniu tomiku przetłumaczonych pieśni skaldyjskich dla Gonzago de Escabaresa. Pokazałam Alcuinowi wynik moich starań, ale ponieważ były to pieśni wojenne, nie okazał zainteresowania. Nie miałam mu tego za złe.

Vitalis Bouvarre nie dawał znaku życia, a ja nie przyznałam się Alcuinowi, że podsłuchałam ich rozmowę. Nie powiedziałam o tym również Delaunayowi, lecz na wycieczce do sanktuarium Naamy zwierzyłam się Cecylii Laveau-Perrin. Musiałam to zrobić, bo sprawa ciążyła mi na sercu, a wiedziałam, że ona zrozumie. Pochodziła z Dworu Nocy.

– Dobrze zrobiłaś, nie wtrącając się – pochwaliła. – Alcuin zobowiązał się do służby i to sprawa między nim a Naamą. Jeśli serce ma czyste, uzyska wybaczenie. Naama jest miłosierna.

– Alcuin zawsze miał czyste serce – powiedziałam z przekonaniem.

– Zatem wszystko będzie dobrze. – Cecylia uśmiechnęła się łagodnie i od razu poczułam się lepiej. Kto jak kto, ale ja chyba powinnam wiedzieć, że nie ma osoby miłszej i mądrzejszej od

Cecylii. Uwierzyłam jej słowom i do dziś jestem przekonana, że miała rację.

Chociaż wydawało mi się, że to nigdy nie nastąpi, w końcu nadszedł dzień spotkania, a wraz z nim posłaniec od Melisandy. Dostarczył suknię ze złotogłowi i oraz czepek ze złotej siatki z perełkami. W tym czasie miałam już dość obfitą garderobę, bo Delaunay nie szczędził grosza na moje stroje, nie posiadałam jednak takiej kosztownej toalety. Ubrałam się z niezwykłą starannością i podziwiałam się w lustrze. Alcuin siedział na brzegu mojego łóżka, spoglądając na mnie poważnymi, ciemnymi oczami.

– Bądź ostrożna, Fedro – powiedział cicho.

– Zawsze jestem – odparłam, patrząc w jego oczy odbite w lustrze.

Uśmiechnął się.

– Nie uważałaś z d'Essomsem i nie będziesz uważać z Melisandą. Mogłabyś się w niej zatracić, widziałem to w twoich oczach. A ona dobrze wie, kim jesteśmy.

Upchnęłam zabłąkany kosmyk pod siateczkę.

– Tej nocy jestem prezentem dla księcia Baudoina. Wiesz o tym.

Alcuin pokręcił głową.

– Ona tam będzie, tak słyszałem. Przy niej rozpakuje prezent. Melisanda Szachrizaj stanowi podniętę dla żądzy Baudoina.

Moje serce zaczęło bić szybciej, gdy to usłyszałam, ale postarałam się nie zdradzić ze swoimi uczuciami.

– Będę ostrożna – obiecałam. Niedługo później przybył powóz i więcej o tym nie rozmawialiśmy. Alcuin zszedł ze mną na dół, gdzie poddałam się inspekcji Delaunaya.

– Bardzo ładnie – mruknął. Zarzucił mi na ramiona płaszcz

sangoire i zapiął broszę. – Członek domu Delaunaya z księciem krwi. Kto by pomyślał?– Uśmiechnął się, ale jego ton wyrażał rezerwę, której nie rozumiałam. – Jestem z ciebie dumny. – Pocałował mnie w czoło. – Powodzenia.

Pokrzepiona jego dobrym słowem, wsiadłam do powozu Melisandy, a Guy wsunął się za mną jak cień.

Nie wiem, ile posiadłości miała Melisanda Szachrizaj, ale jedną z nich był dom w Mieście. Wbrew moim przypuszczeniom stał nie w pobliżu pałacu, lecz w spokojnej dzielnicy niedaleko przedmieść, bogata perełka otoczona drzewami. Później dowiedziałam się, że Melisanda miała również prywatne komnaty w samym pałacu. Z tego domu korzystała wówczas, gdy pragnęła zachować dyskrecję, dla własnego dobra i przez wzgląd na księcia Baudoina.

Nie byłam pewna, jakiego przyjęcia się spodziewać, ale kiedy jej służący wprowadzili nas do domu, Melisanda powitała mnie jak gościa.

– Fedro, cieszę się, że wyraziłaś zgodę – powiedziała, całując mnie na powitanie. – Znasz mojego pana, księcia Baudoina de Trevalion?

Złożyłam głęboki ukłon.

– Czuję się zaszczycona, książę.

Podszedł i ujął mnie za ręce. Przypomniałam sobie, jak wziął mnie w ramiona na Zimowym Balu Maskowym.

– Taki prezent jest dla mnie zaszczytem – powiedział i uśmiechnął się do Melisandy. – Prawdziwa *anguisette*, dotknięta ręką Towarzysza Elui.

Melisanda odwzajemniła uśmiech, kładąc mi rękę na ramieniu. Zadrzałam, stojąc pomiędzy nimi.

– Chodź, zagrzasz dla nas przy kolacji – powiedziała. – Nie masz

nic przeciw temu?

Zmusiłam się, żeby skinąć głową.

– Zrobię to z przyjemnością.

Odwróciła się do służącego.

– Zaopiekuj się człowiekiem messire Delaunaya i dopilnuj, żeby miał wygodną kwaterę. My zasiądziemy do stołu.

Minęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni grałam dla przyjemności klienta, choć również do tego zostałam wyszkolona. Dość dobrze rozumiałam, na czym ma polegać moja rola, gdy zobaczyłam podnózek i niewielką harfę. Usiadłam i wzięłam instrument. Grałam cicho, gdy spożywali wieczerzę. To było dziwne; powitano mnie jak gościa, a zaraz potem sprowadzono do poziomu sługi, na którą nie trzeba zwracać uwagi. Lokaje w czarno-złotej liberii Szachrizaj chodzili płynnym, bezszelestnym krokiem, podając aromatyczne potrawy. Melisanda i Baudoin gawędzili cicho o różnych błahostkach. Naprawdę czułam się dziwnie.

Po kolacji, gdy uprzątnięto zastawę, Melisanda poleciła napełnić winem trzeci kieliszek i odprawiła służbę.

– Fedro, dołącz do nas – powiedziała, stawiając kieliszek na stole przy łokciu Baudoina. – Wypij.

Posłusznie odłożyłam harfę i stanęłam obok księcia. Skosztowałam wina. Było bardzo dobre, subtelne i zarazem korzenne, z bukietem bogatej ziemi i nutką porzeczek.

– Wychowałaś się w Domu Cereusa – zagadnął Baudoin z błyskiem w szarych oczach. Objął mnie w talii i bez wysiłku posadził sobie na kolanach. Zrobił to z taką gracją, że nie uroniłam kropelki wina z kieliszka. Był świetnie wyćwiczonym wojownikiem, twardym jak stal. – Czy podobnie jak adepci tego Domu będziesz stroić minki, oburzona takim traktowaniem?

– Nie, książę. – Jego ręce naciskały na moje biodra. Przez warstwy złotogłowi i jego aksamitne spodnie czułam fallus prężący się pod moimi pośladkami. Oddech uwiązał mi w gardle.

– Fedra jest *anguisette*, książę. – Twarz Melisandy jaśniała w blasku świec, czysta, piękna i bezduszna. – Jeśli się wierci, to nie z zakłopotania.

– Trudno uwierzyć. – Przesunął dłoń po moim ciele, by nakryć i ścisnąć pierś. – Ale mówisz prawdę – powiedział do Melisandy, szczypiąc mój sutek. Sapnęłam z bólu, napierając plecami na jego tors. – I sprawiłaś jej strój godny oczu księcia. – Uniósł rękę, wbił palce w złotą siatkę i pociągnął moją głowę do tyłu. Poczułam łapczywe usta na odsłoniętej szyi. – Czy mam wziąć ją na deser? – zapytał, ze śmiechem unosząc głowę.

Chłodna, piękna Melisanda wzruszyła ramionami, popijając wino i nie spuszczać z nas oka.

– Masz całą noc, mój książę. To nie będzie deser, lecz pierwsze danie. Weź ją na stole, jeśli sobie życzysz.

– Tak uczynię – odparł, uśmiechając się do niej. – Muszę sprawdzić, czy to pożądanie naprawdę nie jest udawane.

To rzekłszy, wstał i rozłożył mnie na stole, zadzierając mi spódnice. Bez wysiłku jedną ręką przytrzymał mnie za kark, a drugą rozpinał spodnie. Leżałam, z policzkiem mocno przyciśniętym do białego obrusa; widziałam tylko mój przewrócony kieliszek i jasnoczerwoną plamę wina, gdy we mnie wszedł.

Baudoin de Trevalion nie był już młodzieńcem i miał za sobą lata terminowania u Melisandy Szachrizaj. Jeśli miałam nadzieję, że szybko osiągnie spełnienie i przyspieszy koniec mojego poniżenia, to się łudziłam. Zamknęłam oczy i szlochałam, gdy zadawał mi długie, powolne pchnięcia.

– Prawda, pani – powiedział ze śmiechem i zdumieniem w głosie. – Jest gorętsza od wnętrza kuźni Kamaela i bardziej mokra niż łyż Ejszet.

Zazgrzytało krzesło. Melisanda wstała od stołu; jej suknia zaszeleściła za plecami Baudoina. Słyszałam, jak przesuwa dłonie po jego piersiach.

– Mocno, ukochany – wyszeptała mu do ucha. – Chcę zobaczyć, jak doprowadzasz ją do szczytu.

Łzy mi spłynęły spod zaciśniętych powiek, gdy ze śmiechem posłuchał jej prośby, doprowadzając mnie na skraj rozkoszy dzikimi, twardymi sztychami.

– Mmm – wymruczała niskim głosem Melisanda. – Dobrze, kochanie. – Dotknęła mojego policzka, drapiąc skórę paznokciami, i poleciała chłodno: – Teraz, Fedro.

Posłuchałam bez udziału własnej woli, krzycząc i drżąc z rozkoszy. Baudoin znów się roześmiał i pchnął jeszcze dwa razy, osiągając spełnienie.

– Ach – westchnął, wychodząc ze mnie. – Powinniśmy mieć taką na własność, pani. Kupimy jedną na targu, dobrze?

Uwolniona od jego ręki, wyprostowałam się powoli. Odwróciłam się i napotkałam rozbawiony wzrok Melisandy.

– Nie ma drugiej takiej jak Fedra, mój książę – zapewniła. – A ona służy tylko Naamie i Anafielowi Delaunayowi. Ale chodź, posmakowałaś jedynie cząstki tego, co ma do zaoferowania adeptka pocałowana przez Strzałę Kusziela. Masz całą noc do dyspozycji, jeśli pragniesz poznać pełnię jej możliwości. A może chcesz dać *signale*? – zapytała kpiąco, zwracając się do mnie.

– Wiesz, pani, że nie – odparłam cicho. Nie obchodziło mnie, jakim wyrefinowanym kochankiem jest Baudoin de Trevalion. Obiecałam sobie, że on nigdy nie usłyszy *signale* z moich ust. Ani

Melisanda Szachrizaj, przynajmniej nie wtedy, gdy dawałam rozkosz księciu. Skoro ona mogła czekać, ja też nie musiałam się spieszyć.

Melisanda roześmiała się.

– W takim razie idziemy – powiedziała, otwierając drzwi.

Za jadalnią mieściła się komnata rozkoszy, skąpana w blasku ognia, zasłana poduszkami, z kompletnym flagelarium i drewnianym kołem z okowami, wierną repliką tego, które widziałam w Domu Waleriany. Baudoin popatrzył z uśmiechem na Melisandę.

Pomyślałam o imieniu mojego cygańskiego przyjaciela i ugryzłam się w język.

Jeśli to prawda, że żadna dusza nie jest wolna od ognia Kusziela, prawdą jest również to, że w większości przypadków ogień ten ledwo się tli. Baudoin de Trevalion nie płonął; to Melisanda roznieciła w nim isierkę i bałam się jej, nie jego. Nie protestowałam, gdy delikatnie rozbierali mnie ze złotogłowiu. Czułam chłodne ręce Melisandy, gdy podprowadziła mnie do koła, by zapiąć mi kłamy na rękach i nogach. Baudoin obejrzał flagelarium i wybrał palcat ze skórzaną łatką na końcu.

– Jak to się robi? – zapytał Melisandę, unosząc brwi. – Czy mam się na nią rzucić ze skaldyjskim okrzykiem wojennym na ustach? – Podniósł palcat oburącz, jak topór. – Waldemar Selig! – ryknął i wybuchnął śmiechem.

Wisząc na kole, drgnęłam ze zdziwienia. Melisanda popatrzyła na niego pobłaźliwie.

– W tym nie ma “jak”, mój książę. Wszystko zależy od ciebie. – Sprawdziła, czy jestem dobrze przypięta, i zakręciła kołem.

Było pięknie wykonane i doskonale utrzymane, obracało się płynnie i bezszelestnie. Melisanda i Baudoin wraz z całą

komnatą wirowali mi przed oczami. Nie sądziłam, że to może być takie dezorientujące. Z każdym obrotem krew na przemian uderzała mi do głowy i spływała do nóg. Koło obróciło się jeszcze raz i zobaczyłam, że Melisanda wybiera bicz ze swojego flagelarium.

– Na przykład tak, kochanie – powiedziała do Baudoina.

Świat zatańczył, gdy ostro szarpnęła nadgarstkiem, a potem zniknął na krótko w mgiele czerwieni, gdy obciążone końcówki rzemieni ukąsiły moją skórę. Przeciągły ton, jakby ktoś szarpnął struny harfy, zadźwięczał mi w głowie i ujrzałam w dali rozmyte oblicze Kusziela, surowe i mosiężne. Wizja spłowieła, zostawiając tylko oszołomienie i szum krwi w uszach. Melisanda odłożyła bicz i ruchem głowy zachęciła Baudoina.

– Jak sobie życzysz – powiedziała cicho.

Książę podszedł i moje ciało odczuło kłaśnięcie palcata. Płaska kałuża bólu rozlała się w miejscu, gdzie wylądowała łatka, a od niej odchodził cienki, prosty strumyk. Miałam wrażenie, że każde uderzenie rozcina mi skórę. Koło obracało się i nie wiedziałam już, jaką zajmuję pozycję ani gdzie spadnie następny cios, ale czerwona mgła nie powróciła. Wreszcie Baudoinowi zmęczyła się ręka. Odwrócił się do Melisandy i niemal z nabożeństwem pociągnął ją na poduszki. Wisiałam, przechylona głową w dół. Baudoin na klęczkach, powoli zdejmował jej suknię, całując odsłaniane ciało. Melisanda spostrzegła, że na nich patrzę, i uśmiechnęła się, a potem już nic nie widziałam. Zbyt wielkie ciśnienie krwi pozbawiło mnie przytomności.

Nie wiem jak długo wisiałam ani kto mnie zdjął; zbudziłam się rankiem w obcym łóżku, a kiedy wstałam, służący traktowali mnie jak gościa.

Świeża, opanowana Melisanda zeszła do jadalni, gdy jadłam

śniadanie.

– Powóz gotowy, człowiek Delaunaya czeka. – Położyła sakiewkę na stole. – Suknia jest twoja, oczywiście, a to na cześć Naamy. – Zatrzymała na mnie niebieskie, rozbawione spojrzenie. – Fedro, rzeczywiście jesteś darem godnym księcia.

– Dziękuję, pani – powiedziałam automatycznie, podnosząc sakiewkę. Była ciężka, a pobrzękiwanie zdradzało, że zawiera złoto. – Odpowiednim na pożegnanie, pani? Kto mówi “żegnaj”?

Pięknie sklezione brwi uniosły się odrobinę i Melisanda skłoniła głowę.

– Prawdziwa uczennica Delaunaya – powiedziała, po czym zaniósła się perlistym śmiechem. – Odpowiem, jeśli ty mi powiesz, co wiesz o Waldemarze Seligu.

Milczałam. Melisanda ze śmiechem pocałowała mnie w policzek.

– Przekaż pozdrowienia Delaunayowi – powiedziała, z upodobaniem gładząc mnie po włosach. – Spotkamy się jeszcze, moja *anguisette*. Być może już bez księcia.

To rzekłszy, odeszła.

DWADZIEŚCIA DWA

Możecie być pewni, że powtórzyłam tę rozmowę Delaunayowi. Nigdy nie opowiadałam mu o wszystkim, co działo się w czasie spotkań; wiedziałam, że pewne rzeczy należy przemilczeć. Delaunay widział ślady na moim ciele i to mu wystarczało. Nie mówiłam o ich pochodzeniu, nigdy jednak nie zaniedbałam ujawnienia najmniejszego strzępka informacji ani przytoczenia najbliższej pogawędki, jeśli wiedziałam, że to może go zainteresować.

W tym przypadku postąpiłam słusznie. Delaunay chodził ze zmarszczonym czołem, myśląc o tym, co mu powiedziałam.

– Baudoin sądzi, że to skaldyjski okrzyk wojenny? – zapytał. Pokiwałam głową. – Nie okazał, że słowa “Waldemar Selig” oznaczają coś więcej?

– Nie. – Z przekonaniem pokręciłam głową. – Wypowiedział je żartem, bez śladu zrozumienia. Ale słowa te miały znaczenie dla Melisandy.

– Czy Baudoin wie, że byłaś... jak ona to nazwała? Prezentem pożegnalnym?

Ponownie pokręciłam głową.

– Nie, panie. Jego zachowanie tego nie zdradzało, a Melisanda mówiła o tym tylko wtedy, kiedy byliśmy same. – Popatrzyłam na niego i wspomniałam, jak ją przyprowadził, żeby pochwalić się swoją skrywaną przed światem *anguisette*. – Każdy artysta pragnie widowni, panie, a ona wybrała ciebie. Cokolwiek nastąpi, Melisanda chce, żebyś wiedział, że to ona jest

inspiratorką.

Delaunay obrzucił mnie jednym ze swych głębokich, zadumanych spojrzeń.

– Być może masz rację. Ale pytanie: “Co się wydarzy?” pozostaje bez odpowiedzi.

Niespełna tydzień później poznaliśmy odpowiedź.

Więści przyniósł Gaspar Trevalion, oszołomiony do tego stopnia, że zapomniał o sprzeczce, która poróżniła go z Delaunayem.

Końskie kopyta zagrzmiały na brukowanym dziedzińcu i donośny głos odbił się echem od murów. Znałam hrabiego de Fourcay od pierwszych dni pobytu w domu Delaunaya; nawet podczas kłótni nie podnosił głosu.

– Delaunay!

Gdyby ktoś sądził, że domownicy Anafiela Delaunaya nie są zdolni do szybkiej reakcji, to tego dnia musiałyby zweryfikować swoją opinię. Delaunay rzucił się do drzwi, po drodze zabierając z gabinetu swój rzadko używany miecz. Guy pojawił się w mgnieniu oka z bliźniaczymi sztyletami w rękach, popychając przed sobą dwóch służących. Alcuin i ja pędziliśmy ledwie parę kroków za nimi.

Na dziedzińcu tłoczyło się dziesięciu zbrojnych, a wśród nich Gaspar Trevalion na karym wierzchowcu, spienionym i zadyszanym, nerwowo przestępującym z nogi na nogę. Przez chwilę był jakby nieświadomy naszej obecności i obnażonego miecza w dłoni Delaunaya. Wreszcie ściągnął wodze i popatrzył strasznym wzrokiem na mojego pana.

– Izydor d’Aiglemort oskarżył rodzinę Trevalion o zdradę stanu – oznajmił ponuro.

Delaunay wbił w niego zdumiony wzrok i opuścił miecz.

– Żartujesz.

– Nie. – Gaspar pokręcił głową, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Ma dowód: listy Foclaidhy z Alby adresowane do Lyonetty.

– Co? – Delaunay wpatrywał się w niego zdenerwowany. – Jak...?

– Ptaki pocztowe. – Kary rumak zatańczył i Gaspar znów musiał go poskromić. – Korespondowały od czasu wizyty cruarchy. Delaunay, przyjacielu, co mam zrobić? Jestem niewinny, ale muszę myśleć o domu i rodzinie w Fourcay. Król pchnął najszybszych jeźdźców do hrabiego de Somerville, przykazując mu zebrać wojska królewskie.

Niemal widziałam myśli kłębiące się za oczami Delaunaya.

– Przysięgasz, że nic o tym nie wiedziałeś?

Gaspar wyprężył się w siodle.

– Przyjacielu, znasz mnie – rzekł cicho. – Podobnie jak ty, jestem wierny rodowi Courcel.

– Będzie proces. Musi być proces. – Delaunay wsparł się na mieczu. – Wyślij swoich trzech najlepszych ludzi do Fourcay – powiedział stanowczo. – Niech obejmą straż i nie wpuszczają nikogo, kto nie okaże rozkazów podpisanych ręką króla. Skreśl list do Percy’ego de Somerville. Otrzyma go, zanim przekroczy granicę Azalii. On cię zna, nie zajmie Fourcay bez rozkazów króla. To Lyonetta kryje się za zdradą, nie rodzina Trevalion. Król nie będzie prześladować całego twojego rodu.

Gaspar trochę się odprężył, ale na jego twarzy wciąż malowało się przerażenie.

– Baudoin jest w to zamieszany.

Gwałtownie zaczerpnęłam tchu, a Alcuin zacisnął rękę na moim łokciu. Spojrzałam na niego. Pokręcił głową, nakazując milczenie. Delaunay, pogrążony w zadumie, chyba nie zwrócił

uwagi na moją reakcję.

– Wejdz, powiesz mi, co ci wiadomo – poprosił Gaspara. – Pchnij swoich ludzi do Fourcay. Wspólnie obmyślimy list do de Somerville’a, a ty napiszesz do króla prośbę o posłuchanie. Ganelon de la Courcel nie jest głupi. Przyjmie cię.

Po chwili Gaspar skinął głową i wydał rozkazy swoim ludziom, rzucając im kiesę na drogę. Słyszeliśmy cichnący tętent kopyt na ulicach Miasta. Z dali dobiegały krzyki, gdy wieści o zdradzie zataczały coraz szersze kręgi.

– Wejdz – powtórzył Delaunay, wyciągając rękę.

Gaspar Trevalion chwycił ją bez słowa i zsiadł z wierzchowca.

W domu Delaunay polecił podać jedzenie i wino. Pomyślałam, że odjęło mu rozum, by robić to w takiej chwili, ale po zjedzeniu kawałka chleba z serem i wypiciu długiego łyka wina Gaspar westchnął i trochę się uspokoił. Od tej pory przyklaskuję twierdzeniu, że jedzenie podnosi na duchu nawet w chwili największego strapienia. Alcuin i ja krążyliśmy w tle, starając się sprawiać wrażenie albo użytecznych, albo niewidzialnych. Delaunay jednak ani myślał nas odprawić.

– Co się stało? – zapytał cicho.

W ciągu następnej godziny Gaspar opowiedział nam wszystko, co wiedział. Usłyszał tę historię od przyjaciela, dworzanina, co gwarantowało jej wiarygodność. Przyjechał prosto do Delaunaya, nie wiedząc, do kogo innego mógłby się zwrócić po radę. Wierzył, że dworzanin powiedział mu prawdę, mając na względzie wyłącznie dobro Gaspara.

Z jego opowieści wynikało, że Izydor d’Aiglemort dowiedział się o zdradzie od jednego z Poszukiwaczy Chwały, którzy pili bez umiaru po bezowocnej wyprawie na granice Kamlachu. D’Aiglemort przeprowadził śledztwo i po uzyskaniu dowodów

popędził co koń wyskoczy do króla, jadąc we dzień i w noc. Z typową kamaeliańską obcesowością nawet nie poprosił o prywatne posłuchanie, tylko poszedł na publiczną audiencję i rzucił oskarżenie: Lyonetta de Trevalion spiskowała z Foclaidhą z Alby i jej synem, nowym cruarchą. Po uzyskaniu wsparcia armii piktyjskiej zamierzała przejąć władzę w Terre d'Ange i osadzić na tronie Baudoina. W zamian obiecywała wysłać siły Azalii do dyspozycji Foclaidhy i jej syna, żeby oboje mogli wystąpić przeciwko prawowitemu następcy tronu i jego sprzymierzeńcom wśród Dalriadów. W tym celu flota azalijska miała wyruszyć przeciwko Panu Cieśniny. Istniały wprawdzie nikłe szanse na zwycięstwo, ale akt ten zaprzętnąłby jego uwagę na czas wystarczający do przerzucenia armii piktyjskiej przez cieśninę w najważniejszym miejscu. Po zagarnięciu tronu spiskowcy mieliby do dyspozycji całą flotę królewską, żeby zapewnić sobie powrót.

– Sprytny plan – podsumował Gaspar. Wytarł czoło aksamitnym rękawem i podsunął kieliszek do napełnienia. – Niebezpiecznie sprytny. Gdyby d'Aiglemort nie okazał się lojalny... Przecież Baudoin był jego przyjacielem. Mógł poprzeć go z myślą o przyszłych zyskach.

Wspomniałam uśmiech Melisandy Szachrizaj i błysk ciemnych oczu d'Aiglemorta pod maską jaguarondi. Nie byłam taka pewna, czy diuk nie liczy na przyszłe zyski.

– A co z Markiem? – zapytał Delaunay.

Gaspar i Lyonetta nie darzyli się miłością, ale Mark de Trevalion był jego kuzynem i przyjacielem. Trevalion z pochmurną miną pokręcił głową.

– Przyjacielu, gdybym znał prawdę, to bym ją wyjawiał. Chciałbym powiedzieć, że Mark nigdy w życiu nie zrobiłby

czegoś takiego, a jednak... Nie zgadza się z królem w kwestii floty Kwintyliusza i w grę wchodzi jego urażona duma. Od dawna nie pochwała tego, że Ganelon nie wydaje wnuczki za mąż, przez co los królestwa pozostaje niepewny. Jeśli Lyonetta wyłożyła mu swój plan... nie wiem.

– Rozumiem – powiedział Delaunay i dociekał dalej: – Jak d’Aiglemort zdobył listy?

Gaspar odpowiedział bez namysłu; był przygotowany na takie pytanie... a my znaleźliśmy odpowiedź.

– Melisanda Szachrizaj.

Otworzyłam usta, żeby zabrać głos. Delaunay rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie. Nie chciał, żebym wyznała, co wiemy o jej udziale, mnie jednak zaciekało coś innego.

– Baudoin jadł jej z ręki. Dlaczego miałyby go zdradzać, kiedy mógł zdobyć koronę?

– Chciałbym powiedzieć, że z powodu lojalności rodu Szachrizaj – odparł Gaspar i zaśmiał się urywanie. Przeciągnął ręką po szpakowatych włosach, wciąż zmierzwionych po szaleńczej jeździe. – Ale to mało prawdopodobne. Melisanda doskonale wiedziała, że Lyonetta nie zgodzi się na jej ślub z Baudoinem. Lwica z Azalii chce mieć uległą synową, najlepiej taką, która wniesie w posagu potężne przymierze. Skoro Baudoin dotąd nie przeciwstawił się matce, z pewnością nie zrobiłby tego po objęciu tronu. Melisanda Szachrizaj jest potężna, nie może jednak równać się z Lwicą z Azalii.

Pierwsza część zdania brzmiała dość wiarygodnie, ale co do drugiej... Mogłabym uwierzyć, gdybym nie była jej pożegnalnym prezentem dla Baudoina de Trevalion. Melisanda Szachrizaj wiedziała o zdradzie na długie tygodnie przed tym, nim Izydor d’Aiglemort rzekomo zdobył “dowód”. Nie wątpiłam w

prawdziwość zdrady i jej dowodów, ale też nie miałam wątpliwości, że plany zdemaskowania były bardziej przebiegłe i misterne niż sam spisek. Nie mogliśmy nic zrobić; zrodzone przez ambicję słowa, powiedziane do służki Naamy, niczego nie dowodziły. Tylko my wiedzieliśmy, co rozumiała przez nie Melisanda – Delaunay, Alcuin i ja. Nie, będziemy musieli zachować milczenie, pomyślałam, a Melisanda Szachrizaj dostanie pochwałę.

A młody diuk d'Aiglemort, już będący bohaterem wojennym, niespodziewanie osiągnie jeszcze wyższą pozycję. Ktoś powiedział, że wszyscy potomkowie Kamaela myślą mieczami. Prawda ta nie odnosiła się do niego.

W następnych dniach sprawy potoczyły się zgodnie z przewidywaniami Delaunaya. Parlament zebrał się i zażądał procesu przed Sądem Najwyższym. Podczas gdy armia królewska pod komendą hrabiego de Somerville maszerowała przez Azalię w kierunku Trevalionu, król przychylił się do prośby Gaspara i obiecał, że nie zajmie włości Fourcay pod warunkiem, że do czasu zakończenia procesu Gaspar będzie przebywał pod strażą.

Nic nie podróżuje szybciej od plotki. Na dzień przed przybyciem posłańca od de Somerville'a dowiedzieliśmy się, że Trevalion poddał się po krótkim, zaciekłym oporze. Obroną dowodził Baudoin, ale to jego ojciec, Mark de Trevalion, nakazał kapitulację. Percy de Somerville przyjął jego miecz, zostawił garnizon w Trevalionie i wyruszył do Miasta z Lyonettą, Markiem, Baudoinem, jego siostrą Bernadettą oraz ich orszakiem.

Kiedy przybyli do pałacu, zaczął się proces.

Ponieważ Delaunay miał świadczyć na korzyść Gaspara Trevaliona – jego lojalność wciąż pozostawała pod znakiem

zapytania – oboje z Alcuinem mogliśmy być obecni, ubrani w ponure barwy naszego pana. W sali audiencyjnej nie przewidziano miejsc siedzących dla świty arystokratów, ale znaleźliśmy miejsca stojące pod ścianą. W drugim końcu sali widzieliśmy wielki stół, przy którym wśród dwudziestu siedmiu parów obojga płci zasiadał król z wnuczką Ysandrą. Pod ścianami stali gwardziści, a za królem tkwiło dwóch nieruchomych braci kasjelitów – wyglądali jak szare cienie w tle i tylko błyski stali w rękach zdradzały ich obecność.

Nie brakowało takich, którzy delektowali się widowiskiem i upadkiem wysoko postawionych. Nie zaliczałam się do nich, choć nie żałuję, że mogłam śledzić przebieg rozprawy. Lyonetta de la Courcel de Trevalion była pierwszą oskarżoną i pierwsza została przesłuchana. Widziałam ją tylko raz, z balkonu Cecylii, ale przez całe życie słyszałam opowieści o Lwicy z Azalii. Wkroczyła do sali audiencyjnej we wspaniałych błękitno-srebrnych brokatach, jakby ktokolwiek mógł zapomnieć, że jest siostrą króla, i... w kajdanach. Byłam zdziwiona, że Ganelon de la Courcel kazał zakuć siostrę w łańcuchy. Później dowiedziałam się, że ten dramatyczny akcent był jej pomysłem, nie miał jednak żadnego wpływu na przebieg procesu.

Nie można powiedzieć, że Lwicy z Azalii brakowało dumy. Nie wyparła się swojego udziału w spisku. Gdy przedstawiono dowód, uniosła podbródek, patrząc wyzywająco na brata. Dzielili ich znaczna różnica wieku – Ganelon był starszy od niej o dwadzieścia lat – i było widać, że nie darzą się takim uczuciem, jakie powinno łączyć rodzeństwo.

– Co masz na swoją obronę? – zapytał ją, gdy parowie zaznajomili się ze sprawą. Starał się mówić surowo, lecz nic nie mogło zamaskować drżenia jego głosu ani ręki, choć przyciskał ją

do boku.

Lyonetta roześmiała się, kręcąc siwiejącą głową.

– Ty śmiesz mnie pytać, bracie? Pozwól mi oskarżyć ciebie, a zobaczymy, co powiesz w swojej obronie! Osłabiłeś królestwo swoim brakiem zdecydowania, z uporem doszukując się ducha zmarłego syna w córce tej morderczynie, i nawet nie pomyślałeś o wzmocnieniu królestwa poprzez jej małżeństwo. – Oczy jej rozbłysły, ciemnoniebieskie jak oczy króla. – I ty śmiesz kwestionować moją lojalność? Przyznaję, zrobiłam to, co uznałam za słuszne, żeby zabezpieczyć tron w imię przyszłości D'Angelinów!

Rozległy się pomruki; w tłumie byli tacy, którzy popierali jej stanowisko, choć nie śmieli jawnie wyrazić aprobaty. Oblicze króla oraz twarze członków parlamentu pozostały surowe. Udało mi się dostrzec Delaunaya. Patrzył na Lyonettę de Trevalion i oczy mu płonęły, lecz nie umiałam powiedzieć, dlaczego.

– Zatem przyznajesz się do winy – rzekł cicho Ganelon de la Courcel. – Jaką rolę odegrał twój mąż i wasze dzieci?

– Nic nie wiedzieli – odparła Lyonetta z pogardą. – Nic! To było moje dzieło, tylko i wyłącznie moje.

– Zobaczymy. – Król popatrzył na parów. Na jego twarzy malowało się zmęczenie i smutek. – Jak brzmi wyrok?

Cichym odpowiedziom towarzyszył stary tyberyjski gest. Członkowie parlamentu kolejno podnosili ręce i obracali kciuki w dół.

– Śmierć – brzmiała odpowiedź.

Ysandra de la Courcel oddała głos ostatnia. Chłodna i blada, patrzyła na siostrę swojego dziadka, która na oczach arystokracji królestwa nazwała ją córką morderczynie. Z rozmyślną powolnością uniosła rękę i skierowała kciuk w dół.

– Śmierć.

– Niechaj tak będzie. – Głos króla szeleścił jak wiatr w jesiennych liściach. – Masz trzy dni na dokonanie wyboru, Lyonetto. – Skinął głową i straż pałacowa wyprowadziła ją z sali w towarzystwie kapłana Elui.

Nie stawiała oporu i wyszła z podniesioną głową. Przed sąd został wezwany jej małżonek, Mark de Trevalion.

Diuk de Trevalion przypominał swojego krewniaka Gaspara. Był starszy, nieco wyższy i szczuplejszy, ale miał te same kruczoczarne włosy z pasemkami siwizny. Jego twarz żłobiły głębokie bruzdy wieku i smutku. Zanim odczytano oskarżenie, spojrzął w oczy króla i podniósł ręce zakute w kajdany.

– Według pism Jezuitów Aza zgrzeszył pychą – powiedział cicho. – My jednak jesteśmy D’Angelinami i grzech aniołów przynosi chwałę naszemu ludowi. Grzechem Błogosławionego Elui było to, że bardzo umiłował ziemskie rzeczy. Ja zgrzeszyłem tak jak oni, bracie, z dumy i miłości.

Ganelon de la Courcel zapytał drżącym głosem:

– Mówisz zatem, bracie, że pomogłeś mojej siostrze i spiskowałeś przeciwko tronowi?

– Mówię, że kochałem ją zbyt mocno. – Mark de Trevalion ani razu nie spuścił wzroku. – Podobnie jak syna, w którego żyłach płynie twoja krew. Wiedziałem. Nie odwołałem rozkazów, jakie Lyonetta wydała admirałowi mojej floty i kapitanowi mojej straży. Wiedziałem.

Znów przeprowadzono głosowanie, znów kciuki obróciły się w dół i znów Ysandra de la Courcel oddała głos ostatnia. Patrzyłam na nią, gdy zwróciła się w stronę dziadka; jej twarz wyrażała tyle samo emocji, co profil na kamei.

– Niech się uda na wygnanie – oznajmiła głosem chłodnym jak

źródłana woda.

Wychowałam się w Domu Cereusa; umiem dostrzec stal w kruchym kwiecie. Po raz pierwszy dostrzegłam ją w Ysandrze de la Courcel. I nie po raz ostatni.

– Co powiecie? – król zwrócił się do parlamentu. Odpowiedziały mu tylko skinienia i rozłożone ręce. Król przemówił mocniejszym głosem: – Marku de Trevalion, za swoje zbrodnie przeciwko tronowi zostaniesz wypędzony z Terre d'Ange, a twoje ziemie ulegną konfiskacie. Masz trzy dni na przekroczenie granicy i wiedz, że jeśli samowolnie powrócisz, za twoją głowę zostanie wyznaczona nagroda w wysokości dziesięciu tysięcy dukatów. Czy przyjmujesz te warunki?

Były diuk de Trevalion patrzył nie na króla, lecz na jego córkę, delfinę.

– Żartujesz – wyjąkał drżącym głosem.

Nie odpowiedziała. Król zmarszczył brwi.

– Ja nie żartuję! – Jego głos odbił się od powały. – Czy przyjmujesz warunki?

– Tak, panie – mruknął Mark de Trevalion, zginając plecy w ukłonie. Otoczyła go straż pałacowa. – Panie... moja córka nic nie wiedziała! Jest niewinna!

– Zobaczmy – powtórzył król, a na jego twarzy odmalowało się zmęczenie. Machnął ręką, nie podnosząc wzroku. – Zabrać go.

Przy stole odbyła się cicha narada. Wiedziałam, że następny miał zostać wezwany Baudoin; Delaunay dowiedział się o tym od znajomego, który sporządzał listę. Ale parowie zmienili zdanie i wezwali księżniczkę Bernadettę de Trevalion.

Poznałabym, że jest siostrą Baudoina, bo łączyło ich silne podobieństwo, ale podczas gdy jego cechowała duża pewność siebie, ona wyglądała na zastraszoną. Niełatwo być dzieckiem

Lwicy z Azalii, pomyślałam, jeśli nie jest się ulubionym szczenięciem. Po paru minutach przesłuchania stało się jasne, że Bernadetta wiedziała tyle, co jej ojciec, i że zrobiła równie niewiele. Tym razem przyglądałam się uważnie i zobaczyłam, że sędziwy król popatrzył na wnuczkę, a ona nieznacznie skinęła głową. Wynik głosowania był taki sam: banicja. Ojciec i córka mieli przeżyć, choć na zawsze odcięci od ziemi, która nas karmiła, której piękno płynęło razem z krwią w naszych żyłach. Pomyślałam o poemacie Thelesis de Mornay i rozplakałam się. Alcuin objął mnie i uspokoił.

Wezwano Baudoina de Trevalion.

Podobnie jak matka, starał się wykorzystać łańcuchy i dzwonił nimi głośno, idąc przez salę. Wyglądał pięknie, jak ucieleśnienie niewinności; na jego widok w sali rozległ się szmer.

– Książę Baudoinie de Trevalion – rzekł król głośno – zostałeś oskarżony o zdradę stanu. Co masz na swoją obronę?

Baudoin poderwał głowę.

– Jestem niewinny!

Ganelon de la Courcel skinął na kogoś, ale nie mogłam dostrzec na kogo. Przed stołem sędziowskim stanął Izydor, diuk d'Aiglemort.

Jego twarz przypominała maskę, kiedy skinął głową Baudoinowi, ukłonił się przed królem i przystąpił do składania zeznań przed Sądem Najwyższym. Jego ciemne i nieprzeniknione oczy błyszczały. Usłyszeliśmy tę samą historię, którą opowiedział Gaspar: pijackie przechwałki żołnierza, potem śledztwo lojalnego diuka. Baudoin zarumienił się i spojrzał na niego z nienawiścią. Pamiętałam, że byli przyjaciółmi. Po wyjściu Izydora d'Aiglemort wezwano Melisandę Szachrizaj.

Ten dzień dobrze zapisał mi się w pamięci. Nie jestem pewna,

ile wiedzieli jej krewni – nigdy się tego nie dowiedziałam – ale stawili się tłumnie, wzbudzając sensację w sali audiencyjnej. Jak to często bywa w przypadku starożytnych rodów, nosili piętno wspólnego dziedzictwa. Wszyscy mieli granatowo czarne włosy i byli ubrani w długie płaszcze z czarno-złotego brokatu. Wszyscy mieli te same oczy, błyszczące jak szafiry w bladych twarzach. W żadnym płomieniu Kusziela nie płonął tak dziko jak u Melisandy, niemniej jednak płonął we wszystkich i byłam rada, że mogę wesprzeć się na ramieniu Alcuina.

Nie sądzę, by Melisanda Szachrizaj kiedykolwiek potrafiła wiarygodnie zaprezentować choćby pozory skromności, ale tego dnia była bliska ideału. Stojąc ze spuszczonego wzrokiem, odpowiadała na pytania parlamentu. Opowiedziała o ambitnym księciu zniewolonym przez żądną władzy matkę, o planowanych przymierzach i zdobyciu korony. Listy, oświadczyła, pokazał jej z próżności, aby poprzeć swoje twierdzenia.

Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, nie powiedziała nic, czemu mógłby zaprzeczyć. Nienawiść, z jaką Baudoin patrzył na diuka d'Aiglemort, była niczym w porównaniu z gniewem, bijącym od niego podczas zeznań Melisandy. Wreszcie litania oskarżeń dobiegła końca. W surowym skupieniu członkowie parlamentu oddali swoje głosy. Baudoin patrzył z niedowierzaniem, jak kciuki jeden po drugim obracają się w dół.

Śmierć.

Nadeszła kolej na Ysandrę. Patrzyła na Baudoina, nieporuszona jak góra lodowa.

– Powiedz, kuzynie, kazałbyś mi poślubić cudzoziemskiego wielmożę czy zabiłbyś mnie od ręki?

Baudoin nie odpowiedział i to wystarczyło. Jej ręka uniosła się, kciuk skierował się w dół. Baudoin nie mógł liczyć na łaskę.

Obciążało go zbyt wiele dowodów. Tylko król westchnął ze smutkiem.

– Niechaj tak będzie – powiedział i nikt nie wątpił, że uczynił to z żalem. – Baudoinie de Trevalion, zostałeś skazany na karę śmierci. Masz trzy dni na dokonanie wyboru.

Jeśli chodzi o wyjście z sali, Baudoin nie dorównał matce. Szedł niepewnym krokiem, potykając się, z wymalowanym na twarzy niedowierzaniem. Taki los spotkał syna bezwzględnej rodzicielki, której ambicje wyszły ponad prawo. Może wcale nie tak łatwo, pomyślałam, być ulubionym szczeniędem Lwicy.

Sprawa Gaspara Trevaliona potoczyła się gładko. Nie istniały żadne dowody współwiny i tylko więzy krwi łączyły go z oskarżonymi. Przyglądałam się Delaunayowi, gdy składał zeznanie. Oznajmił, że Gaspar nic nie wiedział o spisku, a gdy się dowiedział, przyjechał prosto do niego po radę i zgodnie z nią wyznał prawdę królowi. Byłam dumna, że należę do jego domu. W końcu Gaspar został oczyszczony z wszelkich zarzutów, a król publicznie potwierdził jego prawo do tytułu i majątku.

Delaunay odzyskał panowanie nad sobą; jego twarz niczego nie zdradzała. Zauważyłam, że przez cały czas Ysandra de la Courcel pilnie przysłuchiwała się jego przemowie, a w jej oczach dostrzegłam głód czegoś, czego nie potrafiłam nazwać.

DWADZIEŚCIA TRZY

Egzekucje odbyły się w zaciszu murów pałacu.

Poprzedzały je liczne spekulacje, bo Lwica z Azalii zagroziła, że w ostatniej minucie życia w każdy możliwy sposób będzie wyrażać współczucie dla swojego brata. Zastanawiano się, czy zażąda publicznej egzekucji, co z pewnością wzbudziłoby niechęć do króla, ale w końcu zwyciężyła jej duma. Postanowiła umrzeć z godnością, nie robiąc z siebie widowiska ku uciesze gawiedzi. Wybrała szybko działającą truciznę, jak słyszałam; wypila ją duszkiem i położyła się spać, by więcej się nie obudzić.

Również Baudoin wyszedł na spotkanie śmierci. Kiedy powiedziano mu o decyzji matki, poprosił o swój miecz. Król rozkazał przeciąć mu więzy i wyznaczył na sekundanta kapitana gwardii. Ale niezależnie od wad, Baudoin de Trevalion był księciem krwi i nikt nie mógłby nazwać go tchórzem. Upadł na miecz i dobrze wymierzył, bo sztych przebił serce. Kapitan gwardii nie musiał użyć swojej broni.

W Mieście po procesie i egzekucji zapanowała ponura atmosfera. Przywdziewanie żałoby byłoby równoznaczne z ogłaszaniem poparcia dla zdrady stanu, a jednak wszyscy nosiliśmy ją w sercach. Jak tylko sięgam pamięcią, Lwica zawsze władała w Azalii, a jej niesforny syn był ulubieńcem D'Angelinów: Księciem Słońce, nieustraszonym wojownikiem. Teraz oboje odeszli, a mąż i córka Lyonetty udali się na wygnanie. Nasz świat zmienił się już na zawsze.

Poruszony był nawet Hiacynt, z natury cynicznie podchodzący

do losów arystokracji. Postawił dużą sumę na to, w jaki sposób Lyonetta i Baudoin de Trevalion rozstaną się z tym światem, ale kiedy następnego dnia zgarnął wygraną, opadł go zabobonny strach.

– Jest na nim klątwa krwi – powiedział z drzeniem, podnosząc srebrny regał. – Widzisz, Fedro? Widać cień.

– Co zrobisz? – zapytałam. – Wydasz go?

– Żeby przekazać klątwę komuś innemu? – Popatrzył na mnie z ogromnym zdumieniem. – Myślisz, że jestem zupełnie wyzuty z sumienia? – Pokręcił głową, odrzucając mój pomysł. – Nie, nie możemy użyć go dla zysku. Złożę za niego ofiarę Azzie i Elui. Chodź, zobaczymy, czy w stajni są wierzchowce.

Chłopak, który tego dnia opiekował się stajniami, od dawna był gońcem Hiacynta. Przerwał grę w kości ze stajennym i poderwał się z uśmiechem.

– Będziesz strugać panicza na mieście, Hia? Dobry dzień na przejażdżkę. Na ulicach jest większy spokój niż w sypialni Kasjela.

– Wszyscy zaszyli się w karczmach, żeby topić smutki – powiedział Hiacynt. Obejrzał się przez ramię i mniej pewnym tonem dodał: – Wybierz dwa najspokojniejsze, dobrze? I przynieś damskie siodło dla Fedry nó Delaunay.

Chłopak nie widział mnie, bo stałam za plecami Hiacynta. Gdy usłyszał moje imię, rzucił się biegiem, żeby wykonać polecenie. Jego gorliwość wywołała mój uśmiech. Mieszkańcy Progu Nocy wiedzieli, że należy schodzić z drogi samozwańczemu Księciu Podróżnych, ale *anguisette* Delaunaya wzbudzała inne uczucia. Nosłam ciemnobrązowy płaszcz, nie *sangoire*, Hiacynt jednak dopilnował, żeby jego przyjaciele wiedzieli kim jestem. Nasza znajomość podnosiła jego prestiż, a mnie zapewniała

bezpieczeństwo, oboje więc byliśmy zadowoleni.

Wsiedliśmy na konie i ruszyliśmy stępem przez Miasto. W pewnej odległości za nami usłyszałam tętent i stłumione przekleństwo. Odwróciłam się, ciekawa, czy zobaczę Guya, i zastanowiłam się, czy był zmuszony wynająć wierzchowca w stajni Hiacynta. Choć go nie dostrzegłam, nie wątpiłam, że jest gdzieś za nami.

Na ulicach panował znacznie mniejszy ruch niż zwykle. Ludzie stali w grupkach, rozmawiając cicho. Wielu D'Angelinów nosiło czarne opaski na ramionach. Na nasz widok odwracali się spieszenie, żebyśmy nie zobaczyli ich twarzy.

– Żal ci go? – zapytał cicho Hiacynt. Z przeciwka nadjeżdżał wóz, więc nie odpowiedziałam od razu. Musiałam zachować ostrożność, bo moje umiejętności jeździeckie pozostawiały wiele do życzenia.

– Księcia Baudoina? – zapytałam, kiedy wóz nas minął. Hiacynt pokiwał głową. Pomyślałam o jego arogancji i swoim upokorzeniu, o ręce przyciskającej mnie do stołu. I o pierwszym spotkaniu, gdy podchmielony Baudoin śmiał się w przekrzywionej masce Azy na czole. Nazwał mnie dawczynią radości i pocałował na szczęście; dziewięć lat później Melisanda Szachrizaj sprezentowała mnie wraz z pocałunkiem śmierci. Ja wiedziałam i musiałam zachować milczenie. Naprawdę przyniosłam mu pecha swoim źle wybranym imieniem. – Tak.

– Przepraszam. – Lekko dotknął mojego ramienia. – Jest aż tak źle?

Nie powiedziałam mu wszystkiego; nie mogłam. Nawet wtedy tylko pokręciłam głową.

– Nie. Mniejsza z tym. Jedźmy do świątyni.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

– Będą inni książęta – zauważył, zerkając na mnie. – I pewnego dnia, kiedy zrobisz swoją markę, przestaniesz być *vrajna*.

Świątynia Azy jaśniała w dali, miedziana kopuła płonęła w skośnych promieniach słońca. Przekrzywiłam głowę, patrząc na Hiacynta.

– I wtedy będę ciebie godna, Książę Podróżnych?

Hiacynt zarumienił się.

– Nie chciałem... och, nieważne. Chodź, zapłacę za twoją ofiarę.

– Nie potrzebuję łaski – syknęłam, wbijając obcasy w bok klaczy. Ruszyła krótkim kłusem, a ja bez odrobiny wdzięku podskakiwałam w siodle.

– Dzielimy się z innymi tym, czego mamy w nadmiarze i co sami gotowi jesteśmy przyjąć – powiedział wesoło, podjeżdżając z uśmiechem do mojego boku. – Zawsze tak postępowaliśmy, Fedro. Czy nadal jesteśmy przyjaciółmi?

Skrzywiłam się, ale przecież miał rację.

– Jesteśmy – zgodziłam się, bo mimo naszych sprzeczek bardzo go kochałam. – Podzielisz ofiarę na pół?

Tak oto dotarliśmy, przekomarzając się łagodnie, do świątyni Azy, i zostawiliśmy nasze wierzchowce pod opieką stajennego. Tego dnia w świątyni przebywało wiele osób z czarnymi opaskami na ramionach. Nie byłam zdziwiona, bo ród Trevalion wywodził się od Azy. W świątyni płonęły setki świec, pod ścianami leżało mnóstwo kwiatów. Kapłani i kapłanki Azy nosili szafranowe tuniki i szkarłatne chlamidy spięte broszami z brązu. Twarze skrywali za maskami z brązu, wyobrażającymi złowrogo piękne oblicze Azy. Żadna nie była tak misternie wykuta jak ta, którą Baudoin miał na Zimowym Balu Maskowym.

Przekazaliśmy ofiarę kapłance, która ukloniła się i podała nam

czarki z kadzidłem. Zajęliśmy miejsca w kolejce wiernych. Patrzyłam na posąg Azy na ołtarzu. Tę samą twarz odzwierciedlały dziesiątki otaczających nas masek: oblicze dumne i piękne w swej pogardzie. Aza wyciągał ręce; jedna była pusta, wnętrzem dłoni zwrócona w górę, a w drugiej trzymał sekstans, swój dar dla ludzkości. Była to wiedza – zakazana wiedza nawigowania światem.

Hiacynt wszedł pierwszy, potem nadeszła moja kolej. Gdy uklęknęłam przed ogniem ofiarnym, kapłan pokropił mnie kropidłem, mrużąc błogosławieństwo.

– Jeśli zgrzeszyłam przeciwko potomkom Azy, wybacz mi – wyszeptałam, przechylając czarę. Ziarenka kadzidła niczym złoto posypały się w ogień, który przez chwilę płonął zielonkawo. Dym zapiekł mnie w oczy. Mając na względzie czekających za mną ludzi, wstałam i podałam czarę akolicie, po czym pospieszyłam za Hiacyntem.

W świątyni Elui panował większy spokój. Bez wątpienia ludzie pamiętali, że jego potomkami byli nie tylko Lyonetta i Baudoin de Trevalion, lecz przede wszystkim ród Courcel, przeciwko któremu oni popełnili zdradę.

Świątynia Elui nie ma dachu, tylko kolumny wyznaczające cztery strony świata. Zgodnie z tradycją wewnętrzne sanktuarium zawsze otwiera się na niebo i nie jest brukowane. W Wielkiej Świątyni Miasta ołtarz otaczają prastare drzewa, a na świątynnych gruntach rośnie mnóstwo zieleni, przy czym kapłani z jednakową troską pielęgnują i kwiaty, i chwasty. Gdy przybyliśmy, zapadał zmierzch i na ciemniejącym niebie mrugały już pierwsze gwiazdy.

Bosa, odziana w błękitny kapłanka powitała nas pocałunkiem, a akolita uklęknął i zdjął nam buty, żebyśmy mogli stanąć przed

obliczem Błogosławionego Elui. Za naszą ofiarę dostaliśmy szkarłatne anemony do złożenia na ołtarzu.

Wyrzeźbiony z marmuru posąg Elui w Wielkiej Świątyni jest jednym z najstarszych dzieł sztuki D'Angelinów. Niektórzy uważają go za prymitywny, ja jednak jestem odmiennego zdania. Elua stoi z rozpuszczonymi włosami, z uśmiechem patrząc na ten świat. Ręce ma puste. Jedną wyciąga w geście błogosławieństwa, a na drugiej widnieje rana, przypominająca o krwi przelanej na znak przymierza z rodzajem ludzkim.

Ptaki i nietoperze szeleściły liśćmi w koronach drzew, gdy szliśmy pod ciemniejącym niebem. Nadchodząca noc okradała z koloru niesione przez nas szkarłatne anemony. Pod stopami czułam chłodną, wilgotną ziemię.

Znów pozwoliłam, by Hiacynt poszedł przede mną. Tym razem w trakcie składania ofiary nie powiedziałam słowa. Elua wszystko wie i wszystko wybacza. Dotknęłam palców wyciągniętej ręki, uklękłam i złożyłam kwiaty u jego nóg. Przycisnęłam usta do chłodnej, marmurowej stopy i poczułam, jak ogarnia mnie spokój. Nie wiem jak długo tak trwałam, ale w pewnej chwili kapłan położył ręce na moich ramionach, każąc mi wstać. Z łagodnym uśmiechem spojrział mi w oczy. Poznałam, że wie, kim jestem, i że nie jest temu przeciwny.

– Strzała Kusziela... – szepnął, dotykając moich włosów – i sługa Naamy. Niechaj Elua cię błogosławi, dziecko.

Choć wiedziałam, że Hiacynt czeka na mnie w gaju, znowu uklękłam i z wdzięcznością ucałowałam ręce kapłana. Po chwili mnie podniósł.

– Kochaj, jak woła twoja, a Elua pokieruje twoimi krokami niezależnie od długości drogi, jaka cię czeka. Idź z jego błogosławieństwem.

Poszłam więc, rada z odczuwanej ulgi. Złożenie ofiary zdjęło mi kamień z serca.

– Dziękuję – powiedziałam do Hiacynta.

Popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

– Za co?

– Za podzielenie się tym, czego miałeś w nadmiarze – odparłam, gdy przy bramie odebraliśmy obuwie od akolity. – Za to, że jesteś moim przyjacielem.

– Klientów możesz mieć na pęczki. – Hiacynt wciągnął but i uśmiechnął się do mnie. – Ale chyba niewielu jest takich, którzy mogą liczyć na przyjaźń *anguisette* Delaunaya.

Miał rację, co nie przeszkodziło mi wymierzyć mu kuksańca. Odeszliśmy tak, jak przybyliśmy, sprzecząc się, ale nasze serca – i sakiewki – były znacznie lżejsze. Stajenny przyprowadził wierzchowce i w dobrych humorach ruszyliśmy do Progu Nocy. Umyślnie skręcaliśmy w wąskie uliczki, żeby zgubić niewidzialnego, ale zawsze obecnego Guya.

Tak oto natknęliśmy się na Szachrizaj.

Wjechaliśmy na plac targowy w Progu Nocy. Hiacynt zobaczył ich pierwszy i bez namysłu ściągnął wodze. Ja podjechałam bliżej.

Otoczeni przez służących z pochodniami, Szachrizaj jechali ku Mont Nuit, olśniewający w czarno-złoty brokatakach, śpiewający z kuszelickim akcentem, wymachujący biczami i szpicrutami. Kobiety miały rozpuszczone włosy, a mężczyźni krótkie warkocze, zwisające jak łańcuchy wokół ich bladych, przystojnych twarzy. Zapadła noc; światło pochodni pełgało po granatowoczarnych włosach i zapalało błyski w fałdach brokatowych płaszczy. Patrząc na nich nad karkiem gniadosza Hiacynta, bez trudu dostrzegłam Melisandę.

Jakby połączyła nas niewidzialna błyskawica, jej oczy w jednej chwili odnalazły moje. Uniosła rękę, zatrzymując całą grupę.

– Fedra nó Delaunay, co za spotkanie! – zawołała z rozbawieniem. – Pojedziesz z nami do Domu Waleriany?

Odpowiedziałabym jej, choć nie wiem co, gdyby Hiacynt nie wjechał pomiędzy nas.

– Tej nocy jest ze mną – powiedział z napięciem w głosie.

Melisanda roześmiała się, a wraz nią jej wysocy, urodziwi krewniacy, bracia, kuzyni i kuzynki. Dzięki długim naukom Delaunaya znałam imiona ich wszystkich: Tabor, Sacriphant, Persja, Marmion, Fanchone, choć nie potrafiłam dopasować imion do twarzy. Wszyscy byli piękni, ale nikt nie dorównywał urodą Melisandzie.

– Więc to ty jesteś jej małym przyjacielem – powiedziała Melisanda, uważnie przypatrując się twarzy Hiacynta. – To ciebie nazywają Księciem Podróżnych. Ha, z tego, co wiem, nigdy nie postawiłeś nogi za murami Miasta. Jeśli posmaruję twoją rękę złotem, Cyganie, czy powiesz mi, co się wydarzy?

Szachrizaj znowu się roześmiali. Zobaczyłam, jak plecy Hiacynta sztywnieją. Jego twarzy nie widziałam, ale to nie miało znaczenia. W głosie pobrzmiwało *dromonde*, znane mi z tonu jego matki.

– Powiem ci, Gwiazdo Wieczorna – rzekł chłodno, chyląc głowę w formalnym ukłonie. – Ten, kto ulega, nie zawsze jest słaby. Mądrze wybieraj swoje zwycięstwa.

Gdybym kiedykolwiek wątpiła w to, że Melisanda jest niebezpieczna, tej nocy wyz byłabym się wątpliwości. Jako jedyna z Szachrizaj nie roześmiała się, tylko z zadumą zmrużyła oczy.

– Coś za nic, Cyganie? To naprawdę nie byle co. Marmion, zapłać mu, bo nie mogę być jego dłużniczką.

Przynajmniej jedno imię mogłam dopasować do twarzy; Marmion był młodszym bratem lub kuzynem, o czym świadczyła skwapliwość, z jaką wyłuskał z sakiewki złotą monetę i rzucił ją w kierunku mojego przyjaciela. Moneta błysnęła w blasku pochodni. Hiacynt złapał ją w locie, po czym uklonił się z gracją i schował zapłatę do sakiewki.

– Dziękuję, Gwiazdo Wieczorna – powiedział już normalnym, przypochlebnym tonem Księcia Podróżnych.

Melisanda roześmiała się.

– Twoi przyjaciele są rozbrajająco uczciwi – powiedziała do mnie, a ja tego nie skomentowałam. Ktoś dał rozkaz służącym i Szachrizaj ruszyli ze śpiewem. Melisanda dołączyła do nich, lecz po chwili zawróciła konia.

– Co do Baudoina de Trevalion... ty rozpaczasz na swój sposób – powiedziała, patrząc mi w oczy – a ja robię to po swojemu.

Pokiwałam głową, zadowolona z obecności Hiacynta. Melisanda uśmiechnęła się przelotnie, po czym spięła konia i szybko dopędziła pozostałych.

Hiacynt powoli wypuścił ustami wstrzymywane powietrze, odgarniając z czoła czarne kędziory.

– O ile się nie mylę, to była perła rodu Szachrizaj, prawda?

– Powiedziałaś *dromonde*, choć nie byłeś tego pewien? – Klacz zarzuciła głową; zobaczyłam, że moje ręce drżą na wodzach.

– Przyszłość człowieka zna jego imię, to wystarczy – odparł z roztargnieniem. – To była Melisanda Szachrizaj, prawda? Śpiewają o niej piosenki.

– Cokolwiek śpiewają, musi być prawdą, choć na pewno nie całą. – Patrzyłam, jak Szachrizaj znikają za rogiem na końcu ulicy. – Co dziwniejsze, ona wiedziała, kim ty jesteś, a przecież o tobie nikt nie śpiewa.

W ciemności błysnął jego biały uśmiech.

– Śpiewają, żebyś wiedziała. Nie słyszałaś, że niejaki Faniel Douartes napisał piosenkę o Księżciu Podróżnych i Bogatej Hrabinie? Cieszy się dużym powodzeniem w “Kogutku”. Ale rozumiem, o co ci chodzi. Jest przyjaciółką Delaunaya, może on jej powiedział. – Wzruszył ramionami. – Zainteresowanie ze strony flamy księcia to nie byle betka. Powinno ci pochlebiać.

– Melisanda jest zainteresowana przede wszystkim intrygami Delaunaya – mruknęłam. – Co do reszty, wywodzi się z linii Kusziela. Jej pochodzenie jest wypisane w krwi tak wyraźnie, jak moje w mym oku.

– Jasne – prychnął Hiacynt. – Tylko potomkowie Kusziela mogą odprawiać żałobę w Domu Waleriany i tylko ty możesz być dość głupia, żeby chcieć do nich dołączyć.

– Nie chciałam...

– Ani nie zechcesz. – Za naszymi plecami rozległ się beznamienny głos. Odwróciłam się w siodle i zobaczyłam Guya, stojącego pod murem z założonymi rękami. Uniósł brwi, patrząc na mnie. – Jestem pewien, Fedro, że nie zawiodłabyś w taki sposób zaufania Delaunaya.

– Sądziłam, że jechałeś konno – powiedziałam z braku lepszej odpowiedzi.

Guy prychnął pogardliwie.

– Po co? Takich marnych jeźdźców lepiej śledzić pieszo. Choć trzeba przyznać, że masz smykałkę do jazdy konnej, gdy o tym nie myślisz – powiedział do Hiacynta. Odwrócił się w moją stronę. – A ciebie Delaunay powinien nauczyć. Jeśli masz dość tej zabawy w chowanego, zabiorę cię do domu i właśnie to mu powiem.

Sprzeczenie się z Guyem, gdy już podjął decyzję, nie miało

sensu. Odprowadziliśmy konie do stajni, a Guy sprowadził powóz. Hiacynt śmiał się pod nosem z mojego rozdrażnienia, co tylko je powiększyło. Jeszcze nigdy obowiązek posłuszeństwa Delaunayowi nie rozgniewał mnie tak mocno. Guy z rezygnacją wzruszył ramionami i kazał stangretowi zawieźć nas do domu.

Delaunaya nie było. Świadomość, że Guy z własnej woli zabrał mnie z Progu Nocy, doprowadzała mnie do szału.

Nie przyszło mi do głowy, że może mieć inne zajęcia poza uganianiem się za samowolną, wartą tysiące dukatów *anguisette* w jednej z najbardziej nieprzyjemnych dzielnic Miasta. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że byłam młoda i przepełniona egoizmem właściwym młodości. Gdybym wiedziała, co się wydarzy, tej nocy zachowałabym się inaczej, bo Guy na swój sposób był miły. Niestety, ze wstydem przyznaję, że nie okazałam mu cienia szacunku.

Rozwścieczona przymusowym powrotem, miotałam się po domu tak, jakby był więzieniem. W bibliotece natknęłam się na Alcuina. Byłam gotowa wyładować furie, ale gdy uniósł głowę znad listu, coś w jego spojrzeniu powstrzymało mnie od wybuchu.

– Co to jest? – zapytałam.

Alcuin złożył list, pieczołowicie wygładzając zagniecenia. Białe włosy jaśniały wokół jego twarzy.

– Propozycja. Wieczorem przyniósł ją posłaniec od Vitalisa Bouvarre’a.

Otworzyłam i zamknęłam usta. Popatrzył na mnie ostro.

– Wiesz, prawda? – Alcuin zawsze był lepszy ode mnie w wysłuchiwanie tego, co nie zostało powiedziane.

Pokiwałam głową.

– Podśluchałam was tamtej nocy w urodziny Baudoina.

Przepraszam. To stało się niechcący, naprawdę. Nie powiedziałam Delaunayowi.

– To nie ma znaczenia. – W zamyśleniu postukał złożonym listem o blat biurka. – Ciekawe, dlaczego teraz. Czyżby po upadku rodu Trevalion miał mniej powodów do strachu? A może boi się, że przestał być potrzebny rodzinie Stregazza?

Usiadłam na krześle naprzeciwko niego.

– Widział, jak parowie królestwa oskarżycielsko wskazują palcami jeden z wielkich rodów, Alcuinie, a on chce na tym zyskać. To przydaje mu śmiałości, i gdyby korzyści przeważały nad strachem, robiłby to publicznie. – Pokręciłam głową. – Jest chory z pożądania, a te wypadki rozgorączkowały go do tego stopnia, że szuka lekarstwa, nic więcej. Uważaj na niego.

– Będę uważać – powiedział ponuro – ten raz i już nigdy więcej.

– Czy... powiesz Delaunayowi? – zapytałam z wahaniem.

Alcuin pokręcił głową.

– Nie, dopóki nie będzie po wszystkim. Vitalis napisał tylko, że spełni moją prośbę dotyczącą daru klienta. Niech Delaunay myśli, że to spotkanie nie będzie się różnić od innych. Gdyby wiedział, co czuję, nie pozwoliłby mi iść. – Z napięciem spojrzał mi w oczy. – Obiecasz, że nic mu nie powiesz?

Prośba była niewielka, a Alcuin dotąd o nic mnie nie prosił. To nie jego wina, że zaoferowano mu wolność w tę samą noc, w którą ja się wściekałam na moje więzy.

– Obiecuję.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Choć nigdy nie udaję w sypialni – w istocie mój dar polega na tym, że jestem do tego niezdolna – w innych okolicznościach potrafię robić to z dużą wprawą. Na przykład, żaden mój klient nawet się nie domyślał, jaki charakter miała edukacja *anguisette* Delaunaya... z wyjątkiem Melisandy Szachrizaj, ale to zupełnie inna sprawa. Nawet Childric d'Essoms, który przeczuwał, że Delaunay prowadzi jakąś grę, dowiedział się o mojej roli dopiero w dniu, w którym sama mu o niej powiedziałam.

Ale jeśli sądziłam, że mam talent do udawania, to był on niczym w porównaniu z geniuszem Alcuina. Słyszałam w jego głosie i widziałam w oczach ogrom nienawiści do Vitalisa Bouvarre'a, lecz nic jej nie zdradzało w dniach poprzedzających jego ostatnie spotkanie. Był taki sam jak zawsze, łagodny i pełen wdzięku, spokojnie godzący się z losem.

Ten, kto ulega, pomyślałam, nie zawsze jest słaby.

Guy dotrzymał słowa i powiedział Delaunayowi, że oboje z Alcuinem powinniśmy nauczyć się jazdy konnej. Delaunay wyraził zgodę, a Cecylia Laveau-Perrin zaproponowała nam skorzystanie z jej wiejskiej posiadłości. Nadal kierował nią zarządca, którego jej mąż, kawaler Perrin, wyznaczył po przyjęciu stanowiska doradcy króla.

W Perrinwolde spędziliśmy cztery dni i kiedy wracam do nich myślami, uważam je za najszcześniejsze w moim życiu. Na wsi Delaunay rozluźnił się i stracił trochę rezerwy, która stanowiła tak nieodłączną jego cechę, że niemal przestałam ją zauważać.

Dwór w stylu wiejskim był czysty i zadbany, jedzenie niewyszukane, ale smaczne, a żona zarządcy, Heloiza, osobiście przykładała rękę do przygotowywania posiłków.

Lekcje jazdy konnej były zarazem bolesne i rozkoszne. Pieczę nad nami przejął roześmiany jedenastolatek, który jeździł na oklep na kudłatym kucu tak, jakby robił to od urodzenia. Uważaliśmy, że jego kuratela uwłacza naszej godności, ale gdy w końcu zapomnieliśmy o wstydzie – stało się to po wypadku, w którym uczestniczył koń, Alcuin i kupa gnoju – stwierdziliśmy, że malec jest doskonałym nauczycielem. Trzeciego dnia byliśmy już mniej obolali i Delaunay uznał, że radzimy sobie na tyle dobrze, by nauczyć nas paru jeździeckich niuansów.

Wczesnym rankiem ostatniego dnia zarządca ogłosił polowanie, żeby poddać nas ostatecznej próbie. Słońce dopiero wstało i skośne promienie rozświetlały żyzną ziemię. Zielone pola, lekko ozłoczone przez nadchodzącą jesień, przemykały pod końskimi kopytami, a wieśniacy pozdrawiali nas i machali kapeluszami. Daleko przed nami grały ogary, zwietrywszy świeży trop.

W sadzie zrównaliśmy się z naganiaczami; lis zniknął w jamie i psy węszyły, uskarżając się rozpaczliwe. Jeden z uczestników polowania zawołał głośno i zawrócił wierzchowca. Pociągnęła za nim połowa myśliwych, wykrzykując łowieckie zawołania i szczując psy. Dostrzegłam wśród nich Alcuina. Jego ciemne oczy błyszczały, a rozwiane białe włosy smagnęły policzek niczym morska piana, gdy zawrócił tak ostro, że koń niemal przysiadł na zadzie. Miał smykałkę do jazdy konnej, jak zresztą do wszystkiego, czego się tknął.

Kiedy zebraliśmy się we dworze, swoboda Delaunaya wyraźnie zmalała. Był równie serdeczny, ale jego zachowanie

zdradzało już dawną rezerwę, gdy wśród śmiechów i żartów wypłacał zwycięzcy obiecaną sumę. Po obiedzie ruszyliśmy do miasta i przypuszczam, że wszystkim sprawiło to przykrość.

Niektórzy utrzymują, że wszystko, co zostaje powiedziane i zrobione na tym świecie, podlega ustalonemu wzorowi, że nic nie dzieje się bez powodu ani w niewłaściwym czasie. Nie mogę wypowiadać się w tej kwestii, widziałam bowiem zbyt wiele nagle przeciętych nici, żeby w to wierzyć, ale widziałam także wątek mojego losu snujący się na krosnach. Jeśli istnieje jakiś wzór, nie sądzę, by był pośród nas ktoś, kto mógłby stać w odległości na tyle dużej, by móc go dostrzec; nie twierdzę jednak, że tak nie jest. Nie wiem. Wiem jednak, co jest prawdą: gdyby w owym tygodniu Alcuin nie nauczył się jeździć konno, wypadki potoczyłyby się zupełnie inaczej. I gdyby Hiacynt nie wygrał zakładu... gdyby nie uznał, że wygrana nosi klątwę krwi... gdyby Guy nie musiał uganiać się za nami po Mieście... kto może to wiedzieć? Nie przewidzę przeznaczenia.

Wierna danemu słowu, nie powiedziałam Delaunayowi o spotkaniu Alcuina z Vitalisem Bouvarrem. Delaunay wyraził zgodę i kontrakt został podpisany jeszcze przed naszym wyjazdem do Perrinwolde. Kiedy nadszedł umówiony wieczór, wyniknął drobny problem związany z przewozem – Bouvarre przysłał własny powóz, podczas gdy Delaunay zamyslał wyprowadzić Alcuina swoim – ale szybko został rozwiązany. Delaunay przystał na propozycję Bouvarre'a, pod warunkiem że Alcuin pojedzie w towarzystwie Guya.

Obecność sługi była rzeczą oczywistą, zawarowaną w naszych kontraktach, więc nikt się nad tym nie zastanawiał.

Nie mam pojęcia, czy Bouvarre to zrobił. W kontrakcie było napisane, że Alcuinowi albo mnie ma towarzyszyć sługa w liberii

Delaunaya, to wszystko. Ponieważ Delaunay nie był właścicielem ziemskim – przynajmniej tak sądziliśmy – oficjalnie nie przysługiwał mu poczet zbrojnych, a Guy nigdy nie był uważany za strażnika. Miał spokojne usposobienie i swoim zachowaniem nie zdradzał, że jest obeznany z bronią. Wielu mężczyzn nosi sztylet u pasa; jeśli on nosił dwa, nic poza nimi nie sugerowało, że został wyszkolony przez Bractwo Kasjelitów. Ja znałam go przez wiele lat i niczego się nie domyślałam.

Po wyjaśnieniu sprawy powozu Delaunay dał Alcuinowi swoje błogosławieństwo. Ponieważ nigdy nie umawialiśmy się na spotkania w tę samą noc, wyszłam go pożegnać. Ubrał się tak samo jak w dniu swojego debiutu, w płowe spodnie i białą koszulę; przypuszczam, że zrobił to na prośbę Vitalisa. Twarz miał spokojną i opanowaną, ale ręce, kiedy je ujęłam, sparzyły mnie jak lód. Przyciągnęłam jego głowę, żeby pocałować go w policzek – był znacznie wyższy ode mnie – i szepnęłam:

– Powodzenia. – Alcuin lekko zmrużył powieki. Tylko w ten sposób okazał, że usłyszał co powiedziałam.

Tak oto odszedł w ramiona Vitalisa Bouvarre’a.

Zbliżał się świt, gdy wrócił.

Przez sen pomyślałam, że to Gaspar Trevalion woła na dziedzińcu donośnym, straszonym głosem. Nawet gdy się już zbudziłam, dopiero po dłuższej chwili rozpoznałam głos, bo nigdy dotąd nie słyszałam krzyku Alcuina. Błyskawicznie wyskoczyłam z łóżka, zarzucając na ramiona pierwszą część garderoby, jaka wpadła mi w ręce, i popędziłam na dół.

Połowa domowników już tam była, w blasku pochodni widziałam wstrząśnięte, jeszcze zaspane twarze. Delaunay ubrał się w takim samym pośpiechu jak ja; koszulę miał krzywo zapiętą, zadartą przez pas z mieczem.

– Co się stało?! – krzyczał, gdy wpadłam na dziedziniec.

Alcuin dosiadał zaprzęgowego konia, mocno ściskając nogami jego boki i szarpiąc przecięte lejce. Oszalała ze strachu klacz rzucała się dziko, wlokąc za sobą szory i szeroko rozdymając chrapy. Alcuin z ponurym wyrazem twarzy starał się nad nią zapanować.

– Powóz został zaatakowany! – zawołał, ostro pociągając wodze. Klacz poderwała głowę, z rozciągniętego przez wędzidło pyska ciekła ślina. Biała koszula Alcuina wydawała się w świetle pochodni bursztynowa, lecz mimo to dostrzegłam powiększającą się ciemną plamę na żebrach. – Nad rzeką. Guy ich powstrzymał, ale jest ich zbyt wielu. Przeciął uprząż.

Przez ułamek sekundy Delaunay stał jak rażony gromem, potem odwrócił się i ryknął:

– Konia!

W stajni już paliły się światła. Delaunay chwycił uzdę zaprzęgowej klaczy, siłą ramienia i woli zmuszając ją do zachowania spokoju. Alcuin przerzucił nogę nad grzbietem i zeskoczył na ziemię, krzywiąc się z bólu.

– Czy ty...? – Delaunay wyciągnął do niego rękę.

Alcuin odtrącił ją i zrobił wściekłą minę.

– Nie doszłoby do tego, gdybyś nauczył mnie walczyć!

W tej chwili chłopak wybiegł ze stajni, prowadząc wierzchowca. Delaunay odwrócił się, skoczył na siodło i chwycił wodze.

– Gdzie? – zapytał zimno.

Alcuin przycisnął rękę do boku.

– Blisko wiązowego gaju.

Delaunay bez słowa spiął konia i ruszył w takim tempie, że kopyta krzeszały iskry na bruku. Alcuin ni to ze śmiechem, ni z

płaczem osunął się na ziemię. Pękata sakiewka u jego pasa uderzyła o kamienie, wysypały się złote monety. Podbiegłam do niego.

– Moja marka, Fedro – wydyszał, gdy spojrzałam na to bogactwo. – Boję się, że Guy za nią zapłaci.

– Cicho, nic nie mów. – Trzymając go w ramionach, zręcznie rozpięłam koszulę; przynajmniej tyle mogłam dla niego zrobić. Wsunęłam rękę pod materiał, namacałam ranę i nakryłam ją dłonią, zatrzymując wypływającą krew. Nad nami nachylały się pochodnie i twarze. Żałowałam, że nie jesteśmy w Perrinwolde, gdzie Heloiza z pewnością wiedziałaby, co począć w takiej sytuacji.

– Sprowadźcie lekarza! – zawołałam. – Hovel, Bevis... poślijcie po jezuickiego doktora! Prędko!

Nie wiem jak długo siedziałam na zimnych kamieniach dziedzińca, podczas gdy wokół rozbrzmiewały kroki i głosy. Wydawało mi się, że minęły długie godziny. Krew sączyła się pomiędzy moimi palcami, a twarz Alcuina bladła. Szeptalam modlitwy, prosząc Eluę i jego Towarzyszy o wybaczenie mi wszystkich moich zazdrosnych myśli. Kiedy wreszcie zobaczyłam ciemną, poważną twarz jezuickiego doktora, uznałam ją za widok najpiękniejszy w świecie.

– Co on robi na tych zimnych kamieniach? – zapytał, klaskając językiem z dezaprobatą. – Chcesz, żeby umarł z wyziębienia, jeśli rana go nie zabije? Ty... i ty tam, zanieście go do domu.

Z wdzięcznością uwolniłam się od tego brzemienia. Moje palce były lepkie od krwi. Alcuin patrzył na mnie, gdy go podnosili, dziękując mi spojrzeniem. Zebrałam monety i poszłam do domu. Alcuina położono na kanapie, a doktor nożyczkami rozciął mu koszulę.

Rana, choć długa i głęboka, nie była śmiertelna.

– Straciłeś dużo krwi, ale nie umrzesz... – powiedział rzeczowo Jezuita, nawlekając długą igłę jedwabną nicią – bo ja tu jestem. – Szył w milczeniu przez jakiś czas, a Alcuin syczał przez zęby. Po założeniu szwów doktor zawołał o mocny trunek, przemył ranę, następnie obandażował ją i podał mi pudełko z maścią. – Wiesz co robić, jak myślę.– Choć mówił z obcym akcentem, usłyszałam ironię w jego głosie. – Powiedz panu Delaunayowi, żeby posłał po mnie, gdyby rana zaczęła się jątrzyć.

Alcuin sięgnął po sakiewkę i wysypał monety. Podniosłam jedną z podłogi i podałam ją doktorowi. Przyjął ją i spojrzał na mnie z uniesionymi brwiami.

– Wiedziecie ciężkie życie. Mam nadzieję, że jest warte takich kosztów. – Nie odpowiedziałam, Alcuin też nie; może nie miał siły. Doktor uklonił się i służący odprowadził go do drzwi.

Otworzyły się, nim zdążył do nich podejść. Delaunay ze straszną miną przestąpił próg, dźwigając w ramionach bezwładne ciało. Doktor przystanął, przyłożył rękę do szyi Guya, szukając pulsu. Delaunay patrzył na niego w milczeniu. Jezuita pokręcił głową.

– Dla niego jest za późno – oznajmił.

– Wiem – powiedział Delaunay. Przez jego twarz przemknął cień, gdy szukał odpowiednich słów. – Dziękuję.

Doktor ponownie pokręcił głową, aż zakołysały mu się pejsy, i wymruczał coś we własnej mowie.

– Nie ma za co – burknął szorstko, ale współczującym gestem dotknął ramienia Delaunaya. Drzwi zamknęły się za nim.

Delaunay położył ciało na kanapie tak delikatnie, jakby Guy wciąż mógł odczuwać niewygodę.

– Powinieneś mi powiedzieć – rzekł z wyrzutem do Alcuina. –

Powinieneś powiedzieć, jakiego dobiłeś targu.

– Gdybym to zrobił, nie wyraziłbyś zgody – wyszeptał Alcuin. Zamknął oczy i spod jego powiek spłynęły łzy, jakich nie wywołała igła Jeszuity. – Ale nie chciałem, by ktoś inny za to zapłacił.

Delaunay osunął się na kolana przy zwłokach Guya i przycisnął dłonie do oczu. Nie miałam pojęcia, jak się zachować. Chciałam wyjść, żeby nie być świadkiem jego rozpaczki, ale nie wiedziałam, czy mogę go zostawić.

Delaunay uniósł głowę. Straszna determinacja w jego oczach przyćmiewała żal i poczucie winy.

– Kto to zrobił? – zapytał szeptem.

– Teresa... i Dominik Stregazza. – Alcuin leciutko uchylił powieki. Mówił z dużym trudem. – Córka księcia Benedykta.

Delaunay znowu zakrył oczy i zadrżał.

– Dziękuję – wyszeptał. – Błogosławiony Eluo, przykro mi, ale dziękuję.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

Alcuin długo dochodził do zdrowia.

To prawda, stracił mnóstwo krwi, sędzę jednak, że przyczyna niemocy tkwiła w jego sercu. Wiedział, że podejmuje ryzyko, ale nie wybiegł myślami poza sypialnię Bouvarre'a. W przeciwieństwie do mnie nie miał pojęcia, że Guy był doświadczonym, choć nieoficjalnym strażnikiem. Nie przypuszczał, że powóz zostanie zaatakowany i że Guy odegra taką, a nie inną rolę, i tego wszystkiego nie potrafił sobie wybaczyć.

Delaunay, na wpół oszalały z rozpacz i nękania wyrzutami sumienia, opiekowałby się nim dzień i noc, był jednak ostatnią osobą, którą Alcuin chciał widzieć. Rozumiałam to znacznie lepiej niż okazywałam. Alcuin robił wszystko z miłości dla Delaunaya, lecz nie zniósłby teraz jego troski. Dlatego opiekowałam się nim w czasie rekonwalescencji i pośredniczyłam między nimi. Stopniowo dowiedziałam się od naszego pana, co się stało tamtej nocy.

Guy walczył jak osaczony wilk z czterema napastnikami. Stangret Bouvarre'a kulił się na koźle, pochlipując ze strachu. Delaunay opisał swój udział w tej walce, używając powściągliwych słów – powiedział tylko, że pozbył się trzech bandytów i przepędził czwartego – ale ja widziałam jak odjeżdżał, mogłam więc sobie wyobrazić, jak wyglądał jego wjazd na pole walki. Co tu dużo mówić; był doświadczonym kawalerzystą, weteranem Bitwy Trzech Książąt.

Już myślał, że zdążył na czas, lecz kiedy odwrócił się w stronę Guya, zobaczył liczne rany i rękojęć sztyletu sterczącą spomiędzy żeber. Guy postąpił dwa kroki w jego stronę, zachwiał się i upadł na bruk. Delaunay przyskoczył do jego boku.

Jeśli opisuję zdarzenie tak, jakbym widziała je na własne oczy, to dzięki temu, że Delaunay wszystko mi opowiedział; byłam jego jedyną powiernicą. I jeśli coś upiększam, to tylko dlatego, że dobrze znałam mojego pana i wiedziałam, co pominął.

O bohaterstwie Guya mówił chętnie i dużo. Guy wiedział, że coś się wydarzy. Czuł, jak powóz zwalnia, usłyszał tupot nóg na ulicy. Wypchnął Alcuina z powozu i odpierał atak pierwszych napastników, jednocześnie przecinając uprząż. Właśnie wtedy Alcuin został ranny, ale Guy podsadził go na grzbiet klaczy i płazem smagnął ją po zadzie.

Wszystko to powiedział Delaunayowi przed śmiercią, a przynajmniej większość, bo niektóre szczegóły później uzupełnił Alcuin. Napadli ich ludzie Bouvarre'a; "Panie, stangret wiedział" – wyszeptał Guy. Delaunay klęczał przy nim przez długi czas i obaj trzymali ręce na rękojęści sztyletu. Kiedy Guy już wyznał wszystko, jego oddech stał się urywany, a skóra zimna i blada. Palce zwiotczały, zsunęły się z rękojęści. Przypuszczam, że jego ostatnie słowa zrozumiałam tak dobrze jak Delaunay, o ile nie lepiej. "Wyciągnij sztylet, panie, i pozwól mi odejść. Dług został spłacony".

Delaunay nie wspomniał, że płakał, wypełniając wolę Guya, ale sama się tego domyśliłam, bo ronił łzy w trakcie opowieści. Guy stracił dużo krwi, lecz wciąż miał jej tyle, by mogła zalać przebite płuco. Po wyjęciu ostrza krwawa piana wystąpiła mu na usta i skonał.

Stangret z pewnością myślał, że zbliża się jego koniec, gdy

Delaunay wstał i ruszył ku niemu ze skrwawionym mieczem w dłoni. Ale nasz pan go nie zabił; nie miał w zwyczaju pastwić się nad słabymi. “Powiedz swojemu panu” – rzekł – “że albo stanie przed sądem, albo przede mną w pojedynku. Tak czy inaczej odpowie za swoją zbrodnię”.

Stangret w odpowiedzi jeszcze bardziej się skulił. Nie zwracając na niego uwagi, Delaunay podniósł ciało Guya, przełożył je przez siodło i wolno ruszył do domu.

Przez parę dni w domu panowało zamieszanie – ciche, bo wszyscy zdawali sobie sprawę ze stanu Alcuina i nastroju Delaunaya – ale jednak zamieszanie. Ja wraz ze służącymi opiekowałam się Alcuinem, a balsamiści zajmowali się Guyem, spoczywającym w jego skromnej izbie. Rankiem drugiego dnia Delaunay wyszedł na jakiś czas, a po powrocie był milczący i zły.

– Bouvarre? – zapytałam.

– Wyjechał – odparł szorstko. – Spakował się i uciekł do La Serenissimy z połową domowników.

Delaunay stworzył rozległą sieć, ale służyła ona zdobywaniu informacji i nie gwarantowała wpływów. Jego ręce, w przeciwieństwie do umysłu, nie sięgały poza granice Terre d’Ange. Vitalis Bouvarre był bezpieczny w twierdzy rodziny Stregazza.

Delaunay krążył po bibliotece jak tygrys. W pewnej chwili popatrzył na mnie.

– Żadnych spotkań – polecił. – Dopóki Bouvarre’a nie spotka zasłużona kara. Nie chcę was narażać.

Nas? – pomyślałam, patrząc na niego.

– Nie wiesz, panie?

– O czym? – Zbyt rozkojarzony, by zajmować się więcej niż jedną sprawą naraz, usiadł przy biurku i umoczył pióro w

kałamarzu, wodząc palcem po liniijkach niedokończonego listu.

Podciągnęłam kolana i objęłam je rękami.

– Za dar od Bouvarre’a Alcuin może skończyć swoją markę – powiedziałam cicho. – Taka była druga połowa jego ceny.

Delaunay popatrzył na mnie, a jego dłoń z piórem zawisła w powietrzu.

– Co? Dlaczego? Dlaczego Alcuin miałby to robić?

Panie, pomyślałam, jesteś idiotą.

– Dla ciebie.

Delaunay powoli odłożył pióro, nie zważając, że robi kleks na liście. Widziałam nagłówek; pisał do prefekta Bractwa KasjELITÓW, zapewne z zapytaniem, czy Guy może zostać pochowany jako członek zakonu. Pokręcił głową, odrzucając moją sugestię.

– Nigdy nie poprosiłbym go o podjęcie takiego ryzyka. Nigdy. Ciebie też nie. Alcuin o tym wiedział!

– Tak, panie, wiedzieliśmy oboje – odparłam. – Właśnie dlatego nic ci nie powiedział, a na mnie wymógł obietnicę milczenia. On jednak, w przeciwieństwie do mnie, nie ma we krwi służby Naamie. Złożył śluby, żeby... żeby spłacić swój dług wobec ciebie.

Widziałam, jak krew odpływa z twarzy Delaunaya.

– Nie ma żadnego długu – szepnął. – Moja opieka nad Alcuinem wynika z czegoś innego.

– Z obietnicy złożonej przez księcia Rolanda de Courcel?

– Był moim panem! – zawołał szorstko. Spostrzegł, że się wzdrygnęłam, i złagodniał. – Ach, Fedro, wyszkoliłem was zbyt dobrze. Alcuin powinien wiedzieć, że nie ma żadnego długu.

– Może zatem ma rację, że zamiast do sypialni i intryg powinieneś przyuczyć go do używania broni, skoro chciałeś uczcić pamięć swojego pana – powiedziałam bezlitośnie. Jeśli

moje słowa sprawiły mu ból, nie zamierzałam przeproszać. Zbyt dobrze pamiętałam tamtą noc, zimne kamienie i krew Alcuina sączącą się pomiędzy moimi palcami.

– Może – mruknął Delaunay, nie ganiąc mnie za brak uprzejmości. Patrzył w przestrzeń, jakby wspominał odległe wydarzenia. – Może powinienem.

Kochałam go zbyt mocno, by kazać mu cierpieć.

– Alcuin wiedział, co robi, panie. Nie umniejszaj jego poświęcenia. Żałuje tylko, że Guy za wszystko zapłacił. Nie odbieraj mu prawa do rozpacz, a dojdzie do siebie. Zobacysz.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz. – Jego oczy nabrały blasku. – A zatem to był ostatni raz. Alcuin zarobił na swojej marce. Ty zaś...

– Ślubowałam Naamie, panie – przypomniałam mu delikatnie. – Nie możesz zwolnić mnie z przysięgi, tak jak Alcuin nie mógł złamać swojej.

– Nie. – Delaunay podniósł pióro. – Ale moje słowa pozostają w mocy. Żadnych spotkań, dopóki nie zostanie rozstrzygnięta sprawa Bouvarre'a. – Zanurzył pióro w kałamarzu. Wiedziała, że nic więcej z niego nie wydobędzie. Chrząknęłam. – Jeszcze coś? – zapytał, unosząc głowę.

– W Khebel-im-Akad przebywa delegat, ten, który na obczyźnie nabrał... egzotycznych upodobań. Za jakieś dziesięć dni ma się stawić przed królem. Jestem już umówiona na spotkanie z nim.

– Par ze świty L'Enversa. – Delaunay postukał piórem w dolną wargę, pogrążony w myślach. – Zapomniałem o nim. D'Essoms musiał cię polecić. – Zerknął na list. – Poczekamy, zobaczymy. Jeśli... Cóż, zawsze możemy ogłosić żałobę w naszym domu, zresztą zgodnie z prawdą. Ale zobaczymy.

Skłoniłam głowę, nie chcąc go bardziej naciskać. Jego spojrzenie zmusiło mnie do popatrzenia mu w oczy.

– Nie rób tego dla mnie, Fedro – powiedział łagodnie. – Jeśli czynisz to tylko z miłości do mnie... Błagam, zwróćmy się do kapłanów Naamy, znajdziemy jakiś sposób na uwolnienie cię z przysięgi. Musi być jakiś sposób, bo Naama jest litościwa.

Patrzyłam w jego umiłowaną twarz i czerwona mgiełka przysłoniła mi oczy, przesuwając się z lewego na prawe. Za Delaunayem unosiło się oblicze Kusziela, surowe i bezkompromisowe, a pod nim różga i cep. Zadrżałam. Pomyślałam o Alcuinie i Guyu.

– Nie, panie – szepnęłam i zamrugałam. W oczach mi pojaśniało. – Dzięki tobie jestem, kim jestem, i szcycę się tym, ale to Kusziel mnie wybrał i naznaczył. Pozwól mi pełnić służbę, do której zostałam stworzona, dla ciebie lub w imię Naamy.

Po chwili Delaunay ustąpił, lekko kiwając głową.

– Niech tak będzie, ale masz czekać na moje słowo – przykazał i wrócił do pisania listu.

Tak oto sprawa pomiędzy nami została rozstrzygnięta. W związku z nią mogę sobie zanucić tylko jedno: nie poświęciłam głębszej myśli temu, że kurier, który przybył po list Delaunaya, nosił barwy rodziny Courcel. Kiedy odpowiedź nie nadeszła, puściłam ten fakt w niepamięć. Delaunay jakby pogodził się z losem. Nabożeństwa żałobnego nie było – Guy nie miał rodziny, a Alcuin leżał przykuty do łóżka, więc odprawianie ceremonii bez jego udziału byłoby okrucieństwem. Delaunay zapłacił za wszystkie obrzędy i Guy został pochowany na terenach sanktuarium Elui za miastem.

Po tygodniu rana Alcuina prawie się zasklepiła i wszystko świadczyło o tym, że nie nastąpią żadne komplikacje, choć miała

pozostać blizna. Opatrywałam go codziennie, mocząc bandaże w wodzie z walerianą, żeby złagodzić ból. Nie znałam się na leczeniu, ale miałam zwinne palce i Alcuin był mi wdzięczny.

Był dobrym pacjentem i na nic się nie skarżył, zresztą narzekanie nie leżało w jego naturze. Siódmego dnia nawet się roześmiał, gdy zobaczył, jak sprawdzam węchem, czy nie wdała się gangrena.

– Jak prawdziwy lekarz – powiedział słabym głosem, opierając się piecami o poduszki. Skrzywił się, bo ruch powodował bolesne naciąganie szwów.

– Leż spokojnie – przykazałam. Zanurzyłam palce w słoiku z maścią i delikatnie posmarowałam skórę. Zakrzywiona rana wyglądała strasznie na bladym torsie, ale goiła się dobrze. – Jeśli chcesz lepszej opieki, Delaunay ją zapewni.

Alcuin pokręcił w milczeniu głową, wciąż zacięty w uporze. Popatrzyłam mu w oczy i westchnęłam. Nic nie mogło pozbawić go tego nieziemskiego piękna, ale był blady i wymizerowany.

– Guy sam dokonał wyboru – powiedziałam, kładąc na ranie świeżą płócienną szmatkę. – Znał ryzyko lepiej niż któreś z nas. Został wynajęty do zabicia Delaunaya, a on mu wybaczył i przyjął go pod swój dach. Umniejszysz wagę jego poświęcenia, jeśli weźmiesz winę na siebie.

To było pierwsze, co przemówiło do jego serca.

– Nic nie usprawiedliwi mojej głupoty – powiedział oschle.

– Pewnie, że nie – prychnęłam, okręcając mu tors bandażem. – Inni mogą pobłądzić, ale przecież nie Alcuin nó Delaunay. Posłuchaj, skoro ty obwiniasz się za śmierć Guya, to jak myślisz, o ile bardziej Delaunay wini się za to, że nie spostrzegł, iż gardzisz służbą Naamie? Powiem ci jedno, Alcuinie: powinieneś z nim porozmawiać.

Przez chwilę myślałam, że zmięknie, ale linia jego ust stwardniała i znowu potrząsnął głową, kończąc rozmowę. Nie zrażona, krzątałam się po pokoju; wyniosłam miskę, zwinęłam bandażę i zakorkowałam słoiczek z maścią.

– Kim jest Teresa Stregazza? – zapytałam, kiedy oceniłam, że przestał zwracać na mnie uwagę. – Najstarszą córką? Myślałam, że córki księcia Benedykta noszą nazwisko Courcel.

– Z urodzenia są księżniczkami krwi, jak Lyonetta de Trevalion, ale Teresa poślubiła kuzyna Stregazza, Dominika. – Alcuin zawsze był lepszy ode mnie w genealogii rodów królewskich. Udało mi się rozbudzić jego zainteresowanie; słowa Alcuina trochę wyprzedzały myśli. – Mezalian, wedle powszechnego mniemania; Dominik jest drobnym hrabią, choć z drugiej strony Teresa była drugą córką. Najstarszą jest Marie-Celeste, która wyszła za syna doży. Jej syn odziedziczy władzę w La Serenissimie.

Ale założę się, że po śmierci księcia Rolanda Dominik Stregazza zamyslał obstać tron D'Angelinów swoją rodziną.

– I stwierdził, że ród L'Envers stoi mu na drodze. Musiał być strasznie rozczarowany! Ale posłuchaj, dlaczego Delaunaya interesowało, kto zabił Izabelę L'Envers? Z tego, co mówią, była jego wrogiem.

Alcuin wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia.

– Może kochał ją, nie Edmee de Rocaille – zasugerowałam. – Może jej zdrada polegała nie na spowodowaniu śmierci pierwszej narzeczonej księcia Rolanda, lecz na tym, że została drugą.

Szeroko otworzył oczy.

– Jak możesz tak mówić, Fedro? Delaunay nikomu nie

wybaczyłby morderstwa. Nigdy! I dlaczego miałyby dotrzymywać obietnicy złożonej przez księcia i brać mnie pod opiekę, gdyby to była prawda?

– Wyrzuty sumienia? – podsunęłam. – Wpadł w gniew, kiedy przy innej okazji wspomniałam imię Rolanda. Może od początku źle to wszystko interpretujemy, może Delaunaya i Izabelę L’Envers de la Courcel łączyła nie wrogość, lecz gorzka miłość.

Alcuin przygryzał dolną wargę, zastanawiając się nad moimi słowami, podczas gdy ja na siłę powstrzymywałam się od uśmiechu. Zarzuciłam przynętę, chcąc zająć czymś jego myśli, ale sugestia brzmiała zbyt przekonująco, żeby ją zignorować.

– Chyba zwariowałaś, skoro tak myślisz – powtórzył, wyraźnie przejęty, z rumieńcami na bladych policzkach. – Delaunay nie postąpiłby tak niegodnie.

– Cóż. – Usiadłam i skrzyżowałam ręce na piersi, obrzucając go długim spojrzeniem. – Nigdy się nie dowiesz, jeśli z nim nie porozmawiasz. Masz o wiele większe szansę na wydobyć z niego prawdy niż ja.

Oboje zostaliśmy wyszkoleni przez mistrza; już po paru sekundach Alcuin zorientował się, jaki był cel moich zabiegów, i wybuchnął śmiechem. Prawdziwym śmiechem, swobodnym i niepohamowanym; takim, jakim powitał mnie pierwszego dnia w domu Delaunaya.

– Nic dziwnego, że stale ubiegają się o twoje wdzięki! Ja swoją cenę podałem Vitalisowi Bouvarre’owi jak przekupka na targu, ty zaś wyciągasz z ludzi sekrety, a oni ci za to płacą. Chciałbym mieć choć połowę twojego talentu.

– Ja też bym tego chciała – powiedziałam smętnie. – Albo żeby to, co robisz, choć w połowie sprawiało ci taką przyjemność.

– Nawet połowa mogłaby mnie zabić. – Uśmiechnął się i

przesunął w palcach fałdę mojej sukni. – Twoje rozkosze są zbyt silne jak na mój gust, Fedro.

– Porozmawiaj z nim – powiedziałam, po czym go pocałowałam i wyszłam.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Rany wszelkiego rodzaju goją się we własnym tempie, bez wpływu na bieg wydarzeń. Rogier Clavel z otoczenia Barquiela L'Envers zawitał na ojczystej ziemi. Przez cały długi dzień przed umówionym spotkaniem myślałam, że Delaunay je odwoła. Zjawił się w domu z najemnikiem o nieprawdopodobnym imieniu Miqueth, eisandyjskim *tauriere* z okazałą blizną na lewej skroni.

Mój nowy strażnik przemienił sztukę władania bronią w intratny interes i Delaunay uznał, że jest dość wiarygodny. Był szczupły i smagły, z brwiami zbiegającymi się nad nosem w wiecznym grymasie niezadowolenia. Nie wątpiłam w jego talent do walki wręcz, ale z zaskoczeniem stwierdziłam, że ogromnie brakuje mi Guya. Jechaliśmy razem powozem Delaunaya i nerwowość Miquetha mnie irytowała.

Moje spotkanie z Clavelem miało odbyć się w samym pałacu. Na szczęście mój strażnik milczał, gdy przemierzaliśmy marmurowe sale, zadowalając się krążeniem za moimi plecami i patrzeniem wilkiem na każdego, kogo mijaliśmy. Znajdowaliśmy się w jednym z mniej reprezentacyjnych skrzydeł, zamieszkanym przez urzędników, nie spotkaliśmy więc nikogo znajomego, choć parę osób poznało mój płaszcz *sangoire* i obrzuciło mnie ukradkowymi spojrzeniami – wiedzieli, kim jestem i co to oznacza.

Rogier Clavel przyjął mnie ochoczo. Wyglądał jak rasowy D'Angelin, ale życie w luksusach na dworze kalifa miało wpływ

na zaokrąglenie jego kształtów. Miał wyniosłe maniery dworaka i szybko odprawił Miquetha, czego nie miałam mu za złe. Delaunay i ja wiele razy omówiliśmy naszą strategię, nie potrzebowałam jednak nikogo, kto by mnie rozpraszał.

– Fedra nó Delaunay – powiedział Rogier Clavel formalnym tonem, który nie do końca maskował drżenie głosu, wywołane pożądaniem. – Byłbym ci wdzięczny, gdybyś to włożyła. – Pstryknął palcami na służącego, który przyniósł zwiewną szatę z gazy, strój hurysy z haremu.

Zagryzłam usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem; postępował w myśl scenariusza żywcem wyjętego z *Fantazji paszy*, standardowego tekstu Dworu Nocy. Spodziewałam się czegoś więcej po bywalcu dworów w Khebel-im-Akad; powinien chyba odczuwać przesyt takimi rzeczami.

Mimo wszystko wiedziałam, czego się po mnie spodziewa, dlatego ubrałam się w przejrzyste szaty. Rogier zniknął, a mnie wprowadzono do komnaty sypialnej urządzonej z prawdziwie akadyjskim przepychem. Była przepiękna, zarzucona poduszkami ze złotymi frędzlami, obwieszona bogatymi jedwabnymi gobelinami utkanymi w skomplikowane, abstrakcyjne desenie. Opadłam na kolana i, czekając, zastygłam w pozie *abeyante*. Ta pierwsza z moich lekcji wciąż należy do najbardziej cennych. Po chwili wszedł Rogier Clavel we wspaniałym stroju paszy. Powstrzymując się od śmiechu na widok pucołowatych policzków i pulchnych podbródków pod imponującym turbanem, pochyliłam się, żeby ucałować zadarte noski jego giemzowych pantofli.

Mężczyźni w Khebel-im-Akad dobrze pilnują swoich kobiet – tak słyszałam i tak wywnioskowałam z jego żądy przemieszanej z pogardą. Clavel nie miał do nich dostępu i to go złościło. Kiedy

to rozumiałam, byliśmy już dość mocno zaangażowani w obustronną grę. Nie miał prawa wstępu do haremu, ale miał za to dość złota, żeby zapłacić za tę popołudniową przyjemność. Egzotyczne upodobania, jakich nabrał za granicą, były niekwestionowane. Z kańczugiem o złoconej rękojeści gonił mnie po poduszkach i smagał po pośladkach, dysząc ciężko na widok czerwonych pręg. Kiedy jęknął z ogromnego podniecenia, przeszłam do *languisement*. Na klęczkach rozpięłam obszerne szarawary i wzięłam go w usta. Pomyślałam, że na tym zakończymy, ale zdołał mnie zaskoczyć. Przewrócił mnie na plecy, zadarł moje nogi w powietrze i złożył hołd Naamie z wielkim entuzjazmem, dając upust hamowanej przez dwa lata chuci.

Okazał zdziwienie, gdy doprowadził mnie do orgazmu, a potem traktował nadzwyczaj troskliwie, co przyprawiało mnie o śmiech.

– Zapłaciłeś za rozkosz z *anguisette*, panie – powiedziałam. – Czy nie jesteś zadowolony?

– Jestem! – zawołał z szeroko otwartymi oczami, pieszczotliwie gładząc mnie po włosach. – Na Jaja Elui, tak! Po prostu myślałem, że to tylko wymysł.

– Nie jestem wymysłem – powiedziałam, wspierając się na łokciu, żeby mógł zobaczyć szkarłatną plamkę w moim oku. – Czy to znaczy, że w Khebel-im-Akad nie mają *anguisette*? Słyszałam, że to okrutny kraj.

– Strzała Kusziela nie uderza tam, gdzie nie postawił stopy Elua i jego Towarzysze – odparł Rogier Clavel, gładząc przez cienką gazę moją pierś. – W istocie, to surowy kraj, i cieszę się, że mogę od niego odetchnąć. – Cień przemknął mu po twarzy. – “Pszczola brzęczy w lawendzie...” – pięknym, melancholijnym

głosem zacytował fragment *Lamentu wygnańca* – “w plastrze przybywa miodu...”. Zrozumiałem gorzkość nostalgii dopiero wtedy, gdy sam znalazłem się daleko od domu.

Szło łatwiej niż przypuszczałam. Uśmiechnęłam się i odwróciłam, przysiadając na piętach, żeby podpiąć włosy.

– Czy tak jest ze wszystkimi D’Angelinami? Czy diuk L’Envers też tęskni za domem?

– Och, mój pan pochodzi z rodu Elui i myślę, że wszędzie potrafiłby się urządzić – powiedział, patrząc na mnie z głodem w oczach. – Kalif dał mu ziemie, konie i ludzi. A jednak nawet on tęskni za Terre d’Ange. Dotarły do nas wieści o upadku rodu Trevalion. Diuk chciałby wrócić do kraju, gdy wyda córkę za mąż, i zrzec się swojego urzędu. Przybyłem z petycją do króla w jego imieniu.

Moje ręce znieruchomiały we włosach. Siłą wprawiłam je w ruch, zwijając pukle w luźny węzeł podpięty akadyjską spinką.

– Siostra diuka wychodzi za mąż?

– Za syna kalifa. – Rogier Clavel wyciągnął spinkę i napełnił garście moimi włosami. – Zrób... zrób jeszcze raz to co wcześniej – poleciał, przyciągając moją głowę. – Spraw, żeby tym razem trwało dłużej.

Zrobiłam, i to dobrze, choć nie był klientem, którego bym wybrała. Brakowało mu prawdziwej iskry ognia Kusziela, miał w sobie tylko wielką frustrację. Wiedziałam o tym dobrze, ale nigdy nie powiedziałabym tego na głos. Delaunayowi zależało na nawiązaniu kontaktu, a poza tym nieuprzejmość wobec klienta nigdy się nie opłaca. W gruncie rzeczy nie miałam nic przeciw temu. Po latach nauki pod kierunkiem Cecylii Laveau-Perrin wprowadzanie teorii w życie sprawiało mi dużą przyjemność. Byłam urodzoną *anguisette* i w tej kwestii nie mogłam

przypisywać sobie zasługi, miałam jednak prawo być dumna ze swoich umiejętności, dorównujących tym, jakimi wykazywali się najlepsi adepci Pierwszego z Trzynastu Domów.

– Ach, Fedro – jęknął Rogier Clavel, kiedy było po wszystkim. Leżał rozpostarty na poduszkach, rozłożywszy leniwie pulchne kończyny. Wyglądał bezbrinnie i słodko, patrząc na mnie z czułością, gdy wkładałam suknię. – Fedro nó Delaunay... jesteś najwspanialszą istotą, jaką kiedykolwiek znałem. – Uśmiechnęłam się w odpowiedzi i uklęknęłam z wdziękiem, żeby narzucić szatę. – Jeśli... Fedro, jeśli król spełni prośbę diuka L'Envers i wrócę z nim do kraju, czy będę mógł znów cię zobaczyć?

Wiedziałam, że Delaunay zwlekał dłuższy czas z przyjęciem oferty Clavela – właśnie z tego powodu. Usiadłam i przybrałam poważną minę.

– Panie, to nie zależy ode mnie. Mój pan Delaunay stara się wybierać klientów spośród największych rodów. Czy jeden z nich mnie polecił?

– To był... – Moje słowa zasmuciły go na chwilę, teraz jednak twarz mu się rozjaśniła. Zastanawiałam się, czy padnie nazwisko Childrica d'Essoms. – Był to ktoś wysoko postawiony na dworze. Fedro, mam mnóstwo złota i z pewnością zostanę nagrodzony ziemią, jeśli uzyskamy zgodę na powrót. Król okaże wdzięczność, bo diuk znacznie się przyczynił do poprawienia stosunków D'Angelinów z kalifem.

Tak, i przy okazji zaręczył swoją córkę z następcą kalifa, co znacznie poprawiło stosunki rodziny L'Envers z Khebel-im-Akad. Oczywiście nie powiedziałam tego, tylko wymruczałam:

– W istocie, jest coś, za co mój pan Delaunay byłby wdzięczny.

– Co? – Rogier Clavel przywarł chciwie do moich rąk. – Jeśli to

w mojej mocy, z przyjemnością spełnię jego prośbę.

– Istnieje... zadawniona waśń... między moim panem i diukiem – powiedziałam, z powagą patrząc mu w oczy. – Nie powiem, że łatwo ją załagodzić, ale mój pan byłby rad, gdybyś szepnął diukowi, iż nie jest przeciwny przywróceniu pokoju między ich rodami.

– Delaunay nie pochodzi z najwyższego rodu – zauważył Rogier Clavel z zadumą. Rozanielony czy nie, na pewno nie był głupcem. – Anafiel Delaunay... mniejsza z tym. – W milczeniu skłoniłam głowę, a on wyciągnął rękę i uniósł mój podbródek. – Czy twój pan jest skłonny ręczyć słowem?

– Mój pan Delaunay jest człowiekiem honoru – odparłam zgodnie z prawdą. – Nie mówiłby o pokoju, gdyby miał złe zamiary.

Deliberował przez dłuższą chwilę, wodząc wzrokiem po moich kształtach, wreszcie pokiwał głową.

– Wspomnę o tym, jeśli nadarzy się okazja. Powiedz, czy spotkamy się ponownie?

– Tak, panie. – Wyrażenie zgody nic mnie nie kosztowało. Jego uśmiech jaśniał niczym jutrzienka, gdy szedł do stołu, po drodze zapinając pas.

Otworzył szkatułę i zanurzył w niej rękę, napełniając je złotymi monetami z nieznaną akadyjską pieczęcią. Sypnął to bogactwo na moje kolana, gdy wciąż jeszcze klęczałam.

– Masz! – zawołał zduszonym głosem. – Gdybyś zapomniała o swojej obietnicy, to powinno ci o mnie przypomnieć! Zapalę świece Naamie na twoją cześć, Fedro.

Zebrałam złoto w podolek, podniosłam się i pocałowałam go w policzek.

– Tego dnia oddałeś jej wielki hołd trzy razy, panie –

powiedziałam ze śmiechem. – Z pewnością twoje imię jeszcze brzmi w jej uszach.

Zarumienił się i wezwał służących.

Był wieczór, gdy wróciłam do domu. Delaunay podziękował Miquethowi za dobrze wykonaną robotę – niewiele miał do zrobienia, chociaż trzeba przyznać, że jego sroga mina trzymała wszystkich na dystans – i odprawił go z zapłatą. Cieszyłam się, że nie przyjął go na stałe, choć bez wątpienia miałam zobaczyć jego lub jemu podobnych, jeśli chciałam odbyć kolejne spotkanie. Może Hiacynt znalazłby kogoś, kto bardziej by mi odpowiadał, pomyślałam.

– Chodź na dziedziniec – powiedział Delaunay. – Jest dość ciepło, gdy węgle żarzą się w koszu.

Na dziedzińcu mogliśmy wygodnie usiąść, a jesienne liście wyglądały prześlicznie w blasku pochodni. Z zaskoczeniem ujrzałam Alcuina. Leżał na sofie okryty ciepłym kocem, żeby chłód nie zaszkodził ranie. Uśmiechnąwszy się lekko, popatrzył mi w oczy.

– Siadaj. – Delaunay wskazał ręką sofę i sam zajął miejsce na drugiej. Pochylił się, żeby nalać likieru z karafki. – Powiedz... – zaczął, podając mi kieliszek – co porabia Barquiel L’Envers?

Napiłam się likieru.

– Diuk L’Envers ma zamiar zrzec się urzędu i wrócić do Terre d’Ange, panie. Zostawi na swoim miejscu córkę wydaną za syna kalifa.

Delaunay uniósł brwi.

– Khebel-im-Akad sprzymierzony z rodziną L’Envers? Lwica z Azalii musi przewracać się w grobie. Ha, nic dziwnego, że Barquiel jest gotów wrócić do domu. Dostał to, po co pojechał.

– Poza tym następca kalifa będzie spowinowacony z

dziedziczką tronu D'Angelinów – powiedział Alcuin. – Niezły alians.

– Panie. – Odstawiłam kieliszek i popatrzyłam pytająco na Delaunaya. – Czy dlatego pragniesz pokoju z rodziną L'Envers?

– Do dziś o niczym nie wiedziałem. – Delaunay pokręcił głową. – Nie, nie dlatego. – Wpatrzył się w pochodnię, z miną, jaką przybierał, gdy analizował nieznane nam informacje. Zerknęłam na Alcuina, który pokręcił głową; wiedział nie więcej niż ja. – Barquiel i ja nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, ale przyświecają nam wspólne cele. Najwyższa pora zakończyć wojnę albo przynajmniej ogłosić rozejm. Czy stało się tak, jak planowaliśmy? Czy Clavel przystał na twoją propozycję?

– Porozmawia z L'Enversem, jeśli będzie miał okazję, choć niczego nie obiecał. – Podniosłam kieliszek i z uśmiechem wypięłam łyżeczkę likieru. – Sądzę jednak, że wspomnienie dzisiejszego dnia zachęci go do działania. Powiedziałam otwarcie, na czym ci zależy, a on nie poskąpił mi złota... które nie budzi we mnie odrazy.

– A on sam?

Wzruszyłam ramionami.

– Łatwo go zadowolić. Spędzałam nudniejsze popołudnia, nie mając nawet złamanego centyma na pocieszenie. Za jego dar moja marka powiększy się o pięć centymetrów.

– W takim razie możesz dotrzymać słowa, jeśli wróci, ale tylko raz... chyba że król w uznaniu za zasługi wyniesie go do rangi godnych ciebie klientów. Z drugiej strony, chciałbym, żeby wszyscy oni byli tacy nieszkodliwi – dodał ze smutkiem, przenosząc spojrzenie na Alcuina.

– Każdy może stać się niebezpieczny, gdy zostanie przyparty do muru, niezależnie od płci – mruknął Alcuin. – Dobrze

opanovałem tę lekcję, choć poniewczasie. Panie, co teraz zrobisz?

– Teraz? – zapytał Delaunay, zaskoczony. – Nic, będę czekać na wieści o reakcji króla na petycję L'Enversa i... jeszcze na coś. Wtedy zobaczymy.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Upłynęło kilka dni, nim usłyszeliśmy wieści o ślubie Walerii L'Envers z Sinaddan-Shamabarsinem, dziedzicem kalifa Khebelim-Akad. Król pobłogosławił temu związkowi i spełnił prośbę diuka L'Envers, choć pod jednym warunkiem. Jeśli rodzina L'Envers liczyła na zachowanie monopolu wpływów w Khebelim-Akad, to mogła pożegnać się z nadziejami. Ambasadorem został hrabia Richard de Quille, który nie żywił wielkiej miłości do klanu L'Envers.

Sprawy te były interesujące, ale przecież rozgrywały się daleko w kraju, z którym łączyły nas co najwyżej luźne więzi. Nie rozumiałam, dlaczego Delaunay przywiązuje do nich tak wielką wagę. Kiedy napłynęły wieści o rychłym powrocie L'Enversa, pomyślałam, że wyjawi swoje powody, on jednak zachował milczenie.

Jasno dał do zrozumienia, że nie umówi mnie na żadne spotkanie, dopóki nie stanie się to, na co czeka. Co gorsza, zabronił mi wizyt w Progu Nocy i widywania się z Hiacyntem. Kiedy zasugerowałam, że Hiacynt mógłby mi znaleźć odpowiedniego strażnika, tylko się roześmiał. Skazana na bezczynność, wynajdywałam sobie różne zajęcia. Mój dawny mistrz akrobata byłby zadowolony, gdyby mógł zobaczyć, że nie zapomniałam wszystkiego, czego mnie nauczył. Poza tym ćwiczyłam sumiennie grę na harfie, lutni i kitarze, ale te przyjemności, będąc wymuszonymi, szybko straciły swój urok.

Alcuin wrócił do zdrowia i atmosfera w domu uległa

poprawie, z czego bardzo się ucieszyłam. Nie sądziłam, by Alcuin i Delaunay w pełni doszli do porozumienia, bo śmierć Guya wciąż bolała jak otwarta rana, ale straszne napięcie w końcu się skończyło. Kiedy Alcuin wydobrzeł na tyle, żeby móc podróżować, Delaunay zabrał go do sanktuarium Naamy, dokąd jeździłam czasami z Cecylią Laveau-Perrin.

Nie wiem, co zrobili kapłani i kapłanki. Alcuin mi nie powiedział, ja zaś nie pytałam. Spędził tam trzy dni, a po powrocie poznałam, że został oczyszczony ze wszystkich grzechów, których dopuścił się przeciwko Naamie. Wszystkie jego słowa i gesty świadczyły, że przynajmniej częściowo uwolnił się od ciężaru winy. Kąpiele w leczniczych źródłach też wyszły mu na dobre. Delaunay wypuszczał go z domu rzadziej niż mnie, ale po zasięgnięciu rady u jezuitskiego doktora sprezentował mu eleganckiego siwka pod siodło. Tak bardzo się cieszyłam z jego powrotu do zdrowia, że nawet nie byłam zazdrosna. Poza tym jest w zwyczaju obdarowywanie adepta po zrobieniu marki; nasz pan z pewnością na tyle dobrze znał tradycje Dworu Nocy, żeby o tym wiedzieć.

Ściśle mówiąc, marka nie została jeszcze ukończona, bo z powodu rany Alcuin nie mógł długo leżeć na brzuchu. Miał jednak potrzebną sumę w szkatułce i nie ulegało wątpliwości, że jego niewola dobiegła końca. Wspomniałam o tym mistrzowi Tielhardowi, kiedy Delaunay wreszcie pozwolił mi wyjść z domu. Wyruszyłam z darem od Rogiera Clavela, eskortowana przez Hovela i drugiego służącego. Obaj spędzili czas na grze w kości w winiarni, a ja zazdrościłam im wolności. Nuda doskwierała mi do tego stopnia, że z przyjemnością wyszorowałabym nocnik markizy Belfours – w nadziei na rozrywkę w postaci upragnionej chłosty.

Będąc w takim stanie ducha, rozkoszowałam się zabiegami markarza, ukołysana rytmicznym stukaniem młoteczka w nabitą igłami rączkę. Mistrz Tielhard kręcił głową i mruczał pod nosem, choć leżałam spokojnie i nie dawałam mu powodów do narzekań. Zamiast skupiać się na bólu w konkretnym punkcie, rozluźniłam się, dzięki czemu odczuwałam go całym ciałem. Sesja skończyła się zbyt szybko i byłam zaskoczona, kiedy mistrz Tielhard dał mi lekkiego klapsa.

– Skończone, dziecko – burknął, a ja odniosłam wrażenie, że mówi mi to drugi raz. – Ubierz się i ruszaj w swoją stronę.

Usiadłam, mrugając; wewnątrz zakładu markarza zasnuwała czerwona mgielka. Gdy się rozproszyła, zobaczyłam czeladnika idącego ku mnie ze spuszczonego wzrokiem. Zarumienił się, podając mi suknię. Był już prawie dorosły, ale nie mniej wstydlivy niż w czasie mojej pierwszej wizyty. Przedłużona marka paliła mnie żywym ogniem. Zastanowiłam się, co powiedziałby mistrz Tielhard, gdybym zabrała czeladnika na zaplecze i wyleczyła go z tej nieśmiałości. “Jestem pewien, Fedro, że nie zawiodłabyś w taki sposób zaufania pana Delaunaya”. Z westchnieniem włożyłam suknię. Miałam nadzieję, że niedługo Delaunay pozwoli mi wrócić do służby Naamie.

Kiedy wkroczyłam do domu ze swoją podochoconą eskortą, pokojówka wyszła mi na spotkanie.

– Pan Delaunay czeka w bibliotece, Fedro – szepnęła, nie patrząc mi w oczy. Nieraz brakowało mi Domu Cereusa, gdzie znałam wszystkich służących po imieniu i nazywałam ich przyjaciółmi; największa tęsknota doskwierała mi teraz, w czasie mojego przymusowego uwięzienia. Ale wezwanie podniosło mnie na duchu, bo pomyślałam, że być może moje nadzieje w końcu się ziszczą.

Delaunay uniósł głowę, gdy weszłam, osłaniając oczy przed popołudniowym słońcem. Złota powódź zalewała stojące na półkach tomy.

– Wzywałeś mnie, panie? – zapytałam grzecznie.

– Tak. – Uśmiechnął się, lecz spojrzenie miał poważne. – Fedro... zanim przejdę do rzeczy, chciałbym o coś zapytać. Domyślasz się, że twoje poczynania mają jakiś cel. Jeśli go nie wyjawilem, to w przeświadczeniu, że niewiedza zapewnia ochronę. Niedawne wydarzenia przypomniały mi, jak bardzo jest ona zawodna. To, co robisz, moja droga, jest niebezpieczne. Dlatego zapytam cię jeszcze raz: Czy nadal chcesz służyć?

Moje serce skoczyło z radości. Najwyraźniej zanosilo się na następne spotkanie.

– Panie, wiesz, że tak – odparłam, nawet nie próbując zamaskować żaru.

– Dobrze. – Znów patrzył na coś, co tylko on widział, po czym spojrzał na moją twarz. – Wiedz zatem, że nie mam zamiaru dwa razy podejmować tego samego ryzyka. Dlatego o twoje bezpieczeństwo dbać będzie nowy towarzysz. Członek Bractwa Kasjelitów.

Otworzyłam ze zdumienia usta.

– Mój pan raczy żartować – powiedziałam słabym głosem.

– Nie. – W jego oku zamigotał błysk rozbawienia. – To nie żart.

– Panie... Ma mnie pilnować jakiś wysuszony, zramolały kasjelita? – Niemal się jąkałam ze złości. – W czasie spotkania? Każesz sześćdziesięcioletniemu, żyjącemu w celibacie mnichowi chronić sługę Naamy... *anguisette!* Na Eluę, wolałabym, żebyś z powrotem sprowadził Miquetha!

Tym, którzy nie znają kultury D'Angelinów spieszę wyjaśnić, że Bractwo Kasjelitów nie pochwała życia według przykazań

Błogosławionego Elui, będąc zresztą w swoim podejściu równie odosobnione jak sam Kasjel. Kasjelici służą z bezgranicznym oddaniem, ale nie wyobrażam sobie niczego, co mogłoby bardziej odstręczyć wyznawcę Naamy, niż ich chłodna, pełna dezaprobaty pogarda.

Poza tym są okropnie nieeleganccy.

Delaunay tylko uniósł brwi na moją tyradę.

– Naszemu panu i królowi, Ganelonowi de la Courcel, stale towarzyszą dwaj członkowie Bractwa Kasjelitów. Myślałem, że poczujesz się zaszczycona.

W istocie, nawet najbardziej fantastyczne opowieści nie wspominały o kasjelicie służącym komuś, kto nie pochodził z wielkiego rodu, co tu więc mówić o ochronie kurtyzany. Ten fakt skłoniłby mnie do zastanowienia, gdyby nie szok, jaki wywołały u mnie słowa Delaunaya. W owej chwili nie potrafiłam wybiec myślami poza obecność ascetycznego, szarego kasjelity w domu gorącokrwistego klienta.

– Guy był wyszkolony przez braci kasjelitów i popatrz, co go spotkało! – uniosłam się. – Dlaczego myślisz, że z kasjelita będę bardziej bezpieczna?

Spojrzenie Delaunaya znowu przesunęło się w bok, a zza moich pleców dobiegł spokojny głos:

– Skoro Guy został wyrzucony z zakonu w wieku czternastu lat, to znaczy, że dopiero rozpoczął szkolenie.

Rzuciłam okiem na Delaunaya i odwróciłam się.

Młody człowiek stojący w cieniu skłonił się w tradycyjny sposób Bractwa Kasjelitów, krzyżując ręce na wysokości piersi. Ciepłe promienie słońca błysnęły na stali zarękawi i metalowej siatce okrywającej grzbiety dłoni. Nisko u jego pasa wisiały dwa sztylety, a nad ramieniem sterczała rękojeść miecza. Młodzieniec

wyprostował się i spojrzał mi w oczy.

– Fedro nó Delaunay, jestem Joscelin Verreuil z Bractwa Kasjelitów – rzekł. – To dla mnie zaszczyt, że mogę ci służyć.

Jego formalny ton i postawa świadczyły, że myśli zgoła inaczej. Widziałam twardą linię szczęki i mocno zaciśnięte usta.

Piękne usta.

Prawdę mówiąc, Joscelin Verreuil był piękny niemal pod każdym względem. Miał szlachetne, choć trochę staroświeckie rysy prowincjonalnego arystokraty, oraz proporcjonalne ciało helleńskiego atlety; szkoda tylko, że szpecił go ponury, popielatoszary strój zakonny. Jego oczy przywodziły na myśl jasne, letnie niebo, a włosy, związane na karku w kasjelicki harcap, miały kolor pszenicy gotowej do zżęcia.

W tej chwili niebieskie oczy patrzyły na mnie z ledwo skrywaną niechęcią.

– Joscelin zapewnia, że to, co spotkało Alcuina i Guya, nigdy nie przytrafiłoby się osobie oddanej pod jego opiekę – rzekł Delaunay chłodno. – Skrzyżowałem swój miecz z jego sztyletami i z zadowoleniem stwierdziłem, że to prawda.

Brat kasjelita nigdy nie dobywa miecza, chyba że ma zabić. Słyszałam o tym kiedyś, gdy niedoszły zabójca przypuścił atak na króla. Z namysłem odwróciłam głowę w stronę Delaunaya.

– Pokonał cię samymi sztyletami?

Delaunay bez słowa pokiwał głową, a Joscelin uklonił się ze skrzyżowanymi rękami. Oceniłam, że jest niewiele starszy ode mnie.

– W imię Kasjela, chronię i służyć – wyrecytował.

Bez zaproszenia zajęłam miejsce, z którego mogłam obserwować ich obu. Oparcie krzesła podrażniło mi plecy, pokryte nowymi liniami marki. Jeśli się zgodzę, Delaunay

pozwole mi wrócić do służby Naamie. Jeśli nie... cóż, Delaunay nie zaproponował wyboru. Wzruszyłam ramionami.

– Panie, dobre i to, że jest dość urodziwy, by w fantastycznym stroju uchodzić za adepta Domu Cereusa. Skoro tego sobie życzysz, niech tak będzie. Czy napłynęła jakaś propozycja?

Kątem oka zobaczyłam, że Joscelin Verreuil nastroszył się, gdy przyrównałam go do adepta Dworu Nocy. Delaunay wykrzywił usta i byłam pewna, że też to spostrzegł, ale odpowiedział poważnie:

– Mnóstwo propozycji, Fedro. Proszę, żebyś najpierw rozpatrzyła jedną z nich, jeśli zechcesz mnie wysłuchać.

Skłoniłam głowę.

– W imię Kusziela...

– Dość. – Delaunay uniósł rękę, żeby mnie uciszyć, lecz jego spojrzenie objęło również Joscelina Verreuil. – Fedro, kto jak kto, ale ty nie powinnaś szydzić z tych, którzy służą Towarzyszom Elui. Joscelinie, twój prefekt uznał, że służba w moim domu nie uchybia godności zakonu, i jeśli podważysz jego decyzję, możesz zostać oskarżony o herezję.

– Jak mój pan każe – powiedział Joscelin z kolejnym ukłonem.

To ciągle kiwanie działałoby mi na nerwy, gdyby nie robił tego z tak wielkim wdziękiem.

– O co chodzi? – zapytałam Delaunaya.

Popatrzył na mnie uważnie.

– Diuk L'Envers wraca za dwa tygodnie. Chciałbym, abyś poprosiła pana Childrica d'Essoms o przekazanie mu, że pragnę się z nim spotkać.

– Panie, dlaczego d'Essomsa? – Uniosłam brwi. – Przecież ma to załatwić Rogier Clavel.

– Clavel jest drobnym urzędnikiem. – Delaunay pokręcił

głową. – Spełnił swoją rolę. Barquiel L’Envers urósł w siłę dzięki temu nowemu przymierzui i odprawiłby go od ręki, ale d’Essomsa wysłucha. Ponieważ nie mogę sobie pozwolić na dalszą zwłokę, musisz przekonać Childrica.

– Wtedy będzie wiedział – powiedziałam krótko.

– Tak. – Delaunay wsparł brodę na pięści. – Dlatego czekałem na odpowiedź prefekta. Myślisz, że spróbuje wziąć odwet na tobie?

Zerknęłam na Joscelina Verreuil, znajdując niespodziewaną pociechę w spokojnej sile sugerowanej przez siwą kasjelicką szatę i bliźniacze sztylety u pasa. Patrzył prosto przed siebie, nie chcąc spojrzeć mi w oczy.

– Może... nie. D’Essoms od początku wiedział, że biorę udział w twojej grze. Nie wiedział tylko, na czym polega moja rola. – A próba wydobycia ze mnie tej informacji stanowiła podstawę jego rozkoszy. Poczulałam ukłucie żalu na myśl, że stracę takiego klienta. Był moim pierwszym.

– W takim razie pójdiesz do niego – powiedział Delaunay. – Ganelon de la Courcel poważnie niedomaga i jest coraz mniej czasu. Niech się stanie.

– Spotkanie nie jest umówione?

Pokręcił głową.

– Chciałbym sprawić mu niespodziankę. Myślisz, że przyjmie cię bez zaproszenia?

Pomyślałam o Childricu d’Essoms, o podarkach, jakie przysłał, żeby wynagrodzić poparzenie.

– Tak, panie, przyjmie mnie. Jaką przynętę mam podsunąć?

Rysy Delaunaya stały się surowe, surowsze niż pełna dezaprobaty twarz Joscelina Verreuil.

– Niech powie diukowi Barquielowi L’Envers, że wiem, kto

zabił jego siostrę.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Nie tracąc czasu, Delaunay wyprawił mnie tego samego dnia. Poza rezydencją w Mieście, d'Essoms miał również prywatne komnaty w pałacu. Spotykałam się z nim tam wcześniej – czasami sprawiało mu przyjemność chłostanie mnie na oczach parów królestwa – ale nigdy dotąd nie musiałam go szukać. Nie musiałam szukać żadnego ze swoich klientów, dlatego czułam się trochę dziwnie.

Joscelin milczał przez całą drogę, jak Guy, ale choć w swoim stonowanym stroju wtapiał się w cienie, nie mogłam zapomnieć o jego obecności. Nie wątpiłam, że mną pogardza. Z jego błękitnych oczu biło oburzenie na rolę, do jakiej został zmuszony; każda linia jego ciała krzyczała o sponiewieranej godności. Staralam się nie zwracać na niego uwagi, gdyż miałam na głowie ważniejsze sprawy, ale nie było to łatwe.

Tworzyliśmy osobliwą parę, gdy wysiedliśmy z powozu i szliśmy przez zachodnie skrzydło pałacu. Pod płaszczem *sangoire* miałam skromną suknię z brązowego aksamitu, a włosy ujęłam w czarną siateczkę, sądząc jednak po reakcji napotkanych osób, równie dobrze mogłabym wyskoczyć prosto z alkowy z napisem na czole, że jestem służką Naamy. Obok mnie kroczył poważny Joscelin w popielatym stroju, z prostymi zarękawiami ze stali. Bezskutecznie próbowałam ocenić, czy był już kiedyś w królewskim pałacu. Jeśli majestat tego miejsca zrobił na nim wrażenie, to tego nie okazał.

Służący otworzył drzwi komnat d'Essomsa, poznał mnie i

cofnął się o krok. Zobaczyłam, że przesuwa zdumione spojrzenie na brata kasjelitę.

– Pani Fedra nó Delaunay – powiedział z ukłonem, odzyskując zimną krew. Nie miałam tytułu, ale należałam do domu Delaunaya i słudzy uważali, że lepiej grzeszyć zbytkiem uprzejmości niż jej brakiem. Powinnam w podobny sposób odnosić się do Guya, pomyślałam z żalem. – Mój pan d’Essoms nie spodziewa się ciebie.

– Tak, wiem. – W kwestii protokołu nie mogłam liczyć na wsparcie Joscelina Verreuil, więc niedbałym gestem poprawiłam ułożenie fałd płaszcza i z jak największą godnością uniosłam głowę. – Poślesz do pana z zapytaniem, czy mógłby poświęcić mi chwilę swojego cennego czasu?

– Tak, pani, oczywiście. – Służący wprowadził nas do antykamery. – Zechcesz spocząć?

Usiadłam z wdziękiem, jakbym tu bywała codziennie. Joscelin zastygł w swobodnej kasjelickiej pozie z nisko skrzyżowanymi przedramionami i dłońmi na rękojeściach sztyletów. Próbowałam pochwycić jego spojrzenie, ale był zajęty dyskretnym wypatrywaniem zagrożenia.

Po krótkiej chwili Childric d’Essoms wszedł w towarzystwie dwóch zbrojnych. Jego twarz wyrażała zaciekawienie.

– Fedra! Co cię sprowadza?

Wstałam z krzesła i opadłam w głębokim ukłonie. Wyprostowałam się dopiero wtedy, gdy niecierpliwie machnął ręką i powiedział:

– Nie ma czasu na ceregiele. Kto cię przysłał? Delaunay?

– Tak, panie. Czy możemy porozmawiać na osobności?

D’Essoms zerknął na Joscelina, który stał bez ruchu i patrzył prosto przed siebie. Leciutko uniósł brwi.

– Tak, chyba tak. Chodź ze mną.

– Panie. – Głos kasjelity był cichy i spokojny, ale powstrzymał nawet d’Essomsa. Gdy się odwrócił, Joscelin złożył formalny ukłon. – Wiąże mnie przysięga.

– Przysięgi! – Childric d’Essoms skrzywił się na to słowo. – No tak. Możesz jej towarzyszyć, kasjelito.

Kolejny ukłon – nie miałam pojęcia, jak taki sztywniak może giąć się z wdziękiem wierzbowej witki – i Joscelin stanął u mojego boku. Udaliśmy się wszyscy do salonu. D’Essoms usiadł w fotelu i bębnił palcami w podłokietniki, patrząc na mnie swoimi jastrzębimi oczami. Nie odważyłam się zająć miejsca bez zaproszenia, byłam na to za mądra. Zbrojni stanęli po bokach swojego pana, z rękami ostentacyjnie wspartymi na rękojeściach mieczy.

– Panie d’Essoms... – Opadłam na kolana. *Abeyante* było zakorzenione we mnie równie głęboko, jak czujność w Joscelinie. – Mój pan Delaunay przysłał mnie z prośbą o łaskę.

– O łaskę? Delaunay? – Brwi d’Essomsa wygięły się w łuki. Były tym bardziej widoczne, że ciemne włosy miał ściągnięte do tyłu i splecione w ciasny warkocz. – Czego chce ode mnie?

Jedno zdanie i będzie wiedział. Złożyłam ręce i zwalczyłam kolejny dreszcz, ciesząc się, że za moimi plecami stoi Joscelin.

– Pragnie spotkać się z diukiem Barquielem L’Envers. Pyta, czy zgodzisz się pośredniczyć w tej sprawie.

Uniosłam głowę i zobaczyłam, że mina d’Essomsa uległa zmianie.

– Skąd...? – zaczął, zaintrygowany. I nagle zrozumiał. – Ty.

Wiedziałam, że Childric d’Essoms jest żołnierzem i wprawnym myśliwym, lecz mimo to zaskoczył mnie jego błyskawiczny ruch. Nie powinien; widziałam jego bezbłędny rzut, którym przewrócił

plastinx w grze kottabos u Cecylii Laveau-Perrin. Przypadł do mnie w jednej chwili, wbił mi kolano w plecy i przyłożył ostrze do gardła. Poczułam parzącą linię na skórze i sapnęłam.

– Przez cały czas grałaś nieczysto – syknął. – Cóż, nie tylko król wymierza sprawiedliwość zdrajcom. Ja też to robię, Fedro nó Delaunay. Nie podpisałem kontraktu i żadne twoje słowo nie zdoła mnie powstrzymać.

– Jest jedno. – Kątem oka widziałam, jak Joscelin znów gnie się w swoim przeklętym ukłonie. Tym razem, kiedy się prostował, sztylety gładko wysunęły się z pochew. – Kasjel.

Żałuję, że nie mogłam lepiej się temu przyjrzeć. Ludzie d’Essomsa wkroczyli do akcji. Joscelin uniósł ręce i stal sztyletów wyrysowała w powietrzu skomplikowany wzór; okręcił się płynnie, niemal leniwie, i zbrojni upadli jak kukły w kątach pokoju. Ostrze oderwało się od mojej szyi, gdy d’Essoms się wyprostował. Joscelin wykonał kolejny nieznaczny ruch i sztylet z brzękiem upadł na podłogę. D’Essoms potrząsnął ręką i zaklął. Na jego dłoni widniała czerwona kreska. Joscelin uklonił się i schował broń.

– Chronię i służę – powiedział obojętnie. – Fedra nó Delaunay rozkazuje.

– W porządku. – D’Essoms opadł na fotel, kiwając skaleczoną ręką na swoich ludzi, którzy chwiejnie wstawali z podłogi i szukali broni. Drapieżna ciekawość w jego oczach rozbłysła ze zdwojoną siłą, gdy patrzył, jak podnoszę się z podłogi, starając się zachować choć pozory godności. – Najpierw *anguisette*, teraz ten mnich. Jest równie prawdziwy jak ty, prawda? Musisz być ważna dla Anafiela Delaunaya, skoro postarał się o brata kasjelitę. Dlaczego uważasz, że służę Barquielowi L’Envers?

– Panie, sam to powiedziałaś. – Odruchowo dotknęłam szyi,

czując spływający po niej strumyczek krwi. – W noc, w którą... w noc, w którą użyłeś pogrzebacza.

Usłyszałam głośne sapnięcie Joscelina. Szkolenie nie przygotowało go na coś takiego. Brwi d'Essomsa podskoczyły do połowy czoła.

– Słyszałaś? – zapytał z niekłamanym zdumieniem.

Patrzyłam na niego, na klęczkach, przez czerwoną mgłę przysłaniającą mi oczy.

– Panie d'Essoms, od samego początku wiedziałeś, że Anafiel Delaunay zarzucił interesującą przynętę – powiedziałam, przytaczając jego własne słowa. – Czyżbyś przypuszczał, że Strzała Kusziela jest tępą?

Któryś z jego ludzi chrząknął. Patrzyłam d'Essomsowi w oczy z takim natężeniem, jakby od siły spojrzenia zależało moje życie – i być może tak było. Po chwili parsknął krótkim śmiechem.

– Nie, nie. – Drwiąco skrzywił usta. – Znam jej ostrość od nocy, w którą mnie przeszła. Ale strzała, o której mówisz, jest dziełem Delaunaya, nie Kusziela.

Pokręciłam głową.

– Delaunay nauczył mnie słuchać i rzucił na szerokie wody. Ale nie uczynił mnie tym, kim jestem. Taka się urodziłam.

D'Essoms westchnął i wskazał mi krzesło.

– Na miłość Elui, Fedro, usiądź jak człowiek. Przysłaś z petycją od szlachetnie urodzonego. – D'Essoms skrzywił się, gdy Joscelin zajął pozycję za moimi plecami. – Mów, czego Anafiel Delaunay chce od Barquiela L'Envers i dlaczego, na miłość Elui, diuk miałby go wysłuchać.

– Nie mogę powiedzieć, czego chce mój pan Delaunay – odparłam ostrożnie. – Jest właścicielem mojej marki, więc robię, co mi każe. Nie musi tłumaczyć się przede mną. Wiem tylko, co

proponuje.

– Mianowicie?

Miałam jedną kartę atutową i nadzieję, że zagram nią mądrze.

– Delaunay wie, kto zabił siostrę diuka.

Childric d’Essoms siedział bez ruchu. Niemal widziałam myśli kłębiące się za jego nieruchomym wzrokiem.

– Dlaczego nie poszedł do króla?

– Nie ma dowodu.

– W takim razie, dlaczego diuk L’Envers miałby mu uwierzyć?

– Ponieważ to prawda, panie. – Mówiąc te słowa, ujrzałam układający się wzór intrygi Delaunaya. Popatrzyłam na d’Essomsa. – Na służbę, dzięki której wiem, że wypełniasz rozkazy Barquiela L’Envers, przysięgam, że to prawda.

– Twoją służbę?

Pokręciłam głową.

– Nie moją, ale tę samą.

– A zatem ten białowłosy chłopiec. – D’Essoms poruszył się niespokojnie; bardziej wyczułam niż zobaczyłam, że Joscelin natychmiast spał się jak do skoku. – Mój diuk i twój pan przez długi czas byli wrogami. Czemu Delaunay miałby...? – Zrozumiałam, że znalazł odpowiedź na swoje pytanie, lecz nie powiedział jej na głos. Przenosił spojrzenie ze mnie na Joscelina.

– Delaunay. – W jego ustach to nazwisko zabrzmiało jak przekleństwo. Westchnął ciężko i oznajmił: – Dobrze. Diuk urwałby mi głowę, gdybym nie przekazał mu słów Delaunaya. Nie mogę niczego obiecać, ale powiedz swojemu panu, że spełnię jego prośbę. I że, o ile się nie mylę, diuk zechce go wysłuchać.

– Tak, panie – powiedziałam, chyląc głowę. – Dziękuję.

– Nie dziękuj mi. – D’Essoms wstał i ruszył w moją stronę. Joscelin przesunął się, ale ruchem ręki kazałam mu zachować

spokój. D'Essoms grzbietem dłoni pogładził mój policzek, nie zwracając uwagi na kasjelitę. – Będziesz miała za co odpowiadać, Fedro nó Delaunay, jeśli postanowię się z tobą zobaczyć – powiedział z pieszczotliwą groźbą w głosie.

Zadrżałam, na wpół przytomna z pożądania.

– Tak, panie – szepnęłam, odwracając głowę, żeby pocałować jego palce. Ręka przesunęła się i zamknęła mocno na moim karku. Joscelin zadygotał niczym napięta cięciwa, wysuwając sztylety.

D'Essoms obrzucił go rozbawionym spojrzeniem.

– Musisz wiedzieć, komu służysz, kasjelito – powiedział pogardliwym tonem, potrząsając mną. Gwałtownie wciągnęłam powietrze, nie tylko z bólu. – Będziesz potrzebował silnych nerwów, jeśli chcesz pozostać towarzyszem *anguisette*. – Puścił mnie i odsunął się. Jego ludzie czujnym wzrokiem mierzyli Joscelina, ale on tylko się skłonił z kamiennym wyrazem twarzy. – Przekażcie Delaunayowi, że dam mu znać – powiedział d'Essoms. – A teraz zejście mi z oczu.

Eskortowani przez jego ludzi, wyszliśmy szybko; w istocie, Joscelin nie mógłby być szybszy. W chwili, gdy drzwi zamknęły się za nami, odwrócił się w moją stronę, siny z obrzydzenia.

– To... to nazywasz służbą Elui i jego Towarzyszom? – wychrypiał. – Wstyd, co większość z was robi w imię Naamy, ale ty...

– Nie – syknęłam, chwytając go za rękę. Dwóch przechodzących dworzan odwróciło się z zaciekawieniem. – Ja to nazywani służbą Anafielowi Delaunayowi, który kupił moją markę. Jeśli moja służba uwłacza twojej godności, idź na skargę do prefekta, który kazał ci służyć. Nie musisz rozgłaszać swojego oburzenia po całym pałacu!

Niebieskie oczy otworzyły się szeroko, a po obu stronach patrycjuszowskiego nosa wystąpiły białe linie. Joscelin bez wysiłku uwolnił się z moich rąk.

– Chodź – wycedził i ruszył w głąb korytarza.

Niemal musiałam biec, klnąc pod nosem, żeby nie stracić go z oczu. Na szczęście wyróżniał się w tłumie dworzan dzięki szarej opończy, rękojeści miecza nad ramieniem i jasnym włosom związanym na karku. Jeśli razem stanowiliśmy widowisko, to nie potrafiłam sobie wyobrazić, o ile dziwniej wyglądało to, jak pędziłam za nim.

– Fedro!

To był kobiecy głos, niski i melodyjny, zaprawiony nutką śmiechu – jedyny głos, który mógł zatrzymać mnie w pół kroku. Moja głowa odwróciła się jak na sprężynie. Melisanda Szachrizaj stała w salonie tuż za sklepionymi łukiem drzwiami. Zbliżyłam się, przywołana jej skinieniem, gdy zakończyła rozmowę i pożegnała się z dwoma mężczyznami.

– Co sprowadza cię do pałacu, Fedro nó Delaunay? – Z uśmiechem wyciągnęła rękę, by pogłodzić linie, jaką sztylet d'Essomsa wyrysował na mojej szyi. – Sprawy Anafiela czy Naamy?

– Pani, musisz zapytać mojego pana, nie mnie – odparłam, ze wszystkich sił starając się nie stracić panowania nad sobą.

– Nie omieszkałam, kiedy się spotkamy. – Melisanda pogłodziła fałdę mojego płaszcza *sangoire*. – Piękny kolor. Cieszę się, że znalazł kogoś, kto zdołał odtworzyć starą recepturę. Pasuje do ciebie. – Obserwowała mnie z rozbawieniem, jakby widziała, że moje serce bije coraz szybciej. – Niebawem złożę mu wizytę. Byłam w Kuszecie, ale słyszałam o nieszczęściu, jakie spadło na wasz dom. Pozdrów ode mnie tego słodkiego chłopca... Alcuina,

prawda?

Postawiłabym swoją markę na to, że Melisanda doskonale zna jego imię. Na palcach jednej ręki można by policzyć ludzi spoza domu Delaunaya, którzy wiedzieli o ataku.

– Zrobię to, pani, z przyjemnością.

Za naszymi plecami rozbrzmiały kroki, szybkie i pewne. Melisanda uniosła wdzięczne łuki brwi, a Joscelin zmarszczył czoło. Złożył szybki ukłon i wyprostował się z dłońmi na rękojeściach sztyletów, stając obok mnie w swobodnej pozie.

Melisanda przeniosła spojrzenie z mojej twarzy na niego.

– Służy ci brat kasjelita? – zdziwiła się.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, ale Joscelin mnie ubiegł.

– Chronię i służę – powiedział beznamiętnie.

Wtedy po raz pierwszy w życiu usłyszałam szczery śmiech Melisandy Szachrizaj, odbijający się od sufitu salonu, swobodny i spontaniczny.

– Och, Anafiel Delaunay jest nieoceniony – wysapała, odzyskując spokój i ocierając oczy koronkową chusteczką. – Nic dziwnego... ach, dobrze.

Białe linie powróciły na twarz Joscelina i niemal słyszałam zgrzyt jego zębów. Melisanda poklepała go po policzku i przeciągnęła palcem po szerokim torsie.

– Wydaje się, że Bractwo Kasjelitów werbuje swoich mnichów w Dworze Nocy – wymruczała, przypatrując mu się uważnie. On, zarumieniony, spoglądał nad jej ramieniem. – Szczęśliwy braciszek.

Bałam się, że Joscelin zaraz eksploduje, ale stał nieruchomo i patrzył w dal. Kasjelickie szkolenie trwa długo i wymaga wielkiej dyscypliny. Nawet dotyk Melisandy Szachrizaj nie mógł uczynić w niej wyłomu. Nie, trzeba by czegoś więcej, pomyślałam; pięciu

minut zabiegów, może nawet dziesięciu.

– Dobrze. – W jej szafirowych oczach, ciemniejszych niż oczy Joscelina, jeszcze skrzył się śmiech. – Pozdrowisz Alcuina i przekażesz Delaunayowi wyrazy niesłabnącego podziwu?

Pokiwałam głową. Melisanda nie pocałowała mnie na powitanie, ale zrobiła to na pożegnanie, świadoma, że w obecności Joscelina ten akt wytrąci mnie z równowagi.

Wytrącił.

– Kto to? – zapytał, kiedy odeszła.

Musiałam odchrząknąć.

– Lady Melisanda Szachrizaj.

– Ta, która świadczyła przeciwko rodowi Trevalion. – Wciąż za nią patrzył. Zdziwiłam się, że tyle wie o sprawach królestwa. Zadrżał, jakby uwalniając się od złego uroku. Przez chwilę naprawdę mu współczułam. – Możemy już iść? – zapytał bezbarwnym tonem. Raz z powodu pośpiechu zaniedbał obowiązki, pomyślałam; to się więcej nie powtórzy.

Moje współczucie wyparowało.

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Kiedy wróciliśmy, Delaunay czekał na nas w salonie, co było dość niezwykle. Pomyślałam, że zrobił to przez wzgląd na kasjelitę, i natychmiast ogarnęła mnie jeszcze większa złość. Alcuin siedział ze skrzyżowanymi nogami na niskiej sofie; pewnie już od godziny patrzył, jak Delaunay krąży po pokoju.

– I jak? – zapytał nasz pan, gdy weszliśmy. – Zrobi to?

Chciałam odpowiedzieć, ale Joscelin był szybszy.

– Panie... – zaczął obojętnym tonem, rozpinając pas i zdejmując z ramienia pochwę z mieczem – zawiodłem w twojej służbie. Błagam, przyjmij broń człowieka niegodnego.

Patrzyłam na niego z otwartymi ustami, gdy opadł na kolano przed Delaunayem i podsunął mu miecz, wsparty głownią na zarękawiu lewego ramienia. Nawet mój pan był zaskoczony.

– Na Eluę, o czym ty mówisz? – zapytał. – Moim zdaniem Fedra wygląda dość dobrze, a o nic więcej cię nie prosiłem.

– Pokaż mu – powiedział Joscelin, nawet na mnie nie patrząc.

– Co? To? – Dotknęłam strumyczka zaschniętej krwi na szyi i roześmiałam się, nie rozumiejąc przyczyny jego poruszenia. – Z ręki Childrica d’Essoms to tylko miłosne draśnięcie, panie – powiedziałam do Delaunaya. – Joscelin powstrzymał go od wyrządzenia mi krzywdy.

– D’Essoms potraktował cię brutalnie? – Delaunay uniósł brwi.

– Kiedy dowiedział się, że zdradziłam ci nazwisko jego patrona. Ale Joscelin...

– Przyłożył sztylet do jej szyi i puścił krew – Joscelin wszedł mi

w słowo, żeby z uporem przekonywać o swojej winie. – Nie ostrzegłem jej przed krzywdą, a potem, zaślepiony gniewem, spuściłem ją z oka.

Pochwyciłam pytające spojrzenie Delaunaya.

– Melisanda. – Jej imię wystarczyło za całe wyjaśnienie. Zwróciłam się do Alcuina: – Przesyła ci pozdrowienia i wyrazy współczucia z powodu odniesionej rany. – Powodowana uczciwością, powiedziałam do Delaunaya: – Joscelin cię nie zawiódł. Chronił mnie dobrze. D’Essoms go zaskoczył, to wszystko.

Joscelin nawet nie drgnął. Klęczał z pochyloną głową, wciąż trzymając wyciągnięty miecz.

– Nigdy nie dobyłem miecza przeciw komukolwiek, wyjąwszy fechtunek na placu ćwiczebnym – wyszeptał. – Byłem nieprzygotowany. Jestem niegodny.

Delaunay odetchnął głęboko.

– Niedoświadczony kasjelita – mruknął. – Powinienem był przewidzieć, że prefekt szczyptą dziegciu zaprawi beczkę miodu. Cóż, chłopcze, sprawdziłem twoje umiejętności i nie jestem z ciebie niezadowolony. Poradziłeś sobie z Childrikiem d’Essoms, choć nie byłeś przygotowany i nie masz doświadczenia w intrygach D’Angelinów.– Joscelin zamrugnął. Jeszcze raz spróbował oddać miecz. Delaunay pokręcił głową. – Sprawienie zawodu i naprawienie szkody jest próbą trudniejszą od tych, z jakimi się spotykasz na placu ćwiczebnym. Zachowaj swój miecz. Nie stać mnie na jego stratę. – Zakończył ten temat i popatrzył na mnie. – Co z diukiem L’Envers?

– D’Essoms dał się przekonać – powiedziałam, rozpinając płaszcz i siadając. – Przekaze twoją prośbę i da znać, jeśli L’Envers się zgodzi.

– Dobrze. – Delaunay trochę się rozluźnił.

Chciałam wiedzieć, o co toczy się gra. Stawką był odwet na Vitalisie Bouvarrem i rodzinie Stregazza, oczywiście – tyle domyśliłby się każdy głupi – ale dlaczego? Pragnął tego jeszcze przed śmiercią Guya i zranieniem Alcuina. Joscelin w milczeniu podniósł się, zapiął pas i zarzucił miecz na ramię. Na jego policzkach płonęły dwie szkarłatne plamy, a wstyd okradł jego ruchy z wdzięku. Znowu niemal zrobiło mi się go żal.

– Możecie odejść – powiedział Delaunay, z roztargnieniem kiwając głową.

– Panie... – zaczęłam – teraz, gdy...

– Nie – uciął krótko. – Żadnych spotkań, dopóki nie porozmawiam z Barquielem L’Envers. Potrzęsaliśmy szachownicą i nie zaryzykuję, dopóki gracze nie rozstawią pionów.

Westchnęłam.

– Jak sobie życzysz, panie.

Znów zostałam skazana na życie przepełnione nudą. Na domiar złego Alcuin zaprzyjaźnił się z Joscelinem. Zaczęło się od tego, że razem obserwowaliśmy poranne ćwiczenia kasjelity. Wyglądały pięknie, ale szybko mi się opatrzyły – nawet najbardziej zapalonego miłośnika muzyki zmęczy wysłuchiwanie na okrągło tej samej pieśni. Fascynacja Alcuina przetrwała. Pewnego popołudnia hałas zwabił mnie na taras ogrodu i zobaczyłam, że fechtują się drewnianymi mieczami, jakich chłopcy używają do zabawy.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że Joscelin jest wyrozumiałym i cierpliwym nauczycielem. Spokojnie udzielał wskazówek, gdy Alcuin niezdarnie wyprowadzał pchnięcia i parował ciosy, albo gdy broń wypadła mu z ręki. Alcuin naśladował go, pełen

dobrych chęci, nie okazując złości i śmiejąc się z własnych błędów. Co dziwniejsze, Joscelin czasami śmiał się razem z nim.

– Powinienem był wiedzieć – mruknął Delaunay za moimi plecami; nie słyszałam, kiedy wszedł na taras. Też patrzył na ćwiczących. – Szkoda, że jest za późno na prawdziwą naukę. Alcuin bardziej pasuje do Bractwa Kasjelitów niż do służby Naamie.

To on dał im pozwolenie i drewniane miecze.

– Alcuin nie nadaje się do Bractwa Kasjelitów, panie – powiedziała ostro, zirytowana ich śmiechem. – Przecież jest zakochany... w tobie.

– Alcuin? – Delaunay zamrugął. – Na pewno się mylisz. Zawsze byłem dla niego jak ojciec albo... albo przynajmniej jak wuj.

Nie ma większej głupoty niż głupota mądrości. Popatrzyłam na niego z politowaniem.

– Panie, jeśli w to wierzysz, równie dobrze mogę ci sprzedać fiołkę łez Magdaleny. Uratowałeś Alcuina przed pewną śmiercią, a mnie przed upokorzeniem, i mógłbyś mieć nas oboje na kiwnięcie małym palcem. Ale obserwowałam Alcuina i wiem, że z radością oddałby za ciebie życie. Jesteś dla niego najważniejszy na świecie.

Delaunay osłupiał – i choćby dla tego widoku warto było wygłosić powyższą tyradę. Złożyłam przed nim ukłon, którego nie widział, i oddaliłam się w pośpiechu. Alcuinie, pomyślałam ze smutkiem w sercu, tylko nie mów, że nie wyświadczyłam ci przysługi. Nawet jeśli nasz pan cię nie zechce, nie będzie mógł tłumaczyć się niewiedzą.

Po czymś takim nie mogłam zostać w domu. Delaunay zabronił mi służyć Naamie i na domiar złego zamknął mnie w więzieniu. Musiałam się wyrwać, nawet gdyby za karę miał

obedrzeć mnie ze skóry – czego, wiedziałam, nie zrobi. Ponieważ wszyscy byli na tyłach domu, bez trudu wymknęłam się przez boczną furtkę.

Wystarczyło mi rozsądku, żeby włożyć zwyczajny brązowy płaszcz i zabrać parę monet, które zostały po zapłaceniu markarzowi. Przejazd do Progu Nocy wypadł niedrogo, bo stangret dał mi zniżkę za uśmiech.

Hiacynta nie zastałam w domu, ale jakoś ścierpiałam znaczące spojrzenie jego matki i w miarę szybko znalazłam go w “Kogutku”.

Po długich dniach nudy serce podskoczyło mi z radości, gdy usłyszałam szaloną muzykę i zobaczyłam światło wylewające się na ulicę. Trafiłam w sam środek chaosu, wzbudzonego przez grę w kości na tyłach gospody. Liczni goście tłoczyli się wokół stołu, większość w dworskich strojach. Na podeście skrzypek grał jak opętany, a w kubkach grzechotały kości. Ponad jęki zawodu i okrzyki radości wybił się znajomy, triumfujący głos.

Gapie rozproszyli się po gospodzie i zobaczyłam Hiacynta, który z uśmiechem zgarniał wygraną.

– Fedra! – zawołał na mój widok. Wrzucił monety do sakiewki i przeskoczył nad krzesłem, żeby mnie przywitać. Byłam taka uszczęśliwiona, że zarzuciłam mu ręce na szyję. – Gdzie się podziewałaś? – zapytał ze śmiechem, odwzajemniając uścisk. Po chwili odsunął mnie na długość ramienia, żeby mi się przyjrzeć. – Tęskniłem za tobą. Czy Guy się poskarżył i Delaunay zakazał ci wychodzić?

– Guy... – Słowo uwięzło mi w gardle. Pokręciłam głową. – Nie. Mam ci mnóstwo do opowiedzenia.

– Chodź, siadaj. Przepędzę tych gałganów od stołu. – Białe zęby błysnęły na tle smagłej skóry. Spostrzegłam, że ubranie ma

lepsze niż wcześniej, choć w równie dziko dobranych kolorach: szkarłatne spodnie i niebieski wams ze złotymi wyłogami i szafranem w rozcięciach rękawów. W moich oczach wyglądał absolutnie wspaniale. – Postawię ci dzban wina. Na Cycuszki Naamy, wszystkim postawię po dzbanku! – Zawołał do karczmarza: – Wino dla wszystkich!

W gospodzie rozległy się radosne wiwaty, a Hiacynt wybuchnął śmiechem i skłonił się nisko. Nie ulegało wątpliwości, że go tutaj kochają. Być może Księżę Podróżnych wygrywał w kości więcej niż przystało na uczciwego gracza, ale zwracał przegrany każde dziewięć z dziesięciu centymów i nikt nie miał do niego żalu o dziesiątą część. Nigdy się nie dowiedziałam, czy oszukiwał; Cyganie mają reputację szczęściarzy.

Oczywiście, mają również reputację oszustów, kłamców i zręcznych złodziei, choć nigdy nie widziałam, by Hiacynt dopuścił się przestępstwa gorszego niż świśnięcie paru bułeczek z kramu piekarza na targu.

Jego przyjaciele zrobili dla nas miejsce przy stole. W hałasie, który uniemożliwiał podsłuchanie rozmowy, opowiedziałam mu o wszystkim, co się wydarzyło. Hiacynt wysłuchał bez przerywania i na zakończenie pokręcił głową.

– Delaunay wmieszał się w sprawy rodu Courcel, to pewne – powiedział. – Szkoda tylko, że nie wiemy, o co w nich chodzi. Wiesz, znalazłem poetę przyjaźniącego się z osobą, która ma kopie wierszy Delaunaya.

– Naprawdę? – Szeroko otworzyłam oczy. – Możesz...

– Próbowałem – powiedział z żalem i napił się wina. – Sprzedał je przed niespełna miesiącem archiwariuszowi z Caerdicci. Chciałem odkupić je dla ciebie, Fedro, przysięgam, a przynajmniej skopiować, lecz przyjaciel mojego przyjaciela

przysiągł, że sprzedał oryginał i nie zachował kopii. Uznał, że to zbyt niebezpieczne.

Parsknęłam zirytowana.

– To nie ma sensu. Dlaczego rodzina Courcel miałaby pomagać mu jedną ręką, a kneblować drugą?

– Przecież wiesz, dlaczego go kneblują. – Hiacynt odchylił się na krześle i wbił obcasy butów w stół. – Obrząził ich piosenką o Izabeli L'Envers. Słyszałem, że Lwica z Azalii przed Sądem Najwyższym nazwała ją morderczynią.

– W istocie. – Wspomniałam Ysandrę de la Courcel, głosującą za karą śmierci. – Dlaczego więc mu pomagają? – Zbyt wiele nici, zbyt mocno splątanych. – Ha! Nie mam głowy do zagadek, a ostatnio nie miałam nic innego do roboty, jak o nich rozmyślać. Gdybyś naprawdę był moim przyjacielem, poprosiłbyś mnie do tańca – powiedziałam.

– Ktoś mógłby być zazdrosny, gdybym to zrobił – powiedział z błyskiem w oczach. Skinął głową w stronę kobiety po drugiej stronie gospody, chłodnej blondynki w sukni niebieskiej jak lód. Choć zachowywała się powściągliwie, poznałam, że wrze, patrząc na nas.

– Zależy ci? – zapytałam.

Hiacynt roześmiał się i pokręcił głową.

– Jest żoną baroneta – odparł, szczerząc zęby. – Jeśli nawet raz z nią zatańczyłem, to wcale nie znaczy, że będę tańczyć tak, jak mi zagra. – Zdjął nogi ze stołu, ukłonił się i wyciągnął rękę. – Czy uczynisz mi zaszczyt?

Skrzypek mrugnął do Hiacynta i zdwoił wysiłki, gdy zobaczył, że ruszamy w tany. Daliśmy przykład innym; z wyjątkiem naburmuszonej żony baroneta oraz paru jej towarzyszy wszyscy, którzy nie tańczyli, śmiali się i klaskali do rytmu. Zatańczyłam

dwa razy z Hiacyntem i po razie z każdym jego przyjacielem. Potem skrzypek zagrał odbijanego i wszyscy zaczęli wymieniać się partnerami, a ci, którzy nie tańczyli, usuwali stoły z drogi. Kiedy muzyka ucichła, byliśmy zdyszani i zarumienieni z radości. Skrzypek uklonił się z potężnym sapnięciem, wytarł spocone czoło i zszedł z podestu, żeby odetchnąć przy kuflu piwa.

Parę osób wyszło przed gospodę, przyciągniętych jakimś zamieszaniem. Szczupły kędzierzawy chłopak przybiegł z ulicy i złapał Hiacynta za rękaw.

– Chodź, musisz to zobaczyć – powiedział ze śmiechem. – To lepsze od szczucia borsuka!

Hiacynt spojrzał na mnie pytająco.

– Czemu nie? – zgodziłam się. Byłam w wyśmienitym nastroju i gotowa na wszystko.

Tłum gapiów już się skupił pod domami, patrząc na przedstawienie rozgrywające się pośrodku ulicy. Hiacynt przepchnął się do sterty beczek po winie i ustawił jedną tak, żebyśmy mogli na niej stanąć.

Spojrzałam z wysokości beczki i jęknęłam z rozpacz.

Pijane towarzystwo, może tuzin pań i panów, wracało do Mont Nuit z czterema adeptami; po zielono-złotyach strojach poznałam, że są z Domu Dzikiej Róży. Na ulicy leżał otwarty powóz, tarasując przejście, a w pewnej odległości za nim młodzi panowie stali w półkolu, strojąc komiczne miny. W rękach trzymali miecze.

W środku półkola stał pewien bardzo zakłopotany młody brat kasjelita, wykpiwany niemiłosiernie przez adeptów Dzikiej Róży.

– Joscelin... – wyszeptałam.

Flecista z Dzikiej Róży przysiadł na boku powozu, grając

wesołą melodię, podczas gdy adeptka śpiewała sprośne piosenki głosem tak ślicznym i dobrze wyszkolonym, że słuchacze dopiero po chwili zwracali uwagę na wulgarne słowa. Pozostałych dwoje adeptów było akrobatami i to oni najbardziej dawali się we znaki Joscelinowi. Mężczyzna ukląkł, a kobieta odbiła się od ziemi, wykonała pełne gracji salto i okrakiem wylądowała mu na ramionach. Gdy wstał, jej jędrne pośladki znalazły się na wysokości nosa Joscelina.

Kasjelita zrobił z kamienną twarzą krok do tyłu, ale czubki mieczy paniczów natychmiast pchnęły go do przodu. Dziewczyna stanęła na ramionach partnera, a on chwycił ją za kostki i podrzucił do salta nad głową kasjelity. Sam stanął na rękach, zahaczył stopami o szyję Joscelina i zawisł, wsuwając głowę pomiędzy jego nogi i szczerząc zęby do wiwatujących gapiów.

Joscelin rozchylił z oburzoną miną skrzyżowane kostki. Akrobata opadł na rękę, przeturlał się i zerwał na równe nogi. Joscelin zrobił krok w stronę powozu, ale natychmiast natknął się na dziewczynę, która opasała go w talii ślicznymi nogami, chwyciła w dłonie jego twarz i dała mu soczystego całusa. Uwolnił się od niej, zawracając ku roześmianym kawalerom i błyszczącej stali. Akrobata podkradł się do niego od tyłu i jednym zwinnym ruchem rozplótł kasjelicki harcap. Jasne jak pszenica włosy rozsypały się po plecach Joscelina.

– Na Eluę – mruknęłam. – Skoro nie wolno ci wyciągnąć miecza, idioto, użyj przynajmniej sztyletów!

– Nie może, bo oni tylko się bawią – powiedział Hiacynt z rozradowanym wzrokiem. – Kasjelici składają przysięgę, że będą wyciągać stal tylko w obronie własnego życia albo dla ochrony swoich towarzyszy.

Westchnęłam.

– W takim razie chyba muszę to zrobić. – Zanim Hiacynt zdążył zaprotestować, zeskoczyłam z beczki, precyzyjnie się przez tłum i wpadłam na otwartą przestrzeń przed kawalerami. Joscelin spojrzał na mnie z zaskoczeniem, a flecista zgubił rytm.

– Hej, odejdz – zawołał jeden z młodych panów, chwytając mnie za rękę i próbując odciągnąć. – My się tylko bawimy!

Uniosłam rękę, za którą mnie trzymał.

– Joscelinie? Służysz i chronisz?

Zarękawia błysnęły, kiedy się uklonił, i oba sztylety z brzękiem wysunęły się z pochew. Nie sędzę, by zdążył zrobić dwa kroki, gdy kawaler puścił moje ramię, a inni zaczęli się cofać, pospiesznie chowając broń. Flecista nadal grał wesoło, obserwując nowe przedstawienie, śpiewaczka potrząsała tamburynem, a akrobaci wyczyniali swoje sztuczki.

– Wystarczy, dosyć! – zawołała jedna z pań jeszcze rozbawionym głosem. Dygnęła przed Joscelinem. – Sługa Kasjela dostarczył nam dość rozrywki jak na jeden wieczór.

Jego spojrzenie mogłoby przeciąć kamień, ale młodzi ludzie nic sobie z niego nie robiąc, odeszli ze śmiechem. Spojrzał na mnie.

– Przypuszczam, że przysłał cię Delaunay? – zapytałam.

– Masz wrócić ze mną. – Zacisnął szczęki, ruchem głowy wskazując powóz Delaunaya. Stangret miał skruszoną minę. – Natychmiast.

Hiacynt zeskoczył z beczki i podbiegł, by w pośpiechu ucałować mnie na pożegnanie.

– Wróć, kiedy będziesz mogła – powiedział, starając się nie patrzeć na Joscelina. Mina kasjelity jasno dawała do zrozumienia, że nigdy tu nie wróce, jeśli będzie miał coś do powiedzenia w tej sprawie. Modliłam się, żeby nie miał. – Stale

za tobą tęsknię.

– Ja za tobą też. – Pocałowałam go, ujmując w dłonie kędzierzawą głowę. – Uważaj na siebie, Księżę Podróżnych.

Nie rozmawialiśmy w powozie, ale furia buchała z Joscelina jak żar z kowalskiego pieca. Ubranie miał w nieładzie, na twarz spadało mu pasemko włosów. Jestem pewna, że nigdy nawet sobie nie wyobrażał, iż brat kasjelita może zostać znieważony w taki sposób. Było jasne, że o to obwinia mnie.

Natychmiast pomyślałam o spotkaniu z Delaunayem. Nie czekałam na nie z utęsknieniem.

Jeśli się jednak spodziewałam wybuchu zimnego, nieubłaganego gniewu, to się pomyliłam, choć spokojne przyjęcie nie było moją zasługą. Joscelin niemal wepchnął mnie do biblioteki, a ja w tym czasie byłam już na tyle świadoma swojej winy, że pozwoliłam na to bez słowa protestu. Delaunay popatrzył na mnie, podnosząc list z biurka.

– Jest odpowiedź – powiedział krótko. – Barquiel L’Envers przyjmie mnie za dwa dni.

– Panie, to dobra wiadomość – wydukałam, z wysiłkiem panując nad głosem.

– Tak. – Wrócił do czytania listu i po chwili znów podniósł wzrok. Tym razem w jego oczach widniało beznamiętne zdecydowanie, które przyprawiło mnie o ciarki.

– Fedro, już raz cię ostrzegłem i nie zrobię tego znowu. Jeśli ponownie opuścisz te mury bez mojego pozwolenia, sprzedam twoją markę. To wszystko.

– Tak, panie.

Kolana mi się trzęsły i musiałam zebrać siły, żeby wyjść w miarę pewnym krokiem, bo nie chciałam dawać satysfakcji Joscelinowi Verreuil. Gdy zamykałam drzwi, poczułam się trochę

lepiej. Usłyszałam, jak Delaunay pyta kasjelitę:

– Na siedem piekieł, chłopcze, co ci się stało?

Szkoda, że nie śmiałam zostać, żeby wysłuchać odpowiedzi.

TRZYDZIEŚCI

Diuk L'Envers zgodził się, ale pod pewnymi warunkami. Miejsce spotkania wyznaczył na własnym terenie, choć nie w stolicy księstwa w północnej Namarze, tylko w majątku leżącym godzinę drogi od Miasta. Było to wiejskie zacisze, z którego mógł korzystać, gdy takie czy inne sprawy wymagały jego bytności na dworze. Ponadto Delaunayowi miała towarzyszyć eskorta złożona z dwudziestu zbrojnych. Diuk wołał nie ryzykować.

Wiedzieliśmy o tym, nikt więc się nie zdziwił, kiedy eskorta przybyła w pełnym składzie i kapitan straży zapukał do drzwi. Osiodłany wierzchowiec już czekał; Delaunay postanowił jechać sam, choć Joscelin nalegał, by mu towarzyszyć. Nasz pan oznajmił, że jeśli pójdzie dobrze, pomoc nie będzie potrzebna, a jeśli źle, jeden brat kasjelita niczego nie zwojuje przeciwko takiej sile. Poradziliby sobie z czterema, może sześcioma, ale przecież nie z dwudziestoma.

Jednakże decyzja Delaunaya nie miała znaczenia. Barquiel L'Envers miał inne plany. Kapitan straży zmierzył Delaunaya wzrokiem od stóp do głów, krzyżując ręce na piersi. Miał lekką kolczugę pod tuniką w kolorze głębokiej czerwieni ze złotym herbem na piersi, wyobrażającym stylizowany most nad ognistą rzeką.

– Kazano mi zabrać innych.

– Innych?

– Dziewczynę D'Essomsa i chłopca, tego, który wie. – Kapitan miał zadowoloną minę; Barquiel L'Envers dobrze odrobił pracę

domową.

Delaunay po namyśle pokręcił głową.

– Ręczę za ich słowo. Zostaną tutaj.

– W takim razie pan też. – Kapitan obrócił się na pięcie i uniósł rękę, a jego ludzie natychmiast zawrócili konie.

– Zaczekaj. – Alcuin wyminął Delaunaya. – Ja pojedę. – Odwrócił się, zanim nasz pan zdążył się odezwać. – Rachunki nie zostały wyrównane. Czy odmówisz mi, panie, prawa do ich uregulowania? – zapytał chłodno.

Delaunay chciał to zrobić, wiem, ale nie mógł odebrać Alcuinowi resztek dumy: to nie byłoby w jego stylu.

– Dobrze. – skinął głową i popatrzył na mnie. – Nie. Nawet nie próbuj.

– Panie... – uniosłam podbródek – zaryzykowałam więcej niż ktokolwiek inny, żeby uzyskać dla ciebie to posłuchanie. Jeśli nie dojdzie do skutku z powodu mojej nieobecności, nie myśl, że znajdziesz mnie tutaj po powrocie.

Delaunay zrobił krok w moją stronę i bardzo cicho powiedział:

– A ty nie myśl, że nie zrobię tego, czym ci zagroziłem.

Trudno mi było spojrzeć mu w oczy, ale zrobiłam to.

– Naprawdę, panie? – Przełknęłam ślinę i brnęłam dalej: – Komu? Może Melisandzie Szachrizaj, która wykorzysta to, czego mnie nauczyłeś, w grze, jakiej nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić?

– Ach! – Delaunay z oburzeniem uniósł rękę. Za jego ramieniem widziałam rozbawioną twarz kapitana straży. – Nauczyłem cię o połowę za dobrze – warknął. – Powinienem był pomyśleć dwa razy, zanim kupiłem markę kogoś, kogo bawi narażanie życia! – Odwrócił się do krążącego za drzwiami Joscelina. – W takim razie ty też pojedziesz, kasjelito, i będziesz

strzec ich oboje. Na Sztylet Kasjela, zapłacisz głową, jeśli coś im się stanie!

Joscelin ukłonił się, ale dostrzegłam błysk lęku w jego niebieskich oczach. Muszę jednak przyznać, że wywarł wrażenie; kapitan L'Enversa cofnął się o krok, kiedy kasjelita stanął w progu.

Zaprzężono konie do powozu, szybko osiodłano wierzchowca dla Joscelina i ruszyliśmy w drogę. Nasze oddechy tworzyły kłęby pary w zimnym porannym powietrzu. Purpurowo-złoty sztandar L'Enversa powiewał nad niewielką kawalkadą, kolczugi zbrojnych błyszcząły – byłam wtedy dość naiwna, by uznać to wszystko za podniecające. Czterech czy pięciu ludzi nie było D'Angelinami. Mieli ciemne zawoje, przysłaniające głowy i twarze, oprócz oczu, a ich ruchy zdradzały wyjątkową czujność. Kalif Khebel-im-Akad dał L'Enversowi ziemię, konie i ludzi; mogłabym pójść o zakład, że byli Akadyjczykami.

Majątek diuka L'Envers okazał się zaskakująco urokliwy. Nigdy dotąd nie widziałam wiejskiej posiadłości, wyjąwszy folwark Perrinwolde, i byłam zachwycona. Przebyliśmy rzeczkę – łuk mostu odzwierciedlał ten na herbie – i znaleźliśmy się w malowniczym parku, gdzie ogrodnicy dla ochrony przed zimnem okręcali jutą sprowadzone z zagranicy drzewka.

Nie ulega wątpliwości, że wartownicy wypatrywali nas z krenelaży uroczego zameczku. Chorąży wysforował się przed oddział i trzy razy pomachał sztandarem, a w odpowiedzi coś błysnęło na murach i krata w bramie się podniosła. Wjechaliśmy na dziedziniec. Choć zostaliśmy przyjęci uprzejmie, pełna eskorta towarzyszyła nam do samego salonu.

W obwieszonym akadyjskimi gobelinami pokoju znajdowały się niskie, zarzucone poduszkami meble o niezwykłych

kształtach. Pośrodku stał fotel podobny do tronu, najwyraźniej służący diukowi. Jeden ze zbrojnych – którego uważałam za Akadyjczyka – wyszedł, podczas gdy pozostali wraz z kapitanem stanęli na baczność pod ścianami. Popatrzyłam na Delaunaya. Był czujny, ale nie zdradzał zaniepokojenia. Jego spokój dodał mi otuchy. Po dłuższej chwili usłyszeliśmy kroki i do pokoju wszedł diuk L'Envers.

Nigdy dotąd go nie widziałam, ale nie miałam wątpliwości, że to właśnie on. Nie zdążyłam mu się przyjrzeć, bo jego ludzie zgięli się w ukłonie, a my wzięliśmy z nich przykład.

Wyprostowałam się i z zaskoczeniem zobaczyłam, że diuk ubiera się na akadyjską modłę. Miał na sobie swobodną szatę i długi, obszerny burnus, a na głowie purpurowy zawój, którego koniec przesłaniał twarz. Znad pasa materiału wyzierały oczy, ciemnofioletowe, jak u wszystkich członków rodu L'Envers, jak u Ysandry de la Courcel, jego siostrzenicy.

– Anafiel Delaunay... – powiedział diuk, zajmując miejsce w fotelu i rozwijając długi zawój. Miał jasne włosy, krótsze niż nakazywała moda, i jasną karnację, przyciemnioną przez słońce tylko wokół oczu. – Proszę, proszę. Przyszedłeś prosić o wybaczenie za grzechy popełnione przeciw mojemu domowi?

Delaunay zgiął się w kolejnym ukłonie.

– Wasza Książęca Mość, przyszedłem z propozycją odłożenia dzielącej nas sprawy w przeszłość, tam gdzie jest jej miejsce.

Barquiel L'Envers siedział w swobodnej pozie, krzyżując długie nogi, lecz ani przez chwilę nie wątpiłam, że jest niebezpiecznym człowiekiem.

– Po tym, jak rozgłosiłeś po całym królestwie, że moja siostra jest morderczynią? – zapytał gładko. – Czy naprawdę myślisz, że wybaczę ci tę zniewagę?

– Tak – odparł Delaunay, nie tracąc zimnej krwi.

Usłyszałam pomruki wśród zbrojnych. Diuk uniósł rękę, nawet nie spoglądając w ich stronę.

– Dlaczego? – zapytał z zaciekawieniem. – Wiem, że masz jakąś propozycję, i chciałbym ją usłyszeć. Ale to niczego nie załatwi, Delaunay. Czemu miałbym ci przebaczyć?

Delaunay odetchnął głęboko.

– Czy jesteś gotów przysiąc, Wasza Książęca Mość, na imię Elui i własnych przodków, że moja pieśń nie mówiła prawdy?

To pytanie zawisło w powietrzu. Barquiel L'Envers po chwili zastanowienia lekko poruszył głową ni to w zaprzeczeniu, ni w przytaknięciu.

– Nie przysięgnę, Delaunay. Moja siostra Izabela była ambitna i na dodatek zazdrosna. Ale jeśli miała coś wspólnego z wypadkiem Edmee de Rocaille, to przysięgam, że nie chciała jej śmierci.

– Intencje nie mają znaczenia, wystarczy sam skutek.

– Może tak. – Barquiel L'Envers nadal mu się przyglądał. – Może nie. Z powodu twoich słów pewna zdrajczyni w obecności króla nazwała moją siostrę zimnokrwistą zabójczynią, a temu nikt nie zaprzeczy. Masz do powiedzenia coś więcej?

– Złożyłem przysięgę, dzięki której możesz coś zyskać – rzekł Delaunay cicho.

– Aha, to! – zawołał zdziwiony L'Envers, po czym roześmiał się. – Chcesz pozostać jej wierny po tym, jak potraktował cię Ganelon?

– Nie przysięgałem Ganelonowi de la Courcel.

Gorąco pragnęłam, żeby któryś z nich powiedział coś więcej, lecz tak się nie stało. Delaunay stał wyprostowany, a spojrzenie L'Enversa błędziło po naszej trójce, najdłużej zatrzymując się na

Joscelinie.

– Ha, wydaje się, że Ganelon jednak traktuje sprawę dość poważnie – zauważył. – Cóż, muszę przyznać, że nigdy nie widziałem dziwniejszej świty. Dwie dziwki i brat kasjelita. Tylko ciebie stać na coś takiego, Anafielu. Zawsze cieszyłeś się reputacją człowieka nieprzewidywalnego, ale to jest zdecydowanie ekscentryczne. Które z nich wie, kto zabił moją siostrę?

Alcuin wystąpił do przodu i ukłonił się.

– Ja, panie – rzekł spokojnie.

Nigdy nie byłem z niego bardziej dumna, nawet w dniu jego debiutu; mogłabym przysiąc, że był bardziej opanowany niż Delaunay. Nawet nie drgnął, kiedy L'Envers przeszył go swoim fioletowym spojrzeniem.

– Ty? – mruknął diuk. – Który Stregazza to zrobił? – Roześmiał się, widząc cień konsternacji na twarzy Alcuina. – Mam w Mieście uszy, chłopcze. Jeśli Izabela została zamordowana, to nie inaczej, jak z użyciem trucizny, a żaden prawdziwy D'Angelin nie uciekłyby się do takiego środka. Doszły mnie słuchy, że zostałeś zaatakowany i że ktoś zginął, a zaraz potem Vitalis Bouvarre, który handluje z rodziną Stregazza, zaszył się w mysiej dziurze. Od d'Essomsa słyszałem, że zapłacił niebotyczną sumę za twoje dziewictwo... Kto to zrobił?

Alcuinowi drgnęła powieka i była to cała reakcja na tyradę diuka. Popatrzył spokojnie na Delaunaya.

– Panie?

Delaunay pokiwał głową.

– Powiedz.

– Dominik i Teresa.

Wcześniej nie widziałam twarzy człowieka gotowego zabić, ale

teraz miałam okazję. Lodowaty spokój opadł Barquiela L'Envers, w jego zimnych oczach zalśniła żądza mordu. Odetchnął głęboko.

– Czy Bouvarre przedstawił dowód?

– Nie. – Alcuin pokręcił głową. – Nie miał żadnego. Przenosił jednak prezent od rodu Stregazza dla Izabeli de la Courcel. Dominik dał mu kandyzowane figi, ale to Teresa wiedziała, że są one ulubionym przysmakiem Izabeli. Bouvarre dostarczył je osobiście.

– W jej komnatach znaleziono pustą tacę – przypominał sobie L'Envers. – Miałem podejrzenia, jak wszyscy, nikt jednak nie wiedział, co na niej było ani skąd się wzięła.

– Próbował mi wmówić, że zrobiła to Lyonetta de Trevalion – dodał Alcuin. – Ale roześmiałem mu się prosto w twarz, bo poznałem, że kłamie. Zrzucanie winy na zmarłą osobę zawsze jest podejrzane. Przypuszczam, że za drugim razem udzielił prawdziwej odpowiedzi, bo inaczej nie próbowałby mnie zabić ani nie uciekłby z kraju.

– Wiesz, że mój kuzyn ma wpływy w La Serenissimie – powiedział L'Envers do Delaunaya. – Moja ręka jest dłuższa niż twoja i znacznie potężniejsza, prawda? Ale dlaczego interesują cię mordercy Izabeli? Byłem bliski myśli, że jesteś gotów szukać wśród nich sprzymierzeńców.

– Obrażasz mnie – odparł Delaunay, czerwieniejąc na twarzy. – Izabela i ja byliśmy wrogami, ale dobrze wiesz, że atakowałem ją jedynie słowami.

– Aż za dobrze. Dlaczego cię obchodzi, kto ją zabił?

– Czy wiesz, że Dominik i Teresa Stregazza mają czworo dzieci? Wszyscy są książętami krwi, wszyscy wychowali się na jednym z wielkich d'Angelińskich dworów.

– Tak, tak. Wiem także, że król podupada na zdrowiu, księżę

Benedykt jest jeszcze krzepki, jego potomstwo kwitnie w La Serenissimie, a w pewnych kręgach poszeptuje się, że Baudoin de Trevalion był niewinny i że postępek jego matki rzucił cień na dobre imię delfiny. – Barquiel L’Envers wsparł brodę na pięści. – Nauczysz mnie grać w trony? Nie sądzę, Delaunay.

– Nie, Wasza Książęca Mość. I jeszcze nie pogratulowałem ci małżeństwa córki – dodał z ukłonem.

– W istocie. – L’Envers uśmiechnął się lekko. – Cóż, być może masz rację. Wydaje się, że w tej sprawie nasze interesy biegną tym samym torem. Jesteś świadom, że kroki, które podejmę przeciwko rodzinie Stregazza, mogą być nie do końca... honorowe?

Spojrzenie Delaunaya przesunęło się po szeregu zbrojnych, zatrzymując się na zasłoniętych twarzach Akadyjczyków.

– Masz dostatecznie duże wpływy, żeby spowodować aresztowanie i przesłuchanie Vitalisa Bouvarre’a. Przyznałby się w zamian za darowanie życia. Benedykt dopilnuje, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

– Tak myślisz? Ach tak, jesteś jego starym towarzyszem broni z Bitwy Trzech Książąt. Możliwe. Benedykt zawsze cieszył się opinią człowieka honoru, niepotrzebnie wzenił się w to kłębówisko żmij w Caerdicci. Przysięgam, że sprawiedliwości stanie się zadość. – Barquiel z roztargnieniem bębnił palcami po rzeźbionych poręczach fotela. Po chwili popatrzył na mnie. – Ty jesteś *anguisette* Childrica, hmm? Szpiegujesz go dla Delaunaya?

Dygnęłam.

– Wasza Książęca Mość, jestem sługą Naamy. Mój pan Delaunay pragnął uzyskać posłuchanie u ciebie, to wszystko. Boleje z powodu dzielącej was niezgody.

– Och, nie wątpię. – Usta L’Enversa skrzywiły się w przelotnym uśmiechu. – Tak samo mocno, jak żałował milczenia Bouvarre’a. Cóż, miałem ochotę zobaczyć dwoje smarkaczy, którzy przechytrzyli jednego z moich najlepszych doradców oraz najbardziej przebiegłego kupca w Terre d’Ange... a także przekonać się, czy Delaunay jest dostatecznie zdesperowany, żeby wystawić was na niebezpieczeństwo. Wydaje się, że jest. – Spojrzenie zadumanych fioletowych oczu wróciło na Delaunaya. – Chodzi więc o to stare przyrzeczenie, prawda, Anafielu?

– Jeśli życzysz sobie poruszyć tę sprawę, Wasza Miłość, prosiłbym o poufną rozmowę – powiedział Delaunay cicho.

– Oni nie wiedzą? – Barquiel L’Envers uniósł brwi i zaśmiał się głośno. – Wymagasz ślepej lojalności! Zazdroszczę ci, Anafielu. Z drugiej strony ci, którzy cię kochają, zawsze pozostają wierni, prawda? Przynajmniej do pewnego stopnia. A ty, kasjelito? – Z zaciekawieniem popatrzył na Joscelina. – Z pewnością nie służyysz mu z miłości. Co cię wiąże?

Błysnęła stal, gdy Joscelin złożył ukłon.

– Przysiągłem służyć tak, jak służył Kasjel, Wasza Książęca Mość – odparł spokojnie. – Ja też z powagą traktuję przysięgi.

Diuk ze zdumieniem pokręcił głową.

– Powiadają, że na prowincji stara krew jest bardziej czysta. Jesteś z Siovale, chłopcze? Czy pochodzisz z linii Szamchazaj?

Joscelin wahał się chwilę.

– Z pobocznej. Ale jestem drugim synem, zaprzysiężonym Kasjelowi.

– Tak, widzę – rzekł sucho diuk. – Cóż, Anafielu, z pewnością jesteś rad, goszcząc ziomka pod swoim dachem.

– Wasza Książęca Mość... – Delaunay popatrzył na niego znacząco.

– Dobrze, dobrze. – Barquiel L’Envers machnął ręką. – Możecie odejść. Beauforte, zabierz ich do kuchni i każ podać jedzenie. Nie możemy uchybić zasadom gościnności. Aha, nie zapomnij nadmienić, że pan Delaunay i jego towarzysze naprawdę są znamienitymi gośćmi. – Uśmiechnął się drapieżnie. – Nie wątpię, że to uspokoi moich ludzi. Anafielu Delaunay, czy możemy teraz porozmawiać?

Sądziłam, że po nerwowym dniu i audiencji u diuka nie będę mieć ochoty na obiad, ale się myliłam. Słudzy nakryli do stołu i podali nam strawę niegodną wprawdzie książęcego podniebienia, lecz pożywną i smaczną: ciepły, chrupki chleb, ostry ser i gulasz. Zabrałam się do jedzenia z apetytem dorównującym temu, jakim wykazywali się Alcuin z Joscelinem.

Przez dłuższy czas posilaliśmy się w milczeniu, świadomi obecności krążących po kuchni służących L’Enversa. Alcuin i ja w żadnym wypadku nie zaryzykowalibyśmy swobodnej rozmowy, nie doceniliśmy jednak naiwności Joscelina. Przy drugiej dokładce nie wytrzymał i rzucił łyżkę na stół.

– Kim on jest? – zapytał. – W Siovale nie ma rodu Delaunay! Kim on jest i dlaczego rozkazano mi mu służyć?

Alcuin i ja wymieniliśmy spojrzenia i ostrzegawczo pokręciliśmy głowami.

– Delaunay nie chce mówić nam niczego, co mogłoby nas zabić... – powiedziałam cierpko. – Poza tym, co sami już wiemy. Jeśli sądzisz, że zwierzy się tobie, swojemu ziomkowi, nie omieszkaj go zapytać.

– Może tak zrobię. – W niebieskich oczach Joscelina błysnął upór.

Alcuin roześmiał się.

– Powodzenia, kasjelito.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

Nie wiem, co po naszym wyjściu zaszło pomiędzy Delaunayem i Barquielem L'Envers, ale wydaje się, że osiągnęli porozumienie, aczkolwiek niezbyt pewne.

Jesienne dni stawały się coraz krótsze i nie przynosiły żadnych nowych wieści, z wyjątkiem pogłosek o Skaldach, którzy znowu zapuszczali się na przełęcz Pasma Kamaelińskiego. Delaunay czekał na rozwiązanie sprawy, a ja się nudziłam, przy czym moja szkatułka świeciła pustkami i marka wcale się nie powiększała. Wiedziałam, że decyzja Delaunaya nie wynika ze złej woli, lecz mimo to byłam wściekła, gdy Alcuin umówił się na ostatnie spotkanie z mistrzem Tielhardem i wrócił z ukończoną marką. Był wolny, podczas gdy ja jeszcze nigdy nie zaznałam smaku prawdziwej wolności.

Na szczęście żadne z nas nie było okrutne. Towarzyszyłam mu w czasie wizyty u markarza i nie szczędziłam słów podziwu. Marka rzeczywiście wyglądała przepięknie. Ciepło bijące od koszy w pracowni zaróżowiło jasną skórę Alcuina, a miękkie linie wzoru podkreślały szczupłość jego pleców. Mgiełka delikatnych brzozowych liści tworzyła zwieńczenie na karku, gdzie rósł biały, delikatny puszek. Mistrz Tielhard naprawdę miał zadowoloną minę, gdy obejrzał ukończone dzieło, a jego czeladnik był pod takim wrażeniem, że choć raz zapomniał się zarumienić. Joscelin za to spurpurowiał, wyraźnie speszony.

Kiedy patrzy się na życie z perspektywy czasu, łatwo jest dostrzec punkty zwrotne. Dostrzeżenie ich wtedy, kiedy

nadchodzą, bywa ogromnie trudne, ale o tym dobrze wiedziałam. Nadejście tego zapowiadało się od długiego czasu i częściowo już się z tym pogodziłam. Nie byłam jednak do końca przygotowana, kiedy to nastąpiło.

Wieczorem tego dnia byłam bardzo niespokojna i wczesnie udałam się na spoczynek, sen jednak nie chciał nadejść. Zeszłam na dół, zamierzając przeczytać kilka wierszy albo jakąś zabawną powiastkę. Kiedy zobaczyłam, że Alcuin wchodzi do biblioteki, chciałam zawrócić. Spotkanie z nim tylko by mnie przygnębiło, przypominając mi o zmianie jego statusu. W końcu sama nie wiem, dlaczego nie poszłam do swojego pokoju – może dlatego, że dziwnie zdeterminowana mina Alcuina rozbudziła moją wrodzoną i wyuczoną ciekawość.

Nie zauważył mnie, mogłam więc bez przeszkód stanąć w cieniu przy drzwiach, gdzie nie sięgało światło lampy, słuchać i patrzeć. Delaunay siedział pogrążony w lekturze; po wejściu Alcuina zaznaczył miejsce w książce palcem i uniósł głowę.

– Słucham? – zapytał uprzejmie, choć z rezerwą. Znałam Delaunaya; nie zapomniał o tym, co mu powiedziałam.

– Panie, nie poprosiłeś, żebym pokazał ci ukończoną markę – odparł Alcuin cicho.

Nawet z daleka widziałam, że Delaunay zamrugał.

– Mistrz Robert Tielhard słynie z dzieł najwyższej jakości – powiedział. – Nie wątpię, że marka jest piękna.

– Istotnie. – W głosie Alcuina zabrzmiało rzadko u niego spotykane rozbawienie. – Ale, panie, mój dług nie zostanie spłacony, dopóki jej nie uznasz. Chcesz zobaczyć?

Mówił prawdę; zgodnie z tradycją Dworu Nocy duejn Domu najpierw musi uznać markę i dopiero wtedy adept staje się wolnym człowiekiem. Nie mam pojęcia, skąd Alcuin o tym

wiedział. Być może strzelił na ślepo i przypadkiem trafił, choć z drugiej strony, zawsze zaskakiwał mnie swoją wiedzą. Delaunay w każdym razie musiał znać ten zwyczaj.

Odłożył książkę.

– Skoro sobie życzysz – powiedział formalnym tonem, wstając z fotela.

Alcuin odwrócił się bez słowa, rozpiął luźną koszulę i zsunął ją z ramion. Zebrał w rękę rozpuszczone włosy i przełożył je przez ramię; białe, lśniące pasmo spoczęło na jego piersi. Oczy miał spuszczone, ocienione długimi rzęsami barwy polerowanego srebra.

– Czy mój pan jest zadowolony?

– Alcuinie. – Z gardła Delaunaya popłynął dźwięk, który nie do końca był śmiechem. Uniósł rękę, dotknął świeżych linii marki. – Boli?

– Nie. – Z niewymuszonym wdziękiem, który cechował wszystkie jego poczynania, Alcuin odwrócił się, zarzucił ręce na szyję Delaunaya i spojrzał mu w oczy. – Nie, panie, nie boli.

Wciągnęłam powietrze tak gwałtownie, że zasyczało między zębami, ale na szczęście żaden z nich nic nie usłyszał. Delaunay położył dłonie na piersi Alcuina i byłam przekonana, że go odepchnie, ale Alcuin był przygotowany na taką reakcję. Przyciągnął jego głowę, żeby go pocałować.

– Wszystko, co robiłem... – wyszeptał – robiłem dla ciebie, panie. Czy ty odmówisz mi tej jednej rzeczy?

Nie wiem, czy Delaunay odpowiedział; zobaczyłam, że nie odepchnął Alcuina, i to mi wystarczyło. Nieznany dotąd żal sprawił, że oczy zaszły mi łzami i odeszłam, sunąc ręką po ścianie, nie chcąc słyszeć nic więcej. Nie byłam romantycznym głuptasem, który marzy o rzeczach niemożliwych. Od swojego

pierwszego roku w służbie Naamie wiedziałam, że Delaunay nie gustuje w tym, do czego zostałam stworzona. A jednak przybiła mi świadomość, że odpowiadają mu talenty Alcuina. Z trudem pokonałam schody i dobrnęłam do swojej sypialni, gdzie, przyznam ze wstydem, wylałam w poduszkę wiele łez, zanim pokonało mnie wyczerpanie.

Rankiem czułam się pusta jak sucha łupina, wyprana z wszelkich uczuć. Widok lekkich cieni pod oczami Alcuina i uśmiech, który widziałam u niego tylko raz, po nocy spędzonej z Mierettą nó Orchidea, trochę poprawił mi nastrój. Niemal żałowałam, że nie mogę go znienawidzić za uwiedzenie Delaunaya, ale przecież zbyt dobrze znałam głębię uczuć Alcuina.

W istocie, aż nazbyt dobrze.

Delaunay zachowywał się normalnie, choć może z ciut mniejszą rezerwą. Nie umiem ubrać tego w słowa; zaszła w nim przemiana podobna do tej, jaką sprawił nasz wyjazd na wieś. Jakby popuścił cugli czemuś, co dotąd trzymał w ryzach. Było to słycać w jego głosie i widać w każdym geście, a także w tym, że częściej się uśmiechał niż cynicznie unosił brew.

Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie wieści z La Serenissimy; miotając się pomiędzy nudą a rozpaczą, byłam gotowa wystawić na próbę tolerancję Delaunaya i wzruszyć ramionami, gdyby sprzedał moją markę. To zabawne, gdy po latach człowiek patrzy wstecz na smutki, które w danym okresie uważał za druzgocące, i wie, że nie zaznał nawet dziesiątej części czekającej go rozpacz. Ale ta wiedza przychodzi z czasem. Wtedy dosłownie chorowałam z żalu.

Wieści przyniósł z pałacu Gaspar Trevalion, hrabia de Fourcay. Po procesie, który zniósł nad podziw godnie, jego

przyjaźń z Delaunayem jeszcze bardziej się umocniła. Zdrada nie splamiła honoru Fourcay.

Te wieści wzbudziły mieszane uczucia. Księżę Benedykt rzeczywiście kazał aresztować Vitalisa Bouvarre'a, lecz ten nie złożył zeznań. Pewnego poranka znaleziono go powieszzonego w celi. Chodziły słuchy, że stały dozorca więzienny został zastąpiony przez człowieka, który był dłużnikiem Dominika Stregazza. Później jego zwłoki znaleziono w kanale. Przyczyna śmierci nie budziła wątpliwości. Miał poderżnięte gardło.

Wyglądało na to, że księżę Benedykt nie był głupcem, bo natychmiast posłał po swojego zięcia, Dominika. Ale Barquiel L'Envers musiał się obawiać – zapewne nie bezpodstawnie – że szczywany Stregazza wykaraska się z opałów, bo on i jego poczet został zaatakowany po drodze przez zamaskowanych jeźdźców. Byli to łucznicy, po których ślad zaginął; na drodze zostały tylko cztery trupy, w tym zwłoki Dominika Stregazza.

– Wieść niesie... – powiedział Gaspar z chytrym błyskiem w oku – że jeden z tych, którzy przeżyli napaść, widział akadyjski rząd koński, chwosty przy uździe czy coś w tym rodzaju. A podobno diuk L'Envers zapożyczył cudzoziemskie obyczaje w czasie swojej misji dyplomatycznej w kalifacie. Wiadomo ci coś o tym, Anafielu?

Delaunay pokręcił głową.

– Barquiel L'Envers? Chyba żartujesz, stary przyjacielu.

– Być może. Choć słyszałem również, że Benedykt dodał do listu prywatne postscriptum, błagając Ganelona o przesłuchanie L'Enversa. – Wzruszył ramionami. – Mógłby ciągnąć sprawę dalej, gdyby nie było innych trosk w La Serenissimie. Krążą plotki o nowym skaldyjskim wodzu wojennym. Wszystkie państwa-miasta Caerdicca Unitas gorączkowo zawiązują

przymierza wojskowe.

– Poważnie? – Delaunay ściągnął brwi; wiedziałam, że jest zmartwiony, gdyż od czasu uprzejmych podziękowań za moje tłumaczenie nie miał żadnych wiadomości od Gonzago de Escabaresa.– Czy Benedykt traktuje je poważnie?

– Wystarczająco poważnie. Wysłał wieści do Percy’ego de Somerville, radząc nadstawić ucha w stronę Kamlachu. Mamy szczęście, że młody d’Aiglemort i jego Sprzymierzeńcy pilnują granicy.

– W rzeczy samej – mruknął Delaunay; po tonie poznałam, że jest dość sceptyczny. – Nie ma więc mowy o odwecie rodu Stregazza?

– Nie w najbliższej przyszłości. – Gaspar Trevalion ściszył głos. – Powiem ci w zaufaniu, przyjacielu: nie sądzę, by Benedykt de la Courcel zbyt długo rozpaczał po śmierci swojego zięcia. Jestem przekonany, że sam z ochotą wyrwałby mu kły, gdyby nie bał się jadu.

– Święta racja. – Delaunay nie musiał niczego dodawać; wszyscy wiedzieliśmy, co przez to rozumie. Skierował rozmowę na inne tory.

Dotrwałam do końca wizyty Gaspara Trevaliona, słuchając rozmowy półuchem. Nie nauki Delaunaya, lecz dyscyplina Dworu Nocy przygotowała mnie na takie okazje. To przydatna umiejętność, uśmiechać się i z gracją nalewać wino, gdy ma się pęknięte serce. Kiedy wreszcie hrabia de Fourcay wyszedł, mogłam porozmawiać z Delaunayem.

– Panie... – zagadnęłam uprzejmie – powiedziałaś, że mogę wrócić do służby Naamie, kiedy sprawa zostanie rozwiązana.

– Doprawdy? – zdziwił się. Mój problem nie zajmował pierwszego miejsca w jego myślach, a poza tym, jak sądzę, był

trochę niewyspany. – Tak, chyba tak. Po tym, co dziś usłyszeliśmy, jestem skłonny dotrzymać słowa, ale pamiętaj, nie pójdziesz nigdzie bez kasjelity.

– Tak, panie. Czy są jakieś propozycje do rozpatrzenia?

– Jest kilka – odparł Delaunay sucho; było ich mnóstwo. – Masz kogoś konkretnego na myśli?

Nabrałam powietrza w płuca i spróbowałam powiedzieć to w miarę spokojnie.

– Mam dług wobec pana Childrica d’Essoms.

– D’Essoms! – Delaunay uniósł rdzawe brwi. – Złożył ofertę tydzień temu, Fedro, ale chciałem, żeby jego gniew trochę ostygł. D’Essoms spełnił swoją rolę i więcej nie będziemy go potrzebować, chyba że Barquiel zamyśla coś, czego jeszcze nie jestem w stanie przewidzieć... choć raczej w to wątpię. Zawiązał przymierze i wywarł zemstę. Jest dostatecznie mądry, żeby przez pewien czas się nie wychylać.

– Poślesz mnie, do kogo zechcesz, panie, ale wiedz, że jestem także służką Naamy i dłużniczką Childrica d’Essoms za to, co zrobiłam w jej służbie.

– Dobrze. – Delaunay obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem. – Nie będę się sprzeciwiać. Rozważę inne propozycje, ale najpierw podpiszę kontrakt z d’Essomsem. – Wstał, by pogłodzić mnie po włosach, i ciekawość w jego oczach ustąpiła miejsca trosce. – Jesteś pewna, że tego chcesz?

– Tak, panie – szepnęłam i odeszłam, zanim wzruszenie pozbawiło mnie tchu.

Spotkanie mogę podsumować krótko: obie strony rozeszły się zadowolone. Wystarczy powiedzieć, że gniew d’Essomsa nie wystygł, z czego byłam rada, gdyż odpowiadało to mojemu nastrojowi. Nigdy wcześniej nie szukałam w swojej służbie

ucieczki przed nękającymi mnie troskami – do tego dnia. Nie było artyzmu w tym, co zaszło między nami. D’Essoms powitał mnie potężnym ciosem w twarz. Upadłam na podłogę, czując w ustach smak krwi. Spowiła mnie czerwona mgła Strzały Kusziela, przynosząc zbawienną ulgę.

Zrobiłam wszystko, co rozkazał, a nawet więcej.

Kiedy przywiązał mnie do *krzyża*, szorstkie drewno popieściło moją skórę niczym palce kochanka. Krzykiem powitałam pierwszy palący pocałunek bicza, dygocąc z bezsilnej rozkoszy. D’Essoms klął i chłostał mnie z furią, a gdy cierpienie przeważało nad przyjemnością, zapłakałam z bólu, wściekłości i poczucia winy, z rozgoryczenia i smutku, już nie znając natury wyzwolenia, o jakie błagałam.

D’Essoms, gdy skończył, okazał czułość; nie spodziewałam się tego.

– Nigdy więcej, Fedro – wyszeptał, podtrzymując mnie delikatnie i osuszając gąbką grzęzawisko, w jakie przemienił moje plecy. – Obiecuj mi, że już nigdy mnie nie zdradzisz.

– Nie zdradzę, panie – obiecałam, oszołomiona przez ból i oczyszczenie, jakiemu została poddana moja dusza. W głębi serca miałam nadzieję, że Delaunay już nie będzie potrzebował niczego od Childrica d’Essoms. – Nigdy więcej.

Wymruczał coś – nie wiem, co – wciąż wycierając krew i wyciskając gąbkę. Ciepła woda spływała po mojej skórze i było mi dobrze, byłam ospała i szczęśliwa, że pierwszy z moich klientów nadal mnie pragnie. Kochałam go trochę za to; nic na to nie poradzę, zawsze kochałam swoich klientów, przynajmniej troszeczkę. Nie powiedziałam tego Delaunayowi, ale przypuszczam, że się domyślał.

Nie mam pojęcia, jak wyglądałam, gdy weszłam do salonu.

Potykałam się trochę, to wiem, a co do reszty... Joscelin wytrzeszczył oczy i zerwał się na równe nogi.

– Na Eluę! – wychrypiał. – Fedro...

Nie wiem, co ugięło mi kolana, zapewne ból lub słabość, choć lubię myśleć, że czyste zdziwienie, gdy wypowiedział moje imię. Tak czy siak, Joscelin błyskawicznie przyskoczył do mojego boku, bezceremonialnie wziął mnie na ręce i ruszył do drzwi.

– Joscelinie... – Ze złości przejaśniało mi w głowie. – Joscelinie, puść mnie. Umiem chodzić.

Pokręcił głową.

– Nie, póki jesteś pod moją opieką. – Skinął na służącego d'Essomsa. – Otwórz drzwi.

Ucieszyłam się, że byliśmy w miejskiej rezydencji d'Essomsa, a nie w jego komnatach w pałacu; poza zaskoczonym stajennym nikt nie widział, jak Joscelin Verreuil w szarym kasjelickim stroju, z moim płaszczem *sangoire* zarzuconym na ramiona, niesie mnie do powozu Delaunaya. Starłam się nie zwracać uwagi na twardość torsu, do którego przyciskały mnie jego silne ręce.

– Idiota! – syknęłam, gdy ostrożnie posadził mnie w powozie. – Przecież na tym polega moje powołanie!

Joscelin kazał stangretowi jechać do domu i usiadł naprzeciwko mnie. Skrzyżował ramiona na piersi, piorunując mnie wzrokiem.

– Jeśli tak, to chciałbym wiedzieć, jaki grzech popełniłem, że rozkazano mi patrzeć na to z założonymi rękami!

– Wcale o ciebie nie prosiłam. – Skrzywiłam się, gdy powóz ruszył i padłam na oparcie.

– I ty mnie nazywasz idiotą – mruknął ponuro.

TRZYDZIEŚCI DWA

Delaunay nie rozwodził się nad moim stanem, oznajmił tylko swym najbardziej oschłym tonem, że cieszy się, widząc mnie w jednym kawałku. Radził nie szczędzić maści jesuszickiego doktora, a ja skwapliwie skorzystałam z rady. Jak powiedziałam wcześniej, moje rany dobrze się goją, więc ślady gniewu d'Essomsa szybko zniknęły.

W czasie mojej rekonwalescencji – niezależnie od samopoczucia i chęci nie mogłam pójść do następnego klienta z widocznymi pamiątkami po poprzednim – Delaunay wydał kolację dla wąskiego grona przyjaciół. Była wśród nich Thelesis de Mornay; kiedy zjawiała się parę dni później, błędnie założyłam, że przyszła do Delaunaya.

Okazało się, że ma dla mnie zaproszenie na sztukę napisaną przez swojego przyjaciela.

Nikt z wyjątkiem Hiacynta nigdy nie zaprosił mnie wyłącznie dla towarzystwa, byłam więc wzruszona.

– Mogę pójść, panie? – zapytałam Delaunaya i ani trochę nie dbałam o to, że w moim głosie pobrzmiwa błagalna nuta.

Zawahał się, marszcząc brwi.

– Ze mną będzie bezpieczna, Anafielu. – Łagodny uśmiech rozpromienił ciemne oczy Thelesis. – Jestem nadworną poetką, chroni mnie imię Ganelona. Nikt nie jest na tyle głupi, żeby zadzierać z królem.

Delaunay skrzywił się lekko, jakby zaboląła go stara rana.

– Masz rację. Dobrze – ustąpił. – A ty pamiętaj... – dodał,

wskazując na mnie – żeby nie przynieść mi wstydu.

– Tak, panie! – Zapominając, że wciąż jestem na niego zła, pocałowałam go w policzek i pobiegłam po płaszcz.

W Progu Nocy dość często widywałam aktorów i słyszałam, jak deklamowali fragmenty najnowszych sztuk sezonu, nigdy jednak nie oglądałam prawdziwego przedstawienia. Sztuka dostarczyła mi niezapomnianych wrażeń. Wystawiono ją w dawnym helleńskim stylu, aktorzy mieli cudowne maski, a wersy pięknej poezji rezonowały w powietrzu. Nie mogłam wyjść z zachwytu. Kiedy kurtyna opadła, dosłownie drżałam z ekscytacji i podziękowałam Thelesis co najmniej z dziesięć razy.

– Wiedziałam, że ci się spodoba – powiedziała z uśmiechem. – To pierwsza sztuka napisana poza Dworem Nocy, opowiadająca historię Naamy. Ojciec dramaturga Jafeta był przed ślubem adeptem Domu Dzikiej Róży. Chciałabyś poznać autora?

Zabrała mnie za kulisy. W przeciwieństwie do dobrze zorganizowanego przedstawienia, w garderobach panował istny chaos. Maski traktowano z szacunkiem – aktorzy są co do nich przesądni – ale kostiumy i rekwizyty wały się po wszystkich kątach. Głośne sprzeczki aktorów mieszały się z heroicznymi głosami ze sceny, na której próbowano wieczorne przedstawienie.

Od razu rozpoznałam dramaturgę, bo tylko on był w zwyczajnym stroju. Gdy tylko zauważył Thelesis, podszedł z wyciągniętymi rękami, z żarem w oczach.

– Moja droga! – zawołał, całując ją na powitanie. – Co sądzisz?

– Cudowne! – Uśmiechnęła się do niego. – Jafecie nó Dzika Róża-Vardennes, to Fedra nó Delaunay. Jest zachwycona twoją sztuką.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Jafet dwornie ucałował

moją dłoń. Był młody i przystojny, miał kręcone kasztanowe włosy i piwne oczy. – Pójdiesz z nami na kielicha do “Maski i lutni”? – zapytał Thelesis. – Będziemy świętować triumf premiery.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo przy drzwiach powstało zamieszanie. Któryś z aktorów głośno zaczerpnął tchu, a potem zapadła cisza. Do garderoby wszedł wysoki mężczyzna w stroju dworzanina. Rozpoznałam go po pociągłej, inteligentnej twarzy i nawyku machania perfumowaną chusteczką pod nosem: Milord Thierry Roualt, minister kultury. Jafet ukłonił się z poważną miną.

– Milordzie Roualt, to dla nas zaszczyt – powiedział ostrożnie.

– Tak, tak, naturalnie – odparł minister znudzonym tonem, wymachując chusteczką. – Oglądanie twojej sztuki nie sprawia przykrości. Za pięć dni wystawisz ją dla Jego Królewskiej Mości. Mój podsekretarz zadba o wszystko, co trzeba. – Kolejne machnięcie chusteczką. – Dobrej nocy.

Aktorzy wstrzymywali oddechy, do chwili, gdy wyszedł, a potem wrzasnęli na wiwat i rzucili się sobie w ramiona. Jafet uśmiechnął się do Thelesis.

– Teraz wręcz musisz do nas dołączyć!

“Maska i Lutnia” jest domem aktorów, w którym wolno przebywać tylko członkom cechu i zaproszonym gościom. Jako nadworna poetka, Thelesis de Mornay miała wstęp wolny, ja sama jednak nie zostałamby wpuszczona, dlatego z radością przyjąłam zaproszenie. Siedziałam i sączyłam wino, dziwiąc się aktorom, którzy na scenie porywają siłą wyrazu, lecz poza sceną przypominają dzieci, wiecznie skłócone i wyolbrzymiające prywatne dramaty. Swoim zachowaniem przywodzili mi na myśl rywalizujących zaciekle adeptów Domu Cereusa.

Dlatego bez większej uwagi przysłuchiwałam się dyskusji o poezji, kiedy jednak rozmowa zeszła na politykę, natychmiast nadstawiłam wyszkolonego przez Delaunaya ucha.

– Słyszałam pewną plotkę – powiedział Jafet cicho. – Aktorka z mojej trupy zasłyszała ją od zadurzonego w niej dozorca ustępów królewskich. Podobno diuk d’Aiglemort w sekrecie spotkał się z królem i poprosił o rękę delfiny. To prawda?

Thelesis pokręciła głową.

– Nic o tym nie wiem... ale ja nie mam dojścia do królewskiego wychodka – dodała z uśmiechem.

– Otóż to. – Jafet skrzywił się. – Kto chciałby mieć, gdyby nie płynące z tego korzyści? W każdym razie kazałem aktorce trzymać język za zębami. Nie chcę zaprzepaścić okazji wystąpienia przed królem.

– Wystąpisz. I wypadniecie wspaniale.

Przez całe trzy sekundy gryzłam się w język, ale w końcu nie wytrzymałam.

– Jak brzmiała odpowiedź króla? – zapytałam niewinnie.

– Odmówił i nie podał powodu. – Jafet wzruszył ramionami. – Jak zresztą w przypadku wszystkich innych epuzerów, przynajmniej tak słyszałam. Może d’Aiglemort uznał, że należy mu się nagroda za doprowadzenie rodziny Trevalion przed oblicze sprawiedliwości. Może i słusznie, ale nie taka. – To rzekłszy, zmienił temat.

Nie byłam poetką ani aktorką, dlatego nie zawsze nadążałam za tokiem rozmowy, ale dzięki odcytaniu przysłuchiwałam się jej z upodobaniem. Ten wieczór nie mógłby sprawić mi większej przyjemności. Kiedy Thelesis odwiozła mnie do domu Delaunaya, podziękowałam jej raz jeszcze. Obdarzyła mnie ciepłym uśmiechem i ujęła mnie za rękę.

– Cieszę się, Fedro, że poprawiłam ci humor – powiedziała życzliwie. – Od dawna znam Anafiela Delaunaya. Jeśli masz dla niego miejsce w sercu, nie osądzaj go zbyt surowo. Wiele stracił w swoim życiu, przy czym wiersze nie stały na ostatnim miejscu. Gdyby nie... cóż, gdyby nie parę rzeczy, to on mógłby zostać nadwornym poetą. Alcuin jest dla niego dobry, choć sam Delaunay być może nie w pełni to dostrzega. Ale nie odmawiaj mu prawa do tych drobnych chwil szczęścia.

– Postaram się, pani – obiecałam, zdumiona jej dobrocią. Uśmiechnęła się i życzyła mi dobrej nocy.

Gdyby nie późniejsze wydarzenia, mogłabym nie zwrócić uwagi na informację zasłyszana od dramatopisarza. Oczywiście powtórzyłam ją Delaunayowi, który nie okazał zaskoczenia; zdziwił się tylko, że Izydor d'Aiglemort czekał tak długo. Nie wiem co sobie pomyślał o odpowiedzi króla, która, jak się zdawało, nie odbiegała od jego oczekiwań. Zapomniałabym o wszystkim, gdyby nazajutrz Delaunay nie otrzymał zaproszenia na przedstawienie *Pasji Naamy* według Jafeta nó Dzika Róża-Vardeness.

Delaunay niewiele sobie z tego robił, bo przecież nie po raz pierwszy został zaproszony na dwór, mnie jednak mocno poruszył widok pieczęci rodu Courcel.

Traf chciał, że na ten sam dzień byłam umówiona z panem Rogierem Clavelem, który wraz z diukiem L'Envers powrócił z Khebel-im-Akad. Wyczekiwałam tego spotkania z umiarkowanym entuzjazmem; praca miała być łatwa i myśl o niej umilała mi nadzieja, że drugi dar dorówna pierwszemu. Clavel zaoferował własny powóz, na co Delaunay nie wyraził zgody, ale zmienił zdanie po odebraniu zaproszenia. Nie musiał podawać powodów; wiedziałam, że sam potrzebuje zaprzęgu.

Nie mógł przybyć na przedstawienie u króla spocony po jeździe wierzchem.

Joscelin, oczywiście, miał mi towarzyszyć. Niewiele rozmawialiśmy od czasu mojego spotkania z Childrikiem d'Essoms, ale dobrze wiedziałam, że wciąż jest niezadowolony ze swojej posady. Cóż, pomyślałam, ta wizyta nie powinna nim wstrząsnąć, bo zaspokojenie Rogiera Clavela nie wymagało większego zachodu.

Tak więc Joscelin czekał beczynn timerze Rogiera Clavela – świetniejszej od poprzedniej – podczas gdy my się zabawialiśmy. Przypuszczani, że mój klient był zadowolony, a jeśli ja myślami byłam zupełnie gdzie indziej, to on tego nie zauważył. Nie mogłam przestać myśleć o sztuce Jafeta wystawianej w pałacowym teatrze i tajemniczym zaproszeniu z królewską pieczęcią. Rogier Clavel wolał spotykać się po południu, a ja dobrze znałam godzinę przedstawienia. Był wczesny wieczór, gdy skończyliśmy igraszki; wachlowałam go, a on leżał na miękkich poduszkach, z warstewką potu wysychającą na skórze. Kiedy się ubrał i podszedł do szkatuły, wpadł mi do głowy pewien pomysł.

– Dziękuję, panie – wymruczałam, przywiązując pękata sakiewkę do paska.

– Dotrzymałaś słowa, a nawet zrobiłaś więcej, niż obiecałaś, więc nie pozostanę ci dłużny. – Popatrzył na mnie z żarem w oczach. – Fedro, król nagroził mnie posiadłością w L'Agnace. Myślisz, że twój pan Delaunay pozwoli mi znów cię zobaczyć?

– Możliwe. – Popatrzyłam na niego z namysłem. – Panie Clavel, powiedz mi, czy jest drugie wyjście z twoich komnat?

– Oczywiście. Służbowe, od strony kuchni. – Zamrugał, zdziwiony. – Dlaczego pytasz?

Już wszystko przemyślałam i miałam gotową odpowiedź. – Muszę się z kimś zobaczyć... z kimś, kto złożył propozycję Delaunayowi – powiedziałam z wahaniem, które sugerowało, że nie śmiem wypowiedzieć nazwiska klienta. – Poczuliby się urażony, gdybym przyszła z bratem kasjelitą, a oni, jak wiesz, z wielką powagą traktują swoje obowiązki. Delaunay polecił mi przekazać wiadomość bez wiedzy kasjelity.

– Ja mógłbym pośredniczyć.

– Nie! – Z trwogą pokręciłam głową. – Panie, słudzy Naamy słyną z dyskrecji. Błagam, nie wystawiaj mnie na pokuszenie. Ale gdybyś kazał postawić powóz pod zachodnie skrzydło i kazał bratu Joscelinowi tam na mnie zaczekać, będę... zresztą nie tylko ja... twoją dłużniczką.

Rogier Clavel popadł w zadumę; widziałam, jak kalkuluje ryzyko i możliwe korzyści. Zyski wygrały i energicznie pokiwał głową, wprawiając w drżenie pulchny podbródek.

– Nic trudnego. Szepniesz słówko Delaunayowi w mojej sprawie?

– Oczywiście. – Zarzuciłam płaszcz na ramiona i z uśmiechem pocałowałam go w policzek. – Z przyjemnością, panie.

Nie będę udawać, że znam pałac tak dobrze jak ci, którzy tam mieszkają, ale uznałam, że znajdę drogę do królewskiego teatru w zachodnim skrzydle. Nie byłam jednak obznajomiona z korytarzami dla służby, znacznie węższymi i oświetlonymi gorzej niż główne, dlatego zabłądziłam. Wreszcie udało mi się trafić do właściwego pałacu i wyszłam na szeroki korytarz, mrugając w jasnym świetle.

Za zakrętu dobiegały kroki; dwaj mężczyźni, oceniłam po dźwięku. Usłyszałam głosy, zanim ich zobaczyłam.

– Na miecz Kamaela! – zawołał jeden z pogardą. – Niewielka

łaska w zamian za ochronę królestwa. Myślałby kto, że ten stary głupiec jest mi coś winien!

– Może ma rację, Izydorze. Naprawdę uważasz, że Poszukiwacze Chwały poprą cię po tym, jak zdradziłeś Baudoina? – zapytał drugi z mniejszą pewnością siebie. – Tak czy siak, nie są Karmelitami.

– To stu wojowników wyszkolonych do walki w górach. Poszliby chętnie pod moją komendą, a paru opornych szybko bym się pozbył. Mniejsza z tym, zarządzę werbunek w wioskach. Niech Courcel zobaczy, jak umierają za niego d’Angelińscy wieśniacy. Da mi Poszukiwaczy Chwały. – Izydor d’Aiglemort wyszedł zza rogu i przystanął na mój widok. – Stój, Villiers – powiedział, kładąc rękę na ramieniu towarzysza.

Nie mając większego wyboru, dygnęłam szybko i szłam dalej z pochyloną głową, ale d’Aiglemort złapał mnie za rękę i obrzucił twardym spojrzeniem.

– Kim jesteś i dokąd idziesz?

– Jestem tu w sprawach Naamy, panie.

Popatrzył na mój płaszcz i spojrzał mi w oczy, i po nich mnie rozpoznał.

– Na to wygląda. Widziałem cię wcześniej, prawda? Ty podałaś Baudoinowi de Trevalion *joie* w noc Zimowego Balu Maskowego.

– Puścił moją rękę, a ja miałam wrażenie, że na skórze zostały odciski jego palców. – Milcz zatem, jak przykazuje Naama, mała adeptko... i dopilnuj, żeby nie przynieść mi tego samego pecha, bo ja tu jestem w sprawach Kamaela.

– Tak, panie. – Dygnęłam, naprawdę przestraszona i choć raz zadowolona, że arystokrata nie ma powodu, by rozpoznać we mnie *anguisette* Delaunaya. Ruszyli dalej, jego towarzysz – hrabia de Villiers, jak przypuszczałam – obejrzał się przez ramię.

Potem zniknęli.

Byłam na tyle wstrząśnięta, że gdybym się nie zgubiła, mogłabym zrezygnować ze swojego planu, ale przecież musiałam jakoś dotrzeć do zachodniego skrzydła. Zanim to się stało, zdążyłam ochłonąć i znów zwyciężyła ciekawość.

Zapomniałam jednakże o jednym; byłam w pałacu i przy wszystkich wejściach do teatru stali gwardziści z włóczniami. Trzymając się od nich z daleka, zajrzałam do zacienionego wnętrza i zobaczyłam aktorów na scenie oświetlonej przez pomysłowo rozmieszczone pochodnie i lampy. Nie widziałam twarzy widzów, dostrzegłam jednak łożę królewską. Była pusta. Rozczarowana, odwróciłam się, żeby znaleźć drogę do zachodnich drzwi pałacu.

W tej samej chwili zobaczyłam, jak Delaunay wychodzi z teatru, patrząc na trzymany w ręku list.

Gdybym poszła dalej, na pewno by mnie zobaczył. Zastanowiłam się szybko, zdjęłam płaszcz *sangoire*, przewiesiłam go przez rękę i ruszyłam zdecydowanym krokiem na tyły teatru. Jeśli był rozplanowany podobnie jak inne, mogłam się ukryć w garderobach. Ani trochę nie podobała mi się myśl o gniewie, jakim wybuchnie Delaunay, jeśli mnie przyłapie. Już wolałabym spotkanie z Izydorem d'Aiglemort.

Na szczęście moje domysły okazały się trafne, a pierwsza garderoba była otwarta i pusta, pomijając znajome sterty kostiumów i rekwizytów. Zza następnych drzwi dobiegały hałasy, ale uznałam, że ten pokój leży na tyle daleko od sceny, by nikt tutaj nie przyszedł podczas przedstawienia. Być może zresztą aktorzy wcale z niego nie korzystali, bo garderoby teatru królewskiego były znacznie większe od tych, do których przywykli. W tej garderobie w oczy rzucało się zwierciadło w

ramie z brązu, wyższe ode mnie i na pewno nie tanie. Przystanęłam, żeby się przejrzeć, kiedy lustro zaczęło się obracać na zmyślnie ukrytych zawiasach.

Delaunay był na korytarzu, zza lustra wychodził nie wiadomo kto... Miałam niewielki wybór. W każdym innym teatrze mogłabym się powołać na Jafeta nó Dzika Róża-Vardeness, ale tutaj wolałam nie ryzykować. Schowałam się w jedynej możliwej kryjówce, pod krzesłem obwieszonym kostiumami. Wsunęłam ręce między nogi krzesła i podniosłam kawałek tektury jak tarczę. Skulona w niewielkiej przestrzeni, modliłam się do Elui, żeby nikt mnie nie zobaczył. Między tekturą a suknią z taniego materiału dostrzegłam szczelinę. Już wyciągałam rękę, żeby ją zasłonić, ale zamiast to zrobić, zerknęłam.

Lustro odchyliło się na zewnątrz i znieruchomiało. Ujrzałam w nim swoją kryjówkę; na szczęście nie było mnie widać w cieniu zwisających kostiumów. Do pokoju wśliznęła się kobieta, wysoka i szczupła. Kaptur ciężkiego płaszcza zasłaniał jej twarz, ale gdy zamykała sekretne przejście, po ruchach poznałam, że jest młoda.

Do pokoju wszedł Anafiel Delaunay.

Niemal zdradziłam się sapnięciem i natychmiast wstrzymałam oddech. Delaunay uważnie rozejrzał się po pokoju, potem skłonił głowę przed zakapturzoną kobietą.

– Przyszedłem w odpowiedzi na tę wiadomość – rzekł unosząc list.

– Tak. – Kobieta miała młody głos, choć stłumiony przez kaptur. Wsunęła ręce w rękawy, nie biorąc od niego listu. – Chciałam... moja pani kazała spytać, jakie wieści ma pan... w pewnej sprawie.

– W pewnej sprawie... – powtórzył Delaunay. – Skąd mogę

wiedzieć, komu służysz, pani?

Ze swej kryjówki zobaczyłam, że ręce poruszyły się w rękawach szaty. Jedna wysunęła się na chwilę i podała mu coś, co błysnęło. Był to złoty pierścień. Delaunay wziął go, a ona szybko schowała rękę.

– Znasz ten pierścień? – zapytała.

Delaunay obrócił go w palcach.

– Tak – mruknął.

– Chciałam... moja pani kazała spytać, czy to prawda, że na niego przysięgłeś?

Delaunay popatrzył na nią. Emocje malujące się na jego twarzy były zbyt liczne i zbyt skomplikowane, żeby je odczytać.

– Tak, Ysandro – rzekł cicho. – To prawda.

Głośno zaczerpnęła tchu, po czym uniosła ręce i zdjęła kaptur. Ujrzałam złociste włosy Ysandry de la Courcel.

– Wiedziałaś – powiedziała. Teraz rozpoznałam głos, już nie tłumiony przez kaptur. – Powiedz mi zatem, jakie masz wieści.

– Nie mam żadnych. – Delaunay pokręcił głową. – Czekam na wiadomość od Kwintyliusza Rouse. Gdybym coś wiedział, natychmiast powiadomiłbym Ganelona.

– Mój dziadek... – Głos jej się załamał i zrobiła parę nerwowych kroków. Zniknęła z mojego pola widzenia, lecz domyśliłam się, że wciąż patrzy na Delaunaya. – Mój dziadek wykorzystałby cię i trzymał z dala ode mnie. Ale chciałam zobaczyć na własne oczy. Chciałam się dowiedzieć, czy to prawda.

– Pani, przebywanie tutaj nie jest dla ciebie bezpieczne, podobnie jak mówienie o... o tej sprawie – powiedział Delaunay tym samym łagodnym tonem.

Roześmiała się trochę gorzko.

– To moje największe dotychczasowe osiągnięcie. Jak wiesz, od śmierci matki zajmuję komnaty królowej. Kilkaset lat temu królowa Józefina de la Courcel rozkochała się w aktorze. Kazała zbudować to przejście – Podeszła do lustra i wcisnęła ukrytą zapadkę, żeby je otworzyć. Dostrzegłam, że brwi Delaunaya uniosły się odrobinę. – Panie, jestem zdana wyłącznie na siebie, nie mam wsparcia przyjaciół i nie wiem, komu mogę zaufać. Skoro jesteś wierny przysiędze, czy poskąpisz mi rady?

Delaunay uklonił się, jak wtedy, gdy zdjęła kaptur. Prostując się, oddał jej pierścień.

– Pani, jestem na twoje rozkazy – rzekł cicho.

– Chodź zatem ze mną. – Weszła w tajemne przejście i zniknęła mi z oczu. Delaunay pospieszył za nią bez chwili wahania. Lustro zamknęło się za nimi, stapiając się ze ścianą.

Ścierpłam, skulona w niewygodnej pozycji, ale opuściłam kryjówkę dopiero po paru minutach, gdy zyskałam pewność, że na pewno odeszli. Odepchnęłam z drogi tekturę, wyczołgałam się spod krzesła i spojrzałam w lustro, żeby sprawdzić, czy wyglądam na równie oszołomioną jak się czułam. Wyglądałam.

Odetchnęłam głęboko, odzyskałam zimną krew i przygotowałam się do wyruszenia na poszukiwanie zachodnich drzwi, za którymi czekała mnie kolejna konfrontacja.

Z pewnym młodym i wściekłym bratem kasjelitą. Widziałam już Joscelina pobladłego z furii; tym razem, czekając przy powozie Rogiera Clavela, wyglądał jak rażony apopleksją.

– Nie sprzeniewierzę się... – cedził przez zaciśnięte zęby – swoim ślubom tylko dlatego, że ty...

– Joscelinie. – Wyczerpana po długotrwałym napięciu, obcesowo weszłam mu w słowo. – Czy twój zakon nie ślubuje chronić potomków Elui?

– Przecież wiesz, że tak – powiedział ostrożnie, niepewny moich intencji.

– W takim razie trzymaj język za zębami i o nic mnie nie pytaj, bo to, co dziś widziałeś, może narazić dynastię Courcel. A jeśli wspomnisz o tym Delaunayowi, oboje drogo zapłacimy za twoją głupotę. – Wsiadłam do powozu.

Po chwili Joscelin wydał rozkaz stangretowi i dołączył do mnie. Z jego oczu nadal biła wściekłość, ale poza tym spostrzegłam w nich coś nowego: ciekawość.

TRZYDZIEŚCI TRZY

Delaunay wrócił późno w nocy, a rano wstał milczący i zamyślony. Byłam przekonana, że Joscelin powie mu o moim zniknięciu, ale się pomyliłam. Ćwiczył z wyjątkową determinacją i skupieniem, nie bacząc na chłód, a ostrza jego sztyletów kreśliły zawile wzory.

Stałam na tarasie ubrana w najcieplejsze ubranie i trzęsłam się, obserwując go. Kiedy skończył, schował sztylety i podszedł, żeby ze mną porozmawiać.

– Przysięgniesz, że to, o co prosisz, nie okryje hańbą moich ślubów? – zapytał cicho. Po długich ćwiczeniach nie był nawet zdyszany; mnie samo stanie na zimnie skracało oddech.

Pokiwałam głową.

– Przysięgam – powiedziałam, starając się nie dzwonić zębami.

– W takim razie nic nie powiem. – Uniósł rękę okrytą kolczugą i wyprostował palec. – Ten jeden raz. Jeśli obiecasz, że więcej mnie nie oszukasz. Niezależnie od swojego zdania na ten temat, nie będę cię powstrzymywał od wypełniania ślubów złożonych Naamie. Ja przysiągłem Kasjelowi chronić i służyć, i proszę tylko, żebyś szanowała moje śluby tak, jak ja szanuję twoje.

– Przysięgam – powtórzyłam. Skuliłam się w obronie przed zimnem. – Możemy iść do domu?

Ogień płonął na kominku w bibliotece, która zawsze była jednym z najcieplejszych pomieszczeń w domu. Delaunay się nie pokazał, ale Alcuin czytał przy długim stole, obłożony książkami i zwojami. Uśmiechnął się lekko, gdy weszliśmy. Usiadłam

naprzeciwko niego i spojrzałam, co robi. Zobaczyłam teksty w kilku różnych językach oraz wiele imion Pana Cieśniny.

– Chcesz rozwiązać jego zagadkę? – Uniosłam brwi.

Alcuin wzruszył ramionami i uśmiechnął się szeroko.

– Czemu nie? Jeszcze nikt tego nie zrobił.

– Masz na myśli Delaunaya? – zapytał Joscelin, wiodąc wzrokiem po półkach. Wyjął jedną książkę i popatrzył na nią z zadumą, kręcąc głową. – Jedno jest pewne, to biblioteka pana z Siovale. Ma tutaj wszystko prócz Zaginionej Księgi Razjela. Czy Delaunay naprawdę zna pismo Jeszuitów?

– Bardzo możliwe – odparłam. – Czy w Siovale wszyscy cenią wiedzę?

– Pewien stary aragoński filozof przechodził każdej wiosny przez góry żeby odwiedzić nasz dwór – powiedział, odkładając książkę i uśmiechając się do wspomnień. – Gdy kwitły wiśnie, spędzali z moim ojcem siedem dni na zażartej dyskusji o tym, czy ludzkie przeznaczenie jest, czy też nie jest zdeterminowane. Potem filozof wracał do Aragonii. Zastanawiam się, czy rozstrzygnęli tę kwestię.

– Kiedy opuściłeś dom? – zaciekawiał się Alcuin.

Joscelin natychmiast zeszywniał, jakby został na czymś przyłapany.

– Mój dom jest tam, gdzie obowiązek.

– Och, nie bądź takim przekłętym kasjelitą – burknęłam. – Przypuszczam, że nie powiodło ci się wydobycie informacji ze swojego ziomka, Delaunaya?

Joscelin po chwili pokręcił głową.

– Nie – przyznał ze smutkiem. – Moja najstarsza siostra znałaby odpowiedź. Kiedyś wyrysowała drzewa genealogiczne wszystkich większych i mniejszych rodów w Siovale. W trzy

minuty mogłaby wam powiedzieć, czyja linia urywa się tajemniczo. – Usiadł i z roztargnieniem podrapał rękę pod sprzączkami zarękawia. – Jedenaście lat – dodał cicho. – Minęło jedenaście lat, odkąd widziałem swoją rodzinę. Składamy śluby w wieku lat dwudziestu. Będzie mi wolno ich odwiedzić po odsłużeniu pięciu, jeśli prefekt uzna, że dobrze się sprawiałem.

Alcuin zagwizdał.

– Mówiłam ci, że to ciężka służba – powiedziałam. – I co myślisz? Co wiesz o tajemnicy Anafiela Delaunaya?

Staralam się pamiętać o radzie Thelesis de Mornay, ale odnosiła się ona do Delaunaya, nie do Alcuina. W moim głosie tliła się zazdrość. Jakbym dotąd nie miała dość pytań, wczorajsze zdarzenie dodało dwadzieścia nowych. Kim był Delaunay dla rodu Courcel? Jak i do czego chciał wykorzystać go Ganelon? Czego chciała od niego Ysandra de la Courcel i czego dotyczyła “pewna sprawa”, o której chciała rozmawiać? Jaką przysięgę złożył i na czyj pierścień?

Alcuin nie mógł wiedzieć, jakie pytania kłębią mi się w głowie, odgadł jednak, skąd się wzięła moja wrogość. Nic nie powiedział, tylko patrzył na mnie poważnymi, ciemnymi oczami. Nagle doznałam olśnienia.

– Ty wiesz. Powiedział ci. – Gniewnie pchnęłam leżące najbliżej mnie książki. – Niech cię licho, Alcuinie! Obiecaliśmy sobie, że zawsze, ale to zawsze będziemy dzielić się tym, czego się dowiemy!

– To było zanim się poznaliśmy. – Spokojnie usunął bardziej kruche zwoje spoza mojego zasięgu. – Fedro, daję słowo, nie znam całej prawdy. Wiem tylko tyle, ile było potrzeba do pomocy w badaniach. I obiecałem, że ci nie powiem, dopóki twoja marka nie zostanie ukończona. To już niedługo, prawda?

– Chcesz zobaczyć? – zapytałam zimno.

Takie samo pytanie zadał Delaunayowi. Zobaczyłam, że sobie przypomniał; rumieńce na jego policzkach odznaczyły się żywo jak wino w alabastrowym pucharze. Wiedział, że wiem, ale nie wiedział, że widziałam. Nie miał w zwyczaju wypierania się prawdy i choć się rumienił, w jego oczach nie było cienia przebiegłości.

– Sama mu powiedziałaś, Fedro. Może nigdy nie doszłoby do tego, gdybyś zachowała milczenie.

– Wiem. Wiem. – Mój gniew zgasł. Oparłam głowę na rękach i westchnęłam ciężko. Joscelin patrzył na nas, mrugając z konsternacji. Nadażanie za sprzeczącymi się uczniami Anafiela Delaunaya nie było łatwe. – Aż za dobrze widziałam, jak bardzo go kochasz, a Delaunay pomimo całej swojej inteligencji był głupi jak świniopas, gdy chodziło o ciebie. Pozwoliłby ci uschnąć w swoim cieniu, zanim przejrzałby na oczy. Nie sądziłam jednak, że to będzie tak bolało.

Alcuin przesiadł się i objął mnie mocno.

– Przykro mi – szepnął. – Naprawdę mi przykro.

Kątem oka widziałam, jak Joscelin podnosi się cicho, składa swój formalny ukłon i taktownie wychodzi z biblioteki. W tym głębokim zakamarku umysłu, który zawsze kalkuluje, pożałowałam, że wypłoszyliśmy go akurat wtedy, gdy po raz pierwszy trochę się otworzył w naszej obecności. Ale oboje z Alcuinem zbyt długo mieszkaliśmy pod jednym dachem, żeby nie przeprowadzić tej rozmowy.

– Wiem – powiedziałam. Roześmiałam się i oddech uwiązł mi w gardle, ale wypłakałam już chyba wszystkie łzy. – Chciałabym, Alcuinie, żebyś był choć trochę mniej miły, bo wtedy mogłabym cię znienawidzić. Ponieważ jest jak jest, muszę poprzestać na

życzeniu ci wszystkiego najlepszego. Będę cię nienawidzić tylko za to, że nie chcesz mi powiedzieć tego, co jest ci wiadome.

On też się roześmiał, jego oddech ogrzał mi ucho. Białe włosy rozsypały się na mym ramieniu, mieszając się z moimi czarnymi lokami.

– Cóż, zrobiłbym to samo.

– Tak, z pewnością. – Pogładziłam jego włosy i splotłam je z moimi w czarno-biały warkocz. Nie wypuszczając mnie z objęć, przyglądał się, co robię. – Nasze życie – powiedziałam. – Splecione przez Anafiela Delaunaya.

Który chrząknął, wchodząc do pokoju.

Przestraszony Alcuin gwałtownie odsunął głowę, ciągnąc mnie za włosy. Skrzywiłam się z bólu.

Nie potrafię sobie wyobrazić, jak głupio musieliśmy wyglądać. Delaunay z trudem powstrzymał się od śmiechu.

– Uznałem, że będziesz chciała wiedzieć, Fedro – powiedział, siląc się na powagę. – Melisanda Szachrizaj przybyła z wizytą, żeby zaproponować spotkanie.

– Na Eluę! – Szarpnęłam warkocz tak mocno, że Alcuin krzyknął, i zaczęłam rozplatać go gorączkowo. – Dlaczego nie przyśle posłańca, jak normalni ludzie?

– Ponieważ znamy się od dawna – odparł, wciąż rozbawiony – i ponieważ bawi ją wprawianie cię w zakłopotanie. Ciesz się, że ją poprosiłem, by zaczekała w salonie. Czy mam powiedzieć, że dołączysz do nas niebawem?

– Tak, panie. – Wreszcie rozplotłam warkocz i spróbowałam nadać włosom choć pozory ładu. Alcuin roześmiał się; przegarnął swoje palcami i od razu opadły w rzece białego jedwabiu. Spiorunowałam go wzrokiem, jednocześnie zastanawiając się, czy zdążę się przebrać w inną suknię.

Delaunay pokręcił głową i wyszedł.

W końcu uznałam, że stawię się w tym, co mam na sobie, czyli w ciepłej wełnianej sukni, którą włożyłam przed wyjściem do ogrodu. Okazywanie, że jestem na tyle roztrzęsiona, by szukać ratunku w najlepszym stroju, tylko rozbawiłoby Melisandę Szachrizaj. Przybyła bez uprzedzenia, postanowiłam więc nie robić większych ceremonii.

Słyszałam śmiech, zanim weszłam do salonu; niezależnie od tego, kim dla siebie byli, umieli się wzajemnie rozbawić. Modliłam się, żeby Delaunay nie opisał jej scenki, jaką zastał w bibliotece, choć wiedziałam, że bezmyślne okrucieństwo nie leży w jego naturze. Gestem zaprosił mnie do pokoju.

– Panie, pani. – Zdołałam zapanować nad głosem. Dygnęłam i usiadłam na krześle. Melisanda obrzuciła mnie rozbawionym spojrzeniem i moje opanowanie niemal legło w gruzach.

– Fedro, złożyłam Anafielowi propozycję, którą uznał za wartą przyjęcia – powiedziała, z zadumą przekrzywiając głowę. – Mój pan, diuk de Morhban, zjedzie do Miasta Elui na zimowe bale i chciałby urządzić maskaradę. Jest panem suwerennego księstwa w Kuszecie. Mam zamiar złożyć coś w rodzaju oświadczenia w imieniu rodu Szachrizaj. Prawdziwa *anguisette*, jak sądzę, byłaby odpowiednia. Czy jesteś już umówiona na Najdłuższą Noc?

Najdłuższa Noc. W Dworze Nocy nie zawierano żadnych kontraktów na Najdłuższą Noc, ale przecież już nie należałam do Dworu Nocy. Zaschło mi w ustach. Pokręciłam głową.

– Nie, pani – odparłam z pewnym trudem. – Nie jestem umówiona.

– To dobrze. – Wygięła w uśmiechu piękne usta. – Zgadzasz się?

Jakby były jakieś wątpliwości albo jakbym miała dość silną

wolę, żeby odmówić. Od dziecka czekałam na spotkanie z Melisandą Szachrizaj. Roześmiałabym się, gdybym mogła.

– Tak.

– Dobrze – rzekła krótko. Popatrzyła na Joscelina, który przybył przede mną i stał przy drzwiach ze swobodnie skrzyżowanymi rękoma. – Obawiam się, młody kasjelito, że czeka cię długie, nudne czuwanie.

Kiedy się uklonił, twarz miał bez wyrazu, ale oczy mu rozbłysły niczym letnie niebo. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że nią pogardza. Zastanowiłam się, czy z powodu jej drwin z życia w celibacie, czy z jakiegoś innego.

– Chronię i służę – powiedział gniewnie.

Melisandą uniosła brwi.

– Och, chronisz dość dobrze, kasjelito, ale gdybyś przysięgł mnie, poprosiłabym cię o rozszerzenie usług.

Delaunay kaszlnął; znałam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że maskuje śmiech. Co dziwne, rozweseliła mnie świadomość, że zadawanie się z rodziną Courcel i kasjelickimi prefektami nie pozbawiło go poczucia humoru. Nie sądzę, by Joscelin zwrócił uwagę na jego parsknięcie, ślepy i głuchy ze złości na dokuczającą mu Melisandę. Polubiłam go trochę bardziej za dochowanie mojego sekretu i krótkie chwile okazywania ludzkich uczuć, ale powinien rozluźnić się jeszcze bardziej, jeśli nie chce robić z siebie głupka.

Albo ze mnie, pomyślałam ponuro.

– Zatem Najdłuższa Noc – powiedział Delaunay, już opanowany. Uśmiechnął się do Melisandy, odwracając jej uwagę od biednego Joscelina. – Ty nie uznajesz półśrodków, prawda?

– Prawda. – Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie. – Wiesz, że nie, Anafielu.

– Hmmm. – Napił się likieru i popatrzył na nią z zadumą. – Jaką grę prowadzisz z Quincelem de Morhban?

Roześmiała się.

– Ach, to... to tylko polityka rodowa. Księstwo Morhban obejmuje Pointe d'Oeste i jest suwerenne, ale przecież to ród Szachrizaj jest najstarszy w Kuszecie. Obecność Fedry ma mu przypomnieć, że wywodzimy się w prostej linii od Kusziela, nic więcej. Być może pewnego dnia będę potrzebować przysługi. Diuk powinien wiedzieć, że wyświadczenie dobrodziejstw starożytnym rodom bywa opłacalne.

– Nic więcej?

– Nic więcej, gdy chodzi o diuka de Morhban. – Bawiąc się kieliszkiem, spojrzała w moją stronę i uśmiechnęła się z rozleniwieniem. – Inne powody zachowam dla siebie.

Jej uśmiech przeszył mnie jak włócznia. Zadrzałam, nie znając powodu.

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Kiedy poeci śpiewają o zimie, na progu której staliśmy, zwą ją Najsroźszą; w istocie taka była i modłę się, by nie poznać gorszej. Ale gdy dni stawały się coraz krótsze, nie mieliśmy pojęcia, co nas czeka. Od niepamiętnych czasów ludzie narzekają, że tajemnica spowija nasze przeznaczenie, ja jednak uważam to za swoiste dobrodziejstwo. Gdybyśmy wiedzieli, ile goryczy los trzyma dla nas w zapasie, z pewnością skulilibyśmy się ze strachu i wypuścili z rąk czarę życia, nie skosztowawszy ani kropelki.

Być może niektórzy uznają, że tak byłoby najlepiej, ale ja jestem innego zdania. Jestem D'Angelina z krwi i kości, a D'Angelinowie są wybrańcami Elui, zrodzonymi z jego nasienia do życia na ziemi, na której zakończył długą wędrówkę i gdzie przelał krew z miłości do rodzaju ludzkiego. Tak myślę; nie mam innego wyboru. Choć w Progu Nocy dawali mi niewielkie szansę, przeżyłam Najsroźszą Zimę i muszę wierzyć, podobnie jak wszyscy ocalali, że istniał ku temu jakiś ważny powód. W przeciwnym wypadku smutek byłby zbyt wielki do zniesienia. Naszym celem jest smakowanie życia, jak czynił Błogosławiony Elua, i wychylanie czary do dna, do ostatniej kropli, słodkiej i gorzkiej zarazem.

Ale te wnioski przyszły później i są owocem długich przemyśleń. Wtedy moje życie było słodkie, zaprawione jedynie szczyptą lęku i kropelką żółci.

W dniach poprzedzających Najdłuższą Noc często myślałam o

coraz bliższym spotkaniu. Tak długo marudziłam, nie mogąc zdecydować się na suknię, że zirytowany moimi fochami Delaunay wysłał zapytanie do Melisandy. Odpowiedziała – choć raz przez posłańca – że zadba o wszystko, co będzie mi potrzebne na bal maskowy u diuka de Morhban. Wspomnienie sukni ze złotogłowiu, którą przysłała mi przed spotkaniem z Baudoinem de Trevalion, trochę poprawiło mi samopoczucie, choć nie uśmierzyło niepokoju, bo dobrze pamiętałam los księcia.

Delaunay ze swej strony był rozbawiony moimi zmartwieniami – ale poświęcał im uwagę, co zdarzało się raczej nieczęsto. Uważał, że Melisanda Szachrizaj nie brała bezpośredniego udziału w prowadzonej przez niego grze i nie chciał od niej tego, czego od innych klientów. Wyglądało na to, że gra przeniosła się na inny poziom, do którego nie miałam dostępu.

Gdy śnieg przykrył górskie przełęcze, Skaldowie podjęli najazdy i Sprzymierzeńcy z Kamlachu ruszyli w pole pod wodzą d'Aiglemorta. W salonach Miasta coraz częściej padało nazwisko Waldemara Seliga: wciąż było puste, pozbawione treści. Nie ignorowano go wyłącznie dlatego, że zbyt często mieli je na ustach odziani w futra jeźdźcy, którzy z toporami i pochodniami wdzierali się do pogranicznych wiosek, czasami uciekając z łupami w postaci ziarna i zapasów, czasami umierając z rąk D'Angelinów.

Delaunay z zainteresowaniem wysłuchiwał tych historii, katalogując je w prowadzonym rejestrze; umieścił tam również inną, zasłyszaną od Percy'ego de Somerville. Otóż król rozkazał wysłać azallijską flotę przeciwko wyspie Albie. Ganelon de la Courcel nie zapomniał, że uzurpator – Maelcon, jak się zdaje – i jego matka knuli zdradę razem z rodziną Trevalion.

W nagrodę za lojalność król przekazał księstwo Trevalion hrabiemu de Somerville, który z kolei zrzekł się władzy na rzecz syna, Ghislaina. Ghislain de Somerville na rozkaz króla wyprawił flotę Azalii na podbój brzegów Alby, ale gdy potężne fale wyróciły kilka okrętów, uznał, że mądrzej będzie pogodzić się z porażką, i nakazał odwrót. Sam został ze swoim okrętem flagowym, ratując rozbitków.

Nie jestem głupia; zauważyłam, że po usłyszeniu tej historii Alcuin nie przestał ślęczeć nad książkami i traktatami, wciąż szukając informacji na temat Pana Cieśniny. Wysyłał nawet listy do bibliotek w Siovale i do aragońskich uczonych, prosząc o kopie materiałów. Pewnego dnia zjawił się Maestro Gonzago de Escabares, prowadząc jucznego muła z ładunkiem książek i starych pergaminów. Przywiózł także złowieszczą nowinę, przyniesioną przez wiatr z północy. Ponieważ miasta-państwa Caerdicca Unitas zawiązały silne przymierza, Waldemar Selig zaczął popatrywać łakomym okiem na Terre d'Ange, śliwkę znacznie dojrzalszą i osłabioną przez wewnętrzne tarcia.

Nie myślałam wtedy, że śliwka ta była już mocno przejrzała. Ganelon de la Courcel wciąż pewnie trzymał władzę i jak na razie nikt się temu nie sprzeciwił. Cieszył się poparciem Percy'ego de Somerville, dowódcy wojsk królewskich, miał potężnego sprzymierzeńca w osobie swojego brata, księcia Benedykta, i mógł liczyć na przychyłność diuka L'Envers, skoligaconego z kalifem Khebel-im-Akad.

Ale Ganelon starzał się i tetryczał. Co do de Somerville'a, jego pozycja w księstwie Trevalion nie była zbyt mocna, bo Azallijczycy kochali księcia Baudoina i nie uśmiechała im się zwierzchność potomka Anaela. Nie brakowało też takich, którzy uważali, że Ghislain postąpił bardzo nierozsądnie, wypełniając

rozkaz króla, gdyż wywołało to niepokoje w prowincji. Z kolei książe Benedykt interesował się przede wszystkim La Sernissimą, a na domiar złego antagonizm z diukiem L'Envers podkopywał znaczenie ich obu, bo gdy jeden mówił "tak", drugi mówił "nie", i nigdy razem nie wspierali króla.

Przez cały czas Ysandra de la Courcel, dziedziczka tronu, który coraz mocniej chwiał się w posiadach, pozostawała tylko cieniem za kulisami.

Nazywanie rzeczy po imieniu ma swoją siłę. Nie wątpiłam, że pogłoski z miast-państw Caerdicci osłabiły Terre d'Ange; zyskałam absolutną pewność, kiedy poznałam ich źródło, choć miało to dopiero nastąpić. Ale nie ulegało wątpliwości, że kryzys polityczny, istniejący w królestwie przez wszystkie dni mojego życia, nasilił się w okresie poprzedzającym Najdłuższą Noc.

Nie będę udawać, że w owym czasie wiedziałam to wszystko; te elementy wielkiej układanki dopasowałam później, kiedy było już widać wzór. To, że mogłam tak zrobić, jest zasługą nauk Delaunaya. Przypuszczam, że gdyby wiedział, jak potoczą się wypadki, wyposażyłby mnie w o wiele większą wiedzę, wówczas jednak był zadowolony, że żyję w zapewniającej bezpieczeństwo ignorancji.

A ja, oczywiście, miałam własne zmartwienia.

W przeszłości przed każdym spotkaniem Delaunay zawsze wprowadzał mnie w sytuację, przypominając mi o znajomościach i wpływach klienta. W przypadku Melisandy Szachrizaj tylko wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Melisanda to Melisanda – oznajmił. – Wszystko, czego zdołasz dowiedzieć się o jej grze, może okazać się użyteczne. Myślę jednak, że jest zbyt ostrożna, by powiedzieć coś niebacznie, nawet przy tobie. Po prostu staraj się zgromadzić jak

najwięcej informacji i przysłuchuj się pilnie rozmowom gości de Morhbana.

– Tak zrobię, panie – obiecałam.

Pocałował mnie w czoło.

– Uważaj, Fedro, i baw się dobrze w Najdłuższą Noc. Ostatecznie to czas zabawy i nawet Kuszelici z radością patrzą, jak Księżę Słońce namawia Królową Zimę do wydłużenia dni.

– Tak, panie – powiedziałam.

Uśmiechnął się i poprawił mój płaszcz. Widziałam, że jego myśli już zwracają się w inną stronę. Razem z Alcuinem miał wziąć udział w prywatnym Zimowym Balu Maskowym u Cecylii Laveau-Perrin.

Potem już nie było czasu na nic więcej, bo przybył powóz Melisandy i w drzwiach stanął stangret w czarno-złotej liberii Szachrizaj. Pierwszy raz widziałam ten powóz. Była to elegancka mała dwukółka, czarna ze złotymi wykończeniami, z miejscem dla dwóch osób na krytym pluszem siedzeniu. Na drzwiczkach widniał herb Szachrizaj, trzy splecione klucze niemal ginące wśród wymyślnych zawijasów. Znałam legendę; Kusziel był klucznikiem piekła. Dwukółkę ciągnęła czwórka pięknych, dobranych siwków o wygiętych w łuki szyjach, z gracją bijących kopytami w kamienie bruku.

Joscelin Verreuil sunął za mną jak złowieszczy cień, gdy szłam do powozu. W krótkie dni zmierzch zapada wcześniej i szron leżący na dziedzińcu sprawiał, że wszystko oprócz niego skrzyło się w blasku wieczornych gwiazd. Pomógł mi wsiąść i sam również usiadł, patrząc na mnie wilkiem. W tym czasie stangret wspiął się na kozioł i strzelił z bata. Ruszyliśmy z brzękiem dzwonek upręży.

– Jak spędziłbyś tę noc, gdybyś nie służył Delaunayowi? –

zapytałam.

– Na medytacjach – odparł. – W świątyni Elui.

– Nie Kasjela?

– Kasjel nie ma świątyń – odparł krótko, a ja zrezygnowałam z prób wciągnięcia go w rozmowę.

Po niedługim czasie przybyliśmy do domu Melisandy. Powiem o niej jedno: nigdy nie przestała mnie zaskakiwać. Nie dość, że osobiście wyszła nam na powitanie, to jeszcze towarzyszył jej kapitan straży przybocznej oraz czterej jego najlepsi ludzie. Strażnicy uklonili się nisko – nie mnie, tylko Joscelinowi.

– Miło cię widzieć, bracie kasjelito – powiedział kapitan. Miał przystojną, szczerą twarz i dźwięczny głos. – Jestem Michel Entrevaux, kapitan straży Szachrizaj, i mam rozkaz zaopiekować się tobą w tę Najdłuższą Noc. Czy zaszczyisz nas swoim towarzystwem?

Joscelin dał się zaskoczyć; przypuszczam, że był przygotowany na wszystko prócz szacunku w domu Melisandy Szachrizaj. W tym tygodniu trzy razy posprzeczał się z Delaunayem, bo miał czekać tutaj, podczas gdy ja będę na balu u de Morhbana. Nie podobało mu się takie rozwiązanie.

My, którzy jesteśmy dobrze wyszkoleni, reagujemy odruchowo. Joscelin zgiął się w kasjelickim ukłonie.

– To ja będę zaszczycony – powiedział sztywno.

Melisanda Szachrizaj, olśniewająca i zarazem skromna w długiej sukni z czarno-złotego brokatu, z włosami splecionymi w koronę, uśmiechnęła się ciepło.

– Jest nisza w ogrodzie, messire kasjelito, jeśli chcesz czuwać ku czci Elui. Fedro, miło cię widzieć. – Pochyliła się, żeby pocałować mnie na powitanie. Spowił mnie zapach jej perfum. Zdołałam utrzymać się na nogach, bo pocałunek był czysto

formalny.

I to zdenerwowało mnie bardziej niż wszystko inne.

– Młodzi mężczyźni – wymruczała Melisanda z lekkim uśmiechem, kiedy wszyscy wyszli. – Takie poczucie honoru. Nie sądzisz, że się w tobie podkochuje?

– Joscelin mną gardzi, pani.

– Och, miłość i nienawiść to dwie strony tego samego ostrza... medalu... – powiedziała wesoło, ruchem ręki każąc służącemu zabrać mój płaszcz – choć dzieli je krawędź ostrzejsza od sztyletów twojego kasjelity. – Służący wskazał mi drogę do salonu i pospieszył pierwszy, żeby otworzyć drzwi. Melisanda ujęła mnie pod rękę. – Ty również trochę gardzisz swoimi klientami i trochę ich kochasz, prawda?

– Tak, pani. – Usiadłam na podsuniętym krześle i przyjąłam kieliszek *joie*, czujnie mierząc ją wzrokiem. – Trochę.

– A ilu z nich się boisz?

Odpowiedziałam uczciwie:

– Co najmniej jednego wcale. Niekiedy boję się większości z nich. Ciebie, pani, zawsze.

Kolor jej oczu przypominał niebo o zmierzchu, gdy wschodzą pierwsze gwiazdy.

– Dobrze. – Zadrżałam na myśl o obietnicach, jakie kryły się w jej uśmiechu. – Ale bądź spokojna, Fedro. Mamy dziś Najdłuższą Noc, a ja nie lubię się spieszyć. Nie jesteś taka jak inni, przyuczani od urodzenia. Oni są jak psy kulące się na widok bicia, ty zaś obejmujesz bicz, lecz nawet wtedy jest w tobie coś, co buntuje się przeciwko niemu. Niech inni zgłębiają zalety tych pierwszych, ja jestem zainteresowana tobą.

Znowu zadrżałam.

– Jestem na twoje rozkazy, pani.

– Rozkazy... – Melisanda podniosła kieliszek pod światło, patrząc na skrzący się likier. – One są dla kapitanów i generałów. Nie bawi mnie rozkazywanie. Jeśli będziesz słuchać, odgadniesz, co sprawia mi przyjemność, i zrobisz to bez pytania. – Z uśmiechem wychyliła kieliszek. – Radość.

– Radość – powtórzyłam bezmyślnie i wypiłam *joie*. Zapiekło mnie w gardle, słodkie i ogniste, przywołując wspomnienie Wielkiej Sali w Domu Cereusa, ognia w kominku i woni sosnowych gałęzi.

– Sprawiasz mi przyjemność, Fedro, ogromną przyjemność. – Melisanda wstała, odstawiła pusty kieliszek i pogładziła mnie po policzku. – Moi słudzy cię przygotowują. Za godzinę pojedziemy na maskaradę do Quincela de Morhban.

To rzekłszy, zostawiła mnie z wiszącym w powietrzu zapachem jej perfum. Po chwili weszła panna pokojowa i ze spuszczonego wzrokiem zaprowadziła mnie do łaźni.

Czekała tam na mnie gorąca kąpiel, girlandy pary wijące się nad powierzchnią wody, rozstawione wokół świece i dwie służące. Rozkoszowałam się kąpielą, podczas gdy jedna z nich nacierała mnie wonnym olejkiem, a druga zajmowała się włosami, czesząc je i wplatając w nie białe wstążki. Kiedy pokojówka przyniosła mój kostium, wyszłam z kąpeli, żeby go obejrzeć.

Jestem przyzwyczajona do pięknych strojów i niełatwo zrobić na mnie wrażenie, ale ta suknia mnie zaskoczyła. Była to swobodna szata z przejrzystej białej gazy z długimi rękawami – skrząca się od maleńkich diamentów finezyjnie naszytych na tkaninę.

– Na Eluę! Kto ma w tym iść?

Pokojówka obróciła w rękach maseczkę z biało-brązowych

piór rybołowa, otaczających lamowane czarnym aksamitem otwory na oczy.

– Ty, pani – odparła cicho.

W blasku świec przez gazę widziałam wszystko. Będę w niej jak naga, pomyślałam, przed połową arystokracji Kuszetu.

– Nie.

– Tak. – Może zachowywała się potulnie, ale nikt nie utrzymałby się długo na służbie w tym domu, gdyby nie wypełniał poleceń Melisandy. – I to. – Podniosła aksamitną obrózkę z diamentową łożką i przypiętą smyczą. Zamknęłam oczy. Widziałam takie rzeczy w Domu Waleriany. Noszenie ich w zaciszu Dworu Nocy nie musiało być takie złe.

Ale ja miałam to robić publicznie.

Służący pomogli mi włożyć kostium. Ubrali mnie w suknię, ułożyli włosy w taki sposób, żeby spływały po plecach, zapięli obrózkę z diamentem spoczywającym w zagłębieniu pomiędzy obojczykami i nałożyli maskę. Kiedy skończyli, przejrzałam się w wysokim lustrze.

Spojrzało na mnie zniewolone stworzenie, zamaskowane, w obroży, nagie pod przejrzystą mgłą gazy.

– Bardzo ładnie. – Przestraszył mnie głos Melisandy, jak wcześniej Joscelina, i zareagowałam odruchowo. Kasjelita się kłania, a adeptka Dworu Nocy klęka. Osunęłam się na kolana i wbiłam w nią wzrok.

Ja byłam w nieskazitelnej bieli, ona zaś w najczarniejszej czerni, aksamitne spódnice zamiatały podłogę, stanik ściśle opinał tors, eksponując białe ramiona. Miała czarne wieczorowe rękawiczki i maseczkę; czarne jak noc pióra z ciemnym tęczowym połyskiem stapały się na skroniach z jej wymyślną fryzurą. Szyję Melisandy otaczał sznur czarnych opali,

mieniących się jak pióra na szyi kormorana. Zrozumiałam, co symbolizują nasze kostiumy. Słyszałam kuszelicką legendę o “Wyspie Ys i jej mrocznej Pani, która rządziła ptakami i miała oswojonego rybołowa. Podobno Ys utonęła; nie pamiętałam legendy na tyle dobrze, żeby znać przyczynę, wiem tylko, że kormorany wciąż łowią ryby nad zatopioną wyspą i nawołują swoją utraconą Panią.

– Chodź – powiedziała Melisanda, wyciągając rękę po smycz. Jej głos naprawdę nie brzmiał rozkazująco, ale nie ulegało wątpliwości, że oczekuje posłuszeństwa.

Wstałam i posłusznie ruszyłam za nią.

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Nie wiedziałam, czego się spodziewać po kuszelickim balu, ale nie różnił się zbyt od innych, był może tylko o ton ciemniejszy, z nieznanymi podtekstami i przewagą kuszelickich akcentów, twardych i melodyjnych zarazem.

Gdy weszliśmy, zapadła cisza.

Herold de Morhbana podał nasze nazwiska. W oczach tych, którzy je usłyszeli, zostałam odarta nawet z anonimowości – nie byłam jakąś bezimienną służką Naamy, zakontraktowaną na Najdłuższą Noc, ale domownikiem arystokraty, ubranym w obrożę i prowadzonym na smyczy przez Melisandę Szachrizaj.

Ruszyliśmy w głąb sali, a w ślad za nami szepty. Z każdym krokiem czułam się coraz bardziej naga. Zamaskowane twarze, przysłonięte piórami i futrami, odwracały się i spoglądały za nami. Melisanda przemykała zwinnie wśród gości, a ja szłam za nią, na smyczy.

Ku mojej konsternacji, mimo setek wpatrzonych we mnie oczu i ręki Melisandy na końcu aksamitnej smyczy, odczułam pożądanie, jakiego dotąd nie zaznałam. Narastało we mnie niczym fala, która zatopiła Ys, pełna siły zaczerpniętej w głębi oceanu.

– Wasza Księżęca Mość. – Tylko Melisanda w trakcie składania ukłonu mogła wyglądać jak królowa, która przyjmuje hołd.

Wysoki, szczupły mężczyzna w wilczej masce skłonił głowę i popatrzył na nią szacującym wzrokiem.

– Przybywa ród Szachrizaj – rzekł kpiąco. – I co sprowadza?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi, a ja opadłam w głębokim dygu.

– Radość dla Waszej Książęcej Mości w Najdłuższą Noc – szepnęłam.

Uniósł mój podbródek i znalazł me oczy w otworach maski.

– No, nie! – zawołał, patrząc na Melisandę, a potem znowu na mnie. – To prawda?

– Fedra nó Delaunay – powiedziała z lekkim uśmiechem. Jej usta przypominały szkarłatny łuk pod czarną maską, skrywającą górną połowę twarzy. – Nie wiedziałeś, Wasza Miłość, że Miasto Elui chlubi się prawdziwą *anguisette*?

– Nie dawałem temu wiary. – Nie odrywając ode mnie spojrzenia przenikliwych oczu, podniósł zwiewne fałdy mojej sukni i wsunął pod nie rękę.

Krzyknęłam z przyjemności i wstydu. Diuk de Morhban popatrzył na mnie zza swojej maski: rozbawiony wilk. Melisanda szarpnęła smycz, a ja zachwiałam się i osunęłam na kolana. Diamenciki naszyte na cienką tkaninę wbiły się w moje ciało.

– Diuk de Morhban nie jest twoim klientem – przypomniała, wplatając rękę w moje włosy w geście, który był zarazem pieszczotą i pogrózką.

– Nie, pani – wydyszałam. Rozluźniła palce, a ja przywarłam do niej, przycisnęłam policzek do aksamitu jej spódnicy i wdychałam jej zapach niczym kadzidło w sanktuarium. Gdy ręka Melisandy przesunęła się po mojej szyi, jakby z daleka usłyszałam własny zduszony jęk.

– Widzisz, Wasza Miłość – powiedziała Melisanda lekkim tonem – Strzała Kusziela nie chybia.

– Ha, tylko uważaj, gdzie trafia! – prychnął i odszedł.

Czułam, jak Melisanda wstrząsa cichy śmiech, i szkarłatna

mgła przysłoniła mi oczy.

Nie umiem powiedzieć, co się działo przez resztę Zimowego Balu Maskowego u de Morhbana; próbowałam sobie przypomnieć, bo później Delaunay mnie wypytywał, lecz bez skutku. Wiem tylko, że spędziłam czas jakby w gorączkowym śnie. Elua świadkiem, usiłowałam zwracać uwagę na otoczenie i przysłuchiwać się rozmowom, ale aksamitka, na której wodziła mnie Melisanda Szachrizaj, przerwała mój związek z tą częścią umysłu, która zawsze myślała i analizowała na życzenie Anafiela Delaunaya. Kiedy zajrzałam do tego kalkulującego zakamarka, usłyszałam jedynie cichy szept narastającej fali i wiedziałam, że będę stracona, kiedy się załamie. Byłam świadoma tylko ręki na drugim końcu smyczy.

Gdybyście mnie zapytali, co pamiętam z maskarady, odpowiem krótko: Melisandę. Jej słowa i śmiech, jej każdy gest i oddech przenikał przez łączącą nas aksamitną linkę, pozbawiając mnie tchu.

Wystawiono jakieś widowisko, lecz zapamiętałam tylko zawołanie horologa, klaskanie Melisandy i jej uśmiech. Wciąż widzę go w snach.

Zbyt wiele z nich jest przyjemnych.

Całe szczęście, że Joscelin nie mógł mnie wtedy zobaczyć.

Wyszliśmy jako jedne z ostatnich gości. Szłam na oślep za Melisandą, a kiedy stangret pomógł mi wsiąść do powozu, zadrżałam na całym ciele jak trącona struna harfy. Aksamitna smycz naprężyła się; Melisandą nie odpięła jej, zajmując miejsce w powozie.

– Chodź tutaj – szepnęła, gdy powóz ruszył. Jej głos wciąż nie brzmiał rozkazująco, ale aksamitka pociągnęła mnie, bezradną i posłuszną, w jej ramiona. Elua świadkiem, byłam już wcześniej

całowana, ale nigdy w ten sposób. Całym swoim jestestwem poddawałam się pieszczocie, aż w końcu puściła mnie i zerwała moją maskę. Swoją zachowała i widziałam płonące niebieskie oczy wśród ciemnych piór kormorana. A potem znów mnie całowała, dopóki nie odwzajemniłam pocałunku – zrobiłam to nieumiejętnie, bez cienia artyzmu, rozpaczliwie przywierając do jej ust i zatracając się w nich bez pamięci.

Powóz zatrzymał się nagle. Melisandą roześmiała się z mojej miny, gdy drzwiczki się otworzyły i zobaczyłam dziedziniec jej domu; nie przypuszczałam, że podróż minie tak szybko. Stangret pomógł mi wysiąść, ostentacyjnie odwracając wzrok – nie mam pojęcia, jak wyglądałam, naga pod obszytą diamentami gazą, z włosami w nieładzie i szklistym wzrokiem – i aksamitna linka mocno się napięła. Drżałam z przerażenia, oddalona od Melisandy o niewyobrażalną długość smyczy, dopóki nie wysiadła i nie pociągnęła mnie, delikatnie, do domu.

Najdłuższa Noc dopiero się rozpoczęła.

Późniejsze wydarzenia zrelacjonuję bez dumy. Jestem wybranką Kusziela, tak jak Melisandą była jego potomkinią; miałyśmy przed sobą całą noc. Widziałam jej komnatę rozkoszy, gdy sprezentowała mnie Baudoinowi. Tym razem zaprowadziła mnie do buduaru. Zdążyłam zobaczyć lampy z wonnym olejem, wielkie łoże i hak zwisający z belki, a potem zawiązała mi oczy aksamitną szarfą.

Kiedy zdjęła obrozę i smycz z mojej szyi, nieomal zapłakałam, ale zaraz potem poczułam, jak znajomy sznur okręca moje ręce. Melisandą uniosła je i przymocowała do haka. Wisiałam zbyt wysoko, żeby móc uklęknąć, i byłam zbyt słaba, żeby stać o własnych siłach.

– Z tobą, moja droga – szepnęła – nie będę używać poślednich

zabawek.

Usłyszałam szcęk zameczka i zastanowiłam się, co to oznacza.

– Wiesz, co to jest? – Poczułam na policzku zimną pieśczoć stali i ostra jak brzytwa krawędź przesunęła się wzdłuż opaski zasłaniającej mi oczy. – Są nazywane strzałkami.

Wtedy się rozplakałam, co na niewiele się zdało.

Strzałka, ostra jak skalpel chirurga, przesunęła się po mojej szyi i musnęła dekolt sukni. Nie mam pojęcia, ile kosztowała usiana diamentami gaza, ale cienki materiał rozstąpił się z cichym westchnieniem i poczułam na skórze ciepłe powietrze sypialni. Rękawy zsunęły się po moich wyciągniętych rękach; strzałka prześledziła bieg żył na skrępowanych nadgarstkach, nie kalecząc skóry, i zjechała w dół, by zaszepać w czasie rozcinania gazy. Diamenciki zadźwięczały, gdy suknia ześliznęła się z moich ramion.

– Znacznie lepiej. – Melisanda odrzuciła suknię. Usłyszałam, jak szeleści i podzwania, i odwróciłam głowę w kierunku, z którego napływał dźwięk. – Nie lubisz mieć zasłoniętych oczu? – Głos zdradzał głębokie rozbawienie.

– Nie. – Zadrzałam mimowolnie, bojąc się zabójczego czubka strzałki. Zachowanie spokoju nie przychodzi łatwo, gdy wisi się na haku. Ostrze przesunęło się po mojej skórze i czubek ukłuł mnie pomiędzy łopatkami.

– Ach, ale gdybyś widziała, oczekiwanie byłoby znacznie mniej przyjemne – powiedziała łagodnie, przeciągając strzałką po moim kręgosłupie.

Nie odpowiedziałam. Drżałam jak koń ukąszony przez gza i nie mogłam powstrzymać łez, które wsączyły się w aksamitną opaskę. Otumaniał mnie strach – i pożądanie tak przejmujące, że tamowało mi oddech.

– Tyle żądy... – wymruczała Melisanda. Szpic zatańczył na mojej skórze, ukłuł napięte sutki. Sapnęłam, mimowolnie zaciskając związane ręce, aż zakołysał się łańcuch. Melisanda wybuchnęła śmiechem. A potem zaczęła mnie ciąć.

Wojownik raniony w bitwie cierpi znacznie gorzej; przypuszczam, że muśnięcia strzałek Melisandy były niczym w porównaniu z raną Alcuina.

Ale celem użycia strzałek nie jest ranienie, tylko zadawanie bólu. Ich krawędzie są niewyobrażalnie ostre i tną ciało równie łatwo jak gazę. Ledwo się je czuje, kiedy przebijają skórę.

Z tego powodu operuje się nimi bardzo, bardzo powoli.

Byłam ślepa i zawieszona na haku, rozdarta między strachem i pragnieniem. Moja świadomość skupiła się na ostrzu strzałki, rozcinającym ciało z dręczącą powolnością, rysującym niewidzialną pieczęć po wewnętrznej stronie mojej prawej piersi. Czułam strumyk krwi sączący się pomiędzy piersiami i po brzuchu. Moja skóra rozstępowała się pod lekkim naciskiem ostrza. Strzałka zadawała ból podobny do tego, jaki sprawiają igły markarza, lecz tysiąckroć większy.

Nie umiem powiedzieć, jak długo to trwało; miałam wrażenie, że upłynęła wieczność. W końcu Melisanda przestała ciąć i przesunęła szpic wzdłuż ścieżki wyrysowanej przez krew.

– Fedro... – wyszeptała cicho do mojego ucha. Czułam ciepło jej ciała. Czubek strzałki zsunął się na podbrzusze, poddając je chłodnej, zabójczej pieszczocie, i poznałam, że zawisł nad moimi dolnymi wargami. Zadrżałam niczym liść. Wiedziałam, gdzie zaraz wniknie ostrze. Niemal słyszałam uśmiech Melisandy. – Powiedz to.

– Hiacynt! – Z przerażeniem wychrypiałam *signale* i wszystkie moje mięśnie naprężyły się w paroksyzmie potężnego orgazmu.

Dopiero gdy przeminął, Melisanda ze śmiechem odsunęła ostrze, a ja zwisałam bezwładnie na końcu łańcucha.

– Dobrze się sprawiłaś – powiedziała czule, zdejmując opaskę. Zamrugalam w świetle lamp, na wpół przytomna, i ujrzałam jej piękną twarz. Zdjęła maskę i rozpuściła włosy, spływające na jej ramiona w granatowoczarnych falach.

– Proszę. – Usłyszałam swój głos zanim zdałam sobie sprawę, że to powiedziałam.

– Czego pragniesz? – Melisanda lekko przekrzywiła głowę, polewając wodą z dzbana moje ciało. Nawet nie spojrzałam na splukiwaną krew.

– Ciebie – szepnęłam. Nigdy wcześniej nie prosiłam o to klienta. Nigdy.

Po chwili Melisanda znów się roześmiała i rozwiązała mi ręce. Później była zadowolona i pozwoliła mi zostać, bawiąc się moimi włosami.

– Delaunay dobrze cię wyszkolił – powiedziała swoim melodyjnym, aksamitnym głosem, wprawiającym w drżenie nawet najmniejszą cząstkę mojej istoty. – Mogłabyś się zmierzyć z każdym Domem w Dworze Nocy, moja droga. – Przeciągnęła palcem po mojej marce i uniosła brwi. – Co zrobisz, gdy będzie skończona?

Nawet teraz zadrzałam, bo jej dotyk przypomniiał o niedawnej rozkoszy.

– Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałam.

– Powinnaś o tym pomyśleć. To już niedługo. – Uśmiechnęła się. – A może Delaunay postawił ci jeszcze jakiś cel?

– Nie – odparłam. – Nie wiem, pani. Owinęła na palcu kosmyk moich włosów.

– Nie? Może więc wreszcie jest usatysfakcjonowany.

Wykorzystał cię, żeby zyskać dostęp do Barquiela L'Envers, prawda? I wykorzystał diuka, żeby zemścić się na rodzinie Stregazza. – Roześmiała się, widząc moją minę. – Jak myślisz, moja droga, kto nauczył Delaunaya manipulować innymi? Nauczyłam go połowę tego, co wie; on w zamian nauczył mnie słuchać i obserwować. Te umiejętności razem są znacznie potężniejsze niż osobno.

– Powiedział, że byliście dobrani pod wieloma względami.

– Poza jednym. – Melisanda z uśmiechem łagodnie pociągnęła mnie za włosy. – Czasami myślę, że powinniśmy się pobrać, bo jest jedynym mężczyzną, który naprawdę potrafi mnie rozbawić. Z drugiej strony, jego serce poddało się dawno temu i myślę, że znaczna jego część umarła wraz z Rolandem.

– Z Rolandem? – Usiadłam, patrząc na nią. W głowie miałam gonitwę myśli. – Z księciem Rolandem?

– Naprawdę nie wiedziałaś? – Melisanda miała rozbawioną minę. – Tak, oczywiście, od czasów studiów na uniwersytecie w Tyberium. Nawet małżeństwo Rolanda nie mogło ich rozdzielić, choć Delaunay i Izabela nie cierpieli się wzajemnie. Nigdy nie czytałaś jego wierszy?

– W mieście nie ma ani jednego egzemplarza. – Kręciło mi się w głowie.

– Och, Delaunay zachował tomik. Trzyma go w szkatułce w swojej bibliotece – powiedziała jakby od niechcenia. – Ale co będzie robić, gdy przestaniesz być jego oczami i uszami?

– Nic – odparłam z roztargnieniem, próbując sobie przypomnieć. Tak, była tam szkatułka, widziałam ją, na najwyższej półce na wschodniej ścianie pokoju. Była zakurzona i nie wyglądała zachęcająco. Nigdy się nie zastanawiałam, co może zawierać. – Czytać. Czekać na wieści od Kwintyliusza Rouse. Nic.

– Zbyt późno przypomniałam sobie, w jakich okolicznościach wspomniał o Kwintyliuszu Rousse, i szybko zerknęłam na Melisandę. Nie okazała zaciekawienia.

– Może prześle wiadomość przez de Morhbanu; jego flota kotwiczony u wybrzeży Morhbanu. – Przyciągnęła mnie do siebie, przesunęła palcem po pieczęci wyrytej w mojej skórze. Krwawienie dawno ustało, ale linie były wyraźne. – Będzie chciał cię zobaczyć.

– De Morhban? – Delaunay, księżę Roland, przysięgi, poematy i szkatuły... Usta Melisandy wędrowały wzdłuż wyrytych linii i wszystkie myśli wywietrzały mi z głowy.

– Mmm. Jest Kuszelitą, aczkolwiek półkrwi. – Melisanda odsunęła się i z rozbawieniem patrzyła, jak na moje policzki wypływa rumieniec. – Zrobisz, co będziesz chciała, ale pamiętaj, komu diuk ma podziękować za to, że się o tobie dowiedział. – Bez więzów, bez ostrzy, bez zadawania bólu sprawiła, że rozchyliłam nogi. Wsunęła we mnie palce. – Wypowiedz jeszcze raz imię swojego małego przyjaciela, Fedro. Zrób to dla mnie.

Nie było ku temu powodu, nie było powodu do podawania *signale*.

– Hiacynt – wyszeptałam bezradnie i piętrząca się nade mną fala znowu się załamała.

Rankiem zbudziłam się w pokoju gościnnym. Służący Melisandy przygotował kąpiel i przyniósł moje schludnie złożone ubranie. W jadalni czekał Joscelin. Z trudem zdobyłam się na spojrzenie mu w oczy. Nie miał zamiaru o nic wypytywać, widząc mnie zdrową. W istocie, po spotkaniu z Childrikiem d'Essoms byłam w o wiele gorszym stanie – przynajmniej fizycznym – i myślę, że Joscelin odetchnął z ulgą.

Jak wcześniej, po nocy z Baudoinem, Melisanda przyszła mnie

pożegnać. Uprzejmie przywitała się z Joscelinem, a on uklonił się sztywno.

– Może będzie lepiej, gdy ty się tym zaopiekujesz, kasjelito – powiedziała, rzucając mu sakiewkę. – Ku czci Naamy. – Odwróciła się do mnie z uśmiechem i przełożyła mi coś przez głowę.

Była to aksamitka. Zawiązała ją i ułożyła diamentową łązkę w zagłębieniu u nasady szyi. Poczułam wzbierający we mnie przypływ pożądania.

– A to na pamiątkę – powiedziała cicho. Roześmiała się i skinęła na służącego. Podszedł z ukłonem i włożył mi w ręce poszarpane kłęby naszywanej diamentami gazy. – Nie potrzebuję łąchmanów – dodała ze złośliwym uśmiechem. – Jestem ciekawa, co zrobi *anguisette* wyszkolona przez Anafiela Delaunaya, gdy stanie na własnych nogach.

– Pani. – Tylko tyle zdołałam wykrztusić, patrząc jej w oczy. Zaśmiała się, pocałowała mnie i wyszła.

Joscelin patrzył na mnie z drugiej strony stołu. Spojrzałam na niego znad naręczna gazy i diamentów.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

W domu Delaunaya panowała cisza; było dość wcześnie i gospodyni powiedziała mi, że wszyscy jeszcze śpią, włącznie z moim panem. Najdłuższa Noc tradycyjnie przeciągnęła się do późna. Joscelin podał mi sakiewkę, przeprosił mnie i poszedł się zdrzemnąć. W nocy nie zmrużył oka, czuwając ku czci Elui.

Sama też spałam niewiele, ale byłam dziwnie podekscytowana i wiedziałam, że nie mam po co się kłaść do łóżka. Poszłam do swojego pokoju i schowałam do szkatułki dar Melisandy. Zastanowiłam się, jaką sumę zawiera sakiewka. Zamknęłam wieczko i usiadłam na łóżku, trzymając w ramionach resztki swojego kostiumu.

Wystarczy, aż nadto.

Nie miałam pojęcia co zrobić.

W ciągu jednej nocy wydarzyło się zbyt wiele, nie byłam w stanie wszystkiego ogarnąć. Przypomniałam sobie o szkatułce. Przynajmniej tego się dowiem, pomyślałam i zeszłam na dół do biblioteki.

Pamięć mnie nie myliła, choć musiałam wyciągnąć szyję, żeby ją zobaczyć. Na najwyższej półce pod wschodnią ścianą stała zakurzona szkatułka. Przez chwilę nasłuchiwałam pilnie. W domu nadal panowała cisza. Przysunęłam pod półkę najwyższe krzesło, stanęłam na nim i wyciągnęłam ręce. Nie dosięgnęłam szkatułki. Przeprasząc szeptem Szamchazaj i uczonych tego świata, ułożyłam na krześle kilka grubych tomów i wspięłam się na nie, z trudem utrzymując równowagę. Musnęłam czubkami

palców złote ornamenty i po chwili udało mi się przysunąć szkatułkę.

Chwyciłam ją ostrożnie i zesłam na podłogę. Cenne drewno ściemniało pod grubą warstwą kurzu, którego kłaczkę zebrały się na ornamentach. Dmuchałam delikatnie, wzbijając wielką chmurę, potem obejrzałam zamek.

Przyjaźń z Cyganem ma swoje zalety; Hiacynt dawno temu nauczył mnie otwierania prostych zamków. Przyniosłam z pokoju dwie spinki do włosów i zębami wygięłam jedną w maleńki haczyk. Przez cały czas pilnie nasłuchiwałam, czekając na odgłosy budzącego się domu. Ostrożnie manipulując spinkami, zahaczyłam o zapadkę i otworzyłam zamek.

Kiedy podniosłam wieczko, w powietrzu rozszedł się zapach sandałowego drewna. Melisanda powiedziała prawdę; szkatułka zawierała cienki tomik, oprawiony w jedwab, bez tytułu. Otworzyłam go i zobaczyłam wiersze; pismo było bardziej pedantyczne niż znane mi wężyki, ale zdecydowanie wyszło spod ręki Delaunaya. Wyglądając otwarte stronicę, przeczytałam poemat napisany wyblakłym atramentem.

*O, najdroższy panie,
Niech pierś, na którą natarłeś
W miłości jak na wroga w bitwie...
Bez broni i bez zbroi, zwarci pierś w pierś,
Sami na polanie,
Gdzie nasze głosy przestraszyły ptaki,
Walczyliśmy ze śmiechem,
Nie mając dla siebie litości;
Jak dobrze pamiętam twe ramiona w moich,
Gładkie niczym marmur,*

*I twoją pierś przyciśniętą do mojego torsu,
Zadyszana;
Gdy nasze stopy tratowały delikatną trawę,
Twoje oczy zmrużyła czuła chytrność,
A ja byłem nieświadom,
Dopóki twoja stopa nie podcięła mi kolan;
Upadłem, pokonany;
O, uwielbiany panie,
Być przeszytym w ekstazie drzewcem wiktorii,
Czuć słodki ból przegranej,
Słodsza ta druga walka...*

*O, najdroższy panie,
Niech pierś, na którą natarłeś,
Służy ci jako tarcza.*

Melisanda nie kłamała. Jeśli Delaunay napisał te wersy, z pewnością dedykował je Rolandowi de la Courcel. Rolandowi, który zginął w Bitwie Trzech Książąt. Rolandowi, którego obietnicę wypełniał, kiedy wrócił po Alcuina. Rolandowi, którego żonę napiętnował jako morderczynię. Rolandowi, którego ojciec wyklął jego poezję.

Nic dziwnego, że król nie śmiał skazać go na banicję.

Cichy szmer przyciągnął moją uwagę. Odwróciłam się. Alcuin stał nieruchomo jak skała, z otwartymi ustami. Za późno zamknęłam książkę.

– Nie powinnaś była tego robić – powiedział cicho.

– Musiałam wiedzieć. – Opuściłam wieczko szkatułki i przekręciłam zamek. – Ostatecznie sam Delaunay nas tego nauczył – dodałam, wyzywająco patrząc mu w oczy. – Pomóż mi

odłożyć ją na miejsce.

Zawahał się, ale zwyciężyła długa więź wspólnego wychowania. Podał mi rękę, żebym nie straciła równowagi, gdy kładłam szkatułkę na zakurzoną półkę. Odstawiliśmy na miejsce książki i krzesło, zacierając ślady mojej samowoli. Nadstawiliśmy ucha. Wciąż panowała cisza.

– A zatem Delaunay był kochankiem księcia Rolanda. – Skrzyżowałam ręce. – I co z tego? Roland de la Courcel nie żyje od ponad piętnastu lat. Dlaczego rodzina Courcel nadal utrzymuje stosunki z Delaunayem, daje mu kurierów, braci kasjelitów i tak dalej? I dlaczego Delaunay zawarł pokój z L’Enversem, bratem swojego wroga, żony księcia?

Alcuin spojrzał w bok.

– Nie wiem.

– Nie wierzę ci.

Wtedy popatrzył na mnie.

– Wierz, w co chcesz, Fedro. Dałem słowo Delaunayowi. Kto ci powiedział? Melisanda? – Nie odpowiedziałam, a on ściągnął brwi. – Nie miała w tym żadnego interesu. Gdybym umiał rozpoznać różnicę między jej kaprysami a ambicjami, spałbym o wiele spokojniej.

– Fakt, o jakim dowiedziałam się zaledwie przed chwilą, od wielu lat znany jest połowie królestwa. Nie sądzę, żeby ktoś gotów był zabić za tę informację. Izabela de la Courcel wywarła swoją zemstę, umieszczając jego wiersze na indeksie. Thelesis de Mornay powiedziała mi, że Delaunay mógłby być nadwornym poetą, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Kim został zamiast tego? To ta wiedza jest niebezpieczna.

– Nie uważasz, że Melisanda Szachrizaj jest dostatecznie przebiegła, żeby zdobyć ją za twoim pośrednictwem? – Alcuin

uniósł brwi.

Na tę myśl ogarnął mnie chłód. Nie odpowiedziałam. Alcuin obiecał, że podzieli się ze mną wszystkim, co wie, kiedy zrobię markę. W mojej pamięci odżyło dawne proroctwo matki Hiacynta i nagle się przestraszyłam. Nie miałam odwagi powiedzieć mu, że dzięki darowi Melisandy moja marka wkrótce zostanie ukończona.

– Powiesz Delaunayowi? – zapytałam.

Z posępnym wyrazem twarzy pokręcił głową.

– Decyzja należy do ciebie, Fedro. Jeśli jesteś mądra, sama mu powiesz. Ale to twoja sprawa.

Wyszedł. Jeszcze nigdy w służbie u Delaunaya nie czułam się taka samotna.

W końcu postanowiłam zagrać na zwłokę.

Powiedziałam Delaunayowi wszystko, co zdołałam zapamiętać, z wyjątkiem słów Melisandy o księciu Rolandzie i tomiku wierszy. Dziesięć razy kazał mi opowiadać o maskaradzie u de Morhbana, wreszcie poddał się i skierował uwagę na usianą diamentami suknię. Obracał ją w rękach, kręcąc głową.

– Co zrobisz? – zapytał w końcu.

Miałam trochę czasu do namysłu, więc splotłam dłonie i starając się panować nad głosem, powiedziałam:

– Panie, adept Dworu Nocy po ukończeniu marki może dalej służyć w swoim Domu i wspinać się po kolejnych szczeblach kariery, dopóki nie postanowi się wycofać. Ja... ja nie chcę opuszczać twojego domu.

Uśmiech Delaunaya był dla mnie jak słońce, które wschodzi po najdłuższej nocy.

– Chcesz zostać?

– Panie... – z trudem przełknęłam ślinę, bo strach i nadzieja

dławiły mnie w gardle, – czy mi pozwolisz?

Roześmiał się głośno, wziął mnie w ramiona i ucałował w oba policzki.

– Czy pozwolę? Fedro, podejmowałaś tak wielkie ryzyko, że osiwiąłem ze strachu, ale to ja cię tego nauczyłem. Jeśli chcesz ryzykować dalej, wolałbym, żebyś robiła to pod moim dachem, gdzie choć trochę mogę cię chronić. – Delaunay pogładził moje włosy. – Bałem się, że mogę cię stracić dla tego Cygana – powiedział, nie do końca żartem. – O ile nie dla Szachrizaj.

– Jeśli Księżę Podróżnych myśli, że z niecierpliwością czekam na skończenie marki, aby mógł łaskawie uznać mnie za godną siebie, to się grubo myli. Niech on o mnie zabiega, jeśli chce – powiedziałam. Dosłownie kręciło mi się w głowie z radości i ulgi. – A Melisanda jest zbyt zainteresowana tym, jak daleko ucieknę z jej obrozą na szyi – dodałam i zarumieniłam się, muskając palcami diament na aksamitce.

Delaunay powstrzymał się od komentarza, za co byłam mu wdzięczna.

– Fedro, należysz do mojego domu i nosisz moje nazwisko – oznajmił z powagą. – Jeśli kiedykolwiek miałaś wątpliwości, to mogę cię zapewnić, że nigdy, przenigdy cię stąd nie wyproszę.

– Dziękuję, panie – szepnęłam, ogromnie wzruszona.

Uśmiechnął się do mnie.

– Nawet gdy twoja służba będzie nabijać kiesę Naamy i twoją, nie moją. – Podniósł żalosne strzępki mojej sukni. – Mam więc posłać to do handlarza szlachetnymi kamieniami?

– Tak, panie, proszę – odparłam.

Przed sfinalizowaniem transakcji, co miało nastąpić za kilka dni, za zgodą Delaunaya wybrałam się do Progu Nocy. Zabrałam ponurego Joscelina, a Delaunay i Alcuin pożyczyci nam

wierzchowce. Było mroźno, ale uznałam, że przejażdżka wierzchem będzie przyjemniejsza od jazdy w zamkniętym powozie. Moje ostatnie wspomnienia powozu zbyt mocno wiązały się z Melisandą Szachrizaj i miałam nadzieję, że zimne powietrze rozjaśni mi w głowie.

Ale diamentu nie zdjęłam. Nie mogłam się z nim rozstać i starałam się nie wnikać zbyt głęboko w przyczyny mojej decyzji.

Hiacynt dyrygował kilkoma chłopakami, którzy wpychali rozlatującą się landarę do wynajmowanej przez niego stajni.

– Fedro! – zawołał, chwytając mnie w ramiona i okręcając dokoła. – Popatrz na to! Niebawem będę mieć służbę w liberii. Wielkopański powóz, a kupiłem go za piosenkę.

Joscelin oparł się o ścianę stajni. Był niemal niewidoczny, bo popielaty strój zlewał się z poszarzałymi deskami.

– W takim razie nisko cenisz swoje strofy, Cyganie – powiedział, wskazując zwichrowane koła i połamane szprychy. – To pozłacane wykończenie nie pokryje kosztów naprawy.

– Na szczęście, panie kasjelito, znam kołodzieja, który też będzie pracować za piosenkę – powiedział Hiacynt wesoło. Odwrócił się do mnie i wyszczerzył zęby. – Delaunay wypuścił cię z klatki? Mogę postawić ci dzbanek wina?

– Dzisiaj ja funduję. – Potrząsnęłam sakiewką u pasa. – Chodź, Joscelinie, postawienie nogi w gospodzie cię nie zabije. Kasjel ci wybaczy, jeśli ograniczysz się do picia wody.

Tak oto znaleźliśmy się przy znajomym stole na tyłach “Kogutka”, choć z nieznanym dodatkiem w postaci kasjelity. Joscelin siedział w kącie z rękami skrzyżowanymi na piersi, błyskając stalą zarękawi i patrząc wilkiem na innych klientów. Karczmarz wyglądał na równie niezadowolonego z jego obecności jak on sam.

Opowiedziałam Hiacyntowi prawie o wszystkim, co się stało, a on trącił palcem diament na mojej szyi i zagwizdał.

– Wiesz, ile jest wart? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Nie. Sporo.

– Mnóstwo, Fedro. Mogłabyś... ha, moglibyśmy nieźle się urządzić za pieniądze ze sprzedaży tego cacka.

– Nie mogę go sprzedać. – Zarumieniłam się, wspominając smycz ciągnącą mnie za szyję.

– W porządku. – Hiacynt popatrzył na mnie z zaciekawieniem. W jego czarnych oczach błyszczała żywa inteligencja. – Co jeszcze?

– Joscelinie... – Wyłowiłam monetę z sakiewki i przesunęłam ją po stole. – Kupisz dzbanek wina i zanieziesz go wraz z pozdrowieniami ode mnie chłopakom w stajni Hiacynta?

Kasjelita popatrzył na mnie z chłodnym niedowierzaniem.

– Nie.

– Przysięgam, nie zrobię niczego, co naraziłoby na szwank twoje śluby. Chodzi tylko o... och, wolałbyś tego nie słyszeć. Obiecuję, że nie ruszę się z tego krzesła. – Zirytowałam się, gdy wciąż siedział bez ruchu. – Na Eluę! Czy twoja przysięga każe ci siedzieć przy mnie kołkiem?

Zniesmaczony Joscelin odepchnął z chrząknięciem krzesło, podniósł monetę ze stołu i ruszył do szynkwasu.

– Miejmy nadzieję, że nie trzeba będzie ratować go z opresji – mruknął Hiacynt, patrząc w ślad za nim. – O co chodzi?

Powtórzyłam mu słowa Melisandy o Delaunayu i księciu Rolandzie, opowiedziałam o tomiku poezji. Hiacynt słuchał bez przerywania.

– Nic dziwnego – mruknął, gdy skończyłam. – Ostatecznie nie

był więc ani bratem, ani narzeczonym Edmee de Rocaille?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie, nie mścił jej, tylko chronił Rolanda. Zastanawiam się... Nigdy nie patrzyłeś?

– Mówiłem, że nie użyję do tego *dromonde*. Wiesz dlaczego – powiedział z nadzwyczajną powagą. Niewiele osób słyszało u niego taki ton.

– Przepowiednia twojej matki. – Zerknęłam na niego, a on skinął głową. – Albo wcale się nie spełni, albo czeka na dzień, w którym dowiem się wszystkiego.

– Módl się, żeby chodziło o to pierwsze – mruknął. Po chwili odzyskał dobry humor i błysnął białym uśmiechem. – Już nie jesteś sługą *vrajna*, Fedro nó Delaunay! Wiesz, co to oznacza?

– To oznacza, że teraz mogę mierzyć wyżej niż *anguisette* Delaunaya – powiedziałam jakby nigdy nic. – Może pewnego dnia otworzę własny salon, który prześcignie sławą dom Cecylii Laveau-Perrin, mojej mentorki. Kto wie, jakich konkurentów przyciągnie?

Spuścił z tonu, co sprawiło mi przelotną satysfakcję, ale trudno było zbić go z tropu. Dotknął diamentu Melisandy na mojej szyi.

– Wiesz, że to nie ma znaczenia. Ważne, kogo ty wybierzesz, Fedro. Zirytowana, trzepnęłam go w rękę.

– Na razie nikogo! Przez całe życie wykonywałam cudze rozkazy. Zamierzam posmakować wolności, zanim znów z niej zrezygnuję.

– Ja nie założyłbym ci obroży. – Uśmiechnął się szeroko. – Przeszłabyś ze mną długą drogę, wolna jak ptak Księżniczka Podróżnych.

– Twojej matce Cyganie założyli obrożę hańby – powiedziałam, patrząc na niego ze złością. – Wygnali ją, żeby prała cudze rzeczy i przepowiadała przyszłość za miedziaki. I jeśli prawdą jest to, co

słyszałam, tobie też założą obrożę na twoje *dromonde*, Księżę Podróżnych, a potem każą ci grać na skrzypkach i podkuwać konie. Daruj więc sobie te śpiewki w rodzaju “O, Gwiazdo Wieczorna”.

– Przecież wiesz, o co mi chodzi. – Wzruszył ramionami, nie przejmując się moją złością, i szarpnął aksamitkę na mej szyi. – Ja nie kazałbym ci paradować na wpół nago przed arystokracją całej prowincji.

– Wiem, Hiacyncie – szepnęłam. – I w tym problem.

Nie sądziłam, by do tej chwili w pełni rozumiał naturę tego, czym byłam. Wiedział, oczywiście, wiedział od zawsze i był jedyną osobą, którą interesowało nie to, czym jestem, tylko kim jestem. Teraz to pojął i nagle się przestraszyłam. To mogło zmienić wszystko między nami. Wtedy znów błysnął swoim zaraźliwym uśmiechem.

– I co? – zapytał i machnął ręką, jakby strzelał z bicia. – Jeśli chcesz, mogę nauczyć się okrucieństwa. Jestem Księciem Podróżnych – przypomniał z przechwałą w głosie. – Mogę wszystko.

Roześmiałam się i pocałowałam go. Oddech uwiązał mi w gardle, kiedy oddał pocałunek z niespodziewaną słodyczą i wprawą – dobrze go wyuczyły te wszystkie mężatki, z którymi się zadawał. Nagle monety zabrzęczały na stole i oboje podskoczyliśmy, przestraszeni jak dzieci przyłapano na psocie. Zobaczyliśmy skwaszoną twarz kasjelity.

Jadąc do domu w zimowym zmierzchu, zerknęłam na złowrogi profil Joscelina.

– Mówiłam ci, że nie stanie się nic złego i że ta sprawa ciebie nie dotyczy – powiedziałam, rozzłoszczona jego milczeniem. – Poza tym zrobiłam swoją markę i już nie muszę nikogo słuchać.

– Twoja marka jeszcze nie została ukończona, sługo Naamy – powiedział chłodno, a ja ugryzłam się w język; miał rację. Patrzył prosto przed siebie. – Tak czy siak, nie obchodzi mnie, kogo obdarowujesz swoimi... wdziękami.

Tylko wyniosły kasjelita mógł włożyć w te słowa tyle pogardy. Dał ostrogę wierzchowcowi i zostawił mnie w tyle, a ja znów serdecznie go nienawidziłam.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Po pewnym czasie dobiliśmy targu z kupcem szlachejnych kamieni, który policzył i wycenił wszystkie diamenciki, a następnie wręczył mi okazałą sumę pieniędzy.

Ciągle piekł mnie przytyk Joscelina, dlatego szybko umówiłam się na ostatnią wizytę u mistrza Tielharda. Przyznaję, że oczekiwałam tego dnia z niemałym podnieceniem. Jak w przypadku większości sług Naamy, moja marka powiększała się nieznośnie powoli; ukończenie jej za jednym zamachem było nie lada sztuką.

Alcuin tego dokonał, oczywiście, ale zaszantażował swojego klienta, za co musiał odprawić pokutę. Dar Melisandy, cokolwiek się za nim kryło, został ofiarowany ze szczerego serca. Jeśli były do niego przymocowane jakieś sznurki, za które mogłaby pociągać, to miały one postać aksamitki na mojej szyi, nie linii na moich plecach.

Do dnia wizyty u markarza żyłam w dziwnym stanie zawieszenia, nie będąc ani sługą związaną przysięgą, ani wolną obywatelką Terre d'Ange. Po raz pierwszy jednak brak swobody ruchów nie działał mi na nerwy. Oddawałam się spekulacjom, próbując znaleźć sens we wszystkim, co się wydarzyło, przy czym nie najmniej ważna była moja ostatnia rozmowa z Hiacyntem. Miałam dziwną ochotę spotkać się z jego matką.

Teraz żałuję, że się z nią nie widziałam; Delaunay byłby mnie zrugął za wiarę w zabobony, ale przecież jej przepowiednie zawierały ponurą prawdę. Może wszystko potoczyłoby się

zupełnie inaczej, gdybym do niej poszła.

Łatwo jest być mądrym, gdy spogląda się na coś z perspektywy czasu. Teraz wiem, że powinnam była opowiedzieć Delaunayowi o wszystkim, co zaszło między Melisandą i mną; powinnam była mu wyznać, że wiem o księciu Rolandzie. Nie mam pojęcia, dlaczego sama tego nie odgadłam. Ze wszystkich cieni, które spowijały duszę Delaunaya, ten jeden zawsze był najmroczniejszy: Bitwa Trzech Książąt.

Roland poległ; Delaunayowi nie udało się uratować swojego pana. Myślałam, że tylko dlatego rozpaczał. Teraz byłam mądrzejsza, mając w pamięci słowa jego poematu. “O, najdroższy panie, niech pierś, na którą natarłeś, służy ci jako tarcza”. Kochał Rolanda i zawiódł go. “Rolanda zawsze cechowała popędliwość” – powiedział kiedyś z goryczą. – “To była jego jedyna wada jako dowódcy”.

Powinnam była wiedzieć.

Tak myślę, wątpię i osądzam siebie. Ale szczerze mówiąc, czy miałoby to znaczenie? Nie wiem. I nigdy się nie dowiem.

Dzień mojego ostatniego spotkania z mistrzem Tielhardem wstał zimny, suchy i jasny. Delaunay błędził gdzieś myślami, spodziewając się jakiegoś gościa, ale zgodził się pożyczyć mi konie, zabrałam więc skwaszonego kasjelitę i pojechaliśmy do pracowni markarza.

Mistrz Tielhard nie był chciwym człowiekiem. Był artystą, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ale artyści, wcale nie mniej niż inni śmiertelnicy – a czasami bardziej – marzą o wspięciu się na wyżyny nieosiągalne dla równych sobie. Zobaczyłam, jak jego stare już oczy rozbłysły na widok złota oraz na myśl o dokończeniu marki. Byłam pierwszą *anguisette* w jego karierze.

Spędziliśmy sporo czasu w gorącej pracowni na zapleczu,

zatwierdzając ostatecznie wzór. Przez cienką zasłonkę widziałam Joscelina, czekającego z wyciągniętymi nogami i skrzyżowanymi rękami. Dobrze, niech czeka; nie miałam zamiaru popędzać mistrza Tielharda tylko dlatego, że młody kasjelita mógł się niecierpliwić.

Zdążyłam się rozebrać i poczułam pierwsze ukłucie, gdy w pokoju od ulicy zrobiło się jakieś zamieszanie. Ponieważ nie mogło mnie dotyczyć – tak sobie pomyślałam – nie podniosłam się ze stołu, gdy mistrz Tielhard wysłał czeladnika.

Dziś żałuję, że nie znałam nawet imienia tego chłopaka, i jest mi przykro z tego powodu.

Czeladnik wrócił za zasłonę, wytrzeszczając oczy.

– Pewien człowiek, mistrzu, nalega na zobaczenie się z panią... z Fedrą nó Delaunay. Kasjelita trzyma go w szachu. Czy mam wezwać straż królewską?

Usiadłam i okryłam się płachtą.

– Kim on jest?

– Nie wiem. – Głośno przełknął ślinę. – Mówi, że ma wiadomość dla pana Anafiela Delaunaya. Pani, czy wezwać straż?

– Nie. – Zbyt długo byłam uczennicą Delaunaya, żeby odrzucać oferowane informacje. Sięgnęłam po suknię i spiesznie narzuciłam ją przez głowę. – Przyślij go razem z Joscelinem. Mistrzu Tielhard...?

Stary markarz przez chwilę patrzył mi w oczy, a potem wskazał głową pomieszczenie, gdzie razem z czeladnikiem ucierali barwniki.

– Zobacz się z nim, *anguisette*, i dopilnuj, żebym tego nie żałował – burknął.

Zdążyłam zasznurować gorset, kiedy Joscelin na czubku

sztyletu wprowadził skonsternowanego młodzieńca z marynarskim warkoczem.

– Odwołaj swojego kasjelickiego ogara – powiedział do mnie, gdy Joscelin wepchnął go do pracowni. – Mam wieści dla lorda Delaunaya!

Przybrałam swoją najbardziej surową minę i weszłam za nimi za zasłonę. Joscelin jeszcze raz pchnął marynarza i zwinnie schował sztylety, stając pomiędzy mną i posłańcem.

– Kim jesteś? – zapytałam. Pomacał się po brzuchu i skrzywił.

– Aelric Leithe z “Mahariela”. Jestem zaprzysiężony admirałowi Kwintyliuszowi Rousse, a tutaj przybywam pod sztandarem hrabiego de Brijou z Kuszetu. Miałem spotkać się z twoim panem, Delaunayem.

Zastanowiłam się.

– Skąd mam to wiedzieć?

– Na Jaja Elui! – Przewrócił oczami. – Jest hasło, prawda? Przysięgam na sygnet księcia, jego jedyne świadectwo.

Sygnet księcia. Pomyślałam o pierścieniu, który Ysandra de la Courcel pokazała Delaunayowi, i zrobiłam obojętną minę.

– Dobrze. Mów, co cię tu sprowadza?

– Jacyś ludzie obserwują rezydencję hrabiego. – Zgiął się wpół, wciąż próbując odzyskać oddech. – Bodaj diabli cię wzięli, kasjelito, za twoją głupotę! Zobaczyłem ich i sprawdziłem, jak wygląda sytuacja u pana Delaunaya. Jego też obserwują, czekają na mnie. Ktoś musiał puścić farbę. Widziałem, jak wychodzisz, i przyszedłem za tobą.

Zmroziła mnie świadomość, że obawy Delaunaya były nie bezpodstawne. Gestem kazałam Joscelinowi czekać i nacisnęłam:

– Jak brzmi wiadomość od Kwintyliusza Rousse?

Aelric Leithe odetchnął głęboko i powiedział:

– Kiedy czarny dzik zawładnie Albą, Starszy Brat okaże przychyłność. To wszystko.

Sięgnęłam do sakiewki, starając się ukryć konsternację, i wysupłalam monetę. Był to złoty dukat, ale nie miałam wątpliwości, że Delaunay mi go zwróci.

– Dziękuję, żeglarzu – powiedziałam. – Przekażę wiadomość od twojego admirała dla mojego pana Delaunaya, a on z pewnością da jakąś odpowiedź.

Aelric Leithe nie był tchórzem, jestem tego pewna; nikt, kto żeglował pod rozkazami Kwintyliusza Rouse nie mógł być strachliwy. Ale tutaj przebywał nie w swoim żywiole, dlatego nie czekał na oklaski. Wziął monetę, zasalutował, unosząc pięść do czoła, i zniknął. Przez zasłonkę widziałam, jak mistrz Tielhard i jego czeladnik spoglądają za spiesznie oddalającą się postacią.

Potem popatrzyłam na Joscelina Verreuil. Miał straszną minę.

– Dom – powiedział i rzucił się do drzwi.

Z wcześniejszych i późniejszych doświadczeń znałam szybkość Joscelina, ale tego dnia pędził tak, jakby siedem diabłów deptało mu po piętach. Nie mam pojęcia, jak dotrymałam mu kroku, wyjąwszy fakt, że strach dodawał mi skrzydeł. Wierzchowiec Alcuina, na którym jechałam, musiał to wyczuć, bo iskry strzelały spod kopyt, gdy gnaliśmy od zakładu markarza do domu Delaunaya.

To nie miało znaczenia, tempo naszej jazdy nie miało żadnego znaczenia. Zbyt dużo czasu zmitrężyliśmy u mistrza Roberta Tielharda, marynarz, kasjelita i ja.

Na dziedzińcu panowała grobowa cisza, chłopiec stajenny nie wybiegł po spienione wierzchowce.

– Nie! – krzyknął Joscelin, zeskakując z siodła. Rzucił się do drzwi z wyciągniętymi sztyletami. – Ach, Kasjelu, nie!

Wpadłam za nim do cichego domu.

Ci, którzy go obserwowali, byli w nim przed nami.

Ludzie Delaunaya leżeli tam, gdzie padli, skąpani we krwi. Gospodynię też zabili i rzucili jej fartuch na twarz. Podobny los spotkał innych służących. Nigdy nie zadałam sobie trudu, żeby poznać choćby ich imiona albo dowiedzieć się, dlaczego postanowili związać swoje życie z Anafielem Delaunayem.

Znaleźliśmy go w bibliotece.

Musiał otrzymać co najmniej dziesięć ciosów; nie wiem, który go zabił. Leżał z zakrwawionym mieczem w dłoni. Twarz, nietknięta, była spokojna. Dziwnie nie pasowała do z maltretowanego ciała i rozrzuconych kończyn. Stałam w drzwiach, gdy Joscelin ukląkł i chwycił rękę, szukając pulsu. Jego mina, gdy uniósł głowę, mówiła sama za siebie.

Patrzyłam bez śladu zrozumienia, mój świat walił się w gruzy.

W półmroku biblioteki coś się poruszyło, zaszeleściło.

Joscelin był szybszy od myśli, skacząc w stronę źródła dźwięku. Kiedy je zobaczył, schował sztylety i gorączkowo zaczął odrzucać na bok książki i zwoje, które w czasie walki pospadały z półek.

Ujrzałam wśród rozrzuconych książek pasmo włosów, lśniące jak poświata księżyca.

Ujrzałam oczy Alcuina, ciemne i pełne bólu.

Joscelin usunął książki i syknął, gdy zobaczył rany. Przycisnął rękę do brzucha Alcuina, do pięknej batystowej koszuli przesiąkniętej krwią, i rzucił mi udęczone spojrzenie.

– Wody. – Głos Alcuina był słaby jak pajęczna nitka. Ukląkłam przy nim i chwyciłam go za rękę. – Proszę.

– Przynieś – poleciłam Joscelinowi. Otworzył usta, potem pokiwał głową i zniknął. Mocno ścisnęłam rękę Alcuina.

– Delaunay? – Spojrzenie ciemnych oczu wpijało się w moją twarz.

Pokręciłam głową, nie będąc w stanie wyrzec słowa.

Wzrok Alcuina oderwał się od moich oczu.

– Zbyt wielu – szepnął. – Co najmniej dwudziestu.

– Nic nie mów! – Łzy wyostrzyły mój głos.

Joscelin wrócił z dzbanem i gąbką. Zmoczył gąbkę i wycisnął strumyczek wody do ust rannego.

Alcuin poruszył wargami i przełknął, krzywiąc się z bólu.

– Zbyt wielu...

– Kto? – Głos Joscelina był niski i zimny.

– D’Angelinowie. – Błędny wzrok Alcuina skupił się na nim. – Żołnierze. Bez herbów. Zabiłem dwóch.

– Ty? – Pogładziłam jego włosy, nie bacząc na łzy spływające mi po twarzy. – Och, Alcuinie...

– Rouse – szepnął i znowu się skrzywił. – Przekaż mu wiadomość.

– Kwintyliuszowi Rouse? – Wymieniłam spojrzenie z Joscelinem. – Znalazł nas jego posłaniec. Mnie. Powiedział, że ktoś obserwuje dom.

Alcuin coś wyszeptał; wyteńczyłam słuch, pochylając się nad nim.

– Hasło? – powtórzył.

– Nie. – Miałam mętlik w głowie. – Tak, tak, podał hasło. Pierścień księcia... sygnet księcia, jego jedyny.

Alcuin zadrżał i z trudem złapał oddech. Joscelin dał mu wody, przetaił gąbką twarz. Zobaczyłam z niedowierzaniem, że Alcuin próbuje się roześmiać.

– Nie pierścień... *cygnet*... młody łabędź. Courcel. Delaunay... przysiągł jej strzec. Przysięga Kasjela... córka Rolanda.

– Anafiel Delaunay był zaprzysiężonym obrońcą Ysandry de la Courcel? – zapytał cicho Joscelin.

Alcuin z trudem skinął głową.

– Przysięgł... Rolandowi – wymamrotał, oblizując usta. Joscelin wycisnął na nie strumyczek wody. – Co... z Roussem?

– Kiedy czarny dzik zawładnie Albą, Starszy Brat okaże przychylność. – Wpatrywałam się w gasnące oczy Alcuina. – Alcuinie, nie odchodź! Potrzebuję cię! Co mamy zrobić?

Nić jego głosu strzępiła się, ciemne oczy traciły blask, patrząc przepraszająco.

– Powiedz Ysandrze... niech ufa... admirałowi. Trevalionowi. The... Thelesis wie... o Albie. – Znowu się poruszył, zakaszłał i krew zapieniła się na jego ustach. Takie piękno zniszczone; zbyt mocno ścisnęłam go za rękę. – Nie Ganelonowi... Delfinie. – Poruszył głową i wiedziałam, że patrzy na Delaunaya. – Dotrzymał słowa – powiedział dźwięcznie, potem westchnął, a jego oczy wywróciły się w głąb czaszki. Ścisnął moją rękę. – Fedro!

Nie wiem, ile czasu upłynęło. Długo trzymałam go za rękę, długo po tym, jak zmiotczała w mojej dłoni. Długo patrzyłam w jego twarz, która wygładziła się, gdy przeminął ostatni spazm bólu. Joscelin postawił mnie na nogi i potrząsnął mną za ramiona. Pozwoliłam mu na to, bezsilna w jego dłoniach, czując, jak grzechocą kawałki mojego pękniętego serca. Odeszli, wszyscy odeszli. Za nieruchomym Alcuinem leżał Delaunay.

Jego szlachetne rysy były zwodniczo spokojne w głębokim śnie śmierci.

Przetykany srebrem kasztanowy warkocz leżał na ramieniu tak stosownie, jakby nie było pod nim kałuży krwi.

– Bodaj Elua cię przeklął, Fedro, posłuchaj mnie! – Usłyszałam

głośne klaśnięcie; uniosłam głowę, nie do końca świadoma, że mnie spoliczkował. Zobaczyłam oczy szeroko otwarte ze strachu, nagłące. – Musimy stąd odejść – powiedział wysokim, napiętym głosem. – Rozumiesz? Ci ludzie znają się na tej robocie, zabrali swoich zabitych. Na pewno tu wrócą. Musimy przekazać delfinie wiadomość od admirała Roussego. – Znów mną potrząsnął i głowa zakołysała mi się bezwładnie. – Rozumiesz?

– Tak. – Przycisnęłam dłonie do oczu. – Tak, tak, tak! Rozumiem! Puść mnie. – Zrobił to, a ja odruchowo otuliłam się płaszczem... i równie odruchowo oceniłam sytuację. Byłam wybranką Kusziela, ale także uczennicą Delaunaya. – Pójdziemy... pójdziemy prosto do pałacu. Jeśli nie uda nam się dotrzeć do delfiny, poszukamy Thelesis de Mornay. – Opuściłam rękę, patrząc na Joscelina. – Ona mnie zna. Przyjmie mnie.

– Dobrze. – Jego rysy stwardniały, gdy chwycił mnie za rękę, żeby wyciągnąć z kostnicy, która kiedyś była biblioteką. – Idziemy.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Nic nie pamiętam z jazdy do pałacu; nie wiem, ile czasu trwała, jaka była pogoda, kogo mijaliśmy na ulicach. Później widziałam ludzi, którzy walczyli w bitwie przez jakiś czas po otrzymaniu śmiertelnej rany. Wtedy zrozumiałam.

Delaunay śmiał się, mówiąc, że mam pechowe imię. Bawiło go, że nadała mi je kobieta, która została wychowana w Dworze Nocy i tym samym nie powinna być niedouczona. Nie powinien był się naśmiewać. Dał mi swoje nazwisko, a wraz z nim szczęście. Ja w zamian przyniosłam mu pecha, jak kiedyś Baudoinowi de Trevalion.

Nie mogę osądzać własnego szczęścia; nawet teraz wiem, że gdyby mój los nie spoczywał w rękach Elui, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej. Wiem tylko, że w owym czasie właśnie tego chciałam.

Ysandra de la Courcel nie przyjęła nas.

W przeszłości przejmowałam się, że oboje z Joscelinem – ja w płaszczu *sangoire*, on w kasjelickiej szarości – robimy z siebie widowisko. Owego dnia nic nie mogłoby mnie mniej obchodzić, dopóki nie zobaczyłam min służących Thelesis de Mornay. Poinformowali mnie uprzejmie, że nadworna poetka jest zajęta i będzie zajęta jeszcze przez kilka godzin. Wyglądało na to, że jej wiersze przynoszą ulgę królowi, dlatego przeszkadzanie w czasie sesji poetyckich było surowo zabronione.

Przycisnęłam ręce do oczu i przypomniałam sobie o sekretnym przejściu do komnat delfiny.

Są tacy, którzy spoglądają w gwiazdy i twierdzą, że z ich układu można wyczytać przeznaczenie. Niewątpliwie według nich to spotkanie było nam pisane, ja jednak wiem, że nie zdarzyło się przez przypadek. I powinnam wtedy się tego domyślić. Nietrudno jest obserwować tych, którzy strzegą. Nietrudno przesłać wiadomość, gdy ktoś ubiega się o audiencję.

Teraz to wiem; wtedy po prostu osłupiałam, słysząc głos Melisandy Szachrizaj.

– Fedra?

Ręce Joscelina spoczęły na sztyletach. Poderwałam głowę, jakby jej głos był smyczą szarpiącą mnie za obrózkę, o której w owej chwili nie pamiętałam. Jej czoło pomarszczyło się z zatroskania.

– Co się stało?

Współczucie Melisandy ostatecznie mnie rozstroiło. Łzy zakręciły mi się w oczach.

– Delaunay... – wychrypiałam. Chciałam coś dodać, ale nic więcej nie potrafiłam wykrztusić. To nie miało znaczenia. Zobaczyłam, że zrozumiała. – Alcuin. Wszyscy.

– Co...?

Do wielu rzeczy podchodzę sceptycznie, nawet dziś, ale nie wątpię, że moje słowa zaskoczyły Melisandę Szachrizaj. Była to jedyna emocjonalna reakcja, której nie ćwiczyła; nie musiała, bo niewiele rzeczy zdarzało się bez jej wiedzy. Poznałam jej zdumienie po głosie, który zabrzmiał fałszywie na tym jednym słowie. Nawet Joscelin to usłyszał i opuścił ręce.

Przyczyna jej zdumienia była jednakże zupełnie inną sprawą.

Kiedy znów się odezwała, głos miała opanowany, choć zbladła.

– Szukacie gwardii królewskiej?

– Nie – odparł Joscelin, a ja w tym samym momencie

powiedziałam: – Tak.

Nic, nawet tragedia w domu Delaunaya, nie mogło pozbawić mnie rozsądku na tyle, żebym ślepo zaufała Melisandzie Szachrizaj. Otarłam oczy z łez.

– Tak – powtórzyłam silniejszym głosem, ignorując Joscelina. – Wiesz, gdzie są ich kwatery?

– Mogę zrobić coś lepszego. – Melisanda odwróciła się do służącego w liberii Szachrizaj, stojącego kilka kroków za nią. – Wezwij kapitana gwardii do moich pokoi, nikogo innego, słyszysz? Powiedz mu, że to pilne. – Sługa skłonił się i odszedł szybkim krokiem. Melisanda odwróciła się do nas. – Chodźcie ze mną – powiedziała łagodnie. – Powinni zjawić się lada chwila.

Pierwszy raz zobaczyłam pałacowe kwatery Szachrizaj. Wiem tylko, że urządzono je z przepychem, niczego więcej nie pamiętam. Siedzieliśmy przy długim marmurowym stole w wielkiej komnacie, czekając na straż.

– Wypijcie. – Melisanda nalała likieru do dwóch kieliszków. – Ty też – dodała, widząc wahanie Joscelina. – Dobrze wam robi.

Wypiłam jednym haustem. Likier miał czysty, wyrazisty smak, z nutką miodu, tymianku i jeszcze czegoś. Trochę uspokoił mi nerwy. Joscelin zakaszłał, nieprzyzwyczajony, i policzki mu poróżwiały. Wyglądał odrobinę lepiej. Melisanda dołała mi likieru, ale kiedy sięgnęła po jego kieliszek, pokręcił głową.

– Mogę prosić o herbatę? – zapytał słabym głosem.

– Oczywiście. – Podeszła do drzwi, wezwała służącego i cichym głosem wydała mu polecenie. Usiadła, patrząc na mnie. – Powiesz mi, co się stało?

– Nie. – Zaczęłam się trząść i mocno zacisnęłam ręce na kieliszku. – Pani, nie wiem. Pojechaliśmy... pojechaliśmy do markarza, żeby umówić się na ukończenie mojej marki. – Mój

umysł pracował desperacko, gdy improwizowałam; nie mogłam skupić wzroku, co tu więc mówić o myślach. – Musiałam zaaprobować wzór, bo mistrz Tielhard zmienił zwieńczenie. To zajęło... Nie wiem, ile czasu.

– Trzy kwadransy – powiedział Joscelin. Głos miał trochę niepewny, ale można to było złożyć na karb wstrząsu, a nie mówienia półprawdy. – Być może trochę dłużej. – Służący wszedł z herbatą. Joscelin podziękował gospodyni i wypił łyk. – Kiedy wróciliśmy do domu... – Ręka mu zadrżała i herbata wylała się na spodek. Odstawił filiżankę, zapanował nad drżeniem rąk i znowu się napił. – Wszędzie widniały znaki świadczące o walce – podjął ponuro. – Nikt nie pozostał przy życiu. Nie wiemy, co się stało.

– Och, Anafielu – mruknęła Melisanda. Zerknęła w stronę drzwi, wypatrując, jak pomyślałam, kapitana gwardii królewskiej. Ja też tam spojrzałam, ale nikt się w nich nie pojawił.

Coś łupnęło głośno.

Joscelin leżał bezwładnie, z policzkiem na zimnym marmurze. Filiżanka była przewrócona, parujący płyn zebrał się pod zwiotczałą, okrytą kolczugą ręką. Zakręciło mi się w głowie, jego nieprzytomna twarz zafalowała mi przed oczami.

– Nie – powiedziałam. Odepchnęłam kieliszek, z narastającą grozą patrząc na Melisandę. – Och, nie. Nie.

– Fedro, przykro mi. – Jej piękna twarz była opanowana i spokojna. – Przysięgam, nie ja wydałam rozkaz zabicia Delaunaya. To nie była moja decyzja.

– Wiedziałaś. – Włos mi się zjeżył z przerażenia. – Wykorzystałaś mnie. Ach, Eluo, sama ci powiedziałam! Posłaniec Roussego!

– Nie. Już wcześniej wiedziałam, że Delaunay czeka na wieści od Kwintyliusza Rouse. – Z mrozącą krew w żyłach pieczołowitością Melisanda podniosła przewróconą filiżankę i ustawiła ją na spodku.

– Zatem dlaczego? – szepnęłam. – Dlaczego powiedziałaś mi o księciu Rolandzie? Myślałam, że chcesz się dowiedzieć, co wynikło z ich związku.

Uśmiechnęła się, odsuwając zbłąkany kosmyk z moich osłupiałych oczu.

– Że Delaunay przysiągł chronić życie Ysandry de la Courcel i jej prawo do tronu? Moja droga, wiem o tym od wieków. Mój drugi mąż był wielkim przyjacielem króla i strasznym gadułą. Nie przewidział tylko, że Delaunay dotrzyma słowa, był na to za głupi. Z drugiej strony, o postanowieniu Delaunaya wiedziało niewielu spośród tych nielicznych, którzy znali sprawę. Nie, Fedro, nie interesowało mnie przyrzeczenie Delaunaya, tylko jego zamierzenia. Do czego był mu potrzebny Kwintyliusz Rouse i skąd się wzięło to zainteresowanie Panem Cieśniny?

– Ale dlaczego... dlaczego ja? – Głowa zaczynała mi się kiwać. Środek, który Melisanda wsypała do herbaty Joscelina, musiał być również w likierze, choć w mniejszej ilości.

– Czy potrzebuję powodu? – Melisanda z uśmiechem przeciągnęła palcem po mojej brwi nad lewym okiem, tym z plamką po Strzale Kusziela. Wcześniejszy strach był niczym w porównaniu z grozą, jaka mnie ogarnęła; wciąż miała nade mną władzę, wystarczał sam jej dotyk. – Może zresztą tak, w przypadku uczennicy Delaunaya. To trochę jak płoszenie bażantów, rozumiesz, kiedy nagonka wchodzi w krzaki. Chciałam zobaczyć, który z parów de Morhbana drgnie na dźwięk twojego nazwiska. Nietrudno było zgadnąć, że to hrabia

de Brijou pchnął posłańca do twojego pana, Fedro nó Delaunay.

Krew paliła mnie w żyłach niczym płynny ogień, parząca zdrada. Walcząc z wpływem Melisandy, z jej aksamitką, która niczym stryczek otaczała moją szyję, próbowałam poskładać elementy układanki. Zatem czyi ludzie zabili Delaunaya? Melisandy? Nie miała władzy nad wojskiem; Szachrizaj posiadali pieniądze i wpływy, ale poza strażą przyboczną nie dysponowali innymi zbrojnymi. Alcuin zdołałby to zrobić, Alcuin dopasowałby kawałki, pomyślałam i łzy zapiekły mnie z siłą równą największemu pożądanu. Czepiając się myśli o Alcuinie, dostrzegłam zarys wzoru.

– D’Aiglemort.

Iskra rozbłysła w niebieskich oczach Melisandy; była dumna, że odgadłam.

– Delaunay dobrze cię wyuczył – powiedziała z satysfakcją. – Szkoda, że Izydor nie stawiał się osobiście. Miałby dość rozsądku, żeby nie zabijać Delaunaya przed poznaniem jego zamierzeń. Nie przekazałabym wiadomości, gdybym wiedziała, że jego ludzie spartaczą sprawę. Wiesz, to prawda, że większość Kamaelitów myśli mieczami.

– Nie d’Aiglemort.

– Nie. – Podeszła do drzwi i wydała rozkaz, którego nie usłyszałam. Już się domyśliłam, że nie przybędzie żaden kapitan gwardii królewskiej. Melisanda wróciła i stanęła przede mną, kładąc mi ręce na ramionach. – Nie, Izydor d’Aiglemort myśli czymś więcej niż tylko swoim mieczem. Przez trzy lata wychowywał się w Kuszecie, nie wiedziałaś? W domu Szachrizaj.

– Nie – szepnęłam. – Nie wiedziałam.

– To prawda. – Jej ręce przesuwają się po moim ciele, straszne i pociągające. Do tej chwili nie do końca rozumiałam, że ofiary

Kusziela żyją w płomieniach wiecznego potępienia. Joscelin leżał przede mną martwy albo nieprzytomny, Delaunay zginął, Alcuin skonał z moim imieniem na ustach, lecz nawet to nie mogło powstrzymać przyływu pożądania.

– Nie... – Załkałam i zadrżałam. – Błagam, nie.

Znieruchomiała na chwilę, potem jej oddech ogrzał mi ucho.

– Dlaczego kasjelita powiedział “nie”, Fedro? – wymruczała; jej głos przeszył mnie do szpiku kości. – Kiedy zapytałam, ty przytaknęłaś, a on zaprzeczył. Jeśli nie szukaliście gwardii królewskiej, to po co przybyliście do pałacu?

Pokój zawirował mi przed oczami; zobaczyłam czerwoną mgłę, a w niej Delaunaya, Alcuina, wszystkich, których kochałam, i za nimi twarz Naamy, współczującą i wybaczącą, oraz surowe mosiężne oblicze Kusziela, w którego mocy spoczywał mój los.

– Nie wiem. – Zdawało mi się, że mój głos napływa z wielkiej dali. – Zapytaj Joscelina, o co mu chodziło, jeśli go nie zabiłaś.

– Ach, nie, zdążyłaś go ostrzec, moja droga. Kasjelita prędzej umrze niż złamie przysięgę – wyszeptała Melisanda tak blisko mojej twarzy, że czułam ruch jej ust. Zamknęłam oczy i zadrżałam. – Poza tym wolę zapytać ciebie.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Obudziły mnie jakieś wstrząsy.

Pierwsze wrażenia odebrane przez zmysły nie należały do przyjemnych. Było zimno i ciemno; leżałam na słomie, która kłuła mnie w policzek, pod szorstkimi wełnianymi kocami, a stałe kołysanie i tętent kopyt wskazywały, że jadę na wozie krytym płócienną budą. Tyle zrozumiałam, zanim opadły mnie mdłości. Ja, która w życiu nie przechorowałam jednego dnia, nie miałam pojęcia, co się dzieje. Instynkt kazał mi poczołgać się w najdalszy kąt wozu, gdzie zwymiotowałam skąpą zawartość żołądka.

Późniejsze ataki mdłości były łagodniejsze. Drżąc z zimna i od zawrotów głowy, wróciłam do swojego gniazda z koców, żeby poszukać w nim skąpej pociechy, jaką miało do zaoferowania. Wtedy zobaczyłam kogoś na wpół zagrzebanego pod kocami, jasne włosy stapiające się ze słomą, szare ubranie ledwo widoczne w nikłym świetle sączącym się przez szczeliny.

Joscelin.

Wspomnienia napłynęły niepowstrzymanym potokiem.

Ledwo zdążyłam wrócić do kąta, żeby zwymiotować zółć.

Tym razem hałas go zbudził. Objęłam się rękami i drżałam skulona, patrząc, jak ze ściągniętymi brwiami rozgląda się po mrocznym wnętrzu wozu. Dobry kasjelicki wojownik, najpierw sięgnął po broń. Sztylety zniknęły, miecz też, i stalowe zarękawia z przedramion. Potem zobaczył mnie.

– Gdzie...? – głos mu się załamał. Poruszył językiem, zwilżając

wysuszone przez narkotyk usta, i przełknął ślinę. – Gdzie jesteśmy?

– Nie wiem – szepnęłam niepewnie. Słyszałam uderzenia kopyt; czwórka w zaprzęgu? Koni było zbyt dużo, bojowych, podkutych stałą. Eskortowali nas żołnierze, co najmniej kilkunastu żołnierzy.

– Melisanda – powiedział cicho, przypominając sobie. – Melisanda Szachrizaj.

– Tak. – Ja też szeptałam. Wspomnienia tłoczyły mi się w głowie, łopocąc jak ciemne skrzydła. Nigdy, aż do tego przebudzenia nie wiedziałam, co to znaczy pogardzać samą naturą tego, czym byłam. Nawet wtedy, zziębnięta, obolała i nieszczęśliwa, czułam przyjemną ociążałość po zdradzie, jakiej dopuściło się moje ciało.

Joscelin był naiwny, ale nie głupi; miał chłonny umysł i przez pewien czas służył w domu Delaunaya, gdzie nawet kompletny dureń mógłby się czegoś nauczyć. Zobaczyłam na jego wyrazistej twarzy budzące się zrozumienie.

– Przekazałaś jej wiadomość od Roussego? – zapytał cicho.

– Nie. – Zaczęłam kręcić głową i nie mogłam przestać, drżąc i szcękając zębami. – Nie. Nie. Nie.

Było to dla niego nie do pojęcia. Zatrwożony, wciągnął mnie pod koce i okrył dokładnie, a kiedy nie przestałam dygotać, objął mnie i kołysał, mrużąc niezrozumiałe słowa.

Powiedziałam mu prawdę.

Melisanda dostała wszystko, czego ode mnie chciała, wszystko, na co było stać moje zdradliwe ciało. Odrętwiała, przybita i zdruzgotana, uległam jej żądaniom.

Ale nie zdradziłam treści wiadomości.

Myszę, że wreszcie mi uwierzyła. Pamiętam, jak podnosiła za

włosy moją opadającą głowę, pamiętam jej piękną twarz i bezlitosny, łagodny uśmiech. Błagałam chrapliwym głosem, a potem tylko bezgłośnie poruszałam ustami i błagałam wzrokiem.

– Wierzę ci, Fedro – powiedziała, pieszcząc moją twarz. – Naprawdę. Wystarczy powiedzieć jedno słowo, żeby położyć temu kres. Powiedz je, Fedro.

Gdybym to zrobiła, gdybym podała jej *signale*, powiedziałabym wszystko inne. Dlatego tego nie zrobiłam.

I dlatego koniec nie nastąpił. Nie przez długi czas.

Przypomniałam sobie to i, co dziwne, przestałam się trząść. Wspomnienie ciążyło mi na sercu niczym zimny kamień. Joscelin nagle zrozumiał, co się ze mną dzieje, i szorstko pogładził mnie po ramionach.

Odsunął się, ale niedaleko; nie miał dokąd, a poza tym tutaj mieliśmy tylko siebie. Zobaczyłam, że też się trzęsie z zimna, więc bez słowa podałam mu jeden koc. Nie odmówił, otulił się i chuchnął w rękę.

– Zatem nie wiesz, co nas spotkało? – zapytał w końcu. Pokręciłam głową. – Przekonajmy się, czego można się dowiedzieć. – Jeszcze raz chuchnął w zgrabiałe rękę, potem załomotał w burtę wozu i wrzasnął: – Hej, wy tam! Zatrzymać wóz! – Deski zagrzechotały pod jego pięściami, a jeźdźcy zamruczeli gniewnie. – Zatrzymać wóz, mówię! Wypuście nas!

Potężny cios z drugiej strony wstrząsnął deskami. Okuty drąg albo co najmniej buzdygan. Joscelin oderwał rękę, uderzone przez wibrujące drewno. Kolejny potężny cios wyrzucił napięte płótno i z głuchym łoskotem wylądował na jego ramieniu. Krzywiąc się z bólu, Joscelin odtoczył się, żeby uniknąć następnego.

– Siedź cicho – polecił ktoś tonem przywykłym do

rozkazywania – bo jak nie, stłuczemy cię jak borsuka w worku. Zrozumiano?

Joscelin kucnął przy płótnie, czujnie mierząc je wzrokiem i próbując wysledzić cień broni.

– Jestem Joscelin Verreuil, syn kawalera Miliarda Verreuil z Siovale, członek Bractwa Kasjelitów, a wy przetrzymujecie mnie wbrew mojej woli! – zawołał. – Czy rozumiecie, że to herezja i przestępstwo karane śmiercią?

Broń – kij, sądząc z długości – spadła na płótno z kolejnym stłumionym trzaskiem.

– Stul pysk, kasjelito! Następnym razem wyceluję w dziewczynę.

Chwyciłam Joscelina za rękę i pokręciłam głową, gdy otworzył usta, żeby dalej protestować.

– Nic nie mów – szepnęłam. – Nie pogarszaj sprawy. Tam jest co najmniej kilkunastu dobrze wyszkolonych i uzbrojonych żołnierzy. Jeśli zamierzasz odgrywać bohatera, rób to wtedy, gdy masz choć cień szansy i nie siedzisz jak... jak borsuk w worku.

Joscelin wbił we mnie wzrok.

– Skąd wiesz, ilu ich jest?

– Słuchaj. – Wskazałam głową boki wozu. – Konie i poskrzypujące zbroje. Czterech z przodu i czterech z tyłu, dwóch po bokach i co najmniej dwóch w szpicy. I skoro wykonują rozkazy Melisandy, to najpewniej ludzie d'Aiglemorta.

– D'Aiglemorta? – Wciąż wytrzeszczał oczy, ale miał dość rozsądku, żeby ściszyć głos. – Co on ma z tym wspólnego?

– Nie wiem. – Zziębnięta, chora i zmęczona, skuliłam się pod kocami. – Ale cokolwiek to jest, siedzą w tym razem. Oboje doprowadzili do upadku dom Trevalion. Jego ludzie zabili Delaunaya i Alcuina. Sam d'Aiglemort prosił o rękę Ysandry.

Myślę, że zamierza zdobyć koronę, w taki czy inny sposób. I jeśli rzeczywiście eskortują nas jego ludzie, to możesz być pewien, że są doskonale wyszkoleni.

Na jego twarzy, ledwo widocznej w mrocznym wnętrzu wozu, malowała się konsternacja.

– Myślałem, że byłaś tylko służą Naamy.

– Czyżbyś naprawdę nie wiedział, co robiliśmy w domu Delaunaya? Czy nie wyciągnąłeś żadnych wniosków? – zapytałam z goryczą. – Byłoby lepiej, gdybym pozostała w Dworze Nocy, gdybym poszła do Domu Waleriany, gdzie zrobiliby ze mnie zabawkę dla handlarzy z pięściami wielkimi jak bochny. Wtedy Melisanda Szachrizaj nie wykorzystałaby mnie jako swego psa myśliwskiego do wypłoszenia sprzymierzeńców Delaunaya.

– Czy właśnie to się stało? – Opanował się, kręcąc głową. – Fedro, nie mogłaś tego przewidzieć... w przeciwieństwie do Anafiela Delaunaya, który wykorzystywał swoje zaprzysiężone służki. Nie ty zawiniłaś.

– Zawiniłam czy nie, to nie ma znaczenia – rzekłam cicho. – Ja byłam przyczyną. Delaunay nie żyje, Alcuin też nie, choć nigdy w życiu nikogo nie skrzywdził. Zginęli wszyscy, którzy byli dość lekkomyślni, żeby mu służyć. Zginęli przeze mnie.

– Fedro...

– Ściemnia się. – Przerwałam mu, unosząc rękę. Ledwo ją widziałam. – Może z nadejściem nocy rozbiją obóz. Myślę, że jedziemy na północ. Jest zimniej niż w Mieście.

– Kamlach – powiedział ponuro.

– Możliwe. Zapewne jesteśmy jeszcze w granicach L’Agnace. Boją się wykrycia, dlatego rozkazali nam siedzieć cicho. We własnej prowincji mogą być mniej ostrożni.

– Delaunay dobrze cię wyuczył – mruknął.

– Niezbyt dobrze.

Wycieńczona strachem i bólem, zapadłam w sen i zbudziłam się dopiero, gdy wóz się zatrzymał. Otaczały nas nieprzeniknione ciemności. Usłyszałam głosy ludzi i szcęk łańcuchów. Tylne kłapa wozu opadła. Zmrużyłam oczy, oślepione światłem pochodni.

– Wysiadać – polecił chrapliwy głos za kręgiem kołyszących się płomieni. – Ty pierwsza, dziewczyno, tylko powoli.

Okręcona kocami, niezdarnie wygramoliłam się z wozu i stanęłam, mrugając w świetle, na wpół zamarznęta, ze słomą we włosach. Ktoś chwycił mnie brutalnie i poprowadził do ogniska. Żołnierz w hełmie podał mi bukłak, a ja napiłam się chciwie.

– Spokojnie, tylko spokojnie, kasjelito. – Byli bardziej czujni, wypuszczając Joscelina. Szedł dość potulnie, mając na względzie przede wszystkim moje bezpieczeństwo. Był bratem kasjelitą, a ja jego podopieczną; przysiągł mnie chronić i to było najważniejsze. Z ulgą wyczytałam to w jego twarzy.

Gdy moje oczy przyzwyczyły się do światła ognia, zobaczyłam, że niewiele się pomyliłam. Żołnierzy było piętnastu, bez herbów, ale uzbrojonych po zęby. Jeden doglądał garnka na ogniu, kilku zajmowało się końmi, a sześciu z dobytymi mieczami otaczało Joscelina. Obozowaliśmy na skalistym, przyprószonym śniegiem dnie doliny. Powiodłam wzrokiem po lesistych zboczach, lecz nie dostrzegłam innych ognisk. Byliśmy tutaj sami.

– Chodź, kasjelito. Tędy. – Z tonu odgadłam, że żołnierz pogania Joscelina czubkiem miecza, prowadząc go do dowódcy.

– Ty tam, daj wodę – rozkazał dowódca i chwycił rzucony przez kogoś bukłak. – Masz.

Joscelin napił się, ale na jego twarzy widziałam hamowaną furie. Oddał bukłak.

– Chcę wiedzieć, kim jesteście i dlaczego nas porwaliście.

Salwa śmiechu przewaliła się nad obozowiskiem.

– W imieniu prefekta Bractwa Kasjelitów! – zakpił dowódca, a potem uderzył go mocno grzbietem okrytej rękawicą dłoni. – W granicach Kamlachu słuchamy tylko rozkazów stali, kasjelito!

Głowa Joscelina zakołysała się pod wpływem uderzenia. Oczy mu rozbłyły.

– Oddaj mi zatem moją i wypróbuj jej siłę!

Żołnierze krzyknęli zachęcająco, ale dowódca z żalem pokręcił głową.

– Chciałbym, chłopcze, bo jesteś rozeźlony i próbowałbyś mnie zabić, co byłoby ciekawym wyzwaniem. Ale mam rozkaz zachować cię przy życiu. – Brodą wskazał na mnie. – Dziewczyno, nie chcesz skorzystać z latryny?

Niestety, musiałam. Nikomu nie polecam załatwiania się w obecności uzbrojonych strażników. Joscelina eskortowało aż sześciu, ale on jest mężczyzną, bardziej przyzwyczajonym do takiego towarzystwa.

Upokorzona, wróciłam do ogniska, gdzie dostałam miskę gulaszu. Zjadłam w milczeniu; cnota milczenia jest pierwszą, jakiej zalety poznałam. W Dworze Nocy milczenie dziecka jest obowiązkiem; w domu Delaunaya nauczono nas milczeć z innych powodów. Joscelin wziął ze mnie przykład i trzymał język za zębami, dopóki dowódca nie kazał przynieść butelki.

– Napij się – powiedział, wyciągając ją w jego stronę.

Błysnęła w świetle ognia. Domyślałam się, co zawiera: narkotyku, który dostaliśmy wcześniej. Joscelin uniósł gwałtownie głowę i wyczułam, jak jego ciało tężeje.

– Nie – powiedział cicho i błyskawicznie przyskoczył do dowódcy, wymierzając mu mocny cios w szyję. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, walcząc o oddech, a butelka z cichym brzękiem upadła na ziemię. Żołnierze zareagowali z opóźnieniem, otaczając wirującego kasjelitę, który walczył rękami i nogami, zadając szybkie, precyzyjnie wymierzone ciosy.

Może by mu się udało, gdyby przeciwników było sześciu albo nawet ośmiu. Wziął ich z zaskoczenia. Ale dowódca odzyskał oddech i z rykiem rzucił się do walki, odkopując upuszczony miecz spoza zasięgu Joscelina.

– Pilnować mieczy, idioci! Nie pozwólcie się rozbroić! – Zamknęli pierścień, nacierając twardo na kasjelitę, a potem ktoś uderzył go w głowę rękojeścią miecza. Joscelin osunął się na kolana.

Jeden z rannych żołnierzy podszedł i podniósł miecz, żeby go zabić.

– Stać! – Nie zdawałam sobie sprawy, że zerwałam się na nogi, dopóki nie usłyszałam własnego krzyku. Mężczyzna znieruchomiał; wszyscy patrzyli na mnie. Przypomniałam sobie wszystko, co się wydarzyło, zanim straciłam przytomność, i wezwałam resztki sponiewieranej godności. – Jeśli ten człowiek zginie, odpowiesz przed Melisandą Szachrizaj – wycedziłam zimno. – Prędzej czy później, w taki czy inny sposób. Chcesz zaryzykować?

Żołnierz z namysłem spojrział na dowódcę i gdy ten pokiwał głową, schował miecz do pochwy. Dowódca kazał podnieść butelkę.

– Przytrzymać go – rozkazał. Dwaj ludzie wykręcili Joscelinowi rękę, dwaj inni przytrzymali za ramiona. Dowódca odkorkował flaszkę, złapał go za brodę i wsunął szyjkę między zęby, podczas

gdy inny żołnierz zatykał mu nos.

Joscelin krztusił się i parskął, przejrzysty płyn wylewał się z kącików jego ust, ale sporo spłynęło do gardła. Zadziałał szybko. Kasjelita pochylił się i upadł na ziemię.

– Zwiążcie mu ręce z tyłu – polecił dowódca. – To zaoszczędzi nam kłopotów. – Podszedł do mnie, wyciągając butelkę. – Pani, mam nadzieję, że nie każesz mi stosować przymusu.

– Nie, panie. – Odkąd sięgam pamięcią, pierwszy raz z sarkazmem użyłam grzecznościowego zwrotu. Wzięłam butelkę i napiłam się.

Zabrał ją, patrząc na mnie kpiąco.

– Wiesz, że nie musisz używać takiego tonu. Traktuję cię dobrze i nie pozwalam tknąć swoim ludziom. Tam, dokąd się udajesz, nie spotkasz się z uprzejmością. Darowano ci życie, pani, ale nie wiem, czy śmierć nie byłaby lepsza.

Gdy przebrzmiały jego słowa, spowiła mnie ciemność. Niejasno zdawałam sobie sprawę, że podniesiono mnie i rzucono na wóz. Czułam blisko siebie nieruchome ciało Joscelina i słyszałam, jak zamykają klapę na łańcuchach. Pogrążając się w nieświadomości, znowu usłyszałam głos Melisandy, czuły i niski.

– Nie martw się, moja droga, nie zabiję cię, tak jak nie zniszczyłabym bezcennego fresku czy wazy – powiedziała na koniec. Nie widziałam jej, wzrok mnie już zawodził. – Niestety, za dużo wiesz, a ja nie mogę ryzykować. Być może uznasz, że niewiele dla ciebie zrobiłam, ale uwierz mi, tylko tak możesz zachować życie. Zostawię ci kasjelitę i będę się modlić, żeby chronił cię lepiej niż do tej pory. – Jej palce, okrutne i słodkie, wplotły się w moje włosy. – Kiedy będzie po wszystkim, znajdę cię, jeśli przeżyjesz. Tyle mogę ci obiecać, Fedro.

Eluo dopomóż, nawet wtedy jakaś częśćka mojej duszy

pragnęła, żeby tak się stało.

Nocny Dwór nauczył mnie służyć, a Delaunay nauczył mnie myśleć; od Melisandy Szachrizaj nauczyłam się nienawidzić.

Wspomnienia pozostałej części podróży przysłania narkotyczna mgła. Nie życząc sobie kolejnych ekscesów, kamaelicki dowódca pozwalał nam przytomnieć tylko po to, żebyśmy mogli się najeść, napić i załatwić. Żołnierze klęli, pchając nachylony wóz, wiedziałam więc, że jedziemy przez góry. Na północ, o czym świadczyło zimno doskwierające mi we dnie i w nocy, nawet w narkotycznych, pełnych krwi snach.

Nie wiedziałam jednak, dokąd zmierzamy, dopóki nie wypuścili nas, zataczających się i mrugających w jasnym świetle dnia, na śnieżnej równinie za Górami Kamaelińskimi.

Patrzyło na nas ośmiu mężczyzn, twardych jak żelazo i odzianych w futra, siedzących w półkolu na grzbietach roślących, kudłatych koni.

Jeden z nich, z sumiastymi wąsami i opaską z brązu na żółtych włosach, rzucił dowódcy Kamaelitów poplamiony skórzany mieszek, w którym zadzwoniły monety, i powiedział coś gardłowo w obcym języku. Joscelin otworzył usta i zmarszczył czoło, starając się zrozumieć.

Ja zrozumiałam. To był skaldyjski.

Mężczyzna właśnie zapłacił za dwoje d'Angelińskich niewolników.

CZTERDZIEŚCI

Tempo transakcji świadczyło, że została zaplanowana. Dowódca Kamaelitów podał trzos zastępcy i polecił przeliczyć pieniądze, a gdy ten pokiwał głową, przeciął sznury na rękach Joscelina, po czym rozkazał jednemu ze swoich ludzi wyładować nasz bagaż. Żołnierz przyniósł tobolek, z którego wystawała rękojeść kasjelickiego miecza, i bezceremonialnie rzucił go na ziemię. Na rozkaz dowódcy wszyscy zawrócili konie i ruszyli ku przełęczy; tylna straż nie spuszczała oka ze Skaldów, którzy obojętnie spoglądali za oddziałem.

Joscelin przeniósł spojrzenie z odjeżdżających Kamaelitów na niewzruszonych Skaldów, a następnie z bezgranicznym zdumieniem popatrzył na mnie.

– O co chodzi? – wydukał w końcu. – Wiesz może, co zrobili?

– Tak. – Stałam po kostki w śniegu, trzęsąc się w jasnym słońcu. Niebo było niezwykle błękitne. – Właśnie sprzedali nas Skaldom.

Joscelin reagował osobliwie, ale zawsze błyskawicznie. Nim zdążyłam zamknąć usta, popędził po miecz, wyrzucając spod butów fontanny śniegu.

Dowódca Skaldów parsknął śmiechem, wołając coś do swoich ludzi. Jeden z nich spiął kudłatego konia i przeciął kasjelicie drogę. Drugi podjechał do toboleka i przechylając się w siodle, grotem krótkiej włóczni zwinnie poderwał go ze śniegu. Kiedy Joscelin skoczył w jego stronę, machnął włócznią, rzucając zawiniątko kamratowi.

Utworzyli krąg i rycząc ze śmiechu przerzucali tobołek nad głową Joscelina, który miotał się bezradnie w głębokim śniegu. Dowódca trzymał się z boku i przyglądał temu przedstawieniu, pokazując w uśmiechu mocne białe zęby. Zastanawiałam się, czy przypadkiem Kamaelici nie zrobili tego rozmyślnie: rozwiązali ręce Joscelinowi, bo wiedzieli, co nastąpi.

Było gorzej niż wtedy, gdy adepci Dzikiej Róży dokuczali mi w Progu Nocy. Znosiłam to, póki mogłam. W pewnym momencie nie wytrzymałam.

– Dajcie mi spokój! – zawołałam do dowódcy po skaldyjsku, tracąc w ten sposób nasz jedyny atut. – On nie rozumie.

Uniósł żółte brwi, lecz poza tym nie okazał zaskoczenia. Joscelin zaprzestał bezowocnych wysiłków i stanął jak wryty, gapiąc się na mnie tak, jakby nagle wyrosło mi trzecie oko. Dowódca Skaldów od niechcienia machnął ręką do swoich ludzi i podjechał bliżej, żeby mi się przyjrzeć. Oczy miał jasnoszare, zaskakująco bystre.

– Ludzie Kilberhaara nie wspomnieli, że mówisz naszym językiem – powiedział.

– Nie wiedzieli – odparłam, starając się znieść dzielnie jego spojrzenie, choć przenikały mnie dreszcze. Kilberhaar; srebrnowłosa, pomyślałam i wspomniałam jasne, lśniące włosy d’Aiglemorta. – Nie wiedzą o wielu rzeczach.

Skald ryknął śmiechem, zadzierając głowę.

– Szczera prawda, D’Angelino! Powiadasz, że twój towarzysz nie rozumie. A ty?

Uklękałam w śniegu z takim wdziękiem, na jaki pozwoliły mi zeszywniałe z zimna stawy, przez cały czas patrząc mu w oczy.

– Rozumiem, panie, że jestem twoją niewolnicą.

– Dobrze. – Na jego twarzy odmalowała się satysfakcja. –

Harald, daj płaszcz mojej niewolnicy! – zawołał. – Ci D’Angelinowie to wydelikaczone stworzenia. Nie chcę, żeby uświerkla, zanim będzie miała okazję ogrzać moje posłanie!

Znowu rozległ się gromki śmiech; nie dbałam o to, bo ważniejszy był gruby płaszcz z wilczej skóry. Rzucił mi go młody człowiek, któremu jeszcze nie sypnęły się wąsy. Z wdzięcznością włożyłam okrycie i zgrabiałymi palcami zapięłam zapinkę.

– Rzadka krew, choć podobno gorąca – zauważył mój skaldyjski pan. Wyciągnął krzepkie ramię, podniósł mnie i posadził za siodłem. – Pojedziesz ze mną, maleńka. Jestem Gunter Arnlaugson. Powiedz swojemu towarzyszowi, żeby trochę zmądrzał.

Zawrócił konia, omijając kasjelitę, który wciąż wytrzeszczał oczy.

– Joscelinie, przestań – powiedziałam, starając się nie dzwonić zębami. – Nie zabiją nas, za dużo zapłacili. Skaldowie cenią swoich niewolników.

– Nie. – Niebieskie oczy miał nieruchome i szeroko otwarte, nozdrza rozdęte. – Nie obroniłem cię przed Melisandą Szachrizaj i ludźmi d’Aiglemorta, ale przysięgam, Fedro, tutaj cię nie zawiodę! Nie prosz mnie o złamanie słowa! – Ściszył głos. – Masz pod ręką miecz Skalda. Rzuć mi go, a przysięgam, że nas stąd wyciągnę.

Nie musiałam patrzeć; wyczuwałam przy lewym łokciu okręconą w skórę rękojeść. Joscelin miał rację.

Byliśmy jednak sami na zamarznętej równinie, a kasjelita miałyby przeciwko sobie ośmiu ludzi, konnych skaldyjskich wojowników.

– Całe życie przeżyłam w niewoli – odparłam cicho. – Nie mam zamiaru umierać za twoje przysięgi. – Dotknęłam ramienia

Guntera. Gdy się obejrzał, pokręciłam głową.– Jest zbyt dumny – powiedziałam po skaldyjsku. – Nie posłucha.

Zmrużył bystre szare oczy i pokiwał głową.

– Brać go! – zawołał do swoich ludzi. – I uważajcie, żeby się nie pokaleczył o grotę waszych włóczy – dodał z gromkim śmiechem.

Trzeba było wszystkich siedmiu, a ja musiałam na to patrzeć.

Przypuszczam, że Joscelin do tej chwili nie wiedział, czym jest prawdziwy szal bojowy. Walczył jak osaczone zwierzę, rycząc z wściekłości. Przez pewien czas widziałam tylko stłoczone konie i wymachujące ręce. Udało mu się wyrwać włóczyńnię jednemu ze Skaldów i trzymał wszystkich w szachu, dźgając i grożąc; gdyby był lepiej obeznany z tą bronią... Nie wiem. Nie stać mnie na zgadywanie.

– Wygląda jak dziewczyna, ale walczy jak mężczyzna – skomentował Gunter, z zainteresowaniem przypatrując się tym zmaganiom. – Jak dwóch mężczyzn!

– Szkolił się od dzieciństwa – powiedziałam do jego ucha. – D’Angelinowie go zdradzili... człowiek, którego nazywasz Kilberhaarem. Uczyni go swoim przyjacielem, a może będzie walczyć dla ciebie, a nie przeciwko tobie.

To było ryzyko. Gunter popatrzył na mnie z zastanowieniem.

– Kilberhaar jest naszym sprzymierzeńcem. Płaci nam złotem za najeżdżanie waszych wiosek.

Zadygotałam w środku jak trafiona nożem, ale postarałam się, żeby szok nie odmalował się na mojej twarzy.

– Zdrajca łatwo przemienia się ze sprzymierzeńca we wroga – powiedziałam poważnie, w duchu błogosławiąc godziny, jakie spędziłam na tłumaczeniu skaldyjskiej poezji.

Gunter Arnlaugson nie odpowiedział, a ja milczałam, dając mu

czas na przemyślenie moich słów. Czterech ludzi zsiadło z koni; wreszcie udało im się zbić z nóg szalejącego Joscelina, wyrwać mu włóczęgię i unieruchomić go na śniegu.

– Co mamy z nim zrobić?! – zawołał jeden z nich.

Gunter zastanawiał się przez chwilę.

– Zwiąż mu ręce i niech biegnie za twoim koniem, Wili! Wilcze szczenię straci ochotę do pokazywania zębów zanim dotrzemy do osady.

Ruszyliśmy pod baldachimem błękitnego nieba. Siedziałam niezdarnie za Gunterem, ciesząc się, że jego szerokie plecy osłaniają mnie przed wiatrem, i starając się nie oglądać na Joscelina. Jeden ze Skaldów trzymał długi sznur, przywiązany do pęt na jego rękach, i zmuszał go do biegu za koniem. Kasjelita czasami się przewracał, a wówczas koń włókł go za sobą, dopóki jeździec nie zatrzymał się i nie pozwolił mu wstać. Poczerwieniał z zimna i oddychał urywanie, ale z tą samą dziką nienawiścią patrzył na wszystko i wszystkich dokoła.

Łącznie ze mną.

Nienawidź mnie, kasjelito, pomyślałam, i żyj.

Zbliżała się noc, długie i czarne cienie kładły się przed nami na głębokim śniegu, kiedy dotarliśmy do osady. Gunter zaczął śpiewać potężnym głosem o tym, jak przechytrzył Kilberhaara i pojmał d'Angelińskiego księcia-wojownika z małżonką; była to ładna pieśń i nie zadałam sobie trudu, żeby wyprowadzić go z błędu. Byłam przemarznięta do szpiku kości i ledwie mogłam myśleć.

Osadę tworzyło kilka przytulnych chat i wielki dwór. Jego drzwi otworzyły się na całą szerokość, kiedy podjechaliśmy. Ze środka wypadła gromada mężczyzn i kobiet, wiwatujących na cześć wojowników. Rozpromieniony Gunter zeskoczył z konia,

światło z sali zamigotało na jego opasce z brązu. Zsadził mnie z wierzchowca i popchnął w stronę grupy Skaldów.

– Patrzcie na moją nową nałożnicę! – ryknął. – Czyż nie jest ładniutka?

Otoczyły mnie rumiane twarze o grubo ciosanych rysach, wyciągnięte ręce trącały mnie i obmacywały. Wyrwałam się z kręgu, szukając Joscelina.

Zadyszany, osunął się na kolana za skaldyjskim koniem. Skrajne zmęczenie w końcu zmusiło go do posłuszeństwa, ale skłamał ten, kto powiedział, że Bractwo Kasjelitów słynie z pokory. Splątane, oszronione włosy spadły mu na oczy, lecz nic nie mogło skryć wściekłości, z jaką na mnie spojrzał.

– Joscelinie... – szepnęłam, ujmując w dłonie jego zimną twarz. Wyszarpnął głowę i splunął na mnie. Poczułam czyjeś ręce na ramionach. Gunter odciągnął mnie od niego i zawołał:

– Patrzcie tylko! Istne wilcze szczenię! Niech więc sypia z psami.

Nie brakowało chętnych, żeby zająć się kasjelitą. Ze śmiechem i krzykiem grupa młodych ludzi powlokła go dokądś, zapewne do psiarni. Gunter obrócił mnie za ramiona i popchnął w stronę ciepła wielkiej sali.

– Wstyd, Gunterze Arnlaugsonie! – zawołała kobieta, na którą wpadłam niechcący, potknąwszy się o próg. Była młoda i dość ładna wedle skaldyjskich standardów, z włosami koloru słońca i bystrymi niebieskimi oczami. W tej chwili trzymała się pod boki, a oczy miała zmrużone. – Biedactwo jest ledwo żywe z zimna i ze strachu, a tobie łóżko w głowie! Nie dziwota, że dotąd nie znalazłeś kobiety, która chciałaby grzać je z własnej woli.

Salwa śmiechu odbiła się od powały. Mój hardy skaldyjski pan zapomniał języka w gębie. Spuścił wzrok, przestąpił z nogi na

nogę i w końcu znalazł odpowiedź.

– Hedwigo, wiesz, że nie musiałbym najeżdzać d’Angelińskich granic, gdybyś ty mnie chciała! – oznajmił z szerokim uśmiechem. – Może jeszcze tego pożałujesz, bo nie jest wiadomo, jakich sztuk nauczy mnie ta mała!

– Nie dzisiejszej nocy – wycedziła cierpko, nie zważając na śmiech, jaki wzbudziła jego riposta. – Miska gorącej zupy i miejsce przy ogniu to wszystko, czego ci potrzeba, prawda, moje dziecko?– zapytała życzliwie.

– To barbarzyńska dziewczka, Hedwigo, nie rozumie ludzkiej mowy – powiedział ktoś bez złej woli.

– Rozumiem – powiedziałam po skaldyjsku, starając się przekrzyczeć gwar. Nie przestając drzeć mimo ciepła sali i futrzanego płaszcza, opadłam na kolana i chwyciłam spracowaną dłoń Hedwigi, żeby ją ucałować. – Dziękuję ci, pani.

Zakłopotana Hedwiga wyrwała rękę.

– Bogowie w niebie, dziecko, tutaj tego nie robimy! Nie jesteśmy dzikusami, nie każemy niewolnikom czołgać się na klęczkach!

Gunter nie miał nic przeciwko temu, pomyślałam, podnosząc się z podłogi. Zachowałam to spostrzeżenie w pamięci, bo kiedyś mogło okazać się użyteczne. Hedwiga klasnęła w ręce, wołając o miskę zupy, i kazała zrobić dla mnie miejsce przy ogniu. Rozległy się pomruki, ale nikt się jej nie sprzeciwił.

Ja też nie byłabym do tego zdolna, nawet gdybym chciała. Posłusznie usiadłam przy ogniu i pozwoliłam, by jego ciepło powoli roztopiło lód w szpiku moich kości. Widziałam Guntera, o pół głowy wyższego od innych mężczyzn, chełpiącego się i starającego się wyciągnąć jak największe korzyści z sytuacji.

Dopiero później dowiedziałam się tego, co tej nocy powinno

stać się dla mnie oczywiste: ojciec Hedwigi był panem osady. Po jego śmierci Gunterowi udało się siłą zdobyć władzę, ale nie podbił serca Hedwigi, która zachowała część odziedziczonych przywilejów.

Nie kocham Skaldów – nie mogę, choćby za to, co próbowali zrobić ziemi, na której się urodziłam i którą do końca życia będę nosić w sercu – lecz nie ma we mnie nienawiści; z ich rąk spotkało mnie wiele dobrego. Jeśli zaznałam okrucieństwa – a zaznałam – nie było ono ani większe, ani mniejsze od tego, z jakim traktowali siebie, bo są z natury surowi i rozmiłowani w wojnie. A jednak ich kultura nie jest pozbawiona piękna, choć rodzi je krew i żelazo, ani współczucia, jak się przekonałam.

Skaldowie piją bez umiaru w czasie świętowania, a tej nocy świętowali. Polało się tyle miodu, że można by zatopić wioskę; poza tym były pieśni, bójki i ciągły śmiech. Nikt mnie nie pilnował i przypuszczam, że gdybym chciała się wymknąć, mogłabym to zrobić. Ale co dalej? Samodzielne przebycie tych śnieżnych, wrogich pustkowi nie wchodziło w rachubę. Pomyślałam, że odnajdę Joscelina, uwolnię go i razem spróbujemy uciec – i zadrżałam na samą myśl o tym.

Tak więc zostałam, podczas gdy moi nowi skaldyjscy panowie śpiewali, przechwalali się jeden przez drugiego i pili, i martwiłam się o Joscelina marznącego w psiarni... dopóki czyjaś ręka nie potrząsnęła mnie za ramię. Zbudziłam się i Hedwiga zabrała mnie do swojej izby, po drodze rzucając groźne spojrzenia trochę tylko speszonemu Gunterowi. Rozłożyła grubą siennik z kocami przy swoim łóżku, a ja zwinęłam się w kłębek jak pies i pogrążyłam w objęciach głębokiego snu.

CZTERDZIEŚCI JEDEN

Tak się zaczęła moja niewola u Skalda Guntera Arnlaugsona, naczelnika jednej z leżących na zachodzie osad plemienia Marsi – podlegającego, jak się dowiedziałam, wielkiemu wodzowi Waldemarowi Seligowi, Waldemarowi Błogosławionemu.

Rankiem Hedwiga, ku mojej wielkiej radości, zaprowadziła mnie do łaźni. Wanna była blaszana i poobijana, ale w iście skaldyjskich wymiarach, co znaczyło, że miałam dość miejsca, żeby porządnie się wyszorować. Hedwiga pokazała mi, skąd przynieść wodę i gdzie rozpalić ogień do podgrzania, przez cały czas nie mogąc wyjść ze zdziwienia, że nie wiem takich rzeczy.

Przez całe życie byłam sługą, ale uprzywilejowaną, pomyślałam, dźwigając ciężkie wiadro. Muszę jednak przyznać, że nigdy żadna kąpiel nie sprawiła mi takiej przyjemności, jak ta pierwsza w wiosce Guntera. Nawet brak prywatności – Hedwiga siedziała na stołku i patrzyła, inne kobiety przychodziły i wydziwiałały – nie umniejszył mojego zadowolenia.

– Jak się to nazywa? – zapytała Hedwiga, wskazując moją niedokończoną markę. Cieszyłam się, że zapłaciłam mistrzowi Tielhardowi z góry. Jeśli kiedyś wrócę do Miasta Elui, z pewnością dopełni warunków naszego kontraktu. Podałam jej nazwę, jak najlepiej przekładając ją na skaldyjski, i wyjaśniłam, że to znak sługi Naamy. To stwierdzenie także wymagało tłumaczeń, których wysłuchiwała z zaintrygowaną miną. – A to? – zapytała, wskazując blednące linie rękodziela Melisandy Szachrizaj. – Czy to część... rytuałów?

– Nie – odparłam krótko, polewając się gorącą wodą z chochli.
– To nie była część rytuałów Naamy.

Coś w moim tonie wzbudziło u niej współczucie. Wypędziła kobiety z łaźni, a sama pomogła mi wyjść z wanny i włożyć szorstką wełnianą suknię, tak długą, że wlokła się po podłodze.

– Podłożymy rąbek – powiedziała i pożyczyła mi grzebień, żebym mogła doprowadzić do porządku mokre, splątane włosy.

Umyta i uczesana, poczułam się znacznie lepiej – prawdę mówiąc, najlepiej od czasu, gdy posłaniec Roussego wszedł do pracowni markarza. Spróbowałam na spokojnie ocenić swoją sytuację.

W wielkim dworze panowała krzątanina. Dowiedziałam się, że takie budowle stanowią serce każdej społeczności Skaldów. Pola leżące dokoła osady należały do wojów Guntera i były uprawiane przez karłów, czyli pańszczyźnianych chłopów. Za ten przywilej kmiecie służyli swoim panom oraz płacili dziesięcinę w bydle i ziarnie. Kiedy Gunter i jego wojowie nie brali udziału w wyprawach wojennych czy myśliwskich, spędzali czas na hulankach w wielkiej sali dworu, obstawiając zwycięzców walk na pięści i pieśni.

W gruncie rzeczy Gunter wcale nie był złym panem, jak można by sądzić. Skaldowie mają rozbudowany system prawny; Gunter dwa razy w tygodniu wysłuchiwał skarg, rozsądając je z najwyższą uczciwością i bezstronnością. Kiedy zapadał wyrok, nakazujący na przykład zadośćuczynienie za bezprawne przywłaszczenie cielaka, woj w taki czy inny sposób wynagradzał krzywdę karlowi i robił to bez szemrania.

Tych rzeczy dowiedziałam się z czasem; wówczas, pierwszego dnia, po prostu miałam otwarte oczy i zamknięte usta, próbując wszystko zrozumieć. Guntera nie widziałam w ciągu dnia. Jego

wojowie kręcili się po dworze, smarowali skórzane buty niedźwiedzim sadłem, śmiali się i przekomarzali. Nie skąpili komentarzy pod moim adresem, trącając się łokciami i mierząc mnie wzrokiem, ale nie próbowali mnie zaczepiać. Nie przejmowałam się nimi, choć w duchu dziękowałam Elui, że należę do samego Guntera, a nie do nich wszystkich.

Podczas gdy oni leniuchowali i żartowali, kobiety pracowały niestrudzenie. Utrzymanie wielkiego dworu wymaga wiele zachodu; musiały doglądać ognia, przygotowywać jedzenie, sprzątać po pijanych wojownikach, naprawiać odzież, prząść, tkąć i szyć. Domowi karle pomagali przy cięższych pracach, ale znaczną ich część wykonywały same. Hedwiga kierowała nimi tonem przywykłym do rozkazywania i sama też się nie oszczędzała. Kiedy zapytałam, na czym mają polegać moje obowiązki, odpowiedziała, że to zależy od Guntera. Zapytałam wtedy, czy wolno mi wyjść na dwór, bo niepokoiliam się o Joscelina i chciałam go znaleźć. Zagryzła usta i pokręciła głową. Myślę, że chętnie wyraziłaby zgodę, lecz nie śmiała aż tak bardzo wchodzić w drogę Gunterowi.

Siedziałam więc w sali, w otoczeniu i w centrum zainteresowania wojów Guntera. Jeden z najmłodszych – Harald Bezbrody, który dał mi płaszcz – był spośród nich najbardziej zuchwały, i na domiar złego miał talent poetycki. Gdyby w owym czasie moje serce nie było takie skamieniałe, mogłabym się zarumienić, słysząc strofy, w których obrazowo i szczegółowo opisywał moje przymioty.

Gunter wrócił do sali jako jeden z ostatnich, w towarzystwie kilku swoich ludzi, wołając o jedzenie. Nie wiem, gdzie spędził cały dzień, ale był zarumieniony z zimna, a płaszcz i spodnie miał oblepione śniegiem. Kiedy rozpiął płaszcz i rzucił go w kąt,

westchnęłam głośno na widok diamentu Melisandy.

Lśniaca łożka wyglądała niedorzecznie na jego potężnej szyi. Nie miałam głowy, żeby zastanawiać się nad jej utratą, ale wyglądało na to, że była w naszych bagażach, podobnie jak broń Joscelina nietknięta przez ludzi d'Aiglemorta. Nic dziwnego, pomyślałam. Osobiście też prędzej okradłabym prefekta kasjelitów niż Melisandę Szachrizaj. Diament wywołał okrzyki podziwu, a Gunter ze śmiechem przeciągnął grubym palcem pod czarną aksamitką.

Gdybym w ogóle myślała o klejnocie, ucieszyłabym się z jego zniknięcia. Niestety, znowu miałam go przed oczami, na szyi mojego skaldyjskiego pana. Odczułam obecność Melisandy w moim życiu niczym fizyczny dotyk, i wpadłam w rozpacz.

– D'Angelino! – zawołał Gunter, dostrzegając mnie przy ogniu. Podniosłam się z odruchowym ukłonem i czekałam z pochyloną głową, gdy szedł przez salę. – Doskwiera mi potężny głód! – Silne ręce zamknęły się wokół mojej talii i podniosły mnie w górę. Pocałował głośno moje mniej niż chętne usta. Ryknął śmiechem, trzymając mnie w powietrzu. – Patrzcie tylko! – krzyknął do swoich ludzi. – Te d'Angelińskie niewiasty ważą nie więcej niż moje lewe udo. Myślicie, że ta tutaj wie, co znaczy prawdziwy mężczyzna?

– W twoich rękach się tego nie dowie – powiedziała ostro Hedwiga, wychodząc z kuchni z warząchwią uniesioną jak miecz. – Postaw to dziecko, Gunterze Arnlaugsonie!

– Położę ją, płasko na plecach! – oświadczył, stawiając mnie z kolejnym głośnym całusem. Nie spotkałam dotąd mężczyzny z takim zarostem i jego pocałunki sprawiały dziwne wrażenie. – Proszę! Co o tym myślisz, D'Angelino?

Nigdy nie nienawidziłam żadnego klienta, gdyż każdy

kontrakt wypełniałam z własnej woli, w hołdzie dla Naamy. Tego człowieka nienawidziłam. On wziął mnie bez mojej zgody, prawem nabytym przez zdradę.

– Jestem sługą swojego pana – odparłam ze stoickim spokojem.

Gunter Arnlaugson był w wyśmienitym nastroju; sarkazm umknął jego uwagi.

– I to ogromnie ładniutką – zgodził się z radością, podnosząc mnie znowu i przerzucając przez ramię jak worek mąki. – Jeśli nie wrócę za dwie godziny, podeślijcie mi antałek piwa i jakieś mięsiwo! – zawołał do wojów, wychodząc z sali.

Wisiałam na ramieniu Guntera bezradna jak dziecko, słuchając śmiechu i żartów jego ludzi. Czułam mięśnie prężące się pod wełnianym kaftanem; przysięgam na Eluę i jego Towarzyszy, że skaldyjscy wojownicy są nadzwyczaj krzepcy. W swojej skromnej kwaterze Gunter postawił mnie na podłodze i odwrócił się, żeby rozniecić ogień w palenisku. W izbie znajdowała się tylko zarzucona futrami prycza z byle jak ociosanych desek, a w kącie piętrzyła się sterta splątanego rynsztunku ze stali, drewna i skóry.

– Nareszcie – powiedział z zadowoleniem, zacierając ręce. – Powinno być dość ciepło, nawet dla twojej rzadkiej d’Angelińskiej krwi. – Popatrzył na mnie i do jego oczu wróciła niepokojąca przebiegłość. – Wiem, kim jesteś, D’Angelino, wyszkolona do służby swojej rozpustnej bogini. Ludzie Kilberhaara powiedzieli mi, dlatego zapłaciłem za ciebie, choć mogłem mieć wieśniaczkę za darmo, pomijając kosztą najazdu. Robiliśmy to wcześniej, wiesz.

– Tak. – Wiedziałam. Pomyślałam o Alcuinie, którego wioska została spalona przez Skaldów. Pomyślałam o krzykach kobiet, brzmiących w jego uszach, gdy odjeżdżał z Delaunayem. – Czego

sobie życzysz, panie?

– Czego? – Gunter Arnlaugson wyszczerzył zęby i przeciągnął się. Światło ognia zamigotało na diamentcie Melisandy. – Wszystkiego, D’Angelino! Wszystkiego!

To zabawne, jak szybko rozpacz może zostać starym, nieodłącznym druhem. Dałam mu to, o co prosił; nie wszystko, co miałam do zaoferowania, ale wszystko, czego pragnął. Nie byłam głupia, żeby za jednym zamachem ujawniać pełną gamę swych umiejętności. Poza tym Gunter był za młody i nie obeznany ze sztuką Naamy, by w pełni docenić jej wartość. Ale możecie być pewni, że to, co mu dałam, przerosło jego oczekiwania.

Jeśli wcześniej myślałam, że wiem, co to znaczy służyć Naamie, to tego wieczoru zrozumiałam, iż posiadałam tylko znikomą część wiedzy. W czasie wędrówek Naama kładła się w karczmach w nieznanym mi z miłości do Elui; ja robiłam to za pieniądze i dla własnej przyjemności. Dopiero teraz zaczęłam pojmować pełnię jej poświęcenia. Osobiście nie zależało mi na życiu. Ale, choć Joscelin myślał, że go zdradziłam, miałam na względzie jego dobro. Dla niego, dla Alcuina oraz dla Delaunaya i jego przysięgi złożonej Ysandrze de la Courcel musiałam utrzymać się przy życiu, za wszelką cenę.

Nie miałam ku temu innych powodów, wyjąwszy zemstę.

Sama gra wstępna wystarczyła mojemu skaldyjskiemu panu; ledwo zaczęłam *languisement*, stęknął potężnie i rzucił mnie na zasłane futrami łóżko, a następnie z entuzjazmem wyposzczonego wielorybnika nadział na swój harpun. Diament Melisandy kołysał się na jego szyi i muskał moją twarz, gdy wnikał we mnie, gorący jak żagiew. Jest pewien punkt, zawsze, po przekroczeniu którego tracę kontrolę nad pożądaniem własnym i swoich klientów. Spojrzałam nad ramieniem Guntera

i zobaczyłam pokój zalany czerwienią, a wówczas zagryzłam wargi i zapłakałam, zawstydzona nieuniknioną zdradą własnego ciała. Delaunay przecenił mnie, gdy powiedział: “Przemienię ją w niespotykany instrument, na którym księżęta i królowe będą wygrywać cudowną muzykę”. Ja, bezcenny instrument, śpiewałam pod nieudolnymi palcami Skalda. Przyciśnięta przez kosmate, dyszące ciało mojego pana, z drzeniem osiągnęłam szczyt i pogardzałam wszystkim, czym byłam, a najbardziej tą częścią siebie, która rozkoszowała się poniżeniem.

W sali musiałam znosić przechwałki Guntera i zazdrość jego wojów. Nie było to trudne w porównaniu z tym, co miałam za sobą, lecz mimo to doprowadzało mnie do szału. Hedwiga zobaczyła, co się ze mną dzieje, i przystanęła, kładąc rękę na moim ramieniu.

– Ma wielką gębę – powiedziała cicho – ale serce jeszcze większe. Nie przejmuj się, dziecko.

Popatrzyłam na nią bez słowa. Może później znalazłam w duszy współczucie dla Guntera Arnlaugsona, lecz nie tej nocy. Nie wiem, co Hedwiga zobaczyła w moich oczach, ale coś ją skłoniło do szybkiego odejścia.

Nie pamiętam pieśni, jakie wyśpiewywał Gunter; choć mam dobrze wyćwiczoną pamięć, niekiedy dar zapomnienia bywa dobroczynnym lekiem. Wystarczy powiedzieć, że miałam już wyrobioną reputację. To pamiętam aż nazbyt dobrze. Mówili, że jestem spokrewniona z duchami nocy, które nawiedzają mężczyznę w snach, i dla własnej przyjemności za pomocą rozkosznych sztuczek wysysają z niego nasienie. Gunter ujarzmił mnie potęgą swojej jurności i podporządkował swej woli, zmuszając do wykrzyczenia własnego imienia.

Tak myśleli, a ja im na to pozwalałam. Pamiętam też, że wtedy

po raz pierwszy usłyszałam – wojowie byli pewni, że nie słyszę ich rozmowy – iż Gunter ma zamiar podarować mnie Waldemarowi Seligowi na Althingu, wielkim zgromadzeniu plemion, i w ten sposób wkraść się w łaski Błogosławionego.

Znowu więc uznano mnie za dar godny księcia. Cóż, nie była to żadna pociecha. Pomyślałam o człowieku, o którym Gunter Arnlaugson mówił ściszym, pełnym nabożeństwa tonem, i bałam się. Pomyślałam o Joscelinie, drżącym z zimna, i modliłam się, żeby wystarczyło mu rozumu, aby zachować się przy życiu, bo bałam się, że sama nie przeżyję. Pomyślałam o Alcuinie i Delaunayu... przede wszystkim o Delaunayu, o jego pięknej, szlachetnej twarzy, o jego zawsze smutnych, mądrych oczach, i zapłakałam nad nim, sama przy ogniu, po raz pierwszy. Wstrząsnęło mną głośne, rozpaczliwie łkanie, i hałaśliwi Skaldowie dziwnie przycichli.

Ich oczy, oczy obcych, patrzyły na mnie z zaciekawieniem i współczuciem. Odetchnęłam głęboko i wytarłam łzy.

– Nie znacie mnie – powiedziałam w ojczystym języku, patrząc wyzywająco w ich nie rozumiejące twarze. – Nie wiecie, czym jestem. Jeśli omyłkowo weźmiecie moją uległość za słabość, będziecie głupcami.

Patrzyli i w ich oczach nie było okrucieństwa, tylko ciekawość i brak zrozumienia. Opadła mnie wtedy tęsknota tak przejmująca, że poczułam ją w szpiku kości, tęsknota za domem, za d’Angelińską ziemią, po której stąpał Elua ze swoimi Towarzyszami.

– To – powiedziałam po skaldyjsku, wskazując prymitywną lirę w rękę wojownika. Nie umiałam jej nazwać. – Twój instrument. Mogę go pożyczyć?

Dał mi go bez słowa, choć siedzący najbliżej kamraci śmiali się

i krzyczeli. Pochyliłam głowę i nastroiłam lirę zgodnie z naukami mojego starego mistrza, układając w głowie wersy poetyckiego przekładu. Miałam do tego talent, a tłumaczenia wykonane u Delaunaya wiele mnie nauczyły. Kiedy skończyłam, uniosłam głowę i powiodłam wzrokiem dokoła.

– Wedle waszego prawa jestem niewolnicą Guntera Arnlaugsona – powiedziałam cicho. – Ale wedle prawa mojego kraju zostałam zdradzona i sprzedana wbrew mojej woli. Jestem D’Angelina, urodzoną na ziemi, na której Elua przelał swoją krew. Oto pieśń, jaką śpiewamy, gdy jesteśmy daleko od domu.

Zaśpiewałam *Lament wygnańca* Thelesis de Mornay, nadwornej poetki. Nie został napisany z myślą o skaldyjskiej mowie, która jest szorstka dla ucha, i nie miałam czasu popracować nad tłumaczeniem, ale myślę, że Skaldowie z osady Guntera zrozumieli. Już mówiłam, że śpiewam niezbyt dobrze, jestem jednak D’Angelina. Wystawiłabym najmniej muzykalnego d’Angelińskiego pastucha przeciwko najtęższemu śpiewakowi Skaldów, i za każdym razem stawiałabym na zwycięstwo pasterza. Niezależnie od tego, jak cienka jest nić naszej krwi, wszyscy jesteśmy potomkami Elui i jego Towarzyszy. To mówi samo za siebie.

Śpiewałam więc, żegnając się słowami pieśni z Alcuinem i Delaunayem oraz obiecując Joscelinowi Verreuil, że nie zapomnę, kim jestem; wyrażałam w pieśni swoją miłość do tych wszystkich, którzy jeszcze żyli, do Hiacynta i Thelesis de Mornay, do mistrza Tielharda, Gaspara Trevaliona, Kwintyliusza Rouse’a i Cecylii Laveau-Perrin, do Dworu Nocy w całej jego gasnącej glorii i do każdego, kto przychodził mi do głowy na myśl o domu. Kiedy skończyłam, zapadła cisza, a potem ryk wstrząsnął krokwiemi. Zahartowani wojownicy mieli łzy w oczach, gdy bijąc

w dłonie wołali, żebym zaśpiewała znowu. Nie spodziewałam się takiej reakcji; nie znałam wtedy głębokiego sentymentalizmu Skaldów. Uwielbiali płakać tak samo mocno, jak walczyć i się zakładać. Gunter krzyczał na całe gardło, zarumieniony z triumfu, dumny ze swojej zdobyczy.

Pokręciłam głową i oddałam lirę. Nie miałam pod ręką innej melodii, którą mogłabym przełożyć na skaldyjski, a poza tym byłam dość mądra, żeby spocząć na laurach. Niezależnie od ceny, jaką zapłaciłam tej nocy, zyskałam pewną drobną przewagę – choć za nią też miałam zapłacić. Znów usłyszałam znaczące pomruki, kiedy rozpromieniony Gunter wyprowadzał mnie z sali do swojej izdebki.

Był młodym człowiekiem, nienasyconym i niezmordowanym. Skaldowie nie znają wstydu i czułam pod jego portkami wyprężony fallus, gdy popychał mnie przed sobą. Miało minąć trochę czasu, zanim się tym zmęczy. Z niezadowoleniem poczułam wilgoć między własnymi nogami. Chciałam się rozpłakać, ale moje oczy pozostały suche. Skupiłam się na poszeptywaniach.

– Będzie głupi, jeśli jej nie odda – usłyszałam. – Nawet Waldemar Selig nie ma czegoś takiego.

Ja, dar godny książąt, szłam posłusznie w kierunku mojego prywatnego piekła.

CZTERDZIEŚCI DWA

Węgle tliły się w palenisku. Gunter leżał obok mnie, pogrążony w głębokim śnie, niskie pochrapywanie płynęło z jego szerokiej piersi. Było to dla mnie dziwne; nigdy, przez wszystkie dni mojego życia w służbie Naamie, nie spałam z klientem. Spał z ręką przerzuconą przeze mnie, ale nie zbudził się, gdy ostrożnie ją zdjęłam. Dobrze wiedzieć; w drzwiach sypialni nie było zamka, mogłabym więc się wymknąć niepostrzeżenie.

Gunter chyba się nie bał, że spróbuję uciec. I słusznie, ponieważ równie mocno jak niewoli bałam się śniegu i długiej wędrówki... Ale pomyślałam, że może zdołam wyciągnąć jakąś korzyść z jego braku ostrożności. Gdy tak leżałam, roztrząsając swoje położenie, pewien pomysł zaświtał mi w głowie.

Niestety, nie za bardzo przypadł mi do gustu; szczerze mówiąc, nie podobał mi się ani trochę. Na swój sposób, powodzenie planu było równie straszne jak porażka.

Mimo wszystko musiałam spróbować.

Na nieszczęście, łatwiej powiedzieć niż zrobić. Rankiem usługiwałam Gunterowi przy śniadaniu, robiąc to z dyskretnym wdziękiem, który stanowi znak rozpoznawczy Domu Cereusa. Był zadowolony i miałam nadzieję, że okaże się wspaniałomyślny, kiedy jednak poprosiłam o pozwolenie na widzenie z Joscelinem, obrzucił mnie chytrym spojrzeniem.

– Nie, jest diabłem wcielonym. Niech jeszcze trochę podejrzewa w psiarni. Nie okażę mu dobroci, dopóki nie oduczy się kąsać ręki, która go karmi – powiedział ze śmiechem. – Tam

ma przynajmniej okazję zawrzeć znajomości, jakie nieczęsto trafiają się d'Angelińskim panom.

Biedny Joscelin, pomyślałam, i odłożyłam sprawę na później. Gunter poklepał mnie po policzku i wyszedł z wielkiej sali, by zająć się tym, co zwykle robił – czasami polował, jak się później dowiedziałam, a kiedy indziej objeżdżał okoliczne zagrody i sprawdzał, czy jego poddani dobrze się sprawują.

Znów więc siedziałam z założonymi rękami, narażona na pogardliwe spojrzenia kobiet, którym ich prace wydawały się bardziej uciążliwe niż moje nocne obowiązki. Chętnie zamieniłabym się z jedną z nich, one jednak o tym nie wiedziały, a gdyby nawet, nie zrozumiałyby moich chęci. Hedwiga nie uległa wdziękom Guntera, ale powszechnie uważano go za przystojnego mężczyznę i cenną zdobycz dla kobiety, która skłoni go do złożenia obietnicy małżeńskiej.

Nie cierpiałam bezczynności, dlatego poprosiłam o papier i pióro, żeby popracować nad tłumaczeniami d'Angelińskich pieśni i wzbogacić mój ubogi repertuar. Popatrzyły na mnie bez śladu zrozumienia – Skaldowie nie znają języka pisanego, mają tylko magiczny system znaków runicznych zwany *futhark*. Odyn Wszechojciec dał go swoim dzieciom, jak mówią, i w runach jest cnota. Nie śmiałam się z tego, bo to Szamchazaj nauczył D'Angelinów pisać. Sądzę, że okazał się lepszy od Odyna, ale przecież nie jestem bezstronna. W każdym razie, w osadzie nie było ani pióra, ani papieru, musiałam więc zadowolić się wytartym do czysta blatem stołu i nadpaloną gałązką.

Kobiety okazały zainteresowanie moimi bazgrołami i ich wrogość osłabła, gdy wyjaśniłam, co robię. Nauczyły mnie wtedy pieśni, których nigdy dotąd nie słyszałam: skaldyjskich pieśni, ale nie wojennych – pieśni o życiu, o żniwach, o zalotach, o miłości,

macierzyństwie i śmierci. Może nie były doskonałe pod względem linii melodycznej, ale bogata metaforyka kazała zapomnieć o niedociągnięciach. Wiele z nich noszę do dziś w pamięci, żałuję jednak, że nie mogłam spisać wszystkich. Nie sądzę, by jakiś badacz skatalogował te bezpretensjonalne śpiewki o ognisku domowym.

Wieczorem mogłam zaprezentować więcej utworów, d'Angelińskich i skaldyjskich, i mój występ spotkał się z dużym uznaniem. Rozpromieniony Gunter posadził mnie na kolanach; wydawało się, że byłam dla Skaldów czymś w rodzaju szczęśliwego talizmanu, z czarodziejskim darem języków.

Druga noc nie różniła się od pierwszej. Zadowolony i zmęczony Gunter zasnął głęboko. Gdy rankiem powtórzyłam prośbę, znowu odprawił mnie z kwitkiem, a ja odłożyłam sprawę na dzień następny.

– Kiedy zostanie poskromiony, okażę mu trochę dobroci – powiedział trzeciego dnia rano, z szerokim uśmiechem pociągając mnie za włosy. – Czemu się upierasz, gołąbko? Czyżbym nie zaspokoił cię na futrach w moim łożu? Twoje okrzyki mówią same za siebie. – Wtedy wszyscy się uśmiechnęli.

– To dar mojego opiekuńczego boga – powiedziałam ponuro. – Jestem przez niego naznaczona. – Dotknęłam kącika lewego oka.

– Jak płatek róży unoszący się na ciemnej wodzie – zgodził się Gunter, przyciągając mnie, żeby pocałować moje powieki.

– Tak. – Odsunęłam się od niego, uklękłam i spojrzałam mu w twarz. – Ale jestem związana z Joscelinem Verreuil poprzez przysięgę złożoną jego bogu opiekuńczemu. Jeśli zabronisz mi się z nim zobaczyć, nasi bogowie odwrócą się od nas i popadniemy w niełaskę. Moje dary obrócą się w proch. – Po chwili milczenia dodałam: – To sprawa honoru, panie. On prędzej umrze niż się

podda. Ale jeśli zobaczy, że jestem ci uległa i że łaski Kusziela mnie nie opuściły, może ustąpi.

– Niech będzie – powiedział po namyśle i podniósł mnie z podłogi, klepiąc po pośladku. – Możesz zobaczyć chłopaka. Pogódźcie się ze swoimi bogami. Ale powiedz mu, że jeśli nie przestanie pokazywać zębów, uznam, że nie ma z niego żadnego pożytku. Zjada więcej niż pies, a jest mniej wart! – Zawołał do swoich ludzi: – Harald! Knud! Zabierzcie ją do wilczego szczenięcia. I dopilnujcie, żeby nie zrobił jej krzywdy.

Poderwali się, szeroko uśmiechnięci, gotowi iść ze mną wszędzie. Włożyłam futrzany płaszcz i poszłam z nimi, gdy otworzono drzwi wielkiej sali.

Psiarnie znajdowały się w pobliżu, a śnieg był mocno udeptany, lecz Harald i Knud prowadzili mnie z wielką troską, pomagając mi w najtrudniejszych miejscach. Tak, byłam dla Skaldów cenną zdobyczą.

Psy trzymano w prymitywnym kojcu z niską budą, w której mogły chronić się przed niepogodą. Harald Bezbrody pochylił się i z krzykiem zabębnił pięściami w dach budy. Usłyszałam grzechot łańcuchów.

Oddech uwiązał mi w gardle.

Joscelin wyglądał strasznie. Założona na szyję obroża otarła mu skórę do żywego ciała, złachmaniony popielaty strój był zupełnie nieodpowiedni na skaldyjską zimę. Kasjelita przysiadł na zbitym śniegu, nie zwracając uwagi na psy, które trącały go nosami jak członka własnego stada. Patrzył na mnie wściekle przez splątane włosy, które opadały mu na oczy.

Mimo wszystko był D'Angelinem i nic nie mogło zniszczyć jego piękna.

– Pozwól mi z nim porozmawiać – powiedziałam do Knuda.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem, ale otworzył furtkę. Weszłam i kucnęłam naprzeciwko kasjelity. – Joscelinie, muszę z tobą pomówić – szepnęłam w naszym ojczystym języku.

– Zdrajczyń! – wysyczał i rzucił w moją stronę garść brudnego śniegu. – Mówiąca po skaldyjsku zdradziecka córka dziwki! Daj mi spokój!

Zrobiłam unik, ale trochę śniegu trafiło mnie w twarz. Wytarłam policzki.

– Chcesz poznać oblicze zdrady, kasjelito? – odpowiedziałam ze złością. – Izydor d’Aiglemort płaci Skaldom za najeżdżanie karmelickich wiosek. Jak ci się to podoba?

Joscelin, który już sięgał po następną garść, odwrócił się w moją stronę z pytającym – i na szczęście ludzkim – spojrzeniem.

– Dlaczego miałyby to robić?

– Nie wiem – odparłam cicho. – Wiem tylko, że wolno mu zebrać Sprzymierzeńców z Kamlachu pod swoim sztandarem i stworzyć własne wojsko. Poprosił nawet o przekazanie mu dowództwa nad Poszukiwaczami Chwały księcia Baudoina. Sama słyszałam.

Joscelin siedział bez ruchu i wbijał we mnie wzrok.

– Naprawdę uważasz, że próbuje sięgnąć po koronę?

– Tak. – Pochyliłam się i złapałam go za rękę. – Joscelinie, nie dałabym rady przejść przez te ziemie. Ty zdołasz to zrobić, a ja mogę cię uwolnić. Gunter nie przydzielił mi straży, nie zakuł w łańcuchy. Dziś w nocy mogę wymknąć się z wielkiej sali. Mogę przynieść ci broń, ubranie i krzesiwo z hubką. Musisz zaryzykować. Musisz dotrzeć do Miasta i przekazać delfinie wiadomość od Roussego. Musisz powiedzieć, do czego zmierza d’Aiglemort.

– A co będzie z tobą? – Wciąż patrzył na mnie ze zdumieniem

w oczach.

– To nie ma znaczenia! Gunter ma zabrać mnie na Althing i sprezentować Waldemarowi Seligowi. Dowiem się, ile zdołam, i zrobię, co będę mogła. Ale ty masz okazję uciec!

– Nie. – Ze zboląłą miną pokręcił głową. – Nie. Jeśli nie jesteś zdrajczynią... Fedro, nie mogę. Złożyłem przysięgę Kasjelowi, nie Koronie. Nie mogę cię zostawić.

– Kasjel każe ci chronić Koronę! – zawołałam. Harald i Knud popatrzyli na nas, więc ściszyłam głos. – Jeśli chcesz mi służyć, zrób to, Joscelinie.

– Ty nie wiesz... – Spuścił głowę i z rozpaczą zakrył oczy rękami. – Nie rozumiesz. To nie ma nic wspólnego z tronami i koronami. Kasjel zdradził Boga, ponieważ Bóg zapomniał o obowiązku miłości i porzucił Eluę ben Jeszue na łaskę losu. Do granic wiecznego potępienia i poza, Kasjel jest Idealnym Towarzyszem. I jeśli mówisz prawdę... nie mogę cię porzucić, Fedro nó Delaunay!

– Joscelinie... – zaczęłam, opuszczając jego ręce. Popatrzyłam na Haralda i Knuda, każąc im zostać na miejscach. – Joscelinie, z całego serca błagam cię, żebyś to zrobił. Dlaczego nie chcesz posłuchać?

Żałośnie pokręcił głową.

– Wiesz, jak w służbie Kasjelowi nazywamy Eluę i innych Towarzyszy? Błędnyimi. Proś mnie o wszystko, ale nie o to. Kasjel nie dbał o ziemie i królów. Nie mogę cię zostawić.

Tak oto mój plan, dobry plan, legł w gruzach.

– Dobrze – powiedziałam ostro, a on uniósł głowę tak gwałtownie, że zadzwoniły łańcuchy. – Jeśli chcesz służyć mi jako Towarzysz, to służ! Niczego nie osiągniesz, zamknięty w psiarni jak pies!

Z trudem przełknął ślinę. Kasjelicie niełatwo jest znieść upokorzenie.

– Jak więc mam ci służyć, moja pani Fedro, skaldyjska niewolnico?

Harald i Knud opierali się o ogrodzenie, przyglądając się nam z zaciekawieniem. Nie rozumieli o czym mówiliśmy, ale widzieli, że Joscelin okazuje nieznaną im dotąd uległość.

– Po pierwsze, nauczysz się być dobrym niewolnikiem – powiedziałam. – Gunter Arnlaugson zastanawia się, czy cię nie zabić, bo tylko marnujesz jedzenie. Musisz udowodnić, że jesteś przydatny. Będziesz rąbać drewno, nosić wodę, cokolwiek zechcą. Po drugie, nauczysz się skaldyjskiego. – Chciał zaprotestować, ale uniosłam rękę, nie dopuszczając go do głosu. – Jeśli chcesz być moim Towarzyszem... – podjęłam bezlitośnie – masz służyć swojemu panu, zdobyć jego zaufanie i stać się darem godnym księcia! Jeśli tego nie zrobisz, Gunter i tak da mnie Waldemarowi Seligowi, a ciebie zabije dla zabawy. Przysięgam ci, Joscelinie, jeśli posłuchasz mnie i przeżyjesz, ucieknę z tobą i przejdę przez śniegi bez jednego słowa skargi! Czy będziesz posłuszny?

Skłonił głowę, splątane jasne włosy skryły jego dumne d'Angelińskie rysy.

– Tak – szepnął.

– Dobrze. – Odwróciłam się do swojej eskorty. – Zrozumiał swoje położenie – powiedziałam po skaldyjsku. – Zgadza się przyjąć dar języków. Nauczę go waszej mowy, żeby mógł być posłuszny rozkazom mojego pana Guntera Arnlaugsona. Czy to uczciwe postawienie sprawy?

Popatrzyli jeden na drugiego i wzruszyli ramionami.

– Zostanie z psami, dopóki nie dowiedzie swojej wartości –

oznajmił Knud.

Pokiwałam głową.

– Słuchaj uważnie – powiedziałam do Joscelina, który patrzył na mnie z iskierką nadziei w oczach. – To słowo oznacza “ja”...

Tak oto zaczęłam odgrywać swoją trzecią rolę wśród Skaldów, choć oni sami mogli doliczyć się tylko dwóch. Nałożnica, bard... i nauczycielka.

Trzeba przyznać, że Joscelin uczył się szybko. Dorosłemu nauka przychodzi trudniej niż dziecku, ale jeśli nawet utracił łatwość uczenia się, jaką zapewnia dzieciństwo, nadrabiał ją uporem. Harald i Knud, którzy towarzyszyli mi w czasie pierwszej rozmowy w psiarni, mianowali się moją stałą eskortą i z rozbawieniem przyglądali się naszym lekcjom. Jak się dowiedziałam, Joscelina uważali za prawdziwego barbarzyńcę, dzikiego i nieokrzesanego, dotąd nie znającego nawet ludzkiej mowy. Szczerze mówiąc, nie mogłam mieć im tego za złe; gdyby nie fakt, że znałam kasjelię dłużej niż oni, być może sama uznałabym go za dzikusa.

Cienka linia dzieli cywilizację od barbarzyństwa, i prawda ta odnosi się do nas wszystkich. Tym, którzy sądzą, że nigdy jej nie przekroczą, mogę powiedzieć tylko tyle: jeśli nie wiecie, co to znaczy zostać zdradzonym i sprzedanym w niewolę, nie wydawajcie sądów, bo mogą okazać się pochojne.

Gunter patrzył pobłażliwym okiem na nasze poczynania. Zapłacił niemało za d’Angelińskiego księcia-wojownika, a skoro oznajmiłam, że zdołam przemienić warczącego jeńca w sługę godnego skaldyjskiego pana, pozwolił na próbę.

Dzięki uprzejmości Hedwigi i innych kobiet z osady udało mi się przesmuglować do psiarni parę przydatnych drobiazgów: wełniany kaftan, podniszczony, ale jeszcze nadający się do

użytku, gałgany do owinięcia rąk i nóg, a nawet marnie wyprawioną niedźwiedzią skórę, która śmierdziała, ale zapewniała ciepło. Na nieszczęście psy rozdarły ją na strzępy, a Joscelin został paskudnie pokąsany, kiedy próbował ją ratować. Knud, zaprzysięgłszy mnie do milczenia, dał mi trochę maści na pogryzienia. Powiedział, że dostał ją od wioskowej wiedźmy, która wzbogaciła ją cnotą uzdrawiania. Prawda czy nie – maść cuchnęła jak wszystkie inne – ale ręka Joscelina zagoiła się bez jątrzenia.

Myszę, że Gunterowi sprawiało przyjemność czekanie na ostateczną ocenę postępów Joscelina. Straciłam rachubę czasu, ale musiały upłynąć prawie dwa tygodnie, nim poddał go próbie. Wcześniej zwrócił na niego uwagę tylko raz, gdy poszedł przywitać się z ulubionymi psami, rzucić im paski suszonego mięsa i patrzeć, jak o nie walczą. Z rubasznym skaldyjskim humorem rzucił kawałek Joscelinowi. Sama tego nie widziałam, ale powiedziano mi, że Joscelin złapał ochłap w powietrzu i zgiął się w kasjelickim ukłonie, krzyżując przedramiona.

Po tym incydencie uznałam, że jest gotów zaprezentować się Gunterowi jako cywilizowany D'Angelin, a nie zdziczałe stworzenie. Przecwiczyliliśmy powitanie i kontynuowaliśmy naukę podstaw skaldyjskiego. Kiedy w końcu mój pan postanowił go przyjąć, Joscelin był przygotowany.

Było pochmurne popołudnie, niebo groziło opadami śniegu. Wojowie od kilku godzin popijali w sali, kiedy Gunter wpadł na pomysł, żeby odwiedzić Joscelina. Zabrał mnie, okutaną w futra, i z paroma wojami poszliśmy do psiarni. Wojownicy śpiewali i żartowali, podając sobie z ręki do ręki bukłak z miodem. Kiedy dotarliśmy na miejsce, Gunter objął mnie i zawołał D'Angelina. Joscelin wyszedł z budy w kłębowisku ujadających psów. Staął

jak wryty, kiedy zobaczył mnie w ramionach Skalda, ale zachował kamienny wyraz twarzy i złożył ukłon.

– I co, D’Angelinie, nabrałeś rozumu? Czy moja gołąbka nauczyła cię mówić jak na człowieka przystało? – zapytał Gunter, ściskając moje ramiona.

– Jestem na twoje usługi, panie – rzekł Joscelin po skaldyjsku, starannie akcentując słowa. Ukłonił się powtórnie i stanął w swobodnej kasjelickiej pozie, z dłońmi tam, gdzie powinny być rękojeści sztyletów.

– Ha, więc wilcze szczenię potrafi nie tylko warczeć! – Gunter zaśmiał się, a wojowie mu zawtórowali. – Co zrobisz, jeśli wypuszczę cię z psiarni, D’Angelinie?

Dałam Joscelinowi rzemyk do przewiązania zmierzwionych włosów. Mimo łachmanów i wymizerowania w każdym calu wyglądał jak brat kasjelita.

– Zrobię wszystko, co każesz, panie – powiedział z następnym ukłonem.

– Naprawdę? – Gunter zrobił sceptyczną minę. – Ha, trzeba nanosić wody i drewna, a Hedwiga skarży się na karłów, może więc będzie z ciebie pożytek, wilczku. Ale skąd mam wiedzieć, że dotrzymasz słowa? Skąd mam wiedzieć, że nie spróbujesz ucieczki ani nie napadniesz na nas podczas snu? Nie mam aż tylu ludzi, żeby pilnować cię we dnie i w nocy.

Mówił za szybko; widziałam, jak Joscelin mruga skonsternowany.

– Chce, żebyś dał mu słowo, że nie uciekniesz ani nie zaatakujesz nikogo z osady – powiedziałam w ojczystym języku.

Joscelin zastanowił się.

– Powiedz mu, że dopóki będziesz bezpieczna, ja będę chronił tę osadę : jak własną i służył swojemu panu. Zrobię wszystko, co

mi każe, z wyjątkiem wystąpienia przeciwko mojemu narodowi, chyba że będą to ludzie d'Aiglemorta. Zobowiązuję się pod przysięgą.

Powtórzyłam jego słowa po skaldyjsku, powoli, żeby Joscelin też mógł zrozumieć. Gdy pokiwał głową, Gunter podrapał się po szczęce.

– Żywi wielką nienawiść do Kilberhaara – powiedział z zadumą. – Boję się, że może przedłożyć zemstę nad honor, niezależnie na co przysięgnie. Co ty na to, gołąbko? Czy wilczek dotrzyma słowa?

– Panie, nie sposób wyrazić słowami, jak mocno wiąże go przyrzeczenie – powiedziałam szczerze. – Prędeż góry zaczną chodzić, niż on złamie słowo.

– No dobrze. – Gunter uśmiechnął się do Joscelina. – Wygląda na to, że moja gołąbka poskromiła wilka, co nie udało się wszystkim moim psom. Dam ci jedną noc na pożegnanie się ze swoimi nowymi przyjaciółmi, a rankiem przekonamy się, jaki z ciebie sługa.

Kasjelita zrozumiał, jeśli nie słowa, to ich sens. Ukłonił się i usiadł w śniegu ze skrzyżowanymi nogami, nie bacząc na psy, które kręciły się wokół niego i obwąchiwały go natarczywie.

– Będę czekać na rozkazy mojego pana – powiedział po skaldyjsku.

– Będzie tak siedzieć przez całą noc? – zapytał mnie Gunter z zaciekawieniem.

– Nie wiem. – Znałam wiele przykładów kasjelickiego uporu, ale już straciłam nadzieję na zrozumienie logiki, która za nim stała. – Możliwe.

Gunter ryknął śmiechem.

– To ci dopiero mężczyzna! Nie byle jaką zdobycz pokażę na

Althingu, jeśli będzie służyć! Wilk i gołąbka w parze z osady Guntera Arnlaugsona! Nawet Waldemar Selig może mi pozazdrościć.– Tryskając humorem, zabrał swoich wojów z powrotem do dworu. Po drodze śpiewał głośno o czekających go zaszczytach.

Raz rzuciłam okiem przez ramię. Co było do przewidzenia, Joscelin siedział bez ruchu, patrząc za nami.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Gunter może być chełpliwy i nieokrzesany, ale dotrzymywał słowa i nazajutrz rano kazał rozkuć Joscelina. Knud mnie lubił, dlatego pozwolił mi pójść ze sobą, żebym mogła to zobaczyć. Nie wątpiłam, że Joscelin nie złamie przysięgi, ale wolność mogła uderzyć do głowy każdemu, kto był trzymany w łańcuchach. Drgnął, kiedy spadła obroża z jego szyi, i zadygotał, powstrzymując chęć zadania ciosu.

Na szczęście szybko przeważała kasjelicka dyscyplina i odzyskał panowanie nad sobą, kłaniając się sztywno.

– Ha, zobaczymy – mruknął Gunter. Wskazał kciukiem jednego z wojów. – Thorvil, zostaniesz z nim dzisiaj i będziesz go pilnować. Przydziel mu obowiązki karla. Tylko nie dawaj mu broni, dobrze? Jeśli będzie musiał rozbić lód na strumieniu, żeby naczepać wody, niech robi to rękami. Może, kiedy się sprawdzi, pozwolimy mu rąbać drewno.

– Dobrze. – Thorvil musnął palcami topór tkwiący za pasem i uśmiechnął się szeroko, pokazując szczyrby w uzębieniu; stracił siekacze podczas przyjacielskiej bijatyki. – Nie ma obawy, będę mieć go na oku.

Tego dnia Joscelin nie dał mu powodów do zmartwień. Pracował z chęcią, niezmordowanie nosząc kubły wody ze strumienia i napełniając kadzie, a nie było to łatwe zadanie. Thorvil chodził za nim, pogwizdując i czyszcząc paznokcie czubkiem noża.

A kobiety w osadzie wodziły za Joscelinem wzrokiem.

Widziały go tylko raz, w tę pierwszą noc, kiedy został przyprowadzony na sznurze, na wpół dziki i oblepiony śniegiem. Teraz mogły dobrze mu się przyjrzeć. Brudny i rozczochrany, cuchnący psiarnią, wciąż był D'Angelinem.

– Musi być księciem w twoim kraju! – szepnęła do mnie Hedwiga, patrząc za nim, gdy wychodził z kuchni z pustymi kubłami. – Przecież wszyscy mężczyźni nie mogą tak wyglądać!

– Nie, wszyscy nie – odparłam cierpko, zastanawiając się, jak Gunter przyjąłby jej reakcję. Jedna z młodszych kobiet – miała na imię Ailsa – niby przypadkiem wpadła na kasjelitę i zachichotała, gdy poczerwieniał na twarzy, upuszczając kubły.

Gunter i jego wojowie wrócili z polowania zarumienieni i triumfujący, dźwigając rosnące jelenia. Gunter postanowił uczcić pomyślne łowy i wieczorem wyprawił ucztę. Spił się na umór, ale nie zapomniał przykuć Joscelina za nogę do wielkiej kamiennej ławy przy palenisku. Przynajmniej, pomyślałam, podziwiając jego przezorność i jednocześnie nim gardząc, tutaj jest ciepło i sucho. Wyczerpany Joscelin skulił się na sitowiu zaścielającym podłogę. Gunter mógłby zostawić szeroko otwarte drzwi i nie zakładać mu łańcuchów; nie sądziłam, by tej nocy miał ochotę na próbę ucieczki.

W miarę, jak mijały zimowe dni, a Joscelin nie zawodził pokładanego w nim zaufania, nasze życie popadło w rutynę. Pewnego dnia, kiedy Gunter i jego wojowie opuścili wioskę, obie z Hedwigą postanowiłyśmy urządzić mu kąpiel. Dobrze pamiętałam radość ze swoich pierwszych ablucji w osadzie i nie mogłam nawet sobie wyobrazić zadowolenia Joscelina. Dwa razy musiałyśmy zmieniać wodę, bo była taka brudna. I jeśli myślałam, że ja miałam liczną asystę podczas kąpieli, to była ona niczym w porównaniu z widownią Joscelina. Wszystkie kobiety,

od rozchichotanej Ailsy po skwaszoną starą Romildę– nigdy nie widziałam uśmiechu na jej twarzy – stłoczyły się w łaźni, żeby go obejrzeć.

Joscelin, jakiego znałam z pierwszych dni naszej znajomości, padłby trupem ze wstydu; teraz tylko rumienił się i skromnie odwracał wzrok, próbując zachować resztki godności. Stawiła się nawet najbardziej nieśmiała z dziewcząt, ciemnooka Thurida. Przyniosła czysty wełniany kaftan i spodnie, które należały do jej brata, zabitego w łupieżczej wyprawie.

Joscelin wpadł w popłoch, gdy zrozumiał, że jego kasjelickie ubranie ma zostać wyrzucone. Widząc jego niepokój, pieczołowicie pozbierałam szare łachmany. Były wszystkim, co mu przypominało utraconą ojczyznę.

– Nie martw się, dopilnuję, żeby zostały wyprane i zacerowane, nawet gdybym miała sama to zrobić – obiecałam.

Mówiłam do niego po skaldyjsku, jak zawsze w obecności innych. Joscelin rozumiał coraz więcej i mówił coraz lepiej.

– Podziękowałbym ci... – uśmiechnął się do mnie – gdybym nie słyszał o twoim szyciu.

Kobiety zachichotały. To prawda, Hedwiga uczyła mnie, żebym mogła pomagać kobietom przy niekończącym się cerowaniu, ale moje umiejętności wciąż były godne ubolewania.

– Ja je naprawię – powiedziała chytrze Ailsa, zabierając ubranie i strzelając oczyma do Joscelina. – Uprzejmość wobec obcych jest cnotą.

Joscelin mrugał bezradnie, podciągając kolana w kąpielni, żeby ukryć przyrodzenie.

– Dobrze ci służy – powiedziałam do niego w naszym ojczystym języku, a potem po skaldyjsku zwróciłam się do pani osady: – Hedwigo, doprowadzę go do porządku, jeśli pożyczysz

mi grzebień.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Trzeba jeszcze raz go namydlić i spłukać. Nie chciałabym, żeby psy Guntera podzieliły się ze mną swoimi pchłami. Trudno się ich pozbyć. – Przyniosła grzebień i poleciła kobietom wyjść z łaźni, żeby Joscelin mógł ubrać się w spokoju. Wyczesalam mu włosy, nie bez trudności rozplątując kołtuny.

Czynność ta podziałała na mnie dziwnie kojąco, przypominając mi dzieciństwo w Domu Cereusa. Umyte i wyczesane włosy sięgały Joscelinowi do połowy pleców. Nie miałam zamiaru układać ich w kasjelicki harcap, tylko splotłam gruby warkocz i przewiązałam rzemykiem. On cierpliwie poddawał się moim zabiegom, rozkoszując się namiastką luksusu, jakiego nie zaznał od długiego czasu.

– Skończyłam – powiedziała mimo woli w naszym języku. – Teraz im się pokaż!

Zrobił niezadowoloną minę, ale wyszedł z łaźni. Jeśli kobiety wcześniej wytrzeszczały oczy, to teraz westchnęły głośno. Potrafiłam zrozumieć, dlaczego. Czysty i uczesany, lśnił jak świeca w tym prymitywnym dworze. Widząc go wśród skaldyjskich kobiet, przestałam się dziwić reakcji wojów, jeśli w ich oczach też tak wyglądałam.

Z powodu kąpeli kadzie zostały prawie całkowicie opróżnione, a napełnianie ich było obowiązkiem Joscelina. Robił to ze spokojem i wdziękiem, wędrując w tę i z powrotem z nosidłami na ramionach, otupując buty ze śniegu przed wejściem.

Ailsa, zajęta szyciem w kącie, spoglądała na niego z uśmiechem.

Jeśli Gunter wcześniej nie zwrócił na to uwagi, to zorientował

się tego wieczoru. Powiedział mi o tym, gdy leżeliśmy w łóżku. Byłam zdziwiona, że lubi rozmawiać po zażyciu rozkoszy, o ile wcześniej nie wypił zbyt dużo.

– Niewiasty wodzą wzrokiem za tym twoim D’Angelinem – mruknął. – Co one widzą w tym gołowąsie?

A więc dlatego uważał Joscelina za chłopca!

– Nasi mężczyźni nie hodują włosów na twarzy jak Skaldowie – powiedziałam. – W tych rodach, w których krew Elui i jego Towarzyszy nie została mocno rozcieńczona, wcale nie mają zarostu. Joscelin jest dorosły. Być może w przeciwieństwie do mężczyzn, kobiety nie dały się zwieść jego wyglądowi – dodałam z uśmiechem.

Gunter nie był w nastroju do żartów.

– Czy Hedwiga też go lubi? – zapytał, z zadumą ściągając żółte brwi.

– Lubi na niego patrzeć, panie – odparłam uczciwie – ale nie robi do niego słodkich oczu jak Ailsa.

– Skaranie boskie z tą Ailsa. Powiedz mi, czy ten twój D’Angelin jest wyszkolony tak jak ty? Ludzie Kilberhaara nie wspomnieli o tym słowem.

Miałam ochotę parsknąć śmiechem, ale pohamowałam się, bo mógł to źle zrozumieć.

– Nie, panie. Ślubował żyć bez kobiet.

Uniósł brwi.

– Naprawdę?

– Tak, panie. To prawda, jest synem wielkiego pana, ale również kapłanem, kimś w rodzaju kapłana. Taki jest charakter jego przysięgi.

– Nie jest więc przyuczony do sprawiania przyjemności kobietom, tak jak ty zadowalaś mężczyzn – powiedział Gunter z

zadumą.

– Nie, panie. Joscelin został wyszkolony na wojownika i obrońcę, tak jak mnie nauczono sprawiania rozkoszy w łożu. Mężczyznom i kobietom – dodałam po chwili.

– Kobietom? – Był wyraźnie zaskoczony. – Gdzie w tym sens?

– Skoro mój pan musi pytać, to odpowiadanie nie ma sensu – odparłam nieco urażona.

Pomyślałam wtedy, że może go rozdrażniłam i że już więcej się nie odezwie, ale tylko coś rozważał. Leżał, patrząc w sufit i przeciągając palcem po sznurku z diamentem Melisandy.

– Dogadzam ci – rzekł w końcu – ale mówisz, że doznawanie rozkoszy jest darem twojego opiekuńczego boga.

– Darem albo czasami przekleństwem – szepnęłam.

– Wszystkie dary bogów mają dwoistą naturę – powiedział, przeszywając mnie ostrym spojrzeniem. – Myślałem, że powiedziałaś to tylko dlatego, żebym pozwolił ci zobaczyć się z d’Angelińskim chłopcem.

Czasami zapominałam, że mimo wszystkich swoich skaldyjskich nawyków Gunter jest inteligentnym człowiekiem. Pokręciłam głową.

– Powiedziałam prawdę, panie. – Oczywiście, nie była to cała prawda; nie miałam pojęcia, jaką siłę ma Strzała Kusziela. Ale nie ulegało wątpliwości, że byłam jej ofiarą.

– Mówisz więc, że nie byłbym w stanie dogodzić d’Angelińskiej kobiecie, której brakuje twojego daru?

– Żadna inna go nie ma, ja jestem jedyna. Czy mój pan chce usłyszeć prawdę?

– Tak – odparł krótko.

Przypomniałam sobie, co Cecylia powiedziała o Childricu d’Essoms.

– Mój pan kocha się tak, jakby polował na dzika – powiedziałam. Dla Skalda nie było to taką obrazą jak dla D’Angelina. – To akt heroiczny, lecz niekoniecznie przyjemny dla kobiety.

Gunter zastanawiał się, z roztargnieniem gładząc wąsy.

– Mogłabyś mnie nauczyć – zaproponował chytrze. – Skoro jesteś tak dobrze wyszkolona, jak mówisz.

Niemal się roześmiałam, aczkolwiek gorzko. Dawno byłabym martwa, gdybym nie zadowolila Melisandy Szachrizaj, która pod względem umiejętności dorównywała najlepszym adeptom Dworu Nocy.

– Tak, panie – odparłam. – Jak sobie życzysz.

– Dobrze byłoby wiedzieć. – Wciąż miał przebiegłą minę, choć w tym przypadku nie był ani trochę tak bystry, jak mu się zdawało. Dobrze wiedziałam, że Hedwiga trzy razy dała mu kosza. Skoro zamierzał podarować mnie Waldemarowi Seligowi, to z pewnością poprosi ją czwarty raz. Nie sądziłam, by po naszych wspólnych nocach Gunter Arnlaugson zbyt długo wytrzymał w zimnym łóżku.

– Wiedza bywa niebezpieczna – powiedziałam bez namysłu.

Ale Gunterowi wrócił humor i roześmiał się głośno.

– Zaczнеш uczyć mnie jutro? – zapytał i dodał wesoło: – I jeśli komuś o tym powiesz, odeślę twojego przyjaciela z powrotem do psiarni.

Zadowolony z takiego załatwienia sprawy, przewrócił się na bok i niedługo później zachrapał. Ja nie spałam, przewracając oczami na myśl o czekającym mnie zadaniu oraz modląc się do Naamy o pomoc i radę.

To będzie straszne, pomyślałam.

Tak oto objęłam drugą nauczycielską posadę wśród Skaldów i

przypuszczam, że szło mi dość dobrze, przynajmniej wedle skaldyjskiej miary. Ani razu nie usłyszałam narzekań Guntera, ale to z kolei niosło inne, znacznie poważniejsze niebezpieczeństwo.

Niewolnik jest zagrożony w dwóch przypadkach: po pierwsze, wtedy, gdy sprawi przykrość swojemu panu, a po wtóre, gdy będzie sprawiać mu przyjemność. Wtedy zbyt szybko, zbyt łatwo może zapomnieć o robieniu czegokolwiek innego. Skaldowie mierzą czas inaczej niż my, ale do walnego spotkania plemion, które nazywali Althingiem, było jeszcze kilka tygodni, i gdy oboje z Joscelinem stanęliśmy na pewnym gruncie w osadzie Guntera, zaczęliśmy wpadać w pułapkę zadowolenia z naszych ról. Spostrzegłam, że Joscelin, długo nosząc maskę posłuszeństwa, czasami zapomina, że to tylko maska.

Ja zaś, ku mojemu niezadowoleniu, przed zaśnięciem często myślałam z dumą – a nawet z radością – o postępach Guntera w naszych prywatnych lekcjach.

Do czasu następnego najazdu.

To mnie otrzeźwiło jak kubeł zimnej wody. Gunter i jego wojowie wstali przed świtem, budząc wszystkich domowników, by pomogli im przygotować się do wyprawy. Śmiejąc się, żartując i wypróbując ostrza broni, uzbroili się w tarcze, miecze, topory i ulubione krótkie włócznie. Nie mieli żadnych pancerzy, tylko porządnie okutali się w futra.

Konie przestępowały z nogi na nogę i wydychały kłęby pary w świetle gasnących gwiazd. Wojownicy mieli jechać przez ostatnie godziny nocy, o brzasku pokonać przełęcz i w świetle dnia napaść na bezbronną wioskę. Wśród tego hałasu i krzątania my z Joscelinem patrzyliśmy na siebie, bladzi z przerażenia. Kasjelita zadrżał na całym ciele, tłumiąc gniew, i odwrócił się, żeby ukryć

twarz przed Gunterem i jego wojami. Roztropnie schodził im z drogi i zobaczyłam go dopiero wtedy, gdy Gunter podszedł, chowając miecz do pochwy, żeby się ze mną pożegnać.

– Jadę na bitwę, gołąbko! Pocałuj mnie i módl się, żeby zobaczyć mnie żywym przed zapadnięciem nocy!

Jestem przekonana, że na chwilę zapomniał, kim jestem i skąd pochodzę. Ja pamiętałam – i zamarłam.

Nagle Joscelin znalazł się między nami i bez wysiłku odepchnął wyciągnięte ręce Guntera. Wbił w niego spojrzenie niebieskich oczu.

– Panie, nie pozbawiaj jej resztek godności – rzekł cicho.

Nie wiem, co zaszło między nimi. Gunter zmrużył oczy, oceniając skalę buntu Joscelina, ten zaś stał z kamiennym wyrazem twarzy. Po chwili Skald pokiwał głową.

– Jedziemy! – zawołał, kiwając ręką na swoich wojów.

Wyszli z dworu, krzepcy, odziani w futra, uzbrojeni w żelazo, wsiedli na konie i pojechali, żegnani wiwatami pozostałych. Joscelin osunął się na kolana i patrzył na mnie z bólem w oczach. Ja stałam w otwartych drzwiach sali i płakałam.

Wrócili po zmroku.

Wrócili zwycięscy, na wpół pijani, przechwalając się i śpiewając, zataczając się pod ciężarem łupów, dość zresztą skromnych: worków ziarna, korzonków i owoców. Słyszałam, jak Harald chełpi się liczbą zabitych D'Angelinów; kiedy pochwyciłam jego spojrzenie, umilkł i poczerwieniał. Ale był jednym wśród wielu.

Z zasłyszanych fragmentów opowieści dowiedziałam się, że starli się z oddziałem wojowników, Sprzymierzeńców z Kamlachu spod znaku płonącego miecza. Ktoś powiedział, że widzieli też drugi sztandar z czerwonym kowadłem na

brązowym polu. A zatem nie byli to ludzie d'Aiglemorta. Dwaj wojowie polegli – w tym Thorvil – ale Skaldowie zwyciężyli, wycinając połowę D'Angelinów i znikając w tumanach wirującego śniegu.

Jeśli Gunter przed wyjazdem miał na względzie moje uczucia, to po zwycięskim powrocie nie zawracał sobie głowy takimi subtelnościami. Zachowałam dość rozsądku, by przykazać Joscelinowi, żeby się nie wtrącał. Całe szczęście, że się powstrzymał, bo pijany Gunter mógłby nawet go zabić. Kiedy świętowanie osiągnęło punkt kulminacyjny i pijani wojownicy kiwali się nad stołami, Gunter przerzucił mnie przez ramię i poniósł do swojej izby, odprowadzany rykiem aprobaty.

Nie była to noc lekcji.

Kiedy skończył, zostawiłam go i wymknęłam się do wielkiej sali, gdzie spali pokotem wojowie, zamroczeni miodem, pochrapując i mamrocząc. Ktoś pamiętał, żeby założyć Joscelinowi obręcze na nogi. Pomyślałam, że on też śpi, ale otworzył oczy, gdy tylko mnie usłyszał, choć szłam prawie bezgłośnie.

– Nie mogłam tam zostać – szepnęłam.

– Wiem. – Przesunął się ostrożnie, żeby nie zadzwoniło żelazo, i zrobił mi miejsce na sitowiu. Rozkładanie go po zamieceniu sali było jednym z obowiązków Joscelina. Osunęłam się na podłogę i skuliłam przy nim. Objął mnie, a ja złożyłam mu głowę na piersi i wpatrzyłam się w gasnący żar.

– Joscelinie, musisz odejść – szepnęłam.

– Nie mogę. – W jego cichym głosie usłyszałam cierpienie. – Nie mogę cię zostawić.

– Bodaj piekło pochłonęło twojego Kasjela! – syknęłam, patrząc na niego wściekle.

Jego pierś uniosła się i opadła pod moim policzkiem.

– Wiesz, on właśnie tak wierzył – powiedział cicho. Dotknął lekko moich włosów i je pogładził. – Uczyłem się tego przez całe życie, ale aż do tej chwili nie w pełni to rozumiałem.

Przebiegł mnie dreszcz.

– Wiem – szepnęłam. Pomyślałam o Naamie, która kładła się z nieznajomymi i spędziła noc z królem Persji, pomyślałam o Waldemarze Seligu, wodzu Skaldów. – Wiem.

Przed długi czas milczeliśmy. Prawie zasypiałam, gdy Joscelin zapytał cicho:

– Jak d’Aiglemort może to znosić? Wysyła D’Angelinów na śmierć z rąk Skaldów.

– W miejsce każdego dziesięciu, którzy polegną, stu nowych skupi się pod jego sztandarem – powiedziałam, patrząc w żar. – I za straty w Kamlachu może obwinić króla. Taki był jego plan z Poszukiwaczami Chwały. Tworzy własne cesarstwo. Nie rozumiem, jak może to robić, ale rozumiem dlaczego. Chciałabym wiedzieć, czemu Gunter się go nie boi.

– Bo d’Aiglemort mu płaci – rzekł Joscelin z goryczą.

– Nie. – Pokręciłam głową, wciąż spoczywającą na jego piersi. – Chodzi o coś więcej. Gunter wie coś, co nie jest wiadome d’Aiglemortowi; roześmiał się, kiedy mu powiedziałam, że Kilberhaar nie wie o pewnych rzeczach. Gonzago de Escabares już przed rokiem wspominał, że Skaldowie znaleźli przywódcę, który myśli.

– Eluo, miej nas w swojej opiece – wyszeptał Joscelin. Skończyliśmy rozmowę i niedługo później zasnąłam. Zbudziło mnie lekkie szarpnięcie za rękaw. Otworzyłam oczy i ujrzałam zaniepokojoną twarz Thuridy, tej nieśmiałej, która wstała wcześniej do swoich obowiązków. Nikłe światło wpadało do

wielkiej sali przez nasączone olejem skóry w oknach. Wojownicy wciąż chrapali wokół nas, wydychając w powietrze wyziewy skwaśniałego miodu.

– Musisz iść – szepnęła. – Niebawem się pobudzą.

Myślę, że dopiero wtedy zaczęłam sobie uświadamiać zmianę moich stosunków z Joscelinem. W grozie tej nocy wydawało się naturalne, że trzymamy się razem, szukając wzajemnej pociechy. Lekkie zdumienie na twarzy Thuridy mówiło coś innego. Usiadłam, wytrzepując z włosów kawałki sitowia i poprawiając spódnice. Joscelin miał otwarte oczy, patrzył na mnie. Nie mam pojęcia, co sobie myślał. Żadne z nas nie śmiało się odezwać ze strachu, że zbudzimy wojów. Ścisnęłam jego rękę i poszłam cicho za Thuridą, która kluczyła pomiędzy chrapiącymi wojownikami. Wróciłam do izby Guntera i wsunęłam się pod ciepłe futra na jego łóżku.

Burknął przez sen i przewrócił się na drugi bok, przyciągając mnie do siebie. Leżałam, przyciśnięta jego ciężką ręką, gardząc nim z całego serca.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Po wyprawie życie wróciło do ustalonego rytmu, choć tym razem ani Joscelin, ani ja nie znaleźliśmy pociechy w rutynie. Wyprawa spełniła swój cel, przypominając nam dobitnie o naszym położeniu.

Zima w Mieście Elui nie jest przyjemną porą roku; bywa mroźno i czasami lodowaty wichur przepędza wszystkich z ulic, utrudniając handel i rozrywki. Ale nasza zima nie ma porównania ze skaldyjską. Osada Guntera została dosłownie odcięta od świata przez śniegi, a my siedzieliśmy we dworze jak więźniowie; w czasie najgorszej pogody nawet Skaldowie nie ośmielają się długo przebywać pod gołym niebem. Kiedy zdarzały się ładne dni, i tak nie było dokąd pójść. Pod pewnymi względami, jak myślę, kobietom i karłom łatwiej było znosić zimę, bo nawet wtedy nie brakowało im obowiązków. Gunter i jego wojowie, kiedy nie mogli polować, byli skazani na bezczynność. Zrozumiałam, dlaczego Skaldowie uwielbiają zakładać się, przekomarzać i pić: kiedy zima więzi ich w wielkim dworze, nie mają nic innego do roboty.

Mają swoją poezję, oczywiście, i to bogatą. W dodatku, prócz znanych mi już pieśni wojennych i tych o życiu codziennym, miałam okazję zaznajomić się z długimi sagami, humorystycznymi powiastkami, epickimi balladami o walczących bogach i olbrzymach oraz z nowym, wciąż powiększającym się zbiorem wierszy o wzlocie Waldemara Seliga.

Opowiadano o nim wiele niezwykłych rzeczy. Podobno kiedy jego matka zmarła w połogu, wilczyca zadrapała pazurami w drzwi dworu w osadzie, w której rządził jego ojciec. Wojowie otworzyli drzwi i zobaczyli ją, lecz żaden nie śmiał jej skrzywdzić, bo po futrze białym jak śnieg poznali, że jest nieziemskim stworzeniem. Wilczyca śmiało przestąpiła próg, podeszła prosto do maleńkiego Waldemara i położyła się obok niego. Osesek nieustraszenie chwycił rączkami jej białą sierść, a ona go nakarmiła.

Powiadano, że był jeszcze chłopcem, choć już o pół głowy przerósł wszystkich mężczyzn w osadzie, kiedy ojciec dał mu garść złota i wyprawił w świat. Waldemar wędrował, przez nikogo nierozpoznany, w towarzystwie dwóch wiernych wojów. Wszystkim, którzy udzielali mu gościny, przedstawiał się i płacił złotem. Tych, którzy nie chcieli go przyjąć pod swój dach, wyzywał do walki i pokonywał jednego po drugim, obwieszczając swoje imię dopiero po zwycięstwie.

W ten oto sposób rozślawił swoje imię po rozległych terytoriach Skaldów, którzy mówili o nim ściszonymi głosami, z wielkim szacunkiem i strachem. Raz kiedyś uwolnił z sideł ptasznika sowę, a ta okazała się czarodziejem. Wdzięczny czarodziej obdarował go talizmanem, który miał tępić broń jego wrogów, żeby nie zadawała mu ran. Waldemar spotkał też syna wiedźmy, pochodzącego z krwi olbrzymów; odkrył, że jego życie jest zamknięte w korzeniu, który wiedźma przechowywała w kredensie, i rzucił go do ognia. Zagroził również, że zabije wiedźmę, ta jednak wyblagała życie w zamian za amulet chroniący przed trucizną.

Po powrocie do rodzinnej osady Waldemar dowiedział się, że jego ojciec zginął z ręki najpotężniejszego z wojów, Lothnira,

który poślubił jego siostrę i obwieścił się panem plemienia. Lothnir przywitał szwagra braterskim uściskiem i poczęstował kubkiem z zatrutym napojem. Waldemar wypluł truciznę i rzucił kubek w śnieg, który zasyczał, buchając oparami, ale jemu samemu nie stała się krzywda. Potem Lothnir zakradł się do niego w nocy, żeby skrytobójczo uderzyć sztyletem, lecz ostrze stępiało i ześliznęło się z piersi jak po grubej skórze, a Waldemar tylko westchnął przez sen. Rankiem rzucił wyzwanie Lothnirowi i zabił go jednym rzutem włócznią, tak potężnym, że grot rozłupał tarczę i przeszył serce. Został okrzyknięty przywódcą i jednemu z najwierniejszych towarzyszy dał swoją siostrę za żonę.

Takie oto opowieści snuto o Waldemarze Seligu i choć nie byłam na tyle naiwna, żeby dać im wiarę – w istocie doszukałam się w nich ech starożytnych mitów helleńskich – uniesienie, w jakim słuchali ich Skaldowie, budziło we mnie niepokój. Nie ulegało wątpliwości, że uważają tego człowieka za herosa – i nie bez powodu, jak się wydawało. Nawet gdyby wszystkie te historie zostały wyssane z palca, jedno było prawdą: swarliwe skaldyjskie plemiona zjednoczyły się w swoim podziwieniu dla Waldemara Seliga.

Niebawem jednak wynikła nowa sprawa, urozmaicając mieszkańcom osady życie w przymusowym zamknięciu. Na nieszczęście dotyczyła ona Joscelina.

Młoda Ailsa wciąż dawała do zrozumienia, że jest nim zainteresowana. Dotrzymując słowa, wyprała i naprawiła jego odzież, a następnie oddała ją z wiele mówiącym uśmiechem. Joscelin zarumienił się i podziękował; jako niewolnik nie mógł zrobić nic więcej. Kiedy jednak nie przebrał się i nadal chodził w wełnianym ubraniu od Thuridy, naburmuszona Ailsa zaczęła

miotać się po dworze i obnosiła się ze swoim niezadowoleniem, dopóki, chcąc ją udobruchać, nie włożył kasjelickiego stroju.

Wiem, że Hedwiga powiedziała jej parę słów do słuchu, przypominając, że Joscelin jest niewolnikiem i własnością Guntera. Ailsa jednakże była dość bystra i natychmiast wykazała, że jako syn d'Angelińskiego wielmoży – sam Gunter rozgłaszał, że kupił w niewolę księcia-wojownika – jest tyleż niewolnikiem, co zakładnikiem, i tym samym zasługuje na względy.

Gunter czujnie śledził rozwój sytuacji i choć nie miał wielkiego zaufania do Ailsy, zaintrygowała go perspektywa okupu. Kiedy zapytał Joscelina, czy jego ojciec zapłaciłby za bezpieczny powrót, ten bez namysłu odparł, że zrobiłby to również prefekt Bractwa Kasjelitów, ale pod warunkiem, że ja będę mu towarzyszyć.

Odpowiedź dała Gunterowi do myślenia, a Ailsie powód do kontynuowania zabiegów. Miałam niewielką nadzieję na pomyślnie zakończenie pomysłu z okupem – Gunterowi i jego wojom nie brakowało odwagi, nie mieli jednak szans, żeby przebić się przez cały Kamlach w celu dostarczenia wiadomości zainteresowanym, a d'Aiglemort raczej nie zgodziłby się pośredniczyć – ale nie to przyprawiało mnie o ból głowy.

Otóż jedną ze stron w tej sprawie był niejaki Evrard Ostry Język, wiecznie skwaszony woj, który uczciwie zasłużył na swój przydomek.

Sytuację pogarszał fakt, że dziewczyna była niepoprawną flirciarką i uważała się za piękność osady, Evrard zaś był brzydki i bogaty. Zazdrosny o względy Ailsy, jawnie prześladował Joscelina. Oboje stosowali niezbyt subtelne metody, ale podczas gdy dziewczyna ocierała się o kasjelitę czy trącała go niby przypadkiem, woj rozmyślnie podstawiał mu nogę, popychał go i

wysztydzał. Od czasu do czasu Joscelin próbował schodzić mu z drogi, lecz wówczas nieuchronnie lądował na podłodze, zasypywany drwinami. Doszło do tego, że nie mógł nawet rozrzucić świeżego sitowia w zamiecionej sali, bo gdzie by się ruszył, wszędzie napotykał Evrarda, który przeklinał go i szturchał za sprawianie kłopotów.

Gunter i jego wojowie nie mieli powodów, żeby nie ufać Joscelinowi, ale też nie mieli za co darzyć go miłością; jego wpływ na kobiety wzbudzał zbyt wielką niechęć. Kiedy zobaczyli białe linie furii na twarzy Joscelina, wspomnieli pierwsze dni jego pobytu w osadzie i zaczęli dokuczać mu jeszcze bardziej. Robili to w nadziei, że rozniecą w nim dziki bunt, co zapewniłoby im utęsknioną rozrywkę.

Wreszcie dopięli swego.

Stało się to wieczorem, gdy szalała śnieżycą i wszyscy siedzieli w wielkiej sali. Joscelin przyszedł z dworu z naręczem drew do pieca. Ailsa podchwyciła jego spojrzenie i posłała mu całusa, po czym ścisnęła piersi, żeby pokazać głęboki rowek widoczny w wycięciu kaftana.

Joscelin, zarumieniony i speszony – nie do końca wyzbył się swojej kasjelskiej skromności – nawet nie zauważył, kiedy Evrard złośliwie wystawił nogę. Potknął się o nią i runął jak długi na podłogę, rozrzucając polana.

Nawet wtedy zacisnął zęby i nic nie powiedział. W tym czasie grałam cicho na lutni i widziałam, jak klęczy z opuszczoną głową, zbierając rozsypane drewno. Gunter siedział na krześle przy ogniu, przyglądając się incydentowi z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Patrzcie na to – powiedział Evrard z pogardą, podnosząc ogorzałą ręką warkocz Joscelina. – Czy mężczyzna nosi takie

włosy, nie mając śladu szczeciny na brodzie? Czy mężczyzna płoni się jak panna i nie okazuje oburzenia, gdy traktują go jak karla? Powiadam wam: to nie mężczyzna, tylko baba!

Wojowie ryknęli śmiechem. Po drugiej stronie sali Hedwiga zacisnęła usta. Ramiona Joscelina stężały, choć nadal ignorował woja.

– Ładniutki, co? – plótł Evrard. – Może powinniśmy sprawdzić, czy nie jest kobietą!

Każdy ma swoje mocne strony. Evrard Ostry Język był dobry w wyśmiewaniu innych, a z lodowatego spokoju Joscelina odgadł, że te słowa zapiekły go do żywego.

– Co wy na to? Obedrzyjmy wilcze szczenię z przyodziewku, żeby sprawdzić, czy aby nie jest suką! – zawołał do swoich dwóch kamratów. – Pomożecie mi?

Przestałam grać i popatrzyłam na Guntera z nadzieją, że zdusi w zarodku rodzącą się awanturę. Niestety, był do tego stopnia znudzony, że widział tylko zapowiedź dobrej rozrywki.

Tak więc Evrard Ostry Język wraz z kilkoma wojami ruszył na Joscelina, chcąc przycisnąć go do podłogi i zedrzeć z niego ubranie. Nie wątpiłam w ich zamiary, ale sprawy potoczyły się niezgodnie z ich planem. W chwili, gdy pierwsza ręka zamknęła się na jego ramieniu, Joscelin skoczył na równe nogi z grubymi polanami w dłoniach.

Wydaje się, że Skaldowie po raz pierwszy mieli okazję oglądać walkę w kasjelickim stylu. Joscelin nie stracił nabytych umiejętności, a tygodnie ciężkiej pracy i tłący się w nim gniew dodały mu sił. Polana śmigwały w powietrzu, gdy zadawał precyzyjne ciosy przeciwnikom i bronił się przed ich atakami. W jednej chwili w sali zapanował chaos; wszyscy wrzeszczeli, zagrzewając wojowników, którzy rzucali się do walki i szybko

odstępowali, obejmując posiniaczone kończyny i potłuczone czerepy.

Nie znam się za dobrze na dwuręcznym stylu walki kasjelitów. Jest przeznaczony do zapewniania najbardziej skutecznej ochrony podopiecznemu, czyniąc ze strażnika pancerną ludzką tarczę. Nie mając nikogo innego do ochrony, Joscelin zaciekle bronił siebie i przez długi czas trzymał w szachu prawie wszystkich wojów z osady Guntera. Sam Gunter przyglądał się walce z takim samym zainteresowaniem, jakie okazał wówczas, gdy starli się z nim na śnieżnej równinie. Trzeba było w końcu jednoczesnego ataku ośmiu czy dziesięciu ludzi, żeby powalić kasjelitę na podłogę, gdzie nie przestał się miotać, gdy rycząc ze śmiechu szarpali jego ubranie.

Zaczerpnęłam tchu, chcąc krzyknąć, choć miałam pustkę w głowie i nie wiedziałam, co mogłabym powiedzieć, kiedy Gunter ryknął na całe gardło:

– Dość!

Miał potężne płuca; mogłabym przysiąc, że zadrżały krokwie. Wojowie uspokoili się i pozwolili Joscelinowi wstać. Podniósł się, rozczochrany, z ubraniem w nieładzie, wciąż dygocząc z wściekłości, ale, co mu się chwali, nie dał się ponieść emocjom. Skrzyżował nisko ręce i złożył sztywny ukłon Gunterowi.

Być może to go uratowało. Gunter z chytrą miną bębnił grubymi palcami po poręczach krzesła, patrząc z zadumą na wściekłego Evrarda.

– Skarżysz się, Ostry Języku, że ze strony tego człowieka spotkała cię krzywda?

– Gunterze... – zaczął Evrard z goryczą, skwapliwie chwytając przynętę – ten karł, ten twój niewolnik uwił sobie kukułcze gniazdo w naszej osadzie! Patrz... – oskarżycielsko wskazał

palcem Ailsę – patrz, jak pod naszym nosem mamy wszystkie niewiasty, wabiąc je w swoje plugawe objęcia!

– Jeśli ktoś tu kogoś mamy...! – zawołała Hedwiga, rzucając groźne spojrzenie Ailsie, która w odpowiedzi prychnęła pogardliwie – to popatrz na swoją lisicę, Gunterze Arnlaugsonie!

Jej słowa wzbudziły większy śmiech niż wcześniejsza przemowa Evrarda. Gunter wsparł brodę na ręce i popatrzył na Joscelina.

– Co ty na to, D’Angelinie?

Jeśli Joscelin nauczył się czegoś w osadzie Guntera, to oceny takich spraw i formy, w jakiej mówią o nich Skaldowie. Doprowadził ubranie do porządku i spokojnie spojrzał Gunterowi w oczy.

– Panie, on podał w wątpliwość moją męskość. Błagam, pozwól mi odpowiedzieć mu stałą.

– No, no. – Gunter uniósł żółte brwi. – Nie wyrwaliśmy wilczkowi zębów, co? Ha, Ostry Języku, myślę, że zostałeś wyzwany na holmgang. Co na to powiesz?

Nie znałam tego słowa, ale Evrard pobladł.

– Gunterze, on jest co najwyżej karlem! Nie możesz żądać, żebym walczył z niewolnikiem. Nie zniósłbym takiej hańby!

– Może jest karlem, a może nie – powiedział Gunter niejasno. – Waldemar Selig był zakładnikiem Vandalii i walczył kolejno z ich najlepszymi wojami, aż obwołali go swoim wodzem. Czy Waldemara Seliga też nazwiesz karlem?

– Waldemar Selig nie jest d’Angelińskim fircykiem! – syknął Evrard. – Czyżbyś chciał wystawić mnie na pośmiewisko?

– Nikt nie będzie się z ciebie wyśmiewać z powodu walki z tym wilczkiem – powiedział Gunter ze śmiechem, rozglądając się po sali. – Co wy na to?

Pocierając siniaki, wojowie odpowiedzieli skwaszonymi spojrzeniami. Nie, pomyślałam, żaden nie będzie szydzić z tej walki. Gunter wyszczerzył zęby, waląc pięścią w poręcz krzesła.

– Zatem postanowione! – oznajmił. – Jutro odbędzie się holmgang!

Nie faworyzowali Joscelina, ale za Evrardem Oстрыm Językiem też nie przepadali. Młody Harald krzykiem wyraził zadowolenie i postawił srebrną monetę na d'Angelińskiego wilczka. Jeden z popleczników Evrarda natychmiast przebił stawkę i chóralny ryk przesądził sprawę.

Joscelin spokojnie pozbierał drwa i ruszył do kuchni.

Następny dzień wstał jasny i pogodny. Wojowie, zadowoleni z czekającej ich rozrywki, ogłosili święto. Nie miałam pojęcia, na czym polega holmgang. Przyglądałam się, jak bardzo uroczyście przynoszą wielką skórę i wydeptują w śniegu kwadratowy plac. Skórę rozłożyli na płask i przyszpilili kołkami, a następnie w narożnikach placu wbili leszczynowe witki.

Choć Evrard nie cieszył się zbyt dużą sympatią, był Skaldem i dlatego mógł liczyć na poparcie większości wojów, którzy sprawdzali ostrość jego miecza oraz oferowali rady i dodatkowe tarcze. Joscelin z konsternacją przyglądał się tym przygotowaniom, wreszcie podszedł do Guntera i zagadnął z szacunkiem:

– Panie, czy mogę zapytać o charakter tej walki?

– Co, rzuciłeś wyzwanie i nie wiesz? – Gunter zaśmiał się ze swojego żartu. – To holmgang, wilczku! Jeden miecz na jednego człowieka i trzy tarcze, o ile znajdziesz takich, którzy ci ich użyczą. Pierwszy, który rozleje na skórze krew drugiego, zostaje zwycięzcą, a postawienie obu nóg na oznaczonym witkami polu równe jest ucieczce i przegranej. – Wielkodusznie odpiął własny

miecz. – Dobrze stawiałeś w obronie swojego honoru, D’Angelinie, dlatego pożyczę ci swój miecz. Ale o tarcze sam musisz się postarać.

Joscelin chwycił rękojeść i popatrzył na miecz, potem spojrział w twarz Guntera.

– Panie, przysięga mi zabrania – powiedział, kręcąc głową. Położył miecz na przedramieniu, z rękojeścią wysuniętą do przodu. – Mogę wyciągać miecz tylko po to, żeby zabić. Daj mi moje sztylety i moje... – Skaldowie nie znali słowa określającego zarękawia – i moje osłony na ręce, a będę walczyć z tym człowiekiem.

– To holmgang. – Gunter radośnie poklepał go po ramieniu. – Zabij go, jeśli zdołasz, wilczku, inaczej on wyzwie cię jutro albo następnego dnia. Tak czy siak, postawiłem na ciebie. – Odszedł, wołając do jednego z wojów, który wbił leszczynową witekę w niewłaściwym miejscu.

Stałam, trzęsąc się w futrzanym płaszczu, podczas gdy Joscelin spoglądał na miecz w swoim ręku. Nie trzymał broni od czasu sprzedania w niewolę. Popatrzył bezradnie na mnie.

– On cię zabije, kasjelito – powiedziałam do niego w naszej ojczystej mowie, starając się nie dzwonić zębami. – I wtedy zostanę bez ochrony. Ale nie mogę ci mówić, co masz zrobić.

Podszedł do nas Knud, mój miły i brzydki strażnik.

– Masz – burknął, rzucając Joscelinowi swoją tarczę. – Weź to, chłopcze. Nie przystoi zmuszać niewolnika do walki bez ochrony.

– Dziękuję – powiedział Joscelin, kłaniając się niezdarnie z mieczem i tarczą. Knud lekko skinął głową i odszedł, pogwizdując, jakby nie miał z nim nic wspólnego. Joscelin przełożył puklerz do lewej ręki i podniósł miecz, wypróbując

jego wyważenie, patrząc na głównię z czymś w rodzaju podziwu i grozy.

Po drugiej stronie skóry Evrard wyprowadził kilka próbnych ciosów, zachęcany okrzykami i śmiechem. Słyszał przede wszystkim z ciętego języka, ale był przecież doświadczonym skaldyjskim wojownikiem w pełni sił, uczestnikiem tuzinów wypraw wojennych. Niełatwo będzie mu dorównać. Jego sekundant stał przy nim z zapasową tarczą i jeszcze jedną na podporędku.

– Koniec zakładów! – zawołał Gunter, zadowolony z ułożenia skóry i rozstawienia witek. – Jesteśmy gotowi! Niech zacznie się holmgang, a ten, kto został wyzwany, niech pierwszy zada cios.

Szczerząc zaciśnięte zęby, Evrard stanął na skórze i zaszurał nogą, wypróbując powierzchnię. Joscelin z ponurą miną wyszedł mu na spotkanie. Niejedna z kobiet, które przyszły popatrzeć, westchnęła na jego widok.

– Zetnij tę śliczną łepetynę, Ostry Języku! – zawołał któryś z wojów, wzbudzając powszechną wesołość.

– Do niego należy pierwszy cios – przypomniał Gunter Joscelinowi, który pokiwał głową, mocno chwytając tarczę.

Pamiętam dobrze, niebo miało świetlany błękitny kolor, typowy dla widnych dni zimy, a śnieg pod nim skrzył się oślepiającą bielą. Evrard zagrzał się do walki przeciągłym okrzykiem, który zrodził się w głębi gardła i wypadł z ust w potężnym ryku, gdy runął na przeciwnika. Odziani w futra Skaldowie wrzeszczeli jak opętani; myślę, że milczeliśmy tylko my dwoje, Joscelin i ja.

Joscelin uniósł tarczę Knuda; przyjęła cios, ale pękła. Odrzucił bezwartościowe kawałki malowanego drewna, gdy Evrard z ogłuszającym rykiem szykował się do zadania drugiego ciosu.

Nigdy dotąd nie widziałam kasjelity walczącego mieczem, wyjąwszy ćwiczenia z Alcuinem. Trzymał rękojeść oburącz, nachylając głownię, i poruszał się krokiem tancerza. Miecz Guntera zakreślił szybkie koło i cios Evrarda został sparowany; Joscelin obrócił się lekko, zrobił zamach i puklerz przeciwnika rozpadł się na kawałki.

– Tarcza! – zawołał Ostry Język, cofając się. – Tarcza!

Joscelin pozwolił mu wziąć drugi puklerz i założyć go na ramię, czekając z rękojeścią miecza na wysokości ramienia, z głownią nachyloną pod skosem, żeby osłaniać ciało.

Pomijając aspekt religijny, Bractwo Kasjelitów jest zakonem elitarnych strażników. Kasjelici są szkoleni do walki ze skrytobójcami, a nie na polach bitewnych, dlatego zamiast tarcz noszą zarękawia. Jeśli nawet Joscelin odczuwał ich brak, to tego dnia ich nie potrzebował. Zamarkował cios, przemknął gładko pod zamaszystym ciosem Evrarda i uderzył. Tym razem trafił w tarczę sztychem. Szybko uwolnił miecz, wyrwał nadwątłony puklerz z ręki Skalda i nogą przełamał go na dwoje.

– Tarcza – wychrypiał Evrard, na oślep wyciągając rękę.

Nie wiem, co myślał Joscelin, ale widziałam jego twarz, gdy się odwrócił: malował się na niej wyłącznie spokój, pogodny i zarazem złowieszczy. Obrócił się dokoła pod jasnym niebem, lekko poruszając głową, żeby uniknąć miecza Evrarda, i włożył cały uzyskany impet w cios zadany oburącz. Ostrze błysnęło niczym spadająca gwiazda, rozbijając trzecią, ostatnią tarczę, i grad odłamków spadł na ziemię.

– Nie. – Evrardowi drżał głos; uniósł rękę i zszedł ze skóry, stawiając jedną nogę na wyznaczonym przez leszczynę polu. Mogłabym mu współczuć, gdyby nie myśl o D’Angelinach umierających od jego włóczni. – Proszę.

Joscelin wysoko uniósł miecz i odbite słoneczne światło rozjaśniło jego twarz.

– Nie złamię przysięgi, Skaldzie – powiedział cicho, ważąc słowa w obcym języku. – Zejdź ze skóry, inaczej umrzesz.

Myślę, że gdyby byli sami, Evrard Ostry Język ustąpiłby pola. Ale otaczali go Skaldowie, wojownicy, z którymi jeździł ramię w ramię na wyprawy, i wszyscy na niego patrzyli – nie tylko zresztą oni, lecz także kobiety. Skoro bał się stracić twarz z powodu walki z niewolnikiem, ile więcej straciłby, gdyby przed nim stchórzył?

Nie lubiłam tego człowieka, ale muszę przyznać, że dzielnie stawiał czoło śmierci. Zmuszony do wyboru pomiędzy przyglądającymi się współplemieńcami a czekającym kasjelitą, Evrard zebrał się na odwagę i z rykiem ruszył do ostatniego ataku, wymachując mieczem jak szaleniec. Joscelin sparował cios, obrócił się i ciął go po brzuchu odchylonym w górę mieczem.

Był to śmiertelny cios, bez dwóch zdań. Evrard upadł na skórę i znieruchomiał w rosnącej kałuży krwi. Przez chwilę panowała cisza, potem Gunter poderwał pięść w powietrze i ryknął z aprobatą, a wojowie podchwycili okrzyk. Według ich zasad walka przebiegła uczciwie i nic nie można było jej zarzucić. Joscelin stał blady, patrząc na sączącą się krew martwego przeciwnika. Przypomniałam sobie wtedy, że jeszcze nigdy nie zabił człowieka, i polubiłam go trochę bardziej za to, że ten akt tak nim wstrząsnął.

Ukląkł, położył broń i skrzyżował ramiona, szepcząc kasjelicką modlitwę. Kiedy skończył, podniósł się i oczyścił miecz, a następnie podał Gunterowi, który obrzucił go przenikliwym spojrzeniem.

– Dziękuję, panie, że pozwoliłeś mi bronić honoru – powiedział Joscelin, składając ukłon. – Przykro mi z powodu śmierci twojego woja.

– Ostry Język sam ją na siebie ściągnął, prawda? – odparł Gunter, obejmując go potężnym ramieniem i potrząsając nim mocno. – Powiedz mi, wilczku, co by się stało, gdybyś zajął jego miejsce?

– Panie...? – Joscelin popatrzył na niego z niedowierzaniem.

Gunter wyszczerzył zęby.

– Zaryzykowałem i postawiłem na ciebie, D'Angelinie! Opłaciło się, prawda? Jeśli oddam ci broń, czy twoja przysięga będzie obowiązywać? Czy wciąż będziesz chronić i służyć? Czy staniesz również w obronie mojego życia, jeśli zajdzie potrzeba?

Joscelin z trudem przełknął ślinę. Ten obowiązek byłby znacznie trudniejszy od dotychczasowych, a i pokusa większa. Popatrzył mi w oczy i determinacja wyostrzyła jego rysy.

– Przysięgłem dbać o bezpieczeństwo mojej pani, Fedry nó Delaunay.

– To dobrze. – Gunter potrząsnął go za ramiona. – Wiwat! – zawołał do swoich wojów. – Dziś chłopiec wykazał, że jest mężczyzną!

Krzyknęli na jego cześć i podeszli, poklepując Joscelina po łopatkach, uradowani z wygranej albo zrozpaczeni utratą pieniędzy postawionych na wynik holmgangu, nie zwracając już uwagi na stygnące w pobliżu zwłoki Evrarda. Ktoś puścił w obieg bukłak z miodem i zaczęły się śpiewy, któryś z wesołków już układał opowieść o heroicznym starciu Evrarda Ostrego Języka z d'Angelińskim chłopcem-niewolnikiem.

Przyglądałam się im jeszcze jakiś czas, wciąż nie mogąc opanować drżenia, a potem wróciłam do dworu z Hedwigą i

innymi kobietami, żeby przygotować ucztę. Nie umiałam powiedzieć, czy nasza sytuacja polepszy się, czy też może pogorszy.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Wyglądało to dziwnie, gdy Joscelin towarzyszył Gunterowi w swoim kasjelickim szarym stroju i rynsztunku, z zarękawiami na przedramionach, sztyletami za pasem i mieczem na plecach. Mając pewną swobodę, wrócił do porannych ćwiczeń i wykonywał szereg płynnych ruchów, które stanowiły podstawę stylu walki Bractwa.

Skaldowie przypatrywali się tej osobliwości z mieszaniną podziwu i lekceważenia. Oni walczyli bez takich udziwnień, i to skutecznie, polegając na własnej krzepie oraz sile broni. Większość Skaldów uczy się władać mieczem od chwili, gdy zdoła go udźwignąć.

Ich podejście do dyscypliny Joscelina pokrywało się z uczuciami, jakie żywili do Terre d'Ange, a muszę przyznać, że nigdy do końca ich nie pojęłam. Stanowiły one dziwną mieszaninę drwiny i tęsknoty, pogardy i zazdrości. Rozmyślałam o tych rzeczach, gdy osada szykowała się do wyjazdu na Althing, ponieważ to, czy przeżyję, zależało głównie od stopnia zrozumienia natury Skaldów.

Gdybym miała wtedy mapę, mogłabym zaznaczyć położenie osady i miejsca spotkania wyznaczonego przez Waldemara Seliga. Delaunay nauczył mnie czytać mapy, i przypuszczam, że nie byłam w tym gorsza od generałów. Nie umiałam jednak wzorem nawigatorów określać położenia na podstawie gwiazd. Wiedziałam tylko, że jesteśmy niedaleko jednej z Wielkich Przełęczycy w Paśmie Kamaelińskim i że pojedziemy na wschód;

siedem dni jazdy, powiedział Gunter, albo może osiem.

To, że będę im towarzyszyć, uznał za rzecz oczywistą, choć wciąż nie powiedział mi, że będę darem dla Waldemara Seliga. Jego osadę miało reprezentować dwudziestu wojów, a Hedwiga wraz z trzema innymi kobietami miały wystąpić w imieniu przedstawicielek swojej płci. Nie miały prawa głosu jak mężczyźni, ale według starego podania – wśród Skaldów zawsze jest jakieś stare podanie – Brunhilda Nieustraszona mocowała się z Hobartem Długą Włócznią i pokonała go dwa razy w trzech próbach, zdobywając dla kobiet prawo przemawiania na Althingu. Podejrzywałam, że Gunter wolałby jechać bez nich, lecz nawet on wolał nie złościć Hedwigi. Nie wiem, czy umiała się mocować, ale doskonale władała warząchwią i bez żadnych skrupułów nabijała guzy tym, którzy się jej sprzeciwiali.

Joscelin zaś po prostu założył, że on też pojedzie jako osobisty sługa Guntera. Gunter Arnlaugson lubił podkreślać swoją pozycję i pysznił się, że ma kasjelickiego strażnika, wytwornego, elegancko kłaniającego się D'Angelina.

W trakcie przygotowań do wyjazdu miałam okazję po raz pierwszy spotkać się ze skaldyjskimi wróżbami. Sędziwy kapłana Odyna poprowadził procesję z dworu do dębowego zagajnika, ich świętego gaju. Rozpostarł na śniegu nieskazitelnie biały płaszcz i mamrotał coś nad klockami z runami, rzucając je na tkaninę. Zrobił to trzy razy, po czym donośnym głosem oznajmił, że znaki są pomyślne.

Wojowie Guntera krzyknęli radośnie, łomocząc krótkimi włóczniami o tarcze. Ja, trzęsąca się jak zawsze w skaldyjskim zimnie, modliłam się w duchu o ochronę do Błogosławionego Elui, do Naamy i do Kusziela, którego znak nosiłam. Niedaleko mnie na bezlistnej gałęzi przysiadł kruk, nastroszył pióra i

przekrzywił głowę, łypiąc na mnie okrągłym, czarnym okiem. Z początku się przestraszyłam, ale zaraz potem przypomniałam sobie, że kiedy Elua wędrował przez skaldyjskie ziemie, kruki i wilki były jego przyjaciółmi, i ta myśl nieco podniosła mnie na duchu.

Roztopy fałszywej wiosny przerwały lód na strumieniu. Mieliśmy wyruszyć nazajutrz z samego rana. Ostatni dzień był poświęcony końcowym przygotowaniom, w których brałam niewielki udział, pomijając przyglądanie się krzątaniu i pakowaniu. Gunter, doświadczony wojownik, wcześniej udał się na spoczynek, zabierając mnie ze sobą. Sądziłam, że tej nocy da mi spokój, aby lepiej wypocząć, lecz rzucił się na mnie z żołnierskim wigorem. Skończył z bohaterskim okrzykiem, a potem stoczył się ze mnie i po paru minutach zachrapał.

Nauczyłam go sprawiać się lepiej, oczywiście, ale w swój naiwnie chytry sposób uznał, że nie musi przejmować się zdaniem niewolnicy, kiedy ma ochotę zażyć niewyszukanej rozkoszy. Oczywiście nie miało to znaczenia również dla mnie, naznaczonej przez Strzałę Kusziela i przekłetej. Leżałam w ciemności, upajając się następstwami pogardzanej rozkoszy, i zastanawiałam się, co przyniosą następne dwa tygodnie.

Wstaliśmy o brzasku i szykowaliśmy się do wyjazdu. Rozpromieniony Gunter przyszedł do sypialni z tobołkiem wełnianej bielizny i futrzanych okryć, które miały chronić mnie przed zimnem. Ku mojemu zdziwieniu ukląkł, żeby nałożyć mi owijacze i pokazać, jak należy zawiązać skórzane troczki, które utrzymywały je na nogach. Kiedy skończył, nie podniósł się od razu, tylko zadarł moje spódnice i rozsunał uda, żeby złożyć pocałunek na perle Naamy, jak go nauczyłam.

– Nigdy cię nie zapomnę – powiedział szorstko, opuszczając

spódnice i patrząc na mnie. – Może twoi bogowie cię przeklęli, ale Gunter Arnlaugson uważa twój dar za błogosławieństwo.

Czułość była ostatnia rzeczą, o jaką go posądzałam, nim jednak zdążyłam się wzruszyć, na jego szyi zamigotał diament Melisandy, przypominając mi to, o czym prawie zapomniałam. Położyłam ręce na jego głowie i pocałowałam go, dziękując za ciepłe ubrania.

To chyba wystarczyło. Podniósł się, zadowolony, i poszedł dopilnować zakładania siodła i juków na konie.

Klamka zapadła, pomyślałam. Naprawdę to robi.

Podróż na Althing zabrała całe osiem dni i jeśli nie była najcięższą próbą, jakiej kiedykolwiek zostałam poddana, to w owym czasie stanowiła najgorszą. Jechałam na własnym wierzchowcu, bo Gunter nie chciał forsować koni, i przez niekończące się godziny garbiłam się w siodle, okutana w wełnę i futra, z luźnymi wodzami, ufając, że mój krzepki wierzchowiec podąży za innymi.

Mróz ścisnął po fałszywej wiośnie i śnieg, rozmiękczony przez ciepło, stwardniał w kruchą skorupę, która spowalniała jazdę i kaleczyła końskie nogi. Kiedy wieczorem rozbiliśmy obóz, Skaldowie najpierw opatrzyli konie, nacierając skaleczenia maścią z niedźwiedziego sadła.

Obóz tworzyły prymitywne namioty z garbowanej skóry, zapewniające pewną ochronę przed zimnem. Gunter nie próbował mnie tknąć, ale trzymał mnie przy sobie i nie wstydzę się przyznać, że przytulałam się do niego dla ciepła. Jedliśmy polewkę i paski suszonego mięsa, które serdecznie mi zbrzydły.

Jechaliśmy przez wspaniałe ziemie, nie byłam jednak w nastroju do podziwiania widoków. Wyglądało na to, że Skaldom zimno wcale nie przeszkadza, bo choć ich oddechy zamarzały w

lodowatym powietrzu, śpiewali wesoło w czasie jazdy. Policzki Hedwigi poróżnowiały od chłodu, a jej oczy skrzyły się jak u młodej dziewczyny.

Nawet Joscelin radził sobie lepiej ode mnie; powinnam była się tego spodziewać, bo przecież wychował się w górach Siovale i przywykł do zimna. Jak większość mężczyzn, był szczęśliwszy w ruchu niż w bezczynności. Dostał od kogoś płaszcz z niedźwiedziej skóry i chyba zimno mu nie doskwierało, bo jechał z werwą i w doskonałym humorze. Powiadają, że w adeptach Domu Jaśminu płynie gorąca krew Bodistanu, dlatego po raz pierwszy od wielu lat pomyślałam o matce, zastanawiając się, czy po niej odziedziczyłam tę awersję do zimna.

Ósmego dnia dotarliśmy do miejsca spotkania. Ujrzeliśmy obóz wokół jeziora w szerokiej kotlinie, którą otaczały porośnięte lasem góry.

Domyślałam się, że to osada Waldemara Seliga, odziedziczona prawem krwi i siły, świadcząca o jego wielkości. Wielki dwór, choć prymitywny wedle naszych norm, był trzy razy większy od siedziby Guntera, a w pobliżu stały niemal mu dorównujące dwie inne budowle. Wokół jeziora rozbito rojne obozowiska skaldyjskich plemion.

Zobaczyliśmy osadę z odległości mili. Las wydawał się dziewiczy i milczący, tylko od czasu do czasu było słyhać trzask gałęzi pękającej z zimna. Knud, znawca puszczy, przyłożył palec do nosa i znacząco pokiwał głową, patrząc na Guntera. Mimo wszystko myślę, że nawet on był zaskoczony, kiedy przed nami podniosło się ze śniegu trzech Skaldów, w płaszczach i kapturach z białych wilczych futer, z włócznieami w rękach.

W mgnieniu oka Joscelin ustawił wierzchowca bokiem do Skaldów, wybił się z siodła i wylądował przed nimi na nogach,

krzyżując zarękawia, ze sztyletami w pogotowiu. Zaskoczył ich tak samo jak oni nas.

Patrzyli na naszą grupę, mrugając głupkowato pod białymi pyskami wilków, które mieli na czołach.

Gunter ryknął gromkim śmiechem na ten widok, ruchem ręki przywołując wojów i kobiety.

– Chciałbyś mnie bronić, co, wilczku? – zapytał. – Doskonale, ale nie za cenę gościnności Błogosławionego! – Radośnie pokiwał głową do zdumionych wartowników. – Witajcie, bracia. Jestem Gunter Arnlaugson z Marsi, wezwany na Althing.

– Cóż to za wojownika przywiodłeś, Gunterze Arnlaugsonie? – zapytał kwaśno dowódca, zirytowany, że dał się zaskoczyć. – Z pewnością nie jest z Marsi, chyba że panny z twojej osady zabłądziły za granicę.

Hedwiga parsknęła głośno i jeden ze Skaldów Waldemara popatrzył w jej stronę. Zobaczył mnie. Zdumiony, pociągnął kamrata za rękaw.

– To zdradzę tylko Waldemarowi Seligowi – odparł Gunter chytrze. – Ale jest mi wierny, co, wilczku?

Joscelin obrzucił go obojętnym spojrzeniem, skłonił się i schował sztylety.

– Będziesz więc za niego odpowiadać. – Dowódca wzruszył ramionami. – Sprowadzimy was na dół.

– Prowadźcie – zgodził się Gunter łaskawie.

Tak oto jechaliśmy do miejsca spotkania z eskortą, która ostrożnie wybierała drogę. Nasze konie brnęły przez śnieg, czasami zapadając się po brzuchy.

Jeśli z góry obozowiska wydawały się ogromne, to widziane z dna doliny sprawiały wrażenie, jakby ciągnęły się bez końca. Wokół jeziora wyrosło prawdziwe miasto namiotów, w którym

mieszkali niezliczeni Skaldowie przybyli na Althing. Skaldowie nie mają herbów, tak jak my, ale zauważyłam różnice w kroju ubrań, kolorach wełny, zapięciach futer, świadczące o przynależności do różnych plemion. Jedni nosili dyski z brązu dla ozdoby, u innych na nagich torsach grzechotały naszyjniki z niedźwiedzich zębów.

Nie ulega wątpliwości, że plemiona nie żyły z sobą w idealnej zgodzie. Wyczuwałam napięcie, gdy przejeżdżaliśmy przez kolejne obozowiska. Wojowie byli czujni, spoglądając znad ostrzonej broni, a kobiety, stosunkowo nieliczne, patrzyły na nas z wrogością, ale i zaciekawieniem. Tylko dzieci i psy wydawały się nieświadome wiszącego w powietrzu zagrożenia, uganiając się z obozu do obozu w niekończącej się zabawie o znanych tylko sobie zasadach, ujadając przy tym zaciekle.

Odprowadzały nas pomruki. Już w osadzie Guntera, leżącej dzień jazdy od d'Angelińskiej granicy, Joscelin i ja wyglądaliśmy osobliwie. Tutaj wydawali się równie nie na miejscu jak para pustynnych rumaków L'Enversa w stajni koni pociągowych.

– Tam znajdziesz miejsce – powiedział do Guntera nasz przewodnik, wskazując jeden z mniejszych dworów. – Możesz zabrać dwóch swoich wojów oraz kobiety, ale pozostali muszą pozostać w obozie. Rozbijcie się gdzie chcecie. Możecie brać jedno naręcze drewna na dzień ze wspólnego stosu. Każdemu przysługuje miska owsianki o świcie i o zmierzchu. O resztę i o konie sami musicie zadbać.

Wojowie zamruczeli niezadowoleni, spodziewali się bowiem lepszego przyjęcia. Gunter skrzywił się na wieść, że ma się ulokować w mniejszym dworze.

– Chciałbym zobaczyć się z Waldemarem Seligiem – oświadczył. – Mam ważne wieści.

– Przekażesz je na Althingu, żeby wszyscy mogli usłyszeć – powiedział dowódca, ani trochę nie wzruszony. – Ale wieczorem Błogosławiony przyjmie daninę, jeśli sobie życzysz. – Wskazał horyzont. – Kiedy słońce zawiśnie o szerokość palca nad górą, drzwi wielkiej sali staną otworem.

Rozumie zatem znaczenie ceremoniału, pomyślałam; wie, co rządzi sercami ludzi. Była to niepokojąca myśl.

– Dziękuję, bracie, za wielką uprzejmość – powiedział Gunter łagodnie. W jego słowach kryła się ironia, i dowódca wzdrygnął się lekko, ale tylko pokiwał głową i odszedł. Gunter zabrał Hedwigę na bok i rozmawiał z nią cicho, podczas gdy my staliśmy niepewnie. Hedwiga popatrzyła na mnie ze smutkiem w oczach, a po ruchu jej warg poznałam, że wyraziła zgodę.

– Niech tak będzie! – powiedział Gunter głośno, patrząc na nas. – Ty pójdiesz ze mną, wilczku, i ty, Bredo. Reszta zrobi co trzeba i spotkamy się tutaj, gdy słońce zawiśnie dwa palce nad wzgórzem.

Nie byłam pewna, co mam zrobić, ale Hedwiga wraz z drugą kobietą – miała na imię Linnea – zsiadła z konia i skinęła na mnie z życzliwym wyrazem twarzy. Prostoduszny Knud sięgnął po wodze mojego wierzchowca, unikając spojrzenia mi w oczy.

Gunter i Breda także zsiadli z koni. Skald machnął ręką na Joscelina, który wciąż siedział w siodle, wodząc dokoła wzrokiem; wierzchowiec tańczył lekko pod naciskiem jego kolan. Jeśli ja miałam kłopot, żeby odgadnąć, co się dzieje, to on musiał być w znacznie gorszym położeniu. Szybko nauczył się podstaw skaldyjskiego, ale na otwartej przestrzeni, gdzie wszyscy kręcili się dokoła i głośno rozmawiali, niewiele mógł zrozumieć.

– Panie, przysięgłem dbać o bezpieczeństwo mojej pani – przypomniał Gunterowi.

– Będzie tutaj bezpieczna, wilczku – odparł Gunter cicho. – Pójdzie do króla, a ty razem z nią.

Joscelin pochwycił moje spojrzenie i pokiwał głową. Zsiadł z konia i rzucił wodze jednemu z wojów.

A potem Hedwiga wzięła mnie pod rękę i pociągnęła za sobą, mogłam więc tylko rzucić okiem przez ramię na mężczyzn idących w inną stronę. Wokół ludzie gapili się na nas i pomrukiwali.

W sali usłyszałam przepełnione jadem szepty kobiet. W głębi serca jestem wdzięczna Hedwidze za życzliwość i przykład, jaki dawała w osadzie Guntera. Tutaj, choć nie przewyższała godnością ani wiekiem innych kobiet, zachowywała się jak zawsze, usuwając je z drogi i zajmując dla nas łaźnię.

Było tam ciepło i wilgotno. Linnea zajęła się napełnianiem wanny. Jak Knud, nie chciała spojrzeć mi w oczy. Hedwiga czekała i nie odwracała wzroku. Rozpięłam zapinkę futrzanego płaszcza, zrzuciłam go z ramion na podłogę.

– Co ci kazał zrobić, Hedwigo? – zapytałam szeptem.

– Przydać twojemu pięknu najwyższego blasku – odparła cicho. Rozwiązałam rzemyki futrzanych ochraniaczy na nogach i rozsznurowałam stanik wełnianej sukni.

– Powiedział ci, dlaczego? – zapytałam, gdy zdjęłam halki z surowej wełny i weszłam do wanny.

– Tak – odparła jeszcze łagodniejszym tonem i pokręciła głową. – Dziecko, gdybym mogła coś zrobić, nie wahałabym się ani chwili. Ale żyjemy w świecie mężczyzn, choć dają nam prawo głosu.

Sięgnęłam po jej rękę i pocałowałam ją jak pierwszego dnia.

– Hedwigo, traktowałaś mnie życzliwie, a to więcej niż zasłużyłam – szepnęłam. Tym razem nie wyrwała ręki, tylko

położyła ją na mym policzku.

– Wniosłaś piękno do mojej osady, moje dziecko. Nie tylko na twarzy, ale też w zachowaniu. Słuchałaś naszych pieśni i sprawiłaś, że stały się piękne. Dziękuję ci za to.

Musiałam coś dla niej znaczyć, dla wszystkich mieszkańców osady, nie tylko jako zabawka Guntera. Łzy zakręciły mi się w oczach, ale polałam twarz wodą, żeby nikt ich nie zobaczył. Nie było mnie wtedy stać na roztkliwienie się nad nią i nad sobą. Wykąpałam się, a kiedy wyszłam z wanny, Linnea pomogła mi włożyć szatę z białej czesanej wełny. Nie wiem, kto i w czym ją przywiózł. Była trochę zmięta po podróży, ale wilgotne ciepło łaźni wygładziło zagniecenia. Siedziałam cicho na stołku, gdy Hedwiga czesała moje włosy, rozplątując je po ośmiu dniach podróży, aż spadły w bogactwie ciemnych, lśniących pukli.

– Sprawdź, gdzie stoi słońce – powiedziała do Linnei. Dziewczyna skinęła głową i wyszła.

– Jestem gotowa? – zapytałam.

Hedwiga poprawiła moje włosy.

– Jeśli Waldemar Selig widział kiedyś równie piękną istotę... – powiedziała z satysfakcją – to zje moje buty. – Nie spodziewałam się takiego żartu i roześmiałam się ze szczerego serca. Uśmiechnęła się i przytuliła mnie szorstko. – Będę za tobą tęsknić, dziecko. Za tobą i za tym pięknym młodzieńcem.

Linnea przybiegła z przejętą miną.

– Zbierają się – wysapała, podnosząc nasze rzeczy.

Jeśli byłam darem godnym książąt, nadawałam się również dla barbarzyńskiego króla. Włożyłam płaszcz i wyszłam z sali kobiet w towarzystwie Hedwigi i Linnei, nie zwracając uwagi na poszeptywania.

Przed wielkim dworem zgromadzili się przedstawiciele kilku

osad. Ja i reszta mieszkańców osady Guntera staliśmy razem i staraliśmy się robić jak najlepsze wrażenie. Przypuszczam, że nawet Joscelin i ja nie stanowiliśmy wyjątku, a choć nie dorównywałam Skaldom wzrostem, ten brak nadrabiałam dumą.

Zachodzące słońce świeciło na wysokie drewniane wieże z mosiężnymi okuciami. Robiło cię coraz zimniej. Kiedy okrągłe i pomarańczowe słońce zawisło o szerokość palca nad czubami drzew, wielkie drzwi otworzyły się powoli.

Waldemar Selig czekał na nas.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Waldemar Selig być może znał korzyści płynące z ceremonii, ale trzeba przyznać, że Gunterowi też nie brakowało wyczucia stylu, jeśli chodzi o umiejętność zaprezentowania swojej osoby. Pozwolił członkom innych osad przepychać się i wyprzedzić przy wchodzeniu do sali. Wszyscy stłoczyli się w środku, tworząc w moich oczach jedno wielkie skupisko Skaldów, głównie mężczyzn. Ze swojego miejsca widziałam tylko morze ogorzałych postaci, odzianych w wełnę i futra.

Poza wielkością, która rzeczywiście robiła wrażenie, dwór nie wyróżniał się niczym szczególnym. Pod względem rozplanowania przypominał ten z osady Guntera; tam, pomyślałam, są kuchnie, tam spiżarnie, a tam kilka prywatnych izb. Palenisko było jednak wyższe od człowieka i z trudem mogłam wyobrazić sobie obwód drzew, z których wyciosano krokwie zawieszane pod sufitem.

Na audiencję u Waldemara Seliga czekali przedstawiciele czterech osad: dwóch z plemienia Marsi, łącznie z nami, jednej z Manni i jednej z Gambrivii. Wiele innych plemion, łącznie z potężnymi Suevi i Wandalii, przybyło wcześniej.

Wszyscy, jak się wydawało, przynieśli daniny; Gunter nie był odosobniony w swoim sposobie myślenia, a może taki był zwyczaj. Przedstawiciele bogatej osady Gambrivii przynieśli złoto, wzbudzając powszechną zazdrość. Sama niewiele widziałam, ale wiedziałam, co się dzieje, słysząc prowadzone wokół mnie rozmowy. Druga osada Marsi, szczyca się

utalentowanym snycerzem, sprezentowała Seligowi klocki z runami *futhark*, uznawane za nie byle jaki dar.

Szliśmy za osadą Leidolfa z Manni, który przyniósł pół tuzina wilczych futer, śnieżnobiałych i nieskazitelnych. W sali przetoczył się pomruk podziwu, bo po pierwsze, białe wilki z północy trudno jest upolować, a po drugie, zwierzę to jest totemem Seliga. Jego doborowi wojowie, którzy nosili wilcze skóry, byli zwani Wilczymi Braćmi; dowiedziałam się tego w wielkiej sali, czekając w kolejce za Manni.

Widok wprawdzie miałam ograniczony, nic jednak nie zasłaniało mi uszu, dlatego najpierw poznałam głos Waldemara Seliga, gdy witał składających dary. Najlepiej słyszałam przyjęcie Manni, stojąc tuż za nimi. Głos miał niski i równomierny; miał tę cechę dobrych przywódców, dzięki której każdy czuje się wyróżniony. Po chwili ludzie Leidolfa oddalili się i nadeszła nasza kolej, by stanąć przed człowiekiem, który miał zjednoczyć Skaldów.

Gunter ruszył pierwszy, a za nim w luźnej grupie postąpili jego wojowie. Hedwiga i dwie kobiety trzymały się z tyłu, podobnie jak ja z Joscelinem; skaldyjscy wojownicy musieli zajmować pozycje na przodzie. Pomędzy ich ramionami zobaczyłam Waldemara Seliga. Postawny i barczysty, siedział na wielkim drewnianym krześle, które trochę przypominało tron – i które równie dobrze mogło być tronem.

D'Angelin by przed nim ukląkł; Skald tego nie zrobił. Gunter stał prosto przed swoim wodzem.

– Gunter Arnlaugson z plemienia Marsi! Miło cię widzieć, bracie – powiedział Selig ciepło i serdecznie. – Serce rośnie na twój widok, bo twoja osada przynosi nam chwałę na zachodnich rubieżach.

– Przybywamy na Althing w dobrej wierze, pragnąc przysiąc wierność wielkiemu Waldemarowi Seligowi – odparł Gunter pompatycznie. – Przywiodłem ci wojów, którzy są gotowi zwrócić ostre włócznie przeciwko twoim wrogom, i Hedwigę Arilsdottir, która pilnuje, by nigdy nie wygasł ogień w naszej osadzie.

Hedwiga nerwowo skinęła głową; Skaldowie nie byli odporni na wspaniałości ceremonii. Przesunęłam się, żeby mieć lepszy widok na Waldemara Seliga. Zobaczyłam jego oczy, orzechowe i zadumane.

– Witajcie wśród nas, ludzie z osady Guntera Arnlaugsona.

– Przybyliśmy z darami, o Błogosławiony – powiedział Gunter przy pochlebnie, odsuwając się na bok. Czyjeś ręce pchnęły do przodu mnie i Joscelina. – Oto dwoje d’Angelińskich niewolników, zakupionych za złoto opłacone krwią Skaldów. Daję ci ich, wodzu.

Nie wątpię, że Waldemar Selig słyszał pogłoski o naszym przybyciu, bo nie okazał zdziwienia na te słowa. Kiedy jednak zobaczył Joscelina i mnie, uniósł brwi. Widziałam to wyraźnie, bo staliśmy teraz przed nim i żaden Skald nas nie zasłaniał. Gdy popatrzył na mnie z zaciekawieniem, złożyłam ukłon. Nie był to machinalny dyg Dworu Nocy, lecz pokłon należny cudzoziemskiemu księciu, jakiego nauczył mnie Delaunay.

Skądś o tym wiedział, poznałam to po jego szacującym spojrzeniu. Był dość przystojny, jak na Skalda, wysoki i potężnie zbudowany, w wieku około trzydziestu pięciu lat. W wyrazistej twarzy błyszczały zamyślane orzechowe oczy. Na płowych włosach nosił złotą opaskę, a brodę rozczesywał w dwa szpice okręcone złotym drucikiem. Miał zmysłowe usta, jak na wojownika. Jak na Skalda.

Joscelin zgiął się w kasjelickim ukłonie, który służył mu do

wszystkich celów i niczego nie oznaczał. Zadumane spojrzenie Waldemara Seliga przez chwilę spoczywało na mnie. Widziałam, jak przypatruje się moim oczom, lewemu oku. Dostrzegł szkarłatną plamkę.

– Dajesz mi dwie gęby do wykarmienia, Gunterze Arnlaugsonie? – zapytał lekkim tonem. Przez salę przetoczył się śmiech i Gunter poczerwieniał.

Zrozumiałam. Waldemar Selig poprawnie ocenił naszą wartość; po prostu jeszcze nie wiedział co z nami zrobić.

Ale Gunter ani nie był głupcem, ani też człowiekiem, którego można lekceważyć.

– Ona jest przyuczona do sprawiania rozkoszy królom... – rzekł i po chwili dodał: – Mój panie.

Ten zwrot, który ja wymawiałam bez głębszej myśli, tutaj był wyrazem uznania czyjejs zwierzchności. Gunter powiedział to, czego Skaldowie jeszcze nie ubrali w słowa. On wiedział. To samo powiedział Joscelinowi. Wyrzeczenie tych słów w obecności Skaldów, którzy nigdy nie mieli jedynowładcy, miało ogromne znaczenie. Zrozumiałam wtedy w pełni doniosłość jego daru. Gunter uznawał Waldemara Seliga za króla.

Waldemar Selig poruszył się na krześle, wciąż grając na zwłokę. Nie potrzebował egzotycznych futer, żeby się wyróżniać; ruch sprawił, że płomienie w wielkim kominie za jego plecami zatańczyły, opromieniając go aureolą światła.

– A chłopak?

– Syn wielmoży – odparł Gunter cicho. – Zaprzysiężony wojownik-kapłan D’Angelinów, związany ślubami z dziewczyną. Będzie strzec twego życia jak własnego, byle tylko ona była bezpieczna. Zapytaj swoich wojów, jeśli mi nie wierzysz.

– Czy to prawda? – Waldemar Selig zwrócił się do Białych

Braci. Wojowie w śnieżnobiałych wilczych futrach na ramionach i w wilczych maskach na głowach przestąpili z nogi na nogę i zamruczeli, przytakując. Potem spojrzenie wodza zatrzymało się na mnie, zaciekawione i zadumane. – Czy to prawda?

Chyba nie spodziewał się odpowiedzi; Gunter nie wspomniał, że władam ich językiem. Dygnęłam jeszcze raz.

– Tak, panie – odparłam w bezbłędnym skaldyjskim, nie bacząc na okrzyki zdziwienia. – Joscelin Verreuil jest członkiem Bractwa Kasjelitów. Ganelon de la Courcel, który jest królem Terre d’Ange, nie rusza się bez ochrony dwóch kasjelitów.

To było ryzykowane zagranie, ale w jego zachowaniu doszukałam się głodu cywilizacji. Waldemar Selig pragnął dla swojego ludu chwały nie do końca wykutej przez krew i żelazo. Joscelin wziął ze mnie przykład i też się uklonił.

– Mówisz naszym językiem – rzekł cicho Waldemar Selig – i jesteś przyuczona do służenia królom. Co to oznacza? – Ktoś inny mógłby pytać ot, tak sobie; on naprawdę chciał wiedzieć. Badał wzrokiem moją twarz. – Posłałbym kogoś takiego jak ty swojemu wrogowi, gdybym chciał zwieść go na manowce. Jak to się stało, że zostałam niewolnicą?

Nie spodziewałam się takiego pytania, choć powinnam, już znając go ze słyszenia. Jest czas na przemilczenia i jest czas na mówienie prawdy. Patrząc mu w oczy, uznałam, że pora na to drugie.

– Panie, wiedziałam zbyt dużo.

Słowa te zawierały całe moje dzieje dla kogoś, kto umiał je odczytać. Jeśli Waldemar Selig tego nie potrafił, to rozpoznał język, w jakim zostały spisane. Raz skinął głową, tyleż do siebie, co do mnie.

– Tak bywa... gdy jest się wyszkolonym do służenia królom. –

Jego wypowiedź wzbudziła poruszenie w wielkiej sali, gdyż potwierdziła prawdziwość słów Guntera i moich. Nikt jednak nie okazał sprzeciwu. – A ty? – zapytał, przenosząc wzrok na Joscelina. – Jak to się stało, że stoisz przede mną?

Jeśli miałam powody wątpić w bystrość porywczego kasjelity, teraz mogłam tylko go pochwalić. Joscelin odwrócił się w moją stronę i przemówił w naszej ojczyściej mowie:

– Powiedz mu, że przysięgłem chronić twoje życie. Powiedz mu, że to sprawa honoru.

Odwróciłam się do Waldemara Seliga, który uniósł rękę.

– Ja... mówię trochę... wasz język – wydukał po d’Angelińsku. – Ty musisz mówić... trochę mój... skoro to zrozumieć. – Przeszedł na dość płynny caerdicci. – Władasz językiem uczonych, D’Angelinie? Zrozumiałem, co powiedziałaś.

Joscelin uklonił się, szeroko otwierając oczy.

– Tak, panie – odparł w caerdicci. – Jest tak, jak rzekł Gunter Arnlaugson.

– Aha. – Waldemar Selig wciąż patrzył na niego. – I czy przysięgniesz, jak rzekł Gunter Arnlaugson, strzec mojego życia jak swego własnego, Żosslin Werai?

Zwrócił uwagę na nazwisko, gdy je powiedziałam, i zapamiętał je; mówił trochę naszym językiem – aczkolwiek z barbarzyńskim akcentem – i na dodatek władał caerdicci. Im więcej o nim wiedziałam, tym bardziej się go obawiałam. Gonzago de Escabares miał rację; Waldemar Selig był niebezpieczny.

Joscelin odzyskał panowanie nad sobą, twarz miał spokojną i nieodgadnioną, jakby włożył maskę kasjelickiej dyscypliny. Ze wszystkich ludzi w sali tylko Gunter i jego wojowie, stojący teraz za nami, znali jego kunszt władania bronią. Joscelin stał ledwie parę kroków od skaldyjskiego wodza, wolny, w pełnym

rynsztunku bojowym. W trzech ruchach, pomyślałam, mógłby zabić Waldemara Seliga. Nie ulega wątpliwości, że podszyte napięciem zjednoczenie Althingu nie przetrwałoby po śmierci wodza. Skłóceni i pozbawieni przywódcy Skaldowie byłiby tym, czym zawsze: zagrożeniem dla naszych granic, ale nie takim, jakiego nie można zażegnać wspólnym wysiłkiem.

Joscelin jednak złamałby przysięgę, a oboje przypłacilibyśmy życiem ten desperacki wyczyn. Kasjel wybrał potępienie, byle tylko pozostać u boku Elui; Joscelin nie okazał się gorszy.

– Przysięgam... – powiedział w caerdicci – na bezpieczeństwo mojej pani Fedry nó Delaunay.

– Fejdra – mruknął Waldemar Selig, spoglądając na mnie. Dygnęłam, czując ciężar jego spojrzenia. – Tak się nazywasz?

– Tak, panie.

– Fejdra, nauczysz mnie d’Angelińskiego. – Przeniósł spojrzenie na Joscelina. – Żosslin, zobaczmy, jaki z ciebie wojownik. – Dwoma palcami skinął na jednego z Białych Braci.

Woj z bojowym okrzykiem rzucił się na swojego przywódcę, podrywając krótką włócznię do śmiertelnego ciosu. Waldemar Selig siedział nieporuszony. Może było to umówione, nie wiem. Ale wtedy wierzyłam i dzisiaj wierzę, że woj atakował na poważnie. Waldemar Selig wymagał od swoich ludzi ślepego posłuszeństwa, nawet pod takim względem.

Dostrzegłam zadowolony uśmiech Guntera, gdy Joscelin przystąpił do działania. Ruchem gładkim jak natarty oliwą jedwab wsunął się pomiędzy Seliga i woja. Bliźniacze sztylety błysnęły, chwytając drzewce włóczni, gdy grot znajdował się w odległości centymetra od serca. Nieznacznym ruchem ramion i nadgarstków kasjelita zmienił kierunek ciosu i jednocześnie wymierzył silnego kopniaka w brzuch napastnika. Biały Brat ze

świstem wypuścił powietrze i zatoczył się do tyłu.

Joscelin z lekkim ukłonem podał włócznie Waldemarowi Seligowi. W akompaniamencie drwin pokonany woj poprawił przekrzywioną wilczą skórę i z chmurną miną zajął miejsce wśród swoich braci.

– Aha. – W oczach skaldyjskiego wodza zaskrzyło się rozbawienie. Wstał, trzymając włócznie, i przyjacielskim gestem zarzucił rękę na ramiona Guntera. – Dałeś mi niezrównany dar, Gunterze Arnlaugsonie! – oznajmił głośno.

Waldemar Selig wyraził aprobatę i wszyscy Skaldowie ryknęli na wiwat, ja jednak, rozglądając się po wielkiej sali, nie dałam się zwieść. Wznosili wiwaty na cześć Seliga i tylko Seliga; nie witali dwojga D'Angelinów. Wyjąwszy członków osady Guntera, na otaczających mnie twarzach nie dostrzegłam niczego, co mogłoby rozgrzać mi serce. Uczucia nie były skomplikowane: kobiety spoglądały z zazdrością i nienawiścią, mężczyźni patrzyli na mnie z nienawiścią i pożądaniem, a dla Joscelina mieli samą nienawiść.

Jeśli kiedykolwiek miałam powody wątpić, teraz wiedziałam na pewno. Znajdowaliśmy się wśród wrogów.

Tej nocy Selig wydał ucztę dla wybranych przywódców osad i możecie być pewni, że Gunter siedział blisko gospodarza. Przyjęcie miało skaldyjski charakter, więc miód lał się obficie; były też pieśni, przechwałki i politykowanie. Waldemar Selig polecił mi służyć do stołu i nalewałam miód skaldyjskim naczelnikom z ciężkiego glinianego dzbana. Nie umiem powiedzieć, ile razy musiałam go napełnić.

Wiem jednak, ile razy napełniałam kufel Seliga, bo było tych razów niewiele. Pozostali pili na umór, a on na to pozwalał, sam jednak pozostał trzeźwy. Widziałam jego kalkulujące spojrzenie i

domyśliłam się, że ocenia zachowanie swoich naczelników. W czasie składania darów przedstawili mu się z jak najlepszej strony; teraz ujawniała się ich prawdziwa natura, a on potrafił ją oszacować.

Ta myśl przyprawiła mnie o ciarki.

Zauważyłam też, że wodził za mną wzrokiem, i wyczułam, iż podoba mu się d'Angeliński styl usługiwania. Zwrócił uwagę na lnianą serwetkę, którą trzymałam pod dzbanem, na to, z której strony podchodziłam do gości, w jaki sposób wyciągałam rękę z dzbanem. Dostrzegł tysiąc i jeden drobiazgów, jakie składają się na dyskretny wdzięk kształcony w Dworze Nocy. Subtelności te nie miały znaczenia dla innych Skaldów, którzy wychylali kufel za kuflem i nie dbali, czy miód nie leje się po dzbanie, ale Waldemar Selig potrafił się na nich poznać.

Joscelin też mu towarzyszył; na kasjelicką modłę stał trzy kroki za jego lewym ramieniem, ze skrzyżowanymi rękami wspartymi lekko na rękojeściach sztyletów. Było to pomysłowe, wcale niegłupie posunięcie ze strony Waldemara Seliga. Widziałam, że jest świadom każdego ruchu kasjelity; pilnowało go również dwóch Białych Braci. Skaldyjski wódz jest spragniony naszych obyczajów, pomyślałam. Chciałby uważać się za króla, ale jego naród wrzaskliwych opoi nie pasuje do królestwa, jakie sobie wymarzył. Pomyślałam o swojej ojczyźnie i krew stężała mi w żyłach.

Tej nocy nie było mowy o powodach zgromadzenia, tylko przechwałki i opowieści o tym, czego już dokonali. Dwaj naczelnicy, z Suevi i Gambrhdi, przypomnieli starą waśń rodową i niedługo później wyciągnęli miecze. Pijani, podekscytowani Skaldowie zrobili im miejsce do walki. Zobaczyłam wśród nich Guntera, wykrzykującego zakład, który szybko został przyjęty.

Trzask kufla o stół przyciągnął powszechną uwagę. Zapadła pełna konsternacji cisza.

– Jesteście ludźmi czy psami, które użerają się o starą kość? – zapytał skaldyjski wódz, patrząc na nich z błyskiem w orzechowych oczach. – Jestem panem w swoim domu. Każdy, kto chowa urazę, niech przyjdzie z nią do mnie. I każdy, kto chciałby siłą wyrównać dawne porachunki, niech wystąpi przeciwko mnie. Czy tego chcecie? Ty, Larsie Hognisonie? Ty, Erlingu Chyży? – Wojowie szurali nogami i mruzcili, zupełnie jak chłopcy przyłapani na bijatyce. – Nie? To dobrze. Pogódźcie się i zachowujcie jak na braci przystało.

Skaldowie łatwo się wzruszają. Dwaj mężczyźni, przed chwilą gotowi jeden drugiemu rozedrzeć gardło, padli sobie w ramiona i uściskali się jak bracia.

– To wam się chwali – powiedział Selig cicho i wstał, przytłaczając wszystkich wzrostem i szerokością ramion. – Jesteście tutaj, bo umiecie dowodzić swoimi szczepami. Jeśli chcecie być przywódcami z prawdziwego zdarzenia, musicie nauczyć się jednoczyć, a nie dzielić. Podzieleni, przypominamy psy gryzące się w psiarni. Zjednoczeni, jesteśmy potężnym narodem!

Krzyknęli na wiwat, ale Waldemar Selig był za mądry na to, żeby spocząć na laurach.

– Ty... – powiedział, wskazując Guntera – Gunterze Arnlaugsonie z Marsi. Czy dobrze słyszałem, że wykrzyknąłeś stawkę?

Gunterowi wystarczyło rozsądku, żeby zrobić skruszoną minę.

– Dałem się ponieść gorączce chwili, Błogosławiony. Z pewnością ty też to robiłeś, żeby rozgrzać się w chłodach długiej zimy.

– Jeśli człowiek obstawia walki psów, to w jakim stanie będzie jego sfora, gdy nadejdzie czas wiosennych łowów? – zapytał zimno Waldemar Selig. Usiadł i podciągnął prawy rękaw kaftana, obnażając muskularne ramię. – Zakład stanowi wyzwanie, Gunterze Arnlaugsonie, a ty jesteś gościem w moim domu. Co zatem postawisz? Ten kamień, który tak ładnie mruga na twojej szyi? D’Angelińska błyskotka, jeśli się nie mylę.

Zaskoczony Gunter popatrzył na mnie. Zrobiło mi się go żal; diament Melisandy każdemu przynosił pecha.

– Podoba ci się? – zapytał zuchwale, zdejmując klejnot z szyi i podając go Seligowi. – W takim razie należy do ciebie!

– Ach, nie. – Waldemar Selig uśmiechnął się. – Chciałbym zdobyć go uczciwie, tak jak twój szacunek, Gunterze Arnlaugsonie. Choć, jeśli chcesz się zakładać, spróbuj szczęścia z moim ramieniem. – Poderwał rękę i pod skórą nabrzmiały twarde jak głązy mięśnie. Pozbawieni rozrywki w postaci bijatyki, Skaldowie przyklasnęli jego słowom. Sprytny Selig, pomyślałam, najpierw ich zawstydził, a teraz pokaże im swoją siłę. W przeciwieństwie do nich dobrze wiedziałam, co nim powoduje.

Robiąc dobrą minę do złej gry, Gunter zacisnął ręce i potrząsnął nimi nad głową. Diament pobłyskiwał, gdy podszedł do stołu. Skaldowie, którzy podziwiają i szanują odwagę, nagrodzili go okrzykami. Waldemar Selig uśmiechnął się jak wilk, gdy usiedli naprzeciwko siebie. Gunter położył diament na stole, a potem złapali się za ręce i wyteżyli siły.

Nie był to ładny widok, tyle powiem. Twarze zawodników poczerwieniały, sznury ścięgien wystąpiły na szyjach, ramiona napęczniały i zawęziły się z wysiłku. Nawet komuś o posturze Waldemara Seliga niełatwo było pokonać krzepkiego Guntera

Arnlaugsona, ale wreszcie się stało. Nadgarstek Guntera wyginał się powoli pod naciskiem garści Waldemara Seliga, ręka nachylała się centymetr po centymetrze, aż w końcu uderzyła w drewniany blat stołu.

Biali Bracia Seliga wiwatowali najgłośniej, ale nie byli odosobnieni. Nawet Gunter zdobył się na uśmiech, potrząsając obolałą ręką. Dobrze, że pozbywasz się tego drobiazgu, pomyślałam, gdy podniósł diament Melisandy i sprezentował go Waldemarowi Seligowi.

Za bardzo się pospieszyłam.

Waldemar Selig zakołysał diamentem na palcu.

– Niech nikt nie mówi... – powiedział do Skaldów – że jesteśmy okrutnymi panami, którzy lękają się dawać D’Angelinom ich błyskotki i świecidelka. Niech zachowają, co do nich należy! Kto boi się narodu przyuczonego do służby? – Podniósł głos do krzyku: – Fejdra!

Z drzeniem odstawiłam dzban i podeszłam, bez namysłu osuwając się przed nim na kolana. Czułam bijący od niego żar.

– Panie – szepnęłam.

Przełożył sznurek przez moją głowę, diament Melisandy znów spoczął pomiędzy piersiami.

–Widzicie, jak D’Angelina klęka... – podjął Waldemar Selig – żeby z wdzięcznością przyjąć z mojej ręki swoją własność? Patrzcie i zapamiętajcie, bo to znak! – Złapał mnie za włosy i szarpnął, spoglądając mi w twarz, a wojowie wrzasnęli na jego cześć. – Patrzcie na naszą przyszłość!

Gunter podarował mu mnie jako symbol; a on był dość bystry, żeby to wykorzystać. Skaldowie wrzeszczeli i tłukli kuflami w stoły, podczas gdy Waldemar uśmiechał się, zadowolony z ich aprobaty. Zrozumiałam wtedy ogrom jego bezwzględności. Ten

człowiek zdobędzie to, czego pragnie, choć w konsekwencji spowoduje zniszczenie zdobyczy. Drżałam pod jego ręką jak liść osiki.

W następstwie poniżenia napłynęło nieuchronne, przekłete pożądanie. Gdyby Waldemar Selig postanowił wziąć mnie na oczach kilkudziesięciu skaldyjskich naczelników krzyczałabym na zachętę. Wiedziałam; wiedziałam i płakałam z pogardy do siebie.

Za ramieniem Waldemara Seliga widziałam profil Joscelina, czysty, niewzruszony, szlachetny profil D'Angelina. Wbiłam w niego wzrok i modliłam się żarliwie.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

Nazajutrz rozpoczął się Althing.

Waldemar Selig nie zabawiał się ze mną tej nocy, ku mojej cichej radości. Wskazano mi siennik wśród służących, a ja położyłam się szybko, nie bacząc na ich ponure spojrzenia. Selig ze mną nie skończył – co do tego nie miałam złudzeń – ale tej nocy mogłam skulić się na sienniku i pogрузić w otchłani zapomnienia.

Rankiem po nocnym pijaństwie przeważały ponure nastroje. Mnie i Joscelina zamknięto w małej spiżarni przy wielkiej sali, w której rozpoczynał się Althing. Każdy naczelnik osady mógł w nim uczestniczyć z dwoma swoimi wojami i przywódczynią kobiet; tyle zrozumiałam. Ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu ściany komórki tłumiły dźwięki, więc nie słyszeliśmy, o czym rozmawiali.

Błogosławiony Elua ulitował się nad nami i sprawił, że byliśmy sami. Biali Bracia zaryglowali drzwi. Waldemar zamierzał wykorzystać symbol, jaki stanowiło dwoje d'Angelińskich niewolników, ale nie na zgromadzeniu.

Sprawy poruszane na Althingu nie były przeznaczone dla barbarzyńskich uszu.

Słuchałam pomruku głosów odbijających się echem od wysokich krokwi. Joscelin krążył po naszym małym więzieniu, z niesmakiem lustrując drzwi oraz zapasy ziarna i piwa. Kiedy wreszcie osądził, że nie znajdzie ani wyjścia, ani niczego pożytecznego, oparł się o beczkę.

– Było źle? – zapytał ściszym głosem.

– Cicho – szepnęłam, wytyżając słuch. Na próżno. Niemal słyszałam, ale tylko niemal. Jedno słowo na dziesięć nie wystarczało; nie rozumiałam sensu. Obrzuciłam Joscelina wściekłym spojrzeniem, potem spokojniej popatrzyłam na beczkę i krokwie. Przypomniałam sobie incydent z akrobatami z Dzikiej Róży, kiedy oboje z Hiacyntem stanęliśmy na beczce, żeby lepiej widzieć.– Joscelinie! – zawołałam nagłaco, wchodząc na beczkę. – Chodź tutaj, pomóż mi!

– Zwariowałaś – powiedział niepewnie, ale już toczył drugą na miejsce.

Stanęłam na palcach, wyciągając ręce i oceniając wysokość.

– Coś planują – powiedziałam spokojnie. – Jeśli uda nam się uciec i dotrzeć do Ysandry de la Courcel, czy chciałbyś jej powiedzieć, że Skaldowie mają jakieś nieczne plany... ale, wielka szkoda, nie mogliśmy ich wysłuchać? Postaw jedną na drugiej, musimy wejść wyżej.

Zrobił to, choć nie bez protestów. Ustawienie beczki zabrało trochę czasu, bo nie była lekka. Znowu spojrzałam na belki.

– Pamiętasz akrobatów? – zapytałam, klęcząc na górnej beczce. – Chcę, żebyś podniósł mnie na ramionach i podsadził do belki. Stamtąd wszystko usłyszę.

Z trudem przełknął ślinę, patrząc na mnie z drugiego stosu beczek.

– Fedro, nie możesz – zaproponował cicho.

– Mogę – odparłam stanowczo. – Przecież nie dam rady podnieść ciebie. Właśnie do takich rzeczy wyszkolił mnie Delaunay, Joscelinie. Pozwól mi to zrobić. – Wyciągnęłam do niego rękę.

Zaklął z niezwykłą u Siovaleńczyka potoczystością, złapał

moją rękę i stanął obok mnie.

– Weź przynajmniej mój płaszcz – mruknął, zarzucając mi na ramiona szarą oponce. – Belki są brudne. Mogliby się domyślić, gdzie byłaś. – Przykląkł, żebym po jego kolanie mogła wspiąć się na ramiona.

Uwijałam się szybko, starając się nie patrzeć na odległą podłogę spiżarni. Beczki stały solidnie jak skały, ale na dekle było niewiele miejsca.

Mimo wszystkich niedogodności poszło nam jak z płatka, jakbyśmy byli parą akrobatów, którzy ćwiczą razem od długiego czasu. Joscelin pochylił głowę i chwycił mnie za kostki, a ja balansując rękami wyprostowałam się na jego barkach.

Belka biegła parę centymetrów nad czubkami moich palców.

– Podnieś mnie – wyszeptałam. Poczułam, jak zmienia chwyt i rozsuwa nogi. Jego palce zacisnęły się na moich kostkach z taką siłą, że dosłownie zajęczały kości. Pewnie podjechałam do góry, gdy wyprostował ręce, i złapałam belkę. Wciągnęłam się na nią.

Dwór Waldemara Seliga zbudowano z potężnych pni, miałam więc sporo miejsca na szerokim legarze. Ułożyłam się na brzuchu i zerknęłam w dół. Joscelin stał daleko pode mną na czubku piramidy beczek, zwracając w górę bladą, przejętą twarz.

Dopięłam swego. Leżąc płasko na brzuchu, podciągnęłam się do przodu. Gdy poczułam pod paznokciami drzazgi, z nutką nostalgii wspomniałam krzyż Childrica d'Essoms. Dobrze, że Joscelin dał mi płaszcz, bo belkę pokrywała warstwa kurzu i sadzy. Przesuwałam się centymetr po pełnym udręki centymetrze, aż w końcu wyjrzałam zza ścianki, która odgradzała komórkę od wielkiej sali. Potrząsnęłam głową, żeby czarne loki spadły mi na twarz i zaciemniły jasną skórę na wypadek, gdyby ktoś spojrział do góry.

Powinnam być przerażona – i byłam, naprawdę – ale ze strachem mieszało się dziwne uniesienie, wyrastające z chęci stawienia oporu i świadomości, że wreszcie mogę wykorzystać przeciwko wrogowi swoje talenty. Znałam podobny stan ducha ze spotkań z niektórymi klientami, ale teraz uczucie było tysiącokrotnie silniejsze.

Wielka sala, nagrzana od ognia i licznych ciał, pękała w szwach. Kilku uczestników Althingu siedziało, ale większość stała, łącznie z Waldemarem Seligiem, który górował nad nimi wszystkimi. Wyglądało na to, że niewiele straciłam. Kapłan Odyna prosił Wszechojca i Azów o błogosławieństwo, a skaldyjscy naczelnicy wraz ze swoimi wojami kolejno przysięgali wierność Seligowi; właśnie kończyli, kiedy zaczęłam podsłuchiwać.

Selig stał z rękami na biodrach i czekał, aż się uciszą. Otaczało go sześciu Białych Braci; widziany z góry, stanowił ciemną plamę pośrodku kałuży bieli.

– Kiedy nasi praojcowie spotykali się na Althingu – zagaił, podnosząc głos – rozwiązywali spory pomiędzy plemionami, uzgadniali warunki handlu, aranżowali małżeństwa, spotykali się ze starymi wrogami na holmgangu albo potwierdzali granice zagarniętych terytoriów. My nie po to się spotkaliśmy. – Powoli obrócił się dokoła, ogarniając wzrokiem zgromadzoną rzeszę. Słuchali go w wielkim skupieniu; miał ich w garści. – Jesteśmy narodem zagorzałych wojowników, najlepszych w świecie. Piastunki w Caerdicci, chcąc wymusić posłuch, straszą dzieci Skaldami. A jednak świat nas ignoruje, bezpieczny w przekonaniu, że nasza dzikość nie wykracza poza obręb naszych granic, że zwracamy ją przeciwko nam samym. W czasie, gdy powstają i upadają narody, gdy inni wznoszą wielkie pałace,

piszą księgi, budują drogi i okręty, Skaldowie warczą, kłają i zabijają się wzajemnie, śpiewając o tym pieśni.

Słowa te wzbudziły pomruk protestu; Waldemar Selig ranił do żywego serce uświęconej skaldyjskiej tradycji. On sam nawet nie drgnął, choć trochę podniósł głos.

– Mówię szczerą prawdę! Za naszą granicą, w Terre d'Ange, panowie stroją się w jedwabie z Chin i w marmurowych salach jedzą bażanty na srebrnych talerzach, my zaś, odziani w skóry, opijamy się miodem i obgryzamy kości w naszych drewnianych dworach!

– To szpik jest najśłodszy, Seligu! – zawołał jakiś wesolek. Ze swojej grzędy widziałam, że sąsiad trącił go łokciem w żebra.

Waldemar Selig puścił żart mimo ucha.

– Na Wszechojca Odyna, jesteśmy lepsi nad to! Pragniecie chwały, bracia? Zastanówcie się. Czy zabijanie sąsiada przynosi chwałę? Musimy zająć należne nam miejsce w świecie i wyrobić sobie imię, nie takie, jakim piastunki straszą dzieci, ale takie, jakie kiedyś zdobyły armie Tyberium, imię ze strachem i szacunkiem wymawiane w tysiącach krajów! Skaldowie już nie będą łańcuchowymi psami, wynajmowanymi do ochrony karawan przez Caerdicci czy D'Angelinów. Będą władcami, przed którymi ukorzą się synowie i córki podbitych narodów, czołami bijąc o ziemię!

Pozyskał ich; zadrżałam, gdy huknęły wiwaty. Z góry widziałam zarumienione twarze. Spostrzegłam ze smutkiem, że również kobiety wyrażały uznanie. Nawet dobrej Hedwidze rozbłysły oczy; bez wątpienia wyobrażała sobie, że jest wielką panią w marmurowej sali, odzianą w jedwabie i aksamity.

Szczerze mówiąc, nie mogę mieć im za złe tych pragnień splendoru, bo duma z ojczyzny jest wspaniałą rzeczą. Oni jednak

przypominali dzieci, które dopiero zaczynają rozumieć abstrakcyjne pojęcia. I, jak dzieci, nie zamierzali zadać sobie trudu tworzenia, tylko chcieli mieć wszystko od razu... nie myśląc o kosztach, jakie poniosą inni.

Przemówił mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni, szeroki w ramionach jak Selig, choć nie tak wysoki. Dopiero później dowiedziałam się, kto to taki: Kolbjorn z Manni, którego wojowie przodowali w zdobywaniu informacji na południu.

– Jak według ciebie mamy to osiągnąć, Seligu? – zapytał rzeczowo. – Wiem, że miasta-państwa Caerdicci mają się na baczności i podpisały traktaty, aby obronić się przed napaścią. Od Milazy po La Serenissimę ciągnie się łańcuch wież strażniczych i garnizonów, a od nich szybkie drogi prowadzą na południe. Tyberium już nie rządzi cesarstwem, ale wciąż może wezwać pod broń pięć tysięcy żołnierzy na jedno słowo posłańca.

– Zbyt szybko odkryliśmy karty przed Caerdicci – powiedział Selig chłodno. Wspomniałam opowieść Gonzago de Escabaresa o skaldyjskim królu Waldemarze, który poprosił o rękę córki księcia Milazy. Nie w pełni w nią wierzyłam, do teraz. Selig dostał nauczkę i stał się bardziej przebiegły. – Ale Caerdicci są urodzonymi politykami. Tylko pod tym względem zachowali cię chwały Tyberium. Kiedy ugruntujemy swoją pozycję, będą z nami pertraktować, a gdzie nie zdoła przeważać siła, tam przeważą spryt.

Miał rację, oczywiście; wszystkie przymierza w Caerdicci były oparte na wątych podstawach. Miasta-państwa potrafiły zjednoczyć się przeciwko wspólnemu wrogowi, ale gdy w grę wchodziło zyskanie przewagi politycznej... cóż, domyślałam się, że szybko zaczną się licytować, byle zapewnić sobie przychyłność nowego potężnego sąsiada.

W ten sposób pozostawała tylko Terre d'Ange, moja umiłowana ojczyzna.

– Gdzie zatem i jak mamy zyskać przewagę? – zapytał Kolbjorn ponuro. – D'Angelinowie trzymają przełęcz, nie zdołamy przedrzeć się wielką liczbą.

Widziałam, jak w tłumie przejęty Gunter przestępuje z nogi na nogę. Waldemar Selig wyciągnął list z za pasa i postukał weń dłonią.

– Król D'Angelinow jest słaby i umierający – oznajmił z satysfakcją – i nie ma następcy poza kobietą, która nawet nie jest zamężna. Oto pismo od d'Angelińskiego księcia Dajglamorta, którego ludzie nazywają Kilberhaarem. Chciałby zostać królem, z naszą pomocą. Czy wysłuchacie jego propozycji?

Krzyknęli na zgodę, a on powoli przeczytał list, tłumacząc z caerdicci, w którym był napisany, na skaldyjski. Nie powtórzę treści słowo w słowo, powiem tylko, że zmroziła mi krew w żyłach. To powinno wystarczyć za podsumowanie. Istota planu d'Aiglemorta była taka: Skaldowie przedrą się przez dwie południowe Wielkie Przełęcz, by zaangażować wojska królewskie w dolnym Kamlachu. Mniejszy oddział pod wodzą Waldemara Seliga przejdzie przez północną przełęcz, na pozór po to, żeby zetrzeć się z d'Aiglemortem i Sprzymierzeńcami z Kamlachu, którzy będą na nich czekać. Obie strony przystąpią do pertraktacji i uzgodnią warunki pokoju. Skaldowie wycofają się w zamian za korzystną umowę handlową, nadmorskie równiny na północ od Azalii i uznanie suwerenności Waldemara Seliga jako króla Skaldii.

Ceną pokoju dla Terre d'Ange będzie korona na głowie Izydora d'Aiglemort. Gdyby Ganelon de la Courcel nie zechciał abdykować z własnej woli, dopisał d'Aiglemort w post scriptum,

jego oddziały zaatakują królewskie wojska od tyłu i wezmą tron siłą.

Leżąc płasko na belce, płakałam ze strachu i ze zgrozy, że jakiś D'Angelin mógł w ten sposób zdradzić swój kraj. Płakałam też z wściekłości, wstrząśnięta głupotą tego planu. Pode mną Waldemar Selig złożył list i postukał nim w dłoń, uśmiechając się do swoich wojów.

– Ciekawa propozycja – powiedział. – Coś takiego ogromnie podniosłoby naszą wartość w oczach świata. Ja jednak mam lepszy pomysł! – Machnął listem w powietrzu. – Kilberhaar jest przebiegłym intrygantem i dzielnym wojownikiem, ale nie zna Skaldów, skoro myśli, że jesteśmy dość głupi, by zgodzić się na kawałek, kiedy do wzięcia jest całość! Jeśli się zgodzicie, odpowiem mu, że przystajemy na jego propozycje, niech dalej snuje swoje plany. Poślemy wojowników przez góry, żeby utwierdzić go w przekonaniu o naszej lojalności, zajmiemy wyznaczone ziemie, a potem wycofamy się i wciągniemy D'Angelinów na przełęcz, które może utrzymać garść ludzi. – Schował list za pas i poderwał ręce nad głowę. – A potem przejdziemy w wielkiej sile przez północną przełęcz i runiemy na Kilberhaara, który będzie myślał, że chcemy paktować. To my zaatakujemy tyły armii D'Angelinów i przyprzemy ich do gór, to my zwyciężymy!

Wszyscy zerwali się na nogi i ryczeli, aż sala się trzęsła. Ja drżałam, kurczowo trzymając się belki. Waldemar Selig czekał, aż się uspokoją.

– Co powiecie? – zapytał, gdy uciszyli się na tyle, że mógł słyszeć własny głos. – Czy mamy tak zrobić?

Nie musiał pytać; wszyscy go popierali. Mężczyźni krzyczeli i tupali, potrząsając mieczami. Tylko gdzieniegdzie widziałam

spokojniejsze twarze kobiet, które zaczęły myśleć o wojnie i liczbie poległych. Spostrzegłam z zadowoleniem, że była wśród nich Hedwiga. Nikt jednak nie wypowiedział się przeciwko planom Seliga. Wszyscy wojownicy gotowi byli wyruszyć choćby nazajutrz. Selig nie bez trudu zapanował nad ich entuzjazmem.

– Nie możemy ruszyć na wojnę zimą – powiedział rozsądnie, gdy wreszcie ochłonęli i zaczęli słuchać. – Czytałem książki. – Umilkł, dając im czas na przyswojenie tej informacji. Wywarł pożądane wrażenie; niewielu Skaldów widziało książkę, a większość znała tylko *futbark*, proste symbole wycinane w drewnie i ryte w kamieniu, nie będące w zasadzie językiem pisanym. – Czytałem książki o wielkich strategach Hellady i Tyberium. Wszyscy zgadzają się w jednym: wojsko maszeruje na swoich żołądkach. Jeśli chcemy utrzymać przełęcz, nie dokonamy tego w mrozie i o pustych brzuchach, z głodnymi wierzchowcami. Trzeba zaczekać do lata, kiedy jest dużo zwierzyny i zbliżają się żniwa, kiedy pastwiska są bujne i nie ma potrzeby rozpalać ognia w nocy. Niechaj wszyscy opuszczą Althing i przygotują się do tego wielkiego dnia. Niechaj kowale przystąpią do pracy w swoich kuźniach, żeby każdy mężczyzna był porządnie uzbrojony. Niechaj wszystkie kobiety sprawdzą domowe zapasy i zaplanują zaopatrzenie naszej kampanii. Czy chcecie, żeby tak było? Zagłosujmy.

Zdziwiłam się, że po tych wszystkich głośnych okrzykach poparcia chce przeprowadzać głosowanie, ale rzeczywiście to zrobił. Selig był bystry; niektórzy zwali go królem i sam chciał się tak nazwać, ale jeszcze nie nosił korony. Nie trzeba mówić, że nie padł ani jeden głos sprzeciwu.

– Jeśli chcecie swarzyć się między sobą – powiedział potem cicho – postawcie sobie za punkt honoru, żeby dzisiaj

rozstrzygnąć spory. Musimy ruszyć na wojnę jako bracia, tworząc wspaniałą armię. Nie dokonamy tego jako zwaśnione plemiona. Kto ma sprawę, którą chciałby przedstawić na Althingu? – Rozległy się pomruki; nie ulegało wątpliwości, że kłótni nie brakuje. Waldemar Selig omiół tłum spojrzeniem. – Ty, Mottulu z plemienia Vandalii? Podobno Harvard zabił syna twojej siostry. Czy go oskarżasz?

Te sprawy już mnie nie interesowały; czując zjeżone na karku włosy uznałam, że pora wracać. Zaczęłam przesuwając się po belce na łokciach i kolanach. Było to znacznie trudniejsze niż czołganie się do przodu, a na domiar złego spódnice ograniczały mi swobodę ruchów. Diament Melisandy kołysał mi się na szyi, uderzając w drewno; bałam się, że zdradzi mnie jego lśnienie. Minęła wieczność, nim w końcu znalazłam się bezpiecznie nad spiżarnią i zobaczyłam Joscelina, z niepokojem w oczach śledzącego moje postępy.

– Złaź! – syknął, wyciągając ramiona. Teraz, gdy już nie widziałam Skaldów, w pełni dotarło do mnie znaczenie tego, co słyszałam. Zadrżałam, zszokowana. Opuściłam się na wyciągniętych rękach. Joscelin chwycił mnie za kostki. – Puść się – szepnął. Wsunęłam się w jego ramiona, a on złapał mnie mocno w tali i ostrożnie postawił na beczce.

Staliśmy przez chwilę przytuleni. Drżałam w jego ramionach, przyciskając twarz do gorącego torsu. Gdyby ktoś powiedział mi przed rokiem, że moim jedynym pocieszycielem będzie brat kasjelita, wybuchłabym śmiechem. Odsunęłam się i popatrzyłam na niego.

– Chcą napaść na nasz kraj – wyszeptałam. – Chcą podbić Terre d'Ange, a ten przekłety d'Aiglemort otworzył im drogę. Joscelinie, czeka nas coś znacznie gorszego od pogranicznych najazdów.

Musimy coś wymyślić, żeby ostrzec króla.

– Wymyślimy – powiedział cicho, ale z taką niezłomnością, z jaką składał kasjelickie śluby. Niezwykle delikatnie ujął w dłonie moją twarz i muśnięciem palców strzepnął łzy z moich rzęs. – Przysięgam ci, Fedro, wydostanę nas stąd.

Ponieważ rozpaczliwie potrzebowałam takiego zapewnienia, uwierzyłam mu i jego słowa dodały mi sił. Głosy po drugiej stronie ściany zahuczały gromko i ścichły.

– Beczki – powiedziałam, i odsunęłam się od niego, żeby zejść z piramidy. Joscelin zeskoczył za mną i zdjął najwyższą beczkę. Pracowaliśmy razem, szybko i po cichu; on zestawiał beczki, a ja toczyłam je na dawne miejsce.

Niepotrzebnie się baliśmy; skończyliśmy pracę, a zgromadzenie wciąż trwało i nikt po nas nie przyszedł. Oddałam szary płaszcz Joscelinowi, który przysiadł na piętach i zajął się usuwaniem największego brudu. Ja w tym czasie ścierałam kurz z rękawów i spódnicy. Rzuciałam na niego ukradkowe spojrzenia, znajdując pociechę w wyniosłym d'Angelińskim pięknie, w szlachetnych rysach prowincjonalnego patrycjusza oraz w czystych, niebieskich oczach.

Nasze myśli musiały biec tym samym torem, bo po chwili popatrzył na mnie.

– Wiesz, kiedy zostałem przydzielony do twojej ochrony – powiedział cicho – myślałem, że spotkała mnie kara. Myślałem, że jesteś tylko drogą zabawką dla najgorszych potomków tych, którzy pobłądzili.

– Tak było – szepnęłam z goryczą. Dotknęłam diamentu Melisandy. – Wciąż jestem. W przeciwnym wypadku nie byłoby nas tutaj, a Delaunay i Alcuin cieszyliby się życiem.

Joscelin pokręcił głową.

– Skoro Melisanda opracowała jeden plan, mogła mieć też inne. Nie wątpię, że zdobyłaby informacje z innego źródła. Padło na ciebie, to wszystko.

– A ja pozwoliłam się wykorzystać. Waldemar Selig zrobi to samo. – Oparłam się o beczkę i zamknęłam oczy. – Eluo, wybacz mi, ale będę z tego rada. Choć strach trawi moje serce, na tysiące sposobów pokażę, jak rozwiązała i uległa może być d’Angelińska dziwka, i jeszcze mu podziękuję, kiedy ze mną skończy.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam pobladłego Joscelina; wciąż był na tyle kasjelitą, by moje słowa przyprawiły go o mdłości. A jednak jego głos zabrzmiał kategorycznie:

– Zrób to i żyj! A kiedy ten Skald wkroczy na ziemię D’Angelinów, wyjdę mu na spotkanie, wrzę w jego trzewia ćwierć metra stali i podziękuję za radość, jaką mi sprawił!

Roześmiałam się, nie wiadomo dlaczego; może dlatego że w naszej sytuacji takie pogróżki naprawdę brzmiały niedorzecznie. Nie umiem wyjaśnić swojej reakcji komuś, kto nigdy nie był jeńcem. Czasami tylko poczucie absurdu trzymało nas przy zdrowych zmysłach. Po chwili Joscelin też dostrzegł humorystyczny aspekt swojego wystąpienia i uśmiechnął się cierpko.

A potem zagrzechotał rygiel w drzwiach i do spiżarni weszli Biali Bracia. Althing dobiegł końca, Skaldowie mogli rozpocząć przygotowania do wojny.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Wieści błyskawicznie rozeszły się po obozach Skaldów i ogniska płonęły długo w noc, rzucając migoczącą pomarańczową łunę na okryte śniegiem zbocza. Ku dalekim gwiazdom niosły się gromkie śpiewy i nieustanny łoskot, gdy wojownicy tłukli włóczniami w tarcze.

Waldemar Selig nie dość, że pozwolił im świętować, to jeszcze otworzył drzwi swoich spiżarni. Karlowie wytaczali kolejne beczki miodu – do rana Joscelin i ja nie mielibyśmy na czym stanąć– i dźwigali je do odległych namiotów, uginając się pod ich ciężarem. Nie wątpiłam, że Selig z myślą o tym dniu już dawno przygotował zapasy.

W wielkiej sali świętowali przywódcy, których Selig uznał za kluczowych w swoich planach; roztropnie zaprosił również kobiety rządzące w osadach. Wśród wybrańców znalazł się Gunter, szczerzący zęby jak chłopiec. Wyróżnił się swoim darem w postaci d'Angelińskich niewolników, a poza tym liczyła się jego znajomość z Kilberhaarem – diukiem d'Aiglemort. Nie był wprawdzie jedynym skaldyjskim naczelnikiem napadającym na Terre d'Ange za złoto Kilberhaara, ale odnosił największe sukcesy.

Hedwiga też tam była, zarumieniona z podniecenia, choć dostrzegałam w jej oczach jakiś cień, ilekroć spoglądała w moją stronę. Byłam jej wdzięczna za życzliwość, nie mogłam jednak wybaczyć tego, że nie wypowiedziała się przeciwko napaści na moją ojczyznę.

Nie tajono wieści przed nami i Selig nie starał się temu przeszkadzać, przekonany, że nie znamy szczegółów jego planu. Co rusz spoglądał czujnie na Joscelina, który z obojętną, choć pobladłą twarzą stał za jego ramieniem. Biali Bracia nie spuszczaali oczu z mojego towarzysza i odniosłam wrażenie, że gotowi są go zabić za pierwszy podejrzany ruch.

Selig trzymał mnie przy sobie, jakbym była trofeum już odniesionego zwycięstwa. Zrobił wrażenie na Skaldach, niewątpliwie zgodnie ze swoimi zamierzeniami. W przeciwieństwie do Guntera nie był nachalnie zaborczy, ale na dziesiątki drobnych sposobów dawał do zrozumienia, że jestem jego własnością: gładził mnie po głowie jak ulubionego psa, karmił kąskami ze swojego talerza i tak dalej.

Znosiłam to, nie mając innego wyboru. Szczerze mówiąc, wolałabym wrócić w ramiona Guntera. Prymitywne zniewolenie jest lepsze od wyrachowanej dominacji, która nadwątlała moją wolę i przepełniała mnie strachem. Wciąż pamiętałam o planach napaści na moją ojczyznę. Przypuszczam, że Selig kazałby mnie zabić, gdyby odkrył, że je znam. Bawił go dreszczyk emocji spowodowany obecnością D'Angelinów; uzbrojony kasjelita za jego plecami był tego dowodem. Na tym właśnie wyrosła jego sława – na podejmowaniu osobistego ryzyka. Ale Selig był przywódcą, który myśli. Zrobiłby wszystko, żeby wyeliminować ryzyko zaprzepaszczenia swojego projektu.

Wyglądało na to, że uczta będzie trwać do białego rana. Zaczęłam się odprężyć, bo doszłam do przekonania, że Selig znów mnie odprawi pod opiekę służebnych.

Tym razem się pomyliłam.

Wstał po trzeciej wiązance pieśni, życzył dobrej nocy swoim ludziom i dodał, że mogą bawić się do woli.

– Przeprowadźcie ją do mojego pokoju – mruknął na odchodnym do dwóch Białych Braci, wskazując w moją stronę.

Strach zalał mnie jak woda tonącego.

Zostałam, nalewając miód z dzbana, jak przykazano mi wcześniej, ale niebawem Biali Bracia przyszli i chwycili mnie za rękę. Wojowie nie szczędzili sprośnych okrzyków pod moim adresem i tłukli kubkami w stoły, gdy wychodziłam z sali. W panującym harmiderze usłyszałam donośny głos Guntera, który recytował długą litanie moich umiejętności, żeby wzbudzić zazdrość i w ten sposób wynagrodzić sobie poniesioną stratę.

Jestem Fedra nó Delaunay, pomyślałam, urodzona w Dworze Nocy, wyszkolona przez największą kurtyzanę naszych czasów, poświęcona służbie Naamie. Nie poczołgam się do tego barbarzyńskiego króla jak niewolnica.

Dlatego wyszłam z sali z podniesioną głową, prowadzona przez dwóch strażników. Nie wiem, co Skaldowie widzieli na mojej twarzy, ale żarty cichły, kiedy ich mijałam.

Zaprowadzili mnie do Waldemara Seliga.

Jeden z Białych Braci zapukał do drzwi. Później się dowiedziałam, że mają umówione szyfry, i zachowałam w pamięci te, które miałam okazję usłyszeć. Selig otworzył drzwi.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Chyba izby podobnej do tej w osadzie Guntera, tylko większej. W istocie, była większa, lecz na tym kończyło się podobieństwo. W pokoju Waldemara Seliga był kominek i wielkie łożo z wezglowiem, na którym wyrzeźbiono scenę znaną mi z jednej z sag. Pod ścianami stały półki z książkami i zwojami. Na drewnianym stojaku wisiał stalowy napierśnik z hełmem, będący po części źródłem legendy, że Waldemara Seliga broń się nie ima. Większość skaldyjskich wojowników walczy bez zbroi; Selig zdobył swoją w ataku na

jakiegoś plemiennego wodza, który walczył na arenach Tyberium. Ścianę zdobiła duża, szczegółowa mapa, wyrysowana inkaustem na gładkiej skórze, przedstawiająca terytoria Skaldów oraz granice Caerdicca Unitas i Terre d'Ange. Biurko, sądząc z wyglądu często używane, było zarzucone mniejszymi mapami i korespondencją.

Wysoki, imponujący Waldemar Selig stał pośrodku pokoju i patrzył, jak się rozglądam. Na brzegu biurka dostrzegłam książkę, podniszczoną i posklejaną. Był to *Żywot Cinhila Ru* pióra Tullusa Sextusa.

– Jest dla mnie wielkim bohaterem – rzekł Selig cicho. – Mistrzem, który uczy, jak dowodzić ludźmi, nie sądzisz?

Odłożyłam książkę; drżała mi ręka.

– Zjednoczył swój lud, panie, żeby obronić kraj przed podbojem – odparłam cicho. – Tutaj nie widzę najeźdźców.

Moja śmiała odpowiedź trochę go zaskoczyła i rumieniec przyciemnił mu policzki. Nikt, pomyślałam, nie odszczekuje Waldemarowi Seligowi, a ja byłam ostatnią osobą, po której mógł się tego spodziewać. Jeśli jednak miałam coś, czym mogłam się chlubić, to była to umiejętność rozbudzania zainteresowania klientów. Przeczuwałam, że Selig ma dość służalczości.

– Znasz zatem caerdicci – powiedział, odchodząc od tematu. Stanął obok mnie i wskazał książki na półkach. – Czytałaś tę? To jedna z moich ulubionych. – Była to powieść Lavinii Celeres o wędrownym herosa Astinaksa. Gdy przytaknęłam, mruknął: – Wiesz, nie istnieją książki w języku skaldyjskim. Nie mamy nawet pisma.

– Istnieją. – Czułam się przy nim jak dziecko; nie sięgałam mu nawet do ramienia. – Jakieś czterdzieści lat temu Didymus Pontus z Uniwersytetu Tyberyjskiego w alfabecie caerdicci

zapisał dźwięki twojej mowy.

Popatrzył na mnie z wyżyn swojego wzrostu.

– Naprawdę? – zapytał, głęboko poruszony. – Muszę znaleźć jego prace. Gunter nie powiedział mi, Fejdra, że jesteś uczoną... a raczej wiedźmą. Zrozumienie czegoś więcej przerasta możliwości mojego ludu.

– Jestem niewolnicą, panie – szepnęłam. – Nikim więcej.

– Jesteś doskonale wyszkoloną niewolnicą. – Myślałam, że może doda coś więcej, ale on tylko przesunął palcem nad półką i zapytał: – Czytałaś to? To d'Angelińska książka.

Wskazywał przetłumaczone na ceardicci *Trois Milles Joies*. Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło. Czytałam to pod kierunkiem Cecylii, oczywiście. Był to jeden z wielkich tekstów erotycznych, obowiązkowa lektura wszystkich adeptów Dworu Nocy.

– Tak, panie.

– Aha. – Odetchnął głęboko, zdjął książkę z półki i pogładził okładkę. – Z niej nauczyłem się caerdicci – powiedział, a w jego oczach rozbłysło rozbawienie i pożądanie. – Moim nauczycielem był stary siwowłosa tyberyjski najemnik, który postanowił zwiedzić północne kraje. Zapłaciłem mu, żeby został tutaj i uczył mnie, kiedy miałem dziewiętnaście lat. Była to jego jedyna książka. Mówił, że dotrzymuje mu towarzystwa w zimowe noce. – Długimi palcami pogłaskał okładkę. – Drogo za nią zapłaciłem. I nigdy nie poznałem kobiety, która znałaby się na tych sprawach. – Odłożył książkę i uniósł mój podbródek. – Ty się znasz.

– Tak, panie – szepnęłam, bezradna i przepełniona nienawiścią. Wciąż nic nie robił, tylko badał moją twarz spojrzeniem.

– Gunter mówi, że bogowie dali ci dar, który sprawia, że obcowanie z każdym mężczyzną doprowadza cię do rozkoszy.

Znak tego daru widać w twoim lewym oku. To prawda?

Mogłabym go okłamać, ale zatliła się we mnie iskierka wyzwania.

– Wolą bogów zaznaję rozkoszy w cierpieniu – rzekłam cicho.
– To wszystko.

Z zaskakującą delikatnością musnął moją twarz, przeciągając czubkiem palca po dolnej wardze i patrząc uważnie, jak gwałtownie wciągam powietrze. Mój puls przyspieszył, gdy wzbierał we mnie nieuchronny przypływ pożądania.

– Ja jednak nie zadam ci bólu – powiedział łagodnie. – I zobaczysz, że będziesz zadowolona.

– Czyżby? – Zamknęłam oczy, starając się zapanować nad głosem. – Jestem wziętą w niewolę wolną obywatelką Terre d'Ange. Nie mów mi o cierpieniu.

– Będę mówić, co zechcę – powiedział rzeczowo, nie zamierzając mnie dotknąć. Taka była prawda. Puścił mnie, postukał w książkę leżącą na biurku. Otworzyłam oczy.– Chcę wiedzieć, co to znaczy być obsłużonym przez kogoś, kto został wyszkolony do sprawiania rozkoszy królom. Zacziesz od strony pierwszej.

Spuściłam głowę i uklęknęłam.

Tak to się zaczyna.

Rankiem Waldemar Selig miał zadowoloną minę. Po dworze rozeszły się plotki i co rusz słyszałam niewybredne żarty, na które nie zwracałam uwagi. Joscelin spojrział w moje podkrążone oczy i nie zadawał pytań, za co byłam mu wdzięczna.

Zadowoliliam go, to było pewne. W przeciwieństwie do Guntera, Waldemar Selig miał bardziej wyrafinowane wymagania, przynajmniej we własnym pojęciu. Co najmniej przez dziesięć lat zgłębiał wyszukane formy naszego stylu

uprawiania miłości. Pragnął wyrafinowania, o istnieniu którego Gunter nie mógł nawet marzyć.

Selig był kiedyś żonaty, o czym dowiedziałam się później. Porywczą, namiętą córką naczelnika Suevi pasowała do niego, jak się zdaje. Czytał jej głośno fragmenty *Trois Mille Joies* i razem eksperymentowali, ze śmiechem kotłując się w wielkim łożu. Niestety, szybko zaszła w ciążę, a dziecko niewłaściwie ułożyło się w jej łonie. Przeżyło tylko jeden dzień, a ona dostała gorączki i zmarła w połogu.

Kto wie, może gdyby żyła, Selig nie czułby potrzeby podbojów. Z moich obserwacji wynika, że osobiste szczęście ogranicza cierpienia zadawane innym. Chcę wierzyć, że mam rację.

Mimo przykrych następstw całonocnego pijaństwa Skaldowie już o świcie zaczęli zwijać obozy. Waldemar Selig jeździł tu i tam, zamieniając po parę słów ze wszystkimi wojami. Przyznaję, że wyglądał imponująco na gniadym rumaku, ze złotem opaski we włosach i drucikami w rozwidlonej brodzie. Wolny od skutków nieumiarkowania w picciu, sprawnie zajmował się tworzeniem sieci łączności, wybierając kurierów spośród najszybszych jeźdźców w każdej osadzie i każąc im zostać w obozie.

Nie otrzymałam zakazu opuszczania wielkiej sali, uznałam więc, że mogę pożegnać się z Hedwigą. Nie wiem, dlaczego chciałam to zrobić; wiem tylko, że spacer na świeżym powietrzu był lepszy od znoszenia pogardliwych spojrzeń służby Seliga. Nastrój panujący w obozowiskach wyraźnie różnił się od tego, jaki wyczuliśmy w dniu naszego przyjazdu. Mężczyźni, którzy wcześniej spoglądali na siebie z nieskrywaną nienawiścią, teraz jak bracia ściskali sobie ręce, przysięgając strzec się wzajemnie w bitwie. Selig dopiął swego, pomyślałam. Zdumiewało mnie, jak Izydor d'Aiglemort mógł być taki głupi. W głębi duszy jednak

znałam odpowiedź. Oceniając Seliga, popełnił ten sam błąd, jakiego królestwo dopuściło się w przypadku jego osoby. „Kamaelici myślą mieczami” – prychnął ktoś lekceważąco całe wieki temu, na przyjęciu u Cecylii Laveau-Perrin. Tak sądziliśmy, podczas gdy diuk d’Aiglemort spiskował i tworzył armię. Zastanowiłam się, czy powiedział to samo o Waldemarze Seligu. Może nie. Nigdy nie słyszałam, by D’Angelin posądział jakiegoś Skalda o posiadanie cnoty myślenia, z mieczem czy bez miecza.

Pogrążona w myślach, nie zwracałam uwagi na drogę i wpadłam na woja z Gambriwii, który akurat wychodził z namiotu. Mężczyzna pokazał w uśmiechu zepsute zęby i złapał mnie za rękę.

– Patrzcie, Selig daje nam poznać pierwszy smak zwycięstwa! Kto chce zabawić się jak król, chłopcy? Pierwsze szczęście dla mnie, a drugie dla reszty!

Stało się to szybko, w mgnieniu oka. W jednej chwili patrzyłam w jego Wyszczersoną gębę, nabierając tchu, by odpowiedzieć, a w następnej leżałam na śniegu, przyciśnięta za kark jego ręką. Podniosły się krzyki zachęty – i kilka ostrożnych protestów – gdy wbijał moją twarz w udeptany śnieg. Nawet wtedy nie wierzyłam, że to się dzieje naprawdę, dopóki nie zadarł spódnic, wystawiając na zimno moje nagie pośladki.

Jedno trzeba koniecznie zrozumieć: w Terre d’Ange gwałt jest nie tylko przestępstwem – jak we wszystkich cywilizowanych krajach, nawet wśród Skaldów, gdy chodzi o ich własne kobiety – lecz również herezją. Kochaj, jak wola twoja, powiedział nam Błogosławiony Elua; gwałt stanowi naruszenie tego świętego przykazania. Przyzwolenie zależało ode mnie, jako sługi Naamy, i żaden klient nie śmiał złamać świętości *signale*, choć byłam

także *anguisette*. Nawet Melisanda uszanowała prawa gildii. To, co zrobiła mi tamtej ostatniej nocy... skończyłaby, gdybym podała *signale*. Jestem o tym przekonana. Decyzja należała do mnie.

Gunter i Selig wzięli mnie wbrew mojej woli, nie dając mi możliwości wyboru, dlatego myślałam, że poznałam koszmar. Gdy ubity śnieg topił się i mroził mój policzek, a woj z Gambriwii ściągał spodnie, gdy wokół gromadzili się wrzeszczący Skaldowie, zrozumiałam, że poznałam tylko jego małą część.

Nagle ktoś ryknął i ręka woja oderwała się od mojej szyi. Podnosząc się i opuszczając spódnicę, zobaczyłam znajomą, brzydką twarz, która w tej chwili wydała mi się piękna. Knud złapał woja za kark i lewą ręką wymierzył mu dwa solidne ciosy w twarz.

Zaraz potem otoczyli go współplemieńcy niedosłego gwałciciela i całe braterstwo popadło w zapomnienie. Knud runął na ziemię, nie przestając walczyć. Zapominając o własnym strachu, chwyciłam pierwszą rzecz, jaka wpadła mi w rękę – garnek – i trzasnęłam najbliższego woja w tył głowy. Inny złapał mnie za ramiona i trzymał, ocierając się o mnie lubieżnie.

W zamęcie nikt nie zauważył przybycia Waldemara Seliga.

Siedział na wysokim rumaku i patrzył wściekle na bijatykę, już zaczerpując tchu, żeby położyć jej kres. Nie wiem, co chciał powiedzieć, bo zanim otworzył usta, Joscelin, który przybył z Białymi Braćmi, wykrzyknął moje imię i zeskoczył z konia.

Wyciągnął miecz.

Dwaj Gambriwii wyzionęli ducha, zanim ktokolwiek spostrzegł, co się święci. Ten, który mnie trzymał, odepchnął mnie z przekleństwem, dobył miecza i runął na Joscelina. Krew splamiła śnieg. Bijatyka błyskawicznie przekształciła się w walkę

na śmierć i życie, a Joscelin tańczył niczym szalony derwisz w smugach szarości i stali, gdy broń przeciwników krzesła iskry na jego mieczu i zarękawiach. Następny Skald poległ, zanim Waldemar Selig zdążył zsiąść z konia i z wyciągniętym mieczem przystąpić do działania. Patrzyłam, przyciskając ręce do ust.

Dotąd nie rozumiałam, dlaczego Skaldowie go wielbili. Teraz zobaczyłam. Nie miał kasjelickiej wprawy i gracji. Nie potrzebował. Waldemar Selig władał mieczem z taką swobodą i naturalnością, z jaką oddychał. Wojowie rozstąpili się przed nim, nie zaprzestając ataków na Joscelina.

– D’Angelinie, rozkazuję ci przestać! – krzyknął Selig dziko, z twarzą pobladłą z gniewu. Włócznia pomknęła w stronę kasjelity, który zrobił unik i zamierzył się do ciosu.

Nie wykonał go. Waldemar Selig jedną potężną ręką odepchnął woja z drogi i sparował cios, odbił na bok miecz Joscelina, przełamał jego obronę i uderzył go w skroń głowicą miecza.

Joscelin runął na kolana jak rażony gromem i jego zdrętwiałe palce puściły rękojeść. Klęczał, kołysząc się, wśród Skaldów wykrwawiających się cicho na białym śniegu. Parę kroków dalej Knud jęknął i chwiejnie podniósł się na nogi. Nikt się nie odzywał. Waldemar Selig popatrzył na Joscelina i z odrazą pokręcił głową.

– Zabić go – rozkazał Białym Braciom.

– Nie! – To był mój głos. Poznałam po brzmieniu. Rzuciłam się pomiędzy nich, uklękłam przed Seligiem, błagalnie złożyłam ręce. – Panie, proszę, daruj mu życie! On był tylko wierny ślubom, które przykazują mnie chronić, przysięgam. Zrobię wszystko, co tylko zechcesz, w zamian za jego życie!

– I tak to zrobisz – rzekł beznamiętnie.

Nie powiedziałam: “Nie, jeśli go zabijesz” – ale tak pomyślałam. Selig zobaczył te słowa wypisane na mojej twarzy. Strzała Kusziela czy nie, mogłabym to zrobić i zrobiłabym, jestem przekonana. My, dzieci Elui, jesteśmy tylko ludźmi. Jak Joscelin, który na przekór przysiędze dobył miecza, ja też zostałam doprowadzona do ostateczności.

Nie doszło do tego. Knud, błogosławiony Knud podszedł chwiejnie, pocierając guza na głowie. Czubkiem buta trącił martwego Gambrhdi, szczerzącego czarne zęby w okropnym grymasie. Spodnie miał rozpięte, blady i skurczony fallus leżał na jego udzie. Był to żaloszny widok.

– Przyłapałem go, panie, gdy próbował wleźć na tę dziewczynę – oznajmił bez ogródek. – I to prawda, chłopak przysiągł ją chronić. To jego ślub. Gunter używał ich w ten sposób, jedno do poskramiania drugiego.

Waldemar Selig popatrzył na nas, gdy klęczeliśmy, Joscelin na wpół przytomny, ja w błagalnej pozie.

– Czy ktoś się temu sprzeciwił? – zapytał zgromadzonych wojów. Dowódca osady Gambrhdi wystąpił i stanął przed nim na drżących nogach. – Nikt? Czy namawiałbyś do kradzieży mojego konia? Mojego miecza? Ta kobieta jest tak samo moją własnością, a nawet bardziej. – Złapał mnie za włosy i potrząsnął. Joscelin wymamrotał coś niezrozumiale na znak protestu, potem przewrócił się na bok. Selig puścił mnie. – Ponieważ błagałaś o łaskę i doznałaś krzywdy – rzekł formalnym tonem – oszczędzę chłopaka i każę tylko zakuć go w łańcuchy. Vigfusie... – przeniósł spojrzenie na naczelnika Gambriwii – wypłacę nawiązkę za śmierć twoich wojów. Jesteś zadowolony?

– Tak, panie. – Naczelnikowi dzwoniły zęby; niewątpliwie bał się, że Selig obciąży go odpowiedzialnością za ten incydent. – To

sprawiedliwe.

– To dobrze. – Selig rozejrzał się. – Zajmijcie się swoimi sprawami – wycedził zimno, a Skaldowie posłuchali go skwapliwie. Podniósł mnie na nogi. Mnie też dzwoniły zęby, z zimna i ogarniającego mnie szoku. – Gdzie miałaś być? – zapytał z wielką irytacją. – Na Odyna, co robiłaś w obozach?

– Panie... – Otuliłam się płaszczem, roztrzęsiona, bliska łez. Prawda była taka trywialna, że aż głupia. – Chciałam pożegnać się z mieszkańcami osady Guntera. Byli dla mnie mili, przynajmniej niektórzy.

– Powinnaś była mnie uprzedzić. Przydzielilibym ci eskortę. – Skinął na jednego z Białych Braci. – Zaprowadź ją do obozu Guntera.

– Ja to zrobię, panie – burknął Knud i wzruszył ramionami, gdy Selig uniósł brew. – Lubię tę dziewczynę. Gdy wieść się rozejdzie, nie powinno być więcej kłopotów.

Obecnie pożegnanie ze znajomymi było ostatnią rzeczą, jaką chciałam zrobić; martwiłam się o Joscelina, nieprzytomnego i oddychającego płytko na śniegu. Ale ocaliłam mu życie i nadal miał się nim cieszyć, jeśli tylko zdoła je zatrzymać. Poza tym bałam się naciskać mocniej na Seliga, żeby nie przeciągnąć struny.

– Dobrze. – Waldemar Selig zakończył sprawę i spieszno mu było w dalszą drogę. – Przyprowadź ją za godzinę. – Skinął na Białego Brata. – Zabierz go do kowala i każ zakuć w kajdany. To powinno zaoszczędzić mu kłopotów. – Spojrzenie jego zimnych orzechowych oczu przez chwilę spoczywało na mnie. – I tobie, jak myślę.

Uklękłam, pocałowałam go w rękę. Odtrącił mnie, dosiadł konia i odjechał ze swoimi wojami. Knud pomógł mi wstać i

spiesznie wyprowadził mnie z tego obozu. Obejrzałam się przez ramię i zobaczyłam, jak Biali Bracia podnoszą Joscelina na nogi. Zgiął się wpół i zwymiotował, a potem odszedł z nimi w stronę brzegu jeziora, gdzie płonęły ognie kuźni. Jeden z Braci zatknął za pas jego miecz, jak wojenne trofeum.

– Zrobiłaś dla niego wszystko, co mogłaś, dziewczyno – powiedział Knud życzliwie. – Będzie żył, jeśli Selig nie nadwerężył sobie ręki na jego czerepie. Ten chłopak jest twardszy niż się wydaje. Nikt inny nie przeżył w psiarni Guntera. Co nie znaczy, że byli jacyś inni – zaśmiał się, jakby powiedział przedni żart; może rzeczywiście tak było, ale ja tylko zalałam się łzami. Z szorstką czułością objął mnie i poklepał po plecach, patrząc znad mojej głowy na obserwujących nas Skaldów.

Kiedy nieco ochłonęłam, zaprowadził mnie do obozu Guntera, żebym mogła pożegnać się z jedynymi ludźmi, którym dobrze życzyłam w tym wrogim kraju.

CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Pożegnanie ze Skaldami z osady Guntera było krępujące nie tylko z powodu poprzedzającego je zdarzenia, lecz również z uwagi na fakt, że niedawno jednomyślnie wypowiedzieli wojnę mojemu ludowi. Nie mając innego wyboru, robiłam dobrą minę do złej gry. Harald Bezbrody – któremu rósł zarost, więc czekała go zmiana przydomka – miał pozostać w obozie jako najlepszy jeździec Guntera i uznałam, że nie zaszkodzi mi jeden głos poparcia.

Ściskaliśmy się i płakaliśmy, a w mojej duszy panował taki zamęt, że nie musiałam udawać smutku z powodu rozstania; miałam go w nadmiarze.

– Jeśli Gunter czwarty raz poprosi cię o rękę... – szepnęłam do Hedwigi – zgódź się. Naprawdę darzy cię uczuciem, mimo tej całej swojej bufonady, i pasujecie do siebie. I jeśli nauczył się paru sztuczek, które sprawiają przyjemność kobietom, to zapal świeczkę Frei w moim imieniu. – Poznałam trochę skaldyjski panteon i uznałam, że ta bogini jest najbardziej podobna do Naamy. Hedwiga pokiwała głową i pociągnęła nosem, zbierając się do odejścia.

A potem Knud odprowadził mnie do wielkiego dworu Seliga. Kulał trochę po biciu, jakie dostał, gdy stanął w mojej obronie. Pożegnał się ze mną, całując mnie w rękę, kiedy żaden z wojów Seliga nie patrzył. Ja nie musiałam zachowywać takiej ostrożności. Przyciągnęłam jego głowę i pocałowałam go w czoło, modląc się w duchu do Elui, żeby wyszedł bez szwanku z

nadchodzących bitew. Błogosławiony Elua zrozumie. Kochaj, jak wola twoja, pomyślałam, patrząc za Knudem, który z promiennym uśmiechem na brzydkiej twarzy spieszenie kuśtykał z powrotem do obozu. Jezua ben Josef, z którego krwi zrodził się Elua, kazał swoim wyznawcom kochać nawet wrogów; wtedy po części rozumiałam, o co mu chodziło.

Ale nie mogłam pokochać ich wszystkich.

Joscelina nigdzie nie było widać. Ośmieliłam się spytać o niego Waldemara Seliga, gdy wrócił wieczorem, zmęczony po trudach długiego dnia. Odparł krótko, że Joscelin jest bezpieczny, a ja nie miałam innego wyboru, jak uwierzyć mu na słowo.

Dopiero trzy dni później dowiedziałam się więcej. W ciągu tych trzech dni ostentacyjnie dano mi do zrozumienia, że nie jestem mile widziana w osadzie Seliga. Zawsze i wszędzie czułam na sobie wzrok wojów, obserwujących mnie z pożądaniem i lekceważeniem; kobiety okazywały mi jawną wzgardę, nawet w obecności Seliga. Tylko dzieci traktowały mnie jak swoją. Pamiętając sztuczkę, jaką posłużył się Alcuin, żeby pozyskać szkraby w Perrinwolde, uczesałam im włosy, wplatając w nie sznurki i kawałki futra. Dzieciaki piszcząły z radości – wszystkie dzieci lubią, gdy się im nadskakuje – ale kobiety szybko zniweczyły moje dzieło gwałtownymi, pełnymi złości ruchami, więc zaprzestałam dalszych starań.

Selig nie był nieświadom wrogości swoich ludzi, lecz nie rozumiał jej natury. Kiedy próbował załagodzić sprawę poprzez chwalenie mojego wyglądu albo gracji, z jaką nalewalam miód, oni widzieli tylko, że stawia mnie ponad nimi, i za to mnie nienawidzili.

W konsekwencji stale trzymał mnie blisko siebie, co jeszcze bardziej pogorszyło sytuację. Ucieszyłam się, gdy kazał mi

odtworzyć skaldyjski alfabet Didymusa Pontusa, bo dzięki temu mogłam przesiadywać w jego komnacie. Kiedy indziej mozoliłam się razem z nim nad mapami Terre d'Ange, nanosząc poprawki i omawiając ukształtowanie terenu. Nie wstydzę się przyznać, że kłamałam z taką pomysłowością i przekonaniem, na jakie było mnie stać, uznałam bowiem, że wprowadzam go w błąd w słusznej sprawie. Kiedy jednak zaczęliśmy lekcje d'Angelińskiego, nie próbowałam go zwodzić. Błędy w geografii, gdyby się o nich dowiedział, mógł złożyć na karb mojej niewiedzy, ale nic nie mogłoby usprawiedliwić nieznamomości ojczystego języka.

Noce wyglądały inaczej, gdy krok po kroku przerabialiśmy kolejne rozdziały *Trois Milles Joies*. Nie trzeba mówić, jakie usługi świadczyłam; ci, którzy są ciekawi, mogą znaleźć ich opis w tej książce. Jestem wykształcona we wszystkich rzeczach, których robienie jest stosowne dla kobiet, i w paru takich, które są uważane za niestosowne, przynajmniej według standardów Domu Cereusa. Robiliśmy wszystko z wyjątkiem tego, co jak sądzili skaldowie, nie przystoi mężczyźnie.

Czwartego dnia Waldemar Selig ze zmarszczonym czołem powiedział:

– Minęło kilka dni, a Żosslin Weraï nie chce jeść. Może powinnaś się z nim zobaczyć.

Serce mi zamarło; przeżyłam ten czas w przeświadczeniu, że jest bezpieczny i w dobrym zdrowiu, choć uwięziony. Pobiełam po futrzany płaszcz i poszłam z Seligiem do Joscelina.

Trzymali go w szopie spory kawałek drogi od wielkiej sali; była to drewnutnia, jak myślę. Przed drzwiami przysłoniętymi rozwieszoną skórą wartę pełnił jeden z Białych Braci, wyraźnie znudzony, rzucający nożem dla zabawy. Zerwał się na równe

nogi, kiedy podeszliśmy.

W brudnej szopie panował ziąb, którego nie mógł odeprzeć żar kilku węgielków tłących się w niewielkim żelaznym koszu. Na podłodze leżał siennik z derką, ale Joscelin klęczał na gołych deskach, skulony, drżący, ze skrzyżowanymi przedramionami. Ręce i nogi miał skute, a od okowów na kostkach do żelaznego pierścienia w podłodze biegł łańcuch. Był dość długi, by sięgnąć do siennika. Joscelin klęczał na deskach z własnej woli.

Wyglądał strasznie. Policzki miał wychudzone, oczy zapadnięte, usta spękane, włosy matowe. Podbiegłam i uklękłam przed nim, po czym spojrzałam na jego wymizerowaną twarz.

Pierwsze słowa, jakie przyszły mi na myśl, brzmiały następująco:

– Ty idioto! Co ty wyprawiasz?

Joscelin uniósł głowę, patrząc na mnie nabiegłymi krwią oczami.

– Złamałem przysięgę – wychrypiał. – Wyciągnąłem miecz po to, żeby zabić.

– Na Eluę! To wszystko? – Przysiadłam na piętach i przycisnęłam ręce do twarzy. Po chwili odwróciłam się do Seliga, który stał oparty o ścianę. – Żałuje swojego karygodnego zachowania – powiedziałam po skaldyjsku. – Odprawia pokutę.

Waldemar Selig ponuro pokiwał głową; to rozumiał.

– Każ mu żyć – przykazał. – Ja odpokutowałem, płacąc z nawiązką za życie ludzi, których zabił. Chciałbym, żeby nauczył mnie swojego stylu walki. – Urwał i po chwili powtórzył to samo w caerdicci.

Joscelin zaśmiał się. Przestraszyłam się, bo ten śmiech był dziki, na wpół obłąkańczy.

– Mój pan pokonał mnie – przemówił do Seliga w tym samym

języku. – Dlaczego miałbym uczyć go tego, co umiem?

– Nie spodziewałeś się, że będziesz walczyć ze mną. Dałeś mi słowo. Nie spodziewałeś się, że przełamie twoją obronę – powiedział Selig powoli i wyraźnie. – Gdyby nie to, mogłoby skończyć się inaczej.

– Nie mogę nauczyć go walczyć jak kasjelita – rzekł do mnie Joscelin w naszej mowie, kręcąc głową. – Zbyt wiele razy cię zawiodłem. Złamałem przysięgę. Lepiej będzie, gdy umrę!

Zerknęłam na Seliga, potem z wściekłością popatrzyłam na swojego towarzysza.

– Ile razy musisz się przekonać, że jesteś człowiekiem, a nie odrodzonym Kasjelem? Złożyłeś przysięgę mnie, a ja już nie potrzebowałam twoich usług! – Potrząsnęłam go za ramiona, cytując słowa Delaunaya. – Pamiętasz? Wytrwanie po sprawieniu zawodu jest próbą trudniejszą od wszystkich, z jakimi możesz spotkać się na placu ćwiczebnym. Nie wyrzekaj się swojego miecza, nie mogę sobie pozwolić na jego utratę.

Joscelin znów się roześmiał, rozpaczliwie, i po chwili zdusił śmiech, wzdychając.

– Nie mogę, Fedro, przysięgam ci, nie mogę! Nie mogę nawet zatrzymać miecza. – Popatrzył na Seliga, nie podnosząc się z klęczek. – Wybacz mi, panie – powiedział w caerdicci.– Nie jestem godzien żyć.

Sklełam go wtedy po d’Angelińsku, skaldyjsku i w caerdicci, i pchnęłam tak mocno, że upadł w grzechocie łańcuchów.

– Bodaj Elua też cię przeklął, kasjelito, jeśli nie stać cię na większą odwagę! – wrzasnęłam sama nie wiem w jakim języku. – Jeśli wyjdę stąd żywa, przysięgam, napiszę do prefekta twojego zakonu i powiadomię go, że kurtyzana z Dworu Nocy lepiej służyła Błogosławionemu Elui niż kasjelicki kapłan!

Nie mam pojęcia, co Selig myślał sobie o tej diatrybie; nie ośmieliłabym się na niego spojrzeć, nawet gdyby coś takiego przyszło mi do głowy.

Nie mając siły się podnieść, Joscelin ze zmrużonymi oczyma słuchał mojego kazania.

– Nie zrobisz tego! – zawołał gorączkowo, próbując się podźwignąć na kolana.

– Powstrzymaj mnie. – Wstałam i wycedziłam zimno: – Chronić i służyć, kasjelito!

Wiem, wygląda to tak, jakbym nie miała dla niego litości, ale to nieprawda. Wściekałam się, bo bałam się o niego, a poza tym niekiedy przekleństwa przynoszą lepszy skutek niż tkliwe słowa.

Pociągając łańcuchy, Joscelin zdołał uklęknąć i popatrzył na mnie ze łzami w zaczerwienionych oczach.

– To trudne, Fedro – powiedział przepraszającym tonem. – Eluo dopomóż, to takie trudne!

– Wiem – szepnęłam.

Selig wyszedł z chaty i powiedział coś do wartownika. Nie musiałam długo zgadywać, o co chodziło, bo parę minut później Biały Brat wrócił z drewnianą miską pełną rosółu. Selig skinął głową, każąc podać miskę Joscelinowi.

– Jedz – powiedział po d’Angelińsku. – Żyj.

Zostawiliśmy go, klęczącego z miską w drżących rękach. Obejrzałam się w progu, gdy Selig odsuwał skórę w drzwiach. Joscelin podnosił miskę do ust.

Będzie żyć, pomyślałam z ulgą. Jego decyzja sprawiła, że miałam jeden powód mniej, by pragnąć śmierci.

Odtąd Joscelin nie odmawiał stawy i nabierał sił, choć miał paskudne rany na rękach, gdzie okowy otarły skórę. Rany

swędziały i bolały go niemiłosiernie, ale okazały się doskonałym pretekstem do odłożenia lekcji kasjelickiej szermierki. Waldemar Selig sporo zainwestował, żeby utrzymać przy życiu utemperowanego d'Angelińskiego wojownika-kapłana, dlatego pozwolił mi odwiedzać go raz dziennie. Wyszedł ze słusznego założenia, że skoro Joscelin postanowił żyć, moje wizyty utwierdzą go w tym postanowieniu. Miał jego przysięgę.

Widzenia z Joscelinem były jedyną rzeczą, której codziennie wypatrywałam z utęsknieniem. Selig miał na głowie ważniejsze sprawy, dlatego przydzielił mi eskortę w osobie Białego Brata. Dobrze, że Joscelin nie zdradził się ze swoją znajomością podstaw skaldyjskiego, bo dzięki temu bez wzbudzania podejrzeń mogliśmy rozmawiać w ojczystym języku. Szybko osądziłam, że w przeciwieństwie do Seliga jego wojowie ani w ząb nie rozumieją tej mowy.

Nasze rozmowy często dotyczyły ucieczki, ale na nieszczęście niewiele mogliśmy zrobić. Osada po prostu była zbyt dobrze strzeżona. Mimo to rozmawialiśmy o przetrwaniu i wzajemnie podnosiliśmy się na duchu.

Selig nie odznaczał się pobłażliwością, kiedy podejrzewał, że ktoś gra na zwłokę. Zniecierpliwiony czekaniem na zagojenie się ran na rękach Joscelina, posłał po kapłana Odyna, będącego również uzdrowicielem.

– Szczerze mówiąc, jestem ciekaw zdania Lodura na twój temat – wyznał mi w nocy. – Jest moim najstarszym nauczycielem i wielce szanuję jego wiedzę.

Powinnam dodać, że w tym czasie mieszkańcy osady byli coraz bardziej zaniepokojeni patronatem, jaki roztaczał nade mną Selig. Generalnie uważali mnie za wiedźmę – bo przecież tylko wiedźma mogła mieć czerwoną plamkę w oku – przysłaną z

Terre d'Ange, żeby rzucić na niego zły urok.

Selig wyśmiał te bajdy.

– Matka Lodura też była wiedźmą, tak powiadają. Podobno umiała uleczyć człowieka z każdej rany, nawet śmiertelnej, jeśli mu sprzyjała. Prawda jest taka, że była zdolną uzdrowicielką. Utalentowaną, tak jak ty w... w swoim rzemiośle.

Nie wiem, co powiedziałam; z pewnością coś pochlebnego, możecie być pewni. Czasami zaprawiałam swoje słowa szczyptą bezczelności, ale zasadniczo mówiłam mu to, co pragnął usłyszeć.

W końcu stanęło na tym, że pojechałam z nim i z dwoma Białymi Braćmi do domu Lodura Jednookiego. Dosiadałam kudłatego kuca, którego Selig dał mi na własność.

Uzdrowiciel, żyłasty starzec, stał na śniegu w futrzanym serdaku, który nie zasłaniał chudego, nagiego torsu. Włosy miał białe i potargane. W jednej ręce trzymał rzeźbiony kostur, a na drugiej kruka. Zobaczyłam z daleka, że przemawiał do ptaka, który uciekł, gdy się zbliżyliśmy. W owej chwili uznałam tę zażyłość z ptakiem za skaldyjską magię. Później dowiedziałam się, że Lodur nastawił mu złamane skrzydło i że kruk był na wpół oswojony. Lodur uniósł głowę, ani trochę nie zdziwiony naszym przybyciem. Nosił łatkę na prawym oku; wtedy jeszcze nie wiedziałam, że nazywa się Jednooki.

– Waldemar Berundson – rzekł cicho, używając patronimiku, którego wcześniej nie słyszałam. Seligiem go nazywali, Błogosławionym, jak gdyby pochodził od bogów.

– To Fejdra nó Delaunay z Terre d'Ange, mistrzu – powiedział Selig. Zsiadł z konia i z szacunkiem schylił głowę przed starcem. Podobnie postąpili wojowie, więc i ja zrobiłam to samo. – Jej towarzysz ma rany od zimna, które nie chcą się zagoić.

– W istocie. – Lodur podszedł do nas zwawym krokiem, który zadawał kłam jego wiekowi. Jego jasnoniebieskie oko spoglądało na mnie całkiem przyjaźnie. W przeciwieństwie do innych Skaldów nie nosił brody i tylko siwa szczecina porastała jego ogorzałą twarz. – Podoba ci się, prawda? – Spostrzegł, że mu się przyglądam, i z uśmiechem pogładził szczękę. – Kiedyś spotkałem dziewczynę, która lubiła gładkie lico. Potem nawyk wszedł mi w krew.

Wydukałam coś w odpowiedzi. Znałam wielu kapłanów, żaden jednak nie był podobny do niego.

– Mniejsza z tym – powiedział lekkim tonem i obmacał mnie sękatymi rękami. Stałam spokojnie, zdumiona jego zachowaniem. Selig jak się zdaje nie miał nic przeciwko. – D’Angelina, prawda? – Lodur przeszył mnie niebieskim jak lód spojrzeniem, z zadumą patrząc mi w oczy. – Jak to nazywają? – Wskazał na lewe.

– Strzała Kusziela – odparłam cicho.

– Jesteś naznaczona przez bogów. Jak ja, nie sądzisz? – Roześmiał się, wskazując łatkę na oku. – Zwą mnie Jednookim, jak Wszechojca. Znasz tę historię?

Znałam; słyszałam ją dość często w osadzie Guntera. Mogłabym nawet ją odśpiewać.

– Odyn oddał oko w zamian za możliwość napicia się ze źródła Mimira – powiedziałam. – Ze źródła mądrości.

Lodur klasnął w ręce, przytrzymując kostur pod pachą. Wojowie Seliga zamruczeli.

– Ja zaś, kiedy byłem głupim uczniem, sam wyjąłem sobie oko i złożyłem je w ofierze – powiedział stary kapłan konwersacyjnym tonem. – Sądziłem, że w ten sposób dorównani mądrością Odynowi. Wiesz, jak skwitował to mój nauczyciel? – Pokręciłam

głową. – Rzekł, że zdobyłem cenną wiedzę: nikt nie może przekupić bogów. Ależ był ze mnie idiota! – Zachichotał na to wspomnienie. Tylko Skald umie się śmiać z czegoś takiego. – A jednak zmądrzałem – dodał.

– Mistrzu... – zaczął Selig.

– Wiem, wiem – przerwał mu Lodur. – Odmrożenia. Poza tym chcesz wiedzieć, co myślę o dziewczynie. Co mogę ci rzec, Waldemarze Berundsonie? Przygarnąłeś broń wystrzeloną przez d’Angelińskiego boga i mnie pytasz o radę? Każ niemowie doradzać głuchemu. Zabiorę worek z lekami.

Selig patrzył na mnie ze ściągniętymi brwiami. Byłam równie zdumiona jak on i nie próbowałam tego ukryć. Od początku uważałam się za ofiarę Kusziela, skazaną na doświadczanie dwoistej natury jego miłości. Stwierdzenie, że mogę być jego bronią, było dla mnie nowością.

Sędziwy kapłan przyniósł swoje lekarstwa i wsiadł na konia za Seligiem, zwinny jak chłopak. Pojechaliśmy do osady przez malownicze lasy. Lodur mruczał do siebie i śpiewał urywki piosenek, a poza nim nikt się nie odzywał. Selig spochmurniał, pogrążony w myślach.

Przed wejściem do szopy Lodur trzy razy postukał kosturem w próg i wykrzyknął głośno jakieś zaklęcie. Wniósł do brudnego wnętrza czysty zapach śniegu i sosnowych igieł. Joscelin, pogrążony w kasjelickich medytacjach, popatrzył na niego jak na ducha.

– Wygląda jak młody Baldur – powiedział uzdrowiciel do Seliga, mając na myśli boga zwanego Pięknym. – Pokaż mi to, chłopcze. – Kucnął obok Joscelina, żeby obejrzeć opuchnięte, zaczerwienione dłonie i nadgarstki. Skóra pękała, rany nie chciały się zagoić i ciekł z nich przezroczysty płyn. – Akurat mam

matczyne lekarstwo na coś takiego! – Kapłan zaśmiał się, sięgając po worek. Wyjął gliniany dzbanek z jakimś smarowidłem. Nie wiem, co to było, ale cuchnęło po same niebo. Joscelin skrzywił się i popatrzył na mnie pytająco nad głową Lodura, który już smarował rany.

– On jest uzdrowicielem – powiedziałam w caerdicci, mając na względzie Seliga; nadal udawaliśmy, że skaldyjski Joscelina nie nadaje się do prowadzenia rozmowy. – Wielmożny Selig życzy sobie, żebyś wyzdrowiał i zaczął go uczyć swojego sposobu walki.

Joscelin skłonił głowę przed Seligiem.

– Ja też tego pragnę, panie. – Po chwili dodał: – Żeby nauczyć cię kasjelickiego stylu, potrzebuję broni albo przynajmniej zarękwali. Drewniane sztylety i miecz wystarczą.

– Skaldowie nie ćwiczą z drewnianymi zabawkami. Poślę twoją broń do kowala, żeby ją skopiował. Będiesz miał wszystko, co trzeba, kiedy zaczniemy. – Selig łypnął znacząco na jednego z Białych Braci, który przywłaszczył sobie broń Joscelina. Woj spochmurniał na myśl o rozstaniu z łupem. – Skończyłeś, mistrzu?

– Tak, prawie. – Lodur wprawnie owijał czystym płótnem posmarowane ręce Joscelina. – Niebawem wydobrzeje. W żyłach D’Angelinów płynie krew bogów. Jest stara i rozcieńczona, ale nawet najrzadsza ma potężną moc, Waldemarze Berundsonie.

Nawet gdybym ja nie doszukała się w tych słowach ostrzeżenia, to kto jak kto, ale Selig musiał je dostrzec.

– Tak, stara i potężna... i zepsuta przez wieki życia w zbytkach. Ich bogowie chylą głowy przed Wszechojcem, a my upomnimy się o magię ich krwi dla naszych potomków, wzbogacając ją skaldyjskim wigorem.

Starzec popatrzył na niego, jego jedyne oko było chłodne i

obojętne jak wilcze ślepie.

– Oby tak było, młody Waldemarze. Ja jestem za stary, żeby porywać się na bogów.

Ciarki przebiegły mi po krzyżu. Ten starzec naprawdę miał moc, wiedziałam to na pewno. Czułam ją w tej chacie, mrowiącą mi skórę, szepczącą w głębi ziemi i w strzelistych jodłach, moc żelaza i krwi, moc lisa, wilka i kruka. Lodur podniósł się, życzliwie poklepał Joscelina po ramieniu i zebrał swoje rzeczy.

Po wyjściu z chaty nie chciał, by ktokolwiek odwoził go do leśnego domu; powiedział, że przechadzka dobrze mu robi. Ja, jak zawsze trzęsąca się z zimna, mogłam go tylko podziwiać. Wydawało się, że jego goła skóra jest naprawdę odporna na mróz. Selig rozmawiał o czymś z Białymi Braćmi, skorzystałam więc z okazji i podeszłam do Lodura, gdy zbierał się do odejścia.

– Co rozumiesz przez słowo “broń”? – zapytałam.

Nie dodałam ani słowa więcej, on jednak wiedział, o co mi chodzi. Popatrzył na mnie, stojąc po kostki w śniegu.

– Kto zna zamysły bogów? Baldur Piękny został zabity gałązką jemioli, ciśniętą przez nieznaną rękę. Czy ty jesteś mniej prawdopodobną bronią?

Nie miałam na to odpowiedzi. Starzec roześmiał się.

– A jednak, gdybym był młodym Waldemarem, też bym zaryzykował – dodał z szelmowskim uśmiechem. – I gdybym był trochę młodszy, poprosiłbym cię o całusa.

Możecie nie wierzyć, ale się zarumieniłam. Lodur zachichotał i z kosturem w dłoni ruszył przez śnieg, żwawym krokiem wracając tam, skąd przybył. Nigdy nie spotkałam dziwniejszego człowieka. Żałowałam, że już więcej go nie zobaczę.

Słowa Lodura wzmogły podejrzliwość Waldemara Seliga. Stało się to jasne tej nocy w łóżku, gdy nie kazał mi się zaspokoić, tylko

patrzył na mnie, wodząc palcem po liniach mojej marki.

– Może jest magia runiczna w tych znakach, Fejdra – zagadnął ze zwodniczą łagodnością. – Jak myślisz?

– To moja marka, która mówi, że jestem oddana Naamie. Wszyscy jej słudzy noszą takie znaki i nie ma w nich żadnej magii. Ich ukończenie zwiastuje wolność, panie – odparłam cicho, klęcząc przed nim.

– Tak... – Położył rękę na moich plecach, pokrywając rozcapierzonymi palcami sporą część marki. – Mówisz, że zostałam sprzedana w niewolę, bo wiedziałam zbyt wiele. Ja po prostu zabiłbym cię. Dlaczego żyjesz?

Usłyszałam głos Melisandy, chłodny i daleki. “Nie martw się, moja droga, nie zabiję cię, tak jak nie zniszczyłabym bezcennego fresku czy wazy”.

– Panie, jestem jedyna w swoim rodzaju – szepnęłam. – Czy zabiłbyś wilka o srebrnym futrze, gdyby wszedł do twojej osady?

Po chwili namysłu odsunął się ode mnie, kręcąc głową.

– Nie wiem. Może sam Odyn przywiódłby go pod ostrze mojej włóczni. Nie pojmuję, czym jesteś.

To prawda, na szczęście dla mnie. Nawet on, najbardziej wyrafinowany spośród Skaldów, rozumiał rozkosz w jej prostszych kategoriach. To niezbyt wiele, ale i tak byłam rada.

– Jestem twoją sługą, panie – powiedziałam, skłaniając głowę. To wystarczyło. Wyciągnął ręce i przeganiał palcami moje włosy, przyciągając mnie do siebie.

PIĘĆDZIESIĄT

Zgodnie z przewidywaniami Lodura Joscelin szybko wyzdrowiał. Selig kazał przynieść jego broń i zaczął się uczyć kasjelickiego stylu walki.

Niewiele uwagi poświęcałam ćwiczeniom Joscelina z Alcuinem w ogrodzie. Teraz przyglądałam się uważniej. Podstawę stanowiły ruchy, jakie Joscelin wykonywał w czasie swoich porannych rytuałów. Zrozumiałam, że każdy z nich miał swój cel. Niezależnie od poetyckich nazw, jakimi opatrywał je kasjelita, wszystkie były pchnięciami i fintami, gardami i paradami, mającymi na celu uprzedzenie oraz odpieranie ciosów przeciwnika – albo wielu przeciwników.

Członkowie Bractwa Kasjelitów rozpoczynają szkolenie w wieku dziesięciu lat, kiedy wstępują do zakonu. Dzień po dniu przez długie lata ćwiczą wyłącznie zestawy ruchów, które zakorzeniają się w nich tak głęboko, że potrafią wykonywać je w obie strony, na jawie i we śnie. Nawet wtedy powtarzają je co rano, żeby wyryta w kościach pamięć nie zaczęła płowieć.

Kiedy Joscelin powiedział, że nie może nauczyć Seliga kasjelickiego sposobu walki, uznałam, iż zabraniają mu tego przysięgi; przyglądając się ich ćwiczeniom, zrozumiałam, że to po prostu niemożliwe. Z Alcuinem kasjelita miał przednią zabawę, a poza tym nie musiał niczego go oduczać. Waldemar Selig, uznany mistrz Skaldów, zamierzał poszerzyć swoje umiejętności. Ale nauki Joscelina stały w sprzeczności z prostą, brutalną skutecznością, z którą Selig się urodził i którą

doprowadził do perfekcji. Kiedy ręce i nogi plątały mu się jak niezdarnemu wyrostkowi, okazywał zniecierpliwienie i niezadowolenie.

Lekcje dobiegły końca. Broń Joscelina została zamknięta w szafie, kajdany wróciły na stałe.

A podejrzliwość Seliga wzrosła.

Przybył do niego Kolbjorn z Manni, przynosząc wieści z południa. Dowiedziałam się, że blisko granicy z Caerdicca Unitas Skaldowie żyją prawie jak tyberyjscy arystokraci we wspaniałych domach i mają rozległe włości, w których pracują niewolnicy. Caerdicci uważają ich niemal za cywilizowanych, handlując z nimi i korespondując. Stamtąd właśnie przyjechał Kolbjorn, przynosząc list Seligowi.

Wiedziałam, jak stać się niewidzialną nawet w tłocznej sali. Uklękałam w kącie i zastygłam w bezruchu. Selig przypuszczał, że pracuję nad jakimś nowym tłumaczeniem, i nie zwracał na mnie uwagi; biorąc z niego przykład, inni mnie ignorowali. Znajdowałam się zbyt daleko, żeby cokolwiek przeczytać, ale widziałam jego twarz, gdy złamał pieczęć i otworzył list. Wyrażała ulgę.

– Kilberhaar niczego nie podejrzewa! – zawołał, poklepując Kolbjorna po plecach. – Chwyci przynętę i rozmieści swoje wojska tak, jak uzgodniliśmy. To dobre wieści!

Nie słyszałam cichej odpowiedzi Kolbjorna z Manni. Zobaczyłam za to list leżący na stole i złoty wosk złamanej pieczęci. Złamana czy nie, poznałam ją, nawet z daleka. Trzy splecione klucze, niemal ginące w plątaninie linii; godło Kusziela, klucznika bram piekielnych.

Herb rodu Szachrizaj.

Oczywiście, pomyślałam w udręce. Oczywiście, Melisanda

Szachrizaj okazała się dostatecznie mądra, żeby doprowadzić do upadku rodzinę Trevalion; była zbyt mądra, by upaść wraz z rodem d'Aiglemort. Grała na dwie strony i miała opowiedzieć się po stronie zwycięzcy. Ścisnęłam diament wiszący na mojej szyi tak mocno, że krawędzie odcisnęły się na wewnętrznej stronie mojej dłoni. Nawet tutaj byłam w jej zasięgu.

Jak przez gęstą mgłę usłyszałam, że Selig zaprasza Kolbjorna na jutrzejsze łowy. Skaldowie wielką wagę przywiązują do gościnności, a Kolbjorn był ważnym sprzymierzeńcem; polowanie i późniejszą ucztę zarządzono na jego cześć.

Wtedy w mojej głowie skryzalizował się plan.

Wycofałam się bezgłośnie, ale wróciłam jawnie, podeszłam do Seliga i uklęknęłam. Gdy skinął głową, poprosiłam go o przyzwolenie na odwiedzin u Joscelina. Zgodził się z roztargnieniem, przydzielając mi jednego z Białych Braci. W drodze do szopy bacznie przyglądałam się rozkładowi osady i obozu, zastanawiając się gorączkowo. Może się udać. Jeśli na polowanie pojedzie wielu wojów. Jeśli Joscelin zechce współpracować.

Była to kwestia sporna.

Weszłam do drewnutni z Białym Bratem za plecami. Joscelin ćwiczył, na ile pozwalały mu kajdany, podnosząc się na rękach. Niewiele więcej mógł tutaj robić, poza medytowaniem. Gdy weszliśmy, z grzechotem łańcuchów wstał z podłogi. Biały Brat pobieżnie zlustrował pomieszczenie i wyszedł, by czekać przed drzwiami. Wolał świeże, choć lodowate powietrze od panującego w szopie dusznego chłodu.

– Patrz – powiedział Joscelin, trącając żelazny pierścień osadzony w deskach podłogi. Trzpień zakołysał się, wyraźnie obluzowany. Ucieszyłam się, bo oznaczało to jedną przeszkodę

mniej. – Co się dzieje? – zapytał. – Słyszałem poruszenie w obozie.

– Przybył Kolbjorn z Manni. Joscelinie, przywiózł list, który trafił na ziemie Skaldów przez Caerdicca Unitas. Widziałam pieczęć. To list od Melisandy.

Milczał, próbując ogarnąć ogrom jej zdrady. Wiedziała, że jest wstrząśnięty.

– Co w nim było? – zapytał w końcu. Pokręciłam głową.

– Nie miałam okazji przeczytać. Ale wiem, że napisała, iż d’Aiglemort niczego nie podejrzewa.

– Myślisz, że to prawda?

Nie zastanawiałam się nad tym, byłam zbyt oszołomiona, żeby podawać w wątpliwość zasłyszane słowa. Teraz, dopuszczając taką ewentualność, klepnęłam się w czoło.

– Nie wiem. Może planuje wydać Seliga w ręce d’Aiglemorta. To możliwe. – Popatrzyliśmy na siebie. – Albo liczy na upadek Korony i własne korzyści. Joscelinie, czy mógłbyś zabić człowieka gołymi rękami? – zapytałam cicho.

Zbladł.

– Dlaczego pytasz?

Przedstawiłam mu swój plan.

Kiedy skończyłam, zaczął krążyć po chacie, wlokąc za sobą łańcuchy. Niemal widziałam na jego twarzy myśli, które kłębiły się w głowie.

– Prosisz mnie o złamanie przysięgi – rzekł, nie patrząc na mnie. – Zaatakować bez sprowokowania, żeby zabić... to wbrew wszelkim zasadom, jakich przysiągłem przestrzegać. Fedro, prosisz mnie o... popełnienie morderstwa.

– Wiem. – Mogłam powiedzieć wiele rzeczy. Mogłam dowodzić, że oboje powoli umieramy, on w łańcuchach, ja w łożu

Waldemara Seliga. Mogłam przekonywać, że jesteśmy na wojnie, uwięzieni za linią frontu, gdzie powszechnie przyjęte zasady przyzwoitości przestają obowiązywać. Mogłam powiedzieć mu to wszystko, lecz tego nie zrobiłam. Joscelin wiedział o tym równie dobrze jak ja.

Żadne słowa nie mogły zmienić faktu, że to będzie morderstwo. Po długiej chwili popatrzył na mnie.

– Zrobię, o co prosisz – wyszeptał. Nasz plan został przypieczętowany.

Przez cały dzień byłam niespokojna, serce waliło mi w piersi, żołądek podchodził do gardła. Skrywałam mdlący strach za uśmiechem i uprzejmościami, posłusznie wykonując rozkazy Seliga, ani na chwilę nie zdejmując maski uległości. Musiałam dobrze się sprawić, bo mój skaldyjski pan wpadł w dobry humor i wyzbył się podejrzeń, komplementując mnie w obecności Kolbjorna. Jego wojowie i Biali Bracia nawet nie mrugnęli okiem. Wszyscy byli radzi, że nazajutrz Selig będzie się oddawać skaldyjskim rozrywkom, a nie d'Angelińskiej rozpuście.

Wziął mnie tej nocy. Traf chciał, że akurat przerabialiśmy rozdział zatytułowany *Jeleń w rui*, co Selig uznał za dobry omen, bo mieli polować na jelenie. Drżałam pod nim, wsparta na rękach i kolanach, wpatrując się w rzeźbione wezglowie. Pogardzałam nim, gdy wbijał się we mnie z odrzuconą głową, mocno zaciskając ręce na moich ramionach. Ciesz się, mój panie, pomyślałam, bo to ostatni raz.

Później zasnął, ja zaś leżałam z szeroko otwartymi oczami, patrząc w ciemność. Nikły pomarańczowy blask gasnących węgli pełgał po pokoju, zapalając błyski na metalu. Patrzyłam na najbliższą jasną plamę, zajęta obmyślaniem tysięcy szczegółów, nie zdając sobie sprawy, na co patrzę, dopóki kształt nie wyłonił

się z ciemności i nie nabrał sensu.

Był to sztylet. Selig położył go na stoliku przy łóżku, kiedy się rozbierał.

Oczywiście, pomyślałam z ogromną ulgą. Oczywiście, jest inny sposób. Cena była wysoka, ale wynik... och, wynik był pewny! Przekręciłam głowę i popatrzyłam na śpiącego Seliga, na twarz widoczną w nikłym świetle. Była spokojna, jakby żadne złe myśli nie zakłócały jego snów. Oddychał głęboko, potężna pierś wznosiła się i opadała w powolnym, regularnym rytmie. Tam, pomyślałam, gdy moje oczy przywykły do ciemności. Tam, w zagłębieniu u podstawy szyi, widoczne pomiędzy szpicami rozwidlonej brody. Tam wbić czubek i przekręcić ostrze. Nie znałam się na broni, ale to powinno wystarczyć.

Musiałam tylko sięgnąć po sztylet.

Przesunęłam się ostrożnie, wyciągając rękę nad śpiącym.

Łóżko zaskrzypiało i ręka zamknęła się na moim nadgarstku. Spojrzałam w dół, zobaczyłam otwarte i przytomne oczy. To nie był Gunter, śpiący jak zabity niezależnie od hałasów i niepokojów... Zwali go Waldemarem Seligiem, Błogosławionym, odpornym na stal. Zrobiłam wtedy to, co musiałam. Niemal zostałam przyłapana na próbie zabójstwa króla Skaldów. Mrucząc na znak protestu, opuściłam rękę, żeby go objąć i położyłam mu głowę na ramieniu.

Sprawiła mu przyjemność myśl, że w końcu okazałam czułość. Zaśmiał się sennie – śmiech zadudnił mi w uchu jak łoskot bębna – i pozwolił przytulić się do siebie. Jego oddech szybko wrócił do spokojnego rytmu snu. Ja przez długi czas nie mogłam zasnąć, choć starałam się rozluźnić, aby przepędzić sztywność wywołaną przerażeniem. Wreszcie, wyczerpana przez strach, zapadłam w niespokojny sen.

Gdy wstał jasny, rześki ranek, w wielkiej sali zapanowała krzątanina i przygotowania do łowów. Chodziłam odrętwiała, czując się tak, jakbym trafiła do jakiegoś dziwnego teatru. Podsycona w czasie snu groza powróciła; koszmar tego, co niemal stało się w nocy, zlał się ze strachem przed tym, co miało nastąpić. Skaldowie szykowali się na polowanie, kobiety pracowały, konie były kopytami na mrozie; wspomnienie tego dnia miesza się w mojej pamięci z porankiem wyjazdu ludzi Guntera na łupieżczą wyprawę, z której powrócili ze śpiewem o zabitych D'Angelinach. Harald Bezbrody muskał palcami świeży zarost na szczęce i mrugał do mnie radośnie, nieświadom, że jestem w niełasce u ludzi Seliga. Tylko ujadanie psów stanowiło odmianę – oraz to, że Biali Bracia ciągnęli słomki, żeby wylosować tego, który będzie mnie pilnować. Takie były rozkazy Seliga. Woj Trygve wyciągnął krótszą słomkę i zaczął narzekać, zasypywany niewybrednymi żartami kamratów. Uciszyło go dopiero ostrzegawcze spojrzenie Seliga. Spuściłam wzrok, nie chcąc patrzeć na człowieka, którego los i krótsza słomka skazały na śmierć.

A potem odjechali i wielka sala opustoszała. Karle zajęli się swoją robotą. Trygve, wyciągnięty na ławie, flirtował z jakąś kobietą. Poszłam do pokoju Seliga; Biały Brat zobaczył, dokąd się kieruję, i pokiwał głową. Wiedział, że mam coś zrobić dla jego pana.

Zamknęłam za sobą drzwi i odpięłam agrafkę od płaszcza z wilczych futer. Zacisnęłam w zębach ostry koniec brązowej szpilki, z nadzwyczajną ostrożnością zginając czubek w maleńki haczyk. Po dość długich staraniach udało mi się złapać zapadkę w zamku szafy Seliga. W środku znalazłam korespondencję i szkatułę z monetami, a na samym spodzie ubrania oraz broń

Joscelina. Był tam również list od Melisandy Szachrizaj. Usiadłam, żeby go przeczytać.

Rozpoznałam jej charakter pisma, znany mi z liścików do Delaunaya, choć tutaj pisała w caerdicci. Sam list był krótki, zawierał nie więcej niż potwierdzenie tego, co głośno powiedział Selig. “Ufam, że się rozumiemy” – skreśliła na zakończenie.

W kącie leżały skórzane sakwy, niepotrzebne na jednodniowe polowanie. Wyciągnęłam je i schowałam list do wewnętrznej kieszeni, potem zgromadziłam i zapakowałam najcieplejsze ubrania. Znalazłam również krzesiwo, z czego bardzo się ucieszyłam. Na tym etapie niewiele więcej mogłam zrobić. Włożyłam płaszcz i nie bez trudu zapięłam agrafkę. Odetchnęłam głęboko, wyszłam do wielkiej sali i zbliżyłam się do Trygvego, wciąż zajętego zalotami. Popatrzył na mnie z niezadowoleniem.

– O co chodzi?

– Chciałabym odwiedzić przyjaciela, panie – powiedziałam cicho. – Wielmożny Selig pozwolił mi robić to raz dziennie.

Mówiłam prawdę i on o tym wiedział, ale Seliga nie było.

– Zabiorę cię później – mruknął na odczepnego. Odwrócił się do kobiety i podjął przerwana opowieść.

Uklękłam, spuszczaając wzrok.

– Jeśli sobie życzysz, panie, mogę pójść sama. Osada jest pusta, więc będę bezpieczna. Nie chcę sprawiać ci kłopotów.

– Puść ją – powiedziała niecierpliwie kobieta; miała na imię Gerda. – Niedługo wróci, przecież wie, gdzie jest jej dobrze!

Kiedy indziej zachnęłabym się na taką uwagę, teraz jednak zachowałam spokój. Trygve z westchnieniem spuścił z ławy długie nogi, zarzucił na ramiona wilczą skórę, naciągnął kaptur na głowę.

– A jeśli któryś karł wygada Seligowi, że widział D’Angelinę bez straży? Lepiej z nią pójść. – Podniósł tarczę i złapał mnie za ramię. – Chodź, i tym razem krótko, dobrze?

Cieszyłam się, idąc za nim, że nie był miły. W ten sposób będzie łatwiej. Największy strach przeminął, gdy koła poszły w ruch. Wojownicy powiadają, że najgorsze jest czekanie przed bitwą. Tamtego dnia to rozumiałam.

W osadzie pozostało równie niewielu ludzi jak w wielkiej sali. Nikt nie chodził pomiędzy dworami, tylko parę osób kręciło się wśród namiotów, które wciąż urozmaicały szeroką równinę dokoła jeziora.

Doszliśmy do szopy Joscelina. Trygve kazał mi wejść. Weszłam, odsuwając skórę. Oczy miałam oślepienie przez słońce i dopiero po chwili zobaczyłam, że pośrodku podłogi widnieje dziura, pamiątka po pierścieniu. Odwróciłam głowę i zobaczyłam Joscelina, stojącego bez ruchu przy drzwiach, z łańcuchem w skutykach rękach. Żadne z nas się nie odezwało. Przesunęłam się, żeby Trygve mógł wejść.

Postąpił dwa kroki za próg i wtedy Joscelin zarzucił mu łańcuch na szyję i bez litości skręcił ogniwa. Ja kazałam mu tak zrobić, więc teraz zmusiłam się, żeby patrzeć. Częściowo chroniony przez kaptur z białego futra, Trygve szamotał się, walcząc o oddech, szarpiąc ręce kasjelity. Joscelin uderzył go mocno pod kolana i pod moją ugięły się nogi. Gdy się osuwał, zaczerpując tchu, by wrzasnąć, Joscelin puścił łańcuch, złapał jego głowę w obie ręce i przekręcił gwałtownie.

Usłyszałam trzask pękającego karku. Krzyk zamarł na ustach woja i iskra życia zgasła w jego oczach. To była szybka śmierć.

– Daj ręce. – Wyrwałam zapinkę z płaszcza i manipulowałam nią szybko, gdy Joscelin stał z wyciągniętymi rękami. Zamki

kajdanów nie były skomplikowane. – Dzięki ci, Hiacyncie–mruknęłam, klękając, żeby rozpiąć kajdany na nogach. Uniosłam głowę. Joscelin spokojnie rozcierał nadgarstki. – Musimy go rozebrać.

Skinął głową.

– Dobrze.

Martwe ciało jest cięższe od żywego; rozebranie zwłok zabrało nam trochę czasu, ale zrobiliśmy to, nie patrząc na siebie. Joscelin bez słowa odwrócił się i zdjął swój cienki kasjelicki przyodziewek, a następnie ubrał się w strój skaldyjski.

– Pokaż się. – Przyjrzałam mu się i rozplotłam jego warkocz, potem podeszłam do kosza. Wtarłam mu garść popiołu we włosy, zmieniając ich kolor na bury, i natarłam twarz, żeby zamaskować d’Angelińskie rysy. Spojrzałam na Trygvego i splotłam włosy Joscelina w drobne warkoczyki w taki sposób, żeby przysłaniały boki twarzy. – Proszę – powiedziałam, podając mu białą wilczą skórę. Joscelin zarzucił ją na ramiona, związując przednie łapy, potem włożył kaptur i nasunął nisko na czoło wilczą maskę z pustymi oczodołami.

Uda się. Z daleka mógł uchodzić za jednego z Białych Braci.

– Gotów? – zapytałam. Odetchnął głęboko i pokiwał głową. – Najgorsza będzie wielka sala. Nie zdołam zabrać juków bez wzbudzania podejrzeń, ale potrzebujemy ubrań i krzesiwa, a poza tym jest w nich list Melisandy. Zapasy możemy zabrać z mniejszej sali, tam jest mniej ludzi.

– Muszę mieć swoją broń.

– Nie jest skaldyjska. Weź broń Trygvego.

– Muszę mieć zarękawia. Nie umiem bronić się tarczą, widziałas na holmgangu. – Po chwili dodał cicho: – Broń dał mi wuj, a jemu jego wuj, Fedro. Pozwól mi ją zatrzymać.

– Zgoda. Na razie weź broń Trygvego, bo wyglądałoby dziwnie, gdybyś paradował nieuzbrojony. – Bałam się tracić czas na spory. – Spuść głowę i zrób groźną minę. Jeśli ktoś cię zagadnie, pokręć głową. Jak będzie się upierać, powiedz: “Rozkazy Seliga. Rozbija obóz”. – Wymówiłam wyraźnie te słowa po skaldyjsku i kazałam mu je powtarzać, dopóki nie powiedział ich z właściwym akcentem. Joscelin nie zapominał tego, czego raz się nauczył. – I traktuj mnie szorstko – dodałam po skaldyjsku. Będziemy zgubieni, jeśli się zapomnę i przemówię do niego w naszym języku.

– Chwileczkę. – Ukląkł na podłodze obok zwłok, już zsiniałych na zimnie. Skrzyżował ramiona i odmówił kasjelicką modlitwę, tę samą, którą zmówił za Evrarda Ostrego Języka. Dziwnie to wyglądało, gdy skaldyjski wojownik modlił się jak brat kasjelita. Wreszcie podniósł się, przypasał miecz Trygvego i założył tarczę. – Idziemy – powiedział po skaldyjsku.

Odsunęłam skórę i wyszłam na oślepiające zimowe słońce.

PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

Byłam pewna, że zaraz podniesie się alarm, że martwy Trygve jakimś cudem wykrzyczy niebu naszą zbrodnię. Szliśmy przez śnieżną przestrzeń, coraz bliżej serca osady, ale wydawało się, że odległość rośnie z każdym krokiem. Niemiłosiernie jasny dzień groził zdemaskowaniem Joscelina. Kasjelita szedł z opuszczoną głową, krzywiąc twarz pod wilczą maską i mocno trzymając mnie za rękę nad łokciem.

Z pewnością Biali Bracia nie chodzili tak szybko, gdy odprowadzali mnie po wizycie w szopie. Nie mogłam sobie przypomnieć, choć byłam wyszkolona do wyłuskiwania takich szczegółów. Miałam wrażenie, że myśli mi zamarzyły.

Wstąpiliśmy najpierw do mniejszej sali, gdzie prawie mnie nie znano. Parę osób spojrzało na nas z zaciekawieniem. Jeden z karli podbiegł, wytrzeszczając oczy, kłaniając się przed Joscelinem z szacunkiem należnym Białemu Bratu.

– Czego sobie życzysz?

Joscelin szarpnął mnie za ramię.

– Powiedz mu – warknął, zupełnie jak rozzłoszczony woj. Nie to kazałam mu powiedzieć, ale chyba postąpił słusznie. Może tak będzie lepiej, pomyślałam, i w ten sposób wzbudzimy mniejsze podejrzenia.

– Wielmożny Selig postanowił rozbić obóz. Zostanie na noc z Kolbjornem i kilkoma ludźmi – powiedziałam. – Przysłał po bukłak miodu, dwa worki kaszy i garnek. Przynieś wszystko do stajni. Mój pan Trygve wyjedzie mu na spotkanie.

– Tylko jeden bukłak miodu? – zdumiał się karl i natychmiast zachłysnął się ze strachu, patrząc na Joscelina.

– Trzy – warknął Joscelin, znowu mnie szarpiąc. Odwrócił się, zniecierpliwiony, i pociągnął mnie za sobą. Nie byłam pewna, czy się uda, dopóki nie usłyszałam, jak karl woła innych do pomocy przy gromadzeniu prowiantu.

Na drżących nogach ruszyłam do wielkiej sali. Joscelin wepchnął mnie za próg tak gwałtownie, że niemal się przewróciłam, i to mnie rozzłościło. Złość dała mi siłę, żeby się wyprostować i popatrzeć na niego wściekle. Odwzajemnił się gniewnym spojrzeniem i deptał mi po piętach, gdy szłam do pokoju Seliga.

Gerdy nie było w polu widzenia, dzięki niech będą Elui. Zamknęłam za nami drzwi pokoju i bez słowa wskazałam szafę, którą wcześniej tylko przymknęłam. Joscelin szybko zabrał swoją broń, założył zarekawia, zastąpił pas Trygvego własnym i umieścił sztylety w pochwach. Zdjął wilczą skórę, przełożył przez głowę pas z mieczem i ukrył pochwę pod skórą. Rękojeść przysłoniłam jego włosami, modląc się, by nikt nie zauważył, że skaldyjski wojownik nosi kasjelicką broń. Joscelin złapał sakwy i skinął głową w stronę drzwi.

– List Melisandy! – szepnęłam, zdjęta nagłą trwogą.

– Myślałem, że go masz. – Zatrzymał się ze skórzanymi sakwami w ręce.

– Otóż to. – Wyrwałam mu sakwy, otworzyłam tę z listem i przeszukałam ją gorączkowo. – Selig nie wie, że znamy jego plan zdradzenia d'Aiglemorta – powiedziałam ponuro. – Jeśli zabierzemy list, wszystkiego się domyśli, a wówczas zmieni plany i stracimy przewagę. Musimy zrezygnować z dowodu. – Odłożyłam list tam, skąd go wzięłam, na najwyższą półkę w

szafie. Wytarłam w spódnicę drżące ręce i odetchnęłam głęboko.
– W porządku. Idziemy.

Szcście przestało nam sprzyjać.

Gdy byliśmy w połowie drogi do drzwi, Gerda wyszła z kuchni. Zobaczyła nas.

– A teraz dokąd idziesz? – zapytała gderliwie, zmierzając w naszą stronę. – Trygve, obiecałeś!

– Rozkazy Seliga – mruknął Joscelin, wbijając wzrok w podłogę i popychając mnie przed sobą.

– Nic mi o tym nie wiadomo! – Gerda szła wsparta pod boki, jej głos zdradzał irytację. Jeszcze parę kroków, a pozna, że to nie Trygve. Wyrwałam się Joscelinowi i stanęłam pomiędzy nimi.

– A niby czemu miałabyś słyszeć? – zapytałam, przesycając głos jadowitą pogardą. – Czy wielmożny Selig posyła po ciebie, gdy chce zażyć rozkoszy? Czy posyła po jakąś inną kobietę w swojej osadzie? – Omiotłam wzrokiem salę, napotykaając zdumione spojrzenia. Przynajmniej teraz nikt nie patrzył na Joscelina. – Nie posyła – wycedziłam wyniośle. – On jest godzien imienia króla i posyła po tę, która jest godna króla. I skoro ma ochotę rozbić wieczorem obóz i cieszyć się moim towarzystwem, nikt, kto chce pozostać w jego łaskach, nie powinien tego kwestionować!

Obróciłam się na pięcie i pomaszerowałam do wyjścia. Joscelin pogardliwie wzruszył ramionami, wyprzedził mnie i otworzył drzwi. Słyszałam poruszenie za naszymi plecami, jak w szturchniętym gnieździe szerszeni. Jeśli zostaniemy złapani, nikt w osadzie Seliga nie powie o mnie dobrego słowa.

– Nie tak szybko – szepnął Joscelin, kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz. Zwolniłam kroku, wdzięczna mu za przytomność umysłu.

Stajnie Seliga, jeśli można tak je nazwać, składały się z długiego rzędu otwartych szop chroniących przed wiatrem. Skaldowie nie rozpieszczają swoich wierzchowców, które dzięki temu są bardzo wytrzymałe. W zagrodzie stało w zbitej gromadzie kilka koni, ogrzewających się wzajemnie własnymi ciałami. Wśród nich był mój kudłaty kuc. Karl wyskoczył ze stajni, gdy tylko zobaczył zbliżającego się Białego Brata.

– Prowiant już przyniesiono, panie – wysapał. – Stajenni siodłają twojego wierzchowca. To prawda, że Waldemar Selig rozbija obóz?

– Rozkazy Seliga – powiedział Joscelin szorstko.

– Wielmożny Selig przysłał po mnie – powiedziałam niecierpliwie. – Przyprawdź i osiodłaj mojego konia.

Karl zerknął na Joscelina, a gdy ten wzruszył ramionami i skinął głową, kazał kilku chłopcom wyprowadzić z zagrody mojego kuca. Ukłonił się nisko, czekając na dalsze rozkazy.

– Obrok dla koni. – Popatrzyłam na Joscelina. – O ilu koniach mówił wielmożny Selig? O tuzinie?

Łypnął na mnie spod wilczej maski. – Obrok dla tuzina.

– Tak, panie. – Karl nerwowo skinął głową i pobiegł do stajni. Patrzyliśmy zszokowani, jak ludzie Seliga skwapliwie pomagają nam w ucieczce, objuczając konie zapasami. Gdy podprowadzili je do nas, Joscelin przytroczył sakwy Seliga i skoczył na siodło, pstrykając na mnie palcami. Był to skaldyjski gest, ale dostrzegłam błysk stalowych zarękawi w rękawach wełnianego kaftana i ze strachu wstrzymałam oddech. Na szczęście nikt tego nie zauważył. Dosiadłam kuca i złapałam wodze. Ręce mi się trzęsły. Spiszą to na karb zimna, myślałam, czekając na Joscelina. W końcu uświadomiłam sobie, że przecież nie ma pojęcia, w którą stronę pojechali myśliwi. Tyle drobiazgów mogło nas

zdradzić! Trąciłam kuca piętami i wysunęłam się do przodu. Pochyliłam się w siodle i udając, że szepczę do ucha kuca, mruknełam po d'Angelińsku:

– Jedź na północny brzeg jeziora i skręć na szlak w góry.

Wystarczyło. Joscelin skinął głową karlowi i ze zniecierpliwieniem warknął po skaldyjsku:

– Jedź! – Trącił konia obcasami, ruszając zwawym truchtem w kierunku brzegu jeziora. Bez słowa pospieszyłam za nim.

Musieliśmy przejechać obok namiotów kurierów, których część pozostała w obozie; tylko wybrańcy zostali zaproszeni na łowy. Cieszyłam się, że Harald został do nich zaliczony. Tylko on spośród tych, którzy tu obozowali, znał Joscelina z widzenia, może nawet rozpoznałby go po stylu jazdy, po błysku stali w rękawach, po bliźniaczych sztyletach, po wystającej rękojeści miecza.

Ale Harald pojechał z Seligiem, a nikt inny nie mógł poznać z daleka, że Biały Brat, który mnie eskortuje, nie jest Skaldem. Kilku wojów wykrzyknęło słowa powitania i rzuciło parę sprośnych uwag. Joscelin w odpowiedzi roześmiał się i podniósł rękę w obscenicznym geście; nie mam pojęcia, gdzie się go nauczył. Ludzie Guntera pokazywali go za moimi plecami i chichotali jak chłopcy, gdy ich na tym przyłapałam.

Dzień był piekielnie zimny. Płuca mnie bolały od wdychania lodowatego powietrza, skóra twarzy wydawała się sztywna jak maska. Z grozą myślałam o nocy, kiedy miało zrobić się jeszcze mroźniej. Uświadomiłam sobie, że powinniśmy zabrać namiot. Skaldowie nie brali namiotów na wyprawy myśliwskie czy nocne najazdy, ale Selig mógł sobie zażyczyć tego luksusu, skoro przysłał po mnie. Jeśli zamarzniemy na śmierć, pomyślałam, to będzie moja wina.

Okrążyliśmy północny kraniec jeziora i skręciliśmy na szlak wychodzący z doliny, wyraźnie wytyczony przez kopyta koni i łapy psów. Był stromy, ale przynajmniej konie nie musiały przedzierać się przez kopny śnieg. Jechaliśmy w górę, pilnie nad słuchując odgłosów polowania. Słyszeliśmy tylko zwykłe leśne odgłosy, śpiew ptaków i szum ośnieżonych gałęzi. Na szczycie odwróciłam się w stronę osady Seliga. Leżała daleko w dole, nad jeziorem podobnym do niebieskiej misy. Joscelin chuchnął w dłonie.

– Co dalej? – zapytał.

Jeszcze raz popatrzyłam na jezioro.

– Pojedziemy ich tropem jeszcze kawałek, aż znajdziemy się poza zasięgiem wzroku ludzi w osadzie. Wtedy skręcimy na zachód. – Szczelniej otuliłam się futrzanym płaszczem i zadrżałam. – Joscelinie, dalej mój plan nie wybiega. Dzięki mapom Seliga wiem, gdzie jesteście. Wiem także, gdzie leży nasz dom. Nie mam pojęcia, jak zdołamy tam dotrzeć, ale musimy uzyskać jak największą przewagę nad pościgiem, to zwiększy nasze szansę. Żałuję, że nie pomyślałam o zabraniu namiotu.

– Wymyśliłaś sposób ucieczki. Ja zaprowadzę cię do domu. – Rozejrzał się po lesie, jego niebieskie oczy wyglądały znajomo i zarazem dziwnie obco pod kapturem Białego Brata. – Pamiętaj, wychowałem się w górach – dodał.

Jego słowa podniosły mnie na duchu. Chuchnęłam w rękę.

– Ruszajmy.

Jechaliśmy jakiś czas szlakiem myśliwych, potem skręciliśmy ostro w lewo, na zachód. Joscelin rzucił mi wodze swojego konia i zawrócił, żeby miotłą z sosnowych gałęzi zatrzeć nasze ślady.

– Nie zobaczą, jeśli nie będą szukać – powiedział z satysfakcją, wyrzucając gałęzie i dosiadając wierzchowca. – I jeśli będą

jechać po zmroku. Ruszaj, musimy zwiększyć przewagę.

Zapomnieliśmy tylko o jednej rzeczy.

Stało się to niedługo później. Staraliśmy się jechać jak najciszej, zdradzało nas tylko poskrzypywanie skóry i parskanie koni.

Wystarczyło to Białym Braciom, którzy strzegli granic terenów Seliga.

Leżeli w śniegu, przykryci białymi futrami. Knud wiedziałby, że tam są, my jednak zorientowaliśmy się dopiero wtedy, gdy zerwali się na nogi i potrzęsnęli oszczepami.

Na widok Joscelina w stroju Białego Brata wpadli w konsternację.

– Witaj, bracie! – zawołał jeden, opuszczając broń. – Dokąd zmierzasz?

Nie sędzę, żeby Joscelin miał jakikolwiek wybór; żadne kłamstwo nie mogłoby usprawiedliwić naszej obecności w lesie i zapewnić nam wolnej drogi, nawet gdyby nie poznali się na jego przebraniu. Kasjelita zamruczał z irytacją, dobył miecza i ścisnął łydkami boki wierzchowca, szarżując na wojów.

Ten, który się odezwał, zdążył tylko zrobić zdumioną minę. Drugi odskoczył i poderwał oszczep, gdy Joscelin odwrócił się w jego stronę. Oczy Białego Brata śmigają szaleńczo, gdy próbował rozstrzygnąć: czy uderzyć w konia, czy w jeźdźcę? Wziął na cel Joscelina, mierząc w serce. Joscelin opadł na kark wierzchowca, a gdy tylko oszczep przeleciał nad jego plecami, wyprostował się i spiął konia. Drugi woj miał tarczę i trzeba było kilku ciosów, żeby z nim skończyć.

Nie ma niczego czerwieńszego od świeżej krwi rozlanej na śniegu.

Joscelin powoli zawrócił w moją stronę. Miał udręczoną minę.

Jego oczy, takie młode, gdy pierwszy raz rozglądał się po lesie, teraz wydawały się chore i stare.

– To było konieczne – powiedziałam cicho.

Pokiwał głową. Zsiadł z konia, wyczyścił miecz i wsunął go do pochwy. Podeszedł do pierwszego zabitego, który miał na rękach prymitywne rękawice. Nie patrząc w twarz Skalda, podważył palce wciąż zaciśnięte na drzewcu włóczni, delikatnie ściągnął rękawice i podał mi je.

– Nic nie mów. Po prostu włóż.

Posłuchałam go bez słowa. Rękawice były za wielkie i ledwie mogłam złapać przez nie wodze, ale ogrzały mi dłonie. Joscelin dosiadł konia i ruszyliśmy dalej.

Nikt inny nas nie zatrzymał i doszliśmy do przekonania, że przemierzamy bezludne tereny. Jechaliśmy jak najszybciej, ale bez nadmiernego forsowania wierzchowców, które z trudem brnęły przez śnieg sięgający czasami po brzuch mojego kuca. Mimo wszystko kuc wydawał się wytrzymalszy od roślejszego rumaka Joscelina. Raz musieliśmy przebyć strumień, który rwał wartko pomimo silnego mrozu. Napoiliśmy konie, przytrzymując je, żeby piły małymi łykami; Joscelin powiedział, że gdyby zbyt szybko napełniły brzuchy, dostałyby kolki. Opróżniliśmy dwa bukłaki i zastąpiliśmy miód czystą wodą.

Przystawaliśmy na krótko, żeby dać odpocząć koniom. W południe zjedliśmy po garści kaszy, popijając lodowatą wodą. Joscelin co jakiś czas zsiadał i prowadził konia za uzdę, przecierając szlak i dając mu odpocząć od swojego ciężaru. Raz kazał mi zrobić to samo, kiedy zsiniałam z zimna. Zwymyślałam go za to od ostatnich, ale ruch mnie rozgrzał. Poza tym oczywiście miał rację. Gdyby nasze konie padły, bylibyśmy zgubieni.

Miałam w pamięci trasę wiodącą do najniższej przełęczy w Paśmie Kamaelińskim, ale zmierzenie odległości na mapie i przemierzanie bezkresnych bezdroży to dwie zupełnie inne sprawy. Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, rzucając na nas długie, czarne cienie drzew, uświadomiłam sobie, że zboczyliśmy z kursu. Skręciliśmy bardziej na zachód, w stronę wiszącej coraz niżej pomarańczowej kuli.

– Na dziś wystarczy. – Słowa Joscelina przerwały długie milczenie. Zapadał zmierzch. – Jeszcze parę minut, a nie będziemy mogli urządzić obozowiska.

Zsiadł z konia, przywiązał wodze do najbliższej gałęzi. Poszłam w jego ślady, starając się nie dygotać z zimna w pogłębiającej się ciemności.

– Myślisz, że rozpalenie ognia jest bezpieczne? – zapytałam, dzwoniąc zębami.

– Niebezpiecznie jest go nie rozpaścić, chyba że chcesz zamarznąć w czasie snu. – Joscelin udeptał śnieg, a potem zajął się zbieraniem chrustu. Pomagałam mu, jak tylko mogłam, układając w stertę drewno na opał. – Najpierw musimy zadbać o konie – powiedział. Wyjął krzesiwo Seliga i przykląkł, żeby skrzesać iskrę. Uderzył jeden raz, drugi, trzeci. Serce mi zamarło. Joscelin, ani trochę nie wzruszony, wyciągnął sztylet i naciął wiórów z suchej gałęzi, a potem skrzesał iskrę. Tym razem drewno się zajęło. Osłonił ręką maleńki ognik i podsycił go gałązkami, aż w końcu strzeliły płomienie.

– Co mam zrobić? – Czułam się beznadziejnie nieprzydatna.

– Masz. – Joscelin podał mi garnek. – Napełnij go wodą z bukłaka i napój konie. Możemy natopić śniegu, żeby uzupełnić zapasy. Kiedy skończysz, nastaw krupnik.

Wszystko zależy od okoliczności. W domu Delaunaya za

skarby świata nie zjadłabym żywności ugotowanej w garnku, z którego piły konie; teraz nic nie mogłoby mieć mniejszego znaczenia. Mój dzielny kuc zanurzył pysk w wodzie i pociągnął długi łyk. Kiedy odsunęłam garnek, żeby nie wypił za dużo naraz, uniósł chrapy obwieszane sopelkami lodu i spojrzał na mnie z wyrzutem.

W tym czasie Joscelin zwijał się niezmiernie, a jego pracowitość i skuteczność uczyła mnie pokory. Rozsiodłał konie i przetaił ich grzbiety miękką szmatą, zrobił prymitywne pęta z kawałków rzemienia, dał każdemu po miarce obroku – który, nawiasem mówiąc, pachniał lepiej od naszego krupniku – wzniósł z gałęzi osłonę od wiatru i zgromadził opał na noc. Gdy mieszałam krupnik, ułożył przy ognisku stos zielonych sosnowych gałęzi, robiąc sprężyste posłanie. Przejrzał skaldyjskie ubrania w jukach i znalazł wełniany płaszcz, którym przykrył gałęzie.

– W ten sposób nasze ciała nie roztopią śniegu – wyjaśnił, siadając na posłaniu i wyciągając miecz. – Powinniśmy... powinniśmy spać blisko siebie, dla ciepła.

Jego ton zdradzał skrępowanie. Uniosłam brwi.

– Czy to cię peszy po tym wszystkim, co razem przeszliśmy?

Pochylił głowę nad mieczem, pociągając po nim ostrzałką, która była wśród jego rzeczy. Twarz miał odwróconą i w pustych oczodołach wilczej maski na jego czole tańczyły cienie.

– Tak, gdy się zastanowić, Fedro – rzekł cicho. – Niewiele zostało ślubów, których nie zламаłem.

– Przepraszam. – Zostawiłam pykającą kaszę, podeszłam do niego i zarzuciłam ręce w wielkich rękawicach na jego ramiona. – Naprawdę, Joscelinie, przepraszam. – Siedzieliśmy razem, patrząc w ogień. Płonął wesoło, topiąc dziurę w śniegu i rzucając

roztańczone błyski na gałęzie drzew. – Zeszłej nocy chciałam zabić Seliga.

Poczułam, jak tężeje, wstrząśnięty moim wyznaniem. Popatrzył na mnie.

– Dlaczego? Zabiliby cię za to.

– Wiem. – Wciąż patrzyłam w ruchliwe płomienie. – Ale takie rozwiązanie byłoby pewne. Skaldowie rozpadliby się z powrotem na szereg zwaśnionych plemion, bo tylko on trzyma ich razem. A ty nie musiałbyś łamać przysięgi.

– Co się stało? – zapytał cicho.

– Obudził się. – Wzruszyłam ramionami. – Może to prawda. Może naprawdę nikt nie może zrobić mu krzywdy. Ten stary kapłan dał mi do myślenia, nazywając mnie bronią Kusziela. Ale Selig się obudził. Miałam szczęście, że się nie domyślił, co zamierzałam.

– Fedra. – Joscelin urywanie zaczerpnął tchu i wypuścił powietrze z odgłosem, który brzmiał niemal jak śmiech. – Zabawka możliwych. Ach, Eluo... zawstydziłaś mnie. Żałuję, że nie poznałem lepiej Delaunaya, który wychował taką uczennicę.

– Ja też żałuję. – Ściągnęłam rękawice i wyjęłam gałązkę z jego włosów, niespiesznie, rozkoszując się ich miękkością. – Ale muszę przyznać, że kiedy cię spotkałam, pomyślałam, że jesteś...

– Zaszuszonym, zramolałym bratem kasjelitą – dokończył, obrzucając mnie rozbawionym spojrzeniem. – Pamiętam. Pamiętam bardzo dobrze.

– Nie. – Żartobliwie pociągnęłam go za włosy i uśmiechnęłam się do niego. – To było zanim cię poznałam. Potem uważałam cię za zarozumiałego kasjelickiego fircyka.

Roześmiał się szczerze na te słowa.

– Miałaś rację. Taki byłem.

– Nie, myliłam się. Zarozumiały fircyk poddałby się i umarł w pohańbieniu już w psiarni Guntera. Ty walczyłeś i pozostałeś sobie wierny. I, jak dotąd, udaje ci się utrzymać przy życiu również mnie.

– To twoja zasługa, Fedro, w odniesieniu do twojej i mojej osoby – powiedział ponuro, poprawiając kłode czubkiem miecza.
– Co do tego nie mam złudzeń, wierz mi. Ale przysięgam, zrobię wszystko, byleś tylko dotarła żywa i cała do Ysandry de la Courcel. Jeśli mam być przeklęty za swoje przewiny, niech będę przeklęty w pełni, a nie w połowie.

– Wiem – szepnęłam. Widziałam jego oczy, kiedy zabił Białych Braci. Siedzieliśmy w milczeniu, póki nie powiedziałam: – Musimy się najeść.

– Najeść się i spać. Trzeba nabrać sił. – Podniósł się, schował miecz i przyniósł garnek z ognia. Mieliśmy tylko jedną łyżkę, więc jedliśmy na zmianę, wypełniając żołądki niesmaczną, ale za to gorącą strawą. Po kolacji Joscelin wyczyścił garnek i napełnił go śniegiem, podczas gdy ja siedziałam otulona płaszczem, na wpół zamarznęta, na wpół rozgrzana, kiwając się sennie.

Położyliśmy się razem na sosnowym łóżku, okrywając się skórzanymi i wełnianymi ubraniami. Kuliłam się obok Joscelina, czując, jak wsącza się we mnie ciepło jego ciała.

– Śpij – wyszeptał w moje włosy. – Dziś nas nie znajdą. Śpij.
Po chwili zasnęłam.

PIĘĆDZIESIĄT DWA

Nazajutrz zbudziłam się sama na posłaniu, sztywna i zziębnięta.

Jeśli wcześniej powiedziałam, że jazda z osady Guntera nad jezioro Seliga była ciężka, to znaczy, że nie wiedziałam, o czym mówię. Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że podróżuję w komfortowych warunkach. Nie zastanawiałam się nad tym, że nie muszę siodłać swojego wierzchowca, szykować posiłków ani robić niczego innego.

Teraz musiałam sama dbać o swoje potrzeby, bo przecież liczyła się każda chwila, a Joscelin – nieważne, jak sprawny – nie mógł się rozdzielić. I tak radził sobie doskonale, choć w skaldyjskiej dziczy mróz kąsa dotkliwiej, a zasy sięgają wyżej niż w Siovale.

W czasie tej morderczej podróży opracowaliśmy nowy język, język szybkich gestów, ruchów głową i grymasów. Nauczyłam się wielu nowych rzeczy – nigdy wcześniej nawet przez myśl mi nie przeszło, że kiedyś będę musiała sama siodłać konia czy szukać drogi przez gęste zarośla, gdzie ukryte pod śniegiem splątane gałęzie tworzą pułapki na konie i ludzi.

Nauczyłam się owijać głowę wełnianymi szalami jak turbanem, oszczędzając cenne ciepło, i zasłaniać twarz dla ochrony przed wiatrem. Nauczyłam się wykruszać lód z ubrania i jechać pół dnia bez odpoczynku. Nauczyłam się wydłubywać lód z kopyt kuca, kiedy miękkie ciało w środku pękało i krwawiło. Nauczyłam się nosić za pasem nóż – nóż Trygvego,

zabrany przez Joscelina – i używać go do prostych prac.

Nauczyłam się wszystkich tych rzeczy, i to szybko, bo nie mogliśmy tracić czasu. Jechaliśmy bez wytchnienia, doprowadzając siebie i konie do granicy wytrzymałości. Na popasach oglądaliśmy zdrętwiałe z zimna ręce i nogi, szukając białych miejsc, które zwiastowały odmrożenia. Drugiej nocy, gdy urządzaliśmy obóz, zjawily się wilki. Joscelin pospiesznie rozpałił ogień i pobiegł ku nim z krzykiem, potrząsając płonąca gałęzią. Cofnęły się wtedy w głąb lasu, ale widzieliśmy ich ślepią błyszczące w blasku ognia.

Drugiego dnia na szczęście nie pokazał się ani jeden. Trzeciego dnia straciliśmy bezcenną godzinę i o włos uniknęliśmy nieszczęścia. Zdarzyło się to na ośnieżonym wzgórzu, gdzie zsiadliśmy z koni, żeby określić nasze położenie. Ocieniając oczy przed blaskiem, wskazałam ku północy, gdzie za rozwidlonym szczytem pięła się w błękitne niebo cienka smużka dymu.

– Osada Raskogra – powiedziałam głosem stłumionym przez wełnę. – Jednego ze Swewów. Musimy skręcić lekko na południe i jechać wzdłuż pasma.

Joscelin pokiwał głową i zrobił krok przed siebie.

Śnieżna półka zarwała się pod jego ciężarem.

Runął z krzykiem, koziółkując w sunącej lawinie. Rzuciłam się w tył, przerażona, szukając pewnego gruntu, i przywarłam do szorstkiego głazu, który wystawał spod śniegu. Parę centymetrów od moich nóg ziała przepaść. Mój wierny kucyk zarzucił głową i zarżał z trwogi, zaś koń Joscelina odbiegł o parę kroków i stanął, dziko wodząc wzrokiem.

Drżąc, wychyliłam się, żeby spojrzeć.

Daleko w dole Joscelin wygrzebywał się spod śniegu. Najwyraźniej nie poniósł szwanku. Najpierw sprawdził ręce i

nogi, potem broń. Sztylety miał u pasa, ale miecz wypadł z pochwy. Widziałam rękojeść sterczącą ze śniegu w połowie drogi na górę.

Widząc, że spoglądam znad krawędzi, dał znać, że nic mu nie jest. Pomachałam do niego i wskazałam miecz. Nawet z tej odległości widziałam, że Joscelin ma otumanioną minę.

Wdrapanie się na górę zajęło mu prawie godzinę, bo trzy razy zsuwał się wraz ze śniegiem, cofając się o połowę przebytej drogi. Przez ten czas ja próbowałam złapać spłoszonego konia, który parskał z przerażenia, buchając kłębami pary, i odskakiwał, kiedy się zbliżałam. Wreszcie przypomniałam sobie, co robiły dzieci z Perrinwolde, i skusiłam go garścią owsa. Kiedy złapałam wodze, byłam taka zmarznięta, zmęczona i sfrustrowana, że oparłam głowę o ciepły kark i zapłakałam, a łyzy ziębiły mi policzki. Koń Joscelina przeżuł poczęstunek i obwąchiwał moje włosy, jakby wcale nie był przyczyną takiego zamieszania.

Joscelin wspiał się na szczyt, runął na plecy i wlepił wzrok w niebo, krańcowo wyczerpany. Bez pytania dałam mu bukłak, a on napił się chciwie.

– Musimy ruszać. – Głos miał słaby i płuca obolałe z wysiłku, ale dźwignął się na nogi.

Pokiwałam głową.

– Przynajmniej konie wypoczęły. – W najlepszym wypadku był to kiepski dowcip, lecz właśnie tak podtrzymywaliśmy się na duchu.

Ruszyliśmy.

Wieczorem nie mówiliśmy o straconym czasie, ale oboje byliśmy podenerwowani i podrygiwaliśmy, słysząc zwyczajne odgłosy lasu: szelest osypującego się śniegu, trzask gałęzi

pękających na skutek mrozu. Joscelin markotnie wpatrywał się w ogień, trącając polana jak zawsze, gdy rozmyślał.

– Fedro. – Jego głos mnie przestraszył i zdałam sobie sprawę, że mam stargane nerwy. Napotkałam ponure spojrzenie kasjelity. – Jeśli... kiedy nas złapią, chcę, żebyś coś zrobiła. Coś ci pokażę. – Odszedł do juków i wrócił z tarczą Trygvego. Był to okrągły puklerz, obciągnięty skórą, ze stalowym guzem pośrodku i paskami do zakładania na rękę. Zastanawiałam się, dlaczego jej nie wyrzucił, skoro walczył lepiej bez czegoś takiego.

Pod skaldyjskim nocnym niebem pokazał mi, jak należy wsuwać rękę w pętlę i osłaniać ciało.

– Jeśli będziesz miała szansę... – rzekł cicho – jakąkolwiek szansę ucieczki, nie zaprzepaść jej. Wiesz już dość, by przeżyć na własną rękę, o ile nie zabraknie ci zapasów. Ale gdybyś nie miała szans... osłoń się tarczą, a ja zrobię, co tylko będzie w mojej mocy.

– Chronić i służyć – szepnęłam, patrząc na sylwetkę Joscelina rysującą się na tle gwiazdzistego nieba. Gdy pokiwał głową, dostrzegłam łzy błyszczące w jego oczach. Poczułam w sercu nieznanym dotąd ból. – Ach, Joscelinie...

– Kładź się spać – powiedział, odwracając głowę. – Ja pierwszy będę czuwać.

Czwartego dnia sypnął śnieg.

Pogoda igrała z nami jak kot z myszą, zsyłając porywisty wiatr i śnieżycę, a potem dając nam trochę wytchnienia. Jechaliśmy wtedy dalej, czasami zgarbieni na karkach wierzchowców, czasami brodząc w śniegu po pas, dopóki znów nie zaczynała się zadymka, drąca nas mroźnymi pazurami.

Pogrążyłam się w lodowatym półśnie, odrętwiała i przemarznięta, skulona w siodle albo potykająca się za plecami

Joscelina. Tylko jego przekleństwa i nawoływania powstrzymywały mnie od kapitulacji. Nie wiem, jak długo wędrowaliśmy w ten sposób. Czas stracił znaczenie, odmierzany tylko krótkimi chwilami jasności, kiedy śnieg przestawał sypać i widzieliśmy teren przed sobą.

Wiatr skowyczał przejmująco wśród skał i drzew. Przyzwyczaiałam się do tego zawodzenia i prawie nie zauważyłam, kiedy uległo zmianie. Już nie wznosiło się i nie opadało, tylko narastało jednostajnie.

– Joscelinie!

Wiatr wyrwał słowo z moich ust, ale kasjelita je usłyszał. Odwrócił się – dziwna, siwa postać w wilczej skórze. Wskazałam w tył ręką opatuloną w wielką rękawicę.

– Nadchodzą.

Poderwał głowę, rozejrzał się czujnie. Widział tylko wirujący śnieg.

– Ilu?

– Nie wiem. – Zastygłam w bezruchu, wyteżając słuch, łowiąc dalekie wycie w zawodzeniu wichury. – Sześciu, może ośmiu.

Sposepniał.

– Jedź!

Pognaliśmy na oślep, tak jak ucieka się w koszmarze. Zgarbiłam się w siodle i przywarłam do karku kuca, lodowate powietrze kłuło mnie w płuca jak noże, gdy mój wierzchowiec dzielnie kłusował za koniem Joscelina, zapadając się w śniegu. Słyszałam ich teraz wyraźnie. Krwiożercza skaldyjska pieśń wojenna wznosiła się nad wycie wiatru i biła w nasze uszy niczym krucze skrzydła, pchając nas naprzód, wciąż naprzód w szaleńczej ucieczce.

Nie mogliśmy jednak uciekać bez końca, nie mieliśmy już sił.

Słyszałam, jak wycie rozciąga się, połowa Skaldów zataczała koło, żeby przeciąć nam drogę. Podjechałam do Joscelina i pokręciłam głową, gdy wypadliśmy na polanę przy sterczącej skale. Jego koń był prawie zajeżdżony, a ja czułam, jak boki mojego dzielnego kuca unoszą się i opadają ciężko.

Joscelin ściągnął wodze i na jego ogorzalej od wiatru twarzy zagościł anielski spokój.

– Tutaj urządzimy nasz ostatni bastion, Fedro – powiedział bardzo wyraźnie. Pamiętam to doskonale. Wskazał skałę, zsiadł z konia i podał mi tarczę Trygvego. – Weź to i osłaniaj się jak najlepiej.

Posłuchałam. Zsunęłam się ze zdrożonego kuca, założyłam tarczę na ramię i stanęłam plecami do skały. Nasze konie zastygły z opuszczonymi głowami; trzęsły się, gdy piana zamarzała na ich sierści. Z tarczą na ramieniu patrzyłam, co robi Joscelin. Wyciągnął miecz i wyszedł na środek polany, samotna postać ledwo widoczna w wirującym śniegu.

Miałam rację. Było ich siedmiu. Ochotnicy, najlepsi ludzie Seliga, najszybsi jeźdźcy, najbardziej wprawni tropiciele. Aż dziwne, że pościg zajął im cztery dni. Wycie ucichło, kiedy zaprzestaliśmy ucieczki. Jechali w milczeniu przez śnieg, mroczni i złowieszczy. Siedmiu. Zatrzymali się przed Joscelinem w półkolu. On stał samotnie w obronnej kasjelickiej pozie, trzymając rękojeść miecza na wysokości ramienia, nachyloną głownią osłaniając ciało.

Nagle rzucił miecz i zacisnął ręce w powietrzu nad głową.

– W imię Seliga... – zawołał w znośnym skaldyjskim – poddaję się!

Usłyszałam śmiech, a potem wiatr przybrał na sile i śnieżne wiry przysłoniły widok. Kiedy przepadły, zobaczyłam, że

czterech Skaldów zsiadło z koni i podchodzi do niego z wyciągniętymi mieczami; jeden miał topór bojowy. Dwóch jeźdźców zostało na swoich miejscach.

Trzeci jechał w moją stronę.

Joscelin, z rękami nad głową, czekał bez ruchu. Najbliższy Skald trącił go sztychem w pierś.

Wtedy się ruszył i stał zadzwierczała na polanie, gdy odepchnął skaldyjski miecz opancerzonym przedramieniem. Sztylety nie wiedzieć jak znalazły się w jego rękach, tańcząc równie nieprzewidywalnie jak śnieg w porywach wiatru. Nikt nigdy nie opiszcie dziwnej poezji tej walki, tego kasjelickiego baletu śniegu, stali i śmierci w głębi ziem Skaldów. Ludzie poruszali się jak duchy na śnieżnej polanie, tylko brzęk broni zadawał kłam pozornej beztrosce tańca.

Gdy skaldyjski jeździec podjechał bliżej, skuliłam się pod skałą i obronnym gestem poderwałam tarczę.

Był to Harald Bezbrody z osady Guntera.

Spojrzałam na niego, zdumiona. On błyskawicznie zsiadł z konia, złapał mnie jedną ręką i przyłożył czubek sztyletu do mojego gardła.

– D’Angelinie! – zawołał w kierunku walczących. – Poddaj się! Mam dziewczynę! – Przytrzymał mnie mocniej, gdy zaczęłam się szamotać. – Nie bój się– wyszeptał. – Nie zabiję cię, Selig kazał wziąć cię żywcem.

Zobaczyłam, że jedna z postaci na polanie znieruchomiała. Joscelin, poznałam to po kacie, pod jakim trzymał odzyskany miecz. Dwaj Skaldowie leżeli w śniegu. Jeden z jeźdźców spiął konia, podnosząc topór do ciosu.

– Joscelinie! – Zaczerpnęłam tchu, napełniając płuca powietrzem do potężnego krzyku, żeby mnie usłyszał. – Nie

słuchaj go!

Harald zaklął i zacisnął rękę na moich ustach. Przydeptałam mu stopę i prawie się wyrwałam, ale był szybszy; przełożył nóż w taki sposób, że poczułam ostrze. Kątem oka widziałam, jak Joscelin toczy się po ziemi. Wciąż walczył, a jeździec siedział pochylony w siodle.

– Zamieniłem się miejscami z jednym z wojów Seliga, żeby ruszyć za tobą w pogoń – syknął Harald. – Nie zmuszaj mnie, D’Angelino, do zrobienia ci krzywdy! Zamierzam przywrócić honor naszej osadzie, odwożąc cię Seligowi.

Trzymał mnie mocno, przyciskając moje ręce do boków. Tarcza znajdowała się pomiędzy nami. Sięgnęłam do pasa, wysunęłam rękę z wielkiej rękawicy i wymacałam rękojeść noża Trygvego. Zamknęłam na niej palce i wyciągnęłam ostrze z pochwy.

Joscelin, znowu na nogach, robił szybkie, zwinne uniki. Dwaj Skaldowie walczyli z nim na ziemi, a trzeci nacierał konno. Żaden z nich nie musiał przebiec wielu mil przez bezdroża za koniem Guntera Arnlaugsona. Twarda lekcja nie poszła na marne; nawet jeśli nie wyniósł z niej innych korzyści, Joscelin nauczył się utrzymywać na nogach na zdradliwym terenie. Jego miecz błysnął w tumanach śniegu i następny pieszy Skald runął na ziemię.

– Puść mnie, Haraldzie – powiedziałam cicho, odwracając się, żeby spojrzeć mu w twarz. Był taki młody, złocisty puszek dopiero zaczynał gęstnieć na jego brodzie. Mimo zimna ręce miałam śliskie od potu, zaciśnięte na rękojeści ukrytego sztyletu.

– Nawet nie próbuj! – Z uporem odwracał głowę, nie chcąc patrzeć mi w oczy. – Nie ulegnę twoim czarom, D’Angelino. Należysz do Waldemara Seliga!

– Haraldzie... – Ręka mi drżała, gdy trzymałam nóż blisko jego trzewi, schowany za tarczą wiszącą na lewym ramieniu. Przyciśnięta do niego, czułam jego ciepło. To on dał mi futrzany płaszcz, który wciąż nosiłam. On pierwszy zaczął śpiewać o mnie pieśni. Łzy zaćmiły mi oczy. – Puść mnie, bo przysięgam, że cię zabiję.

Skupiony na obserwowaniu potyczki, wykrzyknął ostrzeżenie do jeźdźca, który w ostatniej chwili ściągnął wodze. Joscelin kucnął, próbując przeciąć ścięgno wierzchowcowi. Ta desperacka próba świadczyła o beznadziejności naszego położenia.

Podobnie jak moje posunięcie.

– Wybacz mi – wyszeptałam i z całej siły wbiłam nóż w brzuch Haralda.

Nie sądzę, by od razu zrozumiał, co się stało. Szeroko otworzył oczy, ręce mu opadły. Popatrzył w dół i zobaczył, co skrywała tarcza. Ze zduszonym szlochem szarpnęłam nóż w górę, w kierunku jego serca, i puściłam rękojeść. Harald zrobił krok w tył i popatrzył na mnie. W oczach miał zdziwienie, jak mały chłopiec. Co ty zrobiłaś? – pytał niemo. Co ty zrobiłaś?

Nie odpowiedziałam, a on osunął się na ziemię i znieruchomiał.

Skaldyjski jeździec zobaczył to i krzyknął. Odwrócił się od Joscelina, spiął konia i pogalopował w moją stronę. Nie mając dokąd uciec, czekałam, odrętwiała i cicha. Na środku polany Joscelin rozprawił się z ostatnim pieszym wojownikiem i rzucił się do stojącego najbliżej wierzchowca.

W snach wszystko dzieje się powoli. To było jak sen, jak niekończący się lodowaty koszmar. Widziałam wykrzywioną z wściekłości twarz Skalda, gdy miotał przekleństwa, których nie

słyszałam w narastającej wichurze. Selig kazał wziąć mnie żywą, powiedział Harald; mogłam się domyślać, co dodał. Żywą lub martwą. Widziałam, jak w odległości dwudziestu jardów Skald podrywa rękę z oszczepem, robiąc zamach do rzutu. Będąc piętnaście jardów ode mnie, rzucił.

Zamknęłam oczy i podniosłam tarczę Trygvego.

Pod wpływem siły uderzenia dosłownie zagrzechotały mi kości. Przewróciłam się, zbita z nóg. Otworzyłam oczy. Woj stał nade mną, przysłaniając zimowe niebo. Tarcza, wciąż przytroczona do ramienia, była bezużyteczna, rozłupana przez grot w kształcie liścia.

Gdyby miał drugi oszczep, byłoby już po mnie, wiem. Zsiadł z konia i wyciągnął miecz.

– Nie! – Krzyk Josceline rozdarł powietrze. Skald odwrócił się i zawahał, widząc nadjeżdżającego kasjelitę. Próbowałam wyplątać rękę z rzemieni rozbitej tarczy, czołgając się do tyłu w grząskim śniegu. Joscelin zacisnął zęby i smagnął wierzchowca, już był prawie przy nas...

Zbyt mocno mu zależało, zbyt szybko nacierał. Koń potknął się, pośliznął, stracił oparcie; przechylił się z opuszczoną głową i runął ciężko na pokrytą śniegiem ziemię. Joscelin z mieczem w ręku wyszarpnął nogi ze strzemion i upadł nie mniej twardo w pewnej odległości od bijącego kopytami rumaka.

Skald popatrzył na mnie i wyszczerzył zęby w zawziętym, dzikim grymasie człowieka, który nie ma nic do stracenia.

– Ty pierwsza – powiedział i podniósł miecz wysoko nad głowę, oburącz, zamierzając się do potężnego ciosu.

– Eluo... – szepnęłam i przygotowałam się na śmierć. Ostrze nie opadło.

Wyśliznęło się ze zdrętwiałych palców i spadło miękko w

śnieg. Skald popatrzył na pierś, z której wystawał czubek miecza Joscelina. Każdy, jak myślę, jest zaskoczony śmiertelnym ciosem otrzymanym w bitwie. Wojownik odwrócił się powoli, sięgając do sztycha. Zobaczyłam rękojeść i resztę głowni sterczącą z pleców pomiędzy łopatkami. Joscelin wciąż leżał, podparty na ręce; rzucił mieczem z daleka. Skald patrzył na niego z niedowierzaniem, osuwając się na kolana. Wyzionął ducha z rękami zaciśniętymi na ostrzu.

Zapadła cisza, tylko wiatr nie umilkł. Joscelin z trudem podniósł się na nogi i podszedł do mnie chwiejnym krokiem. Wtedy zobaczyłam, że ma przecięty policzek i włosy zlepione krwią, która już zamarzła. Przewrócił ostatniego Skalda na brzuch i wyciągnął swój miecz, opierając stopę o ciało. Podniosłam się z trudem. Podtrzymaliśmy się wzajemnie.

– Wiesz, jakie były szanse? – zapytał, słaniając się na nogach. – Nawet tego nie ćwiczyliśmy. To niemożliwe.

– Nie. – Przełknęłam ślinę i ruchem głowy wskazałam Haralda leżącego bez ruchu przy skale. Przykrywała go warstwa płatków śniegu. – Wiesz, że dał mi płaszcz? Nigdy nie poprosił, żebym go oddała.

– Wiem. – Joscelin puścił mnie i stanął o własnych siłach, przyciskając rękę do boku. – Musimy ruszać. Weź... weź wszystko, co może się przydać. Żywność, wodę, obrok... nie zaszkodzi więcej koców. Zabierzemy jucznego konia, wybierzemy najświeższe wierzchowce. Minie sporo czasu, nim zatrzymamy się na popas.

PIĘĆDZIESIĄT TRZY

Okradanie zwłok dla łupów jest czymś ohydny. Słyszałam, że skaldyjskie kobiety wtedy śpiewają. Próbowałam wyobrazić sobie dobrą Hedwigę przy takiej czynności i nie mogłam; potem przypomniałam sobie, jak nienawidziły mnie kobiety z osady Seliga, i zabrałam się do pracy. My nie śpiewaliśmy, Joscelin i ja, odrętwiali z grozy. Nawet się nie odzywaliśmy, skupieni na robieniu tego, co było konieczne.

Jeden ze skaldyjskich koni podczas walki upadł, złamał nogę i trzeba było go dobić. Joscelin zrobił to sztyletem, przecinając tętnicę na karku. Nie mogłam patrzeć. Wybraliśmy dwa konie, resztę zostawiając samym sobie. Miałam nadzieję, że odnajdą drogę do osady, zanim dopadną je wilki; były niemal równie zmęczone jak nasze wierzchowce. Zatrzymałam kuca, nie mogąc znieść myśli, że mogłyby zabić go wilki. Poza tym był bardziej wytrzymały niż konie i szybciej odzyskiwał siły. Później dowiedziałam się, że jego rasa występowała od zawsze na tamtejszych ziemiach. Skaldowie wyhodowali roślejsze wierzchowce z ras caerdicci i aragońskich, lepsze do bitwy, ale gorzej znoszące zimno.

Znowu ruszyliśmy w drogę.

Miałam zamiar podążać z biegiem Darnau, dopóki nie dotrzemy do Kamaelinów. Joscelin zaproponował, żeby przez jakiś czas jechać korytem rzeki, unikając w ten sposób pozostawiania śladów, a potem dla zmylenia pościgu odbić na południe. Nie mieliśmy pojęcia, czy ścigają nas inni wojowie, ilu

może ich być i w jakiej są odległości za nami, ale podejrzewałam, że Selig nie ograniczył się do wysłania jednej grupy.

Postąpiliśmy zgodnie z planem Joscelina. Konie ostrożnie wybierały drogę, stąpając w zimnej, rwącej wodzie, a gdy wyjechaliśmy na brzeg, Joscelin zatarł ślady. Nie wiem, jak zrobił to tym razem, bo byłam tak bardzo przemarznięta i wyczerpana, że ledwie mogłam myśleć. Dopiero gdy zobaczyłam jego głęboko zapadnięte oczy, uświadomiłam sobie, że jest w gorszym stanie niż ja. Ludzka wytrzymałość jest czymś niepojętym. Po opuszczeniu koryta uznałam, że nie stać mnie nawet na najmniejszy wysiłek, ale gdy zobaczyłam Joscelina, sięgnęłam do rezerw, o istnieniu których dotąd nie wiedziałam. Ruszyłam pierwsza, przecierając szlak w gęstniejącym zmierzchu. Wiatr znowu się zerwał, a nagie skały i rzadko rosnące drzewa nie zapewniały osłony. Wtedy już wiedziałam, czym się kierować w wyborze miejsca na obóz. Tutaj nie mogliśmy się zatrzymać, więc zmierzaliśmy dalej.

Nie wiem, o czym myślałam, brnąc przez niekończące się śniegi, prowadząc swojego konia, podczas gdy Joscelin, zgarbiony w siodle, prowadził na uwięzi jucznego kuca. Nawiedzały mnie wspomnienia domu, uczt, klientów, Delaunaya i Alcuina. Myślałam o pracowni markarza, o leczniczych źródłach w sanktuarium Naamy, o bibliotece Delaunaya, którą kiedyś uważałam za najbezpieczniejsze miejsce w świecie. Myślałam o Hiacyncie i "Kogutku", o ofierze złożonej w świątyni Błogosławionego Elui.

Nie wiem, kiedy zaczęłam się modlić, była to bowiem modlitwa bez słów, wspomnienie łaski, świątyni Elui, szkarłatnych anemonów w rękach, ciepłej i wilgotnej ziemi pod bosymi stopami, chłodnego marmuru pod ustami, miłego głosu

kapłana. Kochaj, jak wola twoja, powiedział, a Elua pokieruje twoimi krokami, niezależnie od długości czekającej cię drogi. Czepiałam się kurczowo wspomnienia tamtej chwili, pokonując krok po kroku tę niekończącą się drogę, aż w pewnym momencie stwierdziłam, że nie mogę iść dalej. Uniosłam głowę. Zobaczyłam, że w zmierzchu i śniegu weszłam prosto na kamienną ścianę.

To koniec, pomyślałam, obmacując skałę. Nie mogę iść dalej. Nie śmiałam spojrzeć za siebie.

Lewa ręka, przesuwająca się w bok, nie napotkała oporu. Ciemność otworzyła się w skale przede mną. Weszłam w nią po omacku, mając nadzieję, że mój koń jest zbyt zmęczony, by uciec.

To była jaskinia.

Weszłam tak daleko jak śmiałam, węchem sprawdzając, czy nie ma tam niedźwiedzia lub wilka. Wycie wichru ucichło i w grocie panował dziwny czarny spokój. Nie wyczułam żywego ducha. Wyszłam i przedarłam się przez śnieg do Joscelina. Popatrzył na mnie – oczy miał podpuchnięte, rzęsy ciężkie od szronu.

– Tam jest jaskinia! – zawołałam, zwijając dłonie w trąbkę, żeby usłyszał mnie w ryku wichury. – Daj mi łuczywo, rozejrzę się.

Z trudem zsunął się z siodła i razem zaprowadziliśmy konie pod nawis jaskini. Do środka wsączało się nikłe, gasnące światło. W jego blasku wypakowaliśmy krzesiwo i gałęzie okręcone nasączonymi smołą szmatami, zabrane poległym Skaldom. Skrzesiałam iskrę i zapaliłam pochodnię.

Unosząc ją wysoko, zapuściłam się w głąb pieczary.

Była dłuższa, niż sądziłam, i rozległa. Obróciłam się dokoła, oświetlając ściany. Miałam rację, była pusta, ale pośrodku

znajdowały się resztki ogniska. Uniosłam głowę i wysoko w kamiennym stropie zobaczyłam otwór, przez który mógł uchodzić dym.

Wystarczy. W zupełności.

Wsunęłam pochodnię w szczelinę i wróciłam do Joscelina. Tym razem ja wykonałam lwią część pracy. Najpierw oporządziłam konie, które przytulały się do siebie przy wejściu, osłonięte przed zawieruchą. Potem nazbierałam chrustu i rozpałam ogień w starym palenisku. Znalazłam nawet zwalone drzewko i zrobiłam prymitywne szory dla kuca, żeby wciągnąć je do samej jaskini. Drewno było suche i paliło się bez dymu, wypełniając wnętrze błogosławionym ciepłem i światłem.

Tej nocy nie mieliśmy sosnowych gałęzi na poślanie, ale kamienne podłoże jaskini było cieplejsze od śniegu. Joscelin rozłożył futra i koce zabrane Skaldom. Usiedliśmy razem, choć raz nie dygocząc z zimna, i posililiśmy się krupnikiem oraz paskami suszonej sarniny, których mieliśmy pod dostatkiem dzięki uprzejmości Seliga.

Po kolacji wyczyściłam garnek, nabrałam śniegu do stopienia i dołożyłam do ognia. Wyciągnęłam bukłak z miodem i pudełko z maścią, które znalazłam przy jednym ze Skaldów. Kawałkiem szmatki i gorącą wodą ostrożnie oczyściłam ranę na policzku Joscelina i głębszą na głowie, a potem przemyłam je miodem.

– Zastanawiałam się, dlaczego nie opróżniłeś tego bukłaka – powiedziałam, uśmiechając się na widok jego grymasu. – Byłeś przewidujący.

– Wcale nie. – Znowu się skrzywił, gdy otarłam ranę na policzku. – Uznałem, że możesz go potrzebować. Skaldowie piją miód, żeby się rozgrzać.

– Naprawdę? – Spróbowałam, wstrzykując strumień do ust.

Trunek smakował sfermentowanym miodem i przyjemnie palił w brzuchu. Rzeczywiście rozgrzewał, w jaskini zrobiło się niemal gorąco.– Niezły. – Przysiadłam na piętach i popatrzyłam na niego. – Jak poważne są rany, które przede mną ukrywasz?

Uśmiechnął się cierpko.

– Tak bardzo widać?

– Tak. Nie bądź idiotą. Pozwól mi zobaczyć – dodałam łagodniejszym tonem.

Bez słowa rozebrał się do pasa. Wstrzymałam oddech. Tors miał posiniaczony, a kaftan pod futrami zeszywniał od krwi, która wypłynęła z rozcięcia w lewym boku, szerokość dłoni nad biodrem.

– Joscelinie... – Zagryzłam wargi. – Trzeba to zaszyć.

– Daj mi bukłak. – Podniósł go do ust i pociągnął długi łyk. – Zabrałem przybory jednemu z ludzi Seliga. Są w sakwie.

Nie jestem ani chirurgiem, ani szwaczką, dlatego zanim skończyłam, do gardła Joscelina spłynęła solidna porcja miodu. Kiedy było po wszystkim; koślawe szwy czerniały na jego skórze, ale rana została zamknięta.

– Masz. – Podał mi bukłak, gdy wyciągnęłam się obok niego, ogromnie zmęczona. – Sprawiasz się doskonale – powiedział łagodnie. – Radzisz sobie od samego początku. Fedro...

– Sza. – Uniosłam się na łokciu, przyłożyłam palce do jego ust. – Joscelinie, nie. Nie chcę o tym mówić. – Patrzył na mnie, mrugając. Zabrałam palce i pocałowałam go.

Nie wiem, czego się spodziewałam. Nie myślałam o tym. Moje włosy opadły, zasłaniając nasze twarze. Rozchylił usta i nasze języki zetknęły się koniuszkami, lekko i nieśmiało. Poczułam, że mnie obejmuje, i pocałowałam go mocniej.

Ogień wygasł, a konie drzemały przy wejściu do jaskini. Ich

senne parskanie i przypadkowy stukot kopyt stanowiły tło dla naszych oddechów, gdy się kochaliśmy. Sądziłam, że nie będzie wiedział co robić – kasjelita żyjący w celibacie – ale ze swego rodzaju nabożeństwem przyjmował wszystko, co mu ofiarowałam. Jego ręce wędrowały po moim ciele, a ja płakałam, gdyż ich dotyk wyrażał niewyobrażalną miłość, i czułam słony smak własnych łez, kiedy go całowałam. Nigdy, nigdy dotąd nie wybierałam. Kiedy wszedł we mnie, zadrżałam, a on znieruchomiał, dopóki nie przyciągnęłam go dziko, chowając twarz w jego piersi i zatracając się w nim.

W końcu jednak musiałam spojrzeć, musiałam zobaczyć jego twarz, d'Angelińską i umiłowaną, ponad moją twarzą. Wybrany. Krzyknął na koniec ze zdumienia i zachwytu.

Później wstał i odszedł. Stał w kącie jaskini.

Mogłam tylko patrzeć, leżąc na futrach przy ogniu, czując w sercu ten sam dziwny ból. Joscelin, mój kasjelita, mój obrońca, posiniaczony i poraniony w mojej służbie. W jakimś głębokim zakamarku umysłu zdumiewałam się tym wszystkim, wcale nie najmniej tym, że jesteśmy tutaj, razem, żywi i nadzy, choć parę kroków od nas ścisnął trzaskający mróz.

– Wyśniliśmy ten dzień – powiedziałam głośno. – Joscelinie, wciąż śnimy, a jutro zbudzimy się z niego.

Odwrócił się z ponurą miną.

– Fedro... jestem sługą Kasjela. Nie mogę czerpać siły ze złożonych ślubów, niezależnie ile ich złamałem, gdy przestanę mu służyć. A bez tej siły nie zdołam przetrwać. Rozumiesz?

– Tak. – Łzy piekły mnie w oczy, lecz nie zwracałam na nie uwagi. – Czy myślisz, że przetrwałabym tak długo, gdybym nie była sługą Naamy i wybranką Kusziela? Rozumiem.

Pokiwał głową i wrócił do ognia, by usiąść obok mnie na

posłaniu.

– Znów krwawisz. – Znalazłam w jukach czystą szmatkę i zmieniłam opatrunek, nie patrząc mu w oczy. Teraz dotykanie jego ciała było czymś zupełnie innym.

– Myślałem... – urwał i chrząknął. – Nie tylko ból sprawia ci rozkosz. Nie wiedziałem.

– Nie. – Popatrzyłam na niego z lekkim uśmiechem; wyglądał tak bezbrinnie, nagi i poturbowany, z pszenicznymi włosami zaplecionymi w skaldyjskie warkoczyki. – Tak myślałeś? Słucham nauk Naamy, nie tylko różgi Kusziela.

Wyciągnął rękę i dotknął diamentu Melisandy, wciąż wiszącego na mojej szyi.

– Ale ten drugi woła głośniej – powiedział łagodnie.

– Tak – szepnęłam. Nie mogłam skłamać. Podniosłam rękę do diamentu i szarpnęłam mocno, zrywając sznurek. – Ach, Eluo! Chciałabym uwolnić się od tego! – zawołałam z odrazą, rzucając diament w kąt jaskini. – Z cichym brzękiem legł pod kamienną ścianą.

Joscelin spojrział za nim w ciemność panującą poza zasięgiem ognia.

– Fedro, nie mamy innej wartościowej rzeczy.

– Nie. – Zacięłam się w uporze. – Wolę umrzeć z głodu.

– Naprawdę? – Popatrzył na mnie ponuro. – Mnie kazałaś postawić życie nad dumę.

Milczałam przez chwilę, rozmyślając o tym.

– Zgoda – powiedziałam. – Przynieś ten kamyk, zatrzymam go. Będę go nosić i pamiętać. Przyda się, jeśli będziemy musieli kupić sobie życie. – Podniosłam głos. – A jeśli nie, będę go nosić do dnia, kiedy rzucę go na ziemię pod nogi Melisandy Szachrizaj. Wtedy uzyska odpowiedź na swoje pytanie: Strzała Kusziela jest

silniejsza od jego potomków!

Joscelin podniósł diament i bez słowa założył go z powrotem na moją szyję. Lepiej on, pomyślałam, odsłaniając kark, niż ktokolwiek inny. Kiedy skończył, musnął lekko moje plecy.

– Przykro mi, że twoja marka nie została ukończona – szepnęłam.
– Jest piękna, wiesz? Jak ty.

Odwróciłam się, żeby spojrzeć mu w oczy; uśmiechnął się ironicznie.

– Może utraciłem łaskę Kasjera – dodał cicho – ale przynajmniej wiem, że trzeba było kurtyzany godnej królów, by zwieść mnie z drogi cnoty.

– Ach, Joscelinie... – Pochyliłam się, ujęłam w dłonie jego głowę i pocałowałam go w czoło. – Idź spać. Czeka nas jeszcze długa droga, a ty musisz wrócić do zdrowia. Opowiem ci coś, jeśli chcesz... Czy w Bractwie znają opowieść o kuszeniu Kasjela przez Naamę? W Domu Cereusa mówią...

Zasnął w trakcie opowieści z uśmiechem na ustach; i dobrze, pomyślałam, bo jest to jedna z tych historii, które nie mają zakończenia – słuchacz sam osądza, co się stało później.

Opowieści o bogach i aniołach mogą kończyć się w ten sposób, mają bowiem swój ciąg dalszy, jak wiemy, w zaświatach, w prawdziwej Terre d'Ange. Niestety, nam, śmiertelnikom, odmówiony jest luksus *licentia dramatica*. Musimy kroczyć po ścieżce życia w nieświadomości.

Rankiem po ogniu został zimny popiół i parę poczerniałych węgli. Ubraliśmy się, drżąc z zimna. Nie mówiliśmy o tym, co się stało w nocy. Co moglibyśmy powiedzieć? W romansach bywa inaczej, ale ja powiem: nie ma sensu mówić o miłości, kiedy najważniejsze jest przeżycie. Nie kłamałam, kiedy stwierdziłam, że śnimy. Tylko że przebudzenie było ponure. Zajęliśmy się

przygotowaniami do wyjazdu.

Śnieg przestał sypać i choć chmury wisiały nisko, nie groziły ponownym opadem. Szare światło wsączało się do jaskini. Przywiązywałam ostatnie pakunki do grzbietu kuca, trzymając w zębach futrzane rękawice i pracując zgrabiałymi palcami. Joscelin, który czuł się już znacznie lepiej, oglądał kopyta koni.

– Fedro! – Usłyszałam, jak westchnął, puszczając przednią nogę jednego z wierzchowców. Koń tupnął, hałas odbił się echem od skalnych ścian. Uniosłam głowę, żeby zobaczyć, co mi pokazuje.

W skale nad wejściem jaskini widniała pieczęć Błogosławionego Elui. Wryta w twardym kamieniu, błyszczała srebrzyście za sprawą gry światła. Wlepiłam w nią wzrok, mimowolnie otwierając usta. Popatrzyliśmy na siebie.

– Wiesz, co to znaczy? – zapytał Joscelin, wstrzymując oddech.
– Schronili się tutaj, pokonując skaldyjskie bezdroża. Elua, Kasjel, Naama... wszyscy Towarzysze! – Zbliżył się do wylotu jaskini i z czią przyłożył ręce do skały.

– Byli tutaj – szepnęłam, spoglądając na srebrzyste linie, wspominając moją niemą modlitwę. Śniliśmy, pomyślałam, w świętym miejscu. – Joscelinie, wracajmy do domu.

Oderwał się od ściany jaskini, popatrzył na mnie i pokiwał głową, zarzucając na ramiona wilczą skórę Białych Braci.

– Do domu – powiedział stanowczo, ruszając pierwszy.

Marzenie i obietnica naszych niebiańskich praojców, którzy nie zapomnieli o dalekich pokoleniach swoich dzieci – dzieci, w których krwi wciąż płynęła cieniutka nitka ichoru. Dom, złote wspomnienie, od którego oddzielały nas śnieżne, lodowate mile.

Na dworze czekała na nas skaldyjska zima.

Dom.

PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

Przez następne dni tylko pogoda była naszym wrogiem, lecz trudno by szukać straszniejszego. Konie zdobyte na Skaldach okazały się świeższe, więc przemieszczaliśmy się szybciej, torując drogę dla kuca. Zatrzymywaliśmy się, gdy światło zaczynało gasnąć, rozbijaliśmy obóz i zapadaliśmy w sen.

Na naszej drodze trafiały się osady, ale życie w głuszy wyostrzyło nam zmysły i za każdym razem wykrywaliśmy znaki ludzkiej obecności z dużym wyprzedzeniem. Omijaliśmy wszystkie siedliska szerokim łukiem i nigdy nie obozowaliśmy bliżej niż godzinę jazdy od miejsca, w którym dostrzegliśmy ludzi. Parę razy o zmierzchu widzieliśmy wilki, a raz wyrwaliśmy wielkiego niedźwiedzia z zimowej drzemki w jaskini. Myślałam, że tym razem mój dzielny kuc przegra, gdy uciekaliśmy na przerażonych koniach, w fontannach śniegu wzbijanych przez kopyta. Kuc cwałował za nami, kwicząc ze strachu, a pazury długie jak moja dłoń darły powietrze parę centymetrów za jego zadnimi kopytami. Słyszałam, że legendarne olifanty z Bodistanu są największymi żyjącymi stworzeniami, ale będę rada, jeśli nigdy nie zobaczę bestii większej od skaldyjskiego niedźwiedzia. Pod tym jednym względem zima okazała się naszym przyjacielem, bo niedźwiedź szybko zrezygnował z pościgu i zawrócił do swojej jaskini, żeby zapaść w sen.

Do Pasma Kamaelińskiego dotarliśmy bez dalszych przygód.

Przejście z ziem Skaldów do Terre d'Ange nie jest łatwe. Na

północy, gdzie Kamaeliny się urywają, ich miejsce zajmuje rzeka Rhenus, zbyt głęboka i wartka, by przebyć ją wpław, a mostów jest na niej niewiele. Są pamiątką po Tyberyjczykach, którzy, dysponując legionami inżynierów, mogli w ciągu jednego dnia zebrać brygadę budowniczych i przystąpić do budowy, jeśli tylko mieli dość materiału. Od czasów cesarstwa D'Angelinowie utrzymują granicę na rzece.

Gdyby wystarczyło nam odwagi, zjechałobyśmy na równiny i wyblągali przejazd przez Azalię. Nie mam wątpliwości, że znaleźlibyśmy lojalnych popleczników Korony, choćby tylko w osobie Ghislaina de Somerville, który wedle mojej wiedzy wciąż władał Trevalionem. Ale przebycie skaldyjskiej dziczy było jedną sprawą, drugą natomiast – przekraczanie granicy w czasie wojny, choć Terre d'Ange jeszcze nie wiedziała o jej nadejściu. Nie, musieliśmy jechać przez góry, a względy praktyczne nakazywały wybór jednej z Wielkich Przełęczy, położonej najdalej na południu.

Po dniu jazdy w cieniu strzelistych Kamaelinów wieczorem rozbiliśmy obóz. Tutaj leżał głębszy śnieg, znacznie utrudniający jazdę. A jednak czuliśmy już powietrze napływające z drugiej strony tych okrutnych gór, z naszej ojczyzny, i to podnosiło nas na duchu.

Rankiem zobaczyliśmy coś, co zniweczyło nasze nadzieje.

Bałam się, że Selig nie zrezygnuje z pochwycenia nas, i moje obawy okazały się uzasadnione. Joscelin dostrzegł ich w czasie pieszego rekonesansu. Z ponurą miną zaprowadził mnie w miejsce, z którego mogliśmy bezpiecznie zlustrować okolicę. Zobaczyliśmy ich na śnieżnej równinie: oddział około czterdziestu jeźdźców z plemienia Marsów, obozujący między nami a południową przełęczą.

Harald powiedział, że zamienił się miejscami z jednym z wojów Seliga. Zrozumiałam teraz, co miał na myśli. Selig rozesłał jeźdźców po osadach, rozkazując Marsom strzec przejścia przez przełęcz.

Popatrzyłam na Joscelina, na przekór wszystkiemu z nadzieją.

– Nie mamy szans – powiedział ze smutkiem, kręcąc głową. – Jest ich zbyt wielu, są na otwartej przestrzeni, Fedro. Zabiją mnie.

– Co więc zrobimy?

Z niechęcią spojrział mi w oczy, potem odwrócił się, patrząc na górskie szczyty piętrzące się nad nami.

– Nie – powiedziałam. – Joscelinie, nie mogę.

– Musimy – powiedział łagodnie. – Nie ma innego wyjścia.

Na równinie pod nami Skaldowie rozpalili ogniska. Śpiewali i grali, pili, krzyczeli i rzucali się jeden na drugiego w walkach na niby, lecz mimo całej tej zabawy nie zapomnieli o wystawieniu posterunków. Najpewniej są wśród nich ludzie z osady Guntera, pomyślałam; ludzie, których znałam, którym podawałam miód. Słyszeliśmy Skaldów od czasu do czasu, ich krzyki niosły się w czystym, rzadkim powietrzu. Jeśli dotarły do nich wieści, co zrobiliśmy z wojami Seliga, zabiją nas bez mrugnięcia okiem. Nie mogliśmy przebić się przez nich, nie mogliśmy ich ominąć.

Joscelin miał rację. Nie było innego wyjścia.

Otuliłam się płaszczem z wilczej skóry i zadrżałam.

– W takim razie ruszajmy. I niechaj Elua ma dla nas miłosierdzie.

Nie będę opowiadać o każdym kroku tej niebezpiecznej podróży. Wystarczy powiedzieć, że przeżyliśmy. Joscelin zawrócił niedawno przebytą drogą, smagając biednego wierzchowca, i zjawił się w pomarańczowym blasku

zachodzącego słońca. Zameldował, że znalazł szlak, kozią ścieżkę wijącą się wśród turni i niknącą z zasięgu wzroku. Odwróciliśmy się plecami do Skaldów i ruszyliśmy, by rozbić obóz głębiej na wzgórzach. Rozpaliliśmy maleńkie ognisko. Joscelin przez całą noc podsyczał je gałązkami; przypuszczam, że mógłby je zmieścić w złączonych dłoniach. Utrzymało ciepło życia w naszych ciałach, choć ledwo ledwo.

Rankiem rozpoczęliśmy wspinaczkę.

W pewnym miejscu jazda stała się niemożliwa i musieliśmy wspinać się pieszo, prowadząc konie. Pierwszego dnia straciłam swojego wierzchowca. To było straszne i nie lubię o tym myśleć; spłoszył się, gdy spod jego kopyt zeszła niewielka lawina, stracił równowagę na grani i stoczył się w przepaść. Wraz z nim przepadła połowa zapasów, ale ja najbardziej żałowałam biednego stworzenia.

– Mniejsza z tym – powiedział Joscelin, z trudem otwierając zmarznięte usta. Jego oczy wyrażały to, co czułam. – Prowiantu wystarczy nam na dwa dni, a jeśli nie przeżyjemy tak długo, strata nie będzie miała znaczenia.

Szliśmy dalej, przerzuciwszy większość juków na kuca. Cieszyłam się, że jest ze mną, bo stąpał w górach pewniej niż wysokie konie.

Wierzchowca Joscelina straciliśmy po drugiej stronie gór.

Dotarliśmy na szczyt, gdzie powietrze było tak rzadkie, że nie mogliśmy napełnić nim płuc, ale kłuło jak ostre noże. W górach jest pięknie; tak mówią i przypuszczam, że to prawda. Jeśli nie opisałam piękna Kamaelinów, nie sądzcie, że z braku poezji w mojej duszy. Po prostu na każdym kroku walczyłam o życie, nie miałam sił na uniesienie głowy i podziwianie widoków. Dotarliśmy na szczyt i ruszyliśmy w dół.

Schodzenie jest łatwiejsze od wchodzenia. I bardziej niebezpieczne. Koń złamał nogę w szczelinie przysypanej śniegiem. Joscelin musiał go dobić, co nie było ani trochę łatwiejsze niż w przypadku pierwszego. Tym razem podstawił garnek pod przeciętą żyłę.

– Jeden z ludzi L’Enversa powiedział mi, że na pustyni Akadyjczycy przyrządzają herbatę z krwi – powiedział, nie patrząc na mnie. – Mogą przeżyć wiele dni, konie też, jeśli upuszcza się im jej niewiele. On i tak nie żyje, Fedro.

Nie próbowałam z nim dyskutować; miał rację. Piliśmy herbatę z krwi. Przeżyliśmy drogę przez góry i zjechaliśmy do Kamlachu.

Do prowincji zdradzieckiego diuka, Izydora d’Aiglemort, i Sprzymierzeńców.

To byłby cud, gdybyśmy pokonali niepostrzeżenie pogranicze Terre d’Ange. Śpiewając o tej zimie, poeci – z których żaden nie postawił nogi w Kamaelinach, możecie być pewni – zwą ją Najsroższą. Przez całą zimę Skaldowie zapuszczali się na przełęcze, próbując przebić się na naszą stronę. Granica była dobrze patrolowana.

Sprzymierzeńcy z Kamlachu znaleźli nas tej nocy.

Zaniedbaliśmy ostrożności, to prawda, ciesząc się, że żyjemy. Obozowisko urządziliśmy w ustronnym miejscu i rozpaliliśmy niewielkie ognisko, ale na tych ziemiach, niewiele przyjaźniejszych od terytoriów Skaldów, równie dobrze moglibyśmy postawić latarnię morską i dawać sygnały.

Znalazł nas niewielki oddział zwiadowców. Wyjechali z ciemności z cichym brzękiem uprzęży, blask ognia zamigotał na ich kolczugach. Joscelin z przekleństwem zerwał się na nogi, żeby zasypać śniegiem ognisko, ale było za późno; już nas

otoczyli.

Spodziewali się nas nie bardziej niż my ich, a nawet mniej, jak sądzę. Było ich około dwudziestu, wszyscy D'Angelinowie, patrzący na nas z konsternacją. Moje serce wypełniała radość przemieszana ze strachem, gdy spojrzałam niespokojnie na ich chorążego.

Zobaczyłam płonący miecz na czarnym polu. Sprzymierzeńcy z Kamlachu. Na szczęście nie byli ludźmi d'Aiglemorta; Elua ulitował się nad nami. Pod sztandarem łopotał proporzec z górskim szczytem i świerkiem, srebrzystym na zielonym polu. Czyj to herb? – zastanawiałam się rozpaczliwie, przeszukując archiwa pamięci.

Kątem oka zobaczyłam, że Joscelin składa kasjelicki ukłon, sięgając po sztylety. Z krzykiem rzuciłam się na niego i podciąłam mu kolana. Razem potoczyliśmy się po śniegu, podczas gdy Sprzymierzeńcy z Kamlachu wytrzeszczali oczy. Niezależnie komu służyli, nie chciałam, by po Kamlachu rozeszła się wieść o samotnej kobiecie i bracie kasjelicie wędrujących po bezdrożach.

Jeden wystąpił do przodu, doświadczony wojownik w podniszczonej zbroi.

– Kim jesteście? – zapytał ostro.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak musimy wyglądać, ogorzali od wiatru i śniegu, ubrani w skaldyjskie futra, sami w środku zimy, z jednym skaldyjskim kucem do towarzystwa.

– Panie! – zawołałam, nakazując Joscelinowi zachowanie milczenia. – Wybacz, nie chcemy nikomu zrobić szkody! Czy weszliśmy tam, gdzie wchodzić nie należy?

Opadł w siodle, uspokojony moim tonem i zdecydowanie d'Angelińskim akcentem.

– Nie, dziewczyno, każdemu wolno tędy chodzić. Ale tak blisko granicy nie jest bezpiecznie. Kim jesteście i dokąd zmierzacie?

A zatem tak łatwo się nie wykpimy, pomyślałam. Głośno przełknęłam ślinę i skłamałam bez zająknięcia:

– Jestem Suria z Trefail, panie, a to mój kuzyn Jareth. – Zadrżałam, wcale nie udając strachu; porażka teraz, po wyrwaniu się Skaldom, była nie do pomyślenia. – Kilka dni temu nasza wioska została spalona przez Skaldów. My... mój kuzyn otrzymał cios w głowę, ukryłam go w pustym spichrzu. Nie znaleźli nas, panie. Zabraliśmy te rzeczy tym, którzy już ich nie potrzebowali, i uciekliśmy, chcąc dotrzeć do Miasta. Czy źle postąpiliśmy?

To było ryzykowne zagranie. Nie miałam pojęcia, gdzie dokładnie jesteśmy ani jak dobrze ci jeźdźcy znają górskie wioski. Ale jedna rzecz była pewna. Trefail zostało zniszczone przez Skaldów. Wiedziałam to, bo tam się urodził Alcuin.

– Nie, nie, dobrze. – Twarz zwiadowcy była nieodgadniona w mrugającym świetle. – Wzięliście nas za Skaldów?

– A żebyś wiedział, panie. – Zadrżałam i rzuciłam okiem na Joscelina. Milczał, z twarzą ocienioną przez wilczą maskę na czole. – Mój kuzyn wpadł w popłoch. – Joscelin bez słowa pokiwał głową. Jakimś sposobem udało mu się zrobić tępą minę, z czego byłam rada.

Dowódca przygryzł dolną wargę, rozmyślając. Widziałam, jak wodzi po nas wzrokiem, oceniając nasze stroje i ekwipunek. Trzymałam głowę lekko odwróconą, mając nadzieję, że w przygaszonym, kapryśnym świetle nikt nie zauważy znaku po Strzale Kusziela. Przez chwilę myślałam, że nam się uda, ale potomkowie Kamaela są urodzonymi wojownikami i niczego nie zostawiają przypadkowi.

– Nie macie czego szukać w Mieście Elui – powiedział chytrze dowódca. – Zima była ciężka, w Mieście panuje gorączka. Pojedziecie z nami do Bois-le-Garde. Markiz le Garde nie odpędza kamaelickich uciekinierów, nie zostaniecie bez opieki. – Odwrócił się do swoich ludzi. – Brys, jedź przodem i uprzedź kasztelana, że nadciągamy. Przekaż mu wszystkie szczegóły.

Położył nacisk na ostatnie słowo; pomyłka była wykluczona. Jeździec zawrócił konia, by ruszyć na północ.

Joscelin był szybki niczym błyskawica, a co więcej, zareagował bardziej jak Skald niż kasjelita, z brutalną skutecznością. Jeden sztylet – tylko jeden – błysnął w powietrzu, gdy chwycił dowódcę zwiadu z Bois-le-Garde i przycisnął mu ostrze do gardła.

– Z koni – poleciał krótko. – Wszyscy. Natychmiast!

Posłuchali, ale w ich oczach płonęła furia. Joscelin zaciskał zęby i pewnie trzymał sztylet. Dowódca stał bez ruchu.

Nie potrzebowałam rozkazów. Szybko pozbierałam nasze rzeczy, przytroczyłam pakunki do grzbietu kucyka.

– Dwa konie. – Joscelin był napięty jak struna; widziałam, ile wysiłku kosztowało go grożenie sztyletem bratu D’Angelinowi. Oddychał ciężko. – Rozpędź pozostałe.

Zrobiłam to na oczach kilkunastu uzbrojonych wojowników, zastygłych w nienawiści. Nie przeszkodzili mi wyłącznie dlatego, że nie chcieli złożyć swojego dowódcy w ofierze. Przywykłe do karności konie nie chciały opuścić swoich właścicieli; musiałam krzyczeć, wymachiwać rękami i bić je brutalnie po zadach. Wreszcie rozbiegły się we wszystkie strony, z wyjątkiem tych dwóch, które przywiązałam do drzewa. Szarpały za wodze, przewracając dużymi oczami, aż błyskały białka.

– Fe... Surio, wsiadaj. – Joscelin ugryzł się w język i zaklął, podrywając sztylet.

Dowódca chrapliwie zaczerpnął tchu.

– Nie uda wam się – powiedział zawzięcie. – Ruszymy za wami.

– Ochronią nas krewni w Marsilikos! – zawołałam wyzywająco. – Nie macie prawa zatrzymywać wolnych D’Angelinów!

– Cicho! – syknął Joscelin. – Surio, wynośmy się stąd.

Odwiązałam konia, skoczyłam na siodło i popędziłam na złamanie karku przez las, wlokąc kuca na postronku.

Tym, którzy tego nie próbowali, nie polecam jazdy wierzchem na ośle po nieznanym terenie. Oba konie, zarażone moim strachem, jak szalone przedzierały się przez krzaki. Joscelin, ciemna postać na końskim grzbiecie, dopędził nas niespełna pół mili dalej. Uciekaliśmy razem co sił w końskich nogach.

Noc była bezchmurna, chwała Błogosławionemu Elui, gwiazdy płonęły jasno na czarnym niebie, zamrożone nad naszymi głowami. Z pewnością zabłądzilibyśmy, gdyby Wielki Pług i Gwiazda Nawigatora nie wskazywały nam drogi, zalewając słabym srebrzystym światłem śnieżny krajobraz. Mając w pamięci mapę, prowadziłam na północ. W końcu musieliśmy trafić na jeden z wielkich traktów królestwa: Drogę Ejszet, którą Tyberyjczycy zwali Via Paullus.

Droga Ejszet wiedzie na południe, na wybrzeże. Największym leżącym przy niej miastem jest Marsilikos, założone dawno temu przez Hellenów, jeszcze przed czasami Elui. Ponieważ jest miastem portowym, trafia tam wielu wędrowców. Miałam nadzieję, że ludzie markiza le Garde chwycą przynętę i podążą na południe.

Dotarliśmy do Drogi Ejszet przed świtem. Nasze wierzchowce chwiały się ze zmęczenia, pokryte pianą, niemal zajeżdżone. Kucyk kulawo kłusował za nami, ciężko robiąc bokami. Choć

sama ledwo żyłam ze zmęczenia, było mi wstyd, że doprowadziliśmy do takiego stanu naszego czworonożnego przyjaciela.

O tej porze roku handel praktycznie zamiera. Wtedy, w Najsroźszą Zimę, ozłocony pierwszym światłem trakt był pusty jak okiem sięgnąć.

Sprzymierzeńcy z Kamlachu mogli być milę za nami.

– Wypatruj bocznej drogi – powiedziałam do Joscelina, z wysiłkiem podnosząc głos. – Jakiegokolwiek drogi wiodącej na zachód. I módl się, żeby pościg pojechał w kierunku Marsilikos.

Ze znużeniem pokiwał głową. Spięliśmy konie, próbując wymusić na nich tempo, któremu nie mogły sprostać. Po godzinie jazdy Drogą Ejszet zobaczyliśmy odnogę z godłem Elui, które wskazywało, że prowadzi do Miasta.

– Tam. – Joscelin wyciągnął rękę.

Przekrzywiłam głowę i nasłuchiwałam przez chwilę. Z dali dobiegał chaotyczny tętent licznych kopyt. Tuzin ludzi, osądziłam, jadących na koniach równie zdrożonych jak nasze.

– Jazda! – wysapałam, wbijając pięty w boki wierzchowca. Rzuciliśmy się do ucieczki.

Po przejechaniu mili natknęliśmy się na jezuicki wóz.

Szczerze mówiąc, niemal na niego wpadliśmy, wyjeżdżając galopem zza zakrętu. Droga była wąska. Spłoszone konie stanęły dęba i okręciły się na zadnich nogach; muły w zaprzęgu zastrzygły uszami i wyszczerzyły zęby. Joscelin coś krzyknął, nie wiem, co. Mała dziewczynka wysunęła głowę z tyłu wozu, a woźnica odwrócił się, żeby zobaczyć, co jest przyczyną tego zamieszania.

Do tej chwili nie wiedziałam, że wpadliśmy na Jeszuitów. Poznałam ich po zwisających pejsach woźnicy, znacznie

dłuższych niż włosy przycięte na karku. Chciałam coś powiedzieć, ale Joscelin mnie ubiegł.

– *Baruch hatah Adonai*, ojciec – wydyszał, z szacunkiem kłaniając się w siodle. – Wybacz to najście.

– *Baruch hatah jeszua a’Masziach, lo halam*. – Odpowiedział machinalnie woźnica, wpatrując się w nas bystrymi ciemnymi oczami. – Jesteś odstępcą, jak mniemam.

Joscelin znów się uklonił. Spod płóciennej kłapy z tyłu wozu wychyliła się druga twarz, roześmiana i młoda.

– Tak. Jestem Joscelin Verreuil z Bractwa KasjELITÓW.

– Aha. A kto was ściga?

Zaczerpnęłam tchu, ale Joscelin znowu mi przeszkodził.

– Ludzie, którzy odstąpili nawet od nauk Błogosławionego Elui, owocu z pędu Jezui ben Josefa. Przepuść nas, a odjedziemy. *Jaer Adonai panav...*

– A dlaczego was ścigają?

– Żeby nas zabić – wtrąciłam niecierpliwie. – Panie...

– Wasze konie, jak mniemam, długo nie pociągną.

Prawda, wiedziałam, że to prawda, ale musiały jeszcze wytrzymać. W owej chwili myślałam wyłącznie o oddaleniu się od prześladowców. Jeszcze mieliśmy szansę, bo ścigali nas na równie zmęczonych wierzchowcach. Ale za nimi mogli podążać bardziej wypoczęci jeźdźcy. Musieliśmy jak najszybciej wydostać się z Kamlachu.

– Tak, panie, ale...

– Ukryj nas, ojciec – wybuchnął Joscelin, błagając wzrokiem woźnicę. – Ludzie, którzy nas ścigają, nie będą nas szukać w rodzinie Jezuitów. Uważają nas za buntowników, może za skaldyjskich szpiegów. Przysięgam ci, że jest inaczej. Jesteśmy wolnymi D’Angelinami, uciekliśmy z niewoli i wieziemy

informacje, od których zależy wolność naszego narodu.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze, przestraszona ujawnieniem naszego sekretu. Jezuita powoli pokiwał głową, potem zajrzał do wozu.

– Co ty na to, Danele?

Zasłona odsunęła się. Kobieta o życzliwych, mądrych oczach zapędziła dwie dziewczynki w głąb wozu. Popatrzyła na Joscelina i na mnie. Jej rysy złagodniały, zwłaszcza po zlustrowaniu mojego towarzysza.

– Należy do apostatów, Taavi. Wpuść go. – Podnosząc głos, zawołała: – Dziewczęta! Zróbcie miejsce!

Tak oto dołączyliśmy do Jezuitorów.

PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Wcześniej nie miałam pojęcia o związkach istniejących pomiędzy Bractwem KasjELITÓW a JezuITAMI. Są one oczywiste i powinnam je dostrzec, ale o takich rzeczach nie mówi się poza środowiskiem braci. Kasjel był odstępcą, jak nazywają go Jesuici, ale przecież nigdy nie wyparł się wiary w Boga Jedynego, tylko odwrócił się od niego w smutku. Sam jeden pośród Towarzyszy pozostał wierny przykazaniom swojego Pana i nie zadawał się ze śmiertelnikami.

Oczywiście, kasjelici wierzyli, że przyjął na siebie obowiązek, którego zaniedbał Bóg Jedyny – miłość do syna z krwi Jesuici – a Jesuici widzieli to inaczej, ale mimo tych rozbieżności istniała więź między nimi. Jak dobrze wiedziałam, nawet kasjelici wierzyli, że Kasjel wybrał potępienie, kiedy postanowił zostać Towarzyszem Elui, Towarzyszem Doskonałym.

Puściliśmy luzem konie z Bois-le-Garde i popędziliśmy je na południe. Niespodziewanie dziewczynki zakochały się w skaldyjskim kucu i z poparciem matki błagały ojca, żeby go nie zostawiał. Po chwili namysłu Taavi wyraził zgodę i nasz wierny kuc został przywiązany z tyłu wozu.

– Szczypta prawdy doprawia kłamstwo jak sól – powiedział filozoficznie. – Wy pozbyliście się koni. My powiemy, że znaleźliśmy błakającego się kuca, jeśli ktoś zapyta. Jeśli nas znajdą.

Znaleźli.

Stało się to niespełna godzinę po spotkaniu z JezuITAMI i

niedługo po tym, jak schowaliśmy nasz ekwipunek i wsiedliśmy do schludnego, zadbanego wozu. Danele sprawnie dyrygowała roześmianymi córkami, każąc im przykryć nas motkami wełny i belami płótna; Taavi, jak się okazało, był tkaczem, a ona zajmowała się farbowaniem. Dziewczynki chichotały i tręcały się łokciami. Oczarowany Joscelin uśmiechał się do nich, a wówczas śmiały się jeszcze głośniej.

Mając słuch wyostrzony dzięki treningowi u Delaunaya, pierwsza usłyszałam tętent.

Wiele przeszliśmy, ale jeszcze nigdy nie czułam się taka bezradna jak wtedy, gdy kuciałam w ciemności za belami materiału, podczas gdy Taavi z rozbrajającą szczerością odpowiadał na pytania jeźdźców – dwóch, sądząc z głosów. Nie, nie jadą do Miasta, tylko do krewnych w L’Arene. Tak, znaleźli kuca na Drodze Ejszet, błakającego się samopas, bez juków. Nie, nie widzieli nikogo. Tak, Kamaelici mogą zajrzeć do wozu. Odsunięto gwałtownie zasłony. Na milczących, ostrożnych jeźdźców z Bois-le-Garde spojrzały trzy pary zaciekawionych jeszuickich oczu.

Ze swojej kryjówki ujrzałam w przelocie zmęczoną, obojętną twarz jednego ze zwiadowców. Zasłony opadły, mogliśmy jechać dalej.

Podekscytowane dziewczęta zaczęły piszczeć, gdy muły ruszyły truchtem. Danele uciszyła je, mocno przytulając do siebie. Odetchnęłam cicho i poczułam, że Joscelin zrobił to samo.

Spędziliśmy trzy dni z Jeszuitami.

Niektórzy przeczą twierdzeniu, że ludzi charakteryzuje wrodzona dobroć. Powiem im, że gdyby wiedli moje życie, zmieniliby zdanie. Poznałam otchłanie zła, jakiego dopuszczają się śmiertelnicy, i widziałam wyżyny szlachetności. W najmniej

prawdopodobnych miejscach spotykałam się z przejawami współczucia, podobnymi do górskich kwiatów, które rozkwitają w szczelinach litej skały.

Doświadczyłam życzliwości ze strony rodziny Taaviego.

Nie zadając żadnych pytań, ze szczerego serca podzielili się z nami tym, co mieli. Poznałam trochę ich dzieje; żałuję, że nie dowiedziałam się czegoś więcej. Pochodzili z wioski leżącej w głębi Kamlachu, gdzie z dziada pradziada zaspokajali zapotrzebowanie mieszkańców na farbowane tkaniny. Ale wioskę nawiedziła gorączka i Jeszuitów posądzono o ściągnięcie zarazy, choć najwyraźniej przywłókł ją kurier z Miasta Elui. Dlatego uciekli na południe, z dorobkiem całego życia załadowanym na wóz.

Pobyt w rodzinie zrobił na mnie dziwne wrażenie. Tylko w Perrinwolde miałam okazję posmakować podobnego życia. Swoich rodziców pamiętałam jak przez mgłę; po drodze i karawanserajach pojawiła się duejna Domu Cereusa. Joscelin był w lepszej sytuacji. Do dziesiątego roku życia stanowił część rodziny, kochającej rodziny. Miał rodziców, braci i siostry. Umiał bawić się z dziećmi, rozśmieszać je i przekomarzać się z nimi.

A one go uwielbiały.

Taavi i Danele uśmiechali się, zadowoleni, że postąpili słusznie, nie odmawiając nam pomocy. Na mnie spoglądali ze współczuciem i zwracali się do mnie przyciszonymi głosami.

Taka życzliwość; takie nieporozumienie.

Było mi przykro, że jestem tym, kim jestem.

Rozstaliśmy się kilka mil przed Miastem Elui. Uzgodniliśmy to we czwórkę przy wieczornym ognisku. Jeszuici nie chcieli wjeżdżać do Miasta, gdzie podobno wciąż szalała gorączka; my nie mieliśmy wyboru.

– Podwieziemy was do bramy – zaproponował Taavi ze strapieniem w głosie. – Nie nadłożymy zbyt drogi, a wy będziecie z nami bezpieczni. Nikt nie zaczepi biednego tkacza i jego rodziny.

– Dość dla nas zrobiłeś, ojcze – powiedziałam. Wtedy już wiedziałam, że ta forma wyraża szacunek dla starszych, choć Taavi i Danele mieli tylko parę lat więcej niż my. – Nie wiemy, jakie powitanie nas czeka. Jedźcie do l’Arene i żyjcie dostatnio. Zrobiliście dla nas więcej niż mogliśmy marzyć.

Dziewczynki – ośmioletnia Maja i sześćioletnia Rena – bawiły się przy wozie. Maja założyła na głowę białą wilczą skórę i goniła młodszą siostrę, piszcząc z radości, a Rena uciekała dokoła stojącego spokojnie kuca i pękała ze śmiechu. Danele z miłością w oczach patrzyła na córki. Radosne krzyki dzieci wzbijały się w niebo. Jeśli Waldemar Selig zrealizuje swój plan, śmiech dzieci, d’Angelińskich i jeszuickich, już nie będzie rozbrzmiewać pod tymi gwiazdami.

– Mimo wszystko chciałbym...

– Nie – powiedział łagodnie Joscelin. Uśmiechał się, ale jego stanowcza mina wyraźnie mówiła, że nie da się przekonać. – Pojedziemy z wami do rozstajów, a ostatnie mile pokonamy na piechotę. Nawet dla miłości samego Kasjela nie naraziłbym twojej rodziny na dalsze niebezpieczeństwa.

Taavi otworzył usta, by jeszcze raz się sprzeciwić, lecz Danele położyła rękę na jego ramieniu.

– Przestań już – skarciła go delikatnie. – To ich decyzja, podjęta w najlepszej wierze.

Taavi niechętnie pokiwał głową. Pod wpływem impulsu zdjęłam z szyi diament Melisandy i wyciągnęłam w jego stronę. Szlachetny kamień zamigotał w blasku ognia.

– Proszę – powiedziałam. – Za wszystko, co zrobiliście. Ułatwi wam urządzenie się w l’Arene.

Popatrzyli na siebie, potem oboje pokręcili głowami, odmawiając przyjęcia klejnotu, który kołysał się na sznurku w mojej dłoni.

– To za wiele – po wiedział Taavi. – Pomogliśmy wam nie dla zysku. – Danele, z ręką na jego ramieniu, pokiwała głową.

– Ale...

– Nie – odparł zdecydowanie Taavi. – Dziękuję, Fedro, ale nie mogę tego przyjąć. To za wiele.

– Jesteś skazana na tę błyskotkę – powiedział Joscelin cierpko, patrząc na Maję i Renę. Dziewczynki obejmowały szyję kuca, zapomniawszy o gonitwie. – Ale może jest coś mniej wartościowego, ojczy, czym moglibyśmy wyrazić naszą wdzięczność – dodał z uśmiechem.

Pożegnaliśmy się ze łzami i błogosławieństwami z obu stron. Taavi cmoknął na muły z wysokiego kozła i furgon powoli potoczył się na południe. Danele i dziewczynki machały do nas z tyłu wozu, a kudłaty kuc truchtał na postronku. Z żalem rozstałam się z tym wiernym, dzielnym towarzyszem, ale byłam szczęśliwa, że mogliśmy dać go w podzięcie za okazaną życzliwość.

Przed nami na zachodzie wznosiły się białe mury Miasta Elui, mojego domu. Joscelin odetchnął głęboko, aż para buchnęła w zimnym porannym powietrzu, i zarzucił na ramię nasze tobołki. Niewiele mieliśmy do dźwigania, gdyż większość rzeczy zostawiliśmy rodzinie Taawiego. Ja zatrzymałam płaszcz z wilczej skóry i sztylet Trygvego, a Joscelin w worku z prowiantem od Danele utknął futro Białych Braci i dwa bukłaki. Rzeczy te zatrzymaliśmy na dowód pobytu w niewoli.

Swoboda, jaką odczuwaliśmy wśród Jesuitów, zniknęła po drodze do Miasta. Spędziliśmy poza krajem długie miesiące. Kto zasiadał na tronie Elui? Jak głęboko sięgały korzenie spisku, którego ofiarą padł Delaunay? Kto brał w nim udział, a kto nie? Z narastającym niepokojem uświadomiłam sobie, że czekają nas problemy. Co powiedział Alcuin? Ufaj Roussemu, Trevalionowi, Thelesis de Mornay. Delfinie, nie królowi.

Szansę, że Kwintyliusz Rouse przebywa w Mieście, były nikłe; na pewno zimował ze swoją flotą. Trevalion... może. Ale będzie kwaterować w pałacu, podobnie jak Thelesis de Mornay – nadworna poetka – i, oczywiście, Ysandra de la Courcel. Aż nazbyt dobrze pamiętałam, co się stało, gdy próbowaliśmy do niej dotrzeć.

Błogosławiony Eluo, modliłam się w duchu, niechaj Melisanda Szachrizaj przebywa gdzie indziej.

Gdyby jednak nawet nie było jej w Mieście, nie miałam pojęcia, kim mogą być jej sprzymierzeńcy i jak rozległa jest jej sieć. Nie mieliśmy dostępu do ludzi wymienionych przez Alcuina, a nikomu innemu nieśmiałam zaufać.

Z wyjątkiem Hiacynta.

Podzieliłam się swoimi wnioskami z Joscelinem. Wysłuchał mnie, ale nic nie odpowiedział.

– To ci się nie podoba – stwierdziłam.

Szedł miarowym krokiem, wpatrując się w horyzont. Na drodze panował ruch, wprowadzie niewielki, gdyż była zima, ale od czasu do czasu mijały nas powozy. Pasażerowie spoglądali na nas z zaciekawieniem, i nic dziwnego. Byliśmy zmęczeni, potargani, ubrani w wełniane stroje i futra powiązane rzemieniami, pospinane agrafkami z brązu, a Joscelin paradował z kasjelskim mieczem na ramieniu. Wzbudzaliśmy

zainteresowanie, co podsycalo mój niepokój.

– Nie masz nikogo innego, do kogo mogłabyś się zwrócić? – zapytał w końcu. – Żadnego klienta, żadnego przyjaciela Delaunaya?

– Nie bez ryzyka. – Zerwał się wiatr, więc odruchowo otuliłam się płaszczem. – Nie mówimy o zwyczajnej przysłudze, Joscelinie. Do kogo się zwrócimy, będziemy zdani na jego łaskę. Hiacyntowi jestem gotowa powierzyć życie. Nikomu innemu.

– Książę Podróżnych – powiedział z ironią. – Zastanowiłaś się, ile złota mógłby dostać za twoją głowę?

Bez namysłu uderzyłam go w twarz. Staliśmy na środku drogi i mierzyliśmy się wzrokiem.

– Może jest Cyganem... – wycedziłam cicho – ale zawsze był moim przyjacielem, gdy nie miałam nikogo innego, i nigdy nie chciał ode mnie ani centyma. Kiedy Baudoin de Trevalion został skazany na śmierć, Hiacynt dał mi pieniądze na złożenie ofiary ku jego pamięci. Czy wiesz, że byłam pożegnalnym prezentem od Melisandy, zanim zdradziła księcia Baudoina?

– Nie. – Joscelin pobladł pod opalenizną. Czerwony ślad po mojej dłoni odznaczał się wyraźnie na jego policzku. – Przykro mi.

– Jeśli masz lepszy pomysł, to mów – burknęłam ponuro. – Ale nie chcę więcej słyszeć jednego złego słowa o Hiacyncie.

Popatrzył w kierunku Miasta. Było już niedaleko, mury jaśniały w słońcu.

– Mogę porozmawiać z kapitanem kasjelickiej straży króla. Jest bratem, powinien mnie przyjąć. Został zaprzysiężony, będziemy mogli mu zaufać.

– Jesteś pewien? – Zaczekałam, aż znowu spojrzy na mnie. – Bez cienia wątpliwości, Joscelinie? Zniknąłeś z Miasta ze swoją

podopieczną, słynną sługą Naamy i zabawką możnych, pozostawiając rzeźnię w domu Anafiela Delaunaya. Skąd możesz wiedzieć, jaki jad wsączono w chętne uszy podczas naszej nieobecności? Jesteś pewien, że zostaniesz dobrze przyjęty przez Bractwo Kasjelitów?

Moje słowa uderzyły go jak maczuga. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że ktoś mógłby zakwestionować jego honor kasjelity.

– Nikt nie ośmieliłby się zasugerować niczego takiego! – wychrypiał. – A gdyby nawet, żaden kasjelita nie dałby temu wiary!

– Nie? – zapytałam ze znużeniem w głosie. – Ale skoro ja o tym pomyślałam, inni też mogli wpaść na podobny pomysł. Co zaś dotyczy dawania wiary... w co łatwiej uwierzyć? W morderstwo z chciwości i żądz czy w rozległy, misterny spisek, mający na celu oddanie tronu w ręce Skaldów? W spisek znany wyłącznie tobie i mnie?

Po chwili skinął głową, poprawił tobolek na ramieniu i odwrócił się w stronę Miasta.

– Niech będzie po twojemu. Módl się, żeby nie żałować swojego wyboru. Tak czy owak, najpierw musimy przejść przez bramę.

Popatrzyłam na odległe mury i zadrżałam.

Na przekór naszym obawom wejście do Miasta okazało się dziecinnie łatwe. Dwaj zmęczeni strażnicy miejscy zatrzymali nas przed bramą, z daleka zlustrowali nasze dziwaczne stroje, bez większego zainteresowania zapytali, kto zacz i w jakiej sprawie. Podałam fałszywe nazwiska i wyrecytowałam zmyśloną historyjkę, powołując się na wioskę Taaviego i Danele. Zadali nam parę pytań, głównie dotyczących zdrowia, i kazali pokazać języki.

Rozbawieni, posłuchaliśmy bez sprzeciwu. Jeden podszedł bliżej, żeby rzucić okiem, a potem kazał nam ruszać.

– A więc to prawda – powiedział Joscelin cicho. – W Mieście szaleje zaraza.

Nie odpowiedziałam, przytłoczona świadomością, że znów jestem tutaj. Dla niego to nie miało takiego znaczenia; Miasto nie było jego domem, nie urodził się i nie wychował w obrębie tych murów. Chciało mi się płakać na widok pięknych budowli, eleganckich brukowanych ulic, szpalerów drzew, nagich w środku zimy. I ludzi! Mimo zimna i panującej gorączki, wokół byli ludzie, D'Angelinowie, a ich głosy brzmiały w moich uszach niczym anielskie pienia.

Gdy zapadł zmierzch, ruszyliśmy do Progu Nocy. Szliśmy okrężną drogą przez uboższe dzielnice, gdzie nasz wygląd nie przyciągał niczyjej uwagi. Śliska ciekła mi do ust, gdy wdychałam zapach stawy gotowanej w domach i gospodach; kuchnia d'Angelińska, prawdziwe jedzenie! Dotarliśmy do Progu Nocy o odpowiedniej porze. Latarnie uliczne niedawno zostały zapalone i na ulice wychodzili pierwsi amatorzy zabaw, mniej liczni niż dawniej, ale jednako wspaniali w swoich jedwabiach i aksamitach, brokatach i klejnotach migocących w świetle.

– Joscelinie, nie możemy tam wejść – szepnęłam, gdy stanęliśmy w cienistym zaułku naprzeciwko “Kogutka”. – Powstanie zamieszanie i przed północą wieści dotrą do pałacu. Języki w Progu Nocy obracają się szybciej niż przypuszczasz.

– Masz jakiś pomysł?

– Chyba tak. Posłuchaj. – Przedstawiłam mu swój plan.

W stajni Hiacynta panowała cisza i spokój. Było jeszcze za wcześnie na interesy. Konie drzemały w zagrodach, wewnątrz pachniało sianem. Dwaj dwunasto- lub trzynastoletni chłopcy

pełnili służbę, umilając ją sobie grą w kości. Wzięliśmy ich z zaskoczenia. Jeden wrzasnął, widząc miecz Joscelina, a potem obu sparaliżował strach. Nie byłam zdziwiona. Nawet bez wilczej skóry rozczochrany Joscelin bardziej przypominał skaldyjskiego wojownika niż brata kasjelitę.

– Pracujecie dla Hiacynta? – zapytałam. Pokiwali głowami. – Dobrze. Ty... – wskazałam na tego, który nie krzyknął – coś dla mnie zrobisz. Od tego, jak się sprawisz, zależy życie twojego kolegi. Znajdź Hiacynta i powiedz, żeby tu przyszedł. Sam i dyskretnie. Powiedz mu, że dawna przyjaciółka potrzebuje pomocy. Jeśli zapyta, kto taki, powiedz, że jedliśmy bułeczki pod mostem przy Skrzyżowaniu Tercjusza. Rozumiesz?

Pokiwał głową.

– Dawna przyjaciółka – powiedział bez tchu. – Bułeczki. Skrzyżowanie Tercjusza. Tak, pa... rozumiem.

– To dobrze. – Też nie nazwałabym panią kogoś w moim obecnym stanie. – Jeśli piśniesz komuś słówko, jedno słówko, albo jeśli ktoś postronny usłyszy, co mówisz Hiacyntowi, twój kolega zginie. Rozumiesz?

– Tak! – Pokiwał głową tak energicznie, że grzywka spadła mu na oczy. – Tak, przysięgam!

– To dobrze – powtórzyłam i dodałam złowieszczo: – I jeśli my cię nie zabijemy, bądź pewien, że robi to Hiacynt, więc lepiej nie popełnij błędu. Idź już!

Wypadł za drzwi jak strzała i usłyszeliśmy tupot jego stóp na ulicy. Joscelin schował miecz.

– Nic ci się nie stanie, jeśli tamten dotrzyma słowa – pocieszył drugiego chłopaka, który gapił się na nas, biały jak prześcieradło. – Tylko nie próbuj za nim pogalopować.

Chłopak pokiwał głową.

Czekaliśmy, napięci niczym struny harfy. Miałam wrażenie, że odkąd zbudziłam się w tamtym krytym wozie, chora na ciele i duszy, wciąż nadśłuchiwałam zbliżających się kroków. Te znałam. Rozpoznałam niedbały krok Hiacynta, szuranie obcasów o kocie łby.

A potem wszedł do stajni i zamknął drzwi, a wówczas wszelkie pozory nonszalancji zniknęły bez śladu. Odwrócił się. Jego twarz przypominała maskę nadziei i niedowierzania.

– Fedra?

Zrobiłam dwa kroki i rzuciłam mu się w ramiona.

Joscelin pilnował drzwi z dobytym mieczem, broniąc wstępu obcym i uniemożliwiając ucieczkę chłopcom Hiacynta. Ten, którego po niego posłaliśmy, stał z pięścią przyciśniętą do zębów. Ze wstydem przyznam, że zupełnie się rozkleiłam; hamowane tygodniami przerażenie znalazło upust w potężnych szlochach, gdy wtulałam twarz w ramię Hiacynta. On przytulał mnie mocno i mruczał uspokajająco głosem drżącym ze zdumienia. W końcu odzyskałam panowanie i odsunęłam się od niego, wycierając łzy z oczu.

– W porządku? – Hiacynt uniósł brwi, a ja pokiwałam głową, urywanie zaczerpując tchu. Skinął na chłopców i sięgnął do sakiewki. – Posłuchajcie. To, co widzieliście tego wieczoru, nie miało miejsca. Zrozumiano? – Obaj bez słowa pokiwali głowami. – Dobrze się sprawiliście. Weźcie to za fatygę i trzymajcie gęby na kłódkę. Nie rozmawiajcie o tym nawet między sobą. W przeciwnym wypadku, przysięgam, rzucę na was *dromonde* i przeklnę was tak, że pożałujecie, żeście się urodzili. Rozumiecie?

Zrozumieli. Hiacynt odprawił ich i obaj czmychnęli, rzucając zalęknione spojrzenia na Joscelina.

Hiacynt nie przyjrzał mu się dobrze. Spojrzał dopiero teraz,

gdy Joscelin schował miecz, i zamrugał ze zdziwienia.

– Kasjelita?

Joscelin uśmiechnął się cierpko, skłaniając głowę.

– Książę Podróżnych.

– Błogosławiony Eluo, myślałem, że nie wolno ci dobywać miecza... – Hiacynt otrząsnął się jak zbudzony ze snu. – Chodźcie – powiedział stanowczym tonem. – Zabiorę was do domu. Macie rację, pokazywanie się ludziom nie jest dla was bezpieczne.

Zamknęłam oczy.

– Czy myślą...

– Tak. Zostaliście osądzeni i skazani zaocznie – powiedział Hiacynt niezwykle łagodnym głosem. – Za zamordowanie Anafiela Delaunaya i jego domowników.

PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Hiacynt nadal mieszkał w tym samym domu na Rue Coupole, ale sam. Z żalem dowiedziałam się, że gorączka zabrała jego matkę, która ulitowała się nad cygańską rodziną, gdzie chorowało najmłodsze dziecko, i zaraziła się od niego. Obecnie nikt nie najmował pokoi, a Hiacynt uznał, że nikogo nie przyjmie, dopóki choroba nie wygaśnie. Dowiedzieliśmy się, że pierwszymi objawami były białe plamy na języku, dlatego straż miejska sprawdziła nasze i nie interesowała się niczym więcej.

Kuchnia bez starej Cyganki wydawała się dziwna. Hiacynt zagrzał wodę do kąpieli na piecu, nad którym zwykle mamrotała, i posłał jednego ze swoich gońców do “Kogutka” po gorące jedzenie. Kazał mu powiedzieć, że tej nocy wydaje prywatne przyjęcie.

Ciepło, czystość i bezpieczeństwo – miałam wrażenie, że to nadzwyczajne luksusy. Siedzieliśmy wokół kuchennego stołu i jedliśmy gołębie zapiekane w rozmarynie, popijając je dość dobrym czerwonym winem. Pomiędzy łapczywymi kęsami na zmianę opowiadaliśmy, co się stało, szkicując przebieg wydarzeń. Trzeba przyznać, że Hiacynt nie przerwał nam ani razu, słuchając z powagą, gdy oboje snuliśmy opowieść. Kiedy usłyszał o zdradzie d’Aiglemorta i skaldyjskim planie napaści na nasz kraj, jego twarz poszarzała, jakby nagle się rozchorował.

– Nie – powiedział. – To niemożliwe!

– Myśli, że tego dokona. – Napiałam się wina i odstawiłam kieliszek. – Ale nie ma pojęcia, ilu ludzi mogą zwerbować

Skaldowie. Musimy z kimś porozmawiać, Hiacyncie. Z delfiną albo z kimś, kto ma do niej dostęp.

– Zastanawiam się... – mruknął, sięgając po swój kieliszek. – Wasze życie będzie zagrożone, jeśli ktoś się dowie, że jesteście w Mieście.

– Jak... dlaczego? Dlaczego myślą, że to zrobiliśmy? – Joscelin także wypił trochę wina i był rozgorączkowany. – Kto miałby na tym zyskać?

– Przedstawię ci powszechnie przyjętą teorię. – Hiacynt zakręcił winem w kieliszku, spoglądając w jego głębie. – Plotka mówi, że Barquiel L'Envers zapłacił wam bajońską sumę za zdradzenie Delaunaya i złamanie przysięgi, kasjelito. Wpuściliście do domu akadyjską straż. W ten sposób diuk wyrównał stare porachunki za Izabelę, a następnie wyprawił was oboje do Khebel-im-Akad. Nie ma na to dowodu, oczywiście, a on nie został formalnie oskarżony, ale historie o zabiciu Dominika Stregazza nie pomogły jego sprawie.

– Nigdy nie... – zaczęłam.

– Wiem. – Hiacynt spojrzał na mnie. – Wiem, że to kłamstwo, i mówiłem to wszystkim, którzy chcieli słuchać. Niewielu jednak stanęło w twojej obronie, chyba tylko Gaspar Trevalion i Cecylia Laveau-Perrin. Prefekt Bractwa Kasjelitów przysłał list, w którym zapewniał o niewinności zakonu. – Skłonił głowę przed Joscelinem. – Ale parlament żądał wyroku i dwór posłuchał. Ludzie nie powinni myśleć, że można bezkarnie zabijać arystokratów.

– Melisanda? – zapytałam, choć już się domyśliłam.

Hiacynt potrząsnął czarnymi kędziorami.

– Jeśli ona maczała w tym palce, to wytarła je do sucha.

– Z pewnością. Zagrała tą kartą na procesie Baudoina. Jest zbyt

sprytna, żeby zrobić to drugi raz. – Bezmyślnie obracałam w palcach diament. – To wyglądałoby podejrzanie – dodałam ponuro.

Hiacynt posprzątał po kolacji, przekładając talerze do balii.

– Wszystko, co mam, jest do twojej dyspozycji, Fedro – powiedział, gdy wrócił do stołu. Usiadł i oparł brodę na rękach. – Poeci i aktorzy chodzą wszędzie i wszystkich znają; mogę za ich pośrednictwem powiadomić wybraną przez ciebie osobę. Problem w tym, że nie mogę ręczyć za ich milczenie.

Instynktownie popatrzyłam na Joscelina, który ściągnął brwi.

– Mówisz, że prefekt przysłał list? – zapytałam Hiacynta. Pokiwał głową.

Joscelin wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem... – powiedział niechętnie. – Skoro bronił niewinności zakonu, a nie mojej... skoro napisał, zamiast przyjść i porozmawiać osobiście... nie. Nie jestem pewien, czy nie wezwałby gwardii królewskiej. Pojadę do niego sam. Dasz mi wierzchowca? – zwrócił się do Hiacynta.

– Tak, oczywiście.

– Nie. – Przycisnęłam palce do skroni. – Nie wiadomo, jaki byłby tego efekt, a poza tym wyprawa zajęłaby kilka dni. Musi być inne wyjście. – Nagle coś wpadło mi do głowy. – Hiacyncie, znajdziesz kogoś, kto zanieś list do Thelesis de Mornay?

– Jasne. – Wyszczерzył zęby. – Może liścik miłosny? Wiadomość od wielbiciela? Nic łatwiejszego. Ale nie mogę zagwarantować, że list trafi do adresatki z nietkniętą pieczęcią.

– To nie ma znaczenia. – Zastanawiałam się gorączkowo. – Masz papier? Prawdziwą wiadomość napiszę w cruithne. Jeśli któryś z twoich poetów zna piktyjski, to zjem ten stół.

Po przeszukaniu skrzyni Hiacynt przyniósł papier, zaostrzył

pióro i ustawił kałamarz na stole. Skreśliłam parę pochlebnych słów w d'Angeline, potem dodałam kilka linijek w cruithne, układając je w taki sposób, by dla niewprawnego oka wyglądały na wiersz. "Ostatni uczeń tego, który mógł być nadwornym poetą, czeka w domu Księcia Podróżnych, błagając o pomoc w imię łabądka króla, jego jedyne go świadectwa".

Przeczytałam głośno po d'Angelińsku, a potem w cruithne, lekko się zacinając.

– Cruithne – mruknął Joscelin; już myślał, że nic go nie zaskoczy. – Znasz cruithne.

– Niezbyt dobrze – przyznałam. Nie wspomniałam o fakcie, że nie znałam słowa określającego młodego łabędzia; opisałam herb Ysandry de la Courcel jako "młodego ptaka wodnego z długą szyją". Ale Thelesis de Mornay mówiła i czytała w cruithne, a co więcej, to ona powiedziała mi, że Delaunay mógłby zostać nadwornym poetą, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. – Zrobisz to?

– Tak, i nie tylko to. Nie podpisuj. – Hiacynt, rozparty na krześle, przystąpił do działania. Wyjął mi list z ręki i zapieczętował go wprawnie kroplą wosku. – Zdaj się na mnie. Dziś wieczorem "Pod Lutnią i Maską" odbywa się przyjęcie. Dopilnuję, żeby Thelesis de Mornay dostała list do jutra przed południem, nawet gdybym musiał przekupić połowę Progu Nocy.

Zarzucił płaszcz na ramiona i zniknął za drzwiami.

– Miałaś rację, można mu ufać – rzekł cicho Joscelin. – Ja się myliłem. – Spojrzałam na niego nad stołem; uśmiechnął się krzywo. – Przyznaję.

– A ty miałaś rację co do Taaviego i Danele. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale chciałam cię zabić, gdy poprosiłeś ich o pomoc. Miałaś rację.

– To dobrzy ludzie. Mam nadzieję, że im się powiedzie. – Wstał. – Jeśli nie ma nic więcej do zrobienia...

– Idź, prześpij się. – Na myśl o spaniu zdusiłam ziewnięcie. – Ja zaczekam na Hiacynta.

– W takim razie zostawię cię samą. Jestem pewien, że chcesz z nim porozmawiać.

W jego cierpkim uśmiechu było coś, co ścisnęło mi serce.

– Joscelinie... – Popatrzyłam na niego. Tutaj, w tym rajku dzieciństwa, trudno mi było uwierzyć w to wszystko, co razem przeszliśmy – Joscelinie, cokolwiek się z nami stanie... dokonałeś tego. Dotrzymałeś przysięgi, która każe ci chronić i służyć. Przywiodłeś mnie bezpiecznie do domu – powiedziałam cicho. – Dziękuję ci.

Złożył swój kasjelicki ukłon i wyszedł.

Hiacynt wrócił po niedługim czasie, po cichu przekręcając klucz w zamku. Poderwałam głowę i wytrzeszczyłam oczy, wyrwana z drzemki. Nie wiadomo kiedy zasnęłam zgarbiona przy kuchennym stole.

– Nie śpisz? – Usiadł przy mnie i wziął mnie za rękę. – Powinnaś być w łóżku.

– Jak poszło?

– Świetnie. – Obejrzał moje dłonie, odwracając je delikatnie. – Thelesis rano powinna otrzymać list, chyba że młody Mark-Baptiste pokłóci się z Jafetem nó Eglantyna-Vardennes, co jest mało prawdopodobne, sądzi, że działałam w imieniu Sarfiela Odludka, który naprawdę jest na tyle szalony, by powierzyć Księciu Podróżnych list miłosny do nadwornej poetki. Thelesis była chora, ale pod opieką osobistego lekarza króla powoli wraca do zdrowia. Fedro, twoje dłonie wyglądają tak, jakbyś pracowała na galerze.

– Wiem. – Zabrałam ręce. Były czerwone, szorstkie i spękane od zimna, podrapane i pocięte, z brudem wżartym tak głęboko, że jedna kąpiel nie mogła go usunąć. – Ale umiem w środku śnieżycy rozpalić ogień, mając tylko jedno wilgotne bierwiono.

– Ach, Eluo... – Uczucia ożywiły jego twarz, łzy zakręciły mu się w oczach. – Myślałem, że cię straciłem, naprawdę. Delaunay, Alcuin... Fedro, nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę. Nie mogę uwierzyć, że tyle przeszłaś. A po powrocie usłyszałaś, że nosisz piętno morderczynie... Starałbym się usilniej, gdybym wiedział, że żyjesz. Tak mi przykro.

– Wiem. – Z trudem przełknęłam ślinę. – Ale przynajmniej jestem w domu. Gdybym miała umrzeć na obczyźnie... Och, Hiacyncie, współczuję ci z powodu śmierci matki.

Milczał przez chwilę, mimowolnie patrząc w stronę pieca, przy którym zawsze królowała, mrużąc przepowiednie i pobrzękując złotymi monetami.

– Wiem, brakuje mi jej. Zawsze myślałem, że doczeka czasów, kiedy zajmę należne mi miejsce wśród Cyganów, kiedy przestanę robić z siebie pośmiewisko w Progu Nocy. Ale zwlekałem zbyt długo.– Przetarł oczy. – Powinnaś się wyspać. Z pewnością jesteś wykończona.

– Tak, dobrej nocy – szepnęłam i pocałowałam go w czoło. Odprowadzał mnie wzrokiem, kiedy szłam do ciepłego łóżka.

Gdy wyczerpanie osiąga pewien punkt, sen nie chce nadejść. Doświadczyłam tego tamtej nocy. Po długim dzieleniu łoża spanie w pojedynkę wydawało się dziwne; czysta lniana pościel z ciepłą aksamitną narzutą też sprawiała obce wrażenie. Nawet gdy obcość ustąpiła miejsca niejasnemu rozpoznaniu, czułam, że czegoś mi brakuje. Zrozumienie uderzyło mnie z potężną siłą na

chwilę przed tym, nim wreszcie zalała mnie fala snu, wciągając w głębinę zapomnienia i wymazując myśli tak, jak fale wymazują kreskę narysowaną patykiem na piasku.

Brakowało mi Joscelina.

Spałam długo i po przebudzeniu nie pamiętałam snów. Hiacynt już był na nogach, a jego skromny dom lśnił czystością. Sprowadził do sprzątania i gotowania zaufaną dziewczynę, córkę cygańskiej szwaczki, którą znała jego matka. Dziewczyna krzątała się ze spuszczoną głową, bojąc się spojrzeć w oczy Księciu Podróżnych i jego tajemniczym przyjaciołom.

– Nie piśnie słowa – zapewnił nas Hiacynt.

Znalazł także ubrania, a może kupił je od szwaczki. Wykąpałam się drugi raz, mrużąc dziękczynną modlitwę, gdy gorąca woda zmywała ze mnie kolejne ślady pobytu wśród Skaldów. Ubrałam się w ciemnoniebieską, aksamitną suknię, która całkiem dobrze na mnie leżała.

Joscelin, w ponurym gołębioszarym wamsie, próbował rozczesać włosy, wilgotne i czyste, ale splątane po długim noszeniu skaldyjskich warkoczyków. Nie protestował, kiedy pospieszyłam mu z pomocą.

Jego sztylety, zarękawia i miecz tworzyły stos stali i skóry na kuchennym stole.

– Nie...? – zaczęłam pytać.

Pokręcił głową, omiatając włosami ramiona.

– Utrzymałem cię przy życiu, ale złamałem przysięgi. Nie mam prawa nosić tej broni.

– Zapleść w jeden warkocz? – Zebrałam jego włosy, czując ich jedwabisty ciężar.

– Nie – odparł stanowczo. – Jako kapłan mam prawo do kasjelickiego warkocza.

W istocie, zapomniałam, że jest kapłanem. Patrzyłam na jego zwinne ręce, gdy wiązał włosy na karku. Nawet bez broni znów wyglądał na kasjelitę. Hiacynt przyglądał się temu w milczeniu i tylko uniesione brwi przypominały mi, ile się zmieniło od czasu, gdy Joscelin został moim strażnikiem.

– Trzeba to spalić – powiedział, marszcząc nos. Wskazał stertę naszych futrzanych i wełnianych ubrań.

– Nie, zostaw – powiedziałam szybko. – Na Eluę, sam zapach poświadczy prawdziwość naszej opowieści! Nie mamy nic innego na jej potwierdzenie.

Joscelin wybuchnął śmiechem.

Kręcąc głową ze zdumienia, Hiacynt wyjrzał przez okno na ulicę. Nagle zeszywniał.

– Powóz zajeżdża pod drzwi – oznajmił z napięciem w głosie. – Idźcie na tyły domu, tam jest drugie wyjście. Jeśli to nie de Mornay, zatrzymam ich jak najdłużej.

Bez chwili zwłoki Joscelin zgarnął ze stołu swój ekwipunek. Schowaliśmy się w komórce przy kuchni, skąd wiodło przejście na tyły domu.

Po niedługim czasie usłyszałam skrzypienie drzwi i kroki jednej osoby, a potem uprzejme powitanie Hiacynta. Głos gościa nie pozostawiał żadnych wątpliwości; był słabszy, niż pamiętałam, ale głęboki i melodyjny.

Thelesis de Mornay.

Pamiętam, że z płaczem wybiegłam z kryjówki. Zdjęła kaptur, odsłaniając znajomą pospolitą twarz, rozświetloną przez wyraziste oczy, które przepełniał smutek przemieszany z radością. Przytuliła mnie z nadspodziewaną siłą.

– Ach, dziecko... – szepnęła do mojego ucha. – Tak się cieszę, że widzę cię żywą. Anafiel Delaunay byłby z ciebie dumny. –

Chwyciła mnie za ramiona i potrząsnęła lekko. – Byłby taki dumny.

Przełknęłam łzy i wzięłam się w garść, walcząc z drzeniem w głosie.

– Thelesis... Musimy porozmawiać z delfiną, z Gasparem Trevalionem, z admirałem Rouse, z kimś, komu ufasz. Skaldowie planują napaść, mają przywódcę, a diuk d'Aiglemort knuje zdradę...

– Sza. – Jej ręce na moich ramionach działały kojąco, pozwalały mi ochłonąć. – Otrzymałam twoją wiadomość, Fedro. Wiedziałam, że nie zdradziłaś. Zabiorę cię na audiencję do Ysandry de la Courcel. Jesteś gotowa?

Wszystko działo się szybko, zbyt szybko. Rozglądałam się przez chwilę, gorączkowo i niepewnie. Joscelin podszedł do mnie, uzbrojony w kasjelicką dyscyplinę.

– Nie pojedzie beze mnie – rzekł cicho swoim najbardziej złowieszczym tonem. – W imię Kasjela, ja poświadczę jej słowa.

– I beze mnie. – Hiacynt uklonił się z wdziękiem, ale jego czarne oczy były zimne. – Już raz straciłem Fedrę, ó Delaunay, pani, a potem zbyt słabo broniłem jej dobrego imienia. I może mój drobny dar *dromonde* przyda się w tej sprawie.

– Możliwe, Cyganie. – Thelesis de Mornay skupiła na nim wzrok, kładąc drobną dłoń na jego rękawie. – Modlę się, żeby tak było.

PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

Było jak za dawnych czasów, a zarazem zupełnie inaczej, gdy zamknięty powóz wiózł mnie do pałacu na potajemne spotkanie z osobą z rodu Elui. Już nie byłam ulubienicą wyznawców Naamy, odzianą w wykwintne szaty, oczekiwaną z zapartym tchem. Byłam pospolitą morderczynią i niedawną skaldyjską niewolnicą, ubraną w przyzwoitą suknię wyłącznie dzięki uprzejmości nicponia z Progu Nocy, czekającą na osądzenie przez następczynię tronu.

Tylko szkarłatna plamka w moim oku i niedokończona marka na plecach mówiły, kim jestem: *anguisette* Delaunaya, jedyną, która rodzi się raz na trzy pokolenia.

W powozie opowiedzieliśmy Thelesis de Mornay naszą historię. Nie całą, bez szczegółów ucieczki – tylko to, co było ważne dla tronu Terre d’Ange. Wysłuchała w skupieniu, od czasu do czasu odwracając głowę, bo nękał ją kaszel.

Uwierzyła, co do tego nie miałam wątpliwości. Ale czy uwierzy Ysandra de la Courcel? Nie znałam jej i nie mogłam zgadywać.

Powóz podjechał do rzadko używanego bocznego wejścia pałacu, gdzie powitali nas strażnicy w liberiach dynastii de la Courcel, granatowych ze srebrnymi insygniami. Nie zapomniałam lekcji Delaunaya; przyjrzałam się im uważnie i zwróciłam uwagę na pewien szczegół. Każdy miał srebrny pierścień na małym palcu lewej ręki.

– Przyboczna straż delfiny – powiedziała Thelesis, tłumiąc kaszel. Spozrzegła, że zauważyłam pierścienie. – Można im

zaufać.

Strażnicy sprawdzili, czy nie mamy broni. Joscelin podał im z lekkim ukłonem zawiniątko z kasjelickim orężem, a Hiacynt wyciągnął jeden sztylet zza pasa, drugi z cholewy i oba oddał, wzruszając ramionami. Ja nie miałam broni. Broń Trygvego znajdowała się w worku z innymi skaldyjskimi rzeczami. Sprzeciwiłam się, gdy chcieli ją wyjąć, bo była jednym z naszych nielicznych dowodów.

– Wezmę te rzeczy w swoją pieczę – powiedziała stanowczo Thelesis. Strażnicy nie wyrazili sprzeciwu ani jej nie przeszukali. Była nadworną poetką i zaufaną delfiny, stojącą poza wszelkimi podejrzeniami. Poprowadzono nas do Ysandry de la Courcel.

Widziałam ją raz z daleka w czasie triumfu, potem na procesie rodziny Trevalion i ostatnio z kryjówki w teatrze. Nie wiedziałam, czego się spodziewać. Weszliśmy do formalnej, choć niewielkiej sali audiencyjnej. Później dowiedziałam się, że przebywaliśmy w apartamentach króla, nie delfiny. Poznałam również przyczynę. Na razie moje największe obawy zostały uśmierzone; w sali nie było innych D’Angelinów. Czekala nas audyencja, a nie natychmiastowy areszt.

Ysandra siedziała na krześle z wysokim oparciem, oskrzydłona przez sześciu strażników w królewskich barwach, wszystkich ze srebrnymi pierścieniami. Miała chłodny i obojętny wyraz twarzy; blade piękno odziedziczyła po matce z linii L’Envers. Tylko jej długa, smukła szyja poświadczała przynależność do rodu Courcel, który miał łabędzia w herbie.

– Wasza Wysokość. – Thelesis złożyła głęboki ukłon. – Z całego serca dziękuję za udzielenie nam audyencji.

– Doceniamy twoją służbę naszemu rodowi, nadworna poetko. Kogo do nas przyprowadziłaś? – Głos Ysandry był taki, jak

pamiętałam, lekki i opanowany. Wiedziała. Pytanie było formalnością.

– Fedra nó Delaunay. Joscelin Verreuil z Bractwa Kasjelitów. I... – Thelesis de Mornay zawahała się, nie wiedząc, jak przedstawić Hiacynta.

On wysunął się przed naszą grupę i złożył ukłon.

– Hiacynt, syn Anastazji z kompanii Manoja.

Cygańska forma; nie słyszałam, by używał jej wcześniej. Dopiero teraz poznałam imię jego matki. Nie miałam czasu na rozpamiętywanie, bo spoczęło na mnie spojrzenie fiołkowych oczu Ysandry de la Courcel, płonących jak węgle w bladym obliczu. Jeśli byliśmy winni, to moją zdradę uważała za najcięższą, co do tego nie miałam wątpliwości.

– Ty... – powiedziała. – Ty, której Anafiel Delaunay dał swoje nazwisko, zostałeś oskarżona o odebranie mu życia, na które przysiągł mnie bronić. Czy przyznajesz się do winy, *anguisette*.

Nienazwane uczucie wezbrało we mnie jak fala, wznosząc się od podeszew stóp po korzonki włosów na głowie. Straciłam prawie wszystko, co kochałam, byłam torturowana i poniżana, cierpiałam w niewoli i w morderczym zimnie skaldyjskiej zimy, żeby na koniec usłyszeć takie oskarżenie. Odwzajemniłam spojrzenie Ysandry i czerwona mgła zasnuła mi oczy. Wyrzekłam słowa, którym zawierzyłam tak dawno temu.

– Na królewskiego łabądka, jego jedyne świadectwo, przynoszę ci wiadomość, Wasza Wysokość. Kiedy czarny dzik zawładnie Albą, Starszy Brat okaże przychyłność!

Mój głos, dziwnie dźwięczny, poniósł się po komnacie. Strażnicy drgnęli zaniepokojeni, a przez twarz Ysandry przemknął osobliwy wyraz.

– Tak – odparła. – Wiem. Kwintyliusz Rouse przysłał drugiego

kuriera. Czy to wszystko, co masz do powiedzenia?

– Nie. – Głęboko zaczerpnęłam tchu. – Ale wiele tygodni temu zobowiązałam się przekazać te słowa. Nie ponoszę winy za śmierć Anafiela Delaunaya i jego domowników, a jeśli jest inaczej, niech ziemia mnie pochłonie. Joscelin z Bractwa Kasjelitów również jest niewinny. – Joscelin skłonił się bez słowa. Ja patrzyłam na Ysandrę de la Courcel. – Zostaliśmy zdradzeni, Wasza Wysokość. Diuk Izydor d’Aiglemort knuje zamach stanu i spiskuje ze skaldyjskim wodzem Waldemarem Seligiem. Ponad dwa miesiące spędziłam w Skaldii jako niewolnica i uciekinierka. Skaldowie planują napaść na nasz kraj. I planują zdradzić d’Alglemorta. Jeśli nie zostaną powstrzymani, osiągną cel.

Nie wiem, uwierzyła czy nie, ale krew odpłynęła jej z twarzy; wyglądała teraz jak marmurowy posąg na krześle z wysokim oparciem. Tylko jej oczy nie przestały płonąć.

– Oskarżasz o tę straszną zbrodnię Izydora d’Aiglemort, bohatera królestwa, dowódcę Sprzymierzeńców z Kamlachu?

– Nie tylko jego. – Z trudnością utrzymywałam się na nogach, przeszywana jej strasznym spojrzeniem. – Oskarżam Melisandę Szachrizaj z Kuszeni, sojuszniczkę d’Aiglemorta. To ona doprowadziła do śmierci Delaunaya, to ona na piśmie zapewnia Waldemara Seliga, że jego plan się powiedzie.

Ysandra odwróciła się i szepnęła coś do strażnika, który skinął głową i wyszedł. Popatrzyła na mnie bez wyrazu.

– Powiedz mi, czego byłaś świadkiem.

Opowiedzieliśmy wtedy całą naszą historię, oboje z Joscelinem, zaczynając od Najdłuższej Nocy. Opowiedzieliśmy o masakrze w domu Delaunaya, o zdradzie Melisandy, o naszym pobycie wśród Skaldów. Delfina Terre d’Ange słuchała, zapatrzona w dal, z brodą opartą na pięści. W odpowiednim

momencie Thelesis de Mornay wysypała na marmurową posadzkę zawartość naszego worka, pokazując podniszczone skaldyjskie futra i sztylet Trygvego. Hiacynt wystąpił do przodu i opisał, w jakim byliśmy stanie, gdy znalazł nas w stajni.

– To wszystko, co macie do zaoferowania? – zapytała Ysandra de la Courcel, przyglądając się rzeczom leżącym na podłodze. – Niewiarygodną historię i stertę cuchnących skór na jej poparcie?

– Wezwij zatem, Wasza Wysokość, Melisandę Szachrizaj i poddaj ją przesłuchaniu! – zawołał Joscelin z błyskiem w niebieskich oczach. – Przysięgam na honor, że powiedzieliśmy prawdę!

Strażnik powrócił dyskretnie do sali, starannie zamykając za sobą drzwi. Ysandra spojrzała na niego pytająco, a on pokręcił głową.

– Lady Szachrizaj nie ma w jej rezydencji – powiedziała. – Ale jeśli mówicie prawdę, dlaczego darowała ci życie? – Zimne spojrzenie powróciło na mnie. – Nikt z rodu Szachrizaj nie jest głupcem, a ona najmniej ze wszystkich.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, i nie byłam w stanie tego zrobić. Jak wytłumaczyć coś takiego córce króla? Krew napłynęła mi do twarzy, poczułam gorące rumieńce. Jej spojrzenie nie opuszczało mnie ani na chwilę, gdy zaczęłam coś dukać. Hiacynt i Thelesis odezwali się jednocześnie. Z zażenowaniem wysłuchałam słów mojego przyjaciela:

– Odpowiedź, Wasza Wysokość, warta jest tysiąc dukatów i udzielenie jej wymaga czasu.

Nadworna poetka natomiast przytoczyła porzekadło eisandyjskich rybaków:

– Jeśli złapiesz w sieć na krewetki gadającego łososia, wrzuć go z powrotem do morza.

– Ach. – Jedna sylaba i leciutkie uniesienie brwi.

– Wasza Wysokość. – Joscelin ukłonił się, odzyskawszy zimną krew. Jego głos brzmiał spokojnie i chłodno w panującej ciszy. – Gdyby potomek Kusziela zabił osobę naznaczoną jego ręką, sprowadziłby klątwę na cały swój ród. Zamordowanie kapłana również nie przynosi szczęścia. Melisanda Szachrizaj nie zabiła nas, ale nie dała nam większych szans na przeżycie. Nie przypuszczała, że zdołamy uciec i bezpiecznie wrócić do kraju. Nikt przy zdrowych zmysłach nie dopuściłby takiej możliwości – dodał ponuro. – To, że stoimy przed tobą, jest miarą łaski Błogosławionego Elui.

– Ty tak mówisz. To wszystko, co macie do powiedzenia i pokazania?

Thelesis de Mornay wysunęła się do przodu.

– Ręczę za nich, Wasza Wysokość. Znałam Anafiela Delaunaya. Znałam go dobrze. Miał bezgraniczne zaufanie do swoich uczniów.

– Czy powierzył im również swoje tajemnice? – Delfina uniosła brwi, przenosząc spojrzenie na nadworną poetkę. – Czy powiedział Fedrze nó Delaunay, że jest moim zaprzysiężonym obrońcą?

Thelesis bezradnie rozłożyła ręce, spoglądając na mnie. Wiedziała, że tego nie zrobił.

Uczucie powróciło i fala znów się uniosła.

– Nie, pani. Nie powiedział. Ale służyłby ci dłużej, gdyby to uczynił – powiedziałam bez zastanowienia i zmroziły mnie własne słowa, zawierały bowiem ogrom gorzkości. – Anafiel Delaunay trzymał mnie w niewiedzy w przekonaniu, że w ten sposób mnie chroni. Szkoda, że nie wyznał mi swojego sekretu, bo być może wciąż cieszyłby się życiem. Być może zdołałabym

przejrzeć grę Melisandy Szachrizaj, gdybym wiedziała, co jest stawką. Tylko ja byłam dość blisko, żeby ją rozszyfrować. Ale stało się inaczej, a mój pan nie żyje. – Joscelin poruszył się obok mnie, gestem nakazując milczenie; dużo czasu spędziliśmy w niewoli i rozumieliśmy się bez słów. Ale było za późno, już porwał mnie gniew. Patrzyłam na delfinę i nagle coś sobie skojarzyłam. Było to takie proste, że niemal roześmiałam się z ulgą. – Straże! Niech Wasza Wysokość przesłucha strażę!

Joscelin niemal podskoczył.

– Wasza Wysokość! W dzień śmierci Delaunaya ubiegaliśmy się o posłuchanie najpierw u ciebie, potem u nadwornej poetki. W obu przypadkach zostaliśmy odprawieni z niczym. – Uśmiechnął się, błyskając białymi zębami. – Brat kasjelita i *anguisette* w płaszczu *sangoire*. Z pewnością nas zapamiętali.

Przez chwilę myślałam, że Ysandra odrzuci ten pomysł, ale skinęła głową na tego samego strażnika.

– Idź – poleciła. – I zachowaj dyskrecję. – Popatrzyła na nas. Przez okamgnienie pod maską władzy widziałam twarz przestraszonej młodej kobiety. – Ach, Eluo. – Westchnęła z żalem. – Mówicie prawdę.

Zrozumiałam wtedy naturę jej gniewu i strachu, i osunęłam się przed nią na kolana. Przynieśliśmy ostatnie wieści, jakie pragnie usłyszeć władca, wieści o zdradzie w sercu królestwa.

– Tak, pani – rzekłam cicho. – To prawda.

Milczała przez chwilę, godząc się z tym faktem. Widziałam, jak głębokie postanowienie odmienia jej twarz, przydając ostrości delikatnym rysom i twardości łagodnie wykrojonym ustom. Ysandra de la Courcel miała odważnie stawić czoło temu koszmarowi. Wspomniałam wtedy, że przecież była córką Rolanda de la Courcel, którego kochał Delaunay.

– A mój wuj? – zapytała, odzyskując panowanie nad sobą. – Diuk L’Envers?

Na klęczkach pokręciłam głową, potem podniosłam się płynnym ruchem, którego nauczyłam się w Domu Cereusa.

– O ile mi wiadomo, Barquiel L’Envers nie ma z tym nic wspólnego, Wasza Wysokość. On i Delaunay wyrównali rachunki.

– Czy to prawda, że kazał zabić Dominika Stregazza?

Ysandra potrafiła być bezwzględna w dociekaniu prawdy.

– Chyba tak – odparłam cicho. – Imię mordercy twojej matki było monetą, jaką Delaunay zapłacił za rozejm z L’Enversem. Uważał, Wasza Wysokość, że należy chronić cię przed tym samym losem.

Przyjęła te słowa bez zmrużenia oka.

– A ty zbierałaś dla niego informacje.

– Miałam towarzysza, robiliśmy to oboje. – Szpony żalu z nową siłą ścisnęły moje serce. – Nazywał się Alcuin nó Delaunay. To on dowiedział się o roli Stregazza. Zginął wraz z moim panem, Anafielem Delaunayem.

– Opłakujesz go. – Ysandra popatrzyła na mnie z zaciekawieniem i smutkiem. – Żałuję, że nie poznałam go lepiej. Żałuję, że nie było czasu. – Spojrzała na drzwi, którymi wyszedł strażnik, wstała i skinęła ręką. – Chodźcie.

Przeszliśmy za nią, cała nasza czwórka i jej straż, przez dwa pokoje. Przed kolejnymi drzwiami wartę pełnili dwaj starsi wiekiem kasjelici, którzy na jej znak odsunęli się na bok. Joscelin pilnował się, żeby nie spojrzeć im w oczy. Delfina stanęła w progu i zajrzała do komnaty; my spojrzeliśmy jej przez ramię.

Ganelon de la Courcel, król Terre d’Ange, leżał na łożu z baldachimem. Twarz miał białą jak wosk, nieruchomą,

pożłobioną głębokimi bruzdami. Znacznie się postarzał od czasu, kiedy widziałam go ostatni raz. Z początku pomyślałam, że spoczywa pogrążony w śnie śmierci, potem dostrzegłam, że jego pierś uniosła się i opadła w długim oddechu.

– Oto mój dziadek, król – powiedziała cicho Ysandra, przekręcając na palcu złoty pierścień. Poznałam go; był to sygnet Rolanda, na który przysiągł Delaunay. – Oto władca naszego pięknego królestwa. – Cofnęła się, a my spiesznie zeszliśmy jej z drogi. – W Najsroźszą Zimę doznał drugiego udaru – dodała, zamykając drzwi. Skinęła na kasjolitów, którzy wrócili na miejsce i stanęli ze skrzyżowanymi rękami. – Rządź w jego imieniu. Jak dotąd możnowładcy tolerują ten stan rzeczy. Ale jeśli znajdziemy się na krawędzi wojny... Nie wiem, jak długo wytrwam, gdy ktoś zapragnie wydrzeć wodze władzy z moich rąk. Nie wiem nawet, czy to, że dziadek jeszcze żyje, jest dobrodziejstwem, czy przekleństwem. Jak długo to potrwa? Nie wiem.

Ktoś gwałtownie zaczerpnął tchu. Spojrzałam ze zdziwieniem na Hiacynta. Opierał się o ścianę, szarpiąc aksamitny kołnierz, a jego śniada twarz była śmiertelnie szara.

– Hiacyncie! – krzyknęłam przestraszona, spiesząc mu z pomocą. Odepchnął mnie i zgiął się we dwoje. Po chwili wyprostował się, głęboko wciągając powietrze.

– Trzy dni – powiedział słabym głosem. Stanął pewniej na nogach, przytrzymując się ściany, i oznajmił: – Król umrze za trzy dni, Wasza Wysokość. – Jego wzrok przesunął się na Thelesis. – Pozwoliłaś mi użyć *dromonde*, pani.

– Coś ty powiedział? – Głos Ysandry stał się zimny i srogi jak skałdyjska zima. – Rościsz sobie prawo do prorokowania, synu Anastazji?

– Mam prawo, choć daleko mi do talentu mojej matki. – Urwał, przeciągając rękami po twarzy. – Wasza Wysokość, kiedy Błogosławiony Elua był zmęczony, szukał wytchnienia wśród Cyganów w Bodistanie, a my wypędziliśmy go drwinami i kamieniami. W naszej dumie przepowiedzieliśmy, że jego i wszystkich Towarzyszy czeka wieczna tułaczka po ziemi, że nigdzie nie znajdą miejsca, które będą mogli nazwać swoim domem. Niemądrze jest przeklinać syna z łona Ziemi. Zostaliśmy ukarani. Los, jaki przepowiedzieliśmy, stał się naszym własnym. Jesteśmy skazani na wędrówkę po długiej drodze. Ale w swej łaskawości Matka Wszystkich Ludzi dała nam *dromonde*, dar rozchylania zasłon czasu, żebyśmy następnym razem mogli widzieć jaśniej.

Ysandra, stojąca dotąd bez ruchu, odwróciła się do braci kasjelitów.

– Macie zachować milczenie. Wiąże was przysięga. – Obaj zgięli się w identycznych kasjelickich ukłonach. – Wracajmy.

Jej przyboczny czekał na nas ze zdenerwowanym strażnikiem pałacowym. Mężczyzna popatrzył na Joscelina i na mnie, szeroko otwierając oczy.

– To oni – powiedział z przekonaniem. – On był ubrany na szaro, ona miała ciemnoczerwony płaszcz. Chcieli się zobaczyć z nadworną poetką, ale pomyślałem...

– Dziękuję. – Ysandra de la Courcel lekko skinęła głową. – Wyświadczyłeś nam przysługę. Wiedz, że to sprawa poufna. Rozpowiadanie o niej zostanie uznane za zdradę i ukarane śmiercią.

Strażnik zachłysnął się, z trudem przełykając ślinę, czemu nie mogę się dziwić. Delfina odprawiła go i po cichu dała wytyczne swoim przybocznym. Mieli go śledzić, jak się domyślałam.

Wszyscy staliśmy w milczeniu, zapomniani, podczas gdy Ysandra chodziła po sali audiencyjnej, z twarzą ściągniętą z rozpacz.

– Eluo, miej dla nas miłosierdzie – mruknęła do siebie. – Komu mogę zaufać? Co mam zrobić? – Przypomniała sobie o nas, zapanowała nad emocjami i urwała. – Wybaczcie nam naszą niewdzięczność. Wyświadczyliście nam przysługę, ogromną przysługę, i wiele wycierpieliście. Jesteśmy wdzięczni, zapewniam, i dopilnujemy, żeby wasze nazwiska zostały oczyszczone i opromienione chwałą bohaterów królestwa. Macie słowo Korony.

– Nie – powiedziałam bez chwili zastanowienia. Nie zważając na zdumione spojrzenia Joscelina i Hiacynta, podjęłam urywanie: – Pani... Wasza Wysokość, nie możesz. Izydor d'Aiglemort jest twoim pierwszym i najbliższym wrogiem. Ma na rozkazy armię, która czeka w pogotowiu. Masz tylko jeden atut. On nie wie, że wiesz o jego zdradzie. Jeśli teraz odsłonisz karty, zmusisz go do działania. Zanim cokolwiek zrobisz, zbierz zaufane osoby i zasięgnij rady. Jeśli nie urośniesz w siłę, d'Aiglemort uderzy. I być może zwycięży. Nawet gdyby przegrał, Terre d'Ange będzie narażona na grabieże Skaldów.

Chłodne fiołkowe oczy spojrzały na mnie z namysłem.

– W takim razie wciąż będziesz uchodzić za morderczynię, Fedro nó Delaunay, za sprawczynię śmierci swego pana. A wraz z tobą twoi towarzysze.

– Niechaj tak będzie. – Wyprężyłam ramiona. – Rola Hiacynta pozostaje nieznana, on jest w miarę bezpieczny. Joscelin... – Zerknęłam na niego.

Uklonił się z gorzkim uśmiechem.

– Już jestem przeklęty. Złamałem wszystkie przysięgi prócz jednej, by wrócić do kraju, Wasza Wysokość. Nie obawiam się

sądu Terre d'Ange, bo czeka mnie większy trybunał – rzekł cicho.

Ysandra po chwili milczenia pokiwała głową.

– Zrozumcie, robię to z przykrością, ale nie ma innego wyjścia.

– Godność emanowała z jej postawy i tonu; zrozumiałam i uwierzyłam. Widziałam w niej cechy księcia krwi, którego wielbił Delaunay. Zastanowiłam się, co sądził o córce Rolanda. W jej oczach rozbłysło światło wyrachowania. – Jesteście zbyt cenni, żeby wysłać was na bezpieczne wygnanie. Ty, Cyganie, nie mniej od pozostałych dwojga, jeśli twój dar mówi prawdę. W imieniu mojego dziadka nakładam na was areszt.

Tak się stało.

PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

Hiacynt powiedział prawdę: Ganelon de la Courcel, król Terre d'Ange, zmarł trzy dni później.

Nie widziałam, jak przyjęli to jego poddani, gdyż byłam zamknięta w pałacu i otoczona pieczołowitą opieką przez przybocznych Ysandry. Paru rzeczy dowiedziałam się od nich, a także od chirurga, który zbadał nas i opatrzył gojące się rany Joscelina; zalecił nam pożywną dietę, żeby zlikwidować skutki niedożywienia z czasu długiej ucieczki. W tym okresie nie opuszczało mnie wrażenie, że śnię i nie mogę wyrwać się ze snu, podczas gdy prawdziwy świat przemyka obok mnie. Słyszeliśmy bicie żałobnych dzwonów, które odezwały się po raz pierwszy od czasu mojego dzieciństwa w Domu Cereusa. Widzieliśmy poważne miny strażników i czarne opaski na ich rękach. Mimo to, wszystko wydawało się nierzeczywiste.

Jedno jednak było pewne: dosłownie czułam na skórze ciarki niepokoju, jaki ogarniał Miasto – i całe królestwo. Wprawdzie mieszkańcy nie znali natury prawdziwego zagrożenia, ale coraz częściej napływały meldunki o najazdach Skaldów. Izydor d'Aiglemort wraz z sześcioma innymi kamaelickimi panami wymówił się od uczestnictwa w pogrzebie króla i koronacji Ysandry, oznajmiając, że nieśmie zostawić prowincji bez ochrony.

Sama koronacja odbyła się w pośpiechu. Po tak długiej chorobie śmierć Ganelona nikogo nie zdziwiła. Zaraza, która nie oszczędziła pospólstwa, przerzedziła również szeregi

d'Angelińskiej arystokracji. W samym parlamencie co najmniej pięć miejsc świeciło pustkami. Ci, którzy mogli je zapełnić, nie mieli zaufania do młodej, niedoświadczonej królowej, na domiar złego niezamężnej i osieroconej.

O tym wszystkim dowiedziałam się od Thelesis de Mornay, której wolno było nas odwiedzać. Powoli wracała do zdrowia, ale wciąż nękały ją ataki suchego kaszlu, które przyprawiły mnie o drżenie niepokoju.

Ze strachem czekałam na wieści dotyczące Melisandy Szachrizaj. Podobno przebywała w Kuszecie – jej kuzyn Fanchone złożył kwieciste kondolencje w imieniu całego rodu – ale ostatni raz spotkałam ją w murach pałacu i stale prześladowały mnie wspomnienia. Muskałam palcami diament noszony na szyi, talizman zemsty, którego nie wiadomo dlaczego nie śmiałam wyrzucić, i często o niej myślałam. Utrzymanie się przyżyciu we wrogim kraju zajmuje wszystkie myśli; obecnie miałam aż za dużo czasu na rozmyślanie i rozpamiętywanie. Nie podałam *signale*, to prawda, lecz widząc na jej rękach krew Delaunaya, zrobiłam wszystko inne. Grała na mnie jak na harfie, a ja śpiewałam na podaną nutę. Nie mogłam o tym zapomnieć i to wpędzało mnie w chorobę.

Joscelin znalazł lekarstwo.

Wiedział; wpadł wraz ze mną w jej ręce i był przy mnie w wozie, kiedy zbudziłam się chora na ciele i duszy. I był kapłanem, o czym stale zapominałam. Nie patrząc mi w oczy, powiedział ponuro:

– Fedro, dajesz Elui, co mu się należy, i Naamie, której służysz. Ale to Kusziel cię naznaczył i Kuszielowi rzucasz wyzwanie, kiedy pogardzasz sobą. – Spojrzał na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Przegrasz, buntując się przeciwko woli

nieśmiertelnych. Wiem, bo sam byłem na krawędzi zatracenia i to ty mnie zawróciłaś. Ja jednak nie mogę ci pomóc. Poproś o zgodę na wizytę w świątyni Kusziela. Kapłani wyznaczą ci pokutę.

Tak uczyniłam. Ysandra de la Courcel przychyliła się do mojej prośby, pod warunkiem że włożę kaptur i pójdę w towarzystwie jej straży przybocznej.

Niewiele o tym powiem. Ci, którzy sami pragnęli wybaczenia Kusziela, już wiedzą; ci, którzy go nie potrzebują, nie muszą wiedzieć. Spośród wszystkich uczniów Towarzyszy Elui kapłani Kusziela zasługują na bezgraniczne zaufanie. Składają przysięgi dochowania tajemnicy i można im powierzyć największe sekrety. Gdyby było inaczej, nikt nie przychodziłby do nich po rozgrzeszenie. Noszą długie szaty i mosiężne maski, skrywając swoją tożsamość, a nawet płęć. Spojrzeli w moją twarz przez otwory w maskach, gdy zdjęłam kaptur, zobaczyli znak Strzały Kusziela i zabrali mnie bez jednego pytania.

To straszne miejsce, choć bezpieczne i wolne od wszelkiego zła, prócz tego, które nosi się w sobie. Podałam się rytuałom oczyszczenia, a potem, czysta i rozebrana do naga, uklęknęłam przy ołtarzu przed wielkim mosiężnym posągim surowego Kusziela, podczas gdy dwaj kapłani przywiązali mi ręce do pręgierza. Tam uczyniłam wyznanie.

I zostałam wychłostana.

Jestem, kim jestem; bez wstydu powiem, że rozpłakałam się z ulgi, gdy żelazne końcówki rzemieni sparzyły mi skórę. Zalał mnie ból, czysty i czerwony, zmywając moją winę. Przedemną srogie oblicze Kusziela pływało w mgiełce krwi przysłaniającej mi oczy; za mną ta sama twarz, przepojona okrutną, bezosobową miłością, znajdowała odzwierciedlenie w masce biczącego

mnie kapłana. Plecy paliły mnie żywym ogniem, straszliwym i dobroczynnym. Nie wiem, jak długo to trwało. Miałam wrażenie, że całą wieczność, a jednak nie dość długo. Kiedy kapłan zakończył chłostę, rzemienie bicia były wilgotne od mojej krwi, a bryzgi czerwieni pokrywały ołtarz.

– Uwolnij się od winy – rzekł głosem stłumionym przez maskę. Nabrał w chochlę słonej wody z kamiennej misy i polał moją poranioną skórę. Krzyknęłam, gdy ból zwielokrotnił się pięć razy; krzyknęłam i zadrżałam, a świątynia zawirowała mi przez oczami.

Tak oto odbyłam pokutę.

Wróciłam do pałacu spokojna, uwolniona od strasznej choroby, która od wielu dni zżerała moją duszę. Przepełniało mnie rozleniwienie, jakie pamiętałam z dzieciństwa, gdy skończyła się chłosta u duejny. Joscelin raz spojrzął mi w twarz i odwrócił wzrok. W tej chwili nie dbałam o jego uczucia. Byłam zadowolona.

– Wieści – powiadomił mnie Hiacynt; nie były z rodzaju tych, które mogą zaczekać. – Delfina... to znaczy królowa oznajmiła, że udaje się do jednej z rodowych posiadłości, by odprawić dwutygodniową żałobę. Zwołuje zaufanych ludzi na naradę. Mamy w niej uczestniczyć.

Pojechaliśmy.

Ze smutkiem powiem, że liczba zaproszonych była wzruszająco mała. Przypuszczam, że gdyby chodziło o zwykłe racje stanu, Ysandra mogłaby zaufać wielu innym ludziom, ale sprawa zdrady d'Aiglemorta miała zbyt poważny wymiar. W naradzie uczestniczyła Thelesis, po prostu dlatego że królowa miała do niej zaufanie. Gaspar Trevalion, któremu ufał Delaunay. Percy de Somerville, starszy i mniej dziarski niż

pamiętałam. Barquiel L'Envers, który nie zostałby dopuszczony, gdybym miała coś do powiedzenia. Dwóch osób nie znałam z widzenia, bo rzadko bywały w pałacu, ale Delaunay wyrażał się o nich z szacunkiem: diuszesa Roxana de Mereliot z Eisandy, zwana Panią Marsilikos, i Tibault z Siovale, uczony hrabia de Toluard. Gdyby nie pogrzeb Ganelona i koronacja Ysandry, z pewnością nie stawiliby się tak prędko na wezwanie.

Był również obecny prefekt Bractwa Kasjelitów, wysoki i surowy. Jego twarz przypominała maskę z kości słoniowej, a oczy – ślepię polującego jastrzębia. Włosy miał siwe, z lekkim żółtawym odcieniem, jaki czasami przynosi starość, ale nosił się prosto jak młodzieniec.

Na miejsce spotkania Ysandra de la Courcel wybrała jeden z królewskich pałacyków myśliwskich w L'Agnace. Dobry wybór, pomyślałam; siedziba była wygodna i odosobniona, a służba dyskretna, odsunięta daleko od politycznej areny. Poza tym niedaleko leżały włości de Somerville'a, który od wielu lat wiernie służył tronowi.

De Somerville reprezentował prowincję L'Agnace, a L'Envers – Namarre; Azalia miała swojego przedstawiciela w osobie Trevaliona, który występował w zastępstwie Ghislaina, syna Somerville'a. Pozostali dwoje pochodzili z Eisandy i Siovale. Kuszet nie miał reprezentanta. Ani Kamlach. Tam nie było nikogo, komu Ysandra śmiałaby zaufać.

Przemyślałam to sobie już w trakcie narady, bo wszyscy zaproszeni zgromadzili się pierwsi, czekając na przybycie królowej. Ysandra wybrała jeden z największych pokoi, wyposażony w wygodne fotele i sofę, na których goście mogli się rozsiąść wedle uznania. Służący podali lekkie przekąski i wino, a potem odeszli.

Udaliśmy się na naradę razem z Ysandrą de la Courcel, która nie chcąc, żeby wieści rozeszły się przed jej przybyciem, trzymała nas przy sobie. Kazała kasjelickiej straży – odziedziczonej po królu – zostać przed drzwiami. Przystanąła na chwilę, żeby się opanować i przybrać spokojny wyraz twarzy. Jest niewiele starsza ode mnie, pomyślałam, i zrobiło mi się jej żal.

Ale była królową.

Weszła do pokoju, z naszą niezwykłą trójką za plecami, i powitała przybyłych.

Stałam za nią i czułam się dziwnie, gdy siedmioro dostojnych uczestników narady zerwało się z miejsc, by oddać głęboki pokłon.

– Spocznijcie – powiedziała Ysandra. – Nie będziemy robić ceremonii. Sami uznacie, że tak będzie lepiej, kiedy wyjaśnię, dlaczego poprosiłam was o przybycie.

– Fedra! – W tym głosie brzmiało nieklamane zaskoczenie i, co przyznaję z zadowoleniem, radość. Gaspar Trevalion przemierzył pokój długimi krokami i wziął mnie w ramiona. – Żyjesz – powiedział, odsuwając mnie na długość rąk i przyglądając mi się tak, jakby nie wierzył własnym oczom. – Błogosławiony Eluo, ty żyjesz!

Barquiel L'Envers podszedł z uśmiechem, który nie rozjaśniał oczu.

– *Anguissette* Delaunaya – powiedział przeciągle. – I kasjelita. Nie cieszycie się moimi pieniędzmi na dworze kalifa? Słyszałem, że wysłałem was do Kebel-im-Akad po zapłaceniu za zdradę waszego pana.

Odwróciłam się w jego stronę, ale Joscelin wystąpił pierwszy.

– Wasza Książęca Mość, to nie jest temat do żartów –

powiedział spokojnie.

L'Envers obrzucił go długim, szacującym spojrzeniem.

– Ho, ho, zdobyłeś ostrogi, chłopcze. Cóż, mam nadzieję, Ysandro, że przywiodłaś ich tutaj, aby oczyścili moje imię.

– To jeden z powodów, lecz nie najważniejszy – odparła.

– Lord Rinforte, mój pan! – Głos Joscelina zdradzał to samo pełne ulgi oddanie, jakie ja czułam w świątyni Kusziela. Spojrzałam i zrozumiałam przyczynę. Joscelin rozpoznał prefekta i ukląkł u jego stóp, krzyżując ręce i schylając głowę. – Panie... – podjął już formalnym tonem – pogwałciłem swoje przysięgi. Zdaję się na twoją sprawiedliwość.

– Zostałeś oskarżony o zdradę domu, któremu przysiągłeś służyć, Joscelinie Verreuil – rzekł prefekt ponuro. – Zdrada nie jest zwykłym pogwałceniem, młody bracie.

– Nie jest jej winny. – Ysandra de la Courcel podniosła głos, przypominając im, że stoją przed majestatem. – Panie Rinforte, prawe imię twojego zakonu nie zostało zbrukane. Uwierz mi, kiedy ci powiem, że żałuję, iż tak się nie stało. Wysłuchaj historii tych dwojga i wtedy dokonaj sądu.

Znów zaczęliśmy opowieść.

Słuchali w milczeniu, w mniejszym lub większym stopniu okazując niedowierzanie. Nie mam o to pretensji. Ysandra miała rację, sami zajęli miejsca. Temu też się nie dziwię, bo opowiadaliśmy długo, a na dodatek niesłychane rzeczy. Kiedy skończyliśmy, zapadła cisza.

Nie mogłam odczytać wyrazu twarzy większości słuchaczy, nawet Gaspara Trevaliona, którego znałam od dawna i uważałam niemal za wuja. Miny pozostałych nie wróżyły dobrze.

– Ysandro, chyba się nie spodziewasz... – zaczął Barquiel L'Envers ze zwodniczą niefrasobliwością – że uwierzymy w tę

absurdalną konfabulację? – Rozpierał się leniwie na sofie, niebezpieczny jak lampart, od niechcienia bawiąc się zawieszonym na szyi pasem tkaniny, z której zwijał turban. Ja widziałam w nim tylko zagrożenie, ale dla Ysandry był najbliższym krewnym.

– Nie na podstawie samych słów – odparła ostrym głosem, wysoko podnosząc głowę na smukłej szyi. – Moi przybocznicy zasięgnęli języka, jak najdyskretniej. Cztery osoby z gwardii pałacowej widziały ich tamtego wieczoru, gdy ubiegali się o audiencję. Jeden strażnik widział ich w towarzystwie Melisandy Szachrizaj. Oboje zostali zbadani przez medyka, który opiekuje się mną od dzieciństwa. Ich stan poświadczał opisane przejścia, poczynając od odmrożeń po rany od kajdanów na rękach Joscelina Verreuil.

– To wszystko może mieć inne wyjaśnienie i inne przyczyny – mruknął hrabia de Toluard z zadumą na twarzy.

– Może – przyznała Ysandra. – Ale najbardziej przekonującym dowodem, na podstawie którego zostali oskarżeni, była ich nieobecność. Teraz stoją przed wami.

– Nie ma innych dowodów, które moglibyśmy rozpatrzyć? – zapytała Roxanna de Mereliot. Miała już za sobą lata, w których zalotnicy szturmowali mury Marsilikos, pasemka bieli lśniły w jej czarnych włosach i twarz jej się zaokrągliła, ale wciąż była piękna. Polubiłam ją za ciemne oczy, życzliwe i mądre.

– Są, pani – odparłam, kłaniając się przed nią. – Możecie posłać po hrabiego de Bois-le-Garde z Kamlachu, którego ludzie napotkali nas w lasach. Albo, jeśli taka wasza wola... – dodałam, zerkając koso na L'Enversa – zapuścić się na skaldyjskie ziemie. Wskażę na mapie położenie osady Guntera Arnlaugsona, to żaden kłopot. Zapytacie go o d'Angelińskich niewolników,

których kupił od kamaelickich żołnierzy.

– Jeśli jednak mówicie prawdę, w obydwu przypadkach pokażemy nasze karty d’Aiglemortowi, o ile nie zginiemy – zauważył Barquiel, przegarniając palcami krótko ścięte włosy, dziwne u d’Angelińskiego arystokraty. Niezależnie od tego, czy mu ufałam, czy nie, nie był głupcem. – Piękna pułapka, jeśli rzeczywiście ją zastawiłaś; Delaunay dobrze cię wyuczył. Jeśli nie, Eluo dopomóż nam wszystkim.

– Eluo dopomóż, w istocie – rzekł cicho Gaspar Trevalion. – Znam Fedrę nó Delaunay od dziecka i nie wierzę, żeby przyłożyła rękę do śmierci Anafiela Delaunaya. Mówi prawdę, a przynajmniej to, co za prawdę uważa. Co do kasjelity... popatrz na niego, Barquielu. Ma uczciwość wypisaną na twarzy. Ciebie nie znam – powiedział do Hiacynta – ale nie widzę niczego, co mógłbyś zyskać na kłamstwie.

Hiacynt chrząknął i zarumienił się z lekka, przemawiając do znamienitego grona.

– Znam Fedrę dłużej niż ktokolwiek inny. Nawet Delaunay. Widziałem ją tej nocy, w którą wróciła do Miasta. Ona nie kłamie.

– Ale dlaczego... – zaczął Tibault de Toluard ze zwykłą zadumą – Izydorowi d’Aiglemort miałyby zależeć na śmierci Delaunaya?

Gaspar Trevalion i Thelesis de Mornay wymienili spojrzenia. Odpowiedziała Ysandra de la Courcel, z rumieńcem na alabastrowych policzkach.

– Ponieważ poprosiłam go o pomoc w pewnej sprawie – odparła z godnością. – D’Aiglemort mógł uznać to za zagrożenie dla swoich planów.

– Nie. – Barquiel L’Envers wyprostował się na sofie. – Och, nie. Nie możesz przy tym obstawać!

– Mogę – odparła, kierując na niego płonące oczy – i obstaję!

– Nie. – Popatrzył na nią wściekle. – Jeśli w tej opowieści jest ziarno prawdy... Ysandro, mogę zaaranżować unię z aragońskim księciem krwi, który sprowadzi na pomoc dwa tysiące włóczy!

– Lwica z Azalii... – wtrącił Gaspar Trevalion swobodnym tonem – była znacznie bliżej obalenia tronu, niż ktokolwiek zdaje sobie sprawę. Gdyby zdołała przeprowadzić przez Cieśninę wojska Maelcona Uzurpatora, syna starego cruarchy, przeszliby przez nasz kraj niczym kosiarz przez pole.

Percy de Somerville potrząsnął siwo złotą głową i po raz pierwszy zabrał głos.

– Tak, bylibyśmy nieprzygotowani, ale przecież nie zdołaliby się przeprowadzić. Ghislain na rozkaz króla próbował niemal tej samej taktyki. Pan Cieśniny wywrócił wszystkie okręty.

– Nieznane są pobudki Pana Cieśniny – mruknął Tibault de Toluard. – Przepuścił starego cruarchę i nikt nie wie, dlaczego. Gdyby im się udało... – Coś wpadło mu do głowy i pobladł nagle. – Ale się nie udało, za sprawą Izydora d'Aiglemort i Melisandy Szachrizaj. Ysandro, pani, co masz wspólnego z wyspą Albą i jak z kolei wiąże się to ze śmiercią Anafiela Delaunaya de Montreve?

W milczeniu powtórzyłam nazwisko: Montreve?

Ysandra de la Courcel złożyła ręce na podołku, uniosła brodę.

– W wieku szesnastu lat... – zaczęła cicho – moja ręka została obiecana następcy cruarchy, synowi jego siostry, Drustanowi nab Necthana, księciu Cruithnów.

Kiedy prawda nagle wychodzi na jaw, często zdarza się pewna rzecz: oślepiający błysk, w którym ukazuje się prawidłowość zagmatwanego dotąd wzoru. Zobaczyłam go wtedy, na królewskiej radzie.

– Delaunay! – wyszeptałam z bólem i żalem. – Ach, Eluo,

wiadomość, Kwintyliusz Rouse, Pan Cieśniny... szukałeś przejścia dla niego, dla piktyjskiego księcia, na ziemię D'Angelinów! Ale dlaczego... pani, dlaczego zwróciłaś się do Delaunaya?

– Anafiel Delaunay de Montreve. – Ysandra spojrzała na mnie z cieniem uśmiechu. – Nie znałaś całego nazwiska, prawda? Jego ojciec, hrabia de Montreve, wyrzekł się go, kiedy związał swój los z moim ojcem i odmówił spłodzenia dziedziców. Anafiel przybrał wówczas nazwisko matki, ona bowiem nie przestała go kochać. De Toluard wie o tym, jako że pochodzi z Siovale.

– Sarafiela Delaunay – powiedziała niespodziewanie Roxanna de Mereliot, Pani Marsilikos. – Urodziła się w Eisandzie. Tam znają starą opowieść o Elui i młodym rybaku, który miał na imię Delaunay, Sarafiela zrozumiała. Przysłała do mnie Anafiela na wychowanie, kiedy był mały.

– Błogosławiony Eluo! – Ledwo mogłam znieść ten nawał informacji. Przycisnęłam rękę do oczu. Poczułam, że Hiacynt mnie podtrzymuje, i byłam mu za to wdzięczna.

– Mój dziadek już korzystał z usług Delaunaya – podjęła Ysandra. – Nie okazywał mu specjalnych względów, ale znał siłę jego przysięgi i głębię dyskrecji. Pragnął się dowiedzieć, czy przymierze ze zdetronizowanym następcą tronu ma jakąś wartość. Ja chciałam czegoś innego. – Straciła panowanie nad sobą i dopowiedziała szeptem: – Drustana mab Necthana.

Gdy przebrzmiały jej słowa, zapadła cisza równa tej, jaka nastąpiła po opowieści Joscelina i mojej. Przerwał ją głośny śmiech Barquiela L'Envers.

– Niebieskiego chłopaka? – zapytał z niedowierzaniem. – Naprawdę chcesz poślubić tego niebieskiego chłopaka?

W oczach Ysandry rozbłysnął ogień.

– Chcę poślubić prawowitego następcę tronu królestwa Alby, z którym jestem zaręczona! Tak, wuju. Taki był cel zabiegów Anafiela Delaunaya, który właśnie z tego powodu stracił życie.

– Ale co... – zaczął Rinforte, prefekt Bractwa Kasjelitów. Zacisnął szczęki, próbując zrozumieć coś z tego, co zostało powiedziane. – Co to ma wspólnego ze Skaldami i d'Aiglemortem?

– Nic... – odparła Ysandra łagodnie – albo wszystko.

Wtedy wiedziałam, że narada będzie trwać długo. Bardzo długo.

PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Przyznaję, że podobnie jak pozostali nie mogłam wyobrazić sobie Ysandry de la Courcel jako małżonki księcia Piktów. Być może jeszcze przed rokiem byłabym zauroczona tym egzotycznym romansem, ale ponieważ sama byłam nałożnicą barbarzyńskich panów, krew ścinała mi się w żyłach na samą myśl o takiej egzotyce.

A jednak po trosze sympatyzowałam z królową, bo mówiła z przekonaniem i pasją, niespokojnie krążąc po komnacie.

– Przez całe życie... – zaczęła, chodząc z rękami założonymi za plecy i uniesioną brodą – byłam pionkiem w grze przymierza poprzez małżeństwo. Byłam oblegana przez d’Angelińskich panów, zachłannych, zapatrzonych w siebie, znudzonych wszystkim prócz władzy, widzących we mnie jedynie drogę do tronu. Cruithnowie nie przyszli po władzę. Ścigali marzenie, sen, wizję tak potężną, że nakłoniła do ustępstw nawet Pana Cieśniny.

Ysandra patrzyła na Thelesis de Mornay, wypowiadając te słowa, i coś mi się przypomniało: dziedziniec Delaunaya po audiencji z cruarchą. Usłyszałam echa głosu Alcuina: “Mimo wszystko usłyszałem coś o wizji siostry króla, coś o czarnym dziku i srebrnym łabędziu”.

Czarny dzik. Bezgłośnie wypowiedziałam te słowa, powtórzyłam je w duchu w języku cruithne. Czarny dzik.

Uczestnicy narady poruszyli się niespokojnie, w większości skrepowani rozmową o wizjach.

– Drustan mab Necthana nie pragnie władzy nad Terre d’Ange

– oświadczyła Ysandra stanowczo. – Rozmawialiśmy o tym ze śmiechem, w łamanym języku: fantazjowaliśmy, jak wspólnie władamy naszymi królestwami. Marzenia romantycznej młodości, ale nie pozbawione prawdy. Dostrzegłam w nim coś, co mogłabym pokochać, a on zobaczył coś we mnie. Kiedy mówił o Albie, jego oczy płonęły jak gwiazdy. Nie zrezygnuję z tego aliansu wyłącznie dla doraźnych korzyści politycznych.

– Jesteś królową, moja droga – powiedziała Roxanna de Mereliot. – Nie masz luksusu wyboru.

– Rodzina królewska Aragonii... – zaczął L'Envers.

Pani Marsilikos weszła mu w słowo.

– Rodzina królewska Aragonii przyśle pomoc, jeśli zostaniemy napadnięci przez Skaldów, bo wie, w którą stronę ruszą, jeśli Terre d'Ange im ulegnie. Ale bezpośrednie niebezpieczeństwo leży w obrębie naszych granic. – Popatrzyła na Ysandrę ze smutkiem w ciemnych oczach. – Najprostsze rozwiązanie, moja droga, polega na poślubieniu Izydora d'Aiglemort.

– I posadzeniu zdrajcy na tronie? – zachnął się hrabia de Somerville. Był wściekły. – Jeśli ci dwoje mówią prawdę...

– Otóż to. Naszą pierwszą powinnością jest rozstrzygnięcie tej kwestii. Jeśli tak, wtedy nie będzie innego wyboru, jak zagwarantować sobie lojalność diuka wszelkimi możliwymi środkami. Albo to, albo czeka nas podbój.

Rozległy się pomruki aprobaty. Ysandra zbladła, krew odpłynęła z jej twarzy.

– Nie – szepnęłam. Przerwali rozmowy i popatrzyli na mnie. – Takie rozwiązanie niczego nie załatwi. Nie zlikwiduje zagrożenia ze strony Skaldów, dziesięć razy gorszego niż wszystko, co mógłby obmyślić Izydor d'Aiglemort. Poza tym jest jeszcze Melisanda. Ona... ona prowadzi prywatną korespondencję ze

Skaldami, z Waldemarem Seligiem, poprzez Caerdicca Unitas. Widziałam Skaldów, są ich całe rzesze. Lojalność wszystkich Sprzymierzeńców z Kamlachu niewiele nam pomoże.

– W takim razie aresztujemy Melisandę Szachrizaj – zaproponował szorstko prefekt Rinforte. – To dość prosta sprawa.

Roześmiałam się głucho.

– Panie... ach, panie, z Melisandą Szachrizaj nie ma prostych spraw. Myślisz, że przez przypadek przebywa w Kuszecie, a nie w Mieście? Nie postawiłabym na to złamanego miedziaka.

– Ale dlaczego? – Tibault de Toluard zmarszczył czoło i skubnął warkocz roztargnionym gestem uczonego. – Dlaczego miałyby zdradzać królestwo? Jaka stawka jest warta takiego ryzyka?

Popatrzyli na mnie wtedy, wszyscy. Zacisnęłam dłoń na diamencie Melisandy i przymknęłam oczy.

– Stawką jest nie jedno, ale dwa królestwa, choć przede wszystkim liczy się sama gra – powiedziałam. – Kiedy się zastanowić, ród Szachrizaj grał w trony odkąd kroki Elui przebrzmiały na tej ziemi, a Melisanda jest graczem lepszym od innych. – Otworzyłam oczy i popatrzyłam na nich. – Popełniła błąd. Jestem tego dowodem. To nasza jedyna, niewielka przewaga. Nie liczcie, że potknie się drugi raz. I jeśli założycie, że naszym największym wrogiem jest diuk d’Aiglemort, będziemy zgubieni. Waldemar Selig także nie jest głupi.

– Nie możemy zignorować buntu w prowincji – zaprotestował Percy de Somerville.

– Nie wiemy na pewno, czy Kamlach się zbuntuje – zaznaczył rzeczowo Barquiel L’Envers. – Naszym nadrzędnym celem jest rozstrzygnięcie, czy usłyszeliśmy prawdę.

– Bez odsłaniania kart, oczywiście – przypomniał de Toluard.

– Oczywiście. – L’Envers skłonił głowę z odrobiną ironii.

Gaspar Trevalion podrapał się po szczęce.

– Gdzie przebywają Poszukiwacze Chwały księcia Baudoina? – zapytał Percy’ego de Somerville. – D’Aiglemort wystąpił z petycją do króla, chcąc przejąć dowodzenie nad nimi.

– Powinieneś wiedzieć – rzekł kwaśno dowódca wojsk królewskich. – W Trevalionie, pod rozkazami Ghislaina. Przysparzają wielu kłopotów. Zastanawiam się, jak Mark znosił ich niesubordynację.

– Mój kuzyn zawsze był cierpliwym człowiekiem. Przeżył małżeństwo z Lyonettą, nieprawdaż? – Gaspar uśmiechnął się szeroko. – Oto, co myślę. Poślij Poszukiwaczy Chwały pod rozkazy d’Aiglemorta, niech myśli, że królowa jest bardziej miękka niż jej dziadek. Gwardia Baudoina nie darzy sympatią Izydora, który przyczynił się do zguby księcia i zniesławił ich imię. Niech udają, niech przejadą Kamlach wzdłuż i wszerz, niech zobaczą, kto kogo popiera.

– A jaką możemy mieć gwarancję, że sami pozostaną lojalni? – zapytała Roxanna de Mereliot. – To rodzina Courcel wydała wyrok śmierci na Baudoina de Trevalion.

– Ha – parsknął cicho Gaspar. – Tak. Ganelon de la Courcel wydał wyrok. Ale Ysandra de la Courcel może wezwać diuka Marka de Trevalion i jego córkę Bernadettę z wygnania.

– I pozbawić włości mojego syna Ghislaina? – zapytał groźnie Percy de Somerville.

Gaspar Trevalion popatrzył na niego spokojnie.

– Słyszałem o twoim synu wiele pochlebnych rzeczy, hrabio de Somerville. Ale jest on potomkiem Anaela, który zgrzeszył dumą. Mieszkańcy Azalii nigdy go nie pokochają, chyba że stanie się

jednym z nich. Poprzez małżeństwo, powiedzmy, z osobą z rodu Trevalion.

– Z Bernadettą.

– Otóż to.

Ysandra z uwagą i poważną miną śledziła tok rozmowy.

– Azalia chroni równiny, nie możemy ryzykować rozłamu w tej prowincji – powiedziała chłodno. – Panie de Fourcay, twój kuzyn popełnił zbrodnię przeciwko tronowi, tając przed nami plany Lyonetty. Jeśli otrzyma szansę pokuty, czy z niej skorzysta?

– Wasza Królewska Mość. – Gaspar Trevalion, hrabia de Fourcay, uklonił się Ysandrze. – Jest D’Angelinem na wygnaniu. Tak, skorzysta. I przysięgam na honor, będzie dwa razy bardziej żarliwy w swojej lojalności, za to że umożliwiłaś mu jej udowodnienie. Ród Trevalion nie da ci powodów do żalowania tego ułaskawienia.

Była młoda; przygryzła usta i pokiwała głową.

– Niech więc tak będzie. Wiesz, gdzie zamieszkał? – Spojrzała na Gaspara, który skłonił głowę. – Porozumiemy się z nim. Ale najpierw złożymy propozycję gwardii Baudoina. Muszą zrozumieć, że od ich lojalności... i dyskrecji zależy odkupienie winy rodu Trevalion. Czy zajmiesz się tym, panie?

– Tak – oświadczył Gaspar stanowczo.

Zdawało się, że jego zdecydowanie dodało jej sił.

– Dobrze – powiedziała. – Rozmawiałam o tych sprawach z księciem Benedyktem tak otwarcie, na ile śmiałam. Powinniście wiedzieć, że on i mój wuj zawarli pokój. – Popatrzyła na L’Enversa, który skinął głową bez cienia drwiny. Dobra robota, pomyślałam. Imponujące, zmusiła ich do zgody. Och, nie znali jej ci D’Angelinowie, którzy namawiali Baudoina do zajęcia jej miejsca na tronie; Ysandra de la Courcel miała w sobie stal! – La

Serenissima nie wesprze nas ludźmi – mówiła. – Leży za blisko skaldyjskiej granicy, jest zbyt zagrożona. Ale pomoże nam w zbieraniu informacji. Benedykt przysięgł. – Powiodła wzrokiem po twarzach zebranych. – Potrzebujemy informacji, panowie i panie. Informacji o poparciu Aragonii i o innych miastach-państwach Caerdicci. Informacji o posunięciach Skaldów. Informacji o tym, na kogo możemy liczyć w naszych granicach. O wielkości sił, jakie możemy zebrać, o stopniu ich gotowości. Potrzebujemy wiedzy, i to zdobytej dyskretnie. Co jesteście gotowi zrobić?

Nie przytoczę szczegółów dalszej rozmowy, bo była długa i zawiła. W końcu zdecydowano, że każdy z uczestników podejmie różne działania, z zachowaniem najwyższej dyskrecji. Bractwo Kasjelitów miało przekazywać informacje, tworząc sieć kurierów we wszystkich prowincjach. Był to dobry pomysł, bo nikt nie mógł podejrzewać kasjelitów o politykowanie. Myślę, że prefekt nie wydałby zgody, gdyby nie zależało mu na usunięciu cienia, jaki na jego zakon rzuciły poczynania Joscelina. Postanowiono również, że domniemani zdrajcy nie mogą dowiedzieć się o niczym, dopóki nie znajdą się dowody, których ujawnienie zapewni przewagę królowej.

Kiedy było po wszystkim, Barquiel L'Envers powrócił do tematu Alby.

– Cóż, Ysandro – zagaił cierpko – zaplanowaliśmy pierwsze kroki, jakie podejmiemy w przypadku wojny domowej i napaści Skaldów. A co z twoim niebieskim chłopcem? Jak stoją sprawy na pięknej Albie?

Odpowiedział mu Gaspar Trevalion, pocierając grzbiet nosa. Wszyscy już byli zmęczeni.

– Drustan mab Necthana uniknął krwawej łaźni i wraz z

matką, siostrami oraz garstką wojowników wywalczył sobie drogę na zachodnie wybrzeże, gdzie znalazł schronienie wśród Dalriadów. Tyle wiemy. Jeśli Dalriadowie zechcą dla niego walczyć, wielce możliwe, że odzyska tron bezprawnie zajęty przez kuzyna Maelcona. Jak dotąd odmawiali pomocy zbrojnej.

– Tak – parsknął Barquiel z sarkazmem. – Jestem tego świadom, podobnie jak połowa ludzi w królestwie i Ganelon, który właśnie z tego powodu skłaniał się do zerwania zaręczyn... które, rzecz jasna, nie zostały ogłoszone publicznie. Czy to są te ogromnie ważne informacje, przez które zginął Anafiel Delaunay?

– Nie – powiedziała Thelesis de Mornay cicho, ale takim tonem, że natychmiast przyciągnęła powszechną uwagę. – Delaunay był w kontakcie z Kwintyliuszem Rouse, który przekazał prośbę Panu Cieśniny. Prosił o przepuszczenie Drustana mab Necthana i jego ludzi. Gdyby dotarli na d'Angelińską ziemię, on i Ysandra mogliby się pobrać. Terre d'Ange pomogłaby Drustanowi odzyskać tron Alby, a Alba pomogłaby Ysandrze umocnić się na tronie.

– Podobny plan miała Lwica z Azalii – mruknęła Roxanna de Mereliot.

– I niemal się powiódł – przypomniał Gaspar. – Tak. Tylko że my zwróciliśmy się do Pana Cieśniny o łaskę.

– Której nie chciał wyświadczyć, jak mniemam – dopowiedział Tibault de Toluard.

– Odpowiedział następująco: “Kiedy czarny dzik zawładnie Albą, Starszy Brat okaże przychylność”. – zacytowała Thelesis. – Tak brzmiały słowa Kwintyliusza Rouse i taka była treść wiadomości, z powodu której zginął Delaunay.

Znałam te słowa, znałam je doskonale, a jednak nie dawały mi

spokoju, przywołując jakieś nieuchwytnie wspomnienie.

– Wiadomość, która nie ma sensu – powiedział kwaśno L’Envers.

– Wcale nie. – Thelesis pokręciła głową. – W Albie i Eire mieszkają dziesiątki plemion, ale przynależą do czterech ludów. Lud Czerwonego Byka, do którego należą Maelcon i Foclaidha; lud Białej Klaczy, z którego wywodzą się Dalriadowie; lud Złotej Łani na południu i lud Czarnego Dzika, w którym urodził się Drustan mab Necthana z linii Cinhila Ru. Pan Cieśniny mówi, że spełni naszą prośbę, jeśli księżę Drustan odzyska władzę w Albie.

– Aha. – L’Envers wzruszył ramionami. – Równie dobrze mógł postawić inny warunek, mianowicie, jeśli Błogosławiony Elua wróci z Terre d’Ange, która leży w zaświatach, i sam go poprosi. W tym tkwi szkopuł.

Wspomnienie, które mi dotąd umykało, wreszcie wypłynęło z głębin świadomości.

– Nie lekceważ Cullach Gorrym – powiedziałam głośno. – Hiacyncie! – Potrząsnęłam nim ze wzburzenia. – Pamiętasz? Słowa twojej matki? Nie lekceważ Cullach Gorrym – powtórzyłam. – Nie lekceważ Czarnego Dzika!

Zmarszczył czoło.

– Pamiętam. To nie miało sensu.

– Teraz ma. Chodzi o księcia Drustana.

– Mówisz, że twoja matka też miała ten dar? – zapytała Ysandra, przenikliwie patrząc na Hiacynta.

– Tak, Wasza Królewska Mość. – Ukłonił się. – Większy niż ja. I wyrzekła te słowa, to prawda.

– Co widzisz?

Popatrzył w dal, jego czarne oczy stały się puste i szkliste. W końcu pokręcił głową.

– Widzę statek – powiedział niechętnie. – Nic więcej. Ścieżki się rozwidlają, nie mogę spojrzeć daleko. Widzę wyraźnie tylko proste drogi, Wasza Królewska Mość. Takie jak ta, którą kroczył król, twój dziadek.

– Tyle każdy mógłby przepowiedzieć – rzekł Percy de Somerville. – Ganelon spoczywał na łożu śmierci.

– Ten młody Cygan dokładnie przewidział jej dzień – przypomniała Ysandra. Miała zadumaną minę. – Gdyby Dalriadowie wiedzieli o przyrzeczeniu Pana Cieśniny, może udzieliliby wsparcia Drustanowi. Gdyby Anafiel Delaunay udał się do Alby... Wielka szkoda, że zginął, znał bowiem język cruithne, podobnie jak jego młody uczeń. Nikomu innemu nie można zaufać. – Popatrzyła przepaszająco na Thelesis. – Nie mówię o tobie, nadworna poetko. Powierzyłabym ci własne życie i wiem, że zrobiłabyś dla mnie wszystko, ale rozmawiałam z medykami. Zimowa podróż lądem i morzem mogłaby cię zabić, Thelesis.

– Tak mi powiedzieli – mruknęła Thelesis de Mornay; nie wątpiłam, że pragnie jechać mimo wyniszczającej gorączki, której ślady wciąż było widać na jej twarzy. Ale spojrzenie ciemnych, świetlistych oczu spoczęło na mnie. – Pani... – zwróciła się do Ysandry – Delaunay miał dwoje uczniów.

Aż się wzdrygnęłam.

– O czym ty mówisz? – wyszeptałam.

– Mówię... – przerwała, bo złapał ją atak kaszlu. – Fedro nó Delaunay, ty mogłabyś zająć miejsce Anafiela jako ambasador królowej.

– Pani... – Przeniosłam spojrzenie z Thelesis na Ysandrę, niepewna, do której się zwrócić. Kręciło mi się w głowie. – Pani, jestem *anguisette*! Zostałam wyszkolona na sługę Naamy! Nie

nadaję się na ambasadora!

– Niezależnie od tego, do czego zostałaś przygotowana, wszystko robisz nadzwyczaj dobrze – zauważył lakonicznie L'Envers. – Wiesz, że Rogier Clavel nosił po tobie żałobę i stracił prawie dwadzieścia funtów na wadze? Jest chudy jak szczapa. Uczeń Anafiela Delaunaya to ktoś więcej niż tylko sługa Naamy, mała *anguisette*. Jesteś pierwszą dziwką w historii, która przechytrzyła wodza Skaldów i przeżyła, by ostrzec naród o zdradzie.

– Panie! – Słyszałam grozę we własnym głosie. – Mam nadzieję, że nigdy nie spotka mnie to, co przeżyłam. Nie mam siły, by przechodzić przez coś takiego dwa razy.

– Cruithnowie to nie Skaldowie – powiedziała Ysandra rzeczowo. – I byłabyś pod ochroną Kwintyliusza Rouse, jednego z największych admirałów w dziejach. Fedro, jestem ci wdzięczna za to, co dotąd zrobiłaś. Nie prosiłabym o więcej, gdybyśmy nie byli w tak wielkiej potrzebie.

Siedziałam w milczeniu, a ze strachu ćmiło mi się w oczach. Joscelin wstał i uklonił się królowej. Potem odwrócił się w moją stronę. Popatrzyłam na niego. Jego oczy miały nieustraszonego wyraz.

– Fedro, przeżyliśmy znacznie gorsze przygody – rzekł głosem, w którym dźwięczała heroiczna odwaga. – Pojadę z tobą. Przysiągłem chronić i służyć!

Jego postawa podniosła mnie na duchu, ale zaraz potem usłyszałam głos prefekta, trzeźwiący jak kubeł zimnej wody.

– Bracie Joscelinie – rzekł sucho. – Jesteśmy radzi, że okazałeś się niewinny śmierci Anafiela Delaunaya, ale sam przyznałeś się do pogwałcenia ślubów i zdałeś się na naszą sprawiedliwość. Dla zbawienia duszy musisz się wyświadczyć i odprawić pokutę.

Tylko ci, którzy ze wszystkich sił starają się być Doskonałymi Towarzyszami, dostępują zaszczytu służenia potomkom Elui.

Joscelin zamrugał, patrząc na niego z otwartymi ustami. Po chwili odzyskał zimną krew.

– Prefekcie, panie mój – powiedział z ukłonem. – Wciąż jestem zaprzysiężony domowi Anafiela Delaunaya. – W jego głosie pobrzmiwała nutka rozdrażnienia. – Jeśli w ogóle dostąpię zbawienia, to poprzez dotrzymanie tej przysięgi!

– Zwalniam cię z niej – oznajmił prefekt beznamiętnie. – Takie jest moje postanowienie.

– Panie! – Joscelin skrzywił się, jakby został spoliczkowany. – Prefekcie, proszę, nie!

Stary prefekt przeszył go jastrzębim spojrzeniem.

– Jakich przewinień się dopuściłeś, młody bracie?

Joscelin odwrócił wzrok, nie będąc w stanie znieść tego spojrzenia.

– Nie ustrzegłem swojej podopiecznej – rzekł ponuro. – Zabiłem w gniewie, a nie w obronie. Popełniłem... popełniłem morderstwo. I... – Patrzył na mnie przez chwilę z poważną miną. Przypomniałem sobie Grotę Elui i to, co zaszło między nami. Potem przeniósł wzrok na Hiacynta. – Wyciągnąłem miecz tylko dla pogróżki.

– To poważne przewinienia. – Prefekt pokręcił głową. – Nie mogę na to pozwolić, bracie Joscelinie. Zastąpi cię ktoś inny.

W pałacyku myśliwskim zapadła grobowa cisza. Nikt, nawet Ysandra, nie chciał wtrącać się w sprawy kasjelitów. Joscelin stał zagubiony w myślach. Wzniósł niebieskie oczy, potem popatrzył na mnie. Wspomniałem, jak stał sam w śnieżnej zawierusze, rzucając miecz przed Skaldami. Podejmował decyzje, przed jakimi nigdy nie stawali inni kasjelici. Był tłamszony przez

łańcuchy, krew i lód, ale się nie załamał. Nie chciałam innego obrońcy.

– Wasza Królewska Mość. – Joscelin uklonił się i zapytał niezwykle formalnym tonem: – Czy przyjmiesz mój miecz, abym w twojej służbie mógł chronić Fedrę nó Delaunay?

– Zrób to, a będziesz przeklęty, młody bracie! – powiedział szorstko prefekt. – Przysięga Kasjela wiąże na całe życie, a nawet dłużej!

Ysandra de la Courcel zastanawiała się. Jej twarz niczego nie zdradzała. Wreszcie skłoniła głowę.

– Przyjmujemy twoje usługi – oznajmiła równie formalnie. Do prefekta powiedziała: – Lordzie Rinforte, z przykrością sprzeciwiamy się twoim życzeniom. W takich sprawach musimy podporządkować się przykazaniom Błogosławionego Elui, a nie woli Bractwa Kasjelitów. Wedle nauk Elui, Joscelin Verreuil ma prawo do samodzielnego dokonania wyboru.

– To zostanie uznane za pobłądzenie! – wycedził prefekt przez zaciśnięte zęby. – Czy taka jest twoja wola, bracie Joscelinie?

– Tak. – Jego głos brzmiał głucho, ale Joscelin nawet nie drgnął. Prefekt złożył nienaganny kasjelicki ukłon, potem wykonał taki gest, jakby coś łamał.

– Joscelinie Verreuil z Bractwa Kasjelitów, wyklinam cię. – Uklonił się Ysandrze. – Przekazuję ci tego człowieka, Wasza Królewska Mość.

– Dobrze – odparła krótko. – Fedro nó Delaunay, czy godzisz się przejąć obowiązki swojego pana i zanieść moją wiadomość do księcia Drustana nab Necthana?

Po tym, co zrobił Joscelin, nie miałam większego wyboru. Wstałam, przepełniona mieszaniną strachu, dumy i podniecenia, i dygnęłam przed królową.

– Tak, Wasza Wysokość.

– Dobrze – powtórzyła i dodała z zadumą: – W takim razie pozostaje tylko jeden problem. Jak dostarczyć cię bezpiecznie do Kwintyliusza Rouse.

– A gdzie on jest? – wiedziałam, gdzie. Bałam się odpowiedzi.

– W Kuszecie. – Te słowa upadły jak kamień.

– Wasza Królewska Mość, mam pomysł – powiedział niespodziewanie Hiacynt.

SZEŚĆDZIESIĄT

Okazało się, że do Kuszetu wiedzie cygański szlak, o którym nie słyszał żaden z uczestników narady. Cyganie żyli wśród D'Angelinów i wędrowali po naszych drogach, a jednak wiedzieliśmy o nich niewiele. Hiacynt wiedział. Odgrywając Księcia Podróżnych w Progu Nocy, nie przestał marzyć o zajęciu należnego mu miejsca w kompanii dziadka. Myślę, że poza jego matką tylko ja o tym wiedziałam.

Cyganie są uznanymi hodowcami i handlarzami koni. Najsłynniejsze końskie targi odbywają się w Eisandzie, bo tam mieszkają *taurieres*, którzy walczą konno z eisandyjskimi bykami. Drugim ważnym ośrodkiem hodowli koni jest Kuszet. Wiele cygańskich kompanii ściąga tam wczesną wiosną, żeby sprzedawać i kupować pierwsze w danym roku źrebięta.

Hiacynt zaproponował następujący plan: pojedziemy do Kuszetu cygańskimi szlakami i odszukamy jego bliskich z kompanii Manoja, a następnie poprosimy ich albo zapłacimy im za pomoc w dotarciu do Pointe d'Oeste, gdzie zimowała flota admirała Rousse.

Plan z jednej strony był ryzykowny, oznaczał bowiem, że będziemy zdani wyłącznie na siebie i w zasadzie bezbronni, z drugiej zaś doskonały, gdyż mieliśmy podróżować w przebraniu, o jakie nikt nie mógłby nas posądzać.

To właśnie, bardziej niż wszystkie inne względy, przechyliło szalę na stronę propozycji Hiacynta. Tylko jednej rzeczy bałam się bardziej niż gniewu Pana Cieśniny, niebezpieczeństw

czyhających w dalekiej Albie czy tatuowanych na niebiesko Cruithnów. Był to przejazd przez Kuszet, ojczyznę rodu Szachrizaj. Pocięczałam się, że żaden tamtejszy pan ani nawet Melisanda nie pomyśli o zaglądanu w oczy młodej Cygance, żeby szukać w nich charakterystycznej szkarłatnej plamki.

Decyzja zapadła.

Szczegóły zostały omówione po zakończeniu narady, gdy wszyscy przysięgliśmy wierność i dochowanie tajemnicy. Spotkaliśmy się po kolacji – Gaspar i Thelesis, którzy od początku wiedzieli o albijskim planie, oraz Joscelin, Hiacynt i ja. Zdecydowaliśmy, że wyruszymy za tydzień, bo zima dopiero co się skończyła i jeszcze nieliczne kompanie przemierzały szlaki. Poza tym musieliśmy się przygotować. Hiacynt i Thelesis mieli wrócić do miasta, żeby zdobyć potrzebne nam rzeczy.

Kiedy wszystko zostało omówione, nadszedł czas na swobodniejszą rozmowę.

– Fedro – zagadnął Gaspar Trevalion, biorąc mnie ze ręce. – Nie miałem kiedy powiedzieć ci, jak bardzo boleję z powodu śmierci Anafiela Delaunaya. Był... był moim przyjacielem, najlepszym przyjacielem. Świat zubożał, tracąc jego wielkie serce i mądrą głowę. I Alcuin... znałem go od dziecka. Był bezcennym klejnotem.

– Dziękuję, panie. – Na znak wdzięczności uścięnęłam jego dłonie, czując napływające do oczu łzy. – Delaunay zawsze uważał cię za niezwykle szlachetnego człowieka.

– Czasami uważałem go za głupca – powiedział szorstko – bo pozostał wierny przysiędze po śmierci człowieka, któremu ją złożył. Drogo zapłacił za swój honor.

– Tak. – Wspomniałam gorzkie słowa, jakie wyrzekłam do Ysandry de la Courcel w czasie pierwszej audiencji. – Ale również

za to go kochałam.

– Jak my wszyscy – powiedziała Thelesis i uśmiechnęła się. – Przynajmniej ci, którzy go nie nienawidzili, bo budził silne emocje. Fedro, sąd przejął jego majątek. Czy może w domu jest coś, co chciałabyś zatrzymać?

Pokręciłam głową, muskając palcami diament Melisandy.

– Tylko ten drobiazg – odparłam z goryczą. – Zasłużyłam na niego, bez dwóch zdań. Wygląda na to, że nie rozstanę się z nim do dnia, w którym będę mogła rzucić go pod nogi ofiarodawczyni. Sądy niewiele się na mnie wzbogacą. Prawie wszystko, co miałam, trafiło w ręce mistrza Roberta Tielharda, który miał ukończyć moją markę. – Wzruszyłam ramionami. – Tą stratą obciążę Melisandę Szachrizaj i Izydora d’Aiglemort.

– Na pamięć Anafiela Delaunaya przysięgam... – powiedział poważnie Gaspar Trevalion, ściskając moje dłonie – że póki żyję, Fedro, niczego ci nie zabraknie. A kiedy ta sprawa zostanie załatwiona, dopilnuję, żeby twoje imię zostało oczyszczone. – Popatrzył na Joscelina. – Twoje również.

– Dziękuję. – Pocałowałam go w policzek.

Joscelin, milczący i pogrążony w zadumie, skinieniem głowy wyraził swoją wdzięczność.

– Wydaje mi się, że możemy zażądać od królowej nagrody za nasze usługi – wtrącił Hiacynt. Popatrzył na nasze zaskoczone miny i wyszczerzył zęby. – Jeśli chcecie wędrować z Cyganami, musicie zacząć myśleć jak oni.

Ujrzałam niesmak na twarzy Joscelina.

– Lepiej myśleć jak Cygan niż jak jeden z Białych Braci – powiedziałam do niego po skaldyjsku.

Szeroko otworzył niebieskie oczy, najwyraźniej wstrząśnięty przypomnieniem mowy z okresu naszej niewoli, ale po chwili

uśmiechnął się nieznacznie.

– Czy nauczysz mnie cruithne tak jak skaldyjskiego? – zapytał.

– No, nie wiem. Czy trzeba będzie zamknąć cię w psiarni, żebyś stał się chętnym uczniem?

– Nie – odparł cierpko, z roztargnieniem gładząc włosy, złote jak pszenica i spływające na ramiona po uwolnieniu z kasjelickiego pierścienia. – Myślę, że poznałem korzyści– i niebezpieczeństwa – płynące ze zwracania uwagi na twoje słowa, Fedro nó Delaunay. Twój pan byłby z ciebie dumny.

– Być może. – Spojrzałam mu w oczy. – Dziękuję – dodałam cicho. Dotąd nie rozmawialiśmy o wyborze, jakiego dokonał. Joscelin odwrócił wzrok, pocierając kciukiem rzeźbioną poręcz swojego fotela.

– Hmm – mruknął. – Nie mogłem cię narazić na przebywanie pod opieką jakiegoś zaszuszonego zramolałego kasjelity. – Z uśmiechem popatrzył na Hiacynta. – Bracia z kolei rozpaczaliby z twojego powodu, Cyganie. Mam tylko nadzieję, że wytrzymasz nasze towarzystwo bez popadania w obłąd.

– Ja również. – Hiacynt błysnął nieodpartym uśmiechem. – Przebyłeś długą drogę, odkąd Fedra wybawiła cię z opresji. Pamiętasz akrobatów z Domu Dzikiej Róży? Mam nadzieję, że nie spotka nas nic gorszego.

– Eluo spraw, żeby tak było. – Joscelin wstał i ukłonił się, jak zwykle krzyżując ręce. – Wybaczcie mi, jest późno, chciałbym się wyspać.

Życzyliśmy mu dobrej nocy.

– Wiesz, mój stryjeczny dziadek był kasjelitą – powiedziała Thelesis cichym, przykuwającym uwagę głosem. – Jest nazwa na to, co zrobił dziś Joscelin Verreuil. – Skierowała na mnie spojrzenie ciemnych, świetlistych oczu w wyniszczonej twarzy. –

Nazywają to Wyborem Kasjela.

Nie potrzebowałam jej wyjaśnień. Sama to rozumiałam.

Kolejne dni minęły we względnym spokoju. Uczestnicy narady rozjechali się w cztery strony królestwa. Na moją prośbę Ysandra poleciła przysłać kilka tomów z królewskiej biblioteki, opracowania dotyczące Alby, książki w języku cruithne oraz traktaty poświęcone Panu Cieśniny. Żałowałam, że nie mam pod ręką księgozbioru Delaunaya. Pamiętałam, jak Alcuin studiował dzieje Pana Cieśniny, i żałowałam, że go tu nie ma. Żałowałam również, że nie byłam obecna na tamtej pamiętnej audiencji, kiedy Ganelon de la Courcel przyjął starego cruarchę. Alcuin towarzyszył Delaunayowi, a ja się cieszyłam, że w tym czasie jadę do domu Waleriany na zwiedzanie flagelariów i komnat rozkoszy.

Obecnie takie rzeczy wydawały mi się dziecinną zabawą. Poznałam cierpienia, jakie można zadać duszy. W porównaniu z nimi udręki ciała są niczym.

Czwartego dnia Ysandra wezwała mnie przed swój majestat.

– Sprowadziłam kogoś z Miasta, Fedro – oznajmiła. – Kogoś, kogo uznałam za godnego zaufania.

Najpierw pomyślałam o Cecylii Laveau-Perrin, gdyż tęskniłam za nią bardzo od dnia powrotu do Terre d'Ange. Thelesis powiedziała mi, iż zwierzyła się Cecylii, która rozplakała się z radości na wieść, że żyję. Ale na znak Ysandry do pokoju wszedł mistrz Tielhard, markarz.

Uklęłam na jego widok i łzy zaćmiły mi oczy. Ucałowałam jego sękatę dłoń. Odsunął je z zakłopotaniem.

– Zawsze to samo. Przekłęte *anguisette* – burknął. – *Grandpere* mnie ostrzegął. Cóż, dziecko, warunki kontraktu nie zostały dopełnione i królowa poleciła mi dokończyć twoją markę.

Rozbierzesz się czy też moje stare kości na próżno znosiły trudy długiej podróży?

Nie podnosząc się z klęczek, skierowałam zapłakane oczy na Ysandrę.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

– Masz za co. – Uśmiechnęła się lekko. – Niełatwo było przekonać mistrza Tielharda do wyjazdu z Miasta. Ale przed ruszeniem w drogę dobrze jest zamknąć wszystkie niedokończone sprawy. Thelesis de Mornay powiedziała mi o twoich.

Po jej wyjściu służący zaprowadzili nas do prywatnego pokoju, gdzie już czekały przybory markarza. Rozebrałam się do naga i położyłam na przygotowanym stole. Mistrz Tielhard zaburczał na widok pręg po razach, jakie wymierzyli mi kapłani w świątyni Kusziela, ale wydawało się, że będzie mógł przystąpić do pracy.

– Gdzie twój czeladnik, mistrzu? – zapytałam, gdy mruczał nad swoimi przyborami.

– Odszedł – odparł krótko. – Gorączka go zabrała. Będiesz moim największym dziełem, *anguisette*. Jestem za stary, by zaczynać szkolenie nowego następcy.

– Naama pobłogosławi ci za usługi, jakie wyświadczyłeś – szepnęłam. Mistrz Tielhard wymamrotał coś niezrozumiale, przyłożył rączkę z igłami do moich pleców i uderzył w nią młoteczką.

Setki igieł przeszły moją skórę, nasączając ją trwałymi barwnikami. Zamknęłam oczy, omyta falą przyjemnego bólu. Niezależnie od tego, co mnie czekało, to jedno miałam zagwarantowane. Moja marka zostanie ukończona. Niezależnie od rodzaju niebezpieczeństw, zmierzę się z nimi jako wolna D'Angelina, jak powiedziałam Waldemarowi Seligowi.

– Przynajmniej nauczyłaś się leżeć spokojnie – burknął mistrz Tielhard i ponownie uderzył młoteczkiem.

Ból rozkwitł niczym czerwony kwiat u podstawy mojego kręgosłupa, powoli wsączając się w kończyny. Sapnęłam, zaciskając ręce na brzegach stołu, i udowodniłam mu, że nie miał racji. Być może Ysandra przedstawiła mnie jako bohaterkę królestwa, to nie miało znaczenia. Mistrz Robert Tielhard był artystą, a ja jego płótnem. Z irytacją wymierzył mi klapsa, nakazując leżenie bez ruchu.

– Przeklęte *anguisette* – mruknął. – *Grandpere* miał rację.

Później miałam czas, by obejrzeć wynik jego pracy we wskazanym mi pokoju, bogato urządzonej. Jak na mój gust był trochę ciemny i duszny, ale przecież przebywaliśmy w pałacyku myśliwskim. Stałam naga i przed dużym, owalnym lustrem w złoczonej ramie, z włosami przerzuconymi do przodu, i spojrzałam przez ramię.

Ukończona marka wyglądała oszałamiająco.

Cierniste czarne linie, delikatne i zarazem pełne siły, wyrastały z pełnej wdzięku spirali, pięły się w górę kręgosłupa i kończyły w eleganckim zwieńczeniu. Akcenty w postaci szkarłatnych łezek występowały oszczędnie, pozostając w żywym kontraście z czarnymi liniami i skórą o barwie kości słoniowej. Są echem Strzały Kusziela, myślałam swego czasu; teraz przypominały mi także Najsroższą Zimę, skaldyjskie pustkowia, kontury gałęzi na tle śniegu zbryzganego szkarłatną krwią.

Marka była oszałamiająca i pasowała do mnie idealnie.

Usłyszałam pukanie, zarzuciłam więc na ramiona jedwabną szatę i otworzyłam drzwi. Widząc Ysandrę de la Courcel, chciałam uklęknąć.

– Nie, nie – sprzeciwiła się nerwowo. – Mam w życiu dość ceremonii, a znając relacje mojego ojca i Delaunaya, jesteśmy niemal kuzynkami. – Ysandra nie dała mi czasu na rozważenie tego zdumiewającego pomysłu. – Czy jesteś zadowolona?

– Tak, Wasza Wysokość. – Odsunęłam się od drzwi, żeby mogła wejść do pokoju. – Wyświadczyłaś mi wielką uprzejmość, dziękuję.

Ysandra popatrzyła na mnie z zaciekawieniem.

– Mogę zobaczyć?

Nie odmawia się władcy. Bez słowa rozwiązałam szarfę i zsunęłam szatę, odwracając się plecami.

– Więc tak wygląda marka Naamy. – Jej palce przesunęły się lekko po skórze. – Czy to boli?

Zapanowałam nad drżeniem.

– Tak.

– Przepraszam. – W jej chłodnym głosie brzmiała nutka rozbawienia. – Dziękuję. Możesz się okryć.

Zrobiłam to i odwróciłam w jej stronę.

– Nigdy nie widziałas sługi Naamy, Wasza Wysokość?

– Nie. – Ysandra pokręciła głową. – Mój dziadek nie pozwalał na takie kontakty. Dziewictwo panny młodej jest w cenie, zwłaszcza wśród barbarzyńców – dodała cierpko. – Na przykład Akadyjczyków.

– Błogosławiony Elua kazał nam kochać tak, jak chcemy – powiedziałam. – Nawet król nie może pogwałcić tego przykazania.

– Nie. – Krążyła niespokojnie po pokoju, a jej jasne włosy lśniły jak płomień w przyćmionym świetle. – Ale powinnaś zrozumieć. Kiedy byłaś w terminie u Anafiela Delaunaya, nie mogłaś wedle własnej woli szafować monetą swojej miłości, prawda? Ja jestem

niewolnicą tronu, Fedro. A jednak chcę być posłuszna Przykazaniu Elui, dlatego wysyłam cię do Alby, żebyś zaniósła wiadomość Drustanowi nab Necthana. Jeśli zawiedziesz... wciąż będę miała monetę w postaci nieskalanego małżeńskiego łoża. Eluo spraw, żebym miała gdzie ją wydać.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – szepnęłam.

– Masz dar przetrwania. – Ysandra skierowała na mnie spojrzenie fiołkowych oczu. – Mogę tylko mieć nadzieję, że cię nie opuści. – Zaciekawienie powróciło do jej tonu. – Powiedz mi, dlaczego słudzy Naamy noszą taką markę?

– Nie wiesz? – Z uśmiechem poruszyłam ramionami, żeby poczuć muśnięcie jedwabiu na skórze. – Podobno Naama znaczyła plecy kochanków, którzy sprawili jej przyjemność, drapiąc ich skórę paznokciami. Do końca swoich dni nosili ślady jej miłosego uniesienia. My czynimy to w hołdzie i ku pamięci.

– Aha. – Ysandra pokiwała głową. – Rozumiem. Dziękuję. – Odwróciła się do wyjścia, ale przystanęła przed drzwiami. – Jutro wróci twój towarzysz Hiacynt. Przygotujecie się do wyjazdu. Pomyślałam, że może ci się to przyda. Nie zajmuje dużo miejsca. – Podała mi niewielki, mocno podniszczony cienki tomik. Otworzyłam go i zobaczyłam stronice zapisane nieznanym charakterem pisma. – To dziennik mojego ojca – wyjaśniła cicho. – Zaczął go prowadzić na uniwersytecie w Tyberium. Zapiski kończą się niedługo po moich narodzinach. Wiele z nich dotyczy Delaunaya. To słowa ojca zachęciły mnie do nawiązania z nim kontaktu.

– W garderobie aktorów – powiedziałam bez zastanowienia. Zarumieniłam się, widząc jej zszokowaną minę. – To długa historia, Wasza Królewska Mość. Delaunay nie wiedział, że tam byłam.

Ysandra pokręciła głową.

– Mój wuj miał rację. Cokolwiek robisz, Fedro nó Delaunay, robisz dobrze. – Jej fiołkowe oczy pociemniały. – Mój ojciec ożenił się z obowiązku, nie z miłości. Eluo spraw, żebyś ty zaoszczędziła podobnego losu mnie. Będę modlić się o twój bezpieczny powrót i żebyś przywiozła księcia Cruithne. Nic więcej nie mogę zrobić. Muszę zająć się jak najlepszą ochroną królestwa.

Współczułam jej; w porównaniu z jej brzemieniem moje wydawało się lekkie.

– Dokonam tego, pani, jeśli to możliwe.

– Wiem.

Patrzyłyśmy na siebie. Obie byłyśmy w tym samym wieku, ale jakże różne.

– Powodzenia – powiedziała Ysandra, chwytając mnie za rękę i składając na moim czole formalny pocałunek błogosławieństwa.

– Niech Elua cię błogosławi i ma w opiece. Modlę się, żebyśmy znowu się spotkały.

Wyszła, zostawiając mnie samą z ukończoną marką i książką. Nie mając nic innego do roboty, usiadłam i zaczęłam czytać.

Rankiem przybył Hiacynt. Przyprowadził trzy dość dobre konie i dwa juczne muły z prowiantem.

Oraz z ubraniami.

Sam nosił to co zawsze, strój w krzykliwych kolorach pod szafranowym płaszczem, który był podróznym kolorem Cyganów. Dla mnie przywiózł podobny płaszcz z kapturem z kasztanową podszewką, który włożyłam na niebieską aksamitną suknię z trzema falbanami. Była bardzo ładna, choć trochę za duża, sfatygowana i w paru miejscach wyświechtana.

– Cyganie nie wyrzucają niczego, gdy nie muszą – przypomniał

mi. – Fedro, będziesz uchodzić za moją kuzynkę, bękartą poczętego w jednym z domów rozkoszy w Progu Nocy przez kupca, półkrwi Cygana. Oczy masz odpowiednie, przynajmniej jedno. – Wyszczrzył zęby. – Co do ciebie, kasjelito... – Hiacynt podniósł obszerną szarą opończę i zakręcił nią, żeby pokazać podszewkę.

Opalizowała kolorami: cynober, fiolet, ochra, błękit, macica perłowa.

Roześmiałam się, zasłaniając usta.

– Wiesz, co to jest? – zapytał Hiacynt.

Pokiwałam głową.

– Raz widziałam taki. To strój bajdura.

– To był pomysł Thelesis i Pani Marsilikos. – Podał płaszcz Joscelinowi, który przyjął go z twarzą pozbawioną wyrazu. – Nie możesz uchodzić za Cygana, kasjelito, nawet półkrwi. A potrzebujemy czegoś, co tłumaczyłoby twoją obecność wśród Cyganów.

Wędrowni bazarze, zwani bajdurami, przybyli z Eisandy. Wśród Towarzyszy Elui była Ejszet, która dała śmiertelnikom dary muzyki i opowiadania. Tak twierdzą D’Angelinowie; nasi przeciwnicy utrzymują, że nauczyła nas zabawy i kłamstwa. Niezależnie od tego, jak było, mieszkańcy Eisandy są wybornymi gawędziarzami, a najlepsi spośród nich są bajdurowie, którzy zgodnie z przysięgą podróżują po królestwie, z prawdy i bajki tkając jeden gobelin.

Tak, D’Angelin podróżujący z Cyganami mógł być tylko bajdurem.

– Umiesz kłamać, kasjelito? – Hiacynt wciąż się uśmiechał.

Joscelin zarzucił płaszcz na ramiona. Spowił go, gołębioszary i ponury jak dawny strój kapłana, dopóki się nie poruszył,

odsłaniając kolorową podszewkę.

– Nauczę się – powiedział krótko.

– Możesz zacząć od tego. – Ysandra de la Courcel weszła bez uprzedzenia. Skinęła głową na jednego ze skwaszonych kasjelickich strażników, który wyciągnął naręczce błyszczącej stali.

Broń – sztylety, zarękawia, miecz i wszystko inne.

Joscelin ze zdumieniem spojrział na królową.

– Oręż należał do rodziny, a nie do Bractwa Kasjelitów, prawda? – powiedziała. – Zaofiarowałeś mi swój miecz, Joscelinie Verreuil, a ja go przyjąłem. Będziesz go nosić w mojej służbie. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Od ciebie zależy wymyślenie opowieści, która wyjaśni, dlaczego wędrowny bajdur nosi kasjelicki oręż.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość – mruknął, kłaniając się odruchowo ze skrzyżowanymi rękami. Przyjął broń od pochmurnego brata, przypasał sztylety, zapiął zarękawia i przełożył pas od miecza przez ramię. Z rękojeścią sterczącą spod płaszcza wydawał się wyższy i bardziej prosty.

– Dobrze się spisałeś – powiedziała Ysandra do Hiacynta, który uklonił się w odpowiedzi. Popatrzyła na naszą trójkę. – Wszystko jest przygotowane do podróży. Fedro... – Podała mi jakiś przedmiot. Był to ciężki złoty pierścień na długim łańcuszku. Przyjąłem go i obejrzałem; widniał na nim łabędź, herb rodu Courcel. – To sygnet mojego ojca – wyjaśniła. Uniosła rękę, na której miała taki sam pierścień. – Ja teraz noszę ten, który należał do dziadka. Możesz pokazać go Kwintyliuszowi Rousse, gdyby wątpił w prawdziwość twoich słów. A kiedy dotrzesz do dalekich brzegów Alby, daj go Drustanowi mab Necthana. Pozna go. Nosiałam go od śmierci ojca.

– Tak, Wasza Wysokość. – Założyłam łańcuszek na szyję i schowałam sygnet pod ubraniem, gdzie spoczął przy diamencie Melisandy.

– Dobrze – powiedziała Ysandra. Stała dumna i wyprostowana, nie okazując niczego prócz odwagi. Była królową, nie mogła sobie pozwolić na nic więcej. – Błogosławiony Elua z wami.

Było to pożegnanie i rozkaz wyjazdu. Hiacynt i Joscelin ukłonili się, ja dygnęłam.

Ruszyliśmy w drogę.

SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN

Miejsce, do którego się udawaliśmy, było zwane Hippochamp. Wszyscy uważają Kuszet za krainę surową i skalistą, ale ta prawda odnosi się wyłącznie do samych wybrzeży. W głębi lądu ziemia jest żyzna jak we wszystkich siedmiu prowincjach, pocięta głębokimi dolinami, którymi płyną potężne rzeki.

Jechaliśmy na zachód przez l'Agnace, drogą przez Las Senescyński do Kuszetu, przynajmniej tak sądził Hiacynt. Nie był pewien, dopóki nie napotkaliśmy *czaidrow*, jednego z trudno dostrzegalnych znaków, jakie Cyganie zostawiają wzdłuż swoich szlaków. Niepewność nie miała większego znaczenia w spokojnej l'Agnace, gdzie rządzi hrabia de Somerville. Anael obdarzył śmiertelników rolnictwem, ucząc ich uprawy roli i hodowli pożytecznych zwierząt. Ten dar uczynił l'Agnace spokojną prowincją, choć l'Agnatczycy potrafią z odwagą lwów walczyć w obronie swojej ziemi, o czym świadczą wybitne dokonania Percy'ego de Somerville jako dowódcy wojsk królewskich.

Przy wyjeździe pogoda nam sprzyjała i odwilż przesycała wilgocią ciepłe już powietrze. Na przekór wszystkim nękającym mnie obawom cieszyłam się, że znów ruszam w drogę. W istocie, nie ma nic gorszego od bezczynnego czekania, gdy strach zżera rozum jak kruki padlinę. A po lodowatych koszmarach Skaldii, Senescyna wydawała się niemal przyjazna.

Pierwszy dzień podróży minął spokojnie. Napotykaliliśmy tylko rolników orzących ziemię pod wiosenne uprawy, kiwających głowami w milczącym powitaniu. Potem las odgrodził nas od

świata.

Hiacynt okazał się wesołym towarzyszem. Zabrał bębenek, na którym grał w trakcie jazdy, zwinnymi palcami wybijając radosny rytm. Po strasznej podróży naznaczonej rozpaczą, pośpiechem i koniecznością zachowania tajemnicy, mnie i Joscelinowi takie zachowanie wydawało się dziwne i niebezpieczne, ale nie pozbawione mądrości. Cyganie niczego nie robią po cichu, a hałas bywa równie zwodniczy jak cisza.

Po pierwszym popasie dostrzegliśmy pierwsze ślady Cyganów, miejsce po przydrożnym obozowisku. Spalona ziemia i kawałki metalu świadczyły, że stała tutaj kuźnia; Cyganie są znani jako doskonali kowale. Hiacynt przeszukał teren i wydał okrzyk triumfu. Podbiegliśmy do niego, a on wskazał złamaną gałązkę wbity w ziemię, nachyloną w kierunku zachodu.

– *Czaidrow* – powiedział, kiwając głową. – Jesteśmy na właściwej drodze.

Podjęliśmy podróż, kierując się cygańskimi znakami, których wypatrywał; z czasem Joscelin i ja też nauczyliśmy się je znajdować. Nie będę się rozwodzić na temat tej podróży, bo kolejne dni mijały bez wypadków. Hiacynt opowiedział nam co nieco o cygańskich zwyczajach, przygotowując nas na spotkanie z rodakami. Ja z kolei nauczyłam swoich towarzyszy paru słów w języku *cruithne*. Jest on trudniejszy od *skaldyjskiego*, są w nim bowiem dźwięki, których wymowa sprawia kłopot D'Angelinom. Zawsze buntowałam się przeciwko nauce tego języka; jak na ironię, miał okazać się bardzo potrzebny.

W wolnych chwilach czytałam dziennik księcia Rolanda de la Courcel, подарowany mi przez Ysandrę.

Na podstawie zapisków z tej cienkiej książeczki ułożyłam dzieje wielkiego, brzemienneho w skutki romansu, który z

Anafiela Delaunaya uczynił obrońcą Ysandry de la Courcel, a ze mnie to, czym byłam – kurtyzanę, która rozumem mogła się mierzyć z najprzebieglejszym dworzaninem.

Poznali się na uniwersytecie w Tyberium; tyle już wiedziałam. Teraz jednak widziałam Delaunaya oczami innej osoby, widziałam młodzieńca spragnionego piękna i wiedzy. Oczywiście, nie znałam Delaunaya takim, jakim był w młodych latach. Zdumiewałam się, czytając jego wiersze, pieczołowicie spisane przez Rolanda de la Courcel; były to cięte, zjadliwe satyry ośmieszające studentów i profesorów. To Roland zaczął nazywać go Delaunayem, od nazwiska matki i imienia eisandyjskiego pasterza, którego miłował Elua. Gdy zostali kochankami – zarumieniłam się, czytając ten ustęp, i zastanowiłam się, jak odebrała to Ysandra – profesorowie przezwali go Antinousem, po chłopcu, w którym był rozkochany cesarz starożytnego Tyberium.

Z zapisków wyzierał charakter Rolanda, wielkodusznego lekkoducha, który kochał bez oglądania się na konsekwencje, wierniejszy Przykazaniu Błogosławionego Elui i archaicznym pojęciom chwały niż politycznym machinacjom monarchii. Mogłam sobie tylko wyobrażać, jak Delaunay podziwiał tę beztroską szlachetność, niesplamioną przez cień intrygi, i jak z jej powodu rozpaczał.

Śmierć Edmee de Rocaille spowodowała rozdźwięk między nimi, już po uniwersytecie oraz po tym, jak Delaunay został wydziedziczony przez ojca i oficjalnie przybrał nazwisko matki. Hiacynt i ja nie byliśmy daleko od prawdy; między domami Rocaille i Montreve istniała długotrwała więź, a Edmee była przyjaciółką Delaunaya z czasów dzieciństwa w Siovale, zaręczoną z Rolandem z dobrej woli i dlatego, że jej rodzina

miała związki z rodem królewskim Aragonii.

Wyglądało to na dobry układ; wszyscy się lubili, a Edmee rozumiała, że musi pójść na pewne ustępstwa, by zostać w końcu królową Terre d'Ange i matką następcy tronu.

Potem zdarzył się wypadek na polowaniu.

Z zapisków jasno wynikało, że Roland szczerze ją opłakiwał. Równie jasne było jego zaślepienie; nie dopuszczał do siebie myśli, że w wypadku mogła maczać palce Izabela L'Envers, a mściwość Delaunaya złożył na karb rozpacz i zazdrości. To ludzka słabość, przypisywanie najlepszych pobudek tym, których znamy najmniej, a najgorszych tym, których kochamy. Roland kochał zbyt mocno, stąd jego surowy osąd i brak pobłażliwości dla Delaunaya. Okazał się podatny na wpływy Izabeli, która schlebiała mu i go oczarowała. I zaręczyli się, bo ród L'Envers był potężny; zaręczyli się i pobrali.

A Delaunay napisał swoją satyrę.

Myślę, że Roland wiedział o zabiegach Izabeli, która próbowała doprowadzić do jego banicji. Czytałam jego prywatne zapiski, nie przeznaczone dla postronnych oczu, o długiej, zażartej kłótni z ojcem w obronie Delaunaya. Skończyło się gorzkim kompromisem. Delaunay miał zachować życie i dotychczasowy status, ale jego wiersze znalazły się na indeksie. Posiadanie ich i deklamowanie równało się zdradzie stanu.

Tyle już wiedziałam. Nie wiedziałam natomiast, że zebrano i spalono wszystkie istniejące tomiki poezji Delaunaya. Ani że książkę Roland de la Courcel płakał przy stosie. Przypuszczam, że nikt tego nie wiedział z wyjątkiem Ysandry, która czytała te same słowa.

Potem Roland i Delaunay znowu się pojednali; jak i gdzie, nie wiem, bo jest luka w dzienniku Rolanda, który napisał tylko:

“Wszystko zostało wybaczone, chociaż już nic nie jest takie samo. Skoro nie możemy dzielić przeszłości, Eluo, daj nam wspólną przyszłość”. Można by sądzić, że słowa te odnosiły się do Izabeli, nie do Delaunaya, gdyby nie późniejsze wypadki.

Nastąpiły one niedługo po narodzinach Ysandry, które to wydarzenie Roland, świeżo upieczony ojciec, powitał z mieszaniną radości i grozy. To, że w owym czasie jego stosunki z Izabelą znacznie się pogorszyły, było jasne dla osoby wyszkolonej do czytania między wierszami. Miałam nadzieję, że Ysandra tego nie spostrzegła, choć raczej wątpiłam. Po kolejnej luce Roland napisał: “Anafiel przyrzekł na mój pierścień, i moje serce się raduje, choć ani Izabela, ani ojciec nie są zadowoleni. Ale kto spośród nas jest całością? On jest mądrzejszą połową mojej rozdartej duszy, a ja nie mogę dać pierworodnemu dziecku daru większego od przysięgi całkowitego oddania”. A potem: “Dokonało się, w obecności kapłanów Elui”.

Niedługo później zapiski się urwały. Wiem dlaczego: zajęły go sprawy następcy tronu Terre d’Ange. Udał się do Kamlachu i ruszył do Bitwy Trzech Książąt, w której stracił życie.

Zginęło tylu ludzi, dumalam przy ognisku po skończeniu lektury. Przelano tyle krwi. Byłam dzieckiem w Domu Cereusa, kiedy wydarzenia te kształtowały życie Ysandry. Moje też, wiedziałam, choć ten wzór miał się wyłonić dopiero w dalekiej przyszłości. Podczas gdy ja uczyłam się klęczeć bez skargi przez długie godziny i podawać słodczyce po posiłku, Ysandra uczyła się, jak chciwość i zazdrość psują ludzką duszę.

Nic dziwnego, że kurczowo czepiała się dziewczęcej mrzonki o miłości. Popatrzyłam na podniszczony dziennik, potem zwróciłam oczy ku zachodowi, gdzie między drzewami jaśniał nikły blask zachodzącego słońca. Obozowaliśmy niedaleko

Kuszetu, o ile już nie przekroczyliśmy granicy. W lesie trudno to było osądzić. Gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku leżała Cieśnina Alby, smagana wiatrami przestrzeń wody, szara, wąska i groźna jak nóż, oddzielająca Ysandrę od jej marzenia.

To nie tylko dziewczęca mrzonka, przypominałam sobie, ale marzenie królowej. Niebieski chłopiec mógł lekko trzymać Koronę, ale mocno chwycić włócznię – tysiąc włóczni. Było to marzenie postawione przeciwko koszmarowi d'Angelińskich karków chylących się pod skaldyjskim mieczem. Zadrżałam na myśl o Waldemarze Seligu. Trudno było sobie wyobrazić, że jakiś piktyjski książę może zmierzyć się z jego odwagą i siłą wspieraną przez dziesiątki tysięcy lojalnych Skaldów.

A jednak... Skaldowie kiedyś poczuli na karkach podkuty sandał Tyberium, podczas gdy Cruithnowie nigdy nie zostali podbici. A Drustan mab Necthana pochodził z rodu Cinhila Ru, który wypędził z Alby tyberyjskich żołnierzy.

Na barkach naszej osobliwej trójki spoczywał obowiązek rozdmuchania tej nieśmiałej iskiej nadziei. Przytuliłam dziennik Rolanda jak talizman, wznosząc oczy ku wschodzącym gwiazdom, i modliłam się, żebyśmy nie zawiedli.

SZEŚĆDZIESIĄT DWA

Odjęło mi mowę na widok końskiego targu w Hippochampie.

Kiedy wyjechaliśmy z Senescyny, cel naszej podróży stał się bardziej oczywisty, a sieć dróg zgęstniała. W miarę jak wilgoć i chłód przedwiośnia ustępowały prawdziwej wiosnie, na drzewach pojawiały się jasnozielone pączki, a na szlakach przybywało podróżnych.

Widzieliśmy wśród nich wielu Cyganów, prawdziwych Podróżnych, wiecznie przemierzających Długą Drogę.

Drugi koński targ w Hippochampie odbywa się pod koniec lata, kiedy handlarze przyprowadzają najbardziej obiecujące świeżo ujeżdżone roczniaki, oferując je *gadje* szlachcie za niebotycznie wysokie ceny. Ten targ, zapewnił nas Hiacynt, wydaje się mały w porównaniu z tamtym i z letnim jarmarkiem w Ejszet. Tutaj ściągali przede wszystkim Cyganie, wystawiający na sprzedaż nie wypróbowane roczniaki i jeszcze niezdarne źrebięta, na korzyść których przemawiały tylko rodowody i chytre spojrzenie hodowców.

Nikt nigdy nie przeprowadził spisu Cyganów w Terre d'Ange; są ludźmi zbyt ruchliwymi i zbyt podejrzliwymi, by uczciwie odpowiedzieć na dotyczące ich pytania. Widziałam zgromadzenie w Hippochampie i mogę powiedzieć, że jest ich wielu, znacznie więcej niż przypuszczamy.

W drodze do Hippochampu mijaliśmy wiele taborów. Ze zdumieniem patrzyłam na przemianę zachodzącą w Hiacyncie. To jego witali, wykrzykując powitania w swoim dialekcie. I

dlaczego nie? Był młody, zuchwały i przystojny, należał do ich plemienia. Odkrzykiwał, wymachując aksamitną czapkę, ze skrzącymi się czarnymi oczami. Ich mowa była naszpikowana d'Angelińskimi słowami, lecz niewiele mogłam zrozumieć.

– Nie uprzedziłaś, że powinienem nauczyć się cygańskiego – mruknął do mnie Joscelin, podjeżdżając bliżej.

– Nie wiedziałam – odparłam z goryczą.

Nawet uczony Delaunay nie uważał cygańskiego za właściwy język.

Znałam Hiacynta od wielu lat i zjadłam wiele posiłków w kuchni jego matki, lecz nigdy nie rozumiałam, co znaczyło dla niego być Cyganem. Przy mnie rozmawiali po d'Angelińsku. Pomyślałam o wszystkich kuksańcach i przekleństwach sypiących się na niego od pierwszego dnia naszej znajomości, gdy znalazła mnie straż duejny. Nie wiedziałam. Nie rozumiałam. Kiedy kupił starą chabetę, która stała się załączkiem zyskowej stajni, nie zdawałam sobie sprawy, jak głęboko był zakorzeniony w cygańskiej tradycji. Po prostu uznałam, że ma smykałkę do interesów.

To zabawne, jak może się zmienić punkt widzenia. Widziałam Hiacynta w zupełnie nowym świetle, gdy jechaliśmy w stronę Hippochampu. Mijaliśmy cygańskie wozy, bardziej kolorowe i wymyślne niż skromny jezuicki furgon Taaviego i Danele, choć w zasadzie podobne. Młode kobiety wyglądające spod płóciennych bud robiły słodkie oczy do Hiacynta. Nauczyłam się rozpoznawać panny, które w odróżnieniu od mężatek nie zasłaniały włosów. Zagadywały go i flirtowały, gdy przejeżdżaliśmy, a Hiacynt z każdą taką rozmową stawał się coraz dumniejszy.

Ich bezwstydną zachowanie mogłoby przyprawić D'Angelina o

rumieniec zakłopotania – i przyprawiało – ale powiem, że Cyganki wcale nie są rozpustne, a Cyganie wielce sobie cenią dziewictwo. W owym czasie jeszcze o tym nie wiedziałam i przyznam, że trochę złościły mnie dziewczęta, które w niewybredny sposób próbowały przyciągnąć uwagę mojego cygańskiego przyjaciela.

Na widok Joscelina chichotały i zasłaniały usta rękami, szepcząc jedna drugiej do ucha. Skaldyjskie kobiety jawnie pożerały go wzrokiem; Cyganki popatrywały ukradkiem. W ich społeczności obowiązuje surowe prawo *laxta*. Hiacynt nie umiał dokładnie przetłumaczyć tego słowa, ale chodzi w nim o nieskalaną czystość cygańskiej kobiety. Można ją utracić na setki sposobów – wystarczy powiedzieć, że w moim przypadku już dawno byłaby utracona – ale najważniejszym pośród nich jest mieszanie bezcennej krwi cygańskiej z *gadje*, obcymi.

Kiedy zrozumiałam powagę tego prawa, pojęłam także grzech matki Hiacynta. Nie tylko pozwoliła zbrukać swoje ciało, zostając *vrajna* i nieczystą, ale splamiła również honor swego rodu. Straciła swą *laxta*, całą swoją wartość jako cygańska kobieta.

Cyganie zmierzający do Hippochampu nie mieli o tym pojęcia. Wiedzieli tylko, że Hiacynt mówi i myśli jak jeden z nich. Jeśli d'Angelińskie piękno opromieniało jego rysy – to przejmujące, oszałamiające piękno, które przynależy nam się z urodzenia – widzieli w nim jedynie urodziwego przedstawiciela swojego rodzaju, prawdziwego Księcia Podróżnych.

I rzeczywiście wyglądał jak cygański książę, w swoim kolorowym, pięknym stroju, ze smagłą twarzą, lśniącymi czarnymi kędziorami i wesołym światłem w ciemnych oczach. Kiedy wołał, że szuka kompanii Manoja, śmiali się i odkrzykiwali, wyciągając ręce. Manoj, stary patriarcha, już był w

drodze. Z pewnością przyjmie go z otwartymi ramionami, krew ze swojej krwi, podobnie jak wujowie, kuzyni i ciotki, których nigdy nie widział.

Wszystko wskazywało na to, że marzenie, dawne marzenie Hiacynta w końcu się spełni. Widziałam, jak rozpiera go radość na tę myśl, jak błyska białym uśmiechem, na pozór bez powodu.

Było to dość proste i niewyszukane marzenie: odnaleźć rodzinę, zostać zaakceptowanym. Modliłam się, żeby się ziściło. Hiacynt wiele zaryzykował, wyprawiając się w tę podróż, i w gruncie rzeczy spełnienie marzenia było jedyną nagrodą, jakiej pragnął. Oboje z Joscelinem jechaliśmy ramię w ramię, prowadząc juczne muły z łatwością wynikającą z doświadczenia. Widziałam rezerwę w niebieskich oczach swojego towarzysza. On, który złożył proste ślubowanie, dość dobrze wiedział, jak wszystko może się zagmatwać i zmienić.

Dotarliśmy do Hippochampu.

To było pole, nic więcej; rozległe pole, już zazielenione z nadejściem wiosny, nad wielką rzeką Lusandą, która przecina Kuszet. Zjawiliśmy się w dobrym czasie. Wiele cygańskich kompanii już rozstawiło wozy i namioty, ale wciąż przybywali nowi. Bez większego trudu znaleźliśmy sobie miejsce, wbijając w narożnikach paliki z jaskrawymi wstążkami, które Hiacynt zabrał specjalnie w tym celu.

Ze wszystkich stron otaczały nas konie: kucyki, pociągowe, stępaki, myśliwskie, masywne pociągowe i nawet bojowe, o szerokich grzbietach i wygiętych w łuk szyjach, dość mocne, by udźwignąć jeźdźca, w pełnej zbroi, a zarazem długonogie oraz szybkie w bitwie. Były tam roczniaki, niezdarne, o płaskich bokach, i źrebięta, niektóre wciąż zataczające się na niepewnych, płaczących się nogach.

Pośrodku pola znajdował się wolny plac, dostępny dla wszystkich, a wokół niego rozłożyły się najpotężniejsze kompanie. Na placu płonęło wielkie ognisko, przy którym liczna grupa Cyganów grała, śpiewała i tańczyła. Uznałam, że urządzili sobie przyjęcie, ale Hiacynt powiedział, że to ich zwyczaj. Na skrajach pola, gdzie rozbiliśmy nasz obóz, odbywały się podobne, choć mniejsze zgromadzenia.

O zachodzie słońca powietrze wypełniły bogate, aromatyczne zapachy przyrządzanej strawy. Nagle nasze jedzenie – chleb z serem, orzechy, suszone owoce i mięso – wydawało się bardziej monotonne niż zwykle, choć zostało kupione za pieniądze królowej. Hiacynt, który zawsze w lot chwycił okazje, dokonał wymiany z naszymi sąsiadami, oddając im bukłak przyzwoitego wina w zamian za trzy miski potrawy z dziczyzny z koperkiem i zeszłoroczną marchwią.

Było to mądre posunięcie, gdyż umożliwiło zawarcie znajomości w szybki i łatwy sposób Podróżnych. Nasi młodzi sąsiedzi jeszcze nie tworzyli właściwej kompanii; Neci, *ceroman*, czyli wódz, przedstawił nas swojej żonie Gizelli, jej siostrze i szwagrowi oraz gromadce dzieciaków, od oseków po nastolatki. Młodo się pobrali. Kobiety podeszły, by obdarzyć mnie powitalnym pocałunkiem; mężczyźni kiwali głowami, a w ich ciemnych oczach lśniła ciekawość. Mam dobre ucho do języków i nie minęło wiele czasu, a zaczęłam wykrywać d'Angelińską nić, jaką przeplatali swój dialekt. Hiacynt powiedział im to, co uzgodniliśmy wcześniej. Wyjaśnił, że zostałam poczęta w zamtuzie przez półkrwi Cygana, dodając – moim zdaniem bez potrzeby – że jego matka przygarnęła mnie z litości, kiedy znalazła mnie na ulicy.

Następnie przedstawił Joscelina, który uklonił się zamasyście,

odslaniając podszewkę płaszcza. Feria pastelowych kolorów wywołała u dorosłych śmiech, a u dzieci pełne zachwyty okrzyki.

Zaprosili nas do najbliższego ogniska, gdzie szwagier Gizelli – miał chyba na imię Pardi – przygrywał na skrzypkach.

Cnota milczenia wyszła mi na dobre; siedziałam u boku Hiacynta i słuchałam jego rozmowy z Necim, próbując coś zrozumieć z cygańskiego dialogu. W tle słyszałam, jak Joscelin całkiem dobrze snuje opowieść w naszym ojczystym języku. Miał wdzięcznych słuchaczy w osobie Gizelli, jej siostry i dzieci; niewielka grupa powiększała się powoli, gdy do ogniska ściągali inni Cyganie, zwabieni muzyką skrzypiec i tamburynów.

– ...I powiedziałem skaldyjskiej księżniczce: “Pani, choć jesteś piękniejsza od księżycy i wszystkich gwiazd na niebie, nie mogę się z tobą ożenić, bo ślubowałem Kasjelowi”. A ona na to: “Skoro nie chcesz mnie poślubić, musisz walczyć z moim bratem Bjornem, bo żaden mężczyzna nie może bezkarnie odtrącić mojej ręki”. Ten Bjorn był potężnym wojownikiem i kiedyś pokonał wiedźmę, która w zamian za darowanie życia dała mu zaczarowaną niedźwiedzią skórę, przemieniającą właściciela w niedźwiedzia...

Potrząsnęłam głową, kierując uwagę z powrotem na Neciego i Hiacynta. Kasjelita stał się bajdurem; chyba nikt nie dałby temu wiary.

– Jeśli naprawdę jesteś wnukiem Manoja... – mówił Nęci, a przynajmniej tak mi się wydawało, że to on – to musisz go odszukać. Kompanie *baro*, cztery największe, są tam. – Wskazał w stronę wielkiego ogniska pośrodku pola, gdzie między wozami utworzono prowizoryczne wybiegi dla koni. – Ale jeśli tylko szukasz Cyganów i *chushti gna*, żeby jechać na zachód i handlować... – Nęci wzruszył ramionami, gładząc końce

eleganckich wąsów. – Może my bylibyśmy zainteresowani, jeśli jest w tym *czokai*. Może wystarczyłoby, żeby wyrobić *law* naszej kompanii.

– Dość złota, by wyrobić imię każdemu, kto do mnie dołączy – powiedział niezobowiązująco Hiacynt, przechodząc na d’Angeliński i wzrokiem prosząc mnie o wsparcie. Z powagą pokiwałam głową. – Mam wielu ważnych przyjaciół w Mieście Elui. Ale nic nie jest ważniejsze od krwi. Najpierw zobaczę się z Manojem.

– Nie dzisiaj, *rinkeni czawo* – powiedział Neci z szerokim uśmiechem. – Stary cygański *kralis* staje się *gawering* diabłem, kiedy pije, i kijem wygrzmociłby ci *dandos*, gdybyś oznajmił, że jesteś synem Anastazji. Idź do niego jutro i pamiętaj, kto dał ci radę, *rinkeni*.

– Dobrze. – Hiacynt uścisnął jego rękę, po cygańsku, w nadgarstku. – Dziękuję.

Neci odszedł, żeby zatańczyć z żoną. Tworzyli piękną parę, pełną wigoru i urodziwą.

– Co to znaczy *gawering*? – zapytałam Hiacynta, patrząc, jak tańczą.

– Nadażalaś? – zapytał i zastanawiał się przez chwilę. – Nie wiem. Nie można tego przetłumaczyć. Istny. Wcielony.

– A *chushti gri*a? *Rinkeni czuwa*. *Kralis*?

Popatrzył na mnie koso.

– Delaunay dobrze nauczył cię słuchać. – Westchnął. – *Gria* to konie. Neci mówi, że ma dobre konie na sprzedaż, *chushti gri*a. *Rinkeni czawo*... – Zrobił kwaśną minę. – Śliczny chłopiec. Nie powiedziałem mu, że w połowie jestem D’Angelinem.

– A *kralis*! – Przycisnęłam, gdy nic więcej nie dodał.

Hiacynt popatrzył w stronę wielkiego ogniska, gdzie namioty

były najwyższe, wozy najbardziej kolorowe, a konie najpiękniejsze.

– Król Cyganów – odparł z roztargnieniem, myśląc chyba o czymś innym.

– To znaczy, że on naprawdę jest królem? – Byłam zaskoczona i pytanie wypadło niegrzecznie. – Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. – Sam nie byłem... nie byłem pewien, dopóki Neci tego nie powiedział. Zawsze wierzyłem, ale...

– Rozumiem. – Uśmiechnęłam się niewesoło i pogładziłam jego czarne kędziory. – Księżę Podróżnych.

Gdzieś za naszymi plecami Joscelin snuł swoją opowieść, ilustrując ją straszliwym rykiem wojownika-niedźwiedzia. W odpowiedzi rozległy się piski i trochę nerwowy śmiech; dzieci nie posiadały się z zachwytu. Stary prefekt padłby trupem ze wstydu. Młoda Cyganka z rozpuszczonymi długimi włosami podeszła do Hiacynta, żeby poprosić go do tańca. Popatrzył na mnie przepaszająco, podnosząc się z miejsca. Zrozumiałam, oczywiście; wyglądałoby dziwnie, gdyby odmówił. Mógłby to zrobić, gdybyśmy byli zaręczeni – ale choć nie byłam już sługą *vrajna*, jako półkrwi bękart nie miałam prawa do *laxta*, do bycia prawdziwą cygańską kobietą.

Co znaczy, że nie stanowiłam partii odpowiedniej dla cygańskiego króla.

Dziwne, jacy dumni potrafią być ludzie, których w wielu krajach traktuje się z pogardą. Myślałam o tym, siedząc samotnie przy ogniu, patrząc na tancerzy, patrząc na Joscelina snującego swoją pierwszą bajdurską opowieść. Dla naszej misji nie miało to znaczenia.

Ale, pomyślałam, miało znaczenie dla mnie.

SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

Rankiem poszliśmy do Manoja.

Targ koński w Hippochampie trwa trzy dni, a ten dzień oficjalnie był pierwszym. Cyganie powiadają, że pierwszy dzień jest przeznaczony na oglądanie, drugi na rozmawianie, a trzeci na handlowanie. To prawda, ale prawdą jest również to, że przed upływem trzeciego dnia wszyscy zainteresowani *gadje* mieli szansę dowiedzieć się o trwającym jarmarku i przybyć po konie, dlatego najwięcej interesów ubijano przed ostatnim dniem.

Z tego względu oglądanie i rozmowy, na pozór pobieżne i beztroskie w rzeczywistości były całkowicie poważne. Chcąc zobaczyć się z Manojem, musieliśmy wziąć udział w tej grze. Hiacynt nie był na tyle naiwny, żeby liczyć na serdeczne przyjęcie po samym tylko podaniu nazwiska.

Dlatego okrążaliśmy zagrodę, oglądając konie. Joscelin, któremu powierzyliśmy nasze fundusze – bajdur czy nie, wciąż nosił kasjelicke sztylety i stanowił wśród nas najmniej prawdopodobny cel napaści – wyjął naszyjnik Hiacynta. Znałam go dobrze, był to sznur złotych monet należący do jego matki.

Rozległy się szepty: “Jak *didikani* kobieta śmie paradować w cygańskim *galfa* – dość szybko się zorientowałam, że pierwsze słowo oznacza mieszańca, a drugie biżuterię z monet – ale demonstracja spełniła swój cel. Jeden z licznych pociotków Manoja wypatrzył nas i podszedł niedługo później. Wsparty na wiklinowym płocie zagrody, rozmawiał z Hiacyntem. Kiedy usłyszał, że chcemy wynająć konie i ludzi do podróży na zachód,

żeby zrobić intratny interes, zaprowadził nas do Manoja.

Spotkaliśmy się z królem Cyganów w jego pasiastym, dobrze wyposażonym namiocie. Spodziewałam się zobaczyć sędziwą osobę, kogoś w wieku Ganelona de la Courcel, ale zapomniałam, że Cyganie żenią się młodo. Trudno było ocenić jego wiek – na Długiej Drodze słońce i wiatr szybko postarzają twarze – ale sądzę, że dźwigał co najwyżej szósty krzyżyk. Miał przenikliwe ciemne oczy, włosy szare jak stal i bujne wąsy.

– Chcesz zabrać moich ludzi i konie na zachód? – zapytał. – Za kogo się uważasz, że śmiesz prosić o coś takiego? Do czyjej kompanii należysz?

Oczywiście nie użył takich słów; jak wszyscy inni, Manoj mówił w cygańskim dialekcie. Zrozumiałam piąte przez dziesiąte, trochę się domyśliłam, znając temat rozmowy, a część zupełnie mi umknęła; Hiacynt przetłumaczył mi wszystko później. Opowiadam tak, jak pamiętam, utkane w jedną całość jak baśń bajdura, tylko bliższe duchowi pamięci.

– Szukam kilku odważnych ludzi i dobrych koni, żeby ubić wielki interes, *kralis* – powiedział Hiacynt.

Manoj skinął na jednego z krewniaków, szepnął mu coś do ucha i wyprawił z namiotu.

– Powiedz mi coś więcej.

Hiacynt uklonił się.

– Admirał królowej i jego flota zimowali w Pointe d'Oeste. Wiem, że potrzebują koni.

To była prawda; skoro Kwintyliusz Rousse miał popłynąć na jednym okręcie przez Cieśninę, będą mu potrzebni jeźdźcy do strzeżenia floty i ochrony przyczółka. Kuszet w najlepszym wypadku mógł okazać się neutralny. Ale nikt z nas nie chciał wyjawiać tych szczegółów.

– Nic mi o tym nie wiadomo – prychnął Manoj. – Skąd ty masz takie informacje? Kim jesteś? Nie podałeś mi swojego imienia ani nazwy swojej kompanii.

– Przybywam z Miasta Elui, gdzie znam wielu ludzi i słyszę wiele rzeczy. – Hiacynt patrzył patriarsze prosto w oczy. – Jestem Hiacynt, syn Anastazji. Należę z rodu do twojej kompanii, dziadku.

W kącie namiotu kobieta w średnim wieku wypuściła z rąk gliniany garnek, który z głuchym łupnięciem wylądował na ziemi. Manoj zamrugnął, ściągając krzaczaste brwi.

– Syn Anastazji? – powtórzył powoli, z namysłem. – Anastazja miała chłopca? Syna?

– Jestem jej synem – powiedział Hiacynt.

Wtedy rozpętało się piekło. Zaczęło się od tego, że Manoj zawołał bratanka, nerwowego mężczyznę około czterdziestki, który wbiegł do namiotu i padł przed nim na kolana, a skończyło się na okrzykach radości i uściskach. Manoj nie krył łez, całując Hiacynta w policzki.

Dopiero później dowiedziałam się, co się stało, bo wtedy straciłam wątek i przestałam nadążać za tym, co mówiono. Okazało się, że bratanek wezwany przez Manoję – miał na imię Csavin – zetknął się z adeptem z Domu Przystępu, kiedy jeden jedyny raz kompania Manoję zawitała w Mieście Elui.

Przystęp, najbogatszy z Trzynastu Domów, specjalizuje się w gromadzeniu bogactwa, bo przecież nie brakuje takich, których nic nie podnieca bardziej od pieniędzy. Gdyby rozebrać do naga pracowników Królewskiego Skarbcza, połowa z nich miałaby markę Przystępu – adepci tego Domu słyną z przedsiębiorczości.

Przystęp jest również jedynym Domem, którego adepci są skłonni zakładać się o swoje usługi.

I prawie nigdy nie przegrywają. Nawet z Cyganami.

Byłam przekonana – podobnie jak Hiacynt – że jego matka zakochała się w D’Angelinie. Anastazja skłamała z miłości, żeby zaoszczędzić synowi okrutnej prawdy; straciła swoją *laxta*, kiedy pewny wygranej Csavin postawił jej cnotę w zakładzie z adeptem Przestępu. Cyganie znają tysiące sposobów na oszukanie *gadje*.

Przegrał.

Nie tylko przegrał, ale postraszony przez straż Domu musiał spłacić dług monetą, która nie należała do niego. Podstępem umówił swoją kuzynkę – córkę Manoja, młodą i spragnioną przygody – na spotkanie z klientem, który dobrze zapłacił Przestępowi za przyjemność uwiedzenia cygańskiej dziewczyny.

Ta opowieść strwożyła mnie bardziej od innych, była bowiem bliska mojej historii. Gdyby Anastazja była D’Angeliną, a nie Cyganką, akt ten zostałby uznany za pogwałcenie praw Gildii, ale Gildia ochrania tylko D’Angelinów, pozostawiając Cyganów i inne nacje ich własnym prawom. Csavin złamał cygańskie prawo, dlatego zrzekł się całego swojego dobytku i praw na rzecz Manoja, a potem żył w kompanii jak *parias*. Ja jednak myślę, że Dom Przestępu jest winny herezji, bo to, co spotkało matkę Hiacynta, stanowi naruszenie przykazania Błogosławionego Elui, które stosuje się do wszystkich niezależnie od narodowości. Na służbę Naamie wstępuje się z własnej woli albo nie wstępuje się wcale.

Ponieważ matka Hiacynta była Cyganką, podlegała cygańskiemu prawu. Została uznana za *vrajna* i wypędzona z kompanii, w smutku i łzach, by nigdy nie uzyskać wybaczenia.

Ale teraz zjawił się jej syn, Hiacynt, i nawet jeśli był mieszkańcem *didikani*, został wychowany jak prawdziwy Cygan i był synem Anastazji. Manoj nigdy nie przestał opłakiwać swojej

jedynaczki – jedyne dziecko, bezcennej perły w rojnej gromadzie potomstwa jego braci i siostr – której *mulo* błagało go na wietrze od dnia śmierci.

Księżę Cyganów. Księżę Podróżnych.

Przez resztę dnia panował chaos. Rodzina Hiacynta ruszyła hurmem do naszego obozowiska i przeniosła nasze rzeczy do kompanii Manoja, gdzie jednocześnie handlowano i świętowano. My z Joscelinem trzymaliśmy się z tyłu, oszołomieni i prawie zapomniani, gdy Hiacynt witał się z kuzynami, wujami, stryjecznymi i ciotecznymi babkami oraz dziadkami, o istnieniu których dotąd nie wiedział.

Manoj nie puszczał go od siebie na krok, dopytując się o dzieciństwo i młodość w Progu Nocy, o szczegóły z życia matki. Był dumny z jej sławy wróżki i bijąc się w piersi oznajmił, że żadna kobieta z jego rodu nie miała takiego daru *dromonde* jak Anastazja.

Zrozumiałam dostatecznie dużo, by unieść brew i pytająco spojrzeć na Hiacynta, który obrzucił mnie uważnym spojrzeniem i pokręcił głową.

Delaunay powiedział prawdę: *dromonde* to domena kobiet. Dla mężczyzny uprawianie tej sztuki jest *vrajna*, zakazane.

Kiedy nastąpiła noc i zapłonęły ogniska, Cyganie zaczęli pić i grać, a ich muzyka wzbijała się w niebo w dzikim szaleństwie. Hiacynt dołączył do muzykantów, wybijając rytm na bębenku, a potem tańczył z niezamężnymi dziewczętami, które tłumnie ubiegały się o jego względy. Ja siedziałam na skraju kręgu światła i patrzyłam, jak błyska uśmiechem.

Podeszła do mnie pomarszczona jak ubiegłoroczne jabłko staruszka, zgarbiona pod ciężarem złotych naszyjników.

– Dobry wieczór, matko – powiedziałam grzecznie.

Popatrzyła na mnie i zachichotała.

– Nie dla ciebie, co, *czawi*. Wszystkim, co możesz dać, jest złe oko, to z czerwoną plamką. Wiesz, kim jestem?

Pokręciłam głową, rozbawiona. Sękatym palcem postukała się w pierś.

– Jestem Abhirati, babka Anastazji. Jej dar pochodził z mojej krwi. – Wskazała na mnie gestem, który przywiódł mi na myśl matkę Hiacynta. – Nie masz w żyłach kropli cygańskiej krwi, *czawi*, wbrew temu, co mówi chłopak. Nie wiesz, że *dromonde* pozwala spoglądać nie tylko do przodu, ale również wstecz?

– Co tam widzisz?

– Wystarczająco dużo. – Zaśmiała się złośliwie. – Zamtuzy, a jużci. Chłopak mówił prawdę, co? Twoja matka była ladaczną, to się zgadza. Ale ty nie jesteś bękartem, o nie.

Patrzyłam na Hiacynta otoczonego odnalezioną rodziną.

– Może byłoby lepiej, gdybym była. Mój ojciec miał nazwisko, ale mi go nie przekazał. Matka sprzedała mnie do terminu i nigdy nie obejrzała się za siebie.

– Czy w tył, czy w przód, twoja matka nie miała daru patrzenia w żadną stronę – prychnęła pogardliwie Abhirati. – A jego matka miała dar. – Skinęła głową w stronę Hiacynta. – Jak myślisz, co zobaczyła? *Lungo Drom* i kompanię, co? Czy może coś innego, odbicie w oku z krwawą plamą? – Znowu zachichotała. – Och, co zobaczyła moja wnuczka, spoglądając w przyszłość swojego syna? Zastanów się, *czawi*.

Odeszła, a jej kościste ramiona trzęsły się od śmiechu. Patrzyłam za nią ze zmarszczonym czołem.

– Kłopoty? – zapytał Joscelin, wyrastając u mojego boku.

– Kto wie? – Wzruszyłam ramionami. – Chyba jest mi pisane padać ofiarą cygańskich wrózek. Z radością ruszę w dalszą

drogę. Myślisz, że Manoj da Hiacyntowi konie i eskortę?

– Myślę, że Manoj da mu wszystko, czego tylko zapragnie – odparł Joscelin kpiącym tonem. – Łącznie z głową Csavina na talerzu, gdyby Hiacynt mu nie przebaczył. – Ta scena, suto zakrapiana pijackimi łzami, odbyła się wcześniej. – Mam tylko nadzieję, że pamięta, z jakiego powodu tu jesteśmy.

– Nie jestem pewna, czy wszyscy przybyliśmy z tego samego powodu – powiedziałam cicho, patrząc na świętujących Cyganów i uradowanego Hiacynta. – Już nie.

Drugi dzień jest przeznaczony na rozmowy.

Manoj miał sześć pięknych młodych koni, trzy- i czterolatków, głównie myśliwskich, z sierścią lśniącą jak lustro, doskonałych do patrolowania granic. Miał także w swojej kompanii sześciu młodych ludzi, chętnych jechać przez dzikie ziemie Kuszetu z nadzieją na wielkie zyski.

Hiacynt musiał pokazać się z jak najlepszej strony, dlatego targowanie zataczało kręgi, aż w końcu pomyślałam, że umrę z nudów. Następnie po kolei obejrzano konie. Przejechaliśmy się na każdym z nich wokół Hippochampu, podobnie jak setki innych, pędząc w wiosennym szaleństwie, krzycząc i śmiejąc się wśród tętentu kopyt, w wyścigu bez zwycięzców i przegranych. Kowale spoglądali z kilkunastu małych kuźni na obrzeżach pola i krzywili w uśmiechach brudne od sadzy twarze.

– Ten trochę kuleje – wysapał Hiacynt, zarumieniony po szaleńczej jeździe. Zwolnił do stępa przy nadrzecznych wierzbach z zielonożółtymi pączkami na długich zwieszonych gałęziach. Joscelin gdzieś się zgubił w tej bezcelowej gonitwie. – Myślę, że dziadek mnie sprawdza.

– Możliwe – mruknęłam. – Hiacyncie... wiesz, że mamy jechać do Alby. Jeśli możesz pomóc nam dotrzeć do Kwintyliusza

Rousse... ostatecznie obiecałeś to Ysandrze.

– Wiem. – Moje słowa go otrzeźwiły. Popatrzył na Hippochamp, na pole pełne wesołych, ubranych kolorowo ludzi.
– Ja nie... Fedro, nie wiedziałem, że przyjmą mnie w taki sposób. Nie wiedziałem, że tak będzie.

– Nie. – Patrzyłam na niego z bólem w sercu. – Ale tak się stało. A ty masz wolny wybór, Książę Podróżnych.

Nie trzeba było mówić, że wybór Cyganów oznaczał rezygnację ze mnie, z naszej przyjaźni i z tego, w co mogła się przerodzić. Co obiecywał jeden pocałunek w gwarnej karczmie? Wiedzieliśmy oboje, i z tą świadomością pojechaliśmy w milczeniu do obozowiska Manoja. Stary patriarcha szczerze ucieszył się na wieść, że Hiacynt jest dość bystry, by przyuważyć kulawego konia.

Trzeci dzień jest dniem handlu. Ale nasz targ już był ubity, podróż zaplanowana; kilku młodych mężczyzn z rodziny Manoja czekało, by jutro z rana ruszyć w drogę. Nie pamiętam ich imion, ale wszyscy byli chętni i zuchwali. Popatrywali na mnie z ukosa, trącając się łokciami na myśl o Długiej Drodze z córką ladacznicy, która nie miała *laxta* do stracenia. Tylko strach przed złym okiem powstrzymywał ich od rzucania bezpośrednich propozycji... i ręce Joscelina, wymownie błędzące przy sztyletach.

Trzeciego dnia zjawiono się kilkunastu kuszelickich kupców. Z zadowoleniem przechadzali się po młodej trawie Hippochampu, radzi, że wyprzedzili konkurentów i że zbiorą śmietankę w postaci najlepszych cygańskich koni.

Patrzyliśmy na nich z rozbawieniem, siedząc na składanych stołkach przed namiotami kompanii Manoja. Kilka kobiet przekonało się do mnie na tyle, że podzieliły się ze mną paroma

sekretami *hokkano*, czyli sztuki uwalniania d'Angelińskich panów od ich cennych monet. Wyglądało to niesamowicie, gdy dumny, buńczuczny Cygan w jednej chwili stawał się służalczy, chętny do pomocy i nadskakujący, a słodkie jak miód kłamstwa spływały z jego języka. Z uprzejmości nie wspomnę nazwiska pewnego kuszelickiego markiza – choć je znam, możecie być pewni – który dał garść klejnotów i monet jednej z kuzynek Hiacynta. Kobieta przysięgła, że zakopie skarb w miejscu narodzin śnieżnobiałego żrebaka, aby zdjąć z niego klątwę. Wystarczy powiedzieć, że kiedy trzy dni później markiz wrócił na to miejsce – starannie zaznaczone palikiem ze śnieżnobiałą wstążką – Cyganka i jej eskorta wykopali pustą szkatułkę.

– Uwalnianie głupca od takiego ciężaru to uprzejmość – powiedziała zadowoleniem kuzynka Hiacynta, wyciągając z zanadrza tobolek i obmacując jego zawartość. – Oczywiście – dodała – nawet wśród *gadje* są tacy, z którymi lepiej nie zadzierać. – Gestem głowy charakterystycznym dla Cyganów wskazała na pole.

Spojrzałam w tamtą stronę i czas stanął w miejscu.

Było ich czworo lub pięcioro, plus kilku strażników; jechali powoli pod jasnoniebieskim niebem i rozglądali się, rozmawiając ze śmiechem. Mieli piękne wierzchowce, jak zawsze, i wyróżniające się stroje, czarne jak noc szaty ze złotymi wschodnimi deseniami, za każdym razem inne; mieli długie, faliste, granatowoczarne włosy, twarze blade jak kość słoniowa i szafirowe oczy.

Szachrizaj.

Trzech mężczyzn kupowało bojowe rumaki. Towarzyszyły im dwie kobiety.

Jedną z nich była Melisanda.

Zapomniałam – jak mogłam?! – jaka była piękna. Przekłęcie, zabójczo piękna twarz jaśniała niczym gwiazda wśród garści diamentów. Ja, mała i nieważna, cygański wyrzutek *didikani*, patrzyłam na nią przez pole Hippochampu, a gorące i zimne dreszcze przebiegały mi po skórze, przemieniały mnie w kamień, dreszcze nienawiści i... Błogosławiony Eluo dopomóż... i pragnienia. Nikt inny, nawet Delaunay, nie znał mnie tak jak ona, nikt nie wiedział, co to znaczyło być tym, kim byłam. Kim jestem i kim zawsze będę.

Czułam na skórze, w ciele i w kościach każdy jej ruch, każdą drobną zmianę ułożenia rąk na wodzach.

A zaraz potem napłynęło przerażenie, gdyż przebywałam tutaj nie jako półkrwi Cyganka, nie jako sługa Naamy, nie jako ofiara Strzały Kusziela, ale jako Fedra nó Delaunay, ambasador Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange, a Melisanda Szachrizaj była najbardziej niebezpiecznym zdrajcą, jakiego znało królestwo.

Czarne i białe koła wirowały mi przed oczami, oddech rwał się, serce tłukło się w piersi jak przerażonemu królikowi. Wokół mnie prowadzono rozmowy po d'Angelińsku i cygańsku, pozbawione sensu, żaden głos nie przebijał się przez dźwięk, uderzający w moje uszy jak ocean, potężny, niski i poruszający – beztroski śmiech Melisandy, który słyszałam wbrew dzielącej nas odległości. Twarze pływały mi przed oczami, żadna nie była wyraźna. Nagle zdałam sobie sprawę, że ktoś potrząsa mną za ramiona, poczułam obecność Joscelina, przestraszonego i natarczywego, jego włosy wdarły się w czerwony przyływ wzbierający w moich oczach – ozłocona słońcem pszenica kołysząca się w krwawej mgle.

Ale zniknęły i została tylko twarz Melisandy, widziana z półprofilu, beztroska i piękna. Czekałam, że lada sekunda

odwróci się w moją stronę i zobaczy mnie, zamykając istniejące między nami połączenie. Jej diament ciążył mi na szyi niczym młyński kamień, aksamitka czekała na dotyk jej dłoni.

Byłam zgubiona.

– Przejedzie i nic nie zobaczy.

Głos, głuchy i uparty, przedarł się przez mój strach, zakotwiczył się w duszy i pociągnął mnie z powrotem. Czerwona mgła zrzędła; zamrużałam, widząc twarz Hiacynta i jego ciemne, piękne oczy. Trzymał mnie za ręce, delikatnie i mocno. W tle jechali członkowie rodziny Szachrizaj, niewielkie, strojne postacie na nerwowych koniach.

– Przejedzie i nic nie zobaczy – powtórzył. W jego głosie brzmiał smutek.

Książę Podróżnych dokonał wyboru.

SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY

Cygańskiemu królowi bardzo zależało na wnuku, jestem o tym głęboko przekonana.

Ale po słowach Hiacynta zapadła cisza, taka, jaka nastaje po złamaniu się wielkiej fali, kiedy następna zbiera siły do ataku na brzeg. A potem podniósł się krzyk.

– *Vrajna!* Nauczył się *dromonde!* Syn Anastazji mówi *dromonde!* Ściągnie klątwę na nas wszystkich!

Nie przytoczę tysiąca słów potępienia; wystarczy powiedzieć, że padały z ust wszystkich wujów, ciotek i kuzynów, którzy jeszcze przed chwilą mieli dla niego miejsce w swoich sercach. Hiacynt stał pod gradem oskarżeń, patrząc mi w oczy w milczącym zrozumieniu. Nie dla mnie, pomyślałam. Nie zrobił tego tylko dla mnie. Rozumiał, kręcąc głową. Nie dla mnie samej. Gdzieś w dali potomkowie rodu Szachrizaj rozglądali się, umiarkowanie zaciekawieni wrzawą, skupieni na handlu, kupujący wierzchowce na wojnę, o której nie wiedział nikt inny w królestwie.

I gdzieś w tłumie sędziwa Cyganka uśmiechała się mściwie, z setką złotych monet na przywiedłej szyi.

Hiacynt stał bez ruchu.

Joscelin trzymał sztylety w skrzyżowanych rękach, obracając się powoli dokoła, uprzejmy i śmiertelnie groźny, strzegąc mojej osoby.

– To prawda?

Manoj przerwał milczenie. Szedł z bólem w oczach, a

członkowie kompanii rozstępowali się przed nim.

Hiacynt złożył swój dawny ukłon Księcia Podróżnych.

– Tak, dziadku – odparł cicho. – Mam dar *dromonde*. Matka nauczyła mnie z niego korzystać.

– To *vrajna*. – Manoj wstrzymał oddech, jakby zabolalo go w piersi. – *Czawo*, mój wnuku, synu Anastazji, musisz się go wyrzec. *Dromondenie* jest dla mężczyzn.

Gdyby Melisanda patrzyła w tej chwili, poznałaby, co się dzieje. Nawet gdyby mnie nie dostrzegła... krąg, cisza, Hiacynt w środku i kasjelicki wojownik-kapłan w płaszczu bajdura... jakimś sposobem poznałaby, że biorę w tym udział. Delaunay nauczył ją tego, co mnie – obserwować, słuchać i dostrzegać wzory w chaosie. Pod tym względem byliśmy podobni. Ale Elua okazała łaskę i nie spojrzała w tę stronę. Szachrizaj już zaszczycili nas jednym pobieżnym spojrzeniem. Przybyli tutaj, żeby kupić konie.

Hiacynt pokręcił głową z nieskończonym smutkiem, jego oczy lśniły od łez niczym czarne perły.

– Nie mogę, dziadku – powiedział cicho. – Wypędziłeś moją matkę z kompanii, ale ja jestem jej synem. Jeśli *vrajna* jest być tym, kim mnie uczyniła, niech będę *vrajna*.

Co zobaczyła jego matka? Odbicie w naznaczonym przez Kusziela oku? Nie wiem. Wiem tylko, że potrzebowaliśmy Hiacynta, a Długa Droga, którą wybrał, nie była tą, po której wędrowali Cyganie od czasów Elui.

– Niech tak będzie – rzekł cygański król i popatrzył na Hiacynta. – Moja córka nie żyje. Nie mam wnuka.

Podniosły się lamenty; opłakiwali go tak, jakby umarł. Widziałam, jak krew odpłynęła mu z twarzy, aż zrobiła się szara. Joscelin schował sztylety do pochew, zabrał nasze rzeczy i wyprowadził nas z obozu kompanii Manoja. Na obrzeżach

Hippochampu spotkaliśmy rodzinę Neciego.

– Wciąż chcesz wyrobić sobie imię? – zapytał Joscelin wprost, w czystym d’Angelińskim.

Cygan popatrzył na nas, zaskoczony, potem przeniósł spojrzenie na żonę, która wzruszyła ramionami, energicznie pokiwała głową i zwołała dzieci.

Gdzieś w tle Szachrizaj dobijali targu, a ja drżałam jak w febrze.

– Dobrze – powiedział Joscelin twardo. – Zabierzcie swoje konie i dobytek. Jedziemy na zachód.

Tak zrobiliśmy.

To zdumiewające, w jak krótkim czasie cygańska kompania może ruszyć w drogę. Przypuszczam, że wiele armii mogłoby nauczyć się od nich sprawności. Rodzina Neciego miała jeden wóz, parę koni pociągowych; pięć na sprzedaż – dwa do polowania, klacz ze źrebięciem i roczniaka. W ciągu paru minut Neci wymienił klacz i młode na dwa wierzchowce i smukłego wałacha o nieokreślonym pochodzeniu. Gizella i jej siostra w tym czasie zaprzęły konie do wozu i przygotowały wszystko do wyjazdu.

Wieści jednakże zdążyły się rozejść. Nim wyruszyliśmy, nasi Cyganie wiedzieli, że Hiacynt już nie istnieje w oczach cygańskiego króla. Przez chwilę myślałam, że Neci wycofa się z umowy, ale Joscelin dał mu zaliczkę w złocie na poczet handlu z admirałem Rousse. Zwyciężyła chciwość i duma. Podjęli ryzyko.

Cztery dni spędziliśmy z rodziną Neciego, jadąc wzdłuż Lusandy w stronę surowych, skalistych wzgórz na wybrzeżu Kuszetu. Żyzna dolina Lusandy stanowi centrum prowincji, więc po drodze widzieliśmy wielu ludzi. Cyganie handlowali, drutując garnki oraz podkuwając konie w zamian za wino i żywność.

Czasami mijaliśmy arystokratów ze świtą i strażnikami w kuszelickich strojach, ale nie baliśmy się zdemaskowania. W rodzinie Neciego nasze przebranie sprawdzało się doskonale, nawet lepiej, niż gdybyśmy podróżowali z jeźdźcami Manoja. Joscelin, coraz lepszy w swoim bajdurskim rzemiośle, czasami występował przed grupami słuchaczy, podczas gdy dzieci żebrały o miedziaki. Poprosiłam Gizellę, żeby zakazała im kradzieży sakiewek; gdybyśmy stanęli przed sądem, nasza misja ległaby w gruzach.

Towarzystwo gadatliwego kasjelity i milczącego Cygana robiło na mnie dziwne wrażenie. Porozmawiałam z Hiacyntem pierwszego wieczoru, gdy inni zostawili nas samych.

– Wciąż możesz wrócić – powiedziałam, siadając obok niego. – Kiedy sprawa ucichnie, Manoj przyjmie cię z powrotem. Oni lubią wybaczać.

Hiacynt pokręcił głową.

– Nie – rzekł cicho. – Nigdy nie wybaczył mojej matce, jak wiesz, choć płakał z tego powodu. Pewnych rzeczy nie można wybaczyć. Morderstwo, złodziejstwo, zdrada... wszystko, ale nie to, co jest *vrajna*. Wiedziałem o tym. Dałem się porwać, Fedro. Nie wiedziałem, co to znaczy mieć rodzinę, nagle znaleźć się wśród ludzi, których można nazwać kuzynami, ciotkami, przyrodnimi braćmi.

– Wiem. – Chwyciłam go za rękę. – Wierz mi, wiem.

Tyle słów można powiedzieć w takiej chwili, lecz żadne nie wydają się odpowiednie. Siedzieliśmy w milczeniu przez długi czas. Hiacynt objął mnie, a ja położyłam głowę na jego ramieniu, ogarnięta w końcu wyczerpaniem, jakie następuje po burzliwych emocjach, aż w końcu zasnęłam. Wbrew swoim obawom nie śniłam o Melisandzie; obecność Hiacynta trzymała takie sny na

dystans. Ocknęłam się o poranku. Hiacynt jeszcze spał. Leżeliśmy spleceni jak bliźnięta, moje włosy jak jedwabna draperia rozsypały się na jego piersi. Ktoś okrył nas kocem. Mrugałam w dziennym świetle. Z drugiej strony obozu Joscelin popatrzył na mnie i dyskretnie odwrócił wzrok. Hiacynt poruszył się i zbudził.

Trudno było oderwać się od jego ciepła. Sięgnęłam po sygnet Ysandry, wiszący na łańcuszku pod śmiertelnym ciężarem diamentu Melisandy.

Misja dla królowej, to było najważniejsze.

Nasz tabor jechał niespiesznie, w tempie dyktowanym przez cygański wóz, ale trzeciego wieczoru zostawiliśmy za sobą żyzne doliny i wjechaliśmy na skaliste tereny Kuszetu. Czwartego dnia posuwaliśmy się niezmiernie powoli, bo trzeba było popychać wóz. Dzieci biegały z krzykiem, podczas gdy mężczyźni – Nęci, jego szwagier i kuzyn, Hiacynt i Joscelin – opierali się plecami o tył wozu i pchali, stękając.

Ale kiedy wieczorem rozbijaliśmy obóz, czuliśmy już słone powietrze.

Wspięłam się na wysokie wzgórze i znalazłam punkty orientacyjne, które widniały na mapie podarowanej nam przez Ysandrę – był to luksus po błędzeniu po skaldyjskich pustkowiach. Joscelin zajrzał mi przez ramię.

– Tam leży Pointe d'Oeste – powiedziałam, palcem wskazując kierunek. – Flota Roussego kotwiczony trzy mile na północ. Jeśli pojedziemy drogą, która biegnie na południe od tego pasma, późnym rankiem będziemy na miejscu.

– Dobrze. – Joscelin kucnął i przesiał w ręce garść ziemi. Otworzył dłoń, pokazał mi cienkie, blade źdźbła trawy, która się zakorzeniła na skalistym podłożu. – Nawet tutaj przychodzi wiosna – powiedział cicho. – Jak myślisz, jak długo będzie czekać

Waldemar Selig?

– Kilka miesięcy dzieli nas od zbiorów. – Serce załomotało mi ze strachu. – Wcześniej nie może liczyć na odpowiednie zaopatrzenie. Będzie czekać na żniwa.

– Nie tak znowu odległe. – Joscelin uniósł głowę, patrząc w stronę ciemniejącego zachodu. – A my mamy przed sobą długą drogę.

– Jutro – powiedziałam i powtórzyłam bardziej stanowczo: – Jutro dotrzemy do Kwintyliusza Rouse.

Rzeczywiście, powinniśmy. Ale nie dotarliśmy.

Być może staliśmy się zbyt pewni siebie, bezpieczni w naszym przebraniu, przejechwszy bez przeszkód przez całą prowincję Kuszet, ale myślę, że w gruncie rzeczy to nie miało znaczenia. Posterunek na drodze został wystawiony nie bez powodu. Strażnicy zatrzymywali wszystkich podróżnych, czy to Cyganów, czy królewskich kurierów.

Z trudem pokonując wzniesienie, zobaczyliśmy ich dopiero wtedy, gdy do nas podjechali. Któreś dziecko krzyknęło ostrzegawczo:

– *Dordima! Gaweroti!*

Szwadron dwudziestu strażników zagroził nam drogę. Za nimi, może milę dalej, migotało morze. Dzień był pochmurny i zbroje połyskiwały matowo. Chorągiew łopotała na wietrze. Rozpoznałam herb, widniejący również na mundurach. Widziałam go w innym miejscu i czasie.

Kruk i morze.

Herb diuka de Morhban.

Hiacynt spiął konia i wysunął się na czoło karawany. Tyle zdążyliśmy uzgodnić. Lepiej, żeby on przemawiał, bo wystąpienie moje czy Joscelina od razu wzbudziłoby

podejrzenia.

– Dokąd zmierzacie, Cyganie? – zapytał dowódca. W jego głosie wykryłam pogardę; teraz byłam bardziej na to wyczulona.

– Mamy umowę na handel z admirałem królowej – odparł Hiacynt rzeczowo. – Możemy przejechać, panie?

Dowódca straży odwrócił głowę i splunął na ziemię.

– Admirał żegluje tam, gdzie chce, ale tutaj jest Morhban. Nikt nie przejedzie bez zgody diuka. Czekać na jego łaskę.

Prawdę mówiąc, jechaliśmy przez Morhban już od jakiegoś czasu, bo to suwerenne księstwo jest rozległe. Zrozumiałam. Quincel de Morhban kontrolował dostęp do admirała. Hiacynt odwrócił się i spojrzał mi w oczy. Nieznacznie skinęłam głową. Nie mogliśmy przebić się siłą. W odległości mili obozowało więcej żołnierzy.

– W takim razie zaczekamy – powiedział Hiacynt spokojnie.

Dowódca wysłał podkomendnego na południe. Czekaliśmy, podczas gdy ludzie de Morhbana odpoczywali. Dorośli Cyganie byli przestraszeni, ale trzymali się dzielnie. Naturalne zachowanie dzieci stanowiło naszą najlepszą przykrywkę. Jedna z dziewczynek znalazła gniazdo królików i wszystkie szkraby zajęły się oglądaniem młodych.

Niedługo później zjawiał się Quincel de Morhban z drugim oddziałem gwardii. Otoczyło nas czterdziestu zbrojnych; jeśli wcześniej mieliśmy jakąś szansę na wywalczenie sobie drogi, to ich przybycie ją znieweczyło.

Siedziałam z opuszczoną głową, obserwując diuka spod rzęs.

Pamiętałam go, wysokiego i chudego, z rysami pełnymi tego samego piękna, jakie cechuje jego ziemię: bezlitosnego i surowego. Pamiętałam siwiejące piaskowe włosy, oczy koloru stali, ciemnoszare, bez odrobiny ciepła. Pamiętałam ostrą

wymianę zdań z Melisandą w Najdłuższą Noc. Pamiętałam, jak wsunął rękę pod usianą diamentami przejrzystą gazę, żeby mnie dotknąć.

– Chcecie przejechać przez moje ziemie? – zapytał z ironią. – A jaki interes Cyganie mają do żeglarza?

Hiacynt uklonił się.

– Wasza Książęca Mość, mamy umowę na handel z admirałem.

– Od kiedy to żeglarz potrzebuje konia? – Spojrzenie bystrych oczu de Morhbana omiotło naszą grupę, zatrzymując się na Joscelinie. – Na Eluę, a to kto?

– Wasza Książęca Mość! – Joscelin zsiadł z konia i uklonił się zamasyście, rozchylając poły płaszcza. Podszewka zaśniła kolorami tęczy. – Jestem tylko pokornym bajdurem, urodzonym w mieście Marsilikos. Jeśli raczysz posłuchać, opowiem ci, jak to się stało, że...

– Dość. – De Morhban uciął mu jednym słowem, ze zmęczeniem osiadając głębiej w siodle. – Nie mam czasu na słuchanie gawęd. Hmm, zatem Kwintyliusz Rousse zamyśla stworzyć konny oddział... – Zmrużył szare oczy. – Może przebiję jego ofertę, Cyganie. Co ty na to?

Rodzina Neciego zamruczała z podniecenia, ale Hiacynt pokręcił głową, udając wielki smutek.

– Niestety, Wasza Książęca Mość, dałem słowo admirałowi. Przysiągłem na ducha mojej matki, niech spoczywa w pokoju.

De Morhban wsparł na łęku skrzyżowane ręce.

– Naprawdę? – zapytał z ironią. – A ile warte jest słowo Cygana? Może dwa razy więcej, niż daje Rousse?

Od strony wozu dobiegł kolejny pomruk, szybko uciszony.

– Może – odparł Hiacynt chytrze. – Może pohandlujemy z Waszą Książęcą Mością. Czy mamy zapłacić za przejazd? –

Pociągnął wodze. – Rumak, którego dosiadam, Wasza Miłość, jest prześwietny... czy chciałbyś mieć takiego wierzchowca?

– Rousse musiał sporo zaproponować. – Twarz de Morhbana pozostała nieodgadniona. – Nie, nie sędzę, Cyganie. Nie zależy mi na tym, żeby zobaczyć admirała na koniu. Ale zagram uczciwie i przebiję jego cenę.

Hiacynt rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

– Jak Wasza Miłość sobie życzy. Proszę tylko, żebyś pozwolił mi przekazać wyrazy żalu admirałowi i poprosić go o wybaczenie. – Skulił się, zadygotał i dodał drżącym głosem: – Jeśli tego nie uczynisz, *mulo* mojej matki będzie latać na nocnym wietrze i na zawsze odbierze mi sen.

Było to dobre przedstawienie; przypuszczam, że większość ludzi dałaby się nabrać. Ale Kuszelici są podejrzliwi z natury, a Quincel de Morhban nie władałby księstwem, gdyby zaliczał się do głupców. Powiódł wzrokiem po naszej pstrej gromadce i powoli pokręcił głową.

– Nie, Cyganie, nie zgadzam się. Chyba że masz inne propozycje.

– Panie! – zawołał dźwięcznie Joscelin. Podjechał bliżej, wyjął sztylety z pochew i jednym szybkim ruchem podsunął je diukowi, z rękojeściami wspartymi na przedramieniu. – Daję ci je w zamian za wolny przejazd do admirała. To prawdziwe kasjelickie sztylety, wykute trzysta lat temu. Jeśli zechcesz posłuchać, powiem ci, jak weszły w moje posiadanie...

– Nie. – De Morhban uniósł rękę. – Nie potrzebuję kapłańskich zabawek, kasjelito, bajdurze czy kim tam jesteś. Jeśli nie macie niczego innego do zaoferowania w zamian za prawo przejazdu, kończymy rozmowę.

Czterdziestu strażników ustawiło się przed nami, odgradzając

nas od tak bliskiego morza, na którym teraz dostrzegłam flotę Kwintyliusza. Być tak blisko celu i zawieść! Może, pomyślałam, zawrócimy po zachodzie słońca i spróbujemy się przekraść.

Joscelinowi wpadł do głowy ten sam pomysł. Poznałam to po wyrazie jego twarzy.

– Im prędzej skończymy, przyjaciele – powiedział de Morhban drwiąco – tym prędzej ruszycie w drogę. Przydzielę wam eskortę do granic Kuszetu, żeby nie spotkało was nic złego.

Żebyśmy nie zawrócili, to chciał powiedzieć.

Co zrobić? Pierścień Ysandry otworzyłby nam drogę – o ile Diuk jest wierny Koronie. Zastanawiałam się, czy pokazać mu sygnet. Ale jeśli był lojalny, nie miał powodów, by bronić dostępu do admirała Rousse. Jeśli sprzymierzył się z Melisandą... Nie, musiał być jakiś inny sposób.

Ród Morhban był młodszy od linii Szachrizaj, ale dostatecznie stary, by uzyskać suwerenność. Diuk był potomkiem Kusziela. Tak, tę jedną propozycję musiał wziąć pod rozwagę.

– Panie. – To dziwne, że w każdych okolicznościach potrafiłam przywołać ton i modulację głosu Domu Cereusa. Uniosłam głowę i wysunęłam się do przodu, żeby spojrzeć mu w oczy. Zatrzymałam się na tyle blisko, że musiał zobaczyć to, co widniało w moim lewym oku. – Panie, możemy zaproponować ci coś innego w zamian za przejazd.

Quincel de Morhban gwałtownie zaczerpnął tchu, a koń pod nim zatańczył.

– To ty! – powiedział, uspokajając wierzchowca. Znowu zmrużył oczy. – Stworzonko Melisandy... Ale słyszałem, że zostałaś oskarżona o zamordowanie poety Rolanda, Delaunaya.

– Nie. – Joscelin ponieważ zrozumiął, co robię, i chwycił mnie za ramię. – Fedro, nie!

Strąciłam jego rękę, wciąż patrząc w oczy de Morhbana.

– Wiesz, kim jestem, Wasza Książęca Mość. Wiesz, co proponuję. Jedna noc. Wolny przejazd. I żadnych pytań.

Uniósł brwi, ale poza tym nie zmienił wyrazu twarzy.

– W Mieście Elui nie mogłabyś dyktować takich warunków, *anguisette*. Czemu miałoby mi zależeć, żeby spotkać się z tobą tutaj? Mam pieniądze.

– Jestem właścicielką swojej marki i dyktuję warunki, jakie chcę – odpowiedziałam spokojnie. – Podałam cenę. Od ciebie nie przyjmę innej zapłaty.

De Morhban przesunął wzrok na Joscelina.

– W sprawę zamieszany był kasjelita, jeśli dobrze pamiętam. Ile królowa zapłaciłaby za taką informację? – Spojrzenie szarych oczu wróciło na mnie, oceniając moją reakcję. – Albo może ród Szachrizaj? Melisanda lubi wiedzieć różne rzeczy.

Słyszałam, jak za moimi plecami Hiacynt przeklina w czarnej złości, i czułam, jak w Joscelinie narasta dziki gniew. Wszystko przepadło, myśleli; popełniłam błąd. Delaunay też tak myślał, kiedy podejmowałam niebezpieczną grę z jakimś klientem. Ja jednak miałam jeden atut: nigdy nie pomyliłam się w ocenie pragnień klienta. Nie odpowiedziałam na pytanie de Morhbana. Wiesz, kim jestem, mój panie, myślałam. Jestem jedyna w swoim rodzaju. Ktoś taki jak ja rodzi się raz na trzy pokolenia. Przyszłam na świat, żeby służyć takim jak ty. W twojej krwi płonie ogień Kusziela, i to ja go roznieciłam. Wybieraj, bo inaczej nigdy się nie dowiesz, co to oznacza.

Napięcie pomiędzy nami narastało jak żar. Wreszcie Quincel de Morhban wykrzywił usta w uśmiechu, który przyprawił mnie o ciarki.

– Czy powinno mnie obchodzić, że ktoś wysyła cygańskich

handlarzy, dziwki i kapłanów do admirała królowej? To nie moja sprawa. Dobrze, przyjmuję twoją ofertę. – Ukłonił się w siodle, wskazując ręką na południe – Udzielę gościny twoim towarzyszom. Rankiem będziecie mogli jechać do Kwintyliusza Rousse. Zgadzasz się?

– To nie... – zaczął żarliwie Joscelin.

W tym samym czasie Hiacynt powiedział:

– Wasza Książęca Mość, może...

– Tak – oświadczyłam głośno. – Spiszemy kontrakt w twojej siedzibie, Wasza Miłość. Masz kapłana na świadka?

Moja ostrożność wprawiła de Morhbaną w ponure rozbawienie.

– Poślę do świątyni Kusziela na wyspie d'Oeste. Czy to wystarczy?

– Tak.

I tym sposobem skorzystaliśmy z gościny diuka de Morhban.

SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ

Znałam gorsze miejsca. Zamek Morhban stoi na szczycie skalistego urwiska, z trzech stron chroniony przez morze, a od frontu przez potężne mury. W pochmurny dzień, gdy wiosna dopiero zdobywała przyczółki w tej dalekiej krainie, budowla wyglądała ponuro.

Wszyscy drżeliśmy w czasie jazdy, a bliscy Neciego – nawet dzieci – byli milczący i wystraszeni. Ale de Morhban dotrzymał słowa i dopilnował, by wszyscy zostali ugoszczeni, a konie trafiły do stajni.

Diuk odprawił również Hiacynta, który zgrzytnął zębami, lecz nie powiedział słowa. Miał mieć Joscelina do towarzystwa.

– Wasza Księżęca Mość, przysięgłem chronić moją panią, Fedrę nó Delaunay. – Joscelin z trudem nad sobą panował. – Nie żądaj ode mnie łamania przysięgi.

– Ty tak twierdzisz. – Quincel de Morhban popatrzył na bajdurski płaszcz. – Z drugiej strony, tylko kasjelita może być tak bezmyślnie lojalny. Naprawdę udajesz bajdura, kapłanie?

Po chwili Joscelin ponuro pokiwał głową.

– Doskonale. W takim razie możesz zabawić moich domowników.

Kilku zbrojnych de Morhbana tręcało się łokciami, uśmiechając się jak dzieci na myśl o łakociach; była to jedyna rzecz w czasie tej podróży, która i mnie skłoniła do uśmiechu. Domyślałam się, że mieszkańcy Morhbanu mieli za sobą długą, nudną zimę.

– Tak, Wasza Książęca Mość. – Joscelin odruchowo zgiął się w kasjelickim ukłonie. – Zrób jej krzywdę, a umrzesz – szepnął. – Obiecuję.

– Doprawdy? – De Morhban uniósł brwi. – Przecież ona urodziła się po to, żeby ją krzywdzić. – Z tymi słowy odwrócił się, wzywając swojego szambelana.

Joscelin chwycił mnie za ramię tak mocno, że aż zabołało.

– Fedro, nie rób tego. Przysięgam, znajdę inny sposób...

– Przestań. – Położyłam rękę na jego policzku. – Joscelinie, dokonałeś Wyboru Kasjela. Nie możesz mnie powstrzymać od dokonania Wyboru Naamy. – Sięgnęłam do stanika i wyłowiłam pierścień Ysandry, zdjęłam łańcuszek przez głowę. – Pilnuj go, dobrze?

Myślałam, że będzie dalej protestować, ale przyjął pierścień z obojętnym wyrazem twarzy, jaki często widziałam u niego w osadach Guntera i Seliga, gdy patrzył, jak służę jako nałożnica naszym skaldyjskim panom.

Ale tam byłam w niewoli.

De Morhban zgodnie z obietnicą posłał po kapłana. Przybyła starsza kobieta w czarnych szatach, bez maski i z różgą. Jej spojrzenie wyrażało okrutne miłosierdzie, znamienne dla stanu kapłańskiego Kusziela. De Morhban traktował ją z szacunkiem i zrozumiałam, że uszanuje warunki kontraktu.

W większej części.

– A *signale*? – zapytał uprzejmie, z piórem zawieszonym w powietrzu. Zaskoczył mnie; po pobycie w Skaldii niemal zapomniałam, że coś takiego istnieje. Już chciałam podać stary *signale*, ale zmieniłam zdanie.

– Perrinwolde – powiedziałam. Używanie imienia Hiacynta wydawało mi się niestosowne.

Ani nie kojarzyło się z bezpieczeństwem jak niegdyś.

De Morhban pokiwał głową, wpisał hasło do kontraktu. Kapłanka założyła brązową maskę z obliczem Kusziela i odcisnęła swój sygnet w gorącym wosku, przypieczętowując postanowienia.

– Wiesz, że będę cię wypytywać przed odjazdem – powiedział de Morhban, podsuwając arkusz do podpisu. – Nasz kontrakt nie zakazuje mi tego. Ani wypytania Roussego i jego ludzi, którzy przebywają na terytorium Morhbanu.

– Tak, panie. – Złożyłam zamaszysty podpis. – Ale pamiętaj, pytania są niebezpieczne, bo niosą ze sobą odpowiedzi.

Popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

– Anafiel Delaunay nauczył cię myśleć. Słyszałem o tym, choć przyznam, że nie dawałem wiary. Nie było myśli w twojej ślicznej główce w noc naszego spotkania.

Przynajmniej takich, które nie byłyby powiązane ze smyczą w ręce Melisandy. Zarumieniłam się na to wspomnienie. De Morhban dał znak kapłance, a ta ukloniła się i odeszła.

– Jesteś stworzonkiem Melisandy? – powiedział z zadumą. Ujął diament, który spoczywał na mojej piersi, przyciągnął mnie do siebie. Potknęłam się lekko, gdy poczułam przyspieszone bicie serca. – Tak sądziłem. Teraz już nie jestem pewien. Jaką grę prowadzi Melisanda? Powiedz mi przynajmniej, czy to ona cię przysłała? Czy chce się przekonać, wobec kogo jestem lojalny?

– Żadnych pytań, panie – szepnęłam, czując zawroty głowy. – Obiecałeś.

– Tak. – Puścił diament. – Obiecałem.

Sługa Naamy potrafi dostrzec u klientów pewne rzeczy. U de Morhbana doszukałam się strachu, który mógł podciąć korzenie pożądania. Zaczął powątpiewać w słuszność swojej decyzji. Miał

pecha, że władał prowincją, którą zamieszkiwał ród Szachrizaj ze swoimi wszystkimi sztuczkami. Cofnęłam się o krok i powtórnie dokonałam drugiego wyboru, równie spieszenie jak za pierwszym razem.

– Nie – powiedziałam i ujrzałam zdumienie w jego oczach. – Jedna odpowiedź, a potem albo uszanujesz warunki kontraktu, albo odejdę. Nie. Jeśli jestem czymś stworzeniem, to tylko Delaunaya. I skoro przebywam tutaj, to tylko na jego rozkaz.

– Zza grobu. – Było to stwierdzenie, nie pytanie. – Dotrzymał słowa danego księciu Rolandowi, jak słyszałem. Wierny po grób, a nawet dłużej. – De Morhban położył ręce na stole, przyglądając się kontraktowi. – Jeśli to prawda, to znaczy, że jesteś tutaj z rozkazu Ysandry.

– Jestem tutaj, panie, dla twojej przyjemności – powiedziałam, ruchem głowy wskazując kontrakt.

– Otóż to. – Popatrzył na mnie kpiąco. – Sprawisz mi przyjemność, Fedro nó Delaunay, jeśli wykąpiesz się i doprowadzisz do porządku. Nie gustuję w cygańskich dziewczkach, jeśli to ci nie przeszkadza.

– Jak pan każe. – Dygnęłam.

Kobiety w zamku Morhban były dla mnie dość miłe, skrywając ciekawość za typowym dla nich milczeniem; mieszkańcy wybrzeża Kuszetu nie są gadatliwi. Zaprowadziły mnie do urządzonej z przepychem łaźni.

Po kąpieli czekałam, odziana w jedwabne szaty, podczas gdy szwaczka przeglądała stroje. Wreszcie znalazłyśmy odpowiednią suknię, szkarłatną z głębokim wycięciem, w którym pyszniła się moja ukończona marka.

Przyznaję, że podziwiałam się w lustrze. Utknęłam włosy pod złotą siatką i odwróciłam się, żeby zobaczyć czarne linie marki,

pnące się po plecach do zwieńczenia na szyi. Sprawdziłam też, czy kolor sukni podkreśla głęboki bistr moich oczu i szkarłatną plamkę po Strzale Kusziela.

Powinnam bać się tego spotkania, bo zmusiła mnie do niego konieczność, ale przecież w chwili pierwszego rozkwitu kobiecości ślubowałam służyć Naamie. Zamiast strachu przenikało mnie ogromne zadowolenie, że znów mogę uprawiać swoją sztukę. Pomyślałam o Joscelinie i Hiacyncie i zmroziło mnie poczucie winy. Pomyślałam o Gunterze i Waldemarze Seligu i skurczyłam się ze wstydu. A jednak pamiętałam o przysięgach złożonych w świątyni Naamy, o ofiarnej gołębiczy drżącej w moich rękach.

Oto, kim byłam.

Z tego płynęła moja siła.

Quincel de Morhban przyjął mnie w ogrodzie, czego nigdy bym się po nim nie spodziewała. Sam ogród też robił wrażenie. Mieścił się na wewnętrznym dziedzińcu, jak u Delaunaya, jak w Dworze Nocy, tylko znacznie większym. Był osłonięty od wiatru i deszczu, ogrzewany przez tuzin koszy i liczne pochodnie, wyposażony w lustra do zbierania ciepła słońca w pogodne dni i w ekrany z cieniutkiego jedwabiu, którymi chroniono delikatne rośliny w czasie niepogody.

Mimo chłodu wczesnej wiosny w ogrodzie kwitło mnóstwo kwiatów: nardy, naparstnice, azalie, obuwniki, niezapominajki, orchidee i floksy, lawenda i róże.

– Podoba ci się – powiedział de Morhban cicho. Czekał na mnie obok małej fontanny. Jego oczy rozkoszowały się moim widokiem. – Utrzymanie tego ogrodu kosztuje mnie tysiące dukatów. Mam mistrza ogrodnika z L’Agnace i jednego z Namarry, i obaj stale się kłócą. Ale uważam, że cel uświęca

środku. Jestem D'Angelinem. D'Angelinowie umieją doceniać piękno. – Wyciągnął do mnie rękę. – Jak ja doceniłem twoje.

Podeszłam do niego bez wahania. Przyciągnął mnie do szczupłego ciała w czarnym aksamitnym stroju z herbem de Morhban na ramieniu. Poczułam, jak narasta we mnie mroczny przypływ pożądania, gdy jedną dłoń zacisnął na moich pośladkach, a drugą chwycił za kark, wbił palce w siateczkę i pociągnął moją głowę do tyłu. Pocałował mnie wtedy, mocno i bezlitośnie.

To była moja decyzja. Za wszystko, co zrobiłam wcześniej, u Melisandy i wśród Skaldów, odprawiłam pokutę, zostałam ubiczowana. Teraz z ulgą tak głęboką, że graniczyła z bólem, poddałam się woli tego kuszelickiego pana i jego silnym, okrutnym rękoma.

Quincel de Morhban uniósł głowę i spojrzał na mnie z czymś w rodzaju nabożnej grozy.

– To prawda, co mówią... – szepnął. – Strzała Kusziela. Szczera prawda.

– Tak, panie – wymruczałam; gdyby oznajmił, że więzi w stajni księżyc, w tej chwili przyznałabym mu rację.

De Morhban puścił mnie i odwrócił się, żeby zerwać dużą srebrną różę.

– Widzisz? – zapytał, kładąc ją na mojej dłoni. – Nie rośnie nigdzie indziej. Wyhodował ją mój ogrodnik z Namarry. Nazywa ją Gwiazdą Naamy. – Zacisnął dłoń, zamykając moje palce na łożycie. Gdy ciernie przebiły skórę, westchnęłam przeciągle i poczułam, jak moje kości przemieniają się w wodę. Srebrna róża pyszniła się pomiędzy nami, rozsiewając zapach w rozświetlonym przez pochodnie nocnym powietrzu. Z mojej ręki spływała krew, kropelka po kropelce. De Morhban przeszywał

mnie spojrzeniem i napierał na mnie tak mocno, że czułam na brzuchu wyprężony fallus. Puścił moją rękę, a ja osunęłam się na kolana, wielbiąc jego pożądanie, rozpinając spodnie, róża upadła, zapomniana, gdy wzięłam w rękę twarde, pożyłkowany, pulsujący fallus, śliski od mojej krwi, i wsunęłam go do ust.

Wokół nas baśniowy ogród otwierał się na nocne niebo, gdy wykonywałam *languisement*, aż w końcu de Morhban odsunął się i wytrysnął, mleczne kropelki spryskały moją skórę, ciemne listki i jedwabiste płatki, opalizujące i słonawe. Jęknął z rozkoszy, potem popatrzył na mnie i gwałtownym ruchem uwolnił z siatki moje włosy, które spłynęły kaskadą na plecy i ramiona.

– Kolacja – powiedział, gdy odzyskał oddech. – Potem pokażę ci moją komnatę rozkoszy, mała *anguisette*.

Kłęcząc, musnęłam usta koniuszkiem języka, zlizując kropelkę nasienia. Komnata rozkoszy. Zadrżałam na myśl o uderzeniu bicia.

– Jak sobie życzysz, panie – szepnęłam.

Nie ma potrzeby, jak myślę, opisywać szczegółowo tego, co stało się później; posiłek był smaczny, wprost wyśmienity, bo kucharze de Morhbana dorównywali kunsztem ogrodnikom. Świeże owoce morza i młode krewetki złowione tak niedawno, że zdawały się ruszać we własnym ciemnym sosie; faszerowany turbot, na wspomnienie którego ślinka cieknie mi do ust, podany z ryżem i rzadkimi przyprawami; trzy gatunki win z Doliny Lusandy i patera owoców... Nie pamiętam już wszystkiego. De Morhban przez cały posiłek nie spuszczał oczu ze mnie, bystrych, szarych i domyślnych. Już wiedział, kim jestem, wiedział, że pożądanie burzy mi krew.

– Z jakiego powodu Ysandra cię wysłała? – zapytał cicho.

Odsunęłam krzesło i wstałam od stołu, walcząc z mrocznym

przyływem krwi. Gdzieś, pomyślałam, nasłuchując, gdzieś w zamku Joscelin opowiada historyjki strażnikom de Morhbana. Czepiałam się myśli o nim niczym talizmanu, wspominając jego taniec śmierci z wojami Seliga w śnieżnej zadymce. Wspomnienie zimy i walki ostudziło moją krew. Potrząsnęłam głową.

– Żadnych pytań – powiedział de Morhban szybko. – Żadnych pytań. Fedro, wybacz mi, usiądź.

– Przysięgłeś na Kusziela – powiedziałam, ale usiadłam.

Sięgnął nad stołem, by przesunąć palcem po brwi nad moim lewym okiem, tym naznaczonym. Poczułam odciski od rękojeści miecza; to była dłoń wojownika.

– Na Kusziela – przyznał. Więc się zaczęło.

Skończyło się jak zawsze. De Morhban miał w pełni wyposażoną komnatę rozkoszy i flagelarium w chłodnych podziemiach zamku, który stał na wysuniętym najbardziej na zachód cyplu Terre d'Ange. Otoczona niezliczonymi pochodniami, czułam się jak w piekle Kusziela, wijąc się złana potem i krwią, widząc jego twarz wykrzywioną za biczem i słysząc własny głos, proszący, błagający, gdy w końcu mnie posiadał, górując nade mną jak kolos.

Użył także strzałek, a o to go nie posądzałam.

Umarłam tysiące razy, z katuszy i z rozkoszy, w komnacie de Morhbana. Okazał się naprawdę dobry, lepszy od moich dotychczasowych klientów, kiedy w końcu maskę uprzejmości zamienił na maskę pożądania. Był Kuszelitą, miał to we krwi. Chciał – Elua świadkiem, jak bardzo – chciał usłyszeć, jak podaję *signale*. Jeśli wcześniej zrezygnował z wypytywania, to właśnie dlatego, w oczekiwaniu na tę okazję. A ja, gdybym podała *signale*, odpowiedziałabym na wszystkie jego pytania.

Ale *signale* podałam tylko jednej klientce, która zawładnęła moją duszą. Quincel de Morhban mógł żądać, bym oddała mu swoje ciało, drżące w nikczemnym orgazmie. Mógł – i brał, warcząc z rozkoszy zwycięstwa.

Nie podałam *signale*.

W końcu znużenie pokonało nas oboje.

– Zaopiekujcie się nią – polecił służbie, ze zmęczeniem i satysfakcją w głosie. Zarzucił jedwabną szatę i uklonił się w moją stronę. – Traktujcie ją delikatnie.

Mam nadzieję, że byli posłuszni jego słowu, bo sama tego nie pamiętam. Zobaczyłam zbliżające się twarze, przejęte i pełne nabożnej grozy. W Kuszecie rozumieją, co to znaczy służyć Kuszielowi. Cierpiałam, bolała mnie każda cząstka ciała. I byłam zadowolona. Zamknęłam oczy i pozwoliłam, by zalała mnie głęboka fala nieświadomości.

Rankiem zbudziłam się cała obolała, w czystej lnianej pościeli pokrytej plamami zaschniętej krwi. Zanim wstałam, do pokoju wszedł medyk de Morhbana, skromnie odwracając wzrok. Zajmował się mną wczorajszej nocy, jak zrozumiałam. Teraz sprawdził opatrunki i posmarował maścią te rany, które otworzyły się i spłynęły krwią, kiedy spałam. Poczułam się znacznie lepiej po jego zabiegach.

Quincel podarował mi nowy strój podróżny, piękny, najwyższej jakości, godny kuszelickiej szlachcianki. Podziękowałam mu przy śniadaniu.

– Uznałem, że już nie będziesz potrzebować tych cygańskich łańchmanów – powiedział z błyskiem w szarych oczach. Uniosłam brwi, świadoma, że lepiej nie odpowiadać. – Masz– dodał szorstko i pchnął coś w moją stronę.

Był to niewielki pierścień, nieskazitelny krąg czarnych pereł

oprawionych w srebro.

– Prezent od klienta leży w zwyczaju, prawda? – Usta de Morhbana wykrzywiły się drwiąco. – Należał do mojej matki, zamierzałem dać go mojej żonie. Ale kobiet jest wiele i nie umiem się zdecydować. Poza tym nie sądzę, bym kiedyś spotkał drugą *anguisette*. Noś go zatem i pomyśl o mnie czasem. Mam nadzieję, że nie poświęcisz się bez reszty służbie Naamie, Fedro nó Delaunay.

Niekiedy wypada się krygować, a niekiedy nie. Wsunęłam pierścień na palec i skłoniłam głowę przed diukiem.

– Kiedy będę myśleć o tobie, panie – powiedziałam – będę myśleć dobrze.

Bawił się sztucami, niespokojny i zaciekawiony.

– Z ogromnym zainteresowaniem będę czekać na wyjaśnienie tajemnicy, jaka wiąże się z twoim przybyciem. Módl się, żebym nie żałował swojej decyzji w tej sprawie.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, po czyjej stronie się opowie. W czasie naszego spotkania wywnioskowałam tylko tyle, że sam jeszcze tego nie wiedział. Był suwerennym księciem Kuszetu; od niego zależało, czy prowincja poprze Koronę, czy wystąpi przeciwko niej.

Odpowiedziałam krótko:

– Wasza Książęca Mość, ja również się o to modłę.

Tak oto skrzyżowaliśmy ostrza, oboje niepewni i ostrożni, po czym porzuciliśmy temat. Diuk de Morhban potrząsnął dzwonkiem i kazał wezwać Joscelina. Mój towarzysz wpadł do pokoju wielce poruszony, patrząc na mnie z wyrzutem i strachem w zaczerwienionych z niewyspania oczach. Odpowiedziałam mu uprzejmym spojrzeniem znad filiżanki herbaty.

– Jesteś zawiedziony, kasjelito? – zapytał z rozbawieniem Quincel de Morhban. – Przykro mi. Ale przyznaję, że chciałbym zmierzyć się z kimś twojego pokroju.

Joscelin rzucił mu spojrzenie, które mówiło, że nie miałyby nic przeciwko próbie, w dowolnym czasie i miejscu. Przykląkł u mojego boku.

– Zatem to prawda? Dobrze się czujesz, Fedro?

– Jego Książęca Mość de Morhban uszanował warunki kontraktu – powiedziałam, patrząc na Quincela i z roztargnieniem obracając pierścień na palcu. Było to łatwiejsze niż spoglądanie w oczy Joscelina; dostrzegłby moje zadowolenie i zganił mnie w swój wyjątkowy kasjelicki sposób. – Możemy więc odejść, Wasza Książęca Mość?

Quincel de Morhban zrobił dziwną minę, jednocześnie zadowoloną i złą. Machnął ręką, przywołując służących na świadków.

– Nasz kontrakt został dopełniony – powiedział szorstkim, formalnym tonem. – Macie wolny przejazd przez Morhban, dokąd tylko chcecie. Do królewskiej floty i dalej. – Po chwili dodał: – Jeden dzień, Fedro. Daję ci jeden dzień, zanim rozstrzygnę, czy wypada mi indagować królewskiego admirała.

– Dziękuję, Wasza Książęca Mość.

SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Joscelin szedł szybko przez kamienne sale zaniku Morhban, a ja, krzywiąc się z bólu, próbowałam dotrzymać mu kroku. Przystanął, żeby na mnie zaczekać, mocno zaciskając szczęki.

– Jesteś w stanie jechać konno? – zapytał gniewnie.

– Dam radę – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Joscelin popatrzył na mnie i potrząsnął głową, ruszając niewiele wolniejszym krokiem.

– Nigdy nie zrozumiem, dlaczego to robisz i na dodatek nazywasz przyjemnością – powiedział, patrząc prosto przed siebie.

– Z twoim temperamentem? Powinieneś rozumieć.

Stanął w pół kroku i wstrząśnięty, spojrział na mnie szeroko otwartymi oczyma.

– Jakim temperamentem? I co to ma do rzeczy?

– Masz wielki temperament, Joscelinie. Po prostu pogrzebałeś go głęboko pod kasjelicką dyscypliną. – Poruszyłam ramieniem i potarłam obolały bark. – Ale niezbyt dobrze – dodałam. – Widziałam, jak pozwoliłeś mu wziąć górę w starciu ze Skaldami. Walczyłeś jak zaszczuty wilk, chociaż nie miałeś widoków na wygraną. Co czujesz w chwili, kiedy wyzwalasz swoją prawdziwą naturę? Kiedy atakujesz całym sobą, wiedząc, że przegrasz? Czy poddanie się jej sprawia ci ulgę?

– Tak – odparł cicho, odwracając wzrok.

– Cóż. – Coś chrupnęło cicho w barku i ból zelżał. – Wyobraź sobie tę ulgę mnożoną dziesięć, sto razy z każdym ciosem, w

bólu, w cierpieniu, aż stanie się przyjemnością tak wielką i straszliwą, że przeszywa cię niczym włócznia. – Poruszyłam ramieniem, które teraz było w znacznie lepszym stanie. – Wtedy trochę zrozumiesz, co to znaczy służyć Kuszielowi.

Wysłuchał i popatrzył na mnie ponuro.

– Nawet wśród Skaldów?

– Nie. – Pokręciłam głową, mój głos stał się twardy. – Tam było inaczej. Wybór nie należał do mnie. Myślę, że na tym polega wykorzystanie przez nieśmiertelnego.

– Strzała Kusziela. – Powiedział to w taki sposób, że pomyślałam o Lodurze Jednookim, barbarzyńskim kapłanie Odyna. Joscelin zadrżał. – Chodź, ruszajmy w drogę. Jeden dzień, powiedział. Dotrzyma słowa?

– Tak – odparłam. – Przez jeden dzień.

– Proszę. – Zdjął przez głowę łańcuszek z pierścieniem. – Oddałaś mi go na przechowanie.

Przyjęłam sygnet bez słowa i pospieszyliśmy na dziedziniec.

Panował tam spory zamęt. Dorośli, dzieci i konie niecierpliwili się, pragnąc jak najszybciej wyjechać na otwartą drogę. Cyganie nie lubią spać w otoczeniu kamiennych murów i uważają, że to przynosi pecha. Szwagier Neciego zaprzągnął konie i brodą wskazał bramę.

– Jedziemy, *rinkeni czawo*, zanim *kralis* morza zmieni zdanie!

– powiedział gorączkowo do Hiacynta, którego uważał za naszego przywódcę.

Hiacynt spojrzał na mnie pytająco.

– Nic mi nie jest – powiedziałam, siadając na konia i starając się ukryć grymas bólu. – Mamy jeden dzień. Jedziemy.

Zbrojni de Morhbana patrzyli za nami, niektórzy ze śmiechem i krzykiem. Rzucili parę przyjaznych uwag pod adresem

Joscelina, który przyjął je z lekkim uśmiechem i skinieniem głową.

– Naprawdę zapewniłeś im rozrywkę – powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

– Co innego mogłem zrobić? Szaleć i zamartwiać się o ciebie? W każdym razie, to było dobre ćwiczenie.

– Myślę, że sprawiło ci przyjemność – dociełam mu. Robiło mi się coraz lżej na duszy, gdy mury zamku Morhban malały za naszymi plecami.

– Nie powiedziałbym. – Jego ton zdradzał rezerwę, ale dostrzegłam cień uśmiechu w kącikach ust.

Dzień wstał jasny i czysty, wilgotne ciepło przesycalo rzeńskie powietrze, po niebie płynęło kilka obłoków. Jechaliśmy krętą nadmorską drogą, błękitnoszare morze biło w skały pod nami czasami tak blisko, że zraszały nas kropelki wody. Mewy zataczały koła nad naszymi głowami, wrzeszcząc przeraźliwie. Wyteżałam wzrok, żeby zobaczyć Albę, ale byliśmy zbyt daleko. Podobno w Azalii widać białe klify po drugiej stronie Cieśniny.

Byliśmy w drodze niespełna godzinę, kiedy ich zobaczyliśmy. Okrążaliśmy wysoką skałę. Pod nami wąska zatoka wcinała się w głąb lądu, okolona płaską piaszczystą plażą. Jeden z Cyganów jadących na przodzie zawołał ostrzegawczo. Dzieci wysypały się z wozu, podskakując i wymachując rękami.

Flota królewska kotwiczyła u wylotu zatoki, ponad czterdzieści okrętów, z masztami kołyszącymi się na tle nieba. Żagle były zwinięte, ale na każdym maszcie powiewał proporzec z herbem Courcel, Srebrne łabędzie łopotwały na morskiej bryzie. Okręty wyglądały przepięknie. Na plaży rozbito wielki obóz, postacie marynarzy wydawały się małe z wysoka. Na piasku leżało co najmniej sto szalup, podczas gdy wiele innych płynęło w stronę

okrętów albo do brzegu.

Znaleźliśmy Kwintyliusza Rouse.

– Naprzód! – zawołał Hiacynt, przynaglając wszystkich do pośpiechu.

Cyganom udzieliła się nasza euforia, gdy zaczęliśmy zjeżdżać po strojnej drodze. Ludzie admirała zauważyli nas na długo przed tym, nim dotarliśmy na plażę. Tłumnie wylegli na spotkanie, z rękami przy rękojeściach mieczy i zdziwionymi minami.

Niedaleko plaży pośpiech zebrał swoje żniwo; wóz jadący zbyt szybko zjechał z drogi i zawisł na krawędzi urwiska. Wrzask przestraszonej dzieciarni zagłuszył krzyki mew. Gizella z siostrą policzyły głowy, a potem obejrzały ręce i nogi dzieci. Neci i zawstydzeni mężczyźni szybko zawrócili, żeby podeprzeć wóz.

– Jedź, *czawi* – powiedziała Gizella i poprawiła chustkę na głowie, doświadczoneym okiem patrząc na mężczyzn. – Dadzą sobie radę. Zajmijcie się handlem. Wyróbcie dobre imię kompanii Neciego, który za złotem pojechał na najdalszy zachód.

Pokiwałam głową, zabrałam Joscelina i Hiacynta. Ostrożnie pokonaliśmy ostatni odcinek stromizny. Nim dotarliśmy na plażę, zjawił się sam admirał, rozdzielający szeregi swoich ludzi jak dziób okrętu fale.

– Co to za wagabundy?! – ryknął, mrużąc jasnoniebieskie oczy.
– Na Jaja Elui! Czyżby Podróżni postanowili przedłużyć Długą Drogę przez morze?

Nie był mi bliski tak jak Gaspar Trevalion, którego uważałam za wuja, ale przyjaźnił się z Delaunayem i znałam go od dzieciństwa. Niespodziewany skurcz wzruszenia ścisnął mnie za gardło.

– Admirale... – wykrztusiłam, gdy z niejakim trudem zsiadłam

z konia i złożyłam głęboki ukłon – admirale, przynoszę wiadomość od królowej.

Uniosłam głowę, a on popatrzył na mnie ze zdziwieniem na przeciętym blizną obliczu.

– Na dziesięć tysięcy akadyjskich diabłów! – zagrzemiał. Jego ludzie wyszczerzyli zęby, a ci stojący najbliżej przysłonili uszy. – Szczęnię Delaunaya! – Z tymi słowy zamknął mnie w potężnym uścisku, omal nie łamiąc mi kości. Wycisnął mi powietrze z płuc, dlatego nie mogłam nawet jęknąć z bólu, gdy jego potężne ramiona zamknęły się na moich obolałych, poznaczonych pręgami plecach. – Do siedmiu piekieł, dziewczyno, co tutaj porabiasz? – zapytał, kiedy mnie puścił. – Myślałem, że ci idioci z Miasta skazali cię za morderstwo.

– W istocie – wychrypiałam. – To... to jeden z powodów, dla których jestem tutaj, a nie tam.

Kwintyliusz Rousse popatrzył na mnie z namysłem, potem przeniósł spojrzenie na cygański wóz wciąż tkwiący na stromej drodze.

– Idźcie im pomóc – powiedział do swoich ludzi, którzy odeszli z ociąganiem. – Jakie są inne? – zapytał mnie.

Odzyskałam dech.

– Znam mowę Cruithnów.

– Aha... – mruknął przeciągle i w jego bystrych oczach pojawił się błysk zrozumienia. – Chodź, mamy wiele do omówienia. – Popatrzył na Hiacynta i Joscelina. – Wy również, jak myślę?

Obaj się ukłonili.

– W takim razie idziemy. – Spojrzał na drogę raz jeszcze, pocierając szczękę. – Rad jestem, że ich sprowadziłaś. Chętnie kupię kilka koni.

– Na to liczyliśmy – powiedział Hiacynt.

Admirał ugościł nas w swoim namiocie, wielkim, zawierającym głównie skrzynie pełne map i książek oraz... nie było jaki skarb.

– Nie ma czasu, by to schować albo choćby kupić przyzwoitą kochankę – burknął, zgarniając ze skrzyni stos klejnotów. – Siadajcie i mówcie, dlaczego tu jesteście. Od samego początku. Kto zabił Anafiela Delaunaya?

Opowiedzieliśmy mu wszystko, Joscelin i ja, poczynając od zdarzenia w pracowni markarza.

– Mój chłopak Aelric Leithe wrócił cały i zdrowy – wtrącił Rousse. – Stąd wiedziałem, że to nie ty, dziecko, ani nie kasjelita. Poza tym, zawsze patrzyłaś w niego jak w obraz. Delaunay już wcześniej był obserwowany. Kto to zrobił?

– Izydor d’Aiglemort. – Zaczerpnęłam tchu i powiedziałam mu całą resztę. Tym razem słuchał bez przerywania, z twarzą ciemniejącą z gniewu, a furia narastała w nim jak burza z piorunami.

Rozpętała się, gdy skończyłam. Admirał Rousse ryczał na całe gardło, miotając się po namiocie, łamiąc i przewracając sprzęty. Jeden z jego ludzi wsunął głowę do środka i cofnął ją spieszenie, gdy w jego stronę poszybował dzbanek. Kiedy wreszcie burza przeminęła, Kwintyliusz Rousse westchnął.

– Chyba nie muszę pytać, czy kłamiesz? – zapytał z nadzieją.

Pokręciłam głową, wyjęłam pierścień Ysandry i pokazałam mu go na dłoni.

– Dała mi ten sygnet. Mam go pokazać tobie i dać księciu Cruithnów.

– Pierścień Rolanda. – Admirał rzucił okiem i znowu westchnął. – Och, znam go, wszystko w porządku. Nie, nie ma na to nadziei. Ale nie miej mi za złe, gdy powiem, że wolałbym

żeglować po rzece Rhenus i rozłupywać czaszki Skaldów – i Kamaelitów, skoro o tym mowa – niż porywać się z motyką na słońce, bo tym jest próba dotarcia do Alby.

– A jeśli nie? – zapytałam.

Kwintyliusz Rouse przeszył mnie bystrym spojrzeniem.

– Próbowaliśmy wcześniej, żeglując z dolnej Siovale i nadkładając szmat drogi, żeby ominąć Cieśninę. Jak myślisz, co się stało? Przywitały nas tysiące białowłosych Dalriadów, wyrzaskujących przekleństwa i ciskających dzidami. Nawet nie dobiliśmy do brzegu.

– W ile okrętów? – zapytał niespodziewanie Hiacynt.

– Piętnaście – odparł Rouse tonem, który zdradzał zaciekawienie.

– Potrzebujesz jednego, admirale. Tylko jednego. – Hiacynt głośno przełknął ślinę, jakby słowa sprawiały mu ból. – To właśnie zobaczyłem, gdy Ysandra poprosiła mnie o *dromonde*. Jeden okręt.

Kolejne potężne westchnienie.

– Kwiat Kwitnący Nocą, cygański wróżbita i... kasjelita. Oto kogo przysłała mi Ysandra. Chyba zwariowałem. – Kwintyliusz Rouse zmierzwił rdzawobrązową czuprynę. – Co ty na to powiesz, kasjelito?

Joscelin uklonił się.

– Admirale, powiem, że cokolwiek postanowisz, musisz zrobić to szybko. Jutro przed południem diuk de Morhban będzie tutaj i zacznie zadawać pytania.

– Morhban... – W tonie brzmiała pogarda. – Osaczył mnie jak lis stado kurcząt. Jak zdołaliście go ominąć? Aelric ledwo zdołał się przemknąć. Po śmierci króla de Morhban stał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

Hiacynt popatrzył na mnie. Joscelin zrobił to samo. Uniosłam brwi.

– Dzięki Naamie.

– Aha. – Rouse wyszczerzył zęby. – Uczennica Delaunaya, w każdym calu! W takim razie musimy podjąć decyzję, i to szybko. Chyba nie mam co pytać, czy królowa ma plan uniknięcia sideł Starszego Brata?

Niespokojnie pokręciłam głową.

– Myślałam, panie, że ty zapewnisz nam przejście. Pertraktowałeś z nim, otrzymałeś odpowiedź. Kiedy Czarny Dzik zawładnie Albą!

– I nic mnie to nie kosztowało. – Kwintyliusz Rouse podrapał się po szczęce. – Nie mam wolnej drogi, dziecko. Odpowiedź była wszystkim, co uzyskałem, odpowiedź i prawo zachowania podłego żywota. Jak myślisz, dlaczego Delaunay z takim uporem pracował nad rozwikłaniem jego tajemnicy? On i ten białowłosy chłopak, Alcuin?

Zapadła ponura cisza. Przerwała ją muzyka skrzypiec i tamburynów. Cyganie grali na plaży, a marynarze klaskali do rytmu. Hiacynt drgnął.

– Panie, obiecaliśmy Cyganom duży zysk za przyprowadzone konie. Wyświadczyli nam wielką przysługę, przyjmując nas do swojego wozu. Dojechaliśmy w cygańskich przebraniach do samego Morhbanu.

– Czemu nie. – Admirał wziął garść akadyjskich kosztowności, długie sznury rubinów i pereł zwisły z opalonej dłoni. – Wygląda na to, że nie mogę zrobić z tego lepszego pożytku i prędzej spocznę na dnie Cieśniny, niż roztrwonię ten majątek. Wyślemy ich z powrotem na Długą Drogę z czymś, czym będą mogli się pochwalić!

Nie handluję biżuterią, nie potrafię ocenić bogactwa, jakie Kwintyliusz Rouse dał rodzinie Neciego – nie handluję również końmi, żeby oszacować wartość zwierząt, które zyskał w zamian. Nie wiem, ile warte były klejnoty, ale na ich widok oczy Cyganów niemal wyskoczyły z orbit. Natychmiast uderzyli w swoją najbardziej służalczą nutę, przysięgając błogosławić imię admirała na każdych rozstajach.

Sprowadzenie wozu na plażę i dobiecie targu zabrało trochę czasu, więc zapadał zmierzch, gdy było po wszystkim. Cyganie mieli spędzić noc na plaży i odjechać rano. Gdy sprawnie rozbili obóz, nie uszło mojej uwagi, że Gizella zrobiła dobry interes z marynarzami, którzy mieli już dość jedzenia rybnego gulaszu bez przypraw. Joscelin zaczął zabawiać dzieci ostatnią bajdurską opowieścią, gdy zapaliły się gwiazdy, nieśmiałe i dalekie nad ogromnym, szumiącym oceanem.

Hiacynt zabrał mnie na pożegnanie z Necim.

– Niechaj *Lungo Drom* ci służy, *ceroman* kompanii Neciego – powiedział, składając formalny ukłon. – Byłeś dobrym towarzyszem w drodze.

Neci pogładził długie wąsy, zakończone eleganckimi szpicami.

– I ty, *rinkeni czawo* – odparł z uśmiechem i w jednej chwili spoważniał. Cyganie są mistrzami, gdy chodzi o zmiany nastrojów. – *Czawo*, nie wiem, czy to prawda, że znasz arkana *dromonde*. Nie dbam o to. Kiedy ludzie będą mówić, że Manoj nie ma wnuka, zarzucę im kłamstwo. Będę wymawiać głośno twoje imię i nosić je w pamięci. W mojej kompanii nikt go nie zapomni.

– Dziękuję. – Hiacynt mocno uściśnął mu nadgarstek. – Dziękuję wam wszystkim.

– Wielki handel na najdalszym zachodzie. – Nęci popatrzył na morze, na fale łamiące się na brzegu. – To prawda. To wyrobi

nam *law*. – Ukłonił się przede mną. – A ty, *czawi*, nie urodziłaś się w zaułku, chyba że jestem głupcem. O tobie także będziemy pamiętać.

– Dziękuję. – Pocałowałam go w policzek. – Bądź miły dla kobiet bez *laxta*, jeśli chcesz mnie pamiętać.

– Będę wspominać cię w snach. – Błysnął białym uśmiechem i odszedł do swojej rodziny, machając ręką na pożegnanie.

– Nie jest za późno – powiedziałam do Hiacynta. Popatrzył na morze, błyszczące srebrem w ciemności.

– Co powiedział Rouse? Możliwe, że ma rację. Długa Droga nie kończy się tam, gdzie zaczyna się morze. Jeśli ktoś ma je przebyć, czy nie powinien to być Książę Podróżnych?

– Tak – odparłam, biorąc go pod rękę. Razem patrzyliśmy na morze, bezkresne i zdumiewające, falujące bez chwili wytchnienia. – Chyba że wciąż tu będziemy, gdy zjawi się de Morhban – dodałam, dostrzegając na brzegu zwalistą sylwetkę Kwintyliusza Rouse. Admirał spoglądał na swoją flotę.

– Nie będziemy – odparł Hiacynt z przekonaniem. – Popłynie. Musi. Jeden okręt, widziałem. – Po chwili milczenia zapytał żartobliwie: – Jak sprawił się drogi diuk de Morhban?

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Spojrzałam w jego oświetloną przez gwiazdy twarz.

Zaśmiał się.

– Dlaczego nie? Zawsze chciałem.

– Dobrze – powiedziałam, patrząc na morze. – Diuk de Morhban sprawił się bardzo, bardzo dobrze.

– Tak myślałem. Wystarczyło na ciebie spojrzeć. – Hiacynt owinął na palcu pasemko moich włosów. – Nie boję się tego, wiesz? – powiedział cicho. – Tego, kim jesteś.

– Nie? – Musnęłam diament Melisandy. – Bo ja tak.

Wróciliśmy potem do obozu i zostawiłam tam Hiacynta, żeby porozmawiać z admirałem. Rousse krążył po brzegu jak rozniewany lew, przezornie omijany z daleka przez swoich ludzi. W tym czasie wzeszedł pyzaty księżyc i wyrysował na morzu świetlistą ścieżkę, jakby chciał wskazać, gdzie leży Długa Droga.

– Panie – powiedziałam, klękając przed nim. Piasek był chłodny i mokry.

Kwintyliusz Rousse popatrzył na mnie gniewnie.

– Ach, nie marnuj na mnie kurtuazji Dworu Nocy, dziewczyno! Muszę podjąć trudną decyzję.

– Tak, panie – powiedziałam, nie podnosząc się z klęczek. – Posłuchać Korony czy nie.

– Nie o to chodzi! – Jego głos zagłuszył szum fal. Przykucnął przede mną i podjął znacznie ciszej: – Posłuchaj, dziecko. Ysandra de la Courcel jest wierna temu krajowi i będzie dobrą królową. Ja to wiem i Delaunay to wiedział, i Gaspar Trevalion. Dlatego jej pomagaliśmy. I to przymierze byłoby wspaniałe... gdyby miało szansę na realizację. Ale szansa jest znikoma, a rzeczywistość wygląda tak, że stoimy w obliczu wojny domowej i jednoczesnego najazdu Skaldów, jeśli powiedziałaś mi prawdę. Dlatego muszę zapytać sam siebie, rozumiesz, w jaki sposób mogę uczynić najwięcej dobrego. Czy wyprawiając się w misję skazaną na niepowodzenie, czy też walcząc za swoją ojczyznę? Mam tutaj ponad czterdzieści okrętów i prawie tysiąc ludzi, doborowych żołnierzy, umiejących wojować na morzu i na lądzie. Na Jaja Elui, zgnetli w proch Akadyjczyków, którzy bili się jak dziesięć tysięcy diabłów! Ysandra de la Courcel jest młoda i niedoświadczona, niewiele wie o rządzeniu krajem i nic o wojnie. Jak najlepiej mogę jej pomóc? Okazując posłuch czy

sprzeciw?

Kłęcząc *abeyante*, jak uczono mnie od najwcześniejszego dzieciństwa, uniosłam głowę i spojrzałam na niego.

– Nie masz nic – powiedziałam cicho. Kwintyliusz Rousse popatrzył na mnie. – Myślisz, że twoje okręty przechylą szalę w bitwie na lądzie? Myślisz, że twoi ludzie do czegoś się przydadzą? Admirale, ja widziałam Skaldów, jest ich więcej niż ziaren piasku na tej plaży. Co znaczy kilkuset ludzi... – Nabrałam garść piasku i przesiałam go pomiędzy palcami. – Jak pragniesz umrzeć, admirale? Jesteśmy D’Angelinami. Z rąk barbarzyńców czy w pogoni za marzeniem?

Kwintyliusz Rousse chrząknął z niesmakiem i odwrócił się do mnie plecami, stając na skraju syczących fal.

– Jesteś równie zła jak twój pan – mruknął. Ledwo go usłyszałam w szumie morza. – Gorzej. On przynajmniej nie posługiwał się słowami z ust kurtyzany. – Milczałam. Kwintyliusz Rousse westchnął. – Oby Starszy Brat miał dla nas miłosierdzie. Wypłyniemy o świcie.

SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM

I tak się stało.

Co prawda nie o świcie, lecz trochę później wyruszyliśmy w wiosłowej łodzi do okrętu flagowego. Kiedy admirał Rouse raz podjął decyzję, działał sprawnie, ale przed odjazdem musiał wydać mnóstwo rozkazów.

Staralam się za nimi nadażyć, ale Kwintyliusz Rouse nie życzył sobie, by za jego plecami plątała się *anguisette* Delaunaya, dlatego odniosłam wrażenie, że w obozie zapanował jeden wielki chaos. Admirał zdał dowodzenie swojemu porucznikowi, przykazując mu, żeby utworzył konny oddział strzegący granic obozu. Jedna czwarta okrętów miała pożeglować do brzegów Azalii i rzucić kotwicę w Trevalionie, gdzie rządził wierny Koronie Ghislain de Somerville, który miał powiadomić Ysandrę. Gdyby królewscy kurierzy nie zdołali przedostać się przez Morhban, będą mogli przesłać wieści przez Trevalion.

Co do wszystkich pozostałych, mieli najbardziej mętnie odpowiadać na pytania de Morhbana i wybadać jego lojalność. De Morhban miał własną flotę – o czym nie wiedziałam – i gdyby okazał się zdrajcą, mógłby pożeglować na północ i spustoszyć całe wybrzeże Azalii, zmuszając tamtejsze wojska do odwrócenia uwagi od równin i Rhenusu.

Istniała oszałamiająca liczba możliwości i strategii. Do śmierci Delaunaya nie zdawałam sobie sprawy, jak wąską, niebezpieczną ścieżką stąpał mój pan wśród sprzymierzeńców i wrogów. Z drugiej strony, pomyślałam, nie wiedział – nie do końca – że

Melisanda prowadzi bardziej złożoną grę i mydli mu oczy, żeby nie dostrzegł zdrady d'Aiglemorta. Ja odkryłam jej machinacje tylko za sprawą swojego pecha.

A teraz sama prowadziłam grę jeszcze bardziej skomplikowaną niż mogła przypuszczać. Na myśl o tym zadrżałam. Strzała Kusziela wypuszczona przeciwko jego potomkom... Niezależnie od tego, co miało spotkać nas na morzu, przynajmniej znajdę się daleko od Melisandy. Nie ufałam sobie, nie po tym, jak ujrzałam ją w Hippochampie. Ostatnim razem nie podałam *signale*, to prawda, ale za trzecim mogłabym nie wytrzymać. Podczas spotkania z de Morhbanem byłam temu bliższa, niż chciałam myśleć. W tę straszną noc z Melisanda, w noc śmierci Delaunaya i Alcuina, pomógł mi wstrząs i drętwota rozpaczy. I nawet wtedy niewiele brakowało.

Kiedy indziej... Wsunęłam palce do wody, gdy wioślarze chwycili za wiosła i brzeg zaczął się oddalać. Kiedy indziej byłoby inaczej. Ach, Eluo dopomóż, bardzo mi jej brakowało. Nie mogłam temu zaradzić, mimo że nią pogardzałam.

Granica dzieląca miłość od nienawiści jest ostrzejsza od najbardziej ostrej strzałki. Kiedyś powiedziała mi coś podobnego, ale nie śmiałam rozmyślać o takich rzeczach, nie z jej imieniem na końcu języka. Powiedziała mi także, że nie interesuje jej moja uległość, tylko bunt. To odróżniało ją od innych, którzy nie potrafili tego dostrzec.

I to mnie przerażało.

No dobrze; nie potrafiłam uwolnić się od jej władzy, mogłam jednak zrobić przynajmniej tyle. Przesunęłam palcem pod aksamitną obrózką na szyi, wpatrując się w horyzont. Melisanda Szachrizaj chciała zobaczyć, jak daleko zdołam uciec z jej smyczą, jak daleko poniesie mnie mój bunt. Nie sądzę, by

przypuszczała, że na zielone, dalekie brzegi Alby. I jeśli Elua pozwoli, moja ucieczka doprowadzi do ujawnienia jej przewrotnych, misternych planów.

Dlatego modliłam się, patrząc na złowrogie morze. I gdybym miała umrzeć na tych zabójczych wodach, modliłam się, żeby moje ostatnie myśli nie dotyczyły Melisandy.

Choć obawiałam się, że byłoby inaczej.

Podczas gdy ja zmagalam się z tymi chorobliwymi myślami, silni wioślarze dotarli do okrętu flagowego i wdrapali się na burtę. Potem już nie miałam czasu na medytowanie. Spuszczono sznurową drabinkę i musieliśmy wspiąć się na pokład, przytrzymując się śliskiej od soli liny. Uważałam, że jestem zwinna, ale utrzymywanie równowagi na rozkołysanym drewnianym pokładzie wielkiego okrętu wcale nie było łatwe.

Kwintyliusz Rousse, istne ucieleśnienie współczucia, śmiał się z naszych głupich min i chwiejnych kroków. Sam chodził po pokładzie z wdziękiem, jakiego brakowało mu na suchym lądzie. Wykrzykiwał rozkazy, które marynarze wykonywali w pośpiechu, i szybko zrozumieliśmy, dlaczego akurat on był królewskim admirałem. Oddał nas pod opiekę swojego zastępcy, bystrookiego Jeana Markhanda, który pokazał nam kajutę z czterema hamakami zwisającymi z sufitu.

Nie zdążyliśmy schować przywiezionych rzeczy, a już Kwintyliusz rozkazał podnieść żagle.

Przyznam, że statki stanowią dla mnie wielką tajemnicę. Przedwczoraj pierwszy raz w życiu zobaczyłam morze, nie mogłam więc marzyć, że zrozumiem tajniki żeglarskiego rzemiosła. Wiem tylko, że Kwintyliusz Rousse wydawał rozkazy, a marynarze słuchali. Zajmowali się niezliczonymi zadaniami – jedni wspinali się na maszty, inni wciągali łańcuch z wielką,

ociekającą wodą kotwicą. Około trzydziestu ludzi zeszło pod pokład, żeby usiąść przy wiosłach, i wielki okręt flagowy powoli odwrócił się dziobem ku otwartemu morzu. Potem stanęły żagle, ogromne i majestatyczne, niebieskie z łabędziem rodu Courcel: trzy w rzędzie, największy pośrodku oraz mniejsze na dziobie i na rufie. Wiatr wypełnił je i wyduły się z łopotem, nadając pozory życia Srebrnemu Łabędziowi.

Stało się to szybciej niż można sobie wyobrazić. W jednej chwili okręt obracał się powoli, napędzany wiosłami, które były w wodę w na pozór daremnym wysiłku, a w następnej ciął i burzył fale, nabierając prędkości.

Marynarze krzyknęli z radości, a Kwintyliusz Rouse kazał odszpuntować baryłkę wina, żeby wszyscy mogli wznieść toast; później dowiedziałam się, że to tradycja na początku każdej podróży.

My też wypiliśmy. Hiacynt wychylił swoją porcję jednym haustem, z ciekawością rozglądając się po okręcie. Ja swoje wino wypiałam powoli, czując, jak rozgrzewa mnie na zimnym wietrze. Joscelin pozieleniał, smętnie spoglądając w swój kubek.

– Chyba nie nadaję się na marynarza – mruknął.

Kwintyliusz Rouse przystanął przy nas i poklepał go po ramieniu.

– Wypij wino, chłopcze – poradził serdecznie. – Jeśli zawróci, nic na to nie poradzisz. Wychył się tylko za burtę i złóż ofiarę Panu Głębiny.

Słowa okazały się prorocze. Skrzywiłam się ze współczucia, gdy Joscelin kurczowo chwycił się relingu i zwymiotował za burtę. Hiacynt wyszczerzył zęby.

– Kasjelici nie nadają się do Długiej Drogi – powiedział. – Nie wtedy, gdy wychodzi na morze!

– Umie rozniecić ogień wilgotną hubką w samym środku śnieżycy – powiedziałam, powodowana niejasną potrzebą obrony Joscelina. – Nie widziałam ani jednego Cygana w sercu skaldujskich pustkowi, Książę Podróżnych.

– Nie jesteśmy tacy głupi. – Hiacynt roześmiał się i odszedł żeglarskim, rozkołysanym krokiem, żeby poobserwować pracujących marynarzy. Patrzyłam za nim, skwaszona, zmuszona zaopiekować się charczącym kasjelitą. Wymiotujący człowiek w zarękawiach stanowi żaloszny widok.

Rousse planował żeglować na zachód, na skrzydłach wiatru dmącego w Cieśninie. Uznał, że jeśli utrzymamy dobre tempo, zdołamy wymknąć się spoza zasięgu Starszego Brata, wyjść na otwarte morze i okrążyć południowe brzegi Alby.

Plan był dobry i z tego, co rozumiałam, mieliśmy spore szansę. W południe znaleźliśmy się w połowie drogi pomiędzy niewidocznymi brzegami; Terre d'Ange zniknęła nam z oczu, a Alba, do której zmierzaliśmy, jeszcze się nie ukazała. Pogoda dopisywała, wiał pomyślny wiatr. Przed nami rozpościerało się otwarte morze. Widok bezkresnego horyzontu studził mi krew w żyłach, a marynarzy skłaniał do śpiewu. Doprawdy, żeglarze są ulepieni z innej gliny. Ja nawet w najgorszych tarapatach nastawiam swój wewnętrzny kompas, bo muszę wiedzieć, gdzie jestem. Oni są inni. Nieznane, które leży za pustą przestrzenią morza, stanowi dla nich kuszące wyzwanie, czego ja nie potrafię zrozumieć.

Najdalszy zachód, tak Cyganie nazwali wybrzeża Kuszetu. Na pokładzie okrętu rozumiałam, że brzegi są miejscem, w którym najdalszy zachód dopiero się zaczyna, bo morze ciągnęło się bez końca, coraz dalej i dalej, w kierunku umierającego słońca. Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie najdalszego zachodu. Kapłani

powiadają, że gdzieś tam Matka Ziemia i Bóg Jedyńy stworzyli królestwo, w którym słońce nie umiera, tylko odpoczywa; prawdziwą Terre d'Ange, gdzie chodzi uśmiechnięty Elua, bosymi stopami deptając ziemię, a za nim wyrastają kwiaty.

Może tak jest; mogę tylko wierzyć i ufać, że to prawda. Nasza podróż trwała tylko jeden dzień, a potem dobiegła końca.

Stało się to wtedy – jak najczęściej bywa – gdy byliśmy przekonani, że minęliśmy punkt krytyczny i że przed nami leży otwarta droga. Nikt nie wie, jak daleko sięgają wpływy Pana Cieśniny. Niewątpliwie dalej niż sądził Kwintyliusz Rouse. Wreszcie zaczął się odprężyć; kołysząc się za kołem sterowym swego potężnego okrętu, rozkazał marynarzom rzucić sondy, żeby ocenić, czy pora skręcić ku północy.

Zaczął się od wiatru, który zburzył fale.

Pomyślałby kto, że to normalne na morzu, gdzie wiatr jest panem i dyktuje kurs. To prawda. Ale ten wiatr... nie umiem tego wyjaśnić. Wiał w przeciwną stronę niż zachodnia bryza, która nas niosła, i niżej od niej, pchając fale w tył, tworząc wokół okrętu wzburzony kocioł wody.

– Nie, nie – sapnął Kwintyliusz Rouse, mocniej chwytając koło i rzucając okiem na niebo. – Och, nie, Starszy Bracie, miej dla nas litość!

Ja także spojrzałam na niebo, które tak dobrze wróżyło naszej podróży. Już nie było czyste, jak dzień wcześniej. Nad nami kłębiły się chmury, coraz ciemniejsze, przysłaniające słońce.

– Co to jest? – zapytałam admirała, bojąc się odpowiedzi.

Pytania są niebezpieczne, ponieważ niosą odpowiedzi, powiedziałam diukowi de Morhban. Kwintyliusz Rouse popatrzył na mnie ze strachem w jasnoniebieskich oczach. Stara szrama po uderzeniu liną ściągała mu w dół kącik ust.

– To on – powiedział.

W tej samej chwili niebiosa otworzyły się nad nami.

Nikomiu nie życzę, by znalazł się na statku podczas sztormu.

Nasz okręt, który wydawał się bezpieczną przystanią na rozległym łonie wód, nagle zaczął się miotać jak dziecięca zabawka. Wiatr, jeszcze przed chwilą będący przyjaznym zjawiskiem, przemienił się w niszczycielską siłę, burząc morze i wznosząc grzywacze wyżej niż sięgały maszty. Niepodobna było powiedzieć, czy jest noc, czy dzień, bo niebo przybrało straszny siny kolor, rozjaśniany jedynie przez błyskawice.

– Opuścić żagle! – krzyknął Kwintyliusz Rousse. Jego potężny głos ginął w ryku wichury i zacinającego deszczu. – Żagle w dół!

Nie wiem jakim cudem marynarze go usłyszeli. Patrzyłam, przywierając bezradnie do masztu, jak wspinają się na reje i wykonują rozkazy admirała. Żagle opadły ciężko jak kamienie. Co najmniej jeden człowiek został zmyty z pokładu, gdy okręt gwałtownie przechylił się na sterburtę. Przed moimi oczami przesuwały się płachty deszczu; poprzez które, nie do wiary, zobaczyłam Joscelina, brnącego krok po kroku w moją stronę – niewyraźna postać przesuwaną się z determinacją. Modliłam się, żeby Hiacynt siedział bezpiecznie w naszej kajucie, choć raczej w to wątpiłam. Ostatnio widziałam go wśród marynarzy, zbyt zainteresowanego ich poczynaniami, żeby zejść na dół. Poza tym sztorm rozpoczął się tak nagle!

Joscelin dotarł do masztu i przykucnął za mną, własnym ciałem osłaniając mnie przed porywistym wiatrem. Przemoknięta do suchej nitki, obejrzałam się, ale włosy zasłaniały mi widok.

– Zawracamy?! – zawołał Joscelin do admirała. – Admirale! Zawracamy?

– Idzie! – ryknął Kwintyliusz Rouse, wskazując drżącym palcem na Wodę.

Przybył.

Pan Cieśniny.

Ci, którzy nie brali udziału w tej przeprawie, zarzucą mi kłamstwo, ale przysięgam, że to prawda. Zobaczyłam go, zobaczyłam twarz sunącą w naszą stronę. Fale tworzyły jego ciało, włosy miał z chmur burzowych, błyskawice w oczach i przysięgam, że przemówił. Jego głos runął z góry jak lawina, zmuszając nas do zasłonięcia uszu.

– KTO ŚMIE SIĘ PRZEPRAWIAĆ?

Podobieństwa się przyciągają. Przywiązawszy się do koła, admirał odpowiedział z furią, rycząc na wiatr i potrząsając pięścią.

– Ja, stary draniu! I jeśli chcesz, żeby twój bezcenny Czarny Dzik zawładnął Albą, to mnie przepuść!

Rozległ się śmiech. Twarz z wody wznosiła się trzy razy wyżej niż nasz środkowy maszt. Wyzwanie Rousego zabrzmiało żałościwie. Śmiech przewalał się niczym grzmot, aż musiałam zacisnąć ręce na obolałych uszach.

– TO NIE TWOJE MARZENIE, ŻEGLARZU! CZYM GOTÓW JESTEŚ ZAPŁACIĆ?

– Podaj cenę! – zawył Kwintyliusz Rouse, jego ręce przywierały do koła jak przykute. Trzymał kurs, rzucając wyzwanie wichrom. Okręt zsunął się w dolinę fali. – Podaj cenę, stary draniu! Zapłacę, ile trzeba!

Okręt wspiął się na grzbiet fali i skręcił w stronę rozdziawionej paszczy, ciemnej i bezkresnej, która otworzyła się na niebie. Ziała, wyrzucając grzmot śmiechu, by połknąć nas na zawsze.

To koniec, pomyślałam, zamykając oczy.

Nagle poczułam, że Joscelin już mnie nie osłania.

– Piosenką! – Poznałam wyteżony i przepełniony nadzieją głos. Joscelin złapał mnie za ramię i poderwał na nogi, choć statek kołysał się na szczycie wysokiej fali. – Taką, jakiej nigdy nie słyszałeś, Panie Cieśniny, na morzu! – krzyknął do wykutego z fal oblicza, które piętrzyło się ponad nami. – Zapłacimy piosenką!

– Jaką piosenką? – zapytałam go z rozpaczą. Statek położył się na burcie. Wiatr tarmosił mokrymi włosami Joscelina, który znowu mnie przytrzymał. Z tego, co widziałam, mogliśmy być jedynymi pozostałymi przy życiu śmiertelnikami. – Joscelinie! Jaką piosenką?

Wykrzyczał odpowiedź; widziałam, choć nie mogłam jej usłyszeć. Wiatr porwał słowa, rozdarł je na strzępy. Ale razem przeszliśmy tyle, ile tylko człowiek może znieść, w śnieżycy i w burzy, gdy wszystkie żywioły przysięgły się przeciwko nam. Nie musiał mówić głośno, odczytałam słowa z ruchu jego warg. “Osada Guntera”.

Ponieważ nie mieliśmy nic do stracenia, zaśpiewałam pieśń z osady Guntera: pieśń chwytającą za serce, jedną z tych, których nauczyła mnie Hedwiga i inne kobiety, pieśń o czekaniu, o tęsknocie, o przystojnym woju, który zginął młodo, o rzece krwi i smutku, o orce, siewie i żniwie, o wczesnie nadchodzącej starości i o tkaniu przy ogniu, gdy za drzwiami piętrzą się śniegi zimy.

Nie jestem Thelesis de Mornay, której głos narzuca milczenie i każe słuchać z uwagą, ale mam talent do języków, rozwinięty przez Delaunaya. Te pieśni powierzyłam pamięci, gryzmołąc nadpaloną gałązką po stole przy kominie. Były to zwyczajne pieśni skaldyjskich kobiet, na które żaden uczonej nigdy nie zwrócił uwagi. Śpiewałam je w wichurze, wydzierającej słowa z

moich ust, śpiewałam je Panu Cieśniny, którego twarz unosiła się ponad wodą, niewiarygodnie wielka i straszna.

A on słuchał. Nagle sztorm zaczął przycichać, okropne rysy roztopiły się w fałach.

Nikt dotąd nie przyniósł tych pieśni nad morze.

Śpiewałam, gdy morze się uspokajało i fale były leniwie o burty okrętu. Joscelin mnie podtrzymywał, gdy mój głos zaczął się rwać. Marynarze, którzy struchleli w obliczu rychłej zagłady, powoli wracali na pokład. Śpiewałam ochryple o rodzących się dzieciach i o jodłach zrzucających szyszki, gdy Kwintyliusz Rousse potrząsnął głową, jakby wychodząc z transu, i zawołał:

– Przyjmujesz naszą zapłatę?!

Fale zadygotały, na powierzchni wody utworzyła się twarz, tym razem dobrotliwa i zadowolona, choć równie ogromna. Jej usta mogłyby połknąć cały statek.

– TAAAAAK... – nadeszła odpowiedź, cicha i straszna. – MOŻECIE PŁYNAĆ.

Twarz zniknęła.

Sztorm przeminął z nagłością niespodziewanego ciosu. Fale wygładziły się, powiała zachodnia bryza, niebo pojaśniało; jeszcze kilka godzin dzieliło nas od zmierzchu. Głęboko zaczerpnęłam tchu, czując ból w gardle.

– Już po wszystkim? – zapytałam chrapliwie Kwintyliusza Rousse. Miałam nadzieję, że Joscelin nie przestanie mnie podtrzymywać.

– Po wszystkim – potwierdził. Wodził wzrokiem w prawo i lewo, ledwo wierząc w to, co widział. Po chwili popatrzył na mnie jakby ze strachem. – Czy Delaunay nauczył cię spełniać zachcianki Starszego Brata?

Roześmiałam się nieco histerycznie.

– Nie – szepnęłam głosem rwącym się ze zmęczenia, wspierając się na ramieniu Joscelina. – To pieśni skaldyjskich kobiet, których mężowie i bracia mogą wyciąć nas w pień.

To rzekłszy zemdlałam.

Ocknęłam się w ciemnej kajucie, kołysząc się w hamaku, który spowijał mnie jak konopna kołyska. W ciemności ledwo migotał płomyk lampy. Obok mnie na krześle drzemała znajoma postać.

– Hiacynt – szepnęłam.

Drgnął i z krzepiącym uśmiechem uniósł głowę.

– Myślałaś, że już po mnie?

– Nie byłam pewna. – Chciałam usiąść, ale szybko z tego zrezygnowałam. – Widziałam, jak co najmniej jeden marynarz wypadł za burtę.

– Straciliśmy czterech – powiedział cicho, już bez uśmiechu. – Byłoby więcej ofiar, gdyby nie Jean Markhand. Kazał nam przywiązać się linami do masztów.

– A zatem widziałeś. – Wciąż miałam chrypkę. Śpiewanie na morzu to nie przelewki.

Dostrzegłam nieznaczny ruch w cieniach. Hiacynt pokiwał głową.

– Widziałem.

– Gdzie jest Joscelin?

– Na górze. – Hiacynt ziewnął. – Chciał zobaczyć gwiazdy, żeby określić położenie. Dobrze, że przestał rzygać.

Zaśmiałam się i ucichłam. Bolało mnie gardło.

– Zawdzięczamy mu życie.

– Przecież to ty śpiewałaś. – Popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

– On mi kazał. Przypomnił sobie piosenki z osady Guntera. – Położyłam się, znowu czując zmęczenie. – Nie przypuszczałam,

że kiedykolwiek będę wdzięczna Skaldom.

– Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej – powiedział Hiacynt, przytaczając słowa Delaunaya, które mu powtórzyłam. – Nawet to. Nawet *dromonde*. – Wstał, odgarnął moje włosy i pocałował mnie w czoło. – Śpij – powiedział i zdmuchnął płomień lampy.

SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM

Następny dzień wstał spokojny i jasny, jakby chciał wynagrodzić nam straszliwy sztorm Pana Cieśniny. W nocy skręciliśmy ku północy, okrążając południowy cypel Alby, i teraz widzieliśmy w dali przymglony, zielony brzeg.

– Gdzie dobijemy? – zapytałam Kwintyliusza Rouse, stojąc z nim na pokładzie. Wiatr tarosił mój płaszcz, ale wydawał się łagodniejszy niż wczoraj, niosąc mniej szczypiącego zimna. Czulałam się znacznie lepiej i po raz tysięczny podziękowałam Błogosławionemu Elui za dar szybkiego odzyskiwania sił.

– Bardzo dobre pytanie – prychnął admirał. Twarz miał zmęczoną i wymizerowaną, spał tylko kilka godzin. Przekazał koło sternikowi dopiero wtedy, gdy ocenił, że już nic nam nie zagraża. Smagłą ręką omiótł wybrzeże. – Tam leży Alba w całej swojej krasie. A gdzie przebywa zdetronizowany cruarcha, to zupełnie inna para kaloszy.

– Myślałam, że wiesz – powiedziałam, znów pełna niepokoju. – Mówiłeś, że szukałeś go już wcześniej wśród Dalriadów.

– Wiem, gdzie leży Dalriada. – Rouse odwrócił się, żeby splunąć, ale powstrzymał się z uwagi na moją obecność. – Na półwyspie od strony Eire. Nasze źródła mówią, że tam uciekł Drustan mab Necthana. Ale to spore królestwo.

– Skąd mamy wiedzieć, czy mówią prawdę?

Rouse wzruszył ramionami.

– Delaunay tak twierdził, i Thelesis de Mornay. W jakiś sposób porozumiewali się ponad wodami z lojalistami z Alby. Z ludźmi,

których Thelesis poznała w czasie swojego wygnania. Potem wiadomości przestały napływać i oboje uznali, że to sprawka Maelcona Uzurpatora. W tym czasie dotarłem do Alby, ale nigdy nie widziałem piktyjskiego księcia.

A ja się obruszyłam, gdy powiedział, że porywamy się z motyką na słońce. Przysiadłam na pokładzie i pogrążyłam się w myślach. Na dziobie Joscelin wykonywał swoje kasjelickie ćwiczenia, jego sylwetka rysowała się na tle nieba, stal błyskała w promieniach słońca. Wyglądało na to, że przywykł do kołysania.

– Kiedy dotrzemy do królestwa Dalriadów?

– Jutro. – Kwintyliusz Rouse znowu wzruszył ramionami. – Wtedy postawimy wszystko na jedną kartę i będziemy mieć nadzieję, że zaprowadzą nas do cruarchy.

Nie byłam pewna, czy podoba mi się ten plan. Powątpiewałam w swoją znajomość języka Cruithnów – jedną rzeczą jest ćwiczyć pod kierunkiem nauczyciela, który zna ojczystą mowę ucznia, a zupełnie inną rozmawiać z rodowitymi Cruikhnamami – a poza tym nie byłam pewna, czy Dalriadowie mówią tym samym cruithne, którego się nauczyłam. Eire jest odrębną wyspą, oddaloną od Alby; jej mieszkańcy utworzyli przyczółek w Albie, ale czy będą mówić znanym mi dialektem? Starożytni uczeni nie wspominali o tym słowie, bo armie Tyberium nigdy nie dotarły tak daleko. A jeśli nie zdołam się z nimi porozumieć? Pierścień Ysandry i przyrzeczenie Drustana mab Necthana nie będą mieć dla nich znaczenia.

Rozmyślałam nad problemem, dopóki nie poukładałam sobie wszystkiego w głowie. Zawsze warto wiedzieć jak najwięcej.

– Hiacynt – powiedziałam. – Może on zdoła pomóc. Może zasięgnąć rady *dromonde* i wskazać nam, gdzie powinniśmy

dobić do brzegu.

– Wierzysz w te bajdy? – Kwintyliusz Rouse popatrzył na mnie koso, z powątpiewaniem w niebieskich oczach. – Wystarczy, że przybyliśmy jednym okrętem. Nawet Delaunay nie był taki łatwowierny, dziewczyno, chociaż szukał prawdy w najdziwniejszych miejscach.

Wspierając brodę na rękach, patrzyłam na przesuwane się fale.

– Wiem. Ale, admirale... kiedy miałam ledwie trzynaście lat, jego matka powiedziała mi *dromonde*. Przez cały czas próbowałam poznać prawdę o Delaunayu. Powiedziała mi, że pożałuję dnia, kiedy to się stanie.

– I pożałowałaś, jak sądzę – burknął szorstko, gdy nie dodałam nic więcej.

– To były dwa dni. – Fale były hipnotyzujące, niezmiennie i za każdym razem inne. – Połowę prawdy poznałam w dzień, kiedy Melisanda Szachrizaj wynajęła mnie na Najdłuższą Noc i wykorzystwała do wypłoszenia patrona twojego posłańca, który doprowadził ludzi d’Aiglemorta do Delaunaya. Dowiedziałam się także, że Delaunay był kochankiem księcia Rolanda. Resztę poznałam w dniu, w którym mój pan został zabity wraz ze wszystkimi domownikami, wraz z Alcuinem, który był dla mnie jak brat. Konający Alcuin powiedział, że Delaunay przysięgł chronić Ysandrę de la Courcel. Tak, panie, żałuję tych dni.

Kwintyliusz Rouse milczał przez chwilę, trzymając ręce na sterze.

– Tyle każdy może powiedzieć – rzekł w końcu. – Grzebanie w cudzych sekretach zawsze jest niebezpieczne.

– Owszem – zgodziłam się – ale matka Hiacynta udzieliła mi *dromonde* dwa razy. Za drugim razem powiedziała: “Nie

lekceważ Cullach Gorrym”. Wiesz, co to znaczy, panie?

Rousse znieruchomiał, potem pokręcił głową i jego rude loki zatrzepotały na wietrze.

– Ona też nie wiedziała – podjęłam. – Cullach Gorrym to Czarny Dzik w języku Cruithnów. Nie było powodu, absolutnie żadnego powodu, panie, z jakiego miałyby wyrzec te słowa albo powiązać je ze mną. – Podniosłam się i przeciągnęłam. – Czy kiedy ujrzymy brzegi Dalriady, pozwolisz Hiacyntowi przemówić?

– To były prorocstwa jego matki. – Głos Kwintyliusza Rousse wciąż brzmiał szorstko. Wiedziałam, że uwierzył, choć może nie do końca. Nikt, kto przeżył spotkanie z Panem Cieśniny, nie mógł nie wierzyć w rzeczy nadprzyrodzone. – Czy chłopak kiedyś powiedział ci prawdę?

– Mnie nie – odparłam szczerze. – Boi się zaglądać w przyszłość przyjaciół. Ale raz dał przepowiednię Melisandzie.

– Co jej powiedział? – Ręce admirała spoczywały swobodnie na kole sterowym. Wbrew sobie był zainteresowany. Wszyscy żeglarze uwielbiają słuchać dobrych opowieści, jak już się dowiedziałam. Patrzył na mnie z zaciekawieniem.

– Ten, kto ulega... – zaczęłam i nagle przeniknął mnie chłód, choć wiatr był ciepły. Objęłam się rękami. – Nie zawsze jest słaby – dokończyłam.

Odeszłam wtedy, otulając się szczelnie aksamitnym płaszczem od diuka de Morhban i czując na plecach przenikliwe spojrzenie admirała. Sceptyk mógłby powiedzieć, że to niezbyt wyrafinowane prorocstwo, ale na pewno nie jest takim dla kogoś, kto ulega. Szłam po drewnianym pokładzie, wyszorowanym do białości – Kwintyliusz Rousse nie znosił bezczynności na swoim okręcie – szukając Hiacynta. Znalazłam go, gdy próbował

szczęścia przy łowieniu ryb. Popatrzył na mnie, dosłownie puchnąc z dumy.

– Fedro, spójrz! Trzy do jednego. – Potrząsnął pękiem srebrzystych ryb, miotających się i skręcających, już schnących w suchym powietrzu. – Założyliśmy się z Remym – dodał, ruchem głowy wskazując marynarza, który stał obok z rozbawioną miną.

– Pięknie. – Rzuciłam okiem na ryby. – Hiacyncie... Gdybym poprosiła cię o zobaczenie, gdzie Długa Droga wychodzi na ląd, czy mógłbyś to zrobić?

Jego czarne oczy błysnęły złośliwie w promieniach słońca. Złapał oburącz największą rybę, wyciągnął ją w moją stronę.

– Dla ciebie, Gwiazdo Wieczorna, wszystko. Jesteś pewna, że nie chcesz spytać kasjelitę o pozwolenie? Może być zazdrosny o taką szczodrość.

Roześmiałam się, wbrew sobie.

– Zaryzykuję.

Do końca dnia i przez całą noc żeglowaliśmy w górę brzegów Alby, halsując na leniwym wietrze. Trzeci dzień wstał mglisty i cichy, unieruchamiając nas na wodzie. Nawet proporzec rodu Courcel zwisał martwo na najwyższym maszcie. Klnąc w żywy kamień, Rouse posłał ludzi do wiosł. Posuwaliśmy się nieznośnie powoli, zielone wybrzeże pojawiała się na krótko i znikało w tumanach mgły.

Kwintyliusz Rouse wezwał mnie na pokład.

– Teraz albo wcale – powiedział ponuro. – Przyrowadź cygańskiego chłopaka, Fedro nó Delaunay. Niech wskaże drogę.

Hiacynt bez cienia zwyczajnej wesołości poszedł na dziób okrętu i uniósł twarz ku mgłom, które otaczały nas jak mur. Pokręcił głową, niczym pies myśliwski szukający tropu, ślepy i głuchy, wyczuwając drogę innymi zmysłami. Marynarze

przyglądali się pilnie, uważając go za szczęściarza – później dowiedziałam się, że wielu z nich miało pecha, gdy grali z nim w kości. Kwintyliusz Rousse, mimo wszystkich wątpliwości, w napięciu wstrzymał oddech.

– Nie widzę – szepnął Hiacynt, wyciągając ręce w gęstą mgłę. – Fedro, nie mogę zobaczyć naszej drogi.

Podeszłam do niego, a inni odstąpili z pomrukiem, zostawiając nas samych. Joscelin patrzył w milczeniu.

– Możesz, Hiacyncie. Wiem, że możesz – powiedziałam, biorąc go za rękę. – To tylko mgła! Czym jest w porównaniu z zasłonami skrywającymi przyszłość?

– To *vrajna*. – Jego zimna ręka zadrżała w mojej dłoni. – Oni mieli rację, Manoj miał rację. To nie jest zajęcie dla mężczyzn.

Fale pluskały o burty, małe, nie ruszające nas z miejsca. Byliśmy unieruchomieni przez ciszę morską. Wioślarze przestali wiosłować.

– Księżę Podróżnych – powiedziałam. – Długa Droga doprowadzi nas do domu. Niech wskaże kierunek.

Znowu przebiegł go dreszcz, jego czarne oczy zmatowiały i pojawił się w nich strach.

– Nie. Nie rozumiesz. Długa Droga ciągnie się bez końca. Dla nas nie ma domu, tylko wędrówka.

– Jesteś na wpół D'Angelinem! – Mimo woli podniosłam głos i potrząsnęłam nim. – Hiacyncie! W twoich żyłach płynie krew Elui, wiążąca cię z domem, i cygańska, która wskazuje drogę. Widzisz ją, musisz! Gdzie jest Cullach Gorrym?

Pokręcił głową, a na czarnych kędziorach zaśniły kropelki wilgoci.

– Nie mogę jej zobaczyć – powtórzył z drzeniem. – To *vrajna*! Oni mieli rację. Nie powinienem był patrzeć, nigdy. Mężczyznom

nie wolno rozchyłać zasłon. Teraz mgła spowiła nas wszystkich, to kara za mój grzech.

Rozejrzałam się, stojąc z palcami wbitymi w jego ramię. Wysoko w górze biała tarcza słońca przezierała nieśmiało przez mgłę. Trzy maszty statku niknęły w szarości.

– Jeśli nie widzisz przez zasłony, spójrz ponad nimi! – zawołałam.

Hiacynt popatrzył na mnie z namysłem, potem spojrział w górę na najwyższy maszt z bocianim gniazdem zagubionym we mgle.

– Stamtąd? – zapytał ze strachem w głosie. – Chcesz, żebym spojrział stamtąd?

– Twoja prababka dała mi zagadkę – powiedziałam powoli i wyraźnie. – Co takiego zobaczyła przez kurtyny czasu Anastazja, że nauczyła swojego syna *dromonde*. Wóz zaprzężony w konia i miejsce przy ognisku kompanii czy też uwięziony we mgle okręt, wiozący pierścień dla narzeczonego królowej? Ty odpowiedz.

Przez długi czas patrzył na mnie bez słowa.

A potem zaczął się wspinać.

Przez niezliczone minuty trwaliśmy w milczeniu, patrząc w szarość, gdzie zniknął Hiacynt, wysoko nad pokładem. Statek kołysał się łagodnie, słyszeliśmy stłumiony plusk fal. Potem rozległ się krzyk, słaby i samotny.

– Tam!

Nie widzieliśmy go; równie dobrze mógł wskazywać w głębiny oceanu. Kwintyliusz Rouse zaklął, biegnąc do steru.

– Przekazać kierunek! – ryknął, podrywając marynarzy. – Ty! I ty! Ruszać się! Na wanty! Bić w bębny, niech wioślarze ustawią się plecami do wskazywanego kierunku! Płyniemy tam, gdzie wskazuje Cygan!

Nagle okręt ruszył z miejsca, ludzie biegali po pokładzie,

przenosząc rozkazy Roussego.

– Dwa rumby na lewą burzę, admirale! – zawołał marynarz wysłany na reję.

Wielki żaglowiec obrócił się powoli, rozgarniając dziobem mgłę. Daleko na dziobie płonęła latarnia, trzymana wysoko przez marynarza. Z góry napływały kolejne wskazówki i Rousse ustawiał okręt na kursie. Wreszcie latarnia zrównała się z wyciągniętą ręką Hiacynta, który stał wysoko w bocianim gnieździe, niewidoczny z pokładu.

– Tak trzymać, chłopcy! – zawołał admirał. – Do wiosła! Wiosłować!

Pod pokładem zahuczał bęben i głos Jeana Markhanta. Dwa rzędy wiosła podniosły się jednocześnie i zanurzyły w morzu. Okręt ruszył do przodu, nabierając prędkości, płynąc na ślepo przez mgłę.

Nie trzeba być marynarzem, żeby wiedzieć, jak niebezpieczne jest żeglowanie w pobliżu obcego, niewidocznego brzegu. Dołączyłam do Joscelina i razem patrzyliśmy na Kwintyliusza Rousse przy sterze. Jego przeciętą blizną twarz rozjaśniała zuchwała desperacja, gdy wykuwał swój los. Nie umiem powiedzieć, jak długo żeglowaliśmy; miałam wrażenie, że większą część dnia, choć zapewne upłynęła nie więcej niż godzina.

Z góry dobiegł następny okrzyk i admirał zakręcił kołem, zmieniając kurs. Obróciliśmy się dziobem w stronę lądu, niewidocznego przed nami... ale bliskiego. Twarz admirała spochmurniała. Zaciskał ręce na kole z taką siłą, że pobielały mu kostki palców. Po raz pierwszy tego dnia zerwał się wiatr, nagle i niespodziewanie wydymając żagle. Wioślarze podnieśli wiosła i odpoczywali po długim znoju, gdy mknęliśmy popychani

wiatrem.

Z mgieł wyszliśmy w słońce, przeglądające się w wodzie wąskiej zatoki, która wcinała się głęboko w ląd.

Marynarze krzyknęli na wiwat, głośniejszy niż wtedy, gdy pierwszy raz postawiliśmy żagle. Wysoko nad pokładem Hiacynt zaciskał ręce na relingu bocianiego gniazda, osłabiony po wysiłku *dromonde*.

Przed nami leżała kamienista plaża, a za nią zielone wzgórza, wśród których wiła się srebrzysta rzeka.

A na plaży czekało coś, co podejrzenie mocno wyglądało na komitet powitalny.

Uzbrojony po zęby.

SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

– Rzucić kotwicę! – Ryk Kwintyliusza Rouse rozdarł powietrze.

W pośpiechu zwinięto żagle, wioślarze opuścili wiosła i okręt zwolnił, gdy wiosła zburzyły wodę. Hiacynt zszedł z bocianiego gniazda i stanął na drżących nogach. Z rumorem rzucono kotwicę, wielkie ogniwa z grzechotem rozwijały się z bębna. Okręt stanął na głębokich wodach zatoki, burtą do brzegu, z proporcem rodu Courcel łopoczącym na maszcie. Kwintyliusz Rouse mrucał pod nosem, sięgając do sakiewki. Wyciągnął złotą monetę i wysokim łukiem rzucił ją za burtę. Moneta błysnęła w słońcu i z pluskiem wpadła do wody. To żeglarski przesąd; marynarze składają daninę Panu Głębiny po niebezpiecznej podróży.

Potem wszyscy ustawiliśmy się przy relingu, patrząc w stronę lądu.

Grupa była niewielka, nie więcej niż tuzin ludzi w jaskrawych wełnianych pledach. Nie ulegało wątpliwości, że wymachują mieczami, i słońce przeglądało się w stali.

– Co z tego rozumiesz? – zapytał Rouse, wyciągając rękę.

Popatrzyłam we wskazanym kierunku. Przed grupę wysunęły się dwie osoby, mniejsze od pozostałych. Wyższa, ciemnowłosa, stała nieruchomo, a niższa podskakiwała, potrząsając włócznią. Porównując długość broni z męskimi mieczami...

– Dziecko, admirale – powiedziałam. – Może dwoje dzieci.

Jego rdzawe brwi zbiegły się w marsie.

– Ty jesteś emisariuszem królowej. Co zrobimy?

Otuliłam się płaszczem, muskając pierścień Ysandry.

– Musimy się z nimi spotkać – oświadczyłam. – Weź sześciu ludzi, panie, pod bronią. Ja zabiorę Hiacynta i Joscelina.

– Będą mieć przewagę liczebną – mruknął pośepnie.

– Z naszej strony będzie to wyrazem zaufania. – Zerknęłam kpiąco na Joscelina, który z zainteresowaniem spoglądał na brzeg. Jego zarękawia lśniły, gdy opierał się o reling. – Jeśli to pułapka, panie, wszyscy twoi ludzie nie wystarczą. Jeśli nie, wcale nie będą mieć przewagi, nie wtedy, gdy po naszej stronie stanie wyszkolony kasjelita. I, panie, gdybyś mógł sięgnąć do swojej szkatuły... po niewielki dar dla Dalriadów. Królowa wynagrodzi ci stratę.

– Dobrze. – Kwintyliusz Rouse wybrał ludzi, wśród nich Remy'ego, który łowił ryby z Hiacyntem, a następnie wydał rozkazy i przekazał ster Jeanowi Markhandowi. Poszedł do swojej kajuty i wrócił ze szkatułą pełną jedwabi, klejnotów i naczynek z przyprawami. Pokiwałam głową, jakbym znała się na takich rzeczach. Potem opuszczono szalupę oraz sznurową drabinkę i nagle znalazłam się w łodzi.

Sześciu marynarzy usiadło przy wiosłach i ruszyliśmy po rozmigotanej wodzie, każde pociągnięcie wiosła przybliżało nas do brzegu, oddalając od bezpiecznego okrętu i wszystkiego co d'Angelińskie. Wysoko unosiłam głowę, starając się wyglądać tak, jakbym wiedziała, co robię.

Po przepłynięciu około trzydziestu jardów ujrzeliśmy ich wyraźniej. Mężczyźni byli wojownikami, bez dwóch zdań, jasnowłosi i rudzi, nieco podobni do Skaldów, wysocy i muskularni. Miałam rację: przed nimi podskakiwało dziecko, mały chłopiec o czerwonozłotych włosach, w złotym naszyjniku,

wykrzykujący coś w niezrozumiałym języku.

Druga osoba nie była dzieckiem.

Smukła, czarnowłosa, śniada dziewczyna stała w pewnym oddaleniu od grupy.

– Witajcie – powiedziała wyraźnie, gdy znaleźliśmy się w zasięgu słuchu. Jej melodyjny głos przydawał uroku słowu wypowiedzianemu w języku cruithne. Wyciągnęła rękę i Dalriadowie z krzykiem potrząsnęli mieczami, z potem schowali je do pochew i weszli do wody. Chwycili burty naszej łodzi i przeciągnęli nas przez płyciznę na skalisty brzeg. Chłopiec biegał w tę i z powrotem, wymachując miniaturową włócznią.

– Witajcie – powtórzyła dziewczyna. Na jej brązowych policzkach odznaczały się bliźniacze linie niebieskich kropek. Ciemne oczy uśmiechały się, gdy tak stała z wyciągniętą ręką.

D’Angelinowie siedzieli bez ruchu w szalupie, która już nie kołysała się na falach. Z lekkim drgnieniem uświadomiłam sobie, że tylko ja wiem, co powiedziała dziewczyna. Wstałam ostrożnie, żeby nie przechylić łodzi.

– Jestem Fedra nó Delaunay – powiedziałam wyraźnie w cruithne, usilnie starając się naśladować zasłyszany akcent. – Przybywam jako ambasador Ysandry de la Courcel, królowej Terre d’Ange. Szukamy Drustana mab Nethana, prawowitego cruarchy Alby.

Wojownicy krzyknęli, słysząc imię Drustana, grzechocząc mieczami i tupiąc. Chłopiec wrzasnął dziko. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego, kładąc mu ręce na ramionach.

– Jestem Moireada, jego siostra – powiedziała. – Czekaliśmy na was.

– Skąd...? – zaczęłam cicho, potem przypomniałam sobie o zaniepokojonych towarzyszach. – Nie obawiajcie się –

powiedziałam po d'Angelińsku. – Witają nas serdecznie. – Silne ręce pomogły mi wysiąść z łodzi; niemal się zatoczyłam, czując pod nogami stały ląd.

Moireada podeszła do mnie i złapała mnie za ramiona, z szerokim uśmiechem spoglądając mi w oczy. Jej oczy były szeroko rozstawione i bardzo ciemne, a niebieskie kropki na policzkach sprawiały, że odległość między nimi wydawała się jeszcze większa.

– Miałam sen – powiedziała spokojnie. – Brennan bawił się na plaży, gdy z daleka nadleciał łabędź. Brennan rzucił włócznią i trafił go w oko. Łabędź spadł na ziemię i rozebrał się z piór. Wyjął włócznię z oka i przemówił. Poszłam za Brennanem, żeby zobaczyć, gdzie potrząsał włócznią na mewy. Kiedy się dowiedziałam, przybyli ludzie Eamonna. Czekaliśmy razem. I oto jesteście.

Zadrżałam.

– Kierowałaś się snem?

Spojrzenie jej ciemnych oczu prześliznęło się po moich towarzyszach i zatrzymało na twarzy Hiacynta.

– Ty szedłeś za snem – powiedziała i smukłymi, brązowymi palcami musnęła jego policzki. – Śniący na jawie.

Hiacynt cofnął się z dziwnym wyrazem twarzy. Ludzie admirała i Dalriadowie mierzyli się wzrokiem, trzymając ręce w pobliżu broni. Brennan przekrzywił głowę i zapytał o coś Moireadę. Niemal zrozumiałam, co powiedział, niemal.

– Możemy spotkać się z twoim bratem? – zapytałam dziewczynę, rozpaczliwie pragnąc zrozumieć coś z tego spotkania.

– Oczywiście. – Odwróciła się do mnie z uśmiechem. – Ale najpierw musisz poznać Bliźnięta. Są władcami Dalriadów.

Tworzyliśmy osobliwy pochód. Dwaj ludzie admirała Rousse zostali przy łodzi; mieli popłynąć na okręt, by powiadomić pozostałych, co się wydarzyło. Wszyscy inni maszerowali wąską ścieżką przez zielone wzgórza. Dalriadowie śmiali się i pokrzykiwali, jeden wziął Brennana na barana i udawał konia. D'Angelinowie milczeli i rozglądali się z szeroko otwartymi oczami. Wyjaśniłam im sytuację najlepiej jak potrafiłam, choć sama miałam o niej nikłe pojęcie.

Stolicą królestwa Dalriadów jest wielki dwór stojący na szczycie jednego z najwyższych wzgórz. Powiedziano mi, że przypomina siedzibę Tea Muir w Eire, gdzie włada główny król tej wyspy. To na pozór zwyczajna kamienna budowla z glinianymi spojeniami, bielona wapnem, kryta strzechą, ale opis ten nie oddaje jej sprawiedliwości. Jest naprawdę ogromna, z siedmiorgiem drzwi, przez które wchodzi się wedle rangi, o czym decydują lokalne prawa.

Nam wskazano Drzwi Słońca, co było zaszczytem, choć same drzwi nie wyróżniały się niczym szczególnym. Są drugie pod względem rangi; najwyżej stoją drzwi Białej Klaczy, z których mogą korzystać wyłącznie potomkowie Tea Muir. Kazano nam czekać w sali. Moireada odesłała Brennana, wydając mu jakieś polecenie, a wojownicy Dalriadów stanęli w swobodnych pozach pod ścianami. Zza następnych drzwi dobiegały odgłosy kłótni.

– Mówisz w imieniu łabędzia – powiedziała Moireada, wyraźnie zakłopotana. – Kto wystąpi wraz z tobą?

– On – odparłam bez wahania, wskazując Kwintyliusza Rousse, który trzymał szkatułę. – On i on. – Wskazałam Joscelina i Hiacynta, którzy ukłonili się trochę nerwowo.

– To dobrze – powiedziała i odeszła. Wróciła po chwili. – Bliźnięta czekają.

Popatrzyłam na Kwintyliusza Rouse, na Joscelina i na Hiacynta, czerpiąc siłę z ich wpatrzonych we mnie oczu. Odetchnęłam głęboko i wraz z nimi poszłam za Moireada do sali tronowej władców Dalriady.

Nie wiem, czego się spodziewałam, bo wszystko rozgrywało się w zawrotnym tempie. Ale na pewno nie tego: na tronach siedziały dwie osoby, brat i siostra.

Teraz znam ich dość dobrze. Wtedy uciekłam się do tego, co umiałam robić najlepiej. Wzięłam szkatułę z rąk admirała Rouse i złożyłam ją u ich stóp, a potem uklękłam z pochyloną głową. Spod spuszczonej rzesz zobaczyłam, że Grainna patrzy na mnie przenikliwie, bawiąc się złotym naszyjnikiem i spinkami w czerwonozłotych włosach. Eamonn był bardziej podejrzliwy. Odsunął szkatułę i zapytał o coś podniesionym głosem.

– Przybyli, żeby zobaczyć się z Drustanem – powiedziała Moireada po eirańsku. Zrozumiałam słowa, wyłapując je jedno po drugim i łącząc jak koraliki nanizywane na sznurek. – Chcą, by cruarcha udzielił im posłuchania.

Eamonn ściągnął brwi, a Grainna wstała z błyskiem w szarozielonych oczach. Była wysoka i uderzająco piękna wedle tutejszych standardów; rysy miała bardziej surowe niż my, ale włosy i oczy wyglądały ładnie, a jej duże usta uśmiechały się do nas. Nosila miecz u pasa. Oceniałam, że jest niewiele starsza od Joscelina, nie miała jeszcze trzydziestu lat.

– Powiedz im, że witamy ich serdecznie – powiedziała. – I przyprowadź swojego brata.

– Pani, rozumiem, jak mi się zdaje – wydukałam, unosząc głowę i łamiąc język na po części znajomych słowach.

Spojrzała na mnie ostro, unosząc czerwonozłote brwi. Eamonn mruknął coś pod nosem; zrozumiałam tylko jedno słowo:

kłopoty. Był wysoki jak siostra, ale jego włosy miały jaśniejszy odcień, a oczy były bardziej brunatne.

A więc tak to jest, pomyślałam.

– Ślą po cruarchę – powiedziałam w ojczystym języku do swoich towarzyszy.

Najpierw go usłyszeliśmy: nierówny chód wśród innych kroków. Zapomniałam, że Drustan mab Necthana kuleje. Usłyszałam w pamięci głos Delaunaya, lekki i rozbawiony: “A Ysandra de la Courcel, kwiat królestwa, będzie uczyć gawota kulawego barbarzyńskiego księcia”.

Do sali wszedł Drustan mab Necthana, księżę Piktów, zdetronizowany cruarcha Alby.

Towarzyszyła mu starsza kobieta i dwie młodsze, zapewne matka i siostry, oraz kilku wojowników. Byli ulepieni z tej samej gliny, szczupli i smagli, co najmniej o szerokość dłoni niżsi od Bliźniąt. Delaunay nauczył mnie obserwowania, zauważyłam więc, że Dalriadowie cofnęli się, robiąc miejsce dla Piktów.

Drustan nosił znak piktyjskiego wojownika, tatuaż na czole i na policzkach, obcy i barbarzyński. Ale niebieskie linie wcale go nie szpeciły, a nawet podkreślały urodę jego ciemnych oczu. Na ramionach miał czerwony płaszcz z czesanej wełny, spięty złotą broszą.

– Ty jesteś głosem łabędzia – powiedział w cruithne, przesywając mnie wzrokiem na wylot. – Co mówi?

Gdyby się nie odezwał... Wyglądał na tyle dziwnie i strasznie, że mogłabym nie zawierzyć własnemu głosowi. Ale w jego tonie, lekko łamiącym się, pełnym nadziei i młodym, brzmiało coś, co mogło wychwycić tylko wyszkolone ucho. Podniosłam się z klęczek, zdjęłam łańcuszek z szyi i wyciągnęłam w jego stronę. Złoty sygnet Rolanda kołysał się między nami.

– Panie... – zaczęłam i podniosłam głos – Ysandra de la Courcel, królowa Terre d’Ange, uhonoruje wasze porozumienie.

Drustan mab Necthana wziął pierścień i mocno zacisnął go w dłoni. Spojrzał na matkę i swoje trzy siostry, które jednocześnie pokiwały głowami. Błysk zapłonął i zgasł w jego ciemnych oczach.

– Za jaką cenę? – zapytał szorstko.

Spojrzałam mu w oczy, osadzone w wytatuowanej na niebiesko twarzy – w oczy, które widziały stratę i zdradę, i śmierć ojca z rąk siepaczy. Przez chwilę rozumieliśmy się, ten piktyjski księżę i ja.

– Terre d’Ange jest zagrożona najazdem – rzekłam cicho. – Jeśli odzyskasz tron Alby, Pan Cieśniny pozwoli ci przepłynąć. Taka jest cena. Twoja pomoc zabezpieczy tron D’Angelinów. Taka jest cena za poślubienie królowej Terre d’Ange, panie.

Drustan popatrzył na Bliźnięta.

Władcy Dalriadów poruszyli się na tronach. Grainna pochyliła się w naszą stronę, a Eamonn odchylił do tyłu, nie patrząc cruarsze w oczy.

– Co powiecie, bracia? – zapytał Drustan w cruithne. Jego ciemne oczy rozbłysły. – Czekales na znak, Eamonie. Oto on. Podnieśmy miecz, Alba skupi się u naszego boku. Ludzie Maelcona uciekną przed nami, a Pan Cieśniny nas nagrodzi, wyglądając wodę jak kobierzec. Co powiecie?

– Ja powiem... – Grainna nabrała powietrza w płuca.

– Nie. – Eamonn wszedł jej w słowo, mówiąc w cruithne. Nerwowo szarpnął naszyjnik. – Nie. – Pokręcił głową, uparty jak osioł. – Ryzyko jest zbyt wielkie, a zyski zbyt małe. Czy sprowadzili wojsko? Czy przynieśli miecze? – Otworzył szkatułę, pokazując migoczącą i nieszkodliwą zawartość, pachnącą

przyprawami. Grainna zamruczała z zachwytem, wyciągając sztukę zielono-złotego jedwabiu. – Nie! – Eamonn odsunął skrzynię i zatrzasnął wieko niemal na dłoni siostry. – Piękne słowa i błyskotki!

– Dagda Mor! – warknęła Grainna z błyskiem w oczach. – Jesteś tchórzem i głupcem! Mówię...

– Mów, co chcesz! – wybuchnął, przechodząc na eirariski. – O ile oboje tego nie powiemy, Dalriadowie nigdzie nie pójda! Mamy dość kłopotów z utrzymaniem tego skrawka ziemi!

Nie mogłam się łudzić, że źle zrozumiałam; dość dobrze nadażalam za rozmową, przenosząc spojrzenie z brata na siostrę. Rouse, Joscelin i Hiacynt patrzyli z konsternacją na kłócące się Bliźnięta.

– Eamonn – Drustan podniósł głos, uciszając oboje. – Masz tę ziemię, ponieważ mój ojciec postanowił uszanować starą obietnicę daną Dalriadom przez Cinhtla Ru. Lud Cullach Gorrym nie wystąpi przeciwko mnie. Poprze mnie wielu Tarbh Cró, nawet jeśli Maelcon rozkaże Czerwonemu Bykowi ruszyć na wojnę. Ale pomyśl, co będzie z twoimi dziećmi i dziećmi twoich dzieci?

– Będą uważać swojego ojca i dziada za tchórza! – rzuciła Grainne zapalczywie. – Jeśli nie...

– Dość! – Eamonn wrzasnął na siostrę, chwytając się za głowę. Popatrzył wściekle na Drustana. – Myślisz, panie, że Albijczycy skupią się pod sztandarem kaleki?

Wojownicy Cruithne zamruczeli groźnie, a jedna z sióstr Drustana głośno wciągnęła powietrze. Matka lekko dotknęła jej ramienia, nakazując ciszę. Drustan mab Necthana roześmiał się, pokazując silne białe zęby, i rozłożył ręce. Poły czerwonego płaszcza rozchyliły się, odsłaniając misterne wiry niebieskiego

tatażu na nagim torsie i ramionach.

– Jak myślisz, bracie? Już kiedyś to zrobili. Na końskim grzbiecie mam cztery nogi. To wystarczy.

Do tej chwili zwalczałam pokusę, ale teraz nie mogłam się powstrzymać od spojrzenia na jego zdeformowaną nogę. Nosił wysokie buty z miękkiej skóry, by ją chronić albo ukryć kalectwo, lecz każdy mógł zobaczyć, iż prawa stopa była wykręcona w taki sposób, że podeszwa nie opierała się na ziemi. Mimo to prawa noga wyglądała równie krzepko jak lewa, gruba od pęczniejących mięśni.

– Chcesz zmierzyć się ze mną na miecze i przekonać się, czy dam sobie radę? – zapytał Drustan cicho, a Eamonn odwrócił wzrok. – Wtedy będziesz miał odpowiedź na swoje pytanie, bracie.

Szybko przetłumaczyłam rozmowę swoim towarzyszom i podsumowałam to, co z niej wynikało. Kwintyliusz Rousse zrobił strapioną minę. Joscelin spojrzał na Eamonna.

– Ja chętnie się z nim zmierzę – mruknął z wcale niekasjelickim gniewem. – Zobaczymy, jak spodobają mu się moje błyskotki.

Tymczasem w sali wybuchł gwar, Cruithnowie i Dalriadowie popychali się i kłócili. Grainna wrzeszczała na jednego z Piktów, z wysuniętym do połowy mieczem. Uzbrojona kobieta stanowiła dla mnie dziwny widok, ale nie była jedyną wśród swojego ludu, choć później dowiedziałam się, że tylko najsilniejsze nosiły broń. Również u Piktów nie brakowało wojowniczek, aczkolwiek Necthana i jej córki nie jeździły na bitwy. W obecnej chwili tylko one zachowały spokój, przyglądając się rozgardiaszowi czterema parami identycznych, szeroko rozstawionych ciemnych oczu.

Eamonn z krzykiem poderwał się z tronu. Zamieszanie

ucichło, gdy wyklócał się z siostrą. W końcu wyrzucił ręce do góry.

– Nie wolno podejmować ważnych decyzji na podstawie chwilowego kaprysu – oznajmił w cruithne, mając mnie na względzie. – Przyjmujemy ciebie i twoje dary z wdzięcznością, Fedro z Terre d’Ange. Dziś wieczorem wydamy ucztę na waszą cześć, a jutro znów porozmawiamy. Czy zgadzasz się, książę?

Drustan skłonił głowę, ale odpowiedziała jego matka.

– Mądrze powiedziane, Eamonnie – rzekła głosem niższym i jeszcze bardziej melodyjnym niż ten, jakim mówiła jej córka.

– Och, gadać to on potrafi – parsknęła Grainna z pogardą, podrywając rudą głowę. – Gada, gada i gada, aż ludzie zakrywają uszy i błagają o ciszę!

Necthana wykrzywiła usta, powstrzymując się od uśmiechu.

– To niewątpliwie wielki dar, dziecko. Ale mamy gości, których należy podjąć. Bez wątpienia są znużeni po podróży. Nie zaproponujesz im odpoczynku i poczęstunku?

– Och, na Dagdę! – Grainna popatrzyła na nas z konsternacją i zaciekawieniem. – Tak, oczywiście. – Klaszcząc w ręce, wezwała służbę.

Eamonn okręcił się płaszczem i wyszedł, uosobienie obrażonej godności, zabierając ze sobą Dalriadów. Książę Drustan przywołał swoich Cruithnów, mówiąc coś do nich po cichu. Niewiele zrozumiałam; chyba nakłaniał ich do rozgłoszenia wśród Dalriadów wieści o wspaniałej bitwie.

– Nie obawiaj się. – Za moimi plecami rozbrzmiał cichy, śpiewny głos. Obejrzałam się i zobaczyłam uśmiechniętą Necthanę z córkami. – Bliźnięta są jak niedobrana para koni.– Necthana ruchem głowy wskazała Grainnę. – Ona rwie się do przodu, a on staje dęba. Ale gdy znajdzie się pomiędzy nimi

punkt równowagi, pociągną mocno i równo.

– Jak to zrobić? – zapytałam błagalnie.

Ale ona tylko dotknęła mojego czoła, z uśmiechem patrząc mi w oczy.

– Znajdziesz sposób. Dlatego zostałam wybrana.

Odwróciła się i dostojnym krokiem opuściła salę. Popatrzyłam na swoich towarzyszy i wzruszyłam ramionami.

– Wydaje się, że musimy znaleźć sposób na zrównoważenie Bliźniąt – powiedziałam cierpko. – Jeśli ktoś ma jakiś pomysł, chętnie wysłucham.

SIEDEMDZIESIĄT

Dzieliłam pokój z Breidaią, najstarszą siostrą Drustana, która zgodnie z tradycją Cruithnów miała być matką jego następców. Nawet gdyby Drustan poślubił Ysandrę, jej dzieci nigdy nie zasiadłyby na tronie Alby. Byłyby dziedzicami tronu D'Angelinów, pół-piktyjskimi potomkami Elui, wychowanymi w rodzinie Courcel. Przyznam, że dla kogoś urodzonego i wychowanego w Terre d'Ange była to myśl niepokojąca.

– Jesteśmy najstarszymi dziećmi Ziemi w tym kraju – oznajmiła Breidaią, jakby odczytała moje myśli. Kazała służącej spulchnić poduszki i uśmiechnęła się do mnie pogodnie. – Wiele tysięcy lat przed Jezusą, który wykrwawił się na drewnianej szubienicy, przed Magdaleną, która wylała nad nim łzy, przed Eluą, który zstąpił na ziemię, my przybyliśmy do Alby. Jesteśmy ludem Cullach Gorrym, który podążył za Czarnym Dzikim na zachód, zanim D'Angelinowie nauczyli się rachować czas na palcach. Kiedy przybyli inni, wysocy i jasnowłosi, Fhalair Ba'n, Biały Koń z Eire, Tarbh Cró z północy, Eidlach Ór z południa, my już tu mieszkaliśmy.

Dalriadowie byli ludem Białego Konia, a Maelcon Uzurpator należał do Czerwonego Byka. O Eidlach Ór, Złotej Łani, nic nie wiedziałam.

– Czy pójdą za Drustanem? – zapytałam.

– Jeśli Cullach Gorrym zechce – odparła krótko.

To nie podniosło mnie na duchu.

Breidaia popatrzyła na mnie spokojnie.

– Będzie, jak ma być. Nie martw się.

Rada była dobra, ale wiedziałam zbyt dużo, żeby uspokoiły mnie słowa dziewczyny niewiele starszej ode mnie, o ile nie młodszej.

Widziałam diuka Izydora d’Aiglemort jadącego w triumfie ze Sprzymierzeńcami z Kamlachu i aż za dobrze znałam niebezpiecznego, inteligentnego Waldemara Seliga, który mógł zwołać dziesiątki tysięcy Wojowników i który miał na półkach książki najwybitniejszych strategów wojennych. Minął długi czas, odkąd Cinhil Ru zjednoczył Cruithttów, żeby poprowadzić ich przeciwko armiom Tyberium. Para swarliwych bliźnięt, wytatuowany książę i czereda niezdyscyplinowanych wojowników nie budziły mojego zaufania. Są jak dzieci, pomyślałam, które sądzą, że znają niebezpieczeństwo, dopóki nie staną z nim twarzą w twarz.

Potem wspomniałam sen Moiready i opadły mnie wątpliwości.

– Chodź. – Breidaia przekrzywiła głowę, nasłuchując. – Przygotowują się do uczy. Dołączymy do nich?

W takim oto nastroju szłam z Breidaią do sali władców Dalriady: zdesperowana i pełna brawury, jak Kwintyliusz Rouse za kołem sterowym, gdy płynął przez mgłę ku nieznanym brzegom.

Bliźnięta nie zgadzały się co do polityki, ale były jednomyślne w kwestii gościnności. Gdy wypoczywaliśmy, na ląd ściągnęła połowa załogi okrętu. W sali było pełno gości, D’Angelinów, Dalriadów i Cruithnów, świętujących hałaśliwie. D’Angelinowie wyglądali dziwnie w tym morzu obcoplemieńców, ich rzeźbione rysy wyróżniały się niczym klejnoty wśród polnych kamieni.

Radzili sobie całkiem nieźle; żeglarze są gadatliwi z natury i bardziej niż kto inny przyzwyczajeni do przełamywania bariery,

jaką stanowi nieznajomość języka. Podjedliśmy porządnie, bo Alba jest urodzajną krainą, a Dalriadowie chętnie się chwalili jej bogactwem. Strawa była prosta jak na d'Angelińskie podniebienia, ale obfita i urozmaicona: dziczyzna i ryby, wiosenne warzywa, zaskakująco słodki twaróg, krupnik i cierpkie wino. Wyspiarze znają też trunek zwany *uisghi*, który z początku okropnie pali w gardło, ale przy drugim łyku jest aksamitnie gładki, pachnący torfem i ziołami.

W miarę upływu godzin *uisghi* lała się coraz obfitszym strumieniem, a dalriadzcy bardowie zabawiali nas długimi poematami, które tłumaczyłam dla swoich towarzyszy. Dalriadowie są wielkimi gadułami; teraz lepiej rozumiałam docinek Grainny pod adresem brata. Kwintyliusz Rouse, zaczerwieniony od wypitego trunku, zrewanżował się żeglarską pieśnią D'Angelinów, którą przetłumaczyłam z rumieńcem zakłopotania. Jeśli przedtem miałam jakieś wątpliwości, to straciłam je w trakcie występu admirała: ani Dalriadowie, ani Cruithnowie nie znają wstydu w tych sprawach. Klaskali w ręce i zdzierali sobie gardła, podchwytyjąc sprośny refren.

Zachowaniem trochę przypominali Skaldów, ale tutaj obowiązywały inne prawa. Kobiety śmiałością dorównywały mężczyznom i z nieskrywanym zainteresowaniem mierzyły wzrokiem d'Angelińskich marynarzy. Wiele z nich wyszło, zanim noc dobiegła końca, a roześmiani ludzie admirała skwapliwie pospieszyli za nimi, przynajmniej ci gustujący w kobiecych wdziękach. D'Angelina czy Dalriadka, to nie miało dla nich znaczenia, bo długi czas spędzili w Kuszecie, zdani tylko i wyłącznie na własne towarzystwo.

Kiedy Rouse skończył śpiewać, jeden z wodzów Eamonna, Carraig, wojownik znacznie wyższy od innych, na wpół żartem

rzucił wyzwanie Joscelinowi. Ze śmiechem szturchnął jego zarękawia i pokazał na migi, o co mu chodzi, a potem zrobił miejsce na środku sali, wyciągnął miecz i potrząsnął nim buńczucznie.

Bliźnięta krzyknęły na znak aprobaty, popijając *uisghi*; Dalriadowie i D'Angelinowie zagrzewali do walki. Cruithnowie mieli rozbawione miny. Joscelin z godną podziwu powściągliwością popatrzył na mnie, pytająco unosząc brwi.

Nie wiadomo dlaczego, spojrzałam na Drustana mab Necthana.

Jak wcześniej, połączyła nas nić zrozumienia. Wyczytałam pytanie w jego ciemnych oczach, dziwnie poważnych w pokrytej niebieskimi rysunkami twarzy. Czy twój człowiek wygra? Skinęłam głową, ledwo dostrzegalnie. On leciutko wzruszył ramionami, gestem jednej ręki zalecając ostrożność. Wstałam i zwróciłam się do Bliźniąt:

– Pani, panie, przekonajmy się zatem, jaki rodzaj miecza przynieśli D'Angelinowie – powiedziałam potoczyście, bo *uisghi* rozwiązała mi język. – Ale krew nie może zostać przelana, bo splami naszą misję! Niech ten, który zostanie rozbrojony, podda się z honorem!

Krzyknęli radośnie, godząc się na warunki. Joscelin podniósł się płynnym ruchem i uklonił, krzyżując ramiona. Kwintyliusz Rousse podszedł do mnie chwiejnym krokiem.

– Myślałem, że kasjelici walczą tylko w obronie – powiedział trochę bełkotliwie.

Wzruszyłam ramionami.

– Prefekt Bractwa Kasjelitów wyrzekł się go. Joscelin zaprzysiągł swój miecz Ysandrze.

– Aha. – Oczy mu rozbłysły, gdy rozpoczęła się walka.

Carraig z rykiem poderwał miecz nad głowę i runął na przeciwnika, wysoki jak góra. Sztylety Joscelina wyskoczyły z pochew, skrzyżowane rękojeści pochwyciły i odbiły opadającą głownię. Biesiadnicy wybuchli śmiechem, gdy okręcił się z wdziękiem, a Carraig zachwiał się, zbierając do następnej szarży. Zadźwiężała stal; miecz ześliznął się po zarękawiu. Joscelin przesunął się w bok, płynnie jak woda, zmieniając chwyt na sztyletach. Ruchem tak szybkim, że oko za nim nie nadążyło, uderzył rękojeścią jednego sztyletu w prawicę Carraiga, jednocześnie nogą podcinając mu kolana.

Carraig runął z łoskotem, wypuszczając miecz ze zdrętwiałej garści. Zanim się spostrzegł, że leży na podłodze, skrzyżowane sztylety Joscelina spoczęły na jego gardle. Wojownik Eamonna zniósł porażkę z większą godnością niż się spodziewałam. Kiedy Joscelin uklonił się i schował sztylety, Carraig podniósł się i z rykiem zamknął go w potężnym uścisku, poklepując po plecach.

– Przynajmniej tym zrobiliśmy na nich wrażenie. – Hiacynt stanął obok mnie z krzywym uśmiechem na twarzy, z czarnymi oczami błyszczącymi od wypitej *uisghi*. W jego tonie nie było cienia zazdrości i bez większego trudu poznałam przyczynę. U jego boku stała Moireada, spokojna i uśmiechnięta. Śniący na jawie, w istocie. Córki Necthany uznały, że jest interesujący. Kołysał się lekko, patrząc na mnie tak, jakby się zastanawiał, czy każe mu zostać, czy pozwolę odejść – i jakby nie był pewny, co sam woli.

– Przynajmniej tym. – Poglądziłam go po głowie. Ja też za dużo wypięłam, a może za mało, żeby rozmówić się z nim szczerze. – Idź, dokąd chcesz, Książę Podróżnych – powiedziałam z prawie nie nadwątloną godnością, przynajmniej taką miałam nadzieję. – Jestem tu w sprawach królowej.

Oczy mu zalśniły. Ukłonił się i odszedł z Moireada.

Obejrzałam się. Joscelin rozsiadł się wśród Dalriadów, wcale nie speszony ich pochwałami. Ze śmiechem szukał słów, próbując wytłumaczyć, na czym polega kasjelicka dyscyplina. Kwintyliusz Rouse zniknął. Jego miejsce zajmowało trzech młodych Dalriadów, którzy kołysali się pijacko i jeden przez drugiego częstowali mnie *uisghi*.

Tym, którzy jeszcze nigdy nie występowali w roli królewskiego ambasadora, nie poskąpię rady: wystrzegajcie się obcych trunków.

Na nieszczęście wtedy o tym nie wiedziałam.

Jedne wydarzenia tej nocy uciekły mi z pamięci, inne, niestety, pozostały. Pamiętam, jak Eamonn wdał się w bójkę, a potem rozepchnął swoich ludzi, żeby zaproponować mi miejsce, kubek *uisghi* i coś jeszcze. Pamiętam, jak Grainna wyklócała się z nim, z rudymi włosami okrywającymi ramiona niczym płaszcz, z oczami skrzącymi się z rozbawienia. Sprzeczali się jak dzieci, to dobrze pamiętam.

Sprzeczali się o mnie.

W pewnej chwili musiałam coś powiedzieć, nie wiem dokładnie co, ale przystałam na propozycję jednego z nich. To stało się powodem kłótni, choć szczerze mówiąc ci dwoje potrafili kłócić się bez powodu.

– Każdy jest ładniejszy od ciebie, Eamonnie – powiedziała ze śmiechem Grainna. – Dla odmiany ja powinnam się dowiedzieć, jak to jest. Czy nie tak robią D’Angelinowie? – Popatrzyła na mnie pytająco; zapewne przytaknęłam. Ostatecznie powiedziała prawdę. Eamonn kwaśno wycedził coś, czego nie pamiętam, a Grainna spojrzała na niego szyderczo. – Tak czy siak, wybór należy do gościa.

Tak oto dokonałam wyboru.

Rankiem zbudziłam się z pękającą głową.

– Czy wszyscy D’Angelinowie są tacy? Nauczeni tak robić?

Słowa zostały wypowiedziane w eirańskim dialekcie, którego zrozumienie w nocy nie sprawiało mi najmniejszych problemów. Teraz z trudem rozgryzałam ich znaczenie, próbując wygramolić się ze skotłowanej pościeli, żeby spojrzeć w twarz jednemu z władców Dalriardy, już ubranemu i zupełnie przytomnemu.

– Nie, pani – odparłam w cruithne, odgarniając włosy z twarzy. Napotkałam zaciekawione spojrzenie Grainny. – Niezupełnie.

– Szkoda – powiedziała łagodnie, sznurując suknię.

Niewielka osóbka wpadła do pokoju i wskoczyła na łóżko, chowając się w pościeli. Był to Brennan, jej syn, jak się domyśliłam. Skrzywiłam się, czując łupanie w głowie.

– Zachowuj się cicho – powiedziała Grainna wyrozumiale. Usiadła na brzegu łóżka, potargała rudą czuprynę chłopczyka i popatrzyła na mnie z uśmiechem. – Nie byłam pewna, czy mi się podobało, gdy zdałam sobie sprawę, że ktoś jest w tym lepszy ode mnie. Przypomniałaś mi jednak, że pewne rzeczy lepiej robić powoli, nie w pośpiechu. Tak składacie hołd tym, w których płynie królewska krew?

Roześmiałabym się, gdyby tak bardzo nie bolała mnie głowa. Brennan uwolnił się z rąk matki i usadowił za moimi plecami, jego drobne paluszki przesunęły się z dziecięcą ciekawością po mojej marce.

– Nie, pani – odparłam, przyciskając palce do skroni. – Tylko ja tak robię. – Ze smutkiem pomyślałam o nocy, o kolejnym klinie, który wbiłam pomiędzy kłócące się Bliźnięta. – Nie nadaję się do dyplomacji. Powiedziałam to królowej.

– Biegle władasz językiem. – Kącik ust Grainny podniósł się w uśmiechu. Wstała i przejrzała się w niewielkim lustrze, wsuwając nabijaną klejnotami spinkę we wspaniałe włosy.– W każdym razie, dam ci klucz do Eamonna.

– Pani? – Dotyk rączek dziecka odwracał moją uwagę od bólu głowy ale i tak nie zrozumiałam znaczenia jej słów.

– Eamonn nie znosi, gdy ja mam coś, czego brakuje jemu – wyjaśniła z zadowoleniem. – Koń, miecz, broszka... cokolwiek by to było, Eamonn musi to mieć, takie samo albo lepsze.

– Mówisz, że pójdzie na wojnę dla mnie?

Jej spojrzenie było uprzejmie protekcyjne.

– Prędzej byk Macha da mleko, niż Eamonn podejmie decyzję na tak albo na nie. Dla ciebie samej... nie. Ale odmówienie mu tego, co ja miałam, doprowadzi go do wściekłości. To klucz, Fedro nó Delaunay.– Starannie, powoli wymówiła moje nazwisko i uśmiechnęła się. – Aczkolwiek trzeba przyznać, że prawie warta jesteś wojny.

Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami, przeciągając rękami przez włosy. Miałam na szyi diament Melisandy, moją jedyną ozdobę.

– Dlatego to zrobiłaś? – zapytałam.

– Nie. – Grainna z uśmiechem klasnęła w dłonie i przywołała Brennana. Chłopiec objął ją i wyszczerzył zęby. – Zrobiłam to dla siebie. – Potargała mu włosy i popatrzyła na mnie z namysłem. – Myślisz, że kapitan waszego okręgu płodzi silnych synów i córki?

– Kwintyliusz Rousse? – Roześmiałam się i zaraz potem spoważniałam. – Tak, pani, tak sędzę.

– Dobrze. – Szarozielone oczy zaśniły w słońcu. – Jutro być może umrzemy, więc dzisiaj lepiej żyć. I o niektórych rzeczach lepiej jest decydować w pośpiechu. Może choć tyle zdołasz

nauczyć mojego brata.

“Gdy znajdzie się punkt równowagi pomiędzy nimi...”.

– Zdaje się, że będę musiała spróbować – powiedziałam.

SIEDEMDZIESIĄT JEDEN

Na szczęście nie tylko ja cierpiałam z powodu zbyt dużej ilości wypitej *uisghi*. D'Angelinowie mieli zaczerwienione oczy, wielu Dalriadów też nie wyglądało najlepiej. Nie wszyscy, jak się wydawało, mieli głowy mocne jak Grainna. Nawet paru Cruithnów zdradzało oznaki przepicia, choć Drustan do nich nie należał.

Ale żaden nie musiał stawiać czoła dezaprobachie Joscelina Verreuil.

– To wstyd – wysyczał, gdy usiedliśmy do śniadania. – Czy myślisz, że każdą sprawę można załatwić przez łóżko? Czy myślisz, że dlatego zostałam wybrana przez Ysandrę de la Courcel?

– Wybacz – wymamrotałam, opierając głowę na rękach. – Ty umiesz władać mieczem i w ten sposób załatwiasz sprawy. Tak czy siak, być może do niczego by nie doszło, gdybyś mnie nie zostawił. Może sam powinienes tego spróbować. Mogłoby poprawić ci humor.

– Nigdy... – zaczął ponuro.

Popatrzyłam na niego.

– To było co innego – powiedział cicho.

– Tak. Było. – Pomasowałam obolałe skronie. – Oto, czym się kończy wysyłanie sługi Naamy w misji dyplomatycznej i raczenie jej mocnymi trunkami.

Joscelin zaczerpnął tchu, żeby coś powiedzieć, potem przyjrzał mi się uważnie. Naprawdę musiałam być w opłakanym stanie, bo

policzki mu zadrżały, jakby hamował śmiech.

– Przynajmniej miałaś wybór. Tak słyszałem.

– Wybrałam, w istocie.

Popatrzył na Grainnę, śmiejącą się u szczytu stołu. Jadła z apetytem, rwąc kawałki chleba z bochenka.

– Nie brakuje jej barbarzyńskiego uroku.

Roześmiałam się i ucichłam. Bolała mnie głowa.

Do południa doszłam do siebie na tyle, żeby przyjąć zaproszenie Drustana na wycieczkę do dalriadzkiej osady Innisclan. Pojechaliśmy konno, piktyjski książę, czterech jego Cruithnów, Joscelin i ja. Drustan pokazał nam gospodarstwa, kuźnię i młyn, wielkie stada bydła szczypiące jasnozieloną wiosenną trawę.

Sceneria była sielska, ale wilgotne ciepło w powietrzu mroziło mi krew. Czas uciekał, każdy dzień przybliżał nadejście lata i wojny.

– Gdzie leży twój dom, panie? – zapytałam Drustana.

– Tam. – Obrócił konia i bezbłędnie wskazał ku południowemu wschodowi. Jak wszyscy uchodźcy, nosił w sobie mapę, na której była zaznaczona droga do domu. – Bryn Gorrydum, gdzie Mealcom zasiada na moim tronie. – Obnażył białe zęby w dzikim grymasie, przerażającym w tatuowanej na niebiesko twarzy. – Przybiję jego głowę nad moimi drzwiami!

Eluo dopomóż, mogłam tylko się modlić, żeby tak się stało.

– Eamonn ustąpi? – zapytałam.

Drustan pokręcił głową.

– Nie ma bardziej zagorzałego wojownika niż on, ale nie rzuci się na oślep w niebezpieczeństwo. Gdyby Maelcon przyszedł po mnie, Eamonn walczyłby do ostatniego tchu. W jego naturze leży obrona, nie atak.

– Jeśli Grainna wypowie się przeciwko niemu, czy Dalriadowie jej posłuchają?

Popatrzył na mnie w zamyśleniu.

– Niektórzy tak, na pewno. Umiejętności twojego wojownika rozgrzały im serca. – Wskazał głową na Joscelina, który uśmiechnął się uprzejmie, nie rozumiejąc jego słów. – Ale Grainna tego nie robi. Jest śmiała jak orzeł, lecz nawet ona nie przetnie łączącej ich więzi. – Wspierając rękę z wodzami na łąku siodła, popatrzył na wschód, w stronę domu i dalej, ku odległym brzegom Terre d’Ange. Głos mu się zmienił. – Kiedyś marzyłem o więzi. Dwa królestwa, jedno obok drugiego, związane luźnym i dobrowolnym przymierzem. Dwa trony związane jedwabną nicią miłości, a nie łańcuchami potrzeby. – Uśmiechnął się lekko. – Tak sobie powiedzieliśmy, ja w kiepskim caerdicci, którego nie zaprezentuję nawet tobie, a ona w niewiele lepszym cruithne. Ale rozumieliśmy się wzajemnie. O tym marzyliśmy, Ysandra de la Courcel i ja. Czy nie zmieniła zdania?

Myszę, że nie zrozumiałam, co powiedziała mi Ysandra; mówiła wymijająco, kryjąc prawdziwy sens pod słowami dotyczącymi polityki. Zrozumiałam dopiero wtedy. Ona go kochała, z całym przekornym żarem szesnastoletniej dziewczyny, którą była, kiedy się poznali.

A on czuł to samo.

– Nie, panie – odparłam szeptem. – Nie zmieniła.

Jego ciemne oczy spojrzały w moją twarz. Najstarsze dzieci Ziemi, powiedziała jego siostra. Może ostatecznie nie był taką złą partią dla królowej Terre d’Ange.

– Zaczekam tydzień na decyzję Eamonna – rzekł spokojnie Drustan mab Necthana. – Potem, jeśli jego serce się nie odmieni, odejdę i zabiorę sztandar Cullach Gorrym, by pomaszerować na

Bryn Gorrydum. Są tacy, którzy podążą za mną, choć bez Dalriadów nie będzie ich wielu. Ty wsiądziesz na swój okręt i wrócisz do Terre d'Ange. Powiesz Ysandrze, że jeśli przeżyję, przybędę.

Nie było nic więcej do powiedzenia; pochyliłam głowę w ukłonie. Drustan zawrócił konie, zawołał na swoich ludzi i ruszyliśmy do Innisclan. W trakcie jazdy powtórzyłam naszą rozmowę Joscelinowi.

– Zamierzam zrobić coś innego – powiedziałam – co ci się nie spodoba. Po prostu pogódź się z tym i trzymaj język za zębami. Przysięgam na imię Delaunaya, że proszę o to nie bez powodu.

Przez trzy dni spotykaliśmy się i rozmawialiśmy. Wieści o naszym przybyciu rozeszły się po Dalriadzie i panowie klanów napływali codziennie do Innisclan, aż dwór zaczął pękać w szwach. Byli wysocy i dzicy, co do jednego, w kolorowych wełnianych strojach i pięknych ozdobach ze złota, którymi się szczylicili. Niektórzy przybywali jak na wojnę, z włosami usztywnionymi wapnem w sterczące grzebienie; Rouse wspominał o takich fryzurach, ale wtedy pierwszy raz zobaczyłam je na własne oczy.

Ale to Bliźnięta rządziły Dalriadą i to one decydowały o wojnie. A Eamonn był jej przeciwny, i to nie sam, bo wśród Dalriadów nie brakowało takich, którzy nie mieli zamiaru walczyć dla sprawy Cruithnów.

– Z motyką na słońce – skomentował ponuro Kwintyliusz Rouse, przyglądając się rokowaniom. – Wrócimy z pustymi rękami.

Tego dnia przemawiałam tak długo, że zaschło mi w ustach, a d'Angelińskie i cruithne słowa kłębiły się w mojej głowie, splątane jak węże w gnieździe. Eamonn słuchał i patrzył na mnie

palącym wzrokiem, nie dbając o to, co mówię. Nie jestem oratorem, by słowami porywać serca ludzi. Moje umiejętności polegają na czymś innym.

– Mamy jeszcze cztery dni. – Przycisnęłam rękę do oczu, walcząc z wyczerpaniem. Trzy dni grzecznego ignorowania niezbyt subtelnych zabiegów Eamonna, trzy dni udawania, że niczego nie zauważam. Innych propozycji nie mogłabym nawet zliczyć. Opuściłam rękę i uśmiechnęłam się do admirała. – Tak ci spieszno opuścić łóżko pani Grainny?

Zarumienił się mocno i wymamrotał:

– Chce mieć dziecko.

– Wiem. Uważa, że jesteś dobrym materiałem na ojca. Jest bardzo bezpośrednia w wyrażaniu swoich pragnień. – Szczerze mówiąc, byli dość dobrze dobrani, ale tego mu nie powiedziałam.

– Sibeala miała sen – oznajmił Hiacynt. Mówił o średniej córce Necthany. – Widziała ciebie, Fedro. Trzymałaś wagę z przechylnymi szalami.

– Zrozumiałeś? – Uniosłam brew. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Uczą mnie cruithne, a ja opowiadam im o *dromonde*. Ty jesteś stale zajęta sprawami królowej.

– Tak, dobrze, powiedz swoim śniącym, że waga jeszcze nie jest gotowa do wyrównania szal – powiedziałam kpiąco. – Czy ciebie również widzą w swoich snach, Książę Podróżnych?

Hiacynt pokręcił głową, robiąc niezadowoloną minę.

– Tylko jedna. Breidaia śniła, że jestem na jakiejś wyspie, i zapytała, czy tam się urodziłem. Nic więcej.

– Trochę dziwne – powiedziałam i zapomniałam o wszystkim w następnej chwili, bo Drustan poprosił mnie, żebym opowiedziała zainteresowanemu naczelnikowi dalriadzkich

klanów o chwale płynącej z przymierza z D'Angelinami. Wykonaliśmy dobrą robotę, skromnie mówiąc. Gdy szłam przez salę, czułam na plecach spojrzenie Eamonna. Tak było stale, odkąd zagościłam w łóżu jego siostry.

Ale Hiacyntowi powiedziałam prawdę. Nie byłam dyplomata, niemniej jednak umiałam ocenić klienta. W przeciwieństwie do swojej żywiołowej siostry, Eamonn działał powoli, ostrożnie i z rozważą. Pierwszej nocy spróbował szczęścia i przegrał, a teraz stale miał się na baczności. A ja chciałam, żeby wpadł w desperację.

Minęły cztery dni, a potem piąty. Grainna i Eamonn przekrzykiwali się, popierani przez swoich popleczników. Widziałam pierwszy zatarg pomiędzy Dalriadami i Cruithnami, kiedy jeden z ludzi Drustana został napadnięty przez trzech niedawno przybyłych Dalriadów. Zobaczyłam wtedy, dlaczego Eamonn nie chciał zmierzyć się na miecze z Drustanem. Wojownik Cruithne, choć mniejszy i sam przeciwko trzem, walczył z nie znaną mi dotąd zażartością. Nie ustąpił pola, dopóki nie przykuśtykał wściekły Drustan i gołymi rękami nie odepchnął mieczy Dalriadów.

Mogliby go wtedy zabić, lecz nie zrobili tego. Ze strachem i szacunkiem patrzyli na jego tatuaże, na czerwony płaszcz oraz złoty naszyjnik przysługujący z urodzenia cruarsze Alby.

– Powiedz im jutro – poradziłam mu, kiedy Dalriadowie przeprosili za bójkę i odeszli. – Nie na radzie, ale potem, kiedy będą ucztować w sali. Powiedz im, co postanowiłeś.

Popatrzył na mnie i pokiwał głową.

– Zrobię, jak sobie życzysz.

Tak oto stało się to szóstego dnia.

Jak we wszystkie poprzednie, skłócone Bliźnięta nijak nie

mogły dojść do porozumienia, choć szanowały prawa gościnności i podejmowały wszystkich przybyłych. Drustan stanął w sali przed ryczącym ogniem, by przemówić do obojga.

– Władcy Dalriady – zagał z ukłonem. – Udzieliliście schronienia mnie i moim ludziom, za co do końca życia pozostanę wam wdzięczny. Ale złożyłem przysięgę. – Uniósł prawą rękę i złoty sygnet Rolanda załśnił w blasku ognia. – Albo ją wypełnię, albo zginę. Uzurpator, ojcobójca Maelcon zasiada na tronie, który z prawa należy mi się po wuju. Jutro wyruszę na wschód, żeby odzyskać swoją własność. I jeśli przeżyję, pożegluję na drugą stronę Cieśniny.

W sali wybuchło hałaśliwe, znajome pandemonium. Oczekałam chwilę i podeszłam do tronów Bliźniąt.

– Pani, panie – powiedziałam, klękając. – Dziękujemy wam za gościnę. Książę Drustan przemówił. Jutro wyjedziemy, żeby zanieść jego słowa naszej królowej.

Grainna po królewsku skinęła głową i odwróciła się, skrywając błysk rozbawienia w szarozielonych oczach. Wiedziała, do czego zmierzam, sama dała mi klucz. Podniosłam się, dygnęłam z całym wdziękiem Domu Cereusa i odwróciłam się, by odejść.

– Zaczekaj... – Eamonn pospieszył za mną, kładąc rękę na moim ramieniu. – Nie musisz odchodzić w takim pośpiechu, pani! Racz przynajmniej... przynajmniej napić się ze mną, dobrze? Nie możesz... nie wolno ci... – Rzucił złe spojrzenie na siostrę. – Jesteśmy podobni, urodzeni z jednego łona! Nie wolno ci stawiać jednego z nas nad drugie!

– Panie! – Strząsnęłam jego rękę. – Jestem ambasadorem królowej! Tak mnie traktujesz?

– Nigdy w życiu nie przymusiłem żadnej kobiety! – Popatrzył na mnie gniewnie. – Ale jak mogłaś dokonać takiego wyboru? To

nie przystoi!

Wzruszyłam ramionami.

– Panie... – zaczęłam uprzejmie – tak jak ty pożądasz D’Angelinów dla naszego piękna, tak my u innych podziwiamy śmiałość i odwagę. Cechy, jakie ma twoja siostra.

– Mówisz, że ja ich nie posiadam? – Eamonn dziko wykrzywił twarz, doprowadzając się do furii. – Mówisz, że brak mi odwagi?

Wokół nas zaczął gromadzić się tłum. Joscelin niepostrzeżenie przysuwał się do mojego boku.

Czując jego krzepiącą obecność, popatrzyłam na Eamonna i ponownie wzruszyłam ramionami, zachowując obojętny wyraz twarzy.

– Ja tego nie powiedziałam, panie. Twoje czyny przemawiają w moim imieniu.

– I to głośniej, niż sobie wyobrażasz, Eamonnie. – Słowa Grainny, ostre i szydercze, wzbudziły powszechny śmiech. Eamonn odwrócił się i spiorunował siostrę wzrokiem, niemal purpurowy z gniewu, z zaciśniętymi pięściami. Odpowiedziała mu chłodnym spojrzeniem, unosząc rudozłote brwi. – Sam pościeliłeś sobie łoże, a teraz płaczesz, że śpisz w nim samotnie?

– Jeśli chcesz śmiałości... – wycedził przez zaciśnięte zęby – pokażę ci śmiałość! – Potrząsnął pięścią w powietrzu i wrzasnął: – Dalriadowie ruszą na wojnę u boku Drustana mab Necthana!

Wybuchły wiwaty; jeśli rozległy się jakieś jęki, to zostały zagłuszone przez fale radości. Eamonn potrząsał pięścią, krzycząc, porwany entuzjazmem. Myślę, że na chwilę zapomniał o mnie; byłam niczym więcej, jak tylko jęczyczką u wagi w tej głębokiej rywalizacji między Bliźniętami. Ale zaraz sobie przypomniał i odwrócił się w moją stronę z jasnymi oczami, z szerokim uśmiechem.

– Co na to powiesz, D’Angelino? – zapytał, łapiąc mnie za ramię. – Czy jestem wystarczająco śmiały?

Koń, miecz, brosza... okazywał chłopięcą radość z odniesionego zwycięstwa. Uśmiechnęłam się wbrew sobie.

– Tak, panie – odparłam szczerze. – Wystarczająco.

Stojący przy mnie Joscelin odetchnął głęboko.

Tak oto przespałam się z Bliźniętami, władcami Dalriady. Błogi, rozanielony uśmiech przez wiele dni nie schodził z twarzy Eamonna, gdy zajmował się przygotowaniami do wojny. Byłam w tamtą noc zdecydowanie bardziej trzeźwa, przypuszczam więc, że obsłużyłam go lepiej niż siostrę, ale Grainna się nie skarżyła. Pewnego dnia przyłapała mnie w sali i wsunęła na moje ramię złotą bransoletę, misternie splecioną ze złotego drutu.

– Na szczęście – powiedziała z uśmiechem. – Ta bogini, której służyysz, jest potężna.

Miałam taką nadzieję. Wyruszyliśmy na wojnę.

SIEDEMDZIESIĄT DWA

D'Angelinowie nie musieli maszerować; to nie była nasza wojna. Mogliśmy postawić żagle i ruszyć w długą drogę, żeby po ominięciu Cieśniny obrać kurs na południową Siovale. Ale byłyby to kurs tchórzowski, a poza tym co mielibyśmy do zakomunikowania królowej? Nim dobilibyśmy do brzegu i przedostali się do Ysandry, Cruithnowie albo by zostali wybici, albo przed nami przebyli Cieśninę.

Drustan chciał pospieszyć z pomocą Terre d'Ange; my, D'Angelinowie, musieliśmy zrobić to samo dla Cullach Gorrym. Kwintyliusz Rousse zostawił połowę ludzi na okręcie z rozkazem przekazania wieści królowej, jeśli zginiemy na wojnie.

Pozostali ruszyli do boju.

Dalriadowie jechali na wojnę jak na wesele, wśród śmiechów, krzyków i żartów, ubrani w najlepsze stroje. Ich panowie wciąż walczą w dawnym stylu, na rydwanach bojowych; prezentują się niezwykle widowiskowo, jak wskrzeszeni bohaterowie helleńskiej opowieści. Cruithnowie są spokojniejsi, ale równie groźni, ich dzikie oczy i okrutne uśmiechy błyskają w tatuowanych twarzach.

Przodem pojechało dwudziestu wojowników, Dalriadów i Cruithnów na najszybszych koniach, żeby zakreślać przed nami szerokie półkola. Nieśli bliźniacze sztandary, pod którymi walczyli, Fhalair Ba'n, Biała Klacz z Eire na zielonym polu, i Cullach Gorrym, Czarny Dzik na polu szkarłatnym. Wznosiliśmy okrzyki na ich cześć, kiedy odjeżdżali, wykręcając się w siodłach i

machając rękami na pożegnanie, wiedząc, że najpewniej czeka ich śmierć. Jeśli im się powiedzie, rozpuszczą wieści, a w konsekwencji sprzymierzeńcy zasilą nasze szeregi podczas marszu na wschód.

Niektórym miało się powieść. Niektórzy mieli zginąć.

Drustan patrzył za nimi w milczeniu. Pięćdziesięciu ludzi, nie więcej, dotarło do Innisclanu, przebiwszy się przez siły Maelcona. Dwie pełne setki wyruszyły w drogę, żeby chronić następcę tronu, jego matkę i siostry. Był wśród nich jego ojciec, który zginął później z rąk Tarbh Cró.

Matka Maelcona, Foclaidha, pochodziła z Brugantów, którzy słuchali Czerwonego Byka; to jej współplemieńcy najechali Bryn Gorrydum, zapoczątkowując krwawą łaźnię.

I sadzając Maelcona na tronie.

Nic dziwnego, pomyślałam, że Lwica z Azalii próbowała pertraktować z Foclaidha i Maelconem. Zastanowiłam się, czy Mark de Trevalion został odwołany z wygnania, czy jego córka Bernadetta zechce poślubić Ghislaina de Somerville, czy Mark wyrazi zgodę. Zastanawiałam się, czy wybuchła wojna, co porabiał d'Aiglemort i śmiercionośne żmije z gniazda Szachrizaj. Zastanawiałam się, czy Ysandra wciąż nosi koronę czy rodzina królewska Aragonii wysłała wojsko i w jakiej sile.

Zastanawiałam się, co wiedział Waldemar Selig.

To było straszne, przebywać tak daleko od kraju i wiedzieć tak niewiele, ale nie mogłam przestać się zastanawiać. Jechałam z Hiacyntem i Joscelinem, Necthaną i jej córkami oraz innymi domownikami Bliźniąt za wyprzedzającą nas armią. W d'Angelińskim lecie krztusilibyśmy się w pyle, ale w Albie była późna wiosna i deszcz padał prawie codziennie, zraszając i zazieleniając ziemię. Nasza kolumna rozciągała się na całą milę,

skłębiona i niezdyscyplinowana, posuwając się w tempie piechurów.

Jechaliśmy bez końca, jedząc, co się dało; oddziały zaopatrzeniowe pustoszyły wioski, nie bacząc na przekleństwa wieśniaków. Cruithnowie Drustana polowali, a ich strzały znajdowały zwierzynę z zabójczą precyzją. Jego ludzie nigdy nie byli głodni.

I przez cały czas przybywali sprzymierzeńcy, skupiając się pod sztandarem Cullach Gorrym.

Dekanatowie i Kowranicy, Ordowalowie i Dummonowie zasilali szeregi Czarnego Dzika, dzięki czemu stale rośliśmy w siłę. Potem zjawiała się dzika banda Sigowów i Wotadów z północy, wyzywająco wymachując sztandarem Czerwonego Byka. Wojownicy mieli jasne włosy, postawione wysoko, usztywnione wapnem na dalriadzką modłę, i niebieskie tatuaże Cruithnów. Napływały także złe wieści, o plemionach Tarbh Cró wiernych Maelconowi, o zabitych sześciu zwiadowcach Drustana.

Maelcon wiedział.

Maelcon gromadził armię.

Maelcon czekał.

Dotarła do nas pogłoska, że południe opowiedziało się za Maelconem i powstawało, by palić zagrody tych, którzy odeszli pod sztandar Cullach Gorrym. Wtedy nieomal doszło do buntu, gdy połowa plemion Cullach Gorrym chciała zawrócić, ale nagle na horyzoncie ukazało się wielkie wojsko.

Bliźnięta były gotowe do ataku. Drustan kazał im czekać, dopóki nie stało się jasne, kto nadciąga: Trynowantowie, Atribatowie, Kantyci – lud Eidlach Ór. Na szczęście był to fałszywy alarm. Chorągiew ze Złotą Łanią na zielonym polu

łopotowała pod Czarnym Dzikim, ogłaszając przymierze. Przybysze widzieli bitwę i stracili setki wojowników, ale poplecznicy Maelcona ustąpili przed tymi, którzy pamiętali starożytny dług krwi wobec linii Cinhila Ru.

Tak oto zmierzaliśmy w kierunku Bryn Gorrydum.

– Ten chłopak jest zdumiewający – powiedział Kwintyliusz Rousse, ze sieknięciem siadając przy naszym ognisku. Od wilgoci w powietrzu dokuczały mu bóle w stawach. – Nigdy nie sypia. Armia Maelcona jest Elua wie gdzie, a on niezmordowanie jeździ wzdłuż szeregów, mając słowo dla każdego mężczyzny i każdej kobiety. Co za głupcy puszczają swoje kobiety na wojnę?

– Próbowaleś je powstrzymać? – zapytałam, myśląc o Grainnie.

Rousse popatrzył na mnie ponuro.

– Spróbowałbym, gdybym którą poślubił – odparł kwaśno, – Słuchaj, tak sobie pomyślałem, że może przydzielę ci swoich chłopców. Kiedy wybuchnie bitwa, powinnaś mieć ochronę.

Odezwała się Sibeala, średnia córka Necthany.

Kwintyliusz Rousse popatrzył na mnie pytająco. Powoli przetłumaczyłam jej słowa:

– Jeśli nie chcecie za nas umierać, nie możecie prosić, żebyśmy umierali za was.

– Nie chcę, by ktokolwiek umierał – burknął Kwintyliusz Rousse, patrząc na nią wilkiem. Zaczekał, aż przetłumaczę, choć chyba nie było takiej potrzeby, i dodał: – A najmniej ze wszystkich ambasador mojej pani, królowej.

Objęłam kolana rękami i spojrzałam w nocne niebo. Gwiazdy skrywały się za zasłoną chmur.

– Admirale, jeśli chcesz tego przez wgląd na swoich ludzi, zgodzę się, bo nie pragnę zobaczyć krwi D'Angelinów przelanej

na obczyźnie ani zanosić Ysandrze de la Courcel wieści o twojej śmierci. Ale jeśli masz na względzie wyłącznie moje dobro, nie wyrażę zgody. – Popatrzyłam na niego. – Nie mogę cię poprzeć. Nie po tym, o co ich poprosiliśmy.

Sklął mnie wtedy z żeglarską potocznością. Niejeden raz padło imię Delaunaya, z kilkoma niewybrednymi komentarzami na temat honoru i głupoty. Przeczekałam wybuch.

– Będziemy bezpieczni z dala od bitwy, admirale – powiedziałam. – Nie będę narażona na ryzyko większe od tego, jakie przypadnie w udziale rodzonej matce księcia. Poza tym mam Joscelina.

Kwintyliusz Rouse cisnął jeszcze parę piorunów, wstał i wskazał grubym palcem Joscelina.

– Zostaniesz z nią? – zapytał, strosząc brwi. – Przysięgasz, kasjelito? Nie odstąpisz jej ani na krok?

Joscelin uklonił się, a jego zaręczawia błysnęły w blasku ognia.

– Przysięgam, panie – rzekł cicho. – Na wieczne potępienie, a nawet dłużej.

– Proszę o to dla twojego dobra. – Kwintyliusz Rouse stanął przede mną i odetchnął. – Moi ludzie rwą się do walki z Albijczykami. Nie wojowali od czasu starcia z tymi piekielnikami z Kebel-im-Akad. Ale przysięgam, Fedro nó Delaunay, jeśli w tej bitwie spotka cię krzywda, cień twojego pana będzie mnie prześladować po kres moich dni! A wierz mi, mam dość na głowie.

– Ona nie umrze. – Był to głos Hiacynta, głuchy i cichy. Odwrócił głowę, kierując na admirała czarne oczy, dziwne, przymglone przez *dromonde*. – Jej Długa Droga nie dobiegła końca. Ani twoja, admirale.

– Czy to znaczy, że odniesiemy zwycięstwo? – zapytał

Kwintyliusz Rouse ze sztuczną wesołością. Dar Hiacynta niepokoił go od czasu, kiedy okazał się prawdziwy. – Tak mówisz, Cyganie?

Hiacynt potrząsnął głową, aż zakołysały się czarne kędziory.

– Widzę, jak wracasz przez morze, panie, z Fedrą. Nic więcej nie widzę.

Kwintyliusz Rouse znowu zaklął, tym razem jeszcze wymyślniej.

– Do diabła! – zakończył kwiecistą wiązanekę. – Będziemy więc walczyć dla niebieskiego chłopaka Ysandry! Niech d’Angelińska stał poczuje smak albijskiej krwi. – Ukłonił się przede mną, krzywiąc z ironią zeszpeconą twarz. – Oby Elua cię pobłogosławił, pani, a twój cygański wróżbita i ten, jak mu tam, kasjelita, niechaj cię chronią. Spotkamy się na wodzie albo w prawdziwej Terre d’Ange, która leży za wodą.

– Niech Błogosławiony Elua ma cię w opiece – szepnęłam. Objęłam go i pocałowałam w przecięty przez bliznę policzek. – Ani królowa, ani król nigdy nie mieli wierniejszego sługi, Kwintyliuszu Rouse.

Zarumienił się, a ja poczułam pod wargami żar.

– Ani dziwniejszego ambasadora – powiedział szorstko, przytulając mnie mocno. – Ani lepszego, skoro o tym mowa. To ty ich tutaj przywiodłaś, pani. Elua niech będzie z tobą.

Spaliśmy tej nocy pod pochmurnym niebem. W obozie panowało stałe poruszenie, wartownicy podnosili alarm na najcichszy hałas, a zwiadowcy Cruithne krążyli dokoła, wypatrując armii Maelcona. Znajdowaliśmy się niespełna dzień marszu od Bryn Gorrydum.

Kiedy światło brzasku zapowiedziało nowy dzień nad Albą, nie napłynęły żadne nowe wieści, ale Drustan postawił wojsko w

stan gotowości. Tworzyli bezładną hordeę złożoną z około sześciu tysięcy pieszych, siedmiuset konnych i ponad pięćdziesięciu rydwanów. Obozowaliśmy na skraju młodego lasu wzdłuż głębokiej doliny. Za doliną leżało Bryn Gorrydum.

Drustan siedział wyprężony na swoim kasztanie, wysoko unosząc głowę, w szkarłatnym płaszczu rozpostartym na końskim zadzie. Jeździł powoli w tę i z powrotem, pokazując się ludziom, dając im do zrozumienia, że nie zamierza ukrywać swojej tożsamości przed siłami Maelcona.

– Bracia i siostry! – zawołał. – Wiecie, dlaczego tu jesteśmy. Przybyliśmy przywrócić tron Alby prawowitemu dziedzicowi! Przybyliśmy wyrwać go z rąk Maelcona Uzurpatora, z rąk czerwonych od krwi jego rodzzonego ojca!

Wiwatowali, podnosząc włócznie, uderzając mieczami o puklerze; Dalriadowie, jak myślę, krzyczeli najgłośniejszymi głosami ze wszystkich. Eamonn i Grainna przewodzili swojemu ludowi, rydwany bojowe czekały w rzędzie, jakby to miał być początek wyścigu, a obsadzający je wojownicy szczyrzyli zęby i warczeli jeden na drugiego.

– Jestem Drustan mab Necthana, znacie moje pochodzenie i moich krewnych. Ale powiem wam teraz, tym którzy tu dzisiaj ze mną stoicie: wszyscy jesteście moimi krewnymi, zwę was swoimi braćmi i siostrami. Kiedy słońce wzniesie się ponad drzewa...

Cisza zaległa nad armią, umilkli wszyscy, mężczyźni i kobiety. Staliśmy na niewysokim pagórku za szeregami, ci z nas, którzy nie walczyli. Rodzina Drustana zajmowała honorowe miejsce na samym szczycie. Widziałam cruarchę nad głowami wojowników, ale dalej nie sięgałam wzrokiem.

Nagle jego siostra Breidaia wyciągnęła z przeciągłym okrzykiem rękę.

Stłoczyliśmy się przy niej, wszyscy, i spojrzeliśmy.

Na skraju zagajnika, gdzie młode brzozy puszczały liście i rzadka mgiełka wznosiła się z ciepłej, wilgotnej gleby, pojawił się czarny odyniec.

Był ogromny. Nie mam pojęcia, jak długo żyją dziki, ale ten musiał być naprawdę wiekowy, skoro dorósł do takich rozmiarów. Stał jak potężny głaz wśród smukłych pni. Uniósł czarny ryj, wietrząc; jego fajki mogłyby przeorać pole. Ktoś sapnął z niedowierzaniem – poznałam własny głos. Przysięgam, w porannej mgle czułam zapach zwierzęcia. Czarny dzik spoglądał małymi, wściekłymi ślepiami. Ponad sześć tysięcy piktyjskich i eirańskich wojowników patrzyło nań w nabożnej grozie.

Rozbrzmiał krzyk, pojedynczy, zduszony. Ogromny dzik okręcił się z groźnym chrząknięciem i zawrócił do gaju.

Biegł truchtem i utykał.

Z niemal siedmiu tysięcy gardeł wyrwał się ryk. Krzywiąc wytatuowaną twarz, z błyskiem w czarnych oczach Drustan mab Necthana dobył miecza i jego potężny krzyk zagłuszył wycie wojska.

– Za Cullach Gorrym!

Ruszyli bezładnie, z wielką wrzawą.

Nie było żadnej dyscypliny, żadnej strategii, żadnego planu. Wojsko Drustana szarżowało tak, jak się zebrało, bez ładu i składu. Piechurzy wyprzedzili konie, gdy wpadli do gaju, rydwany kluczyły między drzewami, szukając drogi. W brzozowym lesie nagle zaroili się żołnierze, z wyciem wybiegając na brzeg doliny.

Wiem, co tam zastali, z późniejszych opowieści. Na dnie doliny czekała armia Maelcona, która podkradła się nocą w nadziei na

zaskoczenie naszego obozu o świcie. W ciągu dziesięciu minut wróg dopiąłby swego, oskrzydłając nas z obu stron, i tyle czasu trwałaby przemowa Drustana, gdyby nie nagłe pojawienie się czarnego dzika.

“Nie lekceważ Cullach Gorrym”.

Usłyszeliśmy brzęk broni i okropne krzyki konających, gdy stal ścierała się ze stalą. Uwięzieni na dnie doliny ludzie Maelcona ginęli pod nawałą tysięcy zwolenników Cullach Gorrym, zbiegających z impetem z zielonych zboczy – i ludzie Maelcona walczyli, zdesperowani i zaskoczeni, zabierając ze sobą setki przeciwników.

Teraz wiem o tym; wtedy nie wiedziałam. Popatrzyłam na Hiacynta, zobaczyłam jego przerażoną minę, zobaczyłam puste spojrzenie zwrócone ku bitwie.

– Co widzisz? – zapytałam, potrząsając nim. – Mów, co widzisz!

– Śmierć – odparł szeptem, kierując na mnie zaćmione przez *dromonde* oczy. – Śmierć.

Nagle za jego plecami spostrzegłam coś strasznego.

Na wzgórek wspinał się oddział konnych Tarbh Cró, rudowłosych i bladych pod niebieskimi tatuażami. Ich broń nosiła ślady częstego używania. Jechali pod sztandarem Czerwonego Byka.

– Maelcon miał rację – powiedział jeden, machając mieczem. Pozostali rozstawili się, żeby nas okrążyć. – Brać ich na zakładników.

Nie nas, tylko Necthanę, Necthanę i jej córki, matkę i siostry Drustana. Ale wszyscy staliśmy razem, uwięzieni na skalistym wzniesieniu.

Kobiety należały do ludu Cruithne; wprawdzie nie pojechały na bitwę, ale umiały strzelać równie dobrze jak mężczyźni, może

nawet lepiej.

Sama widziałam. Ich łuki leżały w obozie, niedaleko, ledwie parę jardów dalej. Niestety, drogę do nich zagradzali ludzie Maelcona. Byliśmy nieuzbrojeni.

Z wyjątkiem Joscelina.

Popatrzyłam na niego odruchowo, już wiedząc, co zobaczę. Bez namysłu przystąpił do działania. Poranne słońce przejrzało się w jasnej stali, gdy wyjął sztylety; zarękawia błyszcząły jak srebro. Wybrał miejsce w połowie zbocza i uklonił się.

– W imię Kasjela – rzekł cicho – chronię i służę.

Zaatakowali.

Dwaj padli, potem trzeci, lecz było ich zbyt wielu. Roili się dokoła, zsiadając z koni i wymachując mieczami. Hiacynt zaklął i sięgnął po kamienie, by rzucać nimi z celnością zaprawionego w bojach ulicznika. Drobną postać, ciemną i szybką, zsunęła się po zboczu. Jeden z Tarbh Cró dotarł na wierzchołek i rzucił się na mnie, wymachując mieczem; zrobiłam unik, nagle znalazłam się za nim, sama nie wiem jak, i pchnęłam go z całej siły. Ze śmiechem zatoczył się na swoich towarzyszy.

– Joscelinie! – krzyknęłam. – Dobądź miecza!

Zatrzymał się w wirze potyczki, patrząc na mnie; zobaczyłam w jego niebieskich oczach wspomnienie Skaldii i złamanej przysięgi. Potem jego rysy stwardniały, schował sztylety do pochew i wyciągnął miecz.

Gibka postać przemknęła obok niego, szybko i ukradkiem. Joscelin drgnął, jakby zbudzony ze snu, i niczym szaleniec rzucił się do walki.

– Odstąpić! – zawołał chrapliwie dowódca oddziału. Tarbh Cró posłuchali, wracając do koni. Podjęli słuszną decyzję. Joscelin, nie chcąc rezygnować z przewagi, jaką zapewniało mu

wzniesienie, czekał na skałach. Jego miecz odbijał promienie słońca, oświetlając twarze wojowników.

Wtedy zaśpiewały strzały.

Moireada przekradła się do obozu; Moireada, najmłodsza córka Necthany, z pełnym kołczanem strzelała z zaciętą miną i zabijała – Moireada, dziewczyna. Dwaj wojownicy padli, nim dowódca z przekleństwem sięgnął po oszczep.

– Mniejsza o zakładników! – ryknął. – Zabić wszystkich!

I rzucił oszczepem. W Moireadę.

Trafił. Grot przebił jej brzuch. Moireada upadła na wznak, z rękami zaciśniętymi na drzewcu. Usłyszałam rozpaczliwy krzyk Hiacynta i jakby jęk konającego – to był głos Necthany, zasłaniającej rękami oczy. Siostry Moiready podniosły żałobny lament.

W świetle poranka rozległ się jeszcze jeden krzyk, mosiężny dźwięk trąbki.

Widziałam, jak Joscelin walczył ze Skaldami; myślałam, że już nigdy nie powtórzy tamtego wyczynu. Myliłam się. Runął jak spadająca gwiazda na Tarbh Cró, kasjelicki berserker, z mieczem kłusującym i uderzającym niczym srebrny wąż. Ginęli jeden po drugim, krew tryskała z ran, padali i umierali zanim zdążyli sięgnąć po oszczepy.

Ilu? Naliczyłam dwudziestu. Większość zabił Joscelin, Moireada położyła dwóch. Necthana i jej córki, Breidaia i Sibeala, rzuciły się do walki z ostrymi, małymi sztyletami. Czterech zginęło z ich rąk. Dwóch uśmiercił Hiacynt, Książę Podróżnych, wyciągniętym zza cholewy nożem.

Ja, cała roztrzęsiona, nie zabiłam żadnego.

Tak znalazł nas Drustan, cruarcha Alby. Przyjechał na spienionym, zmęczonym kasztanie, z tatuowanymi rękami po

łokcie zbryzganymi posoką, z ponurym uniesieniem na niebieskim obliczu. Zwycięska armia z gromkim krzykiem wyłaniała się z gaju. Drustan podjechał bliżej, spojrział w twarze matki i sióstr, wyrażające rozpacz. Zobaczył Moireadę, najmłodszą, z twarzą na zawsze zastygłą w uśmiechu.

– Nie. Nie.

Trzymaliśmy się z boku; Joscelin klęczał, odprawiając kasjelicką pokutę, Hiacynt stał z pochyloną głową. Necthana podniosła się, poważna i zdjeta bezbrzeżnym smutkiem.

– Cullach Gorrym ma to, co do niego należy – rzekła cicho. – Synu mój, kto włada w Albie?

Drustan odwrócił głowę. W jego stronę pędził rydwan powożony przez pokrytego kurzem i krwią Eamonna. Za rydwanem podskakiwały pokiereszowane zwłoki młodego, rudowłosego mężczyzny, z twarzą zastygłą w okropnym grymasie.

– Ja, matko – odparł Drustan cicho. – Uzurpator nie żyje.

– Zginął z ręki cruarchy! – wykrzyknął Eamonn, podjeżdżając bliżej. Zobaczył Moireadę i ściągnął wodze. – Dagda Mor, nie...

– Każde zwycięstwo... – szepnęła Necthana z oczami pełnymi matczynych łez – ma swoją cenę.

SIEDEMDZIESIĄT TRZY

Tego dnia nie pojechaliśmy do Bryn Gorrydum. Pozostaliśmy na polu bitwy.

Nasi poeci nie śpiewają o okropnościach wojny, o koszmarze i smrodzie pobojuwiska, o okaleczonych zwłokach, o wyprutych i cuchnących wnętrznościach, o krukach wyrywających strzępy ciała i brzęczących chmarach much. Nie śpiewają o zbiorowych mogiłach, o strasznym wysiłku kopania, o wojownikach przeklinających natrętne owady i ocierających czoła z potu.

Okolo tysiąca dwustu Tarbh Cró przeżyło i złożyło broń; tysiące poległy. Nastąpiła rzeź, gdy Cullach Gorrym przelali się nad brzegiem doliny. Przeciwnik został zaskoczony przez wroga, którego zamierzał zaskoczyć.

Niespodziewany atak udał się tylko tym, którzy zostali wysłani po zakładników, ale oni także zginęli.

Pracowałam na równi z Necthaną i jej córkami, nosząc wodę na pobojuwisko dla konających i strudzonych. Tam natknęłam się na Joscelina, z ponurą zawziętością dźwigającego kamienie. Martwi żołnierze Drustana, okolo ośmiuset, w tym wielu Dalriadów, zostali złożeni w jednym miejscu i nad nimi usypywano kurhan, kamień po kamieniu.

Joscelin potrząsnął głową, gdy podsunęłam mu chochlę. Jego piękna twarz była wymizerowana, pokryta zaschniętymi, łuszczącymi się kroplami krwi. Rdzawe bryzgi widniały na jego ubraniu, a nawet na pszenicznym warkoczu. O tym poeci także nie śpiewają.

– Zrobiłeś, co musiałeś – powiedziałam cicho, jeszcze raz proponując mu wodę. – Joscelinie, oni wyciągnęli miecze, żeby zabić.

– Powinienem ją także ocalić – mruknął ponuro, odwracając się i sięgając po następny kamień. Dałam mu spokój i odeszłam, żeby podać chochlę spragnionemu wojownikowi. Przyjął ją z wdzięcznością, podniósł oburącz do ust i napił się chciwie. Chodziłam od jednego do drugiego. Najgorzej było z umierającymi. Wspomniałam noc śmierci Guya, jak przyciskałam dłonie do rany Alcuina, rozpaczliwie próbując zatamować ciepły, śliski strumień krwi. Wspomniałam, jak Alcuin konał w bibliotece Delaunaya, mocno ściskając moją rękę.

Wspomnienia nawiedzały mnie wiele razy tego dnia. Opłakałam ich wszystkich, Cullach Gorrym i Tarbh Cró, przedłużając im życie odrobiną chłodnej wody, podczas gdy kruki czekały na swoją należność.

Wieczorem rozbiliśmy obóz, zapłonęły tysiące ognisk. Wojownicy odnieśli wielkie zwycięstwo i Drustan nie odmówił im prawa do świętowania, choć Moireada leżała na marach. Kwintyliusz Rousse przykuśtykał do ognia z blaskiem w oczach, z bandażem na głowie i na lewej łydce.

– Błogosławiony Eluo, co to był za widok! – zawołał, z westchnieniem zadowolenia przyjmując bukłak z winem. – Ach, Fedro, uciekali przed nami jak jesienne liście niesione zimowym wiatrem! I Drustan... na Jaja Elui! Szedł przez nich jak kosa, nawołując Maelcona. Są dzikusami, ale... ach! Eamonn i Grainna, żałuj, że ich nie widziałeś. Wdarli się do doliny jak, jak... – Zabrakło mu słów i pociągnął łyk wina, potrząsając głową. – Piechurzy otoczyli rydwany. Ona była wspaniała, ale Eamonn... och, walczył jak tygrys. Kiedy ten chłopak raz podejmie decyzję,

nic go nie powstrzyma. Ale co to była za walka Drustana z Maelconem!

Opowiedział nam wtedy, jak Maelcon jechał przez pole bitwy, wysoki i wyniosły na grzbiecie siwego konia. Jak się starli, jak Drustan zyskał przewagę. I jak Eamonn przywiązywał zwłoki Uzurpatora za wozem bojowym, osłaniany w tym czasie przez swoją siostrę Grainnę, która smagała konie i zataczała w rydwanie kręgi wokół niego.

Była to wspaniała, heroiczna opowieść o dzielnych ludziach.

Poległo czterech d'Angelińskich marynarzy.

– Oni wiedzieli, pani – powiedział na koniec Kwintyliusz Rouse, patrząc mi w oczy i słuchając mojego milczenia. Kiedy stałam się dla niego “panią”? Bezskutecznie próbowałam sobie przypomnieć. – Wszyscy, którzy zaciągają się na moje okręty, znają ryzyko. Śmierć w walce na lądzie jest chwalebna. To grobu na morzu się boimy. – Popatrzył na mnie z ukosa i chrząknął. – Coś im obiecałem.

– Co? – Obawiam się, że błędziłam myślami i dałam się zaskoczyć. – Co, admirale?

Znowu odchrząknął i podrapał się po obandażowanym czerepie.

– Obiecałem... obiecałem tym, którzy przeżyli, że zostaną pasowani na rycerzy. Twoją ręką.

Zaskoczył mnie podwójnie; popatrzyłam na niego ze zdziwieniem.

– Moją ręką?

– Jesteś ambasadorem królowej – powiedział szorstko. – Szanują cię. I masz prawo to uczynić.

– Szanują? Mam prawo?

Po drugiej stronie ognia Joscelin uniósł głowę.

– Tak, Fedro.

Odezwał się po raz pierwszy od czasu wznoszenia kurhanu. Zamrugałam, patrząc na niego.

– Jeśli tak, Joscelinie, w takim razie ty...

– Nie. – Głos miał chrapliwy. – Ja nie. Jestem sługą Kasjela, i to marnym. Ale oni zasługują na pasowanie.

Popatrzyłam w osłupieniu na Kwintyliusza Rouse.

– Niech zatem tak będzie, jeśli naprawdę tego pragną. Zasłużyli na to, zasłużyli na wiele więcej.

Admirał uśmiechnął się szeroko i wstał niezgrabnie, bo zeszytniała mu zraniona noga. Podniósł palce do ust i gwizdnął: przeraźliwie. Drugą ręką wyjął miecz. Wzięłam go w rękę. Ważył więcej niż przypuszczałam, głownia była czysta, ale rękojeść wciąż śliska od potu. Stałam z mieczem w dłoni, czując się jak dziecko na balu przebierańców, podczas gdy marynarze jeden za drugim wysuwali się z ciemności za kręgiem światła.

Zrobiłam to; Rouse podpowiadał słowa, ja je powtarzałam. W imię Elui i Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange, nadałam tytuł kawalera dwudziestu kilku d'Angelińskim marynarzom, przez cały czas czując się jak oszustka. Ale ich oczy, gdy klękali, mówiły coś innego.

– Dobra robota – pochwalił Kwintyliusz Rouse, chowając miecz i poklepując mnie po ramieniu. – Ja nadam im bojowe miano. Nazwę tę gromadkę Chłopcami Fedry! Niech będą z tego dumni!

– Panie... – zaczęłam, niepewna, czy śmiać się, czy płakać – wolałabym, żebyś tego nie robił. – Gdzieś po drugiej stronie ogniska lśniły oczy Joscelina, zaczerwienione ze złośliwego rozbawienia i od łez, których nie przelał.

– Jesteśmy na wojnie, mały Kwiatku Nocy – powiedział

admirał. Poczułam zapach wina w jego oddechu. – Powiedz mi, czego się spodziewałaś? Jeśli będą walczyć dla ciebie, to dobrze. Jeśli będą gotowi umrzeć za twoje imię i czerpać z tego dumę, to jeszcze lepiej. Co sobie myślałaś, kiedy namawiałaś mnie do udziału w tej misji?

– Nie wiem – szepnęłam i schowałam twarz w dłoniach. Ujrzałam w ciemności Waldemara Seliga, dwadzieścia tysięcy Skaldów, Sprzymierzeńców z Kamlachu. Ale wiedziałam, że nie taka była prawda. Wiedziałam. – Nazwij ich jak tylko chcesz.

Zrobił to, a jakże. Nazwa ta do dziś dnia obowiązuje we flocie.

Kiedy Kwintyliusz Rouse odszedł, udałam się na poszukiwanie Hiacynta. Pełnił cichą wartę przy marach Moiready.

– Słyszałem – powiedział bezdźwięcznie na mój widok. – Gratuluję.

– Hiacyncie... – wypowiedziałam jego imię, niegdyś będące moim *signale*, i dotknęłam jego ramienia. – Nigdy nie szukałam pokłasku. Przecież wiesz.

Westchnął ciężko i wreszcie na jego twarzy pojawił się ślad ludzkich uczuć.

– Wiem – rzekł cicho. – To wojna. Ale, na Eluę! Fedro, dlaczego? Była tylko dziewczyną.

– Lubieś ją – stwierdziłam.

– Lubilem. – Hiacynt uśmiechnął się z bólem. – Tak. A przynajmniej mogłem polubić. Śniący na jawie, tak mnie nazwała, prawda? Ona pierwsza, na plaży. – Znów zadygotał; objęłam go ramieniem. Jego głos był stłumiony. – Moi współplemieńcy wypędzili mnie za to... ty wierzyłaś, wiem, dobrze wiem, ty przekonałaś admirała, żeby mi uwierzył... ale to ona pierwsza nazwała rzecz po imieniu, ona nie widziała w tym

nic złego, córka Necthany...

Hiacynt zapłakał; płakaliśmy oboje. Wojna wywiera przemożny wpływ na ludzi. Wojna kazała nam odłożyć na bok wszystko to, co nas łączyło, lecz nigdy nie zostało powiedziane. “Wypełniamy misję dla królowej, i tylko to się liczy...”. Wiedziałam o tym, podobnie jak on. A jednak, kiedy zwrócił ku mnie zrozpaczoną twarz, pocałowałam go, a on objął mnie za szyję i przywarł do mnie z desperacją tonącego.

W Domu Melisy powiadają, że Naama położyła się z królem Persji ze współczucia, aby uleczyć ból jego duszy. Wychowałam się w Dworze Nocy, znałam tę historię, ale zrozumiałam ją dopiero tej nocy, kiedy wyciągnęłam Hiacynta z kręgu pochodni wokół mar Moiready.

Popęlniamy błąd, my wszyscy, którzy się kłócimy, rozdrabniając żądzę Naamy na trzynaście części, pomiędzy Trzynaście Domów. Istnieje wiele nici, to prawda, ale wszystkie pozostają nićmi, splecionymi razem jak w płaszczu bajdura. Pociecha i pokuta, smutek i uniesienie splotły się jednolicie na zielonej ziemi Alby. O tym poeci także nie śpiewają, o tym, że śmierć rodzi pragnienie życia. Ja, która umiem znosić ból, przejęłam go od Hiacynta. Wzięłam od niego ból i rozkosz, dając mu w zamian jedno i drugie, aż w końcu oboje zrozumieliśmy, że doznania te są nierozzerwalnie złączone, że jedno nie może istnieć bez drugiego.

Przyjaciół, brat, kochanek... W ciemności wodziłam palcami po jego twarzy, z ustami przy jego wargach, zespolona z jego ciałem. Krzyknął przed końcem; użyłam odrobiny swojej sztuki.

– Sza – szepnęłam, uciszając krzyk czubkami palców, gdy moje własne ciało grało jak trącona struna harfy. – Sza. – Do śmierci, przysięgam, nie pojmem w zupełności, co to znaczy służyć Naamie.

Wysunął się ze mnie i miejsce pożądania zajęło poczucie winy.

– Hiacyncie... – Przyłożyłam policzek do jego pleców, do ciepłej brązowej skóry, i objęłam go mocno. – Sok z makówek uśmierza ból, żeby ciało mogło zasnąć i uleczyć rany. Naama zsyła pożądanie, żeby nasze serca znalazły chwilę zapomnienia i mogły wrócić do zdrowia po doznanym cierpieniu.

– Są jakieś inne mądrości, które wbito ci do głowy? – zapytał szorstko.

– Tak – odparłam cicho. – Ty mnie ich nauczyłeś.

Popatrzył na mnie wtedy, obróciwszy się w kręgu moich ramion. Dotknął mojej twarzy i pokręcił głową.

– Nie tak miało być, Fedro. Ty i ja... Nie tak.

– Nie. – Przyglądałam czarne kędziory, pobłyskujące w słabym świetle gwiazd, i uśmiechnęłam się ze smutkiem. – Ja, Królowa Kurtyzan, i ty, Księżę Podróżnych, mieliśmy władać Miastem Elui od Mont Nuit po sam pałac, a nie spółkować na ziemi Alby w pobliżu zlanego krwią pobojuwiska, z rozpaczą i sześcioroma tysiącami dzikich Cruithnów do towarzystwa. Ale jesteśmy tutaj.

On też się uśmiechnął, aczkolwiek leciutko.

– Powinniśmy wrócić – powiedział, patrząc w stronę ognisk i płonących pochodni. Dalriadowie i ludzie Drustana wciąż świętowali. Pozostali przy życiu ludzie z armii Maelcona, spędzeni gdzieś razem i trzymani pod strażą, przyglądali się temu ponuro. Oni też pogrzebali swoich poległych; mieli o wiele cięższe zadanie, bo choć żaden kurhan nie zaznaczył mogiły, martwych było bez liku, a kopaczy niewielu. Inni czuwali przy marach Moiready, kiedy wróciliśmy. Necthana i jej córki śpiewały pieśń żałobną, spokojną i piękną, nic śpiewu snuła się pomiędzy nimi, zawracała, wznosiła się i opadała. Stałam i

słuchałam przez jakiś czas, ze łzami w oczach, ujęta smutnym pięknem melodii.

Joscelin klęczał, odmawiając kasjelicką modlitwę. Uniósł głowę, gdy się zbliżyliśmy, i obrzucił mnie pustym spojrzeniem. Nie bacząc na niego, ujęłam w dłonie twarz Hiacynta, przyciągnęłam ją i pocałowałam go w czoło.

– Wypłacz się i bądź uleczony – szepnęłam. Pokiwał głową i wrócił na swoje miejsce. Ja też uklęknęłam, patrząc na Moireadę. Jej twarz, pogrążona w śnie śmierci, była równie spokojna jak za życia. Necthana, Breidaia i Sibeala śpiewały, splatając razem nici życia, zwycięstwo i ofiary, narodziny i śmierć, miłość i nienawiść. Po jakimś czasie przysnęłam, co nie zdarzyło mi się od czasów dzieciństwa w Domu Cereusa, gdy przez długie godziny musiałam klęczeć na jakiejś uroczystości. Inny głos włączył się do śpiewu, niższy, brzmiący głęboko. Otrząsnęłam się ze snu i zobaczyłam Drustana, który dołączył do matki i sióstr.

A jednak jest urodziwy, pomyślałam ze zdumieniem, widząc po raz pierwszy to, co dostrzegła w nim Ysandra. Miał regularne rysy i lśniące włosy, spadające w czarnej rzece na szerokie ramiona. Najstarsze dzieci Ziemi. Wszyscy śpiewali, przejmująco pięknie.

Barbarzyńcy, tak ich nazywamy.

Kiedy skończyli, Breidaia zaintonowała kolejną pieśń, tę jednak śpiewały tylko kobiety. Drustan podszedł do Joscelina, przykucnął u jego boku. Zastanowiłam się, czy mam wstać, żeby tłumaczyć, ale młody cruarcha Alby przemówił w łamanym caerdicci. “Nawet tobie nie zaprezentuję...” – powiedział do mnie. Słyszając, jak kaleczy język, zrozumiałam, o co mu chodziło.

– Ty... walczyć... dla rodzina – powiedział do Joscelina. – Brat. Wyciągnął rękę. Joscelin pokręcił głową, patrząc na mary.

– Twoja siostra nie żyje, królu – rzekł w bezbłędnym caerdicci, nauczony tego języka na kolanach ojca. – Nie czyn mi tego zaszczytu. Zawiodłem cię.

Drustan przesunął się i spojrzał mu w oczy. Pokręcił głową. Podniosłam się płynnym ruchem i podeszłam do nich, żeby uklęknąć ze spuszczonego wzrokiem.

– Tysiące poległy tego dnia, a ja nie mogłem ich uratować – powiedział Drustan w cruithne, patrząc nie na mnie, tylko na Joscelina. – Ja, urodzony cruarcha, gotów jestem oddać życie dla mojego ludu. Czy mówisz, że nasza ofiara poszła na marne, Książę Mieczy?

Przetłumaczyłam wszystko, łącznie z tytułem. Joscelin zwrócił oczy na Drustana.

– Królu, odzyskałeś swoje dziedzictwo i pomściłeś śmierć swoich krewnych. Postąpiłeś słusznie. To ja zawiodłem pokładane we mnie zaufanie.

Przełożyłam to na cruithne, dodając parę słów od siebie o przysięgach kasjelity. Cruarcha zrobił zadumaną minę i bez skrępowania potarł zniekształconą stopę, rozmasowując skurczone ścięgna.

– Nie przyrzekałeś Cullach Gorrym. Narazaliśmy życie dla Alby. Nie umniejszaj ofiary mojej siostry, odmawiając jej prawa do dokonania wyboru.

Joscelin drgnął, kiedy w naszym ojczystym języku powtórzyłam wypowiedź cruarchy. Słowo daję, arogancja kasjelitów, nawet wypędzonych – zwłaszcza wypędzonych – przechodzi moje pojęcie. Zaczęło mu jednak świtać, powoli i stopniowo, że Drustan mówi, iż przekroczył granice swojej odpowiedzialności. I jeszcze bardziej powoli, że to może być prawda. Drustan patrzył na niego spokojnie, wciąż wyciągając

rękę, silną i pokrytą niebieskimi spiralami.

– Brat – powiedział Joscelin w caerdicci i uściskał rękę Drustana. – Jeśli mnie chcesz.

Nie było potrzeby tego tłumaczyć. Drustan zrozumiał. Z szerokim uśmiechem poderwał Joscelina na nogi, a potem go uściskał.

– Tutaj jesteś! – Zawołała po eirańsku jakaś kobieta. Uniosłam głowę i zobaczyłam Grainnę, a krok za nią Eamonna. Żadne nie było nawet drażnięte, choć oboje walczyli jak tygrysy. Nie miałam co do tego wątpliwości. – Ach, siostrzyczko – powiedziała Grainna ze smutkiem, patrząc na Moireadę. Wyjęła zza pasa wysadzany klejnotami sztylet, ścięła pukiel czerwonozłotych włosów. Zbliżyła się do mar i ostrożnie wsunęła lok pod złożone ręce martwej. – Pomściliśmy cię, siostrzyczko, po stokroć.

Eamonn za jej przykładem ściał kosmyk jaśniejszych włosów, jeszcze ze smugami wapna. Delikatnie dotknął chłodnych rąk Moiready.

– Spoczywaj w pokoju, siostrzyczko. Będziemy w pieśniach słać twoje męstwo.

– Ludzie chcą cię zobaczyć – powiedziała Grainna do Drustana w swój bezpośredni sposób, patrząc mu prosto w oczy. – Chcą podzielić się twoim smutkiem i radością zwycięstwa. Przyszli za Cullach Gorrym i dziś walczyli dla ciebie.

Drustan pokiwał głową.

– Przyjdę.

– A ty... – Grainnę popatrzyła na mnie, wciąż klęczącą, i uśmiechnęła się. – Ty przybyłaś jako emisariusz Łabędzia, ty poprosiłaś Cullach Gorrym, by poszli za tobą. Ciebie też chcą zobaczyć.

– Już idę – powiedziałam i stanęłam obok Bliźniąt. Spojrzałam

na Hiacynta. Nasze oczy spotkały się w milczącym porozumieniu, wynikającym ze starej znajomości i tej, jaką zawarliśmy niedawno.

– Ja zostanę – powiedział cicho. – Niech śniący na jawie i jasnowidzący czuwają. To nasz obowiązek.

SIEDEMDZIESIĄT CZTERY

Nazajutrz pomaszerowaliśmy do Bryn Gorrydum.

Dotarliśmy do wielkiej rzeki i zmierzaliśmy jej brzegiem ku zatoce, miasto bowiem leży na wschodnim wybrzeżu Alby. Wiwatujący ludzie wyszli nam naprzeciw; Maelcon nie cieszył się miłością poddanych. Wreszcie weszliśmy do miasta. Było niewielkie, co mnie zaskoczyło, zbudowane na kamiennych podwalinach z czasów Tyberium. W fortecy przywitały nas otwarte bramy i spuszczone mosty. Garnizon wymaszerował, żeby złożyć broń.

Już wiedzieli o pogromie. I wydali nam Foclaidhę.

Matkę Maelcona.

Później dowiedzieliśmy się, że nie tylko klęska sił Uzurpatora przepełniła strachem serca jego zwolenników, ale także bunt mieszkańców, szczególnie w samej fortecy. Oczy tych, którzy uszli zżyciem z rzezi, do jakiej doszło po zdradzie Maelcona, załśniły mściwie na wieść o powrocie prawowitego cruarchy.

Lepsza rozwaga niż odwaga; Tarbh Cró skapitulowali.

Drustan mab Necthana powrócił na tron.

W dół spłynął sztandar Czerwonego Byka; na masztach Bryn Gorrydum znów załopotiała chorągiew Czarnego Dzika. Siostra cruarchy, Moireada, została pochowana z należnymi honorami. Głowa Maelcona Uzurpatora została przybita nad bramą Bryn Gorrydum. Drustan nie żartował.

Nie nazywamy ich barbarzyńcami zupełnie bez powodu.

Zasiadłszy na tronie, Drustan wysłuchał petycji Foclaidhy.

Jako gość honorowy miałam zaszczyt uczestniczyć w audiencji, choć z przyjemnością zreklamowałabym się tego wyróżnienia. Miałam wrażenie, że tysiące lat upłynęły od chwili, gdy stałam na palcach pod ścianą w Sali Audiencyjnej w Mieście Elui, wraz z Alcuinem wytyżając wzrok i słuch, żeby śledzić przebieg procesu Lyonetty de Trevalion. Teraz zajmowałam honorowe miejsce po lewej stronie tronu Alby ze swoim kasjelickim towarzyszem, starając się zachować niewzruszony wyraz twarzy, bo przecież reprezentowałam królową Terre d'Ange. Jeśli uważałam się za oszustkę, pasując na rycerzy ludzi Kwintyliusza Rousse, to wcześniejsze zażenowanie było niczym w porównaniu z obecnym.

Wciąż się zastanawiałam, czy Ysandra de la Courcel wybrałaby mnie na posła, gdyby wiedziała, że misja zakończy się powodzeniem. Niechciany bękart dziwki, pomyślałam i w mojej pamięci rozbrzmiało echo głosu duejny.

Ale wysłała mnie, i jeśli nawet byłam niechcianym bękartem dziwki, byłam również uczennicą Anafiela Delaunaya, który uznał mnie za godną własnego nazwiska, kiedy moi rodzice sprzedali moje prawo do noszenia swojego. A kobieta stojąca przed tronem Drustana, wysoka i pyszna, spowodowała nie tylko krwawy zamach stanu i wczorajszy rozlew krwi, lecz także przyczyniła się do wydania wyroków śmierci, które zapadły dawno temu w d'Angelińskiej Sali Audiencyjnej.

Baudoin de Trevalion obdarzył mnie moim pierwszym pocałunkiem, a ja w zamian przyniosłam mu pecha. Byłam jego prezentem pożegnałbym. Od Melisandy, która pokazała światu listy do Lyonetty de Trevalion.

Napisane przez kobietę, która stała przed tronem Drustana.

Cyganie mają rację – to Długa Droga.

Drustan pozwolił jej mówić, a ona mówiła z żarem o przemijaniu starej tradycji i narodzinach nowej, o konieczności przyjęcia nowego porządku dziedziczenia, w którym syn zastępuje ojca. Nie zdrada, ale szczytny cel, oznajmiła dźwięcznym głosem, przyświeca wymiataniu zatęchłych pajęczyn przesądu, który mówi, że nikt nie powinien znać ojca dziecka. Wysoka kobieta, Foclaidha, rudowłosa, ze spiralami wojownika wytatuowanymi na policzkach... Później dowiedziałam się, że własną ręką zabiła czterech ludzi, kiedy po nią przyszli.

Lwica z Azalii też miała dominującą osobowość, choć nigdy nie trzymała miecza. Ona sprawiła, że Baudoin stał się dziki, zuchwały i trochę szalony. Zastanowiłam się, czy Maelcon był taki sam. Umiała przemawiać i niektórzy słuchali jej z uwagą, zauroczeni wizją zerwania więzi matrylinearnych oraz przyznania ojcom prawa do wychowywania dzieci z ich własnej krwi i nasienia, aby mogli uczynić je dziedzicami swojego majątku oraz swoich roszczeń. Ale nie najstarsze dzieci Ziemi.

Cztery pary identycznych oczu patrzyły na oskarżoną: Drustan, Necthana, Breidaia, Sibeala. Powinno być pięć par. Zastanowiłam się, czy kiedyś i my postępowaliśmy według tych starych obyczajów. Jeśli tak; wędrówka Elui położyła im kres; wywodzimy się, przez ojców i matki, ze związków praojców i pramatek w zamierzchłej przeszłości, rozjaśnianej przez Eluę oraz jego Towarzyszy. Nasze pochodzenie mamy wypisane na twarzach i wryte w duszach.

W Albie, odizolowanej od świata przez Pana Cieśniny, jest inaczej. Oni wywodzą swój rodowód od samych matek, rodowód niekwestionowany, poświadczony przez krew i łyżę. Dzieci Necthany miały różnych ojców; wojowników, śniących na jawie.

“Kochaj jak wola twoja”. Błogosławiony Elua także był Dziecięciem Ziemi, jej ostatnim, poczętym w ciemnym łonie z krwi i łez.

Drustan obrócił głowę w prawo, ku Bliźniętom.

– Co mówią Dalriadowie?

Eamonn zaczerpnął tchu.

– Drustanie, znasz nasze serca i myśli. Twój wuj był naszym przyjacielem. W Eire nie pozwalamy żyć zdrajcom, którzy przelali krew. – Grainna pokiwała głową, niezwykle poważna. Oni też przestrzegają dawnych obyczajów, pomyślałam, wspominając jej syna Brennana; kto był jego ojcem? Nigdy nie zapytałam. Elua świadkiem, ojcem następnego dziecka mógł być Kwintyliusz Rousse.

Drustan popatrzył na mnie.

– Co mówi Terre d’Ange?

Zaskoczył mnie, choć powinnam się spodziewać takiego pytania. Przecież wiem, jak to się odbywa – na oczach wszystkich zebranych. Wspomniałam głosowanie parlamentu na procesie rodu Trevalion, Lwicę z Azalii, chłodną twarz Ysandry de la Courcel i jej zwrócony w dół kciuk, oznaczający śmierć.

– Panie, Foclaidha z Brugantów spiskowała przeciwko Koronie – powiedziała głosem, który brzmiał tak, jakby płynął z cudzego gardła. – Jej wina została dowiedziona. Nie wystąpimy o ułaskawienie.

Podniósł się gwar; nie wszyscy wiedzieli, kim jestem i że znam cruithne. Drustan nie zważał na hałas, nieruchomym wzrokiem patrząc na Foclaidhę.

– Za zdradę zapłacisz głową – oznajmił. – Z szacunku dla łączących nas więzów krwi obiecuję, że śmierć będzie szybka.

Znów nie wiem, czego się spodziewałam. Na pewno czegoś

innego. Wcześniej nie myślałam o tym dniu, nie byłam więc w żaden sposób przygotowana. Lyonetta zażyła truciznę, wypijając ją duszkiem, ze śmiechem na ustach. Baudoin rzucił się na miecz. Czy nasze rozwiązania są bardziej cywilizowane? Nie. W końcu rzecz sprowadza się do jednego: do śmierci. Żadne rytuały świata tego nie odmienia. A jednak byłam wstrząśnięta, kiedy dwóch wojowników Drustana chwyciło Focloidhę za ręce i pchnęło ją na kolana, kiedy sam Drustan podniósł się z tronu i podszedł z wyciągniętym mieczem.

Miecz błysnął, jeden raz. Naostrzył go dobrze na ten dzień, a mężczyzna Cullach Gorrym cechuje wielką siłą, nie są bowiem tak wysocy jak ci, którzy przybyli później. Wystarczył jeden cios, żeby przeciąć szyję.

Głowa Focloidhy potoczyła się z wciąż otwartymi oczami.

Ciało upadło ciężko na kamienną posadzkę sali Bryn Gorrydum, przy szyi zebrała się kałuża krwi.

Wciągnęłam powietrze przez zęby i powstrzymałam się od krzyku. Ręka Joscelina z miażdżącą siłą zamknęła się na moim łokciu, a ja ucieszyłam się, że mam go przy sobie. Necthana i jej córki z ponurą satysfakcją patrzyły na bezgłowy tułów Focloidhy z Brugantów. Na prawo od nich Bliźnięta szczyrzyły zęby w dzikich, mściwych uśmiechach.

– Niech tutaj się skończy – powiedział Drustan cicho, czyszcząc i chowając miecz. – Ci, którzy złożą hołd lenny, będą żyć. Ogłaszam konfiskatę ziem Brugantów i powierzam je Sigowom i Wotadom, jedynym spośród Tarbh Cró, którzy pozostali wierni Cullach Gorrym.

Dzicy Piktowie z północy, którzy dołączyli do armii Drustana, zakrzyknęli na wiwat. Mądra decyzja władcy przywróciła honor ludowi spod znaku Czerwonego Byka.

Czarny Dzik zawładnął Albą.

Wszyscy uchodźcy noszą w sobie mapę, która wskazuje im drogę do domu. Popatrzyłam ku wschodowi. Przez otwarte okna sali Bryn Gorrydum wpadał zapach deszczu i soli znad morza, mieszający się z miedzianymi wyziewami świeżo przelanej krwi. Wiała ciepła, letnia bryza. Ile miesięcy spędziliśmy w drodze, na morzu? W Terre d'Ange kwitły kwiaty, drzewa rodziły owoce. Usłyszałam w myślach śpiew Thelesis de Mornay, usłyszałam *Lament wygnańca*: "Pszczoła brzęczy w lawendzie, miód wypełnia plaster...". Skaldowie gromadzili się, maszerowali, przekraczali Kamaeliny i rzekę Rhenus.

Podczas gdy my prowadziliśmy wojnę, nadeszło lato.

Pozostało wiele spraw stanu, których nie można było załatwić od ręki. Drustan przez wiele dni przyjmował poszkodowanych ze wszystkich stanów, panów plemiennych i prostych wieśniaków, którzy zostali wywłaszczeni przez Maelcona Uzurpatora, rozpatrywał ich prośby, przywracał utracone prawa i ziemie. Nie próżnował również w naszej sprawie, ale zebranie ludzi chętnych do przeprowady oraz przekonanie ich, że obrona d'Angelińskiej ziemi leży w ich interesie, wymagało sporo czasu i zachodu.

W końcu zdecydowano, że około trzech tysięcy pieszych i czterystu konnych przeprowi się przez Cieśninę. Ku mojemu zdziwieniu zaliczali się do nich Eamonn i Grainna wraz z połową Dalriadów. Pozostali mieli wrócić do Innisclan, żeby zanieść wieść o zwycięstwie i wyprawić do domu marynarzy Kwintyliusza Rouse.

– Przebyłam szmat drogi – oświadczył Eamonn z uporem w głosie. – Jeśli harfiarze w Tea Muir mają sławić nasze czyny, to przecież nie mogą śpiewać, że Eamonn mac Conor z Dalriady

uciekł do domu, bo bał się zamoczyć nogi!

Grainna, jego siostra, uśmiechnęła się leniwie.

– A ja mam ochotę zobaczyć ziemię, która rodzi takich synów – powiedziała, kierując spojrzenie zielonych oczu na Kwintyliusza Rouse, który zakaszłał, żeby ukryć zmieszanie. Popatrzyła na mnie i mrugnęła znacząco. Z trudem powstrzymałam się od uśmiechu. Bliźniąt po prostu, nie można było nie lubić.

Niezależnie od błogosławieństwa Starszego Brata przeprawa miała być trudna, zwłaszcza z końmi. Mozoląc się nad mapami, Rouse i Drustan zdecydowali, że będzie najlepiej, jeśli pomaszerujemy na południe do miejsca, gdzie Cieśnina jest najwęższa. Mieliśmy przejść przez ziemie Eidlach Ór, którzy okazali się lojalni i z radością powitali triumf Drustana. Jeśli Elua pozwoli, wylądujemy w północnej Azalii, w Trevalionie, i nawiążemy kontakt z Ghislainem de Somerville, a być może także z byłym diukiem, Markiem de Trevalion, jeśli został odwołany z wygnania.

Gdyby strach nie zżerał mnie niczym rak, podróż byłaby przyjemna. Alba jest piękną, żyzną i zieloną wyspą. Maszerowaliśmy starą tyberyjską drogą wzdłuż wschodniego wybrzeża na południe, gdzie stacjonowały armie Tyberium, dopóki Cinhil Ru nie zjednoczył plemion i nie zepchnął ich za morze.

W tych czasach Błogosławiony Elua wciąż jeszcze wędrował po Bodistanie, a Pan Cieśniny jeszcze nie władał wodami. Skąd się wzięła jego zagadka? Wspomniałam bibliotekę Delaunaya, gdzie bystry Alcuin rozmyślał nad starożytnymi zwojami i kodeksami, próbując znaleźć rozwiązanie. Jeśli doszedł do jakichś wniosków, nie zdążył się nimi podzielić. Chciałabym, żeby tu był, bym mogła go zapytać. Raz widziałam tę straszną

twarz na wodzie i nie pragnęłam oglądać jej znowu, a poza tym nie podobała mi się myśl o zawierzeniu mglistej obietnicy.

Jednym z moich lęków, nie najmniejszym, był strach o Cruithnów. Trzy tysiące pieszych wojowników, czterystu konnych. Niezbyt wielu, nie przeciwko skaldyjskim hordom. Widziałam ich w walce, byli zaciekli... zaciekli i niezdyscyplinowani. Cinhil Ru wyparł Tyberyjczyków dzięki samej liczbie, kiedy wszystkie plemiona zjednoczyły się pod sztandarem Cullach Gorrym. W tym przypadku liczby były po stronie Waldemara Seliga. A Selig studiował taktykę Tyberium.

Wątpiałam, czy Skaldowie będą posłuszni rozkazom. Pamiętając spory plemienne w czasie Althingu, mogłam założyć, że trudno będzie narzucić im żelazną dyscyplinę, dzięki której starożytne Tyberium było takim potężnym wrogiem. Ten jeden punkt, niewielki, przemawiał na naszą korzyść.

Ale Selig miał przewagę liczebną. I poparcie Sprzymierzeńców z Kamlachu.

Tak oto dumalam w czasie marszu, a każdy nowy dzień powiększał mój niepokój. Ciepły balsam słońca przypominał mi o szybkim upływie czasu.

– Udźwigniesz to wszystko na swoich barkach, Fedro? – zapytał Joscelin pewnego dnia, podjeżdżając do mojego wierzchowca. Nie mam pojęcia, jak odgadł moje myśli; musiały się odbijać na twarzy. – Możesz spowolnić czas albo skrócić drogę, jaką mamy do przebycia? Nie tak dawno temu przypomniano mi, żebym nie brał na siebie czegoś, co nie należy do mnie.

– Wiem – powiedziałam z westchnieniem. – A jednak nie mogę przestać się zamartwiać. Skaldowie... ach, Eluo, przecież ich widziałeś! Jeśli Cruithnowie jadą na śmierć, Joscelinie, to przez

moje słowa.

Pokręcił głową.

– Nie twoje, tylko Ysandry. Ty tylko przekazałaś je w jej imieniu. Oni sami podjęli decyzję, z własnej nieprzymuszonej woli.

Zadrżałam.

– Dalriadów nie byłoby tutaj, gdyby nie ja. Nikogo by nie było.

– Prawda. – Trzeba mu przyznać, że powiedział to bez zwykłego ironicznego uśmiechu. – Ale Drustan jedzie z miłości i dlatego, że dał słowo. “Kochaj jak wola twoja”. Temu nie możesz zaprzeczyć.

– Boję się tej wojny – szepnęłam. – To, co widzieliśmy w Albie... Joscelinie, nie chcę zobaczyć czegoś podobnego... To, co czeka Terre d’Ange, będzie tysiącokrotnie gorsze. Nie mogę znieść myśli, że zginie tylu ludzi. Nie mam siły...

Nie odpowiedział od razu, patrząc przed siebie, jego profil rysował się wyraźnie na tle zielonych pól.

– Wiem – rzekł w końcu. – Mnie też to przeraża, Fedro. Byłoby z nami coś nie w porządku, gdybyśmy czuli inaczej.

– Czy pamiętasz, jak ocknęliśmy się w wozie po zdradzie Melisandy? – zapytałam. Pokiwał głową. – Mogłabym wtedy umrzeć. Nie dbałam o to. Przez pewien czas tylko nienawiść do niej utrzymywała mnie przy życiu. – Dotknęłam diamentu na szyi. – Teraz jest inaczej. Boję się śmierci.

– Pamiętasz psiarnię Guntera? – Popatrzył na mnie kpiąco. – Nienawiść do ciebie utrzymała mnie przy życiu, kiedy myślałem, że mnie zdradziłaś. Gdybyś zapytała mnie wcześniej, przysięgłbym, że prędzej się zabiję, niż ścierpię takie poniżenie. A osada Seliga? Myślałem, że umrę ze wstydu.

Wspomniałam, jak krzyczałam na niego i popychałam, gdy

klęczał ranny, zakuty w łańcuchy. Zarumieniłam się z zakłopotania.

– Byłam zrozpaczona. Czy zamierzasz zrobić to samo dla mnie?

– Nie – odparł i uśmiechnął się, jakby ta perspektywa nie była całkiem nieprzyjemna. Dziwne, pomyślałam, ale zachowałam to spostrzeżenie dla siebie. – Są – oznajmił, wykręcając się w siodle i wskazując do tyłu. – Prawdę mówiąc, właśnie o tym chciałem ci powiedzieć.

Odwróciłam się.

Za nami szli ludzie admirała Rouse; nie wystarczyło dla nich koni, mieli walczyć pieszo. Maszerowali w szyku, cztery szeregi po sześciu. Admirał, z wciąż obandażowaną nogą, jechał obok nich. Gdy się obejrzałam, cały pierwszy rząd wyszczerzył zęby i jeden człowiek – Remy, który uczył Hiacynta łowić ryby – wystąpił naprzód z ciasno zwiniętym sztandarem. Pozostali ustawili się, formując klin.

Chłopcy Fedry. Kwintyliusz Rouse rechotał na grzbiecie kasztanowego wałacha.

Remy rozwinął sztandar i podniósł go wysoko z dźwięcznym d'Angelińskim okrzykiem. Sztandar załopotał na wietrze. Sami go uszyli; marynarze dobrze sobie radzą z igłą i nićmi. Nie mam pojęcia, skąd wzięli materiał. Później obito mi się o uszy, że zapłacili fortunę za złotą nitkę.

Sztandar był czarny, z nierównym kręgiem szkarłatu pośrodku. Krąg przesywała złota strzała z zębatym grotem i brzechwą. Zrozumiałam dopiero po chwili.

Strzała Kusziela.

– Och, Błogosławiony Eluo! – Wytrzeszczyłam oczy i dopiero po chwili zatrzasnęłam rozdziawione usta. Szczercząc się jak

małpa, Remy uderzył o ziemię końcem drzewca i zaintonował pieśń marszową; podjęli ją wszyscy, nawet Kwintyliusz Rousse wyryczał refren, krztusząc się ze śmiechu.

– “Chłószcz nas bez wytchnienia, nie żałuj rzemieni, a kiedy się zmęczysz, niech cię inny zmieni, jesteśmy Chłopcami Fedry”!

– No, nie! – Zaśmiałam się bezradnie, zaskoczona, rozweselona i ogromnie zadowolona, że Cruithnowie, którzy przypatrywali się nam z dobrodusznym zdziwieniem, nie znają d’Angelińskiego. – Na Eluę! Joscelinie, wiedziałeś o tym?

– Możliwe – przyznał i rozbawienie załśniło w jego niebieskich oczach. – Oni muszą wiedzieć, Fedro, o co walczą. Potrzebują bliskiego sobie imienia, znanej sobie twarzy. Rousse tak mi powiedział i sam to widziałem w Bractwie. Nie jesteśmy Towarzyszami, nie do końca, dopóki nie przysięgniemy strzec jakiegoś podopiecznego. Ci ludzie nigdy nie widzieli Ysandry de la Courcel. Znają ciebie.

– “Lubimy, jak boli, uwielbiamy krwawić, tylko codzienna chłosta może nas rozbawić, jesteśmy Chłopcami Fedry”!

– Ale... – zaczęłam, śmiejąc się – coś takiego?

Joscelin z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Ty zaśpiewałaś, żeby uspokoić morze, i ty nakłoniłaś Dalriadów do udziału w wojnie, nieważnie jakim sposobem. Oni to wiedzą. Dlatego cię podziwiają. Ale każdy musi się śmiać w obliczu śmierci. Idą do bitwy, wielu będzie cierpieć za *anguisette*. Niedorzeczne, prawda? Dostrzegli ten absurd. Oddaj im sprawiedliwość.

– Dam im coś więcej. – Zawróciłam konia i zsiadłam przed Remym, zatrzymując cały oddział. Uśmiechał się szelmowsko. Złapałam go za kasztanowy marynarski warkocz, pociągnęłam w dół i dałam mu całusa. Wybałuszył oczy i sapnął. D’Angelinowie

krzyknęli na wiwat. – Przed każdym, kto przeżyje... – powiedziałam, wsiadając na konia – przysięgam, drzwi Trzynastu Domów Dworu Nocy staną otworem!

Wrzasnęli radośnie na całe gardło, a potem podjęli swoją piosenkę. Dołączyłam do Joscelina.

– Jak to zrobisz? – zapytał.

– Coś wymyślę – odparłam, rozweselona po raz pierwszy od wielu dni. – Przysięgam, że znajdę jakiś sposób, nawet gdybym musiała zgodzić się na spotkanie z kalifem Kebel-im-Akad!

Tak oto długą, krętą kolumną maszerowaliśmy przez Albę, przez ziemie Trynowantów i Kamyków, a lato powoli przemijało, zboże na polach z zielonego robiło się złote i jabłka pęczniały na gałęziach. W końcu dotarliśmy do starej tyberyjskiej osady Dobrii, gdzie Cieśnina jest najwęższa.

Był jasny dzień, gdy przybyliśmy. Przed udaniem się na odległą o kilka mil plażę przystanęliśmy na szczycie urwiska, na wysokim, białym klifie Dobrii. Murawa dociera do samej krawędzi, która opada stromo do Cieśniny, i tylko rozkrzyczane ptaki wirują pomiędzy wodą i niebem.

– Tam – powiedział Drustan i wyciągnął rękę.

W dali, za milami zielonej wody, ujrzeliśmy przymglone brzegi Terre d'Ange. Dom.

SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ

Lud Eidlach Ór nie próżnował.

Drustan pchnął przed wojskiem posłańców, którzy rozpowszechnili wieści o naszym zapotrzebowaniu. Alba odpowiedziała, chętna posłuchać prawowitego cruarchy. Już z daleka zobaczyliśmy łodzie, mnóstwo łodzi wszelkiego rodzaju, jednomasztowe statki, czółna, barki, kutry, tratwy. Wielka i różnorodna flotylla zebrała się w zatoce, czekając na nasze przybycie.

– Będzie paskudnie – mruknął Kwintyliusz Rouse, patrząc fachowym okiem na zbieranie łodzi.

Przygotowania zabrały prawie dwa dni. Cruithnowie żeglowali, ale tylko wzdłuż wybrzeża; niewielu zapuszczało się na głębokie wody. Chłopcy Fedry dzielili się z nimi swoim cennym doświadczeniem. Dalriadowie, nieustraszenie żeglujący pomiędzy Albą i Eire, byli drudzy pod względem przydatności. Najlepiej jak się dało rozmieściliśmy konie, choć tylko kilka statków miało odpowiednie ładownie. Reszta zwierząt miała popłynąć na tratwach, z zawiązanymi oczami; gdyby się spłoszyły, przestrzegł Rouse, należy je puścić, żeby nie wywróciły tratwy.

Sędziwy albijski rybak wyłonił się z tłumu, pociągnął Drustana za rękaw i uniósł pomarszczoną twarz.

– Cruarcho, przykaż im, żeby nie łowili na głębokich wodach! – powiedział przepełnionym strachem głosem. – Nie wolno łowić więcej niż trzy rzuty włócznią od brzegu, bo dalej rozciąga się

łowisko Pana Morza!

– Powiem im, dziadku – odparł Drustan uprzejmie. – Ale nie musisz się obawiać. Nie przybyliśmy tutaj, żeby łowić ryby, a Pan Morza obiecał nam bezpieczną przeprawę.

– Powiedz im! – Rybak nie chciał ustąpić. – Cullach Gorrym są z północy i zachodu, wy nie wiecie! Eidlach Ór łowią na tych wodach. My wiemy.

– Powiem im – powtórzył Drustan.

Zrobił to, gdy staliśmy na brzegu. Jedna trzecia wojska już załadowała się z końmi, reszta czekała na jego rozkaz. Przemawiał krótko, a wiatr od morza unosił jego słowa.

– Przeprowadzimy się, żeby spełnić marzenie o dwóch zjednoczonych królestwach! Przeprowadzimy się, żeby dotrzymać przysięgi, którą dawno temu złożyłem Ysandrze de la Courcel, królowej Terre d'Ange, królowej kraju leżącego za wodą! Jeśli ktokolwiek spośród was chce zawrócić, niech odejdzie teraz, z moim błogosławieństwem. Nie proszę nikogo, by narażał życie za marzenie, za moją obietnicę. Ale jeśli pragniecie zaszczytów, jeśli szukacie chwały większej, niż zdołają wyśpiewać bardowie, pójdźcie za mną po jedno i drugie! – Krzyknęli gromko na te słowa, a jego twarz pojaśniała. – Powiem wam jedno: Władca Wód przyrzekł nam bezpieczną przeprawę. Dotrzemy na drugą stronę. Dokonałem tego wcześniej, więc wiem! Ale te wody należą do niego. Uszanujcie jego zwierzchność i nie krzywdźcie po drodze żadnego stworzenia. Co wy na to? Ośmielicie się ruszyć za morze?

Tak, zapewnili go o tym krzykami i potrząsaniem bronią. Ryk poniósł się nad zatoką. Najgłośniej wrzeszczeli Piktowie z północy, wierni Tarbh Cró, próbując niepostrzeżenie wmieszać się w tłum i ukryć fakt, że się spóźnili, zatrzymani przez kobiety

z Eidlach Ór. Drustan był rad, że ma sprzymierzeńców w narodzie Czerwonego Byka, dlatego przymknął oko na ich opieszałość.

– W takim razie ruszajmy! – zawołał i tak oto rozpoczął się exodus.

Kwintyliusz Rouse miał rację; było paskudnie. Choć konie już wprowadzono na łodzie, minęła prawie godzina, zanim ostatni człowiek wszedł na pokład. Nasza zaimprovizowana flotylla zaczęła wypływać z zatoki. Rouse dowodził jednym z lepszych statków, na który zaprosił Drustana mab Necthana, Hiacynta, Joscelina i mnie. Nikt z nas nie mógłby w niczym pomóc podczas żeglugi, a z nim mieliśmy być bezpieczniejsi niż z kimkolwiek innym.

Wyobrażam sobie, że w mniej poważnych okolicznościach zbieranina łodzi stanowiłaby komiczny widok. Stałam przy relingu i patrzyłam, jak jeden z Chłopców Fedry wrzeszczy na ogłupiałych Cruithnów, próbujących wiosłować na tratwie; w wyniku ich nieskoordynowanych ruchów tratwa zataczała powoli kręgi.

– Azalia ma flotę – mruknął Kwintyliusz Rouse. – Może byłoby lepiej, gdybyśmy przeprawili się sami i przysłali po nich okręty.

– Azalijska flota może być w połowie Rhenusu, admirale – zauważyłam przytomnie. – Podobnie zresztą jak twoja. Ale jeśli uważasz, że tak będzie lepiej, wydaj rozkaz teraz, zanim ktoś utonie.

Popatrzył z obrzydzeniem na tratwę. D'Angelin krzyczał, machając rękami i pokazując na migi, co należy zrobić, aż Cruithnowie wreszcie się połapali. Tratwa w miarę równo ruszyła do przodu.

– Spróbujmy. Wolałbym nie przecinać Cieśniny więcej niż raz,

o ile nie zajdzie potrzeba.

Nie mogłam mieć do niego pretensji, nie po spotkaniu z Panem Cieśniny; mnie też nie zależało na przedłużaniu znajomości. Poza tym, gdy już ruszyliśmy w drogę, stała się rzecz dziwna. Od brzegów Alby ku Terre d'Ange dmuchał lekki, jednostajny wiatr, ale morze zrobiło się gładkie, prawie bez jednej zmarszczki. Nasza flota płynęła w nierównej linii, powoli i pewnie posuwając się naprzód. Brzeg uciekał w tył, białe klify oddalały się jard po jardzie, potem jardy przeszły w milę, a z jednej mili zrobiły się dwie. Albijczykom nie brakowało odwagi ani hartu; zaciskając na wiosłach ręce stwarniały od broni, niestrudzenie zginali i prostowali grzbiety, bez reszty oddani obcemu im zadaniu.

Tu i ówdzie nad wodą niosły się głosy D'Angelinów, którzy śpiewali pieśń wiosłarzy, narzucając rytm wiosłowania.

– “Mąż czy też niewiasta, my o to nie dbamy, jednych i drugie w pary zaprzęgamy! Przy ciężkiej pracy karki dzisiaj gniemy, co wcale nie znaczy, że wam ulegniemy!”.

Cruithnowie i Eirańczycy podchwytywali nieznanym słowem, pozbawione sensu sylaby w różnych językach mieszały się w powietrzu. Nasz okręt halsował powoli, o krok przed resztą floty. Kwintyliusz Rouse stał za sterem, potrząsając głową i szczerząc zęby w uśmiechu.

– Świat nie widział czegoś podobnego! – zawołał. – Ta przeprawa przejdzie do historii, ręczę głową! Starszy Brat dotrzymuje słowa! – Odwrócił się do Hiacynta. – I co teraz powiesz, Cyganie? Wskażesz nam, gdzie mamy dobić do brzegu?

Hiacynt stał na dziobie, okręcony podniszczonym, poplamionym solą szafranowym płaszczem. Bez słowa wpatrywał się w gładką wodę. Czując na karku dreszcz trwogi, podeszłam do niego.

– O co chodzi? Co widzisz?

Odwrócił się do mnie. Ujrzałam czarne oczy przyćmione przez *dromonde*, szeroko otwarte i niewidzące.

– Tylko... Nie. Nie widzę naszego lądowania.

– Co to znaczy?

Spojrzenie Hiacynta wróciło na morze.

– To znaczy... – zaczął cicho – że gdzieś między tym miejscem a brzegiem znajdują się rozstaje. Nie mogę poza nie spojrzeć.

Chciałam zapytać go o coś jeszcze, ale w tej chwili na lewo od nas podniosła się wielka wrzawa. Usłyszeliśmy krzyki i śmiechy, odgłosy szamotaniny i uderzeń. Wszyscy, którzy nie mieli zajęcia na pokładzie, poszli popatrzeć, co się dzieje. Nawet Hiacynt zapomniał o swoich obawach.

Na jednej z mniejszych tratw płynęło czternastu Tarbh Cró z plemienia Segowów i jeden D'Angelin. Wioseł nie wystarczyło dla wszystkich, więc trzech wojowników z północy wymyślili sobie rozrywkę. Ułożeni na brzegu tratwy, przebierali palcami w przejrzystej, nieruchomej wodzie, próbując łapać ryby gołymi rękami.

Dobra sztuczka w rzece, jak słyszałam; na morzu nie powinna się udać. Rzeczywiście, nie miałyby szans powodzenia, gdyby nie jeden bardzo duży, bardzo ciekawski węgorz.

Jeden z wojowników chwycił go oburącz i wciągnął na tratwę, gdzie miotał się jak szalony. Właśnie go poskramiali, tłukąc wiosłem i pięściami, marynarz udzielał pomocnych wskazówek w niezrozumiałym dla nich d'Angelińskim, tratwa kołysała się dziko.

Myślę, że przez chwilę wszyscy pękaliśmy ze śmiechu... dopóki któryś z Segowów nie wymierzył rybie celnego ciosu w głowę. Węgorz znieruchomiał, mokry i lśniący, długi na pięć stóp z

okładem.

Wiatr ucichł.

A ja przypomniałam sobie przestrogę rybaka.

Tarbh Cró spóźnili się i nie słyszeli ostrzeżenia Drustana, a d'Angelińscy żeglarze go nie zrozumieli. Przemawiał w cruithne; ja nie przetłumaczyłam. Otrzymali rozkazy od admirała i wiedzieli, co mają robić.

Trzy rzuty włócznią od brzegu, dalej rozciąga się łowisko Pana Morza.

Znajdowaliśmy się znacznie dalej niż trzy rzuty włócznią; całe mile dzieliły nas od brzegu. Powietrze znieruchomiało. Miałam wrażenie, że świat wstrzymał oddech.

Zrobiłam to samo.

Wcześniej Pan Cieśniny nadszedł z gęstniejącą ciemnością i smagającym deszczem, pędząc w naszą stronę przez fale. Tym razem było inaczej. Tym razem morze wybuchło. W samym środku naszej flotyli woda zawrzała, łodzie i tratwy nachyliły się, a pasażerowie szukali z krzykiem oparcia.

Z wiru podniosła się ogromna twarz.

Najbliższe statki zsuwały się z ogromnego zbocza falistych włosów; te dalsze, jak nasz, pochyliły się w przeciwną stronę, wsysane w głęboką dolinę. Przez chwilę, przysięgam, nasz okręt stał niemal na dziobie, przykryty płachtą wody. Kwintyliusz Rousse wywrzaskiwał rozkazy, zagłuszane przez ryk morza. Kurczowo trzymałam się relingu, z całej siły zaciskając ręce i przysięgając Elui, że zapalę świeczkę w intencji mojego dawnego nauczyciela akrobata, jeśli tylko przeżyję. Jakiś człowiek ześliznął się po stromo nachylonym pokładzie i jego rozpaczliwy krzyk urwał się nagle, gdy zniknął w spienionej wodzie.

Oblicze Pana Cieśniny wznosiło się coraz wyżej, większe niż

poprzednio, przejrzyste i lśniące, z żywymi rybami oraz wodorostami widocznymi w wodzie, która je tworzyła.

Wreszcie wodna góra znieruchomiała, morze wokół niej opadło z grzmiącym hukiem. Nasz statek spoczął na równym kilu tak gwałtownie, że siła wstrząsu rozwarła moje palce; wypadłabym za burtę, gdyby nie zatrzymał mnie reling. Wokół nas łodzie podskakiwały jak korki, unosząc na wpół zatopionych ludzi i konie rżące ze strachu. Kilka zwierząt skoczyło w morze i teraz w panice biły wodę kopytami.

– Fedro! – Silna ręka wczepiła się w mój płaszcz i wciągnęła mnie na pokład. Joscelin, przemoczony do suchej nitki, był błądy z przerażenia. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Hiacynta. Był bezpieczny, kilka jardów dalej, gdzie rzuciła go fala. Potem nie miałam już czasu wypatrywać, kto przeżył, bo Pan Cieśniny przemówił.

Piętrzył się nad nami niczym stroma góra, połyskliwa i ogromna. Straszne usta otworzyły się i dobiegł z nich podobny do grzmotu głos:

– KTO ŚMIE ŁOWIĆ NA MOIM MORZU?

Wiem to, co wiem; wiem, co widziałam i co słyszałam. Przysięgam: Pan Cieśniny przemówił w języku D'Angelinów. Słyszeliśmy, Hiacynt, Joscelin, admirał i ja, wszyscy słyszeliśmy. Ale w tej samej chwili Tarbh Cró na tratwie pod nami wrzasnęli z przerażenia. Drustan mab Necthana, cruarcha Alby, stanął pewnie na spokojnym już pokładzie.

– To moi ludzie, Władco Morza! – zawołał w cruithne, zadzierając głowę, by spojrzeć na Pana Cieśniny. – Nie ostrzegłem ich! To ja jestem winny!

Z pochylonej głowy ściekała woda.

– TY DOWODZISZ... ALBIJCZYKU?

Kwintyliusz Rousse zaklął i odszedł od steru.

– To mój okręt i ja nim dowodzę, stary łotrze! Jeśli przyszedłeś po ofiarę, weź ją ode mnie!

Nie miałam najmniejszej ochoty odsuwać się od bezpiecznego relingu i mocnych rąk Joscelina, nie miałam najmniejszej ochoty wchodzić w oczy tej piętrzącej się nad nami strasznej istocie. Najmniejszej.

Z rozpaczą szepnęłam do Joscelina:

– Puść.

Gdy w odpowiedzi z jeszcze większą siłą zacisnął ręce na moich ramionach, odwróciłam się, żeby na niego popatrzeć. Pochylił głowę i puścił mnie, a ja odsunęłam się od relingu. Zawołałam do wypiętrzonego morza:

– Panie, jestem posłanniczką Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange!

Oblicze Pana Cieśniny obróciło się w moją stronę. Kaskady wody układały się w parodię ciała i kości. Błyskawice migotały w oczach. Ciemne usta znowu się rozwarły.

– ZABIORĘ WAS WSZYSTKIIICH!!!

Brak mi słów na opisanie tego, co stało się później. Twarz rozmyła się, tworząc ogromny szklisty garb wody, który wsunął się pod nasz statek, unosząc go coraz wyżej. Kołysaliśmy się jak łódeczka z kory na szczycie pędzącej fali. Grzywacz wezbrał pod same niebo, ale się nie załamał. Mknął jak szarżujący byk w dół Cieśniny, niosąc nasz statek na grzbiecie, coraz dalej i dalej na południe. Są tacy, którzy mi nie uwierzą, ale przysięgam, że to prawda.

Żeglowaliśmy mila za milą, dwa, trzy razy dalej niż nasza przeprawa. Nie umiem powiedzieć, jak długo to trwało. Groza ustąpiła zdumieniu, zdumienie przemieniło się w rozpacz. Czy

wszyscy pozostali utonęli? Bałam się, że tak. Pędziliśmy coraz dalej na szczycie spienionej, nie łamiącej się fali.

Wreszcie przed nami ukazała się wyspa, ponura i samotna na otwartym morzu. Fala niosła nas coraz bliżej. Nie widziałam żadnej zatoczki i byłam przekonana, że czeka nas śmierć na wysokich, szarych urwiskach.

Niemal w ostatniej chwili dostrzegłam wąską zatokę, otoczoną strzelistymi skałami. Mknęliśmy prosto do jej ujścia. Przed samą zatoką wielka fala westchnęła i cofnęła się pod nami, przerażający grzywacz przemienił się w łagodny stok. Nasz statek zsunął się po nim i spłynął pomiędzy wysokie urwiska. Nie wiem, czy Kwintyliusz Rousse miał coś do powiedzenia, ale wylądowaliśmy w małej, spokojnej zatoce z takim wdziękiem, z jakim kot kładzie upolowaną mysz u stóp swojego pana.

Obawiałam się, że było to trafne porównanie.

Przemoczeni, w ubraniach sztywnych od soli, niemal sparaliżowani przez strach, powoli zbieraliśmy myśli, otrząsając się z grozy i rozglądając dokoła. Na statku było nas około trzydziścioro, głównie Cruithnowie, i osiem koni w ładowni. Nagle jeden z ludzi Drustana z krzykiem poderwał rękę.

W zatokę wrzynał się skalisty cypel. Nad wodę prowadziły zygzakiem schody, kilka ciągów przedzielonych tarasami. Powyżej biegły szersze, wycięte w ścianie urwiska. Popatrzyłam w górę, gdzie w niebo strzelały kolumny, zupełnie jak w helleńskiej świątyni, dalekie i widoczne w skróconej perspektywie. Na tle szarego nieba biały marmur kolumn odznaczał się w postaci niewyraźnych plam.

Ale nie to pokazywał wojownik.

Na cyplu czekały na nas dwie osoby w długich szatach.

SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ

– Ja pójdę. – Drustan odezwał się pierwszy, szybko i zdecydowanie, jego ciemne oczy spoglądały śmiało z niebieskiej maski twarzy. Wspomniałam, jak bez chwili wahania przyjął na siebie winę Tarbh Cró.

Nie można było go nie podziwiać.

I zapomnieć o jego znaczeniu dla ludu Alby.

– Nie, panie. – Potrząsnęłam głową, czując ciężar splątanych przez wiatr, mokrych włosów. Czy utrata mojej osoby zuboży Terre d’Ange? Naród prowadzący wojnę nie potrzebował jednej, i to wymęczonej przez podróże *anguisette*. – Jesteśmy niedaleko d’Angelińskich brzegów. Ja pójdę, to mój obowiązek.

Podczas gdy my sprzeczaaliśmy się w cruithne, Kwintyliusz Rouse wyjrzał przez burzę, oceniając głębokość wody dzielącej statek od schodów. Wyższa z postaci w długich szatach stanęła na skraju cypla i zdjęła szary kaptur. Był to młody mężczyzna o ciemnych włosach i bezpretensjonalnych rysach.

– Woda jest głęboka, panie – powiedział spokojnym, donośnym głosem w archaicznym d’Angelińskim. – Podprowadźcie statek bliżej i zrzućcie trap.

– Słyszeliście? – Rouse odwrócił się, pstrykając palcami na najbliższego Cruithna, który patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem. – Dalej, do wiosł! Podprowadzimy statek do brzegu! – Admirał spojrział na mnie, piorunując mnie wzrokiem. – Niezależnie od tego, co ci chodzi po głowie, dziewczyno, nikt sam nie wyjdzie na brzeg, emisariusz królowej ani ktokolwiek inny.

Powiedz tym dzikim niebieskim chłopcom, żeby nie szczydzili grzbietów, a zobaczymy, jaką grę przygotował dla nas Starszy Brat.

Zrobiłam to, choć czułam się trochę głupio. Drustan obrzucił admirała uważnym spojrzeniem i poszedł na rufę, żeby popatrzeć na morze w poszukiwaniu naszej zaginionej floty. Gdyby mógł za cenę swojego życia kupić bezpieczeństwo Alby, pomyślałam, zrobiłby to bez wahania. Ale Rousse miał rację. Nie wiedzieliśmy, dlaczego Pan Cieśniny nas tutaj sprowadził.

– Co widzisz? – zapytałam Hiacynta, gdy wiosła nierówno zgarnęły wodę i statek ruszył w stronę tarasu.

Cygan popatrzył na skalne urwisko z szerokimi stopniami i uśmiechnął się dziwnie.

– Widzę wyspę – mruknął. – A ty co widzisz, Fedro nó Delaunay?

Nie miałam na to odpowiedzi. Niedługo później statek zbliżył się do cypla i Kwintyliusz Rousse kazał rzucić kotwicę. Opuszczono trap, ale nikt z nas nie wysiadł. Staliśmy na pokładzie i czekaliśmy, co powiedzą nasi niezwykli gospodarze.

Druga osoba odrzuciła kaptur; był to starszy mężczyzna, białowłosa.

– Tych spośród was pragnie widzieć Pan – rzekł w tym samym archaicznym dialekcie, jakiego używał jego towarzysz. Wymieniłam szybkie spojrzenie z Drustanem i zobaczyłam, że marszczy czoło. Nie rozumiał słów. Starzec bez wahania wskazał ręką. – Ty, ty i ty. Ty.

Drustan, Rousse, ja... i Hiacynt.

Joscelin wystąpił do przodu, jego skrzyżowane sztylety błysnęły, gdy złożył kasjelicki ukłon.

– Tam, gdzie idzie ona, tam idę i ja – powiedział cicho. –

Przysięgłem na imię Kasjela.

– Twoja siła nie zda się na wiele – powiedział z lekkim uśmiechem młodszy mężczyzna. Skinął ciemną głową na morze, które zafalowało w odpowiedzi, wprawiając w ruch nasz statek.– Twoi towarzysze są bezpieczni na brzegach Pierwszej Siostry. Czy chcesz narazić ich życie?

Przetłumaczyłam szybko i Drustan złapał Joscelina za ramię.

– Mój lud, moi ludzie... On mówi, że są bezpieczni, bracie. Błagam, nie rób niczego, co mogłoby spowodować na nich nieszczęście.

Joscelin nie schował sztyletów, gdy powtórzyłam mu słowa Drustana, tylko mocniej zacisnął je w garściach, aż pobieleły mu palce.

– Na wieczne potępienie i dłużej – powiedział słabym głosem, z okropnym wyrazem twarzy. – Przysięgłem, Fedro.

Na szali leżało życie ponad trzech tysięcy niewinnych Albijczyków i niemal wszystkich ludzi admirala.

– Joscelinie... – szepnęłam – prędzej zabiję ciebie albo siebie, niż pozwolę, by ktokolwiek inny umarł przez twoją przysięgę. Przysięgam.

Popatrzył na mnie; nie wiem, co chciał powiedzieć. Starszy z mężczyzn uniósł rękę i uprzedził go, mówiąc do młodszego:

– On jest zaprzysiężonym Towarzystwem. Niech idzie.

Młodszy ustąpił, skłoniwszy głowę.

Drustan śledził w skupieniu rozwój wypadków, spojrzenie jego ciemnych oczu śmigало z twarzy na twarz. Gdy przetłumaczyłam mu słowa starca, pokiwał głową i puścił ramię Joscelina.

– Gildas powie o was do Pana Cieśniny – oznajmił młodszy. – Ja zaopiekuję się pozostałymi. Jesteście zmęczeni i wystraszeni.

Zapewnimy wam wypoczynek i strawę.

Powtórzyłam jego słowa Drustanowi, który znowu pokiwał głową i przemówił do swoich ludzi. Klamka zapadła.

Tak, pomyślałam, gdy wysiadaliśmy po trapie i tupot naszych stóp niósł się głucho nad wodą, Pan Cieśniny ma służących, śmiertelnych służących. Czy dzielają jego władzę nad falami, czy tylko wykonują jego rozkazy? Oblicze z wody przemawiało w języku zrozumiałym dla wszystkich; ci ludzie mówili d'Angelińskim, dawnym językiem dworskich ballad.

Tak myślałam, gdy wspinaliśmy się po schodach, coraz bliżej nieba. Gildas prowadził, za nim szedł Rouse z Drustanem, który z powodu kalekiej stopy miał więcej kłopotów z pokonywaniem kolejnych schodków. Ja podążałam za nimi, z Joscelinem przyczepionym do mnie jak kasjelicki rzep, a Hiacynt zamykał tyły. Chciałam go zagadnąć, ale odstraszyła mnie jego posępna mina. Za plecami słyszeliśmy krzepiący hałas: kroki ludzi wychodzących po trapie na brzeg, niepewny stukot końskich kopyt na kamieniach, urywane głosy próbujące porozumieć się w obcych językach.

Wspinaliśmy się bez końca, coraz wyżej ku niebu. Rzeczywiście, na szczycie stała wielka świątynia. Szeroka ścieżka rozwidlała się i prawa odnoga skręcała do jej podnóża, ale najpierw musieliśmy pokonać kolejne schody, strome i wąskie, wykute z białego marmuru. Oddychałam płytko i urywanie, a w czasie marszu z Cruithnami często nie dojadłam. Słyszałam, jak ludzie i konie skręcają w bok i zazdrościłam im. Rouse też dyszał, a Hiacyntowi oddech rwał się w gardle; Drustan szedł z ponurą, zdeterminowaną miną i nie okazywał śladu zmęczenia, choć wspinaczka musiała być dla niego trudniejsza niż dla nas.

Joscelin... Joscelin był kasjelitą. Przebiegł mile za koniem woja

Guntera, przez głębokie śniegi, i na koniec dyszał, ale z nienawiści. Odtrąciłam jego rękę, kiedy chciał ująć mój łokieć, żeby mi pomóc wejść po schodach.

A białowłosy Gildas nie miał nawet zadyszki.

Dotarliśmy do świątyni.

Wygląda na to, że jest mi pisane oglądać rzadkie, wspaniałe widoki w stanie skrajnego wyczerpania, zbyt wielkiego, żeby mogły mnie zachwycić. Na szczycie tej samotnej wyspy, gdzie kolumny z marmuru wznosiły się w niebo jak modlitwa do obojętnego boga, pochyliłam się i walczyłam o oddech, wbijając wzrok w samotną postać stojącą pośrodku świątyni.

Był wysoki, odziany w szarą szatę podobną do tych, jakie nosili słudzy, a jednak inną, bo kolor zmieniał się pod otwartym niebem, na przemian ciemny i jasny w zmiennym świetle; poza tym, choć wiał wiatr, fałdy zwisały bez ruchu. Włosy miał długie i rozpuszczone, szare jak żelazo; potem one też się zmieniły wraz z barwą pomykających chmur. Stał plecami do nas, przy trójnogu z dużą misą z brązu, szeroką i płytką.

– Chodźcie – powiedział Gildas.

Podążyliśmy za nim po białych płytach z marmuru.

Wysoki mężczyzna odwrócił się, kiedy podeszliśmy, i popatrzył na nas oczami zielonymi jak morze, osadzonymi w starożytnej, pierwotnej twarzy okolonej stalowoszarymi lokami, twarzy białej jak muszla i starszej niż kości, zmiennej i płynnej, promieniującej mocą, która pochodziła z głębin oceanu.

Miałam przed sobą oblicze z wody, straszliwe i potężne.

Tamto było tylko wysłannikiem, myślą zrodzoną z zakorzenionego w morzu umysłu, wyciągniętą ręką mocy. Pan Cieśniny stał tutaj.

– Panie – szepnęłam i uklękłam.

Drustan mab Necthana wysunął się przede mnie, krzyżując spojrzenie z Panem Cieśniny. Silny wiatr poderwał poły jego szkarłatnego płaszcza.

– Władco Wód, dałeś słowo – rzekł spokojnie. – Kiedy Cullach Gorrym zawładnie Albą, pozwolisz na przeprawę. Dlaczego sprowadziłeś nas tutaj?

Pan Cieśniny uśmiechnął się, a jego oczy pojaśniały jak mgła prześwietlona promieniami słońca.

– Zostałeś ostrzeżony, młody cruarcho – powiedział i choć jego usta się poruszały, słowa rodziły się jakby z wiatru, rozbrzmiewając echem wokół otwartej świątyni. – Zostałeś ostrzeżony... Albijczyku.

Skaldowie twierdzili, że mam dar języków, i widzieli w tym czary, choć to Delaunay nauczył mnie władania cudzoziemską mową. Pan Cieśniny miał prawdziwie czarodziejski dar. Przysięgam, słyszałam słowa w d'Angelińskim, ale Drustan słyszał w cruithne i odparł w ojczystym języku:

– Władco Wód, ostrzegłeś nas jak myśliwy, który wyklada przynętę. Dlaczego nas tu sprowadziłeś?

Zastanawiałam się gorączkowo, nie wstając z klęczek. Drustan miał rację, najpierw osłodzona miodem obietnica bezpiecznego przejścia, potem rzucone mimochodem ostrzeżenie, łatwe do zignorowania. Pan Cieśniny zastawił na nas pułapkę, na pewno nie bez powodu. Chciał czegoś od nas. Czego? Obok mnie ręce Joscelina krążyły przy rękojeściach sztyletów. Kwintyliusz Rousse stał jak byk gotowy do szarży, z pochyloną głową. Hiacynt słańiał się, z trudem utrzymując się na nogach.

– Dlaczego? – mruknął z zadumą Pan Cieśniny, a morski wiatr westchnął wokół nas. Założył ręce do tyłu i popatrzył na daleki ocean. – Dlaczego. – Odwrócił się w naszą stronę, jego oczy były

ciemne jak burzowe chmury. – Władam tu od ośmiuset lat, przykuty do tej skały, odtracony przez ziemię i niebo! – Podniósł głos, wiatr smagnął nas dotkliwie, chmury się zakotłowały, a morze w dole uderzyło z furią w urwiska. Włosy Pana Cieśniny wzniosły się na wietrze, tworząc wokół oblicza straszną koronę. – Osiemset lat! A ty pytasz mnie, dlaczego?

Tkwiliśmy na swoich miejscach, opierając się wichurze. Pomiedzy uniesionymi do twarzy palcami widziałam, jak Drustan mab Necthana pochyła się, mrużąc oczy.

– Dlaczego?! – zapytał, starając się przekrzyczeć wiatr. – Władco Wód, uczyniłeś zakładników z moich ludzi! Dlaczego?

Wiatr zamarł i Pan Cieśniny znowu się uśmiechnął, jego oczy przybrały zielony kolor morza.

– Albijczyku... – wypowiedział to słowo z lubością. Wyciągając rękę, wskazał złoty sygnet, pierścień Rolanda, na rękę Drustana. – Masz odwagę żyć marzeniem, które mnie uwolni. Twoja matka to widziała, w ciemności za swoimi oczami. Łabędź i dzik. Albijczyk i D’Angelina, miłość na przekór światu. Ale to tylko połowa.

Zrozumiałam. Dzięki naukom Delaunaya potrafiłam usłyszeć to, co nie zostało powiedziane, oraz dostrzegać związki kryjące się pod powierzchnią. Wstałam.

– Panie, rozumiem – powiedziałam ostrożnie. – Jesteś tutaj uwięziony, związany z tą wyspą niezależnie od swojej woli. Pragniesz zerwać tę więź. Potrzebne są dwie rzeczy. Jedną jest unia Albijczyków i D’Angelinów, przypieczętowana przez zaręczyny Drustana z Ysandrą. Jaka jest druga?

– Ach... – Zrobił krok ku mnie i pieszczotliwie pogładził moją twarz, jakby miał dar przemiany ciała w wodę. Zamknęłam oczy i zadrżałam. – Ta, która słucha, słyszy i myśli. To dobrze.

Nazwałaś zagadkę. Podajcie drugą część rozwiązania, a odejdziecie w pokoju. – Zabrał rękę, przesunął nią nad płytką misą. Szeroki rękaw jego szaty przybrał brązowy odcień.

Woda w misie zafalowała i uspokoiła się, odbijając nie niebo, ale twarz Ysandry de la Courcel. Królowa siedziała na prowizorycznym tronie, a za jej plecami rozciągał się obóz wojenny. Drustan krzyknął urywanie, a Kwintyliusz Rouse przycisnął pięść do czoła.

– Odpowiedzcie na nią do końca – powiedział Pan Cieśniny z uśmiechem. Barwa jego oczu przywodziła na myśl stare, wybielone kości. – A ja udzielę wam pomocy. Jeżeli zawiedziecie, pochłonie was morze. – Wskazał na zachodnie niebo, gdzie słońce świeciło czerwono nad wodą. – Daję wam jedną noc. Kiedy jutro słońce stanie wysoko nad głową, albo usłyszę odpowiedź, albo zgotuję wam zgubę.

SIEDZIEDZIESIĄT SIEDEM

Gildas prowadził nas do wieży, która wyrastała w niebo z niższego wierzchołka. Szliśmy w dół po szerokich marmurowych stopniach z drugiej strony świątyni, potem szeroką, brukowaną ścieżką.

Szliśmy w milczeniu, zagubieni we własnych myślach, a przed nami kładły się czarne, wydłużone cienie. Zachodzące słońce oświetlało wieżę, nasycając złotem szare ściany, odbijając się od kolorowych cudownych i drogocennych szybek w wykuszach. Okna ze wszystkich stron otaczały komnatę na samym szczycie wieży i dwie niższe kondygnacje.

Śliczny widok; wprawiłby mnie w zachwyt, gdybym nie była taka otępiąła. Weszliśmy do salonu, gdzie czekał na nas rząd schłodzonych służących, zwyczajnych mężczyzn i kobiet – wyspiarzy, jak przypuszczałam – odzianych w proste płócienne stroje.

– Otoczyliśmy opieką waszych towarzyszy podróży, a konie są w stajni – powiedział Gildas patetycznym tonem, który wcale nie sprawiał wrażenia sztucznego. – Tutaj nie spotka was krzywda. Pan oferuje gościnę, ciepłą kąpiel, suche ubrania, wino i wieczerzę.

– A reszta moich ludzi? – zapytał Drustan, kiedy już przetłumaczyłam. – Czy ten... ten kapłan ręczy za ich bezpieczeństwo?

Powtórzyłam pytanie w ojczystym języku. Gildas uklonił się, szara szata zaszeleściła i pozostała szara, w przeciwieństwie do

stroju jego Pana.

– Pierwsza Siostra leży... tam – powiedział, wskazując południe. – Jakies dziesięć mil stąd. Nie brakuje na niej krów, kur i jabłeczniaka. Wasi ludzie bezpiecznie dobili do brzegu. Ani was, ani ich nie spotka krzywda. Przysięgam na własną głowę.

Drustan musiał być zadowolony, podobnie jak Kwintyliusz Rousse, którego marynarze towarzyszyli czeredzie Cruithnów.

– Czy Pan Cieśniny zasiądzie z nami do wieczerzy? – zapytałam.

Gildas pokręcił głową.

– Nie, pani. Będziecie cieszyć się własnym towarzystwem.

– Słuchasz mu. – Popatrzyłam na jego szaty, kontrastujące z prostym odzieniem cierpliwie czekających sług. – Jesteś jego kapłanem?

Zawahał się.

– Poniekąd. Obaj z Tilianem napełniamy brązową misę morską wodą, raz o wschodzie, raz o zachodzie słońca. I czasami mówimy jego głosem, kiedy zachodzi potrzeba. Tak, mamy zaszczyt mu służyć. Ale my, którzy urodziliśmy się na Trzech Siostrach, nie możemy złamać *geis*.

Wspomniałam brązową misę na trójnogu, płytką, ale szeroką. Dwa razy dziennie schodzili po tych nieskończone długich schodach nad morze i wracali z wodą; dzisiaj odbyli podróż trzy razy, z naszego powodu. Nic dziwnego, że nie miał zadyszki.

– Jego więź nie może zostać zerwana przez kogoś, kto urodził się na wyspach?

Po kolejnej chwili milczenia Gildas leciutko skłonił głowę.

– Jak mówisz. Czy zaszczytis nas, przyjmując naszą gościnę?

– Tak – odparłam. Odmawianie nie miałooby sensu. – Dziękuję – dodałam, gdyż nieświadomie dał mi klucz do rozwiązania

zagadki. Uznał, że wyrażam wdzięczność za zaproszenie, a ja nie wyprowadziłam go z błędu.

Tak, pomyślałam. Na pewno o to chodzi.

Nie wiem, co się stało z pozostałymi, ale mnie zaprowadzono po krętych schodach do przestronnej komnaty. Moimi przewodniczkami były trzy służące, jedna młoda i dwie w średnim wieku, ciche i poważne. Nie przypuszczam, by miały wiele powodów do śmiechu na służbie u Pana Cieśniny.

Przepysznie urządzona komnata zrobiła na mnie wrażenie, choć wychowałam się w Dworze Nocy i przywykłam do zbytków. Już samo łóżko budziło zachwyt, z hebanowymi słupkami wyrzeźbionymi w fantastyczne formy i aksamitną narzutą ze złotymi pędzlami. Wanna była z marmuru, a konwie, w których przyniosły gorącą wodę, wykonano ze srebra.

– Skąd to wszystko pochodzi? – zaciekawiałam się, rozpinając broszę i zdejmując sztywny od soli płaszcz. Najmłodsza służąca, rozsznurowująca mój gorset, zobaczyła markę i stłumiła westchnienie.

– Z bogactwa, jakie spoczywa na dnie morza – odparła jedna ze starszych kobiet, wlewając parującą wodę do wanny.

Wraki statków, pomyślałam, zdejmując ubranie.

Teraz wszystkie zaszepotały z nabożeństwem.

Wtedy uświadomiłam sobie, na czym polega różnica. Ci wyspiarze byli prostymi wieśniakami, więc nie można było oczekiwać po nich zbyt wiele... Ale jeśli mieli w żyłach krew Elui i jego Towarzyszy, to nie znajdowało to odbicia w ich pospolitych twarzach. Nie, ci tutaj byli zwyczajnymi śmiertelnikami, od wieków związanymi z tą ziemią, pozbawionymi darów i piękna, które w Terre d'Ange charakteryzuje przedstawiciele nawet najniższego stanu. Elua kochał również pasterki i młodych

rybaków, nie tylko wielmożów, i było to widać we wszystkich ich potomkach. We krwi tego ludu Elua i jego Towarzysze nie pozostawili najmniejszego śladu.

Potem weszłam do wanny i przestałam o tym rozmyślać.

Gorąca kąpiel poprawia nawet najbardziej ponury nastrój; nieraz przekonałam się o prawdziwości tego stwierdzenia. Poza tym zawsze lubiłam pławić się w luksusie, co przyznaję bez wstydu. Od czasu pobytu w zamku de Morhbana traktowano mnie inaczej, niż byłam przyzwyczajona, dlatego bez namysłu poddałam się zabiegom troskliwych służących. Uzbrojone w mydło i perfumowane oleje, grzebienie i nożyczki, pieśczośliwie usunęły ze mnie ślady morskiej podróży, forsownej jazdy, wojny i jej okropieństw.

Mogłabym żyć w takich warunkach, pomyślałam.

Potem pomyślałam o Panu Cieśniny i zadrżałam.

Gdy wyszłam z kąpeli, przyniosły ubranie, staromodne i zachwycające. Bogactwa z dna morza. Zastanowiłam się, czy kufer zawierał suknię, którą wybrałam? Była z brązowego atłasu, ciężkiego i lśniącego, z naszytym wokół dekoltu szerokim na dłoń pasem perełek. Szpilka, też ozdobiona perłami, posłużyła do spięcia moich kruczoczarnych loków.

Tak, nie przeczę, podziwiałam strój w lustrze z ciemnego szkła w masywnej złoczonej ramie. Czy mogłam postąpić inaczej? Czy ktoś inny nie zrobiłby tego, będąc na moim miejscu?

Lokaj dyskretnie wsunął się do pokoju, ukłonił się i zaprosił mnie na kolację.

W jadalni były wykusze, a w nich okna z kolorowymi szybami. Na długim stole nakrytym białym lnianym obrusem stała srebrna zastawa. Moi towarzysze już siedzieli. Kwintyliusz Rousse wstrzymał oddech, gdy weszłam.

– Fedro, pani – powiedział z ukłonem i wyciągnął rękę.

Wyglądało na to, że wszyscy spotkaliśmy się z podobnym przyjęciem. Admirał prezentował się olśniewająco w rdzawym żakiecie i brokatowej kamizelce, z pianą koronkowego żabotu na szerokim torsie. Hiacynt miał ciemnogrnatowy wams z grafitowymi rozcięciami w rękawach. Nigdy nie widziałam go w stroju innym niż cygański; wyglądał w każdym calu jak młody arystokrata, choć z rysem melancholii. Joscelin był ubrany na czarno, na jego piersi lśnił srebrny łańcuch z czworokątnych ogniwek, a warkocz wił się po plecach jak marka. Kasjelicka broń stanowiła dziwny dodatek do tego stroju; dobrze, że zrezygnował choć z miecza.

Drustan wyglądał z nas wszystkich najdziwniej. Miał fular na szyi, czarną jedwabną koszulę, szare spodnie z moleskinu i żakiet z soczyście czerwonego aksamitu. Twarz pokryta niebieskimi spiralami wojownika Cruithne wydawała się egzotycznym dodatkiem. A jednak w jakiś szczególny sposób ten ubiór do niego pasował.

Dygnęłam, oni się ukłonili. Kwintyliusz Rousse podprowadził mnie do krzesła i zasiedliśmy do wieczerzy. Podjedliśmy dobrze w zamku Pana Cieśniny, wśród otaczających nas ciemnych okien, obsługiwani przez służących, którzy mieli spuszczone wzrok. Jedliśmy i mówiliśmy niewiele, dopóki talerze nie zostały opróżnione. Służący wniósł z ukłonem tacę z karafką likieru i pięcioma kieliszkami. Rousse nalał.

– A zatem... – powiedział, wypił i oblizał usta. Głośno postawił kieliszek na polerowanym blacie stołu i powiódł po nas bystrym wzrokiem. – Mamy zagadkę do rozwiązania. Czy zabierzemy się za nią wspólnymi siłami?

Nikt nie odpowiedział. Skosztowałam likieru; palił w gardło,

słodki i przyjemny. Podniosłam się z kieliszkiem w rękę, podeszłam do okna i spojrzałam w ciemną noc, na niewidoczne morze. Do czego wyszkolił mnie Delaunay, jeśli nie do tego? Do wysnuwania i rozplątywania nici zagadek. Na tej wyspie mówiono językiem ze starożytnych ballad. Przycisnęłam czoło do chłodnej, gładkiej szyby.

– Wiesz.

Cicho wypowiedziane słowo w języku cruithne. Nie odwróciłam się do Drustana mab Necthana, tylko pokiwałam głową, odrywając ją od szkła. Czytałam tysiące starożytnych opowieści, w d’Angelińskim, caerdicci, skaldyjskim, cruithne. Tłumaczenia z helleńskiego, który dopiero zaczęłam poznawać. Wiedziałam. Wszystko miało swój wzór, swoją strukturę, a ja zostałam nauczona dostrzegania takich rzeczy. Wiedziałam.

Drustan głośno zaczerpnął tchu.

– Jest cena.

Przyłożyłam rękę do szyby, jasny kontur na tle ciemności.

– Zawsze jest jakaś cena, cruarcho. Tak się składa, że tę warto zapłacić.

Wstał i uklonił się. Odwróciłam się, by spojrzeć mu w oczy.

– O czym oni mówią? – zapytał Kwintyliusz Rouse ze zdumieniem. – Do kroćset akadyjskich diabłów... myślałem, że siedzimy tutaj, żeby wyjaśnić tajemnicę!

– Zapytaj Fedrę – powiedział Hiacynt głuchym głosem, unosząc znękaną twarz. – Ona uważa, że ją wyjaśniła. Zapytaj, a przekonasz się, czy odpowie. – Przeciągnął po twarzy rękami i opuścił je bezradnie.

– Jeśli ja mam rozwiązać zagadkę do końca, uczynię to – powiedziała cicho. – Nie zazdrość mi tego, Hiacyncie.

Parsknął zduszonym śmiechem i podniósł się chwiejnie.

– Delaunay powinien zostawić cię tam, gdzie cię znalazł! Żałuję dnia, w którym nauczył cię myśleć.

Na to też nie miałam odpowiedzi. Hiacynt złożył mi drwiący ukłon w najlepszym stylu Księcia Podróżnych, rozcięcia w jego rękawach wydeły się wymownie. Kwintyliusz Rouse ściągnął brwi, potrząsając głową.

– To mi się wcale nie podoba – warknął, z roztargnieniem biorąc ciastko z tacy ze słodyczami. – Skoro znasz rozwiązanie, dziewczyno, podziel się nim z nami! Co pięć głów, to nie jedna!

– Nie zrobię tego, admirale. Nie. Gdyby Anafiel Delaunay znalazł tę odpowiedź, też nie zdradziłby jej nikomu. Nie mogę. Jeśli dojdziecie do tego sami, to inna sprawa.

Kwintyliusz Rouse burknął coś na temat głupoty Delaunaya. Joscelin nerwowym krokiem przemierzył pokój i stanął przy mnie z rękami założonymi do tyłu, patrząc w ciemność.

– Czy rozwiązanie mi się nie spodoba? – zapytał cicho.

Pokręciłam głową.

– Nie.

Spoglądał na niewidoczne morze, dopóki nie położyłam ręki na jego ramieniu.

– Joscelinie. – Popatrzył na mnie z ociąganiem. – Odkąd zostałeś wyznaczony na mojego strażnika, miałeś ze mną wieczne utrapienie. Na tysiąc sposobów wystawiałam na próbę twoje przysięgi, aż w końcu zostałeś wyklęty przez swoje Bractwo. Przysięgam ci, jeszcze tylko ten jeden raz. – Odchrząknęłam. – Gdybyśmy musieli... gdybyśmy musieli się rozstać, musisz to znieść. Zostałeś wyszkolony do służby Koronie, nie wychowanicy Dworu Nocy. Przysięgłeś swój miecz Ysandrze. Jeśli chcesz jej służyć, chroń Drustana. Obiecuj.

– Nie mogę – odparł cicho.

– Obiecuj! – Moje palce wbiły się w jego ramię.

– Wypełniam wolę Kasjela! Nic więcej nie mogę przysiąc.

To musiało wystarczyć. Nie mogłam prosić o więcej, niż mogłam dać. Puściłam go.

– Nawet Kasjel nagiął swoją wolę, służąc Elui – burknęłam. – Pamiętaj.

– A ty pamiętaj, że nie jesteś Eluą – powiedział cierpko Joscelin.

SIEDEMDZIESIĄT OSIEM

Nie spałam dobrze tej nocy w bajecznym łożu z hebanowymi słupkami. Zbyt wielki ciężar leżał mi na sercu, zbyt wiele miałam na głowie. Raz wstałam i ze świecą w ręku wyjrzałam z komnaty na podest, patrząc na zamknięte drzwi sypialni moich towarzyszy. Chciałam pójść dokądś, do kogoś, lecz nie wiedziałam do kogo.

Wróciłam do pustego łoża i zapadłam w niespokojną drzemkę. Chciałam, żeby był ze mną Delaunay.

Zbudziłam się w pomiętej, skłębionej pościeli. Wstał dzień i ja też wstałam; znalazłam bibliotekę z setkami książek uważanych za zaginione. Po leżeniu w wodzie kartki były grube i sztywne, a wypisane inkaustem słowa rozmazane, lecz dające się odczytać. Wypatrzyłam tom poematów słynnej helleńskiej poetki, znanych mi tylko z fragmentów; maestro Gonzago oddałby własne zęby, żeby dostać je w swoje ręce. Czytałam powoli, próbując tłumaczyć na d'Angeliński, żałując, że nie mam pióra i papieru. Były piękne, tak piękne, że rozplakałam się i zapomniałam, gdzie jestem. W końcu przyszedł po mnie Tilian.

Dochodziło południe.

Służący poprowadzili nas szeroką, krętą ścieżką; dziwne, jak bardzo wydawała się znajoma. Pan Cieśniny czekał na nas w swojej świątyni, otwartej ze wszystkich stron na wiatr.

Nigdy wcześniej nie rozumiałam, jak można z własnej woli składać się w ofierze. Pomyślałam o Elui, otwierającym dłoń pod ostrzem. Pomyślałam o Jezui, zajmującym swoje miejsce na

krzyżu. Nie ma dwóch jednakowych ofiar, a jednak wszystkie w ostatecznym rozrachunku są takie same. Każda ofiara jest wyrazem bezgranicznego oddania temu, w co się wierzy.

– Znacie odpowiedź? – zapytał Pan Cieśniny. Jego głos wzniósł się jak wiatr, oczy miały kolor słońca odbitego w wodzie.

Zadrżałam, ale czekanie na innych byłoby tchórzostwem. Nikt się nie odezwał.

– Tak, panie – powiedziałam cichym głosem, głosem śmiertelnika. Uniosłam głowę i spojrzałam w zmienne jak morze oczy. – Któreś z nas musi zająć twoje miejsce.

Usłyszałam zdesperowany śmiech Hiacynta.

Pan Cieśniny skierował na mnie spojrzenie pełne burzowych chmur.

– Jesteś gotowa odpowiedzieć do końca?

Joscelin z sykiem wciągnął powietrze, zaciskając pięści nad sztyletami. Kwintyliusz Rousse chrząknął ze zdziwienia, a Drustan ze spuszczoną głową okręcał sygnet na palcu. On odgadł. Najstarsze dzieci Ziemi lepiej znają pradawne opowieści i niezmiennie koleje przeznaczenia.

– Tak – szepnęłam. – Tak, panie.

– Nie.

Przez chwilę nie byłam pewna, kto to powiedział. Głos nie przypominał znanego mi głosu Hiacynta. Mój niefrasobliwy Książę Podróżnych... Już nie był niefrasobliwy, od śmierci Moiready. Parsknął zduszonym śmiechem i przegarnął palcami czarne kędziory.

– Wezwałeś mnie, panie, a ja przybyłem. Zostanę.

Pan Cieśniny milczał.

I wtedy zrozumiałam, że wszystko to, co wydarzyło się wcześniej, było tylko grą.

– Nie – szepnęłam, odwracając się do Hiacynta. Uniosłam rękę i ujęłam jego twarz, która była mi tak znana jak własna. – Hiacyncie, nie!

Delikatnie złapał mnie za nadgarstki.

– Breidaia w swoim śnie widziała mnie na wyspie, Fedro, pamiętasz? A ja nie mogłem zobaczyć brzegu. Dla mnie Długa Droga kończy się tutaj. Ty rozwiązałaś zagadkę, ale to ja tu zostanę.

– Nie – powtórzyłam i zaraz potem krzyknęłam: – Nie! – Odwróciłam się do Pana Cieśniny, niewzruszonego moją rozpaczą. – Szukasz kogoś na swoje miejsce. Ty wymyśliłeś zagadkę, a ja ją rozwiązałam! Ja odpowiem do końca!

– Na tych brzegach to nie tylko zagadka. – W jego głosie brzmiał smutek, osiemsetletni smutek. Słońce stało wysoko i twarz Pana Cieśniny pograżyła się w cieniu, gdy pochylił głowę.– Ten, kto zdejmie ze mnie okowy, przejmie moją moc. Nazwij jej źródło, jeśli chcesz być godna tej służby.

Joscelin odwrócił się z krzykiem. Sądzę, że do tej pory wierzył, iż sam znajdzie sposób, aby odpowiedzieć. Uniosłam twarz do słońca, myśląc i rozpamiętując. Biblioteka w wieży, zaginione wiersze. Biblioteka Delaunaya, w której przesiedziałam tyle smętnych godzin, zmuszona do nauki, choć wolałabym zabawiać klientów... Oddałabym wszystko, żeby cofnąć czas. Alcuin, z kaskadą włosów przysłaniających twarz, mozolący się nad starożytnymi kodeksami. Głos Joscelina, niezwykle lekki, pozwalający ujrzeć pod kasjelicką dyscypliną syna uczonego pana z Siovale: “Ma tutaj wszystko prócz Zaginionej Księgi Razjela. Czy Delaunay naprawdę zna pismo Jezuitów?”.

Elementy układanki trafiły na swoje miejsca. Opuściłam głowę i zamrugałam.

– Księga Razjela, panie.

Pan Cieśniny już odwracał się w moją stronę.

– Tylko stronice. – Głos Hiacynta miał głucho brzmiące. – Stronice z Zaginionej Księgi Razjela, którą Bóg Jedyny podarował Edomowi, pierwszemu człowiekowi, aby dać mu władzę nad ziemią, morzem i niebem, a następnie zabrał za nieposłuszeństwo i cisnął w głębiny. – Pan Cieśniny znieruchomiał i popatrzył na niego z zadumą. Hiacynt zaśmiał się rozpaczliwie, *dromonde* przyćmiło jego ciemne oczy, wreszcie widzące. – Dar od twojego ojca, prawda? Admirał nazywa go Władcą Głębiny i rzuca mu złote monety, przesądny jak wszyscy żeglarze. Jeszuici nazywają go Księciem Morza, zwą go aniołem Rahabem, pysznym i zarozumiałym, który upadł, został rozłupany i na powrót scalony, który upadł, ale nigdy się nie podporządkował. – Słowa coraz szybciej płynęły z jego ust, jedno goniło drugie, puste oczy spoglądały w głąb tunelu ośmiuset stuleci. Wspomniałam płonące ognisko, muzykę skrzypiec, Hiacynta grającego na bębenu, sędziwą staruszkę szepczącą mi do ucha. “Nie wiesz, że *dromonde* pozwala spoglądać nie tylko do przodu, ale również wstecz?”. – On cię spłodził, panie, z d’Angelińską dziewczyną, która kochała innego. Która kochała Albijczyka, syna Cullach Gorrym, śmiertelnika, jedno z najstarszych dzieci Ziemi. Czy nie tak?

– Tak – mruknął Pan Cieśniny.

Hiacynt przeciągnął rękami po twarzy.

– Cieśnina była wtedy otwarta, droga wolna... On zabrał ją tutaj, na tę wyspę, na Trzecią Siostrę, wciąż nietkniętą przez stopy potomków Elui, i ona tutaj cię urodziła... Kochała cię, ale śpiewała w smutku niewoli jak ptak w klatce, aż w końcu jej pieśń popłynęła za wodę... Albijczyk, który ją miłował,

przepłynął Cieśninę, żeby ją uwolnić... – Umilkł.

– Umarli. – Słowa wzniosły się wokół nas jak szum fal, przepełnione odwiecznym smutkiem. – Podniosły się fale i wywróciły łódź. Pochłonęła ich głębina. Wiem, gdzie spoczywają ich kości. – Pan Cieśniny patrzył na morze ze swojej rozległej, otwartej świątyni. Jego płynne rysy zastygły w masce żalu.

– Bóg Jedyny ukarał nieposłuszeństwo Rahaba i narzucił mu swoją wolę – wyszeptał Hiacynt. – Ale Rahab zemścił się za serce kobiety, którym nie mógł zawładnąć, i za swoją utraconą wolność. Zemścił się na tobie, panie. Obłożył cię *geis*. Zebrał w głębinie rozrzucone stronice, by dać ci władzę nad morzami, i przykuł cię tutaj, żeby Alba i Terre d'Ange pozostały rozdzielone przez wody, dopóki znów nie narodzi się miłość dość śmiała, aby je przekroczyć... i dopóki nie znajdzie się chętny na twoje miejsce.

Pan Cieśniny przemówił z nieodwołalnością fali rozbijającej się o brzeg i wtedy zrozumiałam, że przegrałam.

– Tak.

Hiacynt wyprostował ramiona. Twarz mu pojaśniała i roześmiał się, tym razem z niekłamaną radością.

– Czy w takim razie mogę służyć, panie?

– Będziesz służyć. – Pan Cieśniny pochylił głowę, jego oczy przybrały pełen współczucia ciemnoniebieski kolor. – Czeka cię długie, samotne terminowanie, dopóki nie będziesz gotów przejść łańcuchów mojego *geis*. Wtedy ja, oswobodzony, opuszczę ziemię i podążę ścieżką Elui tam, gdzie z otwartymi ramionami wita się bękartów Niebios.

– Wykorzystałeś nas bezlitośnie, Starszy Bracie – mruknął posępnie Kwintyliusz Rousse. – Co stanie się z chłopakiem?

– Potraktowałem was łagodniej, niż los doświadczył mnie. –

Pan Cieśniny zwrócił ku niemu nieubłagane oblicze. – Morze cię ukochało, przyjacielu żeglarzu; poczytaj to za dobrodziejstwo. Połowa twoich ludzi zginęłaby w czasie przeprawy, gdybym nie roztoczył nad nimi pieczy. Mój następca będzie związany z tą wyspą. Klątwa nie zostanie zdjęta, dopóki Bóg Jedyny nie daruje kary mojemu ojcu, a On ma długą pamięć.

– Co z Cieśniną? – zapytał Drustan w crudine. Ze zmarszczonym czołem próbował nadążyć za naszą rozmową. Hiacynt mówił po d’Angelińsku, lecz mimo to Drustan sporo zrozumiał. – Czy przeprawa wciąż będzie zakazana?

– Ty masz klucz. – Błada ręka znów wskazała złoty sygnet na jego palcu. – Ozeń się i otwórz zamek.

– Nic poza dwudziestoma tysiącami wyjących Skaldów i zdrajcami z Kamlachu nie stoi na przeszkodzie – rzekł cierpko Kwintyliusz Rousse. – Podczas gdy my mitrężymy czas na tej samotnej skale pośrodku morza, bez wojska w zasięgu wzroku.

– Obiecałem wam pomoc – odparł obojętnie Pan Cieśniny. – I pomogę. – Przesunął ręką nad brązową misą i woda się zburzyła. – Pokażę wam, co zaszło w Terre d’Ange. Waszych ludzi z końmi i bronią doprowadzę bezpiecznie do brzegu. Nic więcej nie mogę zrobić. Chcecie zobaczyć?

Popatrzyli na mnie. Zaskoczona, odpowiedziałam spojrzeniem i poczułam, że drzę. Naprawdę, jest granica tego, co można ogarnąć umysłem w ciągu jednego dnia. Przygotowałam się, że do końca życia będę związana z tą samotną wyspą. Trudno jest zawrócić ze ścieżki, gdy już się na nią wstąpiło.

– Nie – odparłam, kręcąc głową i starając się zapanować nad głosem. – Panie, jeśli można... proszę o trochę czasu, choć godzinę. Mogę?

– Możesz. Poślę po was godzinę przed zachodem słońca. –

Uklonił się i zwrócił do Hiacynta: – Daję ci ten jeden dzień. Wiedz jednak, że twoje stopy nigdy nie opuszczą tej ziemi.

Hiacynt pokiwał głową, ze smutkiem w oczach.

Rozumiał.

W wieży, w salonie z oknami bez szyb, podniesionym głosem poprosiłam o wino. Słudzy podskoczyli i w mig spełnili polecenie; w tej chwili nie dbałam o ich uczucia. Wypiłam pół kieliszka i popatrzyłam twardo na Hiacynta. Inni odeszli, zostawiając nas samych.

– Dlaczego? – zapytałam. – Dlaczego to zrobiłeś?

Uśmiechnął się lekko, bawiąc się kieliszkiem. Miał ciemne półksiężycy pod oczami, ale teraz, gdy najgorsze miało dopiero nadejść, bardziej przypominał dawnego Hiacynta.

– Bez ciebie nie odgadłbym odpowiedzi. Nie znałem jej. Była taka rozległa, nie mogłem jej zobaczyć. – Napił się wina i spojrzał w okno. Wiedziałem, kiedy zobaczyłem wyspę, że moja droga tutaj się kończy. Nie rozumiałem tylko dlaczego. Zeszłej nocy, kiedy spostrzegłem, że ty wiesz, opadł mnie strach.

– Hiacyncie... – Głos mi się załamał, gdy wyszeptałam jego imię, łzy zapiekły mnie w oczy. – Naród, który prowadzi wojnę, nie potrzebuje *anguisette*. Ja powinnam tu zostać. Pozwól mi.

– A ja co mógłbym robić? – zapytał łagodnie. – Rzucić kamieniami w Skaldów? Dobijać rannych? Przepowiadać im przyszłość? Naród, który prowadzi wojnę, nie potrzebuje półkrwi Cygana, który nie umie obchodzić się z bronią.

– Masz *dromonde*! To więcej, niż ja mam do zaofiarowania!

– Właśnie *dromonde* mnie tutaj sprowadziło, Fedro. – Hiacynt ujął moje ręce i popatrzył na nasze splecione palce. – *Dromonde* oddzieliło mnie i od D'Angelinów, i od Cyganów. Skoro doprowadziło mnie do miejsca, które mogę nazwać swoim,

pozwól mi zostać. – Puścił moje ręce i dotknął diamentu na mojej szyi. – Kusziel naznaczył cię jako swoją własność – rzekł cicho. – Nie wiem, jaki cel miał na myśli, gdy wypuszczał swoją Strzałę, ale na pewno nie chodziło o Pana Cieśniny.

Zadrżałam i odwróciłam wzrok.

– Poza tym ten przeklęty kasjelita zawróciłby w chwili, gdy tylko dotarlibyśmy do suchego lądu – dodał kpiącym tonem. – Przepłynąłby wpływ Cieśninę i porachował się z nami. Źle, bo zaślepia go przysięga, ale zadurzenie w tobie sprawia, że stanowi prawdziwe zagrożenie.

– Joscelin...? – Zaskoczona, podniosłam głos. Joscelin popatrzył na mnie z drugiego końca sali, pytająco unosząc brwi. Gdy pokręciłam głową, odwrócił się z powrotem do admirała Rousse.

– Eluo, miej go w opiece, gdy to sobie uświadomi. – Hiacynt przesunął palcem po moich brwiach, musnął rzęsy naznaczonego szkarłatem oka. – I ciebie.

– Hiacyncie – powiedziałam błagalnie, odsuwając się od niego. Powiodłam wzrokiem po surowo urządzonej komnacie. – Popatrz na to... na to miejsce. Jesteś ostatnią osobą na świecie, która powinna tu trafić! Bez przyjaciół, bez śmiechu i muzyki... oszalejesz!

Rozejrzał się i wzruszył ramionami.

– Nauczę Pana Cieśniny grać na bębenku, a fale tańcować. Co mam ci powiedzieć, Fedro? Skoro ty w środku zimy przeżyłaś przejście przez Góry Kamaelińskie, ja jakoś przetrwam na tej samotnej wyspie.

– Osiemset lat.

– Możliwe. – Hiacynt wsparł brodę na rękach. – Książę Podróżnych, przykuty do skały. To zabawne, nieprawdaż? – Znowu wzruszył ramionami. – Gdzieś tutaj jest ukryta reszta

Zaginionej Księgi Razjela. Zawsze byłem dobry w znajdowaniu różnych rzeczy. Kto wie? Może na tych zatopionych stronicach jest coś, co mnie uwolni. Albo może ktoś, kto jest dobry w rozwiązywaniu zagadek, znajdzie jakiś sposób. – Błysnął uśmiechem. – Nie byłbym zdziwiony, gdybyś ty dokonała tej sztuki.

– Nie... – zaczęłam, śmiejąc się przez łzy. – Hiacyncie, to nie jest śmieszne.

– Jest, odrobinę. – Popatrzył na mnie, poważniejąc. – Wyświadczyć mi przysługę, dobrze? – Pokiwałam głową. – Mój dom, stajnia... powinny przejść w ręce chłopaków z Progu Nocy. Przekaż je Emilowi, zostawiłem go na zastępstwie. Gdyby nawet z Miasta Elui miał nie pozostać kamień na kamieniu, on będzie wiedział co zrobić.

– Obiecuję.

– Dobrze. – Przełknął ślinę; zmierzanie się z konsekwencjami swojej decyzji, z realiami tego, co wybrał, wcale nie było łatwe. – I złożę ofiarę Błogosławionemu Elui w intencji mojej matki.

Pokiwałam głową i oczy zaszyły mi łzami.

– Anastazji, córki Manoja. – Wyparła się Cyganów i nauczyła swojego syna *dromonde*. Jak myślisz, co zobaczyła? *Lungo Drom* i kompanię, czy może coś innego, odbicie w oku z krwawą plamą? Co Hiacynt widział w moim, wiedziałam; widziałam odbicie w jego oczach, przez łzy – samotną wieżę na samotnej wyspie. – Zrobię to.

– Dziękuję. – Wstał i podszedł do okna, patrząc na fale ozłoczone promieniami popołudniowego słońca. Rouse, Drustan i Joscelin patrzyli na nas w milczeniu. Jeśli wcześniej tego nie wiedzieli, to z pewnością Joscelin powiedział im o naszej głębokiej przyjaźni. Drustan rozumiał caerdicci lepiej, niż mówił

w tym języku, i też wiedział swoje. Znałam Hiacynta dłużej niż Delaunaya, choć tylko o jeden dzień. Był moim przyjacielem, kiedy nikogo innego nie mogłam tak nazwać; był moją wolnością, gdy byłam w niewoli. Odwrócił się i popatrzył na mnie ponuro.

– Fedro, uważaj na Melisandę Szachrizaj.

Dotknęłam jej diamentu.

– Mówisz *dromonde*? – zapytałam z przestraczem.

Pokręcił głową.

– Nie – odparł ze smutnym uśmiechem. – W twoim życiu jest więcej dziwnych zwrotów niż w opowieściach bajdura. Wątpię, czy mógłbym zobaczyć coś więcej niż jutrzejszy dzień. Łatwiej spoglądać w tył, gdzie wszystko jest ustalone, niezależnie jak daleko sięgnie się wzrokiem. Mówię jako ktoś, kto cię zna, nic więcej. Jeśli nadarzy ci się okazja, żeby samotnie stawić czoło Melisandzie, nie korzystaj z niej.

– Naprawdę sądzisz, że za mało jej nienawidzę, żeby sobie zawierzyć? – zapytałam z gorzkim śmiechem. – Nie było cię ze mną w wozie, kiedy ocknęłam się po jej zdradzie.

– Byłem w Hippochampie, kiedy odrzuciłem swoje dziedzictwo, żeby wyrwać cię z transu, w jaki wpadłaś na sam jej widok. Nie wiem, co go wywołało, ale na pewno nie nienawiść. Nie powinna była spuszczać cię ze smyczy, kiedy raz założyła ci obrozę. Nie pozwól, by ponownie położyła na niej rękę.

Uczciwie powiedziane, bardziej niż uczciwie. Taka była prawda, skryta w mrocznym zakamarku mojej duszy; prawda, której nie chciałam przyjąć do wiadomości. Zagryzłam usta i pokiwałam głową.

– Nie zrobię tego. Błogosławiony Eluo, spraw, abym miała okazję posłuchać twojej rady.

– Dobrze. – Hiacynt popatrzył na nas wszystkich. – Jeśli nie

macie nic przeciwko... – rzekł cicho – chciałbym na chwilę zostać sam. Równie dobrze mogę zacząć się do tego przyzwyczajać, zanim się pożegnamy. A wy musicie zaplanować strategię kampanii, kiedy Pan Cieśniny pokaże wam, co potrafi. Będziecie potrzebować całego waszego pomysłu.

SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Było nas tylko czworo, gdy znów zgromadziliśmy się w świątyni.

– Jesteś gotów? – zapytał Pan Cieśniny w wielu językach naraz. Byłam tak odrętwiała z rozpacz, że już nie wydawało mi się to dziwne.

– Pokaż nam, panie, co chcesz – poprosiłam w imieniu nas wszystkich.

Pan Cieśniny przesunął ręką nad brązową misą. Szeroki rękaw jego szaty miał bursztynowy kolor w promieniach zachodzącego słońca.

– Patrzcie – powiedział. – Wojna.

Słowo to wyrażało całą grozę pogrążonych w wiecznym mroku zimnych głębin oceanu. Staliśmy wokół trójnoga i patrzyliśmy na obrazy tworzące się na powierzchni wody.

Skaldowie, dziesiątki tysięcy Skaldów uzbrojonych we włócznie, miecze i topory, w hełmach na głowach, z puklerzami na ramionach; tysiące Skaldów przekraczających d'Angelińskie granice na Północnych Przełęczach. Hordy Skaldów jadących przez równiny i ustawiających się wzdłuż Rhenusu, rzucających włóczniami w d'Angelińskie statki, zawracających i uciekających przed gradem strzał. Skaldowie na niższych przełęczach, odciągający d'Angelińskich żołnierzy na wschód.

A w górach Kamlachu czekał Izydor d'Aiglemort w lśniącej zbroi, mający na rozkazy pięć tysięcy ludzi skupionych pod płonąącym mieczem Sprzymierzeńców.

Przycisnęłam pięść do ust, patrząc w misę. Przecież wiedzieli o planie napaści Waldemara Seliga, sama im powiedziałam! Myślałam, że Ysandra mi uwierzyła. Czyżby to było wygórowane żądanie, uwierzyć na słowo słudze Naamy, zbiegłej skaldyjskiej niewolnicy? Skazanej zaocznie morderczyni, wspomniałam ponuro. Ale przecież Ysandra była dość mądra, żeby sięgnąć po informacje do innego źródła.

– Zaczekaj – powiedziałam do Pana Cieśniny.

Obrazy na wodzie uległy zmianie.

Skaldyjska horda spłynęła z Północnej Przełęczy niczym szarańcza, mordując wszystkich na swojej drodze. Ujrzałam Waldemara Seliga, potężnego na grzbiecie bojowego rumaka, dowodzącego lewym skrzydłem. Kolbjorn z Mannów, jego zaufany, miał pod komendą lewą flankę. Horda była rozciągnięta, skrzydła wyprzedzały środek; Skaldów było tak wielu, że to, czy D'Angelinowie wiedzieli o najeździe, czy nie, w zasadzie nie miało żadnego znaczenia.

Zobaczyłam sztandar Percy'ego de Somerville, jabłoń pod Srebrnym Łabędziem rodu Courcel, gdy trzon armii d'Angelińskiej wycofał się z południowych przełęczy, przegrupował i pomknął przez Namarre, żeby zetrzeć się ze Skaldami.

W górach Kamlachu Izydor d'Aiglemort uniósł rękę i wykrzyknął komendę. Czy wie, zastanowiłam się, że Selig go zdradził? Jego wojsko, czekające w zwartym szyku, było gotowe do zejścia na równiny. Kwintyliusz Rousse, głosem stłumionym przez łąy, ciskał przekleństwa na głowę diuka.

Nagle z niewiadomego powodu w szeregach wybuchło zamieszanie; Sprzymierzeńcy z Kamlachu zawracali, kłębili się bezładnie. Patrzyłam w wodę, próbując zrozumieć, co się dzieje.

A kiedy zobaczyłam, zapłakałam.

Ariergarda sił d'Aiglemorta runęła na jego własnych ludzi, raniąc i zabijając. Gdzieniegdzie, w miejscach gdzie bój był najbardziej zaciekle, powiewały prymitywne proporce zatknięte na drzewca włóczni; insygnia rodu Trevalion, trzy okręty i Gwiazda Nawigatora. Młodzi ludzie walczyli zażarcie. Widziałam usta otwarte w niemym krzyku, gdy zabijali i ginęli. Słyszałam ten okrzyk dawno temu, gdy jechali w pochodzie triumfalnym. Bau-doin! Bau-doin! Gaspar Trevalion wysłał Poszukiwaczy Chwały księcia Baudoina do Kamlachu, to był jego plan. Nie wiadomo, jaką rolę odegraliby w knowaniach Lwicy z Azalii, ale tego dnia w pełni spłacili swój dług.

Poszukiwacze Chwały księcia Baudoina de Trevalion nie ginęli samotnie. Wielu innych wśród Sprzymierzeńców z Kamlachu opowiedziało się po stronie Korony. Musieli wiedzieć, że to samobójstwo. Na moich oczach diuk d'Aiglemort zebrał wierne sobie wojsko, wykrzykując bezgłośnie rozkazy.

Wystarczyło ich, by zgnieść atak na d'Aiglemorta. Garść rebeliantów wyrwała się z pola bitwy i rzuciła do ucieczki przez góry. Wielu jeźdźców runęło w pogoń, ale diuk ich zatrzymał, żeby ocenić swoje siły. Był za mądry, by spieszyć się w bitwie.

Buntowników pochwyconych żywcem poddał przesłuchaniu. Jeden z nich – Poszukiwacz Chwały – roześmiał się i splunął mu w twarz, a wówczas żołnierze rzucili go na kolana i przyłożyli mu miecz do karku. D'Aiglemort zapytał go o coś. Nie słyszałam odpowiedzi, ale odgadłam jej treść, widząc straszną minę diuka.

Nie wiedział, że Waldemar Selig go zdradził.

Ale się dowiedział. I zabił posłańca.

Gdyby Pan Cieśniny zaczarował misę, żeby nie pokazała, jaki los spotkał uciekających rebeliantów... Niestety. Patrzyliśmy, jak

zebrali się na polach Namarry, ścigani niespiesznie przez oddziały d'Aiglemorta. Skupieni na ucieczce przed Sprzymierzeńcami z Kamlachu, wpadli prosto na armię Waldemara Seliga.

Joscelin stęknął. Odwróciłam się.

– Patrz – przykazał bezlitośnie Pan Cieśniny.

To była rzeź – dobrze, że przynajmniej szybka; Skaldowie umieją zadawać szybką śmierć, zwłaszcza wojowie Seliga. Patrzyłam, jak zabijają ze śpiewem na ustach, wywijając czerwonymi od krwi mieczami. Zapewne słyszałam kiedyś tę pieśń. W dali widziałam lśniące proporce d'Aiglemorta; ariergarda wycofywała się roztropnie, nie dostrzeżona przez skaldyjskich najeźdźców.

Potem na scenie ukazał się trzon armii d'Angelińskiej.

Pole bitwy było za wielkie, żeby je ogarnąć. Składaliśmy je kawałek po kawałku, patrząc w misę. Na czele jechał Percy, hrabia de Somerville, wbijając klin w słaby środek rzesz skaldyjskich. Ach, Eluo, krew lała się strumieniami. Strach było patrzeć. Bezskutecznie próbowałam porachować sztandary D'Angelinów. Siovaleńczycy, Eisandyjczycy, L'Agnatczycy, Kuszelici, Namarrowie; bez Azalijczyków, którzy stacjonowali na północy, strzegąc granicy na Rhenusie.

I bez Kamaelitów, ci bowiem walczyli pod d'Aiglemortem albo nie żyli.

Zobaczyłam złotego lwa rodziny królewskiej Aragonii, łopoczącego nad kompanią piechoty w sile około tysiąca ludzi w pękatych hełmach. Walczyli ze zdyscyplinowaną skutecznością, długimi pikami odpierając pieszych Skaldów.

Ze zdumieniem spostrzegłam diuka Barquiela L'Envers na czele dwustu jeźdźców wymusztrowanych na akadyjską modłę,

nękających prawą flankę Skaldów strzałami z krótkich łuków. Drustan mab Necthana pochylił się z zaciekawieniem; nie miałam mu tego za złe. Diuk uśmiechał się szeroko, końce jego burnusa powiewały za stożkowatym stalowym hełmem. Jego jeźdźcy zawrócili jak stado szpaków, wypuszczając deszcz śmiercionośnych strzał. Jedna trafiła Kolbjorna z Mannów prosto w oczodół, na co patrzyłam bez cienia współczucia. Nie miałam zaufania do L'Enversa, który przez długie lata był wrogiem mojego pana, Anafiela Delaunaya, i teraz cieszyłam się, że opowiedział się po naszej stronie.

W końcu Skaldowie okazali się po prostu zbyt liczni. Formacja hrabiego de Somerville przebiła się przez środek sił skaldyjskich, a na prawej flance panował chaos, gdy wróg bezładnie próbował przeciwstawić się atakom jazdy L'Enversa...

Ale na lewym skrzydle, na wschodzie, dowodził Waldemar Selig. Patrzyłam, nie mogąc oderwać wzroku, jak zbiera swoje watahy, wykrzykując rozkazy, i rzuca je na d'Angelińskie wojska. Patrzyłam, jak odcina klin hrabiego de Somerville.

Zostaliśmy rozgromieni. Na korzyść de Somerville'a świadczy fakt, że odwrót przebiegał w sposób uporządkowany. Do tej chwili nie w pełni rozumiałam, dlaczego hrabia został dowódcą wojsk królewskich. Ten dzień wszystko wyjaśnił. Szereg l'agnackich łuczników, osłaniany przez jazdę, przykląkł z długimi łukami w rękach. Z ponurymi twarzami, nie ustępowali ani o krok, wysyłając w powietrze grad strzał, utrzymując Skaldów na dystans, podczas gdy nasze wojska się wycofywały. Większość z nich miała zginąć, choć ludzie Barquiela L'Envers, jeżdżący jak dziesięć tysięcy akadyjskich diabłów, wielu uratowali.

Ale zabezpieczyli odwrót armii D'Angelinów.

Wojsko wycofało się do Troyes-le-Mont wśród wzgórz

północnej Namarry. Później dowiedziałam się, że de Somerville przewidział taki rozwój wydarzeń, dlatego przygotował fortecę na przyjęcie wojska, wzmacniając fortyfikacje i gromadząc zapasy.

Była tam Ysandra de la Courcel, która miała przetrwać lub umrzeć wraz z Terre d'Ange.

Ją pierwszą ujrzeliśmy w brązowej misie Pana Cieśniny i ona była ostatnia. Twarz Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange. Drustan głęboko zaczerpnął tchu. Nagle ruchome obrazy rozmyły się na powierzchni wody. Ich miejsce zajęła mapa Terre d'Ange.

– Rozumiecie? – zapytał Pan Cieśniny. – Tutaj... – powiedział, wskazując palcem Troyes-le-Mont – jest oblężona armia d'Angelińska. – Zakreślił niewielkie kółko. – Wszędzie wokół są Skaldowie. – Przesunął palec wzdłuż północnej granicy Azalii. – Tutaj także, w mniejszej liczbie, ale wystarczającej, żeby sprawić kłopoty. Tutaj i tutaj... – wskazał dolne przełęcz – walki utknęły w martwym punkcie. Najeźdźcy byli zbyt słabi. A tutaj... – wskazał wschodni skraj Eisandy, graniczący z Caerdicca Unitas – wojska sprzymierzonych miast-państw Caerdicci czuwają, żeby Skaldowie się nie przedarli.

– Tchorze – warknął Kwintyliusz Rouse głosem przesyconym nienawiścią. – Na nic więcej ich nie stać. Panie, czy możesz mi powiedzieć, gdzie jest flota?

– Pływają pod Łabędziem? – zapytał Pan Cieśniny. Trochę się zdziwiłam, że nie wie tego na pewno; z drugiej strony, twarze na wodzie nie podawały nazwisk. Rouse potwierdził. – Tutaj. – Biały jak kość palec przesunął się wzdłuż biegu Rhenusu. – Bronią północnej granicy wraz z Azalijczykami.

– Porządne chłopaki – rzekł Rouse szorstko.

– A zatem diuk de Morhban ich przepuścił – powiedziałam. – A gdzie on jest? Czy ktoś widział jego chorągiew?

Pokręcili głowami, a ja ze zmarszczonym czołem wpatrywałam się w misę.

– Gdzie jest Izydor d’Aiglemort? – zapytałam Pana Cieśniny, zapominając o strachu przed nim. – Wciąż dowodzi wojskiem, prawda?

– Srebrnowłosey jastrząb północy. – Palec zawisł nad granicą między Kamlachem i Namarrą. – Dzisiaj tutaj – powiedział Pan Cieśniny; czubek palca dotknął powierzchni wody, mapa pomarszczyła się i zafalowała. – Jutro w pobliżu. Głupiec, wpadł we własne sidła.

– To dobrze – powiedziałam z goryczą, myśląc o Poszukiwaczach Chwały księcia Baudoina, o setkach wiernych Kamaelitów, którzy polegli, żeby go zatrzymać. Dotknęłam diamentu na szyi. – A gdzie jest Melisanda Szachrizaj?

Pan Cieśniny zawahał się i potrząsnął głową. Chylące się ku zachodowi słońce wypełniło krwawą czerwienią jego zmienne oczy. Gildas i Tilian czekali niespokojnie kilka kroków dalej; o tej porze schodzili nad zatokę, żeby napełnić misę.

– Widzę odbicie wielkich wydarzeń – powiedział Pan Cieśniny. – Małych nie dostrzegam, chyba że twarz jest mi znana.

– Historia zależy od drobnych wypadków – powiedział złowieszczym tonem Kwintyliusz Rousse. Joscelin przesunął się i na brązową wodę padł cień krzyża rękojeści jego miecza.

– Tam – szepnął w swoim języku Drustan mab Necthana. Pochylił się i postukał palcem w Troyes-le-Mont, jak Pan Cieśniny, gdy wskazywał miejsce pobytu Ysandry. Po wodzie rozeszły się kręgi, zniekształcając mapę. Kiedy powierzchnia się uspokoiła, ujrzeliśmy tylko odbicie nieba i zachodzącego słońca.

– Tam pójdziemy!

Patrzył na mnie ciemnymi oczyma, lśniąco w niebieskiej twarzy. Zerknęłam na Kwintyliusza Rouse, jedyną tutaj osobę mającą doświadczenie wojskowe, on zaś popatrzył na Pana Cieśniny.

Wysoka, odziana w długie szaty postać odwróciła się i przeszła w drugi koniec świątyni.

– Cruarcha Alby powiedział prawdę, kiedy stwierdził, że nie grałem z wami uczciwie. Wyprawię waszą flotę tam, dokąd chcecie, na brzeg morza. Nic więcej nie mogę zrobić. Nie mam władzy nad lądem, nie mogę go przemierzać wedle woli. Pierwszą i Drugą Siostrą władam z Trzeciej, choć nie mogę jej opuścić. Nic więcej nie mogę zrobić.

– Admirale? – Patrzyłam na Kwintyliusza Rouse.

Rouse chrząknął.

– Zatem do ujścia Rhenusu, Starszy Bracie, i tak daleko w górę rzeki, jak tylko sięgnie twój wiatr. – Podrapał się po brodzie i popatrzył na nas. – Spotkamy się z moją flotą i siłami Ghislaina de Somerville, a następnie zabezpieczymy północną granicę. Może wspólnymi siłami wymyślimy, jak przełamać oblężenie Troyes-le-Mont.

Przetłumaczyłam jego słowa Drustanowi, który tylko pokiwał głową. Był młody i usychał z miłości, ale nie był głupcem, żeby posyłać swoich ludzi na śmierć w beznadziejnym natarciu.

– Jutro o świcie – powiedział Pan Cieśniny, zwracając ku nam swoją straszną twarz, bladą na tle ciemniejszego nieba. – Morze zanieś was dokąd chcecie. Bądźcie gotowi.

– Będziemy – wyszeptalam, drżąc.

Zostaliśmy odprawieni. Gildas i Tilian podbiegli do brązowej misy, ostrożnie zdjęli ją z trójnoga i z nadzwyczajną ostrożnością

ponieśli w stronę schodów. Patrzyłam, jak nikną, schodząc po kolejnych stopniach. Nie zazdrościłam im tego obowiązku.

W drodze powrotnej popatrzyłam na wieżę, okna podświetlone od środka płonęły na bursztynowo, kobaltowo, rubinowe i szmaragdowe. Komnata na samym szczycie była nimi otoczona ze wszystkich stron.

Hiacynt.

OSIEMDZIESIĄT

O świcie postawiliśmy żagle.

Nie trzeba chyba mówić, że większą część nocy spędziliśmy na planowaniu. Na naszą prośbę słudzy przynieśli pióro, inkaust i wyszorowany do czysta arkusz pergaminu; na Trzech Siostrach nie mieli nowego papieru. Naszkicowałam mapę Terre d'Ange i naniosłam miejsca bitew. Rouse, Joscelin i Drustan spoglądali mi przez ramię, dodając i poprawiając szczegóły.

Z konieczności porozumiewaliśmy się w wielu językach, mieszając słowa d'Angelińskie, caerdicci i cruithne. Nie mogłam być wszędzie, żeby tłumaczyć. Przypuszczam, że ktoś, kto mógłby nas słyszeć, uznałby rozmowę za całkowicie niezrozumiałą, my jednak dobrze się rozumieliśmy.

Hiacynt przysłuchiwał się jej z pochmurnym wyrazem twarzy.

Powiedzieliśmy mu, oczywiście, co się ukazało w lustrze wody w brązowej misie Pana Cieśniny. Wysłuchał bez komentarza, zasmucony wieściami.

Wiem, że przysłuchiwanie się naszym planom sprawiało mu ból. Jakiś czas później, kiedy zjedliśmy kolację – z roztargnieniem, częstując się z talerzy przyniesionych do biblioteki, gdzie pracowaliśmy – uklonił się i wyszedł.

– Pożegnaj was rano – powiedział cicho.

Gdy patrzyłam za nim, niespodziewanie poczułam spojrzenie Joscelina. Uśmiechnął się cierpko, kiedy się obejrzałam, wzruszył ramionami i rozłożył ręce. W środku skaldyjskiej zimy nauczyliśmy się porozumiewać bez słów. Zrozumiałam.

– Admirale – powiedziałam. Kwintyliusz Rouse uniósł głowę znad szkicu tyberyjskiej balisty, wypatrzzonego na bibliotecznych półkach. – Nie potrzebujesz mnie, jak myślę, do planowania wojny.

– Kreślisz piękne linie... – Zreflektował się, kręcąc głową, a po jego zeszeconym przez bliznę obliczu przemknęło współczucie. – Nie, pani. Nie potrzebujemy cię tego wieczoru.

Skinęłam głową na znak podziękowania i wróciłam do swej komnaty.

Jeśli służące natrudziły się, by wczoraj znaleźć dla mnie odpowiednią suknię, to dziś przeszły same siebie. Myślę, że dobrze się bawiły, przetrząsając kufry pełne strojnych szat, wyczyszczonych i naprawionych z wielką starannością. Wreszcie zaprezentowały mi strój w kolorze ciemnego bursztynu, jak przygaszony płomień, ze złotym brokatem na dopasowanym staniku, a także złotą siatkę do podtrzymania włosów. Znalazły nawet, przysięgam, szczelnie zamknięte pudełka z toalety jakiejś damy, z kosmetykami nietkniętymi przez morze.

Przysunęłam twarz do zmatowiałego starego lustra i podkreśliłam usta odrobiną karminu. Czerwień odzwierciedlała plamkę kwitnącą w mojej lewej tęczę, uderzająco wyraźną na tle ciemnego białego. Musnęłam powieki proszkiem antymonowym; nigdy nie malowałam się z przesadą. Nie potrzebowałam.

Służące wstrzymały oddech, kiedy się odwróciłam.

– Wyglądasz, pani, jak żywcem wyjęta z dawnej ballady – powiedziała najstarsza ścisłym głosem.

Ze smutkiem przejrzałam się w lustrze.

– Tak – powiedziałam, myśląc o losie Hiacynta. – Bardzo możliwe.

Nie zamknął drzwi. Ze świecą w ręku gwałtownie poderwał głowę, gdy nacisnęłam klamkę i weszłam; zaskoczyłam go przy ścieleniu łóżka, w białej koszuli i ciemnych spodniach. Spojrzał na mnie raz, potem drugi z wielkim skupieniem.

– Nie jestem Baudoinem de Trevalion – powiedział szorstko. – Nie potrzebuję prezentu na pożegnanie, Fedro.

Zamknęłam za sobą drzwi.

– Łatwiej ci być okrutnym – powiedziałam cicho. – Rozumiem. Odejdę. Ale czy nie... co wolisz zapamiętać, Hiacyncie? To na poboju pod Bryn Gorrydum czy tutaj?

Przez długą chwilę tylko patrzył, potem skłonił się zamaszyście, już w lepszym humorze, i błysnął białym uśmiechem.

– Za Królową Kurtyzan!

W tej chwili go kochałam.

– I Księcia Podróżnych – powiedziałam, skłaniając głowę.

Nie będę mówić o tym, co tej nocy zaszło między nami. Nie ma to żadnego związku z tym, co stało się przedtem i potem; nie powinno obchodzić nikogo poza Hiacyntem i mną. Nieczęsto miałam luksus dzielenia się swoim darem, sztuką Naamy, z kim chciałam. Tej nocy dokonałam wyboru i wcale nie żałuję.

Zbudziliśmy się, gdy niebo zaczęło szarzeć na wschodzie.

– Idź – powiedział Hiacynt z niezwykłą czułością, całując mnie w czoło. – Zanim pęknie mi serce. Idź.

Odeszłam.

Włożyłam strój podróżny, dar Quincela de Morhban, wyczyszczony z tą samą starannością co suknia z morskich głębin. Odłożyłam ją do kufra, podziękowałam zapłakanym służącym i wyszłam, by dołączyć do swoich towarzyszy.

W omiatanej przez wiatr świątyni pożegnaliśmy się z Panem

Cieśniny, milczącym i nieruchomym jak posąg; tylko jego szaty lekko falowały. Nie chciałabym ponownie przeżyć tej chwili, za całe złoto i klejnoty świata. Nie wiem, jak zniósł ją Hiacynt. Zamienił kilka słów z każdym z nas, podczas gdy nasz statek kołysał się na wodzie daleko w dole, a Tilian i Gildas nadzorowali okrętowanie załogi.

– Cruarcho... – powiedział do Drustana w cruithne, jakiego nauczył się od Moiready i jej sióstr – będę czuwać. – Chwycił jego rękę, wyżej podnosząc tę ze złotym sygnetem.– Niechaj Błogosławiony Elua ma cię w opiece.

Drustan pokiwał głową.

– Cullach Gorrym będą śpiewać o twojej ofierze – rzekł cicho.

Spojrzeni sobie w oczy; nie było potrzeby tłumaczyć.

Gdy cruarcha kuśtykał w dół schodów, Kwintyliusz Rousse uściskał Hiacynta.

– Ach, chłopcze! Przeprowadziłeś nas przez mgły do bezpiecznego brzegu. Nigdy o tobie nie zapomnę. – Otarł oczy. – Już więcej nie będę przeklinać Pana Cieśniny, Młodszy Bracie. Gdybyś czegoś potrzebował, przyślij wiatr, który szepnie mi do ucha.

– Doprowadź ich bezpiecznie do brzegu – powiedział Hiacynt.
– O nic więcej nie proszę, admirale.

Rousse odszedł, ustępując miejsca Joscelinowi.

– Cyganie – mruknął, chwytając rękę Hiacynta w przegubach. – Brak mi słów.

Hiacynt uśmiechnął się cierpko.

– Zabawne. Ja mógłbym powiedzieć ich całe mnóstwo, kasjelito. Przebyłeś długą drogę, odkąd cię poznałem w Progu Nocy, dręczonego przez akrobatów z Dzikiej Róży. Nawet liznąłeś bajdurskiego rzemiosła.

– Dzięki tobie. – Joscelin zacisnął ręce na jego nadgarstkach. – Dałeś mi także lekcję odwagi, Cyganie. Będę wymawiać głośno twoje imię i nosić je w pamięci. – Było to tradycyjne cygańskie pożegnanie; sporo się nauczył w kompanii.

– A ja twoje. – Hiacynt pochylił się i powiedział coś tak cicho, że nie dosłyszałam. Czekaając na swoją kolej, odwróciłam się do Pana Cieśniny, który przyglądał się nam oczami mętnymi jak dymny kryształ.

– Dlaczego przepuściłeś nas za piosenkę? – zapytałam. Pytanie wypłynęło z tego miejsca pamięci, w którym mieszkają niewyjaśnione tajemnice. – A także Thelesis de Mornay i innych. Dlaczego?

Zwrócił na mnie chmurne spojrzenie.

– Moja matka śpiewała – rzekł cicho, a jego głos stapiał się z szumem wiatru. – Czasami śpiewała dla mnie. To jedyna dobra rzecz, jaką pamiętam. Po ośmiuset latach zatęskniłem za nowymi pieśniami.

Zadrżałam i otuliłam się płaszczem.

– Ja nie mam dla ciebie dobrego słowa, Panie Cieśniny, ani podziękowań. Cena za twoją wolność jest zbyt wysoka.

Nie odpowiedział, tylko się uklonił. Znał znaczenie tej ceny.

Potem Joscelin odszedł i nadeszła moja kolej.

Popatrzyliśmy na siebie na szczycie samotnej wyspy, Hiacynt i ja.

– Masz rację – rzekł cicho. – Od Mont Nuit aż po sam pałac władalibyśmy Miastem.

To było wszystko, co powiedział i co było do powiedzenia. Przez chwilę przywierałam do niego kurczowo. Hiacynt delikatnie oderwał moje ręce od swojej szyi.

– Niech Elua cię ochrania, Fedro – szepnął. – Idź. Odjedź z tego

miejsca.

Nie obejrzałam się ani razu przez całą długą drogę po schodach, stopień za stopniem. Nie miałam odwagi. Ledwo widząc przez łązy, zeszłam na dół i wsiadłam na statek, Elua wie z czyją pomocą. Kolory i twarze były rozmazane; jak przez mgłę słyszałam rozkazy Kwintyliusza Rouse i grzechot łańcucha, gdy podnoszono kotwicę. Okręt ustawił się dziobem ku otwartemu morzu i poczuliśmy na plecach tchnienie wiatru. Podniesiono żagle, które wydeły się z trzaskiem. Szare ściany urwisk rozmyły się w jedną smugę, a potem wyszliśmy na pełne morze i pożeglowaliśmy północnym kursem.

Obejrzałam się wtedy, daleko od wyspy. Dostrzegłam wśród kolumn świątyni dwie postacie: jedną w długich szatach, ciągle nieruchomą jak posąg, i drugą mniejszą, z czarnym kędziorami tarmoszonymi przez wiatr.

Krzyk przyciągnął moją uwagę. Jeden z ludzi Drustana coś pokazywał.

Joscelin wspiął się na maszt i teraz jedną ręką trzymał się wanty, a drugą unosił miecz. Głownia skrzyła się w promieniach wschodzącego słońca, gdy w ten dziki, niebezpieczny sposób składał hołd. Wysoko na szczycie urwiska Hiacynt podniósł rękę na pożegnanie i zastygł w takiej pozie.

Śmiałam się, dopóki śmiech nie przeszedł w płacz, albo płakałam, póki płacz nie ustąpił śmiechowi. Dopiero gdy wyspa zniknęła z pola widzenia, Joscelin schował miecz, zsunął się po maszcie i zeskoczył na pokład z wysokości kilku metrów.

– Dobrze się czujesz? – zapytał mnie, tylko trochę zasapany.

– Tak – odparłam, urywanie wciągając powietrze. – Nie. Ach, Eluo, Joscelinie... co ci powiedział na sam koniec?

Opierając się o reling, patrzył na wodę przemykającą wzdłuż

burty, gdy Pan Cieśniny niósł nas ku brzegom Terre d'Ange.

– Przykazał, żeby ci nie mówić – odparł. – Powiedział, że wpadłabyś w szal.

Poderwałam głowę, urażona.

– Na pewno tak nie powiedział! – prychnęłam ze złością, choć coś takiego było w stylu Hiacynta.

Joscelin zerknął na mnie kątem oka.

– Nie – przyznał po chwili. – Powiedział, że jeśli pozwolę, by spotkała cię krzywda, podniesie morze i spuści mi je na głowę.

To też pasowało do Hiacynta. Patrzyłam na puste morze za rufą, uśmiechając się przez łzy.

– Mój przyjacielu – szepnęłam. – Będzie mi ciebie brakować.

Przez cały dzień wiały pomyślne wiatry, niosące nas na północ. Żeglowaliśmy blisko wybrzeża, kierując się ku północnym brzegom Azalii. Kwintyliusz Rousse stał za sterem, wykrzykując komendy po d'Angelińsku i w łamanym cruithne. Wypatrywaliśmy reszty naszej floty, ale w polu widzenia nie było żadnych okrętów.

Kiedy dotarliśmy do ujścia Rhenusu, poznaliśmy przyczynę.

Zjawili się tu przed nami, wszyscy. W piaszczystym ujściu rzeki tłoczyły się statki, okręty, łodzie i tratwy, a na południe od rzeki rozłożył się ogromny obóz. Wszyscy wylegli na brzeg i witali nas gromkimi okrzykami. Z dziobu widziałam, jak Drustanowi rozbłysły oczy, gdy zobaczył swoich ludzi całych i zdrowych.

Połowa zginęłaby w trakcie przeprawy, powiedział Pan Cieśniny do Kwintyliusza Rousse. W istocie, przedsięwzięcie było ryzykowne, nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Czym jest jedno życie w porównaniu z setkami? A jednak Hiacynt był moim przyjacielem i bardzo rozpaczałam.

Rzuciliśmy liny i dziesiątki chętnych rąk przyciągnęły nas do brzegu. Wsiedliśmy z triumfem, ludzie z naszego okrętu witali się z pozostałymi, wszyscy wymieniali uściski dłoni i opowieści, klepiąc się wzajemnie po plecach. Okazało się, że przybyliśmy zaledwie kilka godzin po nich. Usłyszeliśmy historie, którym nikt oprócz nas nie dałby wiary, o wielkich falach łagodnie niosących flotę do Trzech Sióstr i z powrotem, składających statki na brzegach rzeki Rhenus z delikatnością matki kładącej niemowlę w kołysce.

Nie obyło się bez strat, to prawda, kiedy Pan Cieśniny po raz pierwszy podniósł się z fal. Zginęło siedemnastu ludzi i cztery konie. Dodałam w myślach ich żywoty do ceny, jaką zapłaciliśmy za jego wolność. Została drogo okupiona.

Ale większość przeżyła.

Bliźnięta przejęły komendę pod naszą nieobecność i dobrze się sprawiły. W owym czasie nikt o tym nie mówił, ale później słyszałam, że ludzie rozpaczali na brzegach Pierwszej Siostry iż Grainna podnosiła ich na duchu, będąc ze swoją niezłomną wolą dla nich przykładem. Eamonn pilnował porządku, kazał wyprowadzić konie na pastwisko, wysuszyć i wyczyścić przemoczoną broń, wyprawił oddziały po żywność. Wśród mieszkańców wybrzeża Eidlach Ór znalazł takich, którzy przez lata wymiany wiadomości z azalijskimi rybakami nauczyli się d'Angelińskiego, i za ich pośrednictwem porozumiał się z wyspiarzami. Okazało się nawet, że niektórzy z Eidlach Ór znali Thelesis de Mornay i udzielili jej schronienia w czasie wygnania.

A kiedy twarz z wody powróciła, wznosząc się jak wieża nad zatoką i rozkazując im wsiadać na statki, Bliźnięta nakłoniły ludzi do posłuszeństwa. Nie było mnie tam i nie wiem dokładnie, co zaszło, ale zdarzenie to miało być wodą na młyn wielu

pokoleń dalriadzkich bardów.

Kwintyliusz Rouse nie tracił czasu na powitania ze swoimi marynarzami. Wszyscy przeżyli, a dzięki dyscyplinie, jaką w nich zaszczepił, przyczynili się do ograniczenia strat wśród innych na powierzonych im łodziach. Admirał zarządził zbiórkę swojej uszczuplonej załogi, zwerbował ochotników i wybrał spośród nich pięciu najlepszych jeźdźców, żeby wyprawić ich w drogę jeszcze przed zachodem słońca.

Mieli pojechać na wschód, na poszukiwanie Ghislaina de Somerville, który miał ze sobą armię Azalii i królewską flotę. Stałam u boku admirała, gdy wyruszyli, salutując nam obojgu, niosąc sztandar rodu Courcel i flagę ze Strzałą Kusziela.

Chłopcy Fedry.

Nie wiem, jak królowie i królowe mogą znosić wysyłanie niewinnych ludzi na śmierć w swoim imieniu. W ciągu ostatnich dwóch dni przeżyłam koszmar i rozpacz; wszystkim, czego pragnęłam w tej chwili, ledwo stojąc na nogach, był sen w jakimś spokojnym miejscu. Ale marynarze Kwintyliusza Rouse pożegnali nas z uśmiechami i przy akompaniamencie końskich kopyt pojechali na wschód, ścigając własne cienie.

– Sprowadzą okręty, wielmożny cruarcho, kiedy znajdą moją flotę – powiedział Rouse do Drustana, powoli, w caerdicci. – Okręty zawiozą całą twoją armię w górę Rhenusu!

Drustanowi na te słowa rozbłysły oczy.

– Dziś rozbijemy obóz – powiedział w cruithne, patrząc na mnie, żebym przetłumaczyła. – Uczcimy życie i oddamy cześć poległym. Jutro ruszymy na wojnę!

OSIEMDZIESIĄT JEDEN

Zwinięcie całego obozu zabrało trochę czasu, ale wyruszyliśmy, zanim słońce wspięło się wysoko na niebo.

Brakowało nam koni. Ku mojemu zdziwieniu Grainna zaprosiła mnie do swojego rydwanu, sprowadzonego z wielkim trudem i otaczanego wielką troską w czasie długiej, niebezpiecznej przeprawy.

Nie protestowałam, dość zadowolona z jej propozycji. Po raz pierwszy – i ostatni – korzystałam z takiego środka lokomocji i powiem krótko: jazda nie jest luksusowa. Zęby mi dzwoniły, gdy rydwan podskakiwał i kołysał się na nierównym terenie.

Musiałam jednak podziwiać wprawę, z jaką powoziła Grainna, stojąc na rozsuniętych nogach, z lejcami w jednej ręce, dzięki czemu drugą mogła władać włócznią lub mieczem. Większa część wojska maszerowała wzdłuż rzeki, bo tylko nieliczne statki nadawały się do dalszej żeglugi. Musiały płynąć pod prąd, ale wiosłarze przykładali się do wiosła, a wiatr dmuchał nam w plecy.

Przemieszczaliśmy się pieszo i konno, w rydwanach i na statkach, szerokim pasem przez nadbrzeżne równiny. Mijaliśmy wioski zamieszkane przez azalijskich rybaków. Patrzyli na nas nieufnie, bojąc się Cruithnów, ale duma sprawiała, że nie okazywali strachu. Wraz z Kwintyliuszem Rouse i Joscelinem próbowałam uśmierzać ich obawy, choć być może wpadali w jeszcze większe pomieszenie, gdy słyszeli uprzejme słowa z ust adeptki Dworu Nocy, otoczonej pomalowanymi na niebiesko

barbarzyńcami.

Wiedzieli jednak o wojnie i dzielili się z nami wieściami. Każda wioska miała swoją milicję, krzepkich mężczyzn uzbrojonych w oręż domowej roboty, mających oko na rzekę, przez którą mogli się przeprawić Skaldowie. Kiedy pytaliśmy o azalijską armię, nieodmiennie wskazywali na wschód.

Spędziliśmy w drodze całe dwa dni i połowę trzeciego, gdy wrócili jeźdźcy admirała. Pędzili co koń wyskoczy, ci sami Chłopcy Fedry, ale na świeżych wierzchowcach.

Przyznaję, serce mi urosło na ich widok, gdy zobaczyłam łopoczące na wietrze łabędzie rodu Courcel oraz mój własny niedorzeczny herb, Strzałę Kusziela. Złapałam Grainnę za ramię i podjechałyśmy do nich rydwanem. Ktoś zawołał Kwintyliusza Rouse, który wysunął się na czoło. Jeźdźcy zatrzymali wierzchowce tak gwałtownie, że spod kopyt strzeliły grudy ziemi.

– Admirale! – zawołał pierwszy, głosem rwącym się ze zmęczenia i dumy. – Flota nadciąga!

Wyciągnął rękę i zobaczyliśmy statki wyłaniające się zza zakrętu szerokiej, wartkiej rzeki – to była flota królewska w całej okazałości, z królewskimi proporcami na każdym maszcie. Napędzane wiosłami okręty posuwały się w takim tempie, że jeźdźcy zyskali nad nimi tylko niewielką przewagę.

Ponad trzydzieści okrętów; ich maszty utworzyły las na rzece. Rozpromieniony z radości Kwintyliusz Rouse wykrzykiwał rozkazy, przekazywane następnie w języku Cruithnów i Eirańczyków, żeby zaokrętować armię Drustana. Kiedy wszyscy znaleźli się na pokładach, okręty dosłownie jęczały, osiadając głęboko w nurcie rzeki. Wioślarze zawrócili nie bez trudu, walcząc z przeciwnym prądem, ale nagle zachodni wiatr

przybrał na sile, wypełniając żagle i ułatwiając im pracę.

Pan Cieśniny dotrzymuje słowa, pomyślałam, stojąc na dziobie i patrząc w górę rzeki.

Dołączyła do mnie Grainna, która wcześniej nadzorowała ładowanie zaprzęgu i rydwanu. Płynęłyśmy na okręcie flagowym z admirałem Rousse. Z drugiego okrętu pomachał do nas Eamonn. Grainna ze śmiechem posłała mu całusa. Uśmiechnęłam się na ten widok.

– Nie zdołamy odwdzińczyć się Dalriadom za to, co dla nas uczynili – powiedziałam.

Grainna popatrzyła na Drustana, który z uwagą słuchał Kwintyliusza Rousse.

– Zapewniliście nam udział w historii, o której bardowie będą śpiewać dzieciom naszych dzieci – odparła, kładąc rękę na brzuchu i uśmiechając się tkliwie. – Takie jest marzenie Dalriadów. Nawet Eamonn czuje to w głębi serca. – Objęła mnie. – Słyszeliśmy, co spotkało twojego przyjaciela. Przykro mi, że go straciłaś. Był dzielny i wesoły.

– Dziękuję – odparłam cicho i zapiekły mnie oczy. Grainna miała w sobie dobroć, której nigdy nie zapomnę. Tym, którym cudzy smutek krępuje języki, powiem jedno: nigdy nie ma nic złego w słowach pociechy. Życzliwe słowa i pocieszające gesty zawsze są mile widziane. Grainna o tym wiedziała; umiała poznać, czego pragną serca tych, którzy ją otaczali.

Spędziliśmy na rzece następny dzień, płynąc powoli z powodu nadmiernego obciążenia okrętów. Na szczęście nie brakowało ludzi do wiosł i nikt nie musiał się przemęczać. Segowowie z Tarbh Cró spędzili długie godziny w dobrowolnej pokucie za zabicie węgorza na wodach Cieśniny. Gdy wieść o ich katordze dotarła do Drustana, mieli całe ręce w pęcherzach i pościerane

do krwi. Przemówił do nich wtedy i wyjaśnił, że nie żywi do nich urazy.

To był piękny i wspaniałomyślny gest. Ja wciąż się obwiniałam, że nie uprzedziłam marynarzy admirała Rouse. Z drugiej strony, Pan Cieśniny zarzucił przynętę, myślę więc, że wpadlibyśmy w pułapkę niezależnie od okoliczności.

Jeźdźcy admirała znaleźli flotę z Ghislainem de Somerville i połową wojska Azalii; taką wiadomość nam przywieźli. Druga połowa armii pod komendą Marka de Trevalion znajdowała się dalej na południowym wschodzie. Zjednoczone siły morskie i lądowe strzegły długiego pasa pogranicza i czterech na wprost zniszczonych mostów, po których wróg mógłby przekroczyć Rhenus. Mieliśmy wyjść na ląd przy pierwszym moście, bo dalej okręty nie mogły żeglować; patrolowały tylko dolny bieg rzeki do ujścia. W drodze doszły nas pogłoski o około tysiącu pięciuset Skaldach szykujących się do szturmu na pierwszy most.

Nie sądzę, by przeprawa przez rzekę odgrywała jakąś rolę w planie napaści Seliga. Widzieliśmy w misie, że jego główne siły wlały się przez Północną Przełęcz. Ale uzyskanie kontroli nad azalijską granicą zapewniłoby mu nieograniczony dostęp do ziem Terre d'Ange oraz umożliwiło utworzenie silnego przyczółka na równinach. A gdyby nawet nie zdołał sforsować rzeki, wystarczała garść ludzi – w jego pojęciu jakieś parę tysięcy – by związać siły całej prowincji i zagwarantować, że armia Azalii nie spadnie mu na plecy.

Przywódca, który myśli. Gonzago de Escabares powiedział prawdę.

Nagle do naszych uszu dotarły odgłosy bitwy, krzyki i brzęk stali.

My, na okręcie flagowym, zobaczyliśmy pierwsi. Skaldowie

musieli mieć paru inżynierów, bo pod nieobecność floty podjęli wysiłek naprawienia mostu. Przyjęli tyberyjską taktykę, wznosząc fortyfikacje wzdłuż brzegu i chroniąc budowniczych wąskimi ruchomymi osłonami.

Tyberyjscy żołnierze jednakże nie złamaliby szeregów i zachowali porządek.

Skaldowie posuwali się naprzód pod osłoną gradu włóczni, także na prymitywnych tratwach wzdłuż na wpół zatopionego mostu. Tylko kilkuset wdarło się na d'Angelińską ziemię, a reszta trzymała w szachu żołnierzy. De Somerville miał ich tylko siedmiuset. Później dowiedziałam się, że łucznicy wystrzelali wszystkie strzały w ciągu dwóch zeszłych dni, starając się powstrzymać Skaldów do czasu naszego przybycia.

Udało im się, choć niewiele brakowało.

Skaldowie zamarli, gdy ponad trzydzieści okrętów wyłoniło się zza zakrętu. Przypuszczam, że dwa dni temu wystawili posterunki, które miały wypatrywać floty, ale gorączka bitewna wzięła górę nad dyscypliną. Moje serce zmroził lodowaty strach, gdy zobaczyłam skaldyjskich wojowników, dzikich i uzbrojonych w żelazo.

Dobrze, że d'Angelińskie kobiety nie jeżdżą do bitwy. Kwintyliusz Rouse nie wahał się ani przez chwilę. Na każdym okręcie była załoga wyszkolona do natychmiastowego wykonywania rozkazów. Admirał wyryczał je takim głosem, jakby chciał, by poniosły się na drugą stronę oceanu, zrozumiałe tylko dla marynarzy.

Skaldowie zaczęli wykrzykiwać imię Waldemara Seliga.

Drustan mab Necthana szybko zorientował się w planie Kwintyliusza Rouse. Mimo chromej nogi zwinnie skoczył na dziób okrętu flagowego i zawołał do Cruithnów. Na każdym

pokładzie ustawił się szereg łuczników, chroniąc marynarzy, którzy przełazili przez burty jak małpy, chwytali rzucone liny i ciągnęli okręty ku płyciźnie na obcym brzegu.

Skaldowie na moście złamali szyk, wielu zawróciło w kierunku równiny. Trzeba przyznać, że nie brakowało im odwagi; ci odcięci na d'Angelińskiej ziemi nawet się nie obejrzeli, tylko zaczęli układać pieśń śmierci. Słyszałam, jak narasta, dzika i surowa, przyprawiając mnie o lodowate ciarki na karku. Bez wątpienia Azalijczycy czuli to samo.

Nasze okręty usiadły na płyciźnie. Z trzaskiem rzucono trapy, niektóre sięgnęły do samego brzegu, inne wylądowały w wodzie. Drustan w łopoczącym czerwonym płaszczu wykrzykiwał rozkazy. Spuszczono pochylnie do ładowni i wyprowadzono konie, dziko wodzące wzrokiem ze strachu. Cruithnowie i Dalriadowie sięgnęli po broń.

Widok był niezapomniany, gdy wszyscy rzucili się na brzeg, ubijając ziemię w błoto. Przez jedną krótką chwilę rozumiałam, dlaczego poeci śpiewają o czymś takim.

A potem zaczęła się bitwa.

Nie trwała długo. Skaldom nie brakuje siły i śmiałości, lecz przecież są ludźmi, krwawią i umierają jak wszyscy inni, a nic w całym planie Waldemara Seliga nie przygotowało ich na spotkanie z dzikim wojskiem Drustana. Wojownicy o tatuowanych na niebiesko twarzach wylewali się z okrętów, walcząc z dorównującą im zaciekłością.

Mogę się tylko domyślać, co Selig powiedział swoim ludziom o D'Angelinach, ale jeśli ci pochwyceni w pułapkę za rzeką myśleli, że łatwo poradzą sobie z przeciwnikiem, to grubo się pomylili. Azalijczycy walczyli jak lwy pod komendą Ghislaina de Somerville; wyglądało na to, że powrót Marka de Trevalion

przełamał niechęć do służby pod rozkazami pana z L'Agnace.

Widziałam wszystko z pokładu, strzeżona przez Joscelina i wierną garstkę Chłopców Fedry; po tym, co się stało pod Bryn Gorrydum, Kwintyliusz Rousse wolał nie ryzykować.

Kiedy było po wszystkim, Cruithnowie Drustana wrócili, złani krwią i upojeni zwycięstwem. Ponieśli niewielkie straty. Władcy Dalriady byli niepokieszeni, musieli bowiem pozostawić rydwany na pokładzie statków. Same okręty, niestety, spoczywały na mieliźnie. Trzeba było ponad pięćdziesięciu ludzi, by ściągnąć okręt flagowy. Rousse przekazał komendę nad pozostałymi Jeanowi Markhandowi i wioślarze przewieźli nas na d'Angelińską stronę.

Azalińczycy zajmowali się tym, co zawsze następuje po bitwie. Wystarczy raz zobaczyć taki ponury widok, by do końca życia wydawał się znajomy, na zawsze wyryty w pamięci. Zeszliśmy z okrętu w niewielkiej grupie: Rousse, Joscelin i ja z dwoma chłopcami Fedry oraz Drustan, Eamonn i Grainna z małą strażą honorową złożoną z Cruithnów i Dalriadów.

Niebieskie twarze Cruithnów dla mnie już nie wyglądały dziwnie, ale Azalińczycy wytrzeszczyli oczy, prowadząc nas do Ghislaina de Somerville. Drustan rozumiał szept, jak myślę; uczył się szybko i liznął trochę d'Angelińskiego podczas podróży. Mimo to nie pokazał niczego po sobie. Eamonn, który nie pojmował ani słowa, ściągnął brwi; nie miał urzetu na twarzy, ale jego usztywnione wapnem włosy oznajmiały wszem wobec, że jest barbarzyńcą.

Uśmiechnięta Grainna, otoczona przez d'Angelińskich wojowników, ani trochę nie wyglądała na niezadowoloną.

Znaleźliśmy Ghislaina de Somerville, gdy wydawał dyspozycje dotyczące pogrzebienia ciał Skaldów. Słyszałam, że jest mądrym

człowiekiem. Gdyby nie stojący w pobliżu chorąży, nie poznałabym w nim syna hrabiego. Barczysty i krzepki, miał na sobie podniszczony kirys, prosty i stalowy pancerz spięty natartymi olejem rzemieniami. Zdjął hełm, gdy podeszliśmy, i przeganiał palcami wilgotne złociste włosy.

– Nie uwierzyłem w słowa twoich ludzi, admirale – powiedział bez ogródek. Oczy miał jasnoniebieskie, jak ojciec.

Kwintyliusz Rouse ukłonił się, Joscelin też, a ja dygnęłam. Drustan i jego ludzie stali wyprostowani, nie będąc winnymi hołdów d'Angeliriskim panom. Kwintyliusz Rouse dokonał prezentacji.

– Hrabio de Somerville, to Drustan mab Nethana, cruarcha Alby. Eamonn i Grainna mac Conor są władcami Dalriady.

Przetłumaczyłam jego słowa i wtedy się ukłonili, a raczej dość oszczędnie skinęli głowami. De Somerville popatrzył na nich, zdumiony.

– Naprawdę tego dokonaliście... – rzekł z podziwem i złożył przed nimi ukłon – Wasze Królewskie Moście.

– Przecież nie ja – burknął Rouse. Położył rękę na moich plecach i pchnął mnie do przodu. – Fedra nó Delaunay, emisariuszka Ysandry.

– Królowej Terre d'Ange – dodał machinalnie Ghislain. Popatrzył na mnie, szeroko otwierając oczy. – Ty jesteś dziwką Delaunaya?

Nie sądzę, by chciał mnie obrazić. Poznałam jego ojca, gdy wróciłam z Domu Waleriany, w dniu, w którym stary cruarcha Alby spotkał się z Ganelonem de la Courcel. Pamiętałam dobrze, jak tej nocy Delaunay wysłał Alcuina do łoża dowódcy wojsk królewskich. Myślę, że to przypieczętowało porozumienie między nimi; jeśli nawet Delaunay nie dopuścił go do zaufania,

nie miał powodów powątpiewać w jego lojalność. Ale tym właśnie oboje z Alcuinem byliśmy dla Percy'ego de Somerville: dziwkami Delaunaya. Nie było dla mnie żadnym zaskoczeniem, że syn podzielał to zdanie.

On jednak musiał być mocno zaskoczony, gdy dwa kasjelickie sztylety wyskoczyły z pochw, marynarze admirała Rousse syknęli z dezaprobatą, cruarcha Alby wydał krótki rozkaz i kilka barbarzyńskich sztychów zostało wycelowanych w jego szyję. Miałam rację, Drustan sporo rozumiał po d'Angelirisku.

Ghislain de Somerville zamrugał.

– Panie... – zwróciłam się do niego chłodno – jestem adeptką Dworu Nocy, wyszkoloną przez Cecylię Laveau-Perrin z Domu Cereusa, z marką ukończoną w terminie u Anafiela Delaunaya de Montreve. Kwestionujesz moją proveniencję czy może godność służby Naامية?

– Ależ nie. – Ghislain zarumienił się, a potomkowie Anaela zakrzyknęli na moją cześć. – Po prostu pałac raczej nie korzysta ze sług Naamy w takiej roli.

Kwintyliusz Rousse kaszlnął. Drustan pytająco podniósł wzrok. Z nieczęstym błyskiem złości w oku Joscelin przetłumaczył komentarz w caerdicci, a Drustan przekazał go innym w cruithne.

Eamonn uśmiechnął się niespodziewanie, a Grainna roześmiała się na głos, przyjaźnie obejmując ramiona Ghislaina de Somerville.

– A powinien – powiedziała w swojej ojczystej mowie. – Jak myślisz, z jakiego powodu Dalriadowie przybyli, żeby za was walczyć?

Doprawdy, dziwniejsza załoga zapewne nigdy nie wylądowała na brzegach Terre d'Ange.

Zrobiło mi się żal Ghislaina.

– Panie, mamy dużo do powiedzenia, ale prawda jest taka, że sprowadziliśmy wojsko z Alby zgodnie z życzeniem królowej Terre d'Ange – oznajmiłam. – Potrzebujemy twojej pomocy. Wiemy tylko, że armia Królewska jest oblężona w Troyes-le-Mont. Czy udzielisz nam gościny i podzielisz się z nami wieściami? Mamy własny prowiant i daję słowo, że nie uszczuplimy twoich zapasów.

– Żartujesz? – Ghislain de Somerville wziął się w garść i ostrożnie uwolnił z objęć Grainny. – Uratowaliście nam skórę, podzielimy się wami wszystkim, co mamy. Sprowadźcie swoich ludzi na brzeg, wszystkich serdecznie witamy! – Odszedł, wykrzykując rozkazy, a Azalijczycy skoczyli, żeby je wykonać.

– Pachnie jabłkami – powiedziała Grainna z zadumą.

– Tak – przyznałam. – W istocie.

OSIEMDZIESIĄT DWA

Ghislain de Somerville miał do zaoferowania nie tylko przyjemny zapach.

Kiedy otrząsnął się ze zdumienia, okazał się mądrym i zdolnym dowódcą. Stół w jego namiocie był zasłany szczegółowymi mapami. Pokazał nam dokładnie, gdzie znajdują się siły Marka de Trevalion i gdzie Skaldowie przeprowadzają wypad, z których najnowszy nieomal się powiódł. Opisał przebieg inwazji przez Północną Przełęcz, a także plan swojego ojca, który polegał na wycofaniu się do Troyes-le-Mont, oraz dokładnie zrelacjonował wydarzenia, jakie rozegrały się w czasie naszej nieobecności.

Wydawało się, że wszystko szło zgodnie z zamierzeniami; problem polegał na tym, że niezależnie od tego, jak dobrze plany zostały przemyślane, Skaldów było po prostu zbyt wielu.

– Wystarczy, że będą czekać – powiedział Ghislain de Somerville z ponurą miną, wodząc palcem wokół punktu, który oznaczał fortecę. – Jest tam zasobna, głęboka studnia, więc wody im nie braknie, a ojciec dopilnował, żeby Troyes-le-Mont zostało dobrze zaopatrzone w żywność. Niemniej jednak zapasy się nie mnożą, a przekłety Selig ma do dyspozycji cały kraj. Dopóki utrzyma dyscyplinę... – Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

Drustan wskazał mapę i zadał pytanie w cruithne.

– Ilu Skaldów? – przetłumaczyłam.

– Ponad trzydzieści tysięcy – odparł Ghislain posępnie.

Drustan poblądł pod tatuażem.

– A w fortecy? – zapytałam.

– Nie wiemy, jakie ponieśli straty. – Ghislain wyjął drugą mapę i rozłożył ją na wierzchu. Był to szkic fortecy. – Osiem tysięcy przed bitwą. Nie wiem, ilu przeżyło. Myślę, że większość. Tutaj mamy zewnętrzny mur, tu szanice i wilcze doły, a tutaj drugi ciąg umocnień. – Wskazywał palcem. – Na razie obrońcy trzymają ten pas ziemi, ale moje wieści nie są świeższe od waszych, jeśli morskie zwierciadło Pana Cieśniny powiedziało prawdę. Została im już tylko forteca.

– A poza tym? – zapytał Kwintyliusz Rouse.

Ghislain spojrzał mu w oczy.

– Książę Benedykt robi wszystko, co w jego mocy, żeby zebrać wojsko w miastach-państwach Caerdicci. Gdyby mu się powiodło, Skaldowie znaleźliby się między młotem a kowadłem. Ale Caerdicci pilnują swoich spraw. Nie sądzę, żebyśmy otrzymali pomoc z ich strony.

– A wtedy forteca upadnie – powiedział Joscelyn cicho. – I Terre d’Ange wraz z nią.

Dopóki Selig utrzyma dyscyplinę... Popatrzyłam na mapę.

– Mamy jedną szansę – mruknęłam. Nie zdawałam sobie sprawy, że rozmyślałam na głos, dopóki Ghislain de Somerville nie spojrzał na mnie pytająco. – Armia Seliga to zlepek, tworzy ją co najmniej setka różnych plemion, prawda? – Zerknęłam na Joscelina. – Pamiętasz, jak przyjechaliśmy na Althing? – zapytałam. Z ponurą miną pokiwał głową. – Niektóre z nich są śmiertelnymi wrogami. Jeśli ich podburzymy, jeśli złamiemy dyscyplinę narzuconą przez Seliga i wywołamy rozprzężenie... to już byłoby coś.

– A jak mamy to zrobić? – zapytał Rouse sceptycznie.

Ghislain pilnie wpatrywał się w mapę.

– Cruithnowie ich przestraszyli – powiedział z zadumą, postukując palcem. – Wszystkie te niebieskie twarze... Skaldowie nie wiedzieli, co się dzieje. Widziałem to dobrze, będąc na brzegu. Są przesądni, wiecie. A gdyby tak ich szarpać, zadawać ciosy i odskakiwać... coś takiego powinno dać im do myślenia. Potrzebujemy bezpiecznej kryjówki gdzieś w górach. Jakiegoś schronienia.

Popatrzyłam na Drustana, Eamonna i Grainnę.

– Ilu z nas by przeżyło? – zapytałam Ghislaina. – Szczerze.

Podniósł głowę znad mapy i głęboko zaczerpnął tchu.

– Nikt – rzekł cicho. – Na koniec nikt. Przeżyjemy, dopóki szczęście nas nie opuści, nie dłużej. I może się okazać, że zginiemy na próżno. Masz rację, to nasza jedyna szansa, choć w najlepszym wypadku nikła.

– Dziękuję – powiedziałam i powtórzyłam w języku cruithne jego słowa.

Drustan z ponurą twarzą pokuśtykał do wyjścia namiotu i wyjrzał na zewnątrz, strasząc azalijską straż. Eamonn i Grainna popatrzyli na siebie.

– Powiedz mu, że dopilnuję, by jego ludzie wrócili na brzegi Alby – powiedział szorstko Kwintyliusz Rousse. – Każdy niebieski i z wapnem na głowie. Nie zaprosiliśmy ich tutaj, żeby popełnili samobójstwo.

Sądzę, że Drustan zrozumiał, bo odpowiedział, zanim zdążyłam otworzyć usta.

– A co wówczas się stanie z twoim Hiacyntem? – zapytał mnie, odwracając się i unosząc rękę. Na złotym sygnecie błysnęło światło. – Jeśli nie poślubię Ysandry, jeśli zginę, jeśli ona zginie, a klątwa nie zostanie zdjęta, co się z nim stanie? Jak poza tym wrócimy do domu, jeśli Władca Morza pozostanie przykuty do

skąły, rozgniewany naszą porażką? Jaką pieśń zaśpiewają o nas w domu, Fedro nó Delaunay?

Łzy piekły mnie w oczy; to ja go tu sprowadziłam.

– Nie wiem – szepnęłam. – Panie, tak bardzo mi przykro.

– To nie twoja wina. – Spojrzał mi w oczy. – Wypełniłaś rozkaz królowej. Moje przeznaczenie należy do mnie i ty nie możesz go odmienić. Ale muszę dać wybór swoim ludziom. To moje przeznaczenie, nie ich. Skoro czeka ich śmierć, muszą mieć prawo wyboru, czy zmierzyć się z falami, czy z mieczami.

Pokiwałam głową, ledwo widząc go przez łzy. Drustan zawołał ostro do Eamonna i Grainny, którzy odeszli, zabierając swoją straż. Przekazałam jego słowa pozostałym.

– Uczciwe postawienie sprawy – rzekł Ghislain cicho, stojąc z pochyloną głową nad planem Troyes-le-Mont. – Cokolwiek im powiedziałaś, nie mogli wiedzieć, jakie mają szansę. Nikt z nas tego nie wiedział. – Uniósł głowę. – Ale jeśli ty pójdziesz, ja pójdę z tobą. Tam jest mój ojciec. – Popatrzył twardo na Joscelina. – I jeśli się nie mylę, twój także, kasjelito.

Rozmawialiśmy o tym tej nocy.

Na rozległej czarze nieba płonęły jasne, czyste gwiazdy, znajome d'Angelińskie gwiazdy. W obozie wojskowym nie ma cichego miejsca, ale znalazłam Joscelina niedaleko naszych namiotów, siedzącego pod wiązem i patrzącego na obóz. Nie było odświętnej atmosfery, jak po klęsce armii Maelcona; tutaj stoczyliśmy potyczkę, nic więcej, odnieśliśmy drobne zwycięstwo w beznadziejnej wojnie. Azalijczycy czyścili broń i w ponurych nastrojach dumali, co będzie dalej. W obozowisku Drustana płonęły ogniska i do późnej nocy toczyły się dysputy.

– Wiedziałaś? – zapytałam Joscelina, siadając obok niego.

Wzruszył ramionami.

– Nie byłem pewien. Wiedziałem, że to możliwe. Na wyspie nie widziałem naszego sztandaru, ale przecież było ich tak wiele.

– Przykro mi – powiedziałam cicho.

– Nie trzeba. – Głos miał szorstki. – Dom Verreuil zawsze służył ojczyźnie. Wiedziałaś, że mój ojciec walczył w Bitwie Trzech Książąt? Wtedy otrzymał tytuł kawalera.– Skrzywił kącik ust. – Wiesz, taki, jaki ty nadałaś ludziom admirała.

– Ja jednak nie mam prawa nadawać ziemi.

– Nie. – Patrzył w gwiazdy. – Verreuil to nieduża posiadłość, ale należy do naszej rodziny od sześciuset lat. Linia Szamchazaj, rozumiesz. Mamy bibliotekę, w każdym pokoleniu jeden syn idzie do Bractwa Kasjelitów, i służymy tronowi Terre d'Ange, gdy zachodzi potrzeba.

– Tam jest tylko twój ojciec? – zapytałam cicho.

Pokręcił głową.

– Nie – rzekł cicho. – Luk na pewno z nim poszedł.

– Luk?

– Mój starszy brat. – Westchnął, wspierając brodę na kolanach. – Mam też młodszego, Mahieu, ale jemu kazali zostać w domu. Matczyna pociecha, najmłodszy; ojcowa siła, najstarszy. To ten urodzony pośrodku idzie do Kasjela. Tak mówią w Siovale. Moje siostry zawsze mi dokuczały. Mam trzy.

I nie widziałeś bliskich od jedenastu lat, to też dobrze pamiętałam. Teraz pewnie będzie dwanaście. Więcej niż połowa mojego życia, połowa życia Joscelina. Myślałam, że jest równie jak ja pozbawiony korzeni, ale to nie była prawda.

Chciałam coś powiedzieć i nie znalazłam słów. Objęłam go, a on popatrzył na mnie ze smutkiem.

– Myślałem, że będę miał okazję ich zobaczyć – powiedział. – Zanim... cóż, przed końcem. Pozwalają nam odwiedzić dom w

wieku dwudziestu pięciu lat, w zakonie, jeśli służymy dobrze... – Zadrżał. – W przeciwnym wypadku... Teraz jestem wyklęty. Jak myślisz, czy moja rodzina wie? A może wiedzą tylko, że jestem mordercą, oskarżonym o zabicie Anafiela Delaunaya?

– Nikt, kto cię zna, nie dałby temu wiary, Joscelinie.

– A czy oni mnie znają? – W jego głosie zabrzmiała twarda nuta. – Miałem dziesięć lat, Fedro! Skąd mogą wiedzieć, na kogo wyrosłem? – Załamał rękę i światło gwiazd załśniło na stalowych żarzących. – Sam ledwo siebie znam – szepnął. – Ach, Eluo! Czy tylko po to przebyliśmy tę całą długą drogę?

– Nie wiem – mruknęłam, patrząc nad ogniskami na pogrążoną w mroku ziemię. Znałam liczbę Skaldów, widziałam ich, ale mimo to... Trzydzieści tysięcy. Obozowali gdzieś tam wokół fortecy i szykowali się do unicestwienia wszystkiego, co było mi drogie.

Joscelin odetchnął głęboko, przewyciężając chwilę słabości.

– Niezależnie od tego, co przyniesie ranek, będziemy gotowi jechać do Trevalionu. Jest dobrze obsadzony i Ghislain obiecał gościć. Rouse przydzieli ci straż. Jego ludzie nie pozwolą, żeby tego nie dotrzymał.

Popatrzyłam na niego w milczeniu.

– Nie. – Z uporem zacisnął szczęki. Nawet w nikłym świetle gwiazd widziałam białe linie po bokach jego nosa. – Nie. Nawet o tym nie myśl.

– Przybyli tutaj na moje słowo.

– Przybyli na słowo królowej! Ty tylko je przekazałaś!

– Ysandra de la Courcel nie grała na zazdrości Bliźniąt, by nakłonić Dalriadów do ruszenia na wojnę. Ani nie zostawiła swojego najdroższego przyjaciela na samotnej skale, żeby zapewnić wojsku drogę do z góry przegranej bitwy. Nie mogę

przed tym uciec, Joscelinie.

– Na siedem piekieł admirała, co możesz zrobić?! – wrzasnął. – Do czego możesz się przydać? To wojna!

Wzruszyłam ramionami.

– Oni muszą wiedzieć to, za co walczą i umierają. Sam tak mi powiedziałeś, prawda?

Nie znalazł odpowiedzi.

– A jeśli przegłosują odwrót? – zapytał, patrząc w inną stronę.

– Udam się do Caerdicca Unitas i zaoferuję swoje usługi księciu Benedyktowi – powiedziałam. Joscelin popatrzył na mnie, zaskoczony. – Jest inne wyjście? Drustan zostanie, bez względu na wszystko. Może jeśli Caerdicci usłyszą o poświęceniu Alby, paru opowie się po naszej stronie.

– Caerdicci nie będą walczyć dla Terre d’Ange – powiedział cicho. – Miasta-państwa są bardziej skłócone niż Skaldowie i bardziej zazdrosne niż Bliźnięta. Nie zwiążą ich nawet sztuczki Naamy, Fedro.

– Wiem, ale to lepsze niż czekanie na wpadnięcie w ręce Seliga. – Wstałam i pocałowałam go w policzek. – Przykro mi z powodu twojej rodziny. Będę się za nich modlić, Joscelinie.

– Módl się za nas wszystkich – wyszeptał.

Zrobiłam to. Minął długi czas, odkąd szczerze modliłam się do Błogosławionego Elui, pomijając desperackie błagania w chwilach przerażenia. Wzniosłam modły do Elui i wszystkich jego Towarzyszy, nie tylko do tego, który mnie nazaczył, prosząc o mądrość, o radę, o isierkę nadziei, która powstrzyma nas przed pogrążeniem się w czarnej rozpacz. Modliłam się o bezpieczeństwo ojca i brata Joscelina, modliłam się za Ysandrę de la Courcel i wszystkich oblężonych w Troyes-le-Mont, za Drustana, Bliźnięta i ich ludzi, za admirała Rouse, Chłopców

Fedry, Ghislaina, Trevaliona i Azalijczyków, i za Hiacynta, samotnego na morzu. Za Dwór Nocy i wszystkie jego Domy, za poetów i aktorów z Progu Nocy, za Thelesis de Mornay i Cecylię Laveau-Perrin, za miłego rządcę Perrinwolde z całą jego rodziną.

W końcu modliłam się za wszystkich, których znałam, i za tych, których nigdy nie spotkałam, za serce i duszę Terre d'Ange. Nie wiem, co dobrego przyszło z moich modłów, ale jeśli moje serce nie stało się złejsze, to przynajmniej zasnęłam ze zmęczenia.

A raniem Drustan przyniósł odpowiedź swoich ludzi.

– Zostaniemy i będziemy walczyć.

Powiedział to w caerdicci, by wszyscy mogli zrozumieć. Ghislain de Somerville popatrzył na niego z napięciem, niepewny, czy dobrze usłyszał.

– Wszyscy?

Drustan skinął głową.

– Jeśli przysięgniecie nam jedno – zastrzegł, przechodząc na cruithne; jeszcze sobie nie radził z dłuższymi przemowami. – Jeśli polegniemy, ktoś musi zanieść wieści do Alby. Nasze rodziny i przyjaciele muszą wiedzieć, jak umarliśmy. Poeci muszą śpiewać o naszych czynach.

Przetłumaczyłam jego słowa, a potem powiedziałam w cruithne do niego:

– Ja to obiecuję. – Przeszył mnie spojrzeniem. – Przyrzekam, że tak się stanie, wielmożny cruarcho. – Do Ghislaina rzekłam po d'Angelińsku: – Przysięgam, w imię królowej.

Joscelin jęknął rozpaczliwie.

– Joscelinie, pomyśl. Jeśli zawiedziemy... Kto poza mną zdoła przebyć Cieśninę? – zapytałam rozsądnie.

– W nocy wybierałaś się do Caerdicca Unitas – mruknął. – Jutro

będziesz chciała pożeglować do Kebel-im-Akad. Jeśli chcesz znać moje zdanie, admirale, powinniśmy zamknąć ją w lochu i wyrzucić klucz.

– Zatem postanowione. Pchnę umyślnego do Marka de Trevalion, prosząc o spotkanie – oświadczył Ghislain, przerywając naszą rozmowę. Wyciągnął mapę, wskazał miejsce nad Rhenusem. – Tutaj odbędziemy naradę. Jeśli Trevalion wyrazi zgodę, połączymy siły pod jego komendą. Dzięki wczorajszemu zwycięstwu możemy zabrać stąd kilkuset ludzi. Admirale, chciałbym, żebyś został ze swoją flotą i dowodził obroną zachodniego brzegu. – Popatrzył pytająco.

Sądzę, że było to czymś w rodzaju ciosu dla Kwintyliusza Rouse, który od tak długiego czasu uczestniczył w naszej misji. Ale Ghislain miał rację, jako dowódca floty miał okazać się bardziej użyteczny. Admirał niewiele wiedział o taktyce wojny na lądzie, a Ghislain de Somerville był synem dowódcy wojsk królewskich.

Rouse powoli pokiwał głową.

– Jak sobie życzysz, panie.

– Dobrze. – Ghislain zrolował mapę. – Zwijąć obóz. Ruszamy.

OSIEMDZIESIĄT TRZY

Rankiem Joscelin i ja – oraz Drustan z Bliźniętami – pożegnaliśmy się z Kwintyliuszem Rousse. Bardzo polubiłam bezceremonialnego admirała, a teraz, gdy czekało nas rozstanie, uświadomiłam sobie, w jak dużym stopniu wszyscy polegaliśmy na jego sile.

– Niech Elua ma cię w opiece, dziewczyno – powiedział szorstko, zamykając mnie w potężnym uścisku. – Masz odwagi za dziesięciu, w swój przewrotny sposób, i na dodatek sakramenckie poczucie honoru swojego pana. Gdybyś znów chciała przebyć Cieśninę, wiesz, że możesz na mnie liczyć.

– Dziękuję – szepnęłam. – Czy przewieziesz kogo innego, jeśli będzie trzeba?

– Kogo tylko każesz – obiecał.

Wiedziałam, że Rousse dotrzyma słowa. Nie bacząc na moje protesty, zwolnił Chłopców Fedry, żeby mogli jechać z nami. Nad Rhenusem brak trzydziestu kilku marynarzy nie stanowił różnicy, ale ochrona mojej osoby stała się dla nich punktem honoru. Widząc nieugiętą minę Joscelina, przestałam oponować i ustąpiłam z wdziękiem. Oni też mieli prawo wyboru.

Ruszyliśmy w dobrym tempie i przed nocą dotarliśmy na umówione miejsce spotkania.

Jeśli Mark de Trevalion zdziwił się na widok trzech tysięcy Albijczyków, to dobrze ukrył swoje uczucia i powitał Drustana z powagą. Znałam go tylko z procesu, gdzie zrobił na mnie wrażenie podobną postawą. De Somerville'a przywitał jak syna;

w istocie Ghislain był zaręczony z jego córką Bernadettą, która razem z nim wróciła z wygnania.

Nie było jasne, który z nich ma tytuł do władzy w księstwie. Później dowiedziałam się, że został on przyznany pierworodnemu Ghislaina i Bernadetty. Na szczęście obu panów cechował rozsądek; nie żywili do siebie wrogości ani chęci do kłótni o kawałek ziemi, kiedy ważyły się losy całej Terre d'Ange.

De Trevalion powiedział do mnie uprzejmie:

– Mój kuzyn Gaspar wyrażał się pochlebnie o twoim panu, Anafielu Delaunayu. Zawsze bardzo go poważał, a i ja miałem dla niego wiele szacunku.

Podziękowałam bez słów, przełykając łzy, bo dawna rozpacz odżywała z nową siłą za każdym razem, gdy ktoś wspominał o Delaunayu.

Ghislain de Somerville zwięźle opowiedział naszą historię i nakreślił plan. De Trevalion wysłuchał bez przerywania, a potem zaczął spacerować z rękami założonymi do tyłu.

– Wiesz, jakie macie szansę na przeżycie? – zapytał ponuro.

– Wiem – odparł de Somerville. – Wszyscy wiemy.

Mark de Trevalion pokiwał głową.

– W takim razie musicie spróbować – rzekł cicho. – Będę współpracować z twoimi kapitanami. Nie ma obawy, utrzymamy granicę na Rhenusie tak długo, jak długo wytrzyma Troyes-le-Mont.

– Dziękuję, Marku – odparł Ghislain krótko.

Sprawa została rozstrzygnięta. Zostawiłam ich nad mapami, gdy omawiali strategię. Poprosiłam de Trevaliona o papier i atrament i zabrałam się do pisania listu.

– Do kogo piszesz? – zapytał Joscelin, próbując zajrzeć mi przez ramię.

Posypałam arkusz piaskiem i strząsnęłam.

– Do Thelesis de Mornay – odparłam, pokazując mu list. – Jeśli... jeśli żadne z nas nie przeżyje nadchodzących tygodni, ona zanieś wieści do Alby. Pan Cieśniny już kiedyś ją przepuścił, a Hiacynt ją zna. – Uśmiechnęłam się drwiąco, widząc jego minę. – Myślałeś, że liczyłam, iż sama to zrobię? Podjęłam decyzję i znam ryzyko, jakie się z tym wiąże.

Joscelin pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, czy cieszyć się, czy żałować, że to rozumiesz – rzekł cicho.

Dmuchałam na jeszcze wilgotny atrament.

– Ciesz się, przez wzgląd na Albę.

Ja z kolei cieszyłam się, że są z nami Chłopcy Fedry. Poszłam do nich z Joscelinem, znalazłam Remy'ego i podałam mu list w skórzanej tubie.

– Mam zadanie dla najdzielniejszych i najbystrzejszych z was – oznajmiłam z wyrachowaniem. – Ten list musi dotrzeć przez tereny zajęte przez wroga do Miasta Elui i trafić w ręce nadwornej poetki. Czy masz ludzi, którzy chcą służyć, kawalerze?

– Czy mam ludzi?! – zawołał, z uśmiechem wyciągając rękę. – Daj list, pani, a dopilnuję, by dotarł do bezpiecznej przystani tak pewnie, jak jeszcze nigdy nie zrobił tego żaden okręt po długim rejsie!

Z zaufaniem przekazałam mu pismo i patrzyłam, jak czterech jeźdźców rusza z kopyta. De Trevalion podzielił się z nimi najświeższymi informacjami i wskazał im trasę z daleka omijającą Troyes-le-Mont. Będą mieć większe szansę niż my i zapewnią wypełnienie obietnicy, jaką złożyłam Drustanowi. Posłałabym ich wszystkich, gdybym mogła.

– Nie jesteś wcale taka lekkomyślna, jak mogłoby się wydawać
– powiedział Joscelin z zadumą, popatrując za nimi.

– Nie taka – zgodziłam się. – Ale też nie wcale. Żałuję, że nie pojechałeś z nimi, Joscelinie.

Obrzucił mnie kpiącym spojrzeniem.

– Czy nigdy nie przestaniesz wystawiać na próbę mojej przysięgi?

– Nie. – Z trudem przełknęłam ślinę, czując w sercu niespodziany ból. – Nie, jeśli będę miała coś do powiedzenia w tej sprawie, kasjelito.

Jeszcze nigdy nie byliśmy tak bliscy wyznania uczuć; co więcej, była to flaga przekory powiewająca w obliczu rozpacz. Joscelin nie uśmiechnął się, tylko ukłonił, posłuszny głęboko zakorzenionemu kasjelickiemu nawykowi.

– Eluo spraw, żebyś miała okazję – mruknął. – Zniosę wszystko, byleś tylko żyła.

W innych okolicznościach być może powiedzielibyśmy coś więcej, ale przecież byliśmy na wojnie. Niedługo później zostałam wezwana jako tłumaczka do Drustana mab Necthana i naszych d'Angelińskich przywódców, opracowujących niebezpieczny kurs.

– Żałuję, że nie mogę powiedzieć wam niczego o d'Aiglemorcie – rzekł Mark de Trevalion, potrząsając głową. – Przepadł ze swoimi siłami u podnóży Kamaelinów i nikt nie wie, gdzie się podziewa. Łatwiej wytropić borsuka w norze niż jego. – Pokazał miejsce na mapie. – Tu jest wasze najlepsze schronienie. Mam dla ciebie radę – dodał, spoglądając na Ghislaina. – Staraj się zabić Seliga. Jeśli ich informacje są wiarygodne... – wskazał na Joscelina i na mnie – a nie mam powodu w to wątpić, Waldemar Selig stanowi klucz do zwycięstwa. Jeśli zginie, Skaldowie

zostaną bez przywódcy.

Skaldowie wierzyli, że Seliga broń się nie ima. Chciałabym wierzyć, że jest inaczej, ale dobrze pamiętałam noc, w którą chciałam go zabić.

– Spróbujemy – mruknął Ghislain de Somerville. – Możesz być tego pewien.

– Hrabio de Trevalion, co się stało z Melisandą Szachrizaj? – zapytałam.

Rysy twarzy Marka de Trevalion stwardniały. Melisandą doprowadziła do upadku jego rodzinę i sam miał z nią na pieńku. Pokręcił głową.

– Z tego, co mi wiadomo, Bractwo Kasjelitów szukało członków rodziny Szachrizaj, by ich przesłuchać. Nie słyszałem, żeby ich znaleźli.

I najpewniej nie znajdą, pomyślałam; Melisandą wyczuje kasjelitę na pięćset kroków. Cóż, mniejsza z tym. Dotknęłam diamentu na szyi. Gdziekolwiek była, to na pewno nie na polu bitwy.

Rankiem ruszyliśmy na wojnę.

Nie będę wdawać się w szczegóły dotyczące zaopatrzenia wojska i trudności związanych z przekazaniem skomplikowanego planu wielojęzycznemu wojsku. Wystarczy powiedzieć, że w końcu cel został osiągnięty, choć ochrypłam od ciągłego tłumaczenia rozkazów.

Sprawna organizacja była zasługą przede wszystkim Ghislaina de Somerville. Mimo początkowej rezerwy szybko poradził sobie z naszym przedziwnym wojskiem oraz doszedł do porozumienia z Drustanem mab Necthana, który potrafił docenić jego starania i umiejętności.

Zasługa przypada również Eamonnowi z Dalriadów, który

doskonale umiał zadbać o szczegóły. To on zajął się rozdzieleniem prowiantu, broni i wierzchowców. Bliźnięta podszczywały się wzajemnie, ale w czasie tego exodusu Grainna stała przy nim murem. Tworzyli silną parę.

Maszerowaliśmy na południe, zataczając szeroki łuk ku wschodowi, do Kamlachu, żeby uniknąć wykrycia przez siły Seliga. Nie pierwszy raz towarzyszyłam maszerującej armii, ale wcale było nie lepiej niż w Albie. Nie życzę tego nikomu. Wreszcie dotarliśmy do falistych wzgórz na wschodzie Namarry i z grzbietu jednego z nich ujrzelśmy obleżoną twierdzę.

Kilku Skaldów rozstało się z życiem, gdy wspinaliśmy się do punktu obserwacyjnego. Waldemar Selig nie był głupcem i wystawił posterunki wokół swojego obozu. Nie mógł tylko przewidzieć obecności Cruithnów, potrafiących sobie radzić w puszczy znacznie lepiej niż jego ludzie. Drustan wybrał zwiadowców, którzy bezgłośnie zniknęli w leśnych ostępach i sprawnie usunęli skaldyjskie warty na naszej trasie.

Tak oto wspięliśmy się na wzgórze. Z wierzchołka roztaczał się widok na równinę, gdzie armia Seliga rozłożyła się obozem.

– Wielu ich – szepnął Drustan w cruithne, leżący na brzuchu jak wszyscy pozostali.

Wiedziałam; policzyłam uczestników Althingu, widziałam Skaldów w lustrze Pana Cieśniny i słyszałam o ich hordach od Ghislaina de Somerville. Nic jednak nie mogło przygotować mnie na ten widok. Wojska skaldyjskie roiły się wokół ufortyfikowanych wałów Troyes-le-Mont jak mrówki wokół mrowiska. Roje maleńkich postaci przemieszczały się po równinie, skupiając się w strategicznych miejscach ataku na szanie. Z góry widzieliśmy, że obrona jest niedostateczna, że punkty oporu słabną.

Nie minie dużo czasu, a Skaldowie zepchną obrońców w obręb murów samej fortecy. Percy de Somerville wybrał Troyes-le-Mont, ponieważ fort mógł długo się bronić – i ponieważ nie otaczało go miasto pełne niewinnych, nieuzbrojonych D'Angelinów – ale Selig studiował dzieła taktyków tyberyjskich.

Skaldowie konstruowali wieże oblężnicze.

– Najlepsze miejsce – powiedział Ghislain rzeczowo, wskazując podbródkiem wieżę budowaną na skraju obozu. – Są poza zasięgiem strzału z łuku z murów fortecy, więc nie spodziewają się ataku i skupiają uwagę na wieży. Zgadza się?

Przetłumaczyłam to Drustanowi, który pokiwał głową.

– Dobrze – Ghislain wbił wzrok w oblężoną fortecę, myśląc bez wątpienia o swoim ojcu, a potem odwrócił się w naszą stronę. – Będziemy wycofywać się skokami – powiedział, spoglądając na wzgórze za nami z zadumą rolnika, który obmyśla założenie sadu. – Musimy zaplanować coś, co pozwoli nam na dobre oderwać się od pościgu.

Gdyby ktoś wątpił, że hrabia odziedziczył po ojcu talent taktyczny, to po tym dniu zmieniłby zdanie. Trasa ucieczki ciągnęła się wiele mil w głąb wzgórz, najeżona szeregiem śmiertcionośnych pułapek, aż do wąskiego wąwozu, który można było zablokować.

Zaplanowanie ataku zajęło dwa dni. Ghislain niemal przesadzał z ostrożnością, ale w końcu zatwierdził plan. Ucieszyłam się, kiedy usłyszałam, że Drustan osobiście poprowadzi atak.

Wybrali pięćdziesięciu Cruithnów, w tym najlepszych łuczników na najszybszych wierzchowcach. Uznali, że to największa grupa mogąca przemknąć się niepostrzeżenie i najmniejsza, jaka mogła przyciągnąć uwagę Skaldów.

Nie widziałam tego, gdyż wraz z Joscelinem, Chłopcami Fedry i resztą wojska pozostałam w najdalszym punkcie trasy ucieczki, na stromym, lesistym wzgórzu; ukrycie przed Skaldami naszej liczebności stanowiło część planu Ghislaina.

Ale usłyszałam później. Wszyscy usłyszeliśmy.

Cruithnowie Drustana uderzyli o brzasku, kiedy sylwetka wieży oblężniczej ledwo się odznaczała na tle ciemnego nieba, a większość Skaldów jeszcze spała.

Zjechali z gór niczym duchy o niesamowitych niebieskich twarzach, przebyli równinę i wbili się w skraj sił skaldyjskich jak klin, siejąc spustoszenie. Stu, a może nawet więcej Skaldów zginęło we śnie tego dnia. Zasmuciła mnie ta wieść, ale posmutniałam jeszcze bardziej, kiedy się dowiedziałam, ilu ludzi Skaldowie zabili na swojej drodze.

Zgodnie z planem Ghislaina Cruithnowie pod wodzą Drustana zapalili nasączone smołą pochodnie od skaldyjskich ognisk i rzucili je na wieżę oblężniczą. Nim obóz w pełni się przebudził, brzęcząc jak kopnięte gniazdo szerszeni, Cruithnowie już się wycofywali, a łucznicy opóźniali pościg gradem strzał – akadyjska taktyka L'Enversa wielce przypadła do gustu Drustanowi.

Zapewniła im trochę czasu, ale nic więcej.

Skaldowie ruszyli w pościg.

Dogonili straż tylną, pędzącą ku wzgórzom. Dwunastu Cruithnów szybko urządziło desperacki punkt oporu, który niedługo się trzymał, zalany przez nieprzebrane masy wroga. Wszyscy obrońcy polegli. Drustan nawet się nie obejrzał, przynaglając pozostałych do pośpiechu. Skaldowie pognali za nimi – i wpadli w pierwszą zasadzkę.

Na wysokich urwiskach Ghislain de Somerville rozmieścił

łuczników z L'Agnace. Spokojni i niewzruszeni, ślący strzały na znacznie większą odległość niż wyposażeni w krótkie łuki wojownicy Cruithnów, szyli bez chwili wytchnienia w pierwsze szeregi Skaldów, aż ciała martwych utworzyły makabryczną barykadę.

Łucznicy nie czekali dłużej niż trzeba i wycofali się obroną trasą. Kiedy Skaldowie podjęli pościg, ludzie Drustana zdążyli odskoczyć na znaczną odległość.

Nie wiem, ilu Skaldów ich ścigało, na pewno kilkuset, być może nawet tysiąc. W pewnym miejscu ścieżka się rozwidła i Cruithnowie pojechali środkową odnogą. Skaldowie, którzy skręcili w boczne, próbując ich oskrzydlić, spotkali się z pociskami dalriadzkich procarzy i oszczepników. Mieszkańcy Eire uwielbiają proce i posługują się nimi z zabójczą wprawą.

Mimo to niewiele brakowało, a skończyłoby się nieszczęściem. Byłam tam, kiedy Drustan prowadził swoich ludzi w górę stromego, wąskiego jaru. Jechali na spienionych, niemal zajeżdżonych koniach, sami będąc w niewiele lepszym stanie, a Skaldowie deptali im po piętach.

– Teraz! – zawołał Ghislain.

Ustawieni na urwiskach po obu stronach wąwozu d'Angelińscy i albijscy żołnierze nacisnęli na wsunięte pod głązy legary.

Ghislain de Somerville dobrze to zaplanował; lawina kamieni spadła z hukiem, tarasując przejście. Skaldowie bezładnie kłębili się na dnie wąwozu, stanowiąc łatwy cel dla łuczników.

Wielu uwięzionych w wąwozie wojowników zginęło. Ale Skaldowie nie są tchórzami, nigdy nie byli. Kilkuset wycofało się spoza zasięgu strzał i odbyło naradę. Niewielki oddział odjechał.

Inni zostali. Posuwali się krok po kroku z tarczami nad

głowami, oczyszczając przejście.

Pomysł Seliga, pomyślałam. Sami by na to nie wpadli.

Ghislain przyglądał się im przez jakiś czas, potem podjął decyzję.

– Wycofujemy się – powiedział ostro i zawołał: – Odwrót!

Uciekliśmy na wschód, głębiej w góry.

Nie wiem, kiedy wróciliśmy w granice Kamlachu. Zbliżał się wieczór, byłam skupiona wyłącznie na utrzymaniu się w siodle i na tym, żeby dla nikogo nie stanowić ciężaru. Ghislain przewidział możliwość przymusowego odwrotu. Rozmieścił za nami kompanię łuczników, żeby spowolnić pościg Skaldów; nim się przebiją, my będziemy daleko. Kładliśmy fałszywe tropy, przez cały czas wycofując się coraz głębiej w góry. Co jakiś czas dopędzali nas gońcy od łuczników, składający meldunki.

Nie wiem, co byśmy zrobili, gdyby nie Cruithnowie, którzy z niedościgłą biegłością umieli poruszać się po lesie. Żaden czarny dzik nie wyłonił się z mroku, żeby nas poprowadzić, ale czułam obecność Cullach Gorrym. Drustan, z rękami po łokcie unurzany we krwi, niezmordowanie rozsyłał zwiadowców, którzy znajdowali bezpieczne przejścia.

Wreszcie Ghislain de Somerville na podstawie raportów osądził, że możemy bezpiecznie rozbić obóz. Niemal spadłam z siodła, wycieńczona długą jazdą i strachem. Gdyby nie ucieczka przez skaldyjskie bezdroża, to myślę, że poddałabym się i zmarła tej nocy.

A jednak odpoczynek nie był mi dany.

Z południa wrócił ostatni zwiadowca Drustana, zadyszany jak maratończyk. Jego oczy dziko błyszczały w niebieskiej twarzy, gdy coś powiedział i wskazał ręką tam, skąd przybył. Drustan z niedowierzaniem ściągnął brwi, a ja przywlokłam się bliżej, żeby

posłuchać.

– O co chodzi? – zapytał de Somerville, chwytając mnie za ramię.

– Mówi, że tam jest wojsko, panie. – Sama nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam. – Wojsko D'Angelinów obozuje w dolinie niecałą milę na południe stąd.

OSIEMDZIESIĄT CZTERY

– Izydor d’Aiglemort.

Ghislain de Somerville wypowiedział to jak przekleństwo. Nie miałam mu tego za złe. Nikt spośród nas, kto był D’Angelinem, nie mógł się temu dziwić. Usłyszałam, jak powietrze zasyczało między zębami Joscelina.

Pokrótkie wyjaśniłam sytuację Drustanowi, który pokiwał głową. Sam został zdradzony przez swojego kuzyna Maelcona; rozumiał takie rzeczy.

– Mimo wszystko rozbijemy obóz – powtórzyłam za Ghislainem. Tej nocy nie dalibyśmy rady jechać dalej, a poza tym ludzie d’Aiglemorta nie wiedzieli o naszej obecności.

Ktoś mógłby pomyśleć, że w taką noc niebiosa wyrażą swoje niezadowolenie, ale niebo pozostało bezchmurne. Zapomniawszy o zmęczeniu, owinęłam się w płaszcz, odszukałam zwiadowcę, który wypatrzył armię diuka Izydora d’Aiglemort, i zadałam mu kilka pytań.

Później ruszyłam na poszukiwanie Ghislaina de Someralle. Znalazłam go przy koniach, stanowiących dla nas bezcenną wartość.

– Panie, powiedziałaś, że gdyby Caerdicci zebrali wojsko, Skaldowie znaleźliby się między młotem i kowadłem. Ilu ludzi potrzebujesz?

– W sumie dziesięć tysięcy. Może mniej, jeśli skoordynujemy wysiłki z obrońcami w Troyes-le-Mont. – Popatrzył na mnie uważnie. – Dlaczego pytasz? Caerdicci nie wystawią nosa poza

swoje granice. Oboje o tym wiemy.

Popatrzyłam na południe i zadrżałam.

– Mam pewien pomysł.

Powiedziałam mu, co mi przyszło do głowy.

Ghislain de Somerville obrzucił mnie długim, twardym spojrzeniem.

– Chodź ze mną – polecił. – Musimy porozmawiać.

Jego stół z mapami został w Azalii; zaprosił mnie do prostego żołnierskiego namiotu, w którym jedynym luksusem było zwijane posłanie. Wyruszając w drogę, zabraliśmy tylko niezbędne rzeczy. Usiadłam na składanym stołku, podczas gdy on chodził w świetle jednej lampy.

– Powiedz, jeśli uważasz, że to szaleństwo – poprosiłam, niezdolna dłużej znieść niepewności.

– Oczywiście, że szaleństwo – warknął gniewnie. – Ale to samo zrobiliśmy dzisiaj i to samo zrobimy jutro. Jeśli powiesz nam się tak jak dziś, będziemy umierać powoli, aż w końcu staniemy się zbyt zmęczeni, zbyt powolni lub zbyt niedbali, a wówczas Skaldowie nas złapią. O ile już nie wspinają się po murach fortecy. – Ghislain de Somerville usiadł na materacu i ukrył twarz w dłoniach. – Ach, Anaclu! – westchnął. – Urodziłem się, żeby troszczyć się o jabłoniowe sady, uprawiać ziemię i miłować jej lud. Dlaczego zmuszasz mnie do podejmowania takich strasznych decyzji?

– Ponieważ, panie – zaczęłam cicho – urodziłeś się, żeby opiekować się tą ziemią i kochać jej lud, a nie wydawać go na śmierć od barbarzyńskiego miecza. Nikt inny spośród nas nie zdołałby opracować planu, który rokuje szansę powodzenia.

– Może się udać. – Opuścił ręce na kolana i popatrzył na mnie z powagą. – Ale jeśli... jeśli nie, stracimy wszystko, a nie wiem, czy

zniosę widok naszych ludzi ginących z rąk D'Angelinów. Fedro nó Delaunay, czy jesteś go pewna?

– Nie – szepnęłam, czując zimno, choć noc była ciepła, a lampa nagrzewała wnętrze namiotu. – Jest tylko jeden atut... ale nie jestem niczego pewna, panie.

– Szkoda – mruknął Ghislain de Somerville, zaciskając ręce na kolanach. Uśmiechnął się niewesoło. – Czy wiesz, że mój ojciec lubi się zakładać? L'Agnatczycy mają do tego słabość, sam nie wiem dlaczego. Ale zawsze mówił, że nikt nie wygra zakładu z Anafielem Delaunayem.

– Panie, ja nie jestem nim – powiedziałam z trwogą. – Nawet jeśli mam połowę jego mądrości, nie ośmielę się tobie doradzać.

– Gdybyś miała tylko połowę jego mądrości, nigdy nie wpadłabyś na taki pomysł. – Zapatrzył się w mrugający płomień lampy. – Ala wpadłaś, a ja muszę na coś postawić. Porozmawiam ze zwiadowcą, może dowiemy się czegoś więcej. Kiedy obmyślę plan, dam ci znać.

Pokiwałam głową, wstałam i opadłam w uroczystym ukłonie, jaki członkowie Dworu Nocy składają tylko przed potomkami domu panującego. Zdołałam zapanować nad sobą, wychodząc z jego namiotu, ale na zewnątrz, pod gwiazdami, zachwiałam się i musiałam poszukać oparcia, przestraszona ogromem ryzyka swojej propozycji.

Nigdy się nie pomyliłam w ocenie klienta, czy to Childrica d'Essoms, czy Quincela de Morhban, czy nawet Melisandy Szachrizaj. Ale Izydor, diuk d'Aiglemort, nie zaliczał się do moich klientów, był za to zdrajcą Terre d'Ange. Jeśli popełniłam błąd, wszyscy drogo zapłacimy. Zapłacimy krwią.

– Gdzie byłaś? – zapytał mnie Joscelin po powrocie. Jego ostry ton zdradzał niepokój. Spojrzał na moją pobladłą twarz. – Co się

dzieje? Coś mnie ominęło?

– Nie – odparłam, dzwoniąc zębami. Zarzucił mi płaszcz na ramiona, płaszcz bajdura, poplamiony i podniszczony, z kolorami przygaszonymi przez deszcz i morze. Skuliłam się, szukając ciepła.– Jeszcze nie.

– Doprowadzasz nas wszystkich do śmierci – mruknął i zastanowił się, dlaczego roześmiałam się rozpaczliwie.

Nim otoczyliśmy dolinę, w której obozowało wojsko d’Aiglemorta, poznał przyczynę.

Podejście nie wymagało takich zabiegów jak ucieczka przed Skaldami. Bezpieczni w swojej dolinie, Sprzymierzeńcy z Kamlachu wystawili tylko kilka posterunków. Prawdę mówiąc, nie znaleźlibyśmy ich, gdyby Skaldowie nie ścigali nas tak długo.

Ludzie Drustana zaczekali na zmianę straży i bez trudu unieszkodliwili wartowników. Łucznicy i procarze ukryli się w skalnych szczelinach. Wydawało się, że bitwa pod Bryn Gorrydum, ucieczka przed Skaldami i cała reszta stanowiły próbę do tego przedsięwzięcia.

Pozostała część naszej armii wspięła się na wyżyny, otaczając dolinę. Ghislain wysunął do przodu nielicznych L’Agnatczyków, by nadać nam pozór sił d’Angelińskich. O świcie – niespełna półtora dnia po otrzymaniu informacji – zajmowaliśmy stanowiska.

Ja także tam byłam. To był mój pomysł.

Widzieliśmy już Kamaelitów, trzy tysiące ludzi z okładem, wedle mojej oceny. Wyglądali na wygłodniałych i zmęczonych, ale mogłam się mylić, bo przecież dzieliła nas duża odległość.

Kiedy słońce zalało złotem dolinę, Ghislain de Somerville dał sygnał. Mieliśmy dwóch trębaczy, ale zatrąbili jak tuzin, gdy żołnierze weszli w pole widzenia z wysoko podniesionymi

sztandarami.

Srebrny łabędź rodu Courcel, jabłoń rodu de Somerville, okręty i Gwiazda Nawigatora rodziny Trevalion oraz chorągwie ludów Alby: Cullach Gorrym i Tarbh Cró, Eidlach Ór i Fhalair Ba'n, biały koń Eire– wszystkie łopotały dumnie, oświetlone słońcem. Trzech naszych parlamentariuszy szczyrzyło zęby pod swoim sztandarem, który powiewał pod białą flagą: poszarpana kałuża czerwieni, przecięta Strzałą Kusziela.

Chłopcy Fedry. Remy mrugnął do mnie. To był argument, który przeważył.

Wzięliśmy Sprzymierzeńców z Kamlachu z zaskoczenia. Odwracali się głęboko w dolinie, ocieniając oczy rękami, patrząc na strome góry i wojsko otaczające ich ze wszystkich stron. Jeden stał samotnie i nieustraszenie, a słońce błyszczało na jego kolczudze i jasnych włosach.

Kilberhaar, pomyślałam.

Ghislain de Somerville stanął nad przepaścią i przyłożył ręce do ust.

– Izydorze d'Aiglemort! – zawołał, a jego głos odbił się od turni.

– Chcemy pertraktować! Wysyłamy parlamentariuszy w dobrej wierze! Czy uszanujesz ugodę wojenną?

Łatwiej krzyczeć w dół niż w górę; jasna postać zgięła się w przesadnym ukłonie.

– Idźcie – powiedziałam do Remy'ego i jego dwóch towarzyszy.

– Niechaj Elua was chroni.

– Obiecałaś otworzyć drzwi Dworu Nocy – przypomniał.

– Wszystko, czego tylko zapragniesz, a nawet więcej. – Roześmiałam się i nagle wzruszenie ścisnęło mi gardło. – Wracaj bezpiecznie, żeby móc upomnieć się o nagrodę, kawalerze.

Spięli wierzchowce i pojechali wąską górską ścieżką na

spotkanie z ludźmi d'Aiglemorta. Nie mieliśmy innego wyboru, jak tylko czekać. Jeśli d'Aiglemort nas oszuka, zemścimy się strasznie, ale przecież nie przywrócimy życia trzem ochotnikom. Patrzyliśmy, jak straż prowadzi ich do d'Aiglemorta, któremu przekazali naszą propozycję.

Były to najdłuższe chwile w moim życiu, gdy z wierzchołka góry patrzyłam, czy Izydor d'Aiglemort uszanuje białą flagę parlamentariuszy, odznaczającą się żywo na tle zielonego dna doliny.

Uszanował. Wprawdzie wielu Kamaelitów otoczyło Remy'ego i jego towarzyszy, ale d'Aiglemort wraz z kilkoma wybranymi wojownikami ruszył powoli w górę krętego szlaku.

Przybył uzbrojony i w kolczudze, ale bez hełmu. Jasne włosy lśniły w słońcu, gdy bez cienia strachu w zmrużonych czarnych oczach podjechał prosto do Ghislaina de Somerville. Nie poświęcił jednego spojrzenia l'Agnackim łucznikom, którzy mierzyli prosto w jego serce.

– Jestem, kuzynie – powiedział; wszystkie wielkie rody są skoligacone i spokrewnione. – Pragniesz ze mną mówić?

– Chce tego emisariuszka Ysandry de la Courcel, królowej Terre d'Ange... – odparł Ghislain chłodno, zachowując niewzruszony wyraz twarzy – Wasza Książęca Mość.

D'Aiglemort odwrócił się, powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych, patrząc nad moją głową. Zobaczyłam, że dostrzegł niebieskie oblicza Cruithnów i drgnął, zaskoczony. Drustan mab Necthana zgrzytnął zębami. Ale to była sprawa D'Angelinów. Wystąpiłam do przodu i uniosłam głowę.

– Panie.

– Ty. – Izydor d'Aiglemort wreszcie mnie dostrzegł. Ściągnął brwi. – Znam cię.

– Tak, panie. – Skłoniłam głowę. – Podałam ci *joie* na Zimowym Balu Maskowym, kiedy Baudoin de Trevalion odgrywał Księcia Słońce. Pamiętałeś o tym, kiedy ostatnio się spotkaliśmy. – Zobaczyłam, że sobie przypomina. – Wychowałeś się, obcując z rodziną Szachrizaj, panie – powiedziałam cicho. – Powinni cię nauczyć rozpoznawać ślad po Strzale Kusziela.

Myśli przemykały przez jego twarz, zbyt szybko, żeby za nimi nadążyć. Uczucia skrywał głęboko.

– *Anguissette* Delaunaya – rzekł z ironią. – Pamiętam. Melisanda błagała o przysługę, bo plan się nie powiódł. Sądziłem, że zginęłaś wśród Skaldów. Ale twój pan zginął nie z mojej woli, *anguissette*.

– Dano mi to do zrozumienia – powiedziałam ze spokojem, którego wcale nie czułam.

Uniósł jasne brwi.

– Nie szukasz zemsty? Zatem po co tu przybyłaś? – D’Aiglemort popatrzył na otaczające go ze wszystkich stron albijskie wojsko. – Ty sprowadziłaś Piktów? Dlaczego? – Każdy mógłby zobaczyć, jak dokonuje powiązań i wyciąga wnioski. – Delaunay. Nad tym pracował z Kwintyliuszem Rousse.

– Panie. – Panowanie nad głosem i patrzenie mu w oczy wymagało całego mojego szkolenia. – To armia cruarchy Alby i Ghislaina de Somerville. Przybyliśmy tutaj, żeby zaproponować ci wybór rodzaju śmierci.

Ludzie d’Aiglemorta sięgnęli po miecze, nie bacząc, że są wysepką na morzu przeciwników. Diuk podniósł rękę, zachowując niewzruszoną minę.

– Co takiego?

– Jesteś już martwy, Kilberhaar. – Ucieszyłam się, widząc, jak krew odpływa mu z twarzy na dźwięk skaldyjskiego imienia. –

Waldemar Selig wystawił cię do wiatru. Nie pozwoli ci żyć, jeśli nas pokona. Selig jest dość mądry, żeby posprzątać po sobie i nie pozostawiać miecza zawieszzonego nad swoim karkiem. Wiem, bo dzięki tobie sporo czasu spędziłam w jego łóżu. D'Angelinowie wiedzą, że zdradziłeś, i nie puszczą ci tego płazem. Jesteś martwy niezależnie od tego, kto zwycięży. Możemy zaproponować ci tylko szansę na śmierć z honorem.

Izydor d'Aiglemort odrzucił głowę do tyłu i z ogniem w oczach powiedział:

– Z jakiego powodu miałbym z niej skorzystać, *anguisette!*

– Nazywam się Fedra nó Delaunay – powiedziałam cicho. – I mogę podać ci powód, panie. Jeśli tego nie zrobisz, a Selig zwycięży, Melisanda Szachrizaj zatańczy na twoim grobie.

Widziałam ludzi, którym zadano śmiertelne rany. Ich twarze przypominały oblicze d'Aiglemorta, wykrzywione w okropnym grymasie, jakby usłyszał jakiś potworny żart. Jego płonące oczy ani na chwilę nie przestały patrzeć w moje. Zagrałam w ciemno i trafiłam. Nie wiedział o zdradzie Melisandy.

– Melisanda sprzymierzyła się z Seligiem? – zapytał chrapliwie.

– Tak, panie. Widziałam list skreślony jej ręką. Znam dobrze charakter jej pisma. – Spoglądałam mu w oczy, choć wiele mnie to kosztowało. – Ktoś powinien ci doradzić, żebyś nie wyświadczał jej przysług.

Odwrócił się z przekleństwem, patrząc w dolinę, w której rozlokowało się jego wojsko. Skóra i stal poskrzypywały, gdy albijscy żołnierze niespokojnie czekali na wynik rokowań. Ghislain de Somerville stał nieruchomo jak dąb, z kamiennym wyrazem twarzy. Drustan spoglądał z zadumą w ciemnych oczach. Byłam rada, że mam przy sobie Joscelina, czujnego jak

przystało na kasjelitę.

Nie wiem, co myślał Izydor d'Aiglemort.

– Ja jestem mieczem, który wbijecie w serce Seliga – powiedział wreszcie, nie odwracając głowy.

– Tak, Wasza Księżęca Mość – przyznał Ghislain. – Mieczem Kamaela.

D'Aiglemort roześmiał się bez cienia humoru.

– Zdrajca narodu okaże się jego zbawcą. – Stał bez ruchu, wciąż patrząc na swoje wojsko. Ludzie tłumnie otoczyli naszych trzech wysłanników, złaknieni wieści. Ostatecznie byli D'Angelinami, a nikt nie umie opowiadać tak, jak marynarze, może z wyjątkiem Cyganów i bajdurów. Z doliny napłynęły strzępki słów i śmiechu, gdy Chłopcy Fedry odśpiewali swoją pieśń marszową. “Chłoszcz nas bez wytchnienia, nie żałuj rzemieni...”.

– Nakarmicie ich? – zapytał nagle d'Aiglemort. – Ysandra odcięła nasz tabor i zamknęła przed nami drzwi Kamlachu.

– Nakarmimy – odparł Ghislain cicho.

D'Aiglemort odwrócił się wtedy i spojrzał mu w oczy.

– Co proponujesz?

– Proponuję zjednoczyć siły i przypuścić atak na wojska Waldemara Seliga. – Ghislain uśmiechnął się cierpko. – I jak najmocniej uderzyć w niego samego. Nikt nie prosi, żebyś umierał samotnie, kuzynie.

– Selig należy do mnie – rzekł chłodno, ale w jego oczach płonął ogień. – Przysięgnij, a zrobię, co zechcesz.

– Przysięgam – obiecał Ghislain de Somerville. Nagle jego mina stała się bardzo surowa. – A czy ty przysięgniesz wierność Ysandrze de la Courcel, na honor Kamaela i imię Błogosławionego Elui?

– Przysięgam uczynić wszystko, co się przyczyni do zniszczenia Melisandy Szachrizaj – powiedział d'Aiglemort chrapliwie.

Ghislain popatrzył na mnie. Dotknęłam diamentu na szyi i pokiwałam głową. Tak miało być.

OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ

Schodzeniu do doliny na spotkanie armii d'Aiglemorta towarzyszyło napięcie. Nie sądziłam, by zamierzał złamać słowo – nie mógłby przełamać skaldyjskiego oblężenia bez naszej pomocy, tak jak my nie mogliśmy zrobić tego bez niego – ale gdyby nosił się z takim zamiarem, najlepsza pora była wtedy, gdy rozciągnęliśmy się w długich, krętych szeregach, sprowadzając juczne muły i bojowe rydwany, których Dalriadowie nie chcieli porzucić.

Wiem, że Ghislain de Someralle i Drustan mab Necthana zachowali czujność, licząc się z taką możliwością, bo nie zsiadli z koni ani nie odłożyli broni przez całą drogę na dół. Izydor d'Aiglemort, który jechał z gołą głową, patrzył na nich z cieniem pogardy. Zbliżył się do nas, bez wysiłku kierując swoim wierzchowcem na stromym szlaku.

– Ty byłeś kasjelitą, prawda? – zapytał Joscelina. – Pamiętam. Przysługa Melisandy.

– Tak, panie. – Głos Joscelina ociekał goryczą. – Byłem. Joscelin Verreuil, niegdyś z Bractwa Kasjelitów.

– Dobrze, że już do nich nie należysz – zakpił d'Aiglemort. – Stal i wiara to nienaturalne połączenie. Jednakże jestem pod wrażeniem. Sądziłem, że niewola zabije kasjelitę. Później wypytam cię o wszystko, co wiesz o Waldemarze Seligu. – Trącił konia ostrogami i odjechał.

Joscelin patrzył za nim.

– Gdybyśmy go nie potrzebowali... – wycedził z wściekłością –

przysięgam, wbiłbym mu nóż w serce! Jak możesz mu ufać?

– Kiedyś był bohaterem – mruknęłam. – Niezależnie od tego, kim poza tym. Jeśli nam się powiedzie albo nawet jeśli zginiemy w czasie próby, zostanie zapamiętany jako bohater. Bez tego będzie obecny w historii D’Angelinów – jeśli ktokolwiek z nas pozostanie, żeby ją opowiadać – jako ambitny panicz, wystrychnięty na dudka przez Waldemara Seliga. I umrze ze świadomością, że Melisanda go wykorzystała.

Joscelin milczał przez chwilę.

– Mogła wraz nim rządzić krajem – powiedział po chwili milczenia. – Dlaczego go zdradziła?

Pokręciłam głową.

– Skaldowie i tak dokonaliby najazdu. Selig też go wykorzystywał. Kto wie, co obiecał Melisandzie? U jego boku... mogłaby rządzić dwoma narodami. Dziesięć tysięcy Kamaelitów wie, że Izydor d’Aiglemort zdradził Koronę; miał za sobą całą armię. Melisanda prowadzi bardziej skomplikowaną grę. Jeśli Selig zwycięży, na palcach jednej ręki policzysz tych, którzy wiedzieli o jej roli. Selig stworzy cesarstwo. I weźmie sobie królową, żeby je skonsolidować.

– Tak myślisz? – Joscelin poderwał głowę, wstrząśnięty.

Obdarzyłam go niewesołym uśmiechem.

– A cóżby innego? Melisanda gra o wysokie stawki. Nie wyobrażam sobie wyższej. Chyba że... – dodałam z zadumą – wyeliminowanie Seliga po tym, jak zasiądzie na tronie i obejmie rządy w królestwie.

– Jak może żyć z taką ilością krwi na rękach? – zapytał cicho, patrząc na kamaelicką armię rozłożoną w dolinie przed nami. – Jak ktokolwiek mógłby znieść coś takiego?

– Nie wiem. – Potrząsnęłam głową. – Pomijając fakt, że pociąga

ją sama gra. Nie sędzę, żeby kiedykolwiek brała pod uwagę koszt ludzkiego życia, nie do końca. – Delaunay, pomyślałam, był taki sam, trochę, choć kierował się szlachetniejszymi pobudkami. Dla obojga knucie misternych intryg było źródłem dumy. Wspomniałam, jak pokazał mnie Melisandzie, kiedy wszyscy w Mieście zastanawiali się, kim jest jego druga podopieczna. I wspomniałam, jak Melisanda za moim pośrednictwem dała mu do zrozumienia, że jest inicjatorką upadku rodziny Trealion.

– Tak czy siak, to potworne – powiedział Joscelin ponuro.

Nie zaprzeczyłam.

Dotarliśmy na dno doliny bez wypadku, przemieszany sznur D’Angelinów i Albijczyków. Sprzymierzeńcy z Kamlachu patrzyli ze zdumieniem na malowanych Cruithnów. Byli wychudzeni i nerwowi, jak wszyscy, którzy muszą żyć w ukryciu. Nie tracąc czasu na rozbijanie obozu, od razu zaczęliśmy rozdawać jedzenie.

W dolinie panowała dziwna atmosfera, a mój nastrój nie stanowił wyjątku. Radość mieszała się z rozpaczą, gdy rozeszła się wieść o planowanym ataku. Myślałam, że dotychczasowe sukcesy poprawią mi samopoczucie; cokolwiek nas czekało, nie będę winna niczyjej śmierci z rąk d’Aiglemorta. Stało się inaczej. Otaczające mnie obrazy wydawały się bardzo czyste i ostre, a jednak miałam wrażenie, że patrzę na nie, stojąc obok siebie.

Wodzowie odbyli naradę, która ciągnęła się do późnej nocy; oceniali liczby, dzielili nasze połączone siły na najbardziej sprawne oddziały. W naradzie uczestniczył d’Aiglemort ze swym dowódcą piechoty, Ghislain, Drustan i Bliźnięta – oraz ja, tłumaczka, ze swoim nieodłącznym obrońcą, Joscelinem. Cruithnowie i Dalriadowie nie mieli większego pojęcia o

formacjach bojowych, ale dość szybko zorientowali się w sytuacji.

Uzgodniono, że kamaelicka piechota utworzy czołową linię ataku. Izydor d'Aiglemort nie zdobył swojej reputacji przez przypadek; był nadzwyczaj zdolnym dowódcą, mającym na swoje rozkazy wyszkolonych, zdyscyplinowanych żołnierzy. Kiedy Skaldowie zewrą szyki, rzucimy armię albijską z kawalerią i rydwanami na flankach, a za nimi zastępy pieszych żołnierzy.

Kiedy powstanie chaos, kamaelicka piechota rozstąpi się na boki, a jazda d'Aiglemorta wniknie w serce sił skaldyjskich, zmierzając ku Waldemarowi Seligowi. Domyślałam się, że dowodzi atakami na Troyes-le-Mont; nie należał do tych, którzy trzymają się z tyłu. Ludzie diuka będą musieli przebić się bardzo głęboko.

– Dobry jest? – zapytał nagle Izydor d'Aiglemort, unosząc głowę znad spiesznie naszkicowanego planu bitwy, żeby spojrzeć w oczy Joscelina. – Wiesz, kasjelito?

Joscelin odpowiedział niewzruszonym spojrzeniem.

– Rozbroił mnie – odparł beznamiętnie. – W środku walki. Jest dobry, panie.

Spodziewałam się jakiegoś komentarza ze strony d'Aiglemorta, ale chyba wyczytał wszystko w spojrzeniu Joscelina i tylko pokiwał głową. Światło lampy załśniło na jego jasnych włosach.

– Tym lepsza będzie zabawa – powiedział cicho, dotykając rękojeści miecza.

Joscelin dodał po chwili wahania:

– Nie czekaj, aż uderzy. Przełamie twoją obronę, jeśli to zrobisz. Walcz bez jednej myśli, tak jak my oddychamy. I nie daj się zwieść jego posturze. Jest szybszy niż się wydaje.

– Dziękuję. – D'Aiglemort ponuro pokiwał głową.

Cały następny dzień spędziliśmy na przygotowaniach do wymarszu. Przed nami pojechały patrole, wypatrujące skaldyjskich prześladowców i meldujące o przebiegu oblężenia. Zanim wyruszyliśmy nazajutrz rano, dostaliśmy wiadomość: fortyfikacje zostały zdobyte i Skaldowie szturmują bramy Troyes-le-Mont.

Decyzja szukania pomocy u Izydora d'Aiglemort okazała się słuszna. Gdyby nawet nasz plan nękania Skaldów się powiódł, nie mielibyśmy czasu na skłócenie sił. Nie miałam głowy do sztuki wojennej i strategii, kiedy więc nie byłam potrzebna, trzymałam się na uboczu. Już zagrałam swoją ostatnią kartą. To, co miało stać się później, nie zależało ode mnie.

Dlaczego zatem prześladował mnie ten dziwny niepokój, skąd się brało natrętne wrażenie, że coś nie zostało zrobione?

Uczucie to towarzyszyło mi przez całą długą drogę do Namarry. Patrzyłam na otaczających mnie ludzi, w ich twarzach szukając odpowiedzi. Teraz, gdy już wiedzieliśmy co robić, wcześniejsze rozgorączkowanie ustąpiło ponurej determinacji. Widziałam skierowane do wewnątrz spojrzenia ludzi, którzy gotują się na spotkanie ze śmiercią; u innych widziałam nadzieję i upór. Drustan mab Nectahana jechał z uniesioną głową, z blaskiem w ciemnych oczach; niezależnie od wszystkiego innego, zbliżaliśmy się do Ysandry, którą kochał. Grainna i Eamonn uśmiechali się wyzywająco, niezwykle podobni w obliczu bitwy.

Popatrzyłam na Ghislaina de Somerville; miał zdecydowaną minę. Zaplanował działania najlepiej jak potrafił, syn dowódcy wojsk królewskich. Jego ojciec nie sprawiłby się lepiej. Izydor d'Aiglemort błyszczał w swojej zbroi, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem łucznika, który mierzy w daleki cel. Z lekkim uśmiechem na ustach zmierzał ku swojemu

przeznaczeniu.

Joscelin jechał u mojego boku cichy i zmartwiony. Bolało mnie serce, gdy na niego patrzyłam.

Błogosławiony Eluo, modliłam się, co mam zrobić? Odpowiedziała mi cisza. Modliłam się do Naamy, której służyłam. Cokolwiek to było, to nie w jej służbie. W jej służbie zrobiłam już wszystko, co mogłam, a nawet więcej.

I byłam wybranką Kusziela.

Pomodliłam się do niego.

Moja krew wezbrała jak przypływ, szepcząc w odpowiedzi. Przez całe życie czciłam Eluę, od dziecka służyłam Naamie, ale to Kusziel mnie naznaczył i Kusziel się o mnie upomniał. Czułam jego obecność, spowijającą mnie niczym potężna ręka. Kuszielu, panie, modliłam się, co mam zrobić?

“Będziesz wiedziała...”.

Ile czasu spędziliśmy w drodze? Nie zliczyłabym tygodni, miesięcy. Wydawało się, że minęły wieki od tamtego straszliwego dnia, kiedy oboje z Joscelinem przegraliśmy wyścig ze śmiercią do drzwi domu Delaunaya. A jednak teraz droga miała się zakończyć i wydawało się, że koniec nastąpi zbyt szybko. Rozbiliśmy obóz u podnóża gór, w rozsądnej odległości od obleżonej twierdzy.

Z nadejściem ranka mieliśmy przypościć atak.

Poszłam z Ghislainem i innymi popatrzeć na obleżenie. Słońce wisiało nisko nad równiną i w jego promieniach widzieliśmy fortecę z wciąż powiewającym łabędziem rodu Courcel, wyspę na morzu sił Skaldów. Za zdobytymi szańcami o mur opierał się na wpół spalony szkielet wieży obleżniczej, a na równinie piętrzyły się zgliszcza tej, którą podpalili Cruithnowie.

Ale były jeszcze dwie wieże, ustawione niemal przy murze, a

Skaldowie szykowali wielki taran, żeby wyłamać bramę. Tylko łuki i katapulty fortecy trzymały ich na dystans. Jeśli Skaldowie zdołają przysunąć jedną z tych wież i wpadną na blanki, niedługo będzie po wszystkim. Wycofywali się z zachodem słońca, żeby o świcie na nowo podjąć wysiłki.

– Zaczekamy do brzasku – mruknął Ghislain. – Módlmy się, żeby obrońcy szybko zrozumieli, że przybywamy z odsieczą. Im prędzej przypuszczą kontratak na tyły Skaldów, tym większe mamy szansę.

– Myślisz, że pospieszą z pomocą orłowi d’Aiglemortów? – zapytał cierpko Izydor. – Nie licz na to, kuzynie.

– Mój ojciec nie jest głupi. – Ghislain patrzył na fortecę. – Ludzie Drustana mają sztandar Cullach Gorrym. Będzie wiedział.

– O ile zdoła zobaczyć Czarną Świnie nad głowami trzydziestu tysięcy wyjących Skaldów. – D’Aiglemort zszedł z punktu obserwacyjnego i wzruszył ramionami. – Zadamy im takie straty, jakie tylko zdołamy, i będziemy się modlić, żeby to wystarczyło do przełamania oblężenia. Ale za każdą minutę wahania twojego ojca i za każdą minutę, jaką zabierze przygotowanie do kontrataku, my zapłacimy setkami poległych.

Jeden z Chłopców Fedry – Eugene – ze zduszonym jękiem wskazał na obóz skaldyjski.

Odległość była duża, a postacie maleńkie, ale nie na tyle, żebyśmy nie poznali szeregu jeńców, popychanych, idących chwiejnym krokiem. Ich ubrania tworzyły jasne plamy na tle szarości obozu.

Kobiety, d’Angelińskie kobiety.

Armia Seliga przeszła szerokim pasem przez północną Namarrę, zanim starła się z wojskiem Percy’ego de Somerville. Widzieliśmy to wcześniej. Skaldowie wzięli niewolników.

Patrzyliśmy w milczeniu, zbyt oddaleni, żeby usłyszeć, czy krzyczą. Wątpię. Przebywały wśród Skaldów od kilku tygodni, a po takim czasie człowiek obojętnieje niemal na wszystko. A jednak nie mogłam oderwać od nich wzroku, aż w końcu Joscelin złapał mnie za ramiona i delikatnie pociągnął do tyłu. Przytuliłam twarz do jego piersi i zadrżałam. Kiedy uniosłam głowę, Izydor d'Aiglemort patrzył na nas z ponurym wyrazem twarzy.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Za to, co zrobiłem wam obojgu. Niezależnie od tego, co znaczy dla was moje słowo, przepraszam.

Joscelin pokiwał głową, obejmując mnie.

– O świcie – powiedział Ghislain de Somerville.

OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ

Ocknęłam się niedługo po wschodzie księżyca.

Zbudził mnie szum krwi w uszach. Obecność Kusziela odczuwałam jak muśnięcia mosiężnych skrzydeł, przyspieszające bicie mojego serca. Uniosłam głowę z posłania i popatrzyłam na śpiący obóz. Wszystko spowijała czerwona mgiełka krwi, zbroje, twarze, konie śpiące z nisko opuszczonymi głowami, od czasu do czasu przenoszące ciężar ciała z jednej zadniej nogi na drugą.

Za każdą minutę zapłacimy setkami poległych.

Głos Kusziela zaszemrał w moim uchu.

“Teraz...”.

Zakryłam twarz rękami. Wiedziałam.

Nietrudno było wstać bez budzenia śpiących wokół ludzi. Dokoła obozu rozstawiono posterunki, ale żadne rozkazy nie zabraniały poruszania się w jego obrębie. A ja umiałam poruszać się cicho. To pierwsza rzecz wpajana wychowankom w Dworze Nocy. Od samego początku uczą się, jak nie rzucać się w oczy, jak przemykać niepostrzeżenie i bezgłośnie.

Delaunay też nas tego uczył.

Opuszczenie Joscelina było najtrudniejsze, bo wiedziałam, że nigdy mi tego nie wybaczy. Pochyliłam się nad nim. Spał osrebrzony poświatą księżyca, jak Endymion ze starej helleńskiej opowieści. Pocałowałam go w czoło tak lekko, że tylko zamruczał przez sen.

– Żegnaj, mój Kasjelu – szepnęłam, gładząc jego włosy. Podniosłam się i otuliłam płaszczem, aksamitnym,

ciemnobrązowym darem od Quincela de Morhban. Był dostatecznie ciemny, by spełnić swoją rolę. Ruszyłam ostrożnie przez zaciemniony obóz – z uwagi na bliskość Skaldów zakazano rozpalania ognisk – i znalazłam Izydora d’Aiglemort.

Zbudził się w chwili, gdy uklęknęłam przy nim, a wrodzony kamaelicki odruch kazał mu sięgnąć po miecz. Poczułam na szyi zimny dotyk stali, zanim zdążyłam się odezwać.

– To ty – powiedział, mrużąc oczy w blasku księżyca. – O co chodzi?

– Panie... – zaczęłam niskim głosem, który nie niósł się daleko – forteca będzie gotowa przed waszym atakiem.

Schował miecz i popatrzył na mnie z zaciekawieniem.

– Schwytają cię.

– Nie prędzej niż przy murze. – Objęłam się rękami i zadrżałam. – W obozie Skaldów jest pełno d’Angelińskich kobiet. Zdołam podejść dostatecznie blisko. I podam ostrzeżenie, które zrozumie Ysandra.

Powoli pokręcił głową.

– Czy nie rozumiesz? Selig zmusi cię do mówienia. Wydasz nas wszystkich na śmierć.

– Nie. – Straszny śmiech wezbrał w moim gardle. – Nie, panie. Jestem jedyną osobą, która tego nie robi.

Było zbyt ciemno, żeby mógł dostrzec szkarłatną plamkę w moim lewym oku, ale zobaczyłam, że mimo to spojrzął i przypomniał sobie. Odgarnął z twarzy lśniące włosy.

– Dlaczego mi to mówisz? – zapytał ostro.

– Bo ty, panie, jesteś jedyną osobą, która nie będzie próbowała mnie zatrzymać – odparłam cicho. – Pomóż mi minąć strażę. Setka ludzi co minutę, powiedziałaś. Mogę ocalić co najmniej tysiąc, może trzy razy tyle. Pozwoliłam ci wybrać rodzaj śmierci.

Ty możesz uszanować mój wybór.

Myślałam, że odmówi, ale w końcu skinął głową. Dobrze wybrałam, stawiając na Izydora d'Aiglemort. Poszliśmy razem na skraje obozu, gdzie stał na warcie jeden z jego ludzi. D'Aiglemort zawołał go na słowo, a żołnierz posłuchał skwapliwie. Nie jego wina, że nie widział, jak zniknęłam w cieniach. Nie przypuszczał, że zostanie oszukany przez swojego pana.

Tak oto opuściłam obóz.

Miałam za sobą gorsze podróże. Tej nie można było nawet porównać z wędrówką przez skaldyjskie ziemie skute okowami zimy i była niczym w porównaniu z nadnaturalnie groźną przeprawą przez Cieśninę. Ale trudności można mierzyć różną miarą i pod niejednym względem ta podróż była najtrudniejsza.

Po rozstaniu z d'Aiglemortem zostałam sama.

Bezszelestne schodzenie ze wzgórza wymagało nadzwyczajnej uwagi. Zabrałabym konia, gdybym śmiała, ale łucznicy Ghislaina mieli rozkaz strzelania do wszystkiego, co się rusza. Wolałam nie wystawiać na próbę ich umiejętności, nawet gdyby mieli strzelać po omacku. Wystarczy powiedzieć, że potrafili ustrzelić wronę w kukurydzy, kierując się tylko szelestem liści. W porównaniu z ptakiem koń robi mnóstwo hałasu i jest pokaźnym celem w poświacie księżyca.

Ja stanowiałam cel mniejszy i robiłam niewiele hałasu.

Zejście ze wzgórz zabrało mi ponad godzinę. Za linią posterunków szłam znacznie szybciej. Zsuwałam się na czworakach, skały kaleczyły mi dłonie, ale nie zważałam na ból.

Oceniłam, że droga do murów fortecy zabierze mi dwie godziny. Tylko mila dzieliła mnie od skraju obozu Skaldów, lecz przejście przezeń miało być powolne.

I było, w istocie. Do świtu zostały najwyżej cztery godziny.

Zawieszony wysoko jasny księżyc zalewał zimnym blaskiem cichą, spokojną równinę. Przemierzałam ją w strachu, wyczulona na najcichsze dźwięki. Dziwiłam się, że drobne polne stworzonka – myszy, króliki, nocne węże – nie uciekły przed wojną. Raz krzyk sowy sprawił, że podskoczyłam, zahaczyłam nogą o rąbek spódnicy i przewróciłam się na ziemię. Wbijając obie ręce w żyzną glebę Terre d'Ange, starałam się uspokoić bicie przestraszonego serca. Wyczułam pod dłonią gładki kamyczek i zabrałam go ze sobą.

Podjęłam wędrówkę.

Odwrócenie uwagi Skalda, którzy drzemał wsparty na włóczni, okazało się dziecinnie łatwe. Rzuciłam kamyczek z całej siły. Spadł na ziemię z głuchym stukiem, a strażnik spojrzął w tamtą stronę. Przemknęłam z drugiej, naciągając kaptur na twarz. Nigdy nie bagatelizuj sztuczki tylko dlatego, że jest prosta, mówił Delaunay; stare sztuczki były zawsze skuteczne, bo się sprawdzały.

Myślałam, że mam za sobą najbardziej niebezpieczny etap.

Dopóki nie dotarłam do obozu Skaldów.

Umocnienia wokół Troyes-le-Mont zostały przerwane w dziesiątkach miejsc, podkopane przez saperów, roztrzaskane taranami. Poszłoby jeszcze szybciej, gdyby Selig miał katapulty, ale na szczęście wierne odtworzenie tych tyberyjskich machin wojennych okazało się chyba zbyt trudne dla skaldyjskich inżynierów.

Wystarczy, że nauczyli się budować wieże oblężnicze.

Świadom albijskiego ataku sprzed paru dni, Selig wystawił posterunki przy największych wyłomach, ale wartownicy wypatrywali armii, nie samotnego intruza. Okrążając z daleka wały, spostrzegłam w nich lukę, przez którą mogłoby przecisnąć

się tylko dziecko; saperzy zrobili wyłom i zrezygnowali z pracy, kiedy oddziały znalazły przejście gdzie indziej.

Ściana wzniesiona z drewnianych bali i ziemi rzucała głęboki cień. Kucając pod jej osłoną, gorączkowo poszerzałam otwór, aż w końcu mogłam weń wcisnąć głowę i ramiona.

W połowie drogi utknęłam. Było ciasno, a poza tym coś – może sprzączka paska – zahaczyło o szorstkie bale, które tworzyły szkielet zapory. Szamotałam się jak szalona, starając się nie wpaść w panikę i zachować ciszę. Bałam się, że utknęłam na dobre. Kuszielu, pomyślałam, ty mnie tu przywiodłeś. Szarpnęłam się konwulsyjnie i poczułam, że to, co mnie przytrzymywało, pękło. Przeczłołam się na drugą stronę.

Po chwili uklękłam w ciemności i rozejrzałam dokoła.

Znowu byłam za liniami wroga.

Daleko przede mną oblegana forteca rysowała się na tle nieba. Zewnętrzne okna były zaciemnione, ale widziałam światła w głębi i pochodnie na gankach, gdzie krążyły patrole obserwujące śpiący obóz.

Między nami leżeli Skaldowie.

Odetchnęłam głęboko, odsunęłam się od ściany i ruszyłam przez obóz.

Zewnętrzne skraje były najłatwiejsze do przebycia. Ufając Seligowi i strażom, wojownicy spali głęboko, owinięci w płaszcze. Skaldowie nie obawiali się zdradzać swoich pozycji; cały świat wiedział, gdzie się znajdowali.

Z dręczącą powolnością klucząc pomiędzy śpiącymi, wykrywałam przebieg linii głęboko zakorzenionych plemiennych podziałów. Widziałam to na Althingu. Mannowie i Marsowie, Gambrywowie, Swewowie i Wandalowie... Lawirowałam wśród nich, podążając wzdłuż niewidocznych linii,

od czasu do czasu omijając czyjąś wyprostowaną rękę lub okutą w żelazo nogę.

Nie muszę mówić, że nikt się nie zbudził i nikt mnie nie zobaczył. Jeśli nawet ktoś czuwał i patrzył, to co widział? Samotną d'Angelińską kobietę, młodą i rozczochraną, trzęsącą się ze strachu. Szłam z pochyloną głową w stronę miejsca, do którego zabrali jeńców, i modliłam się, żeby to wystarczyło.

Elua okazał miłosierdzie; wystarczyło.

Tylu Skaldów! Ich liczba była dla mnie wprost nierzeczywista. Wszyscy wyglądali nieszkodliwie, sen wygładził ich brodate twarze, a tarcze i miecze leżały odrzucone na bok jak dziecinne zabawki. Gdyby naprawdę byli tacy, na jakich wyglądali we śnie...

Wędrówka stawała się coraz trudniejsza w miarę zbliżania się do Troyes-le-Mont. Staralam się jak najdłużej zmierzać w stronę obozowiska jeńców, ale w końcu musiałam skrócić ku fortecy, gdzie spalony szkielet wieży oblężniczej wznosił się nad lśniąca wodą fosy. Patrole Seliga błąkały się między śpiącymi a murami, mając oko na obrońców.

Używałam wszystkich znanych mi sztuczek, żeby uniknąć wykrycia. Okazały się niewystarczające. Cofnęłam się, żeby zejść z drogi nadchodzącym wartownikom, i skuliłam się w cieniu postawionej na sztorc tarczy.

Połą płaszcza zahaczyłam o pęk włóczni, które z grzechotem przewróciły się na ziemię.

Znajdujący się najbliżej mnie Skald, obejmujący ramieniem młodą D'Angelinę, poruszył się i uniósł głowę. Zamrugął, zaspany, potem na jego twarzy rozlał się leniwy uśmiech.

– Dokąd ci tak spieszno, gołąbko? – zapytał po skaldyjsku, podnosząc się na łokciu. – Chodź, pokażę ci twój nowy dom!

W chwili strachu każdy szuka pomocy tam, gdzie tylko może. Spojrzałam na leżącą z nim kobietę. Oczy miała otwarte i przytomne. Zbudziła się. Patrzyłyśmy na siebie w poświęconej księżycy, obie D'Angeliny. Kobieta miała na sobie zabrudzoną szatę kapłanki Naamy.

Oczywiście; byliśmy w Namarze, kraju Naamy.

Ale nie przypuszczałam, że Skaldowie nie uszanują świątyń.

– Dokąd idziesz, messire? – zapytała po d'Angelińsku, chwytając go za rękę i przyciągając do siebie. – Czyżbyś chciał zostawić mnie na zimnie?

Może nie zrozumiał jej słów, ale pojął intencje, bo roześmiał się i wtulił twarz w jej szyję. Kucając w cieniach, widziałam oczy kapłanki, patrzące na mnie znad ramienia wojownika, ponure i zdecydowane. Bezgłośnie wypowiedziałam słowo – dziękuję – i uciekłam w ciemność, błogosławiąc Naamę, która ochroniła swoją służbę.

Dotarłam do zrujnowanej wieży oblężniczej.

Jak często przeklinałam Anafiela Delaunaya za zmuszanie mnie do niekończących się ćwiczeń pod okiem akrobaty? Wiele razy i już kiedyś tego żałowałam; teraz, wspinając się po nadpalonych belkach, mogłam tylko mu dziękować.

Wpatrywałam się w nocne niebo, mając przed sobą szare kamienie murów Troyes-le-Mont, od których dzieliła mnie tylko wąska fosa. Wieża podjechała blisko; gdyby spuścili kładkę, sięgnęłaby do krenelaża.

Ale nie zrobili tego i ich porażka miała zadecydować o moim niepowodzeniu. Wspinałam się, brudząc pokaleczone ręce i ubranie o przyczernione przez ogień drewno konstrukcji. Odczuwałam dziwne uniesienie, jak wtedy, gdy czołgałam się po belce w wielkim dworze Seliga.

W najbliższej wieży był machikuł, z którego obrońcy mogli wyrzucać pociski na napastników. Uznałam, że musi być obsadzony. Oderwałam kawałki zwęglonego drewna i rzuciłam je w wąskie okienko strzelnicy.

W środku zamigotało światło. W strzelnicy mignęła d'Angelińska twarz, a zaraz potem zobaczyłam kuszę z wycelowanym we mnie bełtem.

Krew zaszumiała mi w uszach.

– Nie strzelaj! – zawołałam głośno. – W imię Ysandry de la Courcel, nie strzelaj!

Nie strzelił, ale skaldyjski patrol podniósł krzyk. Postacie pomykały w ciemności pode mną, rojąc się u podstawy wieży. Kusza zniknęła, a jej miejsce zajęła zdumiona twarz.

Złapałam się belki i wychyliłam jak najmocniej, żeby światło z pochodni na blankach oświetliło moje rysy.

– Powiedz królowej, że drugi uczeń Delaunaya wypełnił zadanie! – wrzasnęłam.

Nic więcej nie zdążyłam dodać. Silne ręce pociągnęły mnie w dół. Moje palce się otworzyły, drzazgi wbiły się pod paznokcie; osunęłam się, mocno uderzając głową w belkę, prosto w ramiona Skalda.

Ściągnęli mnie z wieży obłężniczej, popychając brutalnie, ale pilnując, żebym nie spadła, gdy drżące ręce odmawiały mi posłuszeństwa albo stopa nie znajdowała oparcia. Słyszałam narastający w obozie ryk i widziałam coraz jaśniej płonące ogniska.

Jeden ze Skaldów pchnął mnie, gdy tylko moje stopy dotknęły ziemi, i upadłam na kolana przed kapitanem patrolu. Zdzielił mnie raz, a potem spiorunował wzrokiem.

– Co tam robiłaś? – zapytał po skaldyjsku i zaklął. – Chciałaś

przedostać się do zamku? Tam jest twoje miejsce, niewolnico! – Wskazał w stronę obozu jenieckiego. – Wiesz, jaka jest kara za próbę ucieczki?

– Ona cię nie rozumie, Egil – powiedział jeden z wojowników, śmiejąc się i wczepiając rękę w moje włosy.

Też bym się roześmiała, gdybym nie bała się hysterii. Uznali mnie za zbiegłą niewolnicę. Stał, płomienie i skaldyjskie twarze stopiły się w moich oczach, smród pola bitwy zalał moje zmysły. Nagle obok nas pojawił się jeździec.

– Och, rozumie – zabrzmiał inny głos, niski, rozkazujący, przepojony ironią. Znałam go, znałam go dobrze, lepiej niż chciałam pamiętać. Skaldyjski wojownik szarpnął mnie za włosy i zadarł moją głowę, zmuszając do spojrzenia w oczy jeźdźca. Był wysoki, wyższy niż pamiętałam, a ramionami niemal przysłaniał fortecę. Jego piwne oczy zwęziły się, napotkawszy moje spojrzenie, a usta wygięły w okrutnym uśmiechu. – Prawda, Fejdra? – zapytał cicho Waldemar Selig.

OSIEMDZIESIĄT SIEDEM

– Tak, wielmożny panie – wykrztusiłam.

Waldemar Selig zsiadł z konia, rzucił wodze czekającemu wojowi, podszedł do nas i dwa razy uderzył mnie w twarz. Głowa zakołysała mi się z boku na bok. – Byłem ci to winien – powiedział spokojnie. Chwycił moje włosy i zajrzał mi w oczy. – Co robiłaś na wieży?

Odpowiedziałam mu tylko spojrzeniem.

Uderzył mnie jeszcze dwa razy, mocno i szybko.

– Co robiłaś?

Dotknęłam językiem dolnej wargi, poczułam smak krwi.

– Coś krzyczała – odpowiedział jeden z wojowników.

– Co? – zapytał Selig, nie rozluźniając chwytu.

Wdali się w dyskusję, próbując rozgryźć znaczenie zasłyszanych słów. Kołysząc się na kolanach, patrzyłam, jak usta Seliga poruszają się bezgłośnie, gdy próbował łączyć słowa. Znał trochę d’Angeliński, wiedziałam. Sama go uczyłam.

– Powiek... po wieku kulo drugi... drugie coś delaja... wypełnił... – A jednak nie rozumiał. Ze złości potrząsnął moją głową jak grzechotką. – Przeprowadź jeńca – rozkazał.

Najbliżej znajdowała się kapłanka Naamy. Z godnością otulała się podartą, brudną szatą, gdy prowadzili ją przez równinę. Obojętnie przesunęła spojrzeniem po mojej twarzy, jakby widziała mnie pierwszy raz w życiu. Dowódca patrolu powtórzył jej przekręcone zdanie.

– Powiedz królowej, że drugi uczeń Delaunaya wypełnił

zadanie – powiedziała po d’Angelińsku.

Przypuszczam, że sądziła, iż Selig nie zrozumie; zdenerwowała się, kiedy się uśmiechnął. Zobaczyłam, że jego uśmiech gaśnie, i poznałam wówczas smak gorzkiego triumfu. Słowa nic dla niego nie znaczyły.

– Dziękuję – rzekł po d’Angelińsku do kapłanki i po skaldyjsku polecił: – Zabrać ją do jeńców. – Obejrzała się raz przez ramię, a potem więcej jej nie widziałam. Selig spojrzał na mnie, wciąż trzymając w garści moje włosy. – Będzie lepiej, jeśli mi powiesz – oznajmił prawie łagodnie. – Nie jestem ci winny szybkiej śmierci, ale zapewnię ci ją, jeśli będziesz mówić.

Był przystojny jak na Skalda; już to mówiłam. Światło z pochodni trzymanyh przez stłoczonych wojowników migotało na złotej przepasce na jego głowie i złotym drucie wplecionym w rozwidloną brodę. Bolała mnie twarz, a do oczu napłynęły mi łzy. Roześmiałam się wtedy. Nie miałam już nic do stracenia.

– Nie, panie – odparłam krótko. – Skorzystam z drugiej możliwości.

Klnąc, puścił mnie i odepchnął. Odwrócił się, by z zadumą popatrzeć na fortecę.

– Twierdzisz, że znajdujesz przyjemność w bólu – powiedział. – W takim razie niech Ysandra de la Courcel zobaczy, jak Waldemar Selig sprawia przyjemność jej szpiegom.

Mówiłam już, że Selig był inteligentnym człowiekiem. Dobrze znał korzyści płynące z władzy nad umysłami wrogów. Wybrał miejsce przed murem fortecy, tuż poza zasięgiem łuczników, i kazał ludziom z pochodniami ustawić się w krąg. Barbakan przy bramie Troyes-le-Mont był w tym czasie już w pełni oświetlony i bez wątplenia obrońcy mogli nas obserwować. Ja to wiedziałam, wiedział także Selig. Dwóch jego wojów pociągnęło mnie na

środek kręgu i rzuciło na kolana. Byli to Biali Bracia, z wilczymi futrami na ramionach, w pancerzach ze stali i skóry.

Selig też nosił wilczą skórę, śnieżnobiałą w poświęcie księżycy, zarzuconą na tyberyjską zbroję. Wszedł w krąg pochodni i rozdarł moją suknię na plecach. Poczułam nocne powietrze na gołej skórze.

– Ysandro de la Courcel! – zawołał donośnym głosem. – Zobacz, co spotyka zdrajców i szpiegów!

Usłyszałam świst noża wysuwanego z pochwy i poczułam ukłucie na lewej łopatce. Biali Bracia trzymali mnie za ramiona, gdy zaczął ciąć.

Waldemar Selig był wprawnym myśliwym. W przeciwieństwie do d'Angelińskiej arystokracji, skaldyjscy panowie nie zrzucali na sługi nieprzyjemnych obowiązków. Skórowali i patroszyli zabitą przez siebie zwierzynę. Kiedy Selig naciął pas skóry i powoli zaczął go ciągnąć, wiedziałam, do czego zmierza.

Zamierzał żywcem obedrzeć mnie ze skóry.

Znam ból; Elua wie, że znam go dobrze. Ale żadne dotychczasowe doświadczenia nie przygotowały mnie na coś takiego. Sapnęłam głośno, gdy ciął, a kiedy silnymi jak imadła palcami złapał śliski od krwi pas skóry i pociągnął w dół, wrzasnęłam.

Miało to trwać przez długi czas.

Ból wstrząsnął mną od stóp do głów. Wiedziałam, gdzie jestem, i jednocześnie nic nie wiedziałam. Kuszeliu, pomyślałam, i krew zaszumiała mi w uszach, łopocząc jak skrzydła. Zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy. W końcu mogłam się poddać, nareszcie, i ta świadomość przyniosła mi ulgę. Słyszałam swój głos, słyszałam urywane zawodzenie i szept Seliga przy uchu: “powiedz mi, powiedz”. To działało się naprawdę, wiem, a jednak

przypominało dalekie, drobne zawirowania na skrajach burzy męczarni, jakie cierpiałam. Świat kołysał się w krwawoczerwonej mgle, ręce podciągały mnie w górę. Ból rozkwitał we mnie, promieniując z gniazda u podstawy kręgosłupa. Ból zaciera wszystko inne. Wpadłam w ciemną, bezdenną studnię cierpienia, widząc przed sobą mosiężną maskę Kusziela, surową i współczującą, mosiężne usta poruszały się, wypowiadając słowa, które czułam w szpiku kości. Ból odkupuje wszystkie winy. Ból jest świadomością życia, jest przypomnieniem śmierci. Widziałam twarze, inne twarze, śmiertelne i umiłowane: Delaunay, Alcuin, Cecylia, Thelesis, Hiacynt, Joscelin... przemykały zbyt szybko, żeby je zliczyć, Ysandra, Kwintyliusz Rousse, Drustan, Bliźnięta, Chłopcy Fedry, mistrz Tielhard, Guy... niektóre stanowiły niespodziankę, Hedwiga, Knud, Childric d'Essoms, stara duejna, Lodur Jednooki... nawet, na końcu, moja matka i ojciec, choć ledwo ich pamiętałam, oraz skaldyjski najemnik, który podrzucał mnie w powietrze i śmiał się, gdy ciągnęłam go za wąsy...

Melisanda.

Ach, Eluo! Kiedyś ją kochałam...

Ból zelżał i dzięki temu oprzytomniałam. Nóż Seliga zatrzymał się w trakcie oddzielania skóry od ciała. Zatrzymał się, nie do wiary! Usłyszałam głos, znany mi głos – wyraźne skaldyjskie słowa z obcym akcentem dźwięczały w nocnym powietrzu.

– Waldemarze Seligu, wyzywam cię na holmgang!

Mężczyzna puścił mnie wtedy i upadłam, przytulając policzek do pylistej, zdeptanej ziemi. Zlana krwią, patrzyłam z niedowierzaniem na przybysza i rozstępujące się przed nim szeregi Skaldów.

Skradziony koń i skradziona zbroja posłużyły mu za

przebranie, nie pierwszy raz, ale kasjelicka broń i dzikie, desperackie wyzwanie w niebieskich jak letnie niebo oczach mówiły same za siebie.

– Eluo, nie... – wyszeptałam w d’Angelińską glebę.

Waldemar Selig wybuchnął śmiechem. Śmiał się bez końca.

– Nawet nie myślałem, że spotka mnie taka łaska! – zawołał radośnie, rozkładając ręce. – Ach, Wszechojczy Odyne, jesteś wspaniałomyślny! Tak, zatańczymy na skórach, a wtedy... – Odwrócił się, rycząc w kierunku Troyes-le-Mont: – Niech Terre d’Ange zobaczy, jak Waldemar Selig rozprawia się z jej obrońcami!

Skaldowie uwielbiają zdarzenia, z których rodzą się legendy. Dwadzieścia włóczyń zostało wycelowanych w Joscelina, gdy zsiadł ze skradzionego wierzchowca. Odarli go ze skradzionej zbroi i fala przebiegła przez obóz, gdy szukali skóry odpowiedniej na holmgang. Podciągnięta na kolana i trzymana przez dwóch Białych Braci, widziałam to wszystko. Piwne oczy Seliga lśniły jasno, gdy ważył w ręce swoją tarczę.

Joscelin stanął w swobodnej kasjelickiej pozycji. Jemu nikt nie użyczył tarczy, miały go chronić tylko stalowe zarekawia na przedramionach. Klęczałam, krwawiąc, półprzytomna z bólu, i przeklinałam go w duchu. Nie miało znaczenia, kto wygra. Selig nie był na tyle głupi, żeby zaprzepaścić zwycięstwo w imię honoru. Złamie Joscelina albo, co gorsza, wykorzysta do tego mnie.

Joscelinie, Joscelinie, myślałam, czując łzy spływające po policzkach. Zrobiłeś to, naprawdę zrobiłeś, i zabiłeś nas wszystkich przez swoją przeklętą przysięgę.

Zajęli miejsca po przeciwnych stronach skóry. Joscelin skrzyżował ręce i uklonił się. Waldemar Selig poderwał miecz w

powietrze. Skaldowie krzyknęli: jeden głos, trzydzieści tysięcy gardeł. Zaczęli miarowo tłuc mieczami w tarcze. Selig odwrócił się w stronę mrocznej fortecy i złożył szyderczy ukłon. Ja klęczałam, zalewana falami bólu.

Rozpoczął się holmgang.

Chciałabym opisać to słowami poety, ten śmiertelny taniec odbywający się na kawałku skóry na oczach całej skaldyjskiej armii i milczących obrońców Troyes-le-Mont. Chciałabym. Ale byli szybcy, zbyt szybcy, a ja miałam za sobą długą drogę z królestwa Kusziela. Widziałam miecze błyskające w blasku pochodni, smugi stali rozmyte w rdzawym świetle. Trzask zderzającego się metalu ginął w łoskocie skaldyjskich włócznie uderzających o tarcze. Widziałam włosy Joscelina, złote jak pszenica, podrywające się w wachlarzu skaldyjskich warkoczy, gdy zawirował, żeby uniknąć kłuszącego ostrza Skalda. Szybko, nie dość szybko. Zobaczyłam rękaw ciemniejszy od krwi, gdy miecz Seliga drasnął rękę ponad zarękawiem.

Łoskot ucichł na chwilę, gdy wszyscy patrzyli, czy krew zbryzga skórę. Selig odrzucił strzaskaną tarczę i sięgnął po drugą. Nie odwracając od Joscelina wzroku, wiedział, że któryś wierny woj mu ją poda. Joscelin rozluźnił sprzączki, przesunął zarękawie na ranę i zębami zaciągnął paski.

Waldemar Selig zaatakował ze go śmiechem. Łoskot rozbrzmiał na nowo.

Przygotowany na atak Joscelin sparował cios jednym zamaszystym ruchem i oburącz chwycił swój miecz. Głownia zaszemrała w ciemności, gdy Selig podrywał tarczę. Sztych wyrysował kreskę na jego szczęce.

Strumyki krwi spłynęły w płową brodę okręconą złotem; duże czerwone krople skapnęły na skórę.

Skaldowie ucichli.

Joscelin uklonił się i schował miecz.

Waldemar Selig przeciągnął po szczęce dłonią i potrząsnął nią pogardliwie, rozbryzgując krew.

– Za to... – powiedział, wskazując mieczem serce Joscelina – pozwolę ci żyć tak długo, żebyś mógł zobaczyć, co z niej zostanie, kiedy skończę. A to, co zostanie, oddam swoim ludziom.

Poznałam oślepiającą biel czystej rozpacz.

Joscelin stał bez ruchu, patrząc na Seliga z nieziemskim spokojem w błękitnych oczach.

– W imię Kasjela, chronię i służę – rzekł cicho. I ruszył, płynnie jak woda.

Wszystkie kasjelickie ćwiczenia mają swoje nazwy, ładne i pogodne, zaczerpnięte z natury... ptaki w locie, górskie potoki, drzewa chylące się na wietrze. Tak kasjelici nazywają to, co robią.

Z wyjątkiem jednego, zwanego *terminus*.

Jest sztuka, słynna sztuka – jej nazwa zginęła w białym świetle rozpacz – w której kasjelita robi *terminus*. Kiedyś to widziałam, w “Kogutku”, w wykonaniu pewnego aktora, a poznałam wtedy, słaniając się na nogach, podtrzymywana przez skaldyjskich strażników. Poznałam, kiedy Joscelin, obracając się w moją stronę, rzucił prawą ręką sztylet w powietrze i złapał go za ostrze. Poznałam, kiedy lewą ręką uniósł drugi sztylet do swojego gardła.

To ostatni akt, jaki może odegrać Towarzysz Doskonały.

Spojrzałam w jego oczy, gdy sztylet w prawej ręce zastygł w gotowości do rzutu w moje serce, a sztylet w lewej szykował się do podcięcia jego gardła. Źle go osądziłam. Naprawdę przybył ocalić nas oboje, w jedyny sposób, jaki nam pozostał. Do tej

chwili nie wiedziałam, jak bardzo przerażał mnie los gotowany mi przez Seliga.

– Zrób to – szepnęłam.

Joscelin spojrzał nad moim ramieniem i zamarł.

A potem poruszył się jak błyskawica, prawa ręka cisnęła sztylet. Trafiał w gardło Białego Brata po mojej lewej stronie. Skald z charkotem szarpnął się do tyłu, puszczając moje ramię. Zachwiałam się, tracąc równowagę. Joscelin już w biegu wyrwał sztylet z gardła woja. Drugi strażnik puścił mnie i sięgnął po miecz. Za późno; skrzyżowane sztylety rozcięły mu szyję bo bokach. Nie bacząc, że sprawia mi ból, Joscelin bez chwili wahania poderwał mnie na nogi i pociągnął w stronę fortecy.

Na wpół wleczona, potykając się i zataczając, zobaczyłam co się dzieje. Brona w bramie została podniesiona i most zwodzony opadł z trzaskiem nad fosą. Ścigani przez ryk skaldyjskiej armii, biegliśmy po zrytej, stratowanej ziemi. Brakowało mi tchu, ogień palił mnie w płucach, każdy krok sprawiał katusze.

Nocne niebo stanęło w ogniu.

Na murach wystrzelono z trebusza i krople ognia przysmażyły noc. *Feu d’Hellas*, płonąca płynna smoła przemknęła łukiem nad naszymi głowami i rozbryznęła się na pierwszym szeregu goniących nas Skaldów, którzy z wrzaskiem rzucili się na ziemię. Usłyszałam głos Seliga, wnoszący się ponad inne.

– Naprzód! – ryczał. – Naprzód, łapać ich, głupcy!

Nie wiem, ilu wojowników go posłuchało; wystarczająco wielu, jak przypuszczam. Ale nagle ziemia zatrzęsła się i z ciemnej paszczy wrót wyjechał konny oddział.

Byli to czterej siovaleńscy katafraktowie w kirysach okrywających ich i konie. Przemknęli obok nas i runęli na mur nadciągających Skaldów. Za nimi wypadło ponad dwudziestu

lekkobrojnych jeźdźców w turbanach i hełmach, wykrzykujących dzikie akadyjskie zawołanie. Jeden przemknął obok mnie i silna ręka wciągnęła mnie na łęk. Jak przez mgłę zobaczyłam, że Joscelin chwycił rękę innego i wskoczył na siodło za jego plecami.

Zakręciliśmy w miejscu i ruszyliśmy z kopyta. Katafraktowie oderwali się od wroga i pędzili w kierunku zwodzonego mostu, kopyta ich ciężkich koni wprawiały ziemię w drżenie. Pozostali jeźdźcy zatoczyli półkole przed Skaldami, zwalniając ciężki łuków. Trebusz w fortecy zadudnił głucho i *feu d’Hellas* znów rozjaśniło powietrze nad wściekłymi pachołkami Waldemara Seliga, którzy z niedowierzaniem patrzyli na ucieczkę jego zdobywcy.

Tętent kopyt odbijał się echem, gdy uciekaliśmy po zwodzonym moście, obrońcy wieży bramnej szaleńczo kręcili kołowrotami. Ostatni członkowie wycieczki jechali po już nachylonych deskach.

Most zadygotał, a brona opadła z ogłuszającym hukiem, gdy przecięto podtrzymujące ją sznury. Wpadliśmy na dziedziniec. Przerzucona przez siodło, bezwładna i brocząca krwią, ledwo zwróciłam uwagę na panujący tam zamęt. Kusznicy spieszyli na stanowiska, żeby zimnym deszczem bełtów odeprzeć Skaldów, którzy próbowali pokonać fosę.

Bezpieczni w kamiennych murach fortecy, uczestnicy wypadu zsiadali z koni jakby z niedowierzaniem, że jeszcze żyją. Mój wybawiciel zdjął stożkowaty hełm i przeganiał ręką krótkie, jasne włosy.

– Kto by pomyślał – powiedział z ironią Barquiel L’Envers – że narażałem życie dla członka domu Delaunaya.

Napotkałam jego drwiące spojrzenie, gdy zdejmował mnie z

siodła. Poczułam ziemię pod stopami i nagle siły mnie opuściły.
Osunęłam się bezwładnie na bruk dziedzińca Troyes-le-Mont.

OSIEMDZIESIĄT OSIEM

– Odsuńcie się!

Otaczał mnie tłum, tyle wiedziałam. Po chwili zobaczyłam Joscelina, który kazał wszystkim odstąpić, żebym miała czym oddychać. Przywarłam do jego ręki, gdy przykląkł, ogromnie wdzięczna mu za to, że jest przy mnie.

Potem rozległ się krzyk:

– Przejście dla królowej!

Ysandra przyszła z eisandyjskim chirurgiem, kobietą, która obmacała mnie chłodnymi rękami, przekręciła na brzuch, zmyła krew i obejrzała rany zadane przez Seliga.

– Nie jest tak źle jak wygląda – pocieszyła mnie, a następnie posłała pomocnika po igłę i nici. – Zamierzał zadać ból, nie śmierć.

Zgrzytałam zębami, gdy umieściła na miejscu odwinięty płat skóry i mocowała go zręcznymi ściegami. Nie krzyczałam; uznałam, że dość się nasłuchali mojego wycia. Słyszałam, jak Ysandra mówi coś do Joscelina, a on odpowiada cicho. Po zakończeniu szycia kobieta nałożyła na ranę maść i ciasno owięzała mnie czystymi bandażami. Podniosłam się, przytrzymując na ramionach rozdartą, przesiąkniętą krwią suknię.

W tym czasie na dziedzińcu zgromadziła się większa część d'Angelińskich wojsk królewskich, skupiona za plecami dowódców. Dowódcy otaczali Ysandrę de la Courcel, królową Terre d'Ange, stojącą pomiędzy dwoma kasjelitami. Wszyscy

czekali na moje słowa.

Było to trochę przytłaczające.

Zesztywniała z bólu, ugięłam nogi i dygnęłam przed Ysandrą. Myślę, że, gdybyśmy były same, nie pozwoliłaby mi na to; widziałam, jak wstrzymuje oddech. Udało mi się wyprostować.

– Wasza Królewska Mość – powiedziałam, usilnie starając się panować nad głosem.

– Fedro nó Delaunay. – Skinęła głową. – Czy poprawnie odczytaliśmy wiadomość?

Zaczerpnęłam tchu i spojrzałam na morze zastygłych w wyczekiwaniu twarzy.

– Wojsko w sile siedmiu tysięcy ludzi o świcie zaatakuje obóz Seliga – oznajmiłam głośno. Usłyszałam, jak moje słowa rozchodzą się niczym echo, powtarzane kolejnym szeregom.

Percy de Somerville, wycieńczony i zmęczony, nagle pojaśniał.

– Na Eluę! – zawołał. – Siedem tysięcy Albijczyków!

– Nie, panie. – Pokręciłam głową. – Połowa tego. Druga połowa to wojsko Izydora d’Aiglemort.

Tym razem pomruk narósł niemal do ryku, przewalając się falami po dziedzińcu. Zachwiałam się i Joscelin chwycił mnie za ramię, chroniąc przed upadkiem. Rozczochrany i brudny, z włosami w nieładzie, z jednym rękawem sztywnym od krwi, wcale nie wyglądał na brata kasjelitę – i ani trochę nie groźnie.

– D’Aiglemort! – prychnął z pogardą Barquiel L’Envers. – Czyj to był pomysł?

– Ghislain? – Światło w oczach Percy’ego de Somerville pojaśniało. – Ghislain jest z nimi?

Pokiwałam głową, walcząc z wycieńczeniem.

– Ghislain oraz kilkuset jego ludzi. Mark de Trevalion z admirałem Rousse został w Azalii. Wspólnie zaplanowali atak, to

znaczy Ghislain, d'Aiglemort i Drustan. I Bliźnięta.– Widziałam, że nie rozumie. – Władcy Dalriady.

– Zatem Rouse żyje, Mark też. – To powiedział Gaspar Trevalion. Jego szpakowate włosy posiwiały od czasu, gdy widziałam go ostatnio. Później dowiedziałam się, że zbyt długo pomagał Ysandrze i de Somerville'owi w organizowaniu obrony Troyes-le-Mont. Skaldowie uniemożliwili mu powrót do Azalii i walkę u boku krewniaka.

– Tak, panie – przyznałam. – Żyli, kiedy ich zostawiliśmy.

– Chwała Elui – mruknął i spojrzał na mnie życzliwie swymi szarymi oczyma – za ich bezpieczeństwo i twoje.

– Dlaczego Izydor d'Aiglemort miałby nam pomagać? – zapytał ktoś cicho. Poznałam Tibaulta, siovaleńskiego hrabiego de Toluard, teraz bardziej żołnierza niż uczonego.

– Ponieważ... – Przystąpiłam z nogi na nogę i skrzywiłam się. Moje plecy tętniły i płonęły z bólu. D'Aiglemort miał rację, zbyt go nienawidzili, żeby mu zaufać. Nie brałam pod uwagę takiej możliwości; nie liczyłam się z tym, że przeżyję. – Jest D'Angelinem, panie, i niezależnie od tego, co się stanie, już jest martwy. Pozwoliłam mu wybrać śmierć bohatera.

Barquiel L'Envers popatrzył na mnie twardo.

– Jesteś go pewna do tego stopnia, uczennico Delaunaya, że zaryzykujesz nasze życie?

– Tak, panie. – Wytrzymałam jego spojrzenie. – Dlaczego przyszedłeś mi w sukurs, skoro pogardzałeś moim panem, Anafielem Delaunayem?

– Ponieważ... – L'Enversowi rozbłysły oczy, gdy pojął cel mojej riposty. – Ponieważ jesteśmy D'Angelinami, Fedro nó Delaunay. A młody Verreuil odciągnął uwagę ludzi Seliga. – Zacisnął rękę na ramieniu Joscelina. – Dobrze, że już wcześniej rozegraliśmy

twoją kasjelicką końcówkę, prawda? – Roześmiał się, gdy Joscelin odpowiedział mu spokojnym spojrzeniem. – Ale d’Aiglemort jest zdrajcą. Niezależnie od tego, co mógł sądzić o mnie Delaunay, nigdy nie zaprosiłem Skaldów w swoje progi. Czy dla d’Aiglemorta ma jakieś znaczenie, kto siedzi na tronie, skoro i tak jest już trupem? My go zaatakowaliśmy, z ludźmi Baudoina. Myślisz, że nie skorzysta z okazji, aby odpłacić nam pięknym za nadobne?

Ysandra patrzyła na nas z miną, która niczego nie zdradzała; dowódcy oraz ich żołnierze czekali na jej decyzję.

– Och, ma znaczenie – szepnęłam. – Poza tym pragnie zemsty. – Dotknęłam diamentu na szyi. – Nie gra po twojej stronie, pani – powiedziałam do Ysandry. – Gra przeciwko Melisandzie Szachrizaj.

Zapadła cisza.

– To rozumiem – przyznał L’Envers powoli.

– Hrabio de Somerville – rzekła Ysandra do naczelnego wodza – wesprzemy naszych sojuszników i przypuścimy kontratak na siły skaldyjskie. Czy wydasz rozkazy?

Percy de Somerville ukłonił się. Jego twarz wyrażała zdecydowanie.

– Tak, Wasza Królewska Mość. – Głos zdradzał gotowość i ulgę; jego syn dowodził sojusznikami.

Od strony bramy dobiegł stłumiony dźwięk. Jeden z obrońców wpadł w środek naszej grupy i zasalutował de Somerville’owi.

– Rozbijają wieżę oblężniczą, panie, żeby przerzucić kładki przez fosę – wydyszał, przedramieniem wycierając czoło. – Selig tam jest, rozjuszony jak wściekły byk.

– Bronić się wszystkim, co mamy! – Nie znałam wielmoży, który to powiedział; Kuszelita, sądząc z akcentu. Po oświadczeniu

Ysandry na dziedzińcu zapanowało podniecenie. – Ustawić łączników przy wszystkich strzelnicach i zasypywać ich ogniem! Musimy utrzymać się tylko do świtu!

Wzniosły się okrzyki, aż zadzwoniło mi w uszach. Zdusił je głos Percy’ego de Somerville.

– Nie! Słuchajcie uważnie – powiedział ponuro w ciszy, jaka zapadła. – Ostatnią rzeczą, jakiej chcemy, jest to, żeby Waldemar Selig zaczął się zastanawiać, dlaczego nie oszczędzamy pocisków. W chwili, kiedy uzna, że jesteśmy zbyt pewni siebie, zacznie dochodzić, dlaczego. Musimy się przycisnąć i udawać, że przeliczyliśmy się z siłami. Jest zły, to dobrze. Niech dalej się wścieka i, na miłość Elui, zrobmy wszystko, żeby całą swoją uwagę kierował na fortecę! Podpuśćmy go, na ile to będzie bezpieczne, zanim go odpędzimy! – Rzucił okiem na Ysandrę, prosząc o pozwolenie, następnie zaczął wydawać rozkazy. Już szkicował plan obrony i zarządzał przeglądem całej załogi.

Zrozumiałam wtedy, że moja rola dobiegła końca, tym razem naprawdę. Miałam ochotę zapłakać z ulgi na widok sił zmasowanych na dziedzińcu, wkraczających do akcji, karnie wypełniających rozkazy de Somerville’a. Ysandra popatrzyła na mnie ze współczuciem.

– Chodź – powiedziała, wskazując wewnętrzną bramę. – Nie powinnaś stać, nie mówiąc o chodzeniu i rozmawianiu. Dworki się tobą zajmą. Możemy przynajmniej zapewnić ci wygodę. Messire Verreuil, dołączysz do nas?

– Chwileczkę, Wasza Wysokość – mruknął Joscelin, łapiąc za rękaw Tibaulta de Toluard. – Panie, czy jest tutaj mój ojciec? Kawaler Miliard Verreuil z Siovale, wraz z moim bratem Lukiem i może czterema czy pięcioma zbrojnymi.

De Toluard po chwili namysłu pokręcił ze smutkiem głową.

– Przykro mi, messire Verreuil. Przebywa tu około tysiąca sześciuset Siovaleńczyków i nie znam ich wszystkich. Zapytaj diuka de Perigeux, który dowodzi oddziałem z Siovale.

– Jego Książęca Mość de Perigeux jest na blankach – poinformował przechodzący żołnierz. – A przynajmniej niedawno tam był. Jedna z katapult się zepsuła. Na południowym murze.

– Nie, na zachodnim – powiedział ktoś inny.

Rozległy się inne głosy; wyglądało na to, że siovaleńskiego dowódcę można znaleźć wszędzie tam, gdzie wynikły kłopoty natury mechanicznej – potomkowie Szamchazaja znajdują się na takich rzeczach. Ale nikt nie znał ojca ani brata Joscelina.

– Idź go poszukać – powiedziałam, widząc zniecierpliwienie i uniesioną brew Ysandry. – Nic mi nie jest.

Joscelin popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Akurat – mruknął, bezceremonialnie biorąc mnie na rękę. Miał wzgląd na moje rany, nie na moją godność. – Wasza Wysokość – powiedział, kłaniając się Ysandrze.

W pomieszczeniach było ciszej. W otoczeniu grubych kamiennych murów można by niemal zapomnieć o trwającym oblężeniu. Tylko trzy dworki służyły królowej; w pałacu byłby ich legion, ale Ysandra, nieodrodna córka Rolanda, nie zabrała dworu na wojnę. Ci, którzy przybyli, towarzyszyli jej z własnej woli. Eisandyjska chirurg – Lelahia Valais – obejrzała moje bandażę, potem opatrzyła ranę na ramieniu Joscelina, ukłoniła się i wyszła.

Po przebraniu się w suknię pożyczoną od jednej z dam dworu poczułam się znacznie lepiej. Ysandra kazała przynieść chleb, ser i wino. Nie byłam głodna, ale zjadłam trochę, żeby nie uchybić gościnności królowej. Jedzenie dobrze zrobiło na stargane

nerwy, a kieliszek wina przytępił tętniący ból do bardziej znośnego poziomu.

– Nie mamy dużo czasu – oznajmiła Ysandra, siadając na krześle i mierząc nas wzrokiem. – Cokolwiek dzisiaj się zdarzy, chcę, żebyście oboje wiedzieli, że przed wyjazdem z miasta wydałam królewski akt łaski, ogłaszając was niewinnymi śmierci Anafiela Delaunaya. Wiedzą o tym wszyscy, którzy są tutaj.

Oczy zaszczypały mnie od łez.

– Dziękuję, pani – szepnęłam z wdzięcznością, ogromnie zdziwiona, że w środku wojennej zawieruchy pamiętała o takiej drobnostce. Joscelin złożył jej ukłon.

Ysandra ruchem ręki zbyła nasze podziękowania.

– Nie śmiałam zrobić tego wcześniej – wyznała bez ogródek. – Gdyby wieści dotarły do d’Aiglemorta albo do Melisandy Szachrizaj, oboje zostaliby ostrzeżeni. Poza tym nie byliśmy zupełnie pewni, komu możemy zaufać.

– Nie znalazłaś, pani, Melisandy – powiedziałam z nadzieją, że usłyszę przeczenie.

Ysandra ponuro pokręciła głową.

– Bracia kasjelici mieli oczy i uszy otwarte, przenosząc wiadomości, ale nie mieliśmy odwagi szukać jej jawnie, z tego samego powodu, z jakiego nie ogłosiłam publicznie waszego ułaskawienia. Gdyby skontaktowała się z Waldemarem Seligiem, mogłaby mu powiedzieć, że jesteśmy przygotowani, a wówczas zmieniłby plany. Nasze szansę były dość wątle – dodała, wskazując mury fortecy.

– Oczywiście – przyznałam, choć żałowałam, że nie jest inaczej. Ysandra zaczęła spacerować po komnacie, niespokojnie popatrując na drzwi. Jej kasjelicy strażnicy stali na baczność, od czasu do czasu rzucając ukradkowe spojrzenia na Joscelina,

który ich ignorował.

Wreszcie zatrzymała się i niepewnym głosem, zupełnie różnym od zwykle chłodnego tonu, zapytała:

– Zatem to prawda, że Drustan mab Necthana włada jako cruarcha Alby? Czy przysłał dla mnie jakąś wiadomość?

Aha, o to chodziło! W nawale wypadków zapomniałam, że na szali leży serce młodej kobiety. Prawie się uśmiechnęłam, a ku mojemu zaskoczeniu Joscelin naprawdę to zrobił, pochylając głowę i mrużąc oczy.

– Wasza Wysokość, widziałam jego koronację przed opuszczeniem brzegów Alby – odparłam i pokiwałam głową. – Jeśli nie przysłał wiadomości, to tylko dlatego, że nie znał moich zamierzeń. Nic mu nie powiedziałam, nie spodziewałam się bowiem przeżyć tej ostatniej wyprawy, on zaś, jako człowiek honoru, nie pozwoliłby mi na nią wyruszyć. Nie raz widziałam, jak ryzykował życie, oszczędzając swoich ludzi. Ale to mogę ci powiedzieć: sam jeden wśród naszych sprzymierzeńców, Drustan mab Necthana jechał ku Troyes-le-Mont z wysoko uniesioną głową i radością w sercu, ponieważ z każdym krokiem zbliżał się do ciebie. Nadal żyje w nim wasze wspólne marzenie o dwóch zjednoczonych potężnych narodach. Gdyby jego lud nie powstał, by za nim podążać, sam ruszyłby odzyskać tron, a gdyby miał polec w czasie próby, jego ostatnie myśli dotyczyłyby ciebie.

Wyraz twarzy Ysandry nie zmienił się, ale rumieniec przyciemnił jej blade policzki.

– Dziękuję – szepnęła.

– Wasza Królewska Mość, Drustan mab Necthana nazwał mnie swoim bratem, co jest jednym z największych zaszczytów, jakie spotkały mnie w życiu – rzekł poważnie Joscelin. – Jest odważnym, znakomitym dowódcą i myślę, że w swój spokojny

albijski sposób szaleje z miłości do ciebie.

Rumieniec pogłębił się.

– Nie sądziłam, że kasjelici dostrzegają takie rzeczy – powiedziała Ysandra uszczypliwie, chcąc zamaskować wzruszenie. Kasjeliccy strażnicy zachowali obojętne miny.

– Wasza Wysokość! – W drzwiach stanął żołnierz w kolczudze, z hełmem pod pachą. – Niebo zaczyna się rozjaśniać. Mój pan, hrabia de Somerville, chciałby się z tobą naradzić.

Ysandra wyszła, zabierając strażników i damy dworu, i zostawiając nas samych.

Po wszystkim, co się wydarzyło, trudno nam było o tym mówić.

– Skąd wiedziałeś? – zapytałam cicho.

Potrząsnął głową.

– Nie wiem. Zbudziłem się i wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Kiedy zobaczyłem, że cię nie ma, po prostu wiedziałem. I wiedziałem, co zrobi Selig, jeśli cię złapie.

– Myślałam, że zdradziłeś nas wszystkich dla swojej przysięgi. – Musiałam to powiedzieć. – Przepraszam.

– Nie mam do ciebie żalu. – Popatrzył na mnie drwiąco. – Wiesz, jest coś, czego uczy się każdy kasjelita, choć jak sięgnąć pamięcią nikt z tego nie skorzystał. To *terminus*. – Wbił wzrok w swoje ręce. – Byłem gotów zabić nas oboje.

– Joscelinie. – Dotknęłam jego twarzy. – Wiem. I do końca życia będę ci za to wdzięczna. – Chciałam powiedzieć więcej, znacznie więcej, nie mogłam jednak znaleźć słów, a potem już nie miałam czasu.

Joscelin mocno złapał mnie za rękę.

– To zaoszczędziłoby kłopotu Hiacyntowi – dodał z lekkością, jakiej żadne z nas nie odczuwało. Usłyszeliśmy krzyki za

drzwiami, a potem tupot nóg. – Możesz chodzić? Spróbujemy wy badać, co się dzieje.

– Pójdę sama, jeśli mi pozwolisz – powiedziałam, z trudem podnosząc się na nogi. – Ty powinieneś odszukać ojca.

Joscelin przekrzywił głowę, nasłuchując.

– Za późno. Byłbym tylko zawaładrogą i oderwał jego myśli od bitwy. – Uśmiechnął się niewesoło. – Przynajmniej wie, że nie jestem mordercą.

Była to mała pociecha, ale musiała wystarczyć. Ścisnęłam jego rękę, zawierając w tym geście wszystko, co nie zostało powiedziane.

– Idziemy.

OSIEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

Szliśmy przez fortecę, przemykając pod ścianami, żeby nie przeszkadzać biegającym żołnierzom. Na południowo-wschodnią wieżę prowadziły wąskie, kręte schody. Ich pokonanie było najtrudniejsze. Joscelin robił, co tylko mógł, żeby mnie osłaniać, ale w ciasnym przejściu parę razy otarłam się plecami o szorstki kamień, z wysiłkiem tłumiąc okrzyki bólu.

Wspinaliśmy się jednak coraz wyżej i w końcu wyszliśmy na ganek wschodniego muru, oceniwszy właściwie, że tutaj będzie stacjonować grupa obserwatorów.

W szarym jak ołów świetle przedświturoztaczała się przede mną scena wyjęta z piekła. Byłam w skaldyjskim obozie, ale do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak wyglądało życie obrońców fortecy.

Ocean Skaldów falował na równinie, łamiąc się na skraju fosy, oszczepy i strzały szybowwały w kierunku blanków. Kotły *feu d'Hellas* dymiły i cuchnęły na ganku, wycelowany na wschód trebusz czekał załadowany. Kuszniczy kucali przy otworach strzelniczych, a ich pomocnicy trzymali na podorędziu napięte kusze. Z długiego łuku można posłać sześć strzał w czasie, jaki zajmuje wystrzelenie jednego bełtu, ale nie ma lepszej broni obronnej nad kusze.

W tym chaosie za zębem blanku stała Ysandra de la Courcel, królowa Terre d'Ange, chłodna i opanowana, pogrążona w rozmowie z Percym de Somerville, Gasparem Trevalionem i Barquielem L'Envers. De Somerville zobaczył mnie i Joscelina w

drzwiach wieży i podesłał żołnierzy, żeby nas przyprowadzili, osłaniając tarczami przed pociskami Skaldów.

– Dobrze – powiedział spokojnie de Somerville. – Cieszę się, że przyszlście. Selig ochłonął. Wciąż jest skupiony na ataku, ale właśnie wysłał oddziały zwiadowców w sześciu kierunkach i myślę, że wzmocnił posterunki wokół obozu. Z której strony nadciągnie Ghislain?

– Prosto ze wschodu – powiedziałam, wskazując wzgórze. De Somerville przysunął oko do strzelnicy.

– Kiedy się zjawią, jeśli ruszą o brzasku?

– Za dwie godziny? – powiedziałam niepewnie.

Joscelin pokręcił głową.

– Warty ostrzegą Seliga na długo przed tym, zanim się tu zjawią. Nie martwiłbym się o zwiadowców, którzy nie mogą się mierzyć z Cruithnami, ale kiedy wojska wyjdą na płaski teren, zobaczymy je jak na dłoni. Skaldowie nie będą czekać, wydadzą bitwę. Godzina, nie więcej, jak myślę.

– Jeśli Selig podzieli swoje siły, będziemy w kłopotcie. – Barquiel L’Envers zatknął koniec turbanu pod hełm. – Może zostawić dziesięć tysięcy ludzi, by trzymać nas w szachu, i nadal mieć przewagę dwa do jednego nad Albijczykami.

Stałam na palcach, żeby spojrzeć przez szczelinę. Poniżej, poza zasięgiem strzału z kuszy, Waldemar Selig jeździł na rośłym koniu wzdłuż linii, zagrzewając Skaldów do walki.

– Podążą za Seligiem – powiedziałam, cofając się. – Jeśli skręci, wszyscy zrobią to samo. A Izydor d’Aiglemort będzie na niego polować.

Widziałam, że wciąż stawiają pod znakiem zapytania lojalność d’Aiglemorta. Nie mogłam ich o to winić.

– Niech tak będzie – powiedział w końcu Percy de Somerville. –

Kuzynie... – zwrócił się do Gaspara Trevaliona – tylko tobie mogę zaufać, że podejmiesz właściwą decyzję. Wojsko czekające na dziedzińcu będzie potrzebować sygnału, który musi być widoczny z wieży bramnej. Wystrzel *feu d'Hellas* z trebusza. Jeśli Selig ruszy na wschód, a za nim pociągnie cała armia, strzel ku wschodowi, wtedy runiemy na ich tyły. Jeśli podzieli siły, strzel na zachód, a zajdziemy ich z lewej i uderzymy w słaby bok.

– Rozkaz – mruknął Gaspar Trevalion. – Elua niech będzie z nami wszystkimi.

Pożegnali się, podając sobie ręce. Percy de Somerville uklonił się Ysandrze.

– Wasza Wysokość, przez wiele lat służyłem twojemu dziadkowi – powiedział z powagą. – Ale jeśli dziś przyjdzie mi zginąć, to umrę z dumą, że służyłem tobie.

Stała wysoka i wyprostowana na szarym murze fortecy.

– A ja, że ty mi służyłeś, hrabio de Somerville. Niech Elua cię błogosławi.

Ku mojemu zaskoczeniu Barquiel L'Envers uśmiechnął się szeroko i pocałował siostrzenicę w czoło.

– Uważaj na siebie, Ysandro, jesteś piekielnie dobrą królową. Zrobimy, co w naszej mocy, żebyś nią pozostała. – Ruchem głowy wskazał Joscelina i mnie. – Trzymaj tych dwoje przy sobie, dobrze? Wydaje się, że oboje mają twarde żywoty.

Nie zawsze lubiałam diuka L'Envers, ale w tej chwili go kochałam.

Kiedy odeszli, Ysandra zadrżała i otuliła się ciemnoniebieskim płaszczem z łabędziem rodu Courcel wyhaftowanym srebrną nicią na kołnierzu.

– Muszę porozmawiać z Farrensem de Markhet, który dowodzi załogą trebusza na zachodnim murze – powiedział

przepraszającym tonem Gaspar Trevalion. – Nie zejdziesz na dół, gdzie jest bezpiecznie, Wasza Wysokość?

– Nie. – Ysandra pokręciła jasną głowę. – Zostanę tutaj, panie. Terre d’Ange powstanie albo upadnie wraz z nami tego dnia.

– Zostaniemy – powiedziałam. Nasze zdanie nie miało najmniejszego znaczenia, bo nikt nie traktował poważnie rzuconej mimochodem uwagi L’Enversa, ale Gaspar nie wyraził zastrzeżeń. Pokiwał głową i odszedł prędko, osłaniany tarczami żołnierzy.

Staliśmy i patrzyliśmy, jak niebo rozjaśnia się na wschodzie. Tarcza słońca powoli wyłaniała się zza horyzontu. Joscelin przez otwór strzelnicy pilnie wypatrywał naszej armii. Staliśmy w otoczeniu straży przybocznej rodziny Courcel oraz nieodłącznych kasjelitów. Myślę, że prócz nas nie było tam nikogo innego, komu Ysandra śmiałaby wyjawić swoje myśli.

– Wciąż mam twoją książkę, Wasza Wysokość – powiedziałam, gorączkowo szukając tematu do rozmowy. – Dziennik twojego ojca. Jest w moich rzeczach, w obozie. Przez cały czas trzymałam go przy sobie.

– Przeczytałaś? – Uśmiechnęła się smutno. – Jest bardzo piękny, prawda?

– Tak. Twój ojciec kochał mądrze. Delaunay żył wspomnieniami tej miłości. – Nie powiedziałam jej o Alcuinie, choć teraz się cieszyłam, że Delaunayowi dane było drugi raz w życiu zaznać szczęścia.

– Wiem. – Ysandra spojrzała na leżący daleko w dole dziedziniec pełen ludzi. – Cieszę się, że przed śmiercią zawarł pokój z moim wujem. Moja matka sprawiła wszystkim dużo bólu, jak myślę.

– Tak. – Nie mogłam zaprzeczyć. – Ludzie tak robią, z miłości

albo dla władzy.

– Albo w imię honoru. – Popatrzyła na mnie ze współczuciem.
– Przykro mi, że zostałam w to wciągnięta. Wiedz, że cokolwiek się stanie, będę ci wdzięczna za odegraną rolę. I za... i za to, co powiedziałaś mi o Drustanie. – Uśmiechnęła się do Joscelina. – Dziękuję wam obojgu. Co się stało z twoim przyjacielem? – zapytała, przypominając sobie Hiacynta. – Z Cyganem? Czy jest z armią Ghislaina?

Myśl o Hiacyncie bolała; wstrzymałam oddech i napotkałam wzrok Joscelina, który odwrócił się od szczeliny.

– Nie, Wasza Wysokość – odpowiedziałam. – Historia naszej podróży jest długa, a historia Hiacynta może być jeszcze dłuższa.

– Opowieść bajdura – mruknął Joscelin.

Opowiedzieliśmy ją wtedy, na ganku oblężonej fortecy Troyes-le-Mont, podczas gdy strzały grzechotały o blanki. Ja zaczęłam, ale Joscelin szybko mnie zastąpił. Opowiadał lepiej, z drygiem nabytym pod przebraniem bajdura. W ten sposób oddał hołd Hiacyntowi, a ja mu na to pozwoliłam, gdyż on pozwolił mi złożyć mój, w ostatnią noc pobytu na samotnej wyspie.

Myślę, że ta opowieść spodobałaby się Hiacyntowi.

Królowa szeroko otwierała oczy ze zdumienia, nie wiedząc, czy w nią wierzyć, gdy Gaspar Trevalion wrócił z zachodniego muru.

– De Markhet jest gotowy – zameldował szorstko, przypominając nam o okropnej rzeczywistości. – Wystrzeli na moją komendę. Widać już d’Aiglemorta albo Albijczyków?

– Nie, panie. – Patrzyłam przez okienko strzelnicy przez cały czas, gdy Joscelin opowiadał królowej o Hiacyncie i Panu Cieśniny. – Jeszcze nie.

Gaspar spojrział w jasnobłękitne niebo.

– Módlcie się, żeby nas nie zawiedli – powiedział ponuro. – Skaldowie prawie zasypali fosę przy barbakanie, a saperzy robią podkop pod północno-zachodnią basztą. Ferrens powiedział, że można wyczuć drżenie pod nogami. Poza tym przysuwają wieżę oblężniczą do północnego muru. Jeśli odsiecz nie nadejdzie, możemy mieć kłopoty z odparciem Seliga.

– Nadejdzie – oświadczyłam z przekonaniem, którego nie czułam. Tutaj trudniej było w to uwierzyć.

– Idą! – Joscelin przyciskał oko do otworu. Jego ręce, leżące płasko na murze, zacisnęły się, drapiąc paznokciami kamień. – Nadchodzą. Panie! Patrz! – Nie bacząc na wysoką pozycję Gaspara, bez ceremonii złapał go za rękaw i przyciągnął do muru.

Gaspar Trevalion wyjrzał i cofnął się.

– Wasza Królewska Mość – powiedział, gestem wskazując szczelinę.

Ysandra patrzyła przez długą chwilę, potem odsunęła się, westchnąwszy.

– Fedro... – szepnęła – ty ich sprowadziłaś. Powinnaś to zobaczyć.

Podeszłam do strzelnicy i nie zważając na ból pleców, stanęłam na palcach, żeby spojrzeć na równinę.

W dali, u stóp wzgórz, wiła się lśniąca linia srebra.

Stojąc na murach Troyes-le-Mont, dalej sięgaliśmy wzrokiem, nie minęło jednak wiele czasu, a posterunki Seliga wypatrzyły nieprzyjaciela. Oddziały zwiadowcze nie powróciły i Ghislain niepostrzeżenie zszedł ze wzgórz, ale na płaskim terenie armia nie mogła liczyć na żadną osłonę.

Ustałam miejsca Ysandrze – wszak była królową – lecz cierpiałam katusze, pozbawiona widoku nadciągającego wojska.

W końcu nie wytrzymałam i wyszłam z za blanku. Joscelin postąpił za mną i przez chwilę myślałam, że pociągnie mnie w bezpieczne miejsce, ale tylko rzucił na mnie okiem i stanął u mojego boku, krzyżując przedramiona.

Nie mieliśmy czego się obawiać, bo Skaldowie odwrócili uwagę od fortecy.

Nie wiem, z czym mogłabym to porównać, chyba z morzem falującym na rozkaz Pana Cieśniny. Armia skaldyjska była ogromna, rozlana na równinie niczym ocean. Wieści napływały od straży na wschodzie, maleńkie figurki wartowników Seliga przemknęły po stratowanej ziemi. Zdawało się, że następuje przypływ.

Fala posuwała się od zewnętrznych skrajów i piętrzyła, zmierzając w naszą stronę. Nim się złamała na murach fortecy, pogrążając naszych napastników w chaosie, srebrna linia żołnierzy podciągnęła bliżej.

Zewnętrzne szeregi Skaldów pękły, pędząc pieszo i konno przez równinę na spotkanie z nadciągającym wrogiem. Srebrna linia zatrzymała się i zwarła. Łucznicy Ghislaina de Somerville strzelili nad głowami kłęczących piechurów i deszcz czarnych strzał runął łukiem na Skaldów. Potem piechurzy powstali, podniesione tarcze utworzyły pręgę srebra. Ruszyli dalej.

Byli to kamaeliccy żołnierze, urodzeni wojownicy, musztrowani przez całe życie. Niezdyscyplinowani, zaciekli Skaldowie rozbili się o nich jak fala o mur. Ściana srebra nieubłaganie parła naprzód.

U stóp fortecy wciąż panowało zamieszanie, skaldyjscy saperzy i inżynierowie porzucali swoje stanowiska. Nieustraszony Waldemar Selig jeździł w tę i z powrotem, krzycząc na nich, rozkazując nie opuszczać pozycji.

Miotali się bezładnie, ale było ich wystarczająco wielu, żeby uniemożliwić naszemu wojsku opuszczenie Troyes-le-Mont.

Daleko na równinie srebrna linia piechoty d'Aiglemorta wdzierła się w skaldyjską horde, już otoczona z obu stron. W każdej chwili piechurzy mogli ulec, przygnieceni liczbą przeciwników.

Wtedy uderzyli Albijczycy.

Jazda z prawej flanki, rydwany bojowe z lewej, piesi żołnierze po obu stronach – wszyscy wysypywali się zza kamaelickiej piechoty, dzicy i przerażający. Powstał jeden wielki chaos.

Liczby wciąż były przeciwko nim.

Nawet z tej odległości widziałam czerwone rzeki krwi, widziałam śmierć naszych sojuszników. Odwróciłam się, nie zdając sobie z tego sprawy, i zacisnęłam ręce na ramieniu Gaspara Trevaliona.

– Daj sygnał! – błagałam z rozpaczą. – Oni tam umierają!

U stóp fortecy, za fosą, Selig zatrzymał dziesięć tysięcy ludzi. Gaspar pokręcił głową.

– Musimy poczekać, aż odstąpią od bramy – powiedział głosem niewyraźnym z żalu. – Na niewiele się zdamy, jeśli ludzie Seliga wybiją nas jednego po drugim.

Odwróciłam się z tłumionym krzykiem, znów patrząc na pole bitwy.

Nie wiem, jakim cudem kamaeliccy piechurzy utrzymali szyk w tym morzu Skaldów. Stali murem, podnosząc tarcze i odpierając kolejne fale.

Nagle szereg rozwarł się niczym potężne wrota. Zagrzemiał róg, czysto i wyzywająco, zagłuszając krzyki.

Spomiędzy skrzydeł wypadła kamaelicka kawaleria, Sprzymierzeńcy z Kamlachu, wszyscy, którzy przeżyli, z

Izydorem d'Aiglemort na czele.

Zdradził nasz naród i wszystko, co jest nam bardzo drogie. Nie mam na to żadnego usprawiedliwienia. Ale jeśli poeci śpiewają o ostatniej szarzy Izydora d'Aiglemort, to nie bez powodu. Wiem. Byłam tam. Widziałam Sprzymierzeńców z Kamlachu wbijających się w dziesiątki tysięcy Skaldów jak klin, widziałam twarze rozjaśnione bojowym ogniem Kamaela, widziałam śpiewające miecze.

Uderzyli z takim impetem, że fala wstrząsu przebiegła przez skaldyjską armię.

Usłyszałam krzyki, jakie się podniosły, gdy Skaldowie ustępowali pola – jedni ponosząc śmierć, inni podając tyły.

– Kilberhaar! – krzyczeli. – Kilberhaar!

Waldemar Selig odwrócił się na wysokim rumaku, czując, że jest celem tego zawziętego klina. Wszędzie wokół Skaldowie i Albijczycy walczyli, zdesperowani i złani krwią, z przewagą liczebną wciąż po stronie Skaldów.

Ale szpic klina uparcie zmierzał w jego stronę.

Selig dobył miecza i wzniósł go wysoko w potężnej garści, a Biali Bracia zajęli miejsca po jego bokach, siły się przegrupowały.

Izydor d'Aiglemort pędził jak burza.

– Kilberhaar! – ryknął Selig, podrywając miecz ku niebu. Zawrócił konia i pogalopował mu naprzeciw, roztrącając własnych wojowników. – Kilberhaar!

Skaldowie z wyciem ruszyli za nim.

– Teraz! – zawołał Gaspar Trevalion. Jego chorąży gorączkowo pomachał łabędziem rodu Courcel. Obsługa trebusza przyłożyła pochodnie do *feu d'Hellas* i zwolniła przeciwwagę. Kubeł poszybował, ciągnąc za sobą łuk płynnego płomienia ku wschodniemu skrzydłu armii skaldyjskiej.

Na dziedzińcu Percy de Somerville wydał krótki rozkaz.

Wygięta przez taran brona podjechała w górę, rzucono most zwodzony i załoga barbakanu wystrzeliła grad bełtów, osłaniając wychodzące wojsko. Obrońcy Troyes-le-Mont czwórkami wymaszerowali z fortecy, stanęli w szyku i rzucili się na ariergardę Seliga.

W istocie Skaldowie znaleźli się między młotem i kowadłem.

Wszyscy wysunęli się z za blanków. Stanowiliśmy zapomniane cele, gdy na dole rozpoczęła się rzeź. Wojsko Percy'ego de Somerville rzuciło się na Skaldów niczym wielkie stado lwów, wreszcie mogąc wyładować wściekłość narastającą podczas długiego oblężenia i unicestwiając wszystko na swojej drodze.

A w środku tego zamętu Waldemar Selig gnał na spotkanie z Izydorem d'Aiglemort.

Nie muszę tego opowiadać; cały świat zna historię starcia tych dwóch tytanów, obu będących urodzonymi wojownikami. Patrzyliśmy z blanków, jak lśniący klin kawalerii d'Aiglemorta staje się coraz węższy, wciąż prac do przodu. Widzieliśmy, jak srebrny orzeł śmierci, sztandar d'Aiglemorta, zachwiał się wreszcie i upadł, zalany przez morze Skaldów.

A Izydor d'Aiglemort na karym rumaku przebijał się dalej, samotnie.

Spotkali się w końcu; kary koń padł i d'Aiglemort legł na ziemi. Myśleliśmy, że już po nim, ale po chwili ujrzeliśmy srebrne włosy pod hełmem. Diuk powstał, ze skaldyjskim toporem w ręce. Przerzucił go do lewej ręki, gdy Selig natarł nań na swoim wysokim wierzchowcu.

Zabił konia.

Zawsze są niewinni, którzy cierpią – zwierzęta w bitwie, sługi Naamy. Zawsze tak jest podczas wojny. Rumak Seliga runął z

hukiem; Selig z przekleństwem poderwał się z ziemi. Walczyli tam, na równinie. Sami. Walczyli jak kochankowie na Pokazie w Domu Cereusa. Znajdą się tacy, którzy obruszą się na takie porównanie. Ale ja tam byłam.

Widziałam.

Nie wiedziałam, ile ran otrzymał Izydor d'Aiglemort. Policzyli je później, kiedy już zdjęli z niego zbroję: siedemnaście. Niektóre zadał Selig, ale nie wszystkie.

Waldemar Selig, odporny na broń. W to wierzyli Skaldowie. Gdy wokół szalała bitwa, walczył z Izydorem d'Aiglemort, zdrazieckim diukiem Terre d'Ange.

Walczył i zginął.

Powiem to bez skrpułów. Kiedy miecz d'Aiglemorta znalazł lukę w zbroi Seliga i wszedł w nią po rękojeść, krzyknęłam z radości. Waldemar Selig osunął się na kolana, z niedowierzaniem w oczach. D'Aiglemort, konający, upadł razem z nim, oburącz trzymając rękojeść swojego miecza.

Tak spotkali swój koniec.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT

Ostatecznie doszło niemal do pogromu, mimo różnicy w liczebności wojsk.

Rysy plemiennych rozdźwięków, które tak ostrożnie przekraczałam w obozie Skaldów, przemieniły się w ziejące przepaście, gdy horda rozpadła się na watahy złożone z tysiąca czy kilkuset ludzi, a nawet dziesiątki, jakie przybyły z poszczególnych osad.

Żołnierze Percy'ego de Somerville ścigali ich bez litości. A na środku pola bitwy...

– Wasza Wysokość! – Wskazałam na północny wschód, gdzie gromada konnych Cruithnów przedzierała się ku miejscu starcia d'Aiglemorta z Seligiem. Nad nimi powiewał dumnie sztandar z Czarnym Dzikim, Cullach Gorrym, a na czele, niezmordowanie wymachując mieczem, jechał mężczyzna w szkarłatnym płaszczu.

– Drustan. – Ysandra dotknęła ust czubkami palców i szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. – To naprawdę on?

– Tak – zapewnił Joscelin. – To Drustan mab Necthana!

Jego jeźdźcy wycinali krąg wokół nieruchomego ciała Izydora d'Aiglemort. Na południowym wschodzie bojowe rydwany Dalriadów zataczały szalone kręgi, wzniecając chaos i budząc grozę w sercach Skaldów. Piesi wojownicy nieśli chorągiew Fhalair Ba'n, Białego Konia Eire.

Nagle usłyszeliśmy zgiełk płynący z dziedzińca.

Później dowiedziałam się, co się stało. Grupa Skaldów,

porzuconych przez Seliga i zaskoczonych niespodziewanym wyjściem całego garnizonu z Troyes-le-Mont, wdarła się za bramę, nim strażnicy zdążyli ją zamknąć. Wróg był tak blisko kolumny maszerujących żołnierzy, że obrońcy z barbakanu nie ośmielili się strzelać.

Wpadli na dziedziniec.

Widzieliśmy ich dość dobrze ze szczytu murów. Część d'Angelińskiej piechoty de Somerville'a zawróciła, żeby z nimi walczyć. Jeśli na polu panował chaos, to zamęt na dziedzińcu mu nie ustępował. Dzika bitwa rozgorzała przed wewnętrzną bramą, gdy mała grupa D'Angelinów broniła się przed trzykrotnie większą liczbą Skaldów.

Gaspar Trevalion zawołał ostro do naszych łuczników i połowa z nich zbiegła po schodach w baszcie, żeby ustawić się na ganku wewnętrznego muru od strony dziedzińca. Napotkali tam ten sam problem, co wartownicy w barbakanie. Nie mogli strzelać z obawy, że poranią obrońców.

Masa wojowników kłębiła się, z góry widzieliśmy tylko hełmy i broń. Wśród D'Angelinów wyróżniał się jeden rycerz, wysoki jak najwyższy Skald, powalający wrogów jednego po drugim. Niestety, w miejsce zabitych wciąż napływali nowi.

Długi pszeniczny warkocz wił się jak bicz, gdy walczył.

Joscelin krzyknął głośno; przez chwilę myślałam, że został trafiony.

– Luk! – zawołał, a poranny wiatr porwał słowo. – Luk!

– Twój brat?

Skinął głową, zaciskając i otwierając pięści, odruchowo krzyżując zarękawia.

Chwyciłam go za ramiona i potrząsnęłam nim, nie zwracając uwagi na ból, jaki mi to sprawiło.

– Możesz do niego zejść? – Nie czekałam na odpowiedź, widząc jego oczy, które już oceniały możliwości. – no to idź! Na Eluę, Joscelinie, idź!

Białe linie pojawiły się po obu stronach jego nosa i ust.

– Gdyby nawet był czas, nie śmiałybym...

Wczepiłam palce we włosy Joscelina, przyciągnęłam jego głowę i pocałowałam go mocno.

– Kocham cię – zawołałam – i jeśli chcesz jeszcze kiedyś usłyszeć ode mnie te słowa, nie przedkładaj tej idiotycznej przysięgi nad życie swojego brata!

Niebieskie oczy Joscelina zrobiły się ogromne ze zdumienia. Puściłam go, a on zrobił krok do tyłu, przyciskając grzbiet dłoni do ust. Patrzyliśmy na siebie. Potem okręcił się na pięcie i pobiegł do wieży. Przysięgam, słyszałam każdy jego krok, gdy zbiegał na łeb, na szyję. Pojawił się na wewnętrznym murze, pomniejszony przez odległość. Wyraźnie słyszałam grzmiący okrzyk bojowy.

– Verreuil! Verreuil!

Łucznicy Gaspara odsunęli się, ale on bez namysłu zeskoczył z ganku już z obnażonymi sztyletami.

Później sama oceniłam wysokość; trzy razy przekraczała wzrost wysokiego mężczyzny. Joscelin wskoczył w gęstwą skaldyjskich napastników, którzy się rozproszyli, zaskoczeni tym niespodziewanym przybyciem. Runął z góry niczym meteor, ale wylądował pewnie na nogach i opadł w przysiadzie, obracając się wokół własnej osi. Po chwili sztylety zniknęły w pochwach. Wyjął miecz, chwycił go oburącz i uderzył na Skaldów jak błyskawica.

D'Angelińscy obrońcy z rykiem rzucili się w stronę wysokiego Luka Verreuil, który nagle zdwoił swoje wysiłki.

Zwyciężyli, oczywiście. Musieli zwyciężyć.

– Joscelin Verreuil przysiągł mi swój miecz – powiedziała mi na ucho Ysandra, rozbawiona wbrew wszystkiemu. – Zwracam go tobie, na wieczne czasy. To mój dar za twoją służbę, Fedro nó Delaunay.

Pokiwałam głową, przyjmując jej dar. Co innego mogłam zrobić?

Tego dnia odnieśliśmy wielkie zwycięstwo.

W końcu Skaldowie uciekli z pola bitwy albo złożyli broń, przynajmniej ci, którzy nauczyli się czegoś od Waldemara Seliga. Poniżej fortyfikacji chorąży Percy de Somerville dał sygnał, opuszczając proporzec, i Gaspar Trevalion kazał dąć w rogi. Minęło południe. Ryk rogów niósł się ze smutkiem nad pobojobowiskiem.

Dziedziniec został obroniony, fortecy Troyes-le-Mont nie zdobyto. Jej załoga i sojusznicy wracali do domu.

Nie zapomniałam lekcji spod Bryn Gorrydum. Nie zważając na protesty królowej, która nie mogła znaleźć Joscelina, żeby mnie zatrzymał, poszłam napoić rannych i umierających.

Tak wielu ludzi zginęło po obu stronach. Nie dbałam, że plecy palą mnie żywym ogniem. Miałam prawo, zdobyte własną krwią, potem i łzami, do przynoszenia ulgi konającym. Tego sekretu nikt nie ma odwagi wyjawić tym, którzy walczą za sprawę. Umierając, wszyscy jesteśmy podobni. Byłam wybranką Kusziela, wiedziałam. Ból zrównuje nas wszystkich. Mogłam dać niewielką pociechę, ale dawałam wszystko, co miałam.

Nie wyjawiałam nikomu, z wyjątkiem Joscelina, że ze Skaldami było najgorzej. Za każdym razem, gdy widziałam pod hełmem jasne, zakrwawione włosy, spodziewałam się zobaczyć twarz Guntera Arnlaugsona. Traktował mnie dobrze, najlepiej jak potrafił, a ja odpłacałam mu zgubą. Bałam się spojrzeć mu w

oczy.

Nie znalazłam Guntera ani ludzi z jego osady. Modłę się, żeby byli wśród tych, którym wystarczyło rozumu, żeby wcześniej uciec z pola bitwy. Przez długi czas mieszkali niedaleko naszej granicy, znali więc prawdziwą głębię d'Angelińskiej dumy.

Znalazłam Waldemara Seliga i d'Aiglemorta.

Leżeli blisko siebie, otoczeni przez Cruithnów Drustana. Zmęczone konie stały z nisko opuszczonymi głowami. Drustan mab Necthana zasalutował mi, zsunął się z siodła i zachwiał, gdy chroma noga ustąpiła pod jego ciężarem.

– Powiedz Ysandrze... – urwał i przytrzymał się łąku.

– Sam jej powiedz – odparłam, podtrzymując go i gorączkowo przyzywając Lelańię Valais i jej uczniów. Przybyli szybko, pełni współczucia; lud Ejszet ma między innymi talent do leczenia.

Tak jak ja mam swoje dary.

Waldemar Selig, który wziął je bez pytania, leżał na ziemi w nienaturalnej pozycji. Jego rozwidlona broda sterczała w górę, jakby zadając niebiosom pytania, które miały pozostać bez odpowiedzi. Ja mogłabym na nie odpowiedzieć, gdyby mnie zapytał. Ale nie zapytał, uważając, że duszą Terre d'Ange są jej wojownicy, nie dziwki. Położyłam rękę na jego zimnej twarzy i zamknęłam orzechowe oczy.

– Jesteśmy podobni, panie – szepnęłam. – Wszyscy jesteśmy podobni w ostatecznym rozrachunku. I żadne z nas nie rodzi się po to, by tylko brać, a nie dawać.

Usłyszałam wtedy śmiech, cichy i gorzki.

Siedemnaście ran, powiedziałam. To była prawda. Ale Izydor d'Aiglemort żył jeszcze, kiedy go znalazłam.

– Fedro nó Delaunay – wyszeptał, chwytając moją rękę. – Boję się zemsty twojego pana.

Z początku pomyślałam, że chodzi mu o Delaunaya, lecz zaraz potem zrozumiałam, jakby myśl przepłynęła przez jego palce. Mosiężne skrzydła strachu załopotwały w moich uszach. Dałam wody konającemu, przykładając bukłak do jego ust.

– Zapłaciłeś, panie, zapłaciłeś z nawiązką – powiedziałam ze współczuciem. – A Kusziel nie zsyła kary, której nie jesteśmy w stanie znieść.

Izydor d'Aiglemort napił się i westchnął, po czym wyzionął ducha.

Zachowałam to dla siebie. To była wyłącznie nasza sprawa, jego, moja i Kusziela.

Potem usłyszałam zawodzenie Dalriadów.

To niesamowity dźwięk, wysoki i przeraźliwy, jeżący włosy na karku. Nie trzeba było mi mówić, co oznaczał, gdy tak wielu opłakiwano naraz. Puściłam martwą rękę d'Aiglemorta, podniosłam się i odwróciłam. Niedaleko mnie Drustan odpędzał uzdrowicieli. Stał niezgrabnie, z oczami pociemniałymi z troski w niebieskiej masce twarzy.

Zobaczyliśmy Dalriadów, skupionych wokół jednego z rydwanów; konie stały w szorach, dysząc ciężko z opuszczonymi głowami. Ujrzałam rozpacz na twarzy Grainny, gdy popatrzyła w naszą stronę.

– Nie – powiedziałam. – Nie.

Była to długa wędrówka przez zryte pole, martwi leżeli na drodze, ciemna krew wsiąkała powoli w suchą glebę i stratowaną trawę. Drustan kuśtykał ze mną. Przypuszczam, że ten marsz kosztował go tyle samo co mnie. Cierpiałam, ból zalewał całe moje ciało.

– Eamonn – szepnęłam.

Zdjęli go z rydwanu i ułożyli w godnej pozie na zlanej krwią

ziemi Terre d'Ange. Skrzyżowali mu ręce na piersi i przesunęli pancerz w taki sposób, że zasłaniał straszną ranę w boku, zadaną przez skaldyjską włócznię. Jego włosy, ciemniejsze od siostrzanych, usztywnione białym wapnem, tworzyły kolczastą koronę na tle ciemnej ziemi.

Drustan wyjął nóż zza pasa i bez wahania odciął gruby kosmyk czarnych włosów. Ukląkł z czią, by wsunąć lok pod zimne ręce Eamonna.

– Był dzielniejszy od lwa i niezłomny niczym dąb – powiedział smutno do Grainny. – Jego imię będzie żyć wiecznie wśród Cullach Gorrym.

Pokiwała głową, podnosząc błyszczące od łez szare oczy. Ja go tu sprowadziłam. Nie miałam prawa do żałoby.

– Wybaczcie – szepnęłam stłumionym głosem do Grainny, do Drustana, do Dalriadów, do nich wszystkich. – Tak bardzo mi przykro.

– Mój brat sam wybrał swój los. – Nawet w złanej krwi zbroi Grainna zachowała dawne dostojeństwo. – Ty po prostu sprawiłaś, że zrobił więcej niż w innym przypadku. Nie odmawiaj mu honoru.

I pomyśleć, że gardziłam Joscelinem z powodu jego kasjeliczkiej dumy. To prawda, wszyscy jesteśmy tacy sami w ostatecznym rozrachunku. Pochyliłam głowę, pożyczylam nóż od Drustana i ścięłam pukiel włosów. Położyłam go przy loku cruarchy.

– Niech Elua ma cię w opiece, Eamonne mac Conor. – Wspomniałam, jak pilnował porządku, kiedy Pan Cieśniny nas rozdzielił, jak pomagał Ghislainowi de Somerville, gdy stanęliśmy na d'Agelińskiej ziemi. – Zawiedlibyśmy bez ciebie.

Zapłakałam na klęczkach, zapłakałam nad nami wszystkimi. Usłyszałam znajomy głos, który zdradzał zmęczenie.

– Fedro. – Popatrzyłam na Joscelina. Siedział na koniu, podrapany, ale nie ranny. Miał ciemne kręgi pod oczami. – Nie jesteś w stanie tego zrobić.

To prawda; wiedziałam to na tyle, by nie protestować. Jak pole bitwy długie i szerokie, D’Angelinowie zajmowali się znoszeniem martwych i opatrywaniem rannych, wspomagani przez chirurgów i uzdrowicieli.

– Co z twoim bratem? – zapytałam. – I ojcem?

– W miarę dobrze. – Głos Joscelina brzmiał głucho. – Przeżyli. – Ukłonił się Grainnie. Był to kasjelicki ukłon. – Boleję, pani, nad poniesioną przez ciebie stratą.

Odwróciłam się i przetłumaczyłam odruchowo. Grainna uśmiechnęła się smutno.

– Podziękuj mu i odejź z nim, Fedro nó Delaunay. My zajmiemy się naszymi rannymi.

Drustan pokiwał głową. Joscelin wyciągnął do mnie rękę, pochylając się w siodle. Usiadłam za nim i ruszyliśmy w długą drogę do Troyes-le-Mont.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT JEDEN

Wszyscy ludzie d'Aiglemorta, którzy przeżyli bitwę, postanowili ruszyć w pogoń za uciekającymi Skaldami.

Pokłosie wojny jest straszne. Jeśli kiedykolwiek bym zazdrościła Ysandrze de la Courcel korony – a nie zazdrościłam – widok tych następstw szybko wyleczyłby mnie z ambicji. Na nią spadł straszny obowiązek rozdzielania winy i kary, na żywych i martwych.

Podjęła mądrą decyzję, jak myślę, ogłaszając amnestię tych Sprzymierzeńców z Kamlachu, którzy wybrali swój tragiczny los, na własne głowy przysięgając ścigać niedobitki wielkiej armii Seliga. Nikt nie próbował im tego wyperswadować, gdyż wciąż pamiętano zdradę Izydora d'Aiglemort, a ofiarna bitwa była zbyt świeża w pamięci. Co do tych Skaldów, którzy złożyli broń, między innymi za moją radą zgodzono się przyjąć za nich okup. Dobrze wiedziałam, ile d'Angelińskich pieniędzy wyciekło za granicę ze sprawą d'Aiglemorta, który opłacał najazdy. Szczerze mówiąc, nie pragnęłam dalszego rozlewu krwi. Ani Ysandra, jak myślę, ani wielu z jej popleczników.

Tak więc Skaldowie wykupili się i wrócili do domów, a granice znowu zostały zamknięte.

Dość ludzi zginęło.

Byłam świadkiem spotkania Ysandry i Drustana, podobnie jak kilka tysięcy D'Angelinów i Albijczyków. Przyjechał na czele wojsk z Alby, a ona otworzyła bramy Troyes-le-Mont, żeby go powitać.

Przywitali się jak równi sobie, potem uścisnęli sobie ręce, a on ucałował jej dłonie. Nasze połączone wojska krzyknęły na wiwat, choć nie we wszystkich oczach d'Agelińskiej arystokracji widziałam aprobatę.

Wojny przychodzą i odchodzą, polityka trwa cały czas.

Tym, którzy spodziewają się opisu romantycznych uniesień, mogę powiedzieć tylko tyle, że Ysandra i Drustan dobrze wiedzieli, kim są: królową Terre d'Ange i cruarchą Alby. Na oczach sił zbrojnych dwóch narodów nie śmieli być nikim mniej i nikim więcej. Dobrze poznałam Ysandrę i jestem przekonana, że to, co zaszło między nimi za zamkniętymi drzwiami, wyglądało zupełnie inaczej. Znam również Drustana i wiem, jak bardzo ją kochał. Ale oboje byli monarchami i dobrze rozumieli, co wypada, dlatego narodowi pokazali monarsze oblicza.

Jedna rzecz była pewna: nikt publicznie nie śmiał wystąpić przeciwko ich małżeństwu. Życie i niepodległość zawdzięczaliśmy Albie, która dowiodła swojej lojalności. Wśród żałoby i pogrzebów, składania okupów i świętowania, ustalono datę i Miasto Elui zaczęło się przygotowywać do wesela.

A co ze mną i Joscelinem?

Poznałam jego ojca i brata oraz dwóch zbrojnych, którzy przeżyli tę straszną bitwę.

Czego się spodziewałam... nie wiem. Niczego, prawdę powiedziawszy; przez wiele dni byłam odrętwiała i zbyt zmęczona, by myśleć. Ysandra często mnie wzywała, żebym służyła jako tłumaczka w rozmowach z Cruithnami i Skaldami. W wielotysięcznym tłumie nie brakowało takich, którzy znali oba języki, ale Ysandra nikomu nie ufała tak jak mnie, drugiemu uczniowi Delaunaya. Odwiedzałam również szpital, w którym leżało wielu Albijczyków i kilku Chłopców Fedry – razem

wziąwszy, przeżyło ich nie więcej niż tuzin. Przybita żalem, spędziłam trochę czasu przy łóżku każdego z nich.

Mimo wszystko znalazłam czas, kiedy Joscelin powiadomił mnie, że jego bliscy wracają do Verreuil.

Siły d'Aiglemorta zobowiązały się ścigać Skaldów, więc Percy de Somerville mógł rozpuścić część wojsk królewskich. Stała armia oczywiście miała pozostać, umacniając skaldyjską granicę, ale ci, którzy porzucili domy, by służyć ojczyźnie, zostali zwolnieni. Odprawiono ich z podziękowaniami i należnymi honorami, szczególne względy okazując rannym. Odbyla się specjalna uroczystość ku czci kompanii dzielnych włóczników z Aragonii, których dowódca w imieniu swojego króla złożył deklarację przyjaźni nie tylko Ysandrze, ale również młodemu cruarsze Alby.

Powitanie Percy'ego de Somerville z Ghislainem przywiodło łązy do moich oczu. Ojciec i syn objęli się czule, w typowy dla L'Agnatczyków sposób nie zwracając uwagi na otoczenie.

Kawaler Miliard Verreuil, z kikutem lewej ręki na temblaku, mniej wylewnie przywitał się z synem, ale nie sądzę, by jego chłód wynikał z braku uczuć. Był to wysoki, szczupły mężczyzna z siwiejącymi włosami splecionymi w skromny siovaleński warkocz. Jego twarz cechowało to samo trochę staroświeckie piękno, które znałam z oblicza syna. Dowiedziałam się, że jako pierwszy na dziedzińcu dotarł do wewnętrznej bramy i w jej obronie stracił tarczę wraz z ręką.

– Rozumiem, że jesteś kimś w rodzaju uczonej – rzekł poważnie, kiedy Joscelin dokonał prezentacji.

Otworzyłam usta – i zamknęłam. Nie było to do końca nieprawdą, ale nigdy nie zostałam w taki sposób przedstawiona.

– Uszczknęłam odrobinę wiedzy ze stołu moich praojców –

powiedziałam w caerdicci, cytując tyberyjskiego oratora Nunniusza Balbo.

Ojciec Joscelina uśmiechnął się niespodziewanie, aż kurze łapki pojawiły się w kącikach jego oczu.

– Sługi Naamy w Siovale rzadko są takie uczone – dodał, kładąc rękę na moim ramieniu. – Może to oznaka buntu przeciwko naukom Szamchazaja.

– Szamchazaj miał swoje namiętności, panie – odparłam, uśmiechając się do niego – a Naama swój zapas wiedzy.

Kawaler Verreuil wybuchnął śmiechem, klepiąc mnie po ramieniu.

– Słyszałem, czego dokonałaś – powiedział, znów poważniejąc. – Terre d'Ange ma wobec ciebie wielki dług.

Skłoniłam głowę, skrepowana pochwałą.

– Gdyby nie twój syn, panie, umarłabym wiele razy.

– Wiem. – Poprawił temblak i ze spokojem i dumą w oczach popatrzył na Joscelina. – Nie wiem, synu, czy zgadzam się z obraną przez ciebie ścieżką, ale kroczyłeś nią z honorem.

Joscelin uklonił się w milczeniu. Jego brat Luk, o pół głowy wyższy od każdego z nich, uśmiechnął się szeroko.

– Nie można się nie zgadzać, widząc przyczynę! – zauważył, spoglądając na mnie. Miał takie same jasne włosy i niebieskie oczy jak Joscelin, ale szczerą, wesołą twarz z pewnością odziedziczył po matce. – Na Eluę! Odwiedzisz nas, Fedro? Powinnaś dać mi szansę, zanim ostatecznie zdecydujesz się na Joscelina!

Nie byłam pewna, jak Joscelin przyjmie docinki brata; nie mieliśmy spokojnej chwili, żeby porozmawiać po tym, jak pocałowałam go na blankach. Zerkając na niego ukradkiem, spostrzegłam, że kącik jego ust uniósł się w leciutkim uśmiechu.

– Żadne z nas jeszcze niczego nie postanowiło, panie – powiedziałam do Luka. – Ale wizyta w Verreuil będzie dla mnie zaszczytem.

Znów się uśmiechnął, klepiąc Joscelina po plecach.

– Ty chyba też możesz przyjechać. Wiesz, że pięć razy zostałeś wujkiem? Jehana wyszła za mąż sześć lat temu, a Honora prawie cztery.

– Przyjadę, pewnego dnia – mruknął Joscelin.

– Przyjmiemy cię z otwartymi ramionami – oświadczył ojciec. – Każdego dnia. Matka stęskniła się za tobą. – Popatrzył łagodnie na mnie. – Ty także zawsze będziesz mile widziana w naszych progach, Fedro nó Delaunay. Znałem hrabiego de Montreve. Myślę, że byłby bardzo dumny ze swojego syna Anafiela i z ciebie, jego dzieła.

– Dziękuję, panie. – Jego słowa oznaczały dla mnie więcej, niż przypuszczałam. Oczy zapiekły mnie od łez. Miałam nadzieję, że gdzieś w zaświatach, w prawdziwej Terre d'Ange, Delaunay cieszy się ojcowskim przebaczeniem.

Odeszłam potem, żeby mogli spokojnie się pożegnać. Tego ranka wyjeżdżała nieduża grupa Siovalericzyków. Luk Verreuil odwrócił się w siodle, promienie słońca jaśniały na jego pszenicznych włosach.

– W szpitalu śpiewają o tobie ciekawe piosenki, Fedro nó Delaunay! – zawołał ze śmiechem.

– Błogosławiony Eluo... – Poczułam wypływający na twarz rumieniec. Ranni czy nie, marynarze admirała Rousse, przekłęci Chłopcy Fedry, uczyli tej przekłętej piosenki każdego, kto tylko chciał słuchać.

– Uwielbiają cię – powiedział Joscelin oschle. – Mają prawo. Zadrzałam.

– Ale przy twoim ojcu?

– Rozumiem.

Patrzyłam, jak odjeżdżają, dołączając do kolumny Sioveleńczyków.

– Chciał porozmawiać z prefektem o ponownym przyjęciu mnie do zakonu.

Niespodziewanie serce podeszło mi do gardła.

– Co takiego? – zapytałam, starając się zapanować nad głosem.

Joscelin popatrzył na mnie.

– Nie zgodziłem się. – Kolejny lekki uśmiech wykrzywił kącik jego ust i rozjaśnił niebieskie oczy. – Ostatecznie muszę myśleć o swojej przyszłości.

Ile czasu minęło, odkąd się śmiałam, naprawdę, z całego serca? Nie mogłam sobie przypomnieć. Roześmiałam się wtedy i śmiech jak dobry wiatr oczyszczał moją duszę, podczas gdy Joscelin przypatrywał mi się z rozbawieniem.

– Musimy jednak porozmawiać – powiedziałam, gdy złapałam oddech. Pokiwał głową, poważniejąc. Ale akurat wtedy jeden z paziów Ysandry przebiegł po zwodzonym moście; byłam potrzebna i nasza rozmowa musiała zaczekać na inną okazję.

Tak samo było nazajutrz i następnego dnia. Tak to już jest z maluczkimi, kiedy sprawy wielkich wymagają ich uwagi. Niezależnie od roli, jaką oboje z Joscelinem odegraliśmy podczas wojny, na arenie polityki znowu byliśmy tylko maleńkimi pionkami.

Ysandra urządziła dwór w Troyes-le-Mont, podczas gdy naród likwidował skutki wojennej zawieruchy. Codziennie do fortecy ściągala szlachta, żeby odnowić przysięgi wierności, a w niektórych przypadkach zadenuncjować tych, którzy nie byli lojalni. Ysandra osądzała ich z nad wiek dojrzałą

przenikliwością, wspierana radą przez Gaspara Trevaliona i Barquiela L'Envers – oraz przez Drustana mab Necthana, który rozumiał znacznie więcej, niż sądziła większość ludzi. Zdradzali się czasami ci, którzy spiskowali przeciwko niej, patrząc z przestachem na jego twarz, obcą i pokrytą niebieskimi spiralami. Dla mnie nie była już dziwna. Spotykałam się z nim codziennie, prywatnie, żeby uczyć go d'Angelińskiego, i byłam pod coraz większym wrażeniem jego spokojnej, intuicyjnej mądrości.

Straż stale czuwała na blankach i codziennie odzywał się róg, oznajmiając nowych przybyszy. Przywykłam do tego i rzadko zastanawiałam się, kto przyjechał, zauważając tylko sztandary i insygnia, porównując je z herbarzem, którego na życzenie Delaunaya musieliśmy nauczyć się oboje z Alcuinem. Ja poznałam większą część herbów, a Alcuin wszystkie.

Byłam w kuźni, występując w imieniu dwóch dalriadzkich panów, którzy kłócili się z kowalem o naprawę rydwanów – chodziło o nową zawleczkę i obręcze na koła – i tego ranka nie zwróciłam uwagi na dęcie w rogi. Nagle Joscelin złapał mnie za ramię.

– Co się stało? – zapytałam.

Jego twarz miała nieodgadniony wyraz.

– Chodź i sama zobacz.

– Kiedy skończysz pracę, pozwól im zabrać rydwany – powiedziałam do kowala. – Cruarcha zapłaci za twój trud. – Przyznaję to z niechęcią, ale wielu d'Angelińskich rzemieślników, którzy schronili się w Troyes-le-Mont, próbowało wykorzystywać Albijczyków. Pospieszyłam za Joscelinem, pokonując spiralne schody wieży i nie zważając na ukłucia bólu w gojących się plecach.

Na blankach wskazał na zachód, skąd nadciągała grupa ludzi.

– Tam.

Jechali w zwartej formacji, otaczając samotną postać pośrodku, z dwoma jeźdźcami z przodu. W narożnikach powiewały sztandary. Poznałam herb – kruk i morze.

Quincel de Morhban.

Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, a potem poczułam na łokciu palce Joscelina. Zaciskał je tak mocno, że niemal sprawiał mi ból. Ja też poznałam, kogo otaczają ludzie de Morhbana. Nie mogłam się mylić, nawet z takiej odległości: jechała wyprostowana dumnie w siodle, z wysoko uniesioną głową i falistą rzeką granatowoczarnych włosów.

Świat zatańczył mi przed oczami, krenelaże przekrzywiły się na bok. Utrzymałam się na nogach tylko dzięki ręce Joscelina. Na mojej szyi diament Melisandy skrzył się jak słońce i ciążył niczym młyński kamień.

– Melisanda – szepnęłam. – Och, Eluo!

DZIEWIĘĆDZIESIĄT DWA

Nie sądzę, by diuk de Morhban zdołał ją sprowadzić bez czyjejs pomocy. Zdradzili ją jej własni krewni; dwaj ludzie eskorty byli Szachrizaj, kryjącymi twarze w głębiach przepastnych kapturów. Byli to młodszy członkowie rodu, Marmion i Persja. Sprzedali swoją kuzynkę Quincelowi de Morhban w zamian za jego łaski.

Gdy opuściliśmy brzegi Terre d'Ange na pokładzie okrętu flagowego, de Morhban rzeczywiście przesłuchał ludzi admirała Rousse, Rousse nie powiedział im wszystkiego, ale de Morhban umiał kojarzyć fakty i wyciągać wnioski. Poza tym do jego uszu dotarła pogłoska – o czym musiała wiedzieć również główna zainteresowana – że członkowie Bractwa Kasjeliów, kursujący jako posłańcy pomiędzy ludźmi wiernymi Ysandrze, wypytywali w drodze o Melisandę Szachrizaj. De Morhban nie był głupcem i rządził w Kuszecie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak poradzić sobie z rodem Szachrizaj. Zachował wiedzę dla siebie i czekał na rozwój wypadków.

Gdy naród ruszył na wojnę, Quincel de Morhban postanowił zagrać na zwłokę. Potem, kiedy potężne fale wzburzyły Cieśninę i kiedy dotarły do niego wieści o lądowaniu albijskiej floty na d'Angelińskiej ziemi, rzucił kości i rozpoczął polowanie na Melisandę Szachrizaj.

Zgodnie ze słowami Marmiona i Persji znalazł ją w odosobnionej twierdzy w południowym Kuszecie, szykującą się do podróży.

Oboje jej pomagali, więc tyle było im wiadomo, ale to nie wystarczyło, żeby uznać ją za winną. Wieści rozeszły się lotem błyskawicy po Troyes-le-Mont, gdy przyprowadzono Melisandę do donżonu. Wydawało się, że wszyscy coś wiedzą, lecz nikt nie wiedział dość. Melisanda prowadziła głęboko zakonspirowaną grę. Gmach dowodu jej winy runął na polu bitewnym.

– Wybacz – powiedziała Ysandra ze współczuciem. – Oszczędziłabym ci tego, gdybym mogła.

Zaczerpnęłam głęboko tchu, po czym wypuściłam powietrze z drżeniem.

– Wiem, pani.

Przesłuchanie odbyło się w sali tronowej, chłodnej i mrocznej za grubymi kamiennymi ścianami, oświetlonej lampami i pochodniami w środku ciepłego lata. Stałam za tronem Ysandy, za jej dwoma kasjelitami i szeregiem straży królewskiej. Nawet obecność Joscelina nie niosła mi pociechy, choć stał tuż przy mnie.

Quincel de Morhban wystąpił i przykląkł przed Ysandra, przysięgając jej wierność. Nie pamiętam, co powiedział, bo wszystkie moje zmysły skupiały się na jednej osobie w pokoju. Gdy diuk się odsunął, podeszła Melisanda, otoczona przez jego ludzi, choć żaden nie śmiał jej dotknąć.

– Lady Melisanda Szachrizaj. – Głos Ysandy, chłodny jak ostrze noża, przeciął przesycone blaskiem ognia powietrze. – Stajesz przed nami oskarżona o zdradę. Co masz na swoją obronę?

– Wasza Wysokość. – Melisanda opadła w płynnym, pełnym gracji dygu i uniosła spokojną, śliczną twarz. – Jestem twoją lojalną służką, niewinną tego oskarżenia.

Widziałam, jak Ysandra pochyła się w jej stronę.

– Zostałaś oskarżona wraz z Izydorem d’Aiglemort o zdradę narodu i spiskowanie w celu przejęcia tronu. Czy temu zaprzeczasz?

Melisanda uśmiechnęła się; dobrze znałam ten uśmiech. Widziałam go tysiące razy, we śnie i na jawie. Światło pochodni migotało na jej włosach i rzeźbionych rysach, zapalało bliźniacze gwiazdy w szafirowych oczach.

– Przez tysiąc lat dom Szachrizaj służył tronowi – powiedziała głosem słodkim jak miód. My, D’Angelinowie, jesteśmy wrażliwi na piękno, zawsze i wszędzie. Słyszałam pomruk zgromadzonych. – Jego Książęca Mość de Morhban rzuca oskarżenia, lecz nie przedstawia dowodu... i może wiele zyskać, gdy na szali leży jego lojalność i moje posiadłości. – Melisanda rozłożyła ręce w elokwentnym geście, podnosząc wzrok na Ysandrę. Taka pewność siebie, takie przekonanie; jej wina leżała pogrzebana na pobojuwisku, pogrążona w długim śnie śmierci. – Gdzie był, kiedy ważyły się losy niepodległości Terre d’Ange? Tak, Wasza Wysokość, obalam oskarżenie. Jeśli ma dowód, niech go przedstawi.

Nie byłam pewna, ile odgadł de Morhban, ale wiedziałam, ile jej powiedział: nic. Izolacja, która wcześniej chroniła Melisandę, osłabiła jej pozycję, a Quincel de Morhban wytrącił jej broń z ręki w jedyny możliwy sposób: trzymał ją w niewiedzy.

– Jesteś również oskarżona... – powiedziała Ysandra, przyglądając się jej uważnie – o spiskowanie ze skaldyjskim wodzem Waldemarem Seligiem.

To ją zaskoczyło, widziałam, jak zadrżały jej powieki. Ale zaraz potem roześmiała się swobodnie i z wdziękiem.

– Czy to twierdzenie diuka? Tyle samo ja mogę powiedzieć o nim albo o kimkolwiek innym, Wasza Wysokość. Łatwo rzucać

oskarżenia, którym martwi nie mogą zaprzeczyć.

– Nie – odparła Ysandra. – Nie de Morhbana.

Melisanda znieruchomiała, jej spojrzenie wyostriżyło się, gdy patrzyła na królową.

– Czy nie mam prawa wiedzieć, kto mnie oskarża, Wasza Wysokość? – zapytała niskim, groźnym głosem.

Ysandra tylko lekko poruszyła ręką. Szereg gwardzistów rozstąpił się przede mną, a ja z drżeniem postąpiłam do przodu.

– Ja – rzekłam cicho, patrząc w oczy Melisandzie. Uniosłam rękę i chwyciłam diament na szyi, po czym jednym szarpnięciem zerwałam aksamitkę. Rzuciłam go na posadzkę pomiędzy nami. – To należy do ciebie, pani – powiedziałam, z drżeniem zaczerpując tchu. – Ja nie.

W sali tronowej zapadła cisza. Melisanda zbladła jak śmierć.

Trzeba jej oddać, że poza tym stała nieporuszenie, gdy mierzyłyśmy się wzrokiem. Potem, niewiarygodne, zaśmiała się i odwróciła wzrok.

– Anafielu Delaunayu – mruknęła, patrząc w dal. – Rozegrałeś godną uwagi końcówkę. – Nikt się nie odezwał, gdy spojrzenie jej szafirowych oczu spoczęło na mnie. – Tego jednego nie przewidziałam. Percy de Somerville był przygotowany na napaść Seliga. Dzięki tobie?

– Widziałam list, który własną ręką skreśliłaś do Seliga. – Głos mi drżał. – Powinnaś mnie zabić, kiedy miałaś okazję.

Melisanda pochyliła się i podniosła diament, trzymając go za aksamitkę.

– Pozostawienie ci kasjelity było zbyt łaski – przyznała, zerkając na Joscelina, który stał bez ruchu, z płonącymi oczami. – Choć wygląda na to, że doszłście do porozumienia.

– Czy nie zgadzasz się z tym oskarżeniem? – Ysandra podniosła

głos, chłodny i nieubłagany, tnąc napięcie między nami.

Melisanda popatrzyła na diament, zamknęła go w dłoni i uniosła brwi.

– Masz dowód, przypuszczam, na poparcie ich historii?

– Mam straż pałacową, która przysięgnie, że widziała ich z tobą w noc śmierci Anafiela Delaunaya. – Ysandra miała zimny, nieubłagany wyraz twarzy. – I wierzę, lady Szachrizaj, że trzydzieści tysięcy skaldyjskich najeźdźców poświadcza prawdziwość ich opowieści.

Melisanda wzruszyła ramionami.

– W takim razie nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Niech tak będzie. – Ysandra wezwała straż. – Zostaniesz stracona o świcie.

Nikt, ani Trevalion, ani L'Envers, ani de Morhban, ani żaden ze zgromadzonych arystokratów, którzy stali z opuszczonymi głowami, nie przemówił w jej obronie. Patrzyłam, drżąc od stóp do głów, jak straż otacza Melisandę i wyprowadza ją z sali tronowej.

– Po wszystkim – mruknął Joscelin do mojego ucha. – Po wszystkim, Fedro.

– Wiem. – Dotknęłam szyi, gdzie jeszcze przed chwilą wisiał diament, i zastanowiłam się, dlaczego czuję się taka pusta.

Spędziłam długi czas w szpitalu tego dnia i wieczorem, znajdując pociechę w pielęgnowaniu rannych. Nie mam talentów medycznych, o których warto byłoby wspominać, choć nieśmiały uczeń Lelahii Valais udzielił mi kilku prostych wskazówek dotyczących zmiany opatrunków oraz przemywania zaognionych ran ziołowymi naparami. Ranni w większości zadowalali się widokiem życzliwej twarzy i świadomością, że ktoś ich wysłucha. Kilka dni wcześniej w maleńkiej bibliotece

znalazłam pergamin i inkaust. Ci, którzy doszli do przekonania, że już nigdy nie zobaczą rodzinnego domu, podyktowali mi listy do bliskich.

Drobny gest, ale miał wielkie znaczenie dla konającego. Dużo czasu spędziłam z Cruithnami i Dalriadami, nie mogącymi się nawet porozumieć z uzdrowicielami. Drustan już miał okazały plik listów, które obiecał przesłać na albijską ziemię, gdzie miały zostać odczytane przez bardów i brehonów, jeśli odbiorcy będą niepiśmienni.

Joscelin postąpił mądrze, zostawiając mnie samej sobie. Nie sądzę, żeby rozumiał do końca, co łączyło mnie z Melisandą. Skąd mógłby wiedzieć, kiedy sama ledwo to pojmowałam? Wszystko było znacznie prostsze, zanim odważyłam się ruszyć przez obóz Seliga, zanim zostałam poddana torturom. Pogardzałam nią za to, co zrobiła mnie i Terre d'Ange.

A jednak...

Elua wiedział, że kiedyś ją kochałam.

Była głęboka noc, kiedy znalazł mnie posłaniec. Niepewny swojej misji, z zakłopotaną miną szeptał w ciszy szpitala.

– Lady Fedro, lady Melisanda Szachrizaj pragnie z tobą pomówić, jeśli nie masz nic przeciwko.

“Jeśli kiedyś nadarzy ci się okazja, żeby samotnie stawić czoło Melisandzie, nie korzystaj z niej”.

Nie zapomniałam słów Hiacynta. Ale poszłam.

Dwaj strażnicy stali przed jej drzwiami, wierni strażnicy Ysandry. Choć mnie znali, przed wpuszczeniem do pokoju sprawdzili, czy nie mam broni. To ironia, że Melisanda miała komnatę wyłącznie dla siebie. Nikt inny nie cieszył się tym przywilejem, za wyjątkiem Ysandry, gdyż forteca pękała w szwach. Ale Melisanda, arystokratka i potomkini Kusziela,

zasłużyła na tyle w swoją ostatnią noc na ziemi. Zastanowiłam się, kto został przeniesiony, żeby mogła spędzić tę noc w wygodzie.

Nieduża komnatka mieściła dwa krzesła, sekretarzyk i łóżko. Po wejściu usłyszałam trzask drzwi zamykanych za moimi plecami i zgrzyt zasuwanego rygla.

Melisanda siedziała na krześle. Gdy weszłam, uniosła głowę.

– Nie byłam pewna, czy przyjdiesz – powiedziała na powitanie, unosząc idealnie zarysowane brwi. – I to bez swojego strażnika.

– Czego chcesz? – zapytałam szorstko.

Roześmiała się tym swoim melodyjnym śmiechem, który przemienia moje kości w wodę nawet teraz, wciąż.

– Zobaczyć ciebie – odparła. – Przed śmiercią. Czy to wygórowana prośba?

– Z twojej strony tak.

– Fedro... – Jej usta uformowały moje imię, jej głos nadał mu znaczenie. Podeszłam do drugiego krzesła, żeby wesprzeć się na oparciu, gdy jej oczy spoglądały na mnie z rozbawieniem. – Czy tak bardzo mnie nienawidzisz?

– Tak – szepnęłam, pragnąc, żeby to była prawda. – Dlaczego miałoby być inaczej?

– Ach, cóż... – Melisanda wzruszyła ramionami. – Byłam lekkomyślna, a ty dobrze zagrałaś kartami, które ci rozdałam. Czy mam cię za to winić? Wiedziałam, że jesteś stworzeniem Delaunaya, kiedy szykowałam się do rozgrywki. Mogło być inaczej, gdybym wzięła cię na własność, zamiast pozwolić ci odejść.

– Nie.

– Kto może to wiedzieć? – Uśmiechnęła się kpiąco. – Ale

przyznam, nie doceniłam cię. Ciebie i tego twojego na wpół szalonego kasjelity. Słyszałam różne rzeczy od strażników. Pojechałaś do Alby, mówią.

Zacisnęłam ręce na oparciu krzesła.

– Co ci obiecał Waldemar Selig? – zapytałam, starając się nadać głosowi twarde brzmienie.

– Połowę cesarstwa. – Melisanda zastygła w niedbalej pozie. – Usłyszałam jego nazwisko, gdy proponował małżeństwo córce diuka Milazzy. Byłam zaciekawiona. Myślał, że zaoferowałam mu Terre d'Ange, ale w końcu to ja zagarnęłabym Skaldię. Gdybym nawet ja tego nie doczekała, nasze dzieci by się o tym przekonały.

– Wiem. – Nie wątpiłam w to; tyle się domyśliłam, znając głębię jej knowań. Fala histerycznego śmiechu podeszła mi do gardła i zadławiła mnie. – Mogłaś być z nim szczęśliwa, pani – wykrztusiłam. – Przerobił ze mną połowę *Trois Milles Joies*.

– Doprawdy? – mruknęła. – Ciekawe.

Zamknęłam oczy, żeby jej nie widzieć.

– Dlaczego uciekłaś z Miasta, kiedy zmarł Ganelon? Myślałam, że wiedziałaś.

Po szeleście spódnic poznałam, że Melisanda wstała.

– Nie. Wiedziałam, że Ganelon umiera, to prawda. I wiedziałam, że Thelesis de Mornay zyskała posłuchanie u Ysandry, a nazajutrz jej strażnicy wypytywali o noc śmierci Delaunaya. – Cichy szelest jedwabiu powiedział mi, że wzruszyła ramionami. – Myślałam, że nadworna poetka przekonała królową, by wszczęła dochodzenie w sprawie jego śmierci. To wystarczyło, żeby skłonić mnie do wyjazdu.

A zatem jej plany już wtedy wchodziły w życie. Nie miałyby znaczenia, gdybyśmy oboje z Joscelinem nie wyrwali się z

białych okowów skaldyjskiej zimy z naszą nieprawdopodobną opowieścią.

Otworzyłam oczy. Melisanda wyglądała przez wąskie okno komnaty w ciemną noc.

– Dlaczego? – wyszeptałam, wiedząc, że pytam daremnie... i że muszę spytać.

Odwróciła się, anielsko spokojna i piękna.

– Ponieważ mogłam.

Nigdy nie będzie innej odpowiedzi. Nigdy nie usłyszę powodu, który mogłabym zrozumieć sercem, nie tylko mroczną, intuicyjną częścią duszy, która zadrzała na takie wyjaśnienie.

– Nigdy nie byłoby inaczej – powiedziałam chrapliwie, pragnąc, żeby moje słowa ją zaboląły, pragnąc, żeby zadrzała pod wpływem ich siły. Wcześniej nie wiedziałam, co to znaczy pragnąć zadać ból drugiej osobie. Wtedy poznałam to uczucie. – Niezależnie od tego, co zrobiłaś, niezależnie od tego, jakie prawa sobie do mnie rościsz, nigdy nie pomogłabym ci w zdradzie.

– Nie? – Melisanda uśmiechnęła się z rozbawieniem. – Jesteś tego pewna, Fedro nó Delaunay? – Jej głos, niski i miódopłynny, przyprawił mnie o ciarki. Stałam jak sparaliżowana, gdy przemierzyła pokój. Niemal mimochodem jej ręka przesunęła się po mojej marce, ukrytej pod suknią; zbudziła ranę zadaną mi przez Seliga i ból przeniknął moje ciało. Czułam żar jej obecności, jej zapach. Nic się nie zmieniło. Moja wola nagięła się przed wolą Melisandy, gdy położyła rękę na moim policzku, moja twarz uniosła się posłusznie, mój świat zawirował wokół osi. – Ten, kto ulega... – wyszeptała, opuszczając wargi ku moim ustom – nie zawsze jest słaby.

Pocałunek; prawie. Jej usta musnęły moje i odsunęły się, ręce oderwały się od mojej twarzy, a ja zachwiałam się w otchłani jej

nieobecności, w szoku pożądania.

– Tak powiedział twój Cygan. – Melisanda popatrzyła na mnie, wyraz jej oczu stał się zimny. – Pamiętam. Ale powinnam poświęcić większą uwagę, kiedy dodał, żebym mądrze wybierała swoje zwycięstwa. – Usiadła naprzeciwko mnie i skinęła głową w stronę drzwi. – Możesz teraz odejść i zostawić mnie, żebym mogła zastanowić się nad swoją śmiercią.

Odeszłam.

Załamotałam w drzwi, chwiejnie przestąpiłam próg i po omacku znalazłam kamienną ścianę korytarza.

– Dobrze się czujesz, pani? – zapytał jeden z nich. Usłyszałam trzask drzwi i pokiwałam głową.

– Tak – szepnęłam, wiedząc, że tak nie jest, wcale nie, ale nijak nie mogli mi pomóc, nikt nie mógł mi pomóc. Obie powinnyśmy posłuchać Hiacynta, pomyślałam. Straszny śmiech dławił mnie w gardle. Pochyliłam głowę, przeciągając rękami po twarzy.

Melisanda.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT TRZY

Resztę nocy spędziłam na blankach.

Przysypiający wartownicy pozwolili mi tam zostać, od czasu do czasu proponując łyk likieru. Ogarnął mnie wewnętrzny zamęt. Widok otwartych przestrzeni i bezkresnego firmamentu zawsze sprawiał mi ulgę. Porównanie własnych kłopotów z wielkością świata przynosi pociechę w cierpieniu.

Co bym zrobiła, gdyby Melisanda kupiła moją markę, zamiast ją opłacać, gdyby nigdy nie puściła smyczy, którą mi przypięła? Byłam pewna, prawie całkowicie pewna, że powiedziałam prawdę.

Prawie całkowicie. Ale osiągnęła swój cel. Nigdy nie będę zupełnie pewna, nie do końca.

W ostatecznym rozrachunku, oczywiście, to nie miało znaczenia. Stało się to, co się stało, a ja dokonałam wyboru. O świcie Melisanda Szachrizaj zostanie stracona, przestanie istnieć. I już nikt więcej nie będzie miał przez nią kłopotów.

Z wyjątkiem mnie.

Takie myśli przebiegały mi przez głowę, gdy odprawiałam to nocne czuwanie, słuchając cichych odgłosów pogrążonej we śnie fortecy, pomruku wartowników, parskania i tupotu koni w stajni, poskrzypywania drzwi. Zwyczajne nocne dźwięki, nic więcej.

Joscelin znalazł mnie, gdy niebo zaczynało szarzeć, a ja pomyślałam, że widziałam zbyt wiele krwawych świtów. Byłam sługą Naamy, mój brzask powinien być zabarwiony czerwienią winogrona, a nie śmiertelnego ciała.

– Byłaś u niej – powiedział cicho za moimi plecami. Pokiwałam głową, nie oglądając się. – Dlaczego?

– Nie wiem. Chyba tyle byłam jej winna. – Odwróciłam się wtedy na spotkanie jego znajomej twarzy, ponurej w szarym świetle. – Joscelinie, pewnych rzeczy nigdy nie zapomnę, choć będę musiała spróbować.

– Wiem – odparł łagodnie, stając obok mnie. – Wiesz, że ja nie mógłbym cię skrzywdzić, nawet gdybyś mnie o to prosiła?

– Wiem. – Odetchnęłam głęboko i wzięłam go pod rękę. *Anguissette* i kasjelita, Eluo dopomóż. – Przeżyliśmy atak trzydziestu tysięcy Skaldów i gniew Pana Cieśniny. Chyba jakoś wytrzymamy w swoim towarzystwie.

Joscelin zaśmiał się cicho, a ja przytuliłam twarz do jego piersi. Tyle zaszło między nami, a tyle nigdy nie zajdzie... Wiedziałam jednak, że nie chcę żyć bez niego.

Staliśmy tak przez długi czas. Czulałam, jak stopniowo opuszcza mnie groza tej długiej nocy. Niebo bladło, po murach skradały się długie, skośne promienie słońca. Niebawem będzie po wszystkim.

Tak myślałam, gdy nagle rozległy się krzyki strażników.

O tej porze następowała zmiana warty, ale nie przypomiinałam sobie, by kiedykolwiek odbywała się w takim pośpiechu. Nowi strażnicy mieli srogie miny, a znękany dowódca wypytywał o coś ludzi z nocnej warty, kręcących bezradnie głowami.

– Co się stało? – Joscelin zagadnął przechodzącego kapitana.

– Mieli stracić lady Melisandę Szachrizaj – odparł z ponurym wyrazem twarzy. – Zniknęła. Dwaj strażnicy przy drzwiach nie żyją, i wartownik przy bocznej bramie. – Strząsając rękę Joscelina, dodał: – Wybaczcie – i pospieszył dalej.

Popatrzyliśmy na siebie. Desperacki śmiech dławiący mnie w

gardle w końcu znalazł ujście.

– Melisando – wysapałam. – Ach, Eluo, nie!

Ysandra poleciła przeszukać fortecę, wysłała jeźdźców we wszystkie strony, nakazała przesłuchanie wszystkich wolnych tej nocy od służby, co do jednego. Nie znalazła śladu Melisandy, która rozplynęła się jak duch. Nawet Joscelin nie został zwolniony z przesłuchania, ani ja. Zdecydowanie nie ja. Ysandra wezwała mnie do sali tronowej. Wiedziałam, jak się poczuję, gdy stanę przed nią w tym samym miejscu, które niedawno zajmowała Melisanda.

– Posłała po ciebie tej nocy – powiedziała Ysandra głosem zimnym i twardym jak stal. – I poszłaś. Nie możesz temu zaprzeczyć. Fedro, wiemy o tym od szpitalnych straży. Dlaczego?

Odpowiedziałam tak, jak Joscelinowi, tylko że ściszałam ręce, żeby ukryć ich drżenie.

– Wasza Wysokość, tyle byłam jej winna.

– Cokolwiek byłaś jej winna, ona zapłaciła zdradą. – Twarz Ysandy pozostała nieubłagana. – W ten sposób nie szacujemy długów, nie w Terre d’Ange.

– Kiedyś darowała mi życie – szepnęłam. “Nie zabiję cię, tak jak nie zniszczyłabym bezcennego fresku czy wazy”. – Ja tego nie zrobiłam. Tyle byłam jej winna.

– A co jeszcze? – Ysandra uniosła jasne brwi.

– Nic. – Przegarnęłam włosy rękami i zdusiłam ten okropny śmiech, który wciąż we mnie narastał. – Wasza Wysokość, jedyny dowód jej zdrady opiera się na moim słowie. Czy poza zachowaniem milczenia musiałabym zrobić coś więcej, żeby ją uratować?

Na twarzy Ysandy odmalowało się współczucie. Wiedziała, że mówię prawdę.

– Masz rację, naturalnie. Wybacz mi, Fedro. Ale musisz zrozumieć, że póki Melisanda Szachrizaj będzie przebywać na wolności, wraz ze swoimi sojusznikami, nie poczuję się swobodnie na tronie.

– Ani nie powinnaś – mruknęłam, wyprowadzana sprzed majestatu z większą kurtuazją, niż zostałam doprowadzona. Królowa Terre d'Ange przeprosiła mnie, to było nie byle co.

W pierwszych dniach po zwycięstwie uważałam wszystkich, którzy walczyli w Troyes-le-Mont, za przyjaciół i sprzymierzeńców. Kiedy zaczęło się politykowanie, nabrałam większego dystansu. Ale po ucieczce Melisandy wszystko się zmieniło i już nikogo nie widziałam w tym samym świetle co wcześniej.

Ktoś spośród nas był zdrajcą.

Tajemnica pozostała niewyjaśniona. Nie wiadomo, dokąd uciekła Melisanda Szachrizaj i kto jej w tym dopomógł; spiskowcy byli zbyt głęboko zakonspirowani. Ysandra miała królestwo do rządzenia i wesele do zaplanowania, dlatego sprawa przycichła. Tylko jeźdźcy wciąż wyjeżdżali z Troyes-le-Mont, przemierzając kraj jak długi i szeroki. Melisanda miała nie znaleźć kryjówki na d'Angelińskiej ziemi.

To wystarczyło. To musiało wystarczyć.

W formalnej ceremonii Ysandra de la Courcel przywróciła władzę nad fortecą diusziesie Troyes-le-Mont, która ewakuowała swój dwór, żeby przeczekać bitwę w gościnie u lady Roxanny de Mereliot, Pani Marsilikos. Większa część skaldyjskiego okupu miała pójść na odbudowę fortecy i wynagrodzenie strat mieszkańcom księstwa Troyes-le-Mont, mniejsza na zapłatę żołnierzom, a reszta na naprawienie szkód spowodowanych przez Skaldów w Namarze, łącznie z odnowieniem świątyń

Naamy.

Ucieszyłam się na tę wieść, gdyż wciąż pamiętałam kapłankę, która pomogła mi w skaldyjskim obozie. Tymi sprawami Ysandra zajmowała się z pragmatycznym hartem ducha.

Winogrona zaczynały ciężać na pędach, kiedy zwinęliśmy obóz i rozpoczęliśmy długą, triumfalną podróż na południe Terre d'Ange.

Ze wszystkich moich dotychczasowych podróży ta, choć najkrótsza, zaliczała się do najwspanialszych. Spowalniani przez d'Angelińskich żołnierzy i całą albijską armię, posuwaliśmy się niespiesznie. Lud Terre d'Ange wylęgał na drogi, błogosławiąc Ysandrę i pozdrawiając ją jako swoją królową. Pozdrawiali również Drustana, który jechał obok niej. Ze zdziwieniem spoglądali na jego niebieską twarz, ale wznosili okrzyki i rzucali kwiaty.

Spośród Cruithnów i Dalriadów – szybkiego, ciemnoliciego ludu Cullach Gorrym, jasnowłosych Eidlach Ór, krzepkich Tarbh Cró i wysokich Fhalair Ba'n – nikt nie ruszył ku brzegom Alby. Wszyscy czekali na rychłe zaślubiny, które miały związać dwa nasze narody i na dobre otworzyć Cieśninę. W czasie tej podróży jechałam obok rydwanu Grainny, żeby wiedziała, iż ofiara Eamonna nie została zapomniana, przynajmniej nie przeze mnie.

Nic nie mówiłam o skrwawionym worku, który wisiał na wozie bojowym. Dalriadowie mają swoje przesady. Ciało Eamonna zostało pogrzebane na polach Troyes-le-Mont; jeśli jego siostra chciała, żeby głowa na wieki czuwała nad stolicą Dalriadów w Innisclanie, ja nie mogłam się temu sprzeciwić. Drustan wiedział o tym, jak myślę, wszyscy Cruithnowie wiedzieli. Ale nigdy nie powiedziałam Ysandrze.

Wreszcie dotarliśmy do Miasta Elui, które od wielu tygodni przygotowywało się na nasze przybycie, i przejechaliśmy w triumfie jego ulicami, witani przez wszystkich mieszkańców.

Czułam się dziwnie, uczestnicząc w tym pochodzie. Tylko raz oglądałam triumf wojenny w Mieście Elui, w dniu debiutu Alcuina. Dobrze pamiętałam, jak patrzyłam z balkonu rezydencji Cecylii Laveau-Perrin na przejeżdżających; tylu z nich nie żyło. Lwica z Azalii i Baudoin de Trevalion, u którego boku jechała Melisanda. Ysandra z dziadkiem, Ganelonem de la Courcel. I Sprzymierzeńcy z Kamlachu, z Izydorem d'Aiglemort na czele. Widziane z góry, to wszystko wydawało się niezwykle jasne i uporządkowane.

Z dołu wyglądało zupełnie inaczej.

I Anafiel Delaunay żył tamtego dnia, i wygrał w grze *kottabos*. Alcuin, który z taką godnością zniósł licytację swojego dziewictwa.

Nie wiem, z jakiego powodu płakałam, gdy jechaliśmy przez Miasto Elui. W większości roniłam łzy radości z bezpiecznego powrotu, i na tym poprzestaną, bo wszystkie inne uczucia były zbyt głębokie, żeby ująć je w słowa.

W zdziesiątkowanym przez chorobę i wojnę Mieście wystarczyło miejsca, żeby pomieścić nas wszystkich; szeregowych żołnierzy w koszarach, a albijskich wielmożów w pałacu. Ja nie miałam domu, ale Ysandra zatrzymała mnie w swojej służbie, przydzielając mi apartament w samym pałacu, gdyż potrzebowała moich zdolności lingwistycznych.

Potem nastąpiły radosne powitania.

Najważniejszym spośród nich było spotkanie z Cecylią Laveau-Perrin, która złożyła mi wizytę wraz z Thelesis de Mornay. Ucieszyłam się z odwiedzin nadwornej poetki, nie

przypuszczałam jednak, że moje serce podskoczy jak szalone na widok Cecylii, jej pięknej twarzy starzejącej się z takim wdziękiem i jasnoniebieskich oczu przepełnionych uczuciem. Rzuciłam się jej na szyję i wybuchłam niepohamowanym płaczem.

– No już, już – mruzczała, klepiąc mnie po plecach. – Cicho, cicho. – Kiedy odzyskałam panowanie nad sobą, ujęła moją twarz w dłonie. – Fedro, dziecko, nieliczni słudzy Naamy poznali, czym naprawdę jest stąpanie po jej śladach. Modliłam się codziennie o twój bezpieczny powrót.

Joscelin krążył za moimi plecami, niepewny, jak zareagować na ten niespodziewany wybuch emocji. Ale Cecylia nie straciła finezji wyniesionej z Domu Cereusa i szybko sprawiła, że poczuł się swobodnie. Chwyciła go za ręce i obdarzyła powitalnym pocałunkiem.

– Joscelin Verreuil, taki piękny mężczyzna – powiedziała, przyglądając się kasjelickim zarękawiom, które stanowiły dopełnienie stroju w granatowych barwach domu Courcel. – Zmrużyła oczy, stukając w zarękawia. – Nigdzie nie jest powiedziane, że Naamie brakuje poczucia humoru.

Joscelin zarumienił się po korzonki włosów i uklonił.

– Od królowej Dworu Kwiatów Rozkwitających Nocą przyjmę taki komplement.

Thelesis de Mornay popatrzyła na nas z uczuciem w ciemnych, płonących oczach.

– Prawda – powiedziała melodyjnym głosem. – Elua błogosławi nas tego dnia. Wiele utraciliśmy, lecz przecież też wiele zyskaliśmy.

Jej słowa trąciły strunę w mojej duszy, usprawiedliwiając rozpacz i radość. To prawda, ponieśliśmy wiele strat, tak wiele,

że ciążyły mi w sercu niczym kamień. A jednak wiele zyskaliśmy: zwycięstwo oraz wolność dla ziemi i duszy Terre d'Ange, miłość, swobodę i życie. To dobrze, że świętowaliśmy. Tak mówią zasady Błogosławionego Elui, który z uśmiechem przelał krew za tę ziemię, za ludzkość. Mimo wojny, śmierci i zdrady... pszczoła w lawendzie, miód wypełnia plaster. Byliśmy w domu.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT CZTERY

Rzucając wyzwanie śmierci, D'Angelinowie świętowali życie.

Myślę, że przede wszystkim z tego powodu zaślubiny Ysandry i Drustana stały się takim wielkim wydarzeniem. I gdyby komuś przyszło do głowy, że na czas przygotowań Ysandra zatrzymała mnie przy sobie z dobroci serca, to powiem krótko: uczciwie zarobiłam na swoje utrzymanie.

W panującym chaosie znalazłam czas na wypełnienie swoich obietnic. Thelesis de Mornay okazała się prawdziwym skarbem, ujmując w strofy czyny naszych gości oraz wielką bitwę, a następnie tłumacząc poemat na cruithne, bo obiecałam Drustanowi, że jego lud dowie się o tych wielkich dokonaniach. Nie mam pojęcia, z iloma ludźmi rozmawiała, żeby ułożyć swoją poetycką opowieść, ale musiało być ich wielu. Choć zdrowie już nie dopisywało jej tak jak przed gorączką, niezmordowanie poświęcała się zadaniu.

Powstała w końcu potężna epopeja. Thelesis przez całe życie miała pracować nad *Cyklem Ysandryjskim*, tak zatytułowanym, ponieważ opisywał burzliwe dzieje wstąpienia na tron Ysandry de la Courcel – na podstawie wspomnień wielu ludzi, w tym także moich. Ale przez wiele lat była ulubioną poetką Ganelona i dobrze wiedziała, jak układać okazjonalne wiersze, mieliśmy więc początek na wesele. Tak się złożyło, że zaczęła pracę w dniu, w którym czterej posłańcy podający się za Chłopców Fedry wpadli do Miasta jak burza, przynosząc list ode mnie i wieści o wielkich dziełach.

Oddział osobiście wybranych przez Drustana jeźdźców wyruszył do Azalii na spotkanie z flotą admirała Rouse. Mieli stamtąd popłynąć do Alby, zabierając opowieść zamkniętą w pamięci Cruithnów i Dalriadów, niosąc wieści o zwycięstwie i zawiązanym przymierzu oraz zwiastując powrót cruarchy. Kwintyliusz Rouse zapewnił im przeprawę, a sam zdał dowodzenie Jeanowi Merchandowi i ruszył do stolicy. Hałaśliwy i bezceremonialny jak zawsze, zamknął mnie w uścisku, od którego trzeszczały zębra.

Jeśli chodzi o kurierów, którzy zanieśli moją prośbę do Thelesis de Mornay, oraz pozostałych Chłopców Fedry, dotrzymałam słowa danego na starożytnej tyberyjskiej drodze. Spotkałam się z Jarethem Moranem, duejnym Domu Cereusa, Pierwszego spośród Trzynastu Domów Dworu Nocy. Medalion dany mi w noc urodzin księcia Baudoina dawno przepadł, zabrany razem z całym dobytkiem Delaunaya, ale Cecylia Laveau-Perrin przyszła mi w sukurs i razem ubiliśmy taki interes, że adepta z Domu Przystępu skreśliłoby z zazdrości.

Piętnaście medalionów, po jednym dla każdego ocalałego Chłopca Fedry, gwarantowało darmowy wstęp do wszystkich Trzynastu Domów w wigilię wesela Ysandry. Ale Jareth Moran nie był głupi. Moje nazwisko stało się znane, podobnie jak historia, dziwna szkarłatna nitka wpleciona w gobelin zwycięstwa D'Angelinów: *anguisette* Delaunaya, która przeżyła niewolę w Skaldii, która popłynęła do Alby. Urodziłam się w Dworze Nocy, wychowałam w Domu Cereusa. Duejn otworzył drzwi dla Chłopców Fedry i wykorzystał moje nazwisko, żeby przywrócić trochę blasku mitowi Dworu Nocy.

Nie miało znaczenia, że nic mnie z nim nie wiązało odkąd ukończyłam dziesięć lat i Delaunay zabrał mnie pod swoją

opiekę. Urodziłam się, żeby służyć w Dworze Nocy, co było prawdą. I dotrzymałam danego słowa, co było ważne dla mnie.

Jeśli chodzi o ostatnią obietnicę, to zabrałam akt własności domu i dobytku Hiacynta, znalazłam Emila w Progu Nocy, jak prosił, i powierzyłam jego pieczy dokument wypisany na wyszorowanym pergaminie w samotnej wieży Pana Cieśniny. Emil całował mnie po rękach i dziękował wylewnie, zalewając się łzami radości i smutku. Wzruszyłam się, widząc, jak bardzo lubili Hiacynta.

Książę Podróżnych.

Złożyłam ofiarę w intencji jego matki w świątyni Elui, dokąd pojechaliśmy razem po śmierci Baudoina. Ściskając w rękach wilgotne od rosy szkarłatne anemony, uklęknęłam przed posągiem, żeby ucałować chłodne marmurowe stopy.

– Dla Anastazji, córki Manoja – szepnęłam, czując zapach wilgotnej ziemi i roślin skrytych w głębokim cieniu potężnych dębów. Wysoko nade mną Elua uśmiechał się enigmatycznie w zapadającym zmierzchu.

Kłęczałam przez długi czas.

Tym razem podniosły mnie ręce Joscelina, ale kapłan Elui też tam był, ten sam, przysięgam, choć wszyscy kapłani i kapłanki w pewien sposób są podobni, stanowią bowiem ogniwa nieprzerwanego łańcucha służby. Uśmiechnął się do nas, stojąc boso w wilgotnym mchu, z dłońmi w rękawach szaty.

– Dziecko Kasjela, nie popędzaj – łagodnie zganił Joscelina. – Stałaś na rozstajach i wybrałaś, i jak Kasjel wiesz będziesz stawać na rozstajach i wybierać bez końca ścieżkę Towarzysza. Zawsze będziesz nosić w sobie ten wybór, rozstaje i drogę, i przykazanie Elui, które cię nakieruje.

Joscelin popatrzył na niego z zaskoczeniem, ale kapłan już

odwrócił się w moją stronę. Wyciągnął rękę i położył ją na moim policzku.

– Strzała Kusziela i sługa Naamy. – Uśmiechnął się, ocieniony przez liście. Uśmiech błogosławieństwa, przypomnienia? Kto mógł to wiedzieć? Byłam pewna, że to ten sam kapłan. – Kochaj jak wola twoja, a Elua pokieruje twoimi krokami.

Zostawił nas samych. Roześmiałam się.

– Wydaje się, że minęła moja kolej na straszne proroctwa.

– Możesz wziąć moje – powiedział cierpko Joscelin. – Wygląda na to, że jestem skazany na tysiąckrotne dokonywanie tego samego wyboru.

– Żałujesz? – Spojrzałam badawczo w jego oczy, ledwo widoczne w półmroku.

– Nie. – Pokręcił głową. – Nie – szepnął. Ujął w dłonie moją twarz i pocałował mnie, a jego rozpuszczone włosy koloru dojrzałej pszenicy osłoniły nasze głowy.

Było to słodkie, bardzo słodkie, i dobre, czułam to w naszym połączonym oddechu, w jednakowym rytmie naszych serc.

Kiedy uniósł głowę, cień uśmiechu wykrzywił mu usta.

– Ale kiedyś na pewno będę żałować.

– Na pewno – szepnęłam. – Byle nie teraz.

– Nie – powiedział z już szerokim uśmiechem. – Nie teraz.

Ponad naszymi głowami marmurowe ręce Elui rozpościerały się w błogosławieństwie.

Tak oto dotrzymałam obietnic złożonych w czasie tej długiej, strasznej podróży. Potem, możecie być pewni, Ysandra de la Courcel kazała mi nadrobić czas stracony na prywatne sprawy. Była mądrą, wyrozumiałą władczynią, ale przecież także d'angelińską arystokratką czekającą na dzień ślubu, folgowała więc wszystkim swoim zachciankom. Nigdy w życiu nie zaznała

luksusu dziewczęcości; jeśli teraz korzystała z okazji, to ja, wychowana wśród fatalaszków i świecidełek, nie mogłam jej winić.

Jedną z rzeczy, które wymagały mojej pomocy, było wystrojenie albijskiej władczyni w d'Angelińskie szaty. Ysandra zamówiła dla Grainny przepyszną suknię.

Królowa Terre d'Ange była wyraźnie zafascynowana dalriadzką królową-wojowniczką. Z Albijczykami przybyło sześćdziesiąt walczących kobiet, ale tylko Grainna dorównywała rangą Ysandrze.

Śmierć Eamonna nie osłabiła ani jej pozycji, ani woli. Grainna zachowała dawną pogodę ducha, może podszytą smutkiem, ale za to głębszą. Stała cierpliwie, obskakiwana przez królewskiego krawca, i zerkała na mnie z rozbawieniem.

Suknia, istny cud ze szkarłatnego jedwabiu i złotego brokatu, okazała się zbyt szczupła w talii, choć krawiec brał miarę niespełna przed tygodniem. Roześmiałam się, słysząc jego zdziwione mamrotanie.

– Który miesiąc? – zapytałam Grainnę po eirańsku.

– Trzeci. – Położyła rękę na brzuchu i uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Jeśli to chłopiec, dam mu na imię Eamonn.

– To dziecko Kwintyliusza Rouse?

– Możliwe – odparła z uśmiechem.

Ysandra niecierpliwie uniosła brwi. Mówiła trochę w cruithne, ale opanowanie eirańskiego dialektu wymagało czasu – albo przymusu chwili. Ja miałam jedno i drugie. Wyjaśniłam jej, co powiedziała Grainna.

– Walczyła, będąc brzemienną? – zdumiała się.

– Wtedy jeszcze nie miała pewności – odparłam dyplomatycznie. Straszne eirańskie podanie opowiada o pewnej

starożytnej królowej, która w odmiennym stanie wzięła udział w wyścigu; oszczędziłam tego Ysandrze i ucieszyłam się, że nie wspomniałam jej o głowie Eamonna, zakonserwowanej w wapnie.

– Czy Kwintyliusz Rouse ją poślubi? – zaciekała się Ysandra. Przetłumaczyłam pytanie Grainnie, która roześmiała się w odpowiedzi.

– Nie sądzę, by miało to dla niej znaczenie – powiedziałam.

– Świetnie. – Ysandra ruchem ręki ponagliła krawca. – Zrób poprawki. – Popatrzyła na mnie z namysłem. – A co z tobą, moja prawie kuzynko? Czy poślubisz swojego kasjelitę?

Nie odmawia się odpowiedzi na bezpośrednie pytanie królowej. Spojrzałam jej w oczy i zobaczyłam, że jest szczerze zainteresowana.

– Nie, pani – odparłam. – Niezależnie od anatemy, kasjelickie przysięgi wiążą na całe życie. Joscelin łamie je każdego dnia, gdy jest ze mną i to jego wybór. Ślub byłby jawną kpina. Tego nie może zrobić, a ja nie mogę o to prosić.

Myślę, że Ysandra zrozumiała. Jej kasjelici patrzyli prosto przed siebie; nie wiem, co sobie myśleli, ani też o to nie dbałam.

– Wrócisz do służby Naamie? – zapytała.

– Nie wiem. – Zakrzętnęłam się przy Grainnie, która zdejmowała suknię za składanym parawanem. Było to jedno z tych pytań, które leżały między Joscelinem i mną, i których oboje unikaliśmy. Zmierzyłam się z nim teraz, częściowo, napotyając spojrzenie Ysandry. – Byłaś dla mnie dobra, Wasza Wysokość, a przyjaciele zaproponowali mi gościnę. – To prawda; Gaspar Trevalion obiecał, że niczego mi nie zabraknie, Cecylia i Thelesis także. – Ale choć jestem bogata w przyjaciół, nie mam grosza przy duszy.

To także było prawdą, a w służbie Naamie mogłam dorobić się fortuny. Miałam też inne powody, trudniejsze do wyrażenia na głos. Biedę wszyscy potrafili zrozumieć.

– Och, właśnie! – Ysandra roześmiała się, kiwając ręką na pazia. – Wezwij ministra skarbu. Powiedz mu, że w sprawie posiadłości Anafiela Delaunaya.

Przyszedł w pośpiechu, chudy i szpakowaty, z plikiem dokumentów w ręce. Ysandra odprawiła krawca i poprosiła Grainnę o pozostawienie nas samych. Grainna wyszła, rzucając mi ostatnie rozbawione spojrzenie.

– Mów – powiedziała Ysandra do ministra, siadając na kanapie i sięgając po kieliszek wina. Ja przycupnęłam na krześle i patrzyłam na nich z niepokojem.

Minister chrząknął i zaczął przekładać papiery.

– Tak, Wasza Wysokość... względem posiadłości Anafiela Delaunaya, rezydencji w Mieście i wszystkich jego folwarków... wydaje się, że nabył je od sądu niejaki... – zerknął na pergamin–Sandriel Viscagne, który postanowił... hm, to nieważne, możemy wszcząć postępowanie rewindykacyjne na twój wniosek, lady Fedro, albo skarb w pełni zrekompensuje wartość...

– Dlaczego? – przerwałam ze zdumieniem.

Minister skarbu popatrzył na mnie znad papierów, zaskoczony.

– Aha, nie... Wasza Wysokość... hm, oczywiście, pani, szlachetnie urodzony Anafiel Delaunay jakiś czas temu przygotował dokumenty, wymieniając jako swoich dziedziców ciebie i niejakiego... – zerknął w papiery – Alcuina nó Delaunay, nieżyjącego. Po ogłoszeniu twojej niewinności przez Jej Królewską Mość zajęcie majątku jest bezprawne i zgodnie z prawem należy ci się odszkodowanie.

Otworzyłam i zamknęłam usta, w szoku wyobrażając sobie dom, jaki widziałam ostatnio – straszna rzeźnia., martwy Delaunay, umierający Alcuin...

– Nie chcę – powiedziałam z drżeniem. – Nie chcę domu. Niech pan Viscagne albo ktoś inny go zatrzyma. Co do reszty... – Trudno było to przyznać. – Jeśli jestem właścicielką, cóż, to doskonale.

– Tak, oczywiście – powiedział kanclerz z roztargnieniem, wertując papiery. – Pełne odszkodowanie.

Ysandra z uśmiechem napiła się wina.

– Jest, oczywiście, Montreve – dodał.

– Montreve? – powtórzyłam nieprzytomnie.

– Montreve, w Siovale, tak. – Skupił wzrok na odnalezionym dokumencie i postukał weń palcem. – Anafiel Delaunay de Montreve został wydziedziczony. Po śmierci ojca majątek przeszedł na matkę, a z niej na kuzyna Rufaille’a, który, niestety, poległ w obronie Troyes-le-Mont. – Kanclerz chrząknął. – Kodycyl w testamencie hrabiny de Montreve wyszczególnia, że jeśli spadkobierca umrze bezpotomnie, posiadłość ma wrócić do jej syna Anafiela Delaunaya lub jego dziedziców. Wygląda na to, że chodzi o ciebie, pani.

Choć jego słowa układały się w zdania, nie mogłam doszukać się w nich sensu. Równie dobrze mógłby mówić po akadyjsku, bo nic nie rozumiałam.

– Minister mówi, Fedro, że odziedziczyłaś tytuł i posiadłość hrabiny de Montreve – podsumowała zwięźle Ysandra.

Patrzyłam na nią, mrugając.

– Moja pani raczy żartować.

– Jej Królewska Mość nie żartuje – rzekł kanclerz z przyganą i potrząsnął plikiem dokumentów. – Wszystko jest udokumentowane w archiwach skarbu królewskiego.

– Dziękuję, panie Brenois – powiedziała Ysandra. – Czy przygotujesz dokumenty inwestytury?

– Oczywiście, Wasza Wysokość. – Ukłonił się nisko, przytulając papiery, i wyszedł.

– Wiedziałaś – powiedziałam do Ysandry. Mój głos dziwnie brzmiał mi w uszach.

Napiła się wina i pokręciła głową.

– Nie o Montreve. To wypłynęło dopiero po opublikowaniu list poległych, kiedy Brenois zdecydował, że Rufaille de Montreve nie zostawił spadkobiercy. Możesz odmówić, naturalnie. Ale życzeniem matki Delaunaya było, żeby posiadłość wróciła w ręce jej syna albo jego dziedziców. A on wybrał ciebie, ciebie i tego chłopca, Alcuina.

– Delaunay – szepnęłam. Nigdy mi nie powiedział. Zastanowiłam się, czy Alcuinowi było o tym wiadomo. – Nie. Przyjmę.

– To dobrze – rzekła Ysandra krótko.

Dla niej sprawa została zamknięta i zaczęła mnie wypytywać o drobiazgi dotyczące wyboru klejnotów oraz fryzury na ślub; nie mam pojęcia, co odpowiedziałam. Kręciło mi się w głowie, byłam oszołomiona. Ona była królową Terre d'Ange, Montreve nic dla niej nie znaczyło. Maleńka górską posiadłość w Siovale, mająca do zaoferowania tylko dwudziestu zbrojnych i przyzwoitą bibliotekę, interesowała ją tylko dlatego, że zrodziła Anafiela Delaunaya, którego kochał jej ojciec.

Tym była dla niej. Dla mnie, nazwanej przez sędziwą duejną Domu Cereusa niechcianym bękartem dziwki, była najzupełniej czymś innym.

Kiedy pozwoliła mi odejść, udałam się na poszukiwanie Joscelina.

– Stało się coś złego? – zapytał z trwogą, widząc moją zarumienioną twarz i rozpalony wzrok, jak w gorączce. – Dobrze się czujesz?

– Nie. – Z trudem przełknęłam ślinę. – Jestem hrabiną.

DZIEWIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Tak oto uczestniczyłam w uroczystościach zaślubin Ysandry de la Courcel i Drustana mab Necthana, królowej Terre d'Ange i cruarchy Alby, jako hrabina Fedra nó Delaunay de Montreve.

Z dumą zachowałam nazwisko Delaunaya. Dał mi wszystko, co miałam – i w znacznej mierze dzięki niemu stałam się tym, kim byłam – pod nazwiskiem, jakie wybrał, a nie pod jakim przyszedł na świat. Nigdy nie zapomnę, że to on dwoma słowami przemienił moją straszną skazę w bezcenny skarb.

Ysandra unieważniła stary edykt dziadka zakazujący publikowania poezji Delaunaya i po dwudziestu latach jego wiersze, pełne namiętności i uroku młodości, znowu można było jawnie deklamować.

Na uczcie weselnej Thelesis de Mornay zaprezentowała swoją epopeję ku chwale państwa młodych. Podczas samej ceremonii wyrecytowała jeden z poematów Delaunaya.

Przypuszczam, że obecnie zna go cały świat; przez wiele miesięcy cieszył się wielkim wzięciem wśród kochanków, którzy cytowali go sobie wzajemnie. Wtedy nikt go nie słyszał, a ja płakałam, gdy padły ostatnie słowa.

“Ty i ja, nasze ręce się spotkały, świat zrodził się na nowo”.

To pasowało do nich dwojga, prawdziwych władców dwóch światów połączonych w jeden. Uroczystość odbyła się w ogrodach pałacowych, w wielkich namiotach ustawionych na trawniku, a sama ceremonia ślubna w oplecionej kwiatami, pachnącej altance. Świątynia Elui jest wszędzie w Terre d'Ange,

gdzie ziemia spotyka się z niebem. Stara kapłanka odprawiła rytuał, srebrnowłosa, o twarzy pomarszczonej, lecz ślicznej.

Ysandra wyglądała pięknie w sukni z niebiesko-fioletowego jedwabiu, z jasnymi włosami uczesanymi w koronę przybraną złotym stroikiem, w który były wplecione niezapominajki. Dobrze jej poradziłam, o ile to byłam ja. Co do Drustana, był prawdziwym barbarzyńskim królem w d'Angelińskim splendorze: czerwony płaszcz cruarchy zwisał w aksamitnych fałdach z pokrytych niebieskimi wirami ramion, złoty naszyjnik lśnił na nagim brązowym torsie.

To też weszło w modę.

Powitali się jako król i królowa, ale kiedy przebrzmiały słowa przysięgi i pocałowali się, żeby je przypieczętować, byli mężczyzną i kobietą, mężem i żoną. Widziałam roziskrzona oczy Ysandy, kiedy się odsunęli, oraz biały uśmiech Drustana, i z całego serca krzyknęłam na wiwat. Wiedziałam, lepiej niż ktokolwiek inny, jakim kosztem doszło do tego związku.

Potem biesiadowaliśmy na trawniku przy stołach nakrytych białymi obrusami, zastawionych srebrnymi i złotymi nakryciami; siedziałam z Joscelinem przy stole młodej pary, choć daleko od jego centrum. Każde z nas dostało srebrny weselny kielich, inkrustowany złotem, pokryty scenami wyobrażającymi oblężenie Troyes-le-Mont i zwycięskie przymierze. Wciąż mam swój i zajmuje on poczesne miejsce wśród mych skarbów.

Czego tam nie było: pieczone prosięta i bażanty, ostrygi przywiezione w lodzie z wybrzeża Eisandy, baranina, sarnina i króliki, sery i jabłka moczzone w winiaku, gruszki i pikantny sos porzeczkowy, chrupka zielona sałata z posiekanymi płatkami fiołków, konfitury i galaretki. I to wszystko popijane rzeką białego, różowego i czerwonego wina w takt przygrywanej

muzyki.

Kiedy słońce opadło nisko, zapalono pochodnie, tysiąc świec w szklanych kulach w ogrodzie, latarnie przyciągające ćmy. Wtedy Thelesis de Mornay wyrecytowała swój nowy wiersz, który pewnego dnia miał rozrosnąć się w *Cykl Ysandryjski*. Dziwnie było słyszeć swoje imię w poemacie; choć strofy skupiały się na osobach Ysandry i Drustana, była w nie wpleciona moja historia. Niezłe wstawiona, wsparłam głowę na ręce i słuchałam.

Potem nastąpiły toasty, których nie zliczę. Próbowałam wstać, kiedy Grainna, olśniewająca w szkarłatno-złotej sukni, wygłosiła swój toast po eirańsku. Było w nim coś o Fhalair Ba'n i honorze Dalriadów, i życzenia szczęścia; już nie pamiętam. Musiałam przełożyć go dość dobrze, bo wszyscy wiwatowali. Kiedy skończyłam, Grainna podziękowała mi i nazwała mnie siostrą, zamykając w niezupełnie siostrzanym uścisku.

O tym też nie powiedziałam Ysandrze; wspomniałam tylko, że władcy Dalriady dali się przekonać. Później dowiedziałam się, że Kwintyliusz Rousse opowiedział, w jaki sposób nakłoniłam Bliźnięta do zgody, a Ysandra śmiała się do łez.

To była jej wina, ona mianowała mnie swoim ambasadorem. Wciąż żałowałam, że Grainna na zawsze straciła przeciwwagę w osobie Eamonna.

Drustan wzniósł toast. Ku mojej wielkiej dumie najpierw wygłosił go w cruithne, a potem w niemal bezbłędnym d'Angelińskim. Jego ciemne oczy błyszczały od wypitego wina, a misterne niebieskie spirale na skórze żyły własnym życiem w migotliwym blasku świec.

– Radość dzisiejszego dnia drogo nas kosztowała – oznajmił z powagą. – Ceńmy ją tym bardziej i spełnijmy następujący toast: niechaj tak, jak Ysandra i ja połączyliśmy nasze życie, nasze

narody żyją wspólnie w sile i harmonii. Obyśmy nigdy nie byli mniej godni niż dzisiaj jesteśmy!

Było to dobrze powiedziane i goście nagrodzili go dzikimi okrzykami, a Drustan uklonił się i usiadł.

Potem wstała Ysandra. Była młoda, Ysandra de la Courcel, ale miała w sobie stal wytopioną między gorzkim trójkątem Rolanda, Izabeli i Delaunaya, wykutą na kowadle rządów dziadka, poddaną próbie w strasznym oblężeniu Troyes-le-Mont.

Zahartowaną przez miłość.

– D’Angelinowie i Albijczycy – zagaiła. – Podziękujemy za ten dzień Błogosławionemu Elui i uczcijmy jego słowa! Po co tutaj jesteśmy, jeśli nie po to? Naród, dom i palenisko, ziemia, morze i niebo, przyjaciele i krewni, przyjaciele i kochankowie, kochanki i małżonki... – odpowiedziała jej fala śmiechu – oraz mężowie i żony, wszyscy spełniamy święte przykazanie Elui. Dołączcie do mnie w ten wielki dzień i we wszystkie inne, i kochajcie jak wola wasza!

Myślę, że żaden inny władca nigdy nie wygłosił podobnego toastu, ale przecież żyliśmy w Terre d’Ange, a Ysandra była naszą królową.

Piliśmy i piliśmy bez umiaru, słudzy napełniali nasze weselne kielichy *joie*, tym klarownym, jasnym kordialem, który sprawiał, że pochodnie płonęły jaśniej.

Później muzycy zagrali z zapalem i tańczyliśmy na zielonym trawniku, podczas gdy delikatne miękkie światło świec bladło niepostrzeżenie, gwiazdy zapalały się na czarnym niebie, a zapach kwiatów uderzał do głowy w tę letnią noc. Najpierw zatańczyłam z Joscelinem, potem Gaspar Trevalion uklonił się i wyciągnął do mnie rękę, aż wreszcie straciłam rachubę, dopóki Drustan mab Necthana nie upomniał się o taniec.

Rozległy się szepty; niektórzy goście wiedzieli, kim jestem, inni zaś nie mieli pojęcia, ale teraz moje nazwisko było znane i zdradziła mnie Strzała Kusziela. Na dworze zawsze płynie denny prąd polityki, skryty pod powierzchnią jasnego nurtu.

Drustan zignorował szepty, i ja też; tańczył dobrze jak na Albijczyka, mimo chromej nogi. Wspomniałam, kiedy pierwszy raz usłyszałam jego imię, że Ysandra de la Courcel będzie uczyć gawota kulawego barbarzyńskiego księcia. Nauczyła go, a ja tańczyłam z nim teraz, i uśmiechaliśmy się do siebie. Cullach Gorrym, najstarsze dzieci Ziemi. To nic nie znaczyło dla D'Angelinów, ale nie było ich tam, gdy czarny dzik wypadł z gaju pod Bryn Gorrydum. Ja byłam.

Zawsze się rozumieliśmy, Drustan i ja.

Byli tam również moi klienci. Przez ten ostatni rok spotykałam się z osobami należącymi do najwyższych sfer w królestwie. Nie zdradziłam żadnej z nich. To nie było miejsce na przypominanie takich rzeczy. Niektórzy, jak Quincel de Morhban, wcale by się tym nie przejęli, inni zaś polegali na dyskrecji sługi Naamy. To nie miało znaczenia. Wiedziałam, i oni wiedzieli, czyje dary zostały wyryte na zawsze na mojej skórze, ogniwko po ogniwku, tworząc łańcuch marki, która dała mi wolność.

Nad ranem Ysandra i Drustan odeszli, a my tłumnie odprowadziliśmy ich do komnaty sypialnej, wykrzykując życzenia – niektóre dość sprośne – i zasypując ich chmurą płatków, aż ze śmiechem zamknęli drzwi, spod których odpędzili nas ponurzy kasjelici, szczególnie kwaśno patrząc na Joscelina.

Nie był to jeszcze koniec zabawy; królowa kazała bawić się do białego rana. Zostałam, gorąco pragnąc ujrzeć radosny świt i usunąć wspomnienia tak wielu innych, ponurych.

Joscelin także to rozumiał. Razem zatańczyliśmy pierwszy

taniec i razem zatańczyliśmy ostatni. Później miałam się śmiać, gdy doszły mnie słuchy o propozycjach, jakie w międzyczasie rzucali d'Angelińscy panowie i panie, pragnący poddać próbie cnotę kasjelickiego odstępcy. Podczas tańca spoczęłam bezpiecznie w jego ramionach, ciesząc się, że jestem tam, gdzie żadne z nas nie spodziewało się znaleźć.

I patrzyliśmy razem na wschód słońca nad Terre d'Ange.

Następne dni były wypełnione obowiązkami, bo pozostało wiele do zrobienia, ale moja rola w większej części dobiegła końca. Kiedy minister skarbu przedstawił mi wysokość dochodu ze sprzedaży posiadłości Delaunaya, poprosiłam go o podanie nazwiska godnego zaufania powiernika i poczyniłam kroki mające na celu zainwestowanie niespodziewanie uzyskanego majątku.

Wyposażony w część tych funduszy Joscelin zajął się przygotowaniem do naszej podróży do Montreve. Nie mieliśmy jechać sami, bo trzech Chłopców Fedry błagało o zwolnienie ze służby u admirała i wstąpienie do mojej.

Kwintyliusz Rouse wyraził zgodę, a Ysandra postanowiła powiększyć kontyngent zbrojnych w Montreve, i tak oto weszłam w posiadanie trzech kawalerów, Remy'ego, Ti-Filipa i Fortuna. Nie byłam w stanie pojąć, dlaczego trwali w swojej ekstrawaganckiej lojalności – choć Joscelin ze śmiechem twierdził, że on to rozumie – ale cieszyłam się z ich obecności, bo obawiałam się przyjęcia w Montreve.

Tamtejszy lud był lojalny w stosunku do ojca Delaunaya, starej hrabiny de Montreve i, o ile było mi wiadomo, jego kuzyna; samego Delaunaya nie znali od czasów jego młodości, a mnie nie znali wcale. Urodzona i wychowana w Dworze Nocy, nie byłam ich krewną. Nawet nie pochodziłam z Siovale.

W dzień przed wyjazdem spotkała mnie ostatnia niespodzianka. Królewski paź przyszedł z wiadomością, że przy bramie pałacu czekają na mnie jacyś nieznajomi.

Joscelin poszedł ze mną, gdy spieszyłam przez pałac, pełna obaw, kto na mnie czeka. Twarz miał zaciętą i ponurą, rękę trzymał przy sztyletach; miał zezwolenie na noszenie kasjelickiego oręza nawet w obecności królowej. Była to uprzejmość ze strony Ysandry, która wiedziała, że bez broni czuł się jak nagi – i przebiegłość, miał bowiem strzec jej życia jak własnego czy mojego.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale czekała na nas para młodych ludzi w prostych, porządnym wiejskich strojach.

– Lady de Montreve – powiedział mężczyzna z ukłonem; jego żona dygnęła. Twarz mężczyzny, gdy się wyprostował, wyglądała znajomo, ale byłam zbyt zaniepokojona, żeby umiejscowić ją w pamięci. – Jestem Purnell Friote z Perrinwolde. To moja żona, Richelina. – Kobieta złożyła następny ukłon. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, jego oczy błyszczały przyjaźnie pod strzechą brązowych włosów. – Mój bratanek uczył cię jeździć konno, pamiętasz? Lady Cecylia powiedziała, że być może będziesz potrzebowała rządcy.

Pamiętałam i z radości ucałowałam oboje, ku ich zaskoczeniu. Dopiero wtedy zjawiała się Cecylia, zadowolona z powodzenia swojego przedsięwzięcia.

– Gavin przysięga, że Purnell w niczym mu nie ustępuje i jest dwa razy szybszy – powiedziała, gdy z wdzięcznością uścisnęłam jej rękę. – Moje Perrinwolde staje się za małe, żeby pomieścić rozrastający się klan Friote, a ty będziesz potrzebować zaufanych ludzi. Niech pracują razem z tymi z Montreve, to ci sporo ułatwi, bo nie znajdziesz życzliwszych serc w całej Terre d'Ange.

Lepszej rady nigdy nie dostałam i jeśli Montreve mnie zaakceptowało, było to niemałą zasługą Purnella i Richeliny Friote. Oboje z ochotą przyjęli zasady, według jakich żyła posiadłość. Oboje, otwarci i przyjacielscy, podbili serca Siovaleńczyków z taką łatwością, jak kiedyś Perrinwolde moje.

Było nas więc siedmioro, gdy po niezliczonych pożegnaniach znowu wyruszyliśmy w drogę, tym razem do Montreve.

– Kiedy się urządzimy – powiedziałam do Joscelina, gdy Miasto Elui małało za naszymi plecami – chciałabym coś zrobić. – Popatrzył na mnie pytająco. – Chcę pojechać do L’Arene, odnaleźć Taaviego i Danele.

Joscelin uśmiechnął się do wspomnień.

– Ja też bym chciał, szczerze mówiąc. Myślisz, że teraz, gdy jesteś hrabiną, przyjmą twój dar dziękczynny? – zapytał z rozbawieniem.

– Możliwe. I może znają kogoś, kto nauczy mnie jezuickiego. – Zobaczyłam, że uniósł brązowe brwi. – Jeśli Delaunay znał ten język, mnie go nie nauczył. A Pan Cieśniny został spłodzony i przeklęty przez Rahabę, który służy Bogu Jedynemu Jezuitów. Jeśli cokolwiek może przełamać klątwę, to kryje się w jezuickiej wiedzy.

– Hiacynt – powiedział cicho.

Pokiwałam głową.

– W takim razie pojedziemy do L’Arene. – Roześmiał się. – I, Eluo dopomóż, zmierzymy się z bogami.

Kochałam go za to. Jechaliśmy do Montreve.

DZIEWIĘDZIESIĄT SZEŚĆ

Jedną rzeczą jest odwiedzić wiejską posiadłość, inną zaś ją odziedziczyć. Nawet z pomocnikami, których dała mi Cecylia, zagospodarowanie się w Montreve nie było łatwe, a zaskarbienie sobie zaufania i życzliwości mieszkańców – zaniepokojonych przejściem siovaleńskiej własności w ręce wychowanej w Mieście sługi Naamy – zajęło większą część roku.

Samo Montreve okazało się przepiękne, zielony klejnot w oprawie niewysokich gór. Dla Joscelina, urodzonego w Siovale, było to niemal jak powrót do domu. Razem przejechaliśmy majątek wzdłuż i wszerz, i zakochaliśmy się w jego prostym uroku, w skalistych wzgórzach i zielonych dolinach. To kraina owiec; okazało się, że mam ich całe stada.

Sam dwór cechowała staroświecka elegancja z akcentami eisandyjskiego luksusu, wprowadzonymi zapewne przez matkę Delaunaya. Otaczały go nieduże, śliczne ogrody, przez trzy kwartały w roku pełne kolorowych kwiatów, zarośnięte z powodu braku opieki. Richelina Friote zajęła się nimi z nadzwyczajną troską.

Była tam biblioteka, gdzie Delaunay studiował w dzieciństwie, pogrążony w siovaleńskiej miłości do nauki. Pewnego dnia znalazłam jego imię, wydrapane nożem na drewnianym pulpicie sekretarzyka i musiałam walczyć ze łzami.

Miłość Joscelina do ziemi, moja miłość do Delaunaya w połączeniu z dobroduszością Friote'ów i śmiałym, radosnym usposobieniem moich trzech kawalerów, podbiły lud Montreve.

Kiedy się zdomowiliśmy, zaczęłam pisać listy i Chłopcy Fedry wcielili się w posłańców przemierzających królestwo z korespondencją. Napisałam do Ysandry z wyrazami wdzięczności, do Cecylii Laveau-Perrin i Thelesis de Mornay z małymi opowieściami o naszych poczynaniach, do Kwintyliusza Rouse i Gaspara Trevaliona z podziękowaniami; zawsze dołączałam prośby o wieści. Napisałam nawet do maestro Gonzago Escabaresa, śląc list na adres Uniwersytetu Tyberyjskiego, i Remy wyruszył na wielomiesięczną przygodę.

Kupowałam książki, a Ti-Filip znalazł w L'Arene Taaviego i Danele, właścicieli dobrze prosperującego zakładu krawieckiego w dzielnicy jeszuickiej.

Tej wiosny pojechałam z Joscelinem w odwiedzinach do nich i powitaliśmy się serdecznie. Trudno uwierzyć, że niespełna przed rokiem spotkaliśmy się na drodze, gdzie ocalili nam życie. Dziewczęta podrosły, a nasz skaldyjski kuc znacznie się zaokrąglił. Wciąż wzbranieli się przed przyjęciem nagrody, dlatego odwdzięczyłam się im najlepiej jak mogłam, składając duże zamówienie na liberię. Herbem Montreve była tarcza z szachownicą z półksiężycem na drugim polu i górskim szczytem na trzecim. Taki sztandar zawsze powiewał nad dworem, ale Chłopcom Fedry dodałam własne insygnia, liść Delaunaya i Strzałę Kusziela.

Wróciliśmy z L'Arene bogatsi o odnowioną przyjaźń i z jednym dodatkiem. Seth ben Javin, młody jeszuicki nauczyciel, jąkał się i czerwienił w mojej obecności, ale w sprawach nauki wykazywał się nadzwyczajną konsekwencją.

Przez całą wiosnę i sporą część lata studiowałam pod jego kierunkiem, a dni płynęły jak woda. Joscelin dołączał do nas czasami, choć niezbyt często; pokusa gór była silniejsza, a poza

tym oznajmił, że wolałby uczyć się ode mnie. W miarę robienia przeze mnie postępów Seth zaczął zapominać, że jestem *anguisette* i sługą Naamy. Stał się swobodniejszy, z zadowoleniem dyskutując i rozprawiając.

Dobrze było mieć wyzwanie dla umysłu i zajęcie, które odpierało niepokój. Nie mówiliśmy o tym, co się stanie, gdy zaczniesz mnie uwierać Strzała Kusziela. Byłam *anguisette*, miało to nastąpić prędzej czy później. Ale na razie miałam dość bólu.

Kiedy lato zaczęło ustępować wczesnej jesieni, Seth poprosił o zgodę na wyjazd, żeby podjąć obowiązki rodzinne. Wyjechał z Fortunem do towarzystwa, pękatem trzosem oraz listą książek i kodeksów, które obiecał dla mnie znaleźć. Jeszcze nie władałam biegle jezuickim, ale umiałam dość, by rozpocząć poszukiwania.

Liście zaczynały się złocić, kiedy przybył Gonzago de Escabares.

Zjawił się bez uprzedzenia, z jednym uczniem, dwoma końmi i potężnie objuczonym mułem; trochę bardziej siwy i zaokrąglony, ale wciąż ten sam. Rzuciłam się na niego z okrzykiem radości, a on wybuchnął śmiechem.

– Ach, maleńka! Przyprawiasz starego o drgawki! Chodź, umieram z głodu. Czy mój Antinous nie nauczył cię zasad gościnności?

Jestem przekonana, że usta nie zamknęły mu się ani na chwilę, gdy prowadziłam go do dworu. Joscelin, nieco zdumiony, kazał zaprowadzić konie do stajni i zdjąć juki z muła.

Seth hen Javin był płatnym guwernerem; maestro Gonzago de Escabares był moim pierwszym prawdziwym gościem. Nadzwyczajnie zdenerwowana, niemal doprowadziłam służbę do szaleństwa sprzecznymi poleceniami. W końcu Richelina spokojnie i stanowczo poleciła mi zająć się gościem,

przygotowania zostawiając na jej głowie.

Przy winie, które maestro wchłaniał jak gąbka, oraz serach i słodyczach, z którymi rozprawiał się z równym zapalem, dowiedziałam się, że podróżował po północnych miastach-państwach Caerdicca Unitas, badając wypiętrzenia na skaldyjskiej granicy. Stary kolega z Tyberium otrzymał mój list i postanowił złożyć mu wizytę, zabierając ze sobą ucznia, który pragnął zaznajomić się z jego metodą poznawania świata.

De Escabares miał zamiar wrócić do swojego domu w Aragonii i zacząć spisywać wspomnienia, ale po otrzymaniu mojego listu zajechał do Montreve, które leżało niemal po drodze.

– Wysłałbym wiadomość, moja droga, ale i tak bym ją wyprzedził – powiedział z błyskiem w oku. – Pędziliśmy jak huragan, prawda, Camilio?

Uczeń kaszlnął i ukrył uśmiech, mrużąc coś o leniwym zefirku.

Roześmiałam się i poklepałam rękę Gonzago.

– Cieszę się, że tu jesteś, maestro.

Gdy już wypoczęli po obiedzie, zasiedliśmy do kolacji, która zadowoliła nawet smakosza miary de Escabaresa. Ja jadłam niewiele, przepełniona dumą, że mogę w taki sposób podejmować gości. Dobrze wiedziałam, że cała zasługa przypada domownikom Montreve, ale zrobili to w moim imieniu, za co byłam im wdzięczna.

Przy kolacji opowiedziałam o naszych podróżach, zaczynając od śmierci Alcuina i Delaunaya. Gonzago znał wiele szczegółów, chciał jednak usłyszeć o wszystkim z pierwszej ręki. Łzy lśniły w jego oczach, bo naprawdę bardzo lubił Delaunaya. Z niezmierną fascynacją historyka słuchał, gdy na zmianę z Joscelinem składaliśmy relację, a później opowiedział nam o

swoich wozach i zdobytej wiedzy. Miasta-państwa Caerdicci wyłaziły ze skóry, żeby nawiązać stosunki handlowe z narodem Alby, zazdrosne o względy, jakimi cieszyła się Terre d'Ange ze swoim sojusznikiem, Aragonią.

Po posiłku, gdy popijaliśmy winiak, uczniowi zaczęła kiwać się głowa i Gonzago odesłał go do łóżka.

– Dobry chłopak – powiedział z roztargnieniem. – Pewnego dnia zostanie świetnym uczonym, jeśli nie prześpi życia. – Podniósł się ociężale. – Mam dla ciebie kilka prezentów, o ile ich nie poprzekładał – dodał. – Przywiozłem piękne wydanie wierszy Delaunaya, przełożonych na caerdicci. Wielka szkoda, gdybym wiedział, znalazłbym dla ciebie jakieś teksty jezuickie... I mam jeszcze coś dziwnego.

– Ja przyniosę sakwy, maestro – zaproponował Joscelin i poszedł do pokoju gościa.

Gonzago opadł na kanapę z westchnieniem zadowolenia.

– Długa podróż na końskim grzbiecie, jak na starego – zauważył.

– Jeszcze raz ci dziękuję, że przyjechałeś. – Uśmiechnęłam się do niego. – Co miałeś na myśli, mówiąc o czymś dziwnym?

– Ha. – Podniósł pusty kielich i zajrzał do środka; napełniłam go szybko. – Jak wiesz, jakiś czas spędziłem w La Serenissimie, gdzie szukał mnie mój przyjaciel Lukrecjusz. Mam tam znajomego astrologa, który kreśli mapy nieba dla rodziny doży. Lukrecjusz wypytał go, przedstawiając swoją sprawę. Nawet musiał pokazać list z twoją pieczęcią. W La Serenissimie wszyscy są podejrzliwi. – Zakręcił winiak w kieliszku i wypił. – W każdym razie, mój gapiący się w gwiazdy znajomek powiedział, że pojechałem do Varro i podał mu nazwę szacownej gospody. Aha, jest! – Chwycił sakwy przyniesione przez Joscelina. – Proszę –

powiedział z czcią, podając mi okręconą sznurkiem paczuszkę.

Rozpakowałam ją ostrożnie i zobaczyłam tomik poezji w caerdicci. Był piękny, oprawiony w skórę z wytłoczonym profilem Antinouse, kochanka tyberyjskiego cesarza Hadriana.

Joscelin zaśmiał się.

– Sztuczka bajdura, niezrównana!

– Naprawdę, maestro, jest prześliczny, dziękuję – powiedziałam, całując go w policzek. – A teraz, czy będziesz trzymać mnie w niepewności przez całą noc?

Gonzago de Escabares uśmiechnął się niewesoło.

– Może pożałujesz, dziecko, że tego nie zrobiłem. Po wysłuchaniu twojej opowieści ja wysnułem wnioski, a ty po wysłuchaniu mojej wyciągnij swoje. Mój przyjaciel Lukrecjusz wraz z uczniem spędził noc w gospodzie, a rano stwierdził, że ma gościa. Jest elokwentnym człowiekiem, oratorem w dawnym stylu, i nigdy nie widziałem, żeby zabrakło mu słów. Ale kiedy poprosiłem go o opisanie gościa, powiedział mi tylko, że nigdy nie spotkał piękniejszej kobiety.

Noc była jeszcze ciepła, ale poczułam chłód wzdłuż kręgosłupa.

– Melisanda – szepnęłam.

– Zapytaj Camila. Ja to zrobiłem. Powiedział, że miała włosy koloru nocy, oczy niebieskie jak ostróżki, a jej głos sprawił, że zmiękły mu kolana. A musisz wiedzieć, że w tym chłopaku nie ma ani krzty romantyzmu. – Sięgnął do sakwy, wyjął okazały tobołek w jedwabnym woreczku. – Powiedziała, że skoro niesie list od hrabiny de Montreve dla mnie, to niech to też weźmie, dla hrabiny de Montreve.

Podał mi tobołek. Wzięłam go w drżące ręce, czując miękką ciężar.

– Nie otwieraj! – Białe linie furii pojawiły się na twarzy Joscelina. – Fedro, posłuchaj, ona nie ma nad tobą władzy, a ty nie jesteś jej nic winna. Nie musisz wiedzieć. Wyrzuć to bez otwierania.

– Nie mogę – szepnęłam bezradnie.

Nie kłamałam. Nie mogłam. Nie mogłam też otworzyć.

Z ostrym sykiem Joscelin wyrwał mi worek z rąk, rozluźnił jedwabne sznurki i wyciągnął zawartość.

Mój płaszcz *sangoire* rozłożył się z szelestem aksamitnej kotary, bogaty i wspaniały, czerwień taka głęboka, że niemal czarna.

Wszyscy patrzyliśmy w milczeniu. Oczy Gonzago de Escabaresa zrobiły się okrągłe z konsternacji; nie sędzę, by wiedział, co to takiego. Ja wiedziałam. Joscelin wiedział. Nosiłam płaszcz tamtego ostatniego dnia, dnia śmierci Delaunaya. W dzień zdrady Melisandy.

– Do siedmiu piekieł, co to ma znaczyć? – zapytał Joscelin, rzucając płaszcz na kanapę obok mnie. Zaśmiał się nerwowo i przeciągnął rękami po włosach. – Twój płaszcz? Masz jakieś pojęcie? – Popatrzył na mnie, potem na stos aksamitu. – Fedro?

Nie wiedziałam.

Ktoś pomógł Melisandzie, pomógł jej uciec z Troyes-le-Mont. Nigdy się nie dowiedziano kto. Podejrzanie Ysandry padło w końcu na Quincela de Morhban i dwoje krewnych Melisandy, Marmiona i Persję Szachrizaj. Jeśli zostali oczyszczeni z zarzutów, to tylko z braku dowodów; swoją drogą wszyscy oni byli zbyt szczywni, żeby stosować taką łatwą do przejrzania sztuczkę. Był także inny powód. Spędziłam tę noc na blankach i nie usłyszałam żadnych niezwykłych hałasów. Strażnik przy bocznej bramie został zabity ciosem noża w serce. Widział

zabójcę, był to ktoś, komu ufał. A strażnicy w Troyes-le-Mont nie ufali nikomu, kto nie walczył u ich boku. Z pewnością wartownik miałby się na baczności przed kuszelickim wielmożą, podchodzącym do niego w ciemną noc.

Ktoś, komu ufał. Ktoś, komu wszyscy ufaliśmy.

A teraz Melisanda przebywała w La Serenissimie, dość blisko rodziny doży, by dowiedzieć się, że nadworny astrolog miał gościa. Najstarsza córka księcia Benedykta, Maria Celestyna, była żoną syna doży... niemal kazirodcza gromada śmiertelnie groźnych członków rodu Stregazza, którzy otruli Izabelę L'Envers de la Courcel.

Najbliżsi krewni Ysandry.

Och, wiedziałam. Moje ręce mimowolnie zacisnęły się na fałdach płaszcza *sangoire*. Czułam słaby zapach Melisandy. Dlaczego go zachowała? Nie mogłam odpowiedzieć, mój umysł wzdragał się przed roztrząsaniem tego pytania. Ale wiedziałam, jaki miała cel.

Wyzwanie, pierwszy ruch.

Dotknęłam szyi, gdzie już nie było jej diamentu.

Gdzieś w gnieździe La Serenissimy wykluwał się spisek. Była to długa droga, bardzo długa, od tronu Ysandry w Mieście Elui. Ale intryga ma długie ręce, kiedy stawką są trony. Ktoś w najbliższym otoczeniu Ysandry skrywał truciznę w sercu.

A ja mogłam go znaleźć.

To oznaczał płaszcz, oczywiście. Melisanda doskonale wiedziała, w jaki sposób służyłam Delaunayowi, co robiliśmy dla niego oboje z Alcuinem. Tyle jej powiedział. Jak ona, był mistrzem, i nie mógł się obyć bez widowni... bez jednego jedyne go świadka, który mógł docenić artyzm, rozmiar i złożoność jego przedsięwzięcia. Kurwimistrzem Szpiegów

nazywali go krytycy, kiedy przeminęły cudowne dni zaślubin Ysandry i d'Angelińskiego zwycięstwa.

Świadek i przeciwnik – Melisanda – wybrała mnie jako równą sobie.

Byłam *anguisette* i czasami sługą Naamy, tyle wiedział świat. O tym, że zostałam wyszkolona do obserwowania, zapamiętywania i analizowania, wiedziało niewielu. Nawet ci, którzy wiedzieli, przywiązywali do tego niewielką wagę. Znalazłam się w złym miejscu we właściwym czasie, nic więcej. Niemal sama w to wierzyłam i czasami myślę, że tak było naprawdę.

Inni uwierzyli w to bez trudu.

Komu zaufałyby strażnik?

Mogłam policzyć ich na palcach. Gaspar Trevalion, Percy de Somerville, Barquiel L'Envers, kilku innych. Nie więcej.

Mogłabym się dowiedzieć, jak wcześniej dowiedziałam się tego, że Childric d'Essoms służył L'Enversowi, że Solaina Belfours była marionetką w rękach Lyonetty de Trevalion. Ludzie otwierają serca przed *anguisette*, z nikim nie czują się tak swobodnie, nawet w Dworze Nocy. Poglądziłam aksamit płaszcza. Delaunay aż w Firezii szukał farbiarzy, którzy mogliby odtworzyć barwę *sangoire*. Zatraciliśmy tę sztukę w Terre d'Ange, bo nieczęsto bywała potrzebna. “Piękny kolor”, powiedziała kiedyś Melisanda. “Pasuje do ciebie”.

Łatwo, bardzo łatwo byłoby zacząć na nowo; urodziłam się do tego, myślałam, trzepotaniem powiek przepędzając czerwoną mgielkę, która zaćmiewała mi oczy. Joscelin każdy dzień rozpoczynał od kasjelickich ćwiczeń wszczepianych mu od ukończenia dziesiątego roku życia; ten zabójczy, prywatny taniec wykonywał teraz w ogrodach Montreve, obserwowany z zazdrością i podziwem przez domowników.

A ja wyładowywałam narastające we mnie pragnienia w nauce i badaniach, z których nie chciałam zrezygnować. W zasadzie nie musiałam. Książki mogłam z łatwością przesłać do Miasta; wszystko inne miałam w głowie. W Mieście mieszkało wielu Jesuitów, mogłabym więc kontynuować lekcje zapoczątkowane pod kierunkiem Setha ben Javina. Miałabym także swobodny dostęp do biblioteki królewskiej oraz do księgarń. A pieniędzy za rezydencję Delaunaya wystarczyłoby na kupno domu w Mieście, przyzwoitego domu.

Montreve.

Montreve beze mnie nie zginie; oszukiwałam sama siebie, jeśli myślałam, że potrzebuje mojej ręki. Służba dbała o majątek, mogłam też liczyć na lojalność Purnella i Richeliny, wijących sobie gniazdo, w jakim ich rodzice mieszkali w Perrinwolde pod nieobecność kawalera Perrina i jego pani, Cecylii.

Zawsze będę mogła wrócić. I wrócę. Kochałam Montreve.

Niemal tak bardzo, jak uwielbiałam być *anguisette* Delaunaya, jasną gwiazdą w koronie Naamy.

Joscelin.

Ach, Joscelin, pomyślałam i łzy zakręciły mi się w oczach. Mój piękny chłopiec, choć już nie cnotliwy; naprawdę nosiłam pechowe imię. Ile razy wystawiałam go na próbę, ile razy obiecywałam, że po raz ostatni?

Stary kapłan – ten sam, jestem tego pewna – powiedział: “Stanąłeś na rozstajach i wybrałeś, i jak Kasjel wiecznie stawać będziesz na rozstajach i wybierać bez końca ścieżkę Towarzysza”. Moja wina, moja sprawka. Wsunęłam ręce w miękkie, aksamitne fałdy płaszcza *sangoire*. Nosiłam go tyle razy, w czasie tylu spotkań, zawsze ślepa na cele Delaunaya, niemniej jednak posłuszna.

Teraz będzie inaczej, i trudniej. Miałam własny cel, zamknięty w skarbcu serca: przeciwdziałać śmiertelnie groźnej grze Melisandy.

Znacznie trudniej.

Moje serce przyspieszyło na tę myśl i fala pożądania wzburzyła mi krew, niespokojna i nieustająca. Jak daleko będę musiała się posunąć, zanim czyjeś usta beztriosko wypapląją sekret, ujawniając zdrajcę Troyes-le-Mont? Były też damy dworu Ysandry, te trzy, które miały odwagę ruszyć z nią w paszczę wojny. Znałam ich nazwiska i twarze, zamknięte w pamięci. Kto wie, czy jedna z nich nie była ostatnią linią obrony Melisandy?

Zawsze nagradzała szczerze tych, którzy jej służyli. Dotknęłam szyi, wciąż nagiej. Nieważne; jej hojność była wryta w mojej skórze, w zwieńczeniu na karku, które zakończyło moją markę, wykłute na zawsze wybornie bolesnymi igłami mistrza Tielharda. Suknia z przejrzystej gazy, usiana diamencikami... “Wbijały się głęboko w moje ciało, gdy klęczałam przed Melisandą.

Kupiły mi wolność.

Melisanda.

Mogły jeszcze ją pozbawić wolności.

Straciłam swojego mentora, ale nie pozostałam bez środków. Cieszyłam się przyjaźnią koronowanych głów dwóch narodów, władczyni Dalriady, królewskiego admirała. Mogłam liczyć na pomoc życzliwego uczonego z Uniwersytetu Tyberyjskiego, na przychyłność środowiska Jezuitów i wdzięczność jednej z cygańskich kompanii. Miałam przyjaciół wysoko i nisko urodzonych oraz wieczną miłość następcy Pana Cieśniny, mojego najdroższego przyjaciela.

I Towarzysza Doskonałego.

– Fedro? – Joscelin powtórzył moje imię, a pytanie w jego głosie odbijało skonsternowane spojrzenie Gonzago de Escabaresa. Tyle myśli w mgnieniu oka przemknęło mi przez głowę. Odetchnęłam głęboko i popatrzyłam w znajomą, zatroskaną twarz Joscelina, wbrew wszystkiemu umiłowaną.

Koniec ze złowieszczymi prorocत्वami. Roześmiałam się, nie myśląc już o tym, kim jestem ani jak nazwał mnie kapłan, bezbłędnie i trafnie. Strzała Kusziela i sługa Naamy.

“Kochaj jak wola twoja, a Elua pokieruje twoimi krokami”.

– Coś ci powiem – oznajmiłam. – Jutro.

SPIS TREŚCI

- KARTA TYTUŁOWA
- PODZIĘKOWANIA
- DRAMATIS PERSONAE

- JEDEN
- DWA
- TRZY
- CZTERY
- PIĘĆ
- SZEŚĆ
- SIEDEM
- OSIEM
- DZIEWIĘĆ
- DZIESIĘĆ
- JEDENAŚCIE
- DWANAŚCIE
- TRZYNAŚCIE
- CZTERNAŚCIE
- PIĘTNAŚCIE
- SZESNAŚCIE
- SIEDEMNAŚCIE
- OSIEMNAŚCIE
- DZIEWIĘTNAŚCIE

- DWADZIEŚCIA
- DWADZIEŚCIA JEDEN
- DWADZIEŚCIA DWA
- DWADZIEŚCIA TRZY
- DWADZIEŚCIA CZTERY
- DWADZIEŚCIA PIĘĆ
- DWADZIEŚCIA SZEŚĆ
- DWADZIEŚCIA SIEDEM
- DWADZIEŚCIA OSIEM
- DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
- TRZYDZIEŚCI
- TRZYDZIEŚCI JEDEN
- TRZYDZIEŚCI DWA
- TRZYDZIEŚCI TRZY
- TRZYDZIEŚCI CZTERY
- TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
- TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
- TRZYDZIEŚCI SIEDEM
- TRZYDZIEŚCI OSIEM
- TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
- CZTERDZIEŚCI
- CZTERDZIEŚCI JEDEN
- CZTERDZIEŚCI DWA
- CZTERDZIEŚCI TRZY
- CZTERDZIEŚCI CZTERY
- CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

- CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ
- CZTERDZIEŚCI SIEDEM
- CZTERDZIEŚCI OSIEM
- CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
- PIĘĆDZIESIĄT
- PIĘĆDZIESIĄT JEDEN
- PIĘĆDZIESIĄT DWA
- PIĘĆDZIESIĄT TRZY
- PIĘĆDZIESIĄT CZTERY
- PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ
- PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ
- PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM
- PIĘĆDZIESIĄT OSIEM
- PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
- SZEŚĆDZIESIĄT
- SZEŚĆDZIESIĄT JEDEN
- SZEŚĆDZIESIĄT DWA
- SZEŚĆDZIESIĄT TRZY
- SZEŚĆDZIESIĄT CZTERY
- SZEŚĆDZIESIĄT PIĘĆ
- SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ
- SZEŚĆDZIESIĄT SIEDEM
- SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM
- SZEŚĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
- SIEDEMDZIESIĄT
- SIEDEMDZIESIĄT JEDEN

- SIEDEMDZIESIĄT DWA
- SIEDEMDZIESIĄT TRZY
- SIEDEMDZIESIĄT CZTERY
- SIEDEMDZIESIĄT PIĘĆ
- SIEDEMDZIESIĄT SZEŚĆ
- SIEDEMDZIESIĄT SIEDEM
- SIEDEMDZIESIĄT OSIEM
- SIEDEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
- OSIEMDZIESIĄT
- OSIEMDZIESIĄT JEDEN
- OSIEMDZIESIĄT DWA
- OSIEMDZIESIĄT TRZY
- OSIEMDZIESIĄT CZTERY
- OSIEMDZIESIĄT PIĘĆ
- OSIEMDZIESIĄT SZEŚĆ
- OSIEMDZIESIĄT SIEDEM
- OSIEMDZIESIĄT OSIEM
- OSIEMDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT JEDEN
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT DWA
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT TRZY
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT CZTERY
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ
- DZIEWIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ